

Niezwykła opowieść rycerza
pierwszej krucjaty do Ziemi Świętej

ŹRÓDŁO MAMERKUSA

Leszek Biały



NS

LESZEK BIAŁY
ŹRÓDŁO MAMERKUSA

WYDAWNICTWO NOWY ŚWIAT Warszawa 2009

Konwersja do formatu EPUB: Virtualo Sp. z o.o.

virtualo.eu

VIRTUALO
Digital platform of tomorrow

Spis treści

Cytat

I

II

III

IV

V

VI

VII

VIII

IX

X

XI

XII

XIII

XIV

XV

XVI

XVII

XVIII

XIX

XX

XXI

XXII

XXIII

XXIV

XXV

Przypisy

Cytat

Pisaniu wielu ksiąg nie ma końca... (Księga Koheleta 12, 12-13)

I

Doszedłszy do wieku, w którym – jak mawiał mój Yusuf – zdrowie wystarczy mi za chorobę, chciałbym utrwalić na piśmie wszystko, co przypadło mi w udziale, zanim moje ciało stanie się pastwiskiem dla robaków, a sprawy, których byłem świadkiem, pokryje kurz niepamięci lub rdza przeinaczeń. A gdyby mi ktoś zarzucił, że i ja, chcąc ocalić przed żarłocznym czasem czyny i słowa ludzi, których dane mi było spotkać, nie zawsze spisuję je dość dokładnie, odpowiem, że po tylu latach czynię to poniekąd z konieczności, lecz staram się je odtwarzać najwierniej jak umiem, z nadzieją, że prawda nie dozna z tego powodu zbyt wielkiego gwałtu.

Podobno na starość stałem się serdeczny jak Abraham, łagodny jak Mojżesz, cierpliwy jak Hiob, pokorny jak Jeremiasz, a przecież ciągle się frasuję, czy ujrzę także to górne Jeruzalem, o którym powiadają, że wznosi się w niebie. Bo choć nigdy nie skłamał Ten, co je obiecał, istnieje wszak nie tylko ono i jego wieczne szczęście, ale także ogień nieugaszony, i robak, który nigdy nie śpi, i otchłań, i ciemność, i zgrzytanie zębów, i nie mające kresu męczarnie.

Dlatego, zadowolony z tego, co mi podarowano, i pogodzony z tym, co mi odjęto, żałuję jedynie za moje grzechy i modłę się codziennie o to, aby, kiedy ogarną mnie bóle śmierci, kiedy moje serce stanie się jak wosk, kiedy moja cera nabierze barwy ołowiu, kiedy moja stygnąca ręka nie będzie już w stanie utrzymać ukochanego Krzyża i kiedy wreszcie stanę przed moim Panem i zadrzę na widok Jego majestatu, nie odrzucono mnie sprzed Jego oblicza i pozwolono mi zostać z Nim na zawsze. Oby, zgodnie ze słowami „przeszliśmy przez ogień i wodę, ale Ty nam zesłałeś wytchnienie”¹, tym, którzy przeszli dla Niego przez to pierwsze, nie poskapiono również tego drugiego, i oby nie uznano nas za plewy, które wiatr porywa z ziemi, ani za krople, co wypadły z dzbana.

*

Nie sposób wymknąć się z ręki Boga i uniknąć Jego dopustów. Przekonałem się o tym, kiedy po trzech latach wojaczki przyjrzałem się sobie w kawałku zdobycznego lustra i spostrzegłszy, jak bardzo przerzedziły się i posiwiały moje włosy, powziąłem stanowczy zamiar powrotu w rodzinne strony. Wprawdzie powietrze w moim kraju nie było tak świetliste, słońce nie tak pałące, wino pijano w nim tylko od święta i to jedynie na książęcym dworze, zaś nocą łatwiej było usłyszeć wilka niż cykadę, ale, po pierwsze, i tam toczono ciągłe wojny, a po drugie – nawet gdyby jakimś cudem miało ich kiedyś zabraknąć – miałem w ojczyźnie spłacheć ziemi odziedziczonej po przodkach, zaś ziemia ta, oddana na czas mojej nieobecności w zastaw klasztorowi, gdzie przebywała moja siostra,

od dawna potrzebowała nie tyle pana, ile dziedzica. Patrząc w lustro, zrozumiałem, że czas już najwyższy wracać, poszukać w sąsiedztwie jakiejś gospodarnej panny i pomyśleć wreszcie o przedłużeniu rodu.

Do powrotu zachęcała mnie także miseria łupów, które nie były mi całkiem obojętne. Od trzech lat brałem udział w walkach o Hueskę, największe miasto jakie widziałem w życiu. Wraz z innymi wspinałem się i spadałem z jego potężnych murów, odpierałem niezliczone wypadki jego obrońców i przez połowę tego czasu sztywniałem z zimna, a przez drugą smażyłem się żywcem w mojej kolczudze.

Byłem dwukrotnie ranny i widziałem śmierć wielu dzielnych rycerzy, w tym samego króla Sancha Ramfreza, trafionego przez saraceńskiego kusznika w jedyne miejsce nieosłonięte żelazem – dokładnie pod pachę – kiedy uniósł na chwilę rękę, żeby nam pokazać, gdzie powinniśmy zaatakować. W dodatku, odkąd, zgodnie z prawidłami sztuki wojennej spaliliśmy wszystkie pola, wycięliśmy wszystkie sady i zatruliśmy większość studzien w promieniu jednego dnia konnej jazdy, wielokrotnie cierpiałem głód i pragnienie, a przecież nadal byłem tak samo ubogi jak w dniu, kiedy zachwycony widokiem dziewięćdziesięciu dziewięciu wież Hueski postanowiłem przyłączyć się do oblężenia.

Jeśli nie liczyć paru pierścieni i trzech woreczków srebrnych monet pokrytych niezrozumiałymi zawijasami, po trzech latach zmagania i znojów miałem w sakwach tylko niewielki czarno-czerwony dywanik, złoty rozpylacz do wody różanej ozdobiony wizerunkami jakichś zwierząt przypominających kozy, srebrny talerz w kształcie ryby, rzeźbiony róg do picia z kości słoniowej, sztylet nabijany turkusami oraz drobiazg, który podobał mi się najbardziej – zieloną, niemal przezroczystą szatę, trochę wprawdzie rozdartą i poplamioną krwią, ale za to przetykaną złotą nicią i lżejszą chyba od ptasiego pióra.

Zważywszy rzecz dokładnie, zapytałem mojego giermka Tito, czy pojedzie ze mną. Był to młody miejscowy chłopak, który po ucieczce z niewoli przystał do mnie na służbę za wikt i dziesięć dirhamów miesięcznie.

– A co z przysięgą, jaką złożyliśmy don Sanchowi, że nie odstępimy od oblężenia, póki nie zdobędziemy miasta? – odparł bez entuzjazmu.

– Ja jej nie składałem – powiedziałem zgodnie z prawdą, jako że w dniu zaprzysiężenia byłem na pogrzebie przyjaciela w nieodległym Alquezar.

– Ja też nie – uśmiechnął się półgębkiem. – Ale i tak wolę Saracenów.

Wiedziałem, że niewierni porwali całą jego rodzinę, za co poprzysiągł mścić się do końca życia, toteż nie nalegałem, tylko przycisnąłem go mocno do serca, po czym dałem mu na pamiątkę talerz w kształcie ryby i poleciłem spakować moje rzeczy. Przypuszczałem, że także na północy nie brakuje już świeżej trawy

i zamierzałem wyruszyć w drogę następnego dnia. Najpierw do Composteli, żeby poprosić Świętego Jakuba o dobrą żonę i co najmniej jednego udanego syna, a potem, prosto jak strzełił, do domu.

Tymczasem znów się okazało, że na tym świecie nie da się niczego zaplanować.

Kiedy pod wieczór, jak co dzień, obchodziliśmy mury z oprawną w srebro skrzynią zawierającą relikwie Świętego Wiktoriana, spod wieży zwanej Alquibla wypadli zniechęceni obrońcy i zaatakowali nas gwałtownie. W pierwszym starciu straciliśmy więcej ludzi niż przy niejednym szturmie i zostaliśmy przyparci do rzeki, toczącej przez większość roku bardzo mało wody, lecz teraz wezbranej po marcowych deszczach.

Tam to, położywszy trupem dwóch Maurów, zauważyłem kątem oka, że pośrodku nurtu, zanurzony do połowy w wodzie, obija się o kamienie relikwiarz ze szczątkami Świętego, porzucony w popłochu przez zakonników. I byłby się ów skarb dostał niechybnie w ręce pogan, gdyby nie rycerz zwany El Latino – powszechnie nie lubiany w naszym obozie, bo nie uczestniczący nigdy w naszych biesiadach i pijatykach przy ognisku – który, stojąc krzepko na wielkim głazie wystającym z wody, ciął w głowę każdego Maura, jaki się doń zbliżył. Saraceni szyli do niego z łuków i ciskali weń włóczniami, ale on, choć wyglądał już całkiem jak Święty Sebastian, wciąż trwał na skale i bronił im przystępu do świętych relikwii.

Nie czekając, aż nadejdzie pomoc z drugiego brzegu, rzuciłem się natychmiast w wodę i z okrzykiem: „Panie, wytrwaj jeszcze trochę!”, ominąłem łukiem atakujących, po czym dopłynąłem do starego mruka z boku. Kiedy jednak próbowałem wspiąć się na zajmowany przez niego głaz, El Latino odepchnął mnie nogą i zawołał:

– Gdzie mi się tu płaczesz, ciuro?! Już cię tu nie ma!

Ponieważ nauczono mnie znosić obelgi, ale nie pozwalać, żeby mi ktoś rozkazywał, nie dałem za wygraną i znów zacząłem wdrapywać się na kamień. A kiedy El Latino znowu próbował mnie z niego strącić, wczepiłem się w jego łydkę i niechcący pociągnąłem go za sobą w wodę, przy okazji ratując mu chyba życie. Saraceni jeszcze raz zasypali nas pociskami, nurt zakręcił nami i pchnął nas na skałę, i zaraz potem ujrzałem Raj Ziemi.

Miejsce to, położone daleko na Wschodzie, na wysokiej górze, gdzie nie sięgnęły wody Potopu, było rozległą równiną opasaną murem ze szczerego złota i pierścieniem ognia. Tryskało w nim cudowne Źródło dające początek czterem rzekom, a zwały się one, jak ktoś mi zaraz podpowiedział: Pizon, Gichon, Chiddekel i Perat. Ich wody niosły ze sobą gałęzie drzew oliwnych, cyprysów, imbiru, goździków, mirtu i aloesu, naręcza różnobarwnych kwiatów i żywe ptaki

w gniazdach – jedne białe jak śnieg, inne czerwone jak karbunkuł albo zielone jak trawa, jeszcze inne błękitne jak niebo – a także mnóstwo owoców, które obojętnie jak przekrojone, zawsze podsuwają oczom zbawczy znak Krzyża.

Powietrze w tym miejscu było niezwykle przejrzyste i panowała tam bardzo przyjemna ciepłota. Ponieważ w Raju nie istniały pory roku, nie znano tam także śniegu, burz, gradu, gwałtownych wichrów, zimowych mrozów, wiosennych roztopów, letnich upałów ani jesiennej słyoty. Nie było tam również węży, szczerów, żab, much, komarów i jadowitych pajaków. Za to wszędzie widziało się rozmaite drzewa i kwiaty, których nikt nigdy nie siał ani nie sadił. Drzewa rosły przynajmniej tak wysoko jak nasze topole i codziennie rodziły inne owoce o wybornym smaku. Nigdy nie więdnące kwiaty zachwycały barwami i upajały swą wonią, zaś moje ulubione róże w ogóle nie miały kolców. Pomędzy drzewami, na bujnych łąkach, pasły się wolne od strachu jelenie i jednorożce, podczas gdy ich nowo narodzone potomstwo ssało z ufnością mleko niedźwiedzicy. Pies żył tam w przyjaźni z kotem, wilk leżał obok koźlęcia, zaś lew piastował w łapach niewinne jagniątko.

Jak daleko mogłem sięgnąć okiem, żyzna ziemia skrzyła się bryłami złota i srebra oraz mnóstwem szlachetnych kamieni – diamentów, szmaragdów, rubinów, jaspisów, agatów, topazów, beryłów i ametystów – ale najpiękniejsze było to, że w tym cudownym przybytku nie znano w ogóle śmierci, chorób, starości, zbrodni, sprośności, zdrady ani smutku, i że każdy, kto czegoś potrzebował, dostawał to zaraz za darmo. Toteż wszyscy mieszkający tam święci, męczennicy i dusze sprawiedliwe – wśród których, jak zauważyłem, rej wodzili Adam i Ewa oraz Henoch i Elias, a zwłaszcza Święty Dyzmas, Dobry Łotr, dzięki któremu, po czterech tysiącach lat zamknięcia na głucho, wrota Raju otworzyły się dla nas ponownie – wyglądali na niezmiernie zadowolonych. W oczekiwaniu na wskreszenie ciał i ostateczne wstąpienie do Królestwa Niebieskiego jedni modlili się, drudzy odpoczywali, inni przechadzali się bez celu, jeszcze inni śpiewali w chórze albo wiedli skoczne tany na wiecznie zielonej murawie, zaś słodkie dźwięki towarzyszącej temu muzyki niosły się szeroko po całym Domu Światłości.

Niestety, ledwie zdążyłem uprosić kilkoro z obecnych, żeby zechcieli pomodlić się także za mnie i za mojego jeszcze nie spłodzonego, ale już umiłowanego syna, kiedy niespodziewanie przyszło mi wrócić na ziemię.

Tu okazało się, że zostałem uratowany i – w nagrodę za męstwo, z jakim stanąłem w obronie Świętego Wiktoriana – umieszczono mnie razem z El Latino w tej samej celi pobliskiego opactwa kanoników regularnych w Montearagón, służącego za lazaret tylko wielkim panom. Kiedy przyszedłem do siebie, stary

wojak, podziurawiony jak rzeszoto, leżał wciąż bez czucia niczym kłoda, zaś przy mojej pryczy siedział mój giermek Tito.

– Chwała Bogu w Trójcy Jedynemu! – wykrzyknął widząc, że otwieram oczy.
– Nareszcie! Jak się czujesz, panie?

– Przed chwilą czułem się znacznie lepiej – stwierdziłem zgodnie z prawdą. – Czy to ty mnie wyłowileś?

– Między innymi – przytaknął, lecz wydał mi się czegoś markotny.

– Co ci jest? – zapytałem. – Czyżbyś tego żałował?

– Boże uchroni, tylko kiedy cię ratowaliśmy, ktoś... ukradł jedną z twoich sakw – poinformował ze wzrokiem wbitym w ziemię.

– Nie może być! – jęknąłem. – Którą?

– Tę z rozpylaczem i rogiem – opuścił głowę jeszcze niżej.

Poderwałem się z pryczy, ale z bólu zaraz opadłem na nią z powrotem, toteż wycodziłem tylko przez zęby:

– Choć jestem pewny, że człowiek sprawiedliwy posiada skarby całej ziemi, chciałbym wiedzieć, który skurwysyn to zrobił?!

– Jeśli go znajdę, poderżnę mu gardło – obiecał ponuro Tito.

Kiwnąłem głową na znak zgody, po czym zapytałem zrezygnowany:

– A co z resztą? Jak Święty?

– Dzięki Bogu, bezpieczny. A twoje rzeczy oddałem na przechowanie opatowi.

– I dobrześ uczynił – pochwaliłem go. – Zaopiekuj się jeszcze końmi, zapłacę.

– Zrobię to za darmo. Byleś wyzdrowiał, panie.

– Dziękuję. Tylko przepędź je czasem po polu, żeby mi się nie zapasły jak smoki – poprosiłem go na pożegnanie.

Poniesiona strata doskwierała mi znacznie bardziej niż rany, jakie mi zadano. Z początku myślałem bowiem, że oprócz złamanej i włożonej w łupki nogi, a także paru dziur po strzałach, nic szczególnego mi nie dolega. Dopiero wizyta opata Szymona uświadomiła mi boleśnie, jak wielką marnością jest srebro i złoto całego świata! Otóż na pytanie, kiedy będę mógł ruszyć w rodzinne strony, gdzie pilno mi się ożenić i spłodzić upragnionego dziedzica, ów zacny mąż odparł dziwnie stropiony i bynajmniej nie od razu:

– Nikt nie może wejść do Królestwa Niebieskiego nie wypróbowany.

– Co chcesz przez to powiedzieć, ojczcze? – zapytałem zdziwiony.

– Tylko to, że ciało należy do świata, a wszystko, co należy do świata, kocha też okazje do grzechu. Dlatego, jeśli zdarzy się nam ponieść jakiś uszczerbek na ciele, powinniśmy przyjąć to z radością i dziękować Bogu, że uwolnił nas w ten sposób od niektórych pokus – odpowiedział uprzejmie, ale takim tonem, jakby chciał mnie pocieszyć.

– Mów trochę jaśniej, ojcze – poprosiłem – bo od ran rozum mi się chyba nadwerężył.

– Mniejsza o twój rozum, a nawet o nogę – tym razem pozwolił sobie na pewną obcesowość. – Wygląda bowiem na to, że największą szkodę poniósł od strzały twój członek płodzący.

Odruchowo sięgnąłem poniżej brzucha, lecz byłem tak szczelnie owinięty płótnem, że nie udało mi się niczego stwierdzić. Widząc mój gest, opat pokręcił głową.

– Nie, niczego ci nie brakuje. Wątpliwe tylko, żeby moc wróciła.

– Na rany Chrystusa! A moje małżeństwo?! Mój syn?! – zawołałem z przerażeniem.

– Małżeństwo? – wzruszył ramionami. – Na świętego Wiktoriana, któregoś tak dzielnie bronił, cóż ci po małżeństwie? Czyżbyś nie wiedział, że pod pewnymi względami nie różni się ono niczym od nierządu, a jego główna wartość polega na tym, że rodzą się z niego dziewice? Niechaj się żenią ci, którym zależy na nocnych obłapiankach i którym nie przeszkadza popiskiwanie dzieci. Rozumny człowiek w ogóle nie tyka kobiet, zaś w kwestii potomstwa zawsze pamięta o tym, że nikt bardziej nie paskudzi w domu, niż myszy, gołębie i dzieci.

– Nie kpj sobie ze mnie, ojcze! Jakże mam żyć bez kobiet?! – chwyciłem się za głowę.

– Jakoś można, wierz mi. Wytłumacz sobie, że kobieta to najniebezpieczniejsza ze wszystkich pułapek, jakie czyhają na nas na tym świecie. Prawdziwa furka do piekła i smok jadowitszy od salamandry. W końcu, naszego praojca Adama nie namówił do grzechu diabeł, tylko jego własna żona. I dlatego jest bardzo wątpliwe, żeby jakaś kobieta mogła podobać się Bogu.

Widząc, że go wcale nie słucham, przerwał, popatrzył na mnie z politowaniem, a potem, machnąwszy ręką, dodał na odchodnym:

– Zresztą, wszystko w ręku Boga. Czasem dopuszcza na ludzi cierpienia, aby zaczęli Go szukać tym chętniej i mocniej. Oby tak było i w twoim przypadku.

W jakąż rozpacz wtrąciły mnie jego słowa! Słyszałem wprawdzie nieraz, że człowiek jest trawą, a wszelka wspaniałość człowieka jest jak kwiat tej trawy, słyszałem także, że wszyscy zestarzejemy się niczym szata, po czym stoczą nas mole, a jednak wydało mi się okrutną niesprawiedliwością, że musiało się to przytrafić akurat mnie, tak szybko, po tylu zasługach i na dodatek w chwili, kiedy postanowiłem wreszcie zadbać o ciągłość mojego rodu! Jakby tego było mało, ów, z powodu którego złożyłem tak wielką ofiarę (nie zapomniałem mu jego zniewagi!), wciąż leżał nieprzytomny i nawet nie mogłem wyrównać z nim rachunków.

Kiedy po kilku dniach zdjęto mi część bandażu i odzyskałem swobodę ruchów, natychmiast poddałem uszkodzone miejsce pieczołowitym oględzinom i rozmaitym, wyczerpującym próbom. Na pozór wszystko było w porządku, a jednak na próżno sięgałem pamięcią do lubych chwil z przeszłości i daremnie wyobrażałem sobie moją przyszłą małżonkę pod postacią najurodziwszej z niewiast. Jakby na potwierdzenie słów uczonych w Piśmie, surowo przeciwstawiających skłonności ciała dążeniom nieśmiertelnej duszy, to, co jest ciałem o wiele bardziej niż cała jego reszta, niezmiennie ciążyło ku ziemi, wskazując wymownie na proch, z którego powstało i w który się kiedyś obróci.

Mimo to nie ustawałem w moich wysiłkach, aż któregoś razu zaskoczyła mnie przy nich klasztorna posługaczka, Saracenka przynosząca nam posiłki i sprzątająca nasze pomieszczenie. Nie zdążyłem nawet okryć się derką, kiedy, przyjrawszy mi się przez chwilę zza czarnej zasłony zakrywającej jej twarz, parsknęła śmiechem, po czym wybiegła z celi jak oparzona. Rozgniewany na siebie i na nią, nie potrafiłem powstrzymać się od złośliwości, gdy następnego dnia zajrzała do nas ponownie. Zwłaszcza, że tym razem długo i głośno pukała, po czym skłoniła mi się w progu z wyraźną przesadą.

– Wejdz – rzekłem kwaśno na jej widok. – Rozumiesz po chrześcijańsku?

Skinęła potakująco głową.

– Jak masz na imię?

– Subh.

– A zatem powiedz mi, Subh, czy to prawda, że wy, Saracenki, dlatego zasłaniacie sobie twarze, że wszystkie jesteście nadzwyczaj szkaradne?

– Możliwe, ale z pewnością nie aż tak bardzo, jak wasze kobiety – odparła bez namysłu. – Inaczej wy, chrześcijanie, nie wolelibyście radzić sobie bez nich.

Cios był zadany tak celnie, że zawstydzony, postanowiłem się usprawiedliwić.

– Wybacz, właściwie nie chciałem cię urazić. Zostałem paskudnie zraniony.

– Wiem – odpowiedziała. – Ja też nie chciałam cię urazić.

Kaleczyła niemiłosiernie wyrazy, ale w jej głosie zabrzmiało coś tak miękkiego, że przyjrzałem się jej uważnie. Choć z całej jej spowitej w czerń postaci widziałem jedynie oczy, nie wiedzieć czemu pomyślałem sobie, że musi być niebrzydka.

– Usiądź – wskazałem jej miejsce w nogach pryczy. – Skąd się tu wzięłaś?

Zakłopotana przysiadła na brzeжку pryczy.

– Dostałam się do niewoli, kiedy uciekłam od męża – wyjaśniła przeciągając poszczególne słowa.

– Uciekłaś od męża? A to dlaczego? – zainteresowałem się.

– Dlatego, że go zdradziłam, a on się o tym dowiedział – odrzekła hardo, już bez owego przeciągania chrześcijańskich sylab.

- Zdradziłaś męża?! – uniosłem brwi do góry.
- Tak, i to z chrześcijaninem jak ty, niech go Allah oszpeci!
- To ciekawe – skrzywiłem się. – Czy możesz mi o tym powiedzieć coś więcej?

Westchnęła, lecz kiwnęła głową na znak zgody.

– Wyszłam za mąż za rycerza, który przybył do Al-Andalus z Yusufem Ibn Tashfinem i był jego chorążym w bitwie pod Zallaqah. Mojego męża, wciąż zajętego wojną, prawie nigdy nie było w domu, więc całymi miesiącami skazana byłam jedynie na towarzystwo innych żon, przyjaciółek i służby. Należał do niej także pewien chrześcijański rycerz imieniem Rodrigo, opiekujący się w niewoli naszymi sokołami, który zapłonął do mnie gwałtowną i zakazaną miłością. Przy rzadkich okazjach, kiedy mógł się do mnie zbliżyć, szeptał mi czułe słowa i przysięgał zrobić wszystko w zamian za najdrobniejszy dowód przychylności z mojej strony. Kiedyś posunął się nawet do tego, że obiecał mi przejść na naszą wiarę, jeśli okażę się dla niego choć trochę łaskawsza...

– A to łajdak! Dlaczego nie doniosłaś na niego od razu starszemu nad służbą?

– Bo był młody i bardzo przystojny. Jednak szybko przekonałam się, że popełniłam błąd. Któregoś dnia, nie wiem jak, zmylił czujność eunuchów strzegących naszego haremu i wpadł do mnie z wielkim kuchennym nożem. Przystawił go sobie do serca i zawołał: „Subh, moja kochana Subh, jeśli nie chcesz, żebym z miłości do ciebie zaraz się przebił, nie bądź z kamienia i odsłoń na chwilę swoją twarz!”. Wyglądał tak, jakby do reszty postradał rozum, więc zrobiło mi się go żal. Pomyślałam, że może lepiej popełnić grzech, niż pozwolić, żeby się zabił z mojego powodu, toteż, choć z ociąganiem, spełniłam jego prośbę.

– Nie powinnaś była tego robić – zauważyłem z przyganą. – Niechby się bydlak zabił. Co było dalej?

– Padł przede mną na kolana i wykrzyknął: „Pani! Jesteś najpiękniejszą kobietą, jaką widziałem w życiu! Błagam cię, nie bądź skąpa i odsłoń coś jeszcze!”. Tego było już za wiele, więc kazałam mu się wynosić i odwróciłam się, żeby przejść do sąsiedniej sali. A wtedy ten łajdak z piekła rodem podskoczył do mnie i ugryzł mnie z całej siły w pośladek! Miałam na sobie tylko lekką atłasową spódnicę, toteż wbił we mnie wszystkie zęby! Nim zdążyłam krzyknąć, zniknął zapominając o nożu. Także i tym razem nie wydałam go w ręce kata, lecz los mnie za to pokarał, bo w dwa dni później mój mąż powrócił ze zwycięskiej wyprawy przeciwko Umarowi Al-Aftasowi, władcy Badajoz. Miałam nadzieję, że wieczorem wezwie do siebie jakąś inną żonę, ale on, na moje nieszczęście, właśnie mnie kochał najbardziej...

– Po tym co usłyszałem, wcale mu się nie dziwię.

– Dziękuję, panie. Długo okrywał mnie pieścizotami i pocałunkami, aż wreszcie nastąpiło to, co musiało nastąpić. Jego ręce nagle znieruchomiały, a on, wpatrując się w moje pośladki, krzyknął przeraźliwie: „Na Allaha! Widzę dwie głowy dojrzałe do ścięcia!”. Na nic zdały się moje tłumaczenia i błagania, na nic moje płacze i przysięgi! Surowy i podejrzliwy jak wszyscy Lemtunowie, dopatrzył się zdrady i jeszcze tej samej nocy kazał ściąć Rodriga.

– Słusznie, też bym tak zrobił. A co z tobą, pani?

– Ze mną? Zamknął mnie w moim pokoju, odkładając decyzję do rana. Ja zaś wolałam na nią nie czekać i skoczyłam z balkonu, po czym wydostałam się z naszej posiadłości przez słabo strzeżony ogród. Przy skoku skręciłam nogę, lecz tym razem miałam trochę szczęścia, bo tuż za naszym majątkiem wpadłam w ręce rabusiów, którzy sprzedali mnie do tego klasztoru – wyjaśniła ze smutkiem.

Po tych słowach chwyciłem ją za ręce i powiedziałem z przejęciem:

– Pani, od pierwszej chwili, kiedy cię ujrzałem, byłem pewny, że musisz być niezwykle piękna! Teraz widzę, że nie brak ci także rozumu. Wielka szkoda, że po tak przykrych przygodzie zapewne nie zechcesz pokazać mi swojej twarzy, pierwszej przyczyny twojego nieszczęścia!

– Twarzy?! O nie, przenigdy! – cofnęła ręce z przerażeniem, lecz zaraz dodała pojednawczo: – Ale jeśli ci na tym zależy, mogę ci pokazać jego przyczynę drugą.

Po czym, nie czekając na moją decyzję, wstała, odwróciła się i uniosła powoli swoją czarną spódnicę. Prawdę rzekłszy, poczułem się rozczarowany. Miała wąską kibić i niezbyt wysklepione pośladki, przypominające kształtem odwrócony owoc figowca, mnie zaś zawsze podobały się najbardziej nasze kobiety o dużo jaśniejszej cerze i znacznie obfitszych kształtach. Mimo to, widząc, że już zamierza się zasłonić, gwałtownie przeciw temu zaprotestowałem.

– Chwileczkę! A gdzie jest rana, którą zadał ci Rodrigo?

– Już się zabił. Tylko tutaj – dotknęła palcem prawego pośladka – pozostał jeszcze niewielki ślad.

– Musisz się bardziej zbliżyć, bo tak nic nie widzę – poprosiłem.

Wtedy podeszła do mojej pryczy, położyła się i nieco uniosła biodra. Z bliska wydała mi się o wiele ładniejsza. Przyjrzałem się z uwagą wskazanemu miejscu, lecz nie dostrzegłem w nim nic oprócz zwykłego pieprzyka. Pogładziłem zatem tym czulej jego okolice i rzekłem:

– Zaiste, pięknie się wygoiło. Byłbym zresztą niepokieszony, gdyby było inaczej.

A potem obróciłem ją delikatnie na bok i odchyliłem jej udo. Domek Wenus, tak jak lubiłem, miała całkiem wygolony. Widok obłej szczeliny, z lekka już

rozchylonej i zaróżowionej, poruszył jak zawsze moje serce, ale inaczej niż zwykle – nic więcej. Długo wodziłem palcem wzdłuż jej brzegów, raz po raz zanurzałem go w niej, to głębiej, to płycej, aż w końcu, kiedy Subh, przysunawszy się do mnie jeszcze bliżej, własnoręcznie poszerzyła ją i zaokrągliła, ucałowałem to miejsce ze szczerą ochotą.

Nie mając wcześniej do czynienia z Saracenkami, nie przypuszczałem nawet, że kobieta może tak pięknie pachnieć, toteż w ślad za pierwszym pocałunkiem złożyłem w tym miejscu drugi, trzeci i kolejne, a mimo to moje serce, choć przepełnione wdzięcznością, pozostawało nadal straszliwie samotne.

Subh musiała to wyczuć, bo nagle szepnęła:

– Pozwól, że ci pomogę – po czym, odsunawszy derkę, którą byłem nakryty, przesłoniła siebie i moje lędźwia swym czarnym hidżabem.

W pierwszej chwili, kiedy poczułem się w jej ustach, przepełniła mnie nie tylko nieznana mi dotąd błogość, ale – co ważniejsze – także uzasadniona, jak mi się zdawało, nadzieja. W drugiej zrozumiałem, że nadzieja ta była płonna, zaś trzeciej w ogóle nie było, ponieważ za naszymi plecami rozległ się chrapliwy głos:

– Gdziekolwiek jestem, w niebie czy w piekle, dajcie mi wody!

Subh skoczyła jak oparzona, i to tak nieszczęśliwie, że nastąpiła przy tym na moją złamaną nogę, a następnie znikła, jakby się rozplynęła w powietrzu! Mdlejąc z bólu, odwróciłem się w stronę pryczy zajmowanej przez El Latino, który wsparty na łokciu, musiał obserwować nas już od dłuższego czasu, i wycedziłem przez zęby:

– Panie, masz paskudny zwyczaj mieszania mi szyków w najmniej stosownej chwili! Mam nadzieję, że wystarczy ci również odwagi, by za to zapłacić.

– Później – burknął w odpowiedzi. – Teraz chcę tylko wody.

Chcąc nie chcąc pokuśtykałem do niego z dzbankiem, a on pił i pił wielkimi haustami, po czym obtarł z zadowoleniem spieczone usta i natychmiast zapadł ponownie w sen.

Nie obudził się z niego przez kilka następnych dni, podczas których Subh nie pojawiła się ani razu. Badający go medyk kręcił z niedowierzaniem głową, klnąc się na wszystkie świętości, że jeszcze nigdy nie widział, żeby ktoś, kto według całej jego wiedzy, powinien był już dawno umrzeć, miał się z dnia na dzień coraz lepiej, i to na dobitkę bez jedzenia, picia i przyjmowania jakichkolwiek medykamentów! Ja również cieszyłem się z powrotu do zdrowia El Latino, ponieważ przysięgłem mu zemstę, a przecież nie mogłem bić się z nieboszczykiem. Dlatego, kiedy znów się obudził, jeszcze zdrowszy i bardziej rześki, i zażądał wielkim głosem wieczerzy, odczekałem, aż nasyci głód, po czym zwróciłem się do niego najuprzejmiej, jak umiałem:

– Cieszę się, panie, że masz się już całkiem dobrze, i że wedle wszelkich znaków na niebie i na ziemi, opuścisz ten lazaret szybciej ode mnie. Życzę ci z całego serca, abyś doszedł do pełni sił jak najszybciej, bo kiedy zrośnie się moja noga, chciałbym stanąć z tobą do walki, pieszej albo konnej, na tępe bądź na ostre, na śmierć lub na życie, jak ci tam będzie wygodniej.

El Latino spojrział na mnie uważnie i stwierdził z uznaniem:

– Ależ jesteś zawzięty, chłopcze! Bardzo to lubię, lecz niestety muszę ci odmówić.

Wtedy, wrząc z oburzenia, zawołałem:

– Nie nazywaj mnie chłopcem, tchórze!

– A ty mnie tchórzem, chłopcze – uśmiechnął się. – Dla mnie jesteś i pozostaniesz chłopcem, czy to ci się podoba, czy nie. Jednak walczyć z tobą nie zamierzam. Po pierwsze dlatego, że chciałeś mi pomóc, a po drugie, bo nie masz ze mną żadnych szans.

– To się jeszcze okaże! – rzuciłem wyzywająco.

– Nic się nie okaże. Uprawiam to rzemiosło trochę dłużej od ciebie. Wiesz, co ci powiem, chłopcze? Zamiast myśleć o zemście, zdobądź lepiej od braciszków dzban dobrego wina. Napijemy się na zgodę, a potem opowiem ci coś, co opowiadał tylko takim jak ty, to znaczy takim, którym wydaje się, że uratowali mi życie. Ostatnim, pod Toledo, był niejaki Herluin, jeśli dobrze pamiętam.

Stwierdzeniem, że tylko mi się wydaje, jakobym uratował mu życie, zaciekał mnie na tyle, że odłożyłem gniew na później i zdobyłem rzeczony dzban wina. El Latino najpierw ulał z niego kilka kropel na ziemię, potem wychylił duszkiem dobre pół kwarty za nasze zdrowie, a wreszcie przekazał go w moje ręce i rozparty wygodnie na swojej pryczy, rzekł:

– Nazywam się Mamerkus Camillinus i pochodzę z plebejskiego, acz starego i szacownego rodu. Urodziłem się w roku 761 od założenia Miasta, to znaczy ósmym od przyjścia na świat naszego Pana Jezusa Chrystusa.

– Kpisz czy o drogę pytasz? – przerwałem mu drwiącym tonem i sam pociągnąłem z dzbana solidny łyk. – Musiałbyś mieć dzisiaj tysiąc lat z okładem.

– Prawie tysiąc dziewięćdziesiąt. I co z tego? Nie czynmy słonia z muchy. Czyżbyś nie wiedział, że Noe żył dziewięćset pięćdziesiąt lat, a Matuzalem jeszcze więcej, bo dziewięćset sześćdziesiąt dziewięć? A może w to nie wierzysz? – spojrział na mnie badawczo.

– Jako ochrzczony mam obowiązek czynić to wszystko i w to wszystko wierzyć, co czyni i czego naucza Święta Matka Nasza, Kościół Rzymski – odparłem uroczyście.

– Więc i z tym nie powinieneś mieć trudności – skwitował lekceważąco. – Lepiej mi nie przerywaj albo nigdy nie skończymy.

– W porządku, spróbuję trzymać język za zębami – obiecałem.

– A zatem, chłopcze, jak już powiedziałem, urodziłem się w roku 761 *ab Urbe condita*, czyli ósmym od narodzin naszego Pana Jezusa Chrystusa. Dziesięć miesięcy wcześniej ojciec mój Rufus, po piętnastu latach nienagannej służby, uzyskał urlop na załatwienie spraw spadkowych w rodzinnym Lavinium, gdzie trafił akurat na święto Libera.

– A co to za jeden?

– Bóg płodności i kiełkowania. Corocznie podczas jego świąt obwożono po całej okolicy wielki członek męski wykonany z drewna, aby w końcu złożyć go z należną czcią na forum mojego ojczystego miasta, założonego, jak wiadomo, przez samego Eneasza. W najważniejszym dniu obrzędów, kiedy to dla zapewnienia polom urodzaju, najszacowniejsza z miejscowych matron musiała przystroić ów członek kwietnym wiankiem, mój ojciec zwrócił uwagę na pewną dziewczynę – moją przyszłą matkę – która, jako jedyna spośród zebranych, w trakcie tej ceremonii zasłaniała sobie twarz welonem. Od razu się w niej zakochał, jeszcze szybciej ożenił i zanim nadszedł termin powrotu pod sztandary, spłodził z nią czym prędzej wymarzonego od dawna syna.

– Nawet nie wiesz, jak mu zazdroszczę! – westchnąłem z kolejnym łykiem wina.

– Nie ma czego, chłopcze, nie ma czego – zauważył ze smutkiem El Latino, a potem ciągnął dalej: – Może kierowały nim złe przeczucia, może dostrzegł złowróżbne znaki w locie czy wnętrznościach ptaków, dość jak ci powiem, że w rok później zginął wraz z całym XIX legionem z ręki Cherusków dowodzonych przez zdrajcę Arminiusza. Jak opowiadał mojej matce pewien weteran, który dotarł później na miejsce bitwy z Germanikiem, barbarzyńcy złożyli na leśnych ołtarzach, w ofierze swoim bożkom, wszystkich ujętych żywcem trybunów i setników, a ich czaszki poprzybijali do drzew ćwiekami ku naszej przestrodze. Czy taki właśnie koniec spotkał mojego ojca, który na parę miesięcy przed tą klęską miał pecha dosłużyć się godności starszego centuriona drugiej kohorty, czy też fortuna okazała się dla niego łaskawsza i zginął z bronią w ręku, tego nie dowiedzieliśmy się nigdy.

– Jaki Arminiusz? Jaki Germanik? – zapytałem, ale spostrzegłszy, że El Latino rozkłada ręce i wznosi wzrok ku niebu, jakby oczekiwał stamtąd wsparcia i pomocy, odwołałem natychmiast moje pytania i pozwoliłem, żeby mówił dalej.

– Ów weteran, nasz sąsiad, wręczył mojej matce zawiniątko przywiezione z Germanii. Była to ludzka czaszka z widniejącą pośrodku czoła dziurą po barbarzyńskim bretnalu, okutana w kawałek zbutwiałego żołnierskiego płaszcza i objedzona do ostatniego włókienka ciała przez germańskie mrówki. Matka wyprawiała jej uroczysty pogrzeb i odtąd, choć nie było żadnych rozsądnych

podstaw aby wierzyć, że to właśnie mój ojciec powrócił w ten sposób na łono rodziny, składała na tę czaszkę najpoważniejsze, przepisane zwyczajem przysięgi.

W rodzinie mojego ojca wszyscy zdrowi na ciele i umyśle mężczyźni od pokoleń służyli w wojsku. Żal po stracie świeżo poślubionego małżonka, jak też wynikające stąd tym większe przywiązanie do mnie sprawiły, że moja matka powzięła stanowczą decyzję zerwania z tą tradycją. Z tego powodu w dzieciństwie i młodości, inaczej niż wszyscy moi przodkowie, a także rówieśni mi kuzyni i przyjaciele, nie wprawiałem się w zapasach, szermierce czy w walce na pięści, nie brałem też udziału w zawodach strzeleckich ani nie nauczyłem się dobrze jeździć konno, a o powożeniu rydwanem nie śmiałem w domu nawet pisać. Matka zabraniała mi również bawić się w podbijanie prowincji czy w walki gladiatorów i patrzyła krzywym okiem nawet na najzwyczajsze wyprawy do palestry lub cyrku.

Za to za pieniądze dziadka Senniusza, swego ojca, sprawiła mi preceptora Greka, który uczył mnie retoryki i literatury w obu językach, jak również opłacała mi lekcje filozofii i prawa. Marzyła, biedaczka, że zostanę wziętym retorem albo adwokatem... Ale, ale, czy aby rozumiesz takie słowa, jak „gladiator”, „palestra”, „preceptor”, „adwokat”, a zwłaszcza „filozofia”?

– Oczywiście – skłamałem bez mrugnięcia okiem. – Mów dalej, Mamerkusie.

– To dobrze. Tak więc, kiedy raz dałem sobie wytłumaczyć, że laury zdobyte na niwie poezji bądź prawa przynoszą obywatelowi nie mniejszy zaszczyt niż krew przelana w służbie ojczyzny, uprawiałem gorliwie poletko Apollina, ćwiczyłem się w sztuce krasomówczej i bez szczególnego obrzydzenia wertowałem kodeksy praw.

Przyszłość zapowiadała się całkiem nieźle. Już w chwili przywdziania togi męskiej mogłem poszczycić się wydaniem zbiorku okolicznościowych epigramów, obdarzonych życzliwą uwagą kilku znajomych literatów, a także daleko posuniętą pracą nad komentarzem do ustaw Oppijskich. Przeniosłem się do Rzymu, gdzie za pieniądze dziadka Senniusza wynająłem mieszkanie na Eskwilinie, tuż przy bramie Prenestyńskiej. Wkrótce potem sprzedałem też pewnemu senatorowi, za pięćset sestercji, mowę przeciwko zbytkowi, którą ów wygłosił później z wielkim powodzeniem w senacie. Po tych sukcesach nabrałem przekonania, że z czasem dorównam jako orator wziętemu krasomówcy Kwintusowi Hateriuszowi, zaś pod względem znajomości prawa samemu Kapitonowi Atejuszowi, zażywającemu podówczas sławy najteższego z jurystów.

Przez następne lata oddawałem się studiom i pracy ze zdwojonym zapałem. Nie trwoniłem czasu na bezczynność ani nie przedkładałem nigdy przyjemności nad pożytek. Rychło ukończyłem i ogłosiłem komentarz do ustaw Oppijskich,

zyskałem także kolejnych klientów na układane przez siebie oracje. Zacząłem również występować w sądzie i żeby poprawić dykcję, wzorem Demostenesa godzinami ćwiczyłem moje mowy z kamieniami w ustach. Zaniedbałem jedynie poezję, ponieważ w natłoku codziennych zajęć nie byłem w stanie poświęcić Muzom tyle czasu i uwagi, ile powinien im oddać każdy, kto chce liczyć w zamian na ich łaskawość. Brak czasu nie pozwolił mi także założyć rodziny. Odkładałem tę rzecz na później, na porę, gdy zdobędę odpowiednią pozycję w światku liczących się retorów. Tymczasem, przyciśnięty potrzebą, zadowalałem się zwykłą rozpustą, chociaż – mówię to po to, żeby cię uspokoić, skoro już musimy leżeć w tej samej celi – do dziś poczytuję sobie za chwałę, że, być może z wrodzonego umiaru, nigdy nie zasmakowałem w grzechach przeciwnych naturze.

– Tego by jeszcze brakowało! – przeżegnałem się na wszelki wypadek.

– Ta sama stateczność, która kazała mi odnosić się wstrzeźliwie do porywów ciała, sprawiała również, że nie interesowałem się zbyt polityką. Rzecz jasna, wiedziałem jak wszyscy o zbrodniach Sejana, słyszałem jak wszyscy o okrucieństwach i łajdactwach cezara, jakich dopuszczał się w swej samotni na dzikiej Kaprei, jak prawie wszyscy opłakiwałem los Germanika i jego rodziny, ale nade wszystko – też jak niemal wszyscy – bałem się wszechobecnych donosicieli, którzy sztukę przywodzenia innych do zguby wzniesli w owe lata na istne wyżyny. Toteż często powiadałem sobie:

Po cóż wspominać ohydne morderstwa, zbrodnie tyrana?

*Niechaj bogowie mu za nie zapłacą i jego rodowi!*²

A zresztą, doktryna moich mistrzów nauczyła mnie, że w teatrze świata każdy ma do odegrania swoją własną rolę, i jedyne co naprawdę może, to zagrać ją jak najlepiej, nie oglądając się zbyt na całą resztę, na którą najczęściej i tak nie ma żadnego wpływu.

Dlatego, kiedy rozeszła się pogłoska, że Tyberiusz nie żyje, zakłuty mieczami, otruty czy też zaduszony poduszkami na swojej Kaprei, z początku w to nie wierzyłem, wietrząc w tym jakiś nowy podstęp nikczemnego starca, później zaś, gdy rzecz się potwierdziła, starałem się nie okazywać zbyt jawnie rozpierającej mnie radości. Lud tymczasem tak bardzo się ucieszył z jego śmierci, że biegał jak szalony po całym Rzymie, wznosząc nieprawomyślne okrzyki i głośno wiwatując. Jedni wołali: „Tyberiusz do Tybru!”, drudzy wzywali senat, by przeklął jego pamięć albo błagali Jowisza, by strącił go do najniższej części Tartaru, jeszcze inni grozili trupowi Skałą Tarpejską bądź Schodami Gemońskimi.

Szczególne wzburzenie obywateli wywołało stracenie z wyroku cezara – już po oficjalnym ogłoszeniu jego śmierci – kilku więźniów. To pośmiertne

okrucieństwo tyrana rozsierdziło także mnie i to właśnie ono wytrąciło mnie ostatecznie z kolein powściągliwości przystojącej filozofowi, za jakiego się wówczas uważałem.

Jakby coś we mnie pękło, jakby została przerwana we mnie jakaś wewnętrzna tama, szalałem ze szczęścia wraz z całym ludem, kiedy ogłoszono władcą młodego Gajusza. Trzeba ci bowiem wiedzieć, że objęcie tronu przez tego młodzieńca spełniło najgorętsze pragnienie większości moich rodaków, szczególnie zaś żołnierzy, znających go jeszcze z czasów, gdy w żarcie obozowym zyskał przydomek Kaliguli – co w moim ojczystym języku znaczy „Bucik” – ponieważ wychowywany od najmłodszych lat pośród wojska nosił jako pacholę podkute sandały zwykłego legionisty. Kochano go również dla jego ojca Germanika i całego świetnego, a prawie już wygasłego rodu, z którego się wywodził. Więc kiedy kroczył z Kampanii za zwłokami Tyberiusza, wszędzie honorowano go ołtarzami i łukami tryumfalnymi, wszędzie obsypywano go kwieciami, wszędzie wieszano girlandy i festony, wszędzie składano mu ofiary, wszędzie palono na jego cześć pochodnie i urządzano dla niego wystawne uczy. Wszędzie też witały go wielkie tłumy, obwołujące go swoim „słoneczkiem”, „gwiazdeczką”, „syneczkiem”, „chłopaczkiem”, „pieszczotką”, „kochasiem” albo „pupilkiem”. A kiedy niedługo potem ciężko zachorował, jeszcze większe tłumy nocowały w rozpaczy wokół Palatynu, zanosząc błaganie do bogów o jego jak najszybsze wyzdrowienie.

Wśród tych ogromnych tłumów byłem i ja. I ja, choć na co dzień niezbyt przykładałem się do wypełniania obowiązków religijnych, uważając, że przyzwoitemu człowiekowi i dobremu obywatelowi wystarczy, jeśli od czasu do czasu weźmie udział w oficjalnych obrzędach, przez całą tamtą pamiętną noc modliłem się, śpiewałem nabożne pieśni, składałem ofiary i paliłem kadzidła przed posągiem uwielbianego cezara. A kiedy jeszcze nad ranem niektórzy z obecnych poczęli składać śluby, publicznie wymieniając swoje nazwiska, że za jego wyzdrowienie gotowi są oddać własne życie lub potykać się z bronią w rękę jako zawodnicy, także i ja, porwany ogólnym entuzjazmem i urzeczony podniosłym pięknem owej chwili, uczyniłem bez wahania to samo, zapominając o wrodzonym umiarkowaniu i nabytej uporczywą pracą postawie filozofa. Co gorsza, zapomniałem również o tym, że w dobie powszechnego zepsucia obyczajów jest równie nierozsądne brzydzić się pochlebstwem, jak i w nim przesadzić. Cezar bowiem wkrótce wyzdrowiał, a ja przekonałem się na własnej skórze, jak niebezpieczne bywają miłości ludu.

Pamiętam, że siedziałem właśnie przy pieczonej kosczatce i dyktowałem orację, w której rozważałem kwestię, czy nasze sprawy toczą się z woli przeznaczenia i przedwiecznej konieczności, czy też raczej według ślepego trafu – najwięksi

mędracy nie byli bowiem co do tego zgodni – dochodząc akurat do miejsca, gdzie chciałem przedstawić dowody na to, że bogowie wcale o nas nie dbają, wskutek czego wszelkie dole i niedole przypadają w udziale, równie niedorzecznie i bez żadnej winy czy zasługi tak dobrym, jak i złym, kiedy nagle rozległo się pukanie do moich drzwi. I zanim mój niewolnik Otho zebrał się, by je otworzyć, do środka wpadł garbaty Cestiusz, właściciel *insuli*, w której wynajmowałem mieszkanie, wskazał na mnie palcem, po czym zaśmiał się szyderczo i wyskoczył na korytarz z tą samą chyżością, z jaką się był pojawił.

Zaintrygowany podszedłem do drzwi. Stał w nich – pochylając z lekka głowę, gdyż inaczej by się tam nie zmieścił – centurion pretorianów miejskiej kohorty. Zapięty pod brodą hełm wskazywał, że jest na służbie. Przez wąski prześwit między jego zwalistą postacią a framugą dostrzegłem sylwetki jeszcze dwóch żołnierzy. Byłem tak zdumiony, że nie potrafiłem wydobyć z siebie głosu. W tej sytuacji centurion odezwał się pierwszy, wciąż zasapany z wysiłku:

– Jak można, kurwa, mieszkać na szóstym piętrze?!

– Czasami nie ma innego wyjścia – usprawiedliwiłem się skromnie. – O co chodzi?

– Mamerkus Camillus? – zapytał bardziej urzędowym tonem.

– Camillinus – sprostowałem. Ale on tylko machnął ręką i dał znak jednemu z podwładnych, który odhaczył coś rylcem na woskowanej tabliczce.

– No to idziemy – rzekł bez dalszych ceregieli.

Jako wolno urodzony obywatel, zażądałem wyjaśnień i otrzymałem je:

– Ślubowałeś, jak wielu innych, walczyć za zdrowie cezara. Musisz być miły bogom, bo raczyli cię wysłuchać. Cezar wyzdrowiał, a teraz życzy sobie, żeby dopełniono ślubów.

Próbowałem coś powiedzieć, ale oni nie mieli ochoty tego słuchać, tylko zwlekli mnie po schodach na ulicę, gdzie pod strażą żołnierzy czekała już grupka podobnych do mnie nieszczęśników. Wszyscy zatrzymani byli równie przerażeni jak ja, przy czym jeden z nich, należący – jak wniosłem ze stroju – do stanu rycerskiego, wykrzykiwał raz po raz, że jest niewinny. Że zaś o przeprowadzanych aresztowaniach już się rozeszła

*Wieść, która jest najszybszym ze wszystkich w świecie dopustów*³,

ludzie, których mijaliśmy po drodze, chowali się na nasz widok w bramach lub znikali pośpiesznie w najbliższych zaułkach, choć nie brakowało również i takich, którzy sądząc, że oto pędzi się do więzienia jakichś zwykłych przestępców, głośno nam złorzeczyli, wygrażali pięściami, a nawet ciskali w nas kamieniami i wszystkim, co mieli akurat pod ręką.

Jednak większość moich towarzyszy bardziej dręczyło pytanie, dokąd nas prowadzą, i czy – jeśli rzeczywiście przyjdzie nam wystąpić na arenie –

będziemy walczyć na zwykłych igrzyskach, gdzie przynajmniej najmłodszy i najsprawniejszy z nas mogli liczyć na łut szczęścia, czy też, nie daj Boże, na tak zwanych *munera sine missione*...

– A cóż to takiego, u diabła? – przerwałem mu zaciekawiony.

– Walka, której nie sposób wygrać. Bo kiedy pokonasz jednego przeciwnika, natychmiast stawiają przed tobą drugiego, a kiedy zwyciężysz i tego, już czeka na ciebie następny. Musisz walczyć dotąd, aż któryś cię zabije. A jeśli jakimś cudem przeżyjesz ich wszystkich, na koniec kładziesz głowę pod topór kata.

– I jak było w twoim przypadku? – zapytałem.

– Na szczęście chodziło o zwykłą hoplomachię, choć to okazało się dużo później. Zresztą, ja się nad tym nie zastanawiałem. Przez całą drogę do koszar gladiatorów, dokąd nas zaprowadzono, głównie przeklinałem krwiożerczość różnych bogów i półbogów domagających się ofiar z ludzi, a jeszcze bardziej moje własne nieopanowanie. A kiedy już na miejscu powiedziano nam, że z woli cesarza dopełnimy naszych ślubów za cztery tygodnie, wraz z kilkoma innymi więźniami, wśród których był również wspomniany ekwita, odmówiłem udziału w zajęciach z szermierki i od tej pory myślałem już tylko o nieuchronnej śmierci, żeby się z nią jakoś oswoić.

Na śmierć nie ma ziół w ogrodach – mówiłem sobie – a droga do Tartaru jest jedna dla wszystkich. I trafi do niego każdy, albowiem natura nie tworzy niczego na wieczność. Śmiertelni są nie tylko ludzie, żyjący niewiele dłużej niż jętki nad Tybrem, ale także domy i świątynie, miasta i państwa, góry i rzeki, morza i ziemia, a nawet niebo, słońce i gwiazdy. Wszystko, co powstało z łaski przychylnego Losu, zginie też kiedyś z jego niełaski, tyle że jedno trochę wcześniej, drugie nieco później. Zaś między „trochę wcześniej” a „nieco później” nie ma w istocie większej różnicy. Kto to zrozumie, nie ma się czego lękać. Bać się nie może zwłaszcza filozof, który w przeciwieństwie do prostego ludu nie jest na tyle głupi, ani tak żaloszny, żeby marzyła mu się nieśmiertelność. To on przede wszystkim powinien wiedzieć, że należy cieszyć się tą ilością czasu, jaka została nam przeznaczona, byle tylko spożytkować ją do końca, po czym trzeba ustąpić miejsca innym. Nawet aktor, aby odczuwać satysfakcję i podobać się publiczności, nie musi być na scenie przez całą sztukę. Jeśli zagra dobrze swoją rolę i tak dostanie oklaski. Na koniec pocieszałem się znanym sofizmatem Epikura, że tak naprawdę śmierć nas nie dotyczy, bo dopóki my jesteśmy, jej przecież nie ma, a kiedy ona się pojawia, nie ma z kolei nas.

Szkopuł w tym, że w mojej sytuacji „trochę wcześniej” i „nieco później” dzieliła prawdziwa przepaść, nie sądziłem także, abym zdołał spożytkować do końca tę niewielką ilość czasu, jaka została mi przeznaczona. W dodatku, jako aktor na scenie świata wcale nie byłem pewny końcowych oklasków, zaś

mówienie o tym, że śmierć nas nie dotyczy, brzmi zabawnie tylko dopóty, dopóki nie zajrzy nam ona w oczy.

Dlatego im częściej powtarzałem sobie te argumenty, im dłużej wałkowałem je w myślach w tę i we w tę, im bezlitośniej kpiłem sobie z życia pozbawionego głębszego sensu, im okrutniej szydziłem z mrzonek gminu o nieśmiertelności i z jego wulgarnej chęci przeżycia za wszelką cenę choćby jednego dnia więcej, im goręcej apelowałem do rozumu i powagi filozofa, tym bardziej bałem się i tym rozpaczliwiej pragnąłem żyć! Żyć w biedzie i poniewierce, żyć w chłodzie, głodzie i niewoli, żyć bez zdrowia, szczęścia i nadziei, ale żyć, po prostu żyć!

Wkrótce doszedłem do tego, że patrzyłem z zazdrością na szczury w naszych koszarach, z których każdy przeżył już niejednego pana, i zamiast filozofii miałem w głowie jedynie wiersze, jakie Horacy włożył w usta Mecenasas:

*Uczyńże mnie kaleką, ni rąk, ni nóg nie mającym;
Przypraw mi garb wypukły, wybij też śliskie me zęby.
Byleby życie zostało! Ze wszystkim tym dobrze mi będzie.
Żyć mi dozwól, choćbym w zapłataę na ostrym palu
Cierpieć miał męki!*⁴

Aż wreszcie, po kilku dniach załamania, kiedy z trwogą wsłuchiwałem się w dochodzący z dziedzińca szczęk broni ćwiczących gladiatorów, z których każdy mógł się okazać moim przeciwnikiem, przypomniałem sobie o tym, o czym nie powinienem był nigdy zapominać: że jestem synem, wnukiem i prawnukiem żołnierzy. I stawilem się zaraz przed naszym magistrzem z prośbą o wydanie broni.

Zrobiłem to jako jedyny spośród tych, którzy odmówili wcześniej udziału w zajęciach. Podkreślający stale swoją niewinność ekwita zadowolil się tylko napisaniem prośby o łaskę do cezara i najspokojniej w świecie czekał na odpowiedź. Inni popadli w zupełną prostrację. Dniem i nocą nie schodzili z prycz, wpatrywali się w ścianę albo w sufit, nie odzywali się do nikogo, nie odpowiadali na żadne pytania i najczęściej nie tykali również podawanego nam jedzenia. Jeden z nich, młody chłopak z Zatybrza, wyrwał w napadzie rozpaczny miecz pilnującemu nas gladiatorowi i przebił się nim na oczach wszystkich. Zrobił to tak nieumiejętnie, że trzeba go było dobić, lecz nie wywarło to na nikim żadnego wrażenia.

Żadnego wrażenia nie zrobiła także na naszym magistrze Krescensie moja spóźniona prośba o wydanie broni. Wzruszył jedynie ramionami, poklepał mnie po plecach i ze słowami „Chętnego fata prowadzą, opornego włoką przemocą”, pozwolił mi przyłączyć się do swojej grupy.

Ów Krescens w swoim niedługim życiu – był bowiem znacznie młodszy ode mnie – widział już chyba wszystko. Mówiono, że urodził się wolny, lecz

pochodząc z ubogiej rodziny, sam sprzedał się laniście. Odniósł kilkadziesiąt zwycięstw i trzykrotnie obdarowywano go wolnością, jednak za każdym razem zaciągał się ponownie, za coraz wyższą stawkę. Jako ulubieniec publiczności, zbił wielką fortunę i jak każdy wzięty zapaśnik cieszył się łaskami kobiet. Podobno miewał kochanki nawet w najwyższych sferach Rzymu. Lubił się chełpić przy winie, że jeśli nawet trafi kiedyś na kogoś lepszego od siebie, to i tak zostawi po sobie ze dwie setki synów, z których kilku na pewno zasiądzie w przyszłości w senacie.

Ponieważ Krescens zorientował się od razu, że jako Samnita z ciężką tarczą i mieczem mógłbym jedynie zepsuć widowisko, a co gorsza ściągnąć tym samym hańbę na naszą szkołę, przydzielił mnie do Traków, którzy – nieomal bezbronni – dźwigali jedynie małą okrągłą tarczę i krótki, zakrzywiony mieczyk, zwany przez nas *sica*.

Przez pozostałe trzy tygodnie ćwiczyłem pod jego okiem od świtu do zmroku, starając się ze wszystkich sił nadrobić stracony czas. Mój brak zaprawy fizycznej i całkowita nieporadność w posługiwaniu się bronią wzbudzały w naszej *familia gladiatoria* powszechny śmiech i kpiny, a w wielu moich towarzyszach niedoli skrytą bądź jawnie okazywaną nadzieję. Kilku z nich powiedziało mi nawet w oczy, że modli się codziennie, żeby to właśnie mnie wylosować. Ja sam mogłem co najwyżej modlić się o to, aby jakieś nieprzewidziane wydarzenie podarowało mi trochę więcej czasu.

Jednak, zgodnie z wierszem:

*Porzuć nadzieję, że zmożesz wyroki bogów błaganiem,*⁵ wszystko potoczyło się dokładnie tak, jak miało się potoczyć...

W tym miejscu Mamerkus, wyczerpany długą opowieścią i zmorzony wielką ilością wypitego wina, niespodziewanie zasnął, ja zaś, choć byłem bardzo ciekaw dalszego ciągu jego opowieści, nie miałem śmiałości go zbudzić.

II

Ozdrowieńczy sen El Latino trwał całe pięć dni, podczas których nie tylko wystarałem się u braciszków o nowy dzban wina, ale także, nie mogąc znaleźć sobie miejsca w celi, po raz pierwszy obszedłem o kiju pół klasztoru w poszukiwaniu Subh. Znalazłem ją w kuchni, gdzie w towarzystwie innych branek i pod okiem dwóch zakonników siekała mięso na wielkanocne pasztety. Myślałem, że się ucieszy na mój widok, ale ona nawet nie odpowiedziała na moje pozdrowienie, tylko zaczęła tak wściekle walić tasakiem, że od razu wszystkie spojrzenia skupiły się na mnie. Tu i ówdzie znad parującego w miednicach mięsa podniosły się nawet ściszone chichoty. Mimo to nie ruszyłem się z miejsca, co zmusiło ją w końcu do odłożenia żelastwa i wyjścia ze mną na korytarz.

– Po co tu przyszedłeś? – zapytała z niechęcią, wycierając ręce w poplamiony fartuch.

– Jak to, po co? – zdziwiłem się. – Zobaczyć, co się z tobą dzieje, czemu mnie nie odwiedzasz?

– Nie odwiedzam cię i więcej nie odwiedzę.

– Dlaczego? Co się stało?

– Nic. Tylko to, że posunęliśmy się za daleko.

– Za daleko? Zrobiliśmy dopiero pierwszy krok – zażartowałem.

– Pierwszy i ostatni – ucięła i wróciła do kuchni.

„Nie, to nie” pomyślałem, a następnie wdałem się w bolesne rozważania na temat przedziwnej natury kobiet. Wyrwał mnie z nich dopiero Mamerkus, który przebudziwszy się nagle, solidnie się najadł i tego popił, po czym ulegając mojej prośbie, zgodził się ciągnąć dalej swoją opowieść.

– Jak ci już mówiłem chłopcze, wszystko potoczyło się dokładnie tak, jak miało się potoczyć. W wieczór poprzedzający *munus*, zgodnie z prastarym obyczajem zebraliśmy się wszyscy, instruktorzy i uczniowie, na tak zwanej *cena libera*, ucztę, która dla większości z nas miała być ostatnim w życiu posiłkiem.

Nigdy wcześniej nie widziałem takiej obfitości najlepszych mięs, ryb, owoców morza i serów, tak wielu gatunków wina podawanego przez usługujących nam niewolników wielkimi stągwiemi, tylu słodczy i owoców pochodzących ze wszystkich wybrzeży *Mare Nostrum*. Nie brakowało nawet alpejskiego śniegu do schładzania trunków, ani wody z cytryną do obmywania rąk. Jedni, pogodzeni już z losem, objadali się bez pamięci, nie dbając zupełnie o jutro. Inni, do których sam należałem, starali się zachować umiar, by zwiększyć w ten sposób swoje szanse. Jeszcze inni, w przeczuciu nieuchronnego końca – a był wśród nich także nasz ekwita, który nie doczekał się odpowiedzi cezara na swoją prośbę o łaskę –

lamentowali, spisywali testamenty, uwalniali niewolników i polecali przechodniom swoje rodziny.

Musisz bowiem wiedzieć, że na mocy zwyczaju wolno było przychodzić na tę wieczerzę publiczności, która miała nas oglądać w amfiteatrze. Toteż wokół stołów krążyło sporo ciekawych, którzy przyszli nas obejrzyć, zobaczyć w jakiej jesteśmy formie i zorientować się, na kogo warto postawić pieniądze. Niektórzy czynili zakłady już na miejscu, szacując nas niczym niewolników na targu, z tą tylko różnicą, że nikt nie zaglądał nam w zęby ani nie śmiał nas obmacywać.

Zwyczaj, o którym mówię, miał też swoją błogosławioną stronę. Otóż, po raz pierwszy od aresztowania mogliśmy zobaczyć naszych bliskich. Do mnie przyszła matka. Kiedy mnie zobaczyła, rzuciła mi się na szyję i długo nie mogłem jej uspokoić. Takie i tym podobne sceny z udziałem matek, ojców, rodzeństwa, żon i dzieci – niekiedy wiszących jeszcze u matczynej piersi bądź ledwie odrosłych od ziemi – rozgrywały się na całym dziedzińcu koszar, gdzie spożywaliśmy naszą ostatnią wieczerzę, i nawet ucztujący dotąd wesoło *doctores*, czyli zabijacy mający za sobą po kilka lub kilkanaście stoczonych walk i o których można by było sądzić, że nie żywią już żadnych ludzkich uczuć, odwracali na ten widok głowy i ścisiali głosy.

Posadziłem matkę za stołem i wpatrywaliśmy się w siebie w milczeniu. Potem poprosiła, żebym jej wybaczył, że tak źle mnie wychowała. W odpowiedzi przytuliłem ją do serca i wtedy dała mi coś, co przyniosła ze sobą. Był to złoty pierścień z gemmą przedstawiającą Wenus, podarowany jej w dniu ślubu przez mojego ojca. Wsunęła mi go na palec z życzeniem, aby mi przyniósł szczęście, a potem, powiedziawszy, że będzie się za mnie modlić przez całą noc, zerwała się nagle z miejsca i wybiegła z koszar.

Poleciłem ją opiece bogów po mojej śmierci, wypilem dwa puchary meońskiego wina i podszedłem do stołu, gdzie ucztował Krescens. Jako główny bohater wieczoru, był w świetnym humorze. Odwiedzająca nas publika witała go serdecznie, dopytywała się o jego zdrowie i aktualną dyspozycję, obdarowywała go kwiatami i drobnymi upominkami, odkładanymi do wielkiego kosza przez jego nubijskiego niewolnika, jak również płaciła mu większe lub mniejsze sumy za fachową ocenę naszych umiejętności i za pomoc w trafnym wytypowaniu zwycięzców.

Nasz magister rzucił mi niechętnie spojrzenie spod wieńca z bluszczu, który zdążył już zsunąć się mu na czoło, a potem warknął:

– O co chodzi?

Wtedy położyłem przed nim mój pierścień i zapytałem:

– Mistrzu, co zrobić, żeby zwyciężyć?

Wziął mój pierścień, zważył go w dłoni, wsunął na mały palec, po czym rzucił go swojemu Nubijczykowi i odparł lakonicznie:

– Być lepszym od innych i nie mieć litości.

Jego współbiesiadnicy ryknęli śmiechem, a któryś z nich dodał:

– Choć tobie wystarczy, jak się pomodlisz.

Na znak, że posłuchanie skończone, Krescens odwrócił się do mnie plecami i musiałem odejść jak niepyszny.

Przed świtem złożyliśmy ofiary bogom, po czym rozdano nam zbroje oraz purpurowe, haftowane złotem chlamidy i załadowano nas na wozy, którymi pojechaliśmy do amfiteatru Taurusa. Już przed jego bramą, gdzie zsiadliśmy z wozów, żeby uformować szyk wojskowy, czekała grupa widzów, pozdrawiająca nas okrzykami i wiwatująca na cześć cezara. A gdy z pierwszymi promieniami słońca weszliśmy na arenę, krokiem swobodnym i z wolnymi rękoma, bo naszą broń nieśli za nami mali chłopcy, podniósł się krzyk tak wielki, że zagłuszył całkowicie jazgot trąbek, rogów, fletów i piszczałek. Ludzie wstawali z miejsc, bili brawo i skandowali imię imperatora. Przedefilowaliśmy wokół areny, pozdrawiając publiczność wypełniającą, mimo wczesnej pory, niemal cały amfiteatr. Podczas przemarszu omiatałem wzrokiem piętrzące się w górę rzędy widzów z nadzieją, że dojrzę gdzieś moją matkę, ale w tak wielkim tłumie nie było to możliwe. Przed lożą cesarską, jak kazał zwyczaj, wyciągnęliśmy do góry prawicę, lecz byłem tak zdenerwowany, że nawet nie zauważyłem, czy Kaligula był w niej obecny.

Potem odbyła się próba broni, podczas której odrzucono tę z przytępionymi ostrzami lub grotami i rozdzielono wśród nas taką, na której rzetelności można było polegać. Później nastąpiły długie godziny oczekiwania, bo do południa przewidziane były walki dzikich zwierząt, a po nich, w trakcie południowej przerwy, kiedy z nieba lał się największy żar, występy tak zwanych *gladiatores meridiani*⁶, rekrutujących się z jeńców wojennych, bandytów i najgorszych szumowin, mających tylko jedno zadanie: pozabijać się nawzajem.

Kiedy trupa ostatniego z nich ściągnięto z areny, przysłała kolej na nas i drogą losowania ustalono pary walczących. Po ogłoszeniu wyników pierwszego ciągnięcia losów padłem na kolana, aby podziękować bogom za ich łaskawość, bo choć miałem wystąpić już w trzeciej parze, czyli walczyć w straszliwym wciąż upale, to na sieciarza, z którym miałem się potykać, los wyznaczył mi właśnie owego ekwite, o którym nie bez kozery wspominałem ci kilka razy. Wiedziałem, że w koszarach nie ćwiczył ani przez chwilę i na tym budowałem całą moją nadzieję.

Niesłusznie. Kiedy bowiem założyłem zbroję, powiedziano nam, że Gajusz, zmienny z natury, widząc jak bardzo podobały się publiczności poranne

*venationes*⁷, postanowił sprawić jej przyjemność i kazał naszej dwójce zmierzyć się z lwem.

Nogi ugięły się pode mną, kiedy pomyślałem, jak niewiele mogę zrobić bestii moim krótkim mieczykiem, natomiast ekwita oświadczył raz jeszcze, że jest niewinny i po prostu odmówił wyjścia na arenę! Wtedy smagnięciami bicz wypchnięto na nią nas obu.

Po wyjściu z mrocznych podziemi na ostre światło dnia przez chwilę nic nie widziałem, za to czułem wyraźnie unoszący się w powietrzu odór krwi, potu i fekaliiów. Na szczęście, lwa jeszcze nie było. Czekaając na niego, dodawałem sobie otuchy słowami Poety:

*Teraz odwagi ci trzeba i w piersi ducha męznego!*⁸

Natomiast ekwita wbił z rozmachem swój trójząb w piasek, po czym wspiął się na żelazną kratę oddzielającą nas od widowni i zaczął wygrażać pięścią w stronę łoży cesarskiej.

– Jestem niewinny! Jeśli chcesz walki, to sam bij się ze mną, błażnie! – darł się wniebogłosy.

Jego dalsze słowa utonęły w ryku tysięcy gardeł. W kierunku ekwity posypał się grad kamieni i poduszek, z jakimi widzowie przychodzili do teatru, aby jakoś wytrzymać godziny siedzenia na kamiennych ławach. Ale on dalej wymachiwał pięścią i pluł w stronę widowni. I wtedy na arenę weszło dwóch pretorianów. Przy brawach publiczności ściągnęli ekwitę z kraty i przewrócili go na ziemię. Jeden ukląkł mu na piersi, drugi przygwoździł mu ręką podbródek i sięgnął po sztylet. W chwilę później rozległ się przeraźliwy krzyk krojonego żywca człowieka, żołnierz wytarł sztylet o piasek, a nad moją głową przefrunął ludzki język. Kiedy okaleczony ekwita wił się na piasku, wrzawa jeszcze się wzmogła, bo kra ta *vivarium*⁹ uniosła się i na arenę wyszedł lwa, ogromne bydlę z odmiany o czarnej grzywie, żyjącej wyłącznie w górach Atlasu. Na jego widok cofnąłem się parę kroków, by znaleźć się jak najbliżej ogrodzenia. Oszołomiony hałasem lwa znieruchomiał i tylko rozdymał nerwowo nozdrza. Hałas stopniowo cichł, a lwa wciąż stał bez ruchu, zamiatając ogonem piasek. Nagle dwoma susami znalazł się przy leżącym ekwicie i zadał mu straszliwe uderzenie łapą, które odrzuciło nieszczęśnika o parę kroków dalej. Drugim ciosem oderwał mu głowę, a potem położył się na jego ciele i

*Miażdżył w swych szczękach potężnych kawały mięsa,
co jeszcze*

*Ciepłe drgało mu w zuchwach i ciemną bluzgało posoką!*¹⁰

Skamieniały z przerażenia nie byłem w stanie wykonać żadnego ruchu, mimo tego, że uwijający się za kratą biczownicy usiłowali zachęcić zwierzę do ataku na mnie. Na szczęście na próżno. Lew kontentował się swoją zdobyczą i nie zwracał

na mnie najmniejszej uwagi. Nie pomagało nawet klucie go oszczepami. Widzowie znowu zaczęli gwizdać, najpierw pojedynczo, potem coraz powszechniej, lecz bestia ani na moment nie przerwała uczt.

Wreszcie, gdy w amfiteatrze słyhać było już tylko jeden potężny gwizd, któryś z biczowników uniósł swoją włócznię i wbił ją lwu między żebra. Zwierzę poderwało się z rykiem i rzuciło się na kratę oddzielającą je od prześladowców. Wtedy inny z nich wbił mu w pierś drugą włócznię z taką siłą, że aż złamał drzewce. I

*zwałił się w drgawkach zwierz i legł bez życia na ziemi!*¹¹

Myślałem, że to już koniec walki, ale cesarz nie pozwolił mi się wywinąć tak tanim kosztem! Bramka w żelaznym ogrodzeniu otworzyła się ponownie i wepchnięto przez nią do środka jakiegoś opierającego się ze wszystkich sił człowieka. Jeden z żołnierzy rzucił w ślad za nim na piasek własną tarczę i miecz.

Mój nowy przeciwnik, w odświętnym stroju i zlany pachnidłami, na próżno szarpał kratą, chcąc się wydostać na zewnątrz. Domyśliłem się, że był to jakiś widz, ktoś, kto miał nieszczęście zakłócić spokój cezara zbyt głośnym okrzykiem lub wulgarnym słowem, a może zrazić go krojem bądź udrapowaniem togi, albo po prostu wyrazem twarzy, i za karę został posłany na arenę tak jak stał, czy też siedział.

Był dużo starszy ode mnie i wątłej budowy ciała. Nagrodzony pojedynczymi oklaskami podjął z trudem ciężką tarczę i ruszył ostrożnie w moją stronę z wysoko uniesionym mieczem. Na trzy kroki przede mną raptownie przyśpieszył i z okrzykiem „Giń!” zamachnął się dokładnie tak, jak się spodziewałem. Odparłem jego cios z łatwością, po czym uderzyłem go tarczą w ramię. A kiedy upuścił broń, wbiłem w niego mój puginał aż po rękojeść. Padł na piasek i w regulaminowym geście uniósł lewą rękę, prosząc o łaskę.

– Bij! Zarznij! – domagała się publiczność.

Spojrzałem w stronę loży cesarskiej, ale kciuk cezara był nieubłagany. Przyłożyłem więc *sicę* do gardła przeciwnika i napierając mocno na jej ostrze, pociągnąłem nią zamasyście od siebie.

Krew obryzgała mnie od stóp do głów, a mój rywal jeszcze przez chwilę kopał ziemię. W chwilę później podeszli do nas dwaj niewolnicy przebrani za Charonów, którzy, upewniwszy się uderzeniem młotka w czoło zabitego, że naprawdę umarł, dali znak grabarzom, aby go wynieśli. Kiedy go zabierano, inni niewolnicy szybko usuwali zabrudzony piasek, a ja stałem na drżących nogach, czekając, co będzie ze mną.

– I co było? – zapytałem przełykając ślinę.

– Nic, kazano mi walczyć dalej. Zrobiono drugie losowanie, lecz do dzisiaj myślę, że nie było ono uczciwe, bo trafiłem na samego Krescensa, jakby komuś zależało, żeby mnie szybko wykończyć. Możesz sobie wyobrazić, co czułem, kiedy nas z *magister* wchodził na arenę, a publiczność witała go na stojąco ogłuszającą owacją! Był uzbrojony jak Samnita, w dużą tarczę i zwykły miecz. Podszedł do mnie i burknął: „Przykro mi”, na co tylko wzruszyłem ramionami. A potem natarł na mnie z furją, tyle że ja nie miałem zamiaru czekać, aż zada mi cios, który byłby zapewne pierwszym i ostatnim w naszej walce, lecz nie przejmując się wcale głośnymi gwizdami, rzuciłem się do ucieczki.

Już po chwili dopadł mnie przy wylocie *vivarium*. Rozzłoszczony gonitwą, uniósł miecz, żeby ciąć mnie raz a dobrze, kiedy, w jakimś bezwiednym odruchu, cisnąłem mu w twarz moją tarczę i korzystając z jego krótkotrwałej konfuzji, wywinąłem się w ostatnim momencie spod spadającego ostrza! Aby mu się znowu nie wymknął, zrobił ostry zwrot w miejscu i wziął szeroki zamach, chcąc trafić mnie w plecy. I wówczas zdarzył się cud – zachwiał się!... Może poślizgnął się na czyjejś krwi, nie skrzepłej jeszcze pod cienką warstwą piasku, może na lwim lub tygrysim gównie, dość, że nagle zatrzepotał rękami, potem stracił równowagę i w chwilę później zwałił się na ziemię tak, jak

... się wali niekiedy wydarta z korzeniem spróchniała

Sosna na Idzie wysokiej lub pośród gór Erymantu!¹²

W mgnieniu oka, zanim zdołał się podnieść, przygwoździłem go do ziemi całym ciężarem ciała. Choć wszystko odbyło się błyskawicznie, ci z widzów, którzy siedzieli bliżej i dobrze widzieli całe zdarzenie, poczęli szemrać i gwizdać.

Krescens uśmiechnął się kwaśno i rzekł do mnie pojednawczo:

– Złaź ze mnie. To było tylko potknięcie. No złaź, cesar wszystko widział i publiczność też. Nie słyszysz, jak gwizdże?

– Niech sobie gwizdże, mam to w dupie – wystękałem zziębnięty. – Ważniejsze są twoje nauki.

I nie czekając ani chwili dłużej, zatopiłem moją *sicę* w jego szyi z taką siłą, że dosłownie przybiłem go do areny.

Bałem się odwrócić i spojrzeć w stronę łoży cesarskiej, wiedziałem bowiem, że jeśli cesar zauważył, co się naprawdę stało, to za to, co zrobiłem, mógł mnie kazać natychmiast uśmiercić albo rzucić nazajutrz z *ad bestias*.¹³ Wsłuchiwałem się z najwyższym napięciem w piekielną wrzawę na widowni, usiłując dociec, czy przeważały w niej gwizdy, czy raczej oklaski. Odwróciłem się dopiero wtedy, kiedy okazało się, że było ich mniej więcej tyle samo. Część publiczności wygrażała mi pięściami, część biła brawo, zaś środkiem areny zbliżał się do mnie mistrz ceremonii w towarzystwie oficera gwardii cesarskiej.

Pierwszy nie wyrzekł ani słowa, za to drugi, wyraźnie wzburzony, wycedził z pogardą:

– Imperator nie wie, jak ci się to udało, więc będziesz walczyć dalej. Ale ja – nie mógł sobie odmówić osobistego komentarza – widziałem wszystko. Obyś zginął w głębi Tartaru, kurewski oszuście!

Ledwie się oddalili, na arenę wkroczył olbrzymi *murmillo*, zbudowany jak sam Herkules. Na głowie, jak wszyscy murmillonowie, miał hełm z podobizną ryby i był uzbrojony, na sposób galicki, w długi miecz i dużą czworokątną tarczę, zasłaniającą go niemal w całości. Nie skłonił się przed publicznością, ani nie pozdrowił łoży cesarskiej, tylko

*Ciało potężne obnażył i kości, i tęgie ramiona,
Stając, olbrzym mocarny, na środku piaszczystej areny,*¹⁴

gdzie też za chwilę przyklęknął. Trwał na klęczkach przez moment, modląc się zapewne o zwycięstwo, po czym, ponaglany przez widownię, pocałował rybę na swoim hełmie i zaczął powoli zmierzać w moim kierunku. Pewny, że tym razem nie wywinę się śmierci, czekałem na niego bez ruchu.

Już po pierwszej wymianie ciosów przyszło mi jednak na myśl, że być może nie jestem całkiem bez szans. Pomimo swojej imponującej postawy, mój *murmillo* nie umiał bowiem czy też raczej nie chciał – czego wówczas nie byłem w stanie pojąć – walczyć ze mną na serio.

Za każdym razem trafiał wyłącznie w moją tarczę i na dodatek, tuż przed nią, wyhamowywał całą siłę uderzenia, choć i tak po każdym jego ciosie chwiałem się i mdlała mi ręka. Walczyliśmy w ten sposób przez dłuższy czas i ani on nie robił mi większej krzywdy, ani ja nie mogłem go dosięgnąć za jego ogromnym puklerzem. Publiczność z wolna brała moją stronę, uznawszy widocznie, że dzielnie opieram się takiemu kolosowi. Ja jednak coraz bardziej opadałem z sił. Mój przeciwnik zauważył to i nagle, między jednym atakiem a drugim, odezwał się do mnie łamaną łaciną:

– Zabić mnie, brat.

Myślałem, że ze mnie szydzi, więc w odpowiedzi wycharczałem z wściekłością:

– Sam mnie zabij, barbarzyńco! I skończmy z tym wreszcie!

– Nie, ty zabić. Teraz – i jakby zapomniał się w ferworze walki, odsłonił na moment swoją szeroką pierś.

Nie skorzystałem z tego zaproszenia, wietrząc w nim podstęp.

– No, na co czekać, brat? Nie bać się! – zachęcił mnie ponownie i powtórzył manewr z tarczą.

– Ja ci dam brata, półgłówku! – krzyknąłem z furią i w chwilę później, rezygnując z wszelkiej ostrożności, wbiłem mu moją *sicę* prosto w serce.

Tym razem klaskał nawet Kaligula. A kiedy dwaj posepni przewoźnicy dusz ścigali mojego przeciwnika hakiem z areny, ja, obdarowany wieńcem, liściem palmy oraz srebrną tacą, zszedłem z niej na sztywnych, ale własnych nogach.

Mimo to nie odzyskałem wolności. W pomieszczeniu, gdzie zwycięscy gladiatorzy odpoczywali po walce, oznajmiono mi, iż jest życzeniem cezara, abym dalej bił się za jego zdrowie – tym razem przez dwadzieścia lat – jako żołnierz stacjonującego w Syrii i właśnie uzupełnianego XII legionu *Fulminata*.

– A to łajdak! – oburzyłem się.

– Bez przesady – El Latino machnął ręką. – Bywają więksi. Ale o tym może innym razem, bo teraz chciałbym odpocząć, a potem wyjść na powietrze. Czuję, że za jakiś tydzień będę już mógł wrócić pod Hueskę, więc muszę trochę poćwiczyć.

Po tych słowach odwrócił się do mnie plecami i tak jak tylko on potrafił, zasnął natychmiast kamiennym snem.

Przez następne dni przebywał głównie na wirydarzu, gdzie godzinami fechtował, ciskał włócznią w suchy pień drzewa i polerował do połysku swoją kolczugę. Kiedy o zmierzchu wracał wreszcie do celi, był tak zmordowany, że wciąż odkładał na później dalszy ciąg swej opowieści.

Na szczęście stratę wynagrodziła mi Subh, która odwiedziła mnie pod jego nieobecność z wielkim dzbanem wina.

– Wielkie dzięki! – zawołałem mile zaskoczony tym widokiem. – Mam nadzieję, że to nie jedyny powód twojej wizyty?

Wtedy rozejrzała się dokoła, a potem, po krótkim wahaniu, zamknęła drzwi na haczyk i położyła się obok mnie na pryczy. Następnie objęła mnie ramieniem i znieruchomiała.

– Co ci jest? – zapytałem.

– Wybacz mi tamte słowa w kuchni – powiedziała cicho i miękko jak dawniej.

– Już ich nie pamiętam – zapewniłem ją wzruszony.

– Więc to udowodnij – poprosiła szeptem, po czym wstała z pryczy i zrzuciła z siebie wszystko oprócz zasłony na twarzy.

Wydała mi się jeszcze piękniejsza niż przedtem. Szczególną radość sprawiły mi jej drobne piersi o ciemnych sutkach. Poświęciłem im wiele czasu i starania, a potem zacząłem całować wzdłuż i wszerz „bliznę” po ranie, jaką zadał jej niecny Rodrigo. Wówczas odwróciła się i rozstawiła zachęcająco uda. Ponieważ musiałem zyskać nieco na czasie, zacząłem ją pieścić ręką. W pewnej chwili, gdy mój palec wniknął w nią głęboko, szepnęła zawstydzona:

– Proszę, bądź delikatny. Jestem jeszcze dziewicą.

Po tych słowach osłupiałem.

– Jak to?! Przecież masz męża.

– Już ci mówiłam, że mój mąż nie miał dla mnie czasu.

Wtedy cofnąłem gwałtownie rękę i oświadczyłem:

– W takim razie to ja muszę cię przeprosić, ale reguły mojego stanu zabraniają mi krzywdzenia wdów, sierot i dziewczyc.

– Krzywdzenia? – zdumiała się. – O czym ty mówisz?

– Twoje dziewictwo należy do twojego męża. Nic na to nie poradzę.

– Kpisz sobie ze mnie czy jak?! – zapytała gniewnie, po czym, nie czekając na moją odpowiedź, zerwała się z pryczy, uderzyła mnie w twarz i wybiegła półnaga z celi.

Po jej ucieczce długo nie mogłem się uspokoić, w końcu zabrałem się za wino, które przyniosła. Miałem już dobrze w czubie, kiedy wrócił Mamerkus.

Przyjrzał mi się uważnie i zapytał, czy coś się stało.

– Nie – odparłem. – Tak sobie piję, z nudów. I z żalu, że nic mi się w życiu nie udaje. Nie to co tobie, panie.

– Nawet nie wiesz, jak bardzo się się mylisz – stwierdził ze smutkiem i poprosił: – Nalej i mnie, dobrze?

Zaś po wychyleniu dwóch czy trzech kubków, zaproponował:

– Czy chcesz posłuchać dalszego ciągu mojej historii?

– Nawet bardzo.

– A więc dobrze. Przed wyjazdem do Syrii nie pożegnałem się z matką, bo jak się okazało, całkowicie pewna mojej śmierci, przecięła sobie żyły zaraz po powrocie z koszar. Zdążyłem tylko wyprawić jej pogrzeb, a potem, kiedy płynąłem wojskową galerą z Brundisium do Laodycei, wiele rozmyślałem o zawiedzionych nadziejach, jakie we mnie pokładała, i w ogóle o wydarzeniach, które w ciągu kilku tygodni zniszczyły nam obojgu życie. Rozpatrywałem też po wielokroć mój występ na arenie, dziękując bogom za cudowne ocalenie. Szczególnie często wracałem myślą do ostatniej walki, ponieważ nie potrafiłem pojąć zachowania *murmillo*, któremu – co do tego, nie miałem żadnych wątpliwości – najbardziej zawdzięczałem życie. Uwaga jednego z płynących ze mną rekrutów, że mój przeciwnik mógł być wyznawcą nowego przesądu jakiegoś Chrestosa, ukrzyżowanego parę lat wcześniej w Judei za podżeganie do buntu jej mieszkańców, wzmogła jedynie moją ciekawość, zwłaszcza że ów rekrut nie umiał na ten temat powiedzieć nic więcej.

Służba wojskowa w Syrii, do której można by odnieść te słowa Poety:

Tam dopiero ośmielił się nabrać nadziei na przyszłość,

*Ufać, że losy okrutne na lepsze się teraz odmienią,*¹⁵

nie była zbyt ciężka. W naszym obozie w Raphanaea niedaleko Emesy, gdzie stacjonowały także VI legion *Ferrata* i X *Fretensis*, nikt już nie pamiętał o Partach. Żołnierze, odwykli od wszelkich trudów, dbali bardziej o wygląd niż

o dyscyplinę, a niektórzy w ogóle nie mieli broni i pancerzy, nigdy w życiu nie brali udziału w bitwie i przez całe lata nie stali na warcie.

Miałem nadzieję, że służąc na Wschodzie znajdą przynajmniej tamtejsze ludy, lecz pytani przeze mnie o wyznawców Chrestosa, z reguły tylko wzruszali ramionami. Dopiero kiedy trafiłem na weteranów z *Fretensis*, którzy służyli w Judei za Marullusa, a dwóch czy trzech jeszcze za poprzedniego prokuratora, Poncjusza Piłata, zdołałem się wreszcie czegoś dowiedzieć. Ci jednak opowiadali o chrześcijanach same dziwaczne i szpetne rzeczy.

– Niby jakie? – obruszyłem się na te słowa.

– A choćby takie, że wyznawcy Chrystusa za nic mają wszelką religię i nigdy nie bywają w żadnej świątyni. Że śmieją się z ofiar i libacji. Że nie czczą bogów nieśmiertelnych, bo sami uważają się za dzieci Boga i liczą na nieśmiertelność. Że za życia w ogóle nie dbają o życie, troszcząc się o nie dopiero po śmierci. Że choć gardzą bólem, póki go odczuwają, bardzo boją się cierpieć, gdy już będą martwi. Że, jak złodzieje, mają wszystko za wspólną własność, co nie przeszkadza im bynajmniej głosić pogardy dla bogactw. Że podczas swoich sekretnych misterii, zwanych „uczta miłości”, żywią się ludzkim ciałem i piją ludzką krew, po czym oddają się dzikiej rozpuście, która musi ich niechybnie prowadzić do kazirodztwa, jako że wszyscy oni to bracia i siostry.

– Toż to kompletne bzdury! – zawołałem oburzony.

– Owszem, lecz moi rozmówcy w nie wierzyli, a ja wierzyłem im. Zwłaszcza, że mówili jeszcze o tajemniczości nowej wiary, kryjącej się po katakumbach, o tym, że Bóg chrześcijan, ukrzyżowany przez Rzymian jak zwykły złoczyńca, wolał objawić się na jakimś zadupiu zamiast w stolicy świata, gdzie nasza skłonność do zabobonów zapewniłaby mu od razu rozgłos i wzięcie, i o tym wreszcie, że z jego wyznawców nie ma żadnego pożytku, bo nie służą ani państwu, ani obywatelom, nie krzewią też żadnej solidnej doktryny, nie dbają o piękno wymowy i nie kształcą młodzieży pod względem cielesnym ani umysłowym.

W każdym razie po tym, co usłyszałem od weteranów z „Dziesiątki”, a potem od innych, przestałem interesować się Bogiem chrześcijan i nawet byłem zadowolony, że jednego z tych durniów uśmierciłem własnymi rękoma.

Tymczasem w Rzymie zamordowano Gajusza i tron objął Klaudiusz, lecz w moim życiu nic to nie zmieniło. Raz wcielony do armii i zapomniany przez wszystkich, odbywałem dalej nudną, choć niezbyt uciążliwą służbę. Dni, miesiące i lata upływały mi bardziej na pijatykach, grze w kości i rozpuście niż na musztrze, robieniu bronią czy na pochodach. Z nudów powróciłem nawet do filozofii. I ani się spostrzegłem, jak w ten sposób minęło jedenaście lub dwanaście lat.

A kiedy wydawało mi się, że nic ciekawego mnie już w życiu nie spotka, ni stąd ni zowąd zostałem przeszyty strzałą Amora. Przyczyniło się do tego objęcie dowództwa wojskowego w Syrii przez Gajusza Kasjusza, który, na ile to w ogóle było możliwe, starał się przywrócić dawną dyscyplinę, zaś pod względem zapobiegliwości i przezorności tak postępował, jak gdyby nieprzyjaciel już stał *ante portas*.¹⁶ Kasjusz promował ludzi wykształconych, co rychło sprawiło, że awansowałem na stopień podoficerski i zostałem przydzielony do kwatermistrzostwa jazdy posiłkowej. To z kolei wiązało się z częstymi wyjazdami do Antaradus i Laodycei, gdzie poznałem moją ukochaną.

Makryna była Syryjką, córką hurtownika, u którego zaopatrywaliśmy się w oliwę, zboże, wino i owoce. Jej ojciec, nasz najuczciwszy dostawca, szanował państwowy grosz i nie oszukiwał jak inni na mierze, wadze bądź na jakości towaru sprzedawanego armii. Zawsze rzetelny i sumienny, zbywał go zresztą bardzo tanio, co niektórych mocno dziwiło. Makryna, w zastępstwie nieżyjącej matki, pomagała mu w gospodarstwie, a właściwie prowadziła je za niego, ponieważ ze względu na rozległe interesy w całej Syrii, często przebywał poza domem. Doszliśmy z kolegami do wniosku, że właśnie to musiało być przyczyną, że choć zbliżała się już do trzydziestki i odznaczała się urodą, a zwłaszcza wdziękiem istnej Charyty – miała śniadą cerę, kruczoczarne włosy spływające w ciężkich splotach na ramiona, wielkie ciemne oczy, ocienione długimi rzęsami i zgrabną figurę – wciąż jeszcze nie wyszła za mąż.

Podkochiwaliśmy się w niej wszyscy, i to nie tylko dla jej urody, ale również dla jej pogodnego, choć poważnego usposobienia, a także dlatego, że ujmowała nas bezpośredniością i dobrocią, z jaką odnosiła się do każdego, nawet do niewolników. Pamiętała imiona wszystkich legionistów przyjeżdżających po towar, każdego wypytywała o zdrowie i o rodzinę, jeśli ją posiadał, zaś podczas przerw w pracy zapraszała nas na przekąskę przy rozstawionych w sadzie stołach. Podczas tych posiłków zawsze zadziwiała mnie mieszaniną mądrości, z jaką rozprawiała o dziejach i zwyczajach ojczystego kraju, trudnościach uprawy roli w jego piekielnym klimacie czy osobliwościach syryjskiej przyrody, z dziecięcą wprost naiwnością, z którą wysłuchiwała opowieści moich kompanów o ich zmyślonych przewagach wojennych i rzekomych udrękach życia legionisty.

Jednak największe wrażenie robiła na mnie hojność, z jaką rozdawała codziennie ogromne ilości jedzenia, a nawet pieniądze, tłumom ubogich, żebraków, kalek i innych nieszczęśników, ściągających od świtu do nocy z całej okolicy pod portyk jej domu. Początkowo nie próbowałem dociekać powodu tej szczodrości, ale kiedy spostrzegłem, że mnie obdarza jakąś szczególną atencją, że wita mnie i żegna serdeczniej niż innych, że wsłuchuje się z uwagą w każde moje

słowo i troszczy się zawsze o to, abym miał przed sobą pełny półmisek i dobrze napełniony puchar, po jednym z owych posiłków w sadzie, kiedy moi żołnierze wrócili do pracy, zagadnąłem ją, dlaczego czyni to, co czyni.

Spojrzała na mnie uważnie, jakby chciała wybadać moje intencje, a potem rzekła:

– Dlatego, że wszyscy ludzie są braćmi, a cokolwiek czynimy najmniejszemu z nich, samemu Bogu czynimy. Zresztą, póki co, mamy się czym dzielić, zwłaszcza, że udało mi się odwieść ojca od pomysłu, żeby sprzedać wszystko i całe uzyskane w ten sposób pieniądze rozdać ubogim. Sami nie mamy wielkich potrzeb.

– Wszyscy ludzie są braćmi? Zbyt piękne, żeby było prawdziwe – roześmiałem się. – Ale brzmi ładnie.

– Więc może kiedyś w to uwierzysz. Jako poecie, powinno ci to przyjść łatwiej niż innym.

– Poecie?! – zdumiałem się. – A któż ci powiedział coś takiego?

– Jeden z twoich żołnierzy. Chętnie posłuchałabym któregoś z twoich wierszy.

– Nie pamiętam żadnego – zaczerwieniłem się.

– Niemożliwe. Proszę! – ujęła mnie za rękę.

Nie mając innego wyjścia, nabrałem powietrza w płuca i wyrecytowałem:

Któż by sprostał tobie, o, życie, gdyby nie śmierć? Niezliczone twoje niedole – ciężko je dźwigać i umknąć im trudno.

Rzeczy, które z natury są piękne – te są dobre: ziemia, morze, gwiazdy, światło księżycy, blask słońca.

*A poza nimi – tylko trwoga i ból. Jeśli dasz nam chwilę radości, zaraz płacić za nią trzeba cierpieniem.*¹⁷

Kiedy skończyłem, w jej ciemnych oczach pojawił się wyrzut i nagana.

– Dlaczego sobie ze mnie dworujesz? Znam ten wiersz i wiem, że nie jest twój.

– Wybacz, chciałem ci sprawić przyjemność. Zresztą, ja też mógłbym go napisać, tylko ktoś zrobił to już przede mną. Tak mi się życie ułożyło.

Wtedy zaczęła nalegać, abym jej o swoim życiu opowiedział. Kiedy w końcu uległem, słuchała mnie nie przerywając ani słowem. Dopiero kiedy doszedłem do walki z *murmillo*, szepnęła zamyślona:

– Mój Boże, to z pewnością musiał być chrześcijanin!

– I ja tak sądzę. Ale ocalił mi życie, dzięki czemu trafiłem do Syrii. Czyżbyś i ty zetknęła się z tą zarazą?

Przyglądała mi się przez dłuższą chwilę, jakby coś w duchu starannie rozważała, po czym zapytała:

– A ja jestem ciekawa, czy znasz taką eklogę i czy wiesz, o kim w niej mowa?

Czwarty czas ksiąg kumejskich zapanował wszędzie, Więc na nowo porządek wieków się odradza, Powraca znów Dziewica i Saturna władza, Nowy potomek z nieba zstępuje na ziemię. Chłopcu, który się rodzi, by żelazne plemię Znikło, a wszędzie złote powstało na świecie, Sprzyjaj, Lucyno; rządzi twój Apollo przecie, Pollionie, twój konsulat chwalebny się stanie, Gdyż nastąpią miesiące ważkie niesłychanie. Znikną, jeśli są jeszcze wśród nas jakieś zbrodnie, I świat, wolny od trwogi, odetchnie swobodnie, On zaś uzyska żywot bogów; wśród herosów I bóstw będzie przebywał w zaciszu niebiosów; Jak ojcowie, w pokoju władać będzie światem. Ziemia wyda ci, chłopcze, pierwsze dary zatem: Pnących się bluszczów mnóstwo, naparstnic bez miary, Mieniające się akanty, piękne nenufary. Kozy przyniosą mlekiem nabrzmiące wymiona, Nie ucieknie, lwy widząc, trzoda przerażona. Kołyska twa kwiatami rozkwitnie dokoła, Zginie wąż jadowity i trujące zioła. ¹⁸

– Oczywiście, to Wergiliusz, ale nie wiem, kogo miał na myśli. Może Augusta?

– Nie, Jezusa Chrystusa – stwierdziła stanowczo.

– Wybacz, Makryno, ale to niemożliwe. Wergiliusz zmarł wcześniej.

– I co z tego? – zapytała.

A potem zaczęła opowiadać mi o innych prorocत्वach zapowiadających przyjście Mesjasza, o Jego cudownych narodzinach z Dziewicy, o Jego nauce i cudach, których dokonał, o tym, że przed śmiercią został umęczony jak Hermes i Dionizos, o Jego zmartwychwstaniu i obietnicy rychłego powrotu w chwale, o Królestwie Bożym, jakie zapanuje wtedy na ziemi, o Sądzie, który odbędzie się wówczas nad żywymi i umarłymi, a wreszcie o samych chrześcijanach oraz zasadach, jakimi się kierują. Wszystko, o czym mówiła, tak bardzo odbiegało od opowieści moich weteranów, że byłem zupełnie oszołomiony. Dlatego, kiedy skończyła, zapytałem ją wprost, czy i ona jest chrześcijanką.

– Owszem, Mamerkusie. I bardzo bym chciała, żebyś także ty uwierzył w Chrystusa.

Na to nie powiedziałem nic, bo były to dla mnie rzeczy zbyt nowe i zdumiewające, i musiałem je sobie dopiero przemyśleć.

Później rozmawialiśmy o tych sprawach wielokrotnie i chociaż nie zdołała mnie do niczego przekonać, podobała mi się coraz bardziej. Myślałem o niej nieustannie i odliczałem dni przed każdą wyprawą do Laodycei. Wyjazdy te sprawiały mi tym większą satysfakcję, że, jak zauważyłem, Makryna z każdą moją wizytą ubierała się ładniej i staranniej – choć zawsze niezwykle skromnie – i najwyraźniej z tej właśnie okazji trefiła sobie włosy. Zawsze też starała się przebywać w pobliżu i być mi pomocną pod lada pozorem. W końcu, któregoś

razu, gdy moi żołnierze napełniali oliwą wojskowe amfory, postanowiłem zostać sam sobie Merkurym i rozmówić się z nią na serio.

Determinacja, z jaką wkroczyłem do jej ogrodu, gdzie właśnie przycinała róże, nieco ją spłoszyła, bo zapytała z niepokojem, czy coś się stało. Podprowadziłem ją do kamiennej ławki, poprosiłem, żeby usiadła i przystąpiłem z miejsca do meritum:

– Makryno, jestem żołnierzem, z przypadku, ale jednak. Dlatego będę mówić wprost, bez zbędnej retoryki. Nie jestem już młody, mam z górą czterdzieści lat, ale jeśli człowiek w moim wieku ma w czymś przewagę nad młodzieńcem, to w doświadczeniu, z którego bierze się zarówno intuicyjne, jak i rozumowe poznanie spraw tego świata. Nie sądzisz?

– Pewnie tak, Mamerkusie. Ja też już nie jestem taka młoda – dodała ostrożnie.

– Więc, odkąd zacząłem bywać w twoim domu, moja intuicja podpowiada mi, że zasłużenie czy nie, wyróżniasz mnie spośród innych, czego mój rozum nie potrafi wyjaśnić inaczej, jak tylko tym, że nie jestem ci chyba całkiem obojętny. Powiedz, czy się mylę?

– Nie, nie mylisz się – przyznała cicho.

– Bogom niech będą dzięki! Chcę ci zatem powiedzieć, że i ty nie jesteś mi obojętna. Że cię pokochałem – może nie od pierwszego wejrzenia – ale za to mocno i prawdziwie, i że chciałbym spędzić resztę życia z tobą i przy tobie. Powiedz mi równie szczerze, czy chciałabyś zostać moją żoną?

– Tak – odparła bez wahania.

– Na pewno?

– Na pewno.

Uszczęśliwiony wziąłem ją w ramiona i przycisnąłem do serca. I wtedy rozplakała się.

– Dlaczego płaczesz? Czyżbyś jednak miała wątpliwości?

– Nie, ale nic z tego nie będzie. Mój ojciec nigdy się na to nie zgodzi.

– Nie zgodzi się? Dlaczego? Jestem rzymskim obywatelem, podoficerem, a mogę jeszcze awansować.

– Dla niego jesteś przede wszystkim poganinem – po tych słowach wyrwała się z moich ramion i pobiegła ze szlochem do domu, zostawiając mnie pośrodku ogrodu z rozdziawioną gębą.

W tydzień później poprosiłem jej ojca o rozmowę, obiecując sobie solennie w duchu, że w jej trakcie będę uprzejmy, zgodny i spolegliwy. Ojciec Makryny przyjął mnie natychmiast i przywitawszy się ze mną grzecznie w proggu, przeprowadził mnie z honorami do atrium, gdzie podano nam wino i zimne przekąski. Gdy służba się oddaliła, wzniosłem jego zdrowie i już miałem przejść do rzeczy, kiedy powstrzymał mnie gestem dłoni.

– Nie trudź się, Mamerkusie. Wiem o czym chcesz ze mną rozmawiać. Makryna powiedziała mi wszystko i nie wątpię, że masz uczciwe zamiary. Problem w tym, że my jesteśmy chrześcijanami.

– To żaden problem – odparłem. – Skoro Makryna i ty, panie, możecie być chrześcijanami, jest dla mnie oczywiste, że o wyznawcach Chrystusa opowiada się wiele kłamstw i najzwyczajniejszych bredni.

– Cieszy mnie, że uważasz za kłamstwa i brednie to, co się o nas opowiada, jednak dla mnie ważniejsze jest to, co ty sam uważasz za prawdę? – ojciec Makryny odprężył się po moich słowach i dolał mi szczerze wina.

Zaskoczył mnie tym pytaniem, toteż odpowiedziałem na nie dopiero po chwili namysłu.

– Wiele lat studiowałem filozofię, lecz ciągle nie wiem, co jest prawdą.

– No i sam widzisz, ile jest warta cała filozofia – uśmiechnął się pobłaźliwie. – Tyle prawd, ilu filozofów, a co filozof, to większy dureń. Platon głosił wspólnotę kobiet, Epikur – obżarstwo, pijaństwo i rozpustę, Demokryt – że nie różnimy się niczym od drzew czy kamieni, stoicy – pederastię. Ale co jest prawdą, nie dowiesz się od żadnego z nich.

– A co jest prawdą? – zapytałem uprzejmie, choć poczułem się lekko dotknięty.

– To, że Jezus z Nazaretu, pierworodny Syn Boży i wcielone Słowo, narodził się z woli Boga z Matki Dziewicy i umarł na krzyżu dla naszego zbawienia, a po trzech dniach zmartwychwstał, jak i my kiedyś powstaniemy z martwych – wyjaśnił mi z przejęciem.

– To bardzo możliwe – zgodziłem się bez oporu, lecz potem dodałem, zgoła niepotrzebnie: – Wiesz jednak panie, że na tym świecie nie ma nic zwyczajniejszego od zmartwychwstania. Czyż nie zmartwychwstali także Attys, Ozyrys, Pitagoras, Dionizos i paru innych?

Po tych słowach ojciec Makryny przestał się uśmiechać.

– Chyba żartujesz, Mamerkusie? – rzekł tonem zdziwienia. – Zmartwychwstanie Chrystusa widzieli Jego uczniowie i przyjaciele, którzy wciąż żyją i wędrują po całym świecie, głosząc wszędzie Dobrą Nowinę, natomiast zmartwychwstania Attysa czy Dionizosa nikt nigdy nie widział i raczej nie zobaczy. Jako filozof nie bierzesz chyba poważnie tego, co gmin opowiada o waszych bogach? Że kradną, kłamią i oszukują, że walczą między sobą i przyprawiają sobie nawzajem rogi, że piją na umór i cudzołożą ze śmiertelnikami i śmiertelniczkami, że Amor potrafił przemienić Jowisza w orła, w złoty deszcz i w łabędzia tylko po to, by ten mógł się oddać rozpucie, że Saturn pożarł swoje dzieci, wykastrowawszy najpierw własnego ojca, że trzy boginie, niczym zwykłe ładacznice, wdzięczyły się nago do Parysa, aby ten

raczył rozsądzić, która z nich jest najpiękniejsza, i tym podobne bajki? Przecież to niepoważne!

– A jak dojść do tego, że to, co wy mówicie o Jezusie, jest poważne? – zachmurzyłem się i ja.

– Przede wszystkim, na drodze wiary – oświadczył z niezachwianą pewnością.

– Na drodze wiary? Wybacz mi, panie, lecz piszesz na wodzie, budujesz na piasku – przeciwstawiłem się temu punktowi widzenia. – Do prawdy nie dochodzi się na drodze wiary, która nie wymaga żadnych dowodów i uzasadnień, tylko na drodze zwątpienia, badań i dociekań.

– Po Jezusie Chrystusie to strata czasu. Prawdą jest Bóg, a Boga można znaleźć w głębi serca. I na tym właśnie polega prawdziwa mądrość, nie z tego świata, pełna tajemnic i wieczna, tak różna od mądrości waszych filozofów, głoszących sprzeczne i wykluczające się nawzajem teorie. Swoją drogą, byłoby dla nich lepiej, gdyby się mieli za głupców, bo w oczach Boga ich rzekoma mądrość musi wyglądać na skrajną głupotę.

– Nie wiem, nie jestem bogiem. Tak czy inaczej, teraz najważniejsze jest moje małżeństwo z Makryną – przypomniałem mu o celu mojej wizyty.

– A jak ty je sobie wyobrażasz, Mamerkusie? – zapytał z ciężkim westchnieniem.

– Jak najbardziej uczciwie. Niech każde z nas pozostanie przy swojej ojczyściej wierze. Poza tym, nie chcę żadnego posagu. Jestem rzymskim obywatelem, podoficerem – a mogę jeszcze awansować – mam wykształcenie i posiadam kawał winnicy w Italii. Na pewno nie umrzemy z głodu. Tymczasem Makryna mogłaby zamieszkać w obozie, jak wiele innych żołnierskich żon. Co ty na to, panie?

– Jak na Rzymianina, to rzeczywiście szlachetne. Szkopuł w tym, że my nie mamy ojczyściej wiary – pokręcił głową i znów irytująco westchnął.

– Więc to prawda, że nie uznajecie ojczyzny ani ojczyściej zwyczajów? – zmarszczyłem brwi.

– I tak, i nie – wykonał nieokreślony ruch ręką. – Nikt nie rodzi się chrześcijaninem, tylko nim zostaje. My wszędzie czujemy się tak samo swojsko, jak i obco. Bo naszą prawdziwą ojczyzną jest Królestwo Boże, które już wkrótce zapanuje na ziemi.

– A moją Rzym – zauważyłem cierpko.

– Ach, Rzym, Rzym, oczywiście! – zaśmiał się ironicznie. – Nowa Sodomia i grób pobielany! Miasto, gdzie łatwiej znaleźć żywego Feniksa niż garstkę sprawiedliwych, wolnych od występku.

– Jako Rzymianinowi i żołnierzowi nie godzi mi się tego słuchać. Rzym może mieć swoje wady, ale jest wieczny. O ile, rzecz jasna, cokolwiek może być

wieczne – grzecznie, choć stanowczo, zwróciłem mu uwagę na niestosowność jego wypowiedzi.

Ale on znowu pokręcił głową i rzekł:

– Wieczny jest tylko Bóg. Kiedyś także z Rzymu nie zostanie kamień na kamieniu, a na Kapitol znów powrócą wilki. Bo Królestwo Boże obali wszystkie potęgi tego świata, Rzym także.

– Radziłbym ci, panie, nie wygłaszać podobnych opinii, a już zwłaszcza życzeń – pokryłem uśmiechem narastające we mnie rozdrażnienie. – Pamiętaj, że i mucha ma śledzionę. Powiedz lepiej, co z naszym ślubem?

– To co proponujesz, jest gorsze od kazirodztwa. Jeśli chcesz się żenić z Makryną, najpierw zostań chrześcijaninem – postawił sprawę po męsku, jasno i bez ogródek.

– Nikt nie jest zobowiązany do rzeczy niemożliwych – skrzywiłem się na te słowa. – Składałem przysięgę na sztandar i geniusz cezara, choć o to mniejsza. Ważniejsze jest to, że najpierw musiałbym się pozbyć wątpliwości.

– To się ich pozbądź – rozłożył bezradnie ręce na znak, że to nie jego sprawa.

– Chwileczkę, nie tak szybko – zaoponowałem. – Chyba po to bogowie, czy jak wolisz Bóg dał nam rozum, żebyśmy czynili z niego użytek?

– Wiara i rozum to dwie różne rzeczy. O jakich wątpliwościach mówisz?

– Jest ich takie mnóstwo, że nie wiem od czego zacząć. Powiadacie na przykład, że Bóg posłał swojego Syna, żeby odkupił świat tonący w nieprawościach, skażony grzechem, jak mu tam...

– Pierworodnym.

– Właśnie. A ja pytam, cóż to za ojciec, który posyła na śmierć własnego syna? I dlaczego posłał go tak późno? Czyżby spisał na straty tych wszystkich, którzy zmarli wcześniej? I dlaczego posłał go akurat do zabitej deskami Judei, do jakichś nędznych Judejczyków, zamiast do Rzymian czy choćby do Greków? – postawiłem pierwsze z brzegu pytania.

Wtedy poczerwieniał i odjął od ust puchar z winem.

– Nie martw się o tych, którzy zmarli przed Chrystusem, bo jeśli tylko żyli jak chrześcijanie, z pewnością zostaną za takich uznani. A co do tego, że Jezus urodził się w Judei, to stało się tak zapewne dlatego, że tylko Żydzi wierzyli w prawdziwego Boga i tylko oni czekali na Mesjasza.

– Którego w Jezusie jakoś nie dostrzegli – wyraziłem kolejną wątpliwość.

– To ich problem. Wyroki Boga są niezbadane.

– Jasne. I pewnie dlatego Jezus po swoim zmartwychwstaniu ukazał się tylko grupce uczniów, a nie wielkim tłumom, nie Piłatowi, nie arcykapłanom, choć mógł zyskać od razu rzesze wiernych. Nie rozumiem, po co komplikować to, co może być proste? Dlaczego robić po cichu to, co można robić głośno, i czynić po

kryjomu to, co można czynić na oczach wszystkich, zwłaszcza jeśli się jest Bogiem? Czyżby w tej tajemniczości i zbędnym komplikowaniu wszystkiego przejawiało się to szczególne umiłowanie człowieka, które Mu przypisujecie? Nie na darmo mówi się przecież *quod verum, merum!*¹⁹ A zresztą – dyskusja stawała się interesująca i zaczynała mnie wciągać – jeśli, jak twierdzicie, wasz Bóg jest samą miłością, to dlaczego jedni umierają we wczesnej młodości, podczas gdy inni dożywają sędziwego wieku? Czemu jedni mrą z głodu, a inni z otyłości? Dlaczego z reguły najlepiej powodzi się kanaliom? Dlaczego dobro rzadko bywa nagradzane, zaś zło na ogół uchodzi bezkarnie? Dlaczego wszędzie panoszy się głupota, podczas gdy mądrość często drży o życie? Dlaczego w ogóle cierpimy, jak nie tak, to inaczej?

– Przecież już wiesz, z powodu grzechu pierworodnego.

Wtedy zauważyłem muchę wędrującą po marmurowym blacie stołu. Złapałem ją błyskawicznym ruchem, wyrwałem jej skrzydełka i położyłem ją przed ojcem Makryny. Owad, jak oszalały, zaczął kręcić się w kółko, usiłując na próżno poderwać się do lotu.

– A zwierzęta? – zapytałem. – Czemu cierpią?

Natychmiast rozgniółł ją swoim pucharem i rzekł zduszonym głosem:

– Mamerkusie, dam ci dobrą radę: nie wierzgaj przeciw ościeniowi. Wszystko to są tajemnice Boże, a ich zrozumienie przekracza nasze możliwości. Na szczęście bliski jest już dzień, kiedy całe zło i wszystko inne przepadnie bez śladu.

– To, co mówisz, jest mniej zrozumiałe od wyroczni Sybilli. Moje pytania były bardziej konkretne – nie zamierzałem mu ustępować.

– Dobrze, więc powiem ci, że droga do Królestwa Bożego nie może być łatwa, a na wejście do niego trzeba zasłużyć – wyjaśnił mi nieco spokojniej.

– Zasłużyć? A niby dlaczego? Cóż to za rozkosz, okupiona bólem? A co by szkodziło waszemu Bogu, gdyby owa droga była właśnie łatwa i wcale nie opierała się na zasłudze? Przecież to On ustala reguły gry, nieprawdaż? Jemu nikt niczego nie narzuca. A może wasz Bóg po prostu lubi, kiedy ludzie się męczą? Może Mu odpowiada, że tylko jeden na tysiąc, a może jeden na sto tysięcy, a może jeden na milion z tych, którzy tę grę podejmą – nie swoją grę, podkreślam – dobije się zbawienia? W porządku, jego prawo, tylko gdzie tu umiłowanie człowieka? – zaśmiałem się ironicznie.

– Gdzie? – uniósł głos. – A choćby w tym, że z miłości do nas poniósł śmierć na krzyżu. Nawiasem mówiąc, to wyście Go ukrzyżowali.

– Bo był wichrzycielem – odpowiedziałem twardo. – Prawo jest prawem. I niewykluczone, że jeśli Chrystus powróci na ziemię, tak jak zapowiedział,

trzeba go będzie ukrzyżować ponownie. A wiesz dlaczego? Żeby Mu zrobić przyjemność, bo najwyraźniej to lubi.

– Jak śmiesz?! – zawołałem przerywając w tym miejscu opowieść El Latino. – Bóg powinien cię natychmiast ukarać za to bluźnierstwo, szatanie!

– Ejże! – obruszył się na te słowa mój rzymski towarzysz. – Myślałem, chłopcze, że chcesz wysłuchać mojej historii w całości. Ale jeśli masz już jej dosyć, możemy na tym zakończyć.

– Mów dalej – syknąłem po chwili, zaciskając pięści.

– Jak śmiesz?! – zawołał ojciec Makryny, przerywając w tym miejscu moją opowieść. – Bóg powinien cię natychmiast ukarać za to bluźnierstwo, szatanie!

– Szatanie?! – oburzyłem się na te słowa. – Mocno powiedziane! Ale dobrze, że dotknąłeś rzeczy igłą! Zauważ bowiem, że jeśli szatan w ogóle istnieje, to tylko z woli twojego Boga. Bo gdyby Bóg zechciał, to by go wcale nie było. Człowieku, zacznij wreszcie myśleć! Możliwe, że świat jest źle urządzony, możliwe że wymaga naprawy, ale któż go u licha tak źle urządził? Czyż nie przypadkiem ten właśnie Bóg, o którym powiadacie, że jest wszechmogący, a który podobno go stworzył?! Na Herkulesa, używaj rozumu człowieku, głowa nie jest tylko od tego, by szyja miała co dźwigać! Ze zwykłej logiki, odkrytej przez Greków, a która z pewnością nie ma nic wspólnego z ową mądrością „nie z tego świata, pełną tajemnic i wieczną”, o której tak pięknie opowiadałeś – bo ta może zaimponować jedynie prostakom, niewolnikom i wszystkim tym, którzy pomiatają rozumem – wynika niezbicie, że albo wasz Bóg nie jest wszechmocny, ponieważ nie potrafił stworzyć świata choć trochę lepszego, a przynajmniej takiego, żeby nie trzeba go było za chwilę poprawiać, i to posyłając na śmierć własnego syna, albo i jest wszechmogący, ale wówczas należy przyjąć, że stworzył ten świat dokładnie takim, jakim go chciał mieć! I że w kalkulował weń z góry śmierć własnego syna, w dodatku na krzyżu, choć jako Bóg mógł sobie wybrać coś bardziej honorowego, jeśli już ta śmierć była Mu do czegoś koniecznie potrzebna!

Ergo, jedyny logiczny wniosek, jaki się nasuwa, to ten, że śmierć na krzyżu, którą, co podkreślam, wasz Bóg wybrał sobie sam, aby poprawić spartaczone przez siebie stworzenie świata, najwyraźniej Mu się podobała. Tylko że to wyłącznie jego sprawa i nic nam do niej, tak samo jak nic nam do tego, że szewc albo krawiec spaprze swoją robotę. Niech każdy odpowiada za siebie. A zresztą, może świat został stworzony właśnie po to, żeby go diabli wzięli? Tak czy owak, wasz Bóg nie może być zarazem wszechmogący i wszechwiedzący, a na dodatek być jeszcze samą miłością, bo to po prostu niemożliwe. Taka koniunkcja nie zdarza się nigdy u bogów olimpijskich, dzięki czemu są zresztą bardziej wiarygodni.

Dlatego uważam, że albo wszystko, co opowiadacie o Jezusie z Nazaretu, jest żalonym kłamstwem, albo też – jeśli to nawet prawda – że podobną prawdą w ogóle nie warto się zajmować, bo marna to komedia i marnie zagrana. W Rzymie za mniejsze przewinienia krzyżuje się aktorów i dla dobra sztuki nikt nie lamentuje, że dzieje im się jakaś szczególna krzywda. Zważ też na koniec, że w tej wykoncypowanej z góry komedii nie ma absolutnie miejsca na żadną miłość do człowieka, o której tak ochoczo, choć bez sensu lubicie rozprawiać.

– A ty zważ, że w twoim przypadku nie ma odtąd miejsca na żadną miłość do Makryny! – wykrzyknął pociemniały na twarzy z gniewu jej ojciec. – Po moim trupie!

– Tak?! – zerwałem się z ławy. – To powiem ci jeszcze, że wy, chrześcijanie, tak samo jak Żydzi musicie być naprawdę pijani pychą. Uważacie się, zarozumialcy, za obraz i podobieństwo Boga, myślicie, że stworzył ten świat wyłącznie dla was i że wszystko jest wam poddane, że niebo i ziemia przeminą, ale wy przetrwacie, i że Pan Bóg nie ma nic lepszego do roboty, jak troszczyć się tylko o was, jak wysyłać do was, jednego po drugim, swoich proroków, a w końcu własnego syna, jak śledzić każdy wasz krok i czytać każdą waszą, choćby nawet najgłupszą myśl, i tym się jedynie zamartwiać, czy połączycie się z nim na wieczność, czy też okażecie się na tyle okrutni i niewdzięczni, że pozbawicie go na zawsze waszego towarzystwa. A tak lubicie rozprawiać o pokorze!

– Zobaczysz, pożałujesz tych słów na Sądzie Ostatecznym – wycedził chwytając się za serce.

– Na Sądzie Ostatecznym?! Nie rozśmieszaj mnie, proszę.

– A tak, na Sądzie Ostatecznym, żebyś wiedział! A po nim, jakąż będą miały uciechę dusze wybranych, widząc męki potępionych! Ciekawe, jak myślisz, co je najbardziej uraduje? Widok waszych ubóstwionych cesarzy smażących się w płomieniach, gdzie karę brać będą, życia nie oddając, czy też waszych bitnych generałów zmuszonych powtarzać w nieskończoność sławny gest Mucjusza? A może wasi poeci i filozofowie odwołujący pod wpływem rozżarzonych węgli własne tezy, że to świat jest Bogiem, że my jesteśmy tylko materią, że dusze nie istnieją albo że życie kończy się wraz ze śmiercią?! A może wasi atleci i gladiatorzy walczący ze sobą o trochę chłodniejsze miejsce na ruszcie?! W każdym razie sprawiedliwości stanie się zadość i będzie na co popatrzeć!

– Przestań już, człowieku, przestań! Widzę, że wy, chrześcijanie, macie równie niskie mniemanie o Bogu, jak Judejczycy, skoro także wy przypisujecie mu najpodlejsze cechy, jakie kiedykolwiek ośmielono się przypisać bóstwu: mściwość, obłudę, złośliwość i okrucieństwo, których wyrazem jest wasz Sąd Ostateczny i wasze piekło. Nieszczęśni barbarzyńcy! Zapamiętajcie sobie raz na zawsze: Bóg ani o was dba, ani się wami przejmuje, i z pewnością nie gniewa się

na was bardziej niż na muchy, komary, pająki czy dżdżownice! Nie róbcie z niego drugiego Kaliguli, bo jeden zupełnie wystarczy, ale nie spodziewajcie się także, że was wynagrodzi, bo niby za co miałyby was nagradzać? Cieszcie się tym, co macie pod nogami, a jeśli już koniecznie chcecie powiedzieć w tej materii coś mądrego, powtórzcie za Sokratesem „Co w górze, to nie dla nas!”, a traficie w sedno! To wszystko, *dixi*.²⁰

– Dość tego. Wynoś się! – gwałtownym gestem pokazał mi drzwi.

– Dziękuję za filozoficzną dyskusję – skinąłem głową. – Czy mogę jeszcze zamienić parę słów z Makryną?

– Nie ma mowy! Mimo wszystko, niech Bóg cię ma w opiece, Mamerkusie. Życzę ci, abys kiedyś przejrzał na oczy. Im szybciej, tym lepiej. Bo kiedy Jezus powróci na ziemię w chwale, na skruchę będzie już za późno. Lecz od mojej córki trzymaj się z daleka – opanowawszy się jako tako, skłonił mi się na pożegnanie.

Zrobiłem to samo, po czym zacisnąłem pięści i wyszedłem.

– Mamerkusie – przerwałem znowu opowieść El Latino – po tak strasznych bluźnierstwach, jakimi opluć naszą świętą wiarę, powinienem raz jeszcze wyzwać cię na pojedynek. Jeśli tego nie robię, to tylko dlatego, iż rozumiem, że skoro tu jesteś i razem z nami gromisz pogan, to przez tyle wieków musiałeś w końcu zrozumieć, że nasz Pan Jezus Chrystus przyszedł na świat zbawić wszystkich ludzi, w tym także ciebie.

– Niezupełnie – odparł twardo mój rzymski towarzysz. – Ale nie toczmy sporów o kozią wełnę.

– Uważaj, przyjacielu, żebyś naprawdę nie został wrzucony, wraz z heretykami, niewiernymi, apostatami, fałszywymi prorokami i nie ochrzczonymi dziećmi w wieczne ciemności i piec rozpalony, gdzie będzie tylko płacz i zgrzytanie zębów! – ostrzegłem go.

– Umyj, uczesz psa, psem jest i psem pozostanie! – rozżłościł się nie na żarty. – Widzę, że to wy przez tyle wieków nie przybliżyliście się choćby o włos do zdrowego rozsądku, skoro nadal uważacie, że Pan Bóg może popełniać zbrodnie przeciwko sprawiedliwości, jakie nie przysłyby do głowy nawet najdziksze z barbarzyńców ani najgorsze z tyranów! Gdyby rzeczywiście tak było, jak powiadasz, i Bóg znęcałby się nad niewinnymi dziećmi, to rację mieli nie tylko moi weterani, ale także Neron, Decjusz i Dioklecjan, którzy łupili was żywcem ze skóry. Lecz dajmy już temu spokój. Chcesz posłuchać, co było dalej?

– Nawet bardzo, o ile nie będziesz więcej bluźnił – zaznaczyłem z naciskiem.

– W takim razie na dzisiaj wystarczy. *Bibamus!*²¹ – zaproponował wznosząc do góry swój kubek. Po czym długo w noc piliśmy wino i choć zadawałem mu

przy tym wiele pytań związanych z jego historią, za każdym razem zbywał mnie jakimś żartem lub kierował rozmowę na poboczne i nic nie znaczące tematy.

Przez kilka następnych dni, podczas których ćwiczył intensywnie na dziedzińcu, a nawet pokazał mi kilka ciekawych pchnięć i ciosów, gwarantujących jakoby zwycięstwo nad każdym przeciwnikiem, nie powracaliśmy w ogóle do tej rozmowy. Dopiero w trakcie skromnej wieczerzy, jaką podjąłem go w przeddzień jego powrotu pod Hueskę, zagadnął mnie z westchnieniem:

– Chyba jestem ci coś winien, chłopcze?

– Owszem, jeśli tak uważasz.

– To na czym stanęliśmy?

– Na tym, w jak głupi sposób pokłóciłeś się z twoim niedoszłym teściem i straciłeś swoją ukochaną. Myślę, że popełniłeś straszny błąd, Mamerkusie! Należało być wiernym miłości, zarówno tej ziemskiej, jak i tej niebiańskiej.

– Zapewne, przyjacielu, ale wierność sobie także się liczy. Oczywiście bardzo żałowałem, że dałem się ponieść pasji polemicznej i obraziłem ojca Makryny, jednak jej samej jeszcze nie straciłem. Kochałem ją i byłem pewny, że ona kocha mnie również. Dlatego postanowiłem namówić ją do ucieczki. W parę dni później zapewniłem ją przez zaufanego żołnierza o moim uczuciu i zaproponowałem, abyśmy spotkali się za tydzień o północy w gaju oliwnym jej ojca. Żołnierz sprawił się dobrze i powtórzył jej wszystko jak należy, ale nie przywiózł ze sobą żadnej odpowiedzi.

Mimo to, popędziłem w jego towarzystwie na spotkanie, jak to się mówi, *ad utrumque paratus*.²² Kiedy dojeżdżaliśmy na miejsce

Wszelkie stworzenie na ziemi już było w śnie pogrążone

*Trosk zapomnienia szukając i sił po trudach i znojach.*²³

Pozostawiłem mojego towarzysza przy koniach i wszedłem z bijącym sercem między drzewa. Wkrótce zjawiała się Makryna. Ze złotą obręczą na włosach, w białej tunice i z narzuconą na ramiona błękitną chustą wyglądała jak sama Wenus. Objąłem ją i zacząłem gorąco całować.

– Makryno, uciekniesz ze mną? – wykrztusiłem w końcu.

– Nie – odpowiedziała stanowczo.

– Dlaczego?! Przecież chcesz zostać moją żoną. W Poncie czy w Bitymi nikt nas nie znajdzie.

Pokręciła głową i położyła mi palec na ustach.

– Nie, dobrze wiesz, że to niemożliwe.

Próbowałem ją dalej namawiać i przekonywać, ale pozostała nieugięta. Także ja nie uległem jej prośbom i perswazjom, aby dać się ochrzcić. W końcu dałem za wygraną i zamilkłem, a kiedy tak obejmowaliśmy się w milczeniu i z rozpaczą

w sercach, za szpalerem cyprysów oddzielającym nas od reszty posiadłości nagle rozbłysło światło pochodni i zobaczyliśmy sylwetki trzech ludzi biegnących w tę pędą w naszym kierunku. Był to ojciec Makryny w towarzystwie dwóch służących.

– Więc to tak, zdrajco?! – zawołał mój niedoszły teść. – Tak hańbisz uczciwy dom?!

Równocześnie jeden ze służących zaatakował mnie mieczem. Ledwie zdołałem uskoczyć, choć i tak drasnął mnie w ramię. Na ten widok Makryna krzyknęła przeraźliwie i uczepliła się ojca.

– Puść mnie, puść mnie, bezwstydna! Puść! – wołał tamten, próbując się oswobodzić.

Tymczasem jego sługa przypuścił nowy atak, lecz ja zdążyłem już wyszarpnąć miecz i w chwilę później ciąłem go w gardło. Kiedy osuwał się na ziemię, ojciec Makryny uwolnił się z objęć córki i również skoczył ku mnie ze wzniesioną bronią. I wtedy stało się najgorsze! Makryna rzuciła się między nas, pragnąc nas rozdzielić – i nadziała się prosto na mój miecz!..

– Morderco! – jej ojciec zawył jak ranne zwierzę i pewnie byłby mnie zabił, bo stałem jak skamieniały i nie byłem w stanie wykonać żadnego ruchu, gdyby nie mój legionista, który nagle wyrósł jak spod ziemi i przebił go od tyłu jednym sztychem. Zanim zdołałem zaprotestować, zabił także drugiego służącego, który próbował uciekać.

– Zobaczyłem, jak tu biegli – wytłumaczył się zdyszany. – Czy to wszyscy?

Nie odpowiedziałem, tylko przypadłem do Makryny. Jej ciałem wstrząsały śmiertelne drgawki i w chwilę później skoła. Wtedy wybuchnąłem głośnym płaczem, ale mój towarzysz już mnie od niej odciągał.

– Pośpieszmy się! To śmierzcząca sprawa! Lepiej, żeby to wyglądało na robotę złodziei. Sprawdź, czy nie mają przy sobie czegoś cennego.

I nie czekając na moją zgodę, przeszukał szybko całą czwórkę, zerwał z szyi mojej ukochanej mały złoty krzyżyk, który noszę do dzisiaj, wcisnął mi go do ręki, po czym zaciągnął mnie siłą do koni...

O wydarzeniach tej strasznej nocy milczeliśmy obaj jak zakłęci, dobrze wiedząc

... że jakkolwiek się sprawy potoczą, niebezpieczeństwo

Grozi nam obu to samo i jedno też będzie zbawienie. ²⁴

Jednocześnie nigdzie nie mogłem znaleźć sobie miejsca. Nie jadłem, nie piłem, nie mogłem spać ani skupić się na żadnym zajęciu, tylko snułem się po obozie jak obłąkany, rozmyślając coraz częściej o samobójstwie. W końcu, by choć trochę zagłuszyć rozdzierający mnie ból i nieustanne wyrzuty sumienia,

zgłosiłem się na ochotnika na wyprawę przeciwko dzikiemu plemieniu Cjetów, które zeszło właśnie z gór i napadło na miasto Anemurium.

Wyprawa ta od początku źle się zapowiadała. Podczas składania ofiar za jej pomyślność haruspikowi wyrwało się z rąk zwierzę ofiarne, a gdy je wreszcie złapano i zarżnięto, w jego wnętrznościach nie udało się odnaleźć serca ani wątroby. Na domiar złego, przy składaniu ofiary rzezakowi spadł z głowy wieniec. Złowieszczy znak towarzyszył także naszemu wymarszowi. Nad obozem pojawił się orzeł, ptak Jowiszowy, lecz nagle nadleciały skądś dwa sępy i zmusiły go ucieczki. Wróżba ta wprawiła wszystkich w przygnębienie, którego nie zdołał rozproszyć nawet wesoły śpiew, zarządzony natychmiast przez prefekta.

Dojście do gór Amanus zajęło nam ponad tydzień, co świadczyło tylko o tym, jak bardzo odwykliśmy od trudów i niewygód. Przemierzaliśmy tereny pozbawione o tej porze roku choćby kropli deszczu, mimo to wielu żołnierzy wypilo od razu cały przydział wody i okradało z niej własne wierzchowce. Wyszło to na jaw, kiedy trzeciego dnia marszu padły cztery konie. Winni zostali ukarani chłostą i od tej pory woleli raczej umrzeć z pragnienia niż sięgnąć po wodę przeznaczoną dla zwierząt. W górach okazało się, że wyschły także wszystkie tamtejsze strumienie, a tymczasem czekał nas najgorszy odcinek drogi – przełęcz zwana Wrotami Syryjskimi, gdzie szlak ścieśniał się do wąskiej ścieżki, po której można się było poruszać tylko gęsiego, wspinając się ostro w górę po stromych zboczach nad przepaściami. Nasze konie potykały się ustawicznie, prowadziliśmy je więc za uzdę, co było o tyle bezpieczniejsze, że kiedy któryś z nich staczał się w otchłań, wystarczyło puścić rzemień, żeby uratować życie. Mimo to, w pewnym momencie spadła w przepaść cała kolumna jucznych mułów połączonych powrozami, porywając ze sobą dwóch przewodników.

Na najwęższym odcinku drogi, pomiędzy wznoszącą się niemal pionowo skałą a głębokim urwiskiem, nastąpił atak. Ni stąd, ni zowąd, runęła na nas lawina głazów i kamieni, a słońce zaćmiła chmura strzał i włóczni, wystrzeliwanych i ciskanych z obu stron wąwozu. Z góry toczyły się wielkie głazy, które wpadały na naszą kolumnę i miażdżyły zarówno ludzi, jak zwierzęta. Wielu z tych, których ominęły kamienie, kładły pokotem kolejne fale pocisków. Inni ginęli pod kopytami oszalałych ze strachu koni bądź byli spychani w otchłań przez miotających się w panice towarzyszy. W mgnieniu oka cała droga zasłania się ciałami ludzi i bydła. Jęki i krzyki rannych mieszały się z dudnieniem toczących się głazów, rżeniem koni i wyciem barbarzyńców. Nie dało się iść naprzód, ani przeprowadzić ataku, nie było mowy o obronie, ani o ucieczce. Mogliśmy

jedynie przywrzeć do załomów skał albo paść na ziemię i zasłaniać się tarczami, lub kryć się za cudzymi zwłokami.

Co do mnie, to schowałem się za trupem mojego wierzchowca, zabitego już w pierwszej chwili ataku, ale i tam dosięgła mnie barbarzyńska strzała, przebijając mi na wylot lewe ramię. Kiedy próbowałem ułamać grot, żeby wyszarpnąć ją z rany, druga strzała rozorała mi prawy bok. Mogłem tylko czekać. Ale na co? Dziesiątkowano nas coraz bardziej, obok leżały zwłoki żołnierzy, których chwilę wcześniej widziałem żywych. Wiedziałem, że barbarzyńcy będą do nas strzelać, dopóki wystarczy im strzał, a potem zejną na dół i poderzną gardła wszystkim, którzy zdołali przeżyć.

Dziwna rzecz, ale kiedy tak leżałem w kałuży krwi, to chociaż zdawałem sobie sprawę z tego, jak niewielkie były szanse wydostania się z pułapki, myślałem przede wszystkim o Makrynie i wspominałem każdą spędzoną z nią chwilę! A kiedy ostrzał począł słabnąć i należało się na coś szybko zdecydować, ucałowałem trzykrotnie jej złoty krzyżyk, ścisnąłem miecz w garści i puściłem się co sił w nogach w stronę, skąd przyszliśmy.

Koło głowy świsnęło mi kilka strzał, dwa czy trzy razy potknąłem się o ciała zabitych, ale w końcu udało mi się dopaść skalnego załomu, gdzie wąwóz rozszerzał się i dokąd nie dolatywały włócznie z jego drugiego brzegu. Trochę dalej ścieżka biegła pod skalnym nawisem, co zabezpieczało mnie przed ostrzałem z góry. Właśnie tam, w zagłębieniu przypominającym płytką pieczarę, natknąłem się na siwego konia, należącego chyba do naszego prefekta. Pozbawiony pana krył się w tym miejscu zupełnie jak człowiek. Był bardzo wystraszony i niespokojny, a kiedy do niego podchodziłem, próbował wierzgać. Mimo to zdołałem chwycić go za uzdę i wgramolić się na siodło. Wówczas stanął dęba, próbując mnie z niego zrzucić, ale mu się to nie udało.

Jakim cudem pędząc w dół, nie skończyliśmy razem w przepaści, do dziś jest dla mnie zagadką. Kiedy znaleźliśmy się poza zasięgiem Cjetów, zatrzymałem się, aby wyjąć tkwiącą w ramieniu strzałę. Ponieważ bałem się, że mogę przy tym zemdleć, przywiązałem konia do uschłego drzewa. Strzałę wyjąłem, lecz rzeczywiście straciłem przytomność.

I wtedy znalazłem się w Gajach Szczęśliwości, pełnych powietrza i oblanych różanym światłem. Na wiecznie zielonej murawie błogosławione dusze oddawały się różnym ćwiczeniom gimnastycznym, a na piasku toczyły zawody zapaśnicze. Inne dusze płały wśród śpiewów w takt melodii wygrywanej na siedmiostrunnej lutni, lub grały spokojnie w warcaby. Tu i ówdzie pasły się rumaki, którym nawet po śmierci nie brakowało paszy ni starania. W gaju laurowym rój biesiadników śpiewał chórem radosną pieśń, przepijając do siebie winem. Wszędzie rozglądałem się za Makryną, pytałem o nią, zaglądałem

w twarze wszystkim duszom tłoczącym się nad brzegami Lete, ale nigdzie nie mogłem jej znaleźć. W końcu zacząłem wzywać ją po imieniu, co wywoływało pełne współczucia spojrzenia przechodniów w śnieżystych przepaskach na skroniach.

Kiedy się wreszcie ocknąłem, opatrzyłem jako tako ranę i ruszyłem w drogę powrotną do Raphanea. Ponieważ czułem się znacznie lepiej, z początku jechałem dość szybko. Jednak wkrótce dostałem wysokiej gorączki i dreszczy. W lewej ręce, która tymczasem bardzo spuchła, czułem narastający ból, zaś następnego dnia nie mogłem w ogóle poruszać jej palcami. Umierałem z pragnienia, lecz za cały prowiant miałem tylko cztery suszone ryby. Bez picia nie nadawały się do jedzenia, więc żułem gałązki ostrokrzewu, w daremnej nadziei wyssania z nich choćby kropli wilgoci. Słabłem coraz bardziej, aż wreszcie, bojąc się, że mogę znowu stracić przytomność i spaść z konia, okręciłem się w pasie cugłami.

Co było dalej, nie bardzo pamiętam. Nie wiem, jak długo jechałem i którądy. Nie wiem, czy spałem, czy nie. Koń niósł mnie tam, gdzie zechciał, a ja rozmawiałem w tym czasie z różnymi osobami. Odbyłem nawet dłuższą rozmowę z ojcem, którego widziałem po raz pierwszy w życiu. Zjawiła się także Makryna – ze złotą obręczą na włosach, w białej tunice i z narzuconą na ramiona błękitną chustą – taka, jaką widziałem ją po raz ostatni. Gdy wyciągnęła do mnie rękę, jakby chciała mnie objąć, poskarżyłem się głośno:

– Makryno, nie mogę cię nigdzie znaleźć!

– Widocznie szukasz mnie w złym miejscu – odparła i chciała jeszcze coś powiedzieć, kiedy spłoszyła ją moja matka.

Na jej widok mój siwek, też osłabiony z pragnienia, potknął się i zanim zdążyłem się z nią przywitać, znikła również ona. Za karę zdzieliłem bydlę w kark i wtedy zważyło mnie w odwecie na ziemię. Zaplątany w zerwane cugle ocierałem twarz z piasku, podczas gdy mój koń oddalał się truchtem, aż przepadł za kamienistym pagórkiem! Nie miałem siły go gonić, choć rozumiałem dobrze, że bez niego i bez wody mój kres był nieodległy. Długo leżałem bez ruchu, potem dźwignąłem się z trudem na kolana i zacząłem błagać Jowisza o ratunek.

Modliłem się żarliwiej niż kiedykolwiek w życiu, lecz kiedy skończyłem, nie wydarzyło się nic szczególnego. Nie tylko żaden grom nie rozdarł panującej dokoła ciszy, nie tylko nie rozwarły się upusty niebios, nie tylko nie pękła skorupa ziemi, aby trysnąć przede mną życiodajnym źródłem, ale na rozżarzonego niebie nie pojawiła się nawet najmniejsza chmurka, mogąca zwiastować deszcz.

– Więc to tak!.. – szepnąłem rozgoryczony. – W takim razie, to ty mi pomóż lub zabierz mnie do siebie, Makryno! A jeśli nie możesz tego zrobić, niech

sprawi to twój Bóg. Nie rozumiem Go, ale jeśli mnie ocali lub pozwoli nam się połączyć, będę Mu wiernie służyć przez całe życie!

Na potwierdzenie tych słów rozerwałem tunikę na piersi, wyjąłem na wierzch złoty krzyżyk po mojej ukochanej i ucałowałem go trzykrotnie. Ale i tym razem jedyną odpowiedzią był tylko delikatny szelest piasku osypującego się spod łapek przebiegającej obok jaszczurki.

Słońce paliło coraz mocniej, wstałem więc z klęczek i powlokłem się noga za nogą po końskich śladach. Jak okiem sięgnąć otaczał mnie tylko piasek i kamienie, i jedynie na horyzoncie majaczyły ruiny jakiejś starej warowni. Kilka razy potknąłem się i upadłem, zanim wreszcie dotarłem do górki, za którą przepadł mój siwek.

Kiedy wspiałem się na jej grzbiet, stanąłem nagle jak wryty: mój koń pił wodę ze sporego źródła, okolonego kępą palm odcinających się wyraźnie na tle ogólnej szarości! Przyglądałem się temu, nie wierząc własnym oczom i dopiero ból w lewym ramieniu uświadomił mi, że nie śnię. Zbiegłem resztką sił na dół i przypadłem ustami do wody. Była zimna, miała cudowny smak i była krystalicznie czysta! Piłem ją długo i łapczywie, a potem zanurzyłem w niej głowę.

Kiedy nasyciłem pragnienie, poczułem się straszliwie głodny. Wyjąłem z podręcznej torby zawiniątko z czterema suszonymi rybami, lecz rozwijałem je tak niecierpliwie, że trzy z nich wpadły mi przy tym do wody. A kiedy zanurzyłem dłoń, żeby je z niej wydobyć, w miejscu gdzie opadły na dno, woda nagle wzburzyła się i moje suszone ryby... rozpierzchły się na wszystkie strony! Zakląłem siarczyście i już chciałem ugryźć ostatnią, jaka mi została, kiedy nagle dotarło do mnie, czego byłem świadkiem. Czym prędzej włożyłem do źródła także i ją, na wszelki wypadek tuż przy brzegu. Woda zakotłowała się ponownie i również moja czwarta suszona ryba w mgnieniu oka nabrała ciała, pokryła się łuskami i odpłynęła na głębinę!

Natychmiast zrzuciłem z siebie wszystko i wskoczyłem do źródła. Leżąc w jego cudownej wodzie, dosłownie czułem, jak błyskawicznie wracają mi siły. Moja lewa ręka, na której przed wejściem do wody zauważyłem złowrogą pręgę ciągnącą się od ramienia aż po nadgarstek, od razu przestała boleć, zaś w chwilę później znikła również sama pręga i obie rany po barbarzyńskich strzałach.

Z osłupienia wyrwało mnie dopiero rzenie mojego konia, który oddalał się tymczasem na pustynię. Wskoczyłem z wody i zacząłem go ścigać, ale on przeszedł w cwał i po chwili przepadł w tumanie kurzu. Raz i drugi rzuciłem za nim kamieniem, a potem usiadłem na brzegu źródła i zaniósłem się gorzkim płaczem.

– Płaczem? Z powodu głupiego bydlęcia?! Czyżbyś nie pojął, że znalazłeś Źródło, prawdopodobnie to samo, które wypływa z Raju, a może nawet zyskałeś nieśmiertelność?!

– To akurat pojąłem od razu. A co do nieśmiertelności, jeszcze zobaczymy. Pokuta bywa długa, lecz niekoniecznie wieczna. Rzecz w tym, że zależało mi bardziej na Makrynie niż na Źródle. I choć byłem gotów głosić chwałę Tego, który mnie ocalił, to po pierwsze nie byłem wcale pewny, komu właściwie zawdzięczam ten honor, a po drugie nie zamierzałem tego robić wiecznie. Nawet Kaligula kazał sobie służyć tylko dwadzieścia lat.

– Nie podoba mi się to porównanie. Miałeś nie bluźnić – przypomniałem mu surowo.

– Pogadamy o tym, jak pożyczysz tyle, co ja. Spór nie jest jeszcze rozstrzygnięty.

– Dobrze. Cóż więc zrobiłeś?

– Jestem Rzymianinem: *pacta sunt servanda*²⁵, a dla uczciwego człowieka dług jest po prostu niewolą. Nie wróciłem zatem do armii, licząc na to, że uzna mnie ona za zaginionego, lecz powędrowałem do Kapadocji, gdzie przyłączyłem się do chrześcijan. Wkrótce też zacząłem głosić Dobrą Nowinę w Galacji i Bitynii, płacąc za to stosowną cenę. Bo już za Domicjana oćwiczono mnie kańczugiem i choć oczywiście wyszedłem z tego bez szwanku, to właśnie wtedy, na widok niezliczonych odstępstw pośród tych, którzy wyznawali Chrystusa dłużej ode mnie, po raz pierwszy naszyły mnie wątpliwości, czy aby na pewno rozpoznałem trafnie mojego Dobroczyńcę, a nawet czy w ogóle był jakiś Dobroczyńca?

A ponieważ czas się nie wypełniał i Jezus nie powracał, moje wątpliwości rosły i za Marka Aureliusza – filozofa i żołnierza jak ja – sam dałem pasy z chrześcijan, wystawiając na próbę ich pogardę śmierci i czyniąc zadość ich pragnieniu męczeństwa. Jednak już za Kommodusa dałem się dla Krzyża rozdzierać hakami, a za Decjusza nawet łamać kołem. Za Waleriana nurzałem chrześcijan we wrzącej oliwie, żeby za Dioklecjana sam piec się na ruszcie. Za Konstancyntyna zaciągnąłem się z powrotem do wojska i od tamtej pory na ogół bronię wiary, choć od czasu do czasu także ją zwalczam. I tak, nawracałem mieczem Brytów i Germanów, gromiłem Gotów, Hunów i Bułgarów, walczyłem z Węgrami i Saracenami, pomagałem Bizantyjczykom odzyskać Kretę, jednak z drugiej strony popierałem także gorąco cesarza Juliana i biłem się w szeregach Sasów z Karolem Wielkim.

– Wybacz, ale nie potrafię cię zrozumieć. Czego ty właściwie chcesz, Mamerkusie? – zapytałem zbity zupełnie z tropu.

– Ja? Tylko odejść *ad patres*.²⁶

- Niech Bóg się nad tobą zlituje! – rzekłem ze współczuciem.
- Który? – zapytał kpiącym tonem.
- A idź do diabła! – wybuchnąłem. – Nie zaczynajmy wszystkiego od nowa.

Powiedz lepiej, gdzie leży to twoje Źródło?

- W Syrii, gdzieś na wschód albo na północ od Emesy.
- A konkretnie?
- Nie pamiętam.
- Na rany Chrystusa, musisz to sobie przypomnieć! To dla mnie niezwykle ważne! – złożyłem ręce jak do modlitwy.
- Dobrze, spróbuję – pokręcił głową, jakbym żądał od niego rzeczy niemożliwej.
- Błagam! Specjalnie po to odwiedzę cię w obozie. I jeszcze jedno. Czy możesz przysiąc, że to wszystko... prawda? – upewniłem się na wszelki wypadek.

W odpowiedzi El Latino uniósł prawą rękę i rzekł uroczyście:

– Przysięgam. A

Świadkiem tych słów niech mi będzie słońce i ziemia, dla której

Tyle mogłem wycierpieć tak srogich trudów, i Jowisz

*Rodzic wszechmocny, i ty, jego boska małżonko Junono!*²⁷

III

Po odjeździe El Latino pod Hueskę dniem i nocą rozmyślałem o Źródle odkrytym przez niego na Wschodzie. Nie miałem żadnych wątpliwości, że w jakiś cudowny, choć nieznany sposób łączyło się ono ze świętą krynica tryskającą w Raju, którą widziałem na własne oczy. Wszak tylko w Raju – położonym o wiele dalej na Wschodzie niż Babilonia, Chaldea i Ofir, skąd trzej królowie przywieźli Dzieciątku mirrę, kadzidło i złoto, i gdzie do tej pory żyją ich potomkowie będący tak dobrymi chrześcijanami, że kiedy poganin lub odszczepieniec usłyszy od nich słowa Ewangelii, natychmiast się nawraca albo pada trupem – nie znano ran, chorób, starości i śmierci, o czym mogliby zaświadczyć Henoch i Elias, oczekujący tam od wieków w dobrym zdrowiu na powrót Pana, co osądzi żywych i umarłych.

Toteż nie zastanawiałem się w ogóle, czy powinienem szukać Źródła, lecz jedynie nad tym, jak do niego dotrzeć. Ze względów bezpieczeństwa zdecydowałem się na szlak lądowy, nie tylko dlatego, że prowadził przez ziemie zamieszkałe przez chrześcijan, ale również z tego powodu, że jak słyszałem góry magnetyczne, które otaczają Raj Ziemi, wyciągają ze statków wszelkie żelazo, czym sprawiają, że statki te rozpadają się i pogrążają bez śladu w topieli.

A jeśli czegoś się bałem myśląc o Wschodzie, to na pewno nie Saracenów, których poznałem nie najgorzej, nie trudów i niebezpieczeństw dalekiej wyprawy, gdyż te miałem sobie za nic, nie zamieszkujących owe strony lwów i gryfonów, potrafiących unieść w powietrze tłustego wołu lub bojowego konia, nie ludożerców czy krwiożerczych faunów, nie cyklopów o czterech rękach czy skrzydlatych węży, jak też z pewnością nie ludzi z oczami na piersiach oraz tych, którzy mają zwyczaj chronić się przed słońcem, leżąc na plecach w cieniu swej jedynej, wyprężonej nad głową nogi, ani nawet nie osławionego morza piasku, które podobno nigdy nie bywa spokojne i gdzie można spotkać wcielonego Diabła, lecz bałem się tego i wyłącznie tego, że bez dokładnej wiedzy o położeniu Źródła mogę go szukać na próżno przez całe życie.

Dlatego, gdy wreszcie mogłem utrzymać się w siodle, pożyczyłem konia i pojechałem do obozu, aby raz jeszcze pomówić z Mamerkusem.

Już sam widok jego namiotu, z powiewającą na głównym maszcie wstążką kiru, wzbudził mój niepokój. Po wejściu do środka, w panującym tam półmroku zauważyłem kilku znajomych rycerzy w towarzystwie zakonnego medyka, opiekującego się na miejscu rannymi.

– Niech będzie pochwalony! – rzekłem zaskoczony tak licznym zgromadzeniem. – Gdzie jest El Latino?

– Na wieki wieków! – odparł zakonnik i wyciągnął przed siebie rękę. – Tam.

Dopiero wtedy zauważyłem prowizoryczny stół z surowych desek, nakryty tkaniną. Zaszyty w grube płótno, spoczywał na nim ktoś, czyja sylwetka rzeczywiście przypominała Rzymianina, choć był od niego sporo niższy, czy właściwie krótszy. U wezłowania nieboszczyka palił się ogarek, w nogach stała miska z wodą święconą, a obok niej leżał złamany miecz, ułożony na kształt krzyża.

– To niemożliwe! – wykrztusiłem zegnając się na ten widok. – To zupełnie niemożliwe!

– Niemożliwe? A niby dlaczego? – zdziwił się braciszek. – Prawie każdy, kto się urodził, musi kiedyś umrzeć. On do dzisiaj był tym, czym my wciąż jesteśmy, jutro my będziemy tym, czym on jest teraz. Co w tym znajdujesz dziwnego?

– Po prawdzie, to nic – przyznałem nie chcąc rozwijać swoich wątpliwości. – Jak do tego doszło? Kiedy? Dlaczego?

– Dziś rano, podczas szturm na mury.

– Jak umarł? Czy powiedział coś przed śmiercią? Jaki miał wyraz twarzy, kiedy oddawał ducha? – indagowałem dalej.

– Zginął na miejscu, a wyrazu twarzy nie miał żadnego, bo głaz z katapulty urwał mu głowę – wyjaśnił zakonnik.

Przeżegnałem się raz jeszcze.

– Czy idąc w bój otrzymał rozgrzeszenie?

– Jak wszyscy. Drugiej absolucji udzielię mu nad grobem.

– A co z dobrami, jakich spodobało się Bogu użyć mu na tym świecie?

Po tych słowach brat zakonny spojrział na mnie nieufnie.

– Wszystko, co pozostawił, zostanie rozdane ubogim, bo zmarł bez testamentu. Czyżby był ci coś winien?

– Nie. Ale obiecał mi swój krzyżyk. Taki mały, złoty, starodawnej roboty. Czy miał go może na szyi?

– Miał i ma nadal. Chcesz, żebyśmy rozpruli całun?

– Nie – odparłem po chwili zastanowienia. – Niech go już lepiej zabierze ze sobą.

Nasz medyk skinął z uznaniem głową, a potem złożywszy ręce do modlitwy, poprosił wszystkich obecnych:

– A teraz pomódlmy się, bracia. Wybaw, Panie, duszę Twojego sługi, którego znaleźliśmy jako El Latino, a który oddał dziś życie za Twą świętą wiarę, tak jakoś wybawił Henocha i Eliasza od śmierci wspólnej wszystkim ludziom, jakoś wybawił Noego z Potopu, jakoś wybawił Izaaka od zabicia z ręki ojca jego Abrahama, jakoś wybawił Mojżesza z ręki Faraona, króla egipskiego, jakoś wybawił Daniela z jaskini lwów i jakoś wybawił Dawida z rąk Goliatów. Ty,

któryś przybył odkupić nas własną krwią, nie gub jego duszy, ale wejrzyj na niego łaskawie i przyjdź mu dzisiaj z pomocą.

– Amen! – powiedziałem jak wszyscy. A potem pokropiliśmy zwłoki El Latino wodą święconą i zanieśliśmy je na cmentarz polowy, gdzie złożyliśmy je do wspólnej mogiły razem z ciałami innych poległych podczas tego samego szturmu.

Kiedy grabarz przysypał dół ziemią i wszyscy się rozeszli, pozostałem na miejscu i jeszcze długo modliłem się za spokój duszy nieszczęsnego Rzymianina, po czym wróciłem przybity do klasztoru.

Śmierć Mamerkusa sprawiła mi wielki zawód. Z początku podejrzewałem nawet, że zakpił sobie ze mnie okrutnie i wystrychnął mnie złośliwie na dudka, jednak potem, przypomniawszy sobie jego opowieść, doszedłem do wniosku, że raczej nie kłamał. Ale jakież znaczenie miało to, czy jego pokuta dobiegła po prostu końca, czy może sam Pan Bóg przerwał ją gwałtownie z powodu jej kłującej w oczy jałowości? W obu przypadkach Źródło pozostawało tak samo odległe i trudne do znalezienia! „W Syrii, gdzieś na wschód albo na północ od Emesy”, to było stanowczo za mało! Zniechęcony zacząłem już nawet myśleć o powrocie na Północ, kiedy któreś bezsennej nocy przypomniałem sobie, że powiedziane jest przecież: *Szukajcie, a znajdziecie*²⁸, i że gdyby nawet, z powodu moich grzechów, słowa te nie miały zastosowania do mnie, to powiedziane jest również: *Proście, a będzie wam dane*²⁹, gdzież zaś można prosić skuteczniej i z większą nadzieją na to, że się zostanie wysłuchanym, jak nie u Grobu Świętego, położonego w tych samych co i Źródło stronach?

Myśl o połączeniu poszukiwań Źródła z *iter hierosolymitanum*³⁰ położyła kres moim wahaniom. W parę dni później odebrałem od Tito moje dwa konie, uściskałem go raz jeszcze, a następnie, po podziękowaniu mnichom za troskliwą opiekę i zamówieniu u nich pięciu mszy za duszę nieszczęsnego Rzymianina oraz tyłu samo za powodzenie mojej wyprawy, ruszyłem rażno na Wschód. Żałowałem jedynie, że nie pożegnałem się z Subh, ale to ona skryła się przede mną w jakimś zakamarku klasztoru i przed wyjazdem nie mogłem jej nigdzie znaleźć.

Moje pierwsze kroki skierowałem w stronę widniejącej na horyzoncie góry, której przyglądałem się nieraz z murów Montearagón. Jej kształt, przypominający ogromną muszlę morskiego stworzenia zwanego przez miejscowych *vieira*³¹, szczególnie drogi wszystkim pielgrzymom udającym się do grobu Apostoła, zdał mi się zesłanym przez Opatrzność znakiem, dającym rękojmię zbożnego początku i wróżącym szczęśliwy koniec podjętej przeze mnie wyprawy.

Choć niedługo kończył się kwiecień, w drodze dokuczało mi zimno i deszcz. Jechałem przez kraj spustoszony nieustanną wojną i do tego stopnia wyludniony, że przez cały pierwszy dzień nie spotkałem żywego ducha. Mimo, że dzika i bezludna, była to jednak ziemia chrześcijańska, dlatego nie zachowywałem szczególnej ostrożności, a swoją kolczugę wiozłem w jukach, podobnie jak i tarczę.

Przyszło mi tego gorzko pożałować, kiedy pod wieczór, pragnąc napić konie w mijanym strumieniu, dojrzałem za drzewami palące się ognisko i podjechałem ufnie w jego stronę.

Kiedy zorientowałem się, że siedzący przy nim ludzie to Saraceni, było już za późno, żeby się wycofać. Dostrzegłem tylko trzech grzejących się przy wieczery w ciepłe ognia, ale mogło ich być znacznie więcej i może któryś z nich mierzył już do mnie z łuku lub kuszy. Dlatego kiedy owa trójka powstała na mój widok, zatrzymałem się i uniosłem ręce do góry na znak, że nie żywię wobec nich wrogich zamiarów. Jeden z

Maurów, wyglądający na dowódcę, wyjął z pochwy szablę i przyglądał mi się przez chwilę z uwagą, potem zaś, widząc, że nikt za mną nie nadciąga, pokazał, żebym zsiadł z konia i podszedł do nich bliżej. Nie miałem wyboru, więc zrobiłem, czego żądał, ale podchodząc do ogniska, przesunąłem nieznacznie pas, tak aby w każdej chwili móc sięgnąć do broni.

Tymczasem tamten wskazał mi miejsce przy ognisku, po czym, kiedy posłusznie usiadłem, schował szablę i usiadł w kucki naprzeciw mnie. Następnie powiedział coś swojemu słudze, który nałożył mi zaraz pełną miskę kuskusu z suszoną jagnięciną.

- *Shok-run!*³² – podziękowałem mu jednym z niewielu znanych mi słów saraceńskich i skłoniłem się przy tym głęboko.

Odpowiedział mi skinieniem głowy, po czym zabrał się w milczeniu do jedzenia. Był mniej więcej w moim wieku, miał pociągłą twarz o regularnych rysach, orli nos, niebieskie oczy i jasną, krótką brodę, rozdzieloną starannie na dwie części. Na głowie nosił czarny turban, a pod futrem, którym był okryty, wojskowy dolman tej samej barwy. Oprócz schowanej już do pochwy szabli, nie miał innej broni i też był bez kolczugi. Kiedy skończyłem jeść, kazał podać mi bukłak z wodą, później zaś zadał mi jakieś pytanie, którego oczywiście nie zrozumiałem. Wtedy drugi z jego towarzyszy, grubas z krótką, rzadką brodą, przetłumaczył je cienkim głosem na chrześcijański.

– Mój pan, wielmożny Al-Muzaffar Ibn Al-Kasim Ibn Masud, pyta, dokąd to Bóg prowadzi?

– Do Ziemi Świętej, z pielgrzymką – odpowiedziałem jak najuprzejmiej.

Gdy przełożono mu moje słowa, Al-Muzaffar pokiwał z uznaniem głową i rzekł przez tłumacza:

– Ja też chciałbym się tam wybrać z pielgrzymką, ale nigdy nie mam na to czasu. Ciągłe na przeszkodzie staje mi wojna albo inne, równie ważne sprawy.

– Mnie wojna już się znudziła. A co wy robicie w tych stronach, jeśli wolno spytać?

– Wielmożny Al-Muzaffar Ibn Al-Kasim Ibn Masud szuka żony – wyjaśnił grubas za przyzwoleniem swojego pana.

– Żony? Na tym odludziu? – zdziwiłem się.

Gruby uśmiechnął się nieznacznie, a potem zapytał o coś Al-Muzaffara. Ten kiwnął głową i wpatrując się w ognisko, zaczął mówić w swoim gardłowym języku:

– Wyswatano mnie z pewną kobietą z bardzo zacnego rodu. Swatka, która ją widziała, opowiadała mi cuda o jej urodzie i rozumie. Może ją przekupiono, może pokazano jej inną, może weszła z kimś w jakiś układ, dość, że po ślubie przeżyłem okropny zawód. Kiedy moja żona odsłoniła przede mną swoje oblicze, okazało się, że ma zęza i wielką brodawkę na lewym policzku. Widząc, jak bardzo jest szpetna, natychmiast zwróciłem jej wiano i odesłałem ją z powrotem do jej ojca. Niestety, po drodze napadli na jej orszak jacyś rabusie i wzięli ją do niewoli razem z innymi. I wtedy powiedziałem sobie: „Trudno, choć się do niej zraziłem, nie opuszczę przecież w niedoli kobiety, z którą się ożeniłem i która odsłoniła przede mną swoją twarz!”. No i szukam jej tak już od roku, jeżdżąc od jednego waszego zamku do drugiego, od miasteczka do miasteczka, od osady do osady.

– Szczerze ci współczuję, panie. Jak miała na imię twoja żona?

– Subh.

– Subh? W klasztorze, z którego jadę, poznałem jedną Subh, ale gotów jestem przysiąc na wszystkie świętości, że jest to kobieta niezwykle piękna.

Al-Muzaffar ciężko westchnął i pogrzebał polanem w ognisku.

– Tak, to częste imię. A ta twoja Subh, skąd wzięła się w klasztorze?

W odpowiedzi streściłem mu historię zasłyszaną od Subh. Gdy grubas mu ją przetłumaczył, Al-Muzaffar zaśmiał się i z uciechy aż klasnął dłońmi o uda.

– Myślę, że się nieźle zabawiła twoim kosztem! – wyjaśnił z uśmiechem od ucha do ucha. – Tę bajkę zna każde arabskie dziecko. Ciekawe, czy ta szelma z piekła rodem wspomniała ci również, jak się nazywał jej rzekomy mąż?

– Nie. Powiedziała tylko, że przybył do Al-Andalus z Ibn Tashfinem i że był jego chorążym w bitwie pod Zallaqah.

Po tych słowach Al-Muzaffar zerwał się na równe nogi, jakby go użądliła pszczoła i zaczął coś gwałtownie wykrzykiwać.

– To ona! – z przestraczem w głosie rzucił w moją stronę zażywny tłumacz.

Tymczasem jego pan podskoczył do mnie, chwycił mnie za ramiona i zaczął mną z całej siły potrząsać, powtarzając w kółko tę samą frazę.

– Mój pan, wielmożny Al-Muzaffar Ibn Al-Kasim Ibn Masud, pyta, dlaczego powiedziałeś, że jego żona jest niezwykle piękna?! – przetłumaczył grubas, poblady nagle jak ściana.

– Powiedz mu, że nie wiem. Tak sobie. Bez powodu.

Gdy Al-Muzaffar usłyszał moje słowa, jego oblicze wykrzywiła jeszcze większa wściekłość i sycząc coś z nienawiścią, ni stąd ni zowąd zaczął mnie dusić! W pewnym momencie uderzył mnie nawet w twarz.

– Ty chrześcijańska świno! – wyjąkał ze strachem tłumacz. – Mój pan powiada, że jesteś parszywym psem i kłamiesz jak najęty. Przed chwilą byłeś gotów przysięgać na wszystkie świętości, że jego żona jest niezwykle piękna. Jeśli chcesz żyć, przysięgnij teraz na prawdę twojej religii, że kłamałeś!

Nie odpowiedziałem na to ani słowem, tylko znieacka zadałem mojemu przeciwnikowi kolanem silny cios w przyrodzenie, po czym odepchnąłem go od siebie i wyszarpnąłem z pochwy broń. On zrobił to samo równie szybko i rzucił się na mnie przez ognisko. Obaj służący czmychnęli czym prędzej na boki.

Al-Muzaffar zadawał potężne ciosy i widać było, że zna się na rzeczy. Był jednak zbyt zamroczony gniewem i to go zgubiło. W pewnej chwili, chcąc włożyć w kolejne uderzenie jeszcze więcej siły, odchylił ramię za bardzo do tyłu, i to mi wystarczyło, żeby go przebić na wylot poniżej szyi. Kiedy osunął się bezwładnie na ziemię, jeden ze służących rzucił się natychmiast do ucieczki i zniknął w ciemnościach. Drugi, ten, który nam służył za tłumacza, z powodu swej tuszy nawet nie próbował uciekać, tylko usiadł bezradnie na ziemi, gdzie drżał jak osika i pocierał nerwowo czoło. Już wzniosłem miecz, żeby i jego posłać do diabła, kiedy zasłaniając się przede mną łokciem, jęknął błagalnie:

– Panie, stój! Człowiek to nie trawa, ścięty nie odrośnie!

Zawahałem się, a on, widząc to, ciągnął czym prędzej dalej:

– Za co chcesz mnie zabić? Przecież nie obraziłem ani ciebie, ani twojej matki, ani nikogo z twoich bliskich i nie przywłaszczyłem sobie niczego, co by było twoje! Dlaczego chcesz się dopuścić bezprawia, którym brzydzi się Allah i wszelkie stworzenie?!

Z mieczem ciągle wzniesionym nad jego głową, zapytałem:

– Kim jesteś, psie?

– Jestem *katib*.³³ Ja tylko tłumaczyłem wielmożnego Al-Muzaffara! – złożył ręce jak do modlitwy.

– I robiłeś to aż za dobrze! – warknąłem w odpowiedzi.

– Panie! – chwycił mnie za nogi. – Wartość każdej rzeczy na tym świecie można wyrazić przy pomocy pewnej liczby rzeczy podobnych, choć w gorszym gatunku. I tak, jedna dobra szabla jest warta pięć kiepskich szabel, jeden piękny dywan trzy liche dywany, jedna perła bez skazy dziesięć poślednich pereł, i tylko dobry człowiek jest bezcenny, bo nie da się go zastąpić nawet tysiącem ludzi podłych! Czyżby również wśród chrześcijan było już trudno o dobrych ludzi?!

– Co znaczy „również”?! Czy twój pan nie był dobrym człowiekiem? – zapytałem go nieco spokojniej i opuściłem powoli miecz.

– Najlepszym ze wszystkich, ale już nie żyje. Jakże głupio dał się zabić z powodu jakiejś kobiety!

– Była jego żoną i bronił jej honoru. Zresztą, cóż ty możesz o tym wiedzieć, skoro jesteś kapłanem, jeśli się nie mylę? – skrzywiłem się z niechęcią.

– To prawda, ale z tego, że inaczej patrzy na owcę kucharz i pasterz, nie wynika jeszcze, kto z nich ma rację. Mój pan leży teraz martwy i nie znalazły się nawet dwie kozy, które by się pobodły z tego powodu!

Po tych słowach rozpląkał się. Wówczas schowałem definitywnie broń do pochwy i zapytałem go, jak ma na imię.

– Yu...suf – wyszłochał w odpowiedzi.

– Yusufie! – oświadczyłem uroczyście. – Chociaż z ciebie nędzny poganin, przez wzgląd na imię świętego opiekuna naszego Zbawiciela, które nosisz, daruję cię życiem i zdrowiem.

– Och, panie! – otarł rękawem łzy i rzucił się całować moje stopy. – Oby Allah wylał na ciebie całą obfitość swoich darów i oby zawsze ratował cię z sideł nieszczęścia!

– Dość już tego! – odepchnąłem go nogą od siebie. – Pogrzeb swojego najlepszego z panów i ruszamy w drogę.

– W drogę?! – zdziwił się. – Dokąd?!

– Słyszałeś, do Ziemi Świętej. Od dziś będziesz moim tłumaczem. I nie łudź się. Jeśli spróbujesz uciekać, zabiję cię jak psa.

Skrzywił się na te słowa, ale czym prędzej pokrył twarz uśmiechem i wykrzyknął:

– Och, chwała niech będzie Panu Światów! Do Boga należy Wschód i Zachód, gdziekolwiek się obrócimy, tam jest oblicze Boga! Wierz mi, panie, że zawsze marzyłem o tym, żeby odbyć pielgrzymkę do Ziemi Świętej. Zobaczysz, jak cię ugoszczę, kiedy będziemy przejeżdżać przez Kordobę!

– Nic z tego. Żadnej Kordoby. Wystarczy, że twój poprzedni pan głupio zginął. Pojedziemy przez kraje chrześcijańskie – wyprowadziłem go z błędu.

– Panie, to niebezpieczna droga, prowadzi przez z *Dar al-Harb*³⁴, ziemię wojny, zamieszkaną przez złych ludzi: Franków i Rumów, jak też kraj

Seldżuków...

– Seldżuków? A co to za jedni? – zaciekawilem się.

– Turcy. Jedyne co da się o nich powiedzieć dobrego to to, że wyznają Allaha.

– A zatem to twoje zmartwienie. Z Frankami, a nawet ze schizmatykami poradzę sobie sam. No jazda, bierz się do roboty! – rozkazałem.

W czasie gdy kopał grób dla Al-Muzaffara – szło mu wolno, bo musiał pracować nożem i miską, a ziemia była usiana kamieniami – obejrzałem sobie ich konie i rzeczy. Zabrałem tylko to, co mogło mi się przydać w dalszej drodze, czyli pieniądze, prowiant i konie, które przywiązałem rzemieniem do moich własnych. Kiedy Yusuf to spostrzegł, odezwał się z dołu, w którym tkwił dopiero po kostki.

– Bierzesz je wszystkie, panie?

– Owszem. Bo co?

– Ten gniady to koń Abdullaha. On tu na pewno wróci, a bez konia trudno mu będzie dotrzeć do Al-Andalus – wyjaśnił.

– Do granicy niedaleko. Dojdzie na piechotę.

– O ile nie zginie wcześniej z ręki złych ludzi albo od dzikich zwierząt.

– To jego problem. Ten koń wart jest na oko ze dwieście dirhamów. Tyle, co dwie chabety. Pośpiesz się – uciałem dalszą dyskusję.

Dokończył kopania, nie odzywając się więcej ani słowem. Wtedy pomogłem mu umieścić ciało Al-Muzaffara w mogile, a kiedy przysypał je ziemią i obłożył z wierzchu kamieniami, pozwoliłem mu jeszcze pomodlić się za duszę jego byłego pana, po czym ruszyliśmy w drogę. Tej nocy, spędzonej parę mil dalej, a także następnej, wiązałem go, kiedy kładliśmy się spać, aby mi nie uciekł. W ciągu dnia nie musiałem tego robić, gdyż jechałem na najlepszym koniu i dogoniłbym go bez trudu już po paru chwilach.

Jechaliśmy przez coraz dziksze okolice, zbliżając się powoli do podnóża gór o szczytach pokrytych śniegiem. Jedyne ludźmi napotkanymi po drodze była grupka pątników zmierzających do Composteli. Dla zabicia czasu, rozmawialiśmy z Yusufem o tym i owym, coraz bardziej się ze sobą oswajając. Wreszcie, trzeciego dnia naszej wspólnej wędrówki, zapytałem go z nudów:

– Yusufie, powiedz mi, jak to się stało, że zostałeś wałachem?

Uśmiechnął się nieznacznie, pogładził swoją rzadką brodę i odpowiedział mi na to pytaniem:

– A czy wierzysz, panie, że wszystkie nieszczęścia tego świata są karą, jaką za nasze grzechy zsyła na nas Ten, który ściera to, co podsuwa Szejtan?

– Nawet jestem tego pewny – potwierdziłem.

– Nie inaczej zatem było także w tym przypadku, choć jest on tylko kolejnym ogniwem łańcucha nieszczęść, jakie od pokoleń trapią moją rodzinę.

– Naprawdę? – Zainteresował mnie tym wstępem.

– Tak jest, panie. Wszystko zaczęło się Mieście Pokoju³⁵, gdzie w czasach małoletniości Al Muktadira najdawniejszy z moich przodków, o którym cokolwiek wiadomo, Abu Mansur – niech Bóg się nad nim zlituje! – pracował jako szachista na dworze Ibn al-Furata. Pewnego razu sławny ów wezyr ogłosił wszem i wobec, że potrzebuje do wykonania pewnego zadania kogoś, kto nie wierzy w Boga ani w Dzień Ostateczny. Ponieważ obiecał za to sowiłą nagrodę, mój przodek Abu Mansur zgłosił się jako pierwszy. Zadanie polegało na tym, żeby wydobyć z niejakiego Ibn al-Hadjdjadja informację, gdzie ukrył piętnaście tysięcy dinarów, które sobie przywłaszczył, kiedy sprawował wysoki urząd w Al-Ahwazie.

Abu Mansur udał się do więzienia, w którym trzymano Ibn al-Hadjdjadja, kazał go sobie przyprowadzić i zapytał, gdzie się podziały sprzeniewierzone pieniądze. „Jakie pieniądze?”, odpowiedział na to Ibn al-Hadjdjadj, identycznie jak podczas wszystkich wcześniejszych przesłuchań, które nie dały żadnego rezultatu. Mój przodek polecił go więc solidnie wychłostać. Kiedy to nie pomogło, kazał przypiekać mu boki, wbijać mu trzcinę pod paznokcie, trzymać go długo pod wodą, rozciągać go na koźle, przykładając mu do ciała rozgrzaną patelnię, wlewać mu do nozdrzy ocet, obkładać go stosem cegieł, a wreszcie, przy pomocy bloku, powiesić go za ręce na wysokim palu. Ale choć Ibn al-Hadjdjadj cały czas wzywał Boga i wołał głośno o litość, pytany o to, gdzie schował pieniądze, odpowiadał niezmiennie: „Jakie pieniądze?”. Zrezygnowany Abu Mansur usiadł pod palem, żeby się zastanowić, co mógłby jeszcze w tej sprawie począć. W końcu, doszedłszy do wniosku, że najlepiej będzie odłożyć całą rzecz do jutra, aby Ibn al-Hadjdjadj przypadkiem nie umarł i nie zabrał ze sobą sekretu do grobu, machnął ręką i rzekł do ludzi trzymających sznur: „Na dziś wystarczy. Puśćcie już tego sukinsyna”. Wtedy ci puścili sznur, a Ibn al-Hadjdjadj zleciał wprost na mojego przodka, że zaś był gruby i tłusty, skręcił mu przy tym kark, sam nie ponosząc większej szkody.

– Myślę, że Abu Mansurowi się to należało – stwierdziłem z przekonaniem. – Za jego bezbożność i brak sumienia

– Zapewne panie, zapewne, choć był moim przodkiem. Powinien był wiedzieć, że kto czyni dobro, czyni je dla samego siebie, a kto czyni zło, też czyni je głównie dla samego siebie – zgodził się ze mną Yusuf.

– Co było dalej? – zapytałem.

– Syn Abu Mansura, Muhammad Ibn Abu Mansur, nie mogąc poradzić sobie z nędzą, w jaką popadł po śmierci ojca, przystał w charakterze poganiacza wielbłądów do pewnej karawany, z którą wywędrował do Egiptu. Tam miał się różnych zawodów, ale dobrze zaczęło mu się powodzić dopiero wtedy, kiedy

w Al-Fus – tacie zajął się handlem niewolnikami. Handlował Hinduskami, Berberkami, Nubijkami, Ormiankami, Etiopkami, Bizantynkami i kobietami z najodleglejszych nawet zakątków świata. I choć najlepiej sprzedawały się Słowianki o ciężkich piersiach oraz jasnoskóre Turczynki, z których każda to istna kopalnia potomstwa, a także namiętne jak kotki córki Heratu i mieszkanki Komdakar, które posiadają tę wielką zaletę, że jeśli nawet kiedyś poznały mężczyznę, po jakimś czasie znów stają się dziewczycami, cała reszta również cieszyła się wielkim wzięciem. Interes szedł znakomicie, zwłaszcza że Muhammad miał także pełen wybór mężczyzn ze wszystkich stron świata, w każdym odcieniu skóry i zdalnych do wszelkiej pracy, a może jeszcze bardziej dlatego, że tylko Ten, przed którym nic nie jest zakryte, wie, ile razy mój przodek poprawiał Jego dzieła z pomocą farb, kleju, bielidła, barwiczek, kautera, brzytwy, nożyc i żelazka, a nawet cudzych włosów i sztucznych zębów z kości słoniowej. Niestety! Zamiast cieszyć się, że Najwyższy pobłogosławił mu w interesach i spokojnie zażywać dostatku osiągniętego po latach biedy i poniewierki, Muhammad zrobił to, czego, jako kupcowi, nie wolno mu było czynić pod żadnym pozorem! Bo tak jak handlujący jedwabiem nie może zanadto cenić strojów, a księgarz nie powinien zbyt miłować książek, gdyż inaczej trudno byłoby im rozstać się z dobrem przeznaczonym na sprzedaż, tak też i handlarzowi niewolników nie wolno przywiązywać się nadmiernie do swego towaru, albowiem może się to dla niego skończyć fatalnie. A mój przodek nie tylko się doń przywiązał, ale w dodatku zakochał się w nim na zabój.

– W kim? Pewnie w jakiejś Słowiance albo w Turczynce? – próbowałem zgadnąć.

– Nie, panie. Zapałał najtkliwszą miłością do młodego greckiego niewolnika imieniem Georgios.

– Cóż za bezwstyd!

– Dlaczego, panie? Nie wiesz, że miłość posiada ogromną władzę nad ludźmi i często zabawia się z nimi jak kot z myszą? W dodatku łatwo się jej nabawić, lecz trudno się z niej wyleczyć. Tak właśnie było w przypadku biednego Muhammada. Zupełnie oszalał na punkcie owego Greka, nie jadł, nie pił, nie sypiał po nocach, zaniedbał swój dom i interesy, jego harem stanął otworem dla obcych, pozwolił wreszcie, żeby mówiono o jego żonach. Obsypywał Georgiosa kosztownymi prezentami, sprawił mu dom z pięknym ogrodem, kupił mu niewolników do obsługi, podarował syryjską śpiewaczkę, ale w żaden sposób nie mógł zdobyć jego wzajemności. Prawdę rzekłszy, ów Grek kochał kogoś innego, o czym Muhammad zresztą wiedział i co sprawiało, że cierpiał w dwójnasób. W końcu, bliski samobójstwa z powodu nieszczęśliwej miłości, ukląkł przed

swoim niewolnikiem i zapytał załamany, co powinien zrobić, aby ten raczył go pokochać?

– Przejdź na moją wiarę – zaproponował chytry Grek, licząc widocznie na to, że tym go zniechęci. Tymczasem mój przodek – niech Bóg okaże mu miłosierdzie! – który dobrze wiedział, że miłość nie tylko burzy spokój ducha i wznieca pożar w sercu, ale także usztywnia giętkie, rozluźnia sztywne, ścina krew, rozrzedza mózg i dopuszcza rzeczy zakazane, odparł bez namysłu:

– Skoro nie ma innego wyjścia, niech tak będzie. Od dziś uważaj mnie za chrześcijanina.

Jednak nie dane mu było zaznać szczęścia! Zaślepiiony uczuciem nie zauważył, że jedna z jego żon, zazdrosna o tego niewiernego, od dawna kazała go śledzić. Zaraz też doniosła o wszystkim kadiemu. Przed sądem Muhammad nie zaprzeczył, że wyparł się prawdziwej wiary, toteż zginął rzucony słońcem na zdeptanie.

– Chociaż był chrześcijaninem, poniósł słuszną karę za swoją rozwiąłość – stwierdziłem z przyganą.

– Nie przeczę panie, nie przeczę, zwłaszcza że zapomniał, iż tacy jak on nie wejdą do Ogrodu, dopóki wielbłąd nie przejdzie przez ucho igielne – przyznał z westchnieniem Yusuf.

– Kto był jego potomkiem?

– Abu Shakir Ibn Muhammad, o którym wiadomo tylko tyle, że zginął młodo na wojnie świętej przeciwko tym, którzy przydają Bogu współtowarzyszy. Mimo to uczeni ulemowie powiedzieli rodzinie, że Abu Shakir niekoniecznie trafił do raju, jako że śmiertelną ranę zadano mu w plecy. Oby Allah się nad nim ulitował, tak samo jak nad jego jedynym synem Ibrahimem, którego ukrzyżowano!

– Ukrzyżowano?! Czyżby za to, że i on został chrześcijaninem? – zdumiałem się niepomierne.

– Nie, panie, jak też na pewno nie za rozdawanie jałmużny czy za głoszenie Koranu niewiernym, ale za to – jak głosił wyrok – że był większym przyjacielem cudzego dobra niż samego Stworzyciela. Zapomniał, nieszczęsny, że to Allah daje najlepsze zaopatrzenie i próbował je zdobywać na własną rękę, łupiąc pielgrzymów udających się do Mekki.

– Widzę, że krótka pamięć jest w twoim rodzie dziedziczna – zauważyłem z przekąsem.

– Oprócz Boga nikt nie jest doskonały, panie. Czy chcesz posłuchać o Omarze, synu Ibrahima?

– Więc to jeszcze nie koniec? – westchnąłem.

– Nie, lecz bądź spokojny, wszak prócz łaski Boga wszechmogącego udzielanej tym, którzy są Mu bliscy w raju, i mąk w ogniu piekielnym

przeznaczonym dla Jego wrogów, wszystko, co ma swój początek, musi mieć też i koniec.

– Mów zatem – westchnąłem ponownie.

– Mając w pamięci los, jaki spotkał jego ojca, Omar Ibn Ibrahim obrał sobie profesję może nie aż tak ambitną, ale za to bezpieczniejszą, bo postanowił zostać żebrakiem. W krótkim czasie zgłębił wszelkie arkana trudnej sztuki zdobywania jałmużny, dochodząc w niej do godnego podziwu mistrzostwa. I tak, kiedy zwracał się o wsparcie do sunnity, przeklinał na głos Alego i Al-Husajna, natomiast kiedy zaczepiał szyitę, ciskał gromy na Mu'awiję i Abu-Bakra; litościwie kobiety błagał o miłosierdzie w imię Aiszy i Fatimy, zaś wszystkich razem w imię samego Wszechmogącego oraz Jego Wysłannika.

Szczególnie duże datki otrzymywał wtedy, kiedy zbierał pieniądze na świętą wojnę lub na wykup jeńców z niewoli niewiernych. Nauczył się malowniczo drapować łachmany, tak, aby już z daleka wzbudzały litość przechodniów. Potrafił zawodzić i płakać na zawołanie, wymiotować przy lada okazji, wić się w ataku padaczki, udawać kalectwo, ciężkie poparzenia oraz wszelkie znane i nieznanne choroby, a także tak zaplątać swoje członki, że wyglądały, jakby bez pomocy chirurga nie dało się ich już nigdy rozsupłać.

Kiedy zamiast pieniędzy rzucano mu kawałek chleba, rozplęwał się w podziękowaniach dla swego dobroczyńcy i całował ów dar z nabożnym respektem, dając do zrozumienia, że nie jadł już od miesiąca, a potem sprzedawał go hodowcom kur lub treserom gołębi pocztowych, co przynosiło mu dodatkowo do pół dirhama zysku. Aby nie zniechęcać ludzi do miłosierdzia, postępował podobnie, gdy zdarzyło mu się otrzymać od kogoś porządny burnus czy chodaki. Żeby nigdzie zbyt nie naprzykrzać i strzyc równo swoje owce, codziennie zebrał w innej dzielnicy miasta, oczywiście z wyjątkiem piątków, które spędzał zazwyczaj przed meczetem Ibn Tuluna, gdzie runo jego trzódki było najgęstsze i połyskiwało najbardziej srebrzyście. Nic dziwnego, że powodziło mu się dobrze i szybko stał się człowiekiem zamożnym. Niestety! – zaślepiony powodzeniem jak jego pradziad Muhammad, postanowił zwiększyć swoje dochody i w tym celu przeniósł się pod wspomniany meczet na stałe.

– Wnoszę z twojego westchnienia, że i jego w czymś zawiodła pamięć? – domyśliłem się.

– Panie, twoja przenikliwość jest tego rodzaju, że gdyby morze chciało cię zatopić, szybciej samo by wyschło. Masz po stokroć rację, mój przodek rzeczywiście zapomniał o dwóch ważnych rzeczach: po pierwsze o tym, że życie tego świata to tylko złudne używanie, a po drugie o tym, że wszelkie powodzenie budzi od razu zawiść. A przecież, gdyby o nich pamiętał, nie doznałby krzywdy nawet na łupinkę dakty la!

– Cóż takiego mu się przytrafiło?

– Któregoś razu, gdy zebrał pod meczetem Ibn Tuluna obsypany świeżymi strupami po ospie, wpadł w oko strażnikom wezyra, którzy kazali mu się stamtąd wynosić, aby nie pozarażał innych.

– Nikogo nie zarażę, przysięgam, a do jutra na pewno mi przejdzie! – próbował ich uspokoić Omar Ibn Ibrahim, przestraszony perspektywą utraty zarobku.

I wtedy, nieoczekiwanie, wzięli go w obronę miejscowi żebracy.

– To prawda – powiedzieli. – Ten człowiek z pewnością nikogo nie zarazi, bo to niezrównany okaz zdrowia. Spójrzcie tylko na niego, jeszcze wczoraj nie miał prawej ręki, a już dzisiaj pięknie mu odrosła.

– Czy to prawda?! – zmarszczył brwi jeden ze strażników wezyra.

– Dla Allaha nie ma rzeczy niemożliwych – odpowiedział na wszelki wypadek mój przodek, ale widocznie trafił na niedowiarków, bo stróże prawa rzucili się na niego z pięściami, a potem powlekli go przed oblicze kadiego. Tam okazało się, że strupy zesły jak ręką odjął razem z mydlinami, więc kadi kazał mu wymierzyć dwieście kijów. A kiedy podczas chłosty Omar Ibn Ibrahim wył wniebogłosy, sędzia dołożył mu jeszcze pięćdziesiąt, mówiąc:

– Bijcie go tak, żeby nie zapomniał tego do końca życia! Znam dobrze tych spryciarzy: udają śmierdzące truchła, a jak się ich puści wolno, śmigają niczym ptaszki z potrzasku ptasznika! A za pół dirhama daliby się żywcem wypatroszyć.

Wszelako Omara po tych batach musiano odnieść do domu na desce. Po dwóch miesiącach, kiedy mógł wreszcie stanąć na nogi, spakował cały swój majątek na trzy wielbłądy i wyruszył na Zachód, albowiem zabroniono mu przebywać w państwie Fatymidów. I powiem ci jeszcze, panie, że gdyby każda strzała mknęła do celu tak prosto, szybko i niechybnie, jak on mknął z Kairu na Zachód, na świecie ustałyby rychło wszystkie wojny z braku chętnych do wojowania.

– Dokąd się udał?

– Do Al-Andalus. A ponieważ bardzo tęsknił za ojczystymi stronami, osiedlił się nad samym morzem, w Maro koło Narija w emiracie Malagi, gdzie kupił dom i plantację trzciny cukrowej. Plantacją zajmowali się wynajęci robotnicy, on zaś przepędzał większość czasu na płaskiej skale wsuwającej się tam w morze niczym taras i popijał wino, którego uroki odkrył dopiero w tym kraju. Zawsze też zabierał ze sobą wędkę, ale nigdy nie łowił, tylko godzinami wpatrywał się w horyzont, jakby wierzył, że kiedyś zdoła wypatrzeć Afrykę. Niestety, któregoś razu, gdy wypił nieco więcej niż zwykle, zasnął zmorzony upałem, po czym sturlał się po pochyłości skały i wpadł do wody. Morze tego dnia było dość

wzburzone i choć od brzegu oddzielał go tylko rzut kamieniem, Omar Ibn Ibrahim utonął. A stało się tak, ponieważ nadszedł kres jego żywota.

– A przypadkiem nie dlatego, że zapomniał, iż wam, muzułmanom, nie wolno pić wina? – zauważyłem złośliwie.

– Możliwe, ale trzeba ci wiedzieć, panie, że do Proroka przyszedł kiedyś pewien człowiek i powiedział: „Wysłanniku Boga! Bez przerwy grzeszę na jeden z trzech sposobów: piję wino, cudzołożę, albo kłamię. Każ mi porzucić chociaż jeden z nich.” I rzekł do niego Prorok: „Przestań kłamać.” A wracając do Omara, to jego syn nie tęsknił już za Afryką i jak przystało na prawdziwego Andaluzjczyka, jako pierwszy w mojej rodzinie połknął haczyk poezji.

– Poezji?!

– A tak, panie – odparł z dumą Yusuf. – Czy słyszałeś kiedy o sławnym Zaidzie, który był poetą na dworze jeszcze sławniejszego Ibn Abi-Amira, zwanego Al-Mansurem?

– Nie, nigdy.

– Otóż, Al-Mansur, najpierwszy z wojowników i zwierciadło wiary – oby Bóg miał z niego pociechę! – lubił otaczać się uczonymi i ludźmi pióra. Jednym z nich był właśnie Zaid, o którym powiadano, że jeśli nawet nie przeczytał wszystkich książek, jakie są na świecie, to przynajmniej tak twierdził. Kiedyś, w obecności Al-Mansura, zazdrośni koledzy-pisarze postanowili go skompromitować i pokazali mu grubą księgę napisaną rzekomo przez jakiegoś Abu-FGhautha Zananiego, która oprócz tytułu „O głębokich myślach”, zawierała same czyste kartki. Zapytali go, czy zna to dzieło i co o nim sądzi. – „Oczywiście – odpowiedział Zaid – czytałem je w Kajrawanie i znam też komentarz, jaki ogłosił do niego sławny Safwan Ibn Salima z Nisaburu.” – „W takim razie, na pewno wiesz, co jest jego treścią?” – „Naturalnie – odparł Zaid – nie przytoczę wprawdzie z pamięci ani kawałka, bo czytałem je już dawno temu, ale pamiętam, że zawiera jedynie rozważania filologiczne, i to dość nudne.”

Wtedy wszyscy wybuchnęli śmiechem, a Al-Mansur, który otrzymał właśnie od jednego ze swoich gubernatorów list traktujący o sprawach związanych z uprawą roli i nawozach, zapytał Zaida: – „A czy znasz księgę Mambramana Ibn Yezida „Uprawa i nawóz”? – „Tak jest, miłościwy panie! – odrzekł Zaid – Czytałem ją w Bagdadzie, w kopii wykonanej przez niezrównanego Ibn Doraida”. – „Oszuście! – nie wytrzymał Al-Mansur – Mambraman Ibn Yezid nie jest żadnym autorem, tylko moim gubernatorem, a o uprawie roli i nawozach pisze w tym oto liście!” – „To świetnie, miłościwy panie – nie dał się zbić z tropu Zaid – ale z tego powodu nie sądzisz chyba, że ja coś zmyśliłem? Ja nigdy niczego nie zmyślam. Autor i książka, o której mówiłeś, istnieją naprawdę, daję

ci słowo, a że twój gubernator nosi to samo imię i nazwisko, to rzeczywiście ciekawy zbieg okoliczności.”

Tenże Zaid, który otrzymywał od Al-Mansura mnóstwo pieniędzy, przyszedł kiedyś do pałacu w towarzystwie bardzo wysokiego młodzieńca, ubranego w różnokolorowy strój uszyty z rozprutych sakiewek. Na ten widok Al-Mansur wykrzyknął: „A cóż to za biedaczysko? Jakże źle jest ubrany! Czemu odziewasz go w takie łachmany, Zaidzie?” – „Chciałem, żeby wszyscy wiedzieli, że w swej łaskawości ofiarowałeś mi dotąd panie tyle pieniędzy, że z pozostałych po nich sakiewek dało się uszyć ubranie na takiego drągała.” – odpowiedział Zaid. Al-Mansur uśmiechnął się i rzekł: „W niezwykle sposób wyrażasz mi swoją wdzięczność, Zaidzie. Jestem z ciebie zadowolony”. I natychmiast obsypał go nowymi łaskami.

– Widzę, Yusufie, że twój przodek Zaid miał głowę na karku i zaszedł bardzo wysoko. Gratuluję! – stwierdziłem ze szczerym uznaniem.

– Zaid? Nie, panie, moim przodkiem nie był Zaid, tylko ów młodzik w stroju z sakiewek, a na imię miał Yahya, Yahya Ibn Omar. Studiował wtedy w Kordobie, a Zaid wynajął go tego dnia za dwa dirhamy. Po tej przygodzie Yahya przekonał się, że z poezji można dobrze żyć i postanowił też zostać poetą. I jak postanowił, tak zrobił.

– Znasz jakieś jego wiersze?

– Tylko parę, bo chociaż ułożył ich kilka dywanów, wszystkie zostały spalone z wyroku kadiego.

– A to dlaczego? – zdziwiłem się.

– Dlatego, że był strasznym niedowiarkiem, co zresztą nikomu nie przeszkadzało, dopóki pisał tylko takie wiersze, jak choćby ten:

W noc równie ciemną, jak jej piękne oczy, Podczołgałem się do niej, kiedy strażę spały, „Odejdź!” – rzekła z lękiem, ja: „Przestań się droczyć! Nie wiesz, że to miłość włada światem całym?” Broniła się jeszcze, lecz takim sposobem, Żeby, broń Boże, nikogo nie zbudzić, A gdy noc zasnęła i dzień podniósł głowę, Byłem najszczęśliwszym spośród wszystkich ludzi.

Albo inny utwór, w którym Yahya drwił sobie z pewnego bogacza, co odmówił mu paru dinarów na wydanie wierszy:

Musa Ibn Yezid to zwolennik Lota:

Ma w dupie wszystko, co wielkie i wzniosłe.

A nawet ten, który znała na pamięć cała Kordoba:

Nie spieszno mi, Panie, do Twojego rajy: Tu też mam w bród hurys i złotego wina.

Niestety, mój przodek Yahya pisał również wiersze w których pozwalał sobie podważać święte zasady prawdziwej religii, a nawet samą wiarę jako taką,

i poniósł za to zasłużoną karę. Jedyne z tych utworów, jaki się zachował – i oby Ten, przed którym nie ma żadnej ucieczki, wybaczył mi, że ci go przytoczę! – brzmiał mniej więcej tak:

Czy to Bóg w nas wszczepił miłość do Boskości, Gdy stwarzał Adama, jak głoszą uczeni, Czy też ową miłość i obiekt miłości, Zrodziła samotność naszych serc na ziemi, Nie da się rozstrzygnąć. Tak jak nie wiadomo, Co było wcześniej – drzewo czy nasiono?

– Rzeczywiście wstrętny niedowiarek!

– Bez wątplenia, panie, ale dobry poeta. W więzieniu, gdzie zmarł z melancholii za panowania Hixema III, pisał już wyłącznie o przemijaniu:

Czerń moich włosów zraniła siwizna Na znak, że już wkrótce śmierć zrani me serce. Sam jestem ciekaw, czy wówczas też wyznam, Że kochałem życie – własnego mordercę?

– Domyślam się, że ów Yahya Ibn Omar także miał syna?

– Jakże by inaczej, panie, nawet paru. Najmłodszym był Abulcasim, mój ojciec, niech Bóg się za niego modli i da mu zdrowie! On także parał się piórem, choć nie uprawiał czystej poezji. Ponieważ był bystry od małości, to właśnie on odziedziczył po ojcu ogromną bibliotekę, którą uzupełniał przez całe życie, zaś pieniądze na ten cel zdobywał pisaniem listów. Potrafił pisać wspaniałe listy na każdą okazję: świąt, objęcia tronu, zaślubin, wypowiedzenia bądź zakończenia wojny, narodzin dziecka, awansu, rozstania lub pojednania się z kochanką, odprawienia żony, czyjejś śmierci, skrócenia wyroku, a nawet utraty urzędu. Jego listy zamawiali emirowie, wezyrowie, szejkwowie, kadi, wysocy urzędnicy dworu, prawnicy, teologowie i uczeni różnej specjalności, zaś niektóre z nich weszły do rozmaitych zbiorów i podręczników epistolografii. Posłuchaj na przykład tego, w którym zwraca się do pewnej damy:

„Pani, wypatrywałem Twojego listu niczym Idris raju, niczym dusza sprawiedliwa Dnia Rozliczenia, niczym grzesznik otwarcia winiarni i niczym kupiec z Mekki karawany Persów! Aż wreszcie nadszedł, pachnący piżmem i wonnościami, sprawiając mi większą radość niż rozbłysk świtu temu, kto nocą przemierza samotnie góry! Twój list jest jak święta woda ze studni Zamzam, lecząca dusze i wskrzeszająca umarłych! Po jego otrzymaniu chciałem podzielić się moim szczęściem z całym światem i wykrzyczeć jego treść z najwyższego minaretu w mieście, jednak w ostatniej chwili powstrzymała mnie przed tym krokiem resztką rozsądku. Gdyby bowiem blask Twojego listu rozjaśnił publicznie niebo, zbędne stałyby się i Słońce, i Księżyc, i gwiazdy, i komety, a gdyby żar bijący z Twoich namiętnych słów rozgrzał do czerwoności powietrze, wnet wyparowałyby bez śladu wszystkie rzeki, morza i oceany, zaś ziemie zamieszkałe przez wiernych i niewiernych zamieniłyby się od razu

w jałową pustynię! Pamiętaj, musimy być bardzo dyskretni, moja ukochana, bo ciąży na nas wielka odpowiedzialność! Piszmy do siebie jak najwięcej czułych listów – wprost drzę z niecierpliwości, by dostać następny! – ale z litości nad ludźmi i światem, czynmy to w najgłębszej tajemnicy, zwłaszcza przed Twoim mężem, albowiem oszczędzając innym zbytecznej zgryzoty, oszczędzamy jej również samym sobie. Radziłbym ci także, Pani, obserwować baczniej swojego małżonka, bo kiedy lew odsłania zęby, to niekoniecznie chce ziewnąć lub się uśmiechnąć...” – i tak dalej, i tak dalej, przez trzy bite strony! Albo posłuchaj, panie, tego, który był odpowiedzią pewnego sekretarza na list, jaki otrzymał od swego zwierzchnika:

„Panie! Twój list jest jak stare wino, rozkoszne w smaku, zapachu i barwie. Radość z jego otrzymania jest tak ogromna, że mogą od niej pękać co wrażliwsze serca. Dlatego, zanim przystąpiłem do łamania Twojej świętej pieczęci, przywdziałem na siebie mój śmiertelny całun, lecz w trakcie lektury myślałem już tylko o tym, by nie zalać łzami szczęścia Twoich bezcennych liter. O Panie, który prostujesz ścieżki podwładnych i przywracasz w nich zatarte ślady religii! Jakże mnie ucieszyło i uradowało wszystko o czym piszesz, wszystko to, w czym Allah zechciał Ci dopomóc i pozwolił Ci odnieść kolejne zwycięstwo! Jakże mnie uszczęśliwiła wiadomość, że jesteś zdrowy i że Allah obdarza Cię swoją łaską, nie przestając ani przez chwilę spełniać Twoich mądrych planów i chwalebnych życzeń! Wiedz Panie, że modłę się codziennie o to, aby raczył Ci darować jak najdłuższe życie, mnie zaś pozwolił być zawsze gotowym na Twoje rozkazy i zakazy, ponieważ, jak przystało na wiernego sługę, dzielę najpokorniej wszystkie Twoje sprawy i troszczę się o nie dużo bardziej niż o własne dzieci. Niechaj największą nagrodą za moje oddanie będzie dla mnie Twój następny list, gdyż w przeciwieństwie do kozy, o której powiadają, że nabiera tłuszczu tylko od pokarmu i nie utuczają jej nigdy żadne miłe słowa, mnie wystarczy za całe pożywienie kilka łaskawych zdań skreślonych Twą wszechmocną ręką, gdyż to od nich tyję, rosnę i rozkwitam.” Prawda, że to piękne?

– O tak! Gdybym znał sztukę pisania, chętnie zrobiłbym sobie kopie tych listów.

– Więc powiem ci, panie, że to jeszcze nic. Mój ojciec potrafił dokonywać prawdziwych cudów i pisywał również listy, które czytane na ukos albo zgodnie z ruchem konika szachowego, stawały się wierszami; takie, które czytane na wspak, okazywały się właściwą odpowiedzią; listy, które w zależności od tego, czy czytało się tylko wyrazy parzyste czy nieparzyste, były pochwałą albo naganą; a nawet listy zawierające wyłącznie słowa na jedną wybraną literę albo, dla odmiany, pozbawione zupełnie niektórych liter lub przedimka określonego „al”. Układał również listy szyfrowane i sporządzał do nich specjalne księgi

kodów. Zaprawdę, panie, ojciec mój był prawdziwym mistrzem, jakich niewielu oglądano od czasów wielkiego Ibrahima Ibn Hilala as-Sabiego i nieprześcignionego w tej sztuce Abu al-Bakra al-Chuwarizmiego. Warto dodać, że był także znakomitym kaligrafem i na życzenia klienta mógł pisać swoje listy każdym rodzajem pisma – kufickim, *ruka*, *thuluth*, *naskhi* czy *qurtubi* – jak kto sobie życzył. A wszystko to, łącznie z wymyśleniem tekstu, nie zabierało mu więcej czasu niż niejednemu wyrecytowanie sury „Piaszczyste Wydmy”, czy nawet „Okryty Płaszczem”.

– Cóż zatem robił, gdy uwinął się tak prędko z korespondencją?

– Czytał, panie. Czytał od początku do końca każdą książkę, jaka wpadła mu w ręce. Dokupił ich tyle do tych, które odziedziczył po swoim ojcu, że kiedy przeprowadzaliśmy się z jednej dzielnicy Kordoby do drugiej, trzeba je było załadować na czternaście wielbłądów, a kiedy moja matka – jak również matki moich braci i sióstr – wyrzucały mu, że wydaje za dużo na bibliotekę, zaczął płacić właścicielom księgarń...

– Czego?

– Księgarń. No, sklepów z książkami, za możliwość czytania nowości na miejscu.

– Powiedz mi, czy... tak wiele czytania... nie szkodzi?

– To zależy. Mojemu ojcu zaszkodziło.

– Co mu się stało? Oślepnął?

– To też, ale ponieważ nosił okulary, mógł temu częściowo zaradzić.

– Co nosił? – kazałem sobie powtórzyć.

– Okulary. Przyrząd korygujący wadę wzroku i wzmacniający jego bystrość. Składa się z dwóch kawałków wypukłego szkła albo kryształu górskiego, wprawionych w drewnianą ramkę, którą trzeba oprzeć na nosie i zaczepić za uszy. W okularach mój ojciec widział niewiele gorzej od nas.

– Rozumiem. Więc na czym jeszcze polegał szkodliwy wpływ czytania?

– Na tym, że w końcu sam zaczął pisać książki, przez co zaniedbał pisanie listów, a tym samym rodzinę, przy okazji ślepnąc coraz bardziej.

– To twój ojciec również pisał książki? Jakie?

– Różne. Traktat o duszy, traktat o mutazylitach, traktat o religiach...

– Traktat o religiach? To interesujące – przerwałem mu. – Jestem ciekaw, co też napisał o chrześcijaństwie?

– Naprawdę jesteś tego ciekaw, panie? – spojrzał na mnie niepewnie.

– Nawet bardzo – potwierdziłem zdecydowanie.

– No więc dobrze. O ile pamiętam, na temat chrześcijaństwa zamieścił między innymi te słowa: „Żaden lud, nawet najbardziej cywilizowany, nie jest wolny od przesądów i błędów w rozumowaniu. Weźmy dla przykładu chrześcijan. Są

niemal tak liczni jak piasek morski i nie brak między nimi wybitnych mędrców, a jednak, prości czy uczeni, wszyscy wierzą, że jeden równa się trzem, a trzy to jeden; że jeden z tych trzech jest Ojcem, drugi Synem, a trzeci Duchem; że Ojciec i Syn są tym samym, choć różnią się między sobą; że Mesjasz jest w pełni Bogiem, choć jest kimś innym niż Bóg; że Ten, który istniał zawsze, jednak się narodził; że Stworzyciel i Pan świata został pojmany, opluty, ubiczowany i ukrzyżowany, po czym umarł, chociaż jest nieśmiertelny, a świat jakimś cudem przetrwał trzy dni bez Tego, od którego zależy jego istnienie”...

– Milcz, psie pogański! Co za dużo, to niezdrowo! Mam nadzieję, że była to ostatnia książka twojego ojca i że po tych słowach padł rażony piorunem! – wykrzyknąłem oburzony.

– Nie, panie, zaczął pisać jeszcze jedną, o radowaniu się losem, w której wykładał, że tego, co jest zapisane na tabliczkach przeznaczenia, nie da się zmienić siłą ni podstępem. Mój ojciec był o tym tak niezłomnie przekonany, że nie wyrzekł się swoich poglądów nawet w obliczu śmierci, która niebawem nie pozwoliła mu dokończyć owego dzieła.

– A więc jednak! Pan Bóg nierychliwy, ale sprawiedliwy! – rzekłem z satysfakcją. – W jaki sposób umarł?

– Spacerował kiedyś nad Gwadalkiwirem z książką w ręku, jak miał w zwyczaju, gdy nagle potknął się i upadł, rozbijając przy tym swoje okulary. Jakiś przechodzień zauważył, że bez nich mój ojciec jest ślepy jak kret, więc zaproponował, że odprowadzi go do domu. „Nie trzeba, jakoś do niego trafię”, podziękował mu mój rodzic. „Ciekawe jak?”, zdumiał się tamten. „Z pomocą Allaha, który jest najlepszym przewodnikiem”, odpowiedział mój ojciec, a potem ruszył ufnie przed siebie z wyciągniętymi do przodu rękami. Niestety, nie zaszedł zbyt daleko, gdyż na najbliższej ulicy wpadł prosto pod koła rozpędzonego wozu wypełnionego po brzegi beczkami z oliwą, i zginął na miejscu.

– Nie wiem, o czym zapomniał twój ojciec, ale jestem pewny, że Pan Bóg nie zapomniał o nim. Przejdźmy jednak do ciebie. Czy dowiem się wreszcie, jak zostałeś kapłanem?

– Po śmierci ojca moja rodzina znów popadła w biedę. Początkowo żyliśmy ze sprzedaży jego księgozbioru, potem musiałem wziąć się do pracy. Zacząłem sprzedawać tkane maty, indyjski aloes, kamforę i piżmo do kadzideł w głównym meczecie Kordoby. Na ogół interes szedł marnie, bo takich sprzedawców jak ja krążyło tam mnóstwo, ale dawało się jakoś związać koniec z końcem.

Któregoś wieczoru, kiedy meczet zapełnił się tłumem ludzi, którzy zwyczajowo przychodzą tam o tej porze nie tylko po to, żeby się pomodlić, ale także po to, aby porozmawiać, podzielić się nowinami, posłuchać wykładu któregoś z uczonych, wypożyczyć jakąś książkę, a nawet po to, by coś przekąsić

czy tylko się zdrzemnąć, zdarzyło się, że jakiemuś wędrownemu zaklinaczowi węzów, który rozłożył swój dywanik nieopodal mihrabu, przewrócił się kosz i dziesiątki jadowitych gadów rozpełzło się po całej świątyni. Z uwagi na panujący półmrok, nie można już było nie tylko ich wyłapać, ale nawet zauważyć, toteż ludzie na wypródki zaczęli wspinać się na kolumny i wszelkie podwyższenia, popychając się przy tym i tratując nawzajem.

Również ja, niewiele myśląc, porzuciłem swój kram i czym prędzej wdrapałem się na najbliższą kolumnę. Złorzeczając w duchu niezdarność zaklinacza, z którego winy przyszło mi wraz z setkami innych wiernych spędzić bezsenność noc w tak niewygodnych warunkach, nadstawiałem czujnie ucha, aby w razie czego nie przegapić złowieszczy syku. I kiedy wyteżyłem słuch do ostatecznych granic, usłyszałem fragment rozmowy toczonyj półgłosem na sąsiedniej kolumnie:

– Przeklęty fakir! Jak nie będziemy za pół godziny przy Bramie Mostu, Marwan obedrze nas ze skóry!

– I będzie miał rację – odpowiedział ponuro drugi głos. – Takie jajko, jeszcze ciepłe, nie trafia się co dzień. Jeśli tej nocy nie wyjmimy go z gniazda my, to zrobi to ktoś z Dzielnicy Wschodniej. Żeby tego zaklinacza ziemia wypluła!

Rozmowa wydała mi się interesująca i nie wiem, jaki złośliwy *ifritt*³⁶ podkusił mnie, żeby się wtrącić.

– Bracia – rzekłem – nie ma się co denerwować. Jeśli macie zamiar wybierać ptasie gniazda, to i tak lepiej zaczekać z tym do rana. Chyba że chodzi o jajko ptaka Ruha – zażartowałem.

Na kolumnie obok zapadło milczenie. Po chwili jeden z głosów odezwał się:

– Podśluchiwałeś nas? Kim jesteś?

Uznałem, że w tej sytuacji najlepiej będzie zacytować Świętą Księgę:

– *Cóż, nie ma tajnej narady trzech, żeby On nie był czwarty, ani też pięciu, żeby On nie był szósty.*³⁷ A na imię mi Yusuf.

Poszeptali chwilę między sobą, po czym, ku mojemu zdziwieniu, zsunęli się ze swojej kolumny i nie zważając na węże, podeszli do mojej. Jeden z nich wspiął się zwinnie na górę i zatkawszy mi usta dłonią, ściągnął mnie na ziemię. Kiedy próbowałem się szarpać, drugi przyłożył mi do żeber sztylet i rzekł półgłosem:

– Piśnij tylko słowo, a zobaczysz! Idziemy! – po czym pchnął mnie kolanem w kierunku wyjścia.

Kiedy znaleźliśmy się pośród drzew pomarańczowych porastających dziedziniec, ten, który groził mi sztyletem, zwrócił się do swojego towarzysza:

– Tutaj?

Ale tamten pokręcił przecząco głową.

– Nie, jeszcze się nam przyda. We czwórkę pójdzie łatwiej.

Pod groźbą sztyletu powędrowałem z nimi do pobliskiej Bramy Mostu, gdzie czekał już zapowiedziany Marwan. Ten, który nie pozwolił mnie zadźgać na dziedzińcu meczetu, odciągnął go na stronę i znów o czymś szeptali, gwałtownie gestykułując, aż w końcu Marwan wybuchnął śmiechem, po czym kazano mi iść dalej. Kiedy przechodziliśmy przez Gwadalkiwir, złożyłem ręce jak do modlitwy i zwróciłem się do nich błagalnie:

– Bracia, uwierzcie mi, ja nic nie wiem. Oszczędźcie mnie, a Allah i was oszczędzi!

Lecz widocznie *Bóg nałożył pieczęć na ich serca i na ich słuch, a na ich oczach położył zasłonę*,³⁸ bo jedyną odpowiedzią były kolejne bolesne ukłucia! Za mostem skręciliśmy w lewo, szliśmy chwilę w zupełnym milczeniu, a potem zagłęбилиśmy się w dzielnicę Makbarat ar-Rabat, co zmroziło moje serce, gdyż jest to dzielnica cmentarzy.

Kiedy weszliśmy na jeden z nich, zacząłem się żarliwie modlić. „O Ty, który wysłuchujesz uciśnionego”, powtarzałem gorączkowo, „O Ty, który wróciłeś mego imiennika Yusufa Jakubowi, Ty, który uratowałeś Ismaela spod noża ojca jego Ibrahima i uwolniłeś od niezawinionych cierpień Ajjuba, okaż mi swoją litość i łaskę! Pomóż mi, o Panie światów, przecież możesz wszystko, Przewodniku błędzących, Wysłuchujący głosów i Odpowiadający na błagania!”

Tymczasem moi prześladowcy, po dłuższym błądzeniu i potykaniu się w ciemnościach zatrzymali się przed okazałym grobowcem i za pomocą stalowego drąga wyrwali z zawiasów kratę zabezpieczającą wejście do jego wnętrza.

Wówczas nie wytrzymałem i rzekłem:

– Uwierzcie mi: Ten, który jest świadkiem każdej rzeczy, widzi jasno, co czynicie!

Ale oni zaśmiali się tylko, a kiedy w ten sam sposób poradzili sobie jeszcze z drzwiami, musiałem wejść z nimi do środka. Tam, w świetle oliwnego kaganka, ujrzałem bogaty sarkofag z piaskowca, w którym – sądząc po świeżych kwiatach, jakimi był obsypany – zaledwie kilka godzin wcześniej złożono kogoś na wieczny spoczynek. Marwan podważył ze wszystkich stron kamienne wieko i rzekł zadowolony:

– Gotowe! A teraz niech każdy chwyta za swój koniec. Ty też – zwrócił się do mnie.

– Czy naprawdę nie boicie się Boga?! – wykrzyknąłem. – Uwierzcie, że nadejdzie Dzień, kiedy żadna dusza nie będzie mogła zapłacić niczym za drugą duszę, i nie będzie przyjęte jej wstawiennictwo, ani żadna równowartość!

– Jeśli nie chcesz przekonać się od razu, jak to jest z tymi duszami, weź się lepiej do roboty! – warknął w odpowiedzi.

Pomyślałem sobie, że jak wiadomo trzy rzeczy są lepsze od trzech innych – dzień śmierci od dnia narodzin, pies żywy od martwego lwa i grób od ubóstwa – i odsunąłem razem z nimi wieko sarkofagu.

Naszym oczom ukazało się ciało jakiegoś chrześcijańskiego bogacza, obwieszona złotymi ozdobami i pokryte grubą warstwą mirry i kamfory. Marwan i jego kompani w mig pościągali zeń wszystkie klejnoty, a kiedy nie mogli poradzić sobie z jednym z pierścieni, po prostu obcięli nieboszczykowi palec! Od tego momentu postanowiłem się nie odzywać, w nadziei, że o mnie zapomną. Niestety, kiedy uporali się ze swoją niecną robotą, przeklęty Marwan – oby nigdy nie wyrzął z Gehenny! – odezwał się do mnie w te słowa:

– Młody człowieku, wciąż nakłaniałeś nas, abyśmy uwierzyli – bez żadnych dowodów – w to, co mówisz. Ciekawe, czy strażnicy wezyra uwierzą tobie, kiedy cię tu znajdą rano? Gdyby cię naszły wątpliwości, tu leży nóż.

I zanim zdołałem pojąć, o co chodzi, najtęższy z nich wykręcił mi ramiona do tyłu i przysunął mnie kolaniem do sarkofagu, zaś Marwan rozwiązał mi szarawary, ujął w rękę moją męskość i wyłożył ją na krawędzi kamiennej skrzyni. Następnie chwycił wraz z drugim zbójem wieko sarkofagu, unieśli je z trudem do góry, a ja – zanim je spuścili – zdążyłem tylko krzyknąć: „Co robicie?! Przecież wszyscy wierni są braćmi!”, po czym straciłem przytomność.

Obudziłem się w grobowej zaiste ciszy i ciemnościach, tuląc w ramionach sarkofag z jego wstrętną zawartością i nie mogąc się od niego w żaden sposób uwolnić! Ból w najdelikatniejszej części mojego ciała był tak przejmujący, że długo zbierałem myśli. A kiedy mi się to wreszcie udało, doszedłem do wniosku, że zbójcy mieli rację i nie będzie łatwo przekonać strażników wezyra, iż nie miałem nic wspólnego z tą historią. Toteż, kiedy moja ręka namacała w ciemności trzonek noża, nie wahałem się ani przez chwilę, tylko zawoławszy: „Panie, czemu nakładasz na nas to, czego nie jesteśmy w stanie unieść?!”, oswobodziłem się z potrzasku jednym cięciem.

– Brawo! Nie spodziewałem się tego po tobie. Co było dalej? Co z Marwanem i jego kompanami?

– Nie wiem, panie, nigdy więcej ich nie spotkałem. Może nie byli z Kordoby. Co do mnie, to dzięki opiece lekarza, przyjaciela mojego ojca, doszedłem do siebie już po dwóch miesiącach i odtąd moje sprawy zaczęły układać się coraz lepiej. Na początek, skoro Bóg uwolnił mnie od ciężaru kobiet, sprzedałem moje dwie słowiańskie niewolnice, które straciły dla mnie wszelki urok, a zaoszczędzony w ten sposób czas i pieniądze zainwestowałem w naukę, co na dłuższą metę okazało się bardzo korzystne. W ciągu kilku lat, podczas których

wciąż handlowałem w meczecie, poznałem wiele ksiąg greckich, łacińskich, perskich, syryjskich, bizantyjskich i oczywiście arabskich, zgłębiając jurysprudence, logikę, teologię, nauki filozoficzne i matematyczne, przede wszystkim zaś wiedzę medyczną.

Posiadałem znajomość zasad medycyny i dowiedziałem się, kiedy z ich działania może wyniknąć szkoda, a kiedy korzyść. Poznałem się też na ziołach i trawach, zarówno tych szkodliwych, jak i pożytecznych, a także na metalach i minerałach. Stopniowo zdobywałem sobie także kolejnych pacjentów i mogłem zarzucić handel, aż w końcu zaczęto mnie zatrudniać w bogatych domach i na pomniejszych dworach, w czym moja kondycja eunucha tylko mi pomogła. Przez ostatnie dwa lata pracowałem jako lekarz a zarazem osobisty sekretarz wielmożnego Al-Muzaffara Ibn Al-Kasima Ibn Masuda Ibn Abd Allaha Ibn Abu Bakra Ibn Umara Ibn An-Nazzama, którego zły los postawił na twej, panie, drodze.

– Nie zapominaj, że to on rzucił się na mnie pierwszy – zauważyłem dla ścisłości. – Wracając jednak do ciebie, widzę, że nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło, skoro wbrew różnym przeciwnościom losu udało ci się zdobyć wiedzę i pozycję. Dlatego tym bardziej się dziwię, jak ktoś tak gruntownie wykształcony może wierzyć w te wszystkie brednie, które głosił ów zbój i bezczelny kłamca, ów okrutny niszczyciel zbawienia i zapiekły wróg prawdy, Mahomet! Powiedz mi, jak rozsądny człowiek może choć przez chwilę wierzyć w te wszystkie łągarstwa o tym, że powstaliśmy z grudki zakrzepłej krwi, albo w to, że w przyszłym życiu będziemy bez przerwy zaspokajać cielesne żądze, obzerać się kielbasami i pławić się w rzekach płynących małmazją, mlekiem i najwyborniejszym winem? – zapytałem go z wyrzutem.

– Panie – odparł spurpurowiały nagle Yusuf. – Jestem w takiej sytuacji, że gdyby znalazł się w niej słoń, który wiedziałby i słyszał to, co ja wiem i słyszę, na pewno zatkałby sobie uszy i zaczęłyby się słaniać, chyba żeby za pozwoleniem Allaha dostał łaski i wsparcia Jego Wysłannika. Cóż mogę ci powiedzieć nad to, co powiedzieli kiedyś uchodźcy z Mekki etiopskiemu negusowi? – Błądziliśmy po omacku w mroku. Żyliśmy w niewiedzy i zepsuciu. Silniejszy pastwił się nad słabszym. Nie brzydziło nas kłamstwo ani oszustwo. Walczyliśmy między sobą i łamaliśmy nakazy gościnności. A wtedy przyszedł Prorok i nauczył nas, abyśmy czcili jednego Boga, traktowali się jak bracia, mówili prawdę, dotrzymywali słowa, pomagali innym, szanowali prawa gościnności i nie dopuszczali się rzeczy zakazanych. I kazał nam się modlić, dawać jałmużnę i pościć. A my uwierzyliśmy Jego słowom i poszliśmy Jego śladem. Bo Prorok jest mieczem dającym światło i najwierniejszym przyjacielem, na którego można

liczyć w szczęściu i nieszczęściu. Ot i wszystko, panie. W Dniu Zmartwychwstania Bóg rozsądzi, kto miał rację.

– Myślałem, że usłyszę od ciebie lepsze argumenty – skrzywiłem się na te słowa.

– Przykro mi, że cię zawiodłem. Mógłbym tylko dodać, że, moim zdaniem, ogromny wpływ na te sprawy mają klimat i rzeźba terenu. Jeden z moich stryjów, Salima Ibn Yahya, wybrał się kiedyś do kraju Hind, aby głosić Koran niewiernym. Jednak nie tylko nie udało mu się przekonać do prawdziwej wiary nikogo z jego mieszkańców, ale w końcu poniósł męczeńską śmierć złożony przez tamtejszych bałwochwalców w ofierze bogini, którą zowią Kali. A zawiniły głównie klimat i rzeźba terenu. Podobnie jest i tutaj. Kiedy spoglądam na te ośnieżone szczyty, na miejscowe drzewa, a nawet na zwykłą trawę i przydrożne głązy, wszystko mi podpowiada, że tutejszy klimat i rzeźba terenu sprzyjają wyłącznie wierze w ukrzyżowanego Isę i Jego Dziewiczą Matkę, i wprost zachęcają każdego do przydawania Bogu współtowarzyszy. Co więcej, mogę się z tobą założyć, że gdybyśmy spotkali po drodze tysiąc albo dwa tysiące osób i zapytali je wszystkie, co myślą o Pośłańcu Boga Muhammadzie, tutejszy klimat i rzeźba terenu wzięłyby górę i sprawiłyby niechybnie, że poglądy owych ludzi byłyby z grubsza zgodne i nie różniłyby się zanadto od twoich. Dlatego nie sądzę, żeby mogły przyjść mi do głowy jakieś lepsze argumenty, dopóki nie zobaczę gorącego piasku pustyni i nie usłyszę znowu jasnej arabskiej mowy. A wtedy bardzo chętnie wrócę do tej rozmowy – zakończył z dziwnym uśmiechem.

Tego dnia rozmawialiśmy jeszcze długo o różnych sprawach, nabierając do siebie coraz większego zaufania, tak że kiedy zatrzymaliśmy się wieczorem na leśnej polanie i Yusuf odprawił swoje modły, wydało mi rzeczą wielce niestosowną krępować go na noc rzemieniami.

Tym większe było moje rozgoryczenie, kiedy stwierdziłem po obudzeniu, że mój nowy służący zniknął, a wraz z nim jeden z koni zdobytych przeze mnie na Al-Muzaffarze. Jeśli chodzi o sakwy i broń, nie brakowało niczego z wyjątkiem niewielkiej torby sucharów. Obrzuciłem mego tłumacza najgorszymi przekleństwami, a potem zmitrężyłem sporo czasu, żeby przenieść cały dobytek trochę dalej w głąb lasu, gdzie umieściłem go w zagłębieniu ziemi i starannie przykryłem gałęziami i zeszłorocznymi liśćmi. Konie odprowadziłem jeszcze dalej, aby z gościńca nie można było usłyszeć ich rżenia. Na koniec poznażyłem mieczem okoliczne drzewa i dopiero wtedy puściłem się w pogoń.

Ślady były wyraźne i prowadziły najkrótszą drogą na południowy-zachód. Nie obciążony jukami i na wypoczętym koniu, posuwałem się do przodu bardzo

szybko, ale słońce i tak już zdążyło wznieść się wysoko ponad horyzont, kiedy go wreszcie dopadłem.

Mój zbiegły Saracen siedział sobie nad niewielkim strumykiem i najspokojniej w świecie pogryzał suchary. Kiedy mnie zobaczył, zerwał się na równe nogi i osłupiały upuścił jedzenie na ziemię. Wtedy natarłem na niego koniem i obaliłem go na ziemię. Yusuf natychmiast padł na kolana i zaczął wybijać przede mną pokłony. Zawróciłem wierzchowca, po czym spiąłem go ostrogami tuż przed zbiegiem.

– Mówiłem, że zabiję cię jak psa, jeśli spróbujesz ucieczki! – zawołałem z wściekłością.

– Panie, wybacz mi! Ogarnęła mnie tęsknota, chciałem tylko zobaczyć choćby jeden kamyczek spośród kamieni Al-Andalus!.. Zważ, że i ja mogłem cię zabić, a przecież nie uczyniłem tego i nie zabrałem ci nic oprócz własnego konia! – mówił szybko, wciąż bijąc czołem o ziemię.

Nie wiedząc, co na to odpowiedzieć, rzuciłem gniewnie:

– Przestań się kłaniać!

– O nie, panie! Nie bolą plecy tego, kto je zgina. Pędziłem niczym wielbłąd mahrijski, a jednak mnie dogoniłeś! Dlaczego?! – wpatrywał się we mnie szeroko otwartymi oczami, jakby wciąż nie mógł wyjść ze zdumienia, że się po niego fatygowałem.

– Bo jesteś mi potrzebny, sukinsynu! Wsiadaj na konia i jedziemy! – rozkazałem. – Przez ciebie jeszcze mnie okradną.

Przypadł do mnie, ucałował moje strzemię, a potem skwapliwie wdrapał się na siodło i ruszyliśmy z powrotem. Przez całą drogę nie zamieniłem z nim ani słowa. Humoru nie poprawiło mi nawet odnalezienie w jak najlepszym porządku wszystkich moich rzeczy i zwierząt. Rzecz w tym, że złościłem się nie tylko na niego, lecz również na siebie, ponieważ jego uwaga o tym, że mógł mnie zabić, uświadomiła mi, jak bardzo byłem nieostrożny i że powinienem mieć się bardziej na baczności.

Gniew zaczął mi powoli mijać dopiero wtedy, gdy na dobre wjechaliśmy w góry. Widok niebotycznych skał, przy których najpotężniejsze nawet zamki sprawiały wrażenie dziecięcych zabawek, rwących potoków rozbijających z hukiem krystaliczne wody o porośnięte mchem kamienie, bezdennych przepaści, w których bez trudu zmieściłoby się wojsko niejednego królestwa, ogromnych drzew nietkniętych siekierą drwała od początku świata, nieskalanej bieli otaczających nas szczytów, od której już po chwili zaczynały boleć oczy oraz drapieżnych ptaków krążących leniwie wysoko nad nami – wszystko to wypełniło moje serce spokojem, a nawet sprawiło, że nieco się rozmarzyłem. Te surowe i groźne okolice, w jakiś dziwny sposób kojarzące się z myślą

o Ziemskim Raju przypomniały mi także opowieści, związane z tymi właśnie miejscami, których nasłuchałem się przy ognisku i na różnych biesiadach. Toteż, kiedy zatrzymaliśmy się, aby rozprostować nogi i dać wytchnienie zmordowanym koniom, zwróciłem się do Yusufa już bez cienia złości:

– Słyszałeś kiedyś o Roldanie?

– A co to za jeden? – zapytał wyraźnie ucieszony, że wreszcie się do niego odezwałem.

– Najdzielniejszy rycerz, jaki kiedykolwiek zrodził się z kobiety. Gdzieś tutaj – zatoczyłem ręką wokół – powstrzymał z garstką ludzi całą waszą armię. Podobno był tak silny, że kiedy uderzał mieczem w skałę, tryskała z niej woda.

– Dziwne, że nigdy o nim nie słyszałem – zdumiał się Yusuf. – A kto dowodził tą naszą armią?

Na to pytanie nie potrafiłem mu odpowiedzieć, ale też i nie miałem już ku temu okazji, jako że w chwilę później poczułem straszliwe uderzenie w głowę, a potem rozwarła się przede mną bezdenna otchłań.

IV

Moim pierwszym doznaniem, kiedy się ocknąłem, był ból rozsadzający mi czaszkę z tyłu głowy. Chciałem sprawdzić, co się ze mną dzieje, ale wówczas okazało się, że nie mogę poruszyć ręką ani nogą. Upłynęła dłuższa chwila, zanim zrozumiałem, że jestem związany.

Wtedy otworzyłem oczy i rozejrzałem się uważnie. Wokół panował półmrok, rozjaśniany płomieniem palącego się nieopodal ogniska, przy którym siedziała grupka ludzi. W chybotliwym blasku ognia dawały się dostrzec zarysy pełnych załomów i nierówności ścian, sklepiających się nade mną w nieprzeniknionej czerni. Ostrożnie uniosłem głowę i spojrzałem w drugą stronę. Obok, okryty baraniami skórami tak jak ja, leżał nieruchomo Yusuf. Za nim, w odległości rzutu włócznią, widać było wejście do jaskini, przypominające niekształtne okno wyrąbane w ciemnościach. Zauważyłem przez nie kawałek ogrodzenia, za którym pasło się kilka owiec. Dalej były już tylko góry porośnięte lasem.

– Yusufie, słyszysz mnie? – zapytałem szeptem.

– Żyjesz, panie? – ucieszył się. – Chwała niech będzie Temu, od którego przychodzi zwycięstwo! Myślałem, że już umarłeś.

– Ciszej! Gdzie jesteśmy?

– Nie wiem. Może w niewoli u tego Roldana, o którym opowiadałeś? W każdym razie, klnę się na księżyc, że nie jest to Ogród przyobiecany bogobojnym.

– Głupis! – skrzywiłem się i w tym samym momencie ktoś kopnął mnie tak mocno w zębra, że aż jęknąłem zwijając się w kłębek.

– Żyje i będzie żył! – stwierdził z zadowoleniem jakiś głos nade mną.

Odwróciłem się i ujrzałem trzech spośród tych, którzy siedzieli dotąd przy ognisku. Dwaj, dość jeszcze młodzi, ubrani byli w niezgrabne kurty uszyte z jeleniej skóry, ściągnięte na brzuchach pasami pełnymi ćwieków. Trzeci, siwowłosy starzec z długą, zmierzwioną brodą, miał na sobie obszarpany i dziurawy habit, na którym lśniła kolczuga ozdobiona wielkim szkaplerzem. W rękę trzymał nóż z kawałkiem pieczeni. Odprawił dłonią swoich kompanów, a następnie przysiadł na leżącym obok kamieniu i rzekł:

– Wybacz mi tę pomyłkę. Moi ludzie wzięli cię za kogoś innego.

– Ładna mi pomyłka! Ale jeśli jest tak, jak mówisz, dlaczego nie każesz nas natychmiast rozwiązać?

– Co nagle, to po diable – odparł. – Najpierw zmów *Ojcze nasz*.

Kiedy spełniłem jego życzenie, pokiwał z uznaniem głową, a potem burknął:

– A tera z *Zdrowaś Maryjo*.

- *Zdrowaś Maryjo, łaski pełna, Pan z Tobą, błogosławionaś Ty między niewiastami i błogosławion Owoc...*

- Wystarczy. Teraz ty, kozi synu! – kiwnął nożem na Yusufa.

- Przecież widzisz, panie, że to niewierny. Nie da rady – zaprotestowałem.

- Nie? To zepchniemy go w przepaść, i już. Samym istnieniem obraża Pana Boga.

- Możliwe, ale to mój służący i jest mi potrzebny – stwierdziłem z naciskiem.

- Więc go wykup – poradził mi starzec.

- Wykup?! Dobrze. Mam trochę rzeczy w sakwach.

Ale on pokręcił głową.

- Miałeś. Nie możesz nam podarować tego, co i tak jest nasze.

- Wasze?! Toż to zwykły rozbój! – zawołałem.

Spojrzał na mnie z politowaniem, a potem zapytał kpiącym tonem:

- Co z ciebie za chrześcijanin? Czy zapomniałeś już, co rzekł nasz Pan: *Nikt z was, kto nie wyrzeka się wszystkiego, co posiada, nie może być moim uczniem?*

³⁹ – po czym wyciągnąwszy rękę w kierunku owiec pasących się przed pieczarą, dodał: – Spójrz! Nawet te głupie bydłota trzymają się lepiej od ciebie nakazu Ewangelii, bo miały dwa okrycia i oddały jedno temu, kto go nie miał. Mógłbyś wziąć z nich przykład. Ale niech tam! Zwracam ci jednego konia, żebyś nie mówił, że puściłem cię stąd nago. Czy chcesz go wymienić na tego rzezańca?

- Przykro mi, Yusufie – rzekłem po chwili namysłu – ale chyba przyjdzie ci zginąć.

- Panie, wszystko można pokonać, tylko nie śmierć, wszystko da się naprawić, tylko nie zły charakter, od wszystkiego można uciec, tylko nie od przeznaczenia! Wszyscy należymy do Boga i kiedyś do Niego wrócimy, ale powiadam ci, że jeśli ktoś uratuje jakąś istotę i zachowa ją przy życiu, to tak, jakby uratował i zachował przy życiu cały świat. Nie czynź zła, bo obróci się przeciw tobie! – zawołał z przestraszeniem mój sługa.

- Niech cię diabli! Szkoda, że nie obcięto ci również języka. Trudno! – zwróciłem się do starca – zatrzymaj sobie także tego konia.

- Bogu niech będą dzięki za to, że mi ciebie zesłał! Oby uczynił cię jeszcze potężniejszym! – wykrzyknął radośnie Yusuf.

Splunąłem na to z niechęcią, tymczasem zbój w habicie klasnął w dłonie i po chwili uwolniono nas z więzów.

- Skoro dobiliśmy targu, zapraszam na skromny posiłek – pokazał na ognisko.

- Bóg zapłać, ale wolałbym, żebyście najpierw opatrzyli mi głowę.

Kiedy mi ją obwiązano jakimiś brudnymi szmatami, zasiedliśmy do wieczerzy w towarzystwie kilku podwładnych naszego gospodarza. Patrząc na ich groźne, zarośnięte twarze, poznaczone gęsto szramami i bliznami, jak też na ich plugawe

suknie, w których wstyd byłoby pokazać się między ludźmi, nie mogłem się nadziwić cierpliwości, z jaką czekali, aż ich herszt skończy mamrotać modlitwę nad pieczoną baraniną i stosem żytnich podpłomyków. Niestety, kiedy wreszcie powiedział „Amen!”, rzucili się na jadło jak dzikie zwierzęta, tak że zanim się spostrzegłem, na dnie kociołka pozostał już tylko ostatni, niewielki kawałek pieczeni, przytwierdzony do ogromnej kości. Nie chcąc okazać się nieokrzesanym gburem, zwróciłem się do starca z pytaniem:

– A ty, panie, nie jesz?

– Ja już się najadłem. Zresztą i ty powinieneś wiedzieć, że o ile ciało rośnie, o tyle dusza karleje, a o ile ciało więdnie, o tyle dusza rozkwita – pouczył mnie surowo.

Puszczając mimo uszu tę uwagę, wbiłem z trudem zęby w twarde jak kamień mięso i powiedziałem z pełnymi ustami:

– Przyznam, panie, że mnie zadziwiasz. Wprawdzie po tym, co stało się z moimi końmi i rzeczami, nie mam już wątpliwości, kim jesteś, wytłumacz mi jednak, proszę, co znaczy ów habit i szkaplerz, i skąd tyle nabożności i bojaźni Bożej u człowieka twojego rzemiosła?

W odpowiedzi nasz gospodarz ciężko westchnął i wzniosł oczy ku niebu.

– To długa i smutna historia. Rzadko ją opowiadam, chyba że ktoś usilnie nalega.

– Tak właśnie jest, nalegamy, i to usilnie. Zwłaszcza, że nie wygnasz nas chyba na noc w dzikie ostępy bez broni i wierzchowców? – zapewniłem go gorąco.

Wtedy skinął głową, a następnie, pociągnąwszy łyk wina ze skórzanego bukłaka, odezwał się w te słowa:

– Choć dawno już temu przybrałem sobie imię Hyperechios, naprawdę nazywam się Fulko i pochodzę z tamtej strony gór. Mój ojciec był komesem na jednym z zamków wielmożnego hrabiego Tuluzy, a matka bogatą szlachcianką z okolic Foix. Co do mnie, to od najwcześniejszej młodości czułem powołanie *ad maioram*⁴⁰ i starałem się służyć Bogu myślą, mową i uczynkiem. Podobno, gdy kąpano mnie po raz pierwszy w życiu, ukląknęłam w cebrzyku i pobłogosławiłem wszystkich obecnych świętym znakiem krzyża, zaś w każdy piątek tylko raz dziennie ssałem pierś mojej rodzicielki. W dzieciństwie przeciwstawiłem moim nielicznym latom dojrzałość obyczajów i czułem odrazę do psot rówieśników, garnąc się za to z ochotą do pobożnych nauk. Gdy nieco podrosłem, wzdrygałem się nadal przed wszelką płochością i chadzałem najczęściej dwiema drogami: z domu do kościoła i z kościoła do domu. W wieku młodzieńczym, kiedy zrozumiałem, że świat chyli się nieuchronnie ku upadkowi, bo większość ludzi lekceważy Słowo Boże, a przykład dobrych chrześcijan jest co najwyżej

przedmiotem szyderstw, modliłem się nieustannie o to, by zostać najwierniejszym z Bożych oblubieńców.

Od tej pory starałem się zawsze żyć na uboczu i zachowywać roztropne milczenie, modliłem się i pościłem całymi dniami, wspierałem biednych, nawiedzałem chorych i uwalniałem się od grzesznych myśli, ćwicząc się z zapalem w pokorze. Sypiałem krótko i tylko na twardej desce albo na gołej ziemi, nosiłem szorstką włosiennicę, nie strzygłem i nie myłem włosów, aby także nasi bracia mniejsi mieli z nich jakiś pożytek; nie jadałem chleba ani mięsa, nie pijałem wina i nie używałem soli, która za bardzo polepsza smak potraw; unikałem zabaw, turniejów i łowów, zrywałem się często w środku nocy i chłostałem się zapamiętałe twardym sznurem za własne i za cudze grzechy całymi godzinami leżałem krzyżem, a ponadto latem tarzałem się nago w cierniach i ostach, zaś zimą w kopnym śniegu.

– Niewątpliwie wstrzemięźliwość to cecha ludzi wybranych, a odosobnienie i skromność sprzyjają więzi z Bogiem – zauważył Yusuf. – Dlatego także niektórzy spośród prawdziwie wierzących cenili sobie lekki żołądek, umartwienia i niewyszukane szaty. Na przykład Umar, Książę Wiernych, miał tylko jedną koszulę i jeden płaszcz, jedno i drugie zresztą mocno sfatygowane, sypiał na łożku z liści palmowych i nie martwił się o nic, oprócz zbawienia własnej duszy, utrzymywania czystości wiary i krzewienia sprawiedliwości. Słyszący z powściągliwości nie mniej od niego kalif Al-Hakim jeździł tylko na osiołku, zrezygnował z turbanu z brylantami, zamknął kuchnię dworską, jadł tylko to, co mu przyrzadziła własna matka, zabronił całować ziemię u swoich stóp i zwracać się do siebie „Panie”, nie pozwolił, by noszono nad nim parasol, zniósł wszystkie tytuły, rozdał ubogim cały swój majątek, wyzwolił swoich niewolników, a wreszcie kazał wrzucić do Nilu cały swój harem w obciążonych kamieniami i naszpikowanych gwoździemi skrzyniach, aby w ten sposób wyzbyć się drożnych chuci.

Słyszałem też o człowieku, który przez czterdzieści lat nigdy się nie położył, i o innym, który otaczał się w nocy ostrymi narzędziami, mającymi go obudzić, gdyby niechcący zasnął, w związku z czym stale wyglądał tak, jakby zbójcy z gór Alpuhary zrobili sobie z jego twarzy osełkę do noży. Słyszałem również o takim, który za życia wykopał sobie grób i wiele razy przeczytał w nim Koran, oraz o szczęśliwcu, który potrafił przeżyć cały rok za jedne trzydzieści dirhamów. Opowiadano mi wreszcie o człowieku, który płacił podatki w podwójnej wysokości z obawy, że mógłby skrzywdzić fiskusa, a nawet o skrupulancie, który dał na przeczyszczenie swojemu małemu dziecku, ponieważ uznał, że mleko, jakim nakarmiła je sąsiadka, zostało odebrane niesprawiedliwie jej własnym dzieciom. Wszystko to są jednak chwalebne wyjątki, trafiające się głównie

pośród sufich, którzy dążą do Boga na skróty, toteż dalej nie rozumiem, dlaczego chrześcijanie tak powszechnie i srogo dręczą swoje ciało?

– My działamy głównie w obronie własnej – wyjaśnił mu Hyperechios – bo i ono nie ma dla nas litości, dając się nam we znaki na tysiąc sposobów. I to nie tyle bólem, wiekiem czy chorobą – różnymi skrofułami, rwami, zaparciami, skrętami kiszek, ropniami, biegunkami, strzykaniem w kościach, kaszlem, zaćmą albo opuchlizną – co swoją żarłocznością, umiłowaniem wygod i żądzą rozkoszy, którymi, ze szkodą dla naszego zbawienia, przeciwstawia się jak może ambicjom i dążeniom ducha. Chcąc więc, jak chcemy, by zwyciężał duch, odpłacamy tylko ciału pięknym za nadobne, na wzór wodzów, którzy pragnąc zdobyć wrogie miasto, dotąd pozbawiają je wody i prowiantu, aż udręczone pragnieniem i głodem ukorzy się przed nimi i podda się ich władzy bez żadnych warunków.

Wracając jednak do mojej historii, muszę powiedzieć, że wszystko szło dobrze, póki byłem bardzo młody, bo ojciec mój, acz niechętnie, pozwalał mi prowadzić tryb życia, jaki sam sobie obrałem. Kiedy jednak osiągnąłem wiek zdalny do małżeństwa, w trosce o ciągłość rodu postanowił ożenić mnie z piękną i majątną panną z sąsiedztwa. Na nic zdały się moje łzy i protesty, na nic wskazywanie na odmienność mojego powołania, na nic rzucanie się do nóg rodzicom!

Ślub odbył się z całą wystawnością, na jaką było stać, a kiedy goście weselni rozjechali się i nadeszła noc poślubna, znalazłem się oko w oko z moją świeżo poślubioną małżonką. Widząc, że lekko wystraszona wodzi za mną tęsknym wzrokiem i oczekuje ode mnie spełnienia małżeńskiej powinności, podszedłem do łóża, na którym spoczywała i przypomniałem jej, co napisał Święty Paweł do Koryntian.

Powiedziałem jej, że dobrze jest człowiekowi nie łączyć się z kobietą; że trzeba, aby ci, którzy mają żony, tak żyli, jakby byli nieżonaci, a także i to, że człowiek bezzenny troszczy się o sprawy Pana, podczas gdy ten, kto wstąpił w związek małżeński, zabiega przede wszystkim o sprawy tego świata i o to, jak się przypodobać żonie. Niezależnie od tego dorzuciłem parę uwag o tym, jak ciężkie obowiązki nakłada na nas małżeństwo, jak przykre i uciążliwe jest współżycie między mężem a niewiastą, i jak straszne cierpienia towarzyszą porodowi. Nadmieniałem również to i owo o nieuniknionych trudnościach, kłopotach i rozczarowaniach związanych z posiadaniem i wychowaniem dzieci oraz o wielkiej samotności, jaka na starość staje się udziałem tak wielu rodziców.

Jednocześnie przedłożyłem mojej żonie pod rozwagę wszelkie korzyści płynące z wytrwania w dziewictwie, dowodząc jej w barwny sposób, jak piękne i swobodne jest życie nieskalane, jak bardzo nas ono wzbogaca cieleśnie i duchowo, i o ile stopni w hierarchii bytów wznosi nas bliżej Boga. Na koniec

zapropnowałem jej, by porzuciła wraz ze mną życie światowe, bo czas jest przecież krótki. Ponieważ odpowiedziała mi słowami tego samego Apostoła, że *lepiej jest żyć w małżeństwie niż płonąć*⁴¹ – po czym się rozplakała! – oddałem jej pierścień ślubny i rzekłem:

– Weź to i zachowaj na pamiątkę, i żyjmy odtąd ze sobą jak brat z siostrą.

Następnie, nie zważając na jej łzy i lamentsy, spuściłem się po linie z okna i nie obejrzałem się za siebie, dopóki nie dotarłem do tej głuszy, gdzie znalazłem wreszcie upragniony spokój i szczęście...

– To bardzo ciekawe – przerwał mu ponownie Yusuf. – Chociaż z drugiej strony, słyszałem nieraz, że prawdziwe szczęście tkwi w trzech rzeczach: w jedzeniu mięsa, dosiadanu mięsa i w łączeniu mięsa z mięsem.

Hyperechios spojrział na niego z głęboką pogardą.

– Jeśli tylko słyszałeś o tych rzeczach, nie powinieneś się o nich w ogóle wypowiadać.

– A zatem znalazłeś tu spokój i szczęście? – zdumiały mnie słowa Hyperechiosa, niezupełnie przystające do okoliczności, w jakich go poznałem.

– Tak. Wszak od dzieciństwa niczego bardziej nie pragnąłem, jak pokonać zmysły, żyć poza ciałem, opuścić ziemię jeszcze po niej stąpając, oderwać się od wszelkich spraw tego świata, obcować za pan brat z aniołami i prowadzić rozmowy tylko z sobą i z Bogiem. Liczyłem także na to, że skoro koń przyśpiesza od ostrogi, a zapał rycerstwa rośnie pod wpływem mowy wodza, to i we mnie pobyt na puszczy spotęguje i pomnoży dobre skłonności tak, abym na końcu mógł dotrzeć do słodkich wód Jordanu i wprowadzić moją barkę do portu zbawienia. Dlatego, kiedy zamieszkałem w tej jaskini, kiedy przyoblekłem strój mnisi na znak, że materia jest dla mnie marnością, kiedy zbyłem się trosk tego świata, kiedy zatopiłem się bez reszty w modlitwie i pobożnych rozmyśleniach, kiedy posiłałem się polewką z liści buku i rozsmakowywałem się coraz bardziej w obroku duchowym, byłem bez wątpienia najszczęśliwszym z ludzi!

– A zatem, o ile wnioskuje prawidłowo, twój spokój i szczęście nie trwały wiecznie? – zapytałem.

– Otóż to. Problem w tym, że można się wyrzec okazji do zła i uciec od większości zgryzot codziennej egzystencji, lecz nie da się wyrzec ani uciec od samego siebie. Diabeł przybiera różne postaci i sporządza wiele sieci, aby w nie złowić słabego człowieka, i jak wiadomo, zawsze krąży wokół nas niby lew ryczący, patrząc tylko, kogo by pożreć.

– A więc jednak! – zauważył tryumfalnie Yusuf. – Na nic przebiegłość przeciw przeznaczeniu. Wszystko dzieje się dokładnie tak, jak Bóg zaplanował, nie ma bowiem potęgi poza Allahem Wielkim i Mocnym!

– Panie! – w głosie Hyperechiosa zabrzmiała nieskrywana pogroźka. – Jedno z dwojga: albo ty każesz natychmiast zamilknąć temu bałwochwalcy, albo ja każę go uciszyć raz na zawsze.

– Słyszałeś, Yusufie? Masz się więcej nie odzywać – upomniałem mojego sługę.

– Słyszę, panie, i jestem posłuszny. Masz rację, lepiej nie mówić o tym, co nas nie dotyczy, żeby nie usłyszeć tego, co nas nie ucieszy. I ja widzę, że uwalniając mnie od gałęzi, nie wyzwoliłeś mnie od powroza, i że jeśli jeszcze w ogóle żyję, to zapewne wyłącznie dlatego, że wciąż nie nadeszła godzina mojej śmierci. Klnę się zatem na górę Synaj, że od tej pory będę milczał jak zakłęty! – przyrzekł uroczyście Yusuf.

– A ja ci radzę dotrzymać słowa – ostrzegł go pustelnik.

Aby udobruchać naszego gospodarza, zadałem mu kolejne pytanie:

– Czyżby tym, co odebrało ci spokój i szczęście, okazały się jednak pokusy ciała?

– Niezupełnie, choć i one sprawiały, że czasami moja pustelnia była dla mnie jak piec Babilonu, w którym piekło się trzech młodzianków. Dopóki bowiem odziani jesteśmy w wątle ciało, możemy poskramiać nasze namiętności, ale nie możemy ich całkiem utrzymać na wodzy. Więc choć za towarzyszy miałem tu głównie węże i skorpiony, nie raz i nie dwa nękały mnie także rozpustne niewiasty, z którymi musiałem staczać prawdziwe boje w obronie kwiatu mojej skromności.

– Rozpustne niewiasty? – uniosłem głowę znad obgryzanej kości.

– I owszem. Pewnego ranka – bo to zazwyczaj rankiem atakują nas demony pożądania, podczas gdy południe należy do demonów smutku albo gniewu, zaś wieczór to ulubiona pora demonów żołądka – kiedy siedziałem przed moją jaskinią i strugałem sobie łyżkę z drewna, zjawiała się przede mną jakaś piękna, czarnowłosa i naga dziewczyna, która usiadła mi okrakiem na kolanach. I tak się przy tym wierciła i przybierała tak wyuzdane pozy, że poczułem nagle w ciele odruchy przeciwne rozumowi i wydało mi się, że się z nią połączyłem! Z przerażenia wyciąłem jej za to siarczysty policzek. Wtedy zerwała się z moich kolan i przemieniła się błyskawicznie w czarnego kocura, wielkości sporego wieprzka, który stanął na dwóch nogach jak człowiek, miał ogromne, gorejące oczy, zaś jego język, giętki, lubieżny i krwawy, dyndał mu aż do pępka. A kiedy się gad odwrócił, z jego kosmatego zadka rozszedł się fetor nie do zniesienia!

– I teraz pachnie tu nie najlepiej – pomimo zakazu odezwał się Yusuf, rozglądając się niepewnie na boki. Natychmiast szturchnąłem go łokciem, ale na szczęście starzec przebywał myślami gdzie indziej. Hyperechios machnął tylko od niechcenia ręką i rzekł:

– A, to nic takiego. Specjalnie znoszę ten zaduch, by przypominał mi stale o znacznie gorszych smrodach piekielnych.

– A nie byłże to przypadkiem diabeł? – nawiązałem do poprzedniego wątku.

– To bardzo możliwe – zgodził się nasz gospodarz. – Nie byłoby w tym zresztą nic dziwnego, zważywszy jak wielką władzę przyznał mu Pan Bóg na tym padole.

– Niestety. I cóż owo diabelskie nasienie?

– W chwilę później, nie wiem jakim sposobem, w jego łapach pojawił się gąsiorek wina, pęto kiełbasy i faska marynowanych oliwek. Wyciągnął to wszystko w moją stronę, lecz gdy w odpowiedzi zdzieliłem go w łeb kamieniem, kocur zazgrzytał ze złości zębami, siorbnał wina, zagryzł je z mlaskiem oliwką, a potem wypiął się nieprzystojnie i zaczął strzelać we mnie swoim łajnem! Na szczęście chybiał, bo kiedy jeden z owych pocisków trafił w kępę suchej trawy, ta natychmiast zajęła się ogniem, który musiałem potem gasić bosymi stopami. Dzięki Bogu, w chwilę później udało mi się przegnać bestię znakiem krzyża – po tych słowach starzec splunął przed siebie z odrazą.

– Tfu, na psa urok! – splunąłem i ja, na wszelki wypadek.

– Przy mnie nie masz się czego bać – uspokoił mnie natychmiast Hyperechios.

– Dla nas, anachoretów, demony to chleb powszedni, a pokonuje się je właśnie świętym znakiem, modlitwą, postem, umartwieniami, no i w ogóle praktykowaniem cnoty.

– Panie, nie chciałem cię urazić, ale muszę ci to w końcu powiedzieć. Otóż, im dłużej ciebie słucham, tym trudniej mi pojąć, na co człowiekowi, który dzięki praktykowaniu cnoty umie poradzić sobie nawet z demonami, nasze konie i sakwy?

Po tej uwadze nasz gospodarz zasepił się, pokiwał głową, a potem, westchnąwszy raz jeszcze, powiedział zgnębionym głosem:

– Ano właśnie, cnota! W tym sęk! To ona wszystkiemu jest winna.

– Jakże to?! Co też mówisz?! – obruszyłem się na takie stawianie sprawy.

– Wiem, co mówię, a i ty zaraz się dowiesz. Rzecz w tym, że im dalej posuwałem się po wąskiej i ciernistej ścieżce cnoty, im wyżej wspinałem się po drabinie Jakubowej wiodącej do nieba, im bardziej anielska stawała się moja egzystencja na tym padole, tym bardziej obawiałem się, żeby jakiś nieopatrzny krok, jakieś nagłe potknięcie czy przypadkowa chwila słabości nie pozbawiły mnie ostatecznej nagrody i nie odebrały mi wiekuistego szczęścia, o które zabiegałem przez całe życie. Wiesz przecież, że sprawiedliwość sprawiedliwego nie wyzwoli, w którykolwiek dzień zgrzeszy; a niezbożność niezbożnego nie zaszkodzi mu, któregokolwiek dnia się nawróci. Zbawienie nie zależy bowiem od tego, kto go pragnie lub się o nie stara, ale wyłącznie od Boga i Jego

miłosierdzia. A Bóg sędzi każdego podług tego, co widzi w jego duszy, i nie zważa przy tym na przeszłość, ale na teraźniejszość. To zaś oznacza, że choćbyś przez całe życie unikał grzechu, i tak liczy się tylko to, co Pan Bóg znajdzie w twoim sercu w nieznaney ci przecież godzinie śmierci, i że wystarczy jeden grzech śmiertelny, żeby zniweczyć cały dorobek cnotliwego skądinąd życia. Tak samo zresztą, jak wystarczy jedna chwila solidnej i szczerej pokuty – byle odprawionej w porę! – aby przekreślić grzechy najgorszego nawet żywota i w ostatnim momencie wywinąć się od piekła, choćby wedle ludzkiej miary, zasłużyło się na nie stokrotnie.

– Dobrze, ale zostało również powiedziane, że siedemkroć upadnie sprawiedliwy i powstanie. A kto podnosi się przez pokutę, nie traci miana sprawiedliwego – zauważyłem.

– Zgoda, tylko jeśli upada, to jaki z niego sprawiedliwy; a jeśli jest sprawiedliwy, to dlaczego upada? A z pokutą trzeba jeszcze zdążyć. Pomyśl sobie na przykład, co by się stało ze mną, gdybym tak nagle dostał udaru, kiedy na moich kolanach siedział ów czarnobrewy demon, a mnie rozsadzała chuć? Przecież wszystkie moje umartwienia, wszystkie dobre uczynki, wszystkie moje modlitwy i wszystkie zbożne myśli diabli by wzięli! I to dosłownie.

– Chyba masz rację – przyznałem.

– Sam widzisz! Toteż kiedy zacząłem się nad tym zastanawiać, niepojęta tajemnica Bożej sprawiedliwości tak mnie poraziła, że od tamtej pory nie byłem już w stanie ani jeść, ani spać, ani modlić się, ani pracować, ani w ogóle nic! Całymi dniami i tygodniami spoczywałem na moim barłogu i myślałem wyłącznie o tym, co też znajdzie Pan Bóg w moim sercu, gdy wybije moja ostatnia godzina? Wiedząc dobrze, że nie jestem całkiem odporny na pokusy i że zdarza mi się upadać, pogrążałem się coraz bardziej w czarnej rozpacz, w najokropniejszym drzeniu i trwodze. Aż wreszcie, nie mogąc wytrzymać mąk niepewności, padłem na kolana u wejścia do pieczary i zaniósłem do Boga takie oto błaganie:

– Panie Niebios, Ty, który przenikasz na wskroś ludzkie serca i myśli, i znasz przyszłość każdego stworzenia, ulituj się nad Twoim wiernym sługą, który od pierwszych dni swojego żywota chwalił Cię myślą, mową i uczynkiem! Wejrzyj na moją udękę, skróć moje cierpienia i wyjaw mi, jaki spotka mnie koniec? Błagam Cię, Panie, ześlij mi jakiś znak, abym wiedział na pewno, czy po tylu latach wyrzeczeń i cnotliwego życia, dane mi będzie oglądać Twój Majestat, czy też, przeciwnie, wszystko pójdzie na marne i skończę, tak jak tylu innych, w piekle?!

– I cóż na to Pan Bóg? Ześłał ci jakiś znak? – przełknąłem z wrażenia ślinę.

– Owszem. Nagle rozległy się ciche i cudownie słodkie dźwięki fletu, i na wielkim gładzie leżącym przed wejściem do jaskini zjawił się Boski wysłannik, anioł, a właściwie aniołek, bo wyglądał najwyżej na trzyletnie dziecko, w białej komeźce, z długimi do ramion złotymi włosami, ściągniętymi na czole białą opaską. Na małych bosych stópkach miał złote sandały, a w ręku trzymał białą lilię. Skłonił się rozpościerając tęczowe skrzydełka, po czym wyrecytował, czy też raczej zaśpiewał, tak jak się to robi w kościele, tyle że znacznie piękniej:

Witaj mi, Hyperechiosie, Słyszac rozpacz w twoim głosie, Bóg się bardzo zmartwił w niebie, Więc przysłał mnie do ciebie.

Natychmiast padłem na twarz i zawołałem:

– Niech będą dzięki Bogu Najwyższemu! Mówże, mówże, słodka istoto, co ci kazano powiedzieć? Gdzie skończę po śmierci?!

Wedle mej instrukcji srogiej, Tego wprost ci rzec nie mogę, To zbyt wielka tajemnica, Byś mógł poznać ją za życia.

Zaśpiewał w odpowiedzi aniołek. Wielce tym rozczarowany, zapytałem:

– To co w takim razie wolno ci powiedzieć?

On zaś wzruszył skrzydełkami i zaśpiewał na tę samą melodię:

Wszystko – i to doskonale: „Wprost” nie znaczy przecież „Wcale”. A od czego w takich razach Analogia, peryfraza, Metonimia, metafora, Synekdocha, anafora, Alegoria, hiperbola, Że nie wspomnę o symbolach? Wiedz, że Bóg cię bardzo lubi, Mówiąc więc, jakbym nie mówił, To ci powiem, że twe losy Są złączone w ścisły sposób Z dolą kogoś, kogo nie znasz: Z nim do nieba lub do piekła Pójdiesz razem.

– Któż to taki?! – złożyłem ręce w błagalnym geście.

Któż to taki? Święta racja! -Szlachcic zwany Jaś Monstrancja. Jak go spotkać masz ochotę, Zajdź do miasta w tę sobotę, A w południe za katedrą Zobaczycie się na pewno.

– Jak go poznać?! – wykrztusiłem.

Nie ma z tym problemu wcale: Każdy zna go doskonale. Nic ci więcej rzec nie mogę, Więc w powrotną ruszam drogę.

Co powiedziawszy, skłonił się raz jeszcze, zamachał skrzydełkami i odfrunął! Jak możesz sobie wyobrazić, płońałem wprost z ciekawości, aby się dowiedzieć, kogóż to czeka po śmierci ten sam los co i mnie, ale po tym objawieniu – za które od razu złożyłem Niebu solenne dzięki – przestałem się okrutnie zadreczać, ponieważ przydomek owego nieznanego mi szlachcica wskazywał nader wyraźnie na jego chrześcijańskie przymioty.

Toteż kiedy nadeszła sobota, wyruszyłem do miasteczka w podniosłym i radosnym nastroju. A kiedy po paru godzinach marszu, czy też raczej biegu, bo pędziłem tam jak na skrzydłach, ujrzałem wreszcie jego wieże i do moich uszu

doleciał dawno nie słyszany dźwięk bicia dzwonów, poweselałem jeszcze bardziej, bo oto wydało mi się, że to właśnie na moją cześć i chwałę kazano uderzyć we wszystkie miejskie spiże!

Po minięciu rogatek rzuciła mi się w oczy wielka ciżba ludu ciągnącego w tym samym co i ja kierunku, na główny plac przed katedrą. Jak się okazało, miejsce to było już wypełnione niemal po brzegi tłumem mieszkańców, którzy trwali tam na kolanach, pogrążeni w żarliwej modlitwie. Zdumiony, a jeszcze bardziej zbudowany tym widokiem, sam też przyklęknąłem i zagadnąłem klęczącego obok mnie żebraka:

– Co się tu dzieje? Dlaczego wyległo całe miasto, żeby się wspólnie modlić?

– To przez Jasia Monstrancję, ojciec – usłyszałem w odpowiedzi. – Oby dobry Bóg raczył nas wysłuchać i ów łotr się wypowiadał, zanim go powieszą.

– Jakże to, powieszą?! – pociemniało mi nagle w oczach. – A dlaczego mieliby go wieszać?!

– Widać, ojciec, żeś tu nieswój – odparł na to mój sąsiad. – Nie słyszałeś nigdy o Jasiu Monstrancji?

– Nigdy – odpowiedziałem drżąc na całym ciele.

– To największy zbój, jakiego ziemia nosiła, kradziej, morderca, oszust, podpalacz, gwałciciel, bluźnierca, i w dodatku świętokradca. W całej okolicy nie ma kościoła ani klasztoru, z którego nie ukradłby relikwiarza, kielicha, lichtarza albo krucyfiksu, a już szczególnie monstrancji, bo to do nich – jako że są przeważnie z litego złota i często gęsto nabijane drogimi kamieniami – ma ci on osobliwe nabożeństwo. No ale dotąd dzban wodę nosi, aż mu się ucho urwie! Żeby jeszcze tylko zechciał się bydlak wypowiadać, bo duszy szkoda! Bez spowiedzi jakoś dziwnie wieszać.

– A zatem nie chce się taki syn wypowiadać?! – poczułem miękkość w nogach.

– Za żadne skarby, ojciec. Już dwa dni się modlimy, kat stracił cierpliwość i za pozwoleniem biskupa wyszedł w pole orać, a ten łotr nie i nie! Pierwszy spowiednik dał sobie spokój, drugiego pobił, teraz jest u niego trzeci, ale i temu coś kiepsko idzie, bo już czterdziestą zdrowaśkę odmawiam, a tu nic, ani dydu. Twarda sztuka, panie – cmoknął z nieskrywanym podziwem.

– To może ja bym spróbował?! Przecież chodzi o jego duszę!

– Pewnie, że tak. Ale ludzie mówią, że ten łajdak jeszcze nas potrzyzyma.

– Gdzie on jest?! – zapytałem rozgorączkowany.

– A gdzie ma być? W miejskim loszku, za katedrą. Obyś miał do niego szczęśliwszą rękę, ojciec, bo już nie idzie tego wytrzymać! – walnął kosturem o bruk.

Rzuciłem się natychmiast we wskazanym kierunku. Z trudem ubłagałem miejskich pachołków, żeby wpuścili mnie do wnętrza więzienia. W samą porę, bo z celi Jasia wychodził właśnie jakiś benedyktyn, wołając za sobą wzburzony:

– Jak sobie życzysz, łotrze zatracony! A niech cię powieszają! W końcu piekło też jest dla ludzi.

Przedstawiłem się mnichowi i zapytałem go, czy mógłbym podjąć się jeszcze jednej próby odzyskania dla

Boga nieszczęsnej duszy skazańca. W odpowiedzi zakonnik machnął ręką i mrużąc coś pod nosem poszedł, gdzie go oczy poniosły.

Kiedy wszedłem do lochu, ujrzałem przed sobą młodego jeszcze człowieka, rosłego i dość przystojnego, który z podłożonymi pod głowę rękoma leżał na słomie w rozdartej na piersi koszuli. Na mój widok Jaś Monstrancja skrzywił się i stwierdził z gniewem:

– Co jest? Tamten miał być ostatni. Chcecie wieszać, to wieszajcie, ale dajcie mi wreszcie spokój!

– Synu! – rzekłem. – Uspokój się, wszak chodzi o twoją duszę.

– A co cię obchodzi moja dusza? – odparł opryskliwie.

– Nawet nie wiesz, jak bardzo! Błagam cię, skrusz się! Nie chcesz chyba pójść do piekła?

– To moja sprawa. Lepiej niech ciebie piekło pochłonie! – dodał tym samym tonem.

– Synu! Nie boleję nad tym, że mi złorzeczysz, ale nad tym, że ty sam nad sobą nie bolejesz i wcale nie czujesz, że już jesteś martwy. Ale na pokutę nigdy nie jest za późno! Bo choćbyś nawet leżał już w grobie, pamiętaj, że i cuchnącego Pan Bóg wskrzesił. A choćbyś został zraniony na drodze, skądby cię żaden Samarytanin nie chciał zabrać na leczenie do gospody, pamiętaj, że Chrystus uzdrawiał nawet ślepych i trędowatych. Więc także tobie, wkraczającemu już w mroki śmierci, może jeszcze zajaśnieć światło! Odrzuć tylko swoje grzechy i zawołaj: Jezusie, Synu Dawidów, zmiłuj się nade mną! A kiedy zamkniesz na wieczność oczy, znowu odzyskasz wzrok i zaśpiewasz radośnie „Hosanna!” – napomniałem go z serdeczną troską.

– A ja ci powiadam, żebyś się zamknął – skwitował moje słowa Jaś Monstrancja.

– Synu, dlaczego tkwisz zgięty w błocie? – nie dawałem za wygraną. – Przecież nawet kobieta, którą przez osiemnaście lat gnębił szatan, po uzdrowieniu przez Zbawiciela wyprostowała się i spojrzała w niebo. Dlaczego coraz dalej odchodzisz od Boga i chwiejesz się na falach, zamiast oprzeć nogi na twardej skale?!

– Jeszcze jedno słowo, a rozwalę ci tę parszywą mordę! – ostrzegł i gotów wcielić swoją groźbę w życie, podniósł się z ziemi.

Umilkłem, nie tyle przestraszony jego słowami, co przybity daremnością moich zabiegów. Następnie padłem na kolana i zacząłem się gorąco modlić. Tymczasem Jaś Monstrancja, nieco uspokojony, położył się z powrotem na słomie. I nagle zaświtała mi w głowie pewna myśl. Zerwałem się na równe nogi i zdjawszy z siebie habit, szarpnąłem Jasia za ramię.

– Załóż to i uciekaj – powiedziałem. – Ale najpierw skrepuj mi ręce różańcem.

Popatrzył na mnie ze zdziwieniem, jednak potem także on zerwał się z ziemi i nie czekając, aż się rozmyślę, związał mnie z wielką wprawą, włożył mój habit i nasunął sobie na oczy jego kaptur. Dopiero wtedy zapytał mnie szeptem:

– Kim jesteś?

– To nieważne – odparłem uszczęśliwiony. – Proszę cię tylko, żebyś mnie jeszcze uderzył.

Kiwnął głową na znak zgody, a potem grzmotnął mnie pięścią tak, że od razu straciłem przytomność.

– I co z tamtym hultajem? Uciekł? – ponagliłem Hyperechiosa widząc, że przerwał swoją opowieść i zaczął masować głowę, jakby na samo wspomnienie owego ciosu rozboleła go ona ponownie.

– Owszem. Zmylił strażę i uciekł. Kiedy oprzytomniałem, zacząłem głośno wzywać pomocy i chociaż wszyscy mieli do mnie pretensje, że przez moją nieostrożność i zbytnią ufność okazaną przestępcy przyczyniłem się do jego ucieczki, nikt nie domyślił się prawdy. Pograżony w skrajnej rozpacz spędziłem w mieście prawie tydzień. Zrozumiałem bowiem, że choć to, co miał mi do zakomunikowania, było dużo bardziej gorzkie, Pan Bóg przemówił do mnie tak jak do Szawła w drodze do Damaszku, więc tak samo jak Szaweł postanowiłem odmienić moje życie.

Już pierwszej nocy włamałem się do jednego z kościołów, gdzie rozbiłem puszkę na ofiary i zabrałem z niej wszystkie pieniądze. Przepuściłem je następnie w szynkach i zamtuzach, a kiedy znowu zostałem bez grosza, zakradłem się nocą do domu jakiegoś kupca, gdzie znalazłem skrzynię pełną kosztowności. Zdybany przez właściciela na gorącym uczynku, zadusiłem go bez namysłu sznurem. Nie przeszkodziło mi to wcale spędzić reszty nocy na rozpuście, ale o świcie, w obawie o konsekwencje, ruszyłem z powrotem w góry.

Wkrótce potem dobrałem sobie grono kompanów, z którymi, z mieczem w garści, upraszam po drogach o jałmużnę. Jednak przede wszystkim poluję na Jasia Monstrancję. Już dwa razy niemal miałem go w ręku, ale w ostatniej chwili zdołał mi się wymknąć! Dwa dni temu doniesiono mi, że ten łajdak będzie

powracał tędy z wyprawy na Saracenów, urządziliśmy więc zasadzkę, ale zamiast niego, schwytaliśmy ciebie.

– I mnie bardzo przykro z tego powodu – zapewniłem go szczerze. – Po co ci jednak Jaś Monstrancja?

– To chyba jasne. Przekonałem się, że nie jest to człowiek, który by się wypowiadał po dobroci nawet w obliczu śmierci. Dlatego, jeśli tylko wpadnie w moje ręce, zadam mu takie męczarnie, że na kolanach będzie błagał o spowiedź! – Myśl o torturach, jakim mógłby poddać Jasia Monstrancję, musiała być dla Hyperechiosa tak bardzo błoga, że jego starcze oczy rozpromieniły się na moment młodzieńczym blaskiem.

– I co z tego, skoro zaraz znów zaczniesz grzeszyć? – przygasilem jego entuzjazm.

– Nie zaczniesz, nie zaczniesz, bo kiedy się wypowiada, każę go natychmiast powiesić. Oto moja historia, a teraz żegnam, gdyż muszę jeszcze obejść strażę i wydać moim ludziom różne dyspozycje.

– Zaiste – stwierdził Yusuf, kiedy nasz gospodarz zniknął w ciemnościach panujących na zewnątrz jaskini

– przypadki tego człowieka są takie, że gdyby spisać je igłą w kąciuku oka, mogłyby stanowić naukę dla każdego, kto chciałby wziąć je sobie do serca i mieć je za przestrożę.

A potem dyskutowaliśmy jeszcze długo o tym, co usłyszeliśmy od Hyperechiosa, aż wreszcie, nie mając nic lepszego do roboty, udaliśmy się na spoczynek.

Rankiem zbudziły nas jakieś krzyki i odgłosy bieganiny na dworze, więc wstaliśmy czym prędzej, żeby zobaczyć, co się tam dzieje. U wyjścia z jaskini natknęliśmy się na Hyperechiosa, który wkładał właśnie czysty i świeży habit. Na nasz widok uśmiechnął się szeroko i powiedział z mściwą satysfakcją:

– Mamy go.

– Kogo? – ziewnąłem mimo woli od ucha do ucha.

– Jasia Monstrancję. Nareszcie! – zatarł z radości ręce.

Wyszliśmy na zewnątrz i zobaczyliśmy potężnie zbudowanego, trzydziestoletniego mniej więcej mężczyznę, przywiązanego do starego buka rosnącego tuż nad urwiskiem. Pilnowało go dwóch ludzi Hyperechiosa. Dwóch innych strzegło kilku związanych jeńców, których pokancerowane twarze i poplamione krwią ubrania świadczyły o tym, że nie dali się pojmać bez walki.

Pomimo tego, że Jaś Monstrancja był również ranny – z rozciętego policzka sączyła mu się bowiem krew

– prezentował się bardzo godnie, nie wyglądał na przestraszonego i toczył wokół hardym spojrzeniem. Widząc, że przypatrujemy się mu bez szczególnej

wrogości, oblizwał spieczone wargi i zawołał w naszą stronę:

– Może wy dacie mi trochę wody?

– Czemu nie? – odpowiedziałem. – Yusufie, przynieś wody temu człowiekowi.

– Ani się ważcie! – ostrzegł nas jeden z pilnujących go strażników.

– Dlaczego? – zdziwiłem się. – Wody wam szkoda?

– Nie wolno! – uciął tamten.

– Bo co? – nie dawałem za wygraną.

– Bo nic. Chcecie, żebyśmy i was związali?

– Niestety! – zwróciłem się do jeńca, rozkładając ręce. – My też jesteśmy w niewoli.

W tym momencie z jaskini wyszedł Hyperechios w nasuniętym na oczy kapturze i z dużym krucyfiksem w ręku. Zbliżył się do jeńca i rzekł:

– Posłuchaj mnie uważnie, zbóju. Przysięgam na ten krzyż, który trzymam w ręku, że wybiła twoja ostatnia godzina i że tym razem zapłacisz za swoje zbrodnie. Przygotuj się na spotkanie z Bogiem.

– Kim jesteś? – zdumiał się Jaś Monstrancja. – Czy to ty kazałeś mnie pojmać? Nie znam cię, człowieku i nie przypominam sobie, żebym kiedykolwiek wyrządził ci jakąś krzywdę. Ale jeśli się mylę, zapłacę ci za nią z nawiązką, tylko każ mnie wreszcie uwolnić.

– Tak, to ja kazałem cię schwytać. Po to, żebyś się wypowiadał i odprawił pokutę.

– Żebym się wypowiadał i odprawił pokutę?! Daj mi lepiej wody.

– Niech ci wystarczy cień. Wielu lepszych od ciebie, co w tej chwili wędrują wskroś łądu lub żeglują po morzu, nie ma nawet tego. Myśl raczej o Bogu.

– A po co?

– Zaprawdę powiadam ci, łotrze, ugnij się chociaż na chwilę i przywdziej wór pokutny, a będzie mógł i o tobie Pan Bóg powiedzieć: przywiodę złego na dni jego, bo ukorzył się przede Mną jak Achab. Pamiętaj – dusza, która grzeszy, umrze! Nie ta ziemia, która często pije spadający na nią deszcz i rodzi rośliny użyteczne dla tych, którzy ją uprawiają, potrzebuje błogosławieństwa, ale ta, która rodzi ciernie i osty, ta, która jest odrzucona i przekleństwa bliska, a jej kresem – spalenie! Nie zdrowym bowiem trzeba lekarza, ale tym, którzy się źle mają!

– Daj mi więc pić, bo i ja mam się nie najlepiej – poprosił jeszcze raz Jaś Monstrancja.

– Nie szkodzi, wkrótce będziesz miał się jeszcze gorzej. Czyżbyś nie wiedział, że nic nie jest Bogu wstrętniejsze od serca, które nie chce pokutować?! Że to jedyna zbrodnia, dla której nie ma odpuszczenia?! Pamiętaj, że z zatwardziałości twojej skarbisz sobie gniew na dzień Sądu! A może dlatego zatwardza się twoje

serce, jak króla Faraona, że ciągle odległy jest termin zapłaty? Wiedz zatem, że i tamtemu odwlekała się kara, aż w końcu musiał ścierpieć dziesięć plag, jakie nań zesłał rozgniewany Bóg!

– Nie wiem, o kim mówisz, za to domyślam się, kim jesteś – odpowiedział jeniec.

– Tym lepiej – stwierdził Hyperechios i zdecydowanym gestem odrzucił kaptur do tyłu. – Więc jak, spowiadasz się czy nie, sukinsynu?

– Niby przed kim?

– Przede mną. Jestem sługą Bożym.

– A co będzie, jeśli to zrobię? Puścisz mnie wolno?

– Tak, do nieba zamiast do piekła. No jazda, spowiadaj się! – w głosie Hyperechiosa zabrzmiała groźba.

– Ani myślę. Jeśli Bóg chce, żebym żył, to wie, jak o mnie zadbać, a jeśli nie chce o mnie zadbać, cóż mi po życiu?

Po tych słowach Jaś Monstrancja plunął prześladowcy prosto w twarz. Hyperechios wytarł ją powoli rękawem, a potem skinął na swoich ludzi. Ci pobiegli zaraz do jaskini i przynieśli stamtąd naszykowane wcześniej wiązki chrustu, którymi obłożyli nogi jeńca do wysokości kolan. Jaś Monstrancja zrobił się bład jak kreda, ale nie wyrzekł ani słowa.

– No a teraz, co powiesz? – zapytał go pustelnik.

– Obyś się smażył w piekle razem ze mną! – odparł hardo skazaniec.

Na znak dany przez Hyperechiosa jeden z jego ludzi skrzesał ogień, zapalił pochodnię i przytknął ją do suchego chrustu. Ten zajął się natychmiast i już po chwili płomień buchnął wysoko, sięgając Jasiowi do pasa. Jego bufiaste spodnie, zdarte chyba z jakiegoś Saracena, zajęły się w mgnieniu oka i w powietrzu rozszedł się swąd spalenizny. Nieszczęsny skazaniec zaczął krzyczeć z bólu, a potem zakrztusił się gryzącym dymem.

Stojący obok mnie Yusuf wyszeptał ze zgrozą pod adresem Hyperechiosa:

– Obyś jadł z drzewa Zakkum i obyś pił potem wrzącą wodę jak wielbłąd udreńczony pragnieniem!

– Oto masz przedsmak tego, co cię czeka! – wołał tymczasem pustelnik. – Może to cię wreszcie przekona!

Jednak Jaś Monstrancja, na którym zajął się już również kaftan, tylko wył i charczał jak zarzynane zwierzę. Wtedy, widząc jego zatwardziałość, Hyperechios wyrwał jednemu ze swoich ludzi pikę i zaczął nią okładać jeńca na oślep. Ciosy te nie zrobiły już na młodym zbójcy większego wrażenia, bo nagle ugięły się pod nim nogi i zawisł całym ciężarem ciała na krępujących go rzemieniach. W chwilę później postronki puściły i Jaś Monstrancja zwałił się

w ogień. Z rozpędu Hyperechios zadał mu jeszcze dwa uderzenia, lecz zaraz potem odrzucił pikę i podskoczył do ogniska.

Nie zważając na żar i płomienie, chwycił Jasia za nogi i z pomocą swoich ludzi wyciągnął go z ognia. Następnie rzucił się na swojego wroga i zaczął gasić jego ubranie własnym ciałem. W strachu o jego życie, przyłożył ucho do piersi zbója, a my wszyscy wstrzymaliśmy oddechy. Hyperechios trwał tak przez dłuższą chwilę, po czym zaczęło nim wstrząsać łkanie. W końcu zerwał się na równe nogi i wygrażając pięścią niebu, zawołał załamującym się głosem:

– Boże, dlaczego mi to zrobiłeś?!

I zanim zdążyliśmy zareagować, roztrącił najbliższych stojących, a następnie... skoczył w rozciągającą się tuż obok przepaść! Kiedy wychylił się wstrząśnięci poza krawędź urwiska, zobaczyliśmy na dole jego ciało, roztrzaskane o ostre głazy.

Zaraz potem, zanim zdążyliśmy ochłonąć z przerażenia, w powietrzu rozległ się furkot strzał i ci z kompanów Hyperechiosa, którzy byli uzbrojeni, padli na ziemię jak rażeni piorunem.

– Reszta nie ruszać się! – krzyknął ktoś donośnie, po czym na otaczających nas skałach zaroilo się od cudacznie poubieranych ludzi mierzących do nas z kusz i łuków. W chwilę później ludzie ci wpadli między nas i kazali się nam ustawić z podniesionymi rękami pod skałą. Ich dowódca, korpulentny młodzieniec w złocistym turbanie na głowie, ukląkł przy Jasiu Monstrancji i tak samo, jak chwilę wcześniej Hyperechios, zaczął nasłuchiwać bicia jego serca. Potem ujął go za przegub dłoni dla zbadania pulsu i rozkazał czym prędzej przynieść wody. Oblany wodą z cebrzyka nieszczęsny jeniec poruszył nieznacznie ręką, zaś po chwili otworzył również oczy.

– Czy to ty, Gonzalo? – rzekł słabym głosem. – Niewiele brakowało, żebyś się spóźnił.

– Wybacz, kapitanie! – odpowiedział zażywny Gonzalo, przypadając ustami do jego dłoni. – Musiałem najpierw skrzyknąć ludzi. Ale cię urządzili! Który z tych psubratów jest ich hersztem?

– Ich herszt nie żyje – odezwałem się. – To ten, co skoczył w przepaść.

Widząc pytający wzrok Gonzala, Jaś Monstrancja kiwnął na potwierdzenie głową, a później zdobył się na wysiłek, żeby powiedzieć:

– Ten i jego Saracen nie należą do bandy. Możesz ich puścić wolno.

Następnie jęknął parę razy i znowu zemdlał.

– Panie – zwróciłem się do Gonzala – jeśli pozwolisz nam opuścić ręce, to może będziemy mogli mu pomóc. Mój służący zna się trochę na ranach.

– Ten niewierny? – Gonzalo wyduł z pogardą wargi.

– Ten niewierny.

– Dobrze, to niech się bierze do dzieła.

– Na początek zabierzcie go ze słońca do jaskini i każcie ludziom tamtego sufiego przynieść oliwę, wino i wszelkie zioła, jakie tylko mają – poprosił Yusuf.

Gonzalo wydał natychmiast stosowne rozkazy, lecz zaraz potem zapowiedział Yusufowi:

– Tylko, żebyś go wyleczył! Bo jak nie, to... – urwał w pół zdania i przeciągnął wymownie palcem po gardle.

– Oby cię za te słowa Bóg nie zawstydził w Dniu Zmartwychwstania! – oburzył się na to mój sługa. – Bo ja na pewno zrobię, co w mojej mocy, ale tylko Allah sprawia, że pęka ziarno i pestka, i tylko On wyprowadza żywe z martwego i martwe z żywego.

Powiedziawszy to, udał się z godnością do jaskini, aby zająć się Jasiem Monstrancją.

Przez dwa następne dni, pomimo starań Yusufa, młody zbójca nie odzyskał przytomności i wahał się między życiem a śmiercią. W tym samym czasie ludzie Hyperechiosa, zamknięci pod strażą w owczarni, modlili się gorliwie za jego zdrowie, ponieważ Gonzalo zapowiedział im, że wszyscy zapłacą gardłem, jeśli Jaś Monstrancja umrze. Trudno powiedzieć, czy sprawiły to ich gorące modły, czy zabiegi Yusufa, czy zwyciężyła po prostu siła młodego organizmu, któremu niespiesznie było odchodzić z tego świata, dość, że trzeciego dnia Jaś przyszedł w końcu do siebie. Od razu kazał wziąć na spytki jednego z kompanów Hyperechiosa, aby dowiedzieć się, co było powodem tak wielkiej nienawiści pustelnika do jego osoby. Zaś następnego dnia wezwał nas wszystkich do siebie.

Kiedy otoczyliśmy wianuszkiem jego barłóg, Jaś Monstrancja, z wyraźnym trudem, jako że skóra schodziła mu z twarzy całymi płatami i każde wymawiane słowo sprawiało mu wiele cierpienia, zwrócił się do nas w ten sposób:

– Zacni kompani i bracia! Jak widzicie, dzięki Bogu Najwyższemu mam się już trochę lepiej, więc chciałbym wam zakomunikować moją decyzję. Otóż wziąłem wczoraj na męki jednego z ludzi Hyperechiosa i doszedłem do wniosku, że w całej tej historii tkwi wyraźne ostrzeżenie Niebios – albo Piekła – abym co rychlej odmienił swój żywot. Dlatego oznajmiam wam uroczyście, że postanowiłem zostać na tej górze w charakterze pustelnika i pokładając ufność w nieskończonym Bożym miłosierdziu, spędzić resztę moich dni na żalu i pokucie za moje grzechy. Przysięgam, że poczynając od dzisiaj, będę łykać tylko wszy i pić jedynie wodę, w której obmył się trędowaty, i podobnie jak święty Antoni Pustelnik nigdy w życiu się nie wykąpię, ani nawet nie umyję sobie nóg. Przede wszystkim jednak będę starał się czynić dobro, zawsze, wszędzie i każdemu, myślą, mową i uczynkiem. Tak mi dopomóż Bóg!

Ponieważ niektórzy z rozbójników zaczęli po tych słowach sykać, inni zaś zegnać się znakiem krzyża, bardziej chyba z niedowierzania niż z pobożności, Jaś Monstrancja uciszył ich gestem dłoni i dodał:

– Moje postanowienie jest nieodwołalne. Co więcej, zachęcam was z całego serca, abyście poszli w moje ślady i także usunęli się na puszcze, by głosić chwałę Bożą razem ze mną. Co wy na to, drodzy kompani i bracia?

Wówczas zapadła krępująca cisza i dopiero po dłuższej chwili rozległ się zakłopotany głos Gonzala:

– Kapitanie, wiesz, że nie zwykliśmy podważać twoich decyzji, więc tym bardziej nie będziemy się sprzeciwiać twoim pobożnym zamiarom. Zrobisz, co zechcesz. Pozwól mi jednak zauważyć, że człowiek nie powinien porzucać pochopnie rzemiosła, które zapewnia mu nie najgorsze utrzymanie i w którym doszedł był po latach do jakiejś takiej biegłości. A skoro, jak powiadają, istnieje zarówno czas wojny, jak i czas pokoju; czas rozdzierania, jak i czas zszywania; czas szukania, jak i czas tracenia, a przede wszystkim czas zawodzenia, jak i czas płasów, to jeśli chodzi o mnie, wolę sobie jeszcze trochę poszukać i popląsać, zaś pokutę i zawodzenie odłożyć na później.

Jego słowa spotkały się z tak wyraźną aprobatą innych, że Jaś Monstrancja pokiwał tylko ze smutkiem głową:

– Niech wam zatem Bóg błogosławi, drodzy przyjaciele, ale zaklinam was na Jego Sąd, znajcie miarę i nie wystawiajcie Jego cierpliwości na zbyt ciężkie próby. Jutro przekażę dowództwo Gonzalowi. Tymczasem rozejdźcie się w pokoju do waszych zajęć.

– A co z ludźmi Hyperechiosa? – zapytał Gonzalo.

– Puśćcie ich wolno, ale bez broni.

– Mają szczęście, że to ty jeszcze rządysz! – zachnął się Gonzalo. – Z mojej strony powiem im jednak, że jeśli któryś z nich wpadnie znowu w nasze ręce, gorzko tego pożałuje!

– Mów im, co zechcesz, lecz w takim razie puść ich od razu, żeby zdolali solidnie się oddalić – zawyrokował Jaś Monstrancja.

Kiedy zbójcy zaczęli się rozchodzić, Jaś Monstrancja skinął w swoją stronę, prosząc, bym się do niego zbliżył. Potem wskazał na leżące obok barłogu dwie pękate sakiewki i rzekł:

– Chcę ci podziękować za pomoc i opiekę, jakiej nie szczędził mi twój sługa. Gdyby nie on, pewnie bym już nie żył. Zrób mi ten zaszczyt i przyjmij ode mnie te dwie sakiewki. Jedna jest dla ciebie, druga dla twojego Saracena.

– Wielkie dzięki, panie – odparłem wzruszony – ale nie mogę tego zrobić. Nie ma dla mnie większej nagrody i większej radości, niż ta, że powróciłeś wreszcie na drogę cnoty. A skoro już się na niej znalazłeś, sam chyba rozumiesz, że nie

mogę przyjąć od ciebie pieniądze, na których być może nie zaschła jeszcze do końca chrześcijańska krew. Jeśli zwrócisz nam konie i sakwy, zrabowane nam przez Hyperechiosa, będę w pełni zadowolony.

Jaś Monstrancja uśmiechnął się z trudem.

– Spodziewałem się po tobie takiej odpowiedzi, dlatego monety chrześcijańskie kazałem włożyć do sakiewki przeznaczonej dla Yusufa. W twojej znajdziesz wyłącznie arabskie dirhamy. Czy zadowala cię takie rozwiązanie?

– To zmienia nieco postać rzeczy – odpowiedziałem z pewnym wahaniem. – A zważywszy na twoją delikatność, dalszy upór byłby nietaktem. Dziękuję w imieniu własnym i Yusufa. Jutro ruszamy w dalszą drogę, lecz przedtem chciałbym cię o coś zapytać.

– Pytaj, o co chcesz – zgodził się łaskawie.

– Wyłumacz mi, proszę, dlaczego nie chciałeś się wypowiadać nawet w obliczu śmierci, a potem, ni z tego ni z owego, postanowiłeś nagle odmienić swój żywot?

– Nie wiem, czy ci wiadomo, że ów Hyperechios, czy jak mu tam, uratował mi kiedyś życie? – odpowiedział pytaniem na moje pytanie.

– Tak, wspominał o tym.

– Wtedy nie wiedziałem, dlaczego to zrobił, ale zastanawiając się nad tym wielokrotnie, doszedłem do wniosku – dziwnego, przyznaję – że stało się tak wyłącznie dlatego, że przed śmiercią nie chciałem się wypowiadać. Toteż kiedy przywiązany do drzewa rozpoznałem go w pustelniku, pomyślałem sobie, że tylko odmowa spowiedzi może mnie znów uratować. Jeśli zaś chodzi o to, dlaczego postanowiłem odmienić moje życie, cóż mogę ci powiedzieć nad to, że Duch wieje, kędy chce?

– To prawda.

– Yusuf mówił mi, że jedzicie na Wschód. Jeśli dotrzecie do Ziemi Świętej, proszę cię, nie zapomnij pomodlić się także za moją duszę.

– Zrobię to na pewno, obiecuję – zapewniłem go gorąco.

– A zatem niech was Bóg prowadzi! – wyczerpany rozmową opadł na posłanie.

– Natomiast tobie niech pomoże wytrwać w chwalebnym postanowieniu – życzyłem mu z całego serca, po czym zabrałem obie sakiewki i wyszedłem.

Zaś następnego dnia o świcie, dobrze zaopatrzeni na drogę, opuściliśmy jaskinię Hyperechiosa i podjęliśmy na nowo naszą wędrówkę na Wschód.

V

Zagłębiliśmy się daleko w kraj po drugiej stronie gór. Za nami pozostały potężne szczyty i leżący na nich śnieg, głębokie i niebezpieczne rozpadliny, niespodziewane urwiska, kamieniste piargi, huczące potoki i omszałe głązy. Wąskolistne dęby i sypiące igłami pinie ustępowały z wolna miejsca bukom i dębom, a te z kolei grabom, wiązom i topolom, oplecionym girlandami zielonego bluszczu. Pośród kęp ostów i sterczących jak świece jałowców otwierały się coraz rozleglejsze łąki, mieniające się w oczach od wiosennych kwiatów. Wody i paszy było pod dostatkiem, nasze konie szły więc chętnie i żwawo, zwłaszcza, że nie ślizgały się już tak często na górskich kamieniach. Zrobiło się dużo cieplej i jechaliśmy w dobrych nastrojach, urozmaicając sobie drogę wymianą myśli.

– Muszę przyznać, Yusufie – pochwaliłem któregoś razu mojego sługę – że szczerze podziwiam sposób, w jaki wykurowałeś Jasia Monstrancję. Mam nadzieję, że nie zawarłeś paktu z diabłem?

– Nie, panie. Wszystko, co umiem, zawdzięczam nauce i doświadczeniu – zaprzeczył Yusuf.

– Jak długo trzeba się uczyć, żeby zostać dobrym medykem?

– Całe życie. Człowiek powinien dążyć do tego, co najważniejsze, cóż zaś może być ważniejszego od mądrości? Wiedza i wykształcenie to filary, na których opiera się świat i religia. To one odróżniają człowieka od bydła, są światłem jego serca i sterem jego duszy. Niestety, mądrość jest także jedynym dobrem, jakim Wszechmogący obdarzył potomków Adama w sposób niesprawiedliwy.

– Co też powiadasz, Yusufie?

– Szczerą prawdę, panie. Nikt nie powinien narzekać, dopóki chodzi o bogactwa, pozycję, sławę, a nawet zdrowie, bo w tych sprawach należy porównywać się z tymi, którzy dostali jeszcze mniej od nas. Jednak, pod względem mądrości, trzeba się porównywać z tymi, którzy otrzymali więcej, a wtedy trudno być zadowolonym. Tylko głupcy sądzą, że mają dość rozumu.

– Pewnie masz rację. Od kogo uczyłeś się sztuki leczenia?

– Nauki trzeba szukać choćby w Chinach, toteż uczyłem się od wszystkich. Od Greków Galena i Hipokratesa, od Persa Haly Abbasa, lecz przede wszystkim od Arabów: wielkiego Al-Kindiego, niezrównanego Ar-Raziego, prześwieczonego Ibn Sina i znakomitego Abbasa al-Zahrawiego.

– A od chrześcijan?

– Znam niewielu autorów chrześcijańskich z tej dziedziny i tylko raz otarłem się o chrześcijańskiego medyka. Było to przy oblężeniu Walencji, gdzie mój pan, wielmożny Al-Muzaffar Ibn Al-Kasim Ibn Masud Ibn Abd Allah Ibn Abu Bakr Ibn Umar Ibn An-Nazzam, znał w nieprzyjacielskim obozie pewnego rycerza, z którym wymienił zadatki przyjaźni. Kiedy zawarto rozejm, rycerz ów poprosił mojego pana, żeby mnie do niego przysłał, bo paskudziła mu się rana od włóczni. Pojechałem więc do obozu chrześcijan, obejrzałem mojego pacjenta, oczyściłem mu ranę octem i winem, zastosowałem okłady z ziół, od czego zaraz poczuł się lepiej, a wreszcie poleciłem mu spożywać dużo wołowiny i pić czerwone wino, aby jego organizm nabrał sił i mógł odtworzyć tę ilość krwi, jaką stracił od czasu zranienia. Kiedy się rozstawaliśmy, przyjaciel mojego pana wyglądał na bardzo zadowolonego, lecz gdy przyjechałem go obejrzeć tydzień później, już nie żył.

– A to dlaczego?

– Po mojej wizycie przyszedł do niego jakiś lekarz kastylijski i powiedział: „Raczej być chorym, jeśli taka jest wola Boska, niż wyleczyć się z pomocą diabła i podejrzanych środków. Raczej umrzeć w Chrystusie niż być uzdrowionym przez Saracena i przez Szatana, z którym jest w zмовie!”. A potem namówił go do puszczenia krwi i spuścił mu jej trochę za dużo.

– Czy chcesz przez to powiedzieć, że chrześcijanie nie potrafią leczyć?

– Niekoniecznie, panie. Może tak, a może nie. Pamiętaj, że przeznaczenie każdego człowieka zostało stworzone na dwa tysiące lat przed jego narodzeniem.

– A może rzeczywiście nie potrafią? – powtórzyłem z nadzieją. – Yusufie, czy mogę cię o coś prosić?

– O wszystko, i jeszcze więcej – odrzekł skłaniając głowę.

Opowiedziałem mu zatem o mojej ranie i poprosiłem, żeby ją obejrzał. Zrobił to na pierwszym postoju, gdy poiliśmy konie w strumieniu. Naciskał mnie i ugniatał, długo szczypał i rozciągał, a nawet drażnił źdźbłem trawy, aby w końcu stwierdzić z westchnieniem:

– Niestety, panie, jesteś niczym palma, która rzuca królewski cień, lecz nie daje daktyli. Wątpię, żeby dało się na to coś poradzić.

– A zatem i nasi medycy nie są tacy ostatni! – zauważyłem z ponurą satysfakcją, wciągając z powrotem gacie. Yusuf pokiwał tylko głową, po czym on z kolei rozebrał się, aby, korzystając z okazji, umyć się i odprawić swoje modły, w czym nie zamierzałem mu przeszkadzać. Czekać aż skończy, ułożyłem się pod rozłożystą sosną, pogrążony w rozmyśleniach nad moim nieszczęściem. Z zadumy wyrwał mnie dopiero stukot kopyt, któremu towarzyszył dźwięk jakby żelaza obijającego się o kamienie. Yusuf też go usłyszał, gdyż nagle przestał się taplać i zastygł z dłonią przy oczach, wpatrzony w górę strumienia. Na wszelki wypadek wstałem i ja, biorąc do ręki miecz.

Zza zakrętu wyłonił się niewielki orszak składający się z jeźdźca na mule, dwóch zbrojnych pachołków i prawie nagiego mężczyzny, który włókł się za nimi na postronku, to machając rękoma jakby dla złapania równowagi, to potykając się lub nagle podskakując bez żadnego widocznego powodu.

Ci, którzy go prowadzili, zatrzymali się na nasz widok, przez chwilę naradzali się między sobą, potem zaś piechurzy napięli łuki i dopiero tak przygotowani, odważyli się podejść bliżej. Jeździec okazał się starszym, zasuszonym duchownym. Golec, ubrany w strzepy szaroburej tuniki, nie zasłaniającej mu dobrze nawet przyrodzenia, był młodym jeszcze człowiekiem, bardzo chudym i brudnym. Do pasa skrywał go gęszcz splecionych włosów przetykanych zeschniętymi liśćmi i igliwem, zaś nogi krępował mu łańcuch, spod którego sączyła się krew. Mając w pamięci Hyperechiosa, a na uwadze napięte łuki, odezwałem się pierwszy, jak najprzyjaźniej:

– Niech będzie pochwalony!

Zamiast odpowiedzi, duchowny wskazał swoim ludziom Yusufa i rzekł krótko:

– Jeszcze jeden. Brać go!

Zrozumiałem go dobrze, choć jego mowa różniła się nieco od tej, jaką posługiwano się z drugiej strony gór. Dlatego, gdy pachołkowie rzucili się w stronę Yusufa, zagroziłem im stanowczo drogę.

– Co robicie? Nie ważcie się go tykać!

– A to dlaczego? – ich przełożony po raz pierwszy zwrócił uwagę na mnie.

– Bo to... bo to... bo to... poseł! – wypaliłem pod wpływem nagłego olśnienia.

– Poseł? – wielebny spojrział na mnie nieufnie, ale powstrzymał swoich ludzi.

– Czyj?

– Wielmożnego emira Kordoby do miłościwego hrabiego Tuluzy. Jestem mu przydany za przewodnika.

– Saracen? – skrzywił się z niechęcią.

– Ale poseł – podkreśliłem z naciskiem.

Tymczasem jeden z pachołków podniósł z ziemi turban Yusufa i pokazał go duchownemu. Ten kiwnął głową i rzekł:

– Zgadza się. Trudno, niech sobie nie myśli taki syn, że nie wiemy, co to majestat posła. Zostawcie go w spokoju – polecił piechurom.

– Niech wasza miłość się nie obawia – zwróciłem się do Yusufa, kłaniając mu się przy tym w pas. – To szlachetni i czcigodni ludzie. Prosimy na brzeg, mości pośle.

Yusuf skinął głową i wyszedłszy bez pośpiechu z wody, począł się ubierać. Ponieważ pachołkowie pochowali strzały, zaproponowałem od razu drobny poczęstunek.

– Bóg ci zapłać, synu – podziękował ich przełożony, zsiadając z muła. – Rzeczywiście trochę nam w brzuchach burczy.

Po czym wskazał dyskretnie na Yusufa i zapytał półgłosem:

– Rozumie po ludzku?

– Oczywiście. Jak to poseł.

– Słusznie, słusznie. A ja go wziąłem za zwykłego heretyka – wyjaśnił sadowiąc się wygodnie na derce ściągniętej z wierzchowca. Jego ludzie także przysiedli na kamieniach, tylko golec, wyczerpany marszem, położył się jak długi na trawie. Wyjąłem sakwę z prowiantem, którym obdarzył nas na drogę Jaś Monstrancja i ukroiłem trochę chleba i mięsa. Spytałem także, czy mogę coś dać więźniowi. W odpowiedzi duchowny wziął pajdę chleba i cisnął ją nagusowi pod nogi. Widząc, z jaką żarłocznością ów się za nią zabrał, dałem upust mojej ciekawości.

– Cóż to za cudak? – zapytałem.

Wielebny wzruszył ramionami:

– Nie wiem, nawinął się po drodze, ale wygląda na heretyka.

– A co to znaczy „heretyk”? – zapytał Yusuf, który właśnie do nas dołączył.

– Heretykiem, mości pośle, jest ten, kto mając możliwość wyboru między wiarą prawdziwą a fałszywą, wybiera fałsz, odrzucając prawdę, po czym trwa w tym fałszu ze zgubnym uporem, głosi go wszem i wobec, i w konsekwencji odsuwa się coraz dalej i dalej od wspólnoty wiernych, aż w końcu całkiem się od niej odszczepia. Mówiąc krótko, w porównaniu z dobrymi chrześcijanami heretycy są jak plewy, które wiatr porywa z ziemi i jak krople, co wypadły z dzbana – wyjaśnił mu grzecznie duchowny.

– Rozumiem, to coś jak charydźcy pośród prawdziwie wierzących.

Rzuciłem memu słudze groźne spojrzenie i podsunąłem mięsiwo gościom.

– A na czym konkretnie polega wina tego nędznika? – zapytałem.

– Tylko nie nędznika! – niespodziewanie odezwał się nagus. – Mogę się założyć, że pochodzę z dużo lepszego rodu niż ty, panie.

– Nie wierz mu, synu – duchowny machnął lekceważąco ręką. – Znam ich dobrze. Zawsze opowiadają niestworzone rzeczy. A to zapewne zwykły adamita. Każdy heretyk uwielbia przybierać pozory cnoty, ale w środku jest wściekłą bestią lubiącą kąsać znieścaka. Nie macie to przypadkiem kapki wina?

Podąłem mu bukłak z winem, po czym zwróciłem się do golca, rozdrażniony jego uwagą:

– Jakoś nie widać po tobie tego wysokiego rodu, którym się tak chełpisz.

– W to nie wątpię – odrzekł tamten – lecz jeśli dzisiaj widzisz mnie w tym stanie i w dodatku oskarża się mnie o herezję, to głównie dlatego, że moim rodzicom zachciało się zostać świętymi. Mieli spory majątek, ale przed śmiercią

sprzedali go, a pieniądze rozdali ubogim, jak nakazuje Pismo. Kiedy błagałem ich, żeby zostawili mi choć część swoich bogactw, abym nie popadł w nędzę, ojciec zacytował mi słowa Psalmu: *Młody byłem i zestarzałem się, a nie widziałem, żeby sprawiedliwy był opuszczony ani żeby jego potomstwo zebrało chleba*⁴² – i nie dał mi złamanego grosza.

– I słusznie – rzekł wielebny. – Postąpił jak prawdziwy chrześcijanin.

– Ale nie jak prawdziwy ojciec – zauważył Yusuf.

– Dobrze, nie powiesz mi jednak, że to z powodu nędzy zakuto cię w kajdany?
– wyraziłem swoje niedowierzenie.

– Pewnie, że nie. W kajdany zakułem się sam. I ufam, że kiedy moja pokuta dobiegnie końca, okowy te same pękną – objaśnił golec.

– Więc jednak masz coś na sumieniu, choć udajesz niewiniątko! – zainteresował się duchowny. – Jak do tego doszło?

– Wbrew zapewnieniom mojego ojca – Panie, świeć nad jego duszą! – bardzo szybko zostałem żebrakiem. Chodząc tam i sam po świecie za kawałkiem chleba, poznałem pannę z dobrego domu, zmuszoną do żebrania z podobnych co i ja powodów. Zakochałem się, ożeniłem, no i wtedy zaczęły się kłopoty.

– To normalne – stwierdził wielebny, pociągając z bukłaka – Bo choć wprawdzie i pośród żon trafiają się kobiety święte, ale tylko wtedy, gdy owdowiały, lub gdy pomimo sytuacji permanentnego zagrożenia, z jaką łączy się stan małżeński, udało się im zachować dziewictwo. Wiadomo jednak, że na tysiąc małżeństw dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięć pozostaje w mocy diabła i dlatego na ogół lepiej strzec się każdej żony jak morowego powietrza.

– Moja, suka jedna, była właśnie z tych świętych – zaznaczył nie bez dumy nagus.

– To dlaczego ją znieważasz? – zdziwiłem się – Czyż nie powinienesz raczej dziękować Bogu za to, że dał ci tak dobrą żonę?

– No właśnie – poparł mnie stary ksiądz.

– Co do mnie, to wolałbym, żeby zabrał ją sobie z powrotem! – zachnął się na to więzień. – Bo kiedy po ślubie, rozpalony miłością, chciałem zrobić użytek z naszego małżeństwa, odmówiła, prosząc mnie o trzy noce Tobiaszowe.

– I bardzo dobrze – cmoknął z uznaniem wielebny. – Prawdziwy chrześcijański małżonek powinien brzydzić się aktem cielesnym, a w swojej żonie kochać jedynie to, że jest jego bliźnim, nienawidzić zaś tego, że jest kobietą. Kto traktuje w ten sposób swoje małżeństwo, ten prawie dorównuje osobom niezonatym, duchownym i w ogóle świętym.

– Ja też tak uważałem, dlatego, choć z bólem, zgodziłem się. Ale ona po trzech nocach Tobiaszowych zażądała pół roku małżeństwa Józefowego! Po strasznej kłótni skróciliśmy ten termin do trzech miesięcy, lecz wtedy przestała się do mnie

odzywać, a ja z przymusowej wstrzemięźliwości i z wielkiego gniewu tak się rozchorowałem, że na odpustach nie byłem w stanie wyżebrać ani kawałka chleba! – poskarżył się golec.

– I bardzo niesłusznie – duchowny pokręcił z dezaprobatą głową. – Już dawno zauważono, że zbyt częste stosunki małżeńskie powodują ślepotę i głuchotę, wysuszają mózg i prowadzą do przedwczesnej starości i śmierci. Poza tym za ludźmi rozpustnymi gonią watahy psów. Jak wiadomo, psy lubią silny zapach i uwielbiają padlinę, zaś ciało człowieka, który odbywa wiele stosunków, nie różni się niczym od ścierwa z powodu dużego ubytku nasienia.

– Możliwe, ale ja chciałem odbyć choćby jeden, a jeśli chodzi o psy, to zapewniam cię, ojczy najmilejszy, że na mój zapach i widok uciekały z podkulonym ogonem, gdzie je ślepią poniosły! – zapewnił go gorąco nagus.

– Trudno, także miłość małżeńska powinna być dźwiganiem krzyża i nieustannym naśladowaniem Chrystusa – napomniał go mój gość.

– Twoja historia zaczyna być interesująca – przyznałem. – Ciekawe, co nastąpiło po tych trzech miesiącach?

– A to, że akurat przyszła na nią jej pora, i choć ją prosiłem i błagałem, znów mi odmówiła – skrzywił się nasz heretyk.

– I bardzo dobrze, bo małżonkowi, tak jak rolnikowi, wolno sypać ziarno tylko w porze siewu – pouczył go surowo mój gość. – Dziecko poczęte z miesiączkującą jest opętane przez diabła albo trędowate, może chorować na padaczkę, być garbate, głuche, ślepe, nieme, chrome, zezowate, mieć tylko jedno oko albo jedną rękę, nogi krzywe jak pałaki albo głowę wielką jak beczka, przy czym niemal zawsze brak w tej beczce piątej klepki, jako że od krwi miesięcznej dzieją się nie tylko takie rzeczy, ale także rdzewieje żelazo, czernieje srebro, mleko się ścina, wapno nie wiąże, mięso się psuje, psy dostają wścieklizny, drzewa nie rodzą, zboża nie dojrzewają, kwiaty więdną, trawy żółkną, a wino zamienia się w ocet. Nawet Żydzi oszczędzają ten czas, i to nader skwapliwie.

– Żeby stłumić lubieżność mogłeś zażyć ruty lub dzikiej sałaty – poradził nagusowi Yusuf.

– Och, wasza miłość, czego to ja nie zażywałem! – westchnął golec. – I ruty, i dzikiej sałaty, i naparu ze szczawiu, i sproszkowanej kory, i tłuczonych żołądździ, i mielonego perzu, ale wszystko na nic! Wiadomo, jak człowieka przydusi, to musi, a jak go przycisnie, to mu nie zwiśnie.

– Uważaj, hultaju, bo to co teraz powiedziałaś, trąci mi herezją nikolaitów, którzy tak długo praktykowali i usprawiedliwiali rozpustę, aż w końcu doszli w niej do ohydneho zwyczaju wymieniania między sobą żon! – ostrzegł go wielebny. – Pamiętaj, że ci, którzy zadają się ze swoimi połowicami nie dla płodzenia dzieci i podtrzymania rodzaju ludzkiego, lecz tylko gwoli rozpusty, są

jak ogiery spragnione kobyły i czy tego chcą, czy nie chcą, czynią ze swych małżonek nierządnicę, a ze swoich teściów zwyczajnych rajfurów.

– Będę o tym pamiętał, ojcie – przyrzekł pokornie nagus.

– Cóż było dalej? – zapytał.

– Zagroziłem, że od niej odejdę i dopiero to poskutkowało. Przyrzekła, że jak minie jej słabość, spłaci z nawiązką, co mi była winna.

– I jak, dotrzymała słowa? – zainteresował się jeden z milczących dotąd pachołków.

– Nie, bo akurat wypadła niedziela i nie mogłaby się po tym pokazać w kościele.

– I znakomicie! – pochwalił wielebny. – Słusznie, że nie zbrukaliście dnia poświęconego Panu! W przeciwnym razie urodziłyby się wam z pewnością kaleki albo typowe gamonie.

– A dlaczegoż to po stosunku nie mogłaby się pokazać w kościele? – zdziwił się Yusuf.

– A dlatego, mości pośle, że w trakcie i po stosunku duch, przygnieciony i wycieńczony przez ciało, jest tak sponiewierany i ogólnie zafajdany, że w podobnym stanie człowiek nie powinien oglądać rzeczy świętych – wyjaśnił duchowny.

– A nie wystarczyłoby dokonać ablucji?

– Zwykłą wodą grzechu nie zmyje. Lepiej zresztą, żeby kobieta nie myła się zbyt często, w każdym razie nie co dzień.

– Na szczęście po każdej niedzieli przychodzi poniedziałek – zauważyłem.

– To prawda, panie – rzekł golec. – Ale w moim przypadku w poniedziałek rozpoczął się Wielki Post, a po nim przyszła Wielkanoc. I znów skończyło się na niczym.

– To świetnie, inaczej wszyscy święci, których mogliście znieważać, świadczyliby przeciwko wam na Sądzie Ostatecznym! – zagrział łowca heretyków.

– A niech cię diabli z twoją opowieścią! – odezwał się drugi z pachołków. – Mnie już zaczyna nudzić. Powiedz wreszcie jak człowiek, dała ci, czy nie?

– Nie, sam sobie wziąłem. Drugiej czy trzeciej nocy po Rezurekcji, kiedy mocno spała. Próbowwała się bronić, ale już było za późno, stało się.

– No nareszcie! – wykrzyknął pierwszy pachołek.

– Zuch! – zawołał drugi.

– Uff! – westchnął z ulgą Yusuf.

– Wielka szkoda! – skwitował ze smutkiem wielebny. – Chrześcijanin winien mieć w pogardzie ziemskie przyjemności.

– Święte słowa, ojcie – przytaknął mu nagus. – Zwłaszcza, że dzień później oskarżyła mnie przed plebanem, że zgrzeszyłem z nią w sposób przeciwny naturze.

– Wielki Boże! – wzdrygnął się duchowny.

– A to, faktycznie, suka! – splunął któryś z pachołków.

– Jakże to? – zdumiałem się i ja.

– Sam nie wiem, jak – nagus otarł łzę. – Było ciemno, robiłem to po raz pierwszy w życiu, mogłem się pomylić.

– Czy chcesz przez to powiedzieć, że umieściłeś nasienie nie tam, gdzie trzeba?! – głos wielebnego zadrżał i załamał się.

– Tak właśnie powiedziała plebanowi – wyszeptał golec, spuszczać ze wstydu głowę.

– Nieszczęsny! Ukrzyżowałeś Chrystusa! – wykrzyknął mój gość, odstawiając na bok wino. – Ty wstrętny heretyku! Morderco własnych dzieci! Jesteś nie lepszy od Heroda, bo choć nie zabiłeś nikogo nożem ani mieczem, to i ty dokonałeś rzezi niewinnych! Czy wiesz, nędzniku, że za żaden występki Bóg nie zsyła tak często nagłej śmierci, jak za *coitus* poza dozwolonym naczyniem?

– Naczyniem?! – z wrażenia o mało nie zachłysnąłem się winem.

– I owszem – potwierdził. – Naczyniem, pojemnikiem, futerałem, mieszkim, schowkiem, tuleją, zasobnikiem, a nawet, jeśli wolisz, puzderkiem. Wiadomo, o co chodzi.

– Chwileczkę, czegoś tu nie rozumiem – wtrącił się Yusuf. – Kiedy słyszę, jaki rejwach podnoszą chrześcijanie z powodu czynu człowieka, który został stworzony przez Boga jako normalny mężczyzna i spał z kobietą, którą ten sam Bóg ukształtował w miarę zgrabnie i powabnie, mam wrażenie, iż sądzą, że świat rozpadł się na drobne kawałki albo że, co najmniej, spadły z nieba wszystkie gwiazdy. Cóż się właściwie stało?

– A to, mości pośle, że nie ma innego grzechu, który pociągnąłby tak wielką liczbę dusz do piekła jak nieczystość, co ilustruje dobrze przykład Asmodeusza, który uśmiercił siedmiu kolejnych mężów Sary nie przy jedzeniu, nie w kąpieli i nie, dajmy na to, przy goleniu czy na łowach, ale właśnie w łóżku. Jednak od zwykłego – i tak już wstrętnego – grzechu nieczystości gorsze jest cudzołóstwo, od cudzołóstwa większe jest zło nierządu, a jeszcze większe od zła nierządu jest zło kazirodztwa; gorszą jest bowiem rzeczą spać z własną matką, siostrą albo córką niż z jakąś obcą kobietą. Ale najgorsze ze wszystkiego jest to, co się sprzeciwia naturze, a zatem kiedy mąż umieszcza nasienie w nieodpowiednim naczyniu, zwłaszcza jeśli jest to, nie daj Boże, futerał tej samej płci. Jest bowiem niedozwolone obcować z kimkolwiek, uchylając się przy tym od zapłodnienia.

Tak czynił Onan, syn Judy, oraz mieszkańcy Sodomy i Gomory, i właśnie za to uśmiercił ich Bóg – wyjaśnił oburzony duchowny.

– Dokładnie to samo powiedział nasz pleban – zgodził się nagus. – I dlatego, niezależnie od kar, które mogą mi jeszcze wymierzyć, sam zakulem się w te oto kajdany, uciekłem na puszcę i poprzysiągłem sobie, że już nigdy więcej nie zadam się z żadną kobietą.

– Głupiś! – skrzywiłem się na te słowa.

– Głupiś, i to bardzo! – poparł mnie stary ksiądz – Bo choć niewątpliwie jest rzeczą chwalebną zrezygnować z cielesnych uciech, kiedy się je już poznało, cóż jednak z Bożym nakazem *Rośnijcie i mnożcie się, i napełniajcie ziemię?*⁴³

– Mam go gdzieś, nie chcę ani rosnać, ani mnożyć się, ani tym bardziej niczego napełniać – oświadczył zdecydowanie golec.

– Ty wilku w owczej skórze! Ty łotrze manichejski! – duchowny aż się zatrząsł. – Czy chcesz zawsze sprzeciwiać się Bogu, jak nie tak, to inaczej, jak nie wprost, to podstępem?! Myślałem, że jesteś zwykłym adamitą, ale teraz widzę, że jest dużo gorzej!

Na te słowa nagus skulił się w sobie i spuścił ponownie głowę.

– Czy to jakiś groźny heretyk? – zapytał Yusuf.

– Groźny czy nie groźny, to rozstrzygnie biskup – odparł wielebny. – Może się jeszcze okazać, że w tym, co nam powiedział, nie ma ani krztyny prawdy, podczas gdy jego autentyczne winy przechodzą ludzkie pojęcie. Wiem coś o tym. Badałem heretyków setki razy i zapewniam was, że nigdy nie wiadomo, kiedy kłamią, a kiedy zdarza się im powiedzieć prawdę. Ich przewrotność nie ma bowiem dna ani granic.

– Naprawdę? – zdumiałem się. – A ja już byłem skłonny mu uwierzyć!

– Zrozumiała to naiwność u kogoś bez doświadczenia. Musisz jednak wiedzieć, że ci pierwородni synowie Szatana znają dziesiątki sposobów fałszowania i przeinaczania prawdy. Czy chcesz się o tym przekonać?

I nie czekając na moją odpowiedź, zwrócił się do nagusa:

– Ej, ty, powiedz nam, czy wierzysz w to, że chrzest jest sakramentem koniecznie potrzebnym do zbawienia?

– Wierzę – odparł bez wahania golec.

– No i widzisz! – stwierdził tryumfalnie łowca heretyków. – Mówi „Wierzę”, ale nie mówi, w co. Bo heretycy w takich wypadkach dodają zazwyczaj w myślach, że chrzest wcale nie jest sakramentem koniecznie potrzebnym do zbawienia, albo też, mówiąc „Wierzę”, chcą przez to powiedzieć tylko tyle, że i oni mają jakieś wierzenia. Ja ich znam. Zapytaj takiego na przykład, czy wierzy w Święty Kościół Katolicki, to ci odpowie, że owszem, wierzy w Święty Kościół

Katolicki, tylko że po cichu uważa za ten kościół siebie i swoich bezecnych wspólników.

– Do głowy by mi to nie przyszło! – zdumiałem się tak wielką przewrotnością.

– Dodawanie czegoś w myślach to jeden z ich stałych wybiegów. Inny polega na odwracaniu pytania. Pytasz na przykład heretyka, czy wierzy w to, że Duch Święty pochodzi od Ojca i Syna, a on ci odpowiada: „A ty w co wierzysz, ojcze?”. Więc mówisz mu, zgodnie z prawdą: „Ja wierzę w to, że Duch Święty pochodzi od Ojca i Syna”, a wówczas ten łajdak stwierdza bezczelnie: „I ja w to wierzę, ojcze”!

– To chyba dobrze? – zauważyłem niepewnie.

– Ależ skąd! – obruszył się wielebny. – Ja ich znam! Heretyk chce przez to powiedzieć tylko tyle, że wierzy w to, że ty wierzysz w to, w co i on skądinąd powinien wierzyć, ale w co on oczywiście nie wierzy. Inna ich sztuczka polega na udawaniu wielkiego zdziwienia i świętego oburzenia. Pytasz takiego: „Wierzysz, że to Pan Bóg stworzył wszystkie rzeczy?”, a on, jakby się poczuł tym pytaniem straszliwie dotknięty, mówi: „A niby w co miałbym wierzyć?! Czyż nie powinienem w to wierzyć?!” – uważając naturalnie, że wierzyć w to nie powinien. A kiedy zapytasz go, czy wierzy w to, że Chrystus narodził się z Dziewicy, niemalże krzyczy na ciebie, jakbyś to ty był heretykiem, a nie on sam: „Boże Jedyny! Czy masz mnie, ojcze, za parszywego Żyda?! Jestem chrześcijaninem i wierzę we wszystko, w co powinien wierzyć prawdziwy chrześcijanin!”.

– W tym przypadku trudno mu chyba cokolwiek zarzucić? – zdziwił się Yusuf.

– Mylisz się, mości pośle. Rzecz w tym, że jego zdaniem, prawdziwy chrześcijanin, za jakiego się uważa, wcale nie powinien w to wierzyć. Ja ich znam! Cały czas próbują kręcić i mataczyć! Inny ich podstęp polega na unikaniu klarownej odpowiedzi. Pytasz któregoś z nich: „Wierzysz w to, że po swojej śmierci Chrystus zstąpił do piekieł?”, a ten, jeden z drugim, zaczyna się zastanawiać, marszczyć czoło, drapać się w głowę, wzdychać, cedzić, stękać, kwękać, że niby to tak trudno zebrać mu myśli albo znaleźć właściwe słowo, aż w końcu rzecze: „Ach, ojcze wielebny! Śmierć Chrystusa! Cóż to za temat do medytacji! Ileż w nim głębi i tajemnicy! Gdzieżbym ja, skromny prostaczek, śmiał się o niej w ogóle wypowiadać? Ubogi jak Chrystus, nie mam nawet czasu, żeby o tym pomyśleć, bo przede wszystkim muszę zarabiać na życie”. I niepostrzeżenie zaczyna ci się rozwodzić na temat swojej nędzy! A ty dalej jesteś tak samo głupi, jak przedtem. Albo, pytany o to, czy wierzy, że Chrystus żył jeszcze po tym, jak Mu przebito bok Świętą Włócznią, heretyk potrafi powiedzieć bezczelnie: „No tak, słyszałem, że kiedyś powstała wokół tego wielka kontrowersja, zupełnie tak samo jak dzisiaj wokół wizji błogosławionych.

Na litość Boską, powiedz mi, ojcze, o co właściwie chodzi z tymi wizjami? Wierzyć w nie, czy nie wierzyć? Bo za nic na świecie nie chciałbym się oddalić nawet o włos od prawdziwej wiary!” A najprzewrotniejsi heretycy to w ogóle nie odpowiadają na żadne pytania, tylko z miejsca wołają wielkim głosem: „Mój ojcze najmilejszy! Wierzę mocno w Boga i z najwyższą ochotą porozmyślałbym sobie nieraz o Jego godnych podziwu dziełach i o wszystkich tych cudownych artykułach wiary, jak choćby Grzech Pierworodny czy Trójca Przenajświętsza, ale niestety, mimo najszczerzych chęci, zupełnie się do tego nie nadaję! Bo kiedy tylko zaczynam się nad tym zastanawiać, to od razu czuję, że moja niewzruszona wiara zaczyna się kruszyć, a mojej nieśmiertelnej duszy grozi śmiertelne niebezpieczeństwo! Dlatego nie chcę nawet słuchać o tych wszystkich cienkościach i błagam cię, mój ojcze najmilejszy – w imię Ojca, Syna i Ducha – nie wódź mnie na pokuszenie i nie zadawaj mi więcej podobnych pytań!”.

– Faktycznie, wilki w owczych skórach i groby pobielane! – stwierdziłem ze zgrozą.

– Żebyż to, synu, było wszystko! Niestety, wytrawni heretycy znają jeszcze inne sztuczki. Niektórzy, pytani o cokolwiek, na przykład o to, czy składanie przysięgi w sądzie nie jest grzechem, odpowiadają zupełnie nie na temat, mówiąc: „Wierzę w to, że kto mówi prawdę, ten nie grzeszy”, albo coś w tym rodzaju. Inni, szczególnie wtedy gdy chce się ich posłać na Sąd Boży, zaczynają nagle udawać chorych albo wariatów, wybuchają głupkowanym śmiechem, dodają do swoich odpowiedzi bezsensowne słowa bądź ohydne przekleństwa, a ich kobiety, jakby się ladacznice umówiły, zgłaszają jedna w drugą, że właśnie dostały miesiączki! A wszystko to wyłącznie po to, żeby zyskać na czasie i wymyślić jakiś nowy podstęp. Dlatego, w przypadku szczególnie zatwardziałych heretyków, najlepiej w ogóle o nic nie pytać, tylko próbować zarzucić na nich wędkę w inny sposób, zwracając się do nich na przykład w ten sposób: „Drogi bracie, bardzo mi się podoba wszystko, co mówisz i szczerze podziwiam twoją cnotę. Zapoznaj mnie, proszę, dokładniej z twoją świętą doktryną, ponieważ także ja uważam, że nauki Kościoła, a raczej owej Synagogi Szatana, która się pod tą nazwą kryje, nie mają żadnej wartości i wiedzą nas prostą drogą do piekła”. To skłania ich zazwyczaj do większej otwartości.

– Tylko czy w tym wypadku nie mamy do czynienia z kłamstwem i podstępem z drugiej strony? – zapytał Yusuf.

– Możliwe, mości pośle – wielebny wydał wargi. – Trzeba jednak rozróżnić między kłamstwem a kłamstwem, i między podstępem a podstępem. Kłamstwo i podstęp, których jedynym celem jest oszustwo, są zawsze niedozwolone, ale kłamstwo i podstęp służące prawu, słuszości, sprawiedliwości, cnotcie i ogólnie dobru, jak też przynoszące powszechny pożytek, są ze wszech miar godne

pochwały, a nawet zalecenia. Zwłaszcza, kiedy chodzi o wykrycie herezji, wykorzenie błędów, nawrócenie grzeszników bądź zbudowanie wiernych. Pomyśl tylko o sądzie Salomona, o ile rzecz jasna kiedykolwiek o nim słyszałeś.

– Niech Bóg nas strzeże od fałszywych proroków i od sług Szatana, podszywających się pod sprawiedliwość! – westchnąłem ciężko.

– Bądź spokojny, wszyscy ci apostołowie kłamstwa skończą wedle uczynków swoich – zapewnił mnie łowca heretyków z głębokim przekonaniem.

– Na drzewo figowe i oliwkowe! Nie przypuszczałem nawet, że na świecie jest tylu heretyków! – zasepił się tymczasem mój służący.

– Och, świat jest nimi wypełniony po brzegi, wasza miłość. Bo też i ziarno herezji zostało wsiane w prawdę tak, jak kąkol w zboże. Kto wie, czy nie jest ich nawet więcej niż prawdziwych chrześcijan. Są wśród nich tacy, którzy wierzą w wędrówkę dusz, i tacy, którzy nie wierzą w ich nieśmiertelność. Są tacy, którzy twierdzą, że wszystko jest zbudowane z drobnutkich okruszków, które zwa atomami, i uważają, że wszystko ulegnie zniszczeniu, gdy owe okruszki rozpadną się w proch. Są też tacy, którzy przeczą, że Chrystus zstąpił do piekieł, aby uwolnić dusze sprawiedliwych, inni twierdzą, że dusza nie jest stworzona na obraz i podobieństwo Boże, a jeszcze inni, że po śmierci przekształca się ona w zwierzęta lub demony. Są heretycy, którzy głoszą, że świat jest wieczny, albo że istnieje nieskończona liczba światów. Jedni chodzą boso, drudzy nie jedzą mięsa lub też dla odmiany żrą tylko trawę jak bydłota, niektórzy uważają się za świętych i myślą, że w związku z tym wszystko im wolno, jeszcze inni ubóstwiają progres, wolność, równość, pokój albo tolerancję i dla ich zaprowadzenia gotowi są wypruć flaki z połowy ludzkości i obrócić w perzynę połowę świata. Dalej można by także wymienić niegodziwców przyjmujących nauki Platona, Arystotelesa, stoików, Epikura, Demokryta, jak też heretyków potępionych przez samego Chrystusa, to jest faryzeuszy, saduceuszy i herodian. A przecież mamy jeszcze menandrytów, uczniów maga Menandra, utrzymujących, że świat nie jest dziełem Boga, tylko aniołów; nazareńczyków, zachowujących Zakon, choć uznających także boskość Chrystusa; nowacjan, chrzczących już ochrzczonych; ofitów, wielbiących węża; setian, czczących z kolei Seta, syna Adama, i upatrujących w nim prawdziwego Mesjasza; barbelognostyków, łączących ofiarę Chrystusa z najbardziej wyuzdanymi orgiami; focynian, twierdzących, że Chrystus został spółdzony przez Marię i Józefa; adomitów, naśladowujących, tak jak ten tutaj, goliznę Adama; hierakitów, żyjących jak mnisi i utrzymujących, że dzieci nie wejdą do Królestwa Niebieskiego; jowinian, głoszących wbrew oczywistości, że nie ma żadnej różnicy między dziewicą a kobietą zamężną; pepucjan – których nazwa wywodzi się od miasta Pepuzy, gdzie mieszkał zbój Montanus i gdzie wyświęcił na

kapłanki dwie zwykłe kurwy, Pryscyllę i Maksymilę – a którzy to pepucjanie podczas mszy świętej ofiarowują mleko zamiast wina; akwarystów, znanych też pod mianem hydroparastatów, czyniących to samo z wodą; mezalian, którzy uważają, że trzeba się nieustannie modlić, co w ich mniemaniu wystarczy do zbawienia; audeanów, szczelejących wszem i wobec, że bogaci biskupi zostaną potępieni; czy choćby pneumamachów, zwalczających Ducha Świętego. I na tym zresztą nie koniec, bo są jeszcze papianiści, kainici, gajanici, manichejczycy, arianie, etykianie, orygeniści, agnoici, tryteici, paulicjanie, nestorianie, karpokracjanie, pelagianie, lucyferianie, donatyści, tertulianie, niktagowie, borborycy – i mnóstwo, mnóstwo innych odszczepieńców, których nazwy i błędy mógłbym wam wyliczać do białego rana. Słowem, podobnie jak diabłów, jest ich cały legion.

– Już od samych nazw obrzydliwych w głowie się kręci! Ciekawe, którzy z nich są najgroźniejsi? – zapytałem.

– Trudno powiedzieć. Groźni są na przykład florentyści, którzy głoszą, że to Bóg stworzył zło, zaprzeczając tym samym temu, co powiada Pismo: *A Bóg wiedział, że wszystko, co uczynił, było bardzo dobre.*⁴⁴

– Nikczemne łotry! Bóg nie mógł stworzyć zła, to oczywiste! – zaprotestowałem.

– Oczywiście, że oczywiste. Uważaj jednak, synu, abyś nie popadł z kolei w herezję kolucjan, którzy przeciwnie do florentystów, twierdzili bezczelnie, że Pan Bóg nie ma nic wspólnego ze złem, podważając w ten sposób słowa Izajasza, którego ustami Pan powiedział przecież wyraźnie: *Ja stwarzam niedolę.*⁴⁵

– Na Święty Koran, ci są chyba bliżsi prawdy – oświadczył Yusuf.

– O ohydnej sekcie Mahometa wolę zamilczeć przez szacunek dla godności posła – zganił go natychmiast wielebny.

– Ciekawe, panie, jak odróżniasz, co jest sektą, a co nie? – obruszył się na mój sługa. – Bo jeśli na podstawie liczby wyznawców, to weź pod uwagę, że i Chrystus, jeśli się nie mylę, miał z początku zaledwie dwunastu Uczniów, podobnie zresztą jak Wysłannik Boga Muhammad, za którym poszło najpierw tylko czterdziestu Towarzyszy. Jeśli zaś na podstawie dawności i szacowności jakiegoś wyznania, to może zaciekaw cię fakt, że w Egipcie, w królestwie Fatymidów, aż roi się od świątyń i posągów, które dawni mieszkańcy tego kraju otaczali czią przez tysiąclecia, a których dzisiaj nikt już nie czci, ani nie poważa.

– Wierz mi, panie, że gdyby nie twoja kondycja posła, potrafiłbym ci to wytłumaczyć tak jasno i dobitnie, że już nigdy nie miałbyś w tym względzie żadnych wątpliwości! – zapewnił go wielebny ze złowrogą nutą w głosie.

– Póki co, to raczej mnie wytłumacz, komu bardziej wierzyć? – poprosiłem. – Kolucjanom czy tym, jak im tam, florentystom? Wolałbym mieć w tych sprawach

pewność.

– Ani jednym, ani drugim. Wierz w to, w co nakazuje ci wierzyć Święty i Apostolski Kościół Rzymski, to w zupełności wystarczy – odpowiedział duchowny.

– Rozumiem.

– Rzecz w tym, że to naprawdę delikatna materia. Dlatego nie ma sensu pytać, którzy heretycy mają mniej czy więcej racji, bo wszyscy oni to tylko bydlę rzeźne zmierzające prosto do piekła. Co do mnie, to uważam, że zgodnie ze słowami świętego Jana: *Ten, kto we Mnie nie trwa, zostanie wyrzucony jak winna latorośl i uschnie. I zbiera się ją, i wrzuca do ognia, i płoni e,* ⁴⁶ wszystkich podejrzanych o herezję należałoby bez ceregieli spalić na stosie. Nie zasługują bowiem na zmiłowanie lisy pustoszące winnicę Pańską.

– Czy to aby nie nazbyt surowa kara? – zapytał Yusuf z lekko drwiącym uśmiechem.

– Bynajmniej – odparł wielebny. – Jeśli bowiem, zgodnie z prawem, karzemy śmiercią fałszerzy pieniędzy, które są przydatne tylko w życiu doczesnym, dlaczego mielibyśmy oszczędzać heretyków, fałszujących coś znacznie cenniejszego, bo wiarę, którą żyje dusza ludzka?

– Dlatego, że przez brak ceregieli moglibyśmy uznać za prawdziwych heretyków także tych, którzy się tylko myślą – wyraziłem i ja moje wątpliwości.

– Nie szkodzi. W materii wiary, błąd nie różni się niczym od herezji. Poza tym, Bóg i tak rozpozna swoich. Powiem więcej, dla porządku powinno się także spalić wszystkich świętokradców, wywoływaczy diabłów i duchów, wszystkich magów, czarnoksiężników, wytwórców amuletów i napojów miłosnych, wszystkich wróżbitów i jasnowidzów oraz wszystkich bluźnierców.

– Wszystkich bluźnierców? – oszołomił mnie rozmach tego zamysłu.

– Tak jest, wszystkich bez wyjątku. Niezależnie od tego, czy atakują świadomie któryś z artykułów wiary, jak choćby ci, którzy głoszą, że Pan Bóg nie może sprawić, aby poprawiła się pogoda lub żeby zaczęło padać, czy tylko obrażają Boga ze zwykłej głupoty, albo działając w afekcie. Bo że i nad tymi drugimi nie warto się roztkliwiać, najlepiej świadczy swawola, z jaką imię Pańskie jest dziś znieważane przez wszystkich, wszędzie i o każdej porze. Wszak przeklinają już nie tylko mężczyźni, ale także kobiety, i to coraz młodszy i młodszy, i jak tak dalej pójdzie, to już wkrótce pierwszym słowem dzieciątek w kolebce nie będzie wcale „Mama” albo „Tata”, ale jakieś ohydne przekleństwo, które jeszcze naszym ojcom nie przechodziło przez gardło.

– Na słońce i jego jasność poranną! – zdumiał się Yusuf. – Kara stosu za przekleństwo?! Czy to znowu nie przesada?

– Nie, mości pośle – zaprzeczył wielebny. – Bo jeśli uważamy za apostatę, a co za tym idzie za heretyka tego, kto ze strachu przed śmiercią lub nawet pod wpływem tortur wyrzeka się prawdziwej wiary i depreczując pierwsze przykazanie przystępuje do jakiejś innej, jak choćby – proszę mi wybaczyć, ekscelencjo – do budzącej odrazę sekty Mahometa, to czyż nie jest heretykiem, i to podwójnie, ten, kto bluźni i złorzeczy Bogu z byle powodu, nawet tak błahego, jak choćby to, że przegrał w kości parę miedziaków, że skradziono mu wszawę gacie, albo że rozbił sobie nos na równej drodze?

– Może to i logiczne – przyznał Yusuf. – Niepokoi mnie jednak, że w poczet heretyków zaliczyłeś również tych, którzy przeszliby na prawdziwą wiarę. Mam nadzieję, że się przesłyszałem?

– Owszem, przesłyszałeś się. Mówiłem bowiem nie o tych, którzy przeszliby na prawdziwą wiarę, ale o tych, którzy by od niej odeszli – wyjaśnił łowca heretyków. – Ci zaś zasługują na karę Kościoła o wiele bardziej niż sami niewierni, wyznający ową fałszywą wiarę od urodzenia.

– Jakże to? Więc ci, których nazywasz niewiernymi, też zasługują twoim zdaniem na kary Kościoła? Jakim prawem? – zaperzył się mój sługa.

– A takim, mości pośle, że papież, jako namiestnik Chrystusa, sprawuje władzę nie tylko nad ochrzczonymi, ale także nad wszystkimi niewiernymi i poganami. Uniwersalną władzę Chrystusa poświadcza Psalm 72, który stwierdza wyraźnie: *Boże, sądy Twoje daj królowi i sprawiedliwość Twoją synowi króla*⁴⁷, a także: *Korzyć się przed nim będą wszyscy królowie, wszystkie narody służyć mu będą!*⁴⁸ – odpowiedział twardo wielebny.

– Niemożliwe, żeby odnosiło się to również do prawdziwie wierzących, którzy nie uznają boskości Jezusa ani władzy rzymskiego kalifa! – zaprotestował Yusuf.

– Mylisz się, i to bardzo, ekscelencjo, albowiem w tym samym Psalmie 72 czytamy także: *Uklękną przed nim mieszkańcy pustyni i wrogowie jego prochlizać będą,*⁴⁹ co jako żywo musi stosować się do Saracenów. Zresztą pomyśl tylko, czy Chrystus byłby dobrym *pater familias*, gdyby nie wyposażył swojego namiestnika na tym padole w absolutną władzę nad wszystkimi ludźmi? Czyż nie przekazał świętemu Piotrowi i jego następcom władzy zawiązywania i rozwiązywania? Czyż nie nakazał im paść swoich owiec? A przecież wszyscy ludzie, wierni czy niewierni, czy tego chcą, czy nie chcą, są owieczkami Chrystusa przez sam fakt, że zostali stworzeni, choćby na razie nie wszyscy jeszcze należeli do Jego owczarni. I wreszcie, dlaczego Kościół miałby się powstrzymywać od karania pogan i bałwochwalców, w tym także Żydów i Saracenów, skoro sam Pan Bóg ukarał mieszkańców Sodomy i Gomory, którzy też nie wierzyli w Niego ani trochę?! – obrzucił Yusufa tryumfalnym spojrzeniem.

– Wybacz mu, ojczy, to dla niego zbyt trudne – wtrąciłem zaniepokojony obrotem, jaki zaczynała przybierać nasza rozmowa.

Tymczasem Yusuf, zaczerwieniony z oburzenia, zerwał się na równe nogi i nie zważając na moje znaki, zawołał z rękoma wzniesionymi ku niebu:

– Na Tego, który posiada klucze niebios i ziemi! Czegóż ja tu muszę wysłuchiwać?! – a potem, zwracając się bezpośrednio do naszego rozmówcy, rzekł ze złośliwą satysfakcją: – Niech będzie po stokroć błogosławiona moja kondycja posła, dzięki której włos mi tu z głowy nie spadnie, nawet gdyby ci pomagał sam Jezus Chrystus i Jego Towarzysze do spółki z rzymskim kalifem!

Na te słowa poderwał się z kolei wielebny i chwyciwszy się za głowę, wykrzyknął:

– Błuzni! Błuzni! O jakże błuzni, przeklęty!

Po czym, tym samym wielkim głosem, rozkazał swoim pachołkom:

– Brać go! Brać skurwysyna natychmiast!

I zanim zdążyłem ruszyć choćby palcem, jego pomocnicy rzucili się na mojego sługę, przewrócili go na wznak i zaczęli wiązać go sznurami. Zerwałem się i ja, ale wówczas wielebny zagroził mi drogę i wyciągnął do mnie rękę z krucyfiksem. Przekrzykując wrzaski krępowanego Yusufa, wycedził groźnie:

– Siadaj.

– Ależ to poseł! – próbowałem przywołać go do porządku.

– Poseł nie poseł, lecz przede wszystkim heretyk! Nie słyszałeś, jak bezczelnie zaprzeczył wszechmocy Jezusa Chrystusa?! W imię naszego Pana, którego tak strasznie znieważył, nakazuję ci, usiądź!

Na to wezwanie usiadłem, ale mój gniew wcale od tego nie zmalął. Tymczasem Yusuf przestał wzywać pomocy, bo zdążyli go już zakneblować.

– To Saracen, skąd mógł wiedzieć, że błuzni?! – nie dawałem za wygraną.

– Słyszał o Chrystusie, a to w zupełności wystarczy. Gdyby o Nim nigdy nie słyszał, nie wymówiłby przecież Jego świętego imienia, i to nawet z pewnym szacunkiem. A zatem, zgrzeszył! Zgrzeszył ciężko i całkowicie, a nie tylko lekko czy częściowo.

– Co znaczy ciężko i całkowicie?!

– To chyba jasne. Na przykład Noe, upijając się po Potopie, nie zgrzeszył ani całkowicie, ani częściowo, bo nie znał przecież wina i jego zdradzieckiej mocy, więc niby jak miał się ustrzec? Częściowo za to zgrzeszył Lot, kiedy po pijanemu poszedł do łoża z najstarszą córką, znał już bowiem wino i jego zdradliwość, chociaż nie wiedział, że mogą one prowadzić do wszeteczeństwa. I dlatego został częściowo rozgrzeszony z kazirodztwa, jakiego się dopuścił. Jednak idąc znowu do łożka z młodszą córką, stał się grzesznikiem całą gębą, gdyż znał już nie tylko działanie wina, ale i związek, jaki zachodzi między pijaństwem a rozpustą. Bądź

zatem spokojny, Kościół w swojej łaskawości karze jedynie za grzechy popełnione świadomie, nie inaczej będzie też w przypadku tego bałwochwalcy.

– Dosyć tego! – przerwałem mu, kładąc rękę na głowni miecza. – Każ go natychmiast rozwiązać.

– A ja ci radzę, uważaj! – rzekł z trochę mniejszą pewnością siebie i odsunął się ode mnie o dwa kroki. – Lepiej nie podnoś ku niebu twojego rogu, lepiej nie przemawiaj do mnie z karkiem hardym! Raz czy drugi zdradziłeś już heretyckie ciągoty, nie myśl, że tego nie zauważyłem. Pamiętaj, że heretykami są nie tylko ci, którzy odrzucają lub fałszują prawdę, ale także ci, którzy się z heretykami zadają, którzy się z nimi przyjaźnią, którzy biorą ich w obronę lub są ich dobroczyńcami, a już zwłaszcza ci, którzy ujmując się za kacerzami, grożą osobom duchownym bądź podnoszą na nie świętokradczą rękę...

Nie dałem mu dokończyć, tylko skoczywszy do niego, pchnąłem go silnie łokciem, aż się zatoczył i upadł, po czym runąłem na jego pacholców. Gdy jeden z nich, już w pierwszym starciu, rozplątał mi ramię aż do kości, natarłem na nich z podwójną gwałtownością, tak że obaj rychło porzucili miecze i zaczęli uciekać. Kiedy w chwilę później rozcinałem więzy Yusufowi, wielebny, wciąż leżąc na wznak w trawie, grzmiał za moimi plecami:

– Łotrze! Niechaj spadną na ciebie wszelkie przekleństwa i plagi egipskie, jakie dosięgły króla Faraona i jego sługi, albowiem i ty nie byłeś posłuszny boskim przykazaniom! Bądź przeklęty w polu i między ludźmi, i gdziekolwiek będziesz: w jedzeniu i w picciu, we śnie i w czuwaniu, za życia i w godzinie śmierci! Niech diabeł będzie zawsze po twojej prawicy, a gdy staniesz przed Sądem, obyś został potępiony na wieki wieków! Oto wyklinam cię i ekskomunikuję ze wspólnoty wiernych Świętego i Apostolskiego Kościoła Rzymskiego jako heretyka oraz obrońcę i dobroczyńcę heretyków, amen!

– Stul pysk! – pogroziłem mu pięścią, ale spóźniłem się, bo zdążył mnie już wykląć.

Tymczasem Yusuf, nie zapytawszy mnie nawet o pozwolenie, podszedł do golca i przeciął krępujący go postronek. Uwolniony nagus długo nie ruszał się z miejsca, popatrując to na nas, to na powalonego przeze mnie wielebnego. Następnie zaśmiał się głupkowato i podzwaniając łańcuchami, rzucił się do ucieczki. Nie odbiegł jednak zbyt daleko, ponieważ już po paru krokach zaplątał się w swoje żelastwo i przewrócił z wielkim łoskotem. W chwilę później zerwał się z chrzęstem na kolana i zawołał wniebogłosey:

– Chwała Bogu na wysokościach! Koniec pokuty!!! Koniec pokuty!!!!...

I rzeczywiście, z nóg zwisały mu luźne końce łańcuchów zerwanych przy upadku. Ten widok przywrócił mi zdolność działania. Błyskawicznie zebrałem garść kamieni, którymi rzucałem w niego dotąd, aż zniknął na dobre w zaroślach.

– Co ci jest, panie? – zdumiał się Yusuf.

– Co?! Niech cię wszyscy diabli, poganinie! Niech będzie przeklęty dzień, w którym cię poznałem! – zawołałem rozjuszony. – Ruszajmy stąd, zanim tamci dwaj sprowadzą nam na kark innych!

Wskoczyliśmy na konie, a kiedy oddalaliśmy się z owego nieszczęsnego miejsca, łowca heretyków podniósł się z ziemi i wygrażając pięścią, wołał za nami:

– Jeszcze się spotkamy! Zobaczycie! Jeszcze się spotkamy!..

Ujechaliśmy niewielki kawałek i musieliśmy się zatrzymać, ponieważ moje ramię zrobiło się czerwone od krwi. Yusuf podał na szarpie jakąś koszulę i założył mi na ranę gruby opatrunek.

– Nie wygląda to dobrze – stwierdził z niepokojem. – Straciłeś dużo krwi

– Nie szkodzi – burknąłem. – Zagoi się.

Byłem w najczarniejszej rozpaczycy i moja ręka niewiele mnie obchodziła. Nigdy przedtem nie byłem ekskomunikowany, nigdy w życiu nie spotkałem też nikogo ekskomunikowanego, rozumiałem jednak dobrze, że stała się rzecz straszna, coś, czego konsekwencji nie potrafiłem sobie nawet wyobrazić. Toteż kiedy mój sługa opatrzył mi ramię, oświadczyłem grobowym głosem:

– Yusufie, nasza dalsza wędrówka nie ma już sensu. Zwracam ci wolność. Jeśli chcesz, możesz wracać do domu, do Al-Andalus.

Słyszając to, przypadł do moich kolan. Odpędziłem go gestem zdrowej ręki.

– Jestem wolny?! Oby Allah ci to wynagrodził, panie! – wykrzyknął zdumiony, kłaniając mi się do samej ziemi. – A zatem nie wybierasz się już do Ziemi Świętej?!

– Yusufie! – załamane się. – Czy ty naprawdę nie rozumiesz, co się stało?! Zostałem ekskomunikowany, odsunięty od sakramentów, jestem wyrzutkiem, banitą, złoczyńcą gorszym od Jasia Monstrancji i nie ma już dla mnie życia ani na tym, ani na tamtym świecie! Po co miałbym jechać do Ziemi Świętej?! Cóż mi po skarbach całej ziemi, skoro jeszcze tej nocy mogą zażądać duszy mojej?! Od dzisiaj liczy się tylko pokuta, a pokutować można wszędzie. Dziękuję ci za wszystko, przyjacielu. Niech Bóg doprowadzi cię bezpiecznie do domu i obyś miał lepszą pamięć od twoich przodków!

Wówczas zapytał mnie z wyrzutem:

– Czyżbyś w to wątpił, panie?

– Nie, chciałbym tylko, żebyś skończył lepiej niż oni.

Przyglądał mi się przez chwilę, a potem oświadczył zdecydowanie:

– Nie, panie. Nie zapomnę tego, co dla mnie zrobiłeś. Do Al-Andalus mogę wrócić za parę dni, kiedy nie będę ci już potrzebny. Na razie zostaję, bo z tą raną

będą jeszcze kłopoty. I nie smuć się. Pamiętaj, że Bóg jest nad każdą rzeczą wszechwładny.

– Jak chcesz – odpowiedziałem. – Ale od tej pory nie wolno ci nosić turbanu ani modlić się przy ludziach, a przede wszystkim wdawać się z nimi w dysputy.

– Dobrze, postaram się. Lecz i ty pamiętaj, że od tej pory nie możesz mi niczego zakazywać. Czyż nie zwróciłeś mi przed chwilą wolności? – uśmiechnął się szeroko.

A potem ruszyliśmy dalej i przez kilka dni kluczyliśmy lasami, omijając z daleka ludzkie siedziby. Yusuf miał rację. Moje ramię spuchło tak bardzo, że nie mieściło się już w rękawie koszuli, zaś ból i gorączka odbierały mi chwilami przytomność. Kiedy w końcu spadłem z siodła i potłukłem się dotkliwie, Yusuf zdecydował, że trzeba mnie koniecznie położyć do łóżka i skierował konie do najbliższego miasteczka, którego nazwy nie mam ochoty sobie przypominać, gdzie wynajął kwaterę i otoczył mnie najczulszą pod słońcem opieką.

Mój stan był tak zły, że przeleżałem parę dni jak nieżywy. Potem zacząłem powoli powracać do zdrowia, ale wciąż byłem zbyt słaby, by móc zjeść samodzielnie choćby łyżkę stawy. Karmił mnie więc Yusuf, z tą samą cierpliwością, z jaką mnie mył, golił, przebierał i sporządzał dla mnie przeróżne mikstury. Któregoś z owych dni, zapytał mnie wprost, jakich to skarbów zamierzałem szukać w Ziemi Świętej. Po krótkim namyśle uznałem, że nie ma żadnego powodu, dla którego nie miałbym zaspokoić jego ciekawości, więc powtórzyłem mu wszystko, co słyszałem o Źródle od Mamerkusa. Mój były sługa słuchał mnie z wypiekami na twarzy, a kiedy skończyłem, wykrzyknął rozgorączkowany:

– El Latino mówił prawdę! Ja też słyszałem o tym Źródle! Emesa to chyba dzisiejszy Hims i rzeczywiście jest tam niedaleko pustynia. Naprawdę nie masz zamiaru go szukać?!

– Nie, Yusufie, w każdym razie nie teraz. Dusza jest ważniejsza.

– To prawda – przyznał niechętnie, kręcąc z żalu głową. – Ale taka okazja trafia się raz na milion albo jeszcze rzadziej! Czy ów Rzymianin nie określił bliżej, gdzie się to Źródło znajduje?

– Miał sobie przypomnieć, ale już nie zdążył – westchnąłem. – Ja również widziałem w tym główny szkopuł, dopóki się tam jeszcze wybierałem.

– Trudno, i tak je znajdę! – oznajmił z determinacją.

– Ty? – zdziwiłem się. – To już nie wracasz do Al-Andalus?

– A po co? Nie sądzisz, panie, że i mnie Źródło mogłoby się do czegoś przydać?

– Masz rację – przypomniałem sobie o jego kalectwie. – Życzę ci więc powodzenia. Kiedy zamierzasz ruszyć w drogę?

– Za tydzień albo dwa, jak całkiem wydobrzejesz.

Wtedy szybko zmieniłem temat, żeby nie spostrzegł, jak bardzo mu zazdroścę.

Wreszcie, po kilku dalszych dniach rekonwalescencji, udało mi się zrobić parę kroków o własnych siłach. Na ten widok Yusuf nie posiadał się z radości.

– Panie! – zawołał. – Byłbyś najczarniejszym niewdzięcznikiem, gdybyś nie podziękował za to z całego serca Temu, który roztacza opiekę, a sam żadnej opieki nie potrzebuje. Chwała niech będzie Temu, który daje życie i powoduje śmierć!

– Słusznie, Yusufie – przyznałem uchwyciwszy się zydła dla podtrzymania równowagi. – Chwała Bogu na wysokościach! Jak tylko będę trochę silniejszy, zaraz pokłonię się Mu w kościele, bo z pewnością jest tu jakiś kościół. Ale dziękuję także tobie, przyjacielu.

Machnął lekceważąco ręką, chociaż pokraśniał z dumy jak dziecko.

I tak, dzięki jego staraniom i opiece, wkrótce potem wybrałem się do miejscowego kościoła.

Kiedy do niego wszedłem, zacienione wewnątrz świątyni zaskoczyło mnie gwarem wesołych głosów, jakichś pokrzykiwań, docinków i śmiechów kręcących się tam ludzi, a jeszcze bardziej stukotem młotków uderzających gęsto w dłuta, którymi inni, uwijający się wysoko na rusztowaniach, wydobywali z kamienia figury różnych zwierząt, ludzi, aniołów i demonów. Ponieważ moje osłabłe nogi wciąż potykały się o walający się wszędzie gruz i kamienie, a wirujący w powietrzu kurz zgrzytał mi w zębach, pomimo kilku prób nie zdołałem skupić się na modlitwie i szybko wyszedłem na zalany słońcem wirydarz.

Oparty o mur świątyni i w dużej mierze gotowy już do przeniesienia nad jej główne wejście, stał tam, w kilku częściach, kamienny Sąd, jaki czeka nas wszystkich po śmierci. Pod krzyżem sięgającym jednym ramieniem Słońca a drugim Księżycą, siedział na tronie chwały Król i Sędzia Świata, odziany w kapłańskie szaty i otoczony przez Ojców i Doktorów Kościoła, przez rozśpiewanych aniołów z kadzielnicami, a także przez licznych Świętych Pańskich, wśród których – po pęku kluczy i kiju wędrowca – rozpoznałem jedynie świętego Piotra. Ziemia właśnie się rozstępowała. Zmarli, z których przeważnie zostały już tylko szkielety, odsuwali płyty nagrobne swoich mogił lub odrzucali z pomocą aniołów przywalające je głazy, by stanąć na dźwięk trąb przed obliczem Pana. Tam odczytywano im z Księgi Żywota ich złe i dobre uczynki, które ważono następnie na olbrzymiej wadze. A choć tego ważenia doglądał sam archanioł Michał, spostrzegłem nie bez trwogi, że nawet pod jego czujnym okiem, jakiś ohydny i bezczelny demon, asystujący przy tej czynności

z ramienia Piekła, starał się ukradkiem docisnąć szalę i przeważyc ją w ten sposób na swoją stronę!

Tych, których zasługi przeważały nad winami, kierowano natychmiast na prawo; tych, których grzechy były cięższe od zasług, pędzono bezwzględnie na lewo. Zbawieni, szeroko uśmiechnięci i prowadzeni przez Najświętszą Panią, szli gęsiego do Nieba, dumni i szczęśliwi z powodu czekającej ich nagrody. I choć trudno było sobie wyobrazić, aby ci, co nie pobłądzili za życia, mogli jeszcze pobłądzić po śmierci, Chrystus Król, jak przystało na Dobrego Pasterza troszczącego się o swoje owce do samego końca, na wszelki wypadek wskazywał im uniesioną dłonią właściwą drogę do celu. I nie był to bynajmniej pusty gest, jako że niemal do samych solidnie okutych bram Nieba sprawiedliwym towarzyszyły i próbowały wodzić ich na pokuszenie rozmaite bestie piekielne. Naprawdę bezpiecznie było dopiero za murami Niebieskiego Jeruzalem, gdzie nowoprzybyłych witał osobiście sam Abraham, tulący w ramionach dwoje z owych Niewiniątek, które z rozkazu Heroda oddały własne życie dla ocalenia Dzieciątka, jak również Prorocy ze zwojami głoszonych przez siebie prorocत्व, Apostołowie, Męczennicy i Święci, a nawet kilka Mądrych Panien z zapalonymi lampkami, mającymi zapewnić im po wsze czasy błogosławieństwo światłości.

Zazdroszcząc Zbawionym, spojrzałem w prawo i to, co zobaczyłem po lewicy Pana Niebios, zdjęło mnie prawdziwą zgrozą. W okropnym ścisku i zamięcie tłoczyli się tam otepiali od strachu ci, których odtrącono i skazano na wieczną zaturę, zaś opuszczona dłoń Przedwiecznego kierowała ich prosto do Piekła. Rządzący tym strasznym miejscem Książę Ciemności wyznaczał każdemu Potępieńcowi stosowną karę, po czym rój jego niecznych pomocników wcielał ją bezlitośnie w życie.

W kłębowisku ciał i głów zdołałem wypatrzeć Próźniaka smażącego się całą wieczność w ogniu, Lichwiarza wciągane go na szubienicę z ciężką sakwą u szyi, Gwałtownika nurzanego w kotle z bulgocącym wrzątkiem, Fałszerza Pieniędzy wyrrywającego się na próżno z rąk diabłów lejących mu do gardła roztopiony ołów, Oszczercę lub Krzywoprzysięzcę (a może Fałszywego Świadka?), któremu wyrrywano język za pomocą rozżarzonych szczypiec; Żarłoka pożeranego żywcem przez brzuchatego diabła; Pijaka rzygającego bez przerwy winem wypitym za życia; Niegodnych Mnichów trzepoczących się jak ryby w diabelskiej sieci, Kłusownika opiekane go na rożnie przez demona o zajęczej głowie, Samobójcę, któremu przy pomocy haka wybierano mózg z czaszki; ujrzałem też piękną i nagą Rozpustnicę o piersiach przywodzących mi na myśl Subh, skrepowaną jednym sznurem z mężczyzną, z którym za życia połączył ją grzech. Ta naga kobieta, dla której poczułem odruchową litość, dopiero czekała na swoją karę, gdyż pilnujący jej diabeł o żabim pysku wolał tymczasem uganiać

się z maczugą za jakimś grzesznikiem, który w ostatniej chwili uciekł sprzed paszczy Lewiatana, stanowiącej otwarte na oścież wrota Piekła.

W końcu moją uwagę przykuła postać Rycerza w kolczudze, spadającego na łeb, na szyję w otchłań na swoim koniu. Ow Rycerz był podobny do mnie jak dwie krople wody, a jego kolczuga nie różniła się niczym od mojej własnej. Nawet koń – sam z pewnością bez winy, lecz jak przystało na wiernego rumaka, towarzyszący swojemu panu także w jego ostatniej szarzy do piekła – przypominał mi jednego z moich wierzchowców zdobytych na Al-Muzaffarze. Przerażliwie chudy diabeł o wystających żebrach i nabrzmiąłych z wysiłku żyłach na wilczym pysku, popychał owego Rycerza drągiem w stronę czeluści piekielnej, podczas gdy inny bies, z beznamiętnym obliczem starego giermka, który napatrzył się wszelkich okropieństw na polach bitew i już nic na świecie nie było go w stanie zadziwić, wciągał tam nieszczęśnika za rękę od środka! Wzdłuż nadproża widniał jeszcze jakiś napis, ale nie potrafiłem go, niestety, odczytać.

Wymowny obraz tego, co mnie czeka po śmierci, zdjął mnie takim przerażeniem, że runąłem jak długi w proch wirydarza i leżąc krzyżem, zacząłem błagać Boga o odpuszczenie grzechów oraz udzielenie mi łaski i sposobności zmycia z siebie hańby ekskomuniki. Na dziedzińcu kręcili się jacyś ludzie, ktoś do mnie coś mówił, ktoś mnie o coś pytał, ktoś inny sobie ze mnie dworował, lecz ja nie zwracałem na to najmniejszej uwagi, zatopiony do wieczora w żarliwej modlitwie, serdecznym żalu, gorących łzach i wypowiedanych półgłosem zapewnieniach poprawy.

Kiedy następnego dnia przyszedłem tam znowu, widzów było trochę więcej, zaś trzeciego, ledwie upadłem przed Sądem na kolana, zjawił się przede mną, jakby już na mnie czekał, jakiś szpakowaty zakonnik i położywszy mi dłoń na ramieniu, zapytał:

– Może ci w czymś pomóc, synu?

Spojrzałem na niego niezbyt przytomnie, ale już po chwili, zebrawszy myśli, odpowiedziałem łamiącym się głosem:

– Tak, ojcze. Powiedz mi, co tu jest napisane i kim jest ów rycerz?

– Napis powiada: „O grzesznicy, jeśli nie odmienicie swoich obyczajów, czeka was bezlitosny sąd”, zaś ten rycerz to jeden z miejscowych panów, ukarany przez Boga gwałtowną śmiercią za napaść na naszych mnichów.

Po tych słowach rozplakałem się.

– Jeśli cię coś gnębi, chętnie cię wyspowiadam – zaproponował. – Jestem tu opatem.

– Bardzo bym tego pragnął, ojcze – odparłem cicho. – Ale to niemożliwe. Jestem ekskomunikowany.

Cofnął natychmiast rękę, lecz pozostał życzliwy.

– Zawsze możemy porozmawiać. Przejdźmy tylko do ogrodu, gdzie nikt nam nie będzie przeszkadzał.

Tak też zrobiliśmy. W klasztorным ogrodzie, gdzie byliśmy zupełnie sami, opowiedziałem mu, jak zostałem odsunięty od świętych sakramentów. Słuchał mnie z uwagą i tylko od czasu do czasu posapywał z frasunku. Kiedy na koniec zapytałem, jak mógłbym odpokutować za moje grzechy i zmyć ciężącą na mnie hańbę, odpowiedział z tą samą co przedtem życzliwością:

– Pokutować można na wiele sposobów. Ale najlepiej w zgodzie z własnym powołaniem.

– Jestem rycerzem, moje powołanie raczej nie sprzyja pokucie.

– Mylisz się – pokręcił głową. – Pan Jezus powiedział wszak swoim wyznawcom: *Jeśli kto chce iść za Mną, niech się zaprze samego siebie i weźmie krzyż swój, i naśladuje Mnie?*⁵⁰ Zaś twoim krzyżem jest miecz, czyż nie tak?

– Chyba masz rację, ojcze – przyznałem zaskoczony trafnością jego uwagi.

– Dlaczego zatem, skoro, jak widzę, naprawdę pragniesz odpuszczenia grzechów i zbawienia własnej duszy, nie usłuchasz wezwania następcy Piotra na Stolicy Apostolskiej, Jego Świątobliwości Urbana II i nie ruszysz do Ziemi Świętej, żeby wyzwolić z rąk niewiernych Grób Chrystusa i pomóc naszym braciom w wierze, cierpiącym w niewoli saraceńskiej dużo bardziej, niż cierpieli Żydzi w egipskiej? Nasi bracia na Wschodzie pilnie potrzebują pomocy, bo muzułmanie zaatakowali ich i pobili w siedmiu bitwach, opanowali ich ziemie, spustoszyli je ogniem i mieczem, sprofanowali ich kościoły, powywracali ołtarze i splugawili wszystkie miejsca, jakie uświęcił sobą Ten, który umarł za nas na krzyżu. Wielkiego ucisku od pogan doznają także chrześcijańscy pielgrzymi, zdążający do Ziemi Świętej ze wszystkich stron świata. Bogatsi są na ogół bici i okradani, biedniejsi cierpią jeszcze bardziej, bo nieprzyjaciele Boga w poszukiwaniu pieniędzy, których ci na ogół nie mają, zdzierają im skórę z pięt, żeby sprawdzić, czy czegoś pod nią nie ukryli, a niektórym nawet rozpruwają brzuchy, aby przekonać się, czy nie połknęli przypadkiem srebra albo złota. Któż im pomoże, jeśli nie my, którzy także mienimy się chrześcijanami? Zobowiązuje nas do tego nie tylko przykład naszego Zbawiciela i nakaz braterskiej miłości, ale także rozum i zwykły zdrowy rozsądek. Bo skoro Saraceni zajęli już Palestynę, Syrię i Kapadocję, skoro obalili krzyże w Kastylii i w Afryce, któż nam zaręczy, że jutro lub pojutrze nie zrobią tego samego także tutaj, jeśli ich w porę nie powstrzymamy? A do tego przyda się każdy miecz.

– Wyzwolić Grób Chrystusa? A jakże mam tego dokonać? W pojedynkę?! – zwątpiłem przez chwilę, czy opat jest przy zdrowych zmysłach.

– Widać, że przybywasz z daleka – roześmiał się po moich słowach. – Pewnie, że nie sam. Wiedz, synu, że w każdej chwili, także teraz, kiedy ze sobą rozmawiamy, setki i tysiące ludzi we wszystkich częściach Galii i w krajach ościennych porzucają na wezwanie papieża swoje umiłowane żony i dzieci, swoich rodziców, swoich braci i siostry, swoje rodzinne domy, cały swój majątek i wszelkie inne sprawy tego świata, aby podążać śladami naszego Pana i nieść wiernie za Nim swój własny krzyż. Umieściwszy na prawym ramieniu Jego święty znak, wstępują z zapalem na Jego służbę, by dzięki temu wybawić się od piekła i zyskać nagrodę w Niebie. A jeśli któryś z nich – jak choćby ty – ma na sumieniu jakieś ciężkie grzechy, jeśli obraził czymś Pana Boga, może mieć odtąd absolutną pewność, że Ojciec Święty – zgodnie z tym, co sam zapowiedział – mocą daną mu od samego Jezusa Chrystusa zdejmie z niego wszelkie winy, jeśli tylko okaże w tej służbie gorliwość i wytrwałość, i że w ten sposób spełnią się słowa Pisma: *Kto wytrwa aż do końca, ten będzie zbawiony.*⁵¹

Choć więc z pewnością wiele przyjdzie wycierpieć w imię naszego Pana tym, którzy pójdą na pomoc i Jemu, i naszym braciom na Wschodzie – wytrzymać nędzę, biedę, niewygody, głód, pragnienie, rany, choroby i niewolę, niekiedy nawet męczeńską śmierć – jednak zawsze powinni mieć oni przed oczami to, że jak wszyscy, którzy nie wahają się iść przed ludźmi, otrzymają za to sowitą odpłatę i to właśnie do nich będzie należeć Królestwo Niebieskie. Toteż, jeśli kiedykolwiek wyciągałeś miecz przeciwko chrześcijanom, jeśli gnębiłeś ich lub rabowałeś, jeśli zadawałeś im gwałt bądź czyniłeś im jakąś inną niesprawiedliwość, radzę ci, wyciągnij teraz miecz, by gnębić niewiernych; jeśli byłeś zbójem, zostań teraz rycerzem Chrystusowym; jeśli byłeś zaciężnym za marny grosz, zaciągnij się teraz pod sztandar Chrystusa za wieczną nagrodę; a jeśli byłeś nieprzyjacielem Boga, skorzystaj teraz z wielkiej szansy, by stać się Jego przyjacielem.

– Nie jestem zbójem i walczyłem już z Saracenami – uspokoilem go w tej materii.

– To dobrze, tym pewniejsza jest twoja nagroda – ucieszył się. – Ale pamiętaj, że jak szczęśliwi i błogosławieni będą ci, którzy zginą po drodze lub w walce z nieprzyjacielem, tak biada tym, którzy stchórzą i złamią słowo dane Chrystusowi; tym, którzy się wycofają, zanim Jego Grób zostanie wyzwolony a Ziemia Święta wydarta ze szponów diabła! Dla nich bowiem nie będzie litości, a ich męki w piekle nie będą miały końca. Wszak nie na próżno zostało powiedziane: *Jeżeli zapomnę ciebie, Jeruzalem, niech uschnie moja prawica. Niech przylgnie mój język do podniebienia, jeżeli nie będę pamiętał o tobie!*⁵²

– Ja się na pewno nie wycofam. Powiedz mi, ojczy, gdzie można znaleźć tych ludzi z krzyżami na ramionach? – zapytałem rozgorączkowany, gotów

natychmiast ruszać w drogę.

– Wszędzie. Ojciec Święty prosił wprawdzie, aby być gotowym do wymarszu w dniu Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny, ale wielu z nich nie chce czekać tak długo i już skupia się w gromady, które łączą się później w coraz większe i większe i ciągną na wschód lub na północ. Na pewno spotkasz ich bez trudu.

– Ojcze! – zawołałem rozdartym głosem. – Odpowiadając na wezwanie i miłość naszego Zbawiciela, i ja biorę mój krzyż – wysunąłem z pochwy miecz. – I przysięgam, w imię Ojca, Syna i Ducha Świętego, że póki

życia, będę jednym z owych ludzi i nie opuszczę ich szeregów, dopóki Święty Grób Pana naszego Jezusa Chrystusa nie zostanie wyzwolony i nie pomodłę się przy nim za moje grzechy.

– Bóg tak chce! – odpowiedział wzruszony, przyciskając mnie do serca.

– Bóg tak chce! – powtórzyłem uroczyście.

– Idźże więc, mój synu, śpiesz się odebrać podwójną nagrodę należną tym, którzy walczą w imię Pańskie: tę ziemię mlekiem i miodem płynącą, gdzie leży ziemskie Jeruzalem, miasto, które nasz Zbawiciel okrył nieskończoną chwałą przychodząc w nim na świat, które upiększył przez swój pobyt, które uświęcił przez swoją mękę, które odkupił przez swoją śmierć i które rozślawił przez swoje zmartwychwstanie, a które jęczy dzisiaj w niewoli pogan; jak również i to drugie Jeruzalem, które wznosi się w niebie, gdzie Chrystus przygotował dla wszystkich którzy Go miłują cuda, jakich oko nie widziało ani ucho nie słyszało, ani serce człowieka nie jest w stanie pojąć!

– Amen! – dopowiedziałem i rzuciłem się opatowi do stóp.

Wtedy pobłogosławił mnie znakiem krzyża, a ja pozostałem jeszcze długo na klęczkach, dziękując Bogu za cudowne ocalenie. Następnie pośpieszyłem jak na skrzydłach do naszej kwatery.

– Co się stało? – zapytał na mój widok Yusuf, który właśnie upychał do sakwy swoje rzeczy.

– Jadę z tobą! – wykrzyknąłem już od progu.

– Naprawdę? – ucieszył się. – To wspaniale! A zatem koniec z pokutą i szukamy Źródła?

– I tak, i nie, Yusufie. Źródło nie jest najważniejsze, Mamerkus miał rację. Jeśli je znajdziemy, świetnie, jeśli nie, to trudno. Najpierw trzeba wyzwolić Ziemię Świętą.

– Wyzwolić Ziemię Świętą?! – spojrzał na mnie tak, jakby podejrzewał, że wróciła mi gorączka.

– Tak. Papież ogłosił wojnę w tej sprawie.

– Co?! Wojnę?! A czy on nie wie, czy ty nie wiesz, czy nie wiecie – poprawiał się kilkakrotnie ze zdenerwowania – że ta Ziemia Święta jest święta także dla innych?! Zważ, że Bóg nie miłuje najeźdźców, więc to się musi źle skończyć! Po co ci to?

– Bo chodzi o moją duszę – rzekłem z naciskiem. – A co do tego, że Bóg nie miłuje najeźdźców, to prawda. Tylko że ta prawda odnosi się również do was. Bo wy Ziemi Świętej też nie dostaliście w prezencie, tylko zdobyliście ją na nas, ogniem i mieczem.

Po tej mojej uwadze zamilkł i zaczął krążyć po izbie w tę i z powrotem. W końcu stanął naprzeciw mnie i ująwszy się pod boki, zapytał z gniewem:

– A co będzie, jak ten was z *dżihad* zakończy się zaraz po wkroczeniu na ziemię prawdziwie wierzących?! Czy uznasz wtedy, że spełniłeś już swój obowiązek i spokojny o swoją duszę, pomożesz mi szukać Źródła?

– Tak, Yusufie – odparłem po krótkim namyśle. – Tylko dlaczego ta wojna miałaby się zakończyć zaraz po naszym wkroczeniu na ziemię muzułmanów?

– A dlatego – wybuchnął – że Turcy nie pozwolą wam zrobić ani kroku więcej! Jeśli niewiele zwojowaliście w Al-Andalus, to na Wschodzie zwojujecie jeszcze mniej. Seldzucy to nie Arabowie, módlmy się zatem, żeby wyjść z tego cało!

– Wszystko w ręku Boga – odparłem ściskając jego ramię.

– Tak jest, wszystko w ręku Boga! – powtórzył wściekle, po czym odwrócił się ode mnie i wybiegł z naszej kwatery, trzaskając z całych sił drzwiami.

VI

Kiedy wydobrzałem do końca, zdecydowałem się sprzedać jednego z koni zdobytych na Al-Muzaffarze, co wystarczyło z naddatkiem na opłacenie kwatery i zakup sporej ilości prowiantu. Pamiętając, że spośród rzeczy ofiarowanych nam przez Jasia Monstrację Yusuf nie gardził jedynie suszoną baraniną, zadbałem o to, by i tym razem mu jej nie zabrakło, podobnie jak suszonych ryb i kawałka wędzonej sarniny. Kupiłem mu też na targu normalne ubranie, żeby nie zwracał uwagi swoim odmiennym strojem.

Sam zaopatrzyłem się w wielką, dojrzałą na słońcu szynkę, podobną do tych, które tak polubiłem z drugiej strony gór, poć wędzonej słoniny oraz dwa bukłaki czerwonego wina. Nie zapomniałem także o dużym pęcherzu oliwek, worku mąki do pieczenia podpłomyków i drugim ciecierzycy, która miała tę właściwość, że ugotowana nad ogniskiem z garścią zebranych po drodze ziół, potrafiła nie tylko zaspokoić mój najsroższy głód, ale również w pełni zadowolić mój niewyrobiony smak. Na koniec zakupiłem także wąski pasek czerwonego sukna i zrobiony z niego krzyż naszyłem sobie z prawej strony opończy. Zaproponowałem Yusufowi, aby na wszelki wypadek zrobił to samo, ale odmówił zdecydowanie, twierdząc, że dla jego bezpieczeństwa wystarczy, jeśli się przebierze i zdejmie turban.

W przeddzień wyjazdu załadowaliśmy prowiant na dwa luzaki, jakie nam zostały, a potem poszedłem pokłonić się raz jeszcze Sędziemu Świata, do którego modliłem się długo w intencji powodzenia naszej wyprawy. Ponieważ nie wiedzieliśmy, czy powinniśmy udać się na północ, czy raczej na wschód, o świcie rzuciliśmy monetą i ta wskazała północ, co Yusuf skomentował z cichą nadzieją:

– Panie, a może los ci radzi, żebyś wracał do domu?

Na wszelki wypadek przeżegnałem się, po czym, po namyśle, podjąłem Salomonową decyzję wymarszu na północny-wschód. Miałem nadzieję, że już wkrótce spotkamy jakichś rycerzy Chrystusowych, o których wspominał opat, i że ci wskażą nam najwłaściwszą drogę.

Tymczasem pierwszymi napotkanymi ludźmi podążającymi, tak jak my, na pomoc Chrystusowi, okazali się zwykli chłopci. Obdarci i bosci, ciągnęli przed siebie bezładną kupą, śpiewając psalmy i powiewając ogromnym feretronem, na którym czyjaś nieudolna ręka wyhaftowała cierniową koronę i koślawy krzyż. Choć przeważali wśród nich młodzieńcy i mężczyźni w sile wieku, ku mojemu zdumieniu towarzyszyło im także wiele kobiet i dzieci, w tym nawet niemowląt, jak również starców podpierających się kosturami bądź wiezionych na wozach

zaprzężonych w sterane za pługiem woły. Ale prawdziwe przerażenie wzbudził we mnie dopiero widok prowadzonych za rękę ślepców i gromadki trędowatych wlokących się z tyłu za tą gromadą. Niektórzy z mijanych przez nas pątników wędrowali z całym swoim dobytkiem, gnając przed sobą chudą krowę, jedną lub dwie świnie, wlokąc na postronku kozę bądź owcę, albo ciągnąc ze sobą podwórzowego psa. Nie wypatrzyłem natomiast – choć przyglądałem się naprawdę bacznie – ani jednego nadającego się do boju konia.

Na wozach spotkanych wieśniaków piętrzyły się rozmaite garnki i kociołki, brudne pierzyny i poduchy, jakieś worki, sakwy, tłumoki, tobołki i węzełki, klatki z kurami, kaczkami i królikami, ciśnięte byle jak derki, upięte na gałęziach płachty samodziła mające zapewnić ochronę przed deszczem, a zwłaszcza sterty rzeczy całkowicie zbędnych na wojnie, jak różne motyki, grabie, konwie czy cebrzyki. Tu i ówdzie spomiędzy tych rupieci strzelał w górę niezgrabny krzyż, sklecony z przydrożnych gałęzi, niekiedy obwieszony jeszcze suszącymi się na wietrze szmatami. Czerwony albo zielony znak krzyża powtarzał się również na łachmanach, w jakie byli odziani, ale tylko nieliczni mieli jakąś broń. A i ta, którą posiadali, wprawiała mnie w przygnębienie, ponieważ były to przeważnie zwykłe siekiery, pospolite, choć postawione na sztorc kosy, widły prosto od gnoju, chamskie drażki okute kiepskim żelazem bądź nabijane gwoździami, prostackie cepy, odgięte na kowadle wyszczerbione sierpy, dębowe pałki i maczugi, zużyte rzeźnicze noże, domowe tasaki, łańcuchy z ołowianymi kulkami, wystrugane z leszczyny albo buczyny łuki, w najlepszym zaś razie pokraccne i tępe miecze, przekute przez wiejskiego kowala z zardzewiałego lemiesza czy innego starego żelastwa.

Wędrowali już pewnie kilkanaście dni, bo wlekli się noga za nogą i wyglądali na bardzo strudzonych, jednak ziemistość ich cery, chudość ich twarzy, ich zapadnięte oczy, szpiczaste kolana i łokcie, krosty i strupy w kącikach ich ust, a także wyschłe piersi ich kobiet i wypuczone brzuchy ich dzieci nie dawały się wytłumaczyć inaczej, jak tylko tym, że musieli pochodzić z jakiejś okolicy trapionej od dawna nieurodzajem i głodem.

Gdy dotarliśmy do czoła kolumny, gdzie powiewał jeszcze jeden, trochę mniejszy feretron ze Świętym Jerzym pokonującym smoka, i gdzie spodziewałem się znaleźć jakiegoś dowódcę, jednego bodaj rycerza, u którego dałoby się zasięgnąć języka, okazało się, że prowadził ich taki sam kmiotek jak cała reszta, starzec w obdartej tunice, mający na dobitkę – jak mi się zdawało – kłopoty ze wzrokiem, gdyż kroczył bardzo niepewnie, wsparty na ramieniu jakiejś kobiety. Dopiero kiedy przyjrzałem się sposobowi, w jaki się poruszał – szedł bowiem na samych piętach, z odgiętymi ku górze palcami, spuchniętymi, powykęcanyymi i wystającymi jak zeschłe patyki ze szmat, którymi owinał sobie

stopy – pojąłem, że cierpi jedynie z powodu okaleczeń lub od zwykłego robactwa.

– Dokąd to Bóg prowadzi? – powtórzyłem dwa razy, zanim mnie zrozumiał.

– Aaa... do Ziemi Świętej – odparł krzywiąc się z bólu.

– Mlekiem i miodem płynącej – odpowiedziała żałośnie podtrzymująca go niewiasta.

– A czy to na pewno dobra droga? – zapytałem.

Na to wzruszył ramionami i sam zadał pytanie:

– A wy?

– My też – odpowiedziałem.

Wówczas nieco się ożywił.

– A daleko jeszcze?

– Daleko, dziadku, daleko – uprzedził mnie Yusuf.

– O Jezusie Nazareński! – jęknęła kobieta, ale starzec kiwnął głową i stwierdził z rezygnacją:

– Trudno, jakoś dojdziemy. Szczęść wam Boże, panowie!

– I wam, dobrzy ludzie! – odparłem i spiąłem konia ostrogami.

Wkrótce zostawiliśmy ich z tyłu. Spotkanie to wprowadziło mnie w bardzo zły nastrój. Za to Yusuf, dotąd zgaszony i markotny, wyraźnie się odprężył.

– Więc to ci, co mają zdobywać Ziemię Świętą? – zapytał z uśmiechem.

Ponieważ wyczułem w jego głosie drwinę, odpowiedziałem z gniewem:

– Jeśli mogli ją zdobyć Żydzi i Saraceni, to mogą i oni.

Tyle że sam w to nie wierzyłem. Moje wątpliwości pogłębiły się jeszcze po spotkaniu kolejnych grup pielgrzymów. Wszystkie one wyglądały podobnie, nawet jeśli niektórym przewodził jakiś duchowny czy pojedynczy rycerz. Było dla mnie oczywiste, że wystarczyłaby armia zaprawionych w boju piechurów albo parę hufców saraceńskiej jazdy, z którą nieraz mieliśmy do czynienia z drugiej strony gór, żeby w ciągu kilku zdrowasiek roznieść w pył te nieświadome własnej słabości tłumy.

A jednak – jak przekonałem się w kolejnych rozmowach ze spotkanymi po drodze ludźmi – było w nich coś, co zmuszało do szacunku. Otóż od większości tych „rycerzy” Chrystusowych była biorąca się nie wiadomo skąd, niezłomna wiara w powodzenie wyprawy, a zarazem tak wielka żarliwość, tak szczerą chęć zadośćuczynienia krzywdom i zniewagom wyrządzanym Chrystusowi od stworzenia świata, tak silne pragnienie dopomożenia Mu w dziele ostatecznego Odkupienia całej ludzkości, tak głębokie przeświadczenie o tym, że oto nadeszła chwila, w której po długo oczekiwanym a zapowiedzianym przez Proroków i opisanym przez najmłodszego z Apostołów krwawym starciu z mocami Szatana, dojdzie wreszcie do odnowienia w Duchu Świętym oblicza całej ziemi,

że kiedy na nich patrzyłem, czułem się jak niewierny Tomasz pytający Chrystusa o Jego rany i wyrzucałem sobie letniość mojej własnej wiary. Czyniłem to tym bardziej, że wielu z tych, z którymi rozmawialiśmy na popasach i biwakach, zwłaszcza jeśli były to osoby stanu duchownego albo rycerskiego, zawsze lepiej zorientowane i bardziej przetarte w świecie, wskazywało także na godne zastanowienia fakty oraz rozmaite znaki, potwierdzające bliskość niezwykłych przemian i wielkich rozstrzygnięć.

Otóż mówiono nam, że od pewnego czasu nawet pory roku nie spełniały już swoich powinności, jakby, ku większej udręce ludzi, chciały zamienić się kolejnością nakazaną im przez Boga. Zimy były bezśnieżne, ptaki nie odlatywały za morze, dziki zwierz nie zasypiał w swoich norach, za to już w lutym bądź na początku marca zakwitwały drzewa i pojawiały się pierwsze pszczoły, ale tylko po to, żeby potem dać się zniszczyć mrozowi w pełni maja lub czerwca. Lata z powodu ulew przypominały czasy Potopu, zaś jesienią niespotykane dawniej upały spopielały zbiory, wybijały bydło i trzodę, a ci, którzy pili wodę z mętnych i brudnych kałuż, w jakie zamieniały się wówczas rzeki i potoki, zapadali później na dziwne choroby i umierali po długich i strasznych męczarniach. Czego zaś nie zniszczyły cztery pory roku, to obracały wniwecz robaki, gąsienice, muchy, mszyce i szarańcza, liczniejsze, dokuczliwsze i żarłoczniesze niż były kiedykolwiek od stworzenia świata.

Skutkiem szerzącego się w naturze ducha buntu i sprzeciwu był także ciągły głód, nie zmniejszający się nawet po mizernych zbiorach. Głodowali przy tym nie tylko ludzie i bydła domowe, ale również drapieżcy po lasach. Ludzie bali się zapuszczać w dzikie ostępy, a i tak zdarzało się, że wilk lub niedźwiedź zakradał się w biały dzień do zagrody, albo porywał z podwórka bawiące się tam dzieci.

Ziemia, mająca już najwyraźniej dość ludzi i ich nieskończonych łotrostw, nie oferowała już tylu plonów ani metali co dawniej, złośliwie łamała lemiesz pługów, rodziła na polach kamienie, a po każdym większym deszczu wypłukiwała ze swoich trzewi nie tylko możnych tego świata i skończonych grzeszników w ich pysznych i rzeźbionych trumnach, ale również tych, których znano za życia z dobrych obyczajów i być może właśnie dlatego chowano ich po śmierci tylko w dziurawych całunach. Gdziekolwiek spojrzeć, możni gnębili biednych, silni słabych, źli dobrych, heretycy prawowiernych, słudzy podnosili rękę na swoich panów, panowie uciskali służbę, dzieci miały sobie za nic własnych rodziców, rodzice nie dbali o swoje dzieci, świeccy naigrywali się z duchownych, zaś duchowni ponad służbę Bożą coraz częściej przedkładali pieniądze, rozpustę i wszelkie inne ziemskie przyjemności. Jak by tego było mało, życie ludzkie z roku na rok stawało się krótsze, a każde pokolenie

schodziło do grobu o parę lat wcześniej niż poprzednie. Z każdym dniem ubywało także cnoty, pobożności, prawdy, miłosierdzia, wstydu, sprawiedliwości i uczciwości. Za to wszelkie grzechy, wady, przywary i występki mnożyły się i pleniły jak szalone, krzewiły się, rosły i nabierały wigoru, i to w takim tempie, że można było mieć absolutną pewność, że świat stanął na głowie i zbliża się nieuchronnie do swojego końca.

Dla każdego, kto miał oczy do patrzenia, a uszy do słuchania, było zupełnie jasne, że sprawy zaszły już tak daleko, że Bóg nie mógł tego dłużej znosić i wkrótce musiało się coś wydarzyć. Toteż spodziewano się powszechnie przyjścia Antychrysta, który narodził się już podobno w Babilonie z matki nierządniczy i ojca z plemienia Dana (tego samego, z którego pochodził Judasz Iskariota), potem jego trwających trzy i pół roku rządów, i wreszcie powtórnego przyjścia Syna Człowieczego. Ludzie mówili także, że z powtórnym przyjściem naszego Pana wszędzie pojawi się krew, która będzie wzbierać i przelewać się na polach i na drogach, my zaś, jak spadłe liście bądź skorupy orzecha będziemy po niej pływać i żeglować aż do chwili, kiedy Szatan i jego pomocnicy, z Gogiem i Magogiem na czele, wraz ze wszystkimi fałszywymi prorokami, jacy od początku świata bluźnili przeciwko Bogu, zostaną strąceni do jeziora ognia i siarki, i rozpocznie się wreszcie upragniony Dzień Sądu.

A skoro *de facto* wypełniły się już znaki czasu i czekano już tylko na ostatnią trąbę, należało czuwać i mieć się na baczności, aby powtarzne przyjście Chrystusa nie zaskoczyło nas niczym sidło albo złodziej w nocy. Dlatego też wszędzie głoszone Ewangelię, odprawiano pokutę i modlono się nieustannie, gdzie nigdzie także nawracali się Żydzi, ale niewątpliwie najlepszym sposobem zaskarżenia sobie zasług i usprawiedliwienia się w oczach Pana była w tym decydującym momencie wojna ze sprośnym niewiernym, który śmiał zawładnąć Jego Świętym Grobem, a potem zdobycie Jerozolimy i przywrócenie Bogu Jego utraconego dziedzictwa.

Nasi rozmówcy zapewniali nas także o słuszności obranej przez nas drogi. Sami też maszerowali na północny-wschód, ponieważ do udania się w tym właśnie kierunku wzywali ich wędrowni kaznodzieje, przebiegający od miesięcy cały kraj Franków.

W opowieściach ludzi, z którymi rozmawialiśmy, owi wędrowni kaznodzieje łączyli się niemal zawsze – już to jako jego posłańcy, już to jako jego dobrowolni i gorliwi pomocnicy – z osobą jakiegoś Małego Piotra, zwanego także Piotrem Pustelnikiem. Podobno to właśnie on, sam również wędrowny mnich i kaznodzieja rodem z Pikardii albo Lotaryngii, przekonawszy się w Ziemi Świętej na własne oczy, jak straszliwego ucisku i jakich wołających o pomstę do nieba zniewag doznaje od Saracenów Grób naszego Pana oraz jak wielkie

cierpienia zadawane są odwiedzającym go pielgrzymom, przedstawił ów smutny stan rzeczy papieżowi i wymógł na nim wezwanie do świętej wojny. Od tej pory nie szczędził sił ani zdrowia, by przy pomocy płomiennych kazań skłonić jak największą liczbę ludzi do wzięcia udziału w wyprawie.

Bez czekania na to, aż na apel Jego Świątobliwości raczą zebrać się i wyruszyć w pole możni tego świata – zawsze bardziej skorzy do podejmowania się własnym majątkiem niż Słowem Bożym, a nawet samym

Chrystusem – Mały Piotr gromadził na własną rękę wielką armię, z którą chciał udać się jak najszybciej do Ziemi Świętej. Była to armia składająca się głównie z ludzi biednych i prostych, gdyż – jak dowodzili nasi interlokutorzy – tylko tacy ludzie, gotowi jak Apostołowie porzucić w jednej chwili wszystko i pójść za Chrystusem choćby na sam koniec świata, mogli pokonać władców Babilonu i odzyskać dla chrześcijaństwa te święte miejsca, w których nasz Pan się narodził i pojednał nas z Bogiem na krzyżu. Bo czyż nie o takich właśnie ludziach zostało powiedziane, że są błogosławieni i że to do nich będzie należeć Królestwo Niebieskie, podczas gdy panowie i inni bogacze nie wejdą doń pierwsi, niż wielbłąd przejdzie przez ucho igielne? – zapytywano mnie wielokrotnie.

Jako szlachcic, wolałem się w tej ostatniej kwestii nie wypowiadać, jednak że sam zamiar jak najszybszego dotarcia do Ziemi Świętej bardzo mi odpowiadał, zdecydowałem się dogonić Małego Piotra i dołączyć do jego armii.

*

Im dalej na północny-wschód, tym było bardziej płasko i zielono. Ziemia straciła swoją czerwonawą barwę, pociemniała i przypominała coraz bardziej moje rodzinne strony. Niebo, nie tak błękitne jak za górami, coraz częściej pokrywały chmury, zapewniające nam od czasu do czasu solidną kąpiel. Nasze konie żywiły się do woli nie tylko bujną trawą, ale także młodym zbożem, którego najwyraźniej nikt nie zamierzał zbierać. Codziennie mijaliśmy wsie, gdzie pozostali jedynie wiekowi starcy przypatrujący się nam obojętnie z przyzby bądź zza płotu, widzieliśmy także pola leżące odłogiem od jesieni, pozarastane chwastami pastwiska, wycięte w pośpiechu sady, powyrywane z korzeniami lub zdeptane winnice, rozwalone groble, unieruchomione młyny, otwarte na oścież stodoły, puste chlewy, stajnie i obory, jak również wiele domostw pozostawionych na łasce losu, często już doszczętnie splądrowanych, puszczonech z dymem bądź rozebranych przez kogoś na opał.

Po wsiach nie można było kupić niczego, zaś w miasteczkach – o ile w ogóle kogoś do siebie wpuszczaly, gdyż przeważnie zamykały swoje bramy na cztery spusty przed każdym, kto nosił na ramieniu święty znak krzyża – żądano za byle drobiazg cztery lub pięć razy tyle co na południu czy zaledwie pół roku

wcześniej. Wszystko to sprawiało, że choć nie mieliśmy jeszcze kłopotów z prowiantem, zaczynałem się z wolna obawiać, co będzie dalej, jednak, póki co, zmniejszyłem jedynie nasze codzienne racje żywności i parliśmy niezmordowanie naprzód.

Im dalej na północny-wschód, gdzie ludzie znali Małego Piotra lepiej, tym ciekawsze było także to, co o nim opowiadano. I tak mówiono nam, że w ogóle nie jada mięsa ani chleba, żywiąc się tylko rybami i winem, a na pamiątkę wjazdu naszego Pana do Jerozolimy dosiada wyłącznie osiołka. Niektórzy opisywali go jako nadzwyczaj urodziwego i delikatnego młodzieńca, inni dla odmiany przedstawiali go jako posuniętego w latach, dostojnego mnicha z długą brodą, podobnego z twarzy i postawy do samego króla Filipa. Według jednych, nosił zawsze tę samą czarną opończę, zaś zdaniem innych ubierał się przeważnie w długą, powłóczystą szatę barwy krwi Baranka. W opinii pewnych naocznych świadków, siłą swojej wymowy porywał tłumy, podczas gdy w pamięć innych wrył się akurat tym, że mówił niemal szeptem, w dodatku jękając się i zacinając, chociaż, gdy zaszła taka potrzeba, potrafił wygłaszać wspaniałe kazania w każdym języku świata.

Dowiedzieliśmy się także, że narodzinom Małego Piotra towarzyszyły różne cudowne znaki, zapowiadające niezwykle rzeczy, jakich miał w życiu dokonać, zaś lista sprawionych przez niego cudów była tak długa, że nie dawało się jej zapamiętać. Ci, którzy mieli szczęście spotkać go osobiście, opowiadali z niezwykłym przejęciem, jak uciszał w ich przytomności burze, jak chodził po wodzie, jak wypędzał demony z opętanych, jak uzdrawiał ślepców i trędowatych, jak przywracał chód kulawym, jak nawracał heretyków i jawnogrzesznice, jak rozmnażał chleb i jak przemieniał wodę w wino. Niejeden z naszych rozmówców zaklinał się przy tym na wszystkie świętości, że dotykał własną ręką jego stygmatów, broczących obficie krwią w każdy pierwszy piątek miesiąca, a nawet, że wkładał ją w głęboką dziurę w jego boku, będącą pozostałością po ranie od saraceńskiej włóczni. Nie brakowało również i takich, którzy twierdzili, że to właśnie Mały Piotr, a nie jego sławny imiennik Szymon, nędzny tchórz i zdrajca, co trzykrotnie zapał się Chrystusa, jest właśnie tą opoką, na której zostanie dopiero zbudowany prawdziwy Kościół, mający zastąpić tę Synagogę Szatana, jaka mami i zwodzi wiernych już od dziesięciu wieków.

Słuchałem tego wszystkiego z niedowierzaniem, lecz na ogół nie śmiałem podawać w wątpliwość relacji ludzi, którzy mieli nade mną tę przewagę, że widzieli Małego Piotra na własne oczy. Zaprotestowałem tylko raz, na biwaku niedaleko Autun, kiedy spotkany przeze mnie potężny, długowłosy rycerz spod Limoges, zaczął mi wmawiać, że Piotr Pustelnik potrafi również wskrzeszać umarłych.

– Tego nikt nie potrafi, oprócz Pana naszego Jezusa Chrystusa! – stwierdziłem stanowczo, sącząc wino, na które mnie zaprosił, jako jedyne w całym obozie szlachcica.

– Nikt?! Powiniennem przekonać cię o prawdziwości moich słów na ubitej ziemi, ale na szczęście dla ciebie, mogę to zrobić inaczej! – oburzył się rycerz spod Limoges, po czym splunął w ogień i zawołał do swojej służby – Przyprawadźcie mi tu zaraz Denisa.

– A któż to taki? – zapytałem.

– Jeden ze wskrzeszonych.

Ciarki przeszły mi po grzbiecie i wymieniłem z Yusufem niepewne spojrzenia. Nie minęło wiele czasu i przyprawadzono rzeczzonego Denisa, któremu towarzyszyło kilku mężczyzn i trzy kobiety. Wskrzeszony okazał się młodym wieśniakiem o wąskich i bardzo krzywych ramionach, trzęsącej się głowie i wyraźnym garbie, ledwie mieszczącym się pod zadartą na plecach tuniką. Skłonił się nam nieznacznie, ale nie usiadł, dopóki jedna z towarzyszących mu kobiet nie podsunęła mu usłużnie pod siedzenie złożonej w kostkę opończy. Wtedy rycerz spod Limoges nakazał mu:

– Powiedz nam, Denis, czy to prawda, że zostałeś wskrzeszony przez Małego Piotra?

– Jużci, że prawda – odburknął tamten.

– Jakże to? – zapytałem osłupiały.

– A zwyczajnie. Naprawiałem dach, spadłem i zabiłem się – wyjaśnił. – No i jeszcze mnie przy tym trochę pokręciło.

– Zabiłeś się na śmierć?

– Jużci, że na śmierć – przytaknął beznamiętnie Denis.

– Sam widzisz, na śmierć! – powtórzył za nim tryumfalnie długowłosy szlachcic. – A teraz powiedz nam, Denis, jak to było z Małym Piotrem.

– Z Małym Piotrem było tak – rzekł Denis takim tonem, jakby nudziło go już śmiertelnie powtarzanie w kółko tej samej historii – że akurat następnego dnia zajechał do naszej wioski wzywać na wojnę.

– Na osłe? – upewnił się Yusuf.

– Jużci, że na osłe. Zwołał ludzi, ale kiedy zaczął przemawiać, bardzo przeszkadzały mu szlochy dochodzące z naszej chałupy. W końcu rozeźlił się i zapytał, co to za płacze i w ogóle. Ludzie powiedzieli, że to płaczą moi rodzice, bo ja, ich jedynek, leżę na desce martwy. No to zaszedł do nas i zapytał: „To wasz syn?”. A oni na to: „Nasz, nasz, jedynek” – i znowu w płacz. I wtedy powiedział: „Nie płaczcie”, a do mnie: „Młodzieńcze, tobie mówię, wstań!”. No to wziąłem i wstałem.

– Tak zwyczajnie? – zapytałem ze ściśniętym gardłem.

– Jużci, że zwyczajnie. A szkoda, bo już byłem w raju! – westchnął.
– W raju? I jak tam było?
– Zwyczajnie. A bo co? – spojrzał na mnie nieufnie.
– Bo ja też w nim byłem. Z tamtej strony gór, gdy zostałem ranny – wyjaśniłem.

Po tych słowach zrobiło się cicho jak makiem zasiał i wszyscy, nie wyłączając Yusufa, obrócili się ku mnie z nagłym respektem, zaś rycerz spod Limoges od razu dolał mi wina. Tylko Denis spojrzał na mnie jeszcze bardziej podejrzliwie, po czym przygryzł wargę i zapytał:

– A tobie jak tam było, panie? Dobrze?
– Bardzo dobrze.
– A Cztery Rzeki widziałeś?
– Widziałem. I Cztery Rzeki, i mury ze złota, i pierścień ognia, i Źródło – potwierdziłem.

– A jelenie, niedźwiedzie, jednorożce i róże bez kolców? – indagował dalej.
– Oczywiście.
– A były tam jakieś szlachetne kamienie?
– Całe mnóstwo.
– A jakie?
– Diamenty, szmaragdy, rubiny, jaspisy, agaty, ametysty... – zacząłem wyliczać z pamięci.

Wtedy Denis przerwał mi i zwracając się do obecnych, oświadczył uroczyście:
– Zgadza się. Był.

Wówczas wszyscy zaczęli mnie ścisnąć i klepać po plecach. Powstało przy tym spore zamieszanie, w którym nie uczestniczył tylko Yusuf, który przyglądał mi się jakoś dziwnie, a nawet trochę się ode mnie odsunął. Kiedy wrzawa nieco ucichła, zapytał mnie półgłosem:

– Panie, ale ciebie chyba nikt nie wskrzesił?
– Mnie? Skąd! Ja tam byłem za życia – uspokoilem go natychmiast.
– Bogu niech będą dzięki! – wznosił oczy do nieba, a następnie zwrócił się do Denisa. – A jak cię stamtąd wypuścili? Bo to chyba nie takie proste.

– A zwyczajnie – odparł tamten, wzruszając krzywymi ramionami. – Przyszedł do mnie Archanioł Gabriel i powiedział mi, że mam wracać do życia, żeby pomóc Małemu Piotrowi. Bo z naszej wioski nikt się nie zgłosił. No i że rodzice się ucieszą.

– Pewnie, kto by się nie ucieszył? I dużo się zgłosiło po twoim powrocie? – zapytałem.

– Prawie wszyscy – stwierdził z dumą rycerz spod Limoges. – To moja wieś, znają mores, juchy. Z innych wiosek też sporo. W sumie ze dwustu chłopca.

– Fiu, fiu! To idziesz na wojnę z niezłym zastępem – zwróciłem się do niego z zazdrością.- A co z twoją ziemią? Kto ją będzie obrabiał?

– Też mi zastęp! – prychnął z pogardą, odrzucając do tyłu swe gęste loki. – Większość to zwykłe chamy. Po wskrzeszeniu Denisa uparli się, żeby iść, to idą, ale jestem pewny, że przed pierwszą bitwą zesrają się w portki ze strachu. Ale to dobrzy ludzie, żal mi ich było zostawiać. A co do ziemi, to nie mam już ani kawałka. Sprzedałem wszystko bratu, żeby się wyposażyć na drogę, więc, jak dla mnie, to może ją uprawiać nawet Belzebub. Nic mnie to już nie obchodzi.

– Aha – uśmiechnąłem się na ten wywód. – Mojej pilnują zakonnice.

– Na jedno wychodzi – mruknął i napełniwszy puchary, przepił do mnie ponownie. A potem wskazał na mój miecz: – Mam podobny, z Toledo.

– Mój też jest chyba stamtąd.

– Ile to już lat? Dziesięć? Dwanaście?

– Jedenaście. Więc ty też byłeś za górami? – spojrzałem na niego z szacunkiem.

– Prawie cztery lata. To była wojna! – westchnął z rozrzewnieniem. – Daj Boże, żeby ta nie była gorsza.

– Twoje zdrowie, panie! I wszystkich tych, którzy byli za górami! – wzniosłem puchar do góry.

– Zdrowie! Za zwycięstwo! – odwdzieczył mi się ukłonem i wychylił duszkiem cały puchar.

– Przepraszam, jeśli można, to chciałbym o coś zapytać – odezwał się Yusuf, od dłuższego czasu zastanawiający się nad czymś w milczeniu. – Dziwi mnie, dlaczego Mały Piotr i archanioł Gabriel, dokonawszy tak wielkiego cudu, jakim było wskrzeszenie Denisa, nie uczynili jeszcze jednego, dużo łatwiejszego, i przy okazji nieco go nie wyprostowali?

Po tym pytaniu ktoś syknął, ktoś inny zachichotał, po czym wszyscy wlepili wzrok w Denisa, bardzo ciekawi, co też na to odpowie. Ten skulił się, głowa zaczęła mu dygotać jeszcze bardziej, a jednak odpowiedział Yusufowi nad wyraz roztropnie:

– A czemuż to nasz Pan Jezus Chrystus po wskrzeszeniu Łazarza nie obdarzył go przy okazji bogactwem i urodą? Nie wiadomo. Najwidoczniej zasłużyłem sobie na wskrzeszenie, ale już nie na wyprostowanie.

– Właśnie – poparłem go, i żeby jakoś zatrzeć niezręczność mojego byłego sługi, wstałem, objąłem Denisa ramieniem i klepnąwszy go w wypukłość grzbietu, rzekłem: – Nie martw się, na tamtym świecie Bóg wyprostuje wszystko.

Wkrótce potem Denis pożegnał się, a ja poczułem wielką senność. Na odchodnym rycerz spod Limoges wyściskał mnie serdecznie, a kiedy oddalaliśmy się od jego ogniska, wołał za mną na cały głos:

– Do zobaczenia w Ziemi Świętej! Tylko jeśli tam dotrzesz przede mną, nie wyrznij z rozpędu wszystkich wielbłądzich synów! Zostaw paru dla mnie, bo szkoda by było fatygi! I nie zepsuj mi także wszystkich Saracenek!

Znalazłszy się w naszym namiocie, nie omieszkałem wyrzucić Yusufowi, że zachował się jak gbur.

– Nie chciałem go urazić – usprawiedliwił się zmieszany. – Ale szczerze wątpię, żeby był w raju naprawdę.

– Dlaczego? – zmarszczyłem brwi.

– Dlatego, że raj wygląda zupełnie inaczej.

– Skąd wiesz? Byłeś tam?

– Nie, ale kiedyś, podczas oblężenia Walencji, byłem przy śmierci pewnego derwisza – niech Bóg się nad nim zlituje! – któremu przedziurawiono brzuch piką. Andaluzycy, z powodu swojego wydelikacenia, umierają od takiej rany niemal od razu, ten jednak pochodził z Afryki i wytrzymał całe dwa dni. Nie było szansy, by go uratować, więc podawałem mu tylko wyciąg z konopi, żeby się mniej męczył. Kiedy go wypił, zasypiał, a gdy się budził, mówił, co wtedy widział.

– A co niby widział?

– Raj. I widział go na pewno, bo umierał z ran odniesionych w walce na ścieżkach Boga, a nie dlatego, że się poślizgnął i spadł z jakiegoś dachu. Twierdził, że nie było tam gorąca ani zimna, tak samo, jak kłamstwa, grzechu, bólu ani śmierci.

– To by się akurat zgadzało.

– Tylko że ów derwisz nie wspomniał ani słowem o jakichś jeleniach, niedźwiedziach czy jednoroźcach, ani o pierścieniach ognia czy murach ze srebra.

– Ze złota – uściśliłem.

– Niech będzie, że ze złota.

– Może ich nie zauważył. A co widział jeszcze? – zapytałem, wyciągając się wygodnie na derce, o czym od dawna marzyłem.

– Przecudny ogród, piękniejszy od najwspanialszej oazy, przez który przepływały strumyki wody, nigdy nie ulegającej zepsuciu i strumyki mleka, którego smak nigdy się nie zmienia, a ponadto strumyki wina i strumyki oczyszczonego miodu. Derwisz mówił także, że bogobojni wypoczywali tam na łożach wyszywanych brokatem, odziani w zielone szaty z ałasu i strojni w bransolety ze srebra, wsparci łokciami na zielonych poduszkach i zwróceni do siebie twarzami. Zaś pomiędzy nimi krążyli bez przerwy nieśmiertelni młodzieńcy z czaszami i dzbanami ze srebra, i kielichami z kryształu, napełnionymi jakimś napojem z domieszką imbiru, albo bardzo dobrym winem,

od którego nie cierpi się nigdy na ból głowy, jak również z tacami pełnymi owoców i mięsa ptaków. Ale najbardziej ucieszyło go to, że naprawdę były tam przyobiecane dziewczęta o skromnym spojrzeniu i zaokrąglonych piersiach, wszystkie jednakowej młodości i piękne jak księżyc w pełni w czternastą noc miesiąca, z których każda była niczym perła nie przewiercona i niczym klacz, której nikt jeszcze nie dosiadał. Myślę nawet, że właśnie po to, aby jak najprędzej cieszyć się ich względami, drugiego dnia kuracji zerwał z brzucha bandaż i w chwilę później wyzionął ducha.

– Straszny z ciebie poganin, Yusufie! – przeżegnałem się ze zgrozą. – Doprawdy nie wiem, co na to poradzić!

– A z ciebie, panie, okrutny niedowiarek – odpłacił mi pięknym za nadobne. – Bo ja tylko powtarzam jego słowa.

– Myślę, że z wszystkiego, o czym mówił twój derwisz, prawdziwe są jedynie te dziewczyny jak perły nie przewiercone. Tyle że można je spotkać tu, na ziemi.

– Tak myślisz, panie? W sumie, to też by nie było najgorsze – w jego głosie pojawiła się nutka rozmarzenia.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – zapytałem zdziwiony, ale i coraz bardziej rozdrażniony, że nie daje mi spać.

Wówczas uniósł się na swoim posłaniu i wsparłszy się na łokciu, rzekł:

– To, że jeśli Ten, który nas kiedyś wskrzesi, pozwoli nam przeżyć tę wojnę i odnaleźć Źródło, mam zamiar się ożenić.

– Ożenić się?

– Tak. Może nawet dwa albo i trzy razy.

– Dwa albo i trzy razy?! Zrozum wreszcie, człowieku, że to straszny grzech – oburzyłem się.

– Grzech? Przecież to zgodne z prawem – zrobił wielkie oczy.

– Są prawa i prawa.

– Tego nie musisz mi, panie, tłumaczyć. Ale to prawo jest akurat dobre, bo zgodne z prawem naturalnym.

– Nie wiem, o czym mówisz. Czy mógłbyś to wyjaśnić? – ziewnąłem od ucha do ucha.

– Oczywiście. Prawo naturalne to takie, które wynika z samego porządku rzeczy ustanowionego przez Boga. Gdyby na przykład jakiś władca wydał prawo nakazujące matkom zabijać własne dzieci, zawsze i wszędzie będzie to prawo złe, ponieważ stoi ono w sprzeczności z prawem natury, które sprawia, że każda matka kocha swoje potomstwo, niezależnie od swojej religii, stanu czy kraju pochodzenia.

– Dobrze. I twoim zdaniem posiadanie dwóch, trzech albo i więcej żon zgadza się z prawem naturalnym?

– Jak najbardziej. Zgodne z naturą jest wszakże to, że mało kto potrafi kochać tylko jedną kobietę przez całe życie, a nawet jeśli ten czy ów zakochany szczerze tego pragnie, prędzej czy później o tym zapomina i w zgodzie z naturą zaczyna oglądać się za innymi. Widziałem to setki razy i wiem, że w tym życiu nie ma na to rady. Zgodne z naturą jest także to, że na świecie jest więcej kobiet niż mężczyzn, ci bowiem żyją krócej, a w dodatku częściej giną na wojnach, podczas wypraw w interesach czy też z powodu nadmiernych kłopotów związanych z utrzymaniem rodziny. A ponieważ kobiety, dla których nie wystarcza mężów, też mają prawo do tej odrobiny szczęścia, jaką daje własny dom, czuły mąż i kochające dzieci, żeniąc się z dwiema, trzema albo i czterema na raz, przyczyniamy się do ich szczęśliwości i pomagamy im wypełnić ich naturalne powołanie, zyskując przy okazji wdzięczność państwa i zasługę w niebie.

– O tej porze nie chce mi się z tobą dyskutować – stwierdziłem zrezygowany.
– Powiedz mi jeszcze tylko, z kim chciałbyś się żenić, i kładźmy się spać.

– Tego jeszcze nie wiem, panie. Wiem tylko, że usta moich żon powinny być słodsze niż syrop, ich postaciom powinny zazdrościć gałązki wikliny, ich mowa powinna być delikatniejsza niż zefir przelatujący nad kwiatami w ogrodzie, a ich ciała powinny być gładkie do chińskiego jedwabiu! – Westchnął, podkładając sobie wygodnie ręce pod głowę. – I najważniejsze, wszystkie muszą być jak perły nie przewiercone i dać mi dużo dzieci.

– No tak, dzieci... – poczułem, jak nagle robi mi się ciężko na duszy.

– Otóż to, panie, dzieci. Ostatnio wiele o tym myślałem i doszedłem do wniosku, że posiadanie dzieci to jednak wielkie szczęście. Pomyśl sobie, ileż radości musi być tylko w tym, że człowiek jest szczęśliwy, gdy jego dziecko jest zdrowe i wesołe; że cierpi razem z nim, kiedy jest chore lub markotne; że uczy je chodzić i podnosi je, kiedy się przewróci; że zagląda do niego, kiedy śpi i okrywa je, kiedy się rozkopiese; że podciera je, myje i namaszcza, kiedy robi pod siebie; że kołysze je w ramionach, jeśli się rozplącze; że nosi je na rękach i na barana, żeby mu sprawić przyjemność; że kąpie je i ubiera, że uczy je pierwszych wyrazów i objaśnia mu świat, a potem dba o jego edukację, i tak dalej, i tak dalej – póki dziecię nie dorośnie.

– Masz rację, Yusufie. Życzę ci z całego serca, żebyś miał dużo dzieci.

– Dziękuję, panie. A skoro już jesteś dla mnie tak łaskawy, to życz mi jeszcze, żeby to byli sami synowie – poprosił przewracając się z boku na bok. – Bo choć świat nie może istnieć bez obu płci, należy współczuć rodzicom mającym tylko córki.

– Dlaczego?

– Dlatego, że za dużo z nimi kłopotów. Z niepokoju o nie człowiek nie śpi po nocach przez całe życie: w dzieciństwie, żeby nie zostały uwiedzione,

w młodości, by nie zeszyły na złą drogę, w wieku małżeńskim, że nie znajdą męża albo wyjdą za jakiegoś szubrawca lub idiotę, gdy są mężatkami, żeby były szczęśliwe i nie były bezpłodne, a na starość, by nie zostały jędzami jak tyle innych.

– W porządku – zgodziłem się bez oporów. – Jeśli chcesz, miej samych synów. Ale teraz śpijmy już, bo jutro skoro świt ruszamy w drogę – uciałem dalszą dyskusję i nakryłem głowę opończą.

Owej nocy, być może ze względu na wypite wino, a może dzięki Yusufowi, przyśniła mi się Subh. Kiedy wślizgnęła się do naszego namiotu i ostrożnie zbliżyła się do mojego legowiska, ze zdumienia zerwałem się na nogi, lecz zanim zdołałem cokolwiek powiedzieć, położyła mi palec na ustach, wskazując ruchem głowy na śpiącego Yusufa. Miała na sobie lekką zieloną suknię w złociste kwiaty i gałązki, a jej twarz przesłaniał jasnozielony hidżab ozdobiony złotymi frędzlami. Kiedy wziąłem ją w ramiona i podniosłem, wydała mi się jeszcze szczuplejsza i bardziej krucha niż w lazarecie.

– Nie dają ci jeść, czy jak? – spytałem gniewnie, ale ona pokręciła przecząco głową i dała mi jeszcze raz znak, abym był cicho. A potem podsunęła mi swoje wąskie ręce o długich palcach, o dziwo wcale nie zniszczone pracą w kuchni i szorowaniem posadzek na klęczkach. Całowałem te palce wszystkie po kolei, co przyjmowała z pełnym napięcia drżeniem. Kiedy sięgnąłem ustami do jej oczu, drżenie to jeszcze się wzmogło, a gdy spróbowałem unieść zasłonę, by dostać się do jej ust, ścisnęła moje ręce w nadgarstkach i kręcąc stanowczo głową, złożyła je na swoich piersiach. Jak cała reszta, wydały mi się one jeszcze drobniejsze, ale zarazem jędrniejsze niż dawniej. Przesuwałem po nich dłonią to tu, to tam, czując, jak nabrzmiewają pod nią i prężą się ku mnie, i jak udziela się mi ich pragnienie.

Byłem pewny, że tym razem rzecz się dopełni, że dojdzie do swego naturalnego końca, zgodnie z owym dobrym prawem, o którym opowiadał Yusuf, zwłaszcza, że nie żył już wścibski Rzymianin ani zazdrosny Al-Muzaffar, a mój były sługa spał obok kamiennym snem, zwinięty w kłębek jak dziecko.

Jednak kiedy zdjąłem z Subh suknię a z siebie ubranie, za ścianką namiotu rozległ się niespodziewanie przeraźliwy jazgot fletów, rogów i piszczałek! Potem jego skrzydło uniosło się i do środka weszło czterech smagłoliczych młodzieńców w zielonych strojach i turbanach. Dwóch z nich dźwigało dzbany z winem i innymi napojami, dwóch pozostałych kosze pełne owoców i mięsa ptaków. Subh, kryjąca swoją nagość pod rąbkiem sukni, poleciła im postawić tace obok naszego legowiska i dała ręką znak, żeby wyszli. Ale ci, zamiast to zrobić, zaczęli przyglądać się mojemu przyrodzeniu, po czym podnieśli taki raban, jakby ich obdzierano żywcem ze skóry! Nim zdołałem pojąć, o co chodzi, do namiotu

wpadło kilku czarnoskórych osiłków o muskularnych, błyszczących od oliwy torsach i po krótkiej wymianie zdań z młodzieńcami w zielonych szatach, rzucili się na mnie, wykręcając mi ręce do tyłu!

Kiedy wywlekali mnie z namiotu, Subh biegła od jednego do drugiego z nich z zaciśniętymi pięściami i płakała przeraźliwie. Biegła także za nami, kiedy pędzili mnie przez wielki ogród, gdzie w cieniu drzew owocowych, na niskich łóżach okrytych zielono-złotymi kapami z brokatu ucztowali leniwie brodaci mężczyźni w turbanach. Mężczyźni ci, zdziwieni moim widokiem, pytali o coś strażników, a potem – nie zadając sobie nawet trudu, by powstać z łoża – ciskali we mnie pestkami, napoczętymi owocami, na wpół ogryzionymi kośćmi ptaków i wszystkim, co mieli pod ręką. Wówczas jeden z czarnoskórych strażników narzucił mi litościwie na głowę jakąś tkaninę i przestałem widzieć cokolwiek. Kilkakrotnie potknąłem się na prowadzących pod górę schodach, potem trzasnęły za mną jakieś drzwi, odcinając mnie od gniewnej wrzawy tłumu i głośnego szłochu Subh, następnie poślizgnąłem się i przewróciłem na gładkiej posadzce, aż wreszcie zatrzymaliśmy się i wtedy zdjęto mi z głowy przesłaniającą oczy materię.

Znajdowałem się w przestronnej komnacie oblanej łagodnym światłem wpadającym z zewnątrz przez potrójne okno podzielone rzeźbionymi kolumnkami i zamknięte od góry łagodnym łukiem w kształcie końskiej podkowy. Jej ściany wyłożone były do pewnej wysokości lśniącymi płytkami terrakoty, których roślinny wzór – gałązki palmowe i wijące się łodyżki – ciągnął się dookoła niczym dywan w kolorach trawy i piasku. Powyżej tego połyskliwego kobierca kłębił się istny gąszcz haftów i filigranów wyrzeźbionych w stiuku, przypominający ogromny plaster miodu albo kwiat dojrzałego słonecznika o wydłubanych pestkach, a może jeszcze bardziej – rybacką sieć z tkwiącymi w jej okach pyszczkami ryb i obwieszoną frędzlami wodorostów. Ze stropu, którego drobne wybrzuszenia wyglądały jak tafla jeziora podczas gwałtownej ulewy, zwisały podługowate formy zbliżone do wielkich szyszek lub do kamiennych sopli wyrastających niekiedy ze sklepień jaskiń. Strop ten podtrzymywały dwa rzędy wysmukłych kolumn, nad którymi rozpięły się pyszne zwielokrotnione łuki z ułożonych na przemian białych i czerwonych kamieni.

Nie ochłonałem jeszcze dobrze z wrażenia wywołanego tym bogactwem, kiedy komnata rozświetliła się dodatkowym blaskiem i wszedł do niej, a raczej wpłynął unosząc się pół łokcia nad posadzką, jakiś archanioł. Jego twarz była bielsza od mleka i śniegu, jego włosy były czerwieńsze niż koral, jego ręce gorzały ogniem, a jego skrzydła i stopy były bardziej zielone i błyszczące niż szmaragdy. Miał szerokie brwi i pięknie wykrojone usta, w których lśniły zęby jeszcze bielsze od

jego twarzy, a odziany był w białe szaty, bogato wyszywane złotem i perłami, przepasane w talii, a także na skos przez pierś dwiema złotymi wstęgami szerokości dłoni. Głowę zdobił mu zielony zawój zwieńczony złotą koroną, a u pasa wisiał mu miecz. Na widok archanioła moi czarnoskórzy strażnicy runęli na kolana, nie zapominając przy tym przygiąć do ziemi także mojego karku.

– Kto to jest? – zapytałem przerażony jednego z nich.

– Archanioł Gabriel – wyszeptał z nie mniejszą trwogą.

Tymczasem ten, którego nazwał Archaniołem Gabrielem, zwrócił się do mnie z groźną miną:

– Skąd się tu wziąłeś?

– Nie mam pojęcia – odparłem zgodnie z prawdą.

– Nie wolno ci tu przebywać! – oświadczył szorstko. – Nie nosisz wszak znaku przymierza z Tym, który stworzył człowieka z grudki krwi zakrzepłej, i nie jesteś prawdziwie wierzącym. Chyba że chciałbyś nim zostać? – dokończył odmiennym tonem, po czym wyciągnął z pochwy miecz, od którego komnata rozjarzyła się natychmiast tak wielkim blaskiem, że musiałem przymrużyć oczy.

– Kimkolwiek jesteś, panie, mylisz się mówiąc, że nie jestem prawdziwie wierzącym – odpowiedziałem. – Wierzę bowiem w naszego Pana i Odkupiciela, Jezusa Chrystusa. I wolę, żeby tak pozostało.

– Naszego Pana i Odkupiciela?! – zaśmiał się gromko, choć w jego śmiechu nie było ani cienia wesołości. Zachęceni jego przykładem zaczęli chichotać także moi strażnicy. Ale on nakazał im milczenie i przybrał z powrotem surową minę:

– Isa Ibn Maryam również tu przebywa, chociaż w najniższym z ośmiu nieb. A zatem?

– Jeśli w najniższym, to nie możesz być, panie, tym, za kogo się podajesz. Nic z tego – odrzuciłem jego ofertę.

Jego twarz bielsza od mleka i śniegu pociemniała z gniewu. Uniósł miecz, który od razu buchnął płomieniem i począł wić się w jego ręku niczym wąż, gdy zaś skierował go w moją stronę, marmurowe flizy posadzki rozstały się i nagle runąłem w otchłań podobną do wnętrza studni, po czym przez pięćset, a może tysiąc lat, spadałem w dół jak kamień w najczarniejszej z możliwych ciemności.

Kiedy zbudziłem się zlany potem, szarpnąłem Yusufa za ramię i zapytałem go przerażony, czy Saraceni również oddają cześć Archaniołowi Gabrielowi?

– Oczywiście – odpowiedział otwierając z trudem oczy. – To niezwykle czczony anioł. Może nie przebywa tak blisko Najwyższego jak Anioł-Kogut, sławiący przez całą wieczność Pana Wszechświatów, ani jak Aniołowie o Czterech Twarzach, którzy dźwigają Boski Tron, czy też jak ten, którego ciało – na znak, że dla Wszechmocnego nie ma rzeczy niemożliwych – jest zbudowane w połowie ze śniegu a w połowie z ognia, ale to właśnie Archanioł Gabriel, a nie

żaden inny, towarzyszył Wysłannikowi Boga w jego nocnej podróży do Nieba, służąc mu w jej trakcie za przewodnika.

– A jakim cudem Wysłannik Boga dostał się do Nieba? – zasepiłem się po tym wyjaśnieniu.

– Po specjalnej drabinie, z Jeruzalem, dokąd się wybieramy. Czemu o to pytasz, panie?

Wówczas opowiedziałem mu moje widzenie, pomijając jedynie szczegóły mojego spotkania z Subh. Słuchał mnie ze zdumieniem, przytakując od czasu do czasu. Na koniec zaś zapytał:

– A czy były tam jakieś dziewczęta jak perły nie przewiercone?

– Tylko jedna.

– Hmm... To trochę dziwne – rzędła mu nieco mina. – Ale i tak brzmi to o wiele wiarygodniej niż opowieść Denisa. Choć z drugiej strony, we śnie, a nawet na jawie, ludzie widują różne rzeczy. Zaś sny są przeważnie tylko snami.

– Ciekawe, że w przypadku twojego derwisza nie miałeś takich wątpliwości – zauważyłem uszczypliwie.

– Derwisz to co innego. On był prawdziwie wierzącym i zginął na ścieżkach Boga. Wybacz, ale w twoim przypadku mogło chodzić najwyżej o Iblisa, który nie ma władzy nad sprawiedliwymi muzułmanami.

– O kogo?

– O Szejtana. Tego samego, który sprzeciwiał się stworzeniu Adama, skusił Ewę w Raju i zbuntował się przeciwko Allahowi, a który z samej swojej natury zwodzi ludzi i zbija ich z Drogi Prostej, aby pociągnąć ich za sobą do Gehenny.

Po tych słowach zmartwiałem. Zrozumiałem, że Yusuf, chociaż pokrętnie, jak to poganin, trafił jednak w samo sedno. Pozbawiony przez ekskomunikę tarczy i pancerza Sakramentów, byłem nieomal bezbronny i w każdej chwili mogłem paść łatwym łupem Zwodziciela, który najwidoczniej już krążył wokół mnie niczym lew ryczący, zataczając coraz ciaśniejsze kręgi i czekając na stosowną chwilę, by mnie dopaść i pożreć. Wreszcie dotarło do mnie, że poprzez obrazy rozkoszy, jakie oglądałem we śnie, byłem wodzony na pokuszenie i wystawiony na próbę, której na szczęście nie uległem! Więc jeśli chciałem oprzeć się kolejnym zakusom Wielkiego Oszczercy i Zawistnika, podbechtującego ludzi do grzechu, bałwochwalstwa, bezbożności, herezji i odstępstwa, i nie wpaść w jego sidła także w przyszłości, jedyne co mi pozostawało, to przyoblec się z całą surowością w zbroję Bożych przykazań i zawierzyć jeszcze bardziej mocy i miłosierdziu naszego Zbawiciela. A kiedy to wszystko pojąłem, przyrzekłem sobie uroczyście, że odtąd będę starał się ze wszystkich sił zostać rycerzem Chrystusowym, i to prawdziwym, a nie tylko z nazwy i podług słabego ciała.

I wtedy zwróciłem się do mojego byłego sługi:

– Yusufie, od dzisiaj nie będziemy tracić czasu na postoje i popasy. Jeść i odpoczywać można także w siodle. Codziennie będziemy jechać tyle, ile nasze konie wytrzymają. A od jutra zaczniemy wstawać jeszcze przed świtem, żeby dogonić Małego Piotra.

Yusuf popatrzył na mnie przeciągle, a potem wzruszył ramionami i rzekł:

– Jak sobie życzysz, panie. Jeśli chodzi o mnie, to mogę wstawać wcześniej od kruka mającego dwoje piskląt. Myślę jednak, że niezależnie od tego, jak wcześniej wstaniemy, nasze przeznaczenie i tak zdąży wstać przed nami.



VII

Przez wiele następnych dni wstawaliśmy przed świtem i pokonywaliśmy do zmięzchu szmat drogi. Przemierzyliśmy w tym czasie Owernię, Burgundię, Szampanię i wjechaliśmy do Lotaryngii, ale Mały Piotr ciągle nas wyprzedzał, wciąż nam umykał jak linia horyzontu.

Niektórzy z pielgrzymów, z którymi rozmawialiśmy podczas krótkich popasów i rzadkich chwil odpoczynku, twierdzili, że ostatnio widziano go w krajach niemieckich. Inni gotowi byli przysiąc, że jest już w Konstantynopolu, gdzie cesarz schizmatyków zaoferował mu połowę swojego królestwa i własną cesarską koronę. Jeszcze inni opowiadali o jego pierwszych zwycięstwach nad niewiernymi, którzy, zdziesiątkowani w boju i oświeceni z łaski Boga światłem prawdy, porzucali całymi tysiącami błędy swej doktryny i jeszcze na pobojuwisku, wśród stosów trupów i kałuż nie skrzepłej krwi, błagali go na klęczkach o chrzest święty. Spotykaliśmy wprawdzie i takich, którzy wracali już do domu pod prąd ludzkiej rzeki, głosząc po drodze hiobową wieść, że Piotr Pustelnik zginął razem z całą swoją armią, gdy tylko postawił stopę na ziemi Saracenów, tym jednak na ogół nie wierzono, a jeśli któryś z nich śmiał się upierać przy swoim zdaniu, zarzucano mu zdradę i tchórzostwo, czasem pluto w twarz, a niekiedy wymierzano mu na miejscu sprawiedliwość.

Po minięciu Metz, kiedy jechaliśmy wzdłuż brzegów Mozeli, z przydrożnej dąbrowy wyskoczył nagle jakiś człowiek i uklękawszy na środku gościńca, zawołał do nas wielkim głosem:

– Luudzie! Zatrzymajcie się! Na Pięć Ran Chrystusa i na te gwoździe, którymi Go przebito, pomóżcie mi, o ile macie honor zwać się chrześcijanami!

Na te słowa osadziłem konia w miejscu. Yusuf, chcąc nie chcąc, zrobił po chwili to samo. Wówczas tamten poderwał się z klęczek i począł biec w naszą stronę.

Mógł mieć około trzydziestu lat, był rostry, szeroki w barach i wąski w pasie, miał jasne, kręcone włosy, błękitne oczy i lekko pucołowatą twarz. Spod burej opończy pielgrzyma, usianej muszlami Świętego Jakuba, wystawały mu wytworne nogawice spodni – jedna w kolorze młodego szczypiorku, druga krwście czerwona – dziwnie kontrastujące z łapciami z łyka, jakie rozpadały się ze starości na jego stopach. W ręku trzymał kij pątniczny, pod pachą miał dużą sakwę z jeleniej skóry, a z szyi zwisał mu krucyfiks zrobiony z dwóch grubych patyków.

Człowiek ów chwycił za uzdę mojego konia i rzekł patrząc mi śmiało w oczy:

– Szlachetny rycerzu! Jeśli jedziesz do Ziemi Świętej, by bronić Grobu naszego Pana Jezusa Chrystusa – a że tak właśnie jest, wnoszę po znaku krzyża na twoim płaszczu – nie zostawiaj w biedzie chrześcijanina, który też się tam udaje, i to nie po raz pierwszy! Zważ, że co czynisz takim maluczkim jak ja, samemu Bogu czynisz.

– A cóż ja mogę dla ciebie uczynić? – zapytałem z niechęcią.

– Nawet nie wiesz panie, jak wiele, choć dla ciebie to tylko drobiazg. Napadnięto mnie, obrabowano, skradziono mi konia! Jeszcze wczoraj miałem konia i wóz, a kiedy obudziłem się dziś rano, został mi tylko wóz! – zacisnął gniewnie pięść.

– Któż ci go ukradł?

– A bo to wiadomo, panie? Różni się tu kręca. Może Żydzi? – rzucił tonem graniczącym z pewnością.

– Żydzi? A na co im twój koń? – zdziwiłem się.

– Mnie pytasz? Ich zapytaj, panie. Koń dobry, mocny, każdemu się przyda.

– No dobrze, ale co ja mogę na to poradzić?

– Dużo, panie, dużo! Widzę, że z łaski Boga masz dwa luzaki. Jeden z nich mógłby pociągnąć mój wózek. Naprawdę, nie jest ciężki.

– Nic z tego. Za bardzo nam się śpieszy. Zejdź mi z drogi – uciałem dalszą dyskusję.

Ale on rzucił się znowu na kolana i złożywszy ręce jak do modlitwy, zaczął błagać jeszcze natarczywiej:

– Niezwyciężony panie, nie pozostawiaj nas w nieszczęściu! Jak dotąd, nikt oprócz ciebie nie prowadził tędy żadnych luzaków. Co mamy zrobić bez konia?! Bez niego nie pojedziemy ani do przodu, ani do tyłu! Proszę w imię Boga Najwyższego!

Wówczas przypomniałem sobie o moim postanowieniu i na moment zawahałem się.

– Nas, to znaczy kogo? Kto jeszcze jest z tobą?

– Nikt. To znaczy siostry – ucałował moje strzemię.

– Siostry? Gdzie? – rozejrzałem się dookoła, nie widząc nikogo.

– W krzakach, przy wozie. Bo różni się tu kręca. Czy mam je zawołać? – i nie czekając na moją zgodę, rozdarł się na całe gardło: – Blanka, Uta, Mechtylda, Zuzanna! Wyłaźcie migiem! Jaśnie pan chce was zobaczyć.

Po tych słowach pobliskie zarośla rozchyliły się i ostrożnie wychynęły z nich cztery kobiece główki.

– No dalej, śmiało! – zachęcił je mój rozmówca. – Nie bójcie się. To prawdziwy szlachcic, nie zje was. Pośpieszcie się! Są piękne, nieprawdaż? – zwrócił się do mnie z dumą.

Kiedy do nas podeszły, musiałem przyznać mu rację. Jego siostry mogły mieć od szesnastu do dwudziestu kilku lat i były nie tylko piękne, ale w dodatku każda z nich była piękna inaczej. Najmłodsza była szczupłą blondynką o przezroczystej, niemal anielskiej urodzie i wielkich jasnoniebieskich oczach; następna pod względem wieku była kędzierzawą brunetką o smagłej cerze i zarysowanych już zdecydowanie piersiach; trzecia, która spodobała mi się najbardziej, miała alabastrową twarz nakrapianą złocistymi piegami, szmaragdowe oczy z długimi rzęsami i lekko falujące włosy o barwie i blasku płomienia – w tym momencie mokre, bo właśnie umyła sobie głowę; czwarta, najstarsza i najdorodniejsza z nich, też była brunetką, o zaokrąglonych kształtach i owalnej twarzy z lekko zadartym nosem. Choć każda była inna, wszystkie nosiły takie same suknie skromnego kroju i barwy popiołu.

Wyraźnie onieśmiałe, dygnęły przede mną kolejno.

– Blanka, Mechtylda, Uta i Zuzanna – przedstawił je nasz nowy znajomy w zielono-czerwonych spodniach, a ja zapamiętałem tylko tyle, że ta z mokrą głową ma na imię Uta.

– No a ty? – zapytałem dla porządku.

– Jak to ja, panie? To jeszcze ci się nie przedstawiłem? Zwę się Piotr Bartłomiej, do usług – ujął się pod boki. – No i jak? Zostawisz nas na pastwę losu i złych ludzi?

Po czym ukląkł ponownie na środku drogi. Kiedy cztery siostry zrobiły natychmiast to samo, a jedna z nich, chyba Blanka, zaczęła głośno pochlipywać, moje serce od razu zmiękło.

– No dobrze, przez wzgląd na Pana naszego Jezusa Chrystusa, w imię którego mnie o to prosicie, podwiozę was do najbliższego miasteczka. Ale dalej będziecie musieli dać sobie radę sami. Przyprzęgaj wóz.

Siostry zapiszczały z radości, a potem zaczęły na wypródki rozplątywać się w podziękowaniach, całując z rozpędu także ręce i strzemiona Yusufa. Tymczasem Piotr Bartłomiej skłonił mi się aż do ziemi i wziął się żywo do roboty. Zaprzęął do swojej dwukółki z płócienną budą konia zdobytego przeze mnie na Abdullahu i ruszyliśmy w dalszą drogę.

Jechaliśmy wolno, gdyż ciężkie koła wozu grzęzły głęboko w piasku, ale byłem bardzo zadowolony z mojego dobrego uczynku. Piotr Bartłomiej powoził rażno, podśpiewywał coś pod nosem i pokrzykiwał ochoczo na konia; jego siostry, spokojne teraz i uśmiechnięte, rozglądały się z ciekawością po okolicy, poszeptywały żywo między sobą, a od czasu do czasu wybuchały radosnym śmiechem, zapewne nas obgadując, lecz ja nie miałem im tego za złe, rad z ich towarzystwa, szczególnie zaś z tego, że mogłem do woli przypatrywać się Ucie suszącej na wietrze swoje złote włosy, a potem zaplatającej je w gruby warkocz.

Dobry nastrój, w jaki popadłem, potęgował jeszcze widok rozkwitłych łąk i zielonych lasów, jaskółki uwijające się na niebie w poszukiwaniu owadów i mocno grzejące słońce, które rozleniwiało i sprzyjało marzeniom. W pewnym momencie przyłapałem się nawet na tym, że zaczynam pogwizdywać piosenkę nuconą przez Piotra Bartłomieja, a kiedy Uta skończyła upinać warkocz, podjechałem z ochotą do ich dwukółki.

– Mówiłeś, że jedziesz do Ziemi Świętej nie po raz pierwszy? – zagadnąłem jej woźnicę.

– Dokładnie po raz trzeci – odpowiedział Piotr Bartłomiej.

– Po raz trzeci?! Musisz być chyba świętym albo nie lada grzesznikiem, że jeździsz tam tak często – zauważyłem zaskoczony.

Na te słowa wybuchnął śmiechem, a wraz z nim jego siostry.

– Szybciej już to drugie, panie – przyznał bez najmniejszego skrępowania – choć jeżdżę tam przecież nie za swoje grzechy.

– Nie za swoje? A za czyje?

– Za cudze. Z tego żyję. Na tym świecie nie brak moźnych i bogatych ludzi, którzy grzeszą więcej niż my wszyscy razem wzięci, ale nie mają czasu, zdrowia ani ochoty, żeby pokutować osobiście. Więc ktoś musi to robić za nich, a ja jestem zawsze do usług. Compostela? Rzym? Monte Gargano? Jeruzalem? Proszę bardzo, nie ma problemu, wedle życzenia i zgodnie z taryfą. Tym razem jadę odpokutować za potrójne morderstwo, zaplanowane i dokonane z zimną krwią – dokończył konfidencjonalnie.

– Potrójne morderstwo?! – aż mnie zatkało. – A kto jest mordercą?

– Tego nie mogę ci powiedzieć – pokręcił głową. – Obowiązuje mnie tajemnica, jak na spowiedzi.

– A... dużo ci za to płacą? – zapytałem, gdy nieco ochłonałem z wrażenia.

– Staram się nie brać kiepskich zleceń, więc nie narzekam. Kłopot w tym, że lubię sobie dobrze pożyć i dlatego muszę być ciągle w ruchu – wypiął dumnie pierś.

– Obyś tylko w tych rozjazdach nie zapomniał o własnych grzechach – poradziłem mu życzliwie. – Bo na koniec może się okazać, że do nieba pójdą wszyscy oprócz ciebie.

Piotr Bartłomiej zaśmiał się ponownie.

– Dobra uwaga, panie, ale ja, na szczęście, mało się tym przejmuję. Wolę moje przyjaciółki, z których każdą kocham pierwszą, jedyną i wielką miłością. Niebo jest dobre dla księży, dla zasuszonych starców i kalek, którzy całymi dniami leżą krzyżem przed ołtarzem, a także dla różnych cnotliwych brzydactw, których nikt nie chciał za życia, i w ogóle dla wszelkich nudziarzy. Mnie mało obchodzi.

Nie spodobały mi się jego słowa, a jeszcze mniej to, że kiedy mówił o zasuszonych starcach, któraś z jego sióstr, chyba Blanka, znów zachichotała. Dlatego rzekłem surowo:

– No cóż, może w piekle będzie ci mniej nudno.

Na co on uniósł dłoń w niedbałym geście podziękowania i ciągnął dalej:

– I ja na to liczę, panie. Z tego, co słyszałem, są tam najwaleczniejsi rycerze, najdzielniejsi wodzowie, najpiękniejsze i najłaskawsze kobiety, które nigdy nie miały niczego do ukrycia i nie musiały się niczego wstydzić, najzdolniejsi poeci i śpiewacy, najlepsi akrobaci, żonglerzy i trubadurzy, a także większość książąt, cesarzy i królów. W takim towarzystwie nie można się nudzić.

Po tych słowach strzelił z bata i znów zaczął nucić swoją wesołą piosenkę.

Zgorszył mnie tak bardzo, że uznałem za swój obowiązek napomnieć go raz po raz kolejny:

– Piotrze Bartłomieju, opamiętaj się! Bo naprawdę trafisz do piekła.

Ale on tylko machnął ręką, jakby się opędał od muchy albo od osy, po czym dał mi znak, żebym się nieco ku niemu nachylił. A kiedy to zrobiłem, szepnął mi do ucha:

– Panie, jest ciężką chorobą nie korzystać z życia, które jest bardzo krótkie i zdarza się tylko raz. Dlatego, jeśli dasz mi słowo, że się nie wygadasz, zdradzę ci pewną tajemnicę.

– Masz moje słowo – obiecałem.

Wówczas rozejrzał się z udanym przestraczem na wszystkie strony i oświadczył jeszcze ciszej, cedząc poszczególne słowa:

– Nie wiadomo, czy w ogóle jest jakieś niebo i piekło.

– Nie bluźnij! – upomniała go natychmiast któraś z sióstr, chyba Zuzanna, obdarzona najwyraźniej bardzo dobrym słuchem. – Jeśli znowu masz zamiar błaznować, to przypomnij sobie, co było wczoraj, a zaraz ci się odechce!

Jeśli chodzi o mnie, trwało dłuższą chwilę, zanim zdołałem dojść do siebie.

– Jak to nie ma żadnego nieba ani piekła?! Cóż zatem jest?! – wykrztusiłem ze zgrozą.

– Nie wiem. Może to? – pokazał puste dłonie i znów się roześmiał.

– To?! – zadygotałem z oburzenia. – Jakże „to”, nieszczęsny?! I to „to”, to okropne „to” nie napawa cię drzeniem, skończony głupcze?! Więc w ogóle nie przeraża cię to puste „to” ani myśl, że po śmierci mógłbyś zniknąć bez śladu, jakbyś nigdy nie istniał?!

– Właśnie! – przyszła mi w sukurs ta sama z sióstr.

– Ani trochę, panie. A ściślej rzecz biorąc, przeraża mnie to dokładnie tak samo, jak to, że nie istniałem również przed moim narodzeniem – odpowiedział z wyczuwalną urazą.

– Niech cię diabli! Gdybym wiedział, co z ciebie za ptaszek, nigdy bym ci nie użyczył mojego konia!

– Mówisz to poważnie, panie? – skrzywił się. – Bo ja myślałem, że robisz to przez wzgląd na Chrystusa. A jeśli tak, to cóż ma do rzeczy, gdzie ja pójdę po śmierci?

Musiałem zastanowić się przez chwilę nad jego słowami i przyznać mu rację. Zwłaszcza, że któraś z sióstr, tym razem chyba Mechtylda, zachichotała jeszcze głośniej.

– Tak – rzekłem w końcu – to rzeczywiście bez znaczenia. Jak chcesz, idź sobie do piekła, na zdrowie.

– Bałwan! – po raz trzeci odezwała się chyba Zuzanna.

Piotr Bartłomiej tylko wzruszył ramionami i cmoknął na konia. Przez dłuższą chwilę jechaliśmy w milczeniu.

– A zatem, panie, wygląda na to – odezwał się pierwszy, nie kryjąc satysfakcji – że kiedy ja w Ziemi Świętej będę zarabiać pieniądze, ty je tam będziesz tracił. Że o zdrowiu i życiu nie wspomnę. Dobrze mówię?

– Dobrze. Masz coś przeciwko temu?

– Nie, panie. Niech każdy robi to, co lubi. W końcu pieniądze są po to, aby je tracić, zdrowie i życie też. Dziwię się tylko, po co tłuc się na koniec świata, żeby zwalczać Saracenów, kiedy tu, między nami, żyje tylu niewiernych, którzy mają się za lepszych od nas i wybranych, a są o wiele bardziej winni wobec Chrystusa niż muzułmanie? Takich, którzy codziennie obrażają naszego Pana i bluźnią przeciwko Niemu, życząc Mu, żeby zginęła pamięć o Nim i Jego świętym imieniu, którzy nazywają Go grzesznikiem, kuglarzem, zdrajcą, uzurpatorem, czarownikiem, a nawet wisielcem i zdechłym psem, którzy traktują jak heretyków Jego Apostołów i uczniów, nas, Jego wyznawców, mają za czcicieli gwiazd i planet, za zwierzęta w postaci ludzkiej i w ogóle za skończonych durniów, zaś Jego sakramenty bezkarnie wyszydają.

– Czyżbyś mówił o sobie? – zapytałem cierpko.

– Nie. Dlaczego miałbym mówić o sobie? – uniósł brwi ze zdziwienia. – Zostałem ochrzczony i nie jestem Chrystusowi nic winien, tak samo zresztą, jak On mnie.

– Mówi o Żydach – wtrąciła chyba Mechtylda. – To oni sprzedali mu tego konia, co nam zdechł.

– Zdechł? A mówiłeś, że ci go ukradli – zdziwiłem się.

– Zdechł czy go ukradli, co za różnica? – odpowiedział z rozdrażnieniem, jakby sama wzmianka o straconym koniu zaboląła go do żywego. – Skoro sprzedali mi konia, który zaraz zdechł, to zupełnie tak samo, jakby mi go ukradli.

– Na koniach trzeba się znać – pouczyłem go tonem wyższości. – Na pewno kupiłeś jakąś chabetę, cherlawą, ochwaconą albo szpotawą, jakąś stuletnią szkapę z nadwerężonym grzbietem, a może słabowitą w kłębie.

– Ależ skąd, panie! Koń jak koń. Dobry, mocny – rozzłościł się jeszcze bardziej.

– Jeśli koń jak koń, to po kiego diabła kupowałeś go właśnie u Żydów?

Zamiast odpowiedzieć, splunął przed siebie i zaciął batem swojego luzaka.

– Bo był najtańszy – wyręczyła go któraś z sióstr, chyba Mechtylda.

– Nie machaj batem, nie machaj. Najpierw sobie kup, a potem będziesz machał – ostrzegłem go. – Byle nie najtańszego.

– Ciekawe, panie, co byś powiedział, jakby to tobie ukradli? – rzucił z niechęcią w moją stronę i nie zważając na moje słowa znów przeciągnął batem po grzbiecie swojego luzaka.

– Po pierwsze, nie ukradli, tylko zdechł! – sprostowałem czerwieniejąc z gniewu. – A po drugie, jak mi go jeszcze raz uderzysz, to dalej pójdziesz piechotą!

– Zdechł czy go ukradli, co za różnica? – powtórzył pod nosem ze złością, ale posłusznie odłożył bat. – Łatwo ci tak gadać, panie, bo to nie twoja strata.

– Z nim jest tak zawsze – poskarżyła się chyba Blanka. – A wszystko ze skapstwa. Nam też obiecał piękne suknie i nowe trzewiki, a do tej pory chodzimy w tych habitach i boso.

– W habitach?! Czy twoje siostry są mniszkami?! – spojrzałem na niego groźnie.

– Były. I nie moje, tylko zakonne. Czy ja kiedyś mówiłem, że moje? – wzruszył ramionami.

– Uciekłyście z klasztoru?! – zwróciłem się z oburzeniem do Uty, ale ani ona, ani żadna inna z sióstr, nie raczyła mi odpowiedzieć. Wszystkie cztery spuściły głowy jak na komendę i trwały w zaciętym milczeniu, które przerwał dopiero Piotr Bartłomiej:

– Poczuly wolę Bożą, to i uciekły, wielka mi rzecz!

A potem odwrócił się gwałtownie w ich stronę i wykrzyknął z pasją:

– A nowych sukien i tak nie dostaniecie! Miejcie o to pretensje do Żydów.

– Sam jesteś Żyd! – odcięła mu się chyba Zuzanna. Wtedy pogroził jej pięścią i rzekł do mnie ponuro:

– Powiadam ci, panie, bić trzeba nie Saracenów, ale Żydów. Bo to wszystko przez nich.

– Co znaczy wszystko?

– Koń, suknie, trzewiki, wszystko. A może go, cholery, zaczarowały? – spojrzał na mnie z nadzieją. – A on jeszcze ożyje i wróci?

– Niby kto? – zaciekawiał się Yusuf, który słysząc nasze podniesione głosy, właśnie do nas dołączył.

– Mój koń, który zdechł.

– Myślałem, że ci go ukradli – zdumiał się z kolei mój były sługa.

– Nie, zdechł. Naprawdę nie rozumiem cię, panie! – Piotr Bartłomiej zwrócił się znowu w moją stronę. – Nie od dziś wiadomo, że nie ma większych czarowników od Żydów, a ty, jakby nigdy nic, chcesz tracić czas na Saracenów! A cóż ci, u diabła, zrobili Saraceni? Ukradli ci co, czy jak?

– No właśnie – niespodziewanie poparł go Yusuf.

Wszystko to zaczęło mnie coraz bardziej denerwować, więc powiedziałem:

– Nie broń mi tu Saracenów, bo to też są nieźli czarownicy! Czy wiesz, że ich Wysłannik Boga wspiał się do nieba po drabinie?

– I co z tego? Wielka mi rzecz! – Piotr Bartłomiej prychnął z lekceważeniem.

– Po drabinie to każdy potrafi. Sam nie wiesz, panie, co mówisz. Ciekawe co byś powiedział, jakby to tobie ukradli? Bić trzeba nie Saracenów, ale Żydów! – podkreślił z naciskiem.

– Pomijając bicie i drabinę, generalnie ma rację – Yusuf znów wziął jego stronę. – Co to za czary przy chrześcijańskich? Nawet Mały Piotr wskrzesza umarłych, wypędza demony, rozmnaża chleb, wywołuje burze...

– Nie wywołuje, tylko ucisza! – syknąłem i spiorunowałem go wzrokiem.

– Niech będzie, że ucisza. Co za różnica? A na dodatek chodzi po wodzie.

– Całkiem jak Chrystus – wtrąciła z zachwytem któraś z sióstr, chyba Blanka.

– No właśnie – przytaknął Yusuf. – A przecież Mały Piotr przy Chrystusie...

– Chrystus, Chrystus! – Piotr Bartłomiej nie dał mu nawet dokończyć. – Co tam Chrystus przy Żydach! Przy Żydach to Chrystus jest taki, o! – rozstawił w niewielkiej odległości od siebie dwa place. – Żydzi to są dopiero czarownicy! Chrystus chodził po wodzie, prawda, ale sam jeden, bo Święty Piotr już się nie utrzymał. A z Żydów, jak którego wrzucić do wody, żaden nie utonie. Co tam Chrystus!

– Niezupełnie – zaoponował mój były sługa. – Mówią, że Chrystus zmartwychwstał trzeciego dnia po śmierci, a to już, sam przyznasz...

– Co już?! Co już?! – Piotr Bartłomiej przerwał mu ponownie. – Nic nie przyznam. Zmartwychwstał? Dobrze, i co z tego? Połóż przed martwym Żydem pół denara, a zobaczysz, jak ci zmartwychwstanie, i to nie po trzech dniach, ale od razu. Co tam Chrystus przy Żydach!

– Nie bluźnij – skarciła go chyba Zuzanna. – Saraceni wcale nie są lepsi.

– Otóż to! – spojrzałem na nią z wdzięcznością. – Tak samo nie jedzą wieprzowiny, a poza tym...

– I co z tego?! – Piotr Bartłomiej obruszył się do żywego. – Żydzi to dopiero nie jedzą wieprzowiny! Ale tak porwać chrześcijańskie dziecko, wycisnąć z niego krew, mieszać ją z kradzioną hostią, posmarować tłuszczem, upiec i zeżreć, to potrafią! Wpieprzają, aż im się uszy trzęsą!

– Naprawdę? – jęknął Yusuf, łapiąc się za głowę.

– Naprawdę – potwierdziła ze smutkiem któraś z sióstr, chyba Zuzanna.

– A jacy są rozpustni! – dodał Piotr Bartłomiej. – Całkiem jak kozły albo knury.

– Saraceni są dużo rozpustniejsi – zauważyłem lodowato. – Mają po cztery żony, a jak się przypadkiem trafi między nimi jakaś dziewczica jak perła, to tylko patrzą, jakby ją przewiercić.

– Panie, przecież ci mówiłem, że to zgodne z prawem naturalnym! – Yusuf spojrział na mnie z głębokim wyrzutem.

– A pewnie, że zgodne! – poparł go natychmiast Piotr Bartłomiej. – Cztery żony, wielka mi rzecz! I bardzo dobrze, przynajmniej wiedzą, że żyją, nie to co Żydzi. Nie wiem, panie, czy słyszałeś, jak wyglądają ich uczty? Całują w dupę żabę albo czarnego kota, a potem gaszą światło i zaczynają najsrozsze pod słońcem chędożenie, bez żadnych względów na wiek czy pokrewieństwo! A jak się przypadkiem zdarzy, że jest wśród nich więcej mężczyzn niż kobiet, nikt się tym nie przejmuje – rzną jedni drugich jak świnie, aż skrzypi i furczy!

– Sami jesteście świnie! – zawołała któraś z sióstr, chyba Blanka. – Żona powinna być jedna.

– W twoim przypadku i jedna to za dużo! – huknął na nią Piotr Bartłomiej, a potem dodał nieco spokojniej: – Jak dla mnie, to niech sobie mają i po czterdzieści! Ważne, że nie kradną.

– Właśnie! – burknął dotknięty do żywego Yusuf.

– Nie kradną?! Jak to nie kradną?! – miałem już dość ich wspólnego frontu. – A kto ukradł Grób Chrystusowi?! Żydzi czy Saraceni?!

Piotr Bartłomiej tylko wzruszył ramionami, jakby chodziło o jakiś nic nie znaczący drobiazg.

– I co z tego? Wielka mi rzecz! Saraceni ukradli Grób Chrystusowi, a mnie Żydzi ukradli konia. I jest kwita. A w Ziemi Świętej, gdzie byłem dwa razy, nikt mi nie ukradł nawet onucy. To niby którzy są więksi złodzieje, którzy?

Po tych słowach Yusuf rozpromienił się i ostentacyjnie uściśnął mu prawicę. Tak mnie to ubodło, że wycedziłem przez zęby:

– Po pierwsze – zdechł! A po drugie, to Saraceni gnębią chrześcijańskich pielgrzymów, nie Żydzi, i to oni splugawili Pańskie ołtarze.

– Tak?! To powiem ci, panie, że gówno tam gnębią i gówno splugawili. Byłem, to wiem. Gówno, gówno i jeszcze raz gówno! I powiem ci jeszcze, że gdyby ten

ich Bahomet...

– Mahomet – sprostował mój były sługa.

– Właśnie. Że gdyby ten ich Bafomet był pochowany u nas, tak jak nasz Chrystus jest pochowany u nich – dajmy na to w Paryżu, albo jeszcze lepiej, w Rzymie – to nie tylko żaden pieprzony Saracen nigdy by do niego żywy nie dojechał, ale na samą myśl, żeby się tam wybrać, zesrałby się od razu ze strachu, i to na rzadko. Więc co mi tu będziesz, panie, z Żydami wyjeżdżał! Tak mówi, bo nie jemu ukradli! – zwrócił się z porozumiewawczym uśmiechem do Yusufa.

– Mahomet – powtórzył tamten, czerwony jak piwonია.

– Więc niech go sobie chowają w Paryżu albo w Rzymie choćby jutro, co mi tam! – wykrzyknąłem dusząc się z gniewu. – Przynajmniej nie trzeba będzie tłuc się na koniec świata, żeby im spuścić wpierdol!

– Uważaj, panie, żeby to oni go wam nie spuścili – Piotr Bartłomiej zaśmiał się szyderczo. – Byłem, to wiem.

– Właśnie – dodał z ponurą miną Yusuf.

– Nie ma większych nieprzyjaciół Chrystusa od Saracenów! – powtórzyłem z całą mocą, na co mój były sługa odwrócił się do mnie gwałtownie i rzekł załamującym się z emocji głosem:

– Panie, jak możesz mówić coś takiego?! Jak możesz?! Przecież wiesz, że u muzułmanów Jezus jest w niebie. I Jego Matka, zawsze Dziewica, też!

– Właśnie – poparł go Piotr Bartłomiej. – A Żydzi to by Go nawet do piekła nie wpuścili, chyba że za opłatą. A w ogóle, co ty ich tak bronisz, panie? Możeś sam jest Żydem? Przyznaj się, często masz miesięczkę?

– Miesięczkę?! – Yusuf uśmiechnął się przez łzy, które tymczasem napłynęły mu do oczu.

– Świnie! Ohydne świnie! – zapiszczała któraś z sióstr, chyba Blanka.

– A tak, miesięczkę! Wszyscy Żydzi ją mają. Za to, że wołali do Piłata: *Krew Jego na nas i na dzieci nasze*⁵³ – tryumfalnie objaśnił Piotr Bartłomiej i nie wiedzieć czemu, wskazał na mnie oskarżycielsko batem.

– Nie twoja rzecz, sukinsynu, czy ja mam miesięczkę, czy nie! – zawołałem, ledwie się miarkując. – Widziałeś kiedy Żyda-rycerza, głupcze?! A poza tym, co nam tu będziesz mydlił oczy niebem i piekłem? Przecież nie wiadomo nawet, czy one w ogóle istnieją, czyż nie tak?

Na to pytanie nie raczył mi odpowiedzieć, tylko smagnął z całych sił batem mojego luzaka.

– Nie wiadomo, czy niebo i piekło w ogóle istnieją?! A kto tak powiedział? – mój były sługa wprost zamarł ze zgrozy.

– A ten tu! – pokazałem palcem na Piotra Bartłomieja. Wówczas Yusuf machnął gwałtownie ręką i obrażony oddalił się od nas kłusem. Nie posiadając

się z gniewu, wyrwałem Piotrowi Bartłomiejowi bat z ręki i już, już, z okrzykiem: „Najpierw sobie kup, a potem będziesz machał!”, miałem go nim zdzielić przez plecy, kiedy niespodziewanie po raz pierwszy odezwała się Uta:

– Nie kłóćcie się, proszę. Już widać miasteczko. Czy możemy się na chwilę zatrzymać?

Roztrzęsiony, odłożyłem bat i udzieliłem mojego pozwolenia. Po tym jak całe towarzystwo rozpierzchło się po krzakach, sam też zsiadłem z konia, wylałem sobie na głowę cały bukłak zimnej wody i wsparty plecami o wóz, zamknąłem oczy, żeby się trochę uspokoić.

Przychodziło mi to z trudem, choć starałem się nie myśleć absolutnie o niczym. Dopiero po dłuższej chwili poczułem, jak wraz z chłodną stróżką ściekającą mi po plecach z mojej piersi ustępuje także fala duszności i jak słabnie stopniowo napięcie, które doprowadziło moje ciało do bolesnego dygotu. Ale właśnie wtedy znów rozległ się koło mnie dźwięczny głos Uty, zabarwiony tym razem niepokojem:

– W tym miasteczku dzieje się coś niedobrego...

Stała obok mnie, obciążając habit i pokazując w kierunku oddalonej mniej więcej o milę miejsciny. Przesłoniwszy oczy ręką, popatrzyłem w tamtą stronę i dostrzegłem, że jedną z trzech wież miasteczka spowijają kłęby czarnego dymu.

– Co to może być? – zapytała.

– Nie wiem. Sprawdzę, jak podjedziemy bliżej. Ale nie bój się, przy mnie nic ci nie grozi.

Kiedy wróciła reszta komitywy, ruszyliśmy ostrożnie naprzód. Chmura dymu stawała się coraz wyraźniejsza, z czasem dało się także dostrzec strzelające ponad wieżę płomienie. Wystraszone kobiety ucichły pod budą, Piotr Bartłomiej i Yusuf nie odzywali się również z powodu obrazy, ale na mnie ten widok podziałał otrzeźwiająco i przywrócił mi zimną krew.

Wysforowałem się do przodu, starając się mieć oczy i uszy szeroko otwarte. A kiedy w pewnej chwili wydało mi się, że wiejący w naszą stronę wiatr niesie ze sobą także odgłosy bitewnej wrzawy, natychmiast zawróciłem i dałem znak Piotrowi Bartłomiejowi, żeby się zatrzymał.

– Zjedźcie z drogi i schowajcie się za drzewami – zarządziłem. – Ty, Yusufie, pojedziesz ze mną. Zobaczymy, co się tam dzieje.

Piotr Bartłomiej zastosował się bez słowa do mojej komendy, a ja, zanim ruszyliśmy z Yusufem naprzód, sprawdziłem jeszcze, na wszelki wypadek, czy mój miecz wychodzi gładko z pochwy.

Na ćwierć mili przed miastem nie ulegało już wątpliwości, że toczyła się tam regularna bitwa: na murach uwijali się obrońcy, zaś przy fosie kłębił się tłum

napastników. Nieco dalej, na pagórku, widać było wiele wozów, pomiędzy którymi stały namioty i paliło się sporo ognisk.

Już mieliśmy zawrócić, kiedy za naszymi plecami rozległy się czyjeś głosy i ujrzelśmy grupę kilkunastu dziwacznie wyglądających mężczyzn, wynoszących z lasu pień sporego dębu z obciosanymi gałęziami, którego chcieli zapewne użyć jako tarana. Żaden z nich nie miał koszuli, a ich straszliwie porane, pokryte strupami, pręgami i całkiem świeżymi ranami plecy pozwalały się domyślać, że należeli do osławionej sekty pokutników, o której słyszałem jeszcze za górami. Ich dowódca, długowłosego olbrzym z zakrwawionymi po łokcie rękami, kazał im się zatrzymać, po czym podszedł do nas, machając od niechcenia wielkim toporem.

– Coście za jedni? – zapytał, mierząc nas wzrokiem od stóp do głów.

– Pielgrzymi jak wy – odpowiedziałem. – Co tu się dzieje?

– Nic... Dajemy łykom nauczkę – odparł z ociąganiem.

– Za co?

– Za to, że się tuczają naszą krwią. Zdychamy z głodu, a ci zamykają przed nami bramy. Ale zaraz je rozwalimy i dopadniemy tych skurwysynów.

– Tym patykiem? – wskazałem na dębowy kół. – Nie dacie rady.

– To może nam pomożecie? – uśmiechnął się przywołując zarazem ręką swoich kompanów. – Macie ładne konie i sakwy. Co w nich jest?

– Nie twoja rzecz – odparłem kładąc, jakby mimochodem, dłoń na głównej miecza i obserwując kątem oka pozostałych obwiesi, którzy położyli tymczasem pień na ziemi i zaczęli nas obstępować. – Co będziemy mieli z tego, że wam pomożemy?

Długowłosego olbrzym wyciągnął rękę do góry i rzekł:

– Pójdziecie prosto do nieba.

Jego kamraci, którzy tymczasem ustawili się ciasno wokół nas, zaśmiali się głośno. W tej sytuacji zaśmiałem się i ja.

– My się tam jeszcze nie wybieramy – wyjaśniłem długowłosemu. – Ale na ciebie już chyba czas, przyjacielu.

Wyjęcie broni i zadanie ciosu nie zajęło mi więcej czasu niż wymówienie ostatniego słowa. Rąbnąłem go w głowę z taką siłą, że ostrze miecza rozcięło ją na pół aż do nasady nosa. Natychmiast wyszarpnąłem brzeszczot z jego czaszki, spiąłem konia dęba i spuściłem go kopytami na dwóch stojących najbliżej pokutników. Reszta odskoczyła od razu na boki.

– Za mną, Yusufie! – zawołałem i runąłem w otwarty w ten sposób wyłom.

Nikt nawet nie próbował nas zatrzymać. Gdy odjechaliśmy pędem wystarczająco daleko, Yusuf osadził swojego konia w miejscu i złapał się za serce. Dopiero wtedy zobaczyłem, że jest blady jak śmierć.

– Czemu to zrobiłeś, panie? – wystękał. – Przecież mogli nas zabić!
– Gdybym tego nie zrobił, zabiliby nas na pewno. Spieszno ci do raję?
– Nie, ale wolałbym, żebyś miał nieco więcej rozwagi – wyjęczał.
– Rycerstwo nie jest kwestią rozwagi, Yusufie.
– Tak czy owak, nie bierz mnie więcej na takie wyprawy – otarł pot z czoła. – Nie mam ochoty zginąć w porachunkach między niewiernymi. Zwłaszcza po tym, co dzisiaj od ciebie usłyszałem. Przecież dobrze wiesz, że Chrystus jest w niebie, i jego Matka też!

– Dość już tego, Yusufie – przerwałem mu i wyciągnąłem do niego prawicę na znak zgody. A kiedy, nie bez oporów, podał mi wreszcie swoją, ruszyliśmy dalej.

Piotr Bartłomiej i jego cztery siostry czekali na nas w tym samym miejscu, w którym ich zostawiliśmy. Wyglądali na jeszcze bardziej wystraszonych niż wtedy, gdy ich opuszczaliśmy i mieli bardzo nietęgę minę. Jednak moją uwagę przykuł przede wszystkim brak naszych luzaków.

– A gdzie nasze konie? Chyba wam nie zdechły? – zażartowałem.

Ale im wcale nie było do śmiechu. Pospuszczali smętnie głowy i dopiero po chwili Piotr Bartłomiej wybąkał pod nosem:

– Nie, panie. Zostały skradzione.

Wtedy uśmiech zamarł mi na ustach.

– Kpisz sobie czy jak? – zapytałem niepewnie, ale on dalej wpatrywał się w swoje łapcie.

– Mówi prawdę – wyręczyła go któraś z sióstr, chyba Mechtylda. – Ukradli je.

– Kto?! – z gniewu pociemniało mi w oczach.

Piotr Bartłomiej wzruszył ramionami.

– A bo to wiadomo, panie? Różni się tu kręcą.

– Dokąd pojechali?!
W odpowiedzi zatoczył szeroko ręką, pokazując z grubsza pół świata.

Wówczas zeskoczyłem z siodła, chwyciłem go za ramiona i zacząłem nim potrząsać z całych sił.

– Jakże to?! Więc nie można ci już nic powierzyć, żeby ci tego zaraz nie ukradli?! Czemuś ich nie bronił, durniu?!

– A jak miał ich bronić? – wstawiła się za nim Uta. – Było ich chyba z dziesięciu!

– I co z tego?! – krzychałem nadal, szarpiąc Piotrem Bartłomiejem na wszystkie strony. – I co z tego?!

– Daj spokój, panie – odezwał się Yusuf. – Wolałbyś, żeby ich zabito z powodu dwóch głupich koni?

– Łatwo ci gadać! – rzuciłem wściekle w jego kierunku. – Tobie nie ukradli!

I wtedy zdarzyło się coś niezwykłego. Yusuf rzucił się na ziemię i zaczął śmiać się do rozpuku. Puściłem Piotra Bartłomieja i zapytałem osłupiały mojego byłego sługę:

– A tobie co, u diabła?!

– Nic. Jeśli ty się tak złościsz, panie, ciekawe, jakby się złościł Abdullah, któremu skradziono tego samego konia już drugi raz?

– Jak to drugi raz?! Ja go zdobyłem w uczciwej walce – zawrzałem z oburzenia, ale prawie natychmiast, pod wpływem wstydu, uczucia, którego doznawałem rzadko i które być może właśnie dlatego niezwykle sobie ceniłem, złość zaczęła mi przechodzić równie szybko, jak mnie opadła. Stałem chwilę z głupią miną, a potem usiadłem obok Yusufa, klepnąłem go w plecy i też zacząłem się śmiać.

Wtedy roześmiała się także Uta i trzy pozostałe siostry, lecz kiedy spróbował to zrobić Piotr Bartłomiej, pogroziłem mu palcem:

– Ty nie! Tobie nie ukradli!

– Właśnie – Yusuf wyszczerzył zęby. – Tobie zdechł.

– I co teraz z nami będzie? – zapytała Uta i złożyła pokornie dłonie. Blanka, Mechtylda i Zuzanna natychmiast poszły w jej ślady, tylko Piotr Bartłomiej przestępował z nogi na nogę z naburmuszoną miną, nie wiedząc, czy powinien do nich dołączyć. Szczerze mówiąc, miałem wielką ochotę posłać ich wszystkich do diabła, ale Uta wyglądała tak pięknie i rozczulająco, że w końcu machnąłem ręką i rzekłem:

– A niech was! Do najbliższego miasta jakoś się z wami przemęczę. Zaprzęgajmy mojego konia i jazda w drogę!

*

Nie przypuszczałem, że tym „najbliższym” miastem okaże się dopiero Moguncja, ale jedna z sióstr, Blanka, dostała silnych dreszczy i dopóki była chora, nie wypadało zostawiać całej piątki własnemu losowi, tym bardziej że w okolicy kręciło się sporo niebezpiecznych ludzi. By zejść z oczu pokutnikom, jak też watahom wieśniaków z kosami i widłami, zjechaliśmy z głównego traktu prowadzącego do Trewiru i przez parę dni kluczyliśmy po wąskich leśnych duktach, jedząc głównie to, czym nas poczęstował Piotr Bartłomiej i jego siostry, bo wraz z końmi skradziono także większość naszych zapasów. W ten sposób dotarliśmy wreszcie do Renu, niedaleko Moguncji.

To właśnie tam Yusuf, udawszy się za potrzebą w nadrzeczne krzaki, znalazł na mieliźnie starego, nieprzytomnego człowieka, tkwiącego do pasa w wodzie z głową na łasze piasku i pokrytego grubą warstwą szlamu i wodorostów. Wydobyliśmy go na brzeg razem ze sporym konarem, którego był uczepiony i od którego udało się nam go oderwać z niemałym trudem. Kiedy położyliśmy go na

ziemi, Yusuf zaczął uciskać mu klatkę piersiową i wdmuchiwać mu do ust powietrze. Myślałem, że topielca nie da się już uratować, kiedy ów nagle wydał z siebie słaby jęk i poruszył nieznacznie ręką, co Piotr Bartłomiej skwitował od razu z tryumfem:

– A nie mówiłem? Z Żydów, jak któregoś wrzucić do wody, żaden nie utonie.

– O Jezu! – zapiszczała na to Mechtylda.

Nie tracąc czasu na zbędne dyskusje, poleciłem okryć starego człowieka opończą i sięgnąłem po podręczny bukłak z winem. Kiedy chciałem wlać mu trochę ożywczego płynu do ust, Yusuf złapał mnie jednak za rękę.

– Nie teraz. Mógłby się udławić.

– I wina szkoda – mruknął pod nosem Piotr Bartłomiej.

– Żeby ci tak było szkoda naszych koni i prowiantu! – rzuciłem w jego stronę, czym sprawiłem, że natychmiast umilkł i z kwaśną miną zasiadł pod wierzbą.

Tymczasem starania Yusufa przyniosły pierwszy efekt, bo uratowany przez nas człowiek zacharczał potężnie, po czym wyrzucił z siebie strumień wody zmieszanej z błotem i treścią żołądka. W chwilę później otworzył powoli jedno oko.

– Teraz można dać mu pić – powiedział Yusuf.

Szybko spełniłem jego polecenie, lecz stary człowiek znów zwrócił wszystko.

– A nie mówiłem? – odezwał się spod wierzby Piotr Bartłomiej.

– To dobrze, szybciej się oczyści – ucieszył się Yusuf.

Po chwili topielec otworzył drugie oko i począł się nam przyglądać z rosnącym zdumieniem i strachem. W końcu, przeniósłszy wzrok na wóz i nasze konie, wyrzeźił coś ledwie słyszalnym głosem.

– Co mówi? – zapytał Yusuf, spoglądając na mnie z nadzieją. Ale ja nie zrozumiałem ani słowa.

– To język mojej matki! – klasnęła w ręce Uta. – Pyta, czy jesteśmy ludźmi Emicha?

– Jakiego znów Emicha? – zapytałem.

– Rycerza, który nosi na ciele wypalony znak krzyża i w którego oddziale znajduje się gęś natchniona przez Boga – wyjaśnił z trudem stary człowiek.

– Gęś natchniona przez Boga? – zdziwiłem się podsuwając mu znowu bukłak z winem. – Nigdy nie słyszałem o żadnym Emichu ani o jego natchnionej gęsi.

Kiedy Uta przełożyła mu moją odpowiedź, na twarzy starca pojawił się wyraz ulgi. Wypił parę łyków wina i znów rzekł coś z wysiłkiem.

– Mówi, że kogo ukąsiła żmija, tego przeraża nawet sznur, i że widzi, że jesteś człowiekiem o dwóch prawych rękach jak Aod – przetłumaczyła Uta. – A poza tym bardzo się cieszy, że jest nas akurat siedmioro.

– Siedmioro? – przeliczyłem wzrokiem naszą gromadkę. – Zgadza się. I co z tego?

W odpowiedzi stary człowiek zaczął dłuższy wywód, lecz Uta milczała jak zaklęta, robiąc się coraz bardziej czerwona na twarzy.

– O co chodzi? Czyżby mówił coś nieprzyzwoitego? – spytałem zniecierpliwiony, na co odparła stropiona: – Nie wiem, panie. Myślałam, że to niemiecki, ale nic z tego nie rozumiem...

– A ja owszem. To hebrajski – zawołał z zadowoleniem Yusuf. – Mówi, że siedem to szczęśliwa i boska liczba, oznaczająca tajemnicę, wolność i doskonałość. Że siedem jest rzeczy stworzonych na setki pokoleń przed powstaniem świata: Tora, skrucha, Ogród Edeński, gehenna, Tron Chwały, Świątynia i imię

Mesjasza. Że Święty Jedyńy stwarzał świat siedem dni i siedem gałęzek miał krzak ognisty, w którym objawił się Mojżeszowi, na pamiątkę czego także tydzień ma siedem dni i siedem ramion posiada menora. Że istnieje siedem nieb i siedem planet widocznych gołym okiem, siedem jest imion Boga, na które trzeba szczególnie uważać, i siedmiu Archaniołów, obdarzonych największą mocą. Że także księżyc zmienia swoje fazy co siedem dni, a związany z nim cykl kobiety też jest wielokrotnością siódemki. Że siedem mamy otworów w głowie, dzięki którym czujemy i poznajemy, i na siedem etapów dzieli się ludzkie życie. Że najważniejsze święta trwają po siedem dni, siedem jest także filarów mądrości i siedem rodzajów kar za siedem rodzajów grzechów. Mówi również, że na świecie istnieje siedem dziesiątków narodów, mówiących siedmioma dziesiątkami języków, i że Mojżesz i Józef znali je wszystkie. Że siedem jest zalet szczególnie przydatnych przed Tronem Chwały, czyli: wiara, prawość, sprawiedliwość, miłość, miłosierdzie, prawda i pokój. I że siedem błogosławieństw miała otrzymać jego córka w dniu swojego ślubu i siedem świętych posiłków spożyć po swoim weselu. Że było siedmiu proroków, którym Święty Jedyńy kazał prorokować dla gojów...

– Ciekawe, kogo ma na myśli? – przerwałem tę wyliczankę.

– Balaama, jego ojca oraz Hioba i jego przyjaciół – wyjaśnił starzec.

– Zdaje mi się, że zapomina o znacznie ważniejszych, jak choćby święty Jan Chrzciciel – skrzywiłem się po tych słowach.

– Oraz Isa Ibn Maryam i Wysłannik Boga Muhammad – poparł mnie Yusuf.

– Panowie, nie chciałbym was urazić, ale nie porównujcie, proszę, proroków Izraela do proroków gojów, bo zachodzi między nimi ogromna różnica – odparł na to topielec, patrząc nam śmiało w oczy. – Dobrze przedstawia ją znana przypowieść o królu, który miał żonę i nałożnicę. Otóż tę pierwszą król ów nawiedzał jawnie i w biały dzień, drugą zaś skrycie i pod osłoną mroku. Tak też

i Święty Jedyńy (niech będzie błogosławiony!) zwracał się do proroków gojów jedynie szeptem i półsłówkami, a właściwie to na migi, podczas gdy z prorokami Izraela rozmawiał zawsze pełnym głosem, wprost i klarownie, językiem miłości i świętości, jakim chwałą Go w niebiosach zastępy aniołów.

– A nie mówiłem? Dorznijmy go i już! – odezwał się spod wierzby Piotr Bartłomiej.

– Po co? Kto idzie drogą prostą, ten idzie drogą prostą dla siebie samego, a ktokolwiek błądzi, błądzi wyłącznie na własną szkodę – ofuknął go Yusuf, po czym zwrócił się do topielca: – Ciekaw jestem, jak brzmi to imię Mesjasza stworzone ponoć na tyle pokoleń przed stworzeniem świata?

– Tego nie wiem, panie. Odpowiedź na to pytanie jest trudniejsza niż przetrwanie Dziesięciu Pląg czy rozdzielenie Morza Czerwonego. Jedni twierdzą, że Mesjasz będzie zwać się Jinnon, jako że jest powiedziane: *Niech imię jego trwa, póki świeci słońce*⁵⁴, inni utrzymują, że Chanina, jako że jest powiedziane: *Nie okażę wam zmiłowania*⁵⁵; są też tacy, którzy wierzą, że Jego imieniem będzie Menachem, jako że jest powiedziane: *Bo daleko jest ode mnie Pocieszyciel, który by pokrzepił moją duszę*⁵⁶, albo Cemach, ponieważ wartość liczbowa liter tworzących to imię jest dokładnie taka sama, jak liter składających się na imię Menachem. Są wreszcie i tacy, którzy mniemają, że będzie się On nazywał Bar Nafle, jako że jest powiedziane: *W owym dniu podniosę upadły namiot Dawida*,⁵⁷ a nawet, że Syn Józefa, jako że pośród wielu innych rzeczy zostało powiedziane również: *Wtedy spojrzą na mnie, na tego, którego przebodli, i będą go opłakiwać, jak opłakuje się jedynaka*.⁵⁸ Niemniej większość uczonych w Piśmie sądzi, że Mesjasz będzie miał na imię Dawid, jako że gdzie indziej zostało powiedziane: *I będą służyli Panu, swojemu Bogu, i Dawidowi, swojemu królowi, którego im wzbudzę*⁵⁹, albo też Syn Dawida, jako że zostało także powiedziane: *Zapewnisz wielką pomoc królowi swemu i okazujesz łaskę pomazańcowi swemu, Dawidowi, i potomstwu jego na wieki*.⁶⁰ Osobiście ja również skłaniam się ku temu pogładowi.

– Głupi Żydzie, jesteś mało spostrzegawczy, bo Mesjasz, Syn Dawida, przyszedł już dawno temu i nazywał się Jezus Chrystus – skarciła go za to Zuzanna.

– Możliwe, piękna pani, że coś przegapiłem, ale trudno, chociaż jestem stary, mogę jeszcze troszkę poczekać. Zwłaszcza, że nie będzie to chyba zbyt długie czekanie.

– A to niby dlaczego? – zapytałem.

– Bo wygląda na to, że Mesjasz przyjdzie już wkrótce. Od sześciu lat pojawiają się bowiem znaki, jakie powinny się pojawiać w ciągu siedmiu lat poprzedzających Jego przyjście. W pierwszym roku miał się wypełnić werset:

*I spuściłem deszcz na jedno miasto, a na drugie go nie spuściłem.*⁶¹ I dokładnie tak było przed sześciu laty. W drugim roku miały zostać wystrzelone strzały głodu – i pięć lat temu jedliśmy nawet trawę. W trzecim roku ci, którzy studiowali Torę, mieli o niej zapomnieć. Tak też właśnie się stało i wydaje się, jakby do dzisiaj nie mogli sobie o niej przypomnieć. W czwartym roku miał zapanować dostatek, a w piątym mieliśmy jeść i pić do syta, weselić się i popuszczać pasa... Och, jakże byliśmy szczęśliwi jeszcze trzy i dwa lata temu! – starzec otarł łzę. – W szóstym roku miały odezwać się głosy z nieba, zaś w siódmym wybuchnąć wielkie zwady i wojny, co się akurat sprawdza. Widać Syn Dawida musi być już naprawdę blisko.

– Mówiłem, dorznijmy go i już! – powtórzył z naciskiem Piotr Bartłomiej. – Inaczej to on nas wykończy swoimi kłamstwami i łże-matematyką. Tyle w tym wszystkim prawdy, co sierści na kamieniu.

– A cóż ty możesz wiedzieć o matematyce? – obruszył się Yusef.

– Wystarczająco dużo, żeby twierdzić, że jeśli heretycy myślą się tylko w niektórych sprawach, to Żydzi we wszystkich. Bo gdyby naprawdę umieli liczyć, nie potrzebowaliby tysięcy przykazań tam, gdzie wystarczy ich zaledwie dziesięć – odparował Piotr Bartłomiej.

– Tysięcy przykazań? – zdumiałem się wielkością podanej liczby.

– To gruba przesada, panie! – zachnął się stary Żyd. – Tak naprawdę to Mojżesz otrzymał ich tylko sześćset trzynaście, z czego trzysta sześćdziesiąt pięć to zakazy odpowiadające liczbie dni w roku, a dwieście czterdzieści osiem to nakazy równe co do joty liczbie członków ludzkiego ciała. Zważ jednak panie, że kiedy nastał Dawid, sprowadził wszystko do jedenastu zasad, wymienionych w Psalmie 15. Następnie Izajasz zmniejszył ich liczbę do sześciu, jako że jest powiedziane: *Kto postępuje sprawiedliwie i mówi szczerze, kto gardzi wymuszonym zyskiem, kto cofa swoje dłonie, aby nie brać łapówki, kto zatyka ucho, aby nie słyszeć o krwi przelewie, kto zamyka oczy, aby nie patrzeć na zło, ten będzie mieszkał na wysokościach*⁶² Potem zaś nastał Micheasz i zredukował wszystko do trzech zaleceń: *Czego Pan żąda od ciebie: tylko, abyś wypełniał Prawo, okazywał miłość bratnią i w pokorze obcował ze swoim Bogiem,*⁶³ co z kolei sprawiło, że Izajasz pozostawił tylko dwa przykazania: *Przestrzegajcie Prawa i kierujcie się sprawiedliwością,*⁶⁴ a Habakuk poprzestał tylko na jednym: *Sprawiedliwy z wiary żyć będzie.*⁶⁵ Jeszcze dalej poszedł rabbi Hillel, który uznał, że najważniejszą z zasad jest złota reguła: *Nie czyn bliźniemu swemu tego, co tobie samemu jest nienawistne*, a cała reszta Tory to tylko komentarz.

– Zasada faktycznie jak złoto – zauważył Piotr Bartłomiej. – Tylko od kiedy goje to dla was bliźni?

– Panie, oby Święty Jedynty (niech będzie błogosławiony!) dał ci długie życie, pełne spokoju, dobrobytu, żywotności ciała, lęku przed grzechem i szacunku ludzi – odpowiedział mu na to topielec. – Ale nie sądz innych podług siebie, abys sam kiedyś nie został osądzony równie niesprawiedliwie.

– Kimże jesteś, człowieku? – zapytałem coraz bardziej zaintrygowany.

– Gościem i przechodniem na ziemi, jak i ty, panie. A jeśli chodzi o to, z czego się utrzymuję, to odpowiem z dumą, że z wyrobu łapek na myszy. W każdym razie z tego się utrzymywałem jeszcze parę dni temu – po tych słowach rozplakał się.

– Jakże to? – zapytałem go, kiedy nieco się uspokoił.

– Jeszcze parę dni temu byłem najszczęśliwszym człowiekiem na świecie!... Razem z moim pierworodnym synem Izaakiem sprzedawałem dużo łapek, mozoliłem się około Tory z przyjaciółmi, zgłębiając to, co dozwolone i zakazane, czyste i nieczyste, skażone i bez skazy, i od czasu do czasu jeździłem po mądrość do sławnego Rasziego z Troyes. Ilekroć kupowałem rybę, nabywałem drugą dla ubogich, trzy razy do roku ważyłem swoje dzieci i tę samą wagę w mięsie rozdawałem biednym. Moja żona Sara prowadziła dom, biegała jak ptak na wesela i często zapraszała żebraków, by zjedli razem z nami obiad, przyodziewała również nagich i rozdawała potrzebującym mnóstwo praśnych placków, wina i oliwy. I prawie już uzbierałem posag dla mojej córki Racheli, która nigdy nie była tak zuchwała czy samolubna, żeby powiedzieć: „Chciałabym wyjść za mąż za takiego a takiego”, kiedy nagle Święty Jedynty (niech będzie błogosławiony!) odwrócił się od nas, a Szatan podał nam żółć na czubku miecza. Bo przyszli i zabili moją Sarę, moją Sarę skromną jak kotka, uczciwą jak mrówka i czystą jak gołębica! Niech jej zasługi będą nam ochroną! I zabili też mojego Izaaka, zarżnęli go jak białego koguta w przeddzień wielkiego postu, w dziesiąty dzień miesiąca *tiszri*! O Święty Jedynty! Czyżbyś naprawdę zapomniał, jak pięknie mój pierworodny wychylał cztery kieliszki wina, jak zgrabnie chwycił chleb wszystkimi dziesięcioma palcami, jak chyżo biegał z macą na ramieniu w wigilię święta *Pesach*, naśladując ucieczkę z ziemi egipskiej, z domu niewoli, jak mocno potrząsał kołatką podczas procesji mężczyzn w Święto Radości Tory?! Czyżbyś zapomniał, jak pięknie wygłaszał *haftarę* w synagodze?! Czyżbyś akurat otulił się obłokiem, kiedy go zabijali?! Gdzie byłeś, Wszechmocny, kiedy zabijali moją córkę Rachelę, kiedy zabijali wszystkich?! Och, panie! – obrócił się gwałtownie w moją stronę. – Choć spośród dziewięciuset trzech istniejących rodzajów śmierci wcale nie przypadł im w udziale najłżejszy, wierz mi, że jak przystało na sprawiedliwych, umierali tak spokojnie, jakby Anioł Śmierci wyjmował włos z mleka.

– Ale kto ich zabił?! – zapytałem wstrząśnięty.

– Ludzie Emicha, szakale, co się sprzysięgły przeciwko winnicy Pańskiej. Oby Bóg okrył ich ohydą i rozproszył po całym świecie! Zabili wszystkich, nie zostało nawet dziesięciu mężów, żeby zebrać *Minjan* – rozplakał się ponownie.

– Kiedy? Dlaczego?

– Trzy dni temu, a dlaczego, nie wiem. Przyszli o świcie, całą gromadą, zbrojni w kosy, widły i siekiery jak żeńcy albo drwale. Szli od domu do domu, zabijając każdego, kto stanął na ich drodze: mężczyzn, kobiety i dzieci. Rozlewali krew niczym wodę i nie było przed nimi ocalenia w ten dzień Bożego Gniewu! Spalili synagogę, zrzucili na ziemię zwoje Prawa, podarli je na strzępy, podeptali i wypróżnili się na nie! Powywlekali nas z domów, wołając, że gdzie tylko zwrócimy wzrok, tam sroży się śmierć i nieszczęście, i że każdy skrawek ziemi, na którym spocznie nasze złe oko, zajmuje się zaraz ogniem, i różne inne tym podobne rzeczy... A potem jeden z nich zaczął nam tłumaczyć, że kto słucha Mojżesza, ten powinien również słuchać Jezusa, bo to o nim przecież pisał Mojżesz, aż wreszcie kazali nam wybierać: albo przyjmiemy chrzest, a wtedy darują nam życie i majątek, albo zabiją nas wszystkich.

– To trzeba się było ochrzcić – zauważyła surowo Zuzanna.

– Wybacz, piękna pani, ale mówisz jak zwierzę nieczyste, które wprawdzie przeżuwa, lecz nie rozdziela kopyt – starzec chwycił się za głowę. – Jakże miałbym się zaprzeć Świętego Jedyne (niech będzie błogosławiony!), którego trzeba kochać bardziej niż własnego ojca i własną matkę?! Toż po ojcu mamy tylko białą substancję, z której tworzą się kości, ścięgna, nerwy, paznokcie, mózg i białko oka; a po matce tylko substancję czerwoną, z której powstaje mięso, skóra, włosy i źrenice, natomiast Święty Jedyny (niech będzie błogosławiony!) daje nam duszę, postać, zmysły, chód, mowę, umysł, rozsądek i wieczne życie. Jakże mógłbym się Go zaprzeć?!

– Słusznie. Cóż im zatem odpowiedziałeś? – zapytał Yusuf.

– Odpowiedziałem im: niejeden przemawia ładnie i postępuje ładnie, niejeden postępuje ładnie i przemawia nieładnie, ale wy przemawiacie ładnie, ale postępujecie nieładnie! Co do mnie, to nie potrzebuję ani waszego żądła, ani miodu. Pan jest moim Pasterzem, niczego mi nie brakuje, toteż lepiej odstępście ode mnie, bo i tak będę słuchać tylko mojego Boga. A jeśli koniecznie chcecie wyrządzić mi krzywdę, trudno, wasza wola. Kram jest otwarty, towar na półkach, kupiec chętnie udziela kredytu, bierzcie więc, co chcecie. Ale pamiętajcie, że poborcy zgłoszą się w terminie i będą dobrze wiedzieć, ile od każdego zażądać. Bo jest nad nami oko, które widzi, i ucho, które słyszy, i nie ma niczego, co nie zostałoby odnotowane.

– Choć wy, Żydzi, macie w większości skłonność do łgarstwa, dobrze im odpowiedziałeś! – pochwalił go Yusuf i uściśnął jego ramię.

– O tak, znakomicie! – zaśmiał się spod wierzby Piotr Bartłomiej. – Bo dzięki temu świat stał się od razu nieco mniej parszywy.

Starzec, ignorując go zupełnie, chwycił Yusufa za rękę:

– Obyś był wolny, panie, od wszelkiego demona, od wszelkiego złego ducha, od wszelkiego niegodziwego stworzenia, od wszelkiego niebezpieczeństwa i od wszelkiego dzikiego zwierza, a przede wszystkim – obyś miał rację! Bo jeśli chodzi o mnie, to wcale nie jestem pewny, że ją posiadasz.

– Jak możesz w to wątpić? – zdziwił się Yusuf.

– Przeżyłem, bo siepaczowi omsknęła się ręka, a wy wyciągnęliście mnie z rzeki. Jednak byłoby chyba lepiej, gdybym zginął, bo może siedziałbym teraz z żoną i dziećmi w Ogrodzie Edeńskim na ucztę z mięsa Lewiatana i popijał wraz z nimi wino zachowane w winogronach od czasu sześciu dni stworzenia! A tak, bez rodziny, bez przyjaciół i sąsiadów, będę sobie w nieskończoność zadawać pytanie – choć wiem, że jest ono z gruntu niesłuszne – dlaczego sprawiedliwych dotyczą nieszczęścia, a bezbożnym dobrze się wiedzie?

– A ja myślę, że jest ono całkiem do rzeczy – zauważyłem, przypomniawszy sobie podobne rozterki Mamerkusa. Ale stary człowiek pokręcił głową i rzekł:

– Niezupełnie, panie, bo nie jest w naszej mocy ani wyjaśnienie szczęścia bezbożnych, ani niedoli sprawiedliwych, tak samo jak nie wiemy, czy mysz jest winna, czy dziura. Kto wie, może gdyby Izrael przestrzegał właściwie choćby jednego szabatu, wszystko wyglądałoby inaczej?... Dokąd się udajecie? – zapytał po chwili uprzejmie, choć bez większego zainteresowania.

– Do Al-Kuds, Jerozolimy – wyjaśnił z pewnym zakłopotaniem Yusuf.

– A!... Oby została szybko odbudowana! – stary człowiek ożywił się na chwilę.

– Może cię gdzieś podwieźć? – zaproponowałem.

– Nie, zostawcie mnie tutaj, proszę. Muszę sobie jeszcze to i owo przemyśleć.

– W takim razie masz tu trochę chleba i sera – rzekła Uta, kładąc obok niego zawiniątko, które tymczasem przygotowała.

– Dziękuję i niech pokój będzie z wami – odparł z wdzięcznością starzec, a potem odwrócił się do nas plecami i zwinął się ciasno w kłębek pod swoim mokrym i ubłoconym chałatem.

VIII

Z Piotrem Bartłomiejem i jego siostrami pożegnaliśmy się w Moguncji. Rozstanie byłoby całkiem łatwe, gdyby nie Uta. Myśl, że najprawdopodobniej nigdy więcej się nie zobaczymy, napełniła mnie takim smutkiem, że przy pożegnaniu nie byłem w stanie powiedzieć jej nic mądrego. Jej odczucia musiały być chyba podobne, gdyż ucałowawszy mnie niespodziewanie, powiedziała cicho:

- Szkoda, że nie jestem mężczyzną, bo najchętniej pojechałabym dalej z wami.
- Wróć lepiej do klasztoru – poradziłem jej, trochę wbrew sobie.
- Do klasztoru? – zdziwiła się, po czym pokręciła zdecydowanie głową. – Nie, szybciej spotkamy się w Ziemi Świętej.
- W takim razie, oby tak było! – odpowiedziałem wzruszony i bez namysłu przycisnąłem ją do serca.

A potem – ponieważ w Moguncji dowiedzieliśmy się, że Piotr Pustelnik i jego ludzie niemal przed miesiącem odeszli na Węgry i mieliśmy małe szanse, by go odnaleźć w tym rozległym i nieznanym kraju – ruszyliśmy z Yusufem w stronę Ratyzbony, skąd, jak nam powiedziano, trzymając się biegu Dunaju, można było dotrzeć do Bizancjum jak po sznurku.

Od tej pory, licząc na to, że dogonimy Małego Piotra w Konstantynopolu, gdzie z pewnością będzie chciał dać odpocząć swoim ludziom, zaczekać na kolejne grupy pątników i zebrać odpowiednią ilość zapasów przed wkroczeniem na ziemię Turków, zwolniliśmy tempo naszego marszu i pozwoliliśmy sobie nawet na dłuższe odpoczynki w Wurzburgu i Norymberdze.

Po drodze do Ratyzbony, od tych nielicznych pielgrzymów, z którymi można się było dogadać w *romance*, dowiedzieliśmy się, że masakry Żydów podobne do tej, jaka miała miejsce w Moguncji, odbyły się także w wielu innych miastach niemieckich, choć na przykład w Spirze ludziom Emicha przeciwstawił się miejscowy biskup, stając skutecznie w obronie prześladowanych i karząc surowo wszystkich morderców, których zdołał ująć. Gdzie indziej jednak polało się dużo krwi, zwłaszcza że i Żydzi woleli raczej zabijać własne dzieci, rzucać się z wież albo z murów, topić się w rzece, podrzynać sobie nawzajem gardła lub dać się zarąbać łomami czy siekierami, niż przyjąć pod przymusem chrzest święty, otwierający im przecież drogę do zbawienia.

Wszystko to skłaniało mnie do gorzkich refleksji i stawiania sobie trudnych pytań, na które nie znajdowałem łatwych odpowiedzi. Mój generalnie zły humor pogorszył się jeszcze w Ratyzbonie, gdzie spalone bożnice, zrujnowane domy i rozbite kramy przypominały na każdym kroku o grabieży i rzezi urządzonej

przed paroma tygodniami także i w tym mieście przez hufiec niejakiego Gotschalka. Toteż w kilka dni później, gdy przeprawialiśmy się przez góry w drodze do Linzu, zagadnąłem z wyrzutem mojego towarzysza:

– Powiedz mi, Yusufie, dlaczego powiedziałeś temu topielcowi spod Moguncji, że Żydzi mają w większości skłonność do łgarstwa? Czyżbyś i ty miał o nich tak złą opinię, jak Piotr Bartłomiej?

– Boże uchovej! – zawstydził się mój były sługa. – Chodziło mi wyłącznie o... kwestie naukowe.

– Kwestie naukowe? Jakie? – odetchnąłem z ulgą po tej odpowiedzi, a nawet nieco się rozchmurzyłem w nadziei, że tak zajmujący temat pomoże mi oderwać myśli od oglądanych po drodze obrazów szaleństwa i śmierci.

Tymczasem Yusuf stropił się jeszcze bardziej, przez chwilę rozglądał się po okolicy, jakby nagle dostrzegł tam coś niezwykle interesującego, po czym widząc, że wciąż czekam na odpowiedź, wzruszył z niechęcią ramionami.

– A czy to takie ważne? – burknął.

– Nie, o ile masz coś lepszego do roboty.

– Nie mam. Tylko żeby potem nie było na mnie! – zaznaczył z naciskiem.

– A cóż miałyby być na ciebie? – skrzywiłem się na znak, że nie mam ochoty dłużej się z nim droczyć.

– Jak sobie życzysz, panie. Czy znasz tę ich Torę, którą tamten tak pięknie zachwalał?

– Nie, ale przypuszczam, że to z grubsza to samo, co nasz Stary Testament.

– No właśnie. Czytałem ją i wiem o niej także sporo od ojca, a zwłaszcza z komentarzy Abu Muhammada Alego Ibn Hazma, który ją studiował przez wiele lat. I niestety wygląda na to, że nie jest to księga napisana najlepiej pod względem matematycznym, historycznym, geograficznym, logicznym, przyrodniczym i jeszcze paroma innymi – stwierdził wając przy tym ostrożnie każde słowo.

– Czyżby? A to niby dlaczego? – zachmurzyłem się ponownie.

– Zaraz ci to wytłumaczę. Zacznijmy od matematyki, o której mówi się nie bez racji, że jest królową wszystkich nauk. Nie wiem czy pamiętasz na przykład, że na początku owej księgi, już po stworzeniu naszych prarodziców, powiedział Bóg: *Nie może pozostawać duch mój w człowieku na zawsze, gdyż człowiek jest istotą cielesną; niechaj więc żyje tylko sto dwadzieścia lat?*⁶⁶

– Owszem. I co z tego?

– A to, że trochę dalej czytamy, jakby nigdy nic, że Sem, syn Noego, żył sześćset lat; Arpachszad, syn Sema, czterysta trzydzieści osiem; Szelach, syn Arpachszada, czterysta trzydzieści trzy; Eber, syn Szelacha, czterysta sześćdziesiąt cztery; Peleg, syn Ebera, dwieście trzydzieści dziewięć; Reu, syn

Pelega, też dwieście trzydzieści dziewięć; Serug, syn Reu, dwieście trzydzieści; Nachor, syn Seruga, sto czterdzieści osiem; Terach, syn Nachora, dwieście pięć; Abraham, syn Teracha, sto siedemdziesiąt pięć, zaś jego syn Izaak sto osiemdziesiąt, co i tak jest fraszką przy Matuzalemie, synu Henocha, który przeżył ich bite dziewięćset sześćdziesiąt dziewięć czy też przy samym Noem, który zmarł podobno w wieku lat dziewięćset pięćdziesiąt.

– I co z tego? – powtórzyłem. – Tylko pozazdrościć.

– Kiedy nie ma czego, panie. Przecież to chyba jasne, że albo Ten, który zna dokładną liczbę włosów na głowie każdego z nas, pomylił się w rachunkach, albo musieli to zrobić ci, którzy zredagowali tę księgę. A ponieważ to pierwsze jest niemożliwe z definicji, nie ulega wątpliwości, że to Żydzi nie potrafią liczyć i zapewne żaden z owych patriarchów nie żył aż tak długo. Matematyka to matematyka – zakończył z rozbrajającym uśmiechem.

– Nie wiem jak inni, ale Matuzalem przeżył swoje na pewno. Jest z tego powszechnie znany – sprzeciwiłem się stanowczo. – Nie sądzę zresztą, żeby parę lat w tę czy we w tę mogło mieć jakieś znaczenie.

– To zależy, panie. Czasem ma. Weźmy dla przykładu historię Potopu. Otóż czytamy w Torze, że w sześćsetnym roku życia Noego trysnęły z hukiem wszystkie źródła Wielkiej Otchłani i otworzyły się upusty nieba. Widząc, co się dzieje, Noe wraz z żoną, swoimi synami oraz żonami swoich synów wszedł do arki z drzewa żywiczego, którą Najwyższy kazał mu zbudować, zaś Bóg wygubił doszczętnie wszystko, co istniało na ziemi, od człowieka do bydła, zwierząt pełzających i ptactwa powietrznego. Dobrze mówię? – upewnił się na wszelki wypadek.

– Bardzo dobrze – tym razem zgodziłem się bez oporu, jako że pamiętałem świetnie tę historię.

– To niedobrze, panie. Bo w innym miejscu tej samej księgi czytamy, że wspomniany już Matuzalem w wieku lat stu osiemdziesiąt siedmiu spłodził Lamecha, który to Lamech, mając lat sto osiemdziesiąt dwa, spłodził z kolei Noego. Matematyka, która jest w tych sprawach nader skrupulatna, wykazuje zatem, że Matuzalem musiał mieć trzysta sześćdziesiąt dziewięć lat w chwili narodzin Noego, a kiedy umierał w wieku dziewięćset sześćdziesiąt dziewięć lat, jego wnuk Noe miał ich równo sześćset.

– Bez wątpienia. Matematyka to matematyka – zgodziłem się ponownie.

– Otóż to. Szkopuł w tym, że Potop zaczął się, z a n i m Noe ukończył owe sześćset lat, ponieważ, jak podaje Tora, stało się to w sześćsetnym roku jego życia, a dokładnie w siedemnastym dniu drugiego miesiąca owego roku.⁶⁷ Jeśli tak, nasuwa się pytanie, co w czasie Potopu stało się z Matuzalemem, który, jak z tego wynika, z początkiem owego kataklizmu był jeszcze wśród żywych?

– A skąd ja mam to wiedzieć? – wzruszyłem ramionami. – Pewnie Noe zabrał go ze sobą na pokład.

Po tych słowach Yusuf wykonał przede mną głęboki ukłon.

– Zaprawdę, panie, twoje rozumowanie przynosi zaszczyt nie tylko tobie, ale i religii, w której zostałeś wychowany. Mnie też trudno uwierzyć, żeby tak prawy i nieskazitelny mąż jak Noe mógł się zachować w sposób niegodziwy i w obliczu tak strasznego nieszczęścia zostawić na łasce losu własnego krewniaka, jak by nie było, rodzonego dziada, w bardzo podeszłym wieku, prawdopodobnie schorowanego i niedołężnego, a w dodatku – co do tego obaj nie mamy wątpliwości – stojącego już jedną nogą w grobie. Gdyby tak postąpił, miałby zaiste serce z kamienia i nie zasługiwałby na szacunek, jakim darzą go od pokoleń wszystkie dzieci

Izraela. Niestety, Tora powiada wyraźnie, że do arki weszli tylko Noe, jego żona i synowie oraz żony jego synów. Nikt więcej.

– To może Matuzalem wszedł do arki razem z nimi, ale po prostu zapomniano o tym napisać? – przedłożyłem rozwiązanie, które wydało mi się najprostsze.

– Być może, panie, być może. Tylko, czy nie uważasz za dziwne, że nie zapomniano napisać o różnych bydlętach, które Noe wziął ze sobą na pokład, w tym także o nieczystych, a zapomniano wspomnieć choćby słowem o Matuzalemie, mężu nie mniej bogobojnym i świątobliwym niż jego wnuk Noe, który dowodził arką?

– Faktycznie, to dosyć dziwne – przyznałem. – Widzę, Yusufie, że nie ma innej rady i musiał się biedak utopić, jak cała reszta.

Ale Yusuf oburzył się na te słowa. Chwycił się obiema rękami za głowę i spojrzał na mnie z wyrzutem.

– Panie! Niechaj Ten, który wynagradza czyniących dobro, broni nas, teraz i zawsze, przed wysuwaniem podobnych przypuszczeń i rzucaniem równie szkaradnych potwarzy! No bo jakże Matuzalem mógł się utopić razem z innymi, skoro ci inni potonęli za karę, z powodu swej bezbożności i niegodziwości?

– No to przeżył. Uczepił się jakiegoś drzewa lub belki, i przeżył – stwierdziłem tonem graniczącym z pewnością.

– I ja bym mu tego serdecznie życzył, bo w pełni na to zasługiwał, obawiam się jednak, panie, że to mało prawdopodobne. Zastanów się bowiem, jak długo może utrzymać się na falach, nawet uczepiony jakiegoś drzewa albo belki, człowiek dziewięciuset sześćdziesięcioośmio- czy dziewięciuset sześćdziesięciodziewięcioletni? W dodatku bez jedzenia i wody, bo chociaż wody było dokoła pod dostatkiem, to przecież unosiły się na niej trupy ludzi i zwierząt, i z całą pewnością nie nadawała się do picia. Moim zdaniem, najwyżej parę dni, tymczasem Potop trwał ponad rok.

– Mnie o to pytasz? A dajże mi święty spokój! Poszedł na dno od razu czy dopiero później wypadł za burtę, zmarł w arce z głodu czy na morską chorobę – Bóg z nim! Coś mi się wydaje, Yusufie, że ta twoja matematyka wcale nie jest nauką aż tak ścisłą, za jaką chciałyby uchodzić, dlatego proponuję, abyśmy przeszli do historii bądź do geografii. Czyżby i o nich, twoim zdaniem, Żydzi nie mieli większego pojęcia?

W odpowiedzi Yusuf znów schylił przede mną czoła.

– Panie, muszę jeszcze raz złożyć hołd twojej przenikliwości, gdyż tak właśnie jest i można podać na to tysięczne dowody. Zacznijmy od historii, która niestety też łączy się z matematyką. Oto w pierwszej księdze Tory czytamy, iż Pan rzekł kiedyś do Abrahama, zwanego przez nas Ibrahimem: *Wiedz o tym dobrze, iż twoi potomkowie będą przebywać jako przybysze w kraju, który nie będzie ich krajem, i przez czterysta lat będą tam ciemiężeni jako niewolnicy; aż wreszcie ześlę zasłużoną karę na ten naród, którego będą niewolnikami, po czym oni wyjdą z wielkim dobytkiem.*⁶⁸

– Zgadza się. I co Pan zapowiedział, to zrobił, bo chodzi wszak o niewolę egipską, jeśli się nie mylę – potwierdziłem prawdziwość przytoczonego ustępu.

– Nie mylisz się, panie. Myli się za to, i to bardzo, ten, kto to napisał, ponieważ niewola Żydów w Egipcie w żadnym wypadku nie mogła trwać czterysta lat.

– Co też powiadasz, Yusufie?! – zaoponowałem.

– To oczywiste, panie. Nieszczęścia Hebrajczyków w ziemi egipskiej zaczęły się dopiero ze śmiercią mojego imiennika Yusufa, co zresztą stwierdza sama Tora, kiedy powiada, że po jego zgonie: *synowie Izraela rozradzali się, pomnażali, potężnieli i umacniali się coraz bardziej, tak że cały kraj się nimi nappełnił. Lecz rządy w Egipcie objął nowy król, który nie znał Józefa. I rzekł do swego ludu: Oto lud synów Izraela jest liczniejszy i potężniejszy od nas. Roztropnie przeciw niemu wystąpmy, ażeby się przestał rozmnażać. W wypadku bowiem wojny mógłby się połączyć z naszymi wrogami w walce przeciw nam, aby wyjść z tego kraju.*⁶⁹ I dopiero wtedy, a nie wcześniej, ustanowiono nad Izraelitami przełożonych robót, aby ci uciskali ich ciężkimi pracami. Jednocześnie Tora podaje, że Kehat, syn Lewiego i ojciec Amrana, urodzony jeszcze w Syrii, jeden z siedemdziesięciu krewniaków, którzy przybyli do Egiptu razem z Jakubem, przeżył sto trzydzieści trzy lata, zaś jego syn Amran, ojciec Mojżesza, sto trzydzieści siedem. Wiemy także, że Mojżesz – po naszymu Musa – w chwili wyjścia z Egiptu liczył sobie lat osiemdziesiąt lub niewiele więcej, gdyż można przeczytać w Torze, że miał on lat osiemdziesiąt, a brat jego Aaron, zwany przez nas Harunem, osiemdziesiąt trzy, kiedy przemawiali obaj do Faraona, króla egipskiego.

– Niech będzie. I co z tego? – wtrąciłem zniecierpliwiony tym przydługim wstępem.

– A to, że gdyby nawet Kehat, syn Lewiego, przybył do Egiptu jako miesięczny osesek (bo podróż z Syrii do Egiptu musiała trwać co najmniej miesiąc), a zarówno Amran, jak i Musa, byli pogrobowcami swych czcigodnych ojców, to łącznie z osiemdziesięcioma latami spędzonymi w Egipcie przez tego ostatniego, niewola egipska Hebrajczyków mogła trwać najwyżej trzysta pięćdziesiąt lat. Gdzież więc jest tych czterysta lat ciemnienia, jakie zapowiedział Pan Ibrahimowi? A przecież Najwyższy nie może kłamać ani mylić się w obliczeniach – podkreślił z naciskiem.

– Co do tego zgoda, ale może Pan podał Abrahamowi tę liczbę jedynie w przybliżeniu?

– A czemuż to Ten, który ma w swoim ręku władzę królewską nad każdą rzeczą i sam stworzył matematykę, jak też zna dokładną liczbę i miarę wszystkiego, co było, jest i będzie, miałby podawać cokolwiek w przybliżeniu, tak sobie, na oko, z grubsza i tylko mniej więcej? – Yusuf spojrzął na mnie z takim zdumieniem, jakby mnie widział po raz pierwszy.

– Miałbyś rację, Yusufie, gdyby nie to, że to ty mylisz się w rachunkach – uśmiechnąłem się tryumfalnie, olśniony nagłą myślą. – Przecież także Józef cierpiał w Egipcie. Dodaj do tych trzystu pięćdziesięciu lat, jakie już mamy, czas spędzony w Egipcie przez Józefa, a zobaczysz, że wszystko pięknie się zgodzi!

– Nie do końca, panie. Pomijając już fakt, że Józef wcale tak bardzo w Egipcie nie cierpiał (w końcu, był gubernatorem tego kraju), sama Tora mówi wyraźnie, że miał on siedemnaście lat, kiedy jego bracia sprzedali go kupcom izmaelskim, i trzydzieści, kiedy stanął przed Faraonem, królem egipskim, by objaśnić mu sen o krowach i kłosach. Jak wiadomo, sen ów wkrótce się ziścił i rozpoczął się siedmioletni okres obfitości, a po nim nastąpiło siedem lat głodu. W drugim roku głodu przybył do Egiptu ojciec Józefa, Jakub, wraz z liczącą siedemdziesięciu członków rodziną, wśród której był również wspomniany Kehat, syn Lewiego. Wynika z tego, że Józef mógł mieć wówczas około trzydziestu dziewięciu lat, z czego w Egipcie spędził najwyżej dwadzieścia dwa. Trzysta pięćdziesiąt plus dwadzieścia dwa daje w sumie trzysta siedemdziesiąt dwa lata i wciąż nam brakuje dwudziestu ośmiu do owych czterystu lat ciemnienia, zapowiedzianych przez Pana Ibrahimowi. Historia to historia – rozłożył bezradnie ręce.

– Hm... Szczerze mówiąc, Yusufie, nie widzę większej różnicy między twoją historią a twoją matematyką. Przejdźmy lepiej do geografii – zaproponowałem bez silenia się na jakiś wymyślny komentarz.

– Jak sobie życzysz, panie. Czy pamiętasz, co w pierwszej księdze Tory pisze się o Raju Ziemskim? – i nie czekając na moją odpowiedź, zaczął recytować: -

*Z Edenu zaś wypływała rzeka, aby nawadniać ów ogród, i stamtąd się rozdzielała, dając początek czterem rzekom. Nazwa pierwszej – Pizon; jest to ta, która okrąża cały kraj Chawila, gdzie się znajduje złoto. A złoto owej krainy jest znakomite; tam jest także wonna żywica i kamień czerwony. Nazwa drugiej rzeki – Gichon; okrąża ona cały kraj – Kusz. Nazwa rzeki trzeciej – Chiddekel; płynie ona na wschód od Aszszuru. Rzeka czwarta – to Perat.*⁷⁰

– Oczywiście, Yusufie, znam te rzeki i mógłbym ci o nich jeszcze niejedno opowiedzieć – ucieszyłem się z tego akurat przykładu.

– Tym lepiej, panie. Więc zgodzisz się chyba, że te słowa mógł napisać tylko ktoś, kto nigdy w życiu nie widział kraju Chawila, gdzie jako żywo nie ma żadnego złota ani żadnego czerwonego kamienia. A jeśli jeszcze – jak nieraz słyszałem od uczonych rabinów – pod nazwą Pizon kryje się rzeka Nil, to musisz wiedzieć, że ta nie tylko nie okrąża kraju Chawila, ale w ogóle nie okrąża niczego, płynie bowiem prosto jak z bicza strzelił z południa na północ, gdzie wpada do morza obok Aleksandrii.

– To, samo w sobie, jeszcze nic nie znaczy. Nie przekonasz mnie, Yusufie, takimi drobiazgami – roześmiałem się. – Teraz złota nie ma, ale kiedyś mogło być, tak samo jak dziś Nil niczego nie okrąża, ale dawniej mógł okrążyć, i to na okrętkę.

– Dobrze. Przejdźmy zatem do ustępu, w którym czytamy, że Ten, który nigdy nie zmienia swojej obietnicy, zawarł przymierze z Ibrahimem, mówiąc mu: *Potomstwu twemu daję ten kraj, od Rzeki Egipskiej aż do rzeki wielkiej, rzeki Euftrat.*⁷¹ Otóż, panie, jeśli to proroctwo miało się odnosić do synów Izraela, jak oni sami twierdzą, to nie da się go w żaden sposób zrozumieć, ponieważ Żydzi nie posiadali nigdy ani piędzi ziemi położonej w obrębie dziesięciu dni marszu od Rzeki Egipskiej w stronę Jeruzalem, podobnie jak nie należała do nich nigdy ani piędź ziemi położonej w obrębie dziesięciu dni marszu na zachód od rzeki Euftrat. Jeśli zaś – jak sądzą niektórzy – proroctwo to miało dotyczyć synów Izmaela, czyli Arabów, zawarty w nim błąd geograficzny jest jeszcze bardziej rażący, jako że tereny o których mowa, stanowią zaledwie setną część tego, co spodobało się Najwyższemu oddać nam we władanie, licząc od najdalszych rubieży Al-Andalus na zachodzie po granicę Indii na wschodzie, oraz od wybrzeży Jemenu na południu do gór Armenii na północy. Że zaś Ten, który wiernie wypełnia swoje przymierza, nie może składać obietnic bez pokrycia, jest rzeczą oczywistą, że w tym przypadku musiało zawinić nieuctwo tych, co spisali Jego słowa. Geografia to geografia – wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu.

– No cóż, to raczej jasne. Chyba, że chodzi dopiero o przyszłość.

– Nie żartuj, panie. Jasne, jak niebo w Kordobie w dwudziestą siódmą noc ramadanu. Zresztą o tym, co Żydzi nazywają Ziemią Obiecaną, wypisuje się

w Torze znacznie więcej niestworzonych rzeczy. Kiedy tam dotrzemy, przekonasz się na własne oczy, że jest to kraj wyjątkowo nieurodzajny, pozbawiony wody i roślinności, pełen skał i kamieni, jak też po większej części pustynny, jałowy i w ogóle nieużyty. Tymczasem w czwartej księdze Tory możemy przeczytać, że drogą losowania rozdzielono go między synów Izraela, którzy dotarli do niego po wyjściu z Egiptu, i że było ich dokładnie sześćset jeden tysięcy siedmiuset trzydziestu, licząc jedynie tych, którzy skończyli dwadzieścia lat i byli zdolni do noszenia broni. Jeśli zaś dodać do nich młodocianych, starców, kobiety oraz wszystkich nie nadających się do służby wojskowej, którzy z natury rzeczy stanowią pewną część każdego pokolenia, w sumie wyjdzie nam ogromna rzesza ludzi. Chyba temu nie zaprzeczysz, panie?

– Nie. I mnie się wydaje, że było ich całkiem sporo – zgodziłem się z jego rozumowaniem.

– Wiedz zatem, że według skrupulatnych pomiarów dokonanych z rozkazu jednego z Książąt Wiernych, cała ta ich Ziemia Obiecana liczy sobie z północy na południe jakieś siedemdziesiąt trzy mile długości i mniej więcej tyle samo jeśli chodzi o szerokość, liczoną od Morza Syryjskiego do dystryktu Ammanu. Nawet jeśli dodamy jeszcze niewielki obszar zwany Algaur, położony na wschodnim brzegu Jordanu i mający nie więcej niż trzydzieści mil długości i tyleż szerokości, który według Żydów przypadł w udziale pokoleniom Rubena i Gada, i tak nie będziemy w stanie pojąć, w jaki sposób tak liczna gromada ludzi mogła się w tym kraju nie tylko wyżywić, ale po prostu zmieścić?

– Cóż, z pewnością nie było im zbyt wygodnie, ale mogli się jakoś ścieśnić, zwłaszcza po wioskach i osadach – zauważyłem po chwili zastanowienia.

– Wolne żarty, panie! Siedemdziesiąt trzy mile wzdłuż i siedemdziesiąt trzy mile w poprzek dają zaledwie pięć tysięcy trzysta dwadzieścia dziewięć mil kwadratowych, zaś z obszarem Algauru, liczącym sobie dziewięćset mil kwadratowych – jedynie sześć tysięcy dwieście dwadzieścia dziewięć mil. Załóżmy, że w jednej wiosce bądź osadzie mieszka przeciętnie sto osób, a okaże się, że aby pomieścić w Ziemi Obiecanej sześćset jeden tysięcy siedmiuset trzydziestu Hebrajczyków, którzy ukończyli dwadzieścia lat i byli zdolni do noszenia broni, musielibyśmy wybudować dla nich co najmniej sześć tysięcy osiemnaście wiosek (w ostatniej z nich byłoby trochę luźniej niż w pozostałych), co oznacza mniej więcej jedną wioskę lub osadę na każdą milę kwadratową. Zważ przy tym, że z powodu trudnej rzeźby terenu wiele z owych wiosek i osad trzeba by zbudować na szczytach i stromych stokach gór, na pustyni, w korytach potoków, a nawet na dnie jezior, które też tam istnieją, a i tak jeszcze nie zdołalibyśmy rozwiązać problemu zakwaterowania wszystkich dzieci, kobiet, starców i mężczyzn niezdolnych do noszenia broni, którzy też domagaliby się

głośno jakiegoś dachu nad głową! Że nie wspomnę już o tym, iż z terenów nie zabudowanych nie udałoby się nam nigdy wyżywić tak wielkiej masy ludzi.

– Nam nie, ale Bogu, owszem – przywołałem go do porządku. – W końcu żywił to mrowie ludzi na pustyni przez bite czterdzieści lat, i to nie tylko zwykłą manną, ale nawet – kiedy manna im zbrzydła i zaczęli wspominać z rozrzewnieniem ryby jedzone za darmo w Egipcie – także świeżym mięsem.

– Wybacz, panie, ale to akurat łgarstwo – Yusuf wydał pogardliwie wargi.

– Tak? A dlaczego? – uniosłem brwi.

– Dlatego, że Ten, który daje zaopatrzenie komu chce, bez rachunku i pokwitowania, jak też widzi na wskroś potrzeby każdego z ludzi, nie miał żadnego powodu dawać Izraelitom tego, czego mieli pod dostatkiem. Logika to logika – oświadczył twardo mój były sługa.

– Pod dostatkiem?! Na pustyni?! Chyba żartujesz!

– Nie żartuję. Przecież Hebrajczycy wyszli z Egiptu razem ze swoimi wołami i owcami i później często składali je w ofierze przed Arką Przymierza. Nie mogli im także brakować mięsa aż do samej Ziemi Obiecanej, skoro czytamy w Torze, że kiedy Rubenici i Gadyci ujrzeli krainę Jazer i Gilea d, *mieli ze sobą liczne i bardzo duże stada.*⁷² Doprawdy, panie, Żydzi musieliby być bardzo bezczelni, żeby prosić Najwyższego o to, w co wręcz opływali, a i Ten, który zna jawne i skryte, nie byłby chyba sobą, gdyby przystał na taką pazerność, zamiast ich za nią przykłądnie ukarać.

– Czy chcesz przez to powiedzieć, że i w tym przypadku zawinił jakiś nieuk?

– I w tym, i w wielu innych. Bo weźmy z kolei nauki przyrodnicze. W księdze Jozuego powiada się na przykład, że do arcykapłana Eleazara, syna Haruna, przyszli przełożeni rodów lewickich, prosząc go o przydzielenie im miast na zamieszkanie oraz pastwisk dla bydła. Czytamy dalej, że samym tylko potomkom Haruna przypadło losem trzynaście miast! Tymczasem wiadomo, że Harun miał wówczas tylko dwóch potomków – Eleazara i Itamara – ponieważ dwaj jego pozostali synowie, pierworodny Nadab oraz Abihu, zmarli bezdzietnie na pustyni, gdy chcieli złożyć Panu w ofierze jakiś „inny ogień”. Prawda, że zarówno Eleazar, jak i Itamar, musieli posiadać wielu synów, skoro wybrano spośród nich dwudziestu czterech naczelników rodów, wytłumacz mi jednak, panie, jak to możliwe, żeby potomstwa tylko tych dwóch mężów mogło wystarczyć do zaludnienia aż trzynastu miast?

– Mogli być bardziej płodni, niż nam się wydaje, ich dzieci również – wyraziłem swoje wątpliwości.

– Wybacz panie, ale tak płodne nie są nawet króliki. Choćby Eleazar i Itamar, a także ich nie wiem jak liczne potomstwo po całych dniach i nocach nie zajmowali się niczym innym oprócz zaludniania owych trzynastu miast – a byli

przecież arcykapłanami i naczelnikami rodów, i z pewnością mieli jeszcze jakieś inne obowiązki – nigdy nie zdołaliby poradzić sobie z tak wielkim zadaniem.

– A któż to może wiedzieć, Yusufie? Słyszałem nieraz, że dawniej ludzie byli znacznie silniejsi, wytrzymalsi i cierpliwsii od nas – nie dawałem za wygraną.

– I ja o tym słyszałem, panie, ale nawet wtedy między jedną ciążą a drugą musiało upłynąć co najmniej dziewięć miesięcy i nie wszystkie dzieci dożywały choćby jednego roku. A jeśli jeszcze dodać do tego ogromne koszty związane z wychowaniem potomstwa, wydaje się oczywiste, że także wówczas na wielką gromadę dzieci mogli sobie pozwolić – tak samo zresztą jak dzisiaj – jedynie królowie oraz ci nieliczni szczęśliwcy, którym nadzwyczajne bogactwo pozwalało na luksus posiadania wielu żon, nałożnic i niewolnic, ale na pewno nie Żydzi, którzy za życia Józefa byli w Egipcie co najwyżej pasterzami, zaś po jego śmierci, pogrążeni w najgłębszej nędzy, zmuszani do niewolniczej pracy, gnębieni, upokarzani i karani za najmniejsze przewinienie, mogli czuć się naprawdę szczęśliwi, jeśli udało im się zdobyć miskę soczewicy. Zresztą, o ile mi wiadomo, na przestrzeni ostatnich trzech tysięcy lat historia odnotowała nie więcej niż dwudziestu mężów – i to zarówno spośród wiernych, jak i niewiernych; tak na Wschodzie, jak i na Zachodzie – którym Ten, który umieszcza w łonach to, co chce, pobłogosławił więcej niż trzydziestoma synami. Tyle, że za każdym razem chodziło o osoby niezwykle bogate, szczególnie długowieczne i zajmujące bardzo wysoką pozycję w hierarchii swoich państw.

– Tylko dwudziestu? Nie przesadzasz? – zapytałem z niedowierzaniem.

– Ani trochę, panie. Trzech z nich – Anas Ibn Malik, Halifa Ibn Abulsaadi oraz Abu Bakr Ibn Muhammad Ibn Amru – wychowało po stu synów każdy. Omar Ibn Abdelmalik, gubernator miasta Almodóvar w Al-Andalus, otaczał się swiłą złożoną z sześćdziesięciu męskich potomków. Księżę Wiernych Abderrahman II utrzymywał na dworze w Kordobie czterdziestu pięciu synów, nie licząc czterdziestu dwóch córek. Guasif, klient Księcia Wiernych Al-Mutasima, doczekał się pięćdziesięciu pięciu potomków płci męskiej. Zaś Tamart, pan Trypolisu, wystawiał oddział jazdy złożony z osiemdziesięciu mężczyzn, w których żyłach płynęła jego własna krew, choć w tym przypadku nie ma się czemu dziwić, bo był to łotr nad łotrami, który miał w zwyczaju porywać każdą kobietę, jaka mu się spodobała, niezależnie od tego czy była wolną czy nie, i sprawiać, że wkrótce potem musiała rodzić. Także o księciu berberyjskim Damarze mówi się, iż zwykł był cwałować w towarzystwie dwóch setek własnych potomków, choć akurat ten przekaz budzi pewne wątpliwości, jako że nie do końca wiadomo, ilu z nich było naprawdę jego synami, a ilu tylko wnukami. Spośród nie-Arabów trzeba by wymienić przede wszystkim perskiego księcia Chudarza, ojca dziewięćdziesięciu synów, o których wiadomo z całą

pewnością, że dożyli wieku męskiego, zaś z Żydów – Gedeona, który doczekał się siedemdziesięciu męskich latorośli, jak również Jaira, który spłodził ich podobno równo trzy dziesiątki.

– W takim razie nie rozumiem twoich wcześniejszych zastrzeżeń. Czyż Eleazar i Itamar koniecznie musieli być gorsi? – zauważyłem z przekąsem.

– Nie, panie, ale natura to natura. Jeśli nadal masz wątpliwości, sięgnijmy po inny przykład zaczerpnięty z Tory. Wróćmy do historii Józefa, sprzedanego przez swoich braci do Egiptu. Jak zapewne pamiętasz, w drugim roku siedmioletniego okresu głodu przybył do Egiptu ojciec Józefa, Jakub, wraz z liczącą siedemdziesięciu członków rodziną, wśród której byli również niejacy Chesron i Chamul, dwie ciekawe postacie, o których za chwilę.

Przypominam, że Józef mógł mieć wówczas około trzydziestu dziewięciu lat i przebywał w Egipcie najwyżej od dwudziestu dwóch. Kim byli Chesron i Chamul? Otóż według Tory, Juda, brat Jakubowy, ten, który podsunął pozostałym braciom myśl o sprzedaniu Józefa w niewolę, ożenił się z Kananyjką Szue, z której doczekał się trzech synów: Era, Onana i Szełę. Dalej Tora mówi o tym, że *Juda wziął dla swego pierworodnego syna, Era, żonę imieniem Tamar. Ponieważ Er, pierworodny syn Judy, był w oczach Pana zły, Pan zesłał na niego śmierć. Wtedy Juda rzekł do Onana: Idź do żony twego brata i dopełnij z nią obowiązku szwagra, a tak sprawisz, że twój brat będzie miał potomstwo. Onan wiedząc, że potomstwo nie będzie jego, ilekroć zbliżał się do żony swego brata, unikał zapłodnienia, aby nie dać potomstwa swemu bratu.*⁷³ Nie będę się tu, panie, rozwodzić nad sposobem, w jaki to czynił, dość jeśli ci przypomnę, że za te bezecne praktyki Ten, który karze, kogo chce, wkrótce ukarał śmiercią także i Onana. Wtedy Juda nakazał owdowiałej ponownie Tamar zamieszkać u jej ojca aż do czasu, kiedy dorośnie Szela. Nim jednak do tego doszło, uwiedziony przez nią, sam z nią cudzołożył i z tego właśnie haniebnego związku zrodzili się dwaj bliźniacy: Peres i Zerach. A przed wywędrowaniem całej rodziny Jakuba do Egiptu, Peres zdążył jeszcze spłodzić Chesrona i Chamula. I cóż ty, na to, panie? – stwierdził z tryumfem, ujawszy się pod boki.

– Ja? Nic. Niech sobie płodzi, kogo chce. Co mi do tego? – wzruszyłem ramionami.

– To szkoda, bo cała ta opowieść zadaje kłam wszystkiemu, co wiemy o ludzkiej naturze i ustanowionym przez Boga porządku rzeczy. Racz bowiem zauważyć, że wszystko to działo się w ciągu dwudziestu dwóch lat! A przecież nawet gdyby Juda ożenił się z Szue od razu po sprzedaniu kupcom izmaelskim Józefa, nawet gdyby Szue zaszła z nim w ciążę już przy pierwszym zbliżeniu, nawet gdyby urodziła Era, Onana i Szełę w najkrótszych możliwych odstępach czasu, nawet gdyby Er, a później Onan, ożenili się z Tamar w wieku lat dwunastu

i nawet gdyby Juda cudzołożył z Tamar następnego dnia po śmierci Onana, zaś pochodzące z tego wstrętnego związku bliźnięta – Peres i Zerach – okazały się wcześniakami, matematyka, biologia i logika dowodzą niezbicie, iż po to, aby Chesron i Chamul, dzieci Peresa, mogły – jak twierdzi Tora – wkroczyć do Egiptu razem ze swoim pradziadkiem Jakubem, ich ojciec Peres musiałby je spłodzić w wieku siedmiu, najwyżej ośmiu lat! Tego zaś nie jest w stanie dokonać nikt, ani wierni, ani niewierni, ani bałwochwalcy, ani poganie, choćby byli nie wiem jak zdrowi, chutliwi i płodni!

Twierdzenie Żydów, że można zostać ojcem w wieku lat siedmiu albo ośmiu, jest równie zabawne, jak to, co opowiadają oni o Sarze, żonie Ibrahima, że kiedy była w podeszłym wieku, zakochali się w niej bez pamięci i niemal wyrwali ją sobie z rąk Faraon, król egipski, oraz Abimelek, władca Geraru. Obaj ci monarchowie musieliby chyba być zupełnie ślepi, aby to uczynić, podobnie jak my musielibyśmy być całkiem pozbawieni rozumu, żeby w to uwierzyć. Natura to natura i nie ma na nią rady! – tu klepnął się mocno po udzie, jakby chciał utwierdzić tym gestem niepodważalność swojej opinii.

– Mylisz się, Yusufie, i to bardzo – podważyłem ją jednak. – Jeśli bowiem rzeczona Sara w wieku lat dziewięćdziesięciu mogła zajść w ciążę i urodzić Abrahamowi Izaaka, to naprawdę nie widzę żadnych przeszkód, żeby nieco wcześniej była jeszcze na tyle ponętna, by móc rozpalić żądze Faraona, króla egipskiego, jak też Abimeleka, władcy Geraru. Matematyka matematyką, historia historią, geografia geografą, natura naturą, ale nie zapominaj o wszechmocnym Bogu, Panu tego świata, który, jeśli tylko zechce, może z łatwością sprawić, że tam, gdzie nigdy nie było złota, ludzie nagle zaczną się potykać o bryły tego kruszcu wielkie jak bochny chleba; że siedmiolatek zostanie szczęśliwym ojcem, że dziewięćdziesięcioletnia staruszka będzie uwodzić i rodzić, że zbudowana na szczycie góry albo na dnie jeziora wioska nie zsunie się w przepaść, ani nie pograży się w mule nawet o włos, i że dziewięćsiemset sześćdziesięcioośmio – albo dziewięćsiemset sześćdziesięciodziewięcioletni starzec będzie się dziarsko unosić na falach przez rok z okładem, i ani mu w głowie nie zaświta myśl o jedzeniu czy picciu! Moim zdaniem, matematyka, historia, geografia, przyroda, a w szczególności logika, wskazują jasno, że Bóg jest wyższy nad te głupstwa. Czyżbyś w to wątpił, Yusufie? – wyraziłem swoją dezaprobatę.

– To nie tak. Źle stawiasz kwestię, panie – pokręcił przecząco głową. – Są rzeczy na niebie i na ziemi, których nawet Ten, który posiada do nich klucze, nie jest w stanie zmienić. Bo nawet Ten, do którego należy królestwo niebios i ziemi, i to, co jest pomiędzy nimi, nie potrafi sprawić, by dwa razy dwa nie było cztery; żeby suma wewnętrznych kątów trójkąta była inna niż sto osiemdziesiąt stopni, czy też, by kiedykolwiek przecięły się dwie linie równoległe.

– Zaprawdę, jesteś człowiekiem małej wiary, Yusufie! – przeżegnałem się ze zgrozą. – A cuda? Co z cudami? Czyżbyś nie wierzył w cuda? – przycisnąłem go jeszcze bardziej do muru.

– Oczywiście, że w nie wierzę, jak zresztą każdy, kto ma choć trochę oleju w głowie. Ale nie w żydowskie – zastrzegł się z determinacją.

– A to dlaczego? W czymże żydowskie są gorsze od innych? – podniosłem głos, bo zaczynał mnie już denerwować.

– W tym, że nigdy nie wiadomo, czy są prawdziwe. Weźmy dla przykładu te, które Musa i kapłan Harun czynili rzekomo na oczach Faraona, króla egipskiego, po to, żeby ów pozwolił Hebrajczykom wyjść z Egiptu. I tak, Tora powiada, że Harun rzucił swoją laskę przed Faraonem, królem egipskim, i jego sługami, i że ta laska zmieniła się w węże...

– No i świetnie. Cud jak złoto. Cóż ci się w nim nie podoba?

– To, że Faraon, król egipski, natychmiast kazał przywołać swoich mędrców i czarowników, którzy bez najmniejszego trudu zrobili zaraz to samo, dzięki – jak czytamy w Torze - *swej tajemnej wiedzy*.⁷⁴ Każdy z nich rzucił bowiem swoją laskę i wszystkie one, bez wyjątku, także zmieniły się w węże. Co to za cud, który można powtórzyć przy pomocy magicznych sztuczek? – zaśmiał się ironicznie.

– Dobrze, ale mimo wszystko to laska Aarona połknęła laski Egipcjan, a nie na odwrót – zauważyłem dla ścisłości.

– Nie szkodzi. Wszak trochę dalej czytamy, że Najwyższy powiedział do Mojżesza: *Mów do Aarona: Weź laskę swoją i wyciągnij rękę na wody Egiptu, na jego rzeki i na jego kanały, i na jego stawy, i na wszelkie jego zbiorowiska wód, a zamienią się w krew. I będzie krew w całej ziemi egipskiej, w naczyniach drewnianych i kamiennych*⁷⁵. Musa i Harun postąpili dokładnie tak, jak nakazał im Ten, który jest ponad to, co Jemu przypisują. Woda Nilu zamieniła się w krew, ryby rzeki wyginęły, a Nil zaczął wydawać przykrą woń, bo *krew była w całym kraju egipskim*⁷⁶

– Skoro Tora powiada, że była, to była. Czyżby znów ci przeszkadzało, że mędracy i czarownicy egipscy zaraz zrobili to samo? – popatrzyłem na niego z politowaniem.

– Ależ skąd, panie. Nie przeszkadza mi to ani trochę, ponieważ nie mam najmniejszych wątpliwości, że ta akurat sztuczka nie mogła się tym szarlatanom udać – odparł z przekonaniem.

– Dlaczego? Tora twierdzi coś przeciwnego: *Lecz to samo uczynili czarownicy egipscy dzięki swej wiedzy tajemnej!*⁷⁷ – zdumiało mnie jego niedowiarstwo.

– A dlatego, panie, że skoro *krew była w całym kraju egipskim*, to znaczy, że znajdowała się ona nie tylko w rzece Nil, ale także – zgodnie z tym co

zapowiedział sam Najwyższy – we wszystkich innych rzekach tego kraju, we wszystkich jego kanałach, stawach i wszelkich zbiornikach wodnych, a nawet we wszystkich naczyniach drewnianych i kamiennych, w których zastąpiła wodę. Ten, który prowadzi drogą prostą ku światłu, nie może przecież kłamać. Toteż czarownicy egipscy nie mieli już czego zamieniać w krew, mogli sobie co najwyżej zamienić z powrotem krew w wodę, tylko że o tym nie ma w Torze ani słowa. Nie ma w niej zresztą również ani słowa o tym, żeby uczynili to przedtem Musa i Harun, co podważa dalsze słowa tej księgi, mówiące o tym, że po siedmiu dniach rzekł Pan do Mojżesza: *Powiedz Aaronowi: Wyciągnij rękę i laskę na rzeki, kanały i stawy i wprowadź żaby do ziemi egipskiej. Aaron wyciągnął rękę swoją na wody Egiptu, wyszły żaby, i pokryły ziemię egipską*⁷⁸. A ja się pytam, panie, skąd, u diabła, w rzekach, kanałach i stawach Egiptu wzięła się znowu woda, siedem dni wcześniej zamieniona w krew (być może nawet zamieniona w nią podwójnie, jeśli dopuścić jedyną rozsądną wykładnię sztuczki egipskich czarowników, a mianowicie tę, że zamienili oni w krew tę krew, w którą Aaron zamienił wcześniej wodę, choć – na Allaha! – nie wiem doprawdy, co miałoby być w tym cudownego?). Jeśli jednak, ani Harun, ani egipscy czarownicy, nie zamienili z powrotem krwi w wodę, to co, u diabła, w pełnych krwi rzekach, kanałach i stawach Egiptu robiły żaby?! Przecież bez natychmiastowej zamiany krwi w wodę musiały wszystkie wyginać, podobnie zresztą jak sami Żydzi i Egipcjanie, ponieważ oprócz wielbłąda żadna żywa istota nie jest w stanie wytrzymać bez wody więcej niż kilka dni!

– W porządku – rzekłem. – A co dziś płynie Nilem? Krew czy woda?

– Oczywiście, że woda – odparł Yusuf.

– I tu cię mam, Yusufie! Oto najlepszy dowód, że wbrew twoim obawom, ktoś – może Musa, może Harun, może egipscy czarownicy, a może sam Pan Bóg – zdążył jednak w ostatniej chwili zamienić krew w wodę i zapobiec w ten sposób ogólnej katastrofie. Tyle, że pewnie znowu zapomniano o tym napisać.

– Być może. Tylko cóż to u licha za Święta Księga, w której co i rusz zapomina się napisać o tym, co najważniejsze, za to nigdy nie szczędzi się czytelnikowi tysięcy nużących i zgoła zbędnych szczegółów? Weźmy choćby opis Świętego Przybytku, jaki Ten, który sam wznosił wysoko sklepienie nieba, zaciemnił noc i utwierdził solidnie góry, kazał zbudować Mojżeszowi. Z jakąż to niezrównaną rzetelnością i skrupulatnością wylicza się tam a to kozią sierść, a to baranie skóry barwione na czerwono, a to skóry delfinów (swoją drogą ciekawe, skąd Hebrajczycy wzięli je na pustyni?), a to dokładne wymiary Arki, a to z czego mają być zrobione jej drążki, pierścienie i haczyki, a to jak grube powinny być listwy stołu z drzewa akacjowego, a to ile ramion i jaki kształt powinien mieć świecznik, a to z czego należy sporządzić szczypcę i naczynia do

knotów, a to rodzaje tkanin, jakich wolno było użyć przy budowie owego Przybytku – kręcony bisior, fioletowa i czerwona purpura, i tak dalej, i tak dalej – a to znów jak te tkaniny mają być ze sobą powiązane, w którym miejscu każda z nich powinna być upięta, ile wstążek należy przyszyć do pierwszej, a ile do ostatniej z nich; ile czopów powinna liczyć każda z desek, jak bardzo owe deski powinny do siebie przystawać, i tak dalej, i tak dalej, bez końca!

Ale dobrze, niech będzie, odłóżmy na bok wszystkie te czopy, listwy, wstążki i delfiny, i przyjmijmy dla dobra sprawy, że ktoś – może Musa, może Harun, może egipscy szarlatani, a może nawet sam Najwyższy – zdążył na czas i zamienił z powrotem krew w wodę, dzięki czemu dzieje Hebrajczyków nie zostały przez Haruna przerwane raz na zawsze. Jak pewnie pamiętasz, także cud z żabami został powtórzony przez egipskich magów i dopiero kiedy Harun zamienił proch ziemi w roje komarów, Egipcjanie nagle okazali się bezsilni i po raz pierwszy nie potrafili dokazać tej samej sztuki, co on.

– A widzisz, Yusufie. W końcu musisz przyznać, że istnieje jakaś różnica między prawdziwym cudem a zwyczajną magią, skoro egipskim czarownikom nie udało się powtórzyć cudu Aarona. Cud to cud – stwierdziłem z satysfakcją.

– Nigdy tego nie negowałem. Wątpię jednak, żeby dało się to udowodnić na przykładzie komarów. Jak bowiem zrozumieć, że egipscy szarlatani potrafili zamienić laskę w węża i wywieść z niczego całe chmary żab (zamianę wody w krew lepiej sobie darujmy), a nie potrafili zamienić prochu ziemi w komary? Czymże jedno różni się od drugiego? Niby dlaczego przemiana pyłu w komary miałyby być trudniejsza od przemiany laski w węża i stanowić przeszkodę nie do pokonania dla tak biegłych w swym rzemiośle czarowników?

– A jeśli naprawdę jest trudniejsza? Cóż ty czy ja możemy o tym wiedzieć, skoro nie jesteśmy czarownikami? Logika to logika, Yusufie.

– To prawda. Jednak wiarygodność tego czynu podważają zarówno wątpliwości, które budzą wcześniejsze cuda Musy i Haruna, jak i to, co można wyczytać w Torze o ich późniejszych dokonaniach.

– To znaczy? – zdumiałem się widząc jego upór.

– Jak wiesz, panie, z polecenia Najwyższego czynili oni jeszcze inne cuda przed obliczem Faraona, króla egipskiego. Nękali jego kraj rojami much, wielką zarazą, sadzą z pieca wywołującą wrzody oraz pryszczę na ludziach i zwierzętach, strasznym gradem, grzmotami i deszczem; szarańczą, która pożarła wszelką trawę ziemi i wszelki owoc z drzew, jaki jeszcze ocalał po gradzie; ciemnością tak gęstą, że można jej było dotknąć, a w końcu śmiercią wszystkiego, co było pierworodne w ziemi egipskiej, od pierworodnego syna Faraona, króla egipskiego, po pierworodnego syna niewolnicy zajętej przy żarnach, a nawet pierworodne potomstwo bydła.

– Zgadza się. I co w tym niewiarygodnego?

– A to, że pośród rozlicznych plag, jakie spadły na Egipt, Tora wymienia jeszcze jedną, którą pozwoliłem sobie zostawić na koniec, jako że daje ona najwięcej do myślenia. Otóż podobno Ten, który kocha ludzi czyniących dobro, rzekł do Mojżesza: *Oznajmij to ludowi, ażeby każdy mężczyzna u sąsiada swego i każda kobieta u sąsiadki swej wypożyczyli przedmioty srebrne i złote. A Pan zjednał ludowi łaskę w oczach Egipcjan. Mojżesz także zażywał w kraju egipskim wielkiej czci tak u sług Faraona, jak i u ludu*⁷⁹. Po czym Tora dodaje: *Synowie Izraela uczynili według tego, jak im nakazał Mojżesz, i wypożyczali od Egipcjan przedmioty srebrne i złote oraz szaty. Pan wzbudził życzliwość Egipcjan dla Izraelitów, i pożyczili im. I w ten sposób Izraelici złupili Egipcjan.*⁸⁰ Na niebo ozdobione konstelacjami! Na jutrzeńkę! Na dziesięć nocy! Na dzień przyobiecany! Na podwójne i pojedyncze! – cóż ty na to, panie?! Powiedz mi, jak można wierzyć choćby w jedno słowo księgi, która śmie przypisywać Najwyższemu nie tylko nakłanianie, ale wręcz współudział w czynach tak niegodziwych, jak oszustwo i najzwyklejsza pod słońcem kradzież, dokonana pod pozorem „pożyczki” na dobrodusznych i życzliwie usposobionych sąsiadach?! Bezczelność zawarta w tym oskarżeniu Stworzyciela jest równie wielka, jak ta, która kryje się w haniebnej zaiste historii Ibrahima, któremu Najwyższy miał rzekomo nakazać złożyć sobie w ofierze – bez żadnego dającego się pojąć rozumem powodu – jego ukochanego i niewinnego syna Izaaka. Wierź mi, panie, że dla tego, kto te rzeczy wymyślił i napisał, nie może być wybaczenia ani na tym, ani na tamtym świecie, ja zaś osobiście życzę mu z całego serca, aby nigdy nie wyjrzał z Gehenny i przez całą wieczność pił w niej wrzącą wodę niczym wielbłąd udręczony pragnieniem! – po tych słowach Yusuf wychylił się w siodle do przodu i splunął daleko przed siebie.

– Nie unoś się, nie unoś! – zdobyłem się na pojednawczy ton, widząc jego wielkie wzburzenie. – Może, tak jak w innych miejscach zapomniano napisać o sprawach naprawdę istotnych, tu dla odmiany napisano kilka zdań za dużo?

– Wątpię, panie, bo nie jest to odosobniony przypadek. Księga ta bowiem oczernia Boga oraz wielu proroków i świątobliwych mężów w sposób systematyczny. Powiedz, jak można w ogóle przypuścić, żeby Ten, poza którym nie ma ani opiekuna, ani pomocnika, dręczył bez powodu Ajjuba, żeby ktoś tak święty jak Harun kazał Żydom sporządzić złotego cielca, żeby Lot sypiał z własnymi córkami albo żeby Jakub uzyskał błogosławieństwo swojego na wpół ślepego ojca oszustwem i podstępem, a Ten, przed którym nie ma żadnej ucieczki – zamiast go za to przykładowie ukarać – zaakceptował to bez protestu?

– Przyznaję, Yusufie, że to dużo twardszy orzech do zgryzienia niż wszystkie te twoje trójkąty równoległe, ale myślę także, że ostatecznie w tej Świętej

Księdze zawarte są znacznie ważniejsze rzeczy niż owe drobne potknięcia i niezręczności, które w żadnym wypadku nie powinny nam przesłaniać wielkich oraz wiecznych prawd, jakie za jej pośrednictwem raczono nam przekazać.

– Możliwe. Lecz przyznasz chyba, że trudno ufać w sprawach wielkich temu, kto błądzi i mataczy w małych. Zaufanie to zaufanie – wydał wzgardliwie wargi.

– Dobrze. Wyłumacz mi zatem, dlaczego, jak słyszałem – o ile to oczywiście prawda – także wasz Prorok kazał wam szanować tę Świętą Księgę?

– Szanować, owszem, ale nie ślepo ufać. Zawiera ona bowiem zbyt wiele błędów, nieścisłości i przeinaczeń, by można było odróżnić, co jest w niej prawdą, a co fałszem.

– Jeśli tak – wybuchnąłem – to powiem ci, Yusufie, że jestem całkowicie pewny, że gdyby Żydzi równie uważnie przyjrzeliby się waszej Świętej Księdze, ich wnioski byłyby z pewnością podobne, a może jeszcze surowsze! A najlepszym na to dowodem jest fakt, że choć wy szanujecie ich Świętą Księgę, oni nie szanują waszej.

– Ani waszej, panie, choć wy także szanujecie Torę. Czego więc, twoim zdaniem, miałyby to dowodzić? A jeśli chcesz się przekonać, czy nasza Święta Księga zawiera jakieś błędy i nieścisłości, nic nie stoi na przeszkodzie, żebyś ją przeczytał – dodał obrażonym tonem.

– Póki co, Yusufie, nie potrafię przeczytać nawet własnej. A waszej nawet nie zamierzam. Wystarczy mi to, co słyszałem o waszym Proroku, żeby wyrobić sobie o niej zdanie.

– A co takiego słyszałeś? – zjeżył się mój były sługa.

– To, że prowadził wojny i stał na czele armii, że nawracał mieczem, że napadał na miasta i na karawany kupców, że żądał dla siebie jednej piętnastej części łupów zdobytych podczas tych rozbojów, że nie miał litości dla swych przeciwników, których często kazał mordować, że miał dwanaście żon i setki nałożnic, a także to, skoro jesteśmy przy cudach, że nie uczynił w życiu ani jednego. Nikogo nie uleczył, nikogo nie ożywił, z nikogo nie wypędził demonów, nigdy nie rozmnożył chleba ani wina, a przede wszystkim – nigdy nie zmartwychwstał. Czy to prawda?

– Niezupełnie. Jeśli chodzi o cuda, to chociaż był tylko człowiekiem, rozciął mieczem księżyc na dwoje i sprawił, że drzewo palmowe zapłakało jak dziecko, kiedy nie chciał się pod nim pomodlić. A co do nawracania mieczem, to czyż ty – i tysiące innych chrześcijan – nie jedziecie teraz nawracać siłą muzułmanów?!

– Nie, Yusufie. Nie jedziemy nikogo nawracać, tylko odebrać naszą własność, Grób Chrystusa, naszego Pana i Zbawiciela, którego wolę po stokroć z Jego krzyżem od waszego Proroka razem z jego mieczem. I nic tego nie zmieni.

Dlatego będzie lepiej, jeśli w przyszłości będziemy unikać podobnych dyskusji, albowiem nie wydaje mi się, byśmy mogli uzgodnić do końca poglądy.

– Dobrze – odparł naburmuszony, jednak w chwilę później, jakby koniecznie chciał mieć ostatnie słowo, dodał: – Ale nie wygłaszaj mi tu, panie, mimochodem pochwały nieuctwa. Tak czy inaczej, mógłbyś nauczyć się czytać. To żadna sztuka, a większy z niej pożytek niż z machania bronią.

– Na twoim miejscu nie byłbym tego taki pewien – skwitowałem jego słowa i pokazałem mu ręką grupkę dziwnie wyglądających jeźdźców, którzy wyłonili się właśnie zza zakrętu.

Było ich dziesięciu, ale tylko czterech siedziało normalnie w siodłach. Reszta albo kolebała się bezwładnie z boku na bok w rytm człapania swych wierzchowców, albo zwisała w poprzek z końskich grzbietów bez najmniejszych oznak życia. Kiedy podjechaliśmy bliżej, naszym oczom ukazał się obraz nędzy i cierpienia, mogący poruszyć nawet najtwardsze serca. Pokiereszowane, pokryte grubą warstwą kurzu twarze, obwiązane brudnymi szmatami głowy, podziurawione i rozdarte kolczugi, pęknięte hełmy i pocięte tarcze tych, którzy je w ogóle posiadali, jak również sztywny bezruch tych, którzy zwisali z własnych siodłał niczym upolowana zwierzyna, świadczyły wymownie o tym, co ich spotkało.

Szczegóły poznaliśmy, kiedy jadący na ich czele rycerz – bez hełmu, miecza i tarczy, ale za to ze złamaną prawą ręką – poprosił nas błagalnym gestem o wodę. Gdy zaspokoił swoje pragnienie i podał bukłak innym, powiedział nam w kiepskim *romance*, że tak on, jak i jego ludzie, należeli do oddziału Gotschalka i wracają prosto z Węgier, gdzie barbarzyński władca tego kraju kazał swoim wojskom uderzyć na krzyżowców i wytracił ich bezlitośnie niemal do nogi.

– Jak to? Przecież Węgrzy są chrześcijanami – nie dałem mu wiary po tym, jak przyznał, że należał do kompanii Gotschalka.

– Węgrzy?! – jego zmęczone oczy rozbłyły nienawiścią. – Toż to diabły z piekła rodem, pomiot Belzebuba, bękarty samego Lucypera! Nie mieliśmy co jeść ani pić, więc musieliśmy wydzierać wszystko z gardła tamtejszym chłopom, a kiedy opędzaliśmy się dniem i nocą od tych parszywych wszarzy, zaatakowała nas cała armia. Otoczyli nas, kazali nam złożyć broń, a potem zaszlachtowali każdego, kto się im poddał! I to mają być chrześcijanie?! – podniósł wzrok do nieba, jakby tam szukał pomsty za śmierć swoich towarzyszy.

– A może to kara Boska za to, co zrobiliście w Ratyzbonie? – zauważyłem groźnie, kładąc rękę na głowni miecza.

Dostrzegłszy ten gest, nie odpowiedział ani słowem, tylko przyglądał mi się ponuro spođe łba.

– Czy był też z wami Piotr Pustelnik? – zapytałem nieco łagodniej.

– Nie. My szliśmy osobno – odpowiedział, a potem dodał: – Lepiej zawróćcie, póki czas. Przez Węgry nawet mysz się nie prześliznie!

Ale ja miałem gdzieś jego dobre rady. Odebrałem mój bukłak i ruszyłem bez słowa naprzód, w kierunku, z którego właśnie przybyli. Dopiero po ujechaniu sporego kawałka usłyszałem za sobą tętent kopyt. Kiedy się odwróciłem, zobaczyłem z wielką radością w sercu doszlusowującego do mnie Yusufa, zaś w oddali dopiero co poznanego niemieckiego rycerza, który krzyczał coś w naszą stronę i walił się przy tym zdrową ręką w czoło.

IX

Po tym, co usłyszeliśmy od ludzi Gotschalka, na Węgrzech staraliśmy się przede wszystkim nie rzucać w oczy. Trzymając się z grubsza prawego brzegu Dunaju, woleliśmy niekiedy nadłożyć kawał drogi, byle tylko ominąć ludzkie osady i rzeczne przystanie, a zwłaszcza, trafiające się na szczęście rzadko, zamki i wojskowe kasztele. Kryliśmy się w krzakach nawet na widok pojedynczych wieśniaków czy płynących rzeką tratw lub łodzi, lecz naszym najważniejszym środkiem ostrożności było to, że podróżowaliśmy wyłącznie nocą, zaś dni spędzaliśmy w nadrzecznych chaszczach.

Choć dzięki tej taktyce w ciągu pierwszych dni spędzonych w owym kraju nie spotkaliśmy ani jednego Węgra, Yusuf bez przerwy narzekał. Po zmroku przeszkadzała mu wilgoć i ziąb, za dnia duchota i komary; węgierskie niebo raz było dla niego zbyt zachmurzone, innym razem zanadto blade; rzeka płynęła za szeroko, za to drzewa rosły zbyt gęsto i miały za dużo liści, co powodowało, że za każdym z nich mogła kryć się zasadzka, przy czym wcale nie lepiej działało się na łąkach i polanach, bo tam, nawet w świetle księżyca, byliśmy widoczni jak na dłoni.

Jednocześnie, wyklinając Węgry, mój były sługa wspominał z rozrzewnieniem swoją słoneczną Kordobę, jej oświetlone nocą place i ulice, jej meczety, łaźnie i bazyliki pilnowane przez czujnych strażników wezyra, a przede wszystkim jej biblioteki i księgarnie, pełne wszelakiej mądrości, niedostępnej z definicji dla barbarzyńców, z których ręki spodziewał się wkrótce zginąć, z dala od domu i rodziny, i jakby tego było jeszcze mało, jako męczennik za cudzą wiarę.

Jego narzekania stały się jeszcze głośniejsze, kiedy okazało się, że z tych niewielkich zapasów żywności, jakie zrobiliśmy w Niemczech, została nam tylko resztką ciecierzycy, a z powodu przyjętej taktyki mogliśmy je uzupełniać jedynie o rzepę lub cebulę, które czasami udało się nam ukraść na jakimś polu.

Znużony jego utyskiwaniem zapytałem go któregoś razu przy pieczeniu rzepy, dlaczego wymyśla Węgrów od barbarzyńców, skoro do tej pory żaden z nich nie zrobił nam najmniejszej krzywdy i nawet nie raczył się pojawić, by zakłócić naszą wędrówkę?

– Tego, co jest zapisane w księgach przeznaczenia nie da się zmienić siłą ni podstępem, więc jeszcze zobaczymy – odparł ponuro. – A jeśli chodzi o to, dlaczego uważam Węgrów za barbarzyńców, to zaraz ci to wytłumaczę, panie. Mówiłem ci już kiedyś, że wiele spraw tego świata zależy od klimatu i rzeźby terenu. Otóż uczeni, którzy obrali sobie wszechświat za przedmiot studiów, twierdzą, że Ziemia ma kształt kuli i unosi się na wodzie jak oliwka albo winne

grono. Połowę tej kuli stanowi ląd, przy czym jego część nadająca się do zamieszkania znajduje się głównie na północy i licząc od równika w górę, daje się podzielić na siedem stref bądź klimatów. Wszystkie klimaty mają tę samą szerokość, lecz różnią się, rzecz jasna, pod względem długości. Najdłuższy jest klimat pierwszy, przylegający bezpośrednio do równika, a najkrótszy siódmy, położony na szczycie kuli ziemskiej. Bez wdawania się w subtelności powiem, że każdy z klimatów wywiera ogromny wpływ na wygląd, charakter i zwyczaje zamieszkujących go ludzi.

Zważywszy, że na samym południu jest bardzo gorąco, a na samej północy bardzo zimno, najlepsze do życia są klimaty umiarkowane, zwłaszcza czwarty, wykazujący cechy złotego środka. Doskonałość czwartego klimatu oraz – do pewnego stopnia – klimatu trzeciego i piątego wyjaśnia, dlaczego położone w ich obrębie ziemie stały się kolebką wszelkiej nauki, sztuki, prawa, filozofii, polityki, a także miast i cywilizacji, dlaczego właśnie tam dokonano większości odkryć i wynalazków, dlaczego właśnie tam zbudowano najwspanialsze świątynie i pałace, i dlaczego właśnie tam, a nie gdzie indziej, narodziły się wszystkie wielkie religie.

Akuratność miary, formy i proporcji oraz unikanie wszelkiej skrajności widać także w budowie ludzi zamieszkujących klimaty umiarkowane, w barwie ich skóry, w ich charakterze, w ich naturalnych skłonnościach, talentach i obyczajach, w ich diecie i ubiorach, w sposobie pojmowania przez nich świata, w ich wierzeniach religijnych i w ogóle – we wszystkim. Prawdę rzekłszy, poza strefą umiarkowaną nie powstało nigdy nic godnego uwagi – zakonkludował z najgłębszym przekonaniem.

– A kimże są szczęśliwcy, którzy ją zamieszkują? – zapytałem zciekawiony.

– To mieszkańcy Maghrebu, Egiptu, Syrii, obu Iraków, Arabii, kraju Sind, Indii, Chin oraz Al-Andalus, a także Persowie, Żydzi, Frankowie, Rzymianie i Grecy. W odróżnieniu od nich ci, którzy zamieszkują klimaty oddalone od strefy umiarkowanej, czyli pierwszy, drugi oraz szósty i siódmy, zasługiwaliby jedynie na naszą litość, gdyby właściwa im dzikość i nieumiarkowanie nie tłumili jej już w zarodku.

– Czy aby trochę nie przesadzasz, Yusufie? – nie spodobały mi się jego słowa.

– Nie sądzę, panie. Przyjrzyj się tylko tym barbarzyńcom: mieszkają w lepiankach skleconych z błota, krowiego łajna i patyków bądź też z surowych bali krytych wiązkami słomy. Paradują nago lub ledwie okryci trawą, albo dla odmiany w ciężkich i nieprzewiewnych ubraniach z grubego, szorstkiego sukna, zakutani dodatkowo w futra lub źle wyprawione skóry. Jedzą na w pół surowe mięso bez soli i przypraw, znają zaledwie kilka płodów ziemi, nie wiedzą co to owoce, różne gatunki ryb i innych morskich stworzeń, nie używają pieniędzy,

a pod względem obyczajów nie różnią się zbyt od istot nierozumnych. O Murzynach, zamieszkujących pierwszy klimat, mówi się na przykład, że gnieżdżą się często po jaskiniach i bagnistych dżunglach, żywią się węzami i robakami, a niektórzy nawet zjadają się nawzajem. Podobne historie słyszy się także o Germanach i Słowianach, osiedlonych w szóstym i siódmym klimacie. Dlatego wcale się nie zdziwię, jeśli Węgrzy okażą się nie lepsi.

– Przesadzasz – mruknąłem raz jeszcze, przewracając rzepeę na drugą stronę.

– Obyś miał rację, panie. Wprawdzie w ostatnich czasach wiele z owych ludów zapoznało się z prawdami objawionymi przez proroków, jak choćby Germanie i Słowianie, a także Turcy i mieszkańcy Sahary...

– Oraz Węgrzy – wtrąciłem.

– Oraz Węgrzy, ale spadnie jeszcze dużo deszczu, zanim wyzbędą się resztek barbarzyństwa i nauczą się żyć przyzwoicie.

– A właściwie dlaczego Murzyni są czarni? – skorzystałem z okazji, żeby zadać mu pytanie, które zawsze mnie nurtowało.

– Bardzo ciekawe zagadnienie – pokiwał z uznaniem głową – i w dodatku ściśle związane z tym, o czym przed chwilą mówiłem. Niektórzy genealogiści, opierając się na autorytecie Tory uważają, że Murzyni wywodzą się od Chama i są czarni wyłącznie z powodu klątwy, jaką Noe obłożył ich praojca. Ja jednak jestem zdania, że są czarni z tej samej przyczyny, dla której mieszkańcy szóstego i siódmego klimatu są biali, a nawet trafiają się wśród nich albinosi. Otóż długotrwały, nieumiarkowany czy wręcz skrajny wpływ słońca, które w pierwszym klimacie niemal zawsze stoi w zenicie, sprawia, że skóra mieszkańców tamtych okolic czernieje w sposób naturalny, o czym łatwo możesz się przekonać wystawiając się choćby przez jeden dzień na działanie promieni słonecznych.

Podobnie niskie położenie słońca, zimno i obfite deszcze, charakterystyczne dla szóstego i siódmego klimatu, powodują, że skóra większości Germanów i Słowian ma odcień chorobliwej bladości, nakrapianej co najwyżej piegami, zaś poddana operacji promieni słonecznych przybiera barwę wyjętej z wrzątku krewetki. Z tego samego powodu oczy przedstawicieli tych północnych ludów są przeważnie barwy wodnistej lub jasnoniebieskiej, zaś ich włosy koloru morskiego piasku albo siana schnącego na łące. Nie jest to zresztą brzydkie, zwłaszcza, że tylko w tych plemionach trafiają się prawdziwe blondynki. Wiem coś o tym, bo jedna z moich Słowianek była właśnie tej urody, i muszę ci powiedzieć, że mogłem się w nią wpatrywać całymi godzinami, nie odczuwając przy tym najmniejszej chęci do podejmowania jakichkolwiek dodatkowych działań. Warta była tyle, co dziesięć zwykłych blondynek i zaprawdę nie było dnia, żeby ktoś nie chciał jej ode mnie odkupić albo wymienić na coś innego, czy

też, aby nie błagano mnie o pozwolenie zerknięcia na nią choćby przez chwilę. Oczywiście, jako prawdziwy mężczyzna, którym wtedy jeszcze byłem, nigdy się na to nie zgodziłem.

– I bardzo słusznie, Yusufie. Ale wyjaśnij mi wreszcie, na czym konkretnie polega wpływ klimatu na charakter różnych ludów?

– Proszę bardzo. Weźmy dla przykładu rzeczonych Murzynów. Nieustający wpływ gorąca, jakiemu są poddani, rozrzedza ich ducha, podobnie jak czyni to wino u tych, którzy je pijają, albo wysoka temperatura u tych, którzy korzystają z łaźni, w związku z czym ich natura jest skrajnie ognista, a oni sami są lekkomyślni, skłonni do uciech i zabaw, szczerzy, beztroscy, wylewni i pełni radości. Żyją z dnia na dzień, nie dbając o jutro, lecz nigdy nie mają się za nieszczęśliwych. W przeciwieństwie do nich, ludzie północy, gdzie przez większą część roku jest zimno i ciemno, gdzie spożywa się mało zróżnicowane i ciężkostrawne jedzenie, i pija się bez umiaru różne trunki znacznie mocniejsze od wina, są zazwyczaj ociężali, tak fizycznie, jak i umysłowo, bierni, mało wrażliwi na bodźce, leniwi, żarłocznicy, kłótlivi, skłonni do smutku bez istotnej przyczyny i tylko pod względem łatwowierności przypominają jak dwie krople wody mieszkańców pierwszego klimatu. Jak ci już powiedziałem, żywy umysł, dociekliwość, łatwość przyswajania sobie wszelkich nowości, stateczność, dobre obyczaje i pogodę ducha znajdziesz wyłącznie w klimacie umiarkowanym. Tak samo zresztą jak poczucie bezpieczeństwa, bo tylko tam, gdzie istnieje cywilizacja i dobrobyt, życie człowieka jest warte więcej niż buty czy koszula, które na sobie nosi.

– Więc i tutaj nie masz się czego obawiać. Myślę, że na nasze łachmany nie skusi się nikt w żadnym z siedmiu klimatów. A zresztą, przy mnie nic ci nie grozi. W razie czego sam się przekonasz, co jest pożyteczniejsze: czytanie, czy „machanie bronią”, jak się raczyłeś lekceważąco wyrazić – roześmiałem się po tym wywodzie, a następnie zaprosiłem go na jedzenie, bo nasza rzepa nabrała tymczasem stosownej kruchości.

Yusuf nabił swój kawałek na patyk i dmuchając nań z daleka, pokręcił przecząco głową.

– Nie, panie. Jestem ci bardzo wdzięczny za ochronę, ale nic na świecie nie przekona mnie o wyższości siły nad intelektem.

– Dlaczego? – zapytałem wbijając z rozkoszą zęby w gorące warzywo.

– Dlaczego? Rozejrzyj się dookoła, a sam dojdiesz do wniosku, że na początku wszystkiego czym jest świat i człowiek, musiało być z pewnością słowo.

– Co do tego nie mam najmniejszych wątpliwości – zgodziłem się bez wahania.

– To dobrze. Jednak sama umiejętność posługiwania się słowem, to jeszcze mało. Żeby móc zachowywać i przekazywać słowa w czasie i przestrzeni, a tym samym powiększać wiedzę kolejnych pokoleń, co jest koniecznym warunkiem rozwoju wszelkich społeczeństw, trzeba jeszcze umieć te słowa zapisywać. Tam bowiem, gdzie nie ma pisma, nie ma też cywilizacji ani dobrobytu – stwierdził autorytatywnie, oganiając się wierzbową witką od komarów nie dających nam ani przez chwilę wytchnienia. – I już choćby tylko dlatego powinniśmy szanować wszystkich, którzy potrafią czytać i pisać. A najbardziej uczonych i pisarzy.

– Uczonych i pisarzy? – zdziwiłem się.

– A tak. Oby Ten, który wie lepiej, obdarzał ich swoją łaską i nie odmawiał im nigdy swojego wspomnienia, albowiem są to ludzie uprawiający jedne z najszlachetniejszych zajęć, jakie istnieją na tym padole. Dzięki uczonym wiemy coraz więcej, żyjemy coraz zdrowiej i wygodniej, a świat, chociaż powoli, zmienia się jednak na lepsze. Jakże wysokie i trudne jest ich powołanie, o ile tylko traktują je serio, to znaczy, nie oglądają się ani na poklask, ani na nagrodę, i bez względu na okoliczności stają po stronie prawdy! Na ich chwałę trzeba jeszcze dodać, że prawdziwy uczony żyje tak, jak sławny Al-Mutarriz, filolog z Kairu, który za swoją wiedzę nie wziął nigdy od nikogo złamanego dirhama czy choćby tylko łyka wody, umiera zaś nie inaczej niż niezrównany Al-Djaziz Fath Ibn Chakan z Bagdadu, który zgromadziwszy dziesiątki tysięcy książek ułożonych w stosy wielkie jak piramidy, zginął, kiedy jeden z nich przewrócił się i przygniótł go ciężarem zawartej w sobie mądrości. Co do mnie, to modłę się codziennie o to, aby Ten, który widzi jasno wszystkie swoje sługi, darzył uczonych swoim szczególnym błogosławieństwem aż po Dzień Sądu, kiedy to ludzie staną się podobni do rozproszonych motyli, a góry do różnobarwnej, gręplowanej wełny.

Wszystko, co powiedziałem o uczonych, odnosi się również do pisarzy, którzy pomiędzy ludźmi pióra są tym, czym ptaki Ruch i Feniks pośród stworzeń potrafiących latać. Pisarz jest bowiem okiem innych oczu, uchem innych uszu, myślą innych myśli, pamięcią innych pamięci, a przede wszystkim językiem innych języków. Podobnie jak uczeni, pisarze czynią nam życie nieco lepszym, bo dzięki ich pracy nie musimy w każdym pokoleniu błądzić po omacku, odkrywać wszystkiego na nowo, wyważać otwartych drzwi, uczyć się wyłącznie na własnych błędach i ciskać się jak ślepy wielbłąd w ciemnościach, kiedy staramy się dociec, czym są największe tajemnice, z jakimi mamy do czynienia, to znaczy Bóg, świat i człowiek.

– Szczerze mówiąc, wątpię, żeby akurat oni mieli o tym jakieś pojęcie.

– Oczywiście, że go nie mają, ale zajmując się tymi sprawami więcej od innych, dochodzą w końcu do jakichś wniosków, a wtedy dokładają ziarenko

własnej niewiedzy do wielkiego kopca ziarna w tym samym gatunku zgromadzonego przez swoich poprzedników. Wzięte z osobna, żadne z tych ziaren nic nie znaczą, jednak razem, o dziwo, zbliżają nas do prawdy, do której powinien dążyć każdy pisarz, a przynajmniej dbać o to, by nie zadawać jej zbytniego gwałtu. Czerpiąc z tego wspólnego kopca, pisarze przekazują nam mądrość, rady i przestrogi przodków, zaś dokładając do niego własne ziarna, opiewają bądź ganią czyny swoich współczesnych, sprawują sąd nad światem, utrwalają jego kształt, smak i barwę, a nawet zachowują dla potomności rzeczy tak ulotne, jak gesty, wrażenia, słowa czy uczucia. Pomyśl tylko, jakby to było dobrze, gdyby wędrował teraz z nami jakiś pisarz, a potem opisał wszystko, co przeżyliśmy, zanim sprawy, których byliśmy świadkami, pokryje kurz niepamięci lub rdza przeinaczeń!

– Pewnie, że byłoby nieźle – przyznałem.

– Oczywiście pod warunkiem, że byłby to w miarę znośny pisarz, nie przynoszący ujmy swojemu rzemiosłu – zastrzegł się natychmiast mój były sługa.

– W miarę znośny, to znaczy jaki?

– Nie jestem pisarzem, ani nawet znawcą literatury, więc mogę ci to wyjaśnić tylko z punktu widzenia zwykłego, choć gorliwego czytelnika, za jakiego się uważam. To zresztą nie najgorsza pozycja do obserwacji, jako że pisarze rzadko bywają sprawiedliwi wobec innych pisarzy, zaś ci, którzy żyją z glos i komentarzy do ich twórczości, najbardziej lubią wyszukiwać dziury w całym, tropiąc błędy, skazy i przywary w dziełach, których sami nie potrafiliby napisać. Swoją drogą, pisarz, który przejmuje się ich głosami, przypomina szewca biorącego sobie do serca krytykę kogoś, kto nie odróżnia ćwieka od kopyta, albo krawca zamartwiającego się z powodu uwag kogoś, kto nie potrafi zacerować dziury w gaciach, ale poucza go z wyższością, jak się szyje płaszcz z gronostajów albo sporządza paradny turban z dwudziestu łokci chińskiego jedwabiu. Dlatego jedynym głosem, jaki się w tych sprawach liczy, jest głos czytelników, albowiem to właśnie oni będą nosić lub cisnąć na śmietnik – o ile tylko zaczną ich uwierać albo drażnić w zadek – te buty czy też gacie, które w pocie czoła skroił dla nich pisarz.

Na pytanie, jaki pisarz jest w miarę znośny i nie przynosi ujmy swojemu rzemiosłu, odpowiem ci więc ostrożnie, że ten, który przyznaje każdej rzeczy jej prawdziwą wartość i każdemu zdarzeniu należną mu wagę; ten, który w dążeniu do prawdy traktuje z tą samą powagą tezę i antytezę; ten, który ma własne zdanie, lecz dopuszcza wątpliwości, bo woli bryłę od rysunku i znak zapytania od wykrzyknika; ten, który odkrywa, a nie zakrywa; ten, który uczy, ale nie poucza; ten, który dostrzega sprzeczności w rzekomej harmonii oraz harmonię w rzekomych sprzecznościach; ten, który lubi miód z kolokwintą, więc śmieje się

i płacze równocześnie; ten, który uznaje, że żaden styl, forma czy ozdoby nie są ważniejsze od treści; ten, który jest niezależny, nikomu nie schlebia i nigdy nie liczy na czyjeś łaski; ten, który nie jest zakładnikiem sławy i pieniędzy; ten, który nie idzie pod rękę z duchem czasu, tylko bierze się z nim za bary i ostro mu się sprzeciwia; ten wreszcie, który współczuje ludziom i światu, zawsze bierze stronę pokrzywdzonych, a w najgorszym razie woli być ściganym niż ścigającym. Dodam jeszcze, że w miarę znośny pisarz skłania czytelnika raczej ku dobru niż ku nieprawości i raczej ku refleksji niż ku bezmyślności, jak też odznacza się pokorą ducha, ponieważ wie doskonale, że byli, są i będą pisarze od niego lepsi.

– A o czym pisze taki w miarę znośny pisarz?

– Może pisać o wszystkim, byle ciekawie. Bo każdy w miarę znośny pisarz, czy tego chce, czy nie chce, jest trochę jak człowiek, który nocą zbiera chrust i nieświadomie zgarnia wszystko, co mu wpadnie w ręce, albo jak pszczoła, która zbiera nektar z różnych kwiatów, w tym również i z takich, gdzie zaglądały już wcześniej setki owadów. Jednak w miarę znośny pisarz, z szacunku dla czytelnika, pisze na ogół o rzeczach istotnych, co oznacza, że musi się tym bardziej pilnować, aby zachować właściwe proporcje, nie pleść byle czego i przede wszystkim nie nudzić. W sumie, można powiedzieć, że w miarę znośny pisarz pisze zazwyczaj o tym, o czym sam by najchętniej przeczytał, gdyby tylko ktoś chciał go wyręczyć i napisał o tym za niego. Ponadto stara się zawsze trzymać tematu i unika jak ognia pisania o sobie.

– Dlaczego?

– Bo to mało kogo obchodzi.

– Dobrze, ale jak najprościej poznać, którą książkę napisał w miarę znośny pisarz, nie przynoszący ujmy swojemu rzemiosłu, a której nie? – zapytałem.

– Po tym, że można ją sensownie streścić.

Po tych słowach zebrałem się w sobie i przełamując wstyd, wyraziłem pragnienie, które narastało we mnie od dawna:

– Yusufie, chciałbym nauczyć się czytać i pisać.

– To wspaniale! – Yusuf zerwał się na równe nogi, odrzucając w krzaki patyk z niedojedzoną rzepą. -Nareszcie! To naprawdę nic trudnego, możemy zacząć od razu! Wiedz, panie, że kluczem do sztuki czytania, podobnie jak i do sztuki pisania, jest znajomość alfabetu, czyli zbioru liter, przy pomocy których oznaczone są wszystkie zgłoski ludzkiej mowy i z których można złożyć wszelkie dające się pomyśleć słowa, jakie łączymy następnie w zdania będące zapisem myśli. Litery alfabetu przypominają ziarna albo nasionka, zawierające w potencji wszelką wiedzę, mądrość i porozumienie, z których wyrastają później potężne, szeroko rozgałęzione, gęsto ulistnione i obsypane owocami drzewa

poznania. Myślę, że nie jest przesadnym twierdzenie, że w dwudziestu paru znakach alfabetu mieści się największa potęga, jaką dysponują na tym świecie synowie Adama. Po pierwsze dlatego, że każda z liter pozostaje w ścisłym związku z Bogiem. I tak, *alif*, pierwsza litera alfabetu, wyglądająca jak strzała szybująca w niebo, wskazuje na Niego bezpośrednio; inne na któryś z Jego głównych przymiotów: *ha* – że jest Przewodnikiem, *dal* – że Sędzią, *ta* – że Świętym, i tak dalej aż po literę *ya*.

Ale to nie wszystko, bo zdaniem wielu mędrców, wszystkie litery łączą się również z którymś z Czterech Żywiołów. Do liter ognistych zaliczają się *alif*, *he*, *tha*, *mim*, *fa*, *sin* i *dzal*; do liter wodnych - *djim*, *zain*, *kaf*, *sad*, *qaf*, *the* i *gain*; z Powietrzem związane są *ba*, *wau*, *ya*, *nun*, *dhad*, *ta* i *dha*; zaś żywiołowi Ziemi odpowiadają litery *dal*, *ha*, *lam*, *ain*, *ra*, *za* i *shin*. Niektórzy uczeni twierdzą ponadto, że litery ogniste są w stanie oddalać bądź leczyć choroby wywołane zimnem, jak różnego rodzaju grypy i przeziębienia, a także, w razie potrzeby, zwiększać moc ciepła, zaś w kombinacji z planetą Mars przydają każdemu odwagi i waleczności, i to zarówno w ataku, jak i w defensywie. Z kolei litery wodne działają leczniczo w chorobach związanych z gorączką, jak choćby febra czy malaria, ponieważ obniżają temperaturę ciała i w razie potrzeby mogą również schłodzić całe pomieszczenie, a nawet spotęgować i rozjaśnić blask księżyca.

Inni uczeni głoszą natomiast, że tajemny wpływ, jaki litery wywierają na wszelkie stworzenia, jest wyłącznie skutkiem odpowiadającej im wartości liczbowej, która wynika z kolei albo z naturalnego porządku liter w alfabecie, albo z tego, że tak właśnie, a nie inaczej, spodobało się tę rzecz rozstrzygnąć Najwyższemu. A ponieważ między wszystkimi liczbami zachodzą ściśle i dające się zawsze wyliczyć relacje, takie same relacje muszą zachodzić również między poszczególnymi literami. Silnie związane ze sobą są na przykład litery *ba*, *kaf* i *ra*, gdyż wszystkie one wyobrażają cyfrę dwa – a to, odpowiednio, w porządku jedności, dziesiątek i setek. Matematyczne związki zachodzące między literami można oczywiście rozbudowywać, bo, dla przykładu, trzy wspomniane litery łączą się także z literami *dal*, *mim*, i *ta*, które w porządku jedności, dziesiątek i setek wyobrażają cyfrę cztery, będącą, z jednej strony, dwukrotnością dwójki, z drugiej zaś, najbliższą dwójce liczbą podzielną bez reszty przez dwa, przy czym, jak wiadomo, dwójka jest zarazem pierwiastkiem z czwórki, a cyfra cztery to nic innego jak dwa do kwadratu.

Oprócz tych prostych i łatwych do obliczenia walorów, niektóre z liter posiadają jeszcze dodatkowe i dość niezwykle właściwości. I tak, wiadomo na przykład, że świat objawiony ma dwa oblicza, jedno widoczne, drugie ukryte. Symbolem pierwszego jest litera *nun*, drugiego litera *kaf*. Wypowiedzenie

spółgłoski *kaf* pozwala nam zedrzeć zasłonę ze świata niewidzialnego. Wypowiada się ją pomiędzy gardłem a językiem...

– Czy mógłbyś mi narysować literę *kaf*? – przerwałem mu zaintrygowany. – Tylko, proszę, bez wypowiedania.

– Mogę i z wypowiedaniem – Yusuf uśmiechnął się szeroko. – Nie sądzisz chyba, że od razu, niczym Sezam, otworzy się przed nami jakiś świat ukryty albo niewidzialny? Do tego trzeba długiej kontemplacji lub specjalnej łaski Bożej.

Nabrawszy powietrza w płuca, wypowiedział niezwykle starannie zgłoskę *kaf*, po czym narysował patykiem na piasku odpowiadającą jej literę, i rzeczywiście, nie wydarzyło się z tego powodu nic szczególnego. Przyglądałem się literze *kaf* dość długo i w skupieniu, obszedłem ją dwa razy dookoła, wypowiedziałem ją kilka razy na głos, starając się naśladować jak najdokładniej ułożenie warg oraz języka zademonstrowane przez Yusufa i odtworzyć bezbłędnie zaklęty w niej dźwięk, a mimo to, choć próby te wypadły całkiem pomyślnie, coś mnie w niej niepokoiło.

– Jest bardzo piękna – powiedziałem w końcu – dziwi mnie jednak, że nigdy dotąd jej nie widziałem.

Yusuf pokiwał głową z kwaśną miną.

– No tak, tego się właśnie spodziewałem. Trudno, jeśli wolisz, mogę cię nauczyć liter chrześcijańskich, choć zapewniam cię, panie, że żadna z nich nie dorównuje urodą ani bogactwem naszym, a o ich ukrytych i niezwykłych właściwościach nic mi nie wiadomo. Litery chrześcijańskie są proste, zimne, oschłe, bez wyrazu, nie ma w nich krztyny fantazji ani ducha i przypominają najprymitywniejsze narzędzia, jakich używają mieszkańcy pierwszej i siódmej strefy klimatycznej, ale i nimi można się od biedy posługiwać. Zwłaszcza że nie podejrzewam cię o zamiar pisania poezji, do czego, jako żywo, zupełnie się nie nadają.

Po czym, bez dalszych komentarzy, zaczął mnie zapoznawać z literami chrześcijańskimi. Ponieważ było ich bardzo dużo – ku mojemu zdumieniu okazało się bowiem, że istnieją zarówno małe, jak i duże – aby nie pogubić się w tej obfitości i jakoś je zapamiętać, postanowiłem za radą Yusufa skojarzyć je sobie z kształtami rozmaitych, dobrze mi znanych figur i przedmiotów. I tak, w ciągu paru dni nieustannego powtarzania i pisania patykiem na nadbrzeżnym piasku, opanowałem nie tylko podobną do grotu literę *A*, przypominającą brzemienneą niewiastę *B*, wygięte na kształt końskiej podkowy *C*, wyglądające jak napięty łuk *D*, groźne w swoim podobieństwie do rohatyny *E*, nieco mniej niebezpieczne, bo podobne do rohatyny z jednym wyłamanym zębem *F*, czy wysmukłe i zakończone ostro jak kopia *I*, ale także przypominające ostrogę *a*, przywodzące na myśl końskie kopyto *b*, nadające się na podkowę jedynie dla

kucyka *c*, podobne do mizdrzącej się ladacznicy *d*, zwinięte w kształt zapinki do opończy *e*, zakończone niczym przekuta na sztorc kosa *f* oraz cienkie i kłujące jak igła *i*. Po kilku kolejnych dniach doszedłem w końcu do wyglądającego jak złamana w dwóch miejscach strzała z – i wtedy zacząłem składać moje pierwsze słowa.

Pisałem je kijem na piasku, układałem z kamyków, rzezałem sztyletem na korze drzew, a nawet wyplatałem ze źdźbeł trawy i cienkich gałązek wikliny. Pierwszym, jakie stworzyłem, było kuszące nie tylko swoją prostotą „*uta*”. Obok niego nagryzmołem patykiem równie niezgrabne „*sub*”. Potem przyszła kolej na „*hierusalem*”, „*iusuf*” i „*mamerqus*”; uwieczniłem także na wielkim węgierskim dębie moje własne imię. A kiedy mój były sługa zdradził mi jeszcze sekret zaczynania, rozwijania i kończenia całych zdań, puściłem się z ochotą na szersze wody i pod jego czujnym lecz życzliwym okiem ułożyłem z białych, starannie wyselekcjonowanych na tę okazję kamyków, moją pierwszą w życiu frazę: „*Nieh bedzie pohwalony Yesus Hristus*”.

Od tej pory pasja konstruowania wciąż nowych i nowych zdań, coraz dłuższych i bardziej skomplikowanych, pochłonęła mnie bez reszty. Układałem je w siodle i przy ognisku, we śnie i w czuwaniu. Wkrótce zdania te zaczęły przetwarzać się w mojej wyobraźni w długie listy do Subh, do Uty, do Mamerkusa, do mojej dalekiej siostry, o której od lat nie miałem żadnej wiadomości, a nawet do mojego wytęsknionego syna, którego zamierzałem dopiero spłodzić. Niczym prawdziwy w miarę znośny pisarz, nie przynoszący ujmy swojemu rzemiosłu, pisałem do nich o wszystkim, lecz zawsze były to sprawy istotne.

Pisałem do nich o tym, co widziałem i czego doświadczyłem za górami, o oblężeniu Hueski, o śmierci króla don Sancha, o Tito, El Latino, Źródle, Al-Muzaffarze i Yusufie, o Raju Ziemskim i o Sądzie Ostatecznym, o Hyperechiosie i Jasiu Monstrancji, o Archaniele Gabrielu i o Małym Piotrze, o zmartwychwstałym Denisie i innych spotkanych po drodze ludziach, o tym, że ziemia jest kulą i unosi się na wodzie jak oliwka albo winne grono, o tajemnicy śmierci Matuzalema i o tym, dlaczego Murzyni są czarni, ale także, a może przede wszystkim o tym, czego nigdy nie potrafiłem wypowiedzieć na głos i co zawsze skrywałem głęboko w sobie, kiedy jeszcze byliśmy razem i można było bez żadnych przeszkód obdarzać się nawzajem rozmową. Nie wspomniałem im tylko ani słowem o mojej ekskomunie, bo było to dla mnie zbyt bolesne i nie chciałem przysparzać także im zgryzoty.

Moja korespondencja z pewnością nie była ani tak piękna, ani tak wyszukana, jak listy pisane ongiś przez ojca Yusufu, ale także jej nie brakowało głębi, szczerości i siły wyrazu. Poza tym wszystko, co potrafiłem wyrazić na piśmie,

przewyższało tak bardzo zgrzebność mojej mowy, że wkrótce nie miałem już wątpliwości, że w twierdzeniu Yusufa, jakoby w dwudziestu paru znakach alfabetu mieściła się największa potęga, jaką na tym świecie dysponują synowie Adama, nie było ani krzty przesady.

Zajęty moją korespondencją musiałem stać się dla Yusufa wyjątkowo nudnym towarzyszem podróży. Kiedy próbował do mnie zagadywać lub zadawał mi jakieś pytanie, najczęściej zbywałem go półsłówkami, nie zawsze dorzecznymi, albo, po prostu, upartym milczeniem. Na ziemię sprowadził mnie dopiero wtedy, gdy któregoś dnia stanął przede mną z kociołkiem gotowanej ciecierzycy i oświadczył z grobową miną, że to jej ostatnia porcja i że od tej chwili nie mamy już nic do jedzenia!

W jak wielkie przygnębienie wprawiły mnie jego słowa, pojmie tylko ten, kto chociaż raz w życiu spróbował ciecioriki i rozsmarował językiem o podniebienie miąższ jej niekształtnych kulek o barwie złota – nie za miękki i nie za twardy, nie kleisty i nie łupliwy, zwarty i sypki zarazem jak żółtko jajka na twardo, na pozór jednorodny, a przecież składający się z łatwo wyczuwalnych, drobnych gruzełków, i tak nasycony treścią, że nie można się od niego w ogóle oderwać! Cóż jednak mogliśmy zrobić? Zjedliśmy resztkę ciecierzycy w ponurych nastrojach, zaś następnej nocy szukaliśmy na próżno jakiegoś pola z rzepą lub cebulą.

Nic dziwnego, że kiedy o świcie zatrzymaliśmy się na biwak, z głodu nie mogliśmy zasnąć. W pewnym momencie, przewracający się dotąd z boku na bok Yusuf zerwał się z legowiska i wykrzyknął tryumfalnie:

– Ależ z nas głupcy, panie! Skręcamy się z głodu, a jedzenie jest tuż, tuż!

– Gdzie? – zapytałem z nadzieją.

– W rzece. Wystarczy mieć wędkę. Kijów i robaków jest tu pod dostatkiem, linkę da się zrobić z końskiego włosia, ciężarek z kamienia, kłopot tylko z haczykiem.

– To żaden kłopot – zerwałem się i ja, zachwycony jego pomysłem. – Haczyk można zrobić z zapinki opończy.

Po godzinie gorączkowej pracy, wędka była gotowa. Ukopaliśmy sztyletem trochę robaków i zasiedliśmy w napięciu nad wodą. Ryby jednak nie brały, być może z powodu upału. Do południa złapaliśmy tylko trzy marne okonki, a kiedy wreszcie, po długim oczekiwaniu, wzięła jakaś większa sztuka, od razu złamała czubek wędziska, który zniknął w Dunaju razem z linką i haczykiem z zapinki opończy!

Klnąc każdy w swoim języku, zabraliśmy się za sporządzanie nowej wędki. Yusuf zaczął skręcać znacznie mocniejszy sznur, ja natomiast wybrałem się na poszukiwanie grubszego kija. Na położonym nieco w górę rzeki cypelku

znalazłem odpowiednią gałąź i właśnie obcinałem mieczem jej boczne pędy, kiedy zza szuwarów wychynęła nagle duża łódź z dwoma rybakami w obszarpanych koszulach. Była dość obciążona i płynęła z prądem wprost do mojego cypelka. Żeby Węgrzy mnie nie dojrżeli, schowałem się natychmiast za drzewem, lecz kiedy dobili do brzegu i zobaczyłem, że w łodzi mają ryby, nie wytrzymałem, wyszedłem z ukrycia, zamachałem do nich ręką i zawołałem w *romance* (nic lepszego nie przyszło mi bowiem do głowy), czy nie mogliby nam paru odstąpić? Oczywiście nie zrozumieli mnie, za to mój widok tak ich przeraził, że zaczęli gorączkowo spychać łódź z powrotem na wodę, na co rzuciłem się pędem w ich stronę, wymachując przy tym mieczem. Wtedy wpadli w prawdziwy popłoch i nie czekając na dalszy rozwój wypadków, porzucili swój dobytek i uciekli co sił w nogach do lasu.

Jak się okazało, łódź była wypełniona rybami niemal w połowie! Nie posiadając się z radości, wciągnąłem ją z trudem na brzeg i zacząłem nawoływać Yusufa.

Kiedy mój były sługa wreszcie się zjawił, pokazałem mu moją zdobycz i zapytałem z dumą:

– No i co powiesz? Dalej uważasz, że machanie bronią nie przynosi żadnego pożytku?

A potem poprosiłem go, oniemiałego z wrażenia, żeby sprowadził na cypel nasze konie i rzeczy, sam zaś przysiadłem na burcie łodzi, aby przypilnować naszego posiłku.

W łodzi tymczasem trwał Taniec Śmierci. Pojednani ostatecznym Rozejmem Bożym, leżeli obok siebie, pod sobą i na sobie niedawni prześladowcy i ich ofiary, śmiertelni wrogowie i odwieczni rywale. Przywarci do siebie bokami, napierający jeden na drugiego wyprężonymi grzbietami i rozdętymi skrzelami, spod których sączyła się krew zmieszana z wodą, skąpani w śluzie i osoczu, nie odczuwali już wobec siebie żadnej wrogości, respektu czy obaw. Obok smukłych jak polana drew, zębatych szczupaków i stroszących na próżno swe kolce sandaczy, spoczywały bezbronne płocie o łagodnym i wiecznie zdziwionym spojrzeniu, garbate leszcze pokryte lepką pianą, walcowate sumy o obwisłych wąsach, tak silne i nieustępliwe w wodzie, a teraz niezdolne unieść ciężaru własnego ciała. Były tam też giętkie i ruchliwe węgorze – arcymistrzowie długiego konania – a nawet dwa małe jesiotry, wyglądające jak rycerze w zbrojach wzmacnianych nitami.

Przez dyszące trzęsawisko ich skłębionych ciał – jeszcze podrygujących albo już stężyłych – mieniające się barwami złota, srebra, miedzi i grynszpanu, przebiegały raz po raz fale skurczów, wstrząsów, drgawek i dygotu. Niekiedy potężne chłaśnięcie czyjś ogona, czyjś rozpaczliwy wysięk, by choć na

chwile wygrzebać się spod zwałów żywych i martwych, wydostać się na wierzch i zaczerpnąć łyka zabójczego powietrza, naruszały gwałtownie chybotliwą równowagę. Na szczycie ofiarnego stosu pojawiały się wówczas czyjeś inne zamglone oczy, czyjeś inne zachłanne bądź zobojętniałe już na wszystko pyszczki i rozpostarte bezradnie płetwy, po czym kolejny przedśmiertny skurcz albo równie silna żądza życia objawiająca się gdzieś w środku rozedrganego usypiska, wywracały ponownie całą konstrukcję, często grzebiąc przy tym w najniższym kręgu piekła tych, którym na moment udało się ujrzeć niebo.

Pod względem majestatu Taniec ten przewyższał wszystko, co widziałem na polach bitew. Nikt tu nie jęczał ani się nie skarżył. Nikt nie wzywał matki, żony ani dzieci. Nikt nie zamęczał zdrowych niemożliwymi do spełnienia prośbami. Nikt nie ofiarowywał za ratunek nieistniejących skarbów, ukrytych rzekomo w obozie, a tym bardziej tych, które faktycznie posiadał – wyszczerbionego miecza, pary zdobycznych butów, garści kradzionych monet czy starej, zawszonej opończy. Nikt nie błagał, żeby go dobić. Nikt nie próbował przypomnieć sobie dawno zapomnianej modlitwy, nikt nikogo nie przeklinał, nikt nie złorzeczył Niebu i nikt nie próbował paktować z Diabłem. Nikt wreszcie nie był na tyle głupi i żaloszny, by wciskać sobie z powrotem do brzucha wypełzłe na zewnątrz wnętrzości czy też zatykać palcami krew buchającą z rany. W łodzi odchodzono z tego świata z godnością i honorem, dyskretnie i z większą *pompą funebris*, niż czynią to zazwyczaj istoty znacznie wyższe, nie pozbawione przecież rozumu i duszy.

Z wolna kroki i figury Tańca wykonywano coraz rzadziej, słabiej i ciszej, albowiem jego uczestnicy, coraz bardziej zmęczeni i zrezygnowani, opuszczali po kolei taneczny krąg, by wycofać się definitywnie w głąb siebie. Tu i ówdzie tańczono jeszcze, a raczej drobiono resztką sił, ten i ów spośród tancerzy zdobywał się jeszcze na jakiś wysiłek, wykonując ledwie dostrzegalny ruch płetwą albo wypychając ze skrzeli jeszcze jedną kroplę krwi lub bańkę powietrza; od czasu do czasu dawało się jeszcze słyszeć tarcie łuski o łuskę bądź pojedyncze plaśnięcie ogonem, ale stopniowo ruchy nawet najsilniejszych i najwytrwalszych tancerzy stawały się coraz wolniejsze, coraz mniej płynne i wyraziste, coraz bardziej przypadkowe i nieprzewidywalne. Rytm Tańca rwał się i zacinał, potem zaczął zamierać, aż wreszcie wybrzmiał ostatni akord i Taniec Śmierci ustąpił miejsca jej Tryumfowi.

Nie otrząsnąłem się jeszcze z wrażenia, jakie zrobiło na mnie to misterium, kiedy – jakby na dowód tego, że śmierć nie jest rzeczą ostateczną, gdyż tak naprawdę niczego nie kończy, a może tylko po to, by udzielić lekcji truchlejącym z jej powodu sercom – Tryumf Śmierci zaczął przechodzić z kolei w Karnawał Życia.

Najpierw, nie wiadomo skąd, pojawiła się samotna mucha. Zatoczywszy trzy zwiadowcze kręgi, wylądowała ostrożnie na grzbiecie dorodnego leszcza, po czym podreptała na ugiętych nogach w stronę jego odchylonej pokrywy skrzelowej, za którą przepadła mi z oczu. Po niej nadleciało pięć czy sześć innych. Te, ze znacznie większą śmiałością, zaczęły przebiegać na wypródki martwe ciała, aż w końcu każda z nich zatrzymała się na dłużej w wybranym przez siebie miejscu, gdzie życiodajna mieszanina krwi, śluzu i osocza musiała występować w szczególnej obfitości. Nie zdążyły jeszcze dobrze nasycić głodu, kiedy zaczęły zlatywać się chmary następnych, a razem z nimi roje os, bąków, komarów, gzów, ważek i innych owadów. Wkrótce było ich tyle, że wnętrze łodzi wypełniło się bzykiem, buczeniem, brzęczeniem i wizgiem. Jakimś sposobem do uczty przyłączyły się także legiony mrówek.

Nadmiar uczujących wywołał od razu szaleńczą krzątanicę, nieustanne bieganie w tę i we w tę, zaciekle dreptanie w miejscu i nagłe podfruwanie w górę, wzajemne kradzieże i przepędzanie się z upatrzonych pozycji, przede wszystkim jednak zachłanne wgryzanie się w świeże mięso, nakłuwanie go, cięcie, rycie, prucie i wyszarpywanie z niego najsmaczniejszych kąsków, a także zapamiętałe ssanie, chłeptanie, siorbanie, lizanie i nurzanie się w wydzielanych przez nie sokach. Najadłszy się i napiwszy do syta, co zapobiegliwsi i bardziej dalekowzroczni z biesiadników starali się wyprzedzić innych w składaniu pośród jadła swoich jajeczek, co miało zapewnić Karnawałowi Życia kontynuację także po ich śmierci.

Pewnie przyglądałbym się dalej temu pandemonium i prefiguracji naszego własnego losu, gdyby nie Yusuf, który wróciwszy z naszymi końmi i rzeczami, rozpałił szybko ognisko i wiechciem wikliny rozpędził ów sabat czarownic na cztery wiatry. Głodniejszy widać ode mnie, zaczął wybierać z łodzi co ładniejsze ryby i sprawiać je czym prędzej na trawie. Spod ostrza sztyletu tryskały strugi srebrnych i złotych łusek, obcięte łby, ogony i ociekające krwią wnętrzności wracały łukiem z powrotem do rzeki i już wkrótce na wielkim, płaskim kamieniu, z którego mój były sługa sporządził wygodny ruszt, zabrakło wolnego miejsca.

Kiedy ryby doszły w żarze, rzuciliśmy się na nie tak, jakby i nam udzieliło się szaleństwo owadów. Nie bacząc na oparzenia, rozrywaliśmy ich ciała palcami, wgryzaliśmy się w ich mięsiste grzbiety, wysysaliśmy ich soki, pluliśmy wokół ościami i resztkami łusek, aż w końcu z przejedzenia ledwie mogliśmy się ruszać. Mimo to przygotowaliśmy i zjedliśmy jeszcze jedną porcję, po czym zapadliśmy w ciężką drzemkę, pokonani przez obżarstwo.

Spaliśmy do wieczora. Obudził nas dopiero fetor rozkładających się w upale ryb, których sporo pozostało jeszcze w łodzi, a także wrzask szarych rybitw

walczących w niej zaciekle o co lepsze kawałki rybiego mięsa, wyrrywających je sobie nawzajem i strzykających gdzie popadło białymi odchodami.

Smród i hałas były tak nieznośne, że postanowiliśmy wyruszyć czym prędzej w drogę, bez czekania na zapadnięcie zmroku. Zanim jednak zdążyliśmy zwinąć obóz, otoczyło nas nagle sześciu węgierskich żołnierzy uzbrojonych w łuki i włócznie. Towarzyszyło im tych samych dwóch rybaków, których pozbawiłem połowu. Ci podbiegli od razu do swojej łodzi i zaczęli głośno pomstować. Jeden z żołnierzy, zapewne dowódca, wykrzyczał pod naszym adresem kilka niezrozumiałych słów, po czym nakazał mi gestem, żebym wyjął miecz i rzucił go na ziemię. Kiedy wykonałem jego polecenie, wystraszony Yusuf szepnął do mnie z wyrzutem:

– No i masz, panie, pożytki z machania bronią!

Wtedy sięgnąłem ostentacyjnie po moją sakiewkę, otworzyłem ją i wyciągnąłem zachęcająco w kierunku obu wieśniaków. Młodszy z nich podszedł do mnie ostrożnie i z nabożnym skupieniem zanurzył dłoń w moim trzosie. Długo gmerał w nim i przebierał, aby w końcu wyjąć z niego trzy dirhamy, wziąć je na ząb, wrzucić je do swojej płóciennej torby, po czym, jakby tego było mało, sięgnął bezczelnie po trzy następne, podczas gdy we mnie rosło coraz boleśniejsze przekonanie, że droższych ryb niż na Węgrzech nie ma na całym świecie! I bez wątpienia wyzułby mnie ów szelma do reszty z całej gotowizny, gdyby nie starszy nad żołnierzami, który w końcu ostro na niego huknął, pohamowując w samą porę jego zachłanność. Schowałem czym prędzej wychudłą sakiewkę i już miałem podnieść z ziemi mój miecz, kiedy ostrzegawczy okrzyk któregoś z żołnierzy osadził mnie z powrotem na miejscu. Ich dowódca pokazał nam ręką, że mamy pójść z nimi, a kiedy próbowałem protestować, wskazał kilkakrotnie na krzyż zdobiący moją opończę. W chwilę później węgierscy żołnierze zabrali nasze konie i mój miecz, i popędzili nas bez słowa przed sobą.

Po godzinie marszu dotarliśmy do położonego na wzgórzu, niewielkiego fortu z drewnianych bali, skąd dwudziestu lub trzydziestu zbrojnych mogło z powodzeniem kontrolować całą okolicę. Miałem nadzieję, że tam nasze położenie wyjaśni się, ale nikt nie miał zamiaru z nami rozmawiać. Od razu zaprowadzono nas do wilgotnego loszku i jedyną uprzejmością, jaką nam wyświadczono, było wstawienie do celi dzbana świeżej wody. Po tym, jak moje długotrwałe walenie pięścią w drzwi nie przyniosło żadnego rezultatu, ułożyłem się zrezygnowany na przegniłej słomie, rozrzuconej z rzadka na brudnym klepisku i dałem upust mojej goryczy:

– Chyba miałeś rację, Yusufie, Węgrzy to nie chrześcijanie. Niech ich wszyscy diabli!

Ale Yusuf, którego moje słowa wprawiły w jeszcze większy niepokój, wyraził niespodziewanie odmienną opinię.

– Mam nadzieję, że się mylisz, panie. Co do mnie, to ufam głęboko, że lepszych, przykładniejszych i wierniejszych uczniów Isy Ibn Maryam niż Węgrzy, nie ma na całym świecie.

– Ufasz czy tylko chcesz ufać, Yusufie? – zachnąłem się na niego. – Jak możesz ich bronić? Czyż nie uwięzili nas bez istotnego powodu?

– Ja ich nie bronię, tylko pocieszam się, że całej prawdy nie znamy ani o Węgrach, ani o nikim innym. Ileż razy bowiem bierzemy fałszywych chrześcijan za prawdziwych i odwrotnie, czy prawdziwie wierzących za niewiernych i na odwrót? Ile razy bierzemy złych za dobrych, sprawiedliwych za niegodziwych, cnotliwych za łotrów, i tak dalej? Problem w tym, że widzimy tylko tyle, ile dano nam zobaczyć, i słyszymy tylko tyle, ile pozwolono nam usłyszeć, a na domiar złego, najchętniej osądzamy innych własną miarą, która jest najbardziej zawodną ze wszystkich. Można powiedzieć, że przypominamy pod tym względem sławnego synka wezyra, ale skoro przyszło już nam budować na tak niepewnym gruncie, to przynajmniej budujmy na nim z ufnością i nadzieją, że prawda jest o wiele lepsza, niż się nam wydaje. Bo los to twierdza solidna i póki co, nikogo jeszcze nie zawiódł.

– O jakim synku wezyra mówisz?

– O tym, który z rozkazu pewnego kalifa został uwięziony razem ze swoim ojcem, kiedy był jeszcze bardzo mały. Gdy trochę podrosł, zapytał ojca, cóż to za mięsem karmiono ich codziennie. Ojciec wyjaśnił mu, że było to mięso barana, po czym opisał mu wygląd tego zwierzęcia. Kiedy skończył, syn stwierdził: „Rozumiem, baran to coś podobnego do szczura, czyż nie tak?”. – „Ależ skąd! – odparł na to ojciec. -Istnieje wielka różnica między baranem a szczurem”. Podobne rozmowy toczyły się między nimi także wtedy, gdy podawano im wołowinę lub mięso kurczaka. Rzecz w tym, że jedynymi zwierzętami, jakie ów nieszczęsny chłopiec widział w życiu, były szczury, toteż uważał, że wszystkie inne muszą być do nich podobne. Może i ty, panie, dostrzegasz szczury tam, gdzie ich wcale nie ma?

– Oby tak było – mruknąłem w odpowiedzi, zdumiony jego słowami.

Nazajutrz okazało się, że mój były sługa miał rację. Około południa wezwano nas do komendanta fortu, który wrócił właśnie z niedalekiego Ostrzyhomia. Komendant – żyłasty mężczyzna, zdradzający każdym gestem charakter twardego wojaka – przyjął nas w towarzystwie sędziwego kapelana, którego kulawa łacina pozwalała nam jakoś się porozumieć, i zapytał nas od razu, czy mamy coś wspólnego z bandami Gotschalka i niejakiego Volkmara, rozbitymi niedawno przez wojska węgierskie? Po mojej przeczącej odpowiedzi opisał

w krótkich słowach gwałty, rabunki, kradzieże, burdy i inne nikczemności, włącznie z wbijaniem na pal miejscowych wieśniaków, jakich dopuściły się w jego kraju zastępy obu tych niemieckich rycerzy. Następnie, pochwaliwszy mimochodem uczciwość mojego postępowania wobec miejscowych rybaków, zapytał, czego szukamy na Węgrzech, ponieważ ma stanowcze rozkazy swojego władcy, króla Kolomana, aby nie zezwalać zbrojnym przybyszom z Zachodu na wałęsanie się samopas w granicach królestwa Arpadów.

Kiedy odpowiedziałem mu, że naszym jedynym pragnieniem jest przemierzyć je jak najszybciej w drodze do Konstantynopola i Ziemi Świętej, albo dołączyć do armii Małego Piotra, która wkroczyła na Węgry parę tygodni wcześniej, przez chwilę naradzał się żywo z kapelanem, a potem uśmiechnął się do nas i rzekł:

– Jeśli się nie mylę, Mały Piotr, z którym nie było większych kłopotów, jest już w Bizancjum lub właśnie do niego dociera. Z chęcią pozwolę na to i wam, o ile dasz mi rycerskie słowo, że dokonacie tego bez dotykania stopą węgierskiej ziemi. Nie mogąc wam przydać eskorty, tylko w ten sposób nie złamię instrukcji mojego miłościwego władcy.

– No cóż – skrzywiłem się. – Z przyjemnością złożę takie zapewnienie, pod tym wszakże warunkiem, że wyposażyś nas najpierw w skrzydła.

– To nie będzie konieczne – roześmiał się z własnego żartu. – Wsadzimy was na jakąś tratwę albo barkę i tak dopłyniecie do samej Grecji. Przysięgnij tylko, że w żadnym wypadku nie zejdziecie na ląd po naszej stronie.

– Przysięgam! – odparłem na to z ulgą i wielką radością.

Zadowolony z tej odpowiedzi komendant wyciągnął do mnie prawicę, a potem zaprosił nas na obiad, podczas którego mieliśmy okazję skosztować wielu węgierskich przysmaków. Zaś o świcie, zaopatrzeni przez niego w wielki wór prowiantu i spory zapas siana dla koni, udaliśmy się pod strażą żołnierzy nad Dunaj, gdzie na przystani, pośród paru innych, czekała już na nas tratwa, którą mieliśmy popłynąć w dół rzeki.



X

Podróż tratwą, przewożącą ładunek soli, skór i futer z Górnych Węgier, okazała się bardzo przyjemna. Bez trzęsienia się godzinami w siodłach, bez żmudnego oporządzania koni, bez pracochłonnego rozbijania i zwijania obozowiska, pokonywaliśmy codziennie znacznie większy szmat drogi, niż udałoby się nam zrobić wierzchem, a w dodatku mogliśmy solidnie wypocząć i powrócić wreszcie do normalnego rytmu dnia i nocy. Jakże błogo leżało się na wymoszczonym słomą podwyższeniu, gdzie fale Dunaju nie sięgały nawet przy gwałtowniejszych podmuchach wiatru, jak miło zapadało się w drzemkę pod wpływem kołysania się pokładu, jak dobrze spało się nocą w przewiewnej, skleconej z desek budzie udostępnianej nam wieczorem przez załogę, która sama wolała nocować na ładzie, i jaką ulgę stanowiło to, że nie musieliśmy troszczyć się o zdobywanie codziennej strawy ani o wypas naszych wierzchowców, czym za kilka drobnych monet zajmował się na postojach jeden z flisaków!

Choć przybijaliśmy do jednego lub drugiego brzegu nie tylko na noc, bo nasi oryle wykorzystywali każdą okazję, by sprzedać coś ze swego towaru, Yusuf i ja nie zeszliśmy na ląd ani razu. Nawet nasze naturalne potrzeby załatwialiśmy wprost do wody, co wymagało nie lada zręczności i wiązało się ze sporym ryzykiem przy balansowaniu na śliskiej krawędzi tratwy, ale nie chcieliśmy złamać słowa danego węgierskiemu komendantowi, a póki płynęliśmy niemal prosto na południe, oba jednostajnie płaskie brzegi należały do Węgier.

Z osad, do których zawijaliśmy, nasi flisacy, nie gardzący żadnym zarobkiem, zabierali niekiedy pasażerów udających się na targ czy w odwiedziny do sąsiedniej wioski albo trochę dalej w dół rzeki. Ci miejscowi chłopci i rybacy, wiozący ze sobą worki zboża, klatki z domowym ptactwem bądź królikami, kosze ryb i jajek, czasem jakąś kozę lub owcę na postronku, wnosili w naszą podróż sporo ożywienia i byli na ogół bardzo serdeczni.

Na widok odmienności naszych strojów, zwłaszcza mojego rynsztunku i krzyża na oponczy, ten i ów próbował do nas zagadywać, wiele razy częstowano nas chlebem lub podsuwano nam do spróbowania bukłak nieco zbyt cierpkiego jak na mój gust, lecz poza tym całkiem dobrego wina, jednak z żadnym z owych przyjaźnie nastawionych ludzi nie dało się porozmawiać, ponieważ władali oni tylko własnym, przedziwnym, akcentowanym na pierwszą sylabę językiem, z którego nie umieliśmy wyłowić ani jednego znajomego słowa.

Dopiero w drugim tygodniu podróży, kiedy od paru dni płynęliśmy w kierunku wschodnim, a na horyzoncie zaczęły majaczyć góry, na małej, zagubionej wśród lasów przystani wszedł na pokład ktoś, z kim wreszcie można się było dogadać.

Był to niewysoki brunet w średnim wieku o dość wydatnym brzuszku i podkrążonych, rozbieganych na wszystkie strony oczach, których ruchliwość kontrastowała z jego niegoloną od wielu dni twarzą, zdradzającą długotrwały brak snu i wywołane nim śmiertelne znużenie. Lecz co najbardziej przykuwało uwagę w jego wyglądzie, to obszarpane do niemożliwości i porozdzierane w wielu miejscach ubranie, powalane ziemią i Bóg wie czym jeszcze, a zwłaszcza dziwny przedmiot, jaki trzymał nad sobą w ręku – ogromny, upleciony byle jak z wikliny parasol z wysmarowaną na biało dolną obręczą, który z braku jakiegokolwiek pokrycia nadawał się bardziej na wiecierz na ryby niż do osłony przed deszczem czy słońcem. Jedynym bagażem owego cudaka była niewielka słomiana torba, ściszana kurczowo pod pachą.

Po uiszczeniu opłaty za przejazd i omieceniu wszystkich obecnych uważnym spojrzeniem, nowy pasażer udał się niepewnym krokiem na koniec tratwy zajmowany dotąd tylko przeze mnie i Yusufa. Wbrew zwyczajowi nie pozdrowił po drodze nikogo, zatrzymał się za to przy naszych koniach i poklepał je z czułością po pyskach. Ponieważ lubię ludzi, którzy lubią zwierzęta, od tego momentu poczułem do niego odruchową sympatię. Dlatego nieco się obruszyłem zauważywszy, że kiedy usadowił się naprzeciw nas i nie odstawiając ani na chwilę swojego dziwnaczego parasola, drugą ręką wygrzebał z torby coś białego, czym wyrysował następnie na deskach tratwy duży krąg wokół własnej osoby, jedna z płynących z nami kobiet przeżegnała się dyskretnie, zaś najstarszy z flisaków, znacznie bardziej obcesowy, strzyknął głośno śliną do wody. Nasz nowy towarzysz podróży, nie przejmując się tym wcale, sprawdził tymczasem, czy wyrysowany przez niego biały krąg nie ma przypadkiem jakiejś przerwy, poprawił go starannie w paru miejscach, po czym z wyraźną ulgą odłożył na bok dziurawy parasol i choć poranek dopiero się zaczął, ułożył się wygodnie na pokładzie ze słomianą torbą pod głową. W chwilę później spał już kamiennym snem.

Do wieczora, kiedy się zbudził, zostaliśmy na tratwie sami, ponieważ inni podróżni wysiedli w ostatniej z mijanych wiosek.

Zarośnięty obdartus przeciągnął się, rozejrzał się nieprzytomnym wzrokiem po pokładzie, przyglądał palcami rozczochraną czuprynę, przetarł podkrążone oczy, a potem, jakby nagle użądliła go osa, zerwał się na kolana i rzucił się na swoją torbę. Otworzył ją gwałtownym ruchem, zajrzał do środka i dopiero wtedy się uspokoił. Następnie zbliżył do niej usta i wypowiedział kilka słów, których nie zrozumieliśmy, po czym uśmiechnął się z jakąś osobliwą satysfakcją i zapuścił dłoń do jej wnętrza.

Ku naszemu rozczarowaniu, w jego ręku pojawiła się zwykła cebula, nadzwyczaj wprawdzie dorodna, oraz pajda czerstwego chleba. Kiedy z chlebem

w ustach począł obierać cebulę z kolejnych łupinek, działał z takim pośpiechem, że gdy dotarł wreszcie do jej soczystego, zielonkawego jądra, to wyslizgnęło mu się z palców i zgodnie z przechylem tratwy potoczyło się w naszą stronę. I bez wątpienia skończyłoby w rzece, gdybym go nie przydepnął. Tymczasem tamten, zamiast wstać i pofatygować się parę kroków po swoją własność, zaczął kiwać na mnie ręką i pokrzykiwać gburowato, żebym mu ją odrzucił. Ja jednak nadal trzymałem cebulę pod butem. Wtedy człowiek z dziurawym parasolem zmienił ton na bardziej uprzejmy, a przy okazji także i język, bo od tej chwili Yusuf zaczął go rozumieć.

– Prosi, żebyś mu oddał jego cebulę – przetłumaczył mi słowa obdartusa.

– Tyle to i ja rozumiem – wzruszyłem ramionami. – A po jakiemu?

– Po grecku. Znam dobrze ten język.

– To powiedz mu, żeby po nią przyszedł. Nie będę mu usługiwać.

Yusuf przełożył moje słowa na grecki, na co człowiek z bezużytecznym parasolem pokręcił przecząco głową, po czym wskazał ręką na wyrysowany przez siebie biały krąg i burknął coś tym samym co uprzednio, niegrzecznym tonem.

– Mówi, że woli umrzeć z głodu niż ruszyć się z miejsca.

– Tak?! – bezczelność właściciela dziurawego parasola zirytowała mnie tak bardzo, że kopnąłem cebulę za burtę.

Widząc, jak jego skarb oddala się z nurtem Dunaju, gburowaty obszarpaniec jęknął, zerwał się na równe nogi i zaczął głośno pomstować. Uśmiechnąłem się na to i rzekłem do Yusufa:

– Powiedz mu, że nakarmimy go do syta, jeśli nam wyjaśni, co znaczy to koło i dlaczego woli umrzeć z głodu niż je opuścić?

Kiedy Yusuf spełnił moją prośbę, obdartus szybko się uspokoił i odparł po chwili namysłu:

– Dobrze, chodźcie tutaj.

Zadowolony poleciłem Yusufowi wyjąć prowiant, którym obdarzył nas na drogę węgierski komendant i już zamierzaliśmy przekroczyć biały krąg, kiedy siedzący w nim oberwaniec powstrzymał nas gestem dłoni:

– Stójcie! Możecie przekroczyć tę linię tylko wtedy, jeśli nie macie przy sobie żadnego metalu oprócz srebra i złota.

– Złota nie widziałem już od miesięcy – głos zadrżał mi na samo wspomnienie mojego rozpylacza do wody różanej. – A i srebra mamy tyle, co kot napłakał.

– Nie szkodzi. Za to masz, panie, klamrę u pasa, a za pasem sztylet.

Posłusznie odpiąłem więc pas i wraz ze sztyletem złożyłem go na zewnątrz białego kręgu, lecz gdy chcieliśmy wejść do jego środka, tamten znów poprosił,

abyśmy się zatrzymali. Kiedy to zrobiliśmy, ukląkł, złożył ręce jak do modlitwy i wbiwszy w nas nieufny wzrok, wyrecytował:

*Święty Michale niezwyciężony,
Strąć stąd do piekła wszystkie demony!*

Po czym, widząc, że nie zrobiło to nas większego wrażenia, oświadczył z rezygnacją:

– Trudno, wchodźcie.

Przekroczyliśmy białą linię i usiedliśmy obok niego, podczas gdy on rzucił się na nasze jadlo z żarłocznością nie ustępującą w niczym tej, jaka zdumiała nas kiedyś u ludzi Hyperechiosa. Zapasy otrzymane od węgierskiego komendanta topniały w tak zastraszającym tempie, że w pewnej chwili zacząłem żałować mojej niewczesnej ciekawości. Korzystając z tego, że właściciel dziurawego parasola zajął się opróżnianiem naszego bukłaka, przysunąłem ukradkiem worek z prowiantem do siebie i zapytałem zniecierpliwiony:

– Czy zaczniesz wreszcie mówić?

– Zaraz... Spróbuję jeszcze tej kiełbasy. Dawno takiej nie jadłem – wyjaśnił z pełnymi ustami.

I nie czekając bynajmniej na moje pozwolenie, przysunął worek z jedzeniem z powrotem do siebie, zanurzył w nim dłoń, wyjął całe pęto wybornej suszonej kiełbasy, urwał z niego co najmniej połowę i dopóki nie pochłonął swojej zdobyczy bez reszty, nie odezwał się do nas ani słowem. Dopiero kiedy się z nią uporał i zadowolony donośnie beknął, zwrócił się, nie wiedzieć czemu, do Yusufa:

– Widzę, że dobrzy z was chrześcijanie, dlatego proszę, żebyście wybaczyli mi moją ostrożność. W tych stronach, jak to na pograniczu, trzeba bardzo uważać, bo wszyscy się tu nienawidzą i mają nawzajem za heretyków. I może właśnie dlatego odwiecznemu wrogowi rodzaju ludzkiego łatwiej tutaj niż gdzie indziej zdobywać wciąż nowe zastępy gorliwych popleczników. Toteż – ciągnął dalej – pełno tu wodnych i leśnych boginek, strzyg, zmór, dusiołków, upiorów, empuz, wampirów i wszelkiego innego rodzaju paskudztwa.

– Wampirów?! – Yusuf zrobił wielkie oczy.

– I owszem, panie. Są tu równie pospolite jak czarownice czy wilkołaki – wyjaśnił tamten beznamiętnie, sięgając po drugą połówkę mojej kiełbasy. – Wystarczy nie przebić zawczasu zwłok kołkiem albo nie wyrwać z nich serca i nie posiekać go sierpem na drobne kawałki, by w parę chwil później zobaczyć, jak zakradają się chyłkiem do zagrody bądź czatują w krzakach w pobliżu oberży. Bo też i owym duchom przeklętym sprawia taką samą przyjemność wysysanie ciepłej krwi zwierząt i ludzi, jakiej normalnemu człowiekowi dostarcza obłapka z niebrzydką niewiastą lub wypicie duszkiem garnca gorzałki.

– Co za bzdury! – zaprotestował Yusuf. – Nie ma żadnych wampirów, czarownic ani wilkołaków.

– Ho, ho, ho! – zaśmiał się właściciel dziurawego parasola i nieoczekiwanie wyciągnął ze swojej torby glinianą butelkę zatkaną u góry zwitkiem brzozy kory. Potrząsnął nią energicznie i przytknął ją sobie do ucha. Wtedy uśmiechnął się, powtórzył pod nosem „Nie ma żadnych wampirów, czarownic ani wilkołaków!”, a potem, chowając ją w zanadrzu wyśmoruchtanej kapoty, zwrócił się do swojego byłego sługi z jawną drwiną: – Jeśli tak, łaskawy panie, to dlaczego napisano w Piśmie Świętym: *Nie pozwolisz żyć czarownicy* ?⁸¹ Przez pomyłkę czy dla żartu?

– Nie mam najmniejszego pojęcia – stwierdził Yusuf. – Ale co niemożliwe, to niemożliwe.

– Tak? To ja ci powiem panie, że wszyscy, którzy uważają podobne rzeczy za niemożliwe, okazują brak szacunku dla Pisma Świętego i naszej Matki Kościoła. Na tym świecie nie ma rzeczy niemożliwych. Jeśli coś jest sprzeczne z naturą i nie pochodzi od Boga, musi być sprawką Diabła.

– Ja też uważam, że na temat duchów nieczystych pewne jest tylko to, czego naucza Pismo Święte – zgodziłem się z jego punktem widzenia.

– Właśnie – spojrzał na mnie z wdzięcznością. – A skoro, jak dokładnie obliczono, owych upadłych aniołów jest sześć tysięcy sześćset sześćdziesiąt sześć legionów, z których każdy liczy sobie sześć tysięcy sześciuset sześćdziesięciu sześciu diabłów, zgodzisz się chyba, panie – zwrócił się znowu do Yusufa – że w tej liczbie zmieści się również całe to wspomniane plugastwo?

– Nie. Wątpię bowiem, żebyś miał o tym jakieś pojęcie – odparł na to mój były sługa.

– Wątpisz w to?! – obruszył się tamten. – Dobrze! Jak tak, to nic więcej nie powiem.

I z obrażoną miną sięgnął ponownie do naszego worka!

– Chwileczkę! – próbowałem go powstrzymać. – Co do mnie, to wierzę ci całkowicie. Proszę, mów dalej.

Ale właściciel dziurawego parasola tylko posapywał w milczeniu. Dopiero kiedy pociągnął łyk wina i nieco się uspokoił, wbił nieprzyjazny wzrok w Yusufa i oznajmił tonem wyższości:

– Możesz być pewny, panie, że znam się na tych sprawach sześćset sześćdziesiąt sześć tysięcy razy lepiej od ciebie! – jednak po tych słowach jego głos nagle się załamał i dalszy ciąg wypadł niemal żałośnie: – A mógłbym się na nich nie znać wcale, gdyby nie dwie największe pasje mojego życia: kobiety i grzyby!..

– Kobiety? – Yusuf obrzucił go od stóp do głów lekceważącym spojrzeniem.

- Że kobiety, to rozumiem – wtrąciłem i ja – ale cóż mają do rzeczy grzyby?
- Mają, i to dużo. Zawsze miałem do nich więcej szczęścia niż do kobiet.
- To mnie akurat nie dziwi – prychnął z pogardą mój były sługa.
- Grzyby uwielbiałem zbierać i zjadać pod każdą postacią już od małego – niezrażony tym oberwaniec ciągnął tymczasem dalej. – Wierzcie mi, panowie, że od późnej wiosny, gdy wysypują się najwcześniejsze kurki, do pierwszych przymrozków, kiedy przychodzi pora na gąski i opieńki, byłem najszczęśliwszym człowiekiem na świecie. Każdego dnia zrywałem się grubo przed świtem i z koszykiem w ręku pędziłem do lasu. A że znałem go jak własną kieszeń, więc, nie chwając się, codziennie znosiłem do domu istne góry prawdziwków, kozaków, podgrzybków, maślaków...
- I na co ci aż tyle grzybów? – zdumiałem się.
- Jak to na co? Większość na sprzedaż, reszta do zjedzenia.
- Jadłeś codziennie grzyby? – Yusuf skrzywił się z niesmakiem.
- A czemu nie? – właściciel nieprzydatnego do niczego parasola spojrzął na niego zaczepnie. – Wiadomo, że grzyby można jadać codziennie. Jak choćby kurki z mąką i śmietaną, maślaki duszone z jajkiem, kozaki z czosnkiem i pietruszką, smardze faszerowane wieprzową wątróbką, podgrzybki w solance, sznycle z kani, prawdziwki smażone lub jeszcze lepiej – zaledwie osmażane – na rozgrzanym tłuszczu, czy też, dajmy na to, panierowane kapelusze grzyba zwanego sową zapiekane na liściach kapusty, a nawet surojadki i olszówki po wielokrotnym, rzecz jasna, płukaniu. A jeśli ktoś ma ochotę na odmianę, to zawsze może sobie zrobić zupę grzybową, gołąbki z grzybami i kaszą gryczaną, żurek na kielbasie z borowikami, kotleciki lub szaszłyki grzybowe ze słoniną, grzyby w cieście piwnym bądź pierożki z grzybów w mięsnym sosie, a kiedy i to mu się znudzi – zwykłą jajecznicę z grzybami, szczypiorkiem i pietruszką albo zupę z gąsek. A przecież są jeszcze sałatki ze świeżych i kwaszonych grzybów, naleśniki z grzybami, zrazy grzybowe, tymbaliki z różnych grzybów na zimno, pasta z grzybów suszonych, klopsiki z kurek i prawdziwków, kurki na wędzonce z kminkiem, salceson grzybowy, no i oczywiście grzybki w occie, niezastąpione pod wino i rakiję, zwłaszcza jeśli są to prawdziwki, gąski albo rydze... No właśnie, panowie, rydze! Jakże mogłem zapomnieć o rydzach? Toż to najsmaczniejsze grzyby na świecie, mające tylko jedną wadę: po zerwaniu nie wytrzymują, niestety, zbyt długo! Rydze są wyśmienite pod każdą postacią – solone, duszone, kiszzone, marynowane – choć najlepiej smażyć je na patelni, i to wyłącznie na maśle...
- Dostyc! – przerwałem mu ostro. – Przejdźmy lepiej do kobiet.
- Kiedy, panie, w moim przypadku jedno łączy się ściśle z drugim – wyjaśnił zdziwiony moją interwencją.

– Wjaki sposób?

– Zaraz się dowiesz. Prawie rok temu, we wrześniu, jak zwykle wybrałem się przed świtem na grzybobranie. Każdy, kto choć raz w życiu był na grzybach, wie, jak ważne jest znaleźć się w lesie przed innymi. Zwłaszcza tutaj, panowie, gdzie – jak już powiedziałem – każdy na każdego patrzy wilkiem i jeśli ktoś przypadkiem odkryje miejsce, w którym ty od tygodnia albo od dwóch hodujesz sobie kolonię małych prawdziwków lub kozaków, czekając cierpliwie aż podrosną na tyle, by je w końcu zerwać, to nie tylko nie uszanuje twojego znaku na korze czy też, powiedzmy, jedliny, którą nakryłeś owe skarby, ale wyrwawszy z korzeniami wszystko co tam wyrosło, z reguły jeszcze napaskudzi w to miejsce, żebyś powalał sobie ręce!

Znałem w głębi lasu pewną polankę, gdzie na przestrzeni paru kroków rosło chyba ze sto małych podgrzybków, toteż pędziłem jak szalony, żeby sprawdzić, czy pod moją nieobecność nie spotkała ich jakaś krzywda. Kiedy zziajany dotarłem wreszcie na miejsce, stwierdziłem ku mojej radości, że moje podgrzybki mają się doskonale. Nie tylko rosły dokładnie tam, gdzie je pozostawiłem poprzedniego ranka, ale było ich jakby więcej i wyglądały jeszcze wspanialej: cudownie jędrne i pachnące, znów odrobinę większe, ze ślicznie wybrzuszonymi ogonkami, ten i ów z poczerniałym już kapeluszem, a co najważniejsze, opierające się dzielnie ślimakom i żarłocznemu robactwu.

Przeliczyłem je jak co dzień i już zamierzałem zerwać pięć czy sześć najdorodniejszych, kiedy nagle, gdzieś niedaleko, rozległ się kobiecy głos, nucący jakąś taką, ni to smutną, ni to rzewną piosenkę. W trosce o moje skarby skryłem się od razu za sporym jałowcem. Tymczasem kobiecy głos zabrzmiał dużo bliżej. Po chwili, poprzez prześwity między gałęziami, mogłem już dostrzec jego właścicielkę. Była to młoda, piękna dziewczyna o wspaniałych jasnych włosach zaplecionych w gruby warkocz i z koszem grzybów w rękę. Najdziwniejsze było jednak to, że była całkiem naga, a jej koszyk, jak spostrzegłem, wypełniały same zielone i czerwone muchomory. Gdyby nie to ostatnie, pewnie pozostałbym w ukryciu, żeby spokojnie napawać się jej urodą, jednak myśl, że taka piękność mogłaby przypłacić swoją nieostrożność życiem, kazała mi je natychmiast opuścić.

Pomachałem jej na powitanie miętoszonym w rękę kapeluszem. Myślałem, że na mój widok przerazi się, że zacznie krzyczeć albo rzuci się do ucieczki, ale gdzie tam! Nie zmieszała się ani trochę, nie zasłoniła się nawet wolną ręką, tylko odpowiedziawszy mi uśmiechem, powróciła do swojej piosenki.

– Posłuchaj, grzyby, które masz w koszu, są trujące – ostrzegłem ją, starając się patrzeć jej prosto w oczy, choć mój wzrok i tak opadał w dół, ześlizgując się raz po raz ku jej piersiom i jeszcze niżej.

Na te słowa uśmiechnęła się znowu, a potem, jakby mnie nie zrozumiała, odwróciła się i zaczęła się wolno oddalać.

– Błagam, wyrzuć je! – zawołałem za nią, lecz ona wcale się tym nie przejęła. Po chwili, kołysząc biodrami, znikła wśród drzew. Wtedy postanowiłem ją dogonić, ale nie było to takie proste. Bo kiedy zorientowała się, że ją ścigam, puściła się biegiem i nigdy nie mogłem się do niej zbliżyć na mniejszą odległość niż ta, jaka pozwalała dojrzeć w gęstwinie jej białe pośladki! Co ciekawe, kiedy od czasu do czasu zatrzymywałem się dla złapania tchu, ona robiła to samo, siadała bezwstydnie w kukki i nucąc dalej tę swoją przeklętą piosenką, czekała spokojnie, aż odzyskam siły.

Nasza gonitwa trwała dobrą godzinę a może dłużej. Mówiłem już, że znam tutejsze lasy jak własną kieszeń, a jednak w pewnej chwili zdałem sobie sprawę, że nie wiem, gdzie się znajduję. Już chciałem zawrócić, kiedy nagle las się przerzedził i znalazłem się na wielkiej polanie, której nigdy przedtem nie widziałem. Przez jej środek przepływał strumień o krystalicznie czystej wodzie, na jego brzegach rosła bujna, nigdy nie koszona łąka, mieniąca się barwami tysięcy kwiatów, zaś na pagórku, pod wielkim, rozłożystym dębem, stał – czego w tych stronach nie widzi się zbyt często – nadzwyczaj schludny dom, za którym ciągnął się sad owocowy. Jeszcze nie wyszedłem ze zdumienia, kiedy ta, która do tej pory uparcie przede mną uciekała, nagle zatrzymała się, a kiedy do niej podszedłem, rzuciła mi się na szyję i szepnęła:

– Witaj w raju!

W tym miejscu głos właściciela dziurawego parasola zadrżał, zaś on sam zgarbił się i ukrył twarz w dłoniach.

– Witaj w raju? – powtórzyłem za nim jak echo.

– Witaj w raju! – potwierdził zgnębionym głosem. – Tak się dziwka wyraziła.

– I co było dalej?

– Dalej okazało się, że mieszka tylko z psem. Takim dużym, czarnym, z postawionymi na sztorc uszami. Bardzo lubię wszelkie zwierzęta, ale z tym bydlakiem od początku nie przypadliśmy sobie do gustu. Strasznie na mnie warczał i chciał mnie koniecznie ugryźć, ale kiedy na niego krzyknęła, podkulił ogon i uciekł. Potem dała mi jeść: jajecznicę z grzybami, oczywiście moimi...

– Źle mnie zrozumiałeś – zwróciłem się do grzybiarza. – Chodziło mi o to, czy był to naprawdę raj?

Po tym pytaniu nasz rozmówca wyprostował się, spojrzął na mnie, jakby chciał sprawdzić, czy moje słowa nie zawierały jakiejś złośliwej bądź obraźliwej dla niego intencji, później zaś wybuchł niespodziewanie, jakby jakaś przemożna siła kazała mu wyrzucić z siebie długo skrywaną udękę:

– A owszem! Był to prawdziwy raj, przynajmniej przez pierwsze dwa albo trzy miesiące! Bo po posiłku wzięła mnie za rękę i zaprowadziła do swojego łóżka. Miała cudownie piękne ciało i pewnie dlatego nie zwracałem wówczas uwagi na drobiazgi. Na przykład na to, że kiedy się z nią połączyłem, poczułem dziwny chłód, jakbym moje przyrodzenie wsadził zimą w przerębel, mimo to nie wyjąłem go na zewnątrz, dopóki mi całkiem nie zmarzło. Za to – wzniósł rękę do góry dla potwierdzenia swoich słów – przysięgam wam, panowie, że rozkosz, której wtedy doznałem, była tak wielka, tak niezwykła, tak dojmująca i przenikająca z taką siłą każde włókienko mojego jestestwa, że jedyną rzeczą jakiej odtąd pragnąłem, było powtarzać ją możliwie jak najczęściej, w każdym czasie, w każdym miejscu i w każdych okolicznościach. A ponieważ nie była od tego także moja kochanka, za wyjątkiem dni kiedy była nieobecna lub naszała ją jej krwawa przypadłość, czyniliśmy tę rzecz niemal bez ustanku. Kochaliśmy się w dzień i w nocy, o świcie i o zmierzchu, w domu, na podwórzu, w stodole, w sadzie, na polu, w krzakach, w lesie, na łące, w trakcie przygotowywania oraz spożywania posiłków, przy pracy i przy nauce, przy rąbaniu drewna, podczas palenia w piecu, w trakcie prania lub cerowania, przy zbieraniu grzybów, chrustu, ziół albo jagód, na pokrytej rosą trawie, na sianie, na piasku, na kamieniach, a nawet – jeśli akurat naszała nas taka ochota – podczas wspólnych kąpieli w przepływającym obok domu strumieniu. Słowem, zgodnie z moim życzeniem, zawsze i wszędzie, gdzie się tylko dało.

Nadzwyczajna obfitość rozkoszy, której nigdy nie było nam dosyć, doprowadziła nas wkrótce do tego, że musieliśmy wymyślać wciąż nowe igraszki, aby dostarczyć podniety naszym zmysłom, tępiejącym pomału od nadmiaru wrażeń. Tym nowym pieścizom nadawaliśmy różne śmieszne nazwy, składające się na nasz sekretny język. I tak, szczególnie chętnie bawiliśmy się w „Moździerz i tłuczek”, w „Dojenie buhaja”, we „Wbijanie na pal”, w „Gonitwę do pierścienia”, w „Kuchenne wejście”, zwane przez nas także „Tylnią strażą”, w...

– „Wbijanie na pal”, „Moździerz i tłuczek”, nie mówiąc już o „Dojeniu buhaja”, możesz sobie śmiało darować, jako że na milę cuchną zwyczajną rozpustą, ciekawi mnie jednak, na czym miałyby polegać „Kuchenne schody”, a także „Gonitwa do pierścienia”? – przerwałem mu ponownie.

– „Kuchenne schody” albo „Tylnia straż” to rodzaj zabawy w chowanego – wyjaśnił grzybiarz bez cienia skrępowania. – Musiałem ukryć się w jakimś miejscu i starać się zaskoczyć moją kochankę w najmniej spodziewanym momencie. Największą trudność stanowiło to, że ona doskonale wiedziała, które z póż są dla niej najbardziej ryzykowne, więc, żeby nie przegrać, bardzo się ich wystrzeżała. Bywało – dodał z rozrzewnieniem – że całymi godzinami

czatowałem na nią w komórce, za drzwiami albo na strychu, zanim wreszcie odważyła się pochylić nad balią bądź zabrać się za mycie podłogi czy za wygarnianie popiołu z kominka.

– Dobrze, a „Gonitwa do pierścienia”?

– „Gonitwa do pierścienia” to tylko trudniejsza odmiana „Kuchennych schodów”, ze względu na mniejszy cel – objaśnił rzeczowo. – Całkiem jak w strzelaniu z łuku: łatwiej trafić w siódemkę niż w samą dziesiątkę.

– Wspomniałeś także o pracy i nauce – wtrącił zniesmaczony Yusuf. – Ciekaw jestem, coście tak pilnie studiowali?

– Aaa... różne rzeczy... Na przykład znaki – właściciel dziwnego parasola po raz pierwszy wyraźnie się zmieszał, po czym nieoczekiwanie zwrócił się do mnie: – Jaki jest twój znak, panie?

– Baran.

– A twój? – zapytał z kolei Yusufa.

– Bliźnięta.

– Baran, powiadasz? W takim razie twoją planetą jest Mars, twoim żywiołem ogień, a twoją szczęśliwą liczbą siódemka. Kochasz wolność i niezależność, nie cierpisz, jak ktoś ci coś narzuca; kiedy trzeba, nie wahasz się podjąć walki i nigdy się nie poddajesz. Jesteś wymowny i pełen fantazji, szczery, uczciwy, bystry i chętny do nauki, hojny, lojalny i prawy, zdolny do poświęceń i prostolinijny, lecz zarazem porywczy – choć, na szczęście, gniew mija ci równie szybko, jak cię ogarnia – uparty, gruboskórny i dość nieuważny, skłonny do samolubstwa i przechwałek, jak też przekonany o tym, że zawsze masz rację. Zdarza ci się nie dotrzymywać słowa i zapominać o złożonych obietnicach, mimo że nie jesteś małostkowy ani skąpy. Czasem potrafisz być także złośliwy i przykry nawet dla najbliższych. Poza tym jesteś dumny, nawet trochę prózny, lubisz zwierzęta i rybołówstwo, a jeśli nadarza ci się okazja, nie stronisz również od uciech stołu i alkowy.

– Hm... Może to i prawda – przyznałem zaskoczony trafnością tego sądu.

Po tych słowach skłonił się przede mną i zajął się Yusufem.

– Bliźnięta to znak dużo lepszy. Ludzie pod nim urodzeni odznaczają się dobrym sercem, urodą ciała, szlachetnością, dowcipem, szczerością i łagodnością. Z reguły są inteligentni, pomysłowi, wrażliwi, zaradni, mili i życzliwi, mają szczególne zdolności i zamiłowanie do sztuk pięknych oraz do nauki, lubią też podróże i dobre towarzystwo. I choć z zasady nie dążą do bogactw, rzadko popadają w prawdziwą biedę. Ich wadą jest jednak pewna niestałość, lekkomyślność oraz niesolidność, jak również skłonność do zaniedbywania własnych spraw. Ich planetą jest Merkury, ich żywiołem powietrze, zaś sprzyjają im liczby trzy i trzynaście.

– Mylisz się, i to grubo – ofuknął go mój towarzysz. – Poza zamięłowaniem do nauki oraz zaniechaniem własnych spraw, nic się nie zgadza, a już najmniej ze wszystkiego ów pociąg do podróży. Nawet do Ziemi Świętej jadę tylko dlatego, że muszę. Powiem ci jeszcze, że gdybyś cały czas zmarnowany na studiowanie podobnych głupot poświęcił wyłącznie „moździerzom” i „schodom”, pożytek z tego i tak byłby większy.

– Uczyłem się też rzeczy znacznie poważniejszych – odciął mu się człowiek z dziurawym parasolem.

– Na przykład?

– Na przykład sporządzania lekarstw. Na podagrę, na rwę kulszową, na kamice, na puchlinę wodną i mnóstwo innych chorób.

– Naprawdę? I co byś mi radził na puchlinę wodną? – zapytał go Yusuf.

– Żyjącą w lesie żabę, pociętą na pasy i położoną na lędźwiach – odparł z dumą nasz znajomy.

Mój były sługa chwycił się za brzuch i zaczął śmiać się tak głośno, że aż musiałem przywołać go do porządku.

– Nie rozumiem, co cię tak śmieszy, Yusufie? Co kraj to obyczaj, a liczy się skutek. W ogóle wydaje mi się, że odbiegliśmy za daleko od tematu. Powiedz mi – zwróciłem się do naszego rozmówcy – dlaczego powiedziałeś, że wasz raj trwał tylko dwa lub trzy miesiące?

Właściciel splewionej przeze mnie cebuli westchnął i powrócił do poprzedniego wątku:

– Przez pierwsze dwa lub trzy miesiące nawet mi do głowy nie przyszło, żeby wracać do domu. Jedliśmy i piliśmy, kochaliśmy – my się do woli, od czasu do czasu pomagałem także w gospodarstwie, przy segregowaniu ziół albo przy wyrobieniu niektórych lekarstw, które moja kochanka sprzedawała później na targu, ale w gruncie rzeczy zawsze mogłem robić to, na co miałem akurat ochotę. Jeśli chciałem, mogłem całymi dniami zbierać grzyby bądź jagody, mogłem łowić ryby, mogłem kąpać się w strumieniu, a nawet w ogóle nie wstawać z łóżka. Słowem, mogłem robić wszystko oprócz dwóch rzeczy, których moja kochanka zakazała mi jak najsurowiej: pytać, gdzie się podziewała, kiedy zdarzyło się jej przepaść na całą noc, oraz wchodzić do piwnicy pod kuchnią, gdzie lubiła spędzać samotnie długie godziny.

– A co tam robiła? – zapytałem.

– Tego mi nie powiedziała, więc oczywiście strasznie mnie korciło, żeby tam zajrzeć. Jednak nie było to takie proste. Parę razy próbowałem się tam dostać pod jej nieobecność, ale zawsze, ledwie dotknąłem drewnianej klapy zamykającej wejście do piwnicy, wyrastał jak spod ziemi Belfi – tak się bowiem wabiło to bydlę z postawionymi na sztorc uszami – i rozwalał się na niej całym cielskiem.

Wlepiął przy tym we mnie swoje żółte ślepia, obnażał wszystkie zębiska i tak mu głośno bulgotało w gardle, że musiałem się czym prędzej wycofywać, bo nie ulegało wątpliwości, że jeszcze chwila, a rozszarpie mnie na strzępy.

Bąłem się go jak ognia, ale pies to tylko pies. Pewnego razu, gdy moja kochanka wybrała się z lekarstwami na targ, pod naszym domem pojawił się jelen i Belfi pognął za nim z ujadaniem do lasu. Odczekałem chwilę, a kiedy nabrałem pewności, że przepadł na dobre, zabrałem się za otwieranie klapy. Ponieważ nie miałem kluczy od kłódki, podważyłem pogrzebaczem żelazną obejmę, przez którą przechodził zamykany na tę kłódkę łańcuch, obluzowałem zardzewiałe gwoździe, jakimi obejmą była przybita do podłogi, po czym wyjąłem je delikatnie przy pomocy kuchennego noża. Wejście do piwnicy stało otworem. Zapaliłem więc świecę i trzymając się poręczy, zszedłem ostrożnie na dół.

W piwnicy panował nie mniejszy porządek niż w całym domu. Pod wszystkimi ścianami piętrzyły się półki zastawione aż po sufit najróżniejszymi naczyniami z gliny, szczelnie zamkniętymi słojami i butelkami z grubego szkła, przez które prześwitywały rozmaite kolorowe płyny i jakieś gęstsze substancje, skórzanymi lub płóciennymi woreczkami z różnymi proszkami, drewnianymi łyżkami i ogromnymi kopyściami, jak również garnkami, patelniami, rondlami, tarkami oraz moździerzami z miedzi lub żelaza wszelkich kształtów i rozmiarów. Były tam także sita powkładane jedno w drugie od największego do najmniejszego, dwa komplety bardzo ostrych noży, beczułka smoły, wielka bryła wosku, przenośny piecyk na żeliwnych nóżkach, zwój konopnego sznurka, stos świec, skrzynka święconej kredy oraz pękaty wór węgla drzewnego. Z powały zwisały pęki suszonych ziół, w jednym z kątów stało wielkie, pęknięte lustro, zaś środek piwnicy zajmował ogromny stół z kamiennym blatem. Stały na nim dwie wagi, pudło z odważnikami, gliniany garnek z leżącą obok pokrywką, wypełniony do połowy jakąś żółtawą mazią, odwrócony do góry nogami krucyfiks oraz jedyna rzecz, której się nieco przestraszyłem, a mianowicie pięcioramienny świecznik zrobiony z wysuszonej na wiór i zawiniętej w kawałek całunu ludzkiej ręki, z wypalonymi już do połowy palcami.

– Ciekawa piwniczka – zauważyłem marszcząc brwi.

– No właśnie. Wszystko to rzeczywiście było bardzo ciekawe, więc postanowiłem dowiedzieć się czegoś więcej. Po krótkim namyśle mój wybór padł na garnek z żółtawą mazią. To, że jako jedyny nie był przykryty pokrywką, pozwalało przypuszczać, że niedawno zaglądała do niego moja kochanka i dlatego wydał mi się najbezpieczniejszy. Ostrożnie, samym koniuszkiem palca, nabrałem odrobinę przechowywanej w nim substancji i starannie ją obwąchałem. Nie pachniała źle, toteż po chwili posmarowałem nią sobie wierzch lewej dłoni. I znów nie stało się nic złego: żadnego kłucia, pieczenia czy świerzbień.

Wprost przeciwnie. Niemal natychmiast poczułem w lewej dłoni raptowny przypływ siły, jakąś niespodziewaną falę życiowego wigoru, a przede wszystkim jakąś niezwykłą lekkość, zupełnie jakby nagle straciła cały swój ciężar! Było to uczucie tak przemożne i zarazem miłe, że już bez dalszych wahań wysmarowałem się tą mazią po łokcieć.

Tego, co wówczas poczułem, nie da się łatwo opisać! Moja lewa ręka pozostawała nadal moją lewą ręką, mogłem ją unosić i opuszczać, mogłem kręcić nią w przegubie, mogłem otwierać i zaciskać dłoń, mogłem poruszać jej wszystkimi palcami, a przecież miałem jednocześnie przedziwne wrażenie, że tak naprawdę, moje ciało kończy się w tym miejscu na łokciu i jest najżałośniejszym pod słońcem, obmierzłym kikutom, do którego jakimś cudem doczepiono lekką jak piórko kończynę, utkaną najwyraźniej z innej, nieziemskiej materii. Moja lewa ręka, od opuszków palców do łokcia, wprost kipiała energią i rwała się ku górze, podczas gdy reszta mojego ciała – tępa i niezgrabna – ciążyła jak kamień ku ziemi i była mi jedynie kotwicą i zawadą.

Czym prędzej rozebrałem się do naga i już bez dalszych ceregieli, nabierając pełne dłonie mazi, zacząłem się nią smarować od głowy w dół. Już gdy doszedłem do pępka, musiałem chwycić się blatu stołu, kiedy zaś, smarując łydki i stopy, puściłem go na moment, nagle oderwałem się od ziemi i poszybowałem w górę niczym pęcherzyk powietrza w wodzie! Odbyło się to tak szybko, że zanim pojąłem, co się właściwie stało, zdążyłem wyrznąć głowę w sufit. Od tej chwili zawisłem pod sklepieniem jak sopel lodu i nie mogłem w żaden sposób powrócić na ziemię! Próbowałem odbijać się od sklepienia rękami i nogami, ale po opadnięciu nieco w dół, zatrzymywałem się w powietrzu i nabierając z wolna prędkości, wznosiłem się znowu do góry. Po kilku nieudanych próbach zrozumiałem, że w ten sposób nic nie zwojuję.

– To oczywiste – zauważyłem. – Posmarowałeś się za grubo albo zbyt dużą powierzchnię ciała.

– Otóż to, panie – spojrzał na mnie z szacunkiem, po czym ciągnął dalej: – Dlatego postanowiłem zmienić taktykę. Przemierzając sklepienie rękami, dotarłem jakoś nad schody. Dopiero tam zacząłem odbijać się mocniej od sufitu i za drugim albo trzecim razem udało mi się złapać poręcz. Dalej poszło już gładko. Zsunąłem się po poręcz, wykonałem jeszcze jeden skok i miałem już w ręku nogę od stołu. Potem, trzymając się kurczowo blatu, sięgnąłem po koszulę i na ile było to możliwe, wytarłem się z mazi od głowy do pasa.

– Fatalny błąd! – roześmiałem się. – Trzeba się było wytrzeć od pasa w dół.

Nasz rozmówca pokiwał głową.

– Masz rację, panie. Przekręciło mnie zaraz do góry nogami i wytarcie reszty ciała było o wiele trudniejsze. Ale w końcu udało się i to, i stanąłem pewnie na

podłódze.

– Mam nadzieję, że natychmiast opuściłeś to miejsce? – zapytałem.

– Niestety nie – westchnął ciężko. – Kto raz wzbił się w przestworza, ten nigdy nie przestanie latać. Wiedziałem już, że kwestia wznoszenia się zależy od ilości użytej mazi, pozostawał jednak problem, jak kontrolować wysokość i kierunek lotu, a zwłaszcza lądowanie. Po chwili zastanowienia znalazłem właściwe rozwiązanie. Włożyłem spodnie, którym najpierw obciąłem nogawki, i wypchałem kieszenie znalezionymi w piwnicy odważnikami. Potem sporządziłem coś w rodzaju uprząży z leżącego na półce sznura, który pociąłem na odpowiedniej długości kawałki. Założyłem tę uprząż na siebie, przywiązałem jej luźne końce do skórzanego pasa od spodni i poprzyczepiałem do niej, gdzie się tylko dało, co cięższe woreczki pozbierane z półek. Za pas zatknąłem jakąś szmatę i na wszelki wypadek wyposażyłem się jeszcze w kawałek święconej kredy. Dopiero wtedy zabrałem się za smarowanie mazią wszystkich odkrytych części ciała. Kiedy uniosłem się dwa łokcie nad podłogę, wiedziałem, że jestem gotowy do lotu.

Obijając się nieco o ściany i sufit przeleciałem do kuchni, skąd przez otwarte okno dałem nura w świat. Żeby wzbić się wyżej, wyrzuciłem parę odważników. Po pozbyciu się jeszcze jednego wzniosłem się na wysokość komina. Niewiele brakowało, bym się z nim zderzył, bo z początku miałem trudności z manewrowaniem, lecz szybko nauczyłem się i tego. Otóż wystarczyło wystawić lewą rękę, żeby skrócić w lewo, prawą – żeby skrócić w prawo, natomiast żeby śmigać do przodu, należało po prostu poruszać obiema rękami jak przy pływaniu żabką. Lot do tyłu zapewniało machanie nimi w odwrotnym kierunku. Kiedy pragnąłem poszybować w górę, wyrzucałem trochę balastu; chcąc opaść w dół, wyciągałem zza pasa szmatę i ścierałem nią nieco maści. Wszystko to było dziecinnie proste i zarazem cudowne. Świat z góry wyglądał bajecznie: wszystko małe, malusieńkie, nasza łąka jak kobierzec, strumień jak srebrna wstęga, drzewa jak krzaki, krzaki jak grzyby, no i oczywiście, żadnych grzybów. Z góry zobaczyłem także, gdzie leży Dunaj i jak do niego daleko. Latałem sobie i latałem, zataczałem większe i mniejsze koła, robiłem rozmaite pętle, świdry i ósemki, i ciągle nie miałem dosyć. I pewnie zapomniałbym całkiem o Bożym świecie, gdyby nagle nie doszło do wypadku.

– Co się stało? Zderzyłeś się z bocianem? – wtrącił zgryźliwie Yusuf.

– Nie, panie. Nie wziąłem pod uwagę, że w naszych stronach zdarzają się silne wiatry. Gdy po raz kolejny przelatywałem nad domem, dmuchnęło potężnie, zakręciło mną jak liściem i rzuciło mnie na ogromny dąb, który, jak już wspominałem, rósł u nas na podwórku. Rąbnąłem w niego z taką siłą, że na chwilę straciłem przytomność. Kiedy się ocknąłem, bolały mnie wszystkie zębra,

ale nie to było najgorsze. Najgorsze było to, że moja uprzęż zaczęła się o jakąś gałąź i zawisłem jakieś trzydzieści łokci nad ziemią!

Po pół godzinie zacząłem trząść się z zimna, zaś po kolejnym kwadransie, także ze strachu, ponieważ gałąź na której wisiałem, mocno się wygięła. Zrozumiałem, że maść umożliwiająca latanie zaczyna tracić swoje cudowne właściwości, a ja stopniowo przybieram na wadze! Czym prędzej pozbyłem się reszty odważników i tych spośród worków, które udało mi się odczepić. Wtedy gałąź wyprostowała się nieznacznie, ale w tym samym momencie na podwórze wbiegł zziębnięty Belfi. Zajrzał do domu i widocznie zauważył otwartą kłapę od piwnicy, bo natychmiast, jakby go piorun strzelił, zaczął ujadać i biegać z nosem przy ziemi po całym obejściu. Wytropił mnie bardzo szybko. Wówczas rzucił się wściekle na moje drzewo i ze złości, że nie może mnie dosięgnąć, darł pazurami korę. Wyładowawszy w ten sposób swój pierwszy gniew, ułożył się następnie na ziemi i z groźnym bulgotem w gardle wbił we mnie swoje okrutne ślepia.

Tymczasem moja gałąź głośno zaskrzypiała i wygięła się ponownie. Belfi zawył, a ja zacząłem się modlić. Nie wiem, czym by się to wszystko skończyło, gdyby w chwilę później nie zjawiała się na podwórku moja kochanka. I ona pojęła w lot, co się stało, mimo to odgoniła psa i przystawiła do dębu drabinę. Potem cisnęła mi uwiązany na sznurku nóż, którym mogłem uwolnić się z uprzęży. Za to później, kiedy już zszedłem na dół, zaczęło się prawdziwe piekło. Powiedziała mi, że ją zawiodłem, że jestem podstępna żmija, którą wyhodowała na swym własnym łonie, że takiemu zdrajcy jak ja nie można więcej ufać, że odtąd musi na mnie uważać i że wszystko między nami skończone! Wówczas poprosiłem, żeby mi pozwoliła wrócić do domu.

– Jeszcze czego! – zaśmiała się szyderczo. – Żebyś mi napytał biedy? Nic z tego! Będziesz tu tkwił do końca życia, już cię Belfi przypilnuje! A na wszelki wypadek zrobię ci jeszcze to.

I po tych słowach wyciągnęła z chusty luźną czerwoną nitkę i raz, dwa, zawiązała na niej kilka supełków. Na ten widok zbladłem i rzuciłem się do jej nóg z błaganiem: „Nie, pani! Tylko nie to! Tylko nie to!...”

– Dlaczego? – zdziwiłem się.

– Jak to dlaczego?! Przecież zadała mi ligaturę! Od tej pory nie mogłem już liczyć na potomstwo.

Spojrzelśmy z Yusufem po sobie. Mój były sługa poczerwieniał, wydał pogardliwie wargi i już chciał wygłosić jakiś komentarz, kiedy zdołałem go uprzedzić:

– No cóż, Yusufie, do trzech razy sztuka. Masz jednak moje słowo, że jeśli spotkamy jeszcze kogoś, kto będzie uskarżał się na to samo niedomaganie,

przebiję go na wylot mieczem, zanim zdąży nam wyłuszczyć, co mu się przytrafiło.

– W tym jednym, jedynym przypadku masz moją zgodę, panie. Kolejna historia w tym rodzaju byłaby niczym jeden parszywy grzyb za dużo, mogący zepsuć każdą potrawę.

A potem zwrócił się do nie pojmującego naszej wymiany zdań grzybiarza:

– Dziwię się, że przy takiej znajomości leków, nie mogłeś sobie poradzić ze zwykłą ligaturą.

– Bo to nie takie łatwe, panie – odpowiedział tamten. – Wiadomo, że niezastąpionym lekiem na zwykłą impotencję jest pieczony zielony dzięcioł, zjedzony na czczo z poświęconą solą, jednak w przypadku ligatury jest on, niestety, mało skuteczny. Słyszałem także, że niekiedy udaje się zniweczyć tę złośliwą sztuczkę, nosząc na palcu pierścień, w który wprawiono prawe oko łasicy, wkładając z rana do butów fałszywe monety, albo też – jak robili to ponoć Grecy i Rzymianie – smarując próg i futrynę drzwi prowadzących do alkowy sadłem młodego wilka. Niestety, wszystko to bywa zawodne i ten, komu zadano ligaturę, z reguły nie może korzystać z uciech małżeństwa, dopóki nie odczyni się uroku, który go ich pozbawił.

Podobnie było w moim przypadku. Zresztą, nawet gdyby mi rozwiązała sznurówkę, i tak nie miałbym ochoty, by z tego skorzystać. Bo raj skończył się dla mnie bezpowrotnie! A z nim wysypianie się, dobre jedzenie, grzyby i jagody, nie mówiąc już o „palach”, „schodach” czy „moździerzach”. Od tamtej pory moja pani – tak mi się teraz kazała nazywać – budziła mnie przed świtem i zapędzała do piwnicy strzeżonej przez Belfiego, gdzie całymi dniami musiałem dla niej ciąć, ważyć, trzeć, mielić, ucierać, mieszać, gotować, piec, smażyć i czort wie, co jeszcze! Czasem pracowała razem ze mną, ale częściej tylko przechadzała się nago w tę i z powrotem, wydając mi kolejne polecenia. Niekiedy robiła to samo pod postacią muchy, osy, trzmiela lub szerszenia, które uwielbiała przybierać, aby mi dokuczyć jeszcze bardziej.

A praca i bez tego była obrzydliwa! Dla przykładu, żeby sporządzić śmiertcioną maść, musiałem utrzeć i zmieszać ze sobą liście, kłącza i korzenie pewnych roślin – lulka, cykuty, żmijowca, tojadu zwanego mordownikiem, ciemieżycy, psianki i pokrzyku – dosypać do tego sadzy, żółtej i czerwonej siarki z dodatkiem sproszkowanych ludzkich kości, świeżych bobków kozła, włosów, paznokci, męskiego nasienia i krwi miesięcznej, a także różne części ciała ropuch, węży, wilków i nietoperzy oraz wnętrzości wilkołaka. Z kolei, aby wytworzyć maść umożliwiającą latanie lub przemianę w dowolne zwierzę, musiałem ugotować gęsty rosół z martwych niemowląt – w miarę możliwości niechrzczonych – i zmieszać go z sokiem z konwalii, czarciego ziela, wilczej

jagody i korzenia glistnika, dodając do tego, dla większej mocy, rękę, stopę lub wątrobę wisielca.

– W jakich proporcjach? – zapytał z uwagą mój były sługa.

– Wybacz, panie, ale tego nie mogę ci zdradzić, aby przypadkiem to wstrętne rzemiosło nie zyskało sobie nowych adeptów i nie doprowadziło do kolejnych nieszczęść – odparł człowiek z dziurawym parasolem. Po czym ciągnął dalej: – Jednak praca w piwnicy, choć całymi dniami nie widziałem słońca, nie była jeszcze najobrzydliwsza. Jakies dwa tygodnie temu, kiedy po wielu godzinach ucierania w moździerz ledwie trzymałem się na nogach, moja pani oświadczyła nagle, że zabrakło jednego ze składników potrzebnych do którejś z jej obmierzłych maści i że trzeba go koniecznie zdobyć. Kazała mi wziąć kuchenny nóż, łopatę i parciany worek, i tuż przed zmierzchem wyruszyliśmy w drogę. Poszliśmy na skróty przez las, a za nami biegi Belfi. Podczas gdy ja potykałem się w zapadających ciemnościach o wystające korzenie i kamienie (nie pozwoliła mi bowiem zabrać łuczywa), i kłułem sobie twarz gałęziami, ona leciała wygodnie górą pod postacią osy, pobzykując wesoło i tnąc mnie od czasu do czasu dla rozrywki w ucho. Po niecałej godzinie marszu dotarliśmy wreszcie do celu naszej wędrówki: małego wiejskiego cmentarza, bardzo zapuszczonego i zarośniętego zielskiem po kolana.

– Na Tego, który wyznacza losy i jest Sprawcą wszystkich przyczyn! Mam nadzieję, że tam nie wszedłeś? – zawołał przejęty po raz pierwszy Yusuf.

– Zaprawdę, byłoby lepiej, gdybym tam nie wchodził! – westchnął tamten, a potem, w odruchu gniewu, sięgnął po swoją butelkę i potrząsnął nią wściekle kilka razy.

Miałem wrażenie, że w odpowiedzi dobiegło z jej wnętrza coś na kształt żałosnego bzyczenia.

– I jak się masz, kurwo zatracona?! Dobrze ci tam?! – zawołał nasz rozmówca z mściwą satysfakcją, po czym wymierzył butelce mocnego prztyczka i schował ją z powrotem za pazuchę. Po chwili milczenia kontynuował roztrzęsionym głosem: – Na zalanym poświata księżycy cmentarzu przeważały stare, na w pół zapadłe w ziemię i zarosłe chwastami mogiły, choć tu i ówdzie widać było także nowsze, rozmyte przez deszcze kopczyki. Moja pani długo krążyła nad jednymi i drugimi, jakby szacowała przydatność ich zawartości do swych niecných celów. Zauważyłem przy tym, że omija dużym łukiem nagrobne krzyże, i to niezależnie od tego, czy stały jeszcze, proste lub krzywe, na grobach, czy też leżały już na ziemi, połamane bądź zmurszałe ze starości. W końcu podjęła decyzję. Zatoczywszy kilka kółek nad stosunkowo świeżą mogiłą, usytuowaną pod cmentarnym płotem i pozbawioną znaku krzyża, przysiadła na jej obrzeżu i poleciała zadowolona:

– Kop tutaj.

Ociągałem się jak mogłem, ale wtedy użądliła mnie boleśnie w szyję i natychmiast wziąłem się do roboty...

– Najwyższy widział, co żeś uczynił! – przerwał mu poblady Yusuf. – Trzeba było raczej zabić wiedźmę łopata, niż dopuszczać się podobnego świętokradztwa!

– Zapominasz, panie, o ligaturze, a przy okazji także o Belfim – nieszczęsny grzybiarz uśmiechnął się kwaśno. – Bo choć to przekłete bydlę od razu znalazło sobie jakąś kość, to przecież ani na chwilę nie spuszczało mnie z oka. Trumna nie była zagrzebana zbyt głęboko, więc dotarłem do niej już po kwadransie. Po odwaleniu wieka zrobionego z prostych sosnowych desek, naszym oczom ukazał się czterdziestoletni mniej więcej nieboszczyk. Choć śmierdział jak nieboskie stworzenie, nadal był czerstwy, giętki i rumiany, jeszcze nie spuchnięty i nie nadgryziony przez robaki, a sposób, w jaki rozpierał się w trumnie z głową złożoną wygodnie na dłoni, sprawiał dziwne wrażenie, że nie spoczywa w grobie wbrew swojej chęci i czuje się na tamtym świecie jak u siebie w domu.

Moja pani, nad wyraz szczęśliwa z dokonanego wyboru, poleciła mi natychmiast, bym wyciął mu wątrobę oraz dwa funty ciała z lewego pośladka. Panowie, klnę się na wszystkie świętości, że przy tym zabiegu omal nie zemdlałem, zwłaszcza, że niespodziewanie spod ostrza noża trysnęła mi szkarłatna i rzadka jak woda krew, lecz mimo to posłusznie, choć z najwyższym wstrętem, zrobiłem wszystko, czego ode mnie żądała. Po zawinięciu kawałów śmierdzącego mięsa w liście łopuchu i wrzuceniu ich do worka miałem nadzieję, że to już koniec, ale wtedy ta nienasycona dziwka zażyczyła sobie jeszcze prawej ręki trupa! By się z tym jak najprędzej uwinąć, obciąłem mu ją jednym sztychem łopaty, a potem, drżącymi rękoma, przywróciłem z grubsza mogiłę do jej poprzedniego stanu. Na zakończenie wykopaliśmy jeszcze spod muru jedno małe, niechrzczone dziecko, które wzięliśmy do worka w całości, i ruszyliśmy w drogę powrotną.

Po powrocie do domu nie dała mi ani chwili odpocząć, tylko z obawy, żeby jej się nie zepsuły zdobyte z takim trudem ingrediencje, kazała mi je od razu przerobić na maść. Kiedy, pomimo torsji, jakoś sobie z tym poradziłem, przekrzywiła zalotnie łeppek, zatarła z satysfakcją przednie łapki i po raz pierwszy od dawna zwróciła się do mnie łaskawie:

– Jestem z ciebie zadowolona. Zasłużyłeś na nagrodę. Ciekawe, co byś powiedział na dobrą kolację z winem, a potem... no wiesz? Ostatecznie, na ten jeden, jedyny raz mogłabym ci rozwiązać sznurówkę – zawiesiła przymilnie głos.

Nienawidziłem jej z całego serca, ale postanowiłem wykorzystać jej chwilową słabość.

– Dziękuję ci, pani. O wiele bardziej wolałbym wrócić do domu.

– Nie, to nie! – ucięła gniewnie dalszą dyskusję i obrażona zabrała się za pielęgnację swoich skrzydełek.

Zwaliałem się zrezygnowany na łóżko i już miałem zasnąć, kiedy z podwórka dobiegło głośnie warczenie, a potem coraz zacieklejsze ujadanie Belfiego. Moja pani przerwała toaletę i znieruchomiła. Tymczasem wściekły jazgot Belfiego przeszedł raptownie w przeraźliwy skowyt, ten z kolei w mrozący krew w żyłach charkot, po czym, jak nożem uciął, zapadła głęboka cisza, której, o dziwo, nie przerywało nawet zwykłe granie świerszczy ani trele i pohukiwanie nocnych ptaków.

Spojrzeliliśmy po sobie z przestrachem, lecz dokładnie w tym samym momencie ktoś załomotał gwałtownie do drzwi i rozległ się za nimi chrapliwy głos – tu człowiek z dziwnym parasolem uniósł się, zwinął dłonie w trąbkę i ryknął tak, że aż nasi flisacy odwrócili głowy:

- *Hol vagy?! Holvagy te, kurva?! Add vissza, ami az enyem!*

– To znaczy? – szepnąłem.

– „Gdzie jesteś?! Gdzie jesteś, dziwko?! Zwróć mi, co moje!”. Moja pani śmignęła natychmiast na sufit. Walenie w drzwi jeszcze się nasiliło. Skamieniały ze strachu patrzyłem, jak deski drzwiowe wyginają się od potężnych ciosów, a z solidnego skobla, na który były zamknięte, sypią się drzazgi i wióry! W chwilę później drzwi nie wytrzymały i runęły z łoskotem na ziemię.

W progu, z gębą uwalaną świeżą krwią i z martwym Belfim pod pachą, stał ten sam nieboszczyk, któremu parę godzin wcześniej zakłóciliśmy wieczny spoczynek. Kikutem prawej ręki, przewiązanym teraz jakąś cmentarną szmatą, trzymał się za miejsce, z którego wyciąłem mu wątrobę, zaś jego ponure spojrzenie przeczesywało całą izbę.

– Och, Belfi! Belfi!! – zapiszczała spod sufitu moja pani. – Co zrobiłeś z moim Belfim, ty wstrętny krwiopijco?!

– Gdzie jesteś, kurwo zatracona?! – zawołał w odpowiedzi nieboszczyk, rozglądając się na wszystkie strony. – Zwróć mi, co moje, albo zrobię to samo z twoim gachem!

I po tych słowach cisnął we mnie psim zewłokiem!

– Rób z nim, co zechcesz – rozległo się znowu spod powały. – Ale co ci zawinił mój biedny Belfi?! I po coś go w ogóle ruszał, ohydny śmierdzielu, skoro przeciekasz jak rzeszoto?!

Rzeczywiście, z ran po wątrobę i odrąbanej przeze mnie ręce, a także z pośladka, skąd wyciąłem mu dwa funty ścierwa, tryskały obfite strużki krwi. Spostrzegłszy to, trup zaklął okropnie i jednym susem skoczył do powały. Chybił, skoczył raz jeszcze i znowu chybił. Moja była kochanka z głośnym „Hi,

hi, hi” skryła się tymczasem w jakieś dziurze. Wtedy nieboszczyk zwrócił się w moją stronę, chwytając mnie błyskawicznie za gardło. Zamachał mi przed nosem krwawym kikutem i wycedził:

– Gdzie moja ręka, zadek i wątroba?!

Dusząc się zarówno od jego uścisku, jak i od bijącego zeń smrodu, zdołałem jedynie wycharczeć: „W piwnicy, w słoikach”. Wówczas odepchnął mnie gwałtownie i ze słowami „Jeszcze się policzymy!” zleciał na łeb na szyję do piwnicy. W chwilę później zaczął stamtąd dobiegać trzask łamanych mebli, łomot zrzuconej na ziemię wagi, brzęk rozbijanych naczyń, a wreszcie huk przewracanych kolejno półek. Wiedziałem, że kiedy truchło odkryje, co stało się z brakującymi częściami jego ciała, tylko cud może mnie uratować. Toteż nie mając przy sobie żadnej świętej relikwii, ani rozpuszczonego w wodzie mydła, ani wosku, ani żadnego z innych środków zalecanych przeciwko tego rodzaju upiorom, marzyłem tylko o jednym – by stać się niewidzialnym! Problem w tym, że w moim położeniu wszystkie znane mi sposoby zniknięcia potworowi z oczu nie miały praktycznego zastosowania.

– A cóż to za sposoby? – zaciekawiał się Yusuf.

– Wiadomo, panie, że aby stać się niewidzialnym, na ogół wystarczy nosić pod prawym ramieniem serce nietoperza, czarnej kury albo żaby. Jednak najlepszy jest kradziony kot, koniecznie czarny, którego gotujemy w źródlanej wodzie, w nowo zakupionym garnku, przez całą dobę, nic przy tym nie jedząc ani nie pijąc, i nie zwracając najmniejszej uwagi na dziwne hałasy, jakie z całą pewnością zaczną się rozlegać za naszymi plecami. Kiedy kot jest gotowy, wykładamy go na nowy półmisek, oddzielamy mięso, które rzucamy za siebie przez lewe ramię, zaś jego kości próbujemy po kolei zębami, spoglądając jednocześnie w lustro. To, że trafiliśmy na właściwą, czyli taką, która czyni nas niewidzialnymi, poznajemy po tym, że przestajemy w nim widzieć własne odbicie. Wtedy lepiej wycofać się rakiem, powtarzając na wszelki wypadek: *Uia ala hohe fri to l e*, co się wyklada: *W Twoje ręce, Panie, powierzam ducha mojego.*⁸² Począwszy od tej chwili, ilekroć zapagniemy rozpląnąć się w powietrzu, korzystamy po prostu ze wspomnianej kości. No i bardzo pięknie, panowie, wszystko dziecinnie proste, tylko powiedzcie mi proszę, skąd w tych opałach, w jakich się nagle znalazłem, miałem wytrzasnąć kota – w dodatku czarnego – nie mówiąc już o nowym garnku i półmisku, krzesiwie i hubce, źródlanej wodzie i lustrze, a nawet o zwykłej żabie?! Chyba z dupy?

– Co fakt, to fakt – przyznałem. – Cóż więc zrobiłeś?

– To, od czego należało zacząć. Zacząłem się modlić.

– I co? Pomogło?

– Pomogło. Podczas modlitwy moja ręka natrafiła w kieszeni na tkwiący tam od czasu latania kawałek święconej kredy. Czym prędzej wyrysowałem nią wokół siebie magiczny krąg, akurat w samą porę, bo rozjuszony potwór już wracał na górę. Był uwalany od stóp do głów różnymi znalezionymi w piwnicy maściami i proszkami, z ran, jakie mu zadałem, nadal sikała krew, a w ręku niósł ostrożnie słoję, który rozpoznałem na pierwszy rzut oka.

– Co to jest?! – ryknął w moją stronę.

– Twoja ręka, zadek i wątroba – odpowiedziałem zgodnie z prawdą, bo i tak nie miało już sensu kłamać.

Nie powtórzę wam, panowie, obrzydliwych słów, jakimi mnie wówczas obrzucił, dość że kiedy skończył bluźnić, wziął potężny zamach i cisnął tym słoikiem, celując w moją głowę! Gdyby był trafił, zginąłbym pewnie na miejscu, ale panujący w izbie półmrok, a może osłabiający upiora wpływ krwi, sprawiły, że na szczęście chybił i słoję roztrzaskał się tuż nade mną, obryzgując mnie tylko swoją wstrętną zawartością. Na ten widok nieboszczyk zawył z wściekłości i wyciągnawszy przed siebie lewą rękę z potwornie długimi, dawno nie obcinanymi paznokciami, runął w moim kierunku. I wtedy zdarzył się cud! Na granicy kredowego koła zatrzymał się gwałtownie, całkiem jakby nagle wyrzwał głową w niewidzialny mur, po czym zwałił się z hukiem na ziemię. Zdumiony spróbował ponownie, to z lewej, to z prawej, lecz za każdym razem kończyło się tak samo!

Zrozumiawszy, że mu się wymknąłem, trup zaklął jeszcze ohydniej i skupił się wyłącznie na mojej pani. Uniósł się w powietrze i zaczął przetrząsać systematycznie całą powałę – deska po desce, dziura po dziurze i szpara po szparze. Kiedy w końcu zbliżył się do jej kryjówki, moja była kochanka wyprysnęła z niej niczym strzała i wyleciała przez rozwalone drzwi na zewnątrz. Wyprężony jak struna nieboszczyk śmignął zaraz za nią i oboje przepadli w ciemnościach.

Nie wiedząc, czym to się wszystko skończy, nie śmiałem opuszczać mojego kręgu aż do rana, kiedy powróciła moja pani. Była strasznie zmęczona, ale bardzo z siebie zadowolona.

– Myślał, dureń, że mnie złapie – rzuciła z dumą już od progu. – Jego niedoczekanie! Polatał sobie, polatał, aż stracił tyle krwi, że w końcu gruchnął o ziemię. Mam nadzieję, że coś sobie przy tym przetrącił. Daj mi jeść, bo jestem strasznie głodna – zażądała lądując ciężko na stole.

Nałożyłem jej na spodek trochę miodu, który smakował jej najbardziej, gdy przedzierzgała się w muchę lub osę. Bzyknęła na to z satysfakcją, podfrunęła z trudem na krawędź naczynia i rzuciła się łapczywie na jadło. A kiedy jeszcze, zapominając o ostrożności, postąpiła dwa kroki naprzód i stanęła na miodzie

wszystkimi sześcioma łapkami, błyskawicznie nakryłem spodek ręką i wcisnąłem ją w jej ulubione danie po sam łypek! Uwięziona w słodkiej mazi najpierw zaczęła mi grozić, potem błagać i płakać, następnie obiecywać mi wolność, rozwiązanie ligatury, dozgonną miłość, jakieś zupełnie nowe i nieznanne mi dotąd rozkosze, przychylność każdej dowolnie wybranej przeze mnie kobiety, a w końcu także skarby całego świata – ale pozostałem nieugięty. Wydobyłem ją delikatnie z miodu i włożyłem do znalezionej na pobojuwisku butelki, którą natychmiast szczelnie zamknąłem, po czym, zabrawszy jeszcze z piwnicy więcej święconej kredy, podпалиłem czym prędzej ów straszny dom.

Z łuną pożaru za plecami, uplotłem z wikliny rosnącej nad strumieniem ten oto parasol, wysmarowałem grubo święconą kredą jego dolną obręcz i uciekłem stamtąd jak na skrzydłach. Ponieważ ze strachu pokręciły mi się kierunki, błąkałem się po lesie dobre dziesięć dni, lecz dzięki mojemu parasolowi czułem się bezpieczny. Nie tylko spędzałem pod nim noc, ale także w dzień kucąłem pod nim natychmiast na najmniejszy szelest w krzakach czy trzask łamanej gałązki. W końcu dotarłem szczęśliwie do Dunaju i dostałem się na tę tratwę. I mam zamiar nią odpłynąć jak najdalej!

– Dawno już nie słyszałem podobnych bredni – oznajmił Yusef. – Wiara w *ghule* i czarownice dowodzi kompletnej pustoty, podobnie jak wiara w kamień filozoficzny czy w to, że można latać w powietrzu, chodzić po wodzie, ożywiać trupy i kamienie albo przenikać przez ciała stałe. Nie przeczę, że podobne cuda są możliwe, ale mogą być one udziałem – i to też tylko z rzadka – wyłącznie proroków lub świętych, ty zaś, przyjacielu, nie wyglądasz mi ani na jednego, ani na drugiego.

– Wybacz mu – przeprosiłem natychmiast człowieka z magicznym parasolem. – Mój przyjaciel wierzy tylko w to, czego sam dotknie. Co do mnie, to nie rozumiem jednego: dlaczego nie spaliłeś wiedzmy razem z jej domostwem?

Przetłumaczywszy grzybiarzowi moje pytanie, Yusef machnął ostentacyjnie ręką i z zaciętą miną zaczął obserwować wspaniały zachód słońca, kryjącego się właśnie za górami. Wprawdzie nadal przekładał nasze słowa, ale czynił to odtąd jakby od niechcienia i z jawną pogardą.

– Nie zrobiłem tego – odpowiedział na moje pytanie nasz nowy znajomy – bo chcę ją postawić przed sądem. Jestem pewny, że ma na sumieniu jeszcze inne zbrodnie.

– Hm... – potarłem w zamyśleniu czoło – A nie przyszło ci czasem do głowy, że mogą ukarać również ciebie, jako jej współnika?

– Tak sądzisz, panie? – zaniepokoił się człowiek z dziurawym parasolem.

– Tak sędzę. A przecież, skoro z nią zerwałeś, zasługujesz na coś lepszego. W końcu, większa jest radość w niebie z jednego nawróconego grzesznika niż

z setki sprawiedliwych.

– Cóż zatem mi radzisz? – spojrzał na mnie błagalnie.

– Najlepiej ją utopić, lecz może byłoby dobrze, gdyby najpierw rozwiązała ci ligaturę?

– Nie będę z nią wchodzić w żadne układy – odpowiedział nad podziw twardo udręczony grzybiarz.

Było mi go naprawdę żal, toteż poprosiłem, żeby mi podał butelkę. Zbliżyłem ją do ust i rzekłem surowo, tonem napomnienia:

– Posłuchaj uważnie, nieszczęsna! Wybiła twoja ostatnia godzina i nic cię już nie uratuje. Dlatego, jeśli chcesz mieć jakąś nadzieję, proś Boga o wybaczenie i pogódź się z tymi, których skrzywdziłaś. W pierwszym rzędzie, rozwiąż sznurówkę, jaką zadałaś temu człowiekowi.

A potem przyłożyłem butelkę do ucha, lecz jedyną odpowiedzią dobiegającą z jej wnętrza było jednostajne, zatwardziałe bzyczenie.

– Przykro mi, nic nie da się zrobić – powiedziałem ze smutkiem, zwracając butelkę jej właścicielowi.

– Prawdę rzekłszy, nie spodziewałem się po niej niczego innego – westchnął tamten i dodał zdecydowanie: – A zatem, czynmy naszą powinność.

Po tych słowach wyjął z butelki zatykający ją zwitek kory i natychmiast zakrył otwór palcem. Następnie wychylił się poza krawędź tratwy i zanurzwszy butelkę w rzece, zaczął napełniać ją wodą przez niewielką szczelinę pomiędzy palcem a brzegiem szyjki. Kiedy butelka napełniła się niemal w całości, zatkał ją ponownie i potrząsnął nią wiele razy. Wpatrzeni w zwolna zapadający zmierzch odczekaliśmy do chwili, gdy w butelce zapanowała zupełna cisza, po czym nasz nowy znajomy spuścił ją ostrożnie na wodę. Butelka zakołysała się, zakręciła się w jakimś wirze, następnie zaczęła się oddalać, aż wreszcie przepadła w gęstniejącej coraz bardziej szarości.

– Dziękuję ci, panie, za dobrą radę – rzekł z ulgą właściciel magicznego parasola. – A ponieważ jesteście w drodze, odwzięczę się wam tym samym. Z pewnością przyda się wam plaster umożliwiający pokonywanie dziesięciu mil na godzinę. Wiedz zatem, że wystarczy wziąć dwie uncje ludzkiego tłuszczu, uncję sadła jelenia, uncję oliwy laurowej, uncję naturalnej mumii, pół kwarty gorzałki i siedem listków werweny, gotować to wszystko, aż nabierze odpowiedniej konsystencji, a potem sporządzić z tego plaster i przyłożyć go sobie do ciała w pobliżu śledziony, by rwać przed siebie niczym młody zając.

– Sam go sobie przyklep, najlepiej na mózgu – poradził mu Yusuf. – Tobie przyda się najbardziej, bo musisz mieć tam pypcia wielkiego jak pięść. Co do mnie, to nie wierzę w ani jedno twoje słowo.

Grzybiarz spojrział na niego z nienawiścią, ale nic nie odpowiedział, gdyż w tym samym momencie niebo nad górami rozdarła biała błyskawica, zaś w chwilę później przetoczył się po nim stłumiony grzmot. Za to drugi grzmot, który rozległ się za naszymi plecami, był już dużo donioślejszy.

– To ona! – wyszeptał oberwaniec, wpijając się palcami w moje ramię.

– Nie gadaj bzdur! – ofuknąłem go, choć także poczułem niepokój.

W kwadrans później o pokład naszej tratwy uderzyły pierwsze, ciężkie krople dżdżu. Po nich spadł rój następnych – nieco drobniejszych, lecz przez to tym bardziej zajadłych i dokuczliwych. Powierzchnia rzeki, upstrzona dotąd pojedynczymi bąblami, zawrzała do białości, jakby rozpalono pod nią wielki ogień. Jednocześnie zadał silny wiatr i pokład tratwy zakołysał się raptownie, rozbełtując białą szumowinę, która obryzgała nas w odwecie fontanną piany. Wtedy deszcz lunął z taką siłą, że bańki na wodzie nie nadały się formować, bo ledwie którejs z nich udało się jako tako wysklepić, już rozpryskiwała się na wszystkie strony, trafiona celnie z wysokości nieba, by dać szansę następnej. Nasi oryle napierali z całych sił na wiosła, żeby doprowadzić tratwę do brzegu, ale wiatr, który przyginał na łądzie czuby drzew i wznosił w powietrze tumany liści i gałązek, stawiał nam zaciekły opór, podobnie jak rybitwom kołującym z wrzaskiem nad naszymi głowami.

Kiedy wielka fala zalała nam nogi, Yusuf i przerażony człowiek z dziurawym parasolem czmychnęli czym prędzej do drewnianej budy, ja zaś pozostałem na pokładzie przy naszych koniach. Prawdziwa burza dopiero się zaczynała. Tratwa huśtała się, kolebała i podskakiwała coraz gwałtowniej, wody z dołu i z góry zlały się szybko w jednolitą masę, a czasę nieba oplatała raz po raz pajęczyna ognia. Co kilka chwil niebo rozpadało się z hukiem na milion kawałków, po czym scalała je na nowo ciemność, rozdzierana natychmiast przez kolejną błyskawicę. Po każdym oślepiającym błysku i ogłuszającym huku nasze konie rżały przeraźliwie, wierzgały, próbowały stawać dęba i waliły kopytami w pokład, ale na szczęście byliśmy coraz bliżej brzegu. Że wreszcie do niego dobiliśmy, poznałem po gwałtownym wstrząsie, który obalił mnie na deski. W świetle następnych błyskawic dostrzegłem kępę drzew, pod którą kulili się jacyś pasterze, otoczeni stadkiem strwożonych kóz.

Tymczasem nasi flisacy uwijali się jak w ukropie. Dwóch z nich umocowało tratwę wzdłuż brzegu, przywiązując ją z obu końców linami do pni drzew, trzeci, z pomocą grzybiarza, sprowadził na łąd nasze konie, zaś dwaj pozostali znieśli tam jeszcze wiosła oraz rzeczy własne i kompanów. Skończywszy ze swoją robotą, wszyscy oryle, przemoczeni do suchej nitki, dołączyli w te pędy do pasterzy kryjących się pod drzewami. To samo zrobił właściciel magicznego

parasola i na tratwie pozostaliśmy tylko ja i Yusuf, wierni słowu, jakie daliśmy węgierskiemu komendantowi.

Ponieważ wciąż lało jak z cebra, schroniłem się w budzie zajmowanej przez mojego byłego sługę. Było w niej znacznie przytulniej, choć i tam woda wdzierała się przez szczeliny i lała się nam na głowy z dziurawego dachu.

Burza nie zamierzała ustępować. Błyskawice wciąż zapalały się jedna od drugiej jak pochodnie i ciemność była wobec nich bezradna. Huk zlewających się ze sobą grzmotów był tak potężny, że nie pozwalał zebrać myśli, kołysanie i podskoki tratwy przyprawiały nas o mdłości, więc siedzieliśmy z Yusufem w kompletnym milczeniu, trzęsąc się z zimna w mokrych ubraniach. Nie wiem, ile czasu spędziliśmy w ten sposób, kiedy nagle coś łupnęło ze straszną siłą w deskę tuż obok głowy mojego byłego sługi. W pierwszej chwili przeraziłem się, że trafił w nas piorun, ale nigdzie nie było widać ognia, zaś straszliwe uderzenie powtórzyło się ponownie! Śmiertelnie przerażony i chyba nieco ogłuszony Yusuf przypadł natychmiast do moich stóp.

- *Hol vagy te, kurva?! Hol vagy?! Addjatok vissza, ami az enyem, csirkefogók!*⁸³ – ryknął tymczasem ktoś na zewnątrz, po czym na nasze drewniane schronienie posypał się istny grad potężnych ciosów.

- Co to jest?! Co się dzieje?! – zawołał mój były sługa i ścisnął ze wszystkich sił moje kolana.

- *Hol vagy te, kurva?! –* rozległo się ponownie za naszymi głowami i znów coś walnęło w naszą budę z taką mocą, że od uderzenia pękła jedna z jej desek.

- Panie, zrób coś! Błagam! – zajączał Yusuf, zatykając sobie uszy palcami.

- A cóż ja mogę poradzić na siłę nieczystą?! – odpowiedziałem nie mniej wystraszony od niego.

I wtedy, zupełnie niespodziewanie, po kolejnym potwornym ciosie, Yusuf zerwał się na równe nogi, wyszarpnął mi z pochwy miecz i zanim zdążyłem zareagować, runął całym ciężarem ciała na drzwi budy! Te otwały się gwałtownie na oścież i głucho w coś grzmotnęły. W świetle błyskawicy dostrzegłem jeszcze jakąś sylwetkę, która, trafiona drzwiami, zwała się właśnie za burzę, po czym bryznęła fontanna wody i zapadła ponownie ciemność rozdarł przeraźliwy krzyk:

- *Jezusom! Megfulladok, megfulladok!*⁸⁴

Ale Yusuf nie zwracał na to najmniejszej uwagi. Wołając coś po arabsku, wzniosł miecz do góry i zanim zdołałem go powstrzymać, przeciął cumę wiążącą nas z łodem, po czym popędził na drugi koniec tratwy. „Co robisz?! A nasze konie?!” – krzyknąłem za nim, lecz było już za późno! Tratwa ustawiła się prostopadle do brzegu, po odrąbaniu drugiej cumy obróciła się jak wcześniej butelka z wiedzimą – i ruszyła naprzód z rozhuśtanym nurtem! Przez chwilę

widzieliśmy jeszcze flisaków, biegających bezładnie na brzegu, to tu, to tam, machających do nas rękoma i krzyczących coś po węgiersku, lecz wkrótce znikli nam z oczu razem z łądem za grubą kurtyną ciemności i deszczu.

W kompletnym mroku rozcinanym jedynie światłem błyskawic, bez wiosła i załogi, w nie mającej końca ulewie, uczepieni kurczowo pokładu, miotani na wszystkie strony falami i zalewani nieustannie wodą, płynęliśmy szybko w dół rzeki, modląc się, każdy na swój sposób, o ocalenie. W końcu burza zaczęła cichnąć, zaś nad ranem, gdy zaczęło się nieco rozwidniać, okazało się, że znajdujemy się dość blisko brzegu, niestety nie tego, na którym zostały nasze konie i cały nasz dobytek.

Mimo to nie wahałem się ani chwili. Upewniwszy się najpierw, czy Yusuf umie pływać, powierzyłem mu nasz jedyny skarb – chudy trzos, który zawsze nosiłem przy sobie – sam zaś przytroczyłem sobie do pleców miecz, a potem, na moją komendę, skoczyliśmy obaj do spienionej wody.

XI

– Wszystko przez twoją głupią strachliwość! – rozwrzeszczałem się na brzegu, podzwaniając z zimna zębami. – Źle ci było w budzie?! Musiałeś wyskakiwać?! I po co?! Przecież słyszałeś: powaliłby sobie, powalił, i w końcu by osłabł! A tak – zacząłem wyliczać na zgrabiątych palcach – diabli wzięli dywanik, sztylet nabijany turkusami, szatę lżejszą od ptasiego pióra i dwa konie! Dwa konie! W sumie tysiąc dirhamów albo i więcej! I jak teraz pojedziemy dalej?!

– Może kupimy chociaż jednego? – mruknął Yusuf, zwracając mi moją sakiewkę.

– Za co?! Tego, co mamy, nie wystarczy nawet na źrebię osła! A poza tym, gdzie?! – zatoczyłem ręką szeroki krąg, gdyż dokoła, jak okiem sięgnąć, widać było jedynie wodę, wzgórze, drzewa i zarośla. – Tutaj nie kupisz nawet kawałka chleba!

– No to będziemy zbierać grzyby, jagody... – zaproponował nieśmiało mój były sługa.

– A idź do diabła! – pogroziłem mu pięścią tak gwałtownie, że natychmiast umilkł. Wyrwałem miecz z ziemi i nie oglądając się za siebie, ruszyłem ostro pod górę stromego brzegu. Nie doszedłem jednak nawet do połowy skarpy, kiedy za moimi plecami rozległo się znajome posapywanie. Kiedy się odwróciłem, sprawca naszego nieszczęścia rozłożył ręce w geście przeprosin i stwierdził z niewyraźną miną:

– No cóż, także do Wysłannika Boga mówiono nieraz „Idź do diabła!”. A południe jest tam – pokazał bardziej na prawo.

Skręciłem bez słowa we wskazanym kierunku, wyrabując z wściekłością drogę w gąszczu ciernistych krzaków i wysokich do pasa ostów. Mniej więcej po pół godzinie, kiedy od ciągłego machania mieczem zaczęła mnie boleć ręka, chaszcze przerzedziły się i niespodziewanie wyszliśmy na wąską ścieżkę wijącą się wzdłuż stoku porośniętego bukowym lasem. Dróżka ta, choć kręta i wyboista, prowadziła z grubsza na południe, toteż postanowiliśmy trzymać się jej tak długo, jak będzie to możliwe. Słońce wzniosło się już ponad horyzont i jego promienie, suszące powoli nasze ubrania, w połączeniu z szybkim marszem pozwalały nam stopniowo zapomnieć o porannym chłodzie. Obszedłszy spore wzgórze, wspięliśmy się na rozległą trawiastą połoninę usianą większymi lub mniejszymi głazami i ułomkami skał, do których tuliły się kępy poczerniałych od słońca ostów i pojedyncze drzewa o powykręcanych przez wiatr gałęziach. Widok ten odebrał mi natychmiast nadzieję na wspomniane przez Yusufa grzyby i jagody,

ale znacznie gorsze było to, że aż po widnokrąg nie widać było nawet najmniejszych śladów ludzkiej obecności.

Coraz bardziej głodni i przygnębieni wypatrywaliśmy ich bezskutecznie przez cały dzień. Dopiero pod wieczór, kiedy przemierzywszy szmat drogi, ledwie trzymaliśmy się na nogach z głodu i zmęczenia, a mój towarzysz zaczął rozglądać się na boki z rosnącym niepokojem, w pewnym momencie wydało mi się, że na szczycie sąsiedniego wzgórza prześwituje między drzewami coś białego. Kiedy podeszliśmy nieco wyżej, moje przypuszczenia potwierdziły się. Był to budynek, a raczej zespół budynków, ledwie widocznych za potężnym murem, ponad który wystawała jedynie przysadzista wieża zwieńczona pękatą kopułą. By zdążyć tam jeszcze przed zmrokiem, rzuciliśmy się na przełaj w dół stoku i zagłębiliśmy się w parów rozdzielający oba wzniesienia. Przeszliśmy w bród potok płynący jego dnem, a potem chwytając się korzeni i gałęzi, zaczęliśmy piąć się z powrotem pod górę.

Kiedy wreszcie, zmordowani, śmiertelnie głodni, mokrzy do pasa, powaleni gliną, ale z sercami przepełnionymi na nowo nadzieją, zakołataliśmy do bramy białego budynku, na dworze zapadła już ciemność. Czekaliśmy długo, zanim w masywnych wrotach uchyliła się niewielka kłapa i w powstałym w ten sposób otworze ukazała się czyjaś młodzieńcza, bardzo zdumiona twarz.

Młody człowiek obrzucił nas badawczym spojrzeniem, spróbował oświetlić łuczywem gęsty mrok za naszymi plecami, po czym zadał nam jakieś pytanie, na które Yusuf udzielił mu tyleż skwapliwej, co obszernej odpowiedzi. Młodzian pomedytował chwilę i nie przekonany widać do końca, wybąkał kilka zdań, z których wyłowiłem tylko powtórzone kilka razy słowo „*Hegumenos*”. Następnie zamknął zniecka kłapę i zniknął.

– No i co? – zapytałem mojego byłego sługę.

– Nie wiem. Zobaczymy – odparł niepewnie Yusuf.

Zanim gołowąsy odźwierny pojawił się znowu, na niebie wzeszły pierwsze gwiazdy. A kiedy w końcu odryglował bramę i wpuścił nas do środka, zrozumiałem, że trafiliśmy do klasztoru.

Nasz dobroczyńca, wysmukły jak trzcina siedemnasto – lub może osiemnastolatek w podkasanym i strasznie brudnym habicie z rozszerzanymi rękawami oraz w wysokim, półokrągłym nakryciu głowy, spod którego spadały mu na ramiona kruczoczarne włosy, przeprowadził nas przez obszerny dziedziniec z na wpół zrujnowaną dzwonnica i powiódł nas do sporej celi mieszczącej się w bocznym budynku.

Samo pomieszczenie, z jego splekanymi i okopconymi na tłusto ścianami, jak też z oberwaną i trzymającą się tylko na jednym zawiasie okiennicą, nie wyglądało dużo lepiej od dzwonnicy na dziedzińcu, sprawiającej wrażenie, jakby

za chwilę miała się przewrócić, ale były w nim dwie ławy do spania, stół, dwa zydle, para czystych lnianych ręczników i cebrzyk do mycia, no i przede wszystkim ogromny bochen chleba, kawał owczego sera oraz dzban źródlanej wody! Na widok bezbrzeżnego szczęścia, jakie musiały wyrażać nasze twarze, młodziutki zakonnik uśmiechnął się, zapalił od łuczywa mały oliwny kaganek, postawił go na stole, a potem, jakby nagle sobie o czymś przypomniał, wytarł blat stołu rękawem habitu i powtórzywszy znowu „*Hegumenos, hegumenos*”, wycofał się z ukłonem na korytarz.

– Co powiedział? – zapytałem, kiedy zamknęły się za nim koślawe drzwi.

– Że rano zaprowadzi nas do swojego przełożonego.

Tej nocy spaliśmy jak zabici. Kiedy obudziło nas delikatne stukanie do drzwi, słońce za rozwaloną okiennicą stało już wysoko na niebie. Żeby nie przetrzymywać zbyt długo w progu naszego gołowąsego anioła stróża, czekającego na nas cierpliwie z zakłopotanym uśmiechem na ustach, ubraliśmy się szybko i bez śniadania udaliśmy się za nim do przełożonego zgromadzenia.

Hegumenos, drobny starzec o długiej brodzie, oczekiwał nas w swojej ciemnej celi na niskim stołku, z którego uniósł się z trudem, by nas powitać. Nie przerywając ani słowem, wysłuchał z uwagą mojej opowieści o nieszczęściu, jakie nas spotkało, zaś kiedy skończyłem, stwierdził krótko i beznamietnie:

– Trudno, wszystkie dobra, jakie człowiek posiada, są darem Bożym. Naprawdę nasze są jedynie grzechy i tylko nad nimi warto biadać.

– To prawda, ojcze – odpowiedziałem z szacunkiem – ale bez koni możemy pozostać w ich mocy już na zawsze. Dlatego musimy dostać się do Konstantynopola, zanim Mały Piotr wyruszy na Turków. Może tu znalazłoby się dla nas jakieś zajęcie, które pozwoliłoby nam zarobić parę groszy? Bo za to, co nam zostało, nie da się kupić nawet kozy. Podejmiemy się każdej pracy – podkreśliłem z naciskiem.

– Szukacie pracy? – zdziwił się *hegumenos* – A po co? Lepiej się módlcie, bo szczerza i dobra modlitwa jest więcej warta od każdego zatrudnienia. Czyż nie zaświadczył o tym nasz Pan w domu Marty i Marii w Betanii? Kiedy tam zaszedł, Marta dwoiła się i troiła, aby Go ugościć, zaś Maria siadła u Jego stóp i wsłuchiwała się w Jego słowa, nie dbając o nic innego. A kiedy siostra zganiła ją za bezczynność, nasz Pan przywrócił rzeczom właściwą miarę i napomniął ją, mówiąc: *Marto, Marto, troszczysz się i niepokoisz o wiele, a potrzeba tylko jednego. Maria obrwała najlepszą cząstkę, której nie będzie pozbawiona*.⁸⁵ Obierzcie ją i wy, a całą resztę dostaniecie za darmo. Lecz jeśli naprawdę chcecie pracować, to obecny tu ojciec Symeon, który ostatnio ma z tym niejakie kłopoty – w głosie starca zabrzmiała wyraźna przygana – na pewno coś dla was wymyśli. Tyle, że u nas nie zarobicie żadnych pieniędzy.

Po tych słowach dał znać, że posłuchanie skończone. Ponieważ nie wypadło odwoływać złożonej przed chwilą deklaracji, skłoniliśmy się tylko i wyszliśmy wraz z posmutniałym nagle Symeonem na korytarz.

– No cóż – rzekł Symeon pod drzwiami naszej celi, nie patrząc nam w oczy – w takim razie posilcie się, a potem, skoro chcecie, przyjdę po was z woli Boga i starca.

Zabraliśmy się do spóźnionego śniadania w niezbyt radosnych nastrojach.

– Wierz mi, panie – przerwał przedłużające się milczenie mój były sługa – że nie boję się żadnej pracy, zwłaszcza że bardzo chciałbym odkupić konie, które straciłeś z mojej winy. Jednak jeśli mamy pracować za darmo, to może lepiej podziękujmy od razu za gościnę i ruszajmy w dalszą drogę na piechotę?

– Nie, Yusufie. Co oni by sobie o nas pomyśleli? Przyjęli nas dobrze i jeśli możemy im się do czegoś przydać, trzeba im pomóc bez względu na zapłatę.

– Jak uważasz, panie – zgodził się Yusuf bez większego przekonania.

Ledwie skończyliśmy jeść, zjawił się Symeon z jakąś deską pod pachą.

– I jak? Gotowi? – zapytał od progu.

– Owszem – odparł niechętnie Yusuf, wstając niespiesznie od stołu.

Symeon, który to zauważył, roześmiał się radośnie.

– Nie obawiajcie się, jeszcze nic dla was nie znalazłem. Tutaj zresztą nie ma dużo do roboty. Na razie zapraszam do mnie, może coś wymyślimy wspólnie.

I poprowadził nas do swojej celi mieszczącej się w innym skrzydle budynku. Kiedy szliśmy nierównym korytarzem, z niektórych cel, otwartych bądź po prostu pozbawionych drzwi, znad książek, z prycz i znad misek, odprowadzały nas zaintrygowane spojrzenia, parę razy rzucono pod naszym adresem jakąś uwagę albo pytanie, ale nie zatrzymaliśmy się nigdzie, dopóki nie dotarliśmy do spróchniałych schodów. Tam Symeon odwrócił się i ostrzegł nas „Trzymajcie się blisko ściany, bo nie ma poręczy”, po czym wprowadził nas na górę, do swojego królestwa i zamknął drzwi na skobel.

Wewnątrz, inaczej niż u *hegumenosa*, nie brakowało światła, wlewającego się szeroką strugą przez otwarte na oścież okno. Nasz gospodarz oparł przyniesioną przez siebie deskę ostrożnie o ścianę i wskazał nam dwa wolne zydle. Zamiast usiąść, woleliśmy jednak rozejrzeć się po celi, gdzie panował spory, lecz ciekawy nieład.

Przede wszystkim było tam znacznie więcej desek. Na niektórych z nich widać było prostokątne wyżłobienia o krawędziach wyciętych w jaskółczy ogon, w innych w krawędzie te wpuszczono już solidne, poprzeczne szpongi, jeszcze inne, z uczynionymi dłutem wgłębieniami, ukazywały ukośną siatkę gęstych, drobnych nacięć bądź miały przyklejone do lica grube, lniane płótno.

Najciekawszą z nich była deska spoczywająca na sztaludze stojącej pod oknem, pokryta gładką jak kość słoniowa substancją, podobną do sproszkowanego alabastru, z której wyłaniał się delikatny zarys twarzy o jednym oku, okolonej długimi, prostymi włosami. Oko to – jak się przekonałem – naszkicowano w tak zmyślny sposób, że gdziekolwiek się stało, przewiercało ono patrzącego na wylot i nie było przed nim żadnej ucieczki.

Obok sztalugi, na wielkim stole z surowych desek, tłoczyło się wiele szklanych i glinianych naczyń wypełnionych żółtymi, błękitnymi, czerwonymi, czarnymi i zielonymi barwnikami, rozmaite moździerze i tłuczki oraz kilka ksiąg, zaś pomiędzy nimi wałały się różnej grubości pędzle z sierści wiewiórki bądź kuny, jakieś dłuta i skrobaczki, szmaty upstrzone różnokolorowymi plamami, kawałek pumeksu, a nawet zapomniana, nadgryziona dawno temu pajda razowego chleba, która zdążyła już wyschnąć na kamień.

To, co najlepsze, wisiało jednak na ścianach. Było to kilkanaście niewielkich obrazów w grubych ramach ze srebra lub złota, z których spoglądali na nas nasz Pan Jezus Chrystus, Jego Matka, zawsze Dziewica, Apostołowie, Święci Pańscy, a także liczni Wyznawcy, Świadkowie i Męczennicy. Wydłużone owale ich pełnych uduchowienia twarzy, ich wielkie oczy o migdałowym wykroju i przenikliwym spojrzeniu, ich solenna powaga i duchowe skupienie, wyszukana elegancja ich gestów i pedantyczna wytworność, z jaką układały się plisy i fałdy szat na ich wysmukłych i jakby zawieszonych w powietrzu ciałach, zachwycały i onieśmiały zarazem, nakazując zachować stosowny dystans i nie zbliżać się zbyt poufale do niewidzialnej, a przecież oczywistej i nieprzekraczalnej granicy, jaka oddziela niebo od ziemi. Wrażenie to potęgowało jeszcze gorejące jak płomień, jednolicie złote tło – z pewnością jedyne zdolne i godne udźwignąć tak wiele majestatu – oraz blask bijący od samych postaci, który wydobywał się gdzieś z wnętrza ich świętej istoty, przekształconej z woli Ducha w źródło światłości.

Szczególnie spodobał mi się obraz przedstawiający naszego Pana, który odziany w powłóczyste, jakby tłoczone w metalu szaty i otoczony aureolą rozpiętą wokół krzyża, patrzył nam prosto w oczy napominającym, choć zarazem pełnym wyrozumiałości wzrokiem, wskazując przy tym na trzymaną w lewej ręce Biblię w drogocennej oprawie pełnej szlachetnych kamieni.

– Czy to wszystko twoje dzieła? – zapytałem oszołomiony.

Symeon pokiwał głową z jakimś niezrozumiałym dla mnie zawstydzeniem.

– Są wspaniałe – rzekłem z podziwem, podchodząc z powrotem do sztalugi pod oknem. – A to pewnie kolejny Chrystus?

– Nie, to Bóg Ojciec, ledwie zaczęty – stwierdził Symeon, składając przed wizerunkiem trzykrotny pokłon.

– Zaraz, chwileczkę. Jak to Bóg?! – zdumiał się Yusuf. – Przecież Bóg jest niewidzialny i niewyobrażalny. A skoro nikt Go nie widział i nie może Go sobie wyobrazić, to nie można Go również przedstawić.

– I tak, i nie – odpowiedział na to nasz gospodarz – To prawda, że Boga Ojca nie da się przedstawić bezpośrednio, chyba że pod postacią obłoku, w którym prowadził Izraelitów do Ziemi Obiecanej i z którego przemawiał na Górze Tabor, aby potwierdzić, że Jezus jest Jego umiłowanym Synem, albo krzaka ognistego, w jakim objawił się Mojżeszowi – podobnie jak ma się rzecz z Duchem Świętym, który ukazywał się ludziom tylko jako gołębica albo pod postacią języków ognia, czy też z całą Trójcą Przenajświętszą, która przybrała formę trzech aniołów, by nawiedzić Abrahama i Sarę pod dębem w Mamre – niemniej można Go przedstawić całkiem wiernie w sposób pośredni, czyli poprzez Jego Syna, który powiedział przecież: *Kto Mnie zobaczył, zobaczył także i Ojca*⁸⁶, oraz: *Ja jestem w Ojcu, a Ojciec jest we Mnie*⁸⁷, a także: *A kto Mnie widzi, widzi Tego, który Mnie posłał*⁸⁸.

– A skąd wiadomo, jak wyglądał Jezus? – nie dawał za wygraną mój były sługa.

– Wiadomo, i to zupełnie dobrze. Po pierwsze, nasz Pan Jezus Chrystus przyjął ludzką naturę, stając się jednocześnie, poprzez Wcielenie, prawdziwym Bogiem i prawdziwym człowiekiem. Wszyscy ci, którzy mieli honor spotkać Go za życia – a więc pasterze i mędrcy, którzy widzieli Go w stajence; ci, którzy z Nim rozmawiali i spożywali z Nim posiłki; ci, u których bywał w gościnie i którym błogosławił; ci, których nauczał, krzepił i pocieszał; ci, których cudownie uzdrowił i wskrzesił; ci, którzy z Nim wędrowali i których obdarzał swoją przyjaźnią i miłością; ci, którzy byli świadkami czynionych przez Niego cudów, ci wreszcie, którzy widzieli Jego mękę i którym ukazał się znowu po swoim zmartwychwstaniu – wszyscy oni oglądali też na własne oczy Jego postać, rysy Jego twarzy, sposób w jaki się poruszał i Jego gestykulację. Czyż On sam nie powiedział zresztą do swoich uczniów: *Szczęśliwe oczy wasze, że widzą, i uszy wasze, że słyszą. Bo zaprawdę, powiadam wam: wielu proroków i sprawiedliwych pragnęło ujrzeć to, na co wy patrzycie, a nie ujrzeli; i usłyszeć to, co wy słyszycie, a nie usłyszeli?*⁸⁹

Po drugie, w cudowny sposób zachował się wizerunek Jego boskiej twarzy, powstały na lnianej chuście, jaką On sam przesłał do Edessy choremu na czarny trąd władcy tego miasta, Abgarowi, który poprosił Go o uzdrowienie. To odbite na chuście oblicze, zwane *acheiropoietos* - „nie ręką ludzką uczynione” – przechowywane dziś w kaplicy Matki Bożej z Faros w Konstantynopolu, oddaje bardzo wiernie Jego najświętsze rysy i stanowi niedościgły model dla wszystkich pisarzy ikon. Po trzecie wreszcie, istniał także Jego posąg w szacie bramowanej,

który wzniosła u siebie w ogrodzie uleczona przez Niego niewiasta cierpiąca na krwotoki. Posąg ten, zniszczony później przez cesarza Juliana Apostatę, oglądał jeszcze na własne oczy Euzebiusz biskup Cezarei, jak możemy przeczytać w jego „Historii Kościelnej”. Tak więc, odkąd Bóg pojawił się cieleśnie na tym świecie i żył pośród ludzi, to, czego wcześniej nie dało się zobaczyć, stało się widzialne, a to, czego przedtem nie można było sobie nawet wyobrazić – wyobrażalne i przedstawialne.

– Ciekawe, czy to samo powiesz o Jego Matce? – zapytał Yusuf, wskazując na wiszące na ścianie wyobrażenie Madonny z Dzieciątkiem.

– Oczywiście. Wiadomo przecież, że po zesłaniu Ducha Świętego, Święty Łukasz, pisarz Chrystusowej Ewangelii, sportretował ją aż trzy razy na desce ze stołu w Nazarecie. Po raz pierwszy jako zadumaną i pełną czułości *Eleusę*, bolejącą nad przyszłą męką swojego Syna; po raz drugi jako wskazującą nam drogę do Niego *Hodigitrię*, i po raz trzeci pod postacią wstawiającej się miłosiernie do Syna za nas grzesznych *Deesis*. Tak więc, dzięki naocznym świadkom i lnianej chuście króla Abgara, nie mamy żadnych wątpliwości jak wyglądał Jezus i Jego święta Rodzicielka, i możemy przedstawiać ich oblicza do końca świata.

– Od czasów naocznych świadków minęło już tysiąc lat. Zważywszy, że przez te dziesięć wieków malowało ich twarze wiele pokoleń malarzy obdarzonych w różnym stopniu talentem i ambicją, można śmiało założyć, że dziś na tych obrazach nawet Matka nie rozpoznałaby rodzonego Syna, ani Syn własnej Matki – prychnął na to mój towarzysz.

– Chyba nie masz racji, bracie – odpowiedział mu Symeon. – Pomijając kwestię talentu, na którą nie mamy żadnego wpływu, nikt z nas, pisarzy ikon, nie kieruje się ambicją czy próżnością. My niczego nie ujmujemy, ani nie dodajemy od siebie, a jedynie staramy się zachować tradycję. Tak naprawdę, to w ogóle nie tworzymy, tylko zdejmujemy łuski z oczu i odkrywamy warstwa po warstwie to, co po prostu istnieje od zawsze. Dlatego, malując na przykład postać Chrystusa, staramy się odwzorować jak najwierniej tę ikonę ikon, jaką jest mandylion króla Abgara. Zresztą, nawet gdyby któryś z pisarzy ikon chciał coś zmienić na własną rękę, nie ma na to większych szans, ponieważ ikona staje się ikoną dopiero wtedy, kiedy otrzyma imię, to znaczy, kiedy Kościół uzna, że została napisana zgodnie ze swoim Pierwowzorem. Zgodność ta musi obejmować nie tylko zewnętrzne podobieństwo, ale także, a nawet przede wszystkim, najgłębszą istotę rzeczy. I jeśli ikony są czczone i wielbione, to właśnie za tę zgodność ze swoimi Pierwowzorami; za to, w czym i na ile są do nich podobne, a nie za to, czym się od nich różnią i na ile są oryginalne.

– Dobrze, przyjmijmy zatem, że wszystkie te wyobrażenia są rzeczywiście podobne do swoich pierwowzorów. Nie tłumaczy to jednak, po co je w ogóle malować? – indagował dalej niewzruszony Yusuf.

– Po to bracie, że i my, którzy mienimy się uczniami Chrystusa gorąco pragniemy zobaczyć i usłyszeć naszego Mistrza – zdziwił się takim stawianiem sprawy młody zakonnik. – Ci, którzy żyli w Jego czasach, mogli Go widzieć i słyszeć bezpośrednio, ale my możemy Go oglądać tylko na ikonach, tak samo jak dane nam jest poznawać Jego słowa wyłącznie za pośrednictwem Pisma. Skoro zaś On sam, z miłości do ludzi, przybrał kształt i postać jednego z nas, a my szczęśliwie wiemy, jak wyglądał, dlaczego nie mielibyśmy Go przedstawiać, jeśli kontemplacja Jego wizerunku wznosi nas do rzeczy boskich w podobny sposób, jak czytanie bądź słuchanie Ewangelii? To samo dotyczy także malowania Jego Matki, zawsze Dziewicy, oraz Apostołów i świętych.

– Dobrze – uśmiechnął się Yusuf. – Ale mówiłeś także o czczeniu i wielbieniu ikon, a tego w żaden sposób nie potrafię pojąć. Że chrześcijanie czczą i wielbią Jezusa, Jego Matkę, zawsze Dziewicę, Apostołów i świętych, to dla mnie rzecz oczywista, dlaczego jednak mieliby jeszcze czcić i wielbić ikony?

– Zaledwie czcić i wielbić – podkreślił Symeon. – bo prawdziwej adoracji godzien jest tylko Bóg. Otóż ikony czcimy i wielbimy dlatego, że są one swoistą epifanią naszego Pana, Bogurodzicy, aniołów, Apostołów, świętych i raju już tu, na ziemi, są czymś w rodzaju okna wybitego w murze oddzielającym nas od wieczności i Królestwa Bożego, a przez to jednym ze sposobów poznania Boga. Każdy chrześcijanin winien jest im cześć i uwielbienie z tego samego powodu, z jakiego czci i wielbi Ewangelie, Krzyż czy święte relikwie. Ikony przekazują bowiem to samo przy pomocy kolorów, co zbawcza Ewangelia przy pomocy liter, przy czym przemawiają także do tych, którzy nie potrafią czytać. I jeśli w przypadku Krzyża czcimy i wielbimy Tego, kogo on przedstawia, nie inaczej dzieje się także w przypadku ikon. Z kolei, skoro nasza cześć i uwielbienie dla relikwii bierze się z wiary, że łaska Ducha Świętego, która za życia wypełniała świętych, trwa nadal – wciąż zdolna czynić cuda – również w ich doczesnych szczątkach, to przecież dokładnie to samo da się powiedzieć o ich wizerunkach, uświęcających i darzących łaską wiernych, którzy na nie patrzą. Jest to tym prawdziwsze, że częste spoglądanie na wyobrażenia naszego Pana Jezusa Chrystusa, świętej Bogurodzicy, czcigodnych Aniołów oraz świętych i świątobliwych mężów zachęca nas do wspomnienia i miłowania ich Pierwowzorów, do oddawania im czci i pokłonu, zaś owe Archetypy, które możemy zobaczyć dzięki ikonie, są dla nas wskazówką, abyśmy także i my przebóstwili się w Chrystusie i stali się dla Niego bogami, tak jak On stał się dla nas człowiekiem. Warto wreszcie dodać, że zarówno pisząc, jak i oddając cześć

ikonom naszego Zbawiciela, wyznajemy zarazem wiarę w Tajemnicę Wcielenia, a tym samym stajemy po stronie prawdy, przeciwstawiając się heretykom, którzy twierdzą, jakoby Jezus był tylko Bogiem lub tylko człowiekiem.

– Wybacz, ale mimo wszystko nie mogę oprzeć się wrażeniu, że chodzi o zwykłe bałwochwalstwo. Bo co w końcu czcicie i wielbicie, jeśli nie deski, lepiej lub gorzej położone farby, pokost, złoto, srebro, jajka w zaprawie i w ogóle materię? – skrzywił się na to mój towarzysz.

– Jak ktoś chce, może tak uważać, ale to bardzo płytkie ujęcie, w dodatku nieprawowierne – stwierdził Symeon. – Tak właśnie myśleli ikonoklaści.

– Ikonoklaści? A cóż to za jedni? – zapytałem zaciekawiony tą dziwną nazwą.

– Wrogowie obrazów, a przez to także samego Kościoła. Kiedy cieszyli się poparciem niektórych cesarzy, niszczyli cudowne ikony, palili je i rąbali, zrywali ze ścian freski, rozbijali święte mozaiki i wydzierali z ksiąg nabożne miniatury. Najpodlejszy i najpotężniejszy z nich, cesarz Konstanty V, nie zawahał się nawet zastąpić w kościele blacherneńskim przedstawień ewangelicznych jakimiś kwiatami, ptakami i bydłami, słowem, ogrodem i menażerią, a w miejsce fresku przedstawiającego Szósty Sobór Powszechny, kazał umieścić portret swojego ulubionego woźnicy! Jednocześnie ci czciciele diabła pastwili się okrutnie nad prawowiernymi. Pewnego razu Konstanty V zgromadził mnichów na hipodromie, gdzie przydał im do towarzystwa najbardziej wyuzdane i prawie nagie ladacznice, co wprawilo w zachwyt rozbestwioną tłuszcę. Patriarchę Konstantynopola zmuszono do deptania świętych obrazów, ozdabiania czoła nieskromnym wieńcem, uczestniczenia w bezwstydnym bankietach, picia na umór, słuchania plugawych tekstów i przyglądania się z łoży sprośnym widowiskom, za którymi sam *basileus* po prostu przepadał.

Jeden z cesarskich dowódców, niejaki Lachandracus, burzył monastypy bądź zamieniał je na składy broni, inne przekształcał w domy publiczne albo sprzedawał, zaś świątobliwym mnichom kazał wybierać między małżeństwem z ladacznicami a wyłupieniem oczu. A cesarz jeszcze go za to chwalił i stawiał za wzór innym gubernatorom! Za rządów ikonoklastów czciciele ikon palono na stosie, topiono zaszytych w workach, miażdżono im głowy na obrazach i torturowano ich na wszelkie możliwe sposoby. Prześladowano także ikonografów. Na przykład Świętego Teodora Studytę bito tak ciężko i długo, że jego ciało zaczęło gnić i jego uczeń, Święty Mikołaj Studyta, musiał je odcinać nożem, kawałek po kawałku. Świętemu Łazarzowi spalono dłonie, choć potem i tak malował ikony pędzlem przymocowanym do kikuta. W te straszne dni wielu splamiło się hańbą odstępstwa, ale jeszcze więcej miłośników Chrystusa dostąpiło wówczas chwały poprzez męczeństwo. Na szczęście liczne i głośne

cuda, jakie sprawiały zbezczeszczone ikony, doprowadziły rychło do tego, że następcy obrazoburczych monarchów przywrócili należny im kult.

– To rzeczywiście okropne – przyznał Yusuf – ale może ci ikonoklaści, czy jak im tam, uważali po prostu, że granica między czcią i uwielbieniem okazywanym obrazom, a ich adoracją, jest nader cienka?

– Zapewne. Problem w tym, że kto podważa kult obrazów, podważa także prawdę Wcielenia, z której on logicznie wynika – odpowiedział Symeon.

– No dobrze, przyjacielu, to w czym możemy ci pomóc? – zapytałem. – Bo chyba jednak nie w malowaniu? Jeśli chodzi o mnie, to dopiero niedawno nauczyłem się kreślić litery.

– Prawdę rzekłszy, to nie możecie mi pomóc w niczym – westchnął młodzieniec. – I to nie tylko dlatego, że pisarzami ikon mogą być wyłącznie prawowierni, zobowiązani do przestrzegania czystości duchowej i cielesnej, stosowania postów, modlenia się i częstego zjawiania się po rady u starca, traktujący z pokorą emanacje wiecznego piękna i gotowi poświęcić mu wszystkie swoje myśli i siły. Rzecz w tym, że po prostu muszę dać sobie radę sam. Widzicie tę postać? – wskazał deskę umieszczoną na sztaludze. – Ma tylko jedno oko. Drugie nie wychodzi mi już od miesiąca. Zupełnie nie wiem, jak się za nie zabrać! – dokończył z rozpaczą w głosie.

– Ale dlaczego? – zdumiały mnie jego słowa. – Przecież namalowałeś już wiele podobnych i wszystkie wyszły ci jak żywe.

– Nie, z malowaniem jest za każdym razem inaczej. Bo malować można tylko dzięki łasce Ducha Świętego – nawet Święty Łukasz malował ikony Bogurodzicy dopiero po Jego zesłaniu – a ja tej łaski nie czuję w sobie od dawna! Nie wiem, co się ze mną dzieje? Nie umiem opanować myśli, nie potrafię skupić się na pracy, nie wiem od czego zacząć i na czym skończyć, wszystko mnie drażni, wątpię w każde rozwiązanie i po omacku szukam lepszego, a kiedy wydaje mi się, że już je znalazłem, przestaje mi się ono podobać i wracam z powrotem do punktu wyjścia! Co gorsza, nie wytrzymuję z pędzlem dłużej niż pół godziny, po czym najchętniej rzuciłbym to wszystko i zaszył się w mysią dziurę! Nie wiem, może czymś zgrzeszyłem i stąd ta niemoc ducha, choć niczego takiego sobie nie przypominam, może to tylko upał, a może po prostu straciłem talent i już nigdy niczego nie namaluję? Jak sądzicie? – zwrócił się do nas z takim napięciem w głosie, jakby od naszej odpowiedzi zależało jego życie.

Zrobiło mi się go żal, toteż patrząc na bujną zieleń za oknem i na pełzające po niej plamy światła, pocieszyłem go:

– Z pewnością to tylko upał. Strasznie tu u was gorąco.

– Naprawdę? – twarz naszego gospodarza nieco się wypogodziła.

– Oczywiście. Zresztą, chwile zwątpienia są w życiu czymś pożytecznym, bo zmuszają nas do zastanowienia się nad sobą, a niekiedy prowadzą nas również do jego odmiany. Wierz mi, wiem coś o tym. Zobaczysz, że już wkrótce wszystko będzie dobrze. Tymczasem, jeśli chcesz, to sobie pójdziemy, żeby ci nie przeszkadzać.

Wtedy przypadł do mnie, chwycił mnie za rękę i zaczął nią z wdzięcznością potrząsać. Później zaś, uściskawszy z rozpędu także Yusufa, zawołał: – Siadajcie, proszę! Wcale mi nie przeszkadzacie i będzie mi bardzo miło, jeśli ze mną jeszcze posiedzicie.

Usiedliśmy więc z powrotem na zydlach i przyglądaliśmy się w milczeniu jego niespiesznej pracy. Symeon pomodlił się najpierw przed wiszącą na ścianie ikoną Chrystusa, po czym podszedł do sztalugi i zaczął ją ustawiać pod odpowiednim kątem do okna. Poprawiał jej ustawienie wielokrotnie, za każdym razem oddalając się od niej na parę kroków i przypatrując się jej z przekrzywioną głową to z lewa, to z prawa, aż wreszcie, znalazłszy dla niej najodpowiedniejszą pozycję, zasiadł na zydlu i ciężko westchnął. Następnie zaczął grzebać w niewielkiej skrzyneczce z drewna stojącej na parapecie. Wyjął z niej dwa kawałki węgla drzewnego, grube i długie jak palec, obejrzał je pieczołowicie, po czym zabrał się za ich temperowanie, nadając ich końcówkom spiczasty kształt. Co jakiś czas sprawdzał palcem ich ostrość, dopóki nie osiągnęły idealnej formy, którą dalsze struganie mogło już tylko zepsuć. Wówczas zatrzymał sobie lepszy z powstałych w ten sposób rysików, drugi zaś wrzucił z powrotem do skrzynki. Wreszcie, westchnąwszy ponownie, zastygł ze wzrokiem utkwionym w desce.

Na wszelki wypadek niemal wstrzymaliśmy oddechy, żeby mu nie przeszkadzać i przesiedzieliśmy tak dłuższą chwilę. Poruszyliśmy się dopiero wtedy, kiedy z nagłą determinacją wyciągnął rękę w kierunku nie istniejącego jeszcze obrazu i nakreślił rysikiem w powietrzu, tuż nad nieskałaną bielą alabastru, górny i dolny łuk brakującego oka. Przez chwilę, przygryzłszy wargi, przyglądał się jego niewidzialnym konturom, żeby zaraz potem poprawić je posuwistym ruchem, którym wysklepił nieznacznie niewidoczną dla nas górną powiekę. Rad z osiągniętego rezultatu, Symeon uśmiechnął się szeroko, a ja odetchnąłem z ulgą. Kiedy następnie, z największą ostrożnością, zupełnie jakby zbliżał ostrze sztyletu do gardła wartownika, przysunął węgiel do powierzchni deski, zacisnąłem mocno kciuki. Ale wtedy Symeon niespodziewanie cofnął rękę i odrzucił rysik, po czym znieruchomiał z wyrazem rozpaczony na twarzy.

– Co się dzieje? – zapytałem z niepokojem.

– Nic z tego nie będzie.

– Dlaczego?

– Nie będzie i już! – powtórzył, a potem spróbował się uśmiechnąć, choć wypadło to dość żałośnie. – Powiedz mi, panie, co miałeś na myśli mówiąc, że zwątpienia są czymś pożytecznym?

W jego głosie czuło się takie cierpienie, że postanowiłem udzielić mu wyczerpującej odpowiedzi.

– Na przykład to, że gdyby nie one, nigdy bym się tutaj nie znalazł.

– Jak to?

– A tak – i wtedy opowiedziałem mu o tym, jak to pewnego dnia, po trzech latach wojaczki, przyjrzałem się sobie w kawałku zdobycznego lustra i spostrzegłszy, jak bardzo przerzedziły się i posiwiały moje włosy, zwątpiłem w sens dalszego wojowania i powziąłem stanowczy zamiar powrotu w ojczyste strony, a także o tym, co z tego wynikło. Choć nie szczędziłem mu szczegółów, o które wciąż prosił (historię śmierci najdzielniejszego z dzielnych, króla don Sancha, oraz dziwne przypadki Hyperechiosa streściłem mu nawet dwukrotnie, za każdym razem nieco inaczej), opuściłem jednak wszystkie wątki i detale, które mogłyby urazić jego młody wiek i szczytne powołanie, lub sprowadzić moją opowieść na grząskie manowce. Tak więc, nie wspominałem mu ani słowem o Subh i pominąłem całkowicie historię Mamerkusa, zbyłem także milczeniem okoliczności poznania Yusufa oraz kwestię jego wiary, jak też nie uznałem za stosowne wprowadzać młodego mnicha zbyt głęboko w powody wzięcia przeze mnie krzyża.

Symeon słuchał mnie z zapartym tchem, podczas gdy ja czytałem w jego twarzy jak w otwartej księdze. Raz malował się na niej lęk i zgroza, kiedy indziej gniew i oburzenie, czasem wstyd bądź rozterka, często niedowierzanie lub rozbawienie, lecz nad tym wszystkim górowała iście dziecięca ciekawość. Nigdy bym jednak nie przypuszczał, że tym, co zainteresuje go najbardziej, będą akurat zmagania orężne pod Hueską i moje rycerskie przygody. Bardzo mnie to wzruszyło, toteż nie żałowałem mu szczegółów, kiedy wypytywał mnie z wypiekami na twarzy o bitność i odwagę moich przeciwników, o ich oręż, barwy i znaki, o ich metody walki i wojenne fortele, o ich pchnięcia i ciosy, a wreszcie o sposoby, jakich musiałem się imać, żeby jakoś sobie z nimi poradzić.

Kiedy w końcu zaspokoilem jego ciekawość w tym względzie, opowiedziałem mu jeszcze o tysiącach ludzi z różnych krain i prowincji, opuszczających swoje ukochane żony, rodziców i maleńkie niekiedy dziatki, porzucających swoje rodzinne domy, swoich braci i siostry, cały swój majątek oraz wszelkie inne miałkie i nic nie znaczące sprawy tego świata, i podążających według wskazań naszego Pana na Wschód, aby odzyskać dla Niego to miasto, które rodząc się okrył na zawsze chwałą, które upiększył przez swój pobyt, które uświęcił poprzez

swoją mękę, które odkupił poprzez swoją śmierć i które rozślawił na wieki swoim zmartwychwstaniem. Powiedziałem mu również, że kiedy owi ludzie, którym nie straszne są bieda, głód, pragnienie, niewygody, rany, choroby, niewola a nawet męczeńska śmierć, wydrą to miasto z rąk niewiernych, ono zapewni swoim wybawcom wstęp do Jeruzalem, co wznosi się w niebie, gdzie nasz Pan przygotował już dla wszystkich, którzy Go miłują, cuda, jakich oko nie widziało, ani ucho nie słyszało, ani serce ludzkie nie jest w stanie pojąć.

Symeon, blady jak ściana, słuchał mnie drżąc ze wzruszenia i niewiele brakowało, żeby się rozplakał. Kiedy skończyłem, rzucił się do moich kolan, a wtedy przygarnąłem go mocno do serca i pełen żalości, która mnie nagle opadła, zawołałem:

– Och, Symeonie, jakże bym chciał mieć takiego syna jak ty!

Na te słowa młody człowiek zerwał się z klęczek, ucałował obie moje ręce, a potem, ocierając twarz rękawem habitu, wybiegł z celi bez pożegnania.

Następnego dnia historia się powtórzyła. Twarzy na obrazie wciąż brakowało drugiego oka, za to ja opowiedziałem Symeonowi o naszych przygodach na Węgrzech i o spotkaniu na tratwie właściciela dziurawego parasola. Jednak tym razem młody człowiek słuchał mnie tylko jednym uchem, nie zadawał mi żadnych pytań i nie dopominał się wcale o więcej szczegółów. Za to kiedy skończyłem, wymówił się jakąś pilną robotą i szybko się z nami pożegnał.

Jak bardzo go polubiłem, przekonałem się nazajutrz, kiedy wbrew swemu zwyczajowi nie odwiedził nas po śniadaniu. Niepokoilem się, czy się czasem nie rozchorował, ale koło południa zastukał do naszych drzwi. Miał podkrążone z niewyspania oczy i wyglądał na bardzo zdenerwowanego. Poprosił o pozwolenie skorzystania z zydła, a potem oświadczył z determinacją:

– Przemyślałem wszystko. Proszę, zabierzcie mnie ze sobą do Ziemi Świętej. Ja też chcę pomóc w odzyskaniu grobu naszego Pana. Na pewno się przydam. Mogę nieść ludziom duchową pociechę, mogę opatrywać rannych, w razie potrzeby mogę nawet walczyć.

– Walczyć? – zdumiałem się. – Przecież jesteś mnichem.

– A kim jest Piotr Pustelnik? – zapytał w odpowiedzi. – I w czym ja jestem od niego gorszy? Czyżbym nie miał rąk albo nóg? A może jestem za młody lub za stary?

– Nie o to chodzi, Symeonie – odparłem stropiony. – Po prostu, to nie dla ciebie. Zamiast odzyskiwać grób Chrystusa, lepiej odzyskuj dla Niego ludzi, robiąc to, co umiesz najlepiej. Przecież masz wielki talent.

– Miałem – skrzywił się boleśnie. – Ale to nie ma nic do rzeczy, tak samo jak upał. W końcu, to nasze kościoły i nasze ołtarze sprofanowano w Ziemi Świętej. Więc jeśli wy mogliście przybyć z końca świata, aby ich bronić, dlaczego ja

miałbym ich poniechać, chociaż mi do nich o tyle bliżej? Chyba że w głębi serca uważasz, panie, że to wyłącznie wasza sprawa? Że tylko wy powinniście podążać według wskazań naszego Pana, żeby osiągnąć Jeruzalem Niebieskie? Że tylko wam nie straszna bieda, głód ani pragnienie, a nawet niewola i męczeńska śmierć? Że Chrystus należy tylko do was i tylko wy macie obowiązek miłować Go do końca tak, jak On nas umiłował?

– Wcale tak nie uważam – zaprzeczyłem. – Tylko dlaczego nie wstąpisz do armii? Tam cię nauczą wszystkiego od podstaw.

– Do armii?! – zachnął się. – Nie, to nie dla mnie. Musztra, komendy, ćwiczenia, dyscyplina, a na koniec i tak trafiasz tam, gdzie pasuje dowództwu, lecz niekoniecznie tobie. Wolę po stokroć chodzić luzem, tak jak ty, panie, od przygody do przygody, z jednego ciekawego miejsca w drugie. Poza tym, przy tobie na pewno nauczę się więcej – złożył błagalnie ręce.

– Nie wiem, zobaczymy. Muszę się nad tym zastanowić – próbowałem się jakoś wykręcić.

– A nad czym się tu zastanawiać?! – syknął Yusuf w *romance*, tak żeby Symeon nie mógł go zrozumieć. – Dlaczego mielibyśmy go zabierać?!

– Choćby dlatego, że tego chce – stwierdziłem ze złością, bo czułem, że sytuacja zaczyna mnie przerastać. – Znasz jakiś lepszy powód?

– I owszem – odparł z przekąsem mój były sługa. – Zabrać kogoś, bo tego nie chce, jak było w moim przypadku.

Nic mu na to nie odpowiedziałem, gdyż w tej samej chwili Symeon poprosił ponownie:

– Błagam cię, panie, porozmawiaj o tym ze starcem, bo mnie nie chce nawet wysłuchać.

– Dobrze, skończmy z tym wreszcie – zdecydowałem się w jednej chwili. – Idziemy do *hegumenosa*. Ty też, Yusufie. Będziesz nas tłumaczył.

Kiedy znaleźliśmy się w celi starca, odniosłem wrażenie, że *hegumenos* już na nas czekał i nie jest bynajmniej w najlepszym humorze. Sprawdziwszy, czy na przyległym korytarzu nikt się nie kręci, zamknął starannie drzwi, a potem zwrócił się do nas bez żadnych wstępów, z groźnym błyskiem w oczach:

– Powiedzcie mi, dlaczego odciągacie naszego umiłowanego ojca Symeona od jego pierwszych, podstawowych i świętych obowiązków, czyli od pisania ikon, i od pokornej służby tej nieskalanej Przystani Zbawienia, jaką jest nasz Święty Soborowy i Apostolski Kościół Prawosławny? Od służenia Jedynemu Kościołowi – czego wy, przytłoczeni ciężarem monarchii watykańskiej, nie jesteście w stanie zrozumieć – na którym spoczywa obłok chwały Bożej i który stoi na straży czystości wiary przekazanej nam przez Pana naszego Jezusa Chrystusa?

– My?! Odciągamy?! – nie wierzyłem własnym uszom.

– A nie? Jak zatem nazwać to mącenie i wicherzenie w głowie, to diabelskie kuszenie, to szatańskie uwodzenie światowymi i niemoralnymi opowieściami, przy pomocy których burzycie spokój jego ducha? Dobrze wam radzę, zostawcie go w spokoju i zajmijcie się raczej sobą. Bo to nie jemu trzeba awantur i nowych wrażeń, ale wam więcej refleksji i wyciszenia, i to nie on posiada za mało na zewnątrz, ale wy za mało w środku. Nie jemu też trzeba czczych przygód, pustych czynów, grzesznego przelewu krwi i nic nie znaczącej wojennej chwały, ale wam więcej serca, więcej wyrzeczenia, więcej naśladowania Chrystusa, więcej zapału w dźwiganium krzyża, więcej pokory i więcej miłości. Tak, przede wszystkim więcej pokory i miłości! Oświadczam wam uroczyście, że Symeon nigdzie z wami nie pojedzie i nigdy, pod żadnym pozorem, nie weźmie udziału w tej niepotrzebnej nikomu wojnie. Bo też i nie grób Chrystusa powinniśmy odzyskiwać, ale Jego samego w naszych sercach.

– Nie weźmie? A to niby dlaczego? – zawrzałem i ja. – Czyżby nie miał rąk albo nóg? A może jest za młody lub za stary? A może w głębi serca uważasz, panie, że to wyłącznie nasza sprawa? Że tylko my powinniśmy podążać według wskazań naszego Pana, żeby osiągnąć Jeruzalem Niebieskie? Że tylko nam nie straszna jest bieda, głód ani pragnienie, a nawet niewola i męczeńska śmierć? Że Chrystus należy tylko do nas i tylko my mamy obowiązek miłować Go do końca tak, jak On nas umiłował?

– Dostyc! – przerwał mi *hegumenos* spurpurowiały z gniewu. – Przyjęliśmy was, otoczyliśmy opieką, zaoferowaliśmy wam dach i jedzenie, znaleźliście u nas gościnę, troskę i życzliwość. Ale wy, choć nie przynieśliście nam nic oprócz kurzu na waszych butach, postanowiliście zburzyć nasz spokój i zbrukać czystość naszych serc! Zresztą, cóż w tym dziwnego? – zaśmiał się gorzko – Czegóż innego można się po was spodziewać? Czego może się spodziewać widzący po ślepcu, słyszący po głuchym? Cóż innego poza mąceniem w głowie ma do zaoferowania młodszy starszemu, grzeszny czystemu, a odszczepieniec prawowiernemu? Czego można wymagać od tych, którzy oddzielili się od Ciała Chrystusowego, przestali pić z tego samego źródła, roztrwonili duchowe skarby Ortodoksji, wprowadzili nowe i błędne doktryny, i chociaż mienia się chrześcijanami, nie wiedzą nawet, od kogo pochodzi Duch Święty? Czego innego oprócz fałszu i zdrady można oczekiwać od tych, którzy podczas Najświętszej Ofiary podają, jak Żydzi, nie kwaszony chleb i przyjmują komunię tylko pod jedną postacią? Na cóż można liczyć w kontakcie z tymi, którzy podczas Przemienienia postponują Najświętszą Tajemnicę, wystawiając ją na widok gminu? Nie na darmo powiada Psalmista: *odległy jest Wschód od Zachodu!*⁹⁰ Raz jeszcze okazało się, że zadawanie się z wami nie prowadzi do niczego

dobrego i nie jest bardziej rozumne, niż liczenie na to, że rak nauczy się chodzić do przodu, słońce zaświeci w nocy, a Murzyn stanie się biały! Słyszałeś? Słyszałeś obelgi tych heretyków? – zwrócił się z pasją do Symeona. – Zrozumiałeś wreszcie, z kim masz do czynienia? Mówiłem ci, że to diabeł przez nich przemawia!

Zupełnie przybity młodzieniec skurczył się w sobie jeszcze bardziej, po czym rzucił się ze łkaniem do stóp starca i objął go mocno za nogi. *Hegumenos*, ciężko dysząc, najpierw zaczął gładzić jego długie, kruczoczarne włosy, a potem odezwał się znowu nieco łagodniejszym, choć wciąż pełnym emocji głosem:

– No dobrze już, dobrze, mój synu. Zbłądzić jest rzeczą ludzką, tylko trwać w błędzie – szatańską. Dlatego wracaj do siebie i wycisz się. Wszak i na desce nie da się malować, jeśli się jej przedtem nie wygładziło. Usiądź spokojnie w celi, wznieś się myślami ponad wszystko, co błahe i trzymaj na wodzy zmysły, aby twoja dusza nie wymknęła się już więcej na zewnątrz. A ilekroć nie będziesz dawać sobie rady z pokusami, z brakiem wytrwałości, ze zniechęceniem i z innymi słabościami, a nawet z samym sobą, tylekroć bierz przykład z niewidomego żebraka Bartymeusza i wołaj głośno razem z nim: *Jezusie, Synu Dawida, ulituj się nade mną!*⁹¹ Zobaczysz, że dzięki tej formule, zawierającej w sobie wszystko, co jest potrzebne do zbawienia, twoja wiara cię uleczy i przejrzyś na oczy, tak jak on.

Po tych słowach pomógł nieszczęsnemu Symeonowi powstać z klęczek i przytulił go do serca. Młody człowiek ucałował z pokorą dłoń starca i wyszedł z celi, unikając starannie naszego wzroku.

– A co do was – rzekł *hegumenos*, kiedy za Symeonem zamknęły się drzwi – to bardzo was proszę, opuście ten klasztor. Z pożytkiem dla wszystkich.

Kiwnąłem głową na znak zgody i już chciałem się oddalić, kiedy starzec powstrzymał nas i uśmiechnąwszy się po raz pierwszy kącikiem ust, dodał:

– Jeszcze nie skończyłem. Powiedziałem wam, żebyście się modlili, a reszta będzie wam dodana za darmo. Jutro będzie przechodził tędy oddział żołnierzy udający się do Konstantynopola. Jeśli chcecie, polecę was dowódcy, a dotrzecie tam szybko, bezpiecznie i *gratis*.

Podziękowałem mu za ten gest dobrej woli, jak również za wszystkie dobrodziejstwa, jakich doznaliśmy w jego klasztorze, po czym pożegnaliśmy się i wyszliśmy.

– Panie, jeśli się nie mylę – odezwał się Yusuf, gdy znaleźliśmy się na korytarzu – przed chwilą znów nazwano cię heretykiem. Doprawdy nie rozumiem, dlaczego upierasz się, by razem z tymi, którzy nazwali cię tak po raz pierwszy, bronić tych, którzy nazwali cię tak po raz drugi, i to przed tymi, którym

jest to zupełnie obojętne, bo nie mają w tej kwestii żadnego zdania? Zastanów się, póki jeszcze czas.

– Nie ma się nad czym zastanawiać, Yusufie – odpowiedziałem. – Nie robię tego ani dla jednych, ani dla drugich, tylko dla siebie i chwały Bożej. Czyż nie mówiłeś sam, że kto idzie drogą prostą, ten idzie drogą prostą dla samego siebie, a ktokolwiek błądzi, błądzi na szkodę samemu sobie? A poza tym *hegumenos*, jako schizmatyk, jest sto razy większym heretykiem ode mnie.

Jednak złość i rozżalenie nie dały mi tej nocy zasnąć. Tuż przed świtem obudziłem Yusufa, ubraliśmy się po cichutku i przyświecając sobie łuczywem, poszliśmy do Symeona. Musiałem długo stukać, zanim nam wreszcie otworzył. Był ubrany, a w rękę trzymał węglowy rysik.

– Przyszliśmy się z tobą pożegnać – wyjaśniłem widząc jego zaskoczone i jak mi się zdawało, nieco zaleźnione spojrzenie.

Wówczas spróbował przeniknąć wzrokiem ciemności za naszymi plecami, a potem szepnął krótko: „Wejdźcie”. Jak się okazało i on nie spał tej nocy. Przy stojącej pod oknem sztaludze płonęło migotliwie siedem czy osiem kaganków, zaś na podłodze walały się jakieś szkice. Podsunął nam obu zydle, sam zaś usiadł bez słowa na pryczy.

– Widzę, że zabrałeś się znowu do pracy – powiedziałem wskazując na stojący na sztaludze obraz, gdzie oblicze okolone długimi włosami nareszcie zyskało drugie oko.

– Tak. Najtrudniejsze są rzeczy najprostsze. Postanowiłem, że zrobię z tego Chrystusa na krzyżu, i może wtedy wszystko pójdzie dobrze. Jak myślisz, panie?

– Na pewno wszystko pójdzie dobrze – potwierdziłem. – Choć wiedz, że byłby z ciebie także świetny giermek.

Po moich słowach pokraśniał z dumy, ale nie podjął już tego tematu. Wkrótce potem uściskaliśmy go serdecznie i wyszliśmy na korytarz. A kiedy trzymając się ściany, zeszliśmy na dół po spróchniałych schodach, Symeon wychylił się ze swojej celi i zawołał za nami półgłosem: „Uważajcie na siebie! Będę się za was codziennie modlić!”.

Wczesnym rankiem wyjechaliśmy z klasztoru na wymoszczonej słomą podwodzie w towarzystwie trzydziestu greckich żołnierzy. Dowodzący nimi podoficer – zwalisty olbrzym w wypuczonym na brzuchu kubraku ze skóry, przechodzącym u dołu, ku mojemu rozbawieniu, w rodzaj kusej, pociętej na pasy spódniczki – okazał się miłym i bardzo rozmownym towarzyszem podróży. Od razu zainteresował się moim mieczem, znacznie dłuższym niż jego własny, a potem zaczął mnie wypytywać o mój ród, pochodzenie, ojczyście strony, powód tak dalekiej wędrówki oraz widziane do tej pory kraje i przeżyte przygody. Zaś

kiedy opowiedziałem mu o naszym pobycie w klasztorze i o tym, jak nas z niego wyproszono, klepnął mnie przyjaźnie po ramieniu i rzucił lekceważąco:

– Nie ma się czym przejmować. Sam pochodzę z rodziny, którą ci bałwochwalcy wygubili niemal do szczytu za zwalczanie ikon, wiem zatem dobrze, czego można się po nich spodziewać. Czy wiecie, że niektórzy z nich posuwali się nawet do tego, że zeskrobywali farbę z obrazów i dodawali ją do komunii w przekonaniu, że przyjmują w ten sposób Ciało i Krew Tego, który był na nich wyobrażony, albo też brali ikony na świadków przy składaniu ślubów zakonnych, podczas chrztu, przy zawieraniu małżeństwa i w sądzie? No, ale jeszcze zobaczymy, czyje będzie na wierzchu!

W ciągu kilkunastu dni podróży na skróty, podczas której poruszaliśmy się głównie bocznymi drogami, nasz podoficer troskliwie się nami opiekował, jak też opowiedział nam sporo o sobie i o rozciągającym się wokół kraju. Służył w prowincjonalnym kasztelu nad Dunajem, którego załoga sama uprawiała ziemię i hodowała trzodę, sama piekła chleb i tłoczyła oliwę, sama suszyła i peklowała mięso, sama produkowała wino i wszystko, co jej było potrzebne do życia, wyzbytego na dzikim pustkowiu wszelkich wygod i rozrywek. Gdyby nie szczęśliwie zdarzające się od czasu do czasu ataki barbarzyńców, życie to byłoby tak nudne, że aż trudne do wytrzymania. Dlatego przypadająca raz na pół roku wyprawa po żółd do stolicy była dla naszego opiekuna największą nagrodą, o którą zabiegał przez długie miesiące, podobnie jak reszta garnizonu.

O Konstantynopolu, gdzie zamierzał tego się zabawić, opowiadał nam prawdziwe cuda. W jego opinii, było to najwspanialsze miejsce na świecie, miasto kąpiących od złota pałaców i skrzących się mozaikami kościołów, miasto niekończących się kolumnad, pysznych pomników i starych łuków tryumfalnych, miasto strzelistych wież i potężnych akweduktów z zawsze świeżą i czystą wodą, miasto nieprzebranych, gromadzonych od wieków skarbów i świętych relikwii obdarzonych największą mocą. W Konstantynopolu istniały podobno całe dzielnice zamieszkałe przez kupców, zaś przy najbogatszej i najruchliwszej z ulic, zwanej Mese, w setkach, a może i w tysiącach sklepów, można było podziwiać najwspanialsze towary pochodzące ze wszystkich stron świata: bele chińskiego jedwabiu i indyjskiej bawełny, saraceńskie dywany i scytyjskie futra, płaszcze wyszywane złotą nicią, sterty farbowanych na czerwono babilońskich sandałów, stosy szlachetnych kamieni oraz złotych i srebrnych naczyń, całe arsenały broni z damasceńskiej stali, meble z najszlachetniejszych gatunków drewna, kopce przypraw, korzeni i mirry, beczki najlepszego wina i oliwy, nieprzeliczone amfory pełne wonnych olejków, klatki z egzotycznym ptactwem i dziwnymi zwierzętami, góry najsmaczniejszych pod słońcem owoców,

a także urodziwych niewolników i przepiękne niewolnice w każdym wieku i odcieniu skóry.

Jednak zdaniem naszego mentora tym, co Konstantynopol miał najlepszego, były wszelkiego rodzaju rozrywki i uciechy. Podobno, żeby się nimi naprawdę nasycić, należało odwiedzić miasto podczas jesiennych brumaliów, kiedy to cała stolica wylegała na place i ulice, aby przyglądać się wspaniałym pochodom i maskaradom, jak również wesołym pantomimom, w których naśladowano różne zwierzęta, mężczyźni przebierali się za kobiety a kobiety za mężczyzn, wygłaszano zabawne mowy, drwiono z wszystkich i z wszystkiego, tańczono pod gołym niebem oraz pito na umór dniem i nocą. Ale choć do jesieni brakowało jeszcze sporo czasu, nawet teraz, w lecie, można było zobaczyć popisy akrobatów, zabawić się w którejś z niezliczonych tawern czy winiarni albo w którymś z nie mniej sławnych i równie cenionych przez publiczność lupanarów, przede wszystkim jednak należało wybrać się na hipodrom („Koniecznie, koniecznie!”), aby choć raz w życiu obejrzeć porządne wyścigi. Nasz nowy przyjaciel zamierzał to uczynić zaraz po przybyciu do stolicy i jako zagorzały stronnik Zielonych chciał postawić na nich w zakładach połowę swego miesięcznego żołądka, zaoszczędzoną specjalnie na tę okazję.

Yusuf słuchał jego zachwyty raczej powściągliwie, rzucając tylko od czasu do czasu: „To całkiem jak w Kordobie” lub „W Kordobie jest dwa razy lepiej” („Dwa razy więcej”, „Dwa razy taniej”, „Dwa razy piękniej”, „Dwa razy częściej”, „Dwa razy weselej”), ale na mnie te opowieści robiły ogromne wrażenie i zastanawiałem się często, czy to w ogóle możliwe, żeby jakieś miasto mogło być aż tak wspaniałe? Jednak jeszcze bardziej nurtowało mnie pytanie, czy w tym niezwykłym mieście uda nam się wreszcie doścignąć Małego Piotra?

Odpowiedź na pierwsze z tych pytań otrzymałem, gdy któregoś dnia wjechaliśmy na szczyt niezbyt wysokiego wzgórza, gdzie nasz przewodnik zatrzymał całą kolumnę, po czym poprosił nas, abyśmy zeszli z wozu. Wtedy podprowadził nas na skraj zbocza i wyciągnąwszy przed siebie rękę, powiedział z nabożnym respektem: „Konstantynopol!”.

I rzeczywiście, w odległości niecałej godziny jazdy rozciągało się przed nami wspaniałe, ogromne, szaro – złoto – różowe zbiorowisko tysięcy domów i pałaców, piętrzących się na różnych poziomach płaskich i spadzistych dachów, mniejszych lub większych kopuł, potężnych murów, rozmaitej wysokości wież, nachylonych pod różnymi kątami tarasów, rozległych kolumnad, niezliczonych bram, placów i ulic, a wszystko to przetykane zielenią ogrodów i otoczone błękitem morza, na którym roilo się od statków.

– To mur Teodozjusza, za nim, na lewo, Pałac Blacherneński i przystań cesarska. Dalej klasztor Panhagiotissa, z prawej strony to cysterna Świętego

Mocjusza, a jeszcze bardziej na prawo, Złota Brama – recytował tymczasem nasz wniebowzięty grecki przyjaciel. – Ten mur wewnętrzny to mur Konstantyna, zaś trochę w głębi za nim widać klasztor i kościół Świętego Polyeuktesa, obok niego kościół Świętych Apostołów, klasztor Chrystusa Pantopoptosa i Chrystusa Pantokratora, a także Forum Bovis i Forum Arkadiusza. Ta ogromna kopuła, widzicie, tam, na końcu cypla, to Hagia Sophia, największa budowla na świecie. Hipodrom znajduje się dokładnie między nią a Wielkim Pałacem, naprawdę łatwo trafić.

– A tam, za morzem? – zapytałem oszołomiony wielkością i potęgą tego, co roztaczało się przed moimi oczami. – Czy to jakaś wyspa?

– Tam? – pokazał dla pewności palcem.

– Właśnie.

– Nie, to brzeg chalcedoński, Azja – prychnął z pogardą.

– Azja?! Słyszysz, Yusufie?! Azja! – podskoczyłem na te słowa z radości i ku zdziwieniu naszego bizantyjskiego opiekuna, porwałem mojego byłego sługę w ramiona.

XII

Po pożegnaniu się z naszym Grekiem koło Złotej Bramy zaczęliśmy szukać odpowiedzi na drugie z nurtujących mnie pytań i o dziwo, ta również okazała się pozytywna. Mały Piotr był jeszcze w Konstantynopolu – dogoniliśmy go!

Kiedy jacyś ludzie w zachodnich strojach wytłumaczyli nam jeszcze, jak dotrzeć do jego obozu, ciągnącego się wzdłuż zachodnich murów miasta aż do samego morza, natychmiast się tam skierowaliśmy.

Między setkami ciasno stłoczonych wozów i tysiącami namiotów, bud, szałasów i ziemianek w oczy szczypał dym ognisk, przy których warzono strawę i suszono odzież; w uszach huczało od wrzawy najprzeróżniejszych języków, mieszającej się z nawoływaniem przekupniów, śpiewami i śmiechami, odgłosami kłótni, płaczem dzieci i wszechobecnym jazgotem zwierząt, a w nosie kręciło od zapachów, ponad które wybijał się wręcz powalający smród nieczystości. Na szczęście przez środek obozu biegło coś w rodzaju ulicy, dzięki czemu można było posuwać się do przodu mniej więcej w tym samym kierunku, choć i tam mrowił się tłum ludzi, szczególnie gęsty przy straganach, gdzie można było zrobić zakupy, i to zarówno u kupców greckich, jak i zachodnich.

Widziało się tam worki zboża, stopy świeżych i suszonych ryb, girlandy kielbas, półcie wędzonego boczku i krwawe zwały rozrąbanego mięsa, żywe bądź obdarte już ze skóry króliki, kury, kaczki i gęsi ze spętanymi łoziną nogami, góry warzyw i owoców, beczki wina, piwa i gorzałki, rozwieszoną na haczykach odzież, buty, pasy, broń, kolczugi, zbroje, ostrogi, siodła, derki, chomąta, skórzane bukłaki, podkowy i gwoździe, wszelkich rozmiarów krzyże, świece i szkaplerze, ampułki na wodę święconą, jak też przeogromny wybór lekarstw, proszków, mikstur i maści na wszelkie znane i nieznanne choroby.

Wielką ciekawość przechodniów budziły również rzeczy zbędne, choć niewątpliwie piękne, jak pozłacane zastawy, lustra z polerowanego srebra, wzorzyste tkaniny, puszyste dywany, złote pierścionki i bransolety, sznury pereł i koralii, szyldkretowe grzebienie, miękkie sandały z czerwonego safianu, tabliczki z kości słoniowej niewiadomego przeznaczenia, wspaniałe futra o zbyt gęstym jak na miejscowy klimat włosiu, białe i czerwone płaszcze haftowane złotą nicią, a nawet ułamki jakichś figur z brązu lub marmuru.

Jeszcze większym powodzeniem cieszyły się stoiska, gdzie wystawiano na sprzedaż różne relikwie. Pośród wielu innych, można tam było dostać częśćkę stołu, przy którym wieczerzał nasz Pan ze swoimi uczniami, zanim go wydano; drzazgi ze słupa, do którego był przywiązany podczas biczowania; rzemyk z bicza, którym Go smagano; kłębek nici z szaty, w którą był odziany; strzępy

gąbki, z której pił wino zmieszane z mirrą, oraz tej drugiej, znacznie sławniejszej, na której podano Mu ocet zmieszany z żółcią. Była tam także ziemia i kamienie z Golgoty, oliwa z Góry Oliwnej w mniejszych lub większych butelkach, zakrwawione kolce z korony cierniowej, a wreszcie parę fragmentów Grobu Świętego, który mieliśmy zamiar oswobodzić. Przyglądałem się tym skarbowi jak urzeczony, zwłaszcza że ich ceny nie wydawały mi się zbyt wygórowane, lecz kiedy Yusuf powiedział mi, że podawano je w złotych bizantyjskich solidach („Monecie równie dobrej jak kordobańskie dinary”), mogłem jedynie ciężko westchnąć i pomaszerować dalej.

Dalej zaś stało wiele bud i namiotów, zdobnych w wymowne i rzucające się już z daleka w oczy wizerunki, informujące o tym, że można się było w nich ostrzyć i ogolić, przekłuć sobie pęcherze albo ściąć nagniotki, wyrwać bolący ząb i puścić zepsutą krew, opatrzeć stare lub niedawne rany, a jeśli ktoś miał pieniądze i ochotę, także wypić, najeść się do syta i zagrać sobie w karty, szachy albo kości. Handlowano tam również żywym towarem, i to dość intensywnie, bo oferujący go naganiacze i podkasane ladacznice kilka razy łapali nas za rękawy, zapraszając natarczywie do stojących na uboczu jaskrawych namiotów.

Minąwszy to siedlisko rozpusty, zagłębiliśmy się w część mieszkalną obozowiska, gdzie zaczęliśmy się rozpytywać o kwaterę Małego Piotra. W końcu ktoś, z kim dało się porozumieć w *romance*, wskazał nam grupę okazałych namiotów na sąsiednim wzgórzu. Poszliśmy tam na przełaj, przez jakieś sady i ogrody, które zdążono już ogołocić ze wszystkiego, co nadawało się do jedzenia i w większej części wycięto na opał. Po drodze widzieliśmy wiele pięknych domów z kolumnami i tarasami, zajętych teraz przez krzyżowców, a ponieważ wraz z ich prawowitymi właścicielami znikły też na ogół otaczające je dawniej kraty, parkany i płoty, mogliśmy poruszać się bez przeszkód na skróty, zważając jedynie na to, by się czymś nie narazić nowym mieszkańcom, spoglądającym z niechęcią na każdego intruza, i nie zranić sobie nóg o ukryte w trawie cokoły po zwalonych posągach.

Kwaterę Piotra Pustelnika rozpoznaliśmy łatwo po wielkim tłumie otaczających ją ludzi, którzy modlili się na kolanach, leżeli krzyżem, palili świece bądź kadzidła i wpatrywali się z krucyfikсами w dłoniach w wejście do namiotu, gdzie w każdej chwili mógł się pojawić ten, który niczym drugi Mojżesz wywiódł ich z domu niewoli, by poprowadzić ich przez pół świata do Ziemi Obiecanej.

Z najwyższym trudem przedarliśmy się przez zbitą gęstwą ciał, by porozmawiać z dowódcą straży otaczającej namiot Małego Piotra potrójnym kręgiem. Potężny jak niedźwiedź Lotaryńczyk, któremu się przedstawiłem, wysłuchał z całkowitą obojętnością mojej prośby o spotkanie z Piotrem

Pustelnikiem, po czym kazał mi wrócić za parę dni. Wtedy zażądałem rozmowy z kimś z najbliższego otoczenia wodza i nie ustępowałem tak długo, aż w końcu tępy jak niedźwiedź Lotaryńczyk pofatygował się do wnętrza kwatery, skąd wrócił niebawem w towarzystwie młodego kleryka o zbolącej twarzy, jak się okazało, osobistego sekretarza Małego Piotra.

– O co chodzi? – zapytał młody duchowny, obrzuciwszy mnie najpierw taksującym spojrzeniem, po czym zaniósł się przeraźliwym kaszlem.

– Bardzo chciałbym zobaczyć Piotra Pustelnika – poprosiłem.

– Nie ty jeden – odparł na to młody sekretarz, z trudem chwytając oddech. – A po co?

– Żeby zaoferować mu swoje służby. Jestem rycerzem, mógłbym się wam przydać.

– Dobrze, przyjdź jutro koło południa.

– A nie można by dzisiaj? Nie mamy gdzie spać.

Młody kleryk wzruszył ramionami i tężając w oczekiwaniu na nowy atak kaszlu, wykrztusił z trudem:

– Powiedziałem jutro, to jutro – i odwrócił się do nas plecami.

– Powiedz przynajmniej, jak masz na imię, żebym w razie czego wiedział, o kogo pytać? – zawołałem w ślad za nim.

– Koo...oon...rad – wyrzeźił w odpowiedzi, i tyle go widzieliśmy.

Cóż było robić? Zrezygnowani powlekliśmy się z powrotem do obozu, aby poszukać czegoś do jedzenia i przede wszystkim znaleźć sobie jakiś dach nad głową, bo właśnie zaczęło siąpić.

Z powodu strasznej drożyzny tej nocy musieliśmy zadowolić się bochnem czerstwego chleba i jedną wspólną pryczą, wynajętą w ogromnym namiocie, gdzie tłoczyło się już chyba ze trzydzieści osób, lecz było najtaniej. Niestety, właściciel noclegowni, obrotny Italczyk, który zgodził się nas przyjąć dopiero po długich targach, zapowiedział nam, że za nasze pieniądze to możemy sobie pospać najwyżej do świtu, po czym musimy się wynosić, choćby na zewnątrz lało jak z cebra.

Prycza była tak wąska, że ledwie się na niej mieściliśmy i długo nie mogłem zasnąć z powodu zaduchu, czyjegoś chrapania i podejrzanego kotłowania na sąsiednim legowisku. Kiedy wreszcie udało mi się zmrużyć oko, na dworze rozległy się głośne krzyki, wydawane ostrym tonem komendy, tupot podkutych butów, szcęk broni, męskie przekleństwa oraz płacz kobiet i dzieci. W chwilę później do naszego namiotu wpadło kilku uzbrojonych po zęby bizantyjskich żołnierzy, którzy wrzeszcząc coś niezrozumiałego i wymachując groźnie mieczami, kazali wszystkim wyjść na dwór.

Jak się okazało, kwartał obozu, gdzie znajdowała się nasza noclegownia, otaczał podwójny kordon greckiego wojska, podczas gdy inni żołnierze wygarniali brutalnie zaspanych pielgrzymów z kolejnych bud i namiotów. Kiedy je opróżnili do końca, Bizantyjczycy zabrali się z kolei za przetrząsanie wszystkich sakw, juków, kuferków i worków, jakie im wpadły w ręce. Robili to wolno i metodycznie, więc już wkrótce większość z nas, stojąca na padającym coraz obficiej deszczu jedynie w samych gaciach bądź w lada jakim giele, zaczęła dygotać i szczełać z zimna zębami, lecz Grecy nie zwracali na to najmniejszej uwagi.

Co jakiś czas któryś z żołnierzy przynosił na plac jakiś przedmiot i ciskał go pod nogi młodego oficera w pozłacanym hełmie i czerwonym płaszczu, przyglądającemu się rewizji z niewzruszoną miną. U jego stóp rósł powoli wielki kopiec złotych i srebrnych naczyń, rzeźbionych lichtarzy i pucharów, wykwintnych sztućców, emaliowanych tac i pater, wachlarzy z kości słoniowej, srebrnych fibul, wytwornych sukien, futer i trzewików, a nawet – co zdumiało mnie chyba najbardziej – kawałków rur i starych dachówek z ołowiu.

Młody dowódca spoglądał na nas z bezbrzeżną pogardą i tylko od czasu do czasu wygłaszał półgłosem jakąś kąśliwą uwagę, po której otaczający go podkomendni zanosili się gromkim śmiechem. On sam roześmiał się tylko raz, kiedy jeden z żołnierzy przyniósł i rzucił mu pod nogi czyjeś mocno zniszczone i rozdeptane sandały z czerwonego safianu. Dowódca nadział je na czubek miecza, pokazał je żołnierzom stojącym w kordonie, którzy zareagowali na to kolejnym wybuchem śmiechu, a potem odrzucił je ze wstrętem pomiędzy kulących się na deszczu łacinników.

Jego dobry humor prysnął jednak natychmiast, kiedy przyniesiono mu poczerniałą ze starości ikonę w grubej srebrnej oprawie. Z miejsca wytań ją połą płaszcz, złożył na niej pełen czci pocałunek i przekazał ją jednemu ze swoich przybocznych, który schował ją zaraz na piersi. Następnie, młody oficer głosem drżącym z gniewu zapytał przez tłumacza, do kogo należy ten święty obraz. Ponieważ nikt się nie przyznał, powtórzył jeszcze raz swoje pytanie i nie doczekawszy się znowu żadnej odpowiedzi, podszedł do najbliższej grupy krzyżowców i uderzył z całej siły w twarz pierwszego z brzegu mężczyznę. Kiedy oszołomiony ciosem pątnik przewrócił się na ziemię ze złamanym nosem, w tłumie rozległy się okrzyki wściekłości i zgrozy, ale nikt nie zaryzykował starcia z ciężkozbrojnymi Grekami. Dowódca oddziału wrócił na swoje miejsce, dopilnował, by jego żołnierze załadowali do wielkich skórzanych worów wszystkie zarekwirowane przedmioty, po czym opuścił obóz na czele najeżonej włóczniami kolumny.

Zziębnięci na kość, przemoczeni do suchej nitki oraz wzburzeni tym, czego byliśmy świadkami, znów długo nie mogliśmy zasnąć. A kiedy w końcu zapadliśmy w sen, niemal natychmiast wyrwało nas z niego brutalne szarpanie. Otworzywszy oczy, zobaczyłem naszego Italczyka w towarzystwie jakiegoś pijanego Normana i półgołej nierządnicy, która właśnie zrzucała z siebie resztkę ubrania.

– Już świta, panowie, pora wstawać! Inni też chcą odpocząć – poganiał nas tymczasem właściciel noclegowni, wygarniając nogą spod pryczy mój miecz.

Nasze protesty nie zdały się na nic i musieliśmy opuścić namiot. Długie godziny brakujące do południa spędziliśmy najpierw przy ognisku, przy którym pozwolili nam przycupnąć jacyś Niemcy, potem zaś wałęsając się bez celu tam i z powrotem wzdłuż morza. Kiedy przestało padać i zrobiło się nieco cieplej, zdrzemnęliśmy się trochę na nadmorskim piasku, zaś koło południa, brudni i głodni powlekliśmy się do kwatery Małego Piotra. Tam kazano nam znowu czekać, aż wreszcie, po dokładnym zrewidowaniu i odebraniu mi mojego miecza, charczący i plujący na wszystkie strony Konrad wprowadził nas do namiotu naczelnego wodza wyprawy.

Kiedy wchodziłem do jego wnętrza, serce biło mi żywiej z wrażenia, że oto, po paru miesiącach wędrówki, dane mi będzie wreszcie ujrzeć na własne oczy tego, kto nie zważając na żadne przeciwności, potrafił zjednoczyć wokół siebie skłócone chrześcijaństwo, przekonać do swojej idei możnych tego świata, przemóc niechęć i zazdrość purpuratów, przewyciężyć gnuśność książąt, hrabiów i baronów, zapanować nad ambicjami rycerstwa, przełamać skąpstwo mieszczan i wyrwać ze stanu zwykłego zbydłęcia prosty lud, porywając go swoją wymową i zaszczepiając w nim miłość do spraw wyższych, i co najważniejsze, przeprowadzić go cało i zdrowo przez pół świata do Konstantynopola, skąd było już tak niedaleko zarówno do ziemskiej, jak i do niebiańskiej Jerozolimy.

Ten, którego ścigaliśmy od kilku miesięcy, siedział w wydzielonej części namiotu, służącej mu najwyraźniej za sztab i pracownię, przy wielkim stole zawalonym jakimiś pergaminami. Za jego plecami, na specjalnym stojaku, wisiała wielka mapa z greckimi napisami („To Azja – szepnął mi Yusuf – choć wisi do góry nogami”), a jeszcze dalej znajdowało się przepierzenie, zza którego wystawała głowa jego sławnego osła. Ponieważ Mały Piotr, zajęty pisaniem, nie zwrócił na nas najmniejszej uwagi, mieliśmy trochę czasu, by mu się lepiej przyjrzeć.

Sławny kaznodzieja i naczelnny wódz wyprawy nie wyglądał ani na starego, ani na młodego, nie był też szczególnie urodziwy, ani nadzwyczaj szpetny. Miał pociągłą, prawdziwie władcą twarz ze znamionującym siłę woli wgłębieniem

w podbródku i nosił krótko ostrzyżone włosy z wygoloną do skóry tonsurą, oraz niewielką bródkę, starannie przyciętą i wypomadowaną. Zamiast czarnej opończy czy powłóczystej szaty w kolorze krwi Baranka, miał na sobie zwykłą szaro-burą tunikę, jak też skromny stalowy półpancerz bez żadnych ozdób i szmelcowań, zaś jedynym szczegółem jego stroju, rzucającym się w oczy, były nowiutkie sandały z czerwonego safianu na bosych stopach, opartych pod stołem na niskim podnóżku.

Ponieważ ciągle nie przestawał pisać, mogliśmy się także rozejrzeć po wnętrzu namiotu. Oprócz stołu do pracy, były w nim cztery kufry, przenośny piecyk, składany ołtarzyk, drugi stojak, na którym wisiał hełm i kolczuga, niewielki stolik do spożywania posiłków, długa ława nakryta kobiercem, parę zydli oraz kilka dodatkowych ław, ustawionych jedna na drugiej i używanych zapewne tylko podczas narad lub odwiedzin większej liczby znamienitszych gości.

Może stalibyśmy tak jeszcze bardzo długo, bo także Konrad nie ośmielił się odezwać ani słowem, gdyby nie Yusuf, który nagle ostentacyjnie zakasłał. Choć spiorunowałem go za to wzrokiem, jego prostacki wybieg okazał się, o dziwo, skuteczny.

Mały Piotr uniósł głowę, spojrzał na nas nieobecny wzrokiem, lecz już po chwili uśmiechnął się szeroko i lekko kuśtykając ruszył ku nam z wyciągniętą ręką. Ująłem ją z należnym szacunkiem i uścisnąłem serdecznie, starając się przy tym dyskretnie sprawdzić, czy nie ma na niej śladów stygmatów, o których tyle słyszałem. Nie wyczuwszy absolutnie niczego, nieco rozczarowany pozdrowiłem go w moim ojczystym języku, na co Piotr Pustelnik uśmiechnął się jeszcze szerzej i pokiwał ze zrozumieniem głową, po czym ujął mnie przyjaźnie pod ramię i podprowadził do nakrytej kobiercem ławy. Tymczasem krzątający się bezszelestnie Konrad postawił na stojącym obok niej stoliku karafkę z wodą, trzy pucharki z opalizującego szkła i srebrny kosz wypełniony po brzegi słodyczami i owocami.

Kiedy usiedliśmy i Konrad nalał nam wody, Mały Piotr zapytał w *romance*, czym może nam służyć.

– Ty nam niczym, panie – odpowiedziałem mu w tym samym języku. – To my przebyliśmy pół świata, żeby służyć tobie.

Podziękował mi uprzejmie za te słowa i zaczął wypytywać o moje pochodzenie i umiejętności, a także o sposób, w jaki dotarłem do Konstantynopola. Kiedy zaspokoilem jego ciekawość, rzekł z zadowoleniem:

– Zaprawdę, dziękuję Bogu, że mi was zesłał. Bo chociaż nie brak tu wielkich panów ze swoimi pocztami oraz sławnych z męstwa rycerzy – jak choćby Hugon hrabia Tybingi, Henryk hrabia Schwarzenbergu, jaśnie wielmożny pan Walter z Teck, trzech hrabiowie von Zimmern, a także mój najukochańszy brat

i niezmordowany towarzysz w zbożnym dziele, Walter Bez Mienia, czy też tak znakomici i dzielni wojownicy, jak panowie Renald z Breis, Fulko z Orleanu, Walter z Breteuil, Gotfryd Burel i Renald z Lombardii – to jednak, zważywszy z jak silnym i złośliwym nieprzyjacielem przyjdzie się nam potykać, wciąż mamy za mało ludzi zaprawionych w bojach i obeznanych z wojennym rzemiosłem. Dlatego przyjmuję wasze służby z najgłębszą wdzięcznością. Przyda nam się każda para rąk i każdy miecz. Czyż nie tak, Konradzie?

Konrad, z ręką na chorej piersi, pokiwał skwapliwie głową, a ja ośmieliłem się zapytać:

– Jeśli brakuje wam ludzi znających się na wojaczce, dlaczego nie zwrócisz się, panie, o pomoc do cesarza?

– Do cesarza?! – prychnął pogardliwie. – Myślicie, że nie próbowałem? Aleksy, owszem, przyjmuje mnie z honorami, zaprasza na różne uczyty, daje mi prezenty i pieniądze, dzień w dzień pisujemy do siebie bardzo grzeczne listy – tu skinął z niechęcią głową w stronę stołu z niedokończonym pismem – ale na tym sprawa się kończy. A ja nie potrzebuję jego uczt i zaszczytów, jego strojów, mebli, wina i homarów, nie chcę nawet jego srebra ani złota, ale jego żołnierzy i okrętów. A tych mi akurat odmawia! – rozłożył bezradnie ręce.

– Dlaczego? – zdziwił się Yusuf.

– Oficjalnie dlatego, że jego zdaniem, najpierw powinniśmy złożyć przysięgę, że zwrócimy mu wszystkie miasta, jakie możemy zdobyć na Wschodzie.

– Dobrze. I co szkodzi złożyć podobną przysięgę? – zapytałem.

– Nic, pewnie że nic – Mały Piotr zaśmiał się szyderczo. – Toteż ją w końcu ją złożyłem, ale to, jak dotąd, niczego nie zmieniło.

– Więc o co chodzi? Czyżby także on uważał, że ta wojna to wyłącznie nasza sprawa? – wysunąłem najczarniejsze ze wszystkich przypuszczeń.

Mały Piotr przytaknął energicznie.

– Otóż to, mój synu. Przekłęty schizmatyk! Już ja mu zwrócę wszystkie miasta zdobyte na Wschodzie! Jego niedoczekanie! Niech je sobie sam zdobywa, skoro nawet nie wpuszcza moich ludzi do Konstantynopola.

– Może nie wpuszcza ich dlatego, że kradną? – zauważył nieśmiało Yusuf.

– Kradną?! – zaperzył się Mały Piotr. – I co z tego? Każda armia kradnie, zwłaszcza w czasie pokoju. Moim ludziom, jak wszystkim, potrzebny jest cel i wysiłek – im większe, tym lepsze. Bo bez celu i wysiłku wszyscy jesteśmy niczym, zwyczajną mierzwą, lepkiem gnojem, śmierdzącym łajnem i na w pół zgniłym

ścierwem, toczonym na wylot przez robaki grzechów. Ale niech no tylko ten grecki lis da nam wreszcie okręty, a zobaczysz, jak ci, co dzisiaj kradną i swawolą, jutro zadowolą się uczciwie zdobytym łupem i pokochają żelazną

dyscyplinę! Jestem absolutnie pewny, że wojna odmieni wszystko na lepsze. Będzie to jednak wojna sprawiedliwa, prowadzona przeciwko nieprzyjaciołom Chrystusa, w Jego imię i pod Jego sztandarem!

– Czyżby? – wyraził swoje wątpliwości Yusuf. – Bo ja słyszałem, że Chrystus nakazał miłować swoich nieprzyjaciół.

– I dobrze słyszałeś – potwierdził Piotr Pustelnik. – Tyle, że powiedział również: *Nie przyszedłem przynieść pokoju, ale miecz.*⁹² A poza tym, ten nakaz obowiązuje wszystkich. Gdyby przestrzegali go także nasi wrogowie, nie byłoby potrzeby z nimi walczyć.

– A co będzie, jeśli cesarz nie da nam okrętów? – zapytałem zaniepokojony taką ewentualnością.

Na twarzy naszego gospodarza pojawił się wyraz niezłomnej determinacji.

– Jeśli ten chytrus nie da nam okrętów – oświadczył kategorycznie – to i tak przeprawimy się przez morze, choćby na piechotę.

– Na piechotę?! – wykrzyknąłem. – Więc to prawda?!

– Co? – spojrzał na mnie z ukosa.

– No, z tym chodzeniem po wodzie.

– Prawda czy nie, po wodzie czy nie po wodzie, nie w tym rzecz! – skrzywił się jeszcze bardziej. – Ufność w Bogu, oto podstawa wszystkiego. Bo czyż Pan nie przeprowadził już kiedyś tłumu ludzi przez Morze Czerwone – a przecież chodziło tylko o parszywych Żydów – czyż nie dopomógł Dawidowi pokonać Goliata? Czyż nie ocalił podczas Potopu Noego, jego żony i synów oraz żon jego synów?

– I Matuzalema – uzupełnił Yusuf.

Mały Piotr zawahał się, spojrzał na niego ze zdziwieniem, ale już po chwili ciągnął dalej tym samym tonem:

– Czyż nie żywił Mojżesza na pustyni manną i mięsem?

– Mięsem nie – wtrącił ponownie mój były sługa. – Wszak Żydzi mieli go pod dostatkiem.

– Dość tego, Yusufie! – przywołałem go do porządku, po czym zwróciłem się ząsępiiony do naszego gospodarza – Mam nadzieję, panie, że potrafisz również wskrzeszać umarłych.

Ale tego było już Małemu Piotrowi za wiele.

– O ludzie małej wiary! – wybuchnął. – O niewierni Tomasz! Toż wy nie uwierzylibyście nawet samemu Jezusowi Chrystusowi, jeśli nie dokonałby na waszych oczach jakiegoś cudu! Bo dla was liczą się tylko cuda – chodzenie po wodzie, uciszanie burz, wskrzeszanie umarłych, broczące krwią stygmaty, a najbardziej ze wszystkiego rozmnażanie ryb i chleba! I kogo chcecie w ten sposób oszukać? Siebie czy Chrystusa? Jego się nie uda, bo widzi was na wylot.

– Wybacz nam, panie – odparłem zawstydzony. – To kiedy ruszamy?

– Najpóźniej za tydzień.

– A czy mógłbym cię jeszcze... o coś poprosić? – przeszedłem z ciężkim sercem do głównego powodu naszej wizyty.

Wciąż naburmuszony, kiwnął przyzwalająco głową.

– Nie masz tu przypadkiem... jakiegoś... zbędnego konia? – wykrztusiłem nie patrząc mu w oczy.

– Konia? – zdumiał się. – Ja używam tylko osiołka. Jeśli potrzebny ci koń, dlaczego go sobie nie kupisz?

– Bo nie ma za co – uprzedził mnie Yusuf, lecz to wyjaśnienie tylko pogorszyło sprawę.

Mały Piotr wzniósł oczy ku niebu z wyrazem udręki na twarzy.

– A więc jeszcze jedni?! Naprawdę, zaczynam mieć tego dość! Dlaczego wszyscy, którzy tu przychodzą, czegoś ode mnie chcą? Jak nie pieniędzy, to przynajmniej konia! Co to? Bieda was gniecie? I co z tego? Biedni byli, są i będą. Ptaki niebieskie są jeszcze biedniejsze, a przecież, chociaż nie sieją, ani nie orzą, jakoś nie narzekają. Ciekawe, kto by w ogóle pracował, gdyby go bieda nie zmuszała do pracy? Kto by słuchał rządzących, kto by płacił podatki? I czemuż to wszyscy chcecie być bogaci? Po co? Chyba tylko po to, aby przez całe życie drzeć ze strachu, żeby ktoś was nie okradł lub nie zamordował, i żebyście przypadkiem nie zbiednieli! A ja wam powiadam, nie bądźcie pazerni, bo z chciwości bierze się całe zło tego świata – kłamstwa, kłótnie, zdrady, morderstwa, rabunki, oszustwa, lichwa, rozpusta, kurestwo, i wszelkie inne zbrodnie i nieszczęścia.

– Zapewne, lecz być biednym to też żadna radość – stwierdził Yusuf.

– Nieprawda – sprzeciwił się Mały Piotr. – W sprawach zasadniczych biedak nie różni się niczym od bogacza, wszak niebo stoi otworem dla wszystkich. Zaś w kwestiach mniej istotnych biedni mają nawet przewagę nad bogatymi. Bo czyż biednemu nawet najprostszy posiłek nie smakuje o wiele bardziej niż bogaczowi? Komu grożą bardziej wzdęcia, wymioty, kolki i biegunki? Temu, kto je dużo, czy temu, kto je mało? Czyż w przeciwieństwie do bogatych, którzy często spędzają bezsenne noce, biedny nie zasypia od razu jak kamień, gdy tylko, strudzony całodzienną pracą, przyłoży głowę do poduszki? Kto ma więcej okazji – biedny czy bogaty – by nałykać się czystszej powietrza i radować się blaskiem słońca? A skoro biedak lepiej i z większą przyjemnością niż bogaty sypia, pija, jada, a nawet oddycha, i skoro jest od bogacza weselszy i zdrowszy, cóż warto jest całe bogactwo świata? Nic, po prostu nic! Bo też naprawdę bogaty był tylko Syn Boży, zrodzony w biedzie, oraz Jego Apostołowie, którzy także nie śmierdzeli groszem. A zresztą – dokończył łaskawszym tonem, widząc nasze coraz bardziej

smętne miny – skoro tak wam zależy na głupim bydłociu, dobrze, niech będzie. Po zwycięstwie daruję wam takiego konia, jaki się wam najbardziej spodoba, a nawet dwa albo trzy. Sami je sobie wybieriecie, macie moje słowo.

– Po zwycięstwie? – powtórzyłem za nim jak echo. – A co będzie, jeśli przegramy?

– Jeśli przegramy, cóż ci po koniu? – uśmiechnął się z politowaniem, po czym pożegnał się i kazał nas wyprowadzić. Zanim opuściliśmy namiot, Konrad zniknął na chwilę za przepierzeniem z desek, po czym wrócił stamtąd z dwoma włosami z oślej grzywy.

– Macie – wręczył po jednym każdemu z nas. – To dla was, na pamiątkę i szczęście.

Po odebraniu miecza, wracałem do obozu z nosem spuszczonej na kwintę. Oto przemierzywszy pół świata i tuż przed wyruszeniem na nieprzyjaciela, który zapewne już na nas czekał na azjatyckim brzegu, byłem bez konia, bez pieniędzy, a co gorsza, także bez możliwości ich zdobycia, bo nie posiadałem już nic cennego, co można by było sprzedać lub oddać lichwiarzom w zastaw! Na samo wspomnienie naszych koni, utraconych tak głupio nad Dunajem, znów ogarniał mnie gniew na sprawcę owego nieszczęścia, który – jakby wyczuwając, że się we mnie gotuje – ni stąd, ni zowąd, zaproponował z niewyraźną miną:

– Panie, mam pewien pomysł. Nie wiem, czy zauważyłeś, że są tu namioty, gdzie gra się na pieniądze? Grając w szachy, mógłbym podwoić albo potroić to, co nam jeszcze zostało. Znam parę posunięć, które przyniosły mi kiedyś w Kordobie sporo złota.

– Nie ma mowy – sprzeciwiłem się. – Jeśli trafisz na kogoś lepszego od ciebie, nie zostanie nam nawet na kawałek chleba.

– To raczej mało prawdopodobne – próbował mnie przekonywać dalej.

– Wystarczy, że możliwe. Nie i już.

– Szkoda, bo na pewno bym wygrał. Kiedyś w Kordobie, gdy też mi zabrakło pieniędzy...

Nie dokończył swojej opowieści, ponieważ w tym samym momencie ktoś z tłumu zawołał mnie głośno po imieniu. Rozejrzałem się dokoła z najwyższym zdumieniem, lecz wśród kręcących się na bazarze pielgrzymów nie zauważyłem nikogo znajomego. Wtedy wołanie powtórzyło się. I dopiero wówczas spostrzegłem, że spod straganu z butami wymachuje do mnie ręką, w której trzyma sandały z czerwonego safianu, jakiś długowłosej olbrzym. Zanim zdołałem sobie przypomnieć, gdzie i kiedy go przedtem widziałem, świeżo upieczony właściciel modnego obuwia już się przedzierał w naszą stronę, roztrącając na boki wszystkich, którzy mieli nieszczęście stanąć na jego drodze, zaś w chwilę później otworzył szeroko ramiona w geście powitania.

– I co?! – zaśmiał się tubalnie, przekazując zakupione buty drepczącemu za nim pacholce. – Widzę, że gnałeś do Saracenek jak zgłodniały ogar, ale w tych sprawach Guy de Merle nie da się wyprzedzić! I nie łudź się, przyjacielu, nie zepsujesz mi ani jednej, co najwyżej będziesz je sobie naprawiał po mnie! – i po tych słowach przycisnął mnie do swojej piersi.

Rycerz spod Limoges (teraz go poznałem) nie zmienił się ani trochę od czasu naszego spotkania na biwaku, gdzie przedstawił nam wskrzeszonego Denisa. Nawet winem zionął dokładnie tak samo, jak wtedy.

– Jakże się cieszę, że pośród tej hołoty nareszcie widzę jakąś ludzką twarz! – grzmiał tymczasem pan de Merle, potrząsając mną z całych sił. – Góra z górą się nie zejdzie, ale szlachcic ze szlachcicem zawsze. Od kiedy jesteś na tym zadupiu, panie?

– Od wczoraj.

– A ja tu się nudzę już dwa tygodnie. Gdzie mieszkasz?

– Na razie nigdzie. Dopiero szukamy jakiejś kwatery – odpowiedział Yusuf, wybawiając mnie z kłopotu, gdyż naprawdę nie wiedziałem, co mam na to odpowiedzieć.

– Szukacie kwatery?! – zaśmiał się pan de Merle. – To dajcie sobie spokój, bo wszystko jest już dawno zajęte. Łatwiej tutaj o Świętego Graala niż o barłóg bez pluskiew. Lepiej chodźcie do mnie, miejsca mam dosyć.

– Dzięki, ale nie chciałbym sprawiać ci kłopotu.

– Kłopotu? To żaden kłopot. Gdzie wasze konie i rzeczy?

– Nie mamy koni ani żadnych rzeczy.

– Nie? – zdziwił się rycerz spod Limoges. – Cóż, można i tak. To chodźmy do mnie od razu, serdecznie zapraszam.

Kiedy dotarliśmy na miejsce, położone na północnym przedmieściu stolicy, okazało się, że pan de Merle zamieszkuje obszerną willę po jakimś bogaczu, którą jego ludzie zajęli jako pierwsi, nie pozwalając jej złupić innym krzyżowcom i której strzegli teraz jak żrenicy oka. Ponieważ jej prawowity właściciel zostawił w niej dużo sprzętów i zapasów, w porównaniu z nieszczęsną noclegownią, gdzie spędziliśmy poprzednią noc, była to prawdziwie królewska kwatera. Do pokoju, który zaoferował nam rycerz spod Limoges, wniesiono natychmiast dwa łóżka, najprawdziwszą pod słońcem pościel, puchowe poduszki, koce z jagnięcej wełny, a nawet komplet naczyń do mycia i lustro! Jakby tych luksusów było jeszcze mało, z tarasu przylegającego do naszego pokoju roztaczał się wspaniały widok na miasto i morze.

Zachwyceni tym wszystkim zabraliśmy się z Yusufem za toaletę, żeby doprowadzić się jako tako do ładu przed obiadem. Ledwie skończyliśmy, okazało

się, że właśnie go podają, i to na prawdziwy stół, nakryty kosztownym obrusem z brokatu.

Rzuciliśmy się na jedzenie, jakbyśmy nie jedli już od miesiący, zaś między kolejnymi daniami i toastami opowiadaliśmy sobie z panem de Merle o tym, co działo się z nami od czasu naszego spotkania na biwaku. I tak dowiedziałem się, że w parę dni po naszym rozstaniu większość jego ludzi, nie mogąc wytrzymać forsownego marszu, zaczęła głośno narzekać i błagać o powrót do domu, aż w końcu zbuntowała się i oświadczyła, że nie zrobi więcej ani kroku naprzód.

– Wyobrażasz sobie taką bezczelność?! – Guy de Merle zatrzęsł się z oburzenia na samo wspomnienie owego afrontu. – Z początku miałem ochotę ich wszystkich rozsiekać, ale potem mi przeszło i kazałem jedynie wychłostać prowodyrów. Później jednak, rad nie rad, musiałem zawrócić.

– A nie lepiej było ich zostawić własnemu losowi?

– Po co? Żeby mi się, hultaje, rozbiegli po świecie? O nie! Skoro nie chcieli walczyć, wolałem odstąpić ich bratu i mieć z nich przynajmniej taką korzyść. Do domu było zresztą blisko.

– Jak tak, to co innego – zgodziłem się z jego rozumowaniem. – I cóż tam w domu?

Pan de Merle puścił moje pytanie mimo uszu i zasepiwszy się głęboko, wychylił duszkiem cały puchar wina. Po dłuższej chwili milczenia ciągnął dalej:

– Wziąłem od brata pieniądze, a potem, z czterema tuzinami tych, którzy nie stracili ducha, ruszyłem ponownie w drogę, tym razem na skróty, przez Italię.

– Czy był wśród nich także Denis? – nie mogłem oprzeć się pokusie, by o niego zapytać.

– Denis? – Guy de Merle zmarszczył brwi, jakby usiłował przypomnieć sobie, o kogo chodzi. – Ach tak, ale zmarł w Italii na dyzenterię, jak wielu innych.

– I nie zmartwychwstał? – zainteresował się Yusuf.

– Nie, a dlaczego miałby zmartwychwstać? – zdziwił się nasz gospodarz. – Nawet Chrystus zrobił to tylko raz.

– To prawda – przyznałem nieco rozczarowany. – Co było dalej? Jak podróż przez Italię?

Jednak pan de Merle, który z każdym łykiem wina popadał w coraz większe przygnębienie, nie miał ochoty się nad tym rozwodzić. Jego zdaniem, oprócz trudnej przeprawy przez Alpy, pochód przez Italię nie zaznaczył się niczym szczególnym. Podobnie zresztą jak podróż morską z Bari do Dyrrachium, którą odbył ze swoim hufcem na normańskim statku. Jeszcze mniej interesujący okazał się przemarsz z Dyrrachium do Konstantynopola, dokąd szło się starym brukowanym gościńcem, zwanym *via Egnatia*, przy którym łatwo było o żywność i wodę. Ogólnie, cała podróż była nadzwyczaj nudna, zaś jej

największą zaletą okazało się to, że przybył do Konstantynopola tuż przed głównymi siłami Małego Piotra, dzięki czemu nie miał większych kłopotów ze znalezieniem przyzwoitej i godnej siebie kwatery.

– Gdybyśmy dotarli tutaj po tej tłuśczy, dziś spalibyśmy wszyscy na gołej ziemi – zaznaczył z dumą.

W ogóle o reszcie pielgrzymów wyrażał się bez cienia szacunku, zwał ich także hałastrą, dziczą, motłochem i dwunożną nierogacizną. Nie miał też żadnych złudzeń co do ich wartości bojowej, twierdząc, że nie powinniśmy przeprować się do Azji, póki nie przybędą pod Konstantynopol jacyś królowie albo książęta z czterdziestoma, albo jeszcze lepiej – z pięćdziesięcioma – tysiącami żołnierzy z prawdziwego zdarzenia.

– Tymczasem, razem z tobą, jest nas tu najwyżej trzystu bądź czterystu. W dodatku nie bardzo wiadomo, kto tym bajzłem rządzi! – stwierdził z goryczą.

– Jak to nie wiadomo? A Mały Piotr?

– Mały Piotr?! – roześmiał się na całe gardło, jakbym opowiedział mu jakiś dobry dowcip. – To już szybciej jego osioł, bo ma większą głowę i stąpa twardo po ziemi. Zapomnij o Małym Piotrze, przyjacielu, dobrze ci radzę. Dopóki nie ma tu nikogo, kto wzięłby tych ćwoków za mordę, licz tylko na siebie i módl się gorąco o to, żeby cesarz nie dał nam przypadkiem tych zasranych okrętów. Ale po co w ogóle o tym wszystkim głądzić i biadolić? Lepiej się napijmy – po raz kolejny napełnił nasze puchary.

– Dobrze, załóżmy jednak, że cesarz da nam te okręty i Piotr Pustelnik nakaże wymarsz bez oglądania się na królów i książąt. Co wtedy? Zostaniesz w Konstantynopolu? – zapytałem wiedziony ciekawością.

Pan de Merle obrzucił mnie kpiącym spojrzeniem i wzruszył ramionami.

– Nie, popłynę do Azji. W końcu, po to tu przyjechałem. Ale, ale, żeby nie zapomniał. Co z twoim koniem?

– Nie mam konia ani pieniędzy, żeby go kupić – wyjaśniłem bez zbędnych ceregieli. – Może ty, panie, mógłbyś mi jakiegoś pożyczyć?

Jednak pan de Merle pokręcił przecząco głową.

– Nie, przyjacielu. Nie pożyczam nikomu koni, pieniędzy ani kobiet. Ale zawsze mogę ci jednego podarować.

– Podarować? Dlaczego? – poczułem się skrępowany tak wielką hojnością.

– A dlatego – odparł na to pan de Merle, uzupełniając wino w naszych pucharach – że tak mi się podoba. Chyba wolno mi robić to, na co mam ochotę? – dodał z wyraźną zaczepką w głosie.

– Oczywiście. Pogadamy o tym jutro.

– Jutro będzie futro! – sarknął opryskliwie. – Bierz, pókim dobry, bo mogę się jeszcze rozmyślić.

– A czy ja mogę się jeszcze namyślić? – zapytałem.

– I namyślić, i rozmyślić, bo koń już jest twój. Jeśli ci się nie spodoba, możesz mi go zawsze zwrócić. Chyba że – spojrzał na mnie groźnie – uważasz, że jestem pijany i nie wiem, co robię? I jutro o wszystkim zapomnę? Że będę żałować, jak wytrzeźwieję? Oj, wstydz się, wstydz, przyjacielu, tego się po tobie nie spodziewałem! Zapamiętaj sobie raz na zawsze, że, po pierwsze, Guy de Merle nigdy nie upija się aż tak bardzo, żeby nie pamiętać, co komu podarował, a po drugie, że nigdy niczego nie żałuje. Kto myśli inaczej, ten mnie obraża, ja zaś nie pozwalam się obrażać nikomu. Nikomu, nawet najbliższym przyjaciołom! Zrozumiałeś? – powtórzył z naciskiem, kładąc rękę na głowni miecza.

– Panie – Yusuf pociągnął mnie delikatnie za rękaw – skoro pan de Merle tak bardzo nalega, czemu nie przyjmiesz od niego tego konia, a nawet dwóch, żeby mu zrobić przyjemność?

– Ty się nie wtrącaj – upomniałem go natychmiast, po czym zwróciłem się do naszego gospodarza tonem pełnym szacunku: – Wierz mi, panie, że nie miałem niczego złego na myśli. Dziękuję ci z całego serca za tak wspaniały dar, myślę jednak, że jest zbyt kosztowny.

– Zbyt kosztowny?! – powtórzył pan de Merle, wyraźnie mnie przedrzeźniając. – Zbyt kosztowny dla kogo?! Dla mnie czy dla ciebie? Nie będziesz mi chyba mówił, jak mam rozporządzać własnym majątkiem i co wolno mi komuś podarować? Chcesz, czy nie, koń jest twój, i uważaj, bo jak mnie rozzłościysz, to ci dołożę jeszcze jednego. Jasne? Chyba, że wolisz pieniądze albo kobietę? Proszę bardzo, może być, tylko powiedz to otwarcie i przestań kręcić, bo tego akurat nie lubię!

Wydudlił kolejną porcję trunku i nim zdołałem cokolwiek powiedzieć, klasnął w dłonie i wtedy, jak na komendę, wkroczyło do pokoju pięć czy sześć kobiet, ustawiając się rzędkiem pod ścianą. Choć były one w różnym wieku i różnej urody, wszystkie wyglądały równie niechlujnie ze swoimi rozczochranymi włosami i niedomytymi twarzami pokrytymi grubą warstwą barwiczki. Niektóre uśmiechały się do nas przymilnie, inne zachowywały kamienną powagę, ale żadna z nich nie ośmieliła się odezwać czy wykonać choćby najmniejszego gestu bez pozwolenia naszego gospodarza.

– No jazda, kurwy, ruszać się! – polecił im pan de Merle, na co wszystkie przemaszerowały posłusznie wokół naszego stołu, zatrzymując się jedynie na krótką chwilę przede mną, by okręcić się wokół własnej osi, rozchylić na piersiach brudne gieżła i zadrzeć je w górę aż po pępek.

– No i jak? – zapytał nasz gospodarz, kiedy stanęły z powrotem pod ścianą.

– Dziękuję. Nie potrzebuję kobiet ani pieniędzy.

– Nie? – zdziwił się pan de Merle, ale natychmiast machnął ręką. – Masz rację, to zwykle dziwki. Sam nie wiem, po co je tutaj ściągnąłem. Won na ulicę! – rzucił w ich stronę, a kiedy wyszły, sięgnął znowu po wino. Bez pytania mnie o zgodę napełnił mój puchar z taką hojnością, że wylał część trunku na obrus. Potem uzupełnił także swoje naczynie i uniósł je chwiejnie do góry.

– Tak, masz po stokroć rację! – zawołał. – Do diabła z kobietami, niech je wszystkie piekło pochłonie!

Zaskoczeni tym toastem, spojrzeliśmy z Yusufem po sobie, po czym mój był sługa, który jako Saracen i tak nie brał udziału w naszej pijatyce, powstał z miejsca i podziękowawszy z ukłonem za wspaniały obiad, zapytał grzecznie, czy mógłby się już oddalić. Ponieważ pan de Merle skinął łaskawie głową, ja również udzieliłem mu swojej zgody.

Kiedy zostaliśmy sami, zapytałem pana de Merle, dlaczego wyraża się tak niepochlebnie o kobietach.

– A dlaczego miałbym się o nich wyrażać pochlebnie? – odparł zaczepnie, czkając przy tym potężnie. – Czymże się one różnią od chorób, kata, śmierci czy zarazy? W czymże są lepsze od pchnięcia mieczem albo od ciosu toporem? W czymże są miłsze od gnijącej rany? Wszystko jest dobrze, przyjacielu, póki je traktujesz jak mebel albo jak pościel, w najlepszym razie jak wierzchowca, ale spróbuj którąś z nich naprawdę pokochać, to szybko się przekonasz, czym jest prawdziwa rozpacz i cierpienie!

– Czy aby nie przesadzasz, panie? – uśmiechnąłem się na tę diatrybę.

– Ani trochę – odparł ponuro i znów nalał sobie wina. – Czy wiesz, że zanim wybrałem się na tę pieprzoną wojnę, miałem narzeczoną, którą kochałem do szaleństwa? Najpiękniejszą, najcnotliwszą, najrozumniejszą i najśłodsza pannę w całym Limou – sin.

– Gratuluje, choć prawdę rzekłszy, każdy tak mówi o swojej.

– Moja była taka naprawdę – zapewnił mnie żarliwie.

– Niech będzie. I co?

– To, że na Wielkanoc miałem się żenić. Zakończyłem remont zamku, gdzie mieliśmy zamieszkać po ślubie, służba dniem i nocą peklowała mięso i wędziła szynki na wesele, daliśmy już na zapowiedzi, kiedy nagle, na dwa miesiące przed ślubem, moja narzeczoną – najpiękniejszą, najcnotliwszą, najrozumniejszą i najśłodsza panna w całym Limousin! – poprosiła mnie o chwilę rozmowy na osobności, w czasie której rzuciła mi się do nóg i zapłakana zaczęła błagać, żebym ją zwolnił z danego mi słowa.

– Dlaczego?

– Dlatego, że już mnie nie kochała.

– A wcześniej cię kochała?

– Bez wątpienia.

– Skąd więc ta nagła zmiana?

– A widzisz! Ja też tego nie rozumiałem, a ona, choć ją prosiłem i błagałem, nie umiała mi tego jasno wytłumaczyć. Twierdziła, że po prostu przestała mnie kochać, i już! – Pan de Merle wykrzywił usta w szyderczym uśmiechu i wypił szybko potężny łyk wina. – O Boże, co ja przeżywałem! Najpierw się na nią obraziłem i przez dobre dziesięć dni nie pokazywałem się jej na oczy, licząc po cichu na to, że to tylko jakiś kaprys, jakieś chwilowe rozterki, zrozumiały skądinąd strach przed odmianą dotychczasowego życia, w sumie że jeszcze zmieni zdanie i wszystko jakoś się ułoży. Ale się przeliczyłem. Bo kiedy jedenastego dnia, nie mogąc bez niej dłużej wytrzymać, wybrałem się do niej, żeby przeprowadzić z nią kolejną poważną rozmowę, nawet do mnie nie wyszła! Że niby między nami wszystko zostało już powiedziane i że tak będzie lepiej. Wtedy popadłem w najczarniejszą rozpacz. Zacząłem odtwarzać w myślach każdy mój gest, każde wypowiedziane przeze mnie słowo, przepatrywać w tę i we w tę wszystkie przywary mojego paskudnego charakteru i mojej niewyparzonej gęby, jak też odtwarzać moje zachowanie z czasów narzeczeństwa, a nawet, niczym jakiś chłystek, studiować przed lustrem wszelkie rzeczywiste i urojone braki mojej urody!

Byłem gotów zmienić się i poprawić, gdzie i na ile było to możliwe, przeprosić ją na kolanach za wszystko, czym mogłem ją urazić, odprawić każdą pokutę, jaką zechciałyby mi zadać, słowem, spełnić każde jej życzenie i zrobić wszystko, czego mogłaby ode mnie zażądać! Szkopuł w tym, że ona nie żądała ode mnie niczego. W przypiływie głupiej nadziei wysłałem jej raz czy drugi jakiś prezent, lecz zwróciła mi go natychmiast. Kiedyś spotkałem ją na uczcie u wspólnych sąsiadów, gdzie wreszcie miałem okazję się do niej odezwać, cóż jednak z tego, skoro jedyną jej odpowiedzią była prośba, abym dał jej spokój i zapomniał o niej na zawsze!

Nawet nie wiesz, jak się tym wszystkim męczyłem, jak bardzo mnie dręczyło to zebranie o jej uczucie, jak się spalałem czekając od rana do wieczora na jakiś znak, że coś się w niej zmieniło i że znowu jest taka, jak dawniej, że wszystko co najgorsze już minęło i że to, co przeżywałem, było tylko złym snem, jakimś okropnym majakiem, z którego nareszcie się zbudziłem, bo przecież najgorszy nawet sen nie może trwać wiecznie! I każdego ranka, kiedy otwierałem oczy, nawet w to przez chwilę wierzyłem, aby zaraz potem pograć się w jeszcze boleśniejszym odrętwieniu, gdy uprzytomniłem sobie, że koszmar trwa dalej w najlepsze i nic nie zapowiada jego końca!

Najgorsze zaś było to, że cierpiałem i zarazem gardziłem sobą za to, że cierpię. Że kochałem ją i nienawidziłem siebie za to, że wciąż ją Kocham. Że starałem się

o niej zapomnieć, lecz myślałem wyłącznie o niej. Że próbowałem wyrwać ją sobie z serca, a tymczasem ono biło tylko dla niej. Że w rzadkich chwilach rozsądku przedkładałem sobie, że na tym świecie nie brak kobiet znacznie piękniejszych, mądrzejszych, szlachetniejszych, wrażliwszych, cnotliwszych, obdarzonych lepszym charakterem i o wiele bardziej godnych mojej miłości niż ona, a jednak wystarczyło, żebym przywołał w myślach jej obraz, żeby ktoś wymówił przy mnie jej imię, żebym spojrział na któryś z nielicznych drobiazgów, jakie mi po niej zostały, a wszystkie te piękniejsze, mądrzejsze, cnotliwsze i szlachetniejsze kobiety traciły dla mnie od razu wszelkie znaczenie i wartość!

– Niezmiernie ci współczuję, przyjacielu – rzekłem poruszony tym nagłym wyznaniem. – Jak miała na imię twoja narzeczona?

Pomimo ogromnej ilości wypitego wina, pan de Merle spojrział na mnie nadzwyczaj bystro i zapytał nieufnie:

– A po co ci to potrzebne?

– Po nic – przyznałem. – Tak tylko pytam. Co było dalej?

– Dalej? To, co zazwyczaj bywa dalej w takich przypadkach. Czułem, że się pogrążam w jakiejś otchłani, że spadam w jakąś studnię bez dna, że odbywam jakąś podróż bez powrotu, że nic mnie nie interesuje i wszystko jest mi coraz bardziej wstrętne. Całymi dniami nie wstawałem z łoża, zatracalem się w picciu i grze w kości, zabijałem czas na hulankach i łowach, aż w końcu postanowiłem pójść na tę wojnę. Sprzedaż majątku, zebranie ludzi i inne przygotowania tak bardzo mnie wciągnęły, że po raz pierwszy od dawna nie miałem czasu myśleć o niej. Wkrótce potem spotkaliśmy się na biwaku.

– To znaczy, że najgorsze masz już za sobą – spróbowałem go pocieszyć, ale pan de Merle pokręcił z rozpaczą głową.

– Nie, najgorsze miało dopiero nadejść. Otóż, kiedy moi ludzie podnieśli bunt i musiałem zawrócić do domu, tam odkryłem, że moja ukochana jest już ponownie zaręczona, i to z moim własnym bratem!

– Mój Boże! I co zrobiłeś? – zapytałem wstrząśnięty.

– A co miałem zrobić?! – odparł zachrypniętym z emocji głosem. – Zabić ich? Prawdę rzekłszy, nawet miałem na to ochotę, ale Pan Bóg ustrzegł. Czym prędzej zabrałem moich najlepszych ludzi i znów ruszyłem w drogę – stwierdził ponuro, sięgając gwałtownie po wino. Wypił nerwowo parę łyków, a potem dodał: – Ale naprawdę najgorsze jest to, że nawet dzisiaj, na pierwszy znak przychylności z jej strony, byłbym gotów wszystko jej wybaczyć i rzucić się do jej stóp. Co za hańba, nieprawdaż?

– Niekoniecznie – rzekłem stropiony. – Ja nigdy nikogo aż tak nie kochałem. Właściwie to ci nawet zazdroścę.

– A idź do diabła! Nie kpij sobie ze mnie – cisnął ze złością pucharem o ścianę. – Och, kiedy wreszcie stąd wyruszymy?!

Na jego twarzy malowała się tak wielka udręka, że czym prędzej zmieniłem temat. Próbowałem wypytywać go o Małego Piotra, o pozostałych przywódców wyprawy, o Konstantynopol, którego wciąż nie widziałem od środka, o Bizantyjczyków, o Turków, ale wszystko to nudziło go śmiertelnie. Odpowiadał mi monosylabami albo wygłaszał dziwne opinie, jak na przykład ta, że w Konstantynopolu nie ma absolutnie nic ciekawego do zobaczenia, aż w końcu przestał się do mnie w ogóle odzywać. Popijaliśmy jeszcze jakiś czas w całkowitym milczeniu, lecz odkąd zaczął napełniać tylko swój własny puchar, skorzystałem z okazji, by niepostrzeżenie wycofać się do alkowy. Dowlokłem się do niej na miękkich nogach i zanim szum w mojej głowie zdążył przemienić się w ból, który nie pozwoliłby mi już zasnąć, padłem w ubraniu na łóżko.

Byłem tak zmaltretowany, że przespałem jak zabity cały wieczór, całą noc i cały poranek następnego dnia. I spałbym pewnie jeszcze dłużej, gdyby nie gwałtowne szarpanie za ramię, które obudziło mnie koło południa. Nade mną stał pan de Merle, przyglądając mi się z politowaniem przekrwionymi z przepicia oczami.

– No i jak tam? Żyjesz, przyjacielu? – zapytał z kpiącym uśmiechem. – To dobrze, bo cesarz właśnie podstawia nam swoje zaszrane okręty. Wstawaj, jeśli nie chcesz przespać wojny.

XIII

Dzięki sprawności ludzi Guya de Merle, wśród których było kilku starych wojaków, spakowanie sakw i juków nie zabrało nam dużo czasu. Ostatniej fazy pakowania doglądałem osobiście, jako że mój frankijski przyjaciel, z rana tak dziarski i pewny siebie, nagle poczuł się niedobrze i co parę chwil przepadał na dłużej w zaroślach ogrodu. Ponieważ jego stan nie poprawiał się, gdy przyszła pora wymarszu, ułożyliśmy go na grubej derce rozpiętej między dwoma luzakami, które poprowadzili z należytą ostrożnością wybrani przeze mnie żołnierze.

W miarę zbliżania się do portu, na drodze robiło się coraz tłoczniej. Ze wszystkich przedmieść, z okolicznych willi i pałacyków, z niezliczonych bud, ziemianek i namiotów porastających sąsiednie wzgórze, ciągnęły nieprzebrane tłumy pielgrzymów – jedni pieszo, drudzy konno, jeszcze inni na ciężko obciążonych wozach, którymi najwyraźniej zamierzali wjechać na pokład któregoś z okrętów. Tu i ówdzie, po rozwiniętych proporcach, zwartym szyku oraz lepszym uzbrojeniu, można było rozpoznać poczty rycerskie towarzyszące któremuś z ważniejszych uczestników wyprawy, jednak ginęły one w morzu pospółstwa, maszerującego często z żonami i dziećmi, za to pozbawionego jakiegokolwiek broni.

Pomimo tłoku panującego na drodze, nie wszyscy krzyżowcy wybierali się na wojnę. Na wzgórzach wciąż stało wiele namiotów, a w mijanych obozowiskach toczyło się także zwyczajne życie: prano tam, gotowano, handlowano, obrządzano inwentarz, i nawet nie każdemu chciało się przeżegnać nas na drogę czy choćby tylko pomachać nam ręką na pożegnanie.

W porcie ścisk był już tak wielki, że nasi żołnierze musieli torować sobie drogę mieczami, do czego zresztą zachęcał ich nieustannie pan de Merle, pokrzykujący z wysokości swojej derki, żeby cięli i kłuli bez zmiłowania chamskie zadki, ponieważ bijący od nich smród przyprawia go o dodatkowe mdłości i zawroty głowy. Poza tym, wstrząsany na swoim prowizorycznym posłaniu, a czasem ściskany do bólu przez zbliżające się niebezpiecznie do siebie końskie boki, nie zdradzał najmniejszej chęci do rozmowy i chociaż byłem cały czas w pobliżu, nawet się nie zająknął o przyrzeczoną mi poprzedniego dnia wierzchowcu.

Na nabrzeżu, do którego raz po raz podpływały kolejne barki, galery, łodzie i okręty, panował niesamowity chaos. Wlewające się z różnych stron ludzkie rzeki zderzały się i mieszały ze sobą przy wtórze krzyków, przekleństw, wzajemnych pogroźek i docinków, rozpaczliwych nawoływań, pisku i lamentów

kobiet oraz płaczu pogubionych, a może już tratowanych w tłumie dzieci. Niewiele mogli poradzić na to bizantyjscy żołnierze, zbyt nieliczni, żeby zapuszczać się między ciżbę pielgrzymów, więc ograniczający się jedynie do ochrony trapów, po których wchodziło hurmem na pokład.

Bizantyjczycy wpuszczali na każdą z jednostek tylko tylu ludzi i tyle ładunku, ile mogła ona utrzymać bezpiecznie na wodzie, po czym odganiaли resztę chętnych włócznie i razami rzemiennych bykowców. Pomimo – a może właśnie dlatego – że żołnierze wykonywali swoje zadanie z bezwzględną sumiennością, przy załadunku dochodziło do ciągłych scysji. Bici i kluci pielgrzymi rzucali się na stróżów porządku z tym, co mieli pod ręką, niekiedy nawet z gołymi pięściami i od czasu do czasu udawało im się któregoś z nich zranić lub zepchnąć do wody. Podobnie kończyły się także próby rozdzielania rodzin bądź zakazywania wnoszenia na pokład zbyt ciężkich rzeczy.

Gwałtowne awantury wybuchały także z innego powodu. Otóż zawijające do brzegu statki były bardzo różne. Obok solidnych galer i dużych żaglowców, na pokładzie których nawet ten, kto po raz pierwszy w życiu wypływał w morze, mógł czuć się zupełnie bezpieczny, trafiały się także małe, chybotliwe łajby o dziurawych bądź obszarpanych żaglach i o burtach ledwie wystających ponad poziom wody, których widok napędzał strachu nawet doświadczonym żeglarzom. Ludzie bardzo szybko zorientowali się, że na najlepsze statki wpuszczano tylko co znakomitszych i bogatszych krzyżowców, w związku z czym raz i drugi próbowali wziąć je szturmem, zaś kiedy zostali odparci przez bizantyjskich i własnych żołnierzy, zaczęli obrzucać ich na równi przekleństwami i kamieniami.

Przy tej okazji dostało się także Małemu Piotrowi, który z pokładu takiego właśnie porządnego statku pozdrawiał i błogosławił tłoczące się na nabrzeżu tłumy. Natychmiast obwołano go zdrajcą i sprzedawczykiem, a któryś z rozwścieczonych Prowansalczyków ułożył na poczekaniu złośliwy wierszyk, podchwycony od razu przez setki zwinnych gardeł:

Mały Piotrze, nie bądź gburem, sam pływaj kryją, co ma dziurę!

Kiedy wreszcie przyszła nasza kolej, weszliśmy razem z końmi na pokład wojskowej galery, która odbiła niezwłocznie od brzegu, aby ustąpić miejsca następnej. Morze było spokojne, drugi brzeg widoczny jak na dłoni, toteż nasza przeprawa odbyła się bez najmniejszych kłopotów i już wkrótce wylądowaliśmy w Chalcedonie.

Na azjatyckim brzegu powitali nas bizantyjscy żołnierze kierujący kolejne grupy pielgrzymów na pobliskie błonia, gdzie wyznaczono miejsce zbiórki i gdzie mieliśmy czekać na pozostałych uczestników wyprawy. Jednak nie wszyscy ze schodzących na ląd podporządkowali się tym zaleceniom. Wielu

z nich, nie przejmując się żadnymi nakazami czy zakazami, a już zwłaszcza bizantyjskimi, ruszyło od razu w stronę odległej o jakieś trzy dni marszu Nikomedii, gdzie spodziewali się dotrzeć przed innymi i zdobyć na zaskoczonych Turkach obfite łupy (nie wiedzieli bowiem, że to miasto, obrócone przed laty w ruinę, było niemal nie zamieszkane).

Jeśli chodzi o nas, to zastosowaliśmy się karnie do wydanych rozkazów, a ponieważ wyglądało na to, że ostatni z krzyżowców przybędą dopiero nazajutrz, w pierwszym rzędzie zajęliśmy się wyszukaniem miejsca na nocleg, bo z każdą chwilą było o nie coraz trudniej. Także w tej kwestii pan de Merle zdał się całkowicie na mnie, sam postanawiając się nieco zdrzemnąć, aby, jak to określił, wytchnąć po trudach morskiej żeglugi. Kiedy okazało się, że wszystkie domy w okolicy są już zajęte, kazałem rozbić namioty na pierwszym lepszym spłachetku ugoru, a następnie okopać je i na wszelki wypadek rozstawić wokół nich strażę. Potem poleciłem oporządzić konie, zbudować dla nich prowizoryczną zagrodę i na koniec – przygotować wieczerzę.

Dopiero jej woń obudziła pana de Merle, który – znacznie już różniejszy – najpierw pochwalił wybór miejsca na nocleg i marsowy wygląd naszego obozu, a potem zaprosił mnie i Yusufa na wspólny posiłek. Z pewnym niepokojem spostrzegłem, że kazał do niego podać ogromny dzban tego samego wina, jakie piliśmy poprzedniej nocy.

– Czyżbyśmy naprawdę byli w Azji? – zapytał pan de Merle na wstępie, jakby nie był tego do końca pewny, a kiedy to potwierdziłem, uniósł do góry puchar i rzekł: – Więc niech ją wszyscy diabli! A gdzie Turcy?

Wzruszyłem na to ramionami, lecz kwestię tę wyjaśnił Yusuf:

– Tu ich nie spotkamy, jesteśmy za blisko Konstantynopola. Ale bądź spokojny, panie, jeszcze się na nich napatrzysz.

– To dobrze. Bardzo na to liczę – mruknął rycerz spod Limoges, pociągając ostrożnie pierwszy łyk wina. – Inaczej szkoda by było fatygi.

Po tych słowach wzdrygnął się, jakby się napił octu, ale następna porcja trunku przeszła mu przez gardło już zupełnie gładko. Doprawdy, miło było patrzeć, jak z każdym kolejnym łykiem ożywia się i rozluźnia, jak jego oczy nabierają blasku, jak jego bladą twarz powlekają rumieńce, jak ustaje mu drżenie rąk i jak odnajduje swoją zwykłą żywość dowcipu i trafność sądu, a jednocześnie wraca mu dobry humor, a nawet pamięć, bo gdzieś przy szóstym pucharze, ni stąd, ni zowąd, zapytał mnie, jak się sprawuje mój nowy koń.

– Jaki koń? – o mało się nie zakrztusiłem.

– Jak to jaki? – zrobił wielkie oczy. – Ten, którego wczoraj ci dałem. Chyba go już nie sprzedałeś? A jeśli masz jeszcze jakiegoś innego, to bardzo nieładnie, żeś mi o tym nie powiedział.

– Ani go nie sprzedałem, ani nie mam żadnego innego – westchnąłem ciężko.

– To świetnie – ucieszył się. – Między przyjaciółmi nie ma miejsca na kręactwa. Przyjaźń to przyjaźń. Wiesz przecież, że i tak bym ci go nie odebrał, choćbyś nawet miał dziesięć innych.

– Wiem – potwierdziłem ponuro i sam wychyliłem duszkiem cały puchar wina.

Podziękował mi skinieniem głowy, lecz nie porzucił bynajmniej tego drażliwego tematu.

– No to musisz przyznać, że jest naprawdę niezły. Guy de Merle nie rozdaje byle czego. Idzie jak burza i nawet w boju nie jest płochliwy. Ale to prawdziwy diabeł, lepiej na niego uważaj! Wystarczy, że dasz mu ostrogi albo ciut za mocno ściągniesz wodze, a zrzuci cię w mgnieniu oka. Diabeł nie koń! Mam nadzieję, że jeszcze cię nie zrzucił? – zainteresował się z troską w głosie.

– Nie, i wątpię, żeby mu się to kiedykolwiek udało – odparłem niezbyt uprzejmie, mając już dość tej rozmowy. – Porozmawiajmy lepiej o Turkach.

Pan de Merle zdumiał się jeszcze bardziej, tym razem chyba dość nieprzyjemnie, ale szybko się opanował.

– Jak sobie życzysz, można i o Turkach. W każdym razie, uważaj na cugle i miarkuj się z ostrogą. To jego jedyna wada.

Po tych słowach zapadło między nami kłopotliwe milczenie, przerwane niespodziewanie przez Yusufa.

– Wybacz, panie – zwrócił się do naszego gospodarza – nie znam się za bardzo na koniach, ale mam wrażenie, że ten, którego byłeś łaskaw podarować wczoraj mojemu panu, ma więcej defektów.

Do dziś nie wiem, kto wtedy bardziej osłupiał, ja czy pan de Merle.

– Więcej defektów?! – wymamrotał rycerz spod Limoges. – Jakich? Jeszcze wczoraj był jak złoto!

– Za to dziś kuleje na prawą przednią nogę – rozłożył ręce mój były sługa.

– To niemożliwe. Chyba, że już zdążyłeś go ochwacić?! – Guy de Merle spojrzał na mnie z groźnym błyskiem w oku.

– Ja?! Ależ skąd! Przysięgam.

– Dobrze, trzeba to sprawdzić – pan de Merle zerwał się ze swego posłania na równe nogi. – Idziemy.

I tak poszliśmy za nim do zagrody, gdzie zobaczyłem wreszcie mojego konia! Był to piękny, najwyżej trzyletni ogier, czarny jak smoła, dobrze umięśniony w kłębie i zadzie, o wspaniale zarysowanej szyi i wąskich, mocnych pęcinach. Nie ustępował absolutnie w niczym temu, którego zdobyłem na Al-Muzaffarze i straciłem później nad Dunajem! Wystarczył mi jeden rzut oka, aby mieć pewność, że pan de Merle nie przesadził ani trochę i że ten koń mógł naprawdę iść jak burza i znosić bez strachu zgiełk bitewny.

Rycerz spod Limoges poklepał go tymczasem po pysku i poprosił:

– No, Diabeł, pokaż nogę. Zobaczmy, co tam masz? Dawaj nogę, mówię.

Obejrzał mu dokładnie kopyto, następnie wymacał delikatnie pęcinę i wyściskał mu nogę aż do kolana, aby w końcu stwierdzić z frasunkiem:

– Niczego nie widzę. Musimy go wyprowadzić.

Wziął Diabła za uzdę i wyszliśmy wszyscy z zagrody, oprowadzając konia wokół naszego małego obozu. Drugą rundę pan de Merle odbył już na nim na oklep. Kiedy skończył, zeskoczył z wierzchowca, wręczył mi cugle i rzekł z radością do Yusufa:

– Nic mu nie jest, ani śladu ochwacenia. Jakie inne wady miałeś na myśli?

– Tylko jedną – odpowiedział skromnie mój były sługa. – Że nie ma siodła.

– A niech cię, szelmo! – roześmiał się rycerz spod Limoges. – Może się i nie znasz na koniach, ale na handlu zrobiłbyś majątek! Dobrze, będzie i siodło, żeby mi nikt nie powiedział, że Diabłu czegoś brakuje oprócz wideł i rogów. Ale teraz wracamy do wieczerzy, bo mi już w gardle zaschło.

Wtedy rzuciłem mu się na szyję, dziękując jeszcze raz za ten królewski dar. Pan de Merle opędał się ode mnie jak od osy, lecz było widać, że jest mu bardzo przyjemnie.

Przy kolacji pan de Merle i Yusuf wdali się w dyskusję o zwyczajach Turków, ja zaś myślałem nieustannie o moim nowym koniu, którego pokochałem od pierwszego wejrzenia. W pewnym momencie, kiedy wyobrażałem sobie, jak go nazajutrz dosiędę i sprawdzę jego możliwości, na dworze rozległy się jakieś krzyki, a zaraz po nich odgłosy zbrojnej potyczki.

– Turcy! – szepnął z przestachem Yusuf.

Rycerz spod Limoges i ja chwyciliśmy za miecze i niemal jednocześnie wypadliśmy z namiotu.

– Co się dzieje?! – zawołał pan de Merle do stojącego na warcie żołnierza.

– Nic takiego – odparł tamten spokojnie. – To tylko Niemcy i Lombardczycy wzięli się za łby z Frankami.

– O co?

– Nie wiem. Może o miejsce, a może ktoś komuś coś powiedział albo ukradł.

– Aha – uspokoił się mój przyjaciel. – Pies ich wszystkich trącał. Gdyby się ta ruchawka rozniosła, natychmiast meldujcie. Mieście oczy szeroko otwarte.

– Tak jest! – odpowiedział służbiście wartownik.

Zasiedliśmy z powrotem do kolacji, ale choć odgłosy siekaniny w obozie stosunkowo szybko ucichły, nie odzyskaliśmy już dobrych humorów i wkrótce potem poszliśmy spać.

Rankiem pobiegłem jak na skrzydłach do zagrody, żeby zobaczyć mojego konia. Był na swoim miejscu, wyczesany i wyczyszczony do połysku, zaś przy

nim kręcił się Yusuf z pożyczonym zgrzebłem w dłoni. Mojego szczęścia dopełniło jeszcze stojące obok siodło. Widząc moją radość, Yusuf uśmiechnął się i zapytał:

– No i jak, panie? Między nami kwita?

– Kwita, kwita, Yusufie! – zawołałem klepiąc go po plecach. A potem osiodłałem mojego Diabła i mając w pamięci dobre rady, jakich udzielił mi pan de Merle, udałem się za obóz na przejażdżkę. Koń szedł rzeczywiście wspaniale. Reagował na najłżejsze ściągnięcie cugli i najdelikatniejsze nawet ukłucie ostrogi, przechodził błyskawicznie, czysto i posuwicie ze stępa w kłus i odwrotnie, a puszczone galopem rwał do przodu, aż w uszach świszczą.

Kiedy zachwycony wróciłem do obozu, dowiedziałem się od pana de Merle, że Mały Piotr wezwał wszystkich na uroczystą mszę, która miała się zaraz rozpocząć.

Koncelebrowało ją kilkunastu diakonów, do spowiedzi i komunii przystąpiły prawdziwe tłumy, jednak najciekawsze było kazanie Małego Piotra. Piotr Pustelnik przypomniał w nim bolesne przyczyny oraz wzniosły cel naszej wyprawy, w wymownych słowach odmalował nie tylko grożące nam ziemskie niebezpieczeństwa, ale również zasługi i nagrody, jakich mogliśmy spodziewać się w niebie, zachęcał nas do dalszych poświęceń i większej wytrwałości, zaś na koniec ostro potępił nocne zajścia, w których, jak się okazało, padło kilkunastu zabitych i wielu ludzi odniosło poważne rany. Załamującym się ze wzruszenia głosem zaapelował do naszych chrześcijańskich sumień, prosząc o wzajemną miłość, szacunek i zgodę, po czym zwrócił się do przedstawicieli obu zwaśnionych stron, aby przekazali sobie publicznie znak pokoju.

Z obu stron uczynili to zaraz najznamienitsi rycerze. W imieniu Teutonów i Lombardów, jaśnie wielmożni panowie Hugon hrabia Tybingi, Albert hrabia von Zimmern i Henryk hrabia Schwarzenbergu, natomiast w imieniu Franków, równie czcigodni mężowie – panowie Walter Bez Mienia, Wilhelm z Poissy i Walter z Breteuil. Mały Piotr, wzruszony do łez, podziękował im za ten szlachetny gest, potem pobłogosławił wszystkich obecnych i zapowiedział, że nazajutrz pójdziemy zgodnie jak bracia do Nikomedii, a stamtąd do Civetot, gdzie Bizantyjczycy przygotowali dla nas obóz, w którym będziemy czekać na posiłki.

Mogło się wydawać, że wzruszające pojednanie, którego byliśmy świadkami, zmiękczyło nawet najtwardsze serca, jednak następnego dnia, na godzinę przed wyznaczoną przez Małego Piotra porą wymarszu, Niemcy i Italczyacy sformowali odrębną kolumnę i opuścili obóz pod własnymi sztandarami, bez oglądania się na resztę pielgrzymów i żegnani przez nich głośnymi gwizdami.

– Kaprawe piwożłopy! Zastrani sodomici! Podejdźcie tu, spasionie knury, a spuścimy wam większy wpierdol niż wczoraj! – wołali obserwowani przez nas Frankowie w stronę Teutonów i Lombardczyków obozujących po drugiej stronie drogi prowadzącej z Pelekanonu do Nikomedii.

– To wy podejdźcie do nas, galijskie kapłony! Wyruchamy was mieczami od tyłu, tak jak lubicie! – odpowiadali tamci.

– Ruchajcie sobie wasze matki!

– Kiedy wolimy wasze żony!

– Germańskie ścierwa! Italscy rogakze!

– Frankijskie cioty! Galijskie zdziury!

– Turcy!!

– Heretycy!!

– Złamane chuje!!!

– Parszywe Żydy!!!

Przysłuchiwaaliśmy się tej wymianie zdań już od paru godzin, to znaczy od momentu, kiedy po niezwykle forsownym marszu doścignęliśmy wreszcie niemiecko-lombardzką kolumnę i Piotr Pustelnik zamknął się w swoim namiocie z przywódcami obu skłóconych frakcji. Na szczęście była to tylko bitwa na słowa, toczona przez obie strony głównie z nudów, w oczekiwaniu na rezultat przeciągających się pertraktacji wśród dowództwa, i uczestniczyło w niej raczej niewielu pielgrzymów. Większość bowiem wołała rozłożyć się w cieniu bądź rozbiec się na wszystkie strony w poszukiwaniu łupów, żywności i wody, choć okolica wyglądała na zupełnie wyludnioną. Niektórzy wracali już zresztą z pustymi rękami i zmordowani upałem siadali obojętnie to po jednej, to po drugiej stronie drogi, czekając, tak jak my, na wynik negocjacji.

Wreszcie, od strony namiotu Małego Piotra podniosły się okrzyki „Idą, idą!” i większość z siedzących po obu stronach gościńca rzuciła się w tamtym kierunku. Również nam udało się precyzyjnie na tyle blisko, że mogliśmy nie tylko dojrzeć, ale i usłyszeć Piotra Pustelnika. Tym razem, oprócz znanych mi już z widzenia jaśnie wielmożnych panów Hugona hrabiego Tybingi, Alberta hrabiego von Zimmern, Henryka hrabiego Schwarzenbergu oraz nie mniej czcigodnych od nich mężów Waltera Bez Mienia, Wilhelma z Poissy i Waltera z Breteuil, naczelnemu wodzowi wyprawy towarzyszyło dwóch innych rycerzy w świetnych, błyszczących w słońcu zbrojach.

– Co to za jedni? – zapytałem pana de Merle.

– Nie wiem – wzruszył ramionami. – Ale trzeba być skończonym durniem, żeby w taki upał nakłaść na siebie tyle żelastwa.

Chciał powiedzieć coś więcej, lecz dokładnie w tej samej chwili Mały Piotr, który po to, żeby go było lepiej widać, wskoczył na swojego osła, nakazał ręką

ciszę.

– Bracia i siostry! – zwrócił się do nas zmęczonym głosem. – Przed nami trudna i daleka droga, i szkoda czasu na długie przemowy. Co było do wyjaśnienia, zostało już wyjaśnione z obecnymi tu znakomitymi panami, będącymi przywódcami wielu z was. Od nich dowiedcie się szczegółów. Co do mnie, to chciałbym raz jeszcze wezwać was do zgody i braterskiego współdziałania, abyście miłością ożywieni służyli sobie nawzajem. Bo jeśli nie pamiętacie, czym kończy się niezgoda, to przypomnijcie sobie historię Kaina i Abla, albo los, jaki spotkał budowniczych wieży Babel. Wspomnijcie zwłaszcza słowa Świętego Pawła skierowane do Galatów: *A jeśli u was jeden drugiego kąsa i pożera, baczcie, byście się wzajemnie nie zjedli!*⁹³

A gdyby, mimo wszystko, dalej pchała was do niezgody wasza ręka, noga lub oko, postąpcie tak, jak nakazuje Pismo, i raczej je sobie odetnijcie albo wyłupcie, niż dajcie się im bezkarnie wodzić na pokuszenie. Pamiętajcie, że jeśli będziecie się nawzajem miłować taką miłością, jaka jedynie przystoi chrześcijanom – to znaczy nie szukającą swego, nie unoszącą się gniewem, nie pamiętającą drugiemu złego, znoszącą wszystko, wszystkiemu wierzącą i wszystko przetrzymującą⁹⁴ – Pan Bóg z pewnością doprowadzi was do Ziemi Obiecanej, niczym nowy naród wybrany, którym poniekąd jesteście. Zgodnie bowiem ze słowami Apostoła: *Jeżeli Bóg z nami, któż przeciwko nam?*⁹⁵, prowadzeni przez Boga, musimy zwyciężyć! A teraz przekażcie sobie ponownie znak pokoju i miłości. Dla dobrego przykładu, jako pierwsi zrobią to na waszych oczach panowie Gotfryd Burel i Renald z Lombardii, dowódcy oddziałów, które starły się ze sobą wczorajszej nocy.

Słowa Piotra Pustelnika, przetłumaczone od razu na kilka języków, wywołały wielkie poruszenie i wycisnęły łzy z niejednych oczu. Powszechny entuzjazm stał się jeszcze większy, kiedy obaj wymienieni panowie – a byli nimi, jak się okazało, owi dwaj zakuci w ciężkie blachy rycerze – podeszli do siebie i skinawszy nieznacznie głowami, uścisnęli sobie prawice. Nawet ci, którzy przedtem obrzucali się wzajemnie najgorszymi obelgami, teraz bili brawo i wiwatowali, potem zaś podchodzili do niedawnych adwersarzy z wyciągniętą na zgodę ręką lub brali ich serdecznie w ramiona.

– Chodźmy i my któregoś uściskać, coś im w coś! – zaproponował wzruszony pan de Merle, ale zanim zdążyłem mu odpowiedzieć, uprzedziło nas kilku roślących Germanów, którzy wzięli w swoje niedźwiedzie łapy całą naszą trójkę, włącznie z Yusufem.

Reszta drogi do Nikomedii, którą przebyliśmy luźną gromadą, jako że nigdzie nie było widać ani śladu nieprzyjaciela, upłynęła bez najmniejszych zgrzytów

i dopiero kiedy znaleźliśmy się pod murami tego zburzonego przez Turków miasta, konflikt wybuchł na nowo.

Tym razem poszło o stado owiec, które podobno pierwsi zauważyli Frankowie, a które pomimo tego zagarnęli w całości Teutoni i Italczycy, i to w czasie, kiedy Frankowie zajmowali się jeszcze wybijaniem pilnujących go pasterzy. Wysunięte przez Franków żądanie zwrotu utraconej w ten sposób zdobyczy zostało odrzucone, zwierzęta ostentacyjnie zarżnięto i nadziano na różny, zaś mediacja podjęta przez Małego Piotra i sekundujących mu wielkich panów przyniosła skutki odwrotne do zamierzonych.

Otóż na prośbę przywódców wyprawy, by zwrócić Frankom przynajmniej część łupu, pan Renald z Lombardii odparł w imieniu Włochów i Niemców, że częścią tą mogą być co najwyżej kości, a i to pod warunkiem, że najpierw nasycą się nimi włoskie i germańskie psy. Podjęta natychmiast przez Franków próba odbicia pieczystego z bronią w rękę skończyła się zażartą bitwą, podczas której zginęło ośmiu Franków i sześciu przedstawicieli strony przeciwnej. Kiedy zaś na zwołanym specjalnie wiecu Mały Piotr oraz jaśnie wielmożni panowie Hugon hrabia Tybingi, Albert hrabia von Zimmern, Walter Be z

Mienia i Wilhelm z Poissy potępili warchołów w ostrych słowach i zagrozili im wykluczeniem z wyprawy, ci z miejsca wypowiedzieli im posłuszeństwo, oświadczając, że od tej pory będą służyć wyłącznie panu Renalda z Lombardii, jako jedyne, który nie pozwolił ich skrzywdzić i stanął w obronie ich słusznych praw.

Odtąd hufiec pana Renalda z Lombardii, do którego przeniosło się wkrótce jeszcze więcej Teutonów i Italczyków, maszerował i obozował osobno, i jeśli nie odszedł od nas na dobre, to wyłącznie dlatego, że nie bardzo miał dokąd.

Ludzie pana Renalda trzymali się od nas z daleka także w przygotowanym przez Bizantyjczyków warownym obozie w Civetot, gdzie dotarliśmy po kilku dniach. Tam jednak, dzięki temu, że było łatwiej o prowiant, dowożony regularnie z nieodległego Konstantynopola, nie dochodziło przynajmniej do awantur z lada powodu.

Zgodnie z cesarskim poleceniem, mieliśmy pozostać w Civetot do czasu nadejścia posiłków, które pod wodzą książąt i baronów wkroczyły już ponoć w granice cesarstwa. A jednak, choć mijał tydzień za tygodniem, wyczekiwana pomoc wciąż nie nadchodziła. W tej sytuacji, zwłaszcza że nie pojawili się również Turcy, coraz więcej pielgrzymów zaczynało narzekać na nudę i bezczynność. W trosce o bojowego ducha swoich oddziałów próbowali temu zaradzić poszczególni dowódcy, organizując na własną rękę wyprawy w coraz to dalsze i dalsze okolice.

Szczególnie wyróżniali się na tym polu panowie Gotfryd Burel i Renald z Lombardii, których zastępy wprost prześcigały się w plądrowaniu przyległych obszarów, choć prawdę rzekłszy, zamieszkiwali je wyłącznie Grecy. Napomnienia i wezwania do opamiętania, jakie kierował do nich Piotr Pustelnik, nie robiły na obu rycerzach żadnego wrażenia, tym bardziej, że dzięki obfitości zdobywanych łupów, ich oddziały rosły nieustannie w siłę.

Jeśli chodzi o mnie, to od świtu do nocy pomagałem panu de Merle, który przy każdej okazji złorzeczył hołocie, podkreślając, że po to, by masakrować chrześcijan, nie musiała wcale opuszczać Europy. W dzień szkoliliśmy jego żołnierzy, zaś po kolacji popijaliśmy wino albo graliśmy w szachy, czego nauczył nas Yusuf. Szachy wciągnęły mnie tak bardzo, że w ciągu miesiąca przegrałem z panem de Merle dwadzieścia sześć razy i wygrałem od niego dwadzieścia siedem razy mojego ukochanego Diabła.

Przy kielichu i szachach toczyliśmy też różne dysputy, z których szczególnie jedna, z początków naszego pobytu w Civetot, zapadła mi głęboko w pamięć. Pan de Merle zapytał mnie wówczas, co sądzę o słowach odnoszących się do miłości, które wypowiedział Mały Piotr przy drodze z Pelekanonu do Nikomedii. Odpowiedziałem, że już je kiedyś słyszałem i że, generalnie, bardzo mi się podobają.

– Naprawdę? – skrzywił się. – A mnie nie.

– Dlaczego? – spytałem zaskoczony.

– Bo są bez sensu – odparł. – Gdyby miłość rzeczywiście polegała na tym, że człowiek nie szuka swego, nie unosi się gniewem, nie pamięta drugiemu zła, znosi wszystko, wierzy wszystkiemu i wszystko przetrzymuje, to by znaczyło, że powinienem także wybaczyć mojej narzeczonej i bratu, może nawet oddać im własną alkowę na noc poślubną, a potem, na dobitkę, jeszcze niańczyć ich dzieci.

– Kto wie, może i powinienes – stwierdziłem z przekonaniem.

– Nigdy!

– Spokojnie, czas leczy wszystko.

– Możliwe – zaśmiał się gorzko. – Tylko że wtedy to już nie będzie miłość. Ale mniejsza o sprawy osobiste. Słowa Małego Piotra nie mają również sensu w wymiarze ogólnym.

– A to dlaczego? – zdumiałem się.

– Dlatego, że jeśli brać je poważnie, to przestaję rozumieć, kim my właściwie jesteśmy i co tutaj robimy.

Tym razem to ja się roześmiałem.

– No wiesz! To akurat jest proste jak drąg. Jesteśmy chrześcijańskimi rycerzami i jesteśmy tutaj po to, żeby odzyskać Grób Chrystusa. Może powinienes mniej pić, Guy?

– Naprawdę? A może coś takiego jak chrześcijańscy rycerze w ogóle nie istnieje? Może nas wcale nie ma? Nie przyszło ci to do głowy?

– A idź do diabła! Czyżbyś się znowu upił? Jak to nas nie ma?

– Zwyczajnie. Nie ma nas i już. Jeśli bowiem jesteśmy chrześcijanami i powinniśmy nie szukać swego, nie unosić się gniewem, nie pamiętać drugiemu zła, znosić wszystko, wszystkiemu wierzyć i wszystko przetrzymywać, to nie możemy być zarazem rycerzami, bo tym właśnie nie wolno puszczać w niepamięć zła i znosić wszystkiego, na przykład krzywd i zniewag. Jeśli zatem jesteśmy rycerzami, marni z nas chrześcijanie, a jeśli jesteśmy chrześcijanami, jacy z nas rycerze? Tak więc, jesteśmy czy nas nie ma?

– Właściwie to nie wiem – odparłem po namyśle. – Może chodzi o to, żeby nie mścić swoich krzywd, lecz wyłącznie cudze?

Guy de Merle spojrzał na mnie z politowaniem.

– Wybacz, ale nie wiem, kto z nas jest bardziej pijany? Przecież także mszcząc tylko cudze krzywdy, nie stajemy się od tego chrześcijanami, zaś znosząc potulnie własne, tracimy prawo do miana rycerzy. I jak nas nie było, tak nas dalej nie ma!

– A dajże mi święty spokój! – obruszyłem się. – Jak na kogoś, kogo nie ma, jesteś strasznie namolny. Jak chcesz, to zaraz ci to wszystko wytłumaczę, i to bardzo przystępnie. Wyobraź sobie, że jedziesz przez las. Słońko świeci, ptaszki śpiewają, strumyk szemrze, a ty właśnie się zastanawiasz, czy jesteś, czy też cię nie ma? I nagle z pobliskich krzaków rozlega się krzyk gwałconej dziewczicy. Co wtedy robisz? Rzucasz się na gwałciciela czy jedziesz dalej, radząc owej dziewczicy, aby po chrześcijańsku nadstawiła mu drugi policzek?

Po tych słowach pan de Merle zaczął się okrutnie śmiać.

– Z czego się śmiesz? – zapytałem rozeźlony.

– Z tego – odparł po chwili, opanowując się z trudem – że miałyby mu nadstawiać akurat policzek! Jasne, że rzucam się na gwałciciela, inaczej nie potrafię.

– No i masz dowód, że istniejesz, przynajmniej w jednej, rycerskiej połowie. A w drugiej z pewnością też, o ile, rzecz jasna, zostałeś ochrzczony. Jednym słowem, bądź tym, kim cię Pan Bóg stworzył i nie zwracaj mi więcej głowy głupstwami.

Guy de Merle poklepał mnie po plecach i dodał już całkiem serio:

– W porządku. Tyle, że tak samo zachowałby się także pierwszy lepszy Saracen.

Wzruszyłem na to ramionami i nalałem nam obu wina.

– Możliwe. Tylko czy to w czymkolwiek zmienia twoją powinność?

Takie i tym podobne dysputy, szachy i ćwiczenia wojskowe umilały nam pobyt w Civetot, przedłużający się niemiłosiernie. Obiecane posiłki wciąż nie nadchodziły, a tymczasem, w połowie września, ludzie pana Gotfryda Burela dotarli aż pod miasto Nikeę, gdzie po raz pierwszy zobaczyli Turków. Nikea była stolicą groźnego sultana Kilidż Arslana, więc nawet nie próbowali jej zdobywać, tylko po zwycięskiej potyczce z niewielkim oddziałem muzułmanów, splądrowali całą okolicę i wrócili czym prędzej do obozu. Przywieźli ze sobą wiele łupów, stada bydła i owiec, a także sporo młodych kobiet, z których część wystawili następnie na sprzedaż. Kiedy się jednak okazało, że niemal wszystkie ich branki były greckimi chrześcijankami, Mały Piotr wpadł w furję i kazał je natychmiast uwolnić. Frankowie posłuchali go – i to nie wszyscy – dopiero wtedy, gdy zagroził im ekskomuniką.

Niektóre z owych branek opowiadały później o tym, czego były świadkami pod Nikeą. Mówiły o swoich rodzinach mordowanych przez Franków z zimną krwią, o torturach, jakie zadawano tym, których podejrzewano o ukrycie skarbów, o gwałceniu – niekiedy po kilkanaście razy z rzędu – kobiet i dziewczynek, którym następnie podryzano gardła, o paleniu ludzi żywcem, a nawet o zawodach polegających na tym, by stojącą z zawiązanymi oczami ofiarę rozplatać z góry do dołu jednym ciosem miecza lub topora. Ile było w tym prawdy, nie wiadomo. Uwolnione Greczynki szybko opuściły obóz, ludzie Gotfryda Burela nabrali wody w usta, zaś jego samego nikt nie śmiał o to zapytać.

Po sprzedaniu łupów ludzie pana Gotfryda stali się tak zamożni, że szastali pieniędzmi na lewo i prawo, co wzbudziło natychmiast zawiść innych. Nic zatem dziwnego, że niedługo potem na podobną wyprawę ruszył pan Renald z Lombardii wraz z sześcioma tysiącami Niemców i Włochów. Choć nie zdradził nikomu, dokąd się wybiera, aby przypadkiem nie dać się uprzedzić, w obozie mniemano powszechnie, że zamierzał zdobyć właśnie Nikeę.

Przez dwa tygodnie o ludziach pana Renalda nie było żadnej wiadomości, jakby się zapadli pod ziemię. Potem pojawiły się pogłoski, że po krwawym szturmie zdobyli stolicę Kilidż Arslana i że jeśli dotąd nie wrócili, to tylko dlatego, że używają w niej teraz na całego. W Civetot opowiadano z zazdrością o górach złota, jakie ponoć przypadły w udziale nawet ostatnim lombardzkim ciurom; o wozach wyładowanych po brzegi drogocennym sprzętem, o dywanach tak ciężkich, że łamały z trzaskiem grzbiety koni, na których chciano je transportować; o szlachetnych kamieniach, którymi każdy mógł sobie napełnić do woli kieszenie i sakwy; o cudnej piękności sułtańskich nałożnicach, sprzedawanych w zdobytej Nikei za dzban lichego wina; a wreszcie o pękatach worach indyjskich korzeni, które – kiedy zabrakło już miejsca na wozach – ludzie

pana Renalda po prostu palili, aby zabić w ten sposób odór tysięcy tureckich trupów. Niejeden z roztaczających te bajeczne wizje pomstował przy okazji na Bożą sprawiedliwość, nagradzającą z reguły nie tych, co powinna; inni zmaiwali się i żądali od swoich dowódców natychmiastowego wymarszu na Nikeę, póki w niej jeszcze cokolwiek zostało; nie zabrakło wreszcie i takich, którzy twierdzili, że ludzie pana Renalda już nigdy nie wrócą, ponieważ po tak wielkim sukcesie nie będzie się im chciało tłuc się razem z nami aż do Jerozolimy.

Mylili się jednak wszyscy. Ludzie pana Renalda wrócili, choć było ich tylko trzech.

Jeden skonał zresztą od razu po przekroczeniu bramy obozu. Dwóch pozostałych – lżej rannych od tamtego, choć wyglądających jak żywe szkielety – zanesiono natychmiast do namiotu Małego Piotra, gdzie ich opatriono i nakarmiono, po czym poddano długiej indagacji w przytomności wszystkich co znacniejszych przywódców wyprawy. Choć przesłuchanie to było tajne, uczestniczyło w nim dosyć ludzi, żeby już wkrótce wieść o tym, co się stało, obiegła lotem błyskawicy cały obóz.

I tak dowiedzieliśmy się, że pan Renald rzeczywiście poszedł na Nikeę, jednak zobaczywszy z bliska jej potężne mury o dwustu czterdziestu basztach, zrezygnował ze szturmowania i powędrował dalej. Zgarniając po drodze wiele łupów, dotarł do zamku o nazwie Kserigordon. Stała w nim bardzo nieliczna turecka załoga, toteż Niemcy i Włosi zdobyli go z łatwością. A że znaleźli w nim sporo żywności i wina, postanowili obrać go sobie na kwaterę, skąd mogliby dokonywać wypadów w różne strony świata.

Tymczasem sułtan Kilidż Arslan dowiedział się o zdobyciu Kserigordonu i wysłał trochę wojska, aby go odzyskać. Hufiec pana Renalda stał się z owym wojskiem w otwartym polu, lecz poniósł klęskę. Ci, co ocaleli, schronili się w zamku, który Turcy zaczęli natychmiast oblegać. Nie mogąc go zdobyć, odcięli chrześcijanom wodę, której źródła znajdowały się na zewnątrz murów. Wkrótce obrońcy zaczęli cierpieć straszliwe męki. Nie mając ani kropli wody (wino wypito już wcześniej), wyciskali wilgoć z ziemi bądź zagrzebywali się w gruncie po szyję, by tym sposobem zmniejszyć pragnienie. Wrzucali do latryn pasy i sznury uplecione z koszul, po czym wysysali z nich każdą kroplę płynu, jaką udało się im zdobyć. Jedni oddawali mocz w ręce drugich i wypijali go natychmiast, by nie uronić ani odrobiny. Otwierali żyły koniom i osłom, i ssali ich krew. Doszło do tego, że zaczęli robić to samo z co ciężiej rannymi, którzy przed śmiercią jeszcze zagrzewali innych do dalszego oporu. Wreszcie, po ośmiu dniach podobnych katuszy, postanowili się poddać. Przyjmujący kapitulację Turcy przyrzekli darować życie wszystkim, którzy przejdą na ich wiarę – i o dziwo – słowa dotrzymali.

Jako pierwszy zaparł się Chrystusa pan Renald z Lombardii. Po nim zrobiło to wielu innych. Tych Turcy zabrali ze sobą skutych kajdanami, reszta poniosła męczeńską śmierć. Ci trzej, którzy do nas wrócili, zawdzięczali życie wyłącznie temu, że w samą porę zagrzebali się w latrynie, gdzie siedzieli dotąd, aż wróg sobie poszedł.

Prawda o losie wyprawy pana Renalda spadła na nas jak grom z jasnego nieba. Wstrząśnięci i przerażeni ludzie nie mówili o niczym innym. Jedni pomstowali na zaprzańców, życząc im, by szczęśli jak najszybciej w tureckiej niewoli, inni żądali natychmiastowego wymarszu z obozu i pomszczenia tak okrutnej rzezi. Nie brakowało jednak i takich, którzy nabrawszy wody w usta, pakowali się po kryjomu i wymykali się chyłkiem do portu, by na pokładzie pierwszego lepszego statku wrócić jak najprędzej do Konstantynopola.

Nastroje trochę się uspokoiły, kiedy główni wodzowie wyprawy zwołali wielki wiec, na którym mieli nam przedstawić plany dalszych działań.

Wybraliśmy się na niego z panem de Merle dużo wcześniej, aby zająć jakieś dobre miejsce. Na placu, niedaleko namiotu Małego Piotra, czekało już niezbyt wysokie podium, na którym ustawiono kilkanaście zydeł i duży krucyfiks. Podium i krzesła okrywała czarna krep, zaś wokół krucyfiksowi wiała się wstążka kiru.

Tłum zbierał się powoli, wypełniając szczerlnie plac, aż wreszcie, o wyznaczonej porze, skrzydła namiotu rozchyliły się i naszym oczom ukazał się Piotr Pustelnik w towarzystwie wielu znakomitych mężów dowodzących najsilniejszymi hufcami. Byli wśród nich trzej hrabiowie von Zimmern, Hugon hrabia Tybingi, Walter z Teck, Henryk hrabia Schwarzenbergu, panowie Walter Bez Mienia, Wilhelm z Poissy, Renald z Breis, Fulko z Orleanu, Rudolf z Brandis i Walter z Breteuil, a także wojowniczy Gotfryd Burel, który wyróżniał się spośród innych włożoną specjalnie na tę okazję, szmelcowaną na czarno kolczugą.

Kiedy wszyscy ci mężowie wstąpili dostojnym krokiem na podwyższenie i zajęli swoje miejsca, jako pierwszy przemówił pan Walter Bez Mienia, najukochańszy towarzysz i pomocnik w zbożnym dziele Małego Piotra, który w krótkich żołnierskich słowach powiadomił nas o tym, co wydarzyło się w Kserigordonie (nie wnosząc zresztą do tej kwestii niczego nowego), po czym otarł łzę i przekazał głos Piotrowi Pustelnikowi.

– Bracia i siostry! – zaczął Mały Piotr i zaraz umilkł odczekując chwilę, aż na placu zapadnie zupełna cisza. – A więc, stało się! Choć miałem nadzieję, że tym razem do tego nie dojdzie, moje słowa znów stały się ciałem! Nie raz i nie dwa ostrzegałem was przed brakiem zgody i współdziałania. Nie raz i nie dwa prosiłem was, abyście odrzucili pychę, zawiść i chciwość. Nie raz i nie dwa

radziłem wam, żebyście raczej odcięli sobie rękę albo nogę, lub wyłupili sobie oko, niż mieli dalej kłaniać się Baalowi. I co? I nic! Ziarno moich słów – a przyznacie, że były one prorocze – padło na kamień waszych serc i tam obumarło. Baal okazał się silniejszy i znów tryumfuje!

Bo czyż to nie dzięki niemu, tych, których nie można było pogodzić za życia, pogodziła na zawsze śmierć? Czyż to nie dzięki niemu, ci, których na wolności rozpieła pycha i chciwość, nauczą się w niewoli skromności i poprzestawania na małym? Czyż to wreszcie nie za jego sprawą, tym, którzy nie chcieli odciąć sobie ręki ani nogi, albo wyłupić sobie oka dla Chrystusa, odcięli je i wyłupili słudzy Antychrysta? Sześć tysięcy ludzi, sześć tysięcy naszych towarzyszy – mężczyzn, kobiet i dzieci – którzy przeszli z nami pół świata i którzy jeszcze nie tak dawno jedli, pili, modlili się, trudzili i radowali razem z nami, poszło na zmarnowanie! Sześć tysięcy ludzi! Dlatego błagam was, bracia i siostry, jeśli nie chcecie, żeby spotkało was to samo, wyrzeknijcie się Baala i wyrwijcie go z waszych serc na zawsze!

– Wyrzekamy się go! Wyrrywamy go! – rozległo się tu i ówdzie na placu.

Mały Piotr pokiwał smętnie głową.

– Chciałbym w to wierzyć. Bo choć nie ma pewności, że dzięki temu unikniecie losu, jaki przypadł w udziale naszym braciom i siostram tak okrutnie pomordowanym w Kserigordonie, to może jednak nie skończycie aż tak haniebnie, jak pan Renald z Lombardii i inni zaprzańcy. Ci pierwsi bowiem, co by o nich nie mówić, na pewno trafili do nieba; natomiast ci drudzy, chociaż ocalili swoje ziemskie życie, tkwią już po uszy w piekle! Mimo to, zmówmy modlitwę za nich wszystkich. Za zabitych, dziękując Bogu, że pozwolił im dostąpić swojej chwały, a za renegatów, aby nie pogrążyli się w piekle do końca.

Cały obóz, jak jeden mąż, odmówił modlitwę zarówno za poległych, jak i za tych, którzy dostali się do niewoli, zaś po jej zakończeniu ktoś z pierwszych szeregów zawołał w stronę Piotra Pustelnika:

– No dobrze, a co z nieprzyjacielem?

Mały Piotr nakazał ręką ciszę i rzekł:

– Właśnie chciałem o tym powiedzieć. Otóż, po długiej naradzie większość z obecnych tu dowódców doszła do wniosku, że skoro nie wiemy, jak liczny jest nieprzyjaciel i gdzie obecnie przebywa, najlepsze, co możemy zrobić, to obwarować jeszcze bardziej ten obóz, nie opuszczać go bez istotnej przyczyny i modlić się gorąco o to, żeby obiecana nam pomoc nadeszła jak najszybciej. W Civetot nic nam nie grozi, jedzenia i picia wystarczy na długie tygodnie.

Przez tłum przeleciał szmer aprobaty, gdzieniegdzie rozległy się nawet oklaski, ale zaraz potem odezwał się znowu ten sam głos, który wcześniej pytał o nieprzyjaciela:

– Większość to jeszcze nie wszyscy. Kto jest innego zdania?

Piotr Pustelnik lekko się zmieszał, popatrzył w stronę swojej rady, lecz zanim zdołał odpowiedzieć, ze swojego miejsca podniósł się pan Gotfryd Burel i oświadczył dobitnie:

– Ja.

Na placu znów zaległa cisza, ludzie spoglądali na siebie ze zdumieniem, nie spodziewali się bowiem, że tym, który przeciwstawi się Małemu Piotrowi i innym dowódcom, będzie właśnie pan Gotfryd Burel, wojownik tyleż doświadczony, co powszechnie znany ze swojej głębokiej niechęci do pana Renalda z Lombardii.

Tymczasem pan Gotfryd, jakby czytając w ich myślach, nabrał powietrza w płuca i zwrócił się do zebranych tym samym, zdecydowanym tonem:

– Bracia i siostry! Żołnierze! Dobrze wiecie, że pan Renald i ja nie byliśmy przyjaciółmi. Dlaczego, to widać najlepiej po jego ostatnim postępku, którym zdradził nie tylko nas wszystkich, ale także samego Jezusa Chrystusa. Jako żołnierz, kierujący się w życiu przede wszystkim honorem, mógłbym długo wyliczać zniewagi, jakich od niego doznałem, jednak po tym, co się wydarzyło, wolę o nich po prostu zapomnieć. Bardziej bowiem niż żołnierzem, jestem chrześcijaninem, a jako chrześcijanin mam obowiązek – tak samo zresztą, jak wy – kierować się także miłością. I to nie byle jaką miłością światową, ale taką, o której tak pięknie mówił nam niedawno nasz drogi Piotr Pustelnik – tu skłonił głowę przed zdumionym Małym Piotrem – czyli taką, która nie szuka swego, nie unosi się gniewem, nie pamięta drugiemu zła, wszystko znosi, wszystkiemu wierzy i wszystko przetrzymuje, słowem jedyną miłością, jaka przystoi prawdziwym chrześcijanom. Wiem, że wy również się nią kierujecie i dlatego nie wątpię, że zgodzicie się ze mną, że musimy przede wszystkim ratować ludzi pana Renalda.

– Jakich ludzi? – skrzywił się Mały Piotr. – Toż to zwykli zdrajcy, którzy zaparli się Chrystusa! Wyrzekając się naszego Pana, zasłużyli na swój los.

– I co z tego? – odrzekł pan Gotfryd Burel, ująwszy się pod boki. – Święty Piotr zaparł się Chrystusa aż trzy razy i nie przeszkodziło mu to wcale zostać papieżem. Dlaczego z ludźmi pana Renalda miałyby być inaczej? Trzeba tylko dać im szansę. Bo dopóki będą gnici w niewoli bisurmanów, na pewno nie wywiną się od piekła, ale jeśli ich oswobodzimy, odpokutują swoje i niejeden z nich może jeszcze trafić do nieba.

– Dobrze mówi! Słusznie! – podniosły się w tłumie pojedyncze głosy. – Należy ich ratować! Dać im szansę!

– Ratować, ratować – wtrącił gniewnie pan Walter Bez Mienia. – Niby jak?! Nawet nie wiadomo, gdzie są.

– Jak to nie wiadomo?! – zdumiał się pan Gotfryd Burel. – I mówi to dowódca?! Toż nawet dziecko wie, gdzie są! Kto wysłał wojsko przeciw Renaldowi? Sułtan. Dokąd wojsko mogło powrócić? Do sułtana. A gdzie mieszka sułtan? W Nikei. No to trzeba zdobyć Nikeę.

– Na Nikeę! Na Nikeę! – odezwało się znacznie więcej głosów niż przedtem.

– Zdobyć Nikeę?! – zachnął się pan Walter. – Niby jak?! Nie i jeszcze raz nie! Powinniśmy siedzieć tutaj i czekać na posiłki.

– I modlić się – dodał Mały Piotr.

– Modlić się nigdy nie zaszkodzi – zgodził się z zimnym uśmiechem pan Gotfryd Burel. – Ale na wojnie to za mało, bo na wojnie trzeba mieć jeszcze jaja. Kto ich nie ma, powinien być zostać w domu albo w klasztorze. Co to w ogóle znaczy? Chcecie zdobywać Jerozolimę, a boicie się głupiej Nikei?

– Pan Renald miał większe jaja od ciebie, i co z tego? – wykrzyknął ktoś z tłumu z wyraźnym italskim akcentem, ale choć po tej uwadze wielu z zebranych parsknęło śmiechem, pan Gotfryd Burel zbył ją pogardliwym milczeniem.

– Powtarzam, nie sił nam brakuje – podjął, jakby nigdy nic, poprzedni wątek – ale odwagi i dobrych dowódców. Pewnie, że jeśli pójdziemy na Nikeę zbyt małym hufcem, jak poszedł na nią pan Renald, to i nas Turcy zgniotą niczym budowniczych wieży Babel. Jeśli jednak pójdziemy na nią wszyscy, musimy zwyciężyć. Zwłaszcza, że jak powiedział nasz drogi Piotr Pustelnik: *Jeżeli Bóg z nami, któż przeciwko nam?*

– Tak jest! Musimy zwyciężyć! Bóg z nami! Bóg z nami! – podchwyciono od razu w tłumie.

– Bóg z nami jest na pewno – oświadczył ze złością pan Walter Bez Mienia. – Ale byłoby jeszcze lepiej, gdyby oprócz Boga, byli też z nami Bizantyjczycy. Więc póki co, siedźmy cicho w obozie i czekajmy na posiłki.

– Otóż to, siedźmy cicho i czekajmy na posiłki – poparł go Mały Piotr, czemu przyklasnęli gorliwie wszyscy panowie siedzący za jego plecami. – Najważniejsze to działać roztropnie. Co do mnie, to mogę choćby jutro popłynąć do Konstantynopola i jeśli nie ma tam jeszcze naszych, zwrócić się znowu o pomoc do cesarza. Jak będzie trzeba, mogę się nawet przed nim ukorzyć.

– Aha! Już widzę, jak nam pomaga ten szczywany lis! – zaśmiał się pan Gotfryd Burel. – Ciekawe, gdzie był cesarz, kiedy naszych mordowano w Kserigordonie?

– Tam, gdzie i ty – odezwał się znów z tłumu głos z italskim akcentem.

– Kórz się, przed kim chcesz, byleś się pośpieszył! – napomniał ostro Małego Piotra pan Gotfryd Burel. –Wszak chodzi o ludzkie dusze. Jako kapłan, powinieneś wiedzieć, że dla dobrego pasterza jedna zbłąkana owca znaczy więcej

niż wszystkie pozostałe, i że większa jest radość w niebie z jednego nawróconego grzesznika niż ze stu sprawiedliwych.

– To prawda – przyznał zawstydzony Piotr Pustelnik i odwróciwszy się w stronę swojej świątyni, rzekł:- Nie ma rady, trzeba ich ratować. Tylko nie róbcie tego beze mnie, błagam! Nim minie siedem dni, sprowadzę tu całą armię.

– Niech będzie osiem – zgodził się łaskawie pan Gotfryd Burel. – I ani jednego więcej. Bo potem, tak czy owak, idziemy na Nikeę.

– Na Nikeę! Na Nikeę! – tym razem jego słowa podchwyciły tysiące gardeł, po czym nad placem przetoczył się okrzyk jeszcze potężniejszy: – Gotfryd! Gotfryd! Gotfryd!

I na tym wiec się zakończył. Mały Piotr i inni znamienici panowie zeszli z podium, tłum zaczął się rozchodzić, a ja zapytałem Guya de Merle, co o tym wszystkim sądzi.

– Sądzę – odparł z wyraźną troską w głosie – że Mały Osioł miał rację, przynajmniej na początku. Be z posiłków – najlepiej całej armii – nigdy nie zdobędziemy Nikei.

*

Następnego dnia Piotr Pustelnik udał się do Konstantynopola. Czekaliśmy na jego powrót tym niecierpliwiej, że piątego dnia po jego wyjeździe kilku naszych ludzi zauważyło w pobliżu obozu niewielki podjazd Turków. Minął jednak cały tydzień, a Piotr Pustelnik nie wracał. Ósmego dnia po południu główni dowódcy wyprawy zebrali się ponownie na naradę, która miała ponoć bardzo burzliwy przebieg. Jak się dowiedzieliśmy nieoficjalnie, czcigodni panowie Walter Bez Mienia, Renald z Breis i Fulko z Orleanu oraz jaśnie wielmożni panowie Hugon hrabia Tybingi i Walter z Teck poprosili na niej, by z uwagi na prawdopodobną bliskość nieprzyjaciela, nie podejmować do powrotu Małego Piotra żadnych działań zaczepnych. W odpowiedzi, pan Gotfryd Burel, dysponujący najliczniejszym hufcem i największym poparciem tłumów, zarzucił im tchórzostwo i nieznamość wojennego rzemiosła, chociaż po dłuższej kłótni zgodził się dać dowód swojej dobrej woli i zaczekać na naczelnego wodza jeszcze jeden dzień. Niestety Mały Piotr nie powrócił także tego dodatkowego, dziewiątego dnia.

Wieczorem w przeddzień wymarszu, podobnie jak wszyscy, oporządziłem konia, spakowałem trochę żywności i naostrzyłem miecz, zaś rankiem pożegnałem się z Yusufem, który wolał pozostać w Civetot razem ze służbą pana de Merle oraz z chorymi, starcami, kobietami i dziećmi, a także z oddziałami tych nielicznych spośród wielkich panów, którzy, obraziwszy się na pana Gotfryda Burela, postanowili czekać w obozie na posiłki. Wkrótce potem, wraz

z panem de Merle i dwudziestoma tysiącami innych krzyżowców, wyruszyłem w kierunku Nikei, by ratować przed piekłem ludzi pana Renalda z Lombardii.

Nasz pochód, posuwający się naprzód niespiesznym krokiem i bez zachowania wojskowego szyku, rozciągał się na przestrzeni trzech albo czterech mil, co sprawiało, że kiedy jego czoło – mniej więcej trzystu jeźdźców, do których sam należałem – zagłębiało się już w ciasną dolinę wiodącą do przełomu rzeki Drakon, ostatni z pielgrzymów opuszczali dopiero Civetot.

Rześkie powietrze, szum rzeki, poranny śpiew ptaków, bezchmurne niebo, zieleń drzew porastających okoliczne wzgórza, a zwłaszcza świadomość, że nareszcie skończył się czas próżnowania i wybiła godzina czynu, wprawiły większość z nas w doskonały nastrój.

– No i jak, przyjacielu? – zagadnął mnie z szelmowskim uśmiechem jadący strzemię w strzemię ze mną pan de Merle. – Widzę, że do pełni szczęścia brakuje ci tylko gwałconej w krzakach dziewicy. Ciekawe, jak byś ją, bidulę, pocieszył?

Uśmiechnąłem się i ja, ale nie dane mi było zaspokoić jego ciekawości, gdyż w tej samej chwili rozległ się furkot setek strzał przecinających powietrze, metaliczny grzechot grotów odskakujących od naszych tarcz, hełmów, kolczug i zbroi, przeraźliwe krzyki trafionych ludzi i bodaj jeszcze straszniejszy od nich kwik rannych koni, stających gwałtownie dęba i wysadzających z sodeł swoich panów lub zwalających się wraz z nimi na ziemię. Kilku z jadących obok nas ludzi pana de Merle spadło wprost pod końskie kopyta, jakby ich raził piorun. Zanim zdołaliśmy opanować nasze wierzchowce, niebo zaćmiło się ponownie i dosięgła nas druga fala strzał. Kto nie zdążył zasłonić się tarczą, kto miał za słabą zbroję lub zbyt rzadką kolczugę, kto nie miał ich wcale, a i ten wreszcie, kto miał to wszystko, ale nie miał szczęścia – jak jaśnie wielmożny hrabia Konrad von Zimmern, któremu nieprzyjacielska strzała weszła do połowy w oko – ten ginął na miejscu i często nawet nie zdążył zdać sobie z tego sprawy!

Kolejne chmury strzał położyły pokotem czwartą część naszej jazdy. Padli między innymi pan Renald z Breis, z przeszytym na wylot gardłem, oraz pan Fulko z Orleanu, który wleczony po ziemi przez własnego, pędzącego na oślep konia, roztrzaskał sobie głowę o przydrożny kamień. Po każdej następnej fali pocisków, wystrzeliwanych ze wzgórz po obu stronach drogi, na gościńcu rosła coraz wyższa warstwa martwych i żywych ciał, tratowanych przez jeźdźców i piechurów miotających się w panice we wszystkich kierunkach i usiłujących w jakiś sposób wydostać się z pułapki. Chaos zwiędziały jeszcze nowe grupy pielgrzymów ciągnące z Civetot, które wpadały prosto pod turecki ostrzał i odcinały innym drogę odwrotu.

Krzyki, jęki, błagania o pomoc, przekleństwa i wzajemne nawoływania mieszały się ze sprzecznymi rozkazami ocalałych dowódców, z których jedni

nawoływali do skupiania się w małe grupy i osłaniania się nawzajem tarczami, natomiast inni do pójścia w rozsypkę, żeby nas całkiem nie wystrzelano. Ściśnięty i trzymany jak w kleszczach przez dwa konie napierające na mojego Diabła, zdołałem wyrwać się z tego uścisku dopiero po dłuższej chwili i natychmiast zacząłem przebijać się do przodu, ku grupie czterdziestu bądź pięćdziesięciu jeźdźców, ustawiających się właśnie pod gradem strzał do ataku wzdłuż lewego skraju gościńca. Dopiero kiedy do nich dołączyłem, zauważyłem, że jest wśród nich hrabia Albert von Zimmern i pan de Merle, i że trochę dalej formuje się druga, nieco dłuższa linia rycerzy pod dowództwem pana Gotfryda Bure la.

Tuż po tym, jak stanąłem w szeregu, hrabia Albert uniósł się w strzemiionach i wskazując wyciągniętym mieczem na wzgórze z lewej strony, zawołał:

– Za mną! Do ataku!!!

Gdy ruszyliśmy, dojrzałem jeszcze kątem oka, że oddział pana Gotfryda zaczyna posuwać się stępą ku wzgórzom z prawej strony.

Choć pod górę nie było to łatwe, staraliśmy się jak najbardziej rozpędzić konie, bo tylko to mogło utrudnić zadanie tureckim łucznikom. W połowie wzgórza można już było dostrzec ich sylwetki, zauważyć, jak przyklękają na jedno kolano, jak napinają swoje ogromne łuki i wypuszczają w naszym kierunku kolejne strzały, sięgając od razu po następne. Na ten widok jeszcze przyśpieszyliśmy, lecz kiedy od Turków oddzielały nas już tylko dwa rzuty włócznią, nagle całe wzgórze przed nami rozkwitło jaskrawymi barwami!

Zza drzew, zza krzaków, zza skał, zza głazów, zza skleconych z gałęzi maskujących parawanów, z różnych ukrytych dołów, wykrotów i zagłębień wysuwały się błyskawicznie setki jeźdźców i tysiące piechurów w żółtych, czerwonych, zielonych albo niebieskich dolmanach, formowały długie i równe linie, po czym zastygały natychmiast w karnym oczekiwaniu.

– Jezus Maria! To chyba sam sułtan! – krzyknął przerażony pan Albert hrabia von Zimmern i wstrzymał gwałtownie konia.

Inni zrobili zaraz to samo, co spowodowało, że kilku naszych jeźdźców przekoziółkowało z impetu nad końskimi łbami. Dwóch czy trzech innych zawróciło i zaczęło uciekać ku gościńcowi.

Tymczasem widząc, że hrabia von Zimmern waha się i nie może podjąć decyzji, pan de Merle, blady jak po najgorszym pijaństwie, popatrzył na gościniec, gdzie nasi piechurzy próbowali gorączkowo ustawiać szyki obronne, później na linie nieprzyjacielskie, które rozbłysły w tym momencie blaskiem tysięcy szabel wydobywanych na komendę z pochew, następnie przeżegnał się i wskazując mieczem na wroga, zawołał ile sił w piersi:

– Na nich!!!

Ruszyliśmy znowu, ale wtedy z przeciwka ruszyła także turecka jazda. Ziemia zadrżała od tysięcy kopyt i dudnienie w uszach rosło z każdą chwilą. Zjeżdżający w dół po stoku Turcy nabierali prędkości niczym toczące się głązy lub śnieżna lawina, zdolna zmieść z powierzchni ziemi wszystko, co stoi na jej drodze. Tuż przed zwarciem wysunęli do przodu cały las niezbyt długich włóczni, którym mogliśmy przeciwstawić tylko kilkadziesiąt naszych. W chwilę później rozległ się ogłuszający huk, jakby jakiś nadludzki kowal walnął młotem w olbrzymie kowadło, zaraz po nim potężny trzask łamanych drzewców i nad naszymi głowami przeokożkowały kawałki pokruszonych włóczni. Od tego momentu wszystko utonęło w straszliwym jazgocie krzyków, jęków, końskiego kwiku i wściekłego dzwonienia mieczy i szabel.

Samo starcie trwało bardzo krótko. Po gwałtownej wymianie ciosów w pełnym pędzie, większość Turków pognała dalej w dół zbrocza ku naszej piechocie, nie dbając zupełnie o to, ilu z nas zdołało przeżyć. A ocalało nas zaledwie kilkunastu. Reszta, przebita włócznikami, zarąbana szablami i stratowana przez końskie kopyta, leżała pokotem na ziemi. Niektórzy z tych, co utrzymali się w siodłach, byli ranni, jeden – jaśnie wielmożny Albert hrabia von Zimmern – martwy, co wyszło na jaw dopiero wtedy, kiedy nagle spadł z konia i zobaczyliśmy, że jest rozcięty z góry na dół na dwie, niemal równe, połowy.

Pan de Merle, cały zbryzgany krwią i z trudem łapiący oddech, zawrócił konia i pokazując na biegnących już ku nam tureckich piechurów, zawołał: „Na drogę! Do naszych!”, po czym puścił się na złamanie karku w dół stoku. Kto żyw, zrobił to samo i popędziliśmy galopem, doganiając tuż przed gościńcem najwolniej jadących Turków. Ponieważ nie spodziewali się oni za sobą nikogo oprócz swoich, ścięliśmy wielu z nich i wpadliśmy na drogę, gdzie omal nie zderzyliśmy się z niedobitkami oddziału pana Gotfryda Burela, uciekającymi z przeciwnej strony przed chmarą nieprzyjaciół. Ramię w ramię z nimi natarliśmy od razu na tyły tureckiej jazdy, która ze swej strony atakowała już naszych piechurów, spinając dęba konie i przełamując częstokół z pik ustawiony przez ludzi hrabiego Hugona z Tybingi.

Uderzenie tureckiej jazdy było tak straszne, że choć piki Niemców przeszyły na wylot wiele koni i licznych jeźdźców, większość drzewców łamała się jak sucha trzcina pod wałącym się z góry ciężarem konnicy, który miażdżył następnie trzymających je żołnierzy. W powstający w ten sposób wyłom natychmiast wdzierali się kolejni Turcy, którzy najpierw kłuli i spychali naszych piechurów włócznikami, potem zaś cięli ich i rąbali szablami, poszerzając systematycznie wyrwę uczynioną przez turecką jazdę w chrześcijańskiej obronie. Zaprawiona w boju niemiecka piechota, naciskana ze wszystkich stron, nie miała

się dokąd cofnąć, toteż marła tam, gdzie stała, nie mogąc niekiedy z powodu ścisku nawet wydobyć miecza.

Jeszcze gorzej działo się na flankach, gdzie broniło się pospólstwo uzbrojone w drągi, kosy, widły i cepy. Tureckie włócznie i szable kładły je pokotem z taką samą łatwością, z jaką wprawny kosiarz kładzie na ziemi pokos świeżej trawy. Trup padał tam tak gęsto, że niejeden z tych, którzy po raz pierwszy znaleźli się w bitwie, rzucał w przerażeniu broń i błagał wroga o litość, co tylko przyspieszało jego śmierć, gdyż w chwilę później padał na ziemię martwy, przebity na wylot, przepołowiony, z roztrzaskaną czaszką albo i całkiem bez głowy, robiąc miejsce następnym, którzy natychmiast ginęli w ten sam sposób.

Nieprzyjaciel napierał na nas coraz mocniej i mocniej, aż w końcu rozerwał naszą kolumnę na kilka części. W dalszym ciągu bito się w nich zżarcie, z zaciekłym zapamiętaniem i bez pardonu, ale kiedy do tureckiej konnicy dołączyła jeszcze turecka piechota, poszczególne ogniska oporu zaczęły przygasać. Oporem tym zresztą nikt już nie kierował, ponieważ zarówno hrabiego Tybingi, jak i pana Waltera Bez Mienia, obróciły w krwawą miazgę końskie kopyta.

Bitwa szybko zmieniała się w rzeź. Kto mógł się jeszcze wywinąć spod bisurmańskich szabel i uciec z okrażenia, ten zostawiał na łasce losu ginących towarzyszy i gnał co koń wyskoczy albo co sił w nogach do Civetot. Zupełnie bezwstydnie uciekano zwłaszcza na tyłach, skąd do obozu było najbliżej i gdzie nacisk wroga był chwilowo najślabszy. Ale o tym, że tylko w Civetot mógł być dla nas ratunek, wiedzieli również Turcy. Dlatego ich jazda wycofała się z pola walki i zostawiając dokończenie sprawy piechocie, rzuciła się w pogoń za uciekającymi.

To stworzyło nam szansę wyrwania się z kotła. Zanim miejsca opuszczone przez nieprzyjacielską konnicę zdążyli szczelnie wypełnić tureccy piechurzy, pan de Merle raz jeszcze uniósł się w siodle i przekrzykując piekielną wrzawę, krzyknął ochryple:

– Za mną! Do obozu!

Runęliśmy na atakującą turecką piechotę i po jej trupach przebiliśmy się na zewnątrz. Trzymając się skraju lasu, gdzie było nieco luźniej, puściliśmy się co koń wyskoczy za znikającymi w kurzawie muzułmańskimi jeźdźcami. Nie dało się ich jednak dogonić. Nie dość, że nasze wierzchowce potykały się bez przerwy o leżące wszędzie, zmasakrowane ciała pielgrzymów, to jeszcze zza drzew i krzaków nieustannie wybiegali ku nam żywi, którzy w panice czepiali się naszych nóg i strzemion, próbowali ściągać nas z siodła, chwytali się grzyw i ogonów naszych koni, padali na kolana wprost pod ich kopyta, a przy tym

modlili się, płakali, jęczeli, zawodzili, błogosławili nas i przeklinali w różnych językach, grozili nam i na tysiąc sposobów błagali o ratunek!

Ale dla nich nie było już ratunku, tak samo jak dla ludzi w obozie, gdzie wpadliśmy dużo później od Turków. Trwała tam okrutna rzeź, której nie dało się już powstrzymać. Nieprzyjaciel wtargnął do obozu razem z falą uciekinierów i całkowicie zaskoczył jego mieszkańców. Świadczyły o tym otwarte na oścież bramy, zwały półnagich trupów przed mijanymi przez nas w pędzie barakami i namiotami, zwłoki sprzedawców i kupujących zaściewające gęsto obozowe targowisko, a także wielkie stosy martwych ciał leżące wokół polowego ołtarza, przy którym w momencie katastrofy musiano odprawiać nabożeństwo.

Duża część tureckich jeźdźców posiadała już z koni i pijana zwycięstwem, biegała tu i tam, rabując, gwałcąc, dobijając rannych i wyciągając z różnych zakamarków ukrywających się w nich krzyżowców, których najczęściej od razu zabijano. Jedynym miejscem, gdzie chrześcijanie jeszcze stawiali opór, był kraniec obozu położony najbliżej morza. Za kręgiem olbrzymich i chyba tylko cudem rozpalonych ognisk broniła się tam ciągle garść żołnierzy któregoś z wielkich panów i kilkuset zwykłych pielgrzymów. Ponieważ silny wiatr zwiewał płomienie ognisk w stronę napastników, Turcy nie kwapili się bynajmniej do ataku, tylko w większości czekali spokojnie, aż ogień przygaśnie, zabawiając się tymczasem ciskaniem w chrześcijan włóczniami i strzelaniem do nich z łuków.

Kiedy ich zaatakowaliśmy, najpierw poszli w rozsypkę, ale szybko zdali sobie sprawę ze swojej liczebnej przewagi i rzucili się na nas hurmem. W chwilę później otrzymałem cios szablą w głowę, a czyjaś włócznia przebiła szyję mojego Diabła. Pod śmiertelnie rannym koniem załamały się przednie nogi, przeleciałem więc nad jego karkiem i ogniskami jak wystrzelony z katapulty, po czym rąbnąłem głucho o ziemię.

Gdy odzyskałem przytomność, widziałem tylko na jedno oko, z ucha ciekła mi krew i nie mogłem poruszyć ręką ani nogą. Słyszałem krzyki, jęki, odgłosy walki i odmawiane chóralnie słowa „Módl się za nami!”, jednak najbardziej przejmował mnie rozżarzony do czerwoności sąg drewna, oddalony od mojej twarzy zaledwie na wyciągnięcie ręki. Biło od niego straszliwe gorąco i czułem, że palą się moje włosy, próbowałem więc przesunąć głowę choć odrobinę w bok, lecz była na to zbyt ciężka i nie mogłem jej ruszyć z miejsca.

Tymczasem odgłosy walki szybko cichły, a kiedy zatliły się także moje rzęsy, nagle czyjeś silne ręce ujęły mnie pod pachy i odciągnęły od płonącego polana.

Tureccy żołnierze, w których rękach się znalazłem, powlekli mnie jak wór zboża na główny plac obozu, ten sam, gdzie odbył się pamiętny wiec po klęsce pana Renalda. Tam związano mi ręce i dołączono mnie do gromady jeńców

znoszonych z pobojuwiska i nadal wyciąganych z różnych kryjówek. Tam też dowiedziałem się, że pod koniec walki Turcy przestali mordować chrześcijan bez potrzeby, co sprawiło, że poddały im się resztki obrońców.

Nie oznaczało to jednak, że darowano nam życie, choć każdy z nas z osobna mógł je jeszcze ocalić.

W miejscu, gdzie parę dni wcześniej wznosiło się żałobne podium, stał teraz zakrwawiony pieńek, przy którym krzątało się kilku tureckich żołnierzy z czerwonymi od krwi szablami. Z jego prawej strony leżał krzyż ułożony z desek, zaś z lewej, w dwóch oddzielnych stertach, piętrzyły się martwe ciała i należące do nich niedawno głowy. Pod okiem kilku wojskowych oraz trzech starców w długich do ziemi szatach, żołnierze wyciągali z naszej gromady kolejnych nieszczęśników, prowadzili ich do krzyża i jeśli któryś z jeńców zdecydował się go podeptać lub na niego napluć, zakuwali go natychmiast w kajdany i odprowadzali pod strażą do baraków. Kto tego nie zrobił, kończył życie na pieńku. Tego strasznego wyboru oszczędzano jedynie młodym, pięknym dziewczętom i przystojnym chłopcom bez zarostu, których zakuwano w łańcuchy od razu, bez zbędnych ceregieli.

Ludzie postawieni w obliczu śmierci zachowywali się różnie, lecz na ogół nie budziło to żadnej reakcji pozostałych. Większość z czekających na swoją kolej modliła się bądź myślała już tylko o sobie. Spróbowałem przeliczyć, ilu jeńców dzieliło mnie jeszcze od feralnego pieńka i w trakcie tego liczenia moje zdrowe oko natknęło się na pana de Merle. Stał w szeregu pięć czy sześć osób przede mną, podtrzymywany przez dwóch swoich wojaków. Miał zamknięte oczy i wykrzywioną bólem twarz, jakby był ranny, choć z mojego miejsca nie mogłem tego stwierdzić na pewno.

– Guy! Guy! – zawołałem natychmiast.

Otworzył oczy, a kiedy mnie zauważył, spróbował się uśmiechnąć.

– Jak się masz? – odkrzyknął.

W odpowiedzi wzruszyłem jedynie ramionami. Pokiwał na to głową i zawołał nadzwyczaj spokojnie:

– Zaraz się zobaczymy, to sobie pogadamy.

– No nie wiem – odparłem myśląc ze strachem o mojej ekskomunie.

– Nie wiesz? Więc jakbyśmy się nie spotkali – znów skrzywił się z bólu – wiedz, że był to dla mnie zaszczyt.

– I dla mnie – zapewniłem go, ale on już mnie nie słuchał, zatopiony z powrotem w swoich myślach.

Kiedy wkrótce potem powleczono go w stronę pieńka, zauważyłem, że ma złamaną nogę, lecz nie miało to już żadnego znaczenia. Zanim pochylił kark, spojrział jeszcze w niebo i wykrzyknął wielkim głosem: „Niech żyje Chrystus

Król!”, i zaraz potem jego głowa pofrunęła tam, gdzie spoczywało już wiele innych.

Wtedy zamknąłem moje zdrowe oko i też zacząłem się modlić, co trwało dotąd, aż szarpnięto mnie za ramię. Otworzyłem oko i zobaczyłem przed sobą... zdyszanego Yusufa! Na ten widok serce podskoczyło mi z radości, ale zaraz zamarło ze zdumienia i wstrętu.

Po raz pierwszy od wielu miesięcy mój były sługa miał na głowie turban upięty z jakiejś szmaty i towarzyszyli mu dwaj Turcy. Jeden z nich, wyglądający na starszego rangą, słuchał z pogardliwym uśmiechem jego wywodów po arabsku, podczas gdy drugi, zwykły piechur, bawił się powrozem zakończonym stryczkiem. Kiedy pierwszy z nich skinął przyzwalająco głową, Yusuf kopnął mnie z całej siły w goleń i wrzasnął z wściekłością:

– Na kolana, psie!

Kopnięcie było tak bolesne, że nogi same ugięły się pode mną. Wówczas turecki piechur założył mi stryczek na szyję i wręczył koniec sznura Yusufowi. Mój były sługa szarpnął mocno powrozem, pętla zacisnęła się na mojej szyi, aż oczy wyszły mi na wierzch, po czym, chcąc nie chcąc, powędrowałem za nim na kolanach tam, dokąd mnie pociągnął.

XIV

Oprócz mnie, Turcy podarowali Yusufowi jeszcze nędzną chabetę i cherlawego muła, worek sucharów, bukłak na wodę, a także odcisniętą na kawałku skóry pieczęć swojego dowódcy, mającą stanowić dla nas rodzaj glejtu na wypadek zatrzymania przez żołnierzy przeczesujących całą okolicę w poszukiwaniu chrześcijańskich niedobitków. Jak się okazało, muł był przeznaczony dla mnie, gdyż jako chrześcijanin nie miałem prawa dosiadać konia w krajach wyznających wiarę w Allaha. Opuściłem na nim Civetot ranny, bez broni i ze związanymi rękami, żegnany rozpaczliwymi bądź nienawistnymi spojrzeniami innych pielgrzymów czekających na śmierć lub niewolę, i wleczony jak pies na postronku przez byłego sługę, który skierował nasze wierzchowce z powrotem w dolinę rzeki Drakon.

Byłem zbyt oszołomiony bólem i zbyt zdruzgotany niespodziewaną klęską wyprawy, by pytać o cokolwiek. Minęliśmy po drodze tysiące trupów, niemal wyłącznie chrześcijan, jak również kilka tureckich patroli, które przepuściły nas dalej po obejrzeniu naszego glejtu, aż dotarliśmy do miejsca, gdzie rozegrała się główna bitwa. Na budzącym grozę pobojuwisku Yusuf zsiadł z konia i obdarł kilku martwych Turków z nie poplamionych krwią części garderoby, nie zapominając także o turbanie i szabli. Następnie zawinął to wszystko w czyjs dolman i odjechaliśmy stamtąd czym prędzej.

Zatrzymaliśmy się dopiero w jakimś ustronnym miejscu nad rzeką, gdzie nie było nas łatwo wypatrzeć. Tam Yusuf zdjął mi z szyi powróż, rozciął moje więzy i przycisnął mnie do piersi.

– Wybacz mi to kopnięcie – rzekł wzruszony – ale musiałem im pokazać, że naprawdę należysz do mnie. Jesteś wolny, panie, co zamierzasz?

– Nie wiem – odparłem. – Na razie sprawdź, proszę, co z moją głową, okiem i golenią. I dziękuję za wszystko. Szkoda, że nie udało ci się uratować także pana de Merle.

– I ja tego żałuję. Ale zanim udało mi się znaleźć kogoś, kto rozumiał po arabsku i zechciał ze mną rozmawiać, było już za późno.

Następnie Yusuf obejrzał moje rany, przemył mi oko i przyłożył do niego jakieś liście zerwane na łące, po czym zrobił to samo z moją głową, którą obwiązał ciasno turbanem.

– Nie jest najgorzej – stwierdził, gdy uporał się z tym wszystkim. – Oko jest całe, tylko spuchło od uderzenia. Za parę dni będziesz widział jak młody jastrząb. Głowa jest rozcięta, ale nie rozbita, a goleń sama się wygoi. Tymczasem trochę pocierpisz, nic na to nie poradzę. Mam nadzieję, że nie wracasz na Zachód?

– A dlaczego nie? – mruknąłem. – Na Wschodzie nie mam już nic do roboty.

– Mnie też żal tych ludzi, ale mówiłem ci od początku, że to się tak skończy. Ty zaś obiecałeś mi w ziemi Franków, że w przypadku klęski waszego *dżihadu* zajmiemy się szukaniem Źródła. Czyżbyś już o tym zapomniał? – zapytał z wyrzutem.

– Nie, ale jak sobie wyobrażasz moją wędrówkę przez kraj Turków? – zapytałem rozgoryczony.

– Tak samo, jak ty moją przez ziemie chrześcijan. Masz, przebierz się – rzucił mi zawiniątko z ubraniami zdartymi z trupów. – A jakby cię jakiś Turek o coś pytał, po prostu udawaj niemowę. Zresztą, ja też ich nie rozumiem, więc będziemy w tej samej sytuacji, póki nie dotrzemy tam, gdzie ludzie posługują się jasną, arabską mową.

– Dobrze, wszystko mi jedno. Na Zachodzie też nie mam nic do roboty – zgodziłem się z rezygnacją i podjąłem z ziemi węzełek z garderobą.

Wówczas uszczęśliwiony Yusuf rzucił mi się na szyję.

Lecz mnie naprawdę było wszystko jedno. Po strasznej śmierci pana de Merle i tylu innych dzielnych towarzyszy, po stracie nadziei na odzyskanie Grobu Pańskiego i uwolnienie się tym samym od ekskomuniki, poszukiwanie Źródła wydawało mi się zajęciem całkowicie pozbawionym sensu. Jeśli założyłem turecki strój i po dłuższym odpoczynku nad rzeką ruszyliśmy dalej na Wschód, to wyłącznie dlatego, że pozostawał mi jeszcze honor, nakazujący dotrzymać danego słowa.

*

Przebycie Turcji (a właściwie Grecji, bo ziemie te zajęli Turcy całkiem niedawno) zabrało nam ponad rok. Poruszaliśmy się tak wolno z kilku powodów. Po pierwsze, w parę dni po wyruszeniu z Civetot, gdy skończyły się nam tureckie suchary, musieliśmy sprzedać nasze mizerne wierzchowce, ponieważ nie mieliśmy żadnych pieniędzy i bez tego przyszłoby nam umrzeć z głodu. Odtąd przemierzaliśmy ten górzysty kraj na piechotę, przy czym, zwłaszcza z początku, staraliśmy się unikać starych, częściowo zrujnowanych, lecz nadal pewnych i wygodnych rzymskich gościńców, gdyż można było na nich napotkać tureckie patrole lub zbyt natrętnych i wścibskich podróżnych. Wybierając zaś polne ścieżki albo bezdroża, często musieliśmy nadkładać drogi, a nawet zawracać. Niekiedy, co gorsza, kręciliśmy się przez wiele dni w kółko, jak zdarzyło się nam za Nikeą, zanim jakaś spotkana przypadkowo poczciwa dusza, z którą dało się porozumieć, nie wyprowadziła nas z błędu i nie wskazała nam właściwego skrótu. Po trzecie wreszcie, permanentny brak gotówki sprawiał, że musieliśmy często przerywać naszą podróż i najmować się do jakiejś pracy, żeby zarobić na zakup prowiantu, który by nam umożliwił dalszą wędrówkę.

Zatrudnialiśmy się zarówno u Greków, jak i u Turków, choć zdecydowanie woleliśmy tych pierwszych, ponieważ Yusuf potrafił się z nimi dogadać, a ja nie musiałem przy nich udawać niemowy. Pomijając tę różnicę, i jedni, i drudzy, traktowali nas dobrze i nie zdarzyło się nigdy, żeby ktoś nas oszukał przy wypłacie. U jednych i drugich pracowało się równie ciężko, z reguły od świtu do nocy i najczęściej w polu – przy zbiorze oliwek, fig i winogron, przy orce, siewach, żniwach i młócccie zboża, przy tłoczeniu oliwy, przy wypasie i stryżeniu owiec – choć zdarzyło się nam także kopać studnię, budować most, pracować w młynie, foluszu i kuźni, a nawet przy wyrobie lokalnego przysmaku zwanego „chałwą”.

Wbrew pozorom, ten rodzaj wędrówki, przeplatanej ciężką pracą, bardzo mi odpowiadał. Wyczerpujący wysiłek pomagał mi nie tylko utrzymać dobrą formę fizyczną, która mogła się jeszcze przydać, ale stopniowo zasklepił także moje rany duchowe. Harując od rana do wieczora, otrząsałem się powoli z przygnębienia, w jakim tkwiłem od czasu bitwy i zaczynałem patrzeć na świat coraz pogodniej. Wprawdzie wciąż jeszcze wracałem myślami do rzezi pod Civetot, jednak coraz rzadziej po to, by po raz kolejny roztrząsać jej przyczyny i sprawować w duchu sąd nad Małym Piotrem oraz innymi wodzami wyprawy, a coraz częściej tylko po to, by pomodlić się za pana de Merle i dusze tylu innych mężczyzn, kobiet i dzieci, którzy zginęli tam męczeńską śmiercią lub dostali się w haniebny sposób do niewoli.

Reszty dopełniał sam upływ czasu, a także piękno przemierzanego przez nas kraju – ostre słońce, przejrzystość powietrza, żywość barw nieba, ziemi i roślin, wszechobecny zapach ziół, intensywne świecenie gwiazd, śpiew ptaków, granie cykad, słowem to wszystko, co tak bardzo pokochałem w Hiszpanii i z czym było mi tak dobrze pod Hueską.

W odróżnieniu ode mnie Yusuf, źle znoszący ciężką pracę fizyczną, był bardzo niezadowolony z tempa naszej wędrówki i przy każdej okazji narzekał, że w ten sposób nigdy nie znajdziemy Źródła. Aż kiedyś, koło Filomelion, gdzie z braku pieniędzy na dalszą podróż zatrudniliśmy się na miesiąc przy pasaniu kóz, przyszedł mu do głowy pewien pomysł.

– Panie – zwrócił się do mnie z błyskiem w oku – zamiast za parę miedziaków wypruwać sobie żyły na wsi, idźmy lepiej do miasta i zdajmy się na łaskę prawdziwie wierzących, zanim ta praca całkiem nas wykończy.

– To znaczy? – zapytałem nie bardzo pojmując, o co mu chodzi.

– Zaczniemy żebrać. W końcu, mój przodek Omar Ibn Ibrahim żył z tego nie najgorzej, więc i my możemy spróbować. Jedyne na co trzeba uważać, to spory między sunnitami i szyitami, no i żeby się nie narazić miejscowym żebrakom.

– Dobrze, niech będzie – zgodziłem się bez entuzjazmu.

– Hura! – wykrzyknął na całe gardło, a potem z wielkiej radości przeciągnął swoją pasterską laską po grzbiecie pasącego się najbliżej nas kozła.

W dwa tygodnie później, po odebraniu zapłaty, skierowaliśmy się do Filomelion, gdzie udaliśmy się prosto na plac przed głównym meczetem miasta, przerobionym z dawnego greckiego kościoła. Jednak, chociaż Yusuf dwoił się i troił naśladować, jak umiał, zaklęcia i tyrady swojego egipskiego przodka, jedynym rezultatem jego starań był nadgryziony bochenek chleba ofiarowany nam przez jakiegoś miłosiernego przechodnia. Mimo to mój były sługa nie przejmował się za bardzo doznany niepowodzeniem.

– W Filomelion poszło nam kiepsko – tłumaczył – bo w większości wciąż zamieszkują je Grecy, a od Turków, którzy osiedlili się w tak podłej dziurze, trudno doprawdy wymagać zbyt wiele. Ale zobaczysz, co się będzie działo, kiedy wreszcie dotrzemy tam, gdzie rozbrzmiewa na ulicach jasna arabska mowa!

O tym, czy miał rację, mogliśmy przekonać się już w Ikonium, gdzie dotarliśmy głodni i bez grosza przy duszy po trwającym ponad miesiąc, uciążliwym marszu przez górzyste pustkowia. Wystarczył jeden spacer główną ulicą tego wielkiego miasta, żeby Yusuf wprost szalał z radości.

– Panie, jesteśmy uratowani! – wołał uszczęśliwiony. – Słyszałem tu mnóstwo ludzi mówiących po arabsku! Zobaczysz, już jutro wszystko się odmieni! Skoro świt, idziemy pod meczet!

– A dzisiaj? – zapytałem ledwie żywy z głodu i zmęczenia.

– Dzisiaj? – wzruszył ramionami. – Dzisiaj kupimy sobie parę sucharów, napijemy się wody ze studni i prześpimy się gdzieś na dworze. Na nic więcej nas nie stać.

Tak też zrobiliśmy, a o świcie popędziliśmy jak na skrzydłach na plac przed głównym meczetem miasta. Pomimo wczesnej pory kręciło się tam już mnóstwo ludzi – i to nie tylko sprzedawców i kupujących, ale także felczerów, golibrodów, żebraków, sztukmistrzów, nosiwodów, połykaczy ognia, astrologów, linoskoczków, wróżbitów, zaklinaczy węży, wędrownych muzykantów, poetów i kaznodziejów, przygodnych mówców oraz zwykłych gapiów dysponujących najwyraźniej nadmiarem wolnego czasu.

Widok setek nieznanymi mi towarów był tak oszałamiający, że natychmiast zacząłem zasypywać Yusufa pytaniami, ale on, uskrzydłony panującą wokół atmosferą, nie chciał mi na nie odpowiadać z obawy, że jeszcze chwila, a nie uda nam się zająć żadnego miejsca, które gwarantowałyby jaki taki sukces. Niemal w biegu – za nasze ostatnie pieniądze! – kupił na jakimś straganie słomianą matę, niedużą glinianą miskę w czerwono-czarne zygzaki oraz, po chwili bolesnej rozterki, szklaną ampułkę wypełnioną jakimś przezroczystym płynem, którą wetknął mi zaraz do ręki.

– Co to jest? – zapytałem zdziwiony.

– To na szczęście – uśmiechnął się. – Woda z płynącej w Raju rzeki al-Kawthar.

Następnie szybko rozłożył matę w upatrzonym miejscu, ukląkł na niej, postawił przed sobą zakupioną miskę, a kiedy, tak jak prosił, usiadłem obok niego, uniósł ręce nad głowę i pełnym cierpienia głosem zwrócił się do przechodniów:

– O bracia! O prawdziwie wierzący! Zwracam się do was w imieniu Tego, który daje bez żadnego rachunku, aby zapytać was, jak długo jeszcze macie zamiar oszczędzać pieniądze dla robaków, ślepi i głusi wobec potrzebujących? Czemu, jeśli życie było dla was łaskawe, nie naśladujecie jego hojności? Dlaczego chcecie być podobni do jedwabników, które umierają w swych kokonach nagie, zostawiając cały swój jedwab obcym? Dlaczego nie dzielicie się tym, co macie, jeszcze za życia? Wspomóżcie, bracia, dwóch nieszczęsnych biedaków wracających z chrześcijańskiej niewoli, to i wam ktoś kiedyś pomoże w potrzebie! Nie pozwólcie nam umrzeć z głodu, nie żałujcie srebra ni złota! Nie wahajcie się i nie ociągajcie! Pamiętajcie, że pieniądze to w życiu nie wszystko. Że można za nie kupić jedzenie, ale nie apetyt; lekarstwa, ale nie zdrowie; kobietę, ale nie miłość. Pamiętajcie, że Bóg kocha ludzi miłosiernych. Więc jeśli nie chcecie, żeby w Dniu Zapłaty przypomniano wam, że nie jest hańbą być biednym, ale bogatym i skąpym, okażcie nam swoją szczodrość! Zwłaszcza że nie chodzi o to, abyście byli jak zielona gałąź, którą każdy może wycisnąć, ale o to, żebyście nie byli niczym gałąź sucha, bo tę w Dniu Ostatnim połamią na tysiąc kawałków i wrzucą w płomienie na wieczną zaturę!

Jednak, choć Yusuf wygłosił swoją orację z wielką swadą, a na jego twarzy malował się autentyczny ból i głęboka rozpacz, choć powtórzył ją jeszcze raz i drugi, zatrzymało się przy nas, i to na krótko, tylko dwóch przechodniów. Pierwszym był potężny brzuchacz w białym burnusie, który stwierdził cierpko: Jak wam tak źle, bracia, to trzeba było zostać w niewoli", a następnie splunął do naszej miski, drugim zaś dziesięcioletni może urwis w podartej koszuli, który rzekł do nas z uśmiechem: Jeśli chcecie zarobić, pracujcie jak mrówki, czyli nie tyle ciężko, co po prostu z głową", po czym nam tę miskę ukradł.

Po jej stracie zapytałem Yusufa:

– No i co z tą hojnością muzułmanów?

– Wygląda na to, że gdy chodzi o pieniądze, wszyscy wyznają tę samą religię i mówią tym samym językiem – odburknął mój przyjaciel zaczerwieniony z gniewu i wstydu. – Liczyć na miłosierdzie skąpców to jak spodziewać się po psie miodu!

Nie było to jednak do końca prawdą, ponieważ w tym samym czasie wielu innych żebraków na placu odnosiło znaczące sukcesy. Prawdopodobnie działo się tak dlatego, że ani Yusuf, ani ja, nie wyglądaliśmy bynajmniej na umierających z głodu, i co być może ważniejsze, nasi szczęśliwsi konkurenci nie prosili o nic dla siebie.

Doszedłem do takiego wniosku, kiedy straciwszy ostatecznie nadzieję na jakąkolwiek jałmużnę, zwinęliśmy nasze manatki i zatrzymaliśmy się z ciekawości przy długobrodym, chudym kaznodziei w spłowiałym od słońca turbanie i łatanej po wielokroć opończy, który zwracał się po arabsku do szczególnie licznych słuchaczy.

– Ufajcie Temu, który daje najlepsze zaopatrzenie i dzielcie się tym, co macie, z potrzebującymi! – nawoływał ów człowiek o budzącym respekt wyglądzie ascety. – I nie martwcie się, bracia, o jutro, albowiem bez woli Najwyższego nawet włos wam z głowy nie spadnie. A jeśli macie w tym względzie choćby cień wątpliwości, przypomnijcie sobie jeden z cudów, jakich Wysłannik Boga – niech Go Allah błogosławi! – dokonał podczas oblężenia Medyny, o którym to cudzie przekazał nam świadectwo cnotliwy Chabir. Miałem – powiada ów szczęśny uczestnik tamtych wydarzeń – niezbyt tłustą owcę i poleciłem żonie, żeby ją upiekła. W ciągu dnia ryliśmy okopy, zaś pod wieczór zwróciłem się do Wysłannika Boga: „Proroku Allaha! Kazałem upiec dla ciebie owieczkę i przygotować jęczmienny chleb. Chciałbym bardzo, abyś przyszedł do mnie na wieczerzę”. „Z przyjemnością” – odparł na to Prorok. I posłał jednego ze swoich ludzi, żeby zaprosił wszystkich na kolację do mojego domu. – „Z Allaha jesteście i do Allaha powrócimy!” – zawołałem przerażony, kiedy się o tym dowiedziałem, bo nie zaprosiłem do siebie nikogo oprócz samego Proroka. A jednak przyszli do mnie wszyscy. Podałem Prorokowi owcę i chleb. A On pobłogosławił je, wymówił nad nimi imię Allaha, a potem nakarmił nimi wszystkich do syta, i jeszcze sporo zostało.

Dlatego, bracia – ciągnął kaznodzieja – nie bójcie się dawać! Bo jeśli będziecie dawać z wiarą i w imię Allaha, to choćbyście nawet rozdali wszystko, co posiadacie, i tak wam jeszcze sporo zostanie. W Dniu Zapłaty, gdy niebo się rozerwie i stanie się szkarłatne jak czerwona skóra, odbierzecie waszą należność z nawiązką!

Zebrani wokół ludzie przyjęli te słowa z wielką aprobatą, powszechnie cmokając, wzdychając i kiwając głowami. I wówczas przez krąg słuchaczy otaczający kaznodzieję przedarła się drobna postać w podartej koszuli, w której rozpoznałem bez trudu złodzieja naszej miski.

– Mistrzu! – zawołał mały obszarpaniec, padając przed kaznodzieją na kolana. – Racz i mnie wysłuchać z wiarą i w imię Allaha!

– Powstań, mój synu, i powiedz, w czym rzecz – zgodził się łaskawie chudy kaznodzieja.

– Och nie, panie! Nie jestem godzien stać w twojej obecności! – zaproponował młody człowiek. – Chcę ci coś wyznać, ciesząc się, że mam za świadków tak czcigodnych mężów.

– Mówże śmiało, chłopcze – zachęcił go kaznodzieja.

– Mam na imię Ali i pochodzę z bardzo licznej rodziny. Mój ojciec ciężko choruje, nie może pracować, w domu bieda aż piszczy i nie pamiętam już, kiedy po raz ostatni jadłem do syta. A ponieważ jestem najstarszy z całego rodzeństwa, na mnie też spada troska o matkę oraz o moich braci i siostry. Dziś rano powiedzieli mi: „Ali, jeśli nie chcesz, żebyśmy wszyscy pomarli z głodu, zrób coś! Idź do meczetu i pomódl się. Może Allah cię wysłucha i ześle nam jakiś ratunek?”. Zastosowałem się do ich mądrej rady, ale nie doszedłem nawet do tego placu, kiedy nagle o coś się potknąłem i niewiele brakowało, żebym się przewrócił. Wtedy spojrzałem pod nogi i – na Allaha! – pomyślałem sobie, że chyba śnię!

– Cóż takiego zobaczyłeś? – zainteresował się kaznodzieja.

Nasz młody znajomy sięgnął do przerzuconej przez ramię parcianej torby i wyjął z niej coś, co przypominało mocno wypchaną poduszkę z wytworzonego, różowego jedwabiu. Potrząsnął nią dwa razy, a wtedy z jej wnętrza dobiegł niezrównanie piękny i czysty dźwięk, jaki potrafią wydawać tylko objajające się o siebie srebro i złoto. Przez krąg zebranych przeleciał szmer podziwu, a oczy niejednego z nich rozbłysły pożądliwością.

– Ten oto sepecik – wyjaśnił skromnie Ali.

– Czy zaglądałeś do jego wnętrza? – zapytał surowo kaznodzieja.

– Och, Mistrzu! Nawet nie wiesz, jak bardzo mnie korciło, żeby do niego zajrzeć! – wyznał obdartus. – Od razu schowałem go za pazuchę i zacząłem rozglądać się za jakimś ustronnym miejscem, żeby to zrobić. Moja cielesna dusza szeptała mi do ucha: „No, Ali, nikt nie widział, co znalazłeś. Nareszcie będziesz bogaty! Gratuluję!”, ale moja dusza rozumna – niech ją Allah ma w opiece! – sprzeciwiała się temu z całych sił. „Biada ci, jeśli zajrzysz do tego sepecika!” – wołała z oburzeniem. – „Nie złamiesz chyba przykazań Najwyższego i nie przywłaszczysz sobie czegoś, co nie należy do ciebie?!”. I tak, jedna mówiła to, druga tamto, kłóciły się przy tym zawzięcie, skakały sobie do oczu i o mało ich sobie nawzajem nie wydrapały, a ja biedny nie wiedziałem, co powinienem uczynić. I wtedy właśnie usłyszałem twoje kazanie, Mistrzu, oślepił mnie promień prawdy i powiedziałem sobie: „Nie, Ali, nie przywłaszczysz sobie tego sepecika, lepiej już umrzyj z głodu! Bo jeśli ty zabierzesz go temu, kto go zgubił,

to i ciebie mogą pozbawić należnej ci nagrody w Dniu Ostatnim, kiedy każdy odbierze swoją zapłatę!”.

– Ciekawe, czy miał te same skrupuły, gdy kradł naszą miskę? – zapytałem półgłosem, kiedy Yusuf przetłumaczył mi jego słowa.

– Daj spokój, panie. I tak mu niczego nie udowodnisz – mruknął w odpowiedzi mój były sługa, wyraźnie zaciekawiony dalszym rozwojem wypadków.

– I bardzo dobrze postąpiłeś, chłopcze – pochwalił młodzieńca chudy kaznodzieja. – A skoro, jak powiadasz, nie zaglądałeś do jego wnętrza, zajrzyjmy tam teraz wspólnie.

Rozpostarł na bruku swoją wielokrotnie łataną opończę, po czym wysypał na nią ostrożnie zawartość różowego sepecika. Olśniewający widok góry srebrnych i złotych monet wymieszanych z dziesiątkami drogocennych bransolet, pierścieni i wisiorów, jak też z wielką liczbą szlachetnych kamieni luzem, zaparł nam wszystkim dech w piersiach.

– Na Tego, który jest świadkiem każdej rzeczy! – wybełkotał po dłuższej chwili osłupiały Mistrz. – Toż to najprawdziwszy Sezam! Czy znacie, bracia, kogoś, kto miałby do niego klucze?

– Nie, nie – odpowiedział mu chór zebranych.

– Postąpmy zatem, jak nakazuje prawo – westchnął nasz brodac, zgarniając z powrotem wszystkie skarby do sepecika i ładując go do swojej żebraczej torby. – Zaniesiemy te rzeczy do meczetu i jeśli w stosownym czasie nie znajdzie się ich właściciel, niechaj posłużą dziełu miłosierdzia jako jałmużna dla ubogich. Bo nam wystarczy Allah, który daje najlepsze zaopatrzenie.

– Słusznie, tak będzie najlepiej – zgodzili się nie bez żalu słuchacze.

– To jednak nie wszystko, dobrzy ludzie. Czyż godzi się bowiem, abyśmy troszczyli się tak bardzo o nieznanych nam bliżej biedaków, pozostawiając zarazem własnemu losowi tego, którego już poznaliśmy, i to w dodatku z jak najlepszej strony? Zaprawdę, źle by to o nas świadczyło, bracia, gdybyśmy pozwolili, aby ten oto młody człowiek, który dał nam dzisiaj tak piękną lekcję wiary, uczciwości i miłosierdzia, miał nadal cierpieć głód i nędzę! Nie może być tak, żeby najlepszym wiodło się najgorzej. Nikt z prawdziwie wierzących nie powinien do tego dopuścić! Podejdź no do mnie, mój synu – zwrócił się do oberwańca, podnosząc z ziemi swój połatany płaszcz. – Jako człowiek żyjący sprawami ducha, nie posiadam wprawdzie żadnych pieniędzy, ale proszę cię, przyjmij ode mnie tę oto opończę. Sprzedaj ją i chociaż raz w życiu nakarm do syta swoją nieszczęsną rodzinę.

Uszczęśliwiony Ali rzucił się na kolana i zaczął całować ręce i nogi Mistrza. Na ten widok odezwał się drżącym ze wzruszenia głosem któryś z obecnych:

– Jak tak, to masz i ode mnie pięć dirhamów. I niech cię Allah ma w opiece, chłopcze!

– I ode mnie! I ode mnie! – poczęli prześcigać się inni.

Dzięki ich szczodrości młody człowiek zebrał w krótkim czasie dwie garście srebrnych monet, a nawet kilka sztuk złota. Wkrótce potem, rozpluwając się w podziękowaniach, puścił się biegiem do domu, ale nie zniknął jeszcze dobrze za rogiem ulicy, kiedy w pobliżu rozległo się rozdzierające zawodzenie jakiejś kobiety:

– Och, bracia muzułmanie! Och, prawdziwie wierzący! Pomóżcie mi w nieszczęściu, jakie na mnie spadło! Ratujcie moją głowę, w imię Allaha!

Nasz kaznodzieja przywołał ją natychmiast do siebie i zapytał o powód tak wielkiej rozpacz.

– Mistrzu! – odparła łkając w niebogłosy. – Stało się coś strasznego! Zgubiłam bezcenny sepecik, który kazano mi zanieść do złotnika! Powrót do domu przeraża mnie bardziej niż lew siedzący w jamie!

– Uspokój się, dobra kobieto – pocieszył ją Mistrz. – Na tym świecie nic nie dzieje się bez wiedzy i przyzwolenia Allaha. Kto wie, może już za chwilę będziesz mogła wysławiać z całego serca Tego, który wynagradza wszystko w swoim miłosierdziu i wszystko uwieńcza swoją łaską i przebaczeniem? Powiedz nam, jak wyglądał twój sepecik?

Kobieta opisała swoją zgubę i opis ten pasował jak ulał do sepecika, znalezionego przez Alego.

– A co było w środku? – na wszelki wypadek upewnił się kaznodzieja.

– Srebrne i złote monety, bransolety, pierścienie, wisiorki, a także sporo szlachetnych kamieni luzem – odpowiedziała z płaczem nieszczęsna niewiasta.

– Na Tego, który wynagradza czyniących dobro! – wykrzyknął Mistrz. – Wygląda na to, że to naprawdę jej własność. Idź podziękować Najwyższemu, dobra kobieto, i pomódl się za wszystkich prawdziwie wierzących, bo gdyby nie ich przykładna uczciwość, ta historia mogłaby się dla ciebie bardzo źle skończyć! A w przyszłości miej większe baczenie na to, co ci powierzają.

Następnie zwrócił jej sepecik, zaś uradowana kobieta, stwierdziwszy przy świadkach, że niczego w nim nie brakuje, ucałowała ręce i nogi kaznodziei, po czym udała się do meczetu, sławiąc pod niebiosą Allaha i cnotę jego wyznawców.

Nie ochłonęliśmy jeszcze dobrze po tej scenie, kiedy nagle jeden ze słuchaczy, który dotąd nie odzywał się ani słowem, wzniosł ręce do góry i zawołał łamiącym się z emocji głosem:

– Mistrzu! Bracia! Spadły mi łuski z oczu i oślepił mnie promień prawdy! Oświadczam wszem i wobec, że ja też chcę zostać prawdziwie wierzącym!

– Jakże to?! – zdumiał się nasz brodac. – Więc jeszcze nim nie jesteś?

– Niestety nie, Mistrzu – odparł tamten z widocznym zakłopotaniem. – Jestem chrześcijaninem. Pochodzę z Konstantynopola, lecz od lat mieszkam wśród muzułmanów i od lat zastanawiam się również, gdzie leży prawda? I oto dzisiejszej nocy ukazał mi się we śnie Wysłannik Boga, Mahomet – niech Go Allah błogosławi! – i rzekł do mnie: – Jak długo jeszcze będziesz ślepy?! Jak długo jeszcze będziesz tkwić w błędach, które darzysz swoim zaufaniem?! Nawróć się na prawdziwą wiarę, bo już najwyższy czas!". Zapytałem Go wtedy: – „A która wiara jest prawdziwa?” – i usłyszałem w odpowiedzi: – „Ta, która głosi: *Nie ma Boga prócz Allaha, a Mahomet jest Jego Prorokiem*".

– Na Tego, do którego należy królestwo niebios i ziemi, i to, co jest pomiędzy nimi! – ucieszył się kaznodzieja. – Toż to najszczęsza prawda, bracie! I cóżes Mu, najmilszy, odpowiedział?!

– Odpowiedziałem Mu, że nie mogę się z tym zgodzić, ponieważ obraziłbym w ten sposób mojego Pana, Jezusa Chrystusa.

– Uff! – skrzywił się na to Mistrz, zaś wśród zebranych rozległ się jęk zawodu i syk oburzenia. – I cóż na to Wysłannik Boga, niech Go Allah błogosławi?

– Uśmiechnął się tylko i zwrócił się do długowłosej postaci, która stała po jego lewicy: – „A Ty, Jezusie, synu Marii, co na to powiesz?”. Zaś Jezus – bo to był On, niech Go Allah błogosławi! – odezwał się w te słowa: – „Głoś śmiało formułę, którą wskazał ci Mahomet – niech Go Allah błogosławi! – Wysłannik Boga i Najpierwszy z Proroków, dzięki czemu w Dniu Sądu zostaniesz uwolniony od wszelkiej kary. Jeśli chcesz, możemy ją nawet wygłosić wspólnie.” – „Jakże to, mój Panie?” – zapytałem zdumiony. – „Czyż to nie Ty sam twierdziłeś na ziemi, że jesteś Synem Bożym?”. – „Nie” – odpowiedział na to z oburzeniem Jezus. – „Przypisuje mi się wiele słów, których nigdy nie wypowiedziałem. Ja jestem tylko sługą sług Bożych, *nie ma bowiem Boga prócz Allaha*. Gdybyś miał jeszcze w tej kwestii jakieś wątpliwości, idź jutro na plac przed głównym meczetem w Ikonium i wsłuchaj się w słowa złotoustego Abd-al-Rahmana, zwanego Magnesem Wiary, naszego ulubionego kaznodziei, jak również przypatrz się dobrze postępowaniu prawdziwie wierzących. Jeśli dojdiesz do wniosku, że to, co powiedzieliśmy ci wspólnie z Mahometem – niech Go Allah błogosławi! – odpowiada prawdzie, nie wahaj się ani przez chwilę, tylko złóż wyznanie wiary, naucz się przepisanych modlitw i zasad religii, a potem żyj uczciwie, jak przystało na prawdziwie wierzącego, nie przynosząc nam więcej wstydu”.

– I naprawdę chcesz się nawrócić, bracie?! – zawołał z przejęciem długobrody kaznodzieja.

– Z całego serca! – odpowiedział na to chrześcijanin. – O ile, rzecz jasna, to ty, panie, jesteś owym złotoustym Abd-al-Rahmanem, zwanym Magnesem Wiary?

– Tak, to ja – przyznał skromnie Mistrz, choć jednocześnie pokraśniał z dumy, a potem padł na kolana i wykrzyknął ile sił w płucach: – Och, bracia! Och, prawdziwie wierzący! *Nie ma Boga prócz Allaha, a Mahomet jest Jego Prorokiem!*

– Niezły łotr z tego chrześcijanina! – szepnąłem do Yusufa, pamiętając o losie, jaki spotkał pana de Merle. – Gdybym mógł, poderznąłbym mu gardło.

– Daj spokój, panie – wzruszył ramionami mój były sługa. – Coś mi się zdaje, że taki z niego chrześcijanin, jak i ze mnie.

Tymczasem złotousty Abd-al-Rahman, zwany Magnesem Wiary, wołał dalej:

– Na Tego, który umieszcza w sercach to, co chce! O bracia muzułmanie! O prawdziwie wierzący! Jakże szczęsnego dnia dane nam było dożyć! Cieszymy się i radujmy, że oto przed jeszcze jednym niewiernym rozdarła się zasłona prawdy i że jego dusza uniknie wiecznego potępienia! Bracie! – zwrócił się do chrześcijanina gotowego odstąpić od swej świętej wiary. – Pozwól, że cię uściskam! Oby Allah ratował cię zawsze z klów nieszczęścia i prowadził cię prosto do swego Raju przez nieustające i hojne dobrodziejstwa! Oby zabezpieczył cię przed wydarzeniami, które zależą wyłącznie od kapryśnego losu, a Jego szczodrobliwłość wylała na ciebie obfitość swoich darów! Oby Jego wspaniałomyślność nie pozostawiła niespełnionym żadnego z twoich marzeń i oby była dla ciebie niczym rzeka, której wody nie wyczerpują się nigdy pomimo wielkiego tłumu pijących! Życzę ci z całego serca, aby twoje nowe życie w prawdzie przypominało zawsze wieczną wiosnę pełną zielonych pastwisk i rozkwitłych kwiatów, i upływało ci w nieprzerwanym szczęściu tak długo, jak długo będzie ci dane oglądać dzień i noc, i jak długo będziesz widział nad sobą wirujące sklepienie niebios!

A ponieważ dobrze wiem, że także to nowe, lepsze życie nie jest całkiem wolne od żądań i cierni, jakimi są dla nas wydatki – wszak będziesz musiał dać się obrzezać, sprawić sobie turban i w ogóle szaty godne prawdziwie wierzącego, jak też wydać z okazji nawrócenia ucztę dla krewnych i przyjaciół – proszę cię, przyjmij ode mnie te oto sandały. Wybacz, że są nieco znoszone i przydeptane, ale jako człowiek żyjący sprawami ducha, nigdy nie dbałem o to, żeby się podobać. Sprzedaj je, a może to, co za nie uzyskasz, wystarczy ci chociaż na cyrulika.

Po tych słowach zsuł swoje sfatygowane obuwie i wręczył je uroczyście byłemu chrześcijaninowi. Zebrani przyjęli to gromkim aplauzem, potem zaś, aby nie wypaść gorzej od Mistrza, zaczęli na wypródki wciskać odszczepieńcowi do ręki srebrne i złote monety.

Kiedy ten podziękował kolejno wszystkim, rozanielony kaznodzieja zarządził wielkim głosem:

– A teraz, drodzy bracia, chodźmy wszyscy do meczetu pomodlić się do Pana Światów i podziękować Mu gorąco za to kolejne, cudowne nawrócenie.

Kiedy odeszli w stronę świątyni, zauważyłem kwaśno:

– No i co powiesz, Yusufie? Zdaje się, że przy takiej konkurencji przestarzałe metody twojego przodka Omara nie wybawią nas nigdy od głodu.

– Tak sądzisz, panie? To zaproponuj jakieś lepsze – odpowiedział mi z goryczą, ale nie ciągnęliśmy dalej tego wątku, bo naszą uwagę przykuły teraz dwie ciekawe postacie, które zajęły właśnie na plac na ciężko objuczonych wielbłądach i zajęły miejsce opuszczone przez Abd-al-Rahmana i jego słuchaczy.

O ile pierwsza z owych postaci – czterdziestoletni mniej więcej, postawny mężczyzna – prezentowała się doprawdy wspaniale, to o drugiej z nich, sięgającej swojemu towarzyszowi najwyżej do kolan, dało się powiedzieć bez cienia przesady, że nosiła się wręcz po królewsku. Jeśli bowiem głowę pierwszego z przybyszów ozdabiał turban z wzorzystego chińskiego jedwabiu, to na głowce drugiej tkwił maleńki turbanik z najcieńszego muślinu z wpiętą weń broszą z ogromnym brylantem. Obaj nowo przybyli mieli na sobie batystowe koszule i także szarawary, ale tylko porcięta mniejszego z nich – skrojone na miarę przez świetnego krawca – wyróżniały się u dołu nogawek misternym haftem i trzymały się na eleganckim pasku z wężowej skóry. Obaj podróżni nosili też wytworne kaftany ze złotogłowiu, lecz tylko kaftanik tego niższego zapinał się na dwa rzędy prawdziwych szmaragdów. Jeśli wreszcie stopy postawnego mężczyzny były obute w eleganckie ciżmy z czerwonego safianu, to takie same ciżemki jego drobnego towarzysza zdobiły dodatkowo klamerki ze szczerego złota.

Już same stroje obu przybyszów, sprawiające wrażenie, jakby ich właściciele pojawili się na placu przed meczetem nie po to, by prosić o pieniądze, ale po to, by je pełnymi garściami rozdawać, przyciągnęły do nich bardzo wielu gapiów. Jednak tym, co zgromadziło przy nich prawdziwe tłumy, był niewątpliwie fakt, że mniejszy i bardziej dystyngowany z tej pary był małpą.

W czasie gdy towarzyszący jej mężczyzna przywiązywał wielbłądy do palików i rozkładał na ziemi przepiękny dywanik, małpa pozdrawiała łapką gromadzących się ludzi i od czasu do czasu grzecznie się im kłaniała. Następnie usadowiła się z godnością na rozpostartym kobiercu i wyjąwszy z kieszeni kaftanika malutki różaniec, zaczęła w skupieniu przesuwac jego paciorki między swoimi cienkimi, pomarszczonymi palcami. Mężczyzna we wzorzystym turbanie rozpiął nad nią parasol, ustawił przed nią niewielki kuferek z barwnego

kurdybanu, po czym złożył jej pełen szacunku ukłon i zwrócił się do zebranych dźwięcznym, choć smutnym głosem:

– Przyjaciele, sławcie Allaha, jeśli cieszyacie się dobrym zdrowiem! Sławcie Go, jeśli obdarzył was pięknymi żonami i posłusznymi dziećmi! Chwalcie Go, jeśli macie co jeść, lecz przede wszystkim dziękujcie Mu za to, że jesteście ludźmi! Kłty nieszczęścia są bowiem ostre, jego apetyt nienasycony, zaś jego ulubionym pokarmem są synowie i córki Adama! Czy widzicie, bracia, to nieszczęsne zwierzę? Otóż jeszcze nie tak dawno był to najlepszy, najszlachetniejszy, najprzystojniejszy, najpobożniejszy, najbardziej obiecujący i najbardziej godny zazdrości młodzieniec spośród wszystkich pokoleń prawdziwie wierzących! Dość, jeśli powiem, że macie przed sobą Jego Wysokość księcia Hadjiego, pierworodnego syna, następcę tronu i spadkobiercę potężnego i miłościwego emira Kordoby, Władcy Wiernych i Ozdoby Tego Wieku, Abd-el-Malika! Ale nawet on nie był w stanie zmienić tego, co mu było pisane!...

Po tych słowach mała uroniła wielką łzę, lecz natychmiast opanowała się, wyjęła z kieszeni kaftanika batystową chusteczkę i wytarła sobie dyskretnie oczy, zaś Yusuf szepnął do mnie z uśmiechem od ucha do ucha:

– Oho, a więc są tu i moi rodacy!

– Trzy lata temu – ciągnął tymczasem postawny mężczyzna – młodszy syn emira, książę Yassin, zazdroszcząc Hadjiemu urody, powodzenia u kobiet i miłości ludu, a przede wszystkim nie mogąc znieść tego, że w przyszłości to nie on będzie rządzić Kordobą, wszedł w konszachty z jakimś chrześcijańskim czarownikiem, który zamienił księcia Hadjiego w małą. Najgorsze zaś, przyjaciele wcale nie było to, że za jednym zamachem pozbawił księcia pięknej powierzchowności i szczęścia, ale to, że odwrócił od niego serce jego własnego ojca, potężnego i miłościwego Władcy Wiernych, Abd-el-Malika!

Kiedy bowiem Al-Andalus obiegnęła wiadomość o nieszczęściu, jakie dotknęło młodego księcia, Władca Wiernych zaczął się go wstydzić, a kiedy jeszcze okazało się, że za przywrócenie Hadjiemu ludzkiej postaci ów kastylijski czarownik zażądał sześciuset tysięcy dinarów w gotówce, których wypłacenie równałoby się ruinie królestwa Kordoby, wielki Abd-el-Malik poradził synowi, aby w imię racji stanu udał się za granicę na dobrowolne wygnanie! Po tym, jak od księcia odwrócił się jego własny ojciec, opuścili go również wszyscy krewni i przyjaciele. Pozostałem mu wierny tylko ja, jego dawny szambelan. Przez ponad dwa lata przemierzyliśmy razem Maghreb, Iffrikiję, Egipt, Irak, Syrię i Ar-Rum. Wybieramy się jeszcze do Persji i oczywiście, do Mekki i Medyny – (na dźwięk słowa „Mekka” mała pokłoniła się dwa razy w kierunku Wschodu) – i muszę wam powiedzieć, że jak dotąd wszędzie spotykaliśmy się ze zrozumieniem i pomocą prawdziwie wierzących, niech ich Allah błogosławi!

Bo też wszędzie, bracia, są cztery rodzaje ludzi. Najwięcej jest takich, którzy mówią: „Co należy do mnie, to należy do mnie, a co należy do ciebie, to należy do ciebie” – i trudno się temu dziwić. Niektórzy powiadają: „Co należy do mnie, to należy do ciebie, a co należy do ciebie, to należy do mnie” – są to zwyczajni głupcy. Nie brakuje też takich, którzy twierdzą: „Co należy do ciebie, to należy do mnie, a co należy do mnie, to też należy do mnie” – ci z kolei są szubrawcami. Na szczęście zdarzają się również i tacy, którzy głoszą: „Co należy do mnie, to należy do ciebie, a co należy do ciebie, to też należy do ciebie” – i ci zasługują na miano prawdziwych świętych. Tak właśnie postępował zawsze mój pan, księżę Hadji, zanim zły los przemienił go w małpę. Nikt potrzebujący nie odszedł nigdy sprzed jego oblicza z pustymi rękami i nikt się nigdy nie zawiódł na jego miłosierdziu. Weźcie to pod uwagę, bracia, i także wy zdobądźcie się na trochę świętości dzisiaj, kiedy Jego Wysokość sam znalazł się w potrzebie! Dzięki wspiałości prawdziwie wierzących uzbieraliśmy już trzy czwarte sumy potrzebnej, żeby go odczarować, jeszcze trochę wysiłku, a może uda nam się zebrać resztę, zanim podły Yassin zasiądzie na tronie. Bo bez całej kwoty nie mamy po co wracać do Kordoby.

Kiedy skończył, małpa otworzyła barwny kuferek, na którego dnie leżało kilkanaście złotych monet. Ten i ów spośród słuchaczy dorzucił do nich po parę miedziaków.

– Wybaczcie, drodzy przyjaciele – rzekł na to książęcy szambelan. – Nie chciałbym zostać źle zrozumiany, jesteśmy wszak wdzięczni za każdą pomoc, jednak biorąc pod uwagę ogrom kwoty, jaką musimy zgromadzić, jak też ograniczoną wytrzymałość naszych wielbłądów, najwygodniejsze w transporcie są złote dinary.

Po tej słusznej skądinąd uwadze, w kufierku przybyło kilka złotych monet.

I wtedy odezwał się Yusuf:

– Więc i ty mi wybacz, przyjacielu, lecz chciałbym cię o coś zapytać. Powiedziałeś, że kiedy ponad dwa lata temu opuszczałeś Kordobę, jej władcą był Władca Wiernych Abd-el-Malik, Ozdoba Tego Wieku, ojciec obecnego tu księcia Hadjiego?

– Tak jest, i niech go Allah ma w swojej opiece! – potwierdził książęcy szambelan.

– To ciekawe – uśmiechnął się mój przyjaciel. – Tak się bowiem składa, że jestem z Kordoby, gdzie przebywałem też w roku 488. I zapewniam cię, że jej władcą, podobnie zresztą jak i całego Al-Andalus, nie był wtedy żaden Abd-el-Malik, ale najpotężniejszy i najmiłościwszy Władca Wiernych Yusuf Ibn-Tashfin, zaś jego syn i następca miał na imię Ali, a nie Hadji. O księciu Yassinie w ogóle nie słyszałem. Nie dajcie się wodzić za nos, bracia! – zwrócił się do

zgromadzonych wokół ludzi. – Nie wiem, kim jest ta mała, ale ten człowiek jest na pewno oszustem.

– Co?! – oburzył się szambelan. – To podła potwarz! Nikczemne oszczerstwo! Mówi, bracia, że jest z Kordoby, a nawet jego akcent zdradza, że bezczelnie kłamie!

– Co?! Mój akcent?! – zaperzył się z kolei Yusuf. – Ja ci dam potwarz, ja ci dam akcent! Jeśli tak, to wymień, łotrze, choćby ze trzy ulice przylegające do wielkiego meczetu i powiedz, ile przęseł ma most na Gwadalkiwirze?!

Szambelan wydał z pogardą wargi, po czym bez namysłu wymienił kilka nazw ulic i rzucił pewnym głosem liczbę „dwadzieścia”.

– Ha, ha, ha! – roześmiał się mój były sługa, ale kiedy zorientował się, że nikt z obecnych nie podziela jego wesołości, nagle się stropił, po czym mina zrzedła mu zupełnie, kiedy wreszcie do niego dotarło, że zapewne nikt ze słuchaczy nie był nigdy w Kordobie, toteż po prostu nie może wiedzieć, kto nią rządzi, jak nazywają się jej ulice i na ilu przęsłach wspiera się jej most.

Na szczęście, otaczający nas ludzie, w których sercach zasiano niepokój, myśleli już o czymś innym. Ponieważ nie wiedzieli, kto ma rację, na wszelki wypadek rzucili się hurmem odbierać swoją jałmużnę. Wystraszona mała śmignęła na grzbiet wielbłąda, a w kuferku z kurdybanu nie pozostała po chwili ani jedna moneta.

– Złodziej! Złodziej! – rozdarł się na ten widok książęcy szambelan, wskazując palcem na Yusufa. – Kiedy ten hultaj mnie zagadywał, jego wspólnicy okradli księcia Hadjiego!

Yusuf zbladł, zwłaszcza że po słowach „złodziej” i „okradli księcia” wyrosło przy nas jak spod ziemi trzech barczystych strażników wezyra z długimi szablami.

– Co się tu dzieje, na Allaha?! – zapytali.

Wówczas obecni, jeden przez drugiego, zaczęli im opowiadać o kontrowersji związanej z imieniem władcy Kordoby, która poróżniła Yusufa z szambelanem. A kiedy skończyli, szambelan nie omieszkał dorzucić:

– A kiedy ten hultaj mnie zagadywał, jego wspólnicy okradli księcia Hadjiego!

– Czy to prawda?! – zapytał groźnie dowódca rontu.

Widząc, że mój były sługa blednie jeszcze bardziej, pobladłem i ja, i już zaczynałem przeklinać w duszy chwilę, w której zgodziłem się na jego pomysł, by w kwestii naszego utrzymania zdać się na łaskę prawdziwie wierzących, kiedy niespodziewanie okazało się, że Yusuf miał całkowitą rację.

– Nie, panie – zaprzeczyli bowiem stojący wokół nas mężczyźni. – Nie było tu żadnych pieniędzy oprócz naszych datków, te zaś zawsze nam wolno wycofać.

– To prawda – przyznał dowódca rontu i dodał po chwili namysłu:- Tak czy inaczej, choć oczywiście nie ma mowy o kradzieży, pozostaje jednak problem oszczerstwa, a zwłaszcza oszustwa. Czy któryś z was przyznaje się do winy? – zwrócił się do Yusufa i szambelana.

– W żadnym wypadku – oświadczył twardo Yusuf.

– Nigdy! – zasyczał szambelan.

– No cóż, kwestię prawdziwego imienia władcy Kordoby prędzej czy później uda się nam wyjaśnić na drodze dyplomatycznej. Do tego czasu ty, ty i ty – strażnik wezyra wskazał kolejno na Yusufa, na mnie i na szambelana – oraz ty... panie – na wszelki wypadek skłonił się przed małą – posiedzicie sobie w areszcie. Zabierajcie swoje rzeczy i idziemy.

W drodze do aresztu zapytałem Yusufa, czy na pewno pamięta dobrze imię swojego suzerena. W odpowiedzi tylko wzruszył ramionami i zaczął coś pogwizdywać.

Umieszczono nas wszystkich w jednej przestronnej celi, a ponieważ nie byliśmy oskarżonymi, tylko podejrzanymi, mogliśmy z niej swobodnie wychodzić na obszerny dziedziniec, gdzie rosły dwa figowce, do których szambelan przywiązał swoje wielbłądy. Jeśli dodać, że dwa razy dziennie dawano nam jeść i nie brakowało nam świeżej wody do picia, warunki naszego aresztu były całkiem znośne, co mój były sługa skomentował z zadowoleniem już przy pierwszym posiłku:

– Uszy do góry, panie. Lepszy kęs w ustach niż barani udziec w piecu. Będzie dobrze.

Ale z całej naszej czwórki jego optymizm podzielał jedynie rzekomy książę Hadji, być może dlatego, że traktowano go dużo lepiej od nas. Nie dość, że całymi godzinami biegał i skakał po murach i dachach, lub bujał się, na golasa, na gałęziach figowców, to jeszcze, jako jedyny, sypiał w czystej pościeli na prawdziwym sienniku oraz jadł do syta z nowiutkiej i nie wyszczerbionej miski.

Za to jego szambelan przypominał gradową chmurę. Pierwszego dnia nie odezwał się do nas ani słowem, tylko z zaciętą miną mełł pod nosem jakieś przekleństwa i zajmował się niemal wyłącznie swoimi wielbłądami, które poił, głaskał, poklepywał i godzinami wyczesał zgrzebłem. Jednak drugiego dnia stracił rezon, stał się bardziej nerwowy, kręcił się po celi z kąta w kąt, parę razy wyglądało nawet na to, że zamierza do nas zagadać, aż wreszcie po południu nagle zerwał się z pryczy, poszedł do swoich wielbłądów i zdjąwszy z jednego z nich jakąś sakwę, przytaszczył ją z trudem do celi, po czym niespodziewanie przysiadł się do nas i zwrócił się z westchnieniem do Yusufa:

– No dobrze, niech będzie, panie. Może rzeczywiście wyleciało mi z głowy imię emira Kordoby, może nawet nigdy nie byłem w tym mieście – w końcu,

pamięć ludzka jest dość zawodna – ale czy to naprawdę takie ważne? Niestety pozostaje nieszczęściem, niezależnie od tego, gdzie i komu się przydarzyło.

– Owszem – zgodził się Yusuf. – Tylko gdzie i komu się ono przydarzyło?

– W Syrii i mnie – raz jeszcze westchnął szambelan. – Chcecie, żebym wam o nim opowiedział?

– Czemu nie? – ziewnął mój były sługa. – Mamy dużo wolnego czasu.

– A zatem, pochodzę z małego miasteczka koło Damaszku i jestem z zawodu złotnikiem. Z łaski Allaha, powodziło mi się nie najgorzej, miałem piękny sklep i pracownię, w której zatrudniałem dziesięciu uczniów. Półtora roku temu zjawił się w moim sklepie pewien klient. Jego strój i obejście świadczyły o tym, że nie był to byle kto. Wymieniliśmy pozdrowienia i zwyczajowe uprzejmości, po czym mój gość wyłuszczył cel swojej wizyty.

– Przyjacielu – rzekł do mnie – chciałbym cię poprosić o pewną przysługę. Zamierzam spędzić w tym mieście nieco czasu, lecz akurat zabrakło mi gotówki. Może tobie albo któremuś z twoich kolegów po fachu przyda się ten oto drobiazg?

Po tych słowach wyjął z torby przepiękną sztabę srebra ważącą, na oko, co najmniej trzysta dirhamów.

– Czemu nie? – odparłem ze szczerym podziwem i poleciłem jednemu z moich uczniów, by obszedł z ową sztabą warsztaty znajomych złotników. Już w pierwszym z nich zaproponowano mu za nią czterysta dirhamów, jako że srebro okazało się być najwyższej próby. Nieznajomy zaakceptował tę ofertę, wynagrodził chłopca dziesięcioma dirhamami za fatygę, później zaś odliczył kolejnych pięćdziesiąt i położył je przede mną na ladzie, mówiąc:

– A to, przyjacielu, dla ciebie. Za twoją uprzejmość.

Oczywiście nie chciałem przyjąć tych pieniędzy, tłumacząc, że moja uprzejmość była bezinteresowna, ale on nie dał się w żaden sposób przekonać.

– Proszę, zrób mi tę przyjemność – nalegał. – Tak drobna suma nie ma dla mnie większego znaczenia. Zresztą, jeśli nie chcesz tych pieniędzy dla siebie, weź je dla swoich dzieci i kup im za nie trochę łakoci.

Zaraz potem pożegnał się i wyszedł. Po dwóch tygodniach zjawił się znowu, tym razem ze sztabą ważącą grubo ponad pięćset dirhamów. Była tak piękna i tak dobrej próby, że postanowiłem ją nabyć dla siebie i zaoferowałem mu za nią sześćset monet. Zgodził się na to bardzo chętnie, pod tym wszakże warunkiem, że zapłacę mu za nią nie więcej niż czterysta dirhamów. Kiedy zaprotestowałem – sztaba była wszak warta dużo więcej – schował ją z powrotem do torby i oświadczył, że w takim razie nie sprzeda jej nikomu. Cóż było robić? Chcąc nie chcąc kupiłem ją za czterysta dirhamów i z wdzięczności zaprosiłem go na

szklaneczkę mięty. Rozmawialiśmy o tym i owym, żartowaliśmy, było nadzwyczaj miło. Przy pożegnaniu zapewniłem go, że gdyby znowu potrzebował gotówki, jestem zawsze do jego usług. Podziękował mi za to serdecznie, ale choć później wpadał do mnie parokrotnie, za każdym razem z różnymi smakołykami, nie przyniósł więcej żadnej sztaby. Byliśmy już na tyle zaprzyjaźnieni, że któregoś dnia, kiedy wbrew swojemu zwyczajowi pojawił się u mnie z pustymi rękami, ośmieliłem się go zapytać:

– Powiedz mi, tylko szczerze, jak to między przyjaciółmi, czy nie potrzebujesz przypadkiem trochę gotówki?

– I tak, i nie – odparł zażenowany. – Z jednej strony, rzeczywiście jakoś rozeszły mi się pieniądze. Wiesz, przyjacielu, że nie przywiązuję do nich żadnej wagi, wszak wszystkie dobra tego świata nie są warte jednego ziarenka zboża. Z drugiej jednak, wybieram się właśnie do Damaszku i jeśli, jak się tego spodziewam, uda mi się tam kupić większą ilość pewnego proszku, wkrótce będę cię mógł zarzucić sztabami świeżego srebra.

Jego słowa rozпалиły moją ciekawość.

– A cóż to za proszek i ile kosztuje? – zapytałem.

– Wybacz, przyjacielu – rozłożył ręce w geście przeprosin – lecz nie mogę odpowiedzieć na pierwsze z twoich pytań, gdyż sam szukałem na nie odpowiedzi przez wiele lat trudnych studiów i ciężkiej pracy. Co się zaś tyczy drugiego, to na taką ilość, jaka jest mi potrzebna, w zupełności wystarczy dwieście sześćdziesiąt dirhamów.

– Z przyjemnością ci je pożyczę, o ile tylko raczysz je ode mnie przyjąć – zaoferowałem mu swoją pomoc.

Zgodził się uprzejmie i następnego dnia pojechał do Damaszku. W jakieś trzy tygodnie później przyniósł mi do sklepu dwie sztaby srebra, warte trzysta pięćdziesiąt dirhamów każda. Pierwszą wręczył mi jako zwrot zaciągniętego długu, drugą zaś zaoferował mi w cenie trzystu dirhamów. Ponieważ jak zwykle ani myślał się targować, chcąc nie chcąc ustąpiłem i wypłaciłem mu żadaną kwotę, po czym z wdzięczności zaprosiłem go na obiad. Rozmawialiśmy o tym i owym, żartowaliśmy, było nadzwyczaj miło, aż w końcu odważyłem się przejść do spraw naprawdę istotnych.

– Panie – rzekłem – wiesz, jak bardzo cenię sobie twoją przyjaźń. Każde wypowiedziane przez ciebie słowo, każda rzucona przez ciebie myśl zapadają mi głęboko w serce i pobudzają mnie do długich rozmyślań. Ostatnio zastanawiałem się na przykład nad szczególnymi właściwościami proszku, o którym mi wspomniałeś i doszedłem do wniosku, że ani chybi, musi to być proszek filozoficzny.

– Pst! – syknął na to mój przyjaciel i położywszy palec na ustach, rozejrzał się nieufnie dookoła.

– To znaczy, chciałem powiedzieć, że ani chybi, musi to być proszek... nasenny – poprawiłem się natychmiast. – Powiedz, przyjacielu, czy się mylę?

– Nie mylisz się. To rzeczywiście proszek nasenny – potwierdził półgłosem.

– To cudownie! – ucieszyłem się, także zniżając głos. – Całe życie marzyłem o takim proszku! Rozumiem, że jest bardzo wydajny, a przy tym niedrogi. Gdybyś nie miał nic przeciwko temu, chętnie sfinansowałbym zakup większej jego ilości, tak żebyś mógł wyprodukować... to znaczy, żebyś mógł zapewnić spokojny sen większej liczbie ludzi cierpiących na bezsenność.

– Osobiście sypiam bardzo dobrze – skrzywił się na moją propozycję. – A jak śpią inni, mało mnie obchodzi.

– Wybacz, miałem na myśli siebie. Otóż moje żony, dzieci, sklep, warsztat, uczniowie i związane z nimi kłopoty, jak też niepewność nieodłączna od prowadzenia interesów, wszystko to sprawia, że ostatnio bardzo źle sypiam. Chciałbym temu jakoś zaradzić.

– Rozumiem – mruknął. – No cóż, jesteś moim najbliższym przyjacielem w tym mieście, spożywałem twój chleb i twoją sól, więc chyba muszę zrobić dla ciebie wyjątek. Tylko bardzo proszę, nie trąb o tym na lewo i prawo, bo jak się ludzie dowiedzą, wkrótce nie będę miał czasu nawet na krótką drzemkę.

– Ależ oczywiście! Nie pisnę o tym nikomu ani słowa, przysięgam na Allaha i na rozwód! – przyrzekłem mu solennie.

– Dobrze. Ile pieniędzy chcesz wyłożyć?

– Na proszek?

– Nie, proszku mamy aż nadto. Na surowiec. Najlepsze są zwykłe dirhamy, ponieważ są cienkie i łatwo je rozdrobnić. Zasadniczo bowiem, Wielka Sztuka zna dwa sposoby na bezsenność. Pierwszy polega na transmutacji, to znaczy na przemianie jakiegokolwiek metalu w produkt końcowy, drugi zaś na multiplikacji materii zawartej w próbce owego produktu. Multiplikacja to moja specjalność.

– W jakim stosunku odbywa się ta multiplikacja? – zapytałem.

– Mniej więcej jeden do stu.

– To wspaniale! – wykrzyknąłem. – W porządku, zadbam o surowiec wartości jakichś piętnastu, szesnastu tysięcy dirhamów. Co jeszcze jest ci potrzebne?

– Niewiele. Parę dodatkowych składników – zaraz sporządzę ich listę – jak również dobre nożyce, kilka mocnych worków, kocioł mogący pomieścić stukrotną ilość użytego surowca oraz duże i wygodne w obsłudze palenisko.

– Jutro wieczorem będziesz miał to wszystko – zapewniłem go gorąco.

– A zatem, do dzieła – zgodził się bez dalszych ceregieli.

Następnego dnia wyjąłem ze skrytki wszystkie moje oszczędności – pięć tysięcy osiemset dirhamów – jak też zaciągnąłem u znajomych złotników kredyt na dodatkowe dziesięć tysięcy, co dawało łącznie piętnaście tysięcy osiemset dirhamów w dobrym srebrze. Jak łatwo obliczyć, kwota ta, po zmnożeniu przez sto i odjęciu wartości użytego surowca, gwarantowała czysty zysk w wysokości miliona pięciuset sześćdziesięciu czterech tysięcy dwustu dirhamów. Nabyłem także, zgodnie z otrzymaną listą, brakujące składniki, zaopatrzyłem się w ostre nożyce i mocne worki, a na koniec pożyczyłem od zaprzyjaźnionego garbarza ogromny kocioł do wyprawiania skór.

Wieczorem zjawił się mój przyjaciel z proszkiem filozoficznym, obejrzał wszystko to, co zgromadziłem, po czym zabraliśmy się ostro do pracy. Okazało się, że cała operacja potrwa około dwóch tygodni, zaś pierwszą rzeczą którą należało zrobić, było pocięcie monet na mniejsze kawałki. Z pomocą rodziny i służby cięliśmy je więc nożycami do białego rana, aż nam popuchły ręce. Mój partner sporządził tymczasem ze swojego proszku jakąś miksturę, którą trzeba było te ścinki posmarować. Kiedy uporaliśmy się i z tym punktem, słońce stało już wysoko na niebie. Wówczas zapakowaliśmy kawałki dirhamów do worków, a mój przyjaciel stwierdził:

– Na razie to wszystko. Teraz surowiec powinien się macerować równo przez tydzień. Nie ruszaj go i chroń go przed działaniem słońca oraz wilgoci. Resztę składników schowaj w suchym i ciemnym miejscu, najlepiej w piwnicy.

Zastosowałem się do jego poleceń i spotkaliśmy się dopiero po tygodniu. Mój mistrz wysłał mnie do piwnicy po brakujące składniki, a kiedy z niej wróciłem, wsypaliśmy je wraz z zawartością obu worków do garbarskiego kotła, nakryliśmy go szczelnie pokrywą i rozpaliliśmy pod nim solidny ogień.

– Gotowe – oświadczył zacierając z zadowoleniem ręce. – Teraz przez pięć dni dbaj o to, żeby płomień nie zgasł i żeby był równy. Nie zdejmuj też ani na chwilę pokrywy. Za pięć dni, kiedy wydobędziemy gotowy produkt, będziesz najbogatszym człowiekiem w okolicy.

Przez pięć dni pilnowałem paleniska, lecz kiedy przyszedł termin wydobywania końcowego produktu, mój przyjaciel nie pojawił się. Mimo to zgasiał ogień i gdy kocioł wystygł, zajrzałem do jego wnętrza. Już na pierwszy rzut oka widać było, że multiplikacja się nie udała, jako że w kotle było dokładnie tyle samo metalu, ile do niego wsypaliśmy. Co gorsza, nie udała się ona podwójnie, bo kiedy zacząłem wydobywać ów metal z kotła, okazało się, że to zwykła cyna! Do dziś nie rozumiem, jak to się stało?!

– To proste – uśmiechnął się Yusuf. – Albo coś sknociliście i wyszło na odwrót, niż było zaplanowane, albo twój przyjaciel zamienił worki,

prawdopodobnie z czyjąś pomocą, kiedy ciebie posłał do piwnicy. Innej możliwości nie widzę.

Po tych słowach szambelan palnął się dłonią w czoło i zaczął tak straszliwie przeklinać, że mój przyjaciel musiał go mitygować. Kiedy się trochę uspokoił, westchnął ciężko i zwrócił się przybity do Yusufa:

– No i co ty na to, panie?

– Sam nie wiem – pokręcił głową mój były sługa. – Chyba już słyszałem tę historię. W każdym razie, odkąd tu jestem, mam ciągle wrażenie, że wszyscy odgrzewają przy mnie – wprawdzie nader smacznie – stare baranie kotlety, wysmażone jeszcze przez Al-Hamadaniego, Al-Haririego, Al-Baridjawiego albo przez któregoś z ich licznych naśladowców. Powiedz, czy nie są to przypadkiem twoi ulubieni autorzy?

– Panie, nie wiem nawet, o kim mówisz! W życiu nie czytałem żadnego z nich. Ja w ogóle nie lubię czytać – obruszył się szambelan i spuścił skromnie oczy.

– Tak? Więc uważaj, żeby ci te słowa jeszcze nie wyszły bokiem. Zwłaszcza, że to naprawdę znośni pisarze, nie przynoszący ujmy swojemu rzemiosłu – zganił go natychmiast Yusuf. – Ale dobrze, skoro tak bardzo pragniesz, abym ci uwierzył, zrobię to z przyjemnością. Co było dalej?

– Dalej? A co mogło być dalej? Byłem zrujnowany i w dodatku zadłużony na dziesięć tysięcy dirhamów! Dlatego jeszcze tego samego dnia uciekłem z miasteczka, gdzie mnie oczy poniosły, by nie trafić za długi do więzienia. Liczyłem na to, że miłosierdzie prawdziwie wierzących pozwoli mi odrobić poniesione straty, choć nie pozwoliło mi ono jedynie umrzeć z głodu.

Wszystko odmieniło się na lepsze dopiero wtedy, gdy spotkałem Jego Wysokość. Towarzyszący mu szambelan był ciężko chory, lecz zdążyliśmy się jeszcze zaprzyjaźnić. Przed swoją śmiercią błagał mnie na klęczkach, żebym zaopiekował się księciem Hadjim i nauczył mnie podstaw małego języka. A ja zgodziłem się na to nie tylko dlatego, że nie odmawia się umierającym, ale także dlatego, że pomagając księciu, mogłem również pomóc samemu sobie. Choć ów pierwszy, prawdziwy szambelan nie przekazał mi żadnych szczegółów związanych z Kordobą, trudno mieć o to do niego pretensję, jako że w obliczu rychłej śmierci miał na tym padole do załatwienia parę znacznie ważniejszych spraw.

– Toteż ja nie mam wcale pretensji do niego, tylko do ciebie. W końcu to ty podałeś owe szczegóły nader dokładnie, w dodatku przy świadkach – rzekł mój były sługa. – Lecz mniejsza o to, przejdźmy lepiej do konkluzji.

– Oto i ona: nie na darmo powiada Księga Święta, że *jeśliby Bóg chciał karać ludzi za to, co oni dokonali, to nie pozostawiłby na powierzchni ziemi żadnej*

*istoty żyjącej.*⁹⁶ Czyż nie powinniśmy brać przykładu z Jego wielkoduszności? – zapytał przymilnie szambelan.

– Owszem, tyle że wielkoduszność jednych rodzi się z wielkoduszności innych – zauważył Yusuf. – Czy przyjrzałeś się uważnie tamtym strażnikom wezrya? Niech nas Allah przed nimi uchroni!

– Ja nie mam się czego bać – stwierdził buńczucznie szambelan.

– Jak uważasz. Wiedz jednak, że jak cofanie się ze strachu nie oddali naznaczonego ci kresu, tak i twoja brawura też go nie opóźni. Proponuję, żebyśmy zeszli od ducha do litery, od symboli do prawdy i od teorii do konkretności. Zważ przy tym, że nikogo nie dosięga żadne nieszczęście, jak tylko za pozwoleniem Allaha, który zawsze łagodzi karę temu, kto ją uprzedza przez swoją poprawę.

– Masz rację, panie. W takim razie zastanówmy się... Powiedz, czy nie mogło być tak, że Władca Wiernych Yusuf Ibn Tashfin zmarł, a po jego śmierci na tronie Kordoby zasiadł Abd-el-Malik, ojciec obecnego tu księcia Hadjiego?

– Chcesz, żebym uśmiercił swojego władcę?! – zmarszczył brwi mój przyjaciel. – Yusuf Ibn Tashfin to człowiek poważny, nie lubi takich żartów!

– Źle mnie zrozumiałeś, panie. Przecież to smutne wydarzenie mogło mieć miejsce już po twoim wyjeździe z Kordoby. Los nie jest twierdzą aż tak solidną, jak się powszechnie uważa. Na tym świecie istnieją wszak choroby, wypadki, zatrucia, spiski, przewroty, bunty wojsk, przegrane bitwy oraz tysiące innych nieszczęść, przy pomocy których Najwyższy wystawia nas na próbę. I jedno z owych nieszczęść mogło się przytrafić akurat Ibn Tashfinowi, o czym ty właśnie sobie przypominałeś.

– Póki co, nie mam jeszcze kłopotów z pamięcią – odparł obojętnie Yusuf.

Szambelan westchnął i sięgnął do swojej sakwy, skąd wyjął coś, co przypominało brunatny kamień wielkości gęsiego jaja. Wręczył to coś Yusufowi i zapytał:

– A teraz?

Yusuf obrócił ową rzecz parokrotnie w dłoni, podrzucił ją raz i drugi do góry, w końcu jednak tylko wzruszył ramionami.

– Bez zmian – oświadczył krótko.

– To poskrob trochę paznokciem – poradził mu książęcy szambelan.

Zgodnie z jego radą, mój były sługa zaczął skrobać rzekomy kamień i wkrótce pod jego paznokciem rozblęskło najprawdziwsze złoto!

– Przechowuję w ten sposób jałmużnę ofiarowaną Jego Wysokości – wyjaśnił smętnie szambelan. – Zważysz na czasy, w jakich przyszło nam żyć, pozwala to uniknąć niemałych kłopotów.

– Podziwiam twoją przezorność – pochwalił go Yusuf, zwracając mu jednocześnie brunatną bryłkę. – Mylisz się jednak, jeśli sądzisz, że za kawałek węgla targnę się na życie własnego monarchy.

– Na Allaha! – jęknął szambelan, przytrzymując jego dłoń. – Przecież już powiedziałem, że wcale nie musisz na niego nastawać! Wystarczy choroba lub zwykły wypadek.

– Nie przypominam sobie, żeby Yusuf Ibn Tashfin, Władca Wiernych, cierpiał na jakąś chorobę albo uległ jakiemuś wypadkowi. I mam nadzieję, że tak jest nadal – oświadczył chłodno Yusuf.

Wówczas szambelan zaoferował mu drugą bryłkę.

– A teraz? – zapytał z nadzieją.

– Pamiętaj, że nazwałeś mnie złodziejem. Kto posadził bakłazany, niech się nie spodziewa róż – skwitował jego hojność mój były sługa.

Zrozpaczony szambelan sięgnął ponownie do sakwy.

– Niech będzie przekłety dzień, w którym cię poznałem! – zawołał kładąc przed moim przyjacielem trzeci brykiecik złota.

– Już słyszałeś: nie oczekuj zboża, gdzie posiałeś kąkol – ocenił ten gest Yusuf.

– Na Tego, który jest świadkiem każdej rzeczy! – chwycił się za głowę jego rozmówca. – Czy chcesz mnie zrujnować?!

– Zrujnować? Milczenie także jest złotem, więc nie możesz stracić na tej transakcji.

Po tych słowach szambelan dołożył mu czwarty kamień. Yusuf poskrobał go tak samo, jak poprzednie, po czym rzekł z uśmiechem:

– Teraz coś mi zaczyna świtać, więc chyba ci pomogę. W końcu, wszyscy wierni są braćmi.

– Dziękuję ci, bracie – odetchnął z ulgą szambelan. – Co sobie przypominasz?

– Przypominam sobie, że kiedy wyjeżdżałem z Kordoby, wiele się w niej mówiło o ciężkiej chorobie Władcy Wiernych, Yusufa Ibn Tashfina. Świta mi także, że nasz monarcha był chyba bezdzielny, więc powszechnie wskazywano na dowódcę gwardii pałacowej, wielmożnego Abd-el-Malika, jako na jego przypuszczalnego następcę.

– Chwała niech będzie Panu Światów, że ci przywrócił pamięć! – krzyknął uszczęśliwiony szambelan, zrywając się na równe nogi.

– Niestety, bracie, za nic nie mogę sobie przypomnieć, żeby wielmożny Abd-el-Malik miał syna imieniem Hadji – dokończył mój były sługa i rozłożył bezradnie ręce.

– Na Boga Miłosiernego i Litościwego! Błagam cię, panie, przypomnij sobie jeszcze i ten szczegół! – szambelan padł przed nim na kolana z rękami złożonymi

jak do modlitwy. – To najważniejsze, chodzi wszak o przyszłość Jego Wysokości! Proszę cię, jeszcze trochę wysiłku, przyjacielu!

– Więc i ty mi pomóż, bracie – poprosił go grzecznie Yusuf.

– Co?! – zawył szambelan.

– Jeszcze trochę wysiłku, przyjacielu – powtórzył za nim mój były sługa.

Nieszczęsny szambelan wyciągnął trzęsącymi się rękami piąty brykiecik i wręczył go Yusufowi. Ten jednak pokręcił głową i rzekł rozczarowany:

– Nie bądź skąpy, bracie, a na pewno nie przejdzie to nie zauważone.

Rozdygotany szambelan księcia położył przed nim szóstą bryłkę złota i wycedził przez zęby:

– Więcej ci nie dam, choćby mnie mieli ukrzyżować!

Mój przyjaciel schował ją do torby razem z pozostałymi i rzekł zadowolony:

– Dziękuję ci za pomoc, bracie. Teraz sobie przypominam, że wielmożny Abd-el-Malik rzeczywiście miał syna o imieniu Hadji.

– Uff, nareszcie! – wykrzyknął szambelan. – Czy byłbyś gotów powiedzieć to publicznie i w razie czego potwierdzić przysięgą na Allaha?

– Na Allaha i na co tylko zechcesz – zapewnił go mój były sługa.

– I odtąd będzie między nami zgoda?

– Oczywiście, czyż kasa się rękę, która daje jeść? Podziękuj Jego Wysokości i życz mu w naszym imieniu długich i szczęśliwych rządów.

Szambelan pokiwał głową, lecz było widać, że nie może przeboleć poniesionej straty.

– Nie smuć się, bracie – pocieszył go Yusuf. – Zagwarantowałeś świetlaną przyszłość następcy tronu, a to rzeczywiście rzecz najważniejsza. Jestem pewny, że księżę potrafi być wdzięczny.

Na twarzy szambelana po raz pierwszy zagościł słaby uśmiech.

– Co do tego nie ma wątpliwości. No cóż, nie pozostaje mi chyba nic innego, jak powiedzieć sobie: kiedy byłem bez butów, głośno się skarżyłem, ale odkąd stwierdziłem, że inni nie mają nóg, śmieję się od rana do wieczora i z wdzięcznością wysławiam Allaha.

– I dobrze czynisz, bracie – przytaknął mu Yusuf. – Aczkolwiek z pewnością szkoda, że na tym świecie nie każdy dar świadczy o miłosierdziu i nie każdy śmiech bierze się z radości.

Zaraz potem poprosiliśmy o widzenie z dowódcą rontu, który nas aresztował. Strażnik wezyra pojawił się u nas, gdy tylko wrócił ze służby i wtedy mój przyjaciel przyznał się, że na skutek chwilowego zaćmienia umysłu pomylił na placu przed meczetem imię emira Kordoby, po czym potwierdził stosowną przysięgą prawdziwość wersji szambelana. Choć dowódca rontu wyglądał na niepokieszonego, że traci w ten sposób okazję do wykazania się swoją

czujnością, to kiedy szambelan dodał ze swej strony, że pomimo tej pomyłki nie czuje do Yusufa najmniejszej urazy, nie miał innego wyjścia, jak nas wszystkich uwolnić. Dla porządku zapytał jeszcze Jego Wysokość, czy również odpuszcza winę swojemu oszczercy, ale dobry książę Hadji i tym razem okazał się bardzo łaskawy.

– Nie przeczę – oświadczył przez usta swego szambelana – że pięćdziesiąt albo sto kijów na boscie stopy nie byłoby w tym przypadku zupełnie od rzeczy. Nie wnoszę jednak o wykonanie kary z obawy, żeby ból towarzyszący jej wymierzaniu nie zniweczył dzieła Najwyższego, który w swoim nieskończonym miłosierdziu raczył przywrócić temu nicponiowi pamięć.

Zadowolony z tej decyzji Yusuf pokłonił się Jego Wysokości do samej ziemi i w chwilę później opuściliśmy areszt z nadzieją w sercach oraz, co nie mniej istotne, z trzosem pełnym złota.

XV

Za dwa brykieciki otrzymane od szambelana kupiliśmy konie, hełm, kolczugę i zapas prowiantu, po czym ruszyliśmy w dalszą drogę. Pod wieczór pierwszego dnia podróży, kiedy rozglądaliśmy się za miejscem na nocleg, zauważyliśmy w pobliskich krzakach płonące ognisko. Pomny tego, co mi się przydarzyło w podobnych okolicznościach w dniu, w którym poznałem Yusufa, wziąłem szablę i z zachowaniem wszelkiej ostrożności poszedłem sprawdzić, kto tam obozował.

Jakież było moje zdumienie, gdy w samotnym mężczyźnie spożywającym na tym odludziu skromną wieczerzę rozpoznałem chrześcijanina, który w Ikonium zaparł się Chrystusa wobec Abd-al-Rahmana, zwanego Magnesem Wiary! „Czekaj, sukinsynu! Pan Bóg nierychliwy, ale sprawiedliwy!” – pomyślałem z satysfakcją i nie czekając na Yusufa, wyskoczyłem z szablą z zarośli. Renegat przeraził się tak bardzo, że zerwał się na równe nogi i wypuścił z rąk miskę z jedzeniem, która potoczyła się prosto pod moje stopy. I tu moje oburzenie sięgnęło zenitu, jako że była to bez wątpienia ta sama gliniana miska w czerwono-czarne wzory, jaką parę dni wcześniej ukradł nam mały Ali!

– Więc to tak, zaprzańcu?! – zawołałem wywijając szablą.

Z pewnością mnie nie zrozumiał, ale widok gołej klingi kazał mu natychmiast paść na kolana.

– Daj spokój, panie! – rozległ się za mną zdyszany głos Yusufa. – Beze mnie i tak się nie dogadacie.

Miał oczywiście rację, toteż opuściłem broń, a potem pokazałem mu miskę i zapytałem, czy ją poznaje.

– Naturalnie! – zdziwił się z kolei Yusuf.

– To spytaj tego zdrajcę, skąd ją ma? – poprosiłem.

– Dostałem ją w prezencie – odpowiedział apostata, chyba jeszcze bardziej zdumiony od nas, kiedy Yusuf przetłumaczył mu moje słowa. – Ale jeśli się wam tak bardzo podoba, możecie ją sobie zatrzymać.

– Mam gdzieś twoją miskę! – zrugalem go natychmiast. – Powiedz lepiej, łotrze, jak to było z tym nawróceniem w Ikonium?! Czy naprawdę wyparłeś się prawdziwej wiary?!

Zaprzaniec zastanawiał się przez dłuższą chwilę, co odpowiedzieć, czemu zresztą trudno się było dziwić, zważywszy, że i ja miałem na głowie turban. Wreszcie zapytał podejrzliwie:

– A co was to obchodzi? Jesteście chrześcijanami, czy jak?

– On nie, ale ja owszem – odpowiedziałem. – Więc lepiej mów prawdę.

– Ja też myślę, przyjacielu, że tak będzie najlepiej – poparł mnie Yusuf. – I nie bój się. Lew, który dużo ryczy, mało mleka daje. Mój pan nic ci nie zrobi, bo nawet on rozumie, że w kraju prawdziwie wierzących byłoby to nierozsądne. Po prostu zaspokój naszą ciekawość.

Po tych słowach apostata odetchnął z ulgą.

– Jak tak, to co innego, ale to długa historia – wymamrotał, po czym powstał z klęczek i zaprosił nas niepewnym gestem do swojego ogniska.

– Nie szkodzi – mruknąłem sadowiąc się blisko ognia. – Mamy czas, chętnie posłuchamy.

Kiedy Yusuf przyprowadził nasze konie, odszczepieniec, wyzbyty już wszelkich obaw, poczęstował nas zupą, a potem spełnił nasze życzenie.

– Słyszałem często – zaczął – że wiele rzeczy na tym świecie odkryto bądź wynaleziono z czystej ciekawości, z żądzy sprawdzenia, co kryje się za tą górą czy za tamtą rzeką, z potrzeby dowiedzenia się, co się stanie, jeśli zmienimy to czy owo, słowem tylko dlatego, że ktoś, zżerany ciekawością, chciał się przekonać, czy nie mogłoby być choć trochę inaczej. Zaś sama ciekawość bierze się głównie z nudów, bo żeby się nam chciało cokolwiek zmieniać czy poznawać, najpierw musimy znudzić się do szczętu tym, co już jest.

Co do mnie, to nudziłem się pilnie już od dzieciństwa, ale też miałem ku temu solidne powody. Urodziłem się na Peloponezie, w rodzinie greckich wieśniaków. W moich ojczystych stronach nie zmieniło się chyba nic, odkąd je Pan Bóg stworzył. Jak sięgnę pamięcią, zawsze widziałem nad sobą to samo bezkresne niebo – w dzień jednostajnie błękitne, natomiast w nocy upstrzone miriadami gwiazd, których chaotyczny układ, wyzbyty jakiegokolwiek zauważalnej zasady i celowości, nużył mnie śmiertelnie już po paru chwilach, ilekroć na nie spojrzałem. Przez większą część roku z nieba lał się nieustanny, ćmiący jak ból zęba żar, który sprawiał, że koło południa, wszystko co żyło, ogarniała nieprzeparata senność i tak ludzie, jak zwierzęta, ledwo powłócząc nogami, zaszywali się gdzieś w cieniu, by pogrzyć się w letargu i dotrwać do pierwszych podmuchów wieczornej bryzy. Ową bezlitosną koniunkcję błękitu, słońca i żaru zakłócał jedynie wiatr, choć i on wkrótce omdlewał i zamierał, jakby również on szybko się nużył i miał wszystkiego dosyć. Teoretycznie mógł ją jeszcze przerwać deszcz, ale deszcz padał w naszych stronach tak rzadko, że jego ukryty, głębszy sens sprowadzał się chyba wyłącznie do tego, by uświadamiać nam tym boleśniej niewzruszoną stałość i bezwzględną nieodmienność rzeczy, z którymi przyszło nam mieć do czynienia na co dzień.

W miejscu, skąd pochodzę, były także góry i morze. O górach nie mam najlepszego zdania. Od kiedy, jako dziecko, zrozumiałem, że muszą minąć tysiące lat, by zaszła w nich jakakolwiek zmiana, uznałem ten fakt za obraźliwy

i zacząłem się do nich odnosić z pogardą. Wiem, że ten sam zarzut można by także postawić morzu, niemniej pewne jego cechy, jak ograniczona wprawdzie i – jak na mój gust – zbyt mechaniczna ruchliwość, a także różnobarwność, jakie przybiera ono o różnych porach dnia i nocy, łagodzą do pewnego stopnia jego przyrodzoną monotonię, co kazało mi je traktować zawsze z ciut mniejszą odrazą.

Muszę ze wstydem przyznać, że oprócz natury nieożywionej, nudziła mnie również jej część ożywiona, zwłaszcza ta, z którą stykamy się najczęściej, czyli własna rodzina.

– To bardzo nieładnie – przerwałem mu. – Rodzina to rzecz święta, nie jakies parszywe morze czy góry.

– Zapewne. A jednak oglądanie tych samych twarzy, słuchanie w kółko tych samych zwrotów i dowcipów, zasiadanie latami przy tym samym stole, wałkowanie w tę i w tę tych samych problemów i dolegliwości tych samych ciotek, wujów i kuzynów, to rzecz absolutnie nie do zniesienia. Zwłaszcza kiedy najbliżsi zajmują się rolą, gdyż wówczas ich własne nudziarstwo łączy się nierozzerwalnie z nudą wyższego rzędu, wyznaczającą odwieczny rytm ich zatrudnień, chorób i kłopotów.

W moim rodzinnym domu wszystko było uporządkowane i całkowicie przewidywalne. Pracę zaczynało się o świcie i kończyło o zmierzchu. Wiosną orano i siano, latem żęto i młócono, jesienią zbierano winogrona, zimą strząsano oliwki i wytłaczano z nich oliwę. A potem wszystko zaczynało się od początku, zgodnie z obłędnym kieratem czterech pór roku. Toteż już w wieku trzynastu lat marzyłem o wyrwaniu się z tego zakłętego kręgu niekończących się powtórzeń, a w dwa lata później uciekłem z domu i zaciągnąłem się do wojska.

– Bardzo słuszna decyzja – znów wpadłem mu w słowo. – Dla kogoś, kto lubi zmiany, wojaczka to dobre wyjście.

– A ja myślę – uśmiechnął się Yusuf – że nasz nowy znajomy lubi być panną młodą na każdym weselu i nieboszczykiem na każdym pogrzebie. Szkopuł w tym, że człowieka próżnego nie zadowoli żadna zmiana. Długo wytrzymałeś w tym wojsku, przyjacielu?

– Niedługo – przyznał renegat – bo skierowano mnie wraz z całym świeżo sformowanym oddziałem do prowincjonalnego garnizonu nad granicą, gdzie jeden dzień był podobny do drugiego jak dwie krople wody. Wstawaliśmy o świcie, zbieraliśmy się na apel, jedliśmy podłe śniadanie, a potem do wieczora ćwiczyliśmy musztrę bądź fechtunek, strzelaliśmy do tarczy, rzucaliśmy włócznią, powtarzaliśmy w kółko te same manewry, aby w końcu, po marnej kolacji i nieuniknionym wieczornym capstrzyku, zwalić się na twardą jak kamień pryczę, zawsze w tym samym gronie i o tej samej porze. W tej sytuacji nawet

stanie na warcie wydawało się nie lada atrakcją, i to pomimo tego, że widok jaki rozciągał się z wałów łudząco przypominał mi moje rodzinne strony: ten sam drętwy błękit nieba, takie same nużące góry i aż po horyzont to samo bezduszne morze!

Na szczęście inny świat był tuż, tuż, na wyciągnięcie ręki. Od czasu do czasu przybywali z niego wędrowni kupcy, by zaoferować nam w kulawej grece świeże owoce, misternie tkane dywany, piękne naczynia na wodę i oliwę, a nawet sztylety i szable z nierdzewiejącej nigdy stali. Z tego innego świata pochodzili także zbrojni jeźdźcy, którzy zjawiali się zniecka pod naszymi murami i poddawali je starannym oględzinom, gdy zaś zostali spostrzeżeni przez naszych strażników, śmiali się z nich bezczelnie i przed swoim niespiesznym odjazdem posyłali jeszcze w ich stronę po kilka niecelnych strzał.

Ten obcy świat był również ojczyzną jeńców przetrzymywanych w lochach naszej warowni. Niektórzy z nich znali nieźle grecki i nieraz przy pracy – wykorzystywano ich bowiem do najcięższych robót przy czyszczeniu fosy lub podwyższaniu wałów – opowiadali nam to i owo o życiu w głębi lądu. Zapewne tęsknota za domem, rozłąka z bliskimi, jak też niedola, w jakiej się znajdowali, kazały im nieco koloryzować, jednak w pewnych punktach byli nadzwyczaj zgodni. Niemal wszyscy podkreślali na przykład, jak dobrze im się wiodło na wolności. Nie byłoby w tym nic dziwnego, w końcu nie przebywali u nas na wywczasach, ale zważywszy, że karmiono nas niewiele lepiej od nich, na wielu żołnierzach, zwłaszcza młodszych, wywierało to spore wrażenie.

– Cóż, im większa armia, tym mniej do jedzenia – stwierdził filozoficznie Yusuf.

– Być może – zgodził się zaprzaniec. – Jednak jeszcze bardziej imponowały nam opowieści o wielkiej swobodzie panującej w ich ojczystym kraju, zwłaszcza tej, która odnosi się do kobiet. Zapewniali nas, że Turczynki są nie tylko piękne, ale również gorące z natury i niezwykle przystępne. Każdy mógł się żenić z iloma chciał – choć prawdę rzekłszy nie było to wcale konieczne, skoro mógł zaspokoić swój apetyt także nieformalnie – a co ważniejsze, ożeniwszy się raz, drugi czy dziesiąty, mógł odprawić każdą z żon gdy mu się znudziła, i wziąć sobie bez trudu następną. Zwykłych nałożnic nikt w ogóle nie liczył, bo wszyscy mieli ich pod dostatkiem, zdobywając je na wojnie lub kupując za bezcen na targu.

– Jak widzę, trzymaliście w niewoli samych emirów i wezyrów – zauważył z przekąsem mój były sługa.

– Wreszcie – ciągnął niezrażony tym renegat – nasi jeńcy opowiadali nam także o niezwyklej łatwości, z jaką można było u nich zrobić karierę. Kpili z nas, że w armii cesarskiej będziemy klepać biedę do końca życia, podczas gdy w ich

własnej było rzeczą normalną, że każdy mógł dostąpić najwyższych zaszczytów bez wywodzenia się z Komnenów czy Izauryjczyków. Sypali jak z rękawa przykładami prostych żołnierzy, a nawet byłych niewolników, którzy dzięki osobistej odwadze, talentom i wiernej służbie sułtanowi dorobili się wielkich fortun i stanowisk, nie ustępujących w niczym randze naszego logotety. Dodawali przy tym, że sułtan przyjmuje na służbę wszystkich chętnych, bez względu na ich stan, wiarę czy też pochodzenie.

Ich opowieści posiały zamęt w niejednym z nas, co w ciągu paru miesięcy mojego pobytu w garnizonie przełożyło się na kilkanaście udanych dezercji. Co do mnie, to może nie podjąłbym żadnych kroków w tej sprawie, gdyby życie obozowe nie zbrzydło mi do reszty.

Zdezerterowałem nagle i bez przygotowań. Wspomniałem już, jak marnie nas karmiono. Otóż jednym ze sposobów jakich się imaliśmy, żeby temu jakoś zaradzić, było zbieranie ślimaków, od których aż się roiło w chaszczach porastających naszą fosę. Któregoś razu, kiedy wybrałem się za mury, aby nałapać trochę tych stworzeń na kolację, olśniła mnie nagła myśl, że prawdziwe życie toczy się w głębi ładu, za turecką granicą. W panicznym strachu, by nie marnieć dłużej poza jego głównym nurtem, wykręciłem się zatem na pięcie i ruszyłem bez namysłu w stronę pobliskich gór.

Szczęście mi dopisało, bo w obozie nie zauważono mojej ucieczki i nikt mnie nie ścigał. Głodny (surowe ślimaki są naprawdę obrzydliwe!), błąkałem się po górach całą noc. O świcie, kierując się słońcem, poszedłem prosto na wschód. Po kilku godzinach marszu, kiedy z braku wody język przysychał mi już do podniebienia, zauważyłem w oddali grupkę jeźdźców w turbanach. Zacząłem wołać i machać do nich rękami, na co puścili się cwałem w moim kierunku. Kiedy do mnie podjechali, skłoniłem się im uprzejmie, pokazałem na migi, że bardzo chce mi się pić, a potem oświadczyłem po grecku, że marzę o tym, żeby zamieszkać w ich kraju.

Musieli mnie zrozumieć, bo wywiązała się między nimi gwałtowna sprzeczka, której wynik okazał się dla mnie bardzo niepomyślny. Oto bowiem rzucili się na mnie, związali mi ręce, wsadzili mnie na konia i powieźli mnie z powrotem na zachód, prosto do twierdzy, którą niedawno opuściłem! Tam wymienili mnie na dwóch więzionych w naszych lochach Turków, ja zaś zostałem skazany na trzysta razy bykowca.

– Aż dziw, że je przeżyłeś – przeżegnałem się ze zgrozą.

– Nie tylko je przeżyłem – stwierdził z dumą apostata – ale w trakcie ich przeżywania sformułowałem nawet pewną teorię matematyczną, którą nazwałem na własny użytek „prawem małych liczb”.

– I na czym ono polega? – zainteresował się Yusuf.

– Najogólniej rzecz biorąc na tym, że małe liczby, jako zdecydowanie bardziej realne od dużych, mają od tych drugich znacznie większą wartość, przez co zasługują na nasz szczególny szacunek.

– Jakże to? – zdumiał się mój były sługa. – Czy chcesz przez to powiedzieć, że liczba „5” ma znacznie większą wartość niż, dajmy na to, liczba „1000”?

– Dokładnie – potwierdził renegat. – Podobnie, jak liczba „1” jest znacznie wartościowsza od liczby „5”.

– Ciekawe, jak do tego doszedłeś? – westchnął mój przyjaciel.

– To bardzo proste. Kiedy łojono mi skórę bykowcem, zauważyłem, że tak naprawdę liczy się tylko dwadzieścia pierwszych uderzeń. Reszty w ogóle się nie czuje, więc ich dokładna liczba nie ma żadnego znaczenia. Prawo małych liczb działa także w innych przypadkach. Pewnie zauważyliście, że kiedy mamy dobrze wypchaną sakiewkę, nie przywiązujemy większej wagi do pojedynczych monet, wystarczy jednak, żeby pieniędzy zaczęło gwałtownie ubywać, a natychmiast rośnie wartość każdej sztuki, jaka nam jeszcze pozostała. Prawo małych liczb stosuje się również do przyjaciół. Prawdziwych, czyli takich, na których można polegać – choć i oni często sprawiają nam zawód – ma się najwyżej kilku. Podobnie wygląda rzecz z kobietami. Bo też ile ich można kochać w życiu? Znowu nie więcej niż kilka, o ile słowo „kochać” ma cokolwiek znaczyć. Przewagę małych liczb nad dużymi widać także w odniesieniu do religii. Jak wiadomo moi przodkowie, Grecy, czcili kiedyś ogromną rzeszę bogów, których było takie mnóstwo, że w pojedynkę każdy z nich niewiele znaczył. Aż przyszedł Chrystus i okazało się, że jeden to więcej niż tłum. Czyż może być piękniejszy przykład tryumfu małej liczby nad dużą?

– Hm, coś w tym jest – przyznał Yusuf. – Chociaż nie wiem, czy twoje prawo jest dostatecznie uniwersalne. Bo ja na przykład wolałbym mieć raczej więcej pieniędzy niż mniej i żyć raczej dłużej niż krócej.

– To rzecz do dyskusji – odparł nasz nowy znajomy.

– O nie, tylko bez żadnych dyskusji! – zaprotestowałem. – Lepiej już powiedz, co zdarzyło się po tym, jak cię oświczono?

– Oczywiście nie dałem za wygraną. W dwa miesiące później, kiedy wydobrałem i znów stałem nocą na warcie, zakradłem się do magazynu, gdzie przechowywano olej skalny służący do wzniecania greckiego ognia, po czym podpaliłem go przy pomocy pochodni. W zamieszaniu wywołanym pożarem, spuściłem się po linie do fosy i nie niepokojony przez nikogo, zniknąłem w ciemnościach.

Pierwszymi ludźmi, jakich spotkałem po trzech dniach, byli kupcy gnający przed sobą stado owiec. Tym razem zwróciłem się do nich po turecku, w słowach, których nauczył mnie jeden z naszych jeńców. Opierając się na jego

zapewnieniach, że żaden muzułmanin nie odmówi pomocy komuś, kto chce przyjąć jego wiarę, oświadczyłem im, że uciekłem z cesarskiej armii, by zostać wyznawcą Proroka. Po moich słowach kupcy zupełnie zaniemówili, toteż w obawie, że może mnie źle zrozumieli, powtórzyłem je jeszcze raz, a wtedy także oni rzucili się na mnie z pięściami i wyzywając mnie w najczystszej grece od świń i Judaszów, pobili mnie tak dotkliwie, że straciłem na długo przytomność.

Kiedy się wreszcie ocknąłem, okazało się, że jadę jakimś wozem zakuty w kajdany. Od leżącego obok mnie nieszczęśnika dowiedziałem się, że należę teraz do bogatego Turka imieniem Ahmed, któremu zostałem sprzedany, gdy byłem nieprzytomny, właśnie przez owych kupców, będących moimi rodakami! Z początku nie mogłem w to uwierzyć, jednak okowy z kutego żelaza nie pozostawiały zbyt wiele miejsca na wątpliwości.

Wstrząśnięty tą wiadomością, poprosiłem powożącego furą bisurmana o rozmowę z moim właścicielem. Wkrótce podjechał do nas stary Turek i zapytał mnie po grecku, czego chcę. Wytłumaczyłem mu, że padł ofiarą oszustwa, ponieważ ci, od których mnie kupił, dobrze wiedzieli, że zamierzałem przejść na islam – co zresztą byłem nadal gotów uczynić – a to oznaczało, że powinien mnie natychmiast uwolnić.

Moje słowa tylko go rozdrażniły. Długo szarpał w milczeniu swoją brodę, aż wreszcie wybuchnął:

– O wiarołomne chrześcijańskie psy! Tylko patrzą, jakby tu kogoś oszukać! – A potem zwrócił się bezpośrednio do mnie:- Kupiłem cię w dobrej wierze i dałem za ciebie dziesięć dinarów. Teraz, kiedy doszedłeś do siebie, widzę, że jesteś wart pięć razy więcej. Czy masz pięćdziesiąt sztuk złota, żeby się wykupić?

– Nie mam.

– A czy ktoś mógłby je wyłożyć za ciebie?

– Nie sędzę.

– W takim razie bardzo mi przykro. Wierz sobie, w co chcesz, jestem tolerancyjny, nie zwykłem jednak wyrzucać pieniędzy w błoto. A na drugi raz uważaj, z kim się zadajesz – poradził mi jeszcze, zanim powrócił na czoło kolumny.

W tej sytuacji zrezygnowałem z apostazji. Przez dwa następne lata harowałem od świtu do nocy w posiadłości Ahmeda. Wiosną orałem i siałem, latem żęłem i młóciłem, jesienią zbierałem winogrona, zaś zimą strząsałem oliwki i wytłaczałem z nich oliwę. Słowem, robiłem dokładnie to samo, co w moim rodzinnym domu, tyle że za darmo i pod batem nadzorcy. Nie muszę chyba

dodawać, że nawet okolica była bardzo podobna: wszędzie takie same, ohydne góry, zawsze błękitne niebo i to samo obrzydliwe morze...

– Myślę, że ci się to należało za sam zamiar odstępstwa – zauważyłem surowo.

– Zwłaszcza, że był on nieszczerzy – dodał Yusuf.

Nasz renegat zbył te uwagi wzruszeniem ramion i ciągnął dalej:

– W niewoli, oprócz nudy, najgorsze było to, że naraziłem się żonie mojego pana. Była brzydka jak noc, o połowę młodsza od swojego męża i dwa razy starsza ode mnie. Mimo to, a może właśnie dlatego, zaczęła robić mi różne awanse, przeciwko którym z początku nie protestowałem, bo trochę lepsze jedzenie i ciut lżejsze łańcuchy czyniły moją niedolę nieco znośniejszą. Kiedy jednak któregoś dnia, pod nieobecność Ahmeda, jego małżonka poprosiła mnie, żebym ją odwiedził w jej sypialni, odpowiedziałem (a znałem już niezłe turecki), że nie mogę tego uczynić w trosce o jej życie, jako że prawo Mahometa karze śmiercią muzułmanki, które zadają się cielesnie z niewiernymi.

– Naprawdę? – zapytałem Yusufa, myśląc z wdzięcznością o Subh.

– Naprawdę – potwierdził Yusuf. – Nie mówiąc już o tych niewiernych.

– O tym wołałem nawet nie wspominać – pośpieszył z wyjaśnieniem zaprzaniec. – Kiedy zaś żona mojego pana stwierdziła, że w takim razie bardzo sobie życzy, abym się nawrócił, odparłem, że niestety każdy dzień spędzony w tureckiej niewoli umacnia mnie coraz bardziej w wierze, z którą związałem się poprzez chrzest święty. Po tej odpowiedzi kazała mnie wychłostać, lecz nie zmieniłem zdania. Za karę bito mnie więc regularnie przez cały tydzień i nie wiadomo, czym by się to dla mnie skończyło, gdyby wreszcie nie wrócił mój pan. Kiedy dowiedział się o mojej zatwardziałości, kazał mnie do siebie przyprowadzić, potem poczęstował mnie kawałkiem rachatłukum i rzekł:

– Słyszałem już, jak bardzo cierpisz z powodu twej wiary. Szczerze ci współczuję, zwłaszcza, że sam, jako człowiek praktyczny, nie przywiązuję do tych kwestii większej wagi. Złośliwi mówią nawet, że żadnej – i wierz mi, chłopcze – nie mogę lekceważyć podobnych opinii. Dlatego z jednej strony trudno mi powściągać święty zapał mojej małżonki, zatroskanej o zbawienie twojej duszy, z drugiej jednak zaczynam się obawiać o twe zdrowie i życie, toteż chciałbym ci coś zaproponować. Nie dalej jak wczoraj, kupiłem wraz z czterema współnikami piękny okręt. Będziemy go eksploatować wspólnie, ale najpierw trzeba go wyposażyć, między innymi w sześćdziesięciu wioślarzy. Jeśli chcesz, mogę cię umieścić w tej dwunastce, jaka przypada na mnie. Wprawdzie na morzu różnie bywa, myślę jednak, że dla młodego i ambitnego mężczyzny to dużo ciekawsze niż grzebanie się w ziemi jak kura. W dodatku, choć z początku, tak samo jak tutaj, służyłbyś wyłącznie za jedzenie, to z czasem – oczywiście pod warunkiem, że wykazesz się karnością, bystrością, walecznością, pracowitością

i gotowością do poświęceń – mógłbyś awansować i zacząć pracować na własny rachunek. Zwyczajowo oznacza to prawo do jednej setnej należnych mi łupów. Przy odrobinie szczęścia, mógłbyś się szybko wykupić z niewoli, a jeśli Allah pozwoli, nawet zostać bogaczem. Co ty na to, mój chłopcze?

Choć zaniepokoiła mnie wzmianka o łupach, pływanie po morzu stwarzało więcej okazji do ucieczki niż praca na roli, więc nie wahałem się długo i podziękowałem mu wylewnie za tę propozycję.

Mój pan klepnął mnie z zadowoleniem w obolałe plecy.

– Do odważnych świat należy, bardzo zyskałeś w moich oczach, chłopcze. Tak bardzo, że od dzisiaj podnoszę twoją cenę do stu dwudziestu dinarów. Przynajmniej będziesz miał na co oszczędzać. A tymczasem radzę ci dobrze wypocząć, ponieważ za tydzień zaczniesz nowe życie. I niech cię Allah ma w swojej opiece, bo będzie ci ona niezmiernie potrzebna!

Tydzień później, wraz z jedenastoma innymi niewolnikami Ahmeda, zaokrętowałem się w pobliskim porcie na bojowej galerze o nazwie „Szerszeń”. Oprócz nas, sześćdziesięciu chrześcijańskich rabów przykutych na stałe do wiosła, załogę „Szerszenia” stanowiło trzydziestu zaciężnych renegatów oraz dziesięciu rodowitych Turków, którymi dowodził grecki odszczepieniec o przybranym bisurmańskim imieniu Mami.

Rychło okazało się, że kapitan Mami – a tak naprawdę, zwykły Alexandros – to wcielony diabeł. Potężny jak cyprys, silny jak niedźwiedź i wytrzymały jak wielbłąd, nienawidził chrześcijan z całej duszy i karał nas bezlitośnie za najmniejsze przewinienie.

Wszelka opieszałość w wykonywaniu rozkazów, jakiegokolwiek zboczenie z kursu, zbyt mała jak na jego gust gorliwość przy wiosłach, nieprecyzyjnie wykonany manewr, za wolne opuszczenie lub podniesienie kotwicy, domaganie się odpoczynku bądź dodatkowej racji słodkiej wody, pojedyncze słowo skargi, czy wreszcie rzeczy całkowicie od nas niezależne, jak na przykład nagły sztorm, gęsta mgła lub bezwietrzna pogoda wprawiały go w niepokohamowaną wściekłość, co zazwyczaj kończyło się dla nas niezliczonymi razami kańczuga, wieszaniem za nogi na rei, całymi dniami bez kęsa strawy, w najgorszym zaś razie przymusową kąpielą w morzu, choć się w nim roiło od różnych bestii (dwukrotnie z człowieka wyrzuconego za burtę wyciągnięto po chwili tylko krwawy ochłap!). Kiedyś, gdy Mami zdenerwował się na sternika, odgryzł mu po prostu ucho, innym razem, uznawszy, że z powodu naszego lenistwa przeszedł mu koło nosa spory ładunek oliwy, wysadził nas na jakiejś skalistej wysepce i ustawivszy nas wszystkich na baczność, kazał nam trzymać nad głowami główny maszt galery, przy czym pierwszego wiosłarza, który zemdłał, zabił natychmiast własnymi rękami.

– I wszystko to z powodu jakiejś zasranej oliwy?! – oburzyłem się po tych słowach.

– Och, panie – renegat uśmiechnął się z politowaniem – owa zaszana, jak powiadasz, oliwa, podobnie zresztą jak nie mniej od niej zaszane zboże, miód, rodzyunki, wino, suszone figi czy daktyle, a także zaszana wełna i inne tkaniny oraz zaszana mąka bądź suchary, to były nasze najcenniejsze łupy. Bo kradliśmy także zwykłą sól, gwoździe, sękatę, nieheblowane deski, obtłuczone garnki, a nawet to, o co na morzu chyba najłatwiej, czyli ryby. Z tymi ostatnimi nie było kłopotu, o ile ktoś zdążył je wcześniej ususzyć lub zamarynować, jeśli jednak zdarzyło się nam zdobyć świeże, dopiero co wyciągnięte z wody, a nie zdążyliśmy ich sprzedać w najbliższym porcie, zanim się zaśmiardły, spadała na nas nowa, okrutna kara. To właśnie z powodu zepsutych ryb Mami kazał kiedyś pogrzebać żywcem Bachira, Turka nadzorującego na „Szerszeniu” pracę galerników.

– A zatem ów łajdak znęcał się nie tylko nad chrześcijanami? – zauważył Yusuf.

– Oczywiście – wzruszył ramionami nasz zaprzaniec. – Zdarzało mu się zabić kogoś jednym kopniakiem, ale nigdy z powodu różnicy przekonań. Bo choć przy każdej okazji wymyślał nam od chrześcijańskich świń, a sam uważał się za dobrego muzułmanina, choć często robił *quadoc*⁹⁷ i *zala*⁹⁸, a na lądzie zaglądał niekiedy do meczetów, to z drugiej strony upijał się winem od rana do wieczora, zaś wieprzowinę uwielbiał tak bardzo, że obżerał się nią bez umiaru, ilekroć nasza go ochota, nie zważając bynajmniej na to, czy to ramadan, czy Wielki Piątek.

– A czego można się spodziewać po łotrze bez zasad? – westchnąłem.

– To nie tak – sprzeciwił się apostata. – Kapitan Mami miał swoje zasady, a przynajmniej jedną, która mówiła, że wszystko co mu nie przynosi zysku, powinno mu chociaż sprawiać przyjemność. Konsekwencją tej zasady była między innymi stała obecność na naszej galerze jednego, czasem dwóch chłopców okrętowych, którzy, zwolnieni z wszelkich obowiązków, szwendali się po pokładzie w kobiecych strojach i w butach na wysokim obcasie. Byłbym jednak niesprawiedliwy, gdybym nie wspomniał, że ja sam zawdzięczałem tej zasadzie nagłą poprawę mojego losu.

– Czyżbyś i ty przywdział na siebie damskie szatki? – prychnąłem z pogardą.

– Nie, panie. Któregoś razu Mami zapytał mnie po pijanemu, skąd pochodzę i wtedy okazało się, że jesteśmy rodakami. A że znajdował autentyczną przyjemność w pomaganiu swoim krajanom, których, jak później zauważyłem, nigdy nie zabijał ani nie brał do niewoli, z miejsca zaproponował mi stanowisko nadzorcy, zwolnione właśnie przez pogrzebanego żywcem Bachira. Niezależnie

od tego, że miałem już dość wiosłowania, które nie tylko wyniszczało moje siły i podkopywało moje zdrowie, ale było również śmiertelnie nudne, rozsądek nakazywał mi przyjąć jego propozycję, co też niezwłocznie uczyniłem, chociaż nie miałem wówczas pojęcia, jak trudnej i delikatnej podjąłem się misji.

– A cóż widzisz trudnego i delikatnego w waleniu ludzi pejcem po grzbiecie?! – oburzyłem się ponownie na jego słowa.

– Na dobrą sprawę, wszystko – odparł bez najmniejszego zażenowania. – Po pierwsze, na tym stanowisku trzeba znać właściwą miarę i wymierzać karę stosownie do winy. Kara zbyt mała rozzuchwała, natomiast zbyt wielka rodzi pragnienie zemsty, co w pewnych okolicznościach może być niebezpieczne. Po drugie, należy mieć świadomość, że znalezienie owej właściwej miary jest niezwykle trudne, ponieważ w tej materii oczekiwania załogi i dowództwa są zasadniczo rozbieżne. Po trzecie, nie należy zapominać, że w tej, jak i w innych sprawach, opinia kapitana jest znacznie ważniejsza od głosu załogi, o czym przekonałem się bardzo szybko, kiedy Mami wlepił mi osobiście setkę batów, jakiej rzekomo oszczędziłem innym. Po czwarte, człowiek sprawujący tę funkcję musi być absolutnie sprawiedliwy, co oznacza, że powinien karać wyłącznie winnych, wszystkich winnych i każdego z winnych identycznie. I po piąte, chyba najważniejsze, zważywszy jak krucha jest ludzka natura, trzeba się bardzo pilnować, żeby przypadkiem nie polubić tej pracy. Co do mnie, to wykonywałem ją najlepiej, jak umiałem, lecz bez entuzjazmu, i właśnie za taką postawę zostałem wkrótce nagrodzony.

– To znaczy? – zapytał Yusuf.

– W kilka miesięcy po tym, jak Mami uwolnił mnie z łańcuchów, popłynęliśmy w stronę Kios, gdzie mieliśmy się spotkać z dwiema innymi galerami, żeby wspólnie złupić jakąś wioskę na tej wyspie. Z początku wszystko szło zgodnie z planem. W umówionym miejscu czekali na nas kapitanowie Mehmed i

Zufo, i już obraliśmy kurs na Kios, kiedy nagle okazało się, że nasz „Szerszeń” zaczyna mocno przeciekać. Aby go uszczelnić, popłynęliśmy na niewielką bezludną wysepkę, położoną na zachód od Psary. Tam wyciągnęliśmy go na brzeg, gdyż między innymi wymagał smołowania, zaś jego wioślarze, rozkuci na czas naprawy, zostali umieszczeni w ładowniach pozostałych galer.

Drugiej nocy pobytu na wyspie, kiedy wraz z trzema Turkami trzymałem wachtę na okręcie kapitana Mehmeda, zdrzemnąłem się zmęczony całodzienną harówką na lądzie i ukołysany bujaniem fal. Ze snu wyrwał mnie chłód metalu przytkniętego do mojego gardła. Przedemną, ociekając wodą, stał jeden z naszych wioślarzy zamkniętych wcześniej na galerze kapitana Zufo. Obok

leżały ciała trzech tureckich wartowników, a przez burtę wskakiwali na pokład kolejni galernicy z „Szerszenia”.

– Co tu robicie?! – szepnąłem przerażony.

– Przyszliśmy uwolnić resztę towarzyszy. Tam – wskazał na majaczącą w ciemnościach galerę kapitana Zufo – nie ma już ani jednego żywego Turka. Czy chcesz się do nas przyłączyć?

– Chętnie, ale jeśli się wam nie uda, zabiją mnie za to, że ich nie ostrzegłem – wyraziłem swoje wątpliwości.

– A my poderżniemy ci gardło, jeśli to zrobisz! – zapowiedział mi na wszelki wypadek, po czym dał znak swoim kompanom, by odryglowali wejście do ładowni.

Uwolnieni wioślarze z „Szerszenia” znikali kolejno za burtą, lecz kiedy zostało ich na dole nie więcej niż pięciu, doszło do nieszczęścia. Jeden z trzech na pozór martwych tureckich wartowników zerwał się nagle na równe nogi i choć z szyi buchała mu krew, podbiegi do gongu alarmowego i zaczął weń walić z całej siły!

W mgnieniu oka pokład zaroił się od członków załogi, którzy, choć najczęściej wyrwani z głębokiego snu, rzucili się z furią na zbuntowanych wioślarzy. Na wszelki wypadek, ja także chwyciłem za łuk i wystrzeliłem kilka razy, celując starannie w niebo. Rozgorzała zażarta walka, w której lepiej uzbrojeni Turcy szybko zyskiwali przewagę. A kiedy jeszcze od lądu, gdzie obozował kapitan Mami i załoga „Szerszenia”, odbiła szalupa z odsieczą dla kapitana Mehmeda, ostatni z chrześcijańskich galerników zaczęli rzucać broń i skakać czym prędzej za burtę, by dotrzeć wpław do opanowanego wcześniej okrętu kapitana Zufo. Zanim na naszym pokładzie opatrzone rannych i usunięto zabitych, galera kapitana Zufo rozplynęła się w mroku nocy i nawet nie próbowano jej ścigać.

W chwilę później zostałem aresztowany i mogłem jedynie żałować, że nie wziąłem udziału w ucieczce. Nie pomogły moje wyjaśnienia, że działałem pod przymusem i że kiedy stało się to możliwe, strzelałem do buntowników. Pogrzyżyło mnie zeznanie owego nie dorzniętego do końca wartownika, który przytoczył dokładnie moją rozmowę z galernikiem, toteż jednomyślnym wyrokiem kapitanów Mehmeda i Mamiego skazano mnie na śmierć.

– Ale przecież ciągle żyjesz, jeśli się nie mylę – stwierdziłem z zaciekawionym dalszym ciągiem jego opowieści.

– Tak jest, ciągle żyję, a to dzięki jedynej rzeczy, która mnie mogła jeszcze uratować. Otóż, kiedy miano mnie powiesić na rei, oświadczyłem wszem i wobec, że chciałbym przejść na islam. Renegat Mami był temu przeciwny, ale Mehmed, Turek z dziada pradziada, posiadający, co nie mniej ważne, dużo liczniejszą załogę, zgodził się, więc w końcu pozwolono mi unieść do góry wskazujący palec prawej ręki i wypowiedzieć zbawienną formułę „*La ilaha illa*

Allah Muhammad Rasul Allah”⁹⁹, dzięki czemu odzyskałem za jednym zamachem i życie, i wolność. Zaraz potem, na wszelki wypadek, przeszedłem pod rozkazy kapitana Mehmeda.

– Bardzo się z tego cieszę, naprawdę! – pogratulował mu Yusuf.

– Ja cieszyłem się jeszcze bardziej – odpowiedział mu poturczeniem. – W każdym razie z początku, bo później nie było już tak wesoło. Po złożeniu wyznania wiary ucałowałem ręce obu kapitanów, a następnie zaprowadzono mnie na dziób okrętu, gdzie wymyto mi ręce i nogi, ogolono głowę, podarowano turban i nowe szaty w jaskrawych kolorach, nadano mi bisurmańskie imię Murad, po czym nastąpiła najtrudniejsza część ceremonii, czyli obrzezanie. Bałem się go okropnie i próbowałem się od niego jakoś wykręcić, ale nie było to możliwe.

– A czego tu się bać? – zdziwił się Yusuf. – Przecież nawet Jezus był obrzezany.

– Nie wiem, jak tam było z Jezusem – wzruszył na to ramionami nasz apostata – lecz jeśli to prawda, wątpię, żeby Go obrzezywał pokładowy cyrulik, nie dający sobie rady nawet z najprostszymi ranami, a cóż dopiero z tak delikatnym zabiegiem. Bo mnie zrobił to złośliwie tępy nożem, tak że nie tylko zemdlałem z bólu, ale niemal od razu dostałem wysokiej gorączki. Potem, choć posypano mi ranę jakimś proszkiem i dawano do picia jakiś napar, nie mogłem stanąć na nogach przez kilka dni.

Gdy wreszcie zacząłem przychodzić do siebie, usłyszałem gwałtowne krzyki i odgłosy bieganiny na pokładzie, po czym galera kapitana Mehmeda, na której się znajdowałem, wykonała ostry zwrot przez rufę. Zaintrygowany wdrapałem się z trudem na górę i moim oczom ukazał się niezwykle widok. Wyjście w morze z naszej zatoki było zablokowane przez pięć bizantyjskich galer zbliżających się szybko w naszym kierunku!

Kapitan Mehmed, nie oglądając się na załogę „Szerszenia”, wciąż unieruchomioną na wyspie, kazał postawić wszystkie żagle i skierował swoją galerę wprost na nieprzyjaciela. Kiedy zbliżyliśmy się do wrogich okrętów na trzy strzelania z łuku, stało się jasne, że jednym z nich, prawdopodobnie tym, który ściągnął nam na kark pozostałe, była galera należąca dawniej do kapitana Zufo! Ludzie Mehmeda przyjęli ten widok okrzykami wściekłości, a on sam wskazał środek bizantyjskiej eskadry i zawołał:

– Naprzód, synkowie! I pamiętajcie, że Allah obiecał zwycięstwo wierzącym!

Nie wiem, jak było z tą obietnicą, w każdym razie nasz rozpaczliwy atak zakończył się całkowitą klęską.

Bizantyjczycy nie pozwolili nam przedrzeć się przez blokadę. Po zderzeniu z jedną z ich galer, podczas którego część naszych ludzi wypadła za burtę, dokonali abordażu naszego okrętu i urządzili nam prawdziwe jatki. Kapitan

Mehmed i większość Turków zginęli w walce, reszta złożyła broń, po czym zwycięscy Grecy przystąpili do rozkuwania chrześcijan i zakuwania w kajdany muzułmanów. Kiedy przyszła moja kolej – nosiłem wszak turecki strój – wstawili się za mną dawni wioślarze z „Szerszenia”, którzy zaświadczyli, że podobnie jak oni, jestem chrześcijańskim niewolnikiem, zaś jako nadzorca galerników starałem się być dla nich ludzki i sprawiedliwy.

I wszystko byłoby dobrze, gdyby nagle, nie mogąc widocznie przeboleć, że mi się upiekło, nie odezwał się jeden z wziętych do niewoli Turków:

– Nie dajcie się nabrać, chrześcijańskie psy! To taki sam muzułmanin, jak my. Nazywa się Murad i jest obrzezany.

Wtedy kazano mi ściągnąć portki i dalej nie było już żadnej dyskusji. Założono mi łańcuchy, po czym, jak wszyscy Turcy i renegaci, znów miałem okazję sobie powiosłować, tym razem, dla odmiany, na galerach chrześcijańskich.

– Jak pech, to pech – westchnąłem. – I jak na nich było?

– Tak samo jak na tureckich. Głód, brud, pragnienie, bicie, robactwo, harówka ponad siły, brak snu, przeciąganie pod kilem i może tylko trochę lżejsze kajdany. Słowem, i strasznie, i nudno. Na szczęście, moja udręka skończyła się po sześciu latach, kiedy galera na której służyłem, rozbiła się o rafę niedaleko Trypolis. Uczepiony jakiejś belki dotarłem do lądu, gdzie to, że byłem obrzezany, bardzo mi się przydało. Niestety, choć byłem nareszcie wolny, nie miałem co jeść. Próbowałem żebrać, a nawet pracować, lecz nie było to wcale proste, zważywszy, że prawie nie znałem arabskiego. I wtedy bardzo mi pomogli miejscowi chrześcijanie.

– A jednak! – stwierdziłem z satysfakcją. – Tylko skąd się tam wzięli jacyś chrześcijanie?

– Mieszkają tam od zawsze, a przynajmniej od czasów Jezusa Chrystusa – wyjaśnił zaprzaniec. – I mają się całkiem nieźle, co zresztą niektórym z nich bardzo doskwiera.

– Nie rozumiem, jak może komuś doskwierać, że ma się całkiem nieźle? – zdziwiły mnie jego słowa.

– Z początku i ja tego nie rozumiałem, panie, a jednak to prawda. Być może właśnie dlatego, że nikt ich tam specjalnie nie prześladowa i mogą w miarę swobodnie wyznawać swoją religię, ich liczba stale się kurczy, zaś należące do nich kościoły świecą coraz bardziej pustkami. Sprzyjają temu dodatkowo wyższe niż w przypadku muzułmanów podatki oraz niemożność zrobienia kariery w wojsku i administracji. W każdym razie coraz więcej z nich naśladuje obyczaje Saracenów – w tym także te, które nie licują z chrześcijańską moralnością – zapomina o grece i łacinie, a od Biblii i żywotów świętych woli arabskie wiersze i opowieści. Zdarzają się wśród nich nawet duchowni, którzy rozczytują się

w muzułmańskich filozofach i teologach, i to bynajmniej nie po to, żeby dać im należyty odpór, tylko po to, by jak najkunsztowniej wyrażać się po arabsku.

– W Kordobie jest tak samo – potwierdził Yusuf.

– Jakże więc miałyby to im nie doskwierać? – uśmiechnął się poturczeniem. – Zwłaszcza tym bardziej niezłomnym i oświeconym, którzy dobrze wiedzą, że jeszcze nie tak dawno cała Syria, jak długa i szeroka, rozbrzmiewała biciem kościelnych dzwonów.

– Do diabła! – zachnąłem się. – Gdyby nie panowie Gotfryd Burel i Renald z Lombardii, może rozbrzmiewałaby nim na nowo!

Nasz rozmówca rzucił mi pytające spojrzenie, lecz nie doczekawszy się z mojej strony żadnego wyjaśnienia, ciągnął po chwili dalej:

– Ja trafiłem właśnie na tych bardziej niezłomnych, a to dzięki temu, że przy kościele, gdzie się gromadzili, wydawano darmową zupę i prowadzono przytułek dla ubogich, w którym znalazłem wreszcie spokojną przystań. Przewodził im młody kapłan imieniem Perfekcjusz, którego wręcz uwielbiali i z którym czytali i komentowali wspólnie wybrane fragmenty Pisma, jak też żywoty różnych świętych i męczenników. Ow Perfekcjusz, choć bardzo zajęty, bo jak słyszałem, pisał także po nocach jakieś wielkie dzieło ku pogębieniu mahometan, znajdował jeszcze czas na posty i umartwienia, zaś co niedziela wygłaszał gminie przepiękne kazania.

Najczęściej podkreślał w nich, że oto wypełniły się słowa Chrystusa o fałszywych prorokach i mesjaszach, którzy mieli powstać, aby wielu wprowadzić w błąd. Wskazywał przy tym na niezwykłą przewrotność pogan, którzy, choć mieli chrześcijan w nienawiści z powodu imienia naszego Pana, nie ciągnęli ich wcale do swoich synagog, ani na biczowanie czy przed oblicza swoich namiestników i królów, a czynili tak wyłącznie z wielkiej przewrotności, aby tym szybciej oziębła ich miłość do Chrystusa i tym łatwiej zaprzędali swoje dusze diabłu za kawałek chleba czy za miskę soczewicy.

Perfekcjusz przypominał też często wiernym, że nie samym chlebem człowiek żyje i że nikt nie może służyć dwóm panom, bo wtedy albo jednego nienawidzi, a drugiego miłuje, albo też z jednym trzyma, a drugim pogardza. Przestrzegał ich przed tym z całego serca, tłumacząc im z naciskiem, że skoro już polecono im iść i nauczać wszystkie narody i posłano ich niczym owce między wilki, to przecież nie w tym celu, aby bali się tych, którzy wprawdzie mogą zabić ich ciało, lecz nie mogą zabić ich duszy, ale po to, żeby powtarzali na światle, co im zostało powiedziane w ciemności, i żeby głosili śmiało z dachów, co usłyszeli na ucho. Mówił im także, że są solą tej ziemi i światłem tego świata, i jako tacy mają obowiązek wziąć swój krzyż i pójść za Chrystusem, albowiem do każdego, kto przyzna się do Niego przed ludźmi, i On przyzna się kiedyś przed swoim Ojcem,

a każdego, kto się Go przed ludźmi zaprze, i On się kiedyś zaprze przed swoim Ojcem. Zaś na wypadek, gdyby poganie jednak zaczęli ich ciągać do swoich synagog, władz i urzędów, radził im nie przejmować się zupełnie tym, jak się powinni bronić i co tam należy mówić, ponieważ każdy z nich, kto by się znalazł w podobnej sytuacji, z całą pewnością otrzyma wtedy w cudowny sposób taką wymowę i taką mądrość, której żaden z prześladowców ani się nie oprze, ani nie sprzeciwi. I dodawał zawsze, że jeśli ktoś utraci życie z powodu Chrystusa i Ewangelii, ten je z pewnością zachowa na zawsze.

Płomienne kazania Perfekcjusza bardzo się wszystkim podobały i niejednego wzruszały do łez, jednak, jak to najczęściej bywa, nikt się specjalnie nie kwapił, żeby je wcielać w życie. Perfekcjusz był tym bardzo rozgoryczony, póki nie zrozumiał, że nie można wymagać od innych tego, czego się nie wymaga od samego siebie.

A kiedy to zrozumiał, przepełniony świętym żarem, wybrał się do naczelnego kadiego miasta z prośbą o posłuchanie. Jak później opowiadano, z uwagi na otaczającą go famę, został przyjęty bez chwili zwłoki, a wówczas oświadczył zdumionemu kadiemu, że gotów jest przejść na wiarę muzułmanów, o ile tylko ktoś zechce go z nią zapoznać. Uszczęśliwiony kadi podjął się tego zadania osobiście. Poczęstował Perfekcjusza różnymi smakołykami i już zaczął mu objaśniać zasady swojej religii, kiedy ten przerwał mu nagle w pół słowa i rzekł: „Wasz Prorok był skończonym kłamcą, który oszukał was wszystkich. Niech będzie przeklęty na wieki ów łotr i nikczemnik, splamiony wszelkiego rodzaju zbrodniami za to, że pociągnął za sobą do piekła tak wiele nieszczęsnych i niewinnych dusz! Ty sam, czcigodny kadi, jesteś człowiekiem rozumnym, dlaczego więc nie porzucisz tej diabelskiej doktryny i nie dasz dobrego przykładu innym?! Zaklinam cię, nawróć się na naszą świętą wiarę chrześcijańską, bo tylko ona zapewnia zbawienie!”

– Odważny człowiek! – stwierdziłem z podziwem.

– To prawda, panie – rzekł były pirat. – Docenił to nawet kadi, bo choć oniemiał z oburzenia, wymierzył mu tylko siarczysty policzek.

– Śmiesz podnosić rękę na obraz i podobieństwo Boże?! – zagrzmiał na niego Perfekcjusz. – Jeszcze przyjdzie dzień, że zdasz z tego sprawę!

– Nieszczęsny człowieku! – kadi wreszcie odzyskał głos. – Zwariowałeś, czy tylko jesteś pijany?! Nie wiesz, że za to, co przed chwilą powiedziałeś, powinienem cię natychmiast skazać na śmierć?!

– Ani nie zwariowałem, ani nie jestem pijany – odpowiedział mu Perfekcjusz.

– Uważam jedynie, że sprawiedliwość wymaga, abyś poznał prawdę, zaś głoszenie prawdy to mój obowiązek. A śmierci się nie boję, ufam bowiem słowom naszego Pana, który rzekł kiedyś: *Błogosławieni, którzy cierpią*

prześladowanie dla sprawiedliwości, albowiem do nich należy królestwo niebieskie. ¹⁰⁰

– Na razie niech ci wystarczy ulica – rozzłościł się kadi, po czym zawołał strażników i kazał wyrzucić go za drzwi.

Jednak Perfekcjusz, choć zawiedziony, nie dał się tak łatwo zniechęcić. Jeszcze tego samego dnia udał się pod główny meczet w mieście i zwrócił się donośnie do przechodniów:

– O muzułmanie, czy chcecie dowiedzieć się czegoś nowego o waszym Proroku?

Wierni, sądząc, że chodzi o jakiś nieznanym im dotąd *hadis*, od razu nadstawili uszu i otoczyli go ciasnym kręgiem. A wtedy Perfekcjusz nabrał powietrza w płuca i rzekł:

– Wiedźcie, umiłowani bracia, że nie było na tym świecie większego zbója, oszusta i rozpustnika niż wasz Mahomet! Pomyślcie tylko! Ten przekłety nieprzyjaciel naszego Zbawiciela kazał wam na przykład świętować w piątek, chociaż ten dzień, z powodu Męki Pańskiej, powinien pozostać na zawsze dniem postu, żalu i żałoby, nie zaś obżarstwa i rozpusty. Podczas gdy Chrystus zalecał swoim uczniom czystość i wstrzeźliwość, wasz fałszywy Prorok zachwalał najbezpieczniejsze rozkosze, w tym także cudzołóstwo i kazirodztwo. Kiedy Chrystus głosił świętość i dożgonność małżeństwa, ów wilk w owczej skórze doradzał wam wielożeństwo i rozwód na żądanie! O ile nasz Zbawiciel radził zachowywać trzeźwość i umiarkowanie podczas świąt, zaś w czasie postu trzymać się z dala nawet od ślubnej małżonki, to wasz rzekomy Wysłannik Boga wpoił wam upodobanie do hucznego i wystawnego świętowania, jak też do wszelkich innych nikczemnych uciech stołu i alkowy. Czyż zresztą można się temu dziwić, skoro, jak wiadomo, żadne dobre drzewo nie może wydać złych owoców, a żadne złe drzewo dobrych?

– Wariat, wariat! – rozległo się tu i ówdzie, a kilku wyrostków obrzuciło Perfekcjusza kamieniami i psimi odchodami. Jednak kiedy próbował kontynuować swoją mowę, nastroje słuchaczy stały się gorętsze.

– Przekłety *kafir!* ¹⁰¹ – wołano ze wszystkich stron. – Oby Allah nie miał dla niego litości i oby ukarał go przykładnie, jak i całą resztę tych pijaków i oszustów! Oby wygubił ich doszczętnie! Na krzyż z tym łotrem! Na krzyż! Do kadiego! Do kadiego!

I rozwścieczony tłum, nie szczędząc mu po drodze razów i kopniaków, powłókł Perfekcjusza przed oblicze sędziego.

– To znowu ty?! – jęknął kadi, kiedy go ujrzał ponownie. – O co chodzi tym razem?

– Tak, to znowu ja – potwierdził z dumą Perfekcjusz. – I zapewniam cię, panie, że tym razem tak łatwo się mnie nie pozbędziesz. Mam wiarygodnych świadków – wskazał na szarpiących go nadal muzułmanów – którzy słyszeli, co powiedziałem o waszym Proroku.

– Czy to prawda?! – zwrócił się do nich kadi.

– Na krzyż z nim! Na krzyż! – było najłagodniejszą odpowiedzią, jaką od nich usłyszał.

Kadi mocno się zasepił, lecz w tej sytuacji nie miał innego wyjścia jak skazać Perfekcjusza na śmierć.

Wyrok wykonano w parę dni później, co nie położyło kresu kłopotom kadiego. Czego bowiem nie mogły najżarliwsze słowa, tego dokonał osobisty przykład. Śmierć Perfekcjusza rozpałała na nowo płomień wiary letnich dotąd chrześcijan. Od tej pory nie było tygodnia, żeby kilku z nich nie straciło dobrowolnie głowy po uprzednim, możliwie jak najbardziej publicznym zelżeniu Mahometa i jego religii. W ślady każdego nowego męczennika wstępowali kolejni i już wkrótce ich liczba wzrosła do tego stopnia, że władze wpadły w prawdziwy popłoch. Rychło okazało się, że nie potrafiły już zapanować nawet nad własnymi współwyznawcami, którzy zabrali się z ochotą za palenie kościołów i klasztorów, za gwałcenie zakonnic i kamienowanie żywcem pochwyconych mnichów. A kiedy jeszcze któreś nocy splądrowali i obrócili w perzynę chrześcijańską część bazaru, cierpliwość władz w końcu się wyczerpała.

Emir Mondhir, jego prawa ręka wezyr Hafz oraz główny kadi miasta zaprosili wówczas na rozmowę biskupa diecezji, Eulogiusza. Podjęli go ze wszystkimi honorami, służba podała aromatyczne napoje i różne smakołyki, po czym kadi (emir Mondhir i minister Hafz wydawali się być pochłonięci wyłącznie kandyzowanymi daktylami) odezwał się w te słowa:

– Eksceleńco, proszę nam wybaczyć, że ośmieliliśmy się go fatygować, ale zarówno obecny tutaj i miłościwie nam panujący Przywódca Wiernych (tu skłonił się głęboko przed emirem), jak też wielce czcigodny wezyr Hafz i ja, chcieliśmy przekazać Waszej Eksceleńcji wyrazy naszego z troskania w związku ze smutnymi wydarzeniami, które – niestety, nie bez udziału chrześcijan – naruszyły ostatnio porządek publiczny. Jak Eksceleńcji wiadomo, dzięki łaskawości i wspaniałomyślności Księcia Wiernych oraz reprezentującego go na tych ziemiach i miłościwie nam panującego Przywódcy Wiernych (tu skłonił się ponownie przed emirem), zamieszkali pośród nas chrześcijanie, jako Ludzie Księgi, mogą bez przeszkód wyznawać swoją religię.

Dlatego bardzo nas dziwią niedawne wypadki. Chociaż nie jesteśmy chrześcijanami, staramy się zrozumieć, skąd ta zapalczywość, skąd ta nienawiść, skąd ten brak tolerancji? I może właśnie dlatego, że nie jesteśmy chrześcijanami,

doszliśmy do wniosku, że ci, których wy nazywacie męczennikami, nie są nikim innym jak zwykłymi samobójcami i nienawistnikami, kierującymi się głównie pychą, będącą źródłem wszelkiego zła. Tymczasem zarówno samobójstwo, jak i pycha, zostały wam chyba zakazane? Czyż ludzie, którzy ośmielają się lżyć Wysłannika Boga, nie powinni wiedzieć, że zostało wam przecież przykazane: *Miłujcie waszych nieprzyjaciół i módlcie się za tych, którzy was prześladują*¹⁰² (choć, oczywiście, nikt was nie prześladuje, ani tym bardziej nie zamierza prześladować), jak też: *Nie sądzcie, a nie będziecie sądzeni, i nie potępiajcie, a nie będziecie potępiani*¹⁰³ (choć, oczywiście, nikt was nie sądzi i nie potępia, ani, broń Boże, nie zamierza was sądzić ani potępiać)? Doprawdy dziwne, że to akurat my musimy wam o tym przypominać! Pragniemy wreszcie zwrócić uwagę Waszej Ekscelencji na istotny fakt, że wasza wspólnota nie odnosi z owych „męczeństw” żadnych korzyści, podczas gdy naszej nie szkodzą one zupełnie.

Dlatego uprzejmie prosimy Waszą Ekscelencję o natychmiastowe położenie kresu temu szaleństwu, choćby poprzez nałożenie na owych samobójców *takfiru* – czyli, jak to się u was nazywa – ekskomuniki. Chciałbym jeszcze dodać, że jeśli sytuacja się uspokoi, to z upoważnienia obecnego tutaj i miłościwie nam panującego Przywódcy Wiernych (tu po raz trzeci skłonił się przed emirem), będę mógł wydać pozwolenie na budowę tyłu nowych kościołów, ile będziecie potrzebować.

Biskup Eulogiusz, który w głębi ducha sprzyjał męczennikom, również skłonił się z szacunkiem i odpowiedział:

– Wasze Wysokości! W pełni podzielam wasz niepokój i jestem wam głęboko wdzięczny za te braterskie napomnienia. Przekażę je co do joty moim współwyznawcom, niemniej pomysł z ekskomuniką, skądinąd znakomity, wydaje mi się mało praktyczny, jako że religia, którą mam zaszczyt wyznawać, nie zabrania bynajmniej męczeństwa. Co się zaś tyczy nowych kościołów, przyjmuję z radością waszą propozycję, choć póki co nie wiemy nawet, jak zapełnić stare. Za to w przyszłości, kiedy nasza wiara się umocni i rozkrzewi jeszcze bardziej, bardzo chętnie z niej skorzystamy.

I wtedy, sięgając po kolejnego daktyla, po raz pierwszy odezwał się emir Mondhir:

– Mylisz się. Nowe kościoły mogą się wam przydać choćby jutro. Wystarczy, że każę zburzyć te, które już posiadacie.

Po tych słowach Eulogiusz zmieszał się, ale nie stracił rezonu:

– Zapewniam cię, panie, że również te słowa przekażę moim braciom i siostram. Nie wiem tylko, czy ci zapaleńcy zechcą posłuchać starego człowieka.

– Lepiej, żeby to zrobili – również po raz pierwszy odezwał się wezyr Hafz. – Nikt bowiem nie jest na tyle stary, żeby nie można go było ściąć.

I na tym skończyło się posłuchanie, a zaraz po nim doszło w naszym kościele do burzliwej narady. Biskup Eulogiusz przedstawił na niej przebieg swojej rozmowy z emirem, wezyrem i kadim, po czym zasugerował, by odłożyć na lepsze czasy starania o palmę męczeństwa. Napotkał jednak zdecydowany opór nielicznych wprawdzie, lecz za to głośnych entuzjastów.

– Nikt nie może nam zabronić przypieczętowania własną krwią miłości do Chrystusa! – zaatakowali oni starego kapłana. – Dobrze wiesz, że jeśli Kościół przetrwał tysiąc lat i rozszerzył się niemal na całą ziemię, to jest to w największym stopniu zasługą zarówno Apostołów i świętych, jak i zastępów męczenników. Bez ich ofiary ty sam nie byłbyś dzisiaj biskupem. A skoro już nim jesteś, to przynajmniej sprawuj swój urząd z godnością!

Po takim postawieniu sprawy, Eulogiusz zamilkł, lecz wówczas odezwały się głosy zwykłych wiernych, licznie zgromadzonych w świątyni z uwagi na nadzwyczajną wagę roztrząsanych podczas tej narady spraw.

– Precz stąd! Wynocha! – poczęli oni wołać w stronę zapaleńców i ich zwolenników. – Jeśli chcecie męczeństwa, to nie tutaj! My mamy żony i dzieci! Chyba że wolicie, żebyśmy to my was sprawili?! Możecie być pewni, że zrobimy to nie gorzej od muzułmanów!

I tak, od słowa do słowa, doszło w końcu do szarpaniny, w której oberwałem i ja, chociaż w ogóle nie zabierałem głosu. I nie wiadomo, jak by się ta sprawa dalej potoczyła, gdyby nagle ponad ogólny rejwach nie wzbił się czyjś przeraźliwy krzyk:

– Ludzie!!! Pali się!!! Pali!!! Podpalili nas!!!

Rzeczywiście, w powietrzu unosiły się smużki dymu, zaś w różnych miejscach kościoła pojawiły się niemal jednocześnie języki ognia. Pożar, którego nie było czym gasić, rozprzestrzenił się tak szybko, że wkrótce wszyscy rzuciliśmy się do ucieczki i w pobliżu wyjścia zrobił się wielki zator. Jedni tratowali się i łamali sobie nawzajem żebra, innych lizały z tyłu płomienie, lecz na zewnątrz wydostawano się tylko w pojedynkę albo małymi grupkami. A przed świątynią czekała już miejscowa tłuszcza, rzucająca się z pałkami, nożami i kijami na każdego, kto się uratował. Bito nas i dźgano, gdzie popadło, dopóki nie zjawili się strażnicy wezyra, którzy zaprowadzili w końcu jaki taki porządek.

Osobiście miałem zwichniętą rękę i przypalony bok, krwawiłem też mocno z ucha. Na szczęście, kiedy napastnicy zostali przegnani, na placu przed płonącym kościołem pojawił się mieszkający nieopodal lekarz, który zaczął udzielać pomocy wszystkim potrzebującym. Wielu rannych, w tym także mnie, zabrał nawet do prowadzonego przez siebie lazaretu. Kiedy nastawił mi rękę i opatrzył bok, stwierdził, że nic mi już nie zagraża i mogę spokojnie wracać do domu.

– Ja nie mam już domu – odpowiedziałem. – Mieszkałem w przytułku, który spłonął razem z kościołem.

– Ach tak? – zasepił się, ale trwało to tylko przez moment. – Jeśli chcesz, możesz zostać u mnie. Potrzebuję kogoś do pomocy w aptece.

Rzuciłem mu się w podzięcie do kolan i tak zamieszkałem w jego domu.

Szczerze mówiąc, nie mogłem trafić lepiej! U Hanacha Ibn Musy – bo tak się ów lekarz nazywał – powodziło mi się znakomicie. W dzień pomagałem mu w sklepie i w lazarecie, wieczorami, za jego namową, studiowałem różne księgi, po raz pierwszy w życiu mogłem odkładać trochę pieniędzy i czułem się naprawdę szczęśliwy.

Że jednak na tym świecie nic nie trwa dłużej niż chwilę, także moje szczęście skończyło się raptownie po półtora roku za sprawą niecodziennego klienta, który wysiadł przed naszą apteką z bogato złożonej lektyki. Po jego obfitej tuszy, jak również po drogocennym turbanie i kaftanie z najdroższego perskiego brokatu, rozpoznałem w nim od razu potężnego Hafza, wszechwładnego wezyra, o którym powiadano, że był nie tylko prawą ręką emira Mondhira, lecz także jego prawdziwym okiem i uchem. Hafz skinął mi na powitanie upierścienioną dłonią i zapytał o mojego pryncypała. Natychmiast pobiegłem po niego na zaplecze i już w chwilę później rozpromieniony Hanach Ibn Musa giął się przed dostojnym gościem w głębokich ukłonach.

– Czy chciałbyś wyświadczyć mi drobną przysługę? – zapytał go wyniośle wezyr, upewniwszy się przedtem, że jesteśmy sami.

– Och, panie! – odpowiedział na to mój dobroczyńca. – Wiesz przecież, że słucham i jestem posłuszny.

Wtedy zadowolony Hafz położył na stole pękatą sakiewkę, poluzował jej safianowe rzemyki i naszym oczom ukazał się stos złotych monet.

– W takim razie, przygotuj mi na wieczór karafkę *basun al-moluc* – polecił minister, wypowiadając ostatnie słowa szeptem.

– *Basun al-moluc?!* – również szeptem upewnił się mój pan i pobladł nagle jak ściana.

– Właśnie. I obym był z ciebie zadowolony.

Po tych słowach Hafz opuścił naszą aptekę bez pożegnania, a ja, którego arabski wciąż pozostawiał wiele do życzenia, zapytałem, cóż to takiego ów *basun al-moluc*?

Hanach Ibn Musa otarł pot z czoła i jęknął:

– To najsilniejsza ze wszystkich trucizn... Niech będzie przeklęty dzień, w którym zachciało mi się zostać lekarzem!

Wiedział jednak dobrze, że lamenty nic mu nie pomogą. Z obawy przed gniewem wszechwładnego wezyra, sporządził zatem to, o co go proszono, ale na

wszelki wypadek wysłał także sekretny list do pewnego znajomego na książęcym dworze, błagając go w imię Allaha, aby ów przestrzegł czym prędzej emira przed spożywaniem jakichkolwiek napojów oprócz źródlanej wody (domniemywał bowiem słusznie, że gdyby Hafz, który nie miał na dworze równych sobie, chciał pozbyć się kogoś z podwładnych, nie potrzebowałby uciekać się do trucizny).

Wieczorem zjawił się po *basun al-moluc* służący ministra, zaś po jego wyjściu Hanach Ibn Musa zaczął upychać do juków co cenniejsze rzeczy. Około północy rozległo się walenie do naszych drzwi. Na szczęście, gdy je uchyliłem, okazało się, że to tylko ów znajomy dworzanin mojego pana. Gość odsapnął chwilę, a potem opowiedział nam ze zgrozą, czego był świadkiem.

Otóż podczas wieczornej uczyty Hafz zbliżył się do księcia z wielkim kielichem wina, zachwalając mu pod niebiosa jego wyborny bukiet i inne niezwykle przymioty.

– Kochany Hafzie – uśmiechnął się łaskawie książę Mondhir – zawsze uważałem cię za najlepszego z przyjaciół i najsolidniejszą podporę mojego tronu. Dlatego odstąpię ci chętnie całą rozkosz zawartą w tym trunku, prosząc cię jedynie w zamian, abyś wypił go zaraz za moje zdrowie. Sprawisz mi tym wielką przyjemność.

Hafz zadrzał jak liść na wietrze, po czym, nie mając wyboru, upił ostrożnie dwa lub trzy łyki. W chwilę później zwałił się na posadzkę, oddając treść żołądka wszystkimi otworami ciała. Dla wydobycia zeń informacji o jego ewentualnych współnikach, emir kazał wziąć go na męki, ale jedyną rzeczą, którą zdołał z niego wyciągnąć, zanim nieszczęsny wezyr stracił przytomność, było rozpaczliwe błaganie o antidotum.

– Na *basun al-moluc* nie ma antidotum – oświadczył rzeczowo Hanach Ibn Musa. – I niech mnie ukrzyżują wraz ze świnią po mojej prawicy i psem po lewicy, jeśli będę czekał choć chwilę dłużej na rozwój tej historii!

Jak powiedział, tak zrobił, i jeszcze tej samej nocy uciekliśmy z Trypolisu. Podróżowaliśmy na północ i zachód nocami, wybierając jak najmniej uczęszczane drogi i omijając z dala wszelkie miejscowości, a odetchnęliśmy z ulgą dopiero wtedy, gdy znaleźliśmy się w kraju Turków. Ale nawet tutaj mój pan, który zapuścił tymczasem długą brodę, wołał nie zawracać sobie głowy medycyną, uznawszy rozsądnie, że będzie znacznie bezpieczniej zająć się czymś innym, na przykład kaznodziejstwem. Dalej dał sobie świetnie radę dzięki miłości do dobrej literatury: Al-Hamadaniego, Al-Haririego, Al-Baridjawiego oraz liczne grono ich naśladowców.

– Chwileczkę – przerwał mu Yusuf. – Czyżbyś chciał powiedzieć, że Hanach Ibn Musa i Abd-al-Rahman, zwany Magnesem Wiary, to jedna i ta sama osoba?

- W rzeczy samej, panie – potwierdził renegat.
- A mały Ali i kobieta, do której należał sepecik?
- To jego pasierb i żona.
- I gdzie są oni teraz?
- Na wszelki wypadek wędrujemy osobno, lecz spotkamy się znowu w Heraklei.
- Mimo wszystko – stwierdziłem z wyrzutem, podczas gdy Yusuf pokładał się ze śmiechu – dziwię się, że ktoś z tak zacnej rodziny połakomił się na glinianą miskę, którą oczywiście możesz sobie zatrzymać na pamiątkę.
- No cóż – wzruszył ramionami nasz rozmówca. – Widocznie wałkoństwo weszło już małemu w krew.
- A tobie? – zapytałem dla ścisłości.
- Mnie już się znudziło. I dlatego odwiedzę jeszcze z nimi parę miast, a potem wracam do siebie, do Grecji.
- I nie boisz się, że uznają cię tam za Turka? Jak by nie było, jesteś obrzezany.
- Możliwe – odparł, zapatrzywszy się w ognisko. – Ale stęskniłem się za domem, a poza tym, czyż nie chodzi o jednego i tego samego Boga, czczonego pod różnymi imionami?
- Jednego na pewno, ale czy tego samego? – mruknąłem pod nosem, lecz nikt nie miał już ochoty roztrząsać tej kwestii.
- Posiedzieliśmy jeszcze trochę przy ognisku, po czym poszliśmy spać, zaś o świcie pożegnaliśmy się z naszym renegatem i ruszyliśmy w stronę wznoszącego się nad horyzont Słońca.



XVI

Droga przez Cylicję, gdzie mieszkało dużo chrześcijańskich Ormian, upłynęła nam bez żadnych incydentów. Dla podreperowania kiesy pracowaliśmy trochę to tu, to tam, aż wreszcie, w połowie sierpnia, po dłuższych postojach w Tarsie i Mamistrze, dotarliśmy do Wrót Syryjskich i Gór Amanus, o których tyle słyszałem od Mamerkusa. Było tam nadzwyczaj pięknie, lecz jednocześnie tak dziko i sucho, że w końcu, podobnie jak kiedyś mój rzymski przyjaciel, musieliśmy racjonować wodę i karmić nasze konie ostrokrzewem, jedyną rośliną występującą w tamtych stronach we względnej obfitości.

Od dawna nie spotkaliśmy żywego ducha, tym większe więc było nasze zaskoczenie, kiedy któregoś dnia, zza mijanych skał, rozległ się nagle groźny arabski okrzyk:

– Stać!!! Co tu robicie?!

– Jedziemy na Wschód... – wybełkotał przerażony Yusuf, choć w rzeczywistości już tam nie jechaliśmy, jako że gromada wyrosłych jak spod ziemi brodaczy w turbanach, wrzeszczących ile tchu w piersiach „Allah akbar!”, ściągała nas właśnie brutalnie z wierzchowców na ziemię. W mgnieniu oka przytknięto nam do gardeł po kilka szabel i noży.

Dowódca napastników, którego jedno oko przesłaniała czarna opaska, a drugie zwracało uwagę ogromną źrenicą, zapytał wskazując na mnie:

– To, zdaje się, niewierny pies?

– Owszem – przyznał Yusuf. – Za to ja jestem Arabem, jak i ty, panie.

– Ja nie jestem Arabem – sprostował tamten z pogardą, choć moim skromnym zdaniem, wyglądał na czystej krwi Saracena. – Jestem prawdziwie wierzącym i to mi w zupełności wystarczy. Ty również powinienes wiedzieć, że najważniejsze to być prawdziwie wierzącym.

– Ależ ja jestem prawdziwie wierzącym! – zapewnił go skwapliwie Yusuf.

– To się jeszcze okaże. Poza tym, nikt nie wierzy na tyle prawdziwie, żeby nie można go było ściąć – ostrzegł go człowiek o nienaturalnie wielkiej źrenicy. – Jeśli mówisz prawdę, dlaczego zadajesz się z tym parszywym psem?

– Bo to... mój służący – wypalił mój były sługa.

– Zabić go i już! – zawołał jeden z brodaczy. – Szkoda czasu na czczą gadaninę!

– Na Allaha! Stójcie! – wykrzyknął Yusuf. – A któż dał wam prawo decydować o jego losie?

Jednooki powstrzymał swoich ludzi, którzy już zamierzali zatopić we mnie ostrza swoich noży i szabel, i rzekł ze wzdrganiem:

– Skoro wezwałeś nas w imię Allaha, musimy ci odpowiedzieć, chociaż naprawdę szkoda czasu na cczą gadaninę. Prawo to dał nam sam Najwyższy, na którego śmiesz się powoływać. Czyż nie powiedział bowiem: *Kiedy spotkacie tych, którzy nie wierzą, to uderzcie ich mieczem po szyi, a kiedy ich całkiem rozbijecie, to mocno zaciśnijcie na nich pęta?* ¹⁰⁴

– Owszem, ale powiedział także: *Zaprawdę, ci, którzy uwierzyli, ci, którzy wyznają judaizm, chrześcijanie i sabejczycy, i ci, którzy wierzą w Boga i w Dzień Ostateczny, i którzy czynią dobro, wszyscy otrzymają nagrodę u swego Pana; i nie odczują żadnego lęku, i nie będą zasmuceni* ¹⁰⁵ – odparował Yusuf.

– Zgadza się – dowódca napastników uniósł głos – lecz w innym miejscu powiedział również: *Zapłatą dla tych, którzy zwalczają Boga i Jego Posłańca i starają się szerzyć zepsucie na ziemi, będzie tylko to, iż będą oni zabici lub ukrzyżowani, albo też obetnie im się rękę i nogę naprzemianlegle, albo też zostaną wypędzeni z kraju. Oni doznają hańby na tym świecie i kary bolesnej w życiu ostatecznym. Z wyjątkiem tych, którzy się nawrócą, zanim przejmiecie władzę nad nimi.* ¹⁰⁶

– Szczera prawda – potwierdził Yusuf. – Ale czyż Bóg nie powiedział zarazem: *O Jezusie! Oto Ja powołałam ciebie i wyniosę ku Sobie, oczyszczając cię od tych, którzy nie uwierzyli; i umieszczę tych, którzy poszli za tobą, ponad niewiernymi – aż do Dnia Zmartwychwstania. Następnie do Mnie powrócicie i wtedy rozstrzygnę między wami, w czym się różniście?* ¹⁰⁷ Dlaczego zatem, zamiast czekać cierpliwie na

Dzień Zmartwychwstania, chcecie już teraz rozstrzygać na własną rękę te subtelne różnice, nie bacząc przy tym wcale, że Najwyższy powiedział także, iż to *On* – i tylko *On*! – *przebacza temu, komu chce; i On karze tego, kogo chce?* ¹⁰⁸

– A choćby dlatego, że czciciele krzyża najechali niedawno ziemi prawdziwie wierzących, wywołując nasz słuszny gniew i świętą wojnę – zaperzył się Jednooki. – W tym zaś wypadku sprawa jest jasna: *Gdziekolwiek oni będą walczyć przeciw wam, zabijajcie ich! – Taka jest odpłata niewiernym!* ¹⁰⁹ Naprawdę, szkoda czasu na cczą gadaninę! Walczymy na ścieżce Boga, z sobą i z Jego nieprzyjaciółmi, i musimy zwyciężyć. Zabijemy nie tylko wszystkich niewiernych, ale także tych spośród rzekomo prawdziwie wierzących, którzy są ich przyjaciółmi, stronnikami czy choćby tylko naśladowcami ich sprośnych obyczajów. Powiem więcej – tam, gdzie rozciąga się nasza władza, nie ma i nigdy nie będzie miejsca dla bluźnierców, złodziei, rozpustników, fałszerzy, pijaków, krzywoprzysięzców ani kłamców! Wszystkich ich, bez wyjątku, czeka śmierć, więc ty także miej się na baczności.

– Ja nie mam się czego bać – odpowiedział mu Yusuf. – Wprost przeciwnie, twoje słowa nawet mnie uspokoiły. Wynika z nich bowiem jasno, że nie możecie

zabić mojego sługi, bo byłaby to zwykła kradzież, którą skądinąd karzecie śmiercią.

Słowa te zaskoczyły Jednookiego. Burknął coś do swoich towarzyszy, którzy natychmiast odstawili noże i szable od mojej szyi. Odetchnąłem z prawdziwą ulgą, tymczasem przywódca brodaczy zwrócił się do Yusufa:

– Niech będzie. Ale zawsze możemy zabić ciebie. Widzisz tę przepaść? – wskazał głęboką rozpadlinę oddzielającą nas od sąsiedniej góry. – Strącamy w nią wszystkich, których nie życzymy sobie oglądać w tych stronach. A ponieważ trudno nam sprawdzać, czy ktoś jest, czy też nie jest bluźniercą, pijakiem albo rozpustnikiem, na razie musi nam wystarczyć, że nie jest kłamcą. To zresztą znacznie prostsze, zważywszy że wszystko na tym świecie jest prawdą lub fałszem, i o wszystkim, co istnieje, da się powiedzieć „tak” albo „nie”.

– Tak sądzisz? – zapytał mój były sługa.

– Tak sędzę – potwierdził Jednooki. – I dlatego radzę ci, uważaj! Jeśli stwierdzimy, że kłamiesz, skończysz na dnie tej przepaści razem z twoim służącym i resztą dobytku. Nam nie zależy na łupach.

– Ciekawe, jak to sprawdzicie? – zapytał mój przyjaciel, przełykając dyskretnie ślinę.

– Oceniając twoją odpowiedź. Mów prawdę, bo tylko ona może cię uratować. Po co tu przyjechaliście?

Po tak postawionym pytaniu Yusuf spuścił głowę i popadł w milczenie, które zaczęło się nieznośnie przedłużać. Wszyscy wpatrywali się w niego z rosnącym napięciem, a ja poczułem na grzbiecie ciarki.

– I jak? – ponaglił go Jednooki, na co Yusuf uniósł powoli głowę i rzekł:

– Jeśli się nad tym głębiej zastanowić, to przyjechaliśmy tu właśnie po to, abyście stracili nas obu w przepaść.

Po tych słowach dosłownie zmartwiałem, natomiast dowódca brodaczy zaśmiał się i potoczywszy tryumfalnie swym jedynym okiem po niecierpliwących się coraz bardziej towarzyszach, zawołał:

– A jednak! Co komu pisane, to go nie minie! Zrobimy to z największą ochotą, możesz być pewny, bracie.

– Śmiem wątpić – osadził go natychmiast Yusuf. – W ten sposób zostałem ukarany za powiedzenie prawdy, a tego przecież nie wolno wam robić.

Jednookiemu i jego zarośniętym towarzyszom śmiech zamarł na ustach. Przez chwilę popatrywali na siebie z głupimi minami, po czym ich herszt zamyślił się głęboko, kręcąc w palcach kędziór brody. Wreszcie oświadczył z ciężkim westchnieniem:

– Na Allaha! Jakby nie patrzeć, ma sukinsyn rację. Nie możemy go zabić, bo wyszłoby na to, że został ukarany za prawdomówność! Trudno, trzeba ich chyba

uwolnić.

– Jesteś tego pewny? – zapytał kpiąco Yusuf. – Bo mnie się wydaje, że jeśli nas uwolnicie, to z kolei okaże się, że nie ukaraliście należycie tych, którzy was okłamali, co jak rozumiem uważacie za swój święty obowiązek.

Po tych słowach konsternacja naszych przeciwników jeszcze wzrosła. Kręcili głowami, pluli pod nogi, dwóch nawet zaczęło się głośno kłócić. W końcu ich jednooki przywódca nakazał ciszę i zwrócił się przygnębiony do mojego byłego sługi:

– To co w takim razie powinniśmy zrobić?

– Nie mam pojęcia – wzruszył ramionami Yusuf. – Może przyjąć na początek, że nie wszystko na tym świecie jest prawdą lub fałszem, i nie o wszystkim co istnieje da się powiedzieć „tak”, albo „nie”. Jak widzicie, fałsz łatwo przechodzi w prawdę i na odwrót, i przynajmniej nie zaszkodzi o tym wiedzieć. Co do reszty, to nie mój problem.

– Dobra, szkoda czasu na cczą gadaninę – oświadczył ponuro Jednooki, dając swoim ludziom hasło do wymarszu. – Zabierzemy was do naszego szejka, a jak będzie trzeba, to i do samego emira Ibn Sabby, i niech się oni nad tym głowią, aż do czegoś dojdą.

– Ciekawe do czego? – uśmiechnął się mój przyjaciel.

– Wszystko jedno! – warknął tamten. – My akceptujemy każdą ich opinię, nawet jeśli nikt inny jej nie podzie la.

Następnie kazali nam wsiąść na konie, zwiążali nam z tyłu ręce i założyli nam na głowy jakieś worki, najwyraźniej po to, abyśmy nie mogli zapamiętać drogi.

– Po kiego diabła się z nimi droczyłeś i nie pozwoliłeś nas uwolnić?! – zapytałem z gniewem mojego byłego sługę, kiedy ruszyliśmy w drogę.

– Przepraszam – odparł wyraźnie zmartwiony. – Rzeczywiście, trochę mnie poniosło.

– A wiesz chociaż, co to za jedni?

– Obawiam się, że to *hachichiyyun*. Słyszałem o nich w Kordobie – wyjaśnił tym samym zgnębionym tonem.

– *Hachichiyyun*? – powtórzyłem z najwyższym trudem. – Cóż to takiego?

– Zjadacze haszyszu, asasyni, mordercy! – szepnął. – Ale najgorsze jest to, że to ludzie jednej idei.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – zaniepokoiłem się i ja.

– Zobaczysz. Nic dobrego.

Tłukliśmy się z owymi asasynami po górskich wertepach przez siedem dni bez oglądania świata Bożego, bo ściągali nam worki z głów tylko na noc, kiedy mogli mieć pewność, że i tak nie zdołamy rozpoznać miejsca, w którym obozowaliśmy.

Na dobre zdjęli je nam – razem z pętami – dopiero w obszernej sali jakiejś górskiej fortecy, gdzie dotarliśmy wieczorem siódmego dnia.

Pod jej ścianami z surowego kamienia, pozbawionymi wszelkich ozdób, siedziało na gołej posadzce kilkudziesięciu takich samych brodaczy jak nasi porywacze. Ich szejk, w szarym kaftanie i czarnym turbanie oraz z brodą do pasa jak cała reszta, zasiadał na podwyższeniu z kilku skórzanych poduszek i był to chyba jedyny szczegół, jakim wyróżniał się spośród swoich podwładnych.

Jednooki złożył mu meldunek z wyprawy, płacząc się jednak niemiłosiernie, gdy przyszło mu wyjaśnić, dlaczego nie umiał ocenić prawdomówności Yusufa. Szejk wysłuchał go z kamienną twarzą, po czym zwrócił się surowym tonem do mojego byłego sługi:

– Na Allaha, rzeczywiście trudno nazwać cię kłamcą. Prawie tak samo jak stwierdzić, czy nie jesteś pijakiem lub krzywoprzysięcą. Nie ulega za to wątpliwości, że obracasz się w złym towarzystwie. Kim jest ten *kafir*? – pokazał na mnie.

– To mój sługa i przyjaciel – wyjaśnił Yusuf. – I zapewniam cię panie, że darzy niezmiernym szacunkiem naszą religię.

Rzuciłem mojemu byłemu słudze zdziwione spojrzenie, podczas gdy szejk asasynów skrzywił się z niechęcią.

– Tym gorzej dla niego – stwierdził. – Religie nie są po to, żeby je szanować, tylko po to, by nimi żyć. A jeśli spotykają się dwie wiary, z których każda uważa się za jedyną prawdziwą, to nie po to, by prawić sobie nawzajem pochlebstwa, ale po to, żeby walczyć ze sobą na śmierć i życie. Inaczej zresztą być nie może.

– Chciałem jedynie powiedzieć – uściślił Yusuf – że mój przyjaciel niezmiernie szanuje wszystko, co łączy jego religię z naszą.

– Tym gorzej dla niego – powtórzył szejk. – Czyż bowiem nie jest o wiele ważniejsze to, co je dzieli? To, że twój przyjaciel szanuje naszą religię, oznacza tylko tyle, że nie szanuje swojej własnej. Jest więc podwójnie niewiernym i jako taki zasługuje podwójnie na śmierć. Od nas nikt nigdy nie usłyszy, że szanujemy religię chrześcijan czy Żydów. I dlatego musimy zwyciężyć.

– Zwyciężyć? – odezwałem się, kiedy Yusuf przetłumaczył mi jego słowa. – Kogo? Wszystkich chrześcijan? Wszystkich Żydów? Wszystkich bluźnierców, złodziei i rozpustników? Wszystkich fałszerzy i krzywoprzysięzców? Wszystkich pijaków i kłamców? Wolne żarty, panie!

– Nie powiedziałem wcale, że wszystkich – odparł na to szejk *hachichiyun*. – Choć świat zepsucia jest bardzo rozległy, i tak się rozpadnie. My chcemy tylko przyśpieszyć ten proces. Nie jesteśmy pyszni i zdajemy sobie sprawę z naszych ograniczeń, toteż naprawimy błędy tylko tyłu Żydów oraz tych, którzy biją

w dzwony, jak też sprowadzimy na właściwą drogę tylko tylu prawdziwie wierzących, którzy odeszli od fundamentów wiary, ilu zdołamy pochwycić.

– A jeśli będą stawiać opór? – zapytałem.

– To ich zmusimy. Wszak jeśli Bóg jest Jednością, tym bardziej powinni być nią ci, których stworzył. Na tym świecie nie ma miejsca na różne religie, tak jak nie ma go na odrębne państwa prawdziwie wierzących – Seldżuków, Fatymidów, Abbasydów czy Ommajadów. *Umma*, wspólnota wiernych, musi być jedna i objąć całą ziemię.

– Z kim chcesz dokonać tego dzieła? Z tą garstką narwańców?

– Nie liczba jest ważna, lecz jakość – odpowiedział szejik brodaczy, po czym zwrócił się do swoich podkomendnych:

– Bracia! Czy któryś z was, którzy wyznajecie prawdziwą religię i codziennie prosicie mnie o męczeństwo, chciałby uświadomić temu *kafirowi* naszą siłę? Przemówić do niego w języku zrozumiałym dla Arabów i nie-Arabów, jasnym dla wierzących i niewierzących, prostym dla Hindusów i Chińczyków, i łatwym nawet dla pogan i bałwochwalców?

Po tych słowach zerwał się z miejsca jeden z jego ludzi, który najpierw pokłonił się dowódcy i swoim towarzyszom, a potem wyszarpnął zza pasa sztylet i ku mojemu przerażeniu, z okrzykiem „*Allah akbar!*” wbił go sobie prosto w serce.

– Allah jest wielki! Allah jest wielki! Błogosławieństwo i chwała Allahowi! – zaczęli wołać jeden przez drugiego druhowie samobójcy, kiedy ten osunął się bez czucia na ziemię. Szejik *hachichiyun*, któremu podczas tej manifestacji nie drgnęła nawet powieka, pogłodził z zadowoleniem swoją długą brodę i zwrócił się do mnie z szerokim uśmiechem:

– No i jak? Zrozumiałeś? Nadal wątpisz, że z takimi ludźmi można podbić świat?

Wstrząśnięty tym, czego byłem świadkiem, nie odezwałem się ani słowem, dopóki wijący się w kałuży krwi asasyn nie znieruchomiał. A wtedy rzekłem:

– Panie, chciałbym coś sprostować. Mój przyjaciel ma dobre serce i dlatego mówiąc o mnie, trochę przesadził z tym niezmiernym szacunkiem. Tak naprawdę, to...

– Pst! – szejik zjadaczy haszyszu położył palec na ustach. – Ani słowa więcej! Bo nie zostawisz mi innego wyjścia i będę cię musiał zarznąć jak barana. A ja wolę zabijać niewiernych w otwartej walce, jak przystało na mężczyznę i wojownika.

Wtedy skłoniłem przed nim czoła i wskazując na niewielki zamkowy dziedziniec widoczny za oknem, zaproponowałem:

– Jestem do twoich usług, panie.

– Nie – pokręcił przecząco głową. – Miałem na myśli pole bitwy. I liczę na to, że wkrótce się na nim spotkamy. Słyszałem bowiem, że zbliża się tutaj wasza armia, której jak dotąd nikt nie powstrzymał.

– Nasza armia?! Nic mi o tym nie wiadomo – odparłem zdumiony tą wiadomością.

– Ale nam, owszem. Jesteś wolny. Jedź do jej wodza i powiedz mu ode mnie, że na niego czekamy. Że może wygrywać regularne bitwy, ale z nami nie wygra. Niech tu przybywa, jeśli jest mężczyzną, albo niech wraca do domu, jeśli mu życie miłe. Bo Bóg jest po naszej stronie.

– A my uważamy, że po naszej – oświadczyłem hardo.

Ale szejk *hachichiyyun* tylko prychnął z lekceważeniem:

– To chyba jedyna rzecz, co do której jesteśmy zgodni. Resztę rozstrzygnie oręż. Mam nadzieję, że kiedy do tego dojdzie, nie trzeba cię będzie szukać.

– Już powiedziałem: jestem do twoich usług.

– Świetnie. A co do ciebie, trzebieńcu, który podobno jesteś prawdziwie wierzącym – zwrócił się do Yusufa – to znasz chyba słowa Świętej Księgi: *Nie bierzcie sobie za przyjaciół Żydów i chrześcijan?*¹¹⁰

– Znam – potwierdził blednąc mój były sługa. – Ale myślę, że nic wam do tego. Każdemu wolno czytać Koran, jak chce. Nie ma jednej wykładni, a z tego, kto jak go czytał, każdy zda sprawę w Dniu Rozliczenia. I powiem wam jeszcze, że nikt nigdy nie dotarł do Boga zbrojnie i na koniu. Porzućcie broń i konie, a dotrzecie do Niego na pewno.

Szejk *asasynów* zaśmiał się ponownie:

– Czytaj sobie Koran jak chcesz, lecz my będziemy to robić po swojemu. Bo kto ma siłę, żeby przeciwstawić się złu i tego nie czyni, jest winien wobec Allaha. Walka ze złem tu i teraz będzie w Dniu Sądu największą zasługą, przy której nawet *dżihad* to tylko powiew wietrzyku nad spokojnym morzem. A że sprzątanie świata trzeba zacząć od własnego domu, szykuj się na śmierć. Do rana masz czas na modlitwę.

Spojrzałem na drżącego jak osika Yusufa i wycedziłem:

– W takim razie zabijcie i mnie. Bez niego nigdzie nie pojedę.

Na przywódcy *hachichiyyun* nie zrobiło to jednak żadnego wrażenia.

– Jak sobie życzysz. Daliśmy ci szansę, ale umiemy także docenić przyjaźń. Jeśli chcesz umrzeć razem z nim, niech tak będzie.

Po tych słowach wyprowadzono nas z obszernej sali i umieszczono pod silną strażą w stajni wykutej w litej skale, gdzie trzymano także nasze konie.

– No i co teraz? – zapytałem Yusufa, kiedy zamknęły się za nami ciężkie, żelazne drzwi.

– Nie mam pojęcia – odparł rozcierając spuchnięte nadgarstki. – Wiedziałem, że nic dobrego z tego nie wyniknie, ale nie przypuszczałem, że będzie aż tak źle! Do diabła! Dlaczego nie skorzystałeś z szansy, żeby się uratować? Z tego, że zginiesz razem ze mną, nikomu nic nie przyjdzie.

– Nieważne. Myśl lepiej, jak z tego wybrnąć – poprosiłem.

– Ty też myśl, panie, bo żarty się skończyły – odburknął, po czym zapadł w głębokie milczenie.

Zgodnie z jego radą, myślałem długo i intensywnie, lecz szczerze mówiąc, nie przychodził mi do głowy

żaden pomysł, dopóki mój wzrok, błędzący to tu, to tam po stajni, nie spoczął przypadkiem na naszych wierzchowcach. Wówczas szarpnąłem Yusufa za rękaw.

– Spójrz na nasze konie. Ci ludzie faktycznie nie są złodziejami, bo nawet nie zdjęli z nich juków.

– I co z tego? – zapytał mój były sługa.

– A to, że mamy szablę! – szepnąłem tryumfalnie.

– I co z tego? – powtórzył zgryźliwie. – Szablę! Szkoda, że nie wieżę obłęzniczą albo katapultę. Tak, katapulta byłaby zdecydowanie najlepsza, bo dzięki niej moglibyśmy przelecieć migiem nad fosą. I jak daleko chcesz dotrzeć z tą szablą? Do drzwi? Do końca korytarza? Do pierwszej bramy? A może do mostu zwodzonego? I ilu *hachichiyyun* zdążysz zabić, zanim reszta rozszarpie nas na kawałki? Dwóch? Trzech? Pięciu? Wszystko to bardzo pięknie, ale dopóki nie znajdziesz tu katapulty, nie ma o czym gadać.

– Niekoniecznie – poczułem się urażony tą krytyką. – Moglibyśmy zwabić tu pod jakimś pozorem ich szejka, a potem, dzięki szabli, wziąć go do niewoli i traktując go jako zakładnika, zażądać, aby pozostali wypuścili nas z zamku.

– To trochę lepszy pomysł, choć też do niczego – skrzywił się Yusuf. – Po pierwsze, jak pewnie zauważyłeś, nie są to ludzie szczególnie strachliwi. A po drugie, nawet gdyby ich szejka był pod tym względem wyjątkiem, to – oczywiście pod warunkiem, że im na nim zależy – mielibyśmy ich odtąd bez przerwy na karku. Jak myślisz, co by nam zrobili, kiedy wreszcie przyszłoby nam go uwolnić?

– W takim razie, nie mam więcej pomysłów – skapitulowałem zrezygnowany.

– A ja owszem. Co więcej, mój plan może się powieść, o ile tylko przyjmiesz ofertę szejka i wyjedziesz stąd jutro rano.

– Nie ma mowy. Już powiedziałem, że bez ciebie nigdzie nie pojedę.

– Więc musisz zmienić zdanie. To nasza jedyna szansa.

– Co to za plan?

– Otóż, zamierzam posiedzieć w tym zamku jeszcze cztery albo pięć dni, a potem go opuścić. Niestety, najprawdopodobniej pod strażą kilku lub

kilkunastu *hachichyyun*. Wybiorę się z nimi do Antiochii, która leży na południe albo na południowy zachód stąd. Pamiętaj, że kwestia, gdzie dokładnie leży Antiochia, ma zasadnicze znaczenie i musisz wykorzystać przewagę czasową, żeby to ustalić. Kiedy odszukasz drogę do Antiochii, jedź nią jak najszybciej, aż znajdziesz jakieś miejsce, gdzie mógłbyś urządzić zasadzkę i uwolnić mnie z rąk tych bandytów. To wszystko, panie.

– Uwolnić cię z rąk kilkunastu asasynów?! Ciekawe, jak? – spojrzałem na niego z obawą, że perspektywa rychłej śmierci zaczyna mu już mącić rozum.

– Nie wiem, to twój problem. W końcu to ty jesteś rycerzem – wzruszył ramionami.

– Dobrze – przyjąłem ten punkt widzenia. – Założmy, że coś wymyślę. Ale jak ty się stąd wydostaniesz? Przecież jutro mają cię zabić!

– To z kolei mój problem, więc założmy, że i ja coś wymyślę.

– Jaką mogę mieć pewność, że ci się uda?

– Taką samą jak ja, że uda się tobie – odparł poirytowany.

– Zobaczymy. Pewne jest tylko to, że jeśli nie zrobimy nic, jutro obaj stracimy życie.

– W porządku – po krótkim namyśle zaakceptowałem jego plan. – Lecz i ty zapamiętaj sobie dwie rzeczy. Po pierwsze, jeśli usłyszysz za dnia pohukiwanie sowy pójdzki (w tym miejscu zademonstrowałem mu, jak powinno ono zabrzmieć), to najprawdopodobniej będę ja. Zwłaszcza, jeśli sowa zahuka siedem razy pod rząd. I po drugie, kiedy je usłyszysz, postaraj się jak najszybciej przesunąć na tył kolumny, w której będziesz jechać. To w każdych okolicznościach ułatwi mi sprawę.

– Dobrze – kiwnął głową. – Sowa w dzień, siedem razy, tył kolumny. A teraz pozwól, że zrobię porządek w jukach. Bo szabla i prowiant powinny się znaleźć w twoich.

Kiedy porozdzielał nasze rzeczy, przekładając to i owo z jednych sakw do drugich, każdy z nas, zgodnie z radą szejka, pomodlił się w ciszy o ocalenie, po czym z ciężkimi sercami poszliśmy spać.

Z rana, tuż po pierwszej muzułmańskiej modlitwie, przyszło po nas kilku zbrojnych brodaczy. Zaprowadzili nas na dziedziniec zamkowy, gdzie czekał już szejk *hachichyyun* i jego podwładni. Stali oni, niezmiernie poważni, w dwóch długich szeregach kończących się tuż przy niskim murze, za którym, jak się domyślałem, rozciągało się urwisko albo zgoła przepaść. Sytuacja była klarowna i z każdym krokiem skóra cierpła mi coraz bardziej. Na szczęście, gdy mijaliśmy szejka, Yusuf zatrzymał się i opierając się popychającym go strażnikom, zwrócił się do niego, żeby mu oznajmić, iż w nocy zmieniłem zdanie i przyjmuję z wdzięcznością jego propozycję.

Zdziwiło mnie jednak, że w miarę jak mój przyjaciel mówił, twarz szejka wydłużała się, czerwieniała, aż wreszcie przybrała wyraz bezbrzeżnej pogardy, podczas gdy pozostali asasyni zaczęli wydawać okrzyki oburzenia, pohukiwać, sykać, pluć w moją stronę i wygrażać mi pięściami. Kiedy Yusuf skończył, szejka nakazał ciszę i zaatakował mnie z gniewem:

– Więc to tak, tchórze?! Jeszcze wczoraj byłeś mocny w gębie i chciałeś ginąć razem z twoim przyjacielem, ale kiedy okazało się, że nie rzucamy słów na wiatr, czym prędzej zmieniłeś zdanie? Widać, że jesteś prawdziwym niewiernym, myliłem się bardzo, biorąc cię także za prawdziwego mężczyznę i wojownika! Gdzie twoja hardość, psie? Gdzie twój honor? Czemu się już nie odszczekujesz? Dlaczego na nas nie warczysz i nie pokazujesz zębów, tylko kładziesz uszy po sobie i chcesz stąd uciekać z podkulonym ogonem? A co z twoim przyjacielem? Zostawisz go na pastwę losu, niech sobie umiera, co cię to obchodzi, czyż nie tak? Wszyscy jesteście tacy sami, oby was Allah wytępił. Zapamiętajcie to sobie, bracia! – zwrócił się do swoich podkomendnych. – Ma po stokroć rację Święta Księga, kiedy powiada: *Nie bierzcie sobie za przyjaciół Żydów i chrześcijan!* Nigdy tego nie róbcie! Nigdy i pod żadnym pozorem! Śmierć niewiernym!

– Śmierć niewiernym! Śmierć niewiernym! – zahuczało dookoła.

– A co do ciebie, durniu – obrócił się ku Yusufowi – szkoda, żeś się o tym przekonał tak późno. Za późno, żebyś nie miał złudzeń.

Słowa szejka sprawiły, że poczułem się rzeczywiście niczym pies, ale jak pies obity, sponiewierany, ugodzony kamieniem czy potraktowany bolesnym kopniakiem. Wrzałem z gniewu i byłem gotów rzucić się na niego z gołymi rękami! I kto wie, czy bym się na to nie zdecydował, gdyby nie Yusuf, który widząc co się ze mną dzieje, szarpnął mnie w samą porę za rękę.

– Na litość boską, panie! – szepnął przerażony. – Pamiętaj: sowa, siedem razy, tył kolumny!

Toteż opanowałem się, jak mogłem i odpowiedziałem szejkowi zduszonym głosem:

– Mylisz się, i to bardzo, panie! Nie jestem tchórzem ani zdrajcą. Jeśli zmieniłem zdanie i chcę jechać do swoich, dokąd sam mnie wczoraj wysyłałeś, to właśnie z powodu przyjaźni. Zostając tutaj z moim przyjacielem, niewiele mógłbym mu pomóc, ale kiedy wrócę tutaj z całą armią, pomszczę każdą krzywdę, jaką ośmielicie się mu wyrządzić. I przysięgam najuroczyściej, jak tylko potrafię, na Pana naszego Jezusa Chrystusa oraz na Jego Matkę, zawsze Dziewicę, a także na Trójcę Przenajświętszą, Apostołów i wszystkich świętych, że jeśli mojemu przyjacielowi spadnie z waszej winy choćby jeden włos z głowy, zabiję własnoręcznie nie tylko ciebie, ale również wszystkich twoich ludzi,

których zdołam dopaść! Mówię to, abyś i ty nie miał złudzeń. Oko za oko, ząb za ząb, aż wam turbany pospadają! Śmierć niewiernym!

O dziwo, moje słowa, przetłumaczone natychmiast przez Yusufa, zrobiły na asasynach bardzo dobre wrażenie. Z miejsca przestali sykać, pluć i pohukiwać, ciekawi co też mi odpowie ich dowódca. Ten zaś wydał pogardliwie wargi i stwierdził o wiele spokojniej niż przedtem:

– Zupełnie ci nie wierzę, psie, ale my, w przeciwieństwie do was, dotrzymujemy słowa. Zgodnie z tym, co powiedziałem, jesteś wolny. I wiedz, że gdybyś się tu więcej nie pojawił, i tak cię znajdziemy, choćbyś się ukrył pod powierzchnią ziemi. Mamy na to swoje sposoby. Oddajcie mu jego konia – dokończył zwracając się do swoich ludzi.

W czasie gdy jeden z *hachichiyyun* poszedł po mojego konia, uściskałem Yusufa i zapytałem go półgłosem:

- Jesteś pewny, że wiesz, co robisz?
- Tak – odparł niezbyt przekonująco. – Zresztą, nie mamy innego wyjścia.
- W takim razie, niech Bóg ma cię w opiece!
- I ciebie, panie – odparł wzruszony.

Wkrótce potem na dziedzińcu rozległ się stukot kopyt mojego wierzchowca i zostaliśmy rozdzieleni. I wtedy okazało się, że nie doceniliśmy naszych przeciwników. Bo choć asasyni nie byli złodziejami, to jednak, zanim zwrócili mi konia, przejrżeli z grubszą moje juki.

Znaleziona szabla, którą natychmiast oddali swojemu przywódcy, wywołała wśród nich groźny pomruk. Szejk oparł ją zaraz ukosem o ziemię, a potem złamał ją jednym uderzeniem pięty i rzucił mi ją pod nogi:

- Teraz możesz jechać, kundlu. Oko za oko, ząb za ząb!

Kiedy wsiadłem na konia i założono mi na głowę worek, usłyszałem, że Yusuf znów zaczyna przemawiać do naszych prześladowców. Nie rozumiałem, co mówił, ale musiało to być coś bardzo interesującego, ponieważ na dziedzińcu zapadła nagle głucha cisza, przerywana jedynie pełnym podziwu cmokaniem i okrzykami niedowierzania.

Jego głos, coraz słabszy i słabszy, dźwięczał mi w uszach do czasu, kiedy wraz z dwoma eskortującymi mnie brodacami wjechałem na zwodzony most. Wówczas utonął w dudnieniu kopyt, ja zaś pomyślałem z przestachem „Oby mówił dalej! Póki będzie mówił, będzie żył!”. W chwilę później znaleźliśmy się na otwartej przestrzeni i choć wy tężądałem słuch – nie słyszałem już ani Yusufa, ani *hachichiyyun*.

Po przejechaniu trzech lub czterech mil, moi strażnicy zatrzymali konie, ściągnęli mi worek z głowy i rozwiązali ręce, a potem odjechali bez jednego

słowa, zostawiając mnie na łasce losu i bez żadnej broni na kompletnym pustkowiu.

*

Tylko szybkie odnalezienie drogi do Antiochii – co oznaczało ciągle posuwanie się naprzód bez postojów dłuższych niż dyktowała konieczność, jedzenie i picie w siodle oraz ograniczenie snu do niezbędnego minimum – dawało nadzieję, że uda mi się znaleźć jakieś miejsce odpowiednie na zasadzkę, jak też wymyślić sposób wyrwania Yusufa z rąk asasynów.

Choć ciągle nie miałem pojęcia, jak mógłbym to zrobić, jechałem na południowy-zachód najszybciej jak mogłem, kierując się za dnia położeniem słońca i cieniem rzucanym przez różne przedmioty, zaś w nocy układem gwiazd. Utrzymanie właściwego kierunku jazdy w górzystej okolicy było jednak trudne z powodu wielu stromych stoków, głębokich wąwozów i urwisk, które zmuszały mnie raz po raz do kluczenia i szukania objazdów, a niekiedy nawet do zawracania w te same miejsca, gdzie byłem już przedtem. Traciłem w ten sposób dużo cennego czasu, lecz wiedziałem, że dopóki nie znajdę duktów i ścieżek innych niż wydeptane przez dzikie zwierzęta, jestem skazany na poruszanie się niemal po omacku.

Kamień spadł mi z serca dopiero wtedy, gdy trafiłem na dróżkę ze śladami podkutych kopyt. Ponieważ nie wyglądały one na ślady mojego własnego wierzchowca, postanowiłem się jej trzymać w nadziei, że doprowadzi mnie do jakiegoś szerszego traktu. I rzeczywiście, po paru godzinach jazdy moja dróżka dobiła do czegoś, co można było od biedy nazwać drogą, jako że na tym nowym górskim szlaku było miejscami na tyle szeroko, że gdyby nie zaścielające go gęsto głązy i kamienie, mógłby nim przejechać nawet wóz.

Wkrótce znaleziona przeze mnie droga zaczęła prowadzić brzegiem górskiego strumienia, toczącego trochę wody, co bardzo mnie ucieszyło, gdyż wreszcie mogłem napić konia i ugasić własne pragnienie. Nad tym strumieniem spędziłem noc, zastanawiając się przed snem, jaką to armię chrześcijan, której „jak dotąd nikt nie powstrzymał”, miał na myśli szejk *hachichiyyun*?

Wydawało mi się mało prawdopodobne, by po klęsce wyprawy Małego Piotra jakakolwiek inna armia chrześcijańska odważyła się wkroczyć na ziemię muzułmanów. Z drugiej jednak strony, jeśli taka armia nie istniała, nie bardzo potrafiłem pojąć, dlaczego asasyni zwrócili mi wolność? Jedynym rozsądnym wyjaśnieniem tej zagadki, jakie mi przychodziło do głowy, było to, że na tak dzikie odludzie, gdzie *hachichiyyun* uprawiali swój zbójcki proceder, wszelkie wiadomości musiały docierać z wielkim opóźnieniem, toteż szejk miał zapewne na myśli gromadę Piotra Pustelnika, choć – na moje szczęście – jeszcze nie słyszał o jej pogromie. Wyjaśniwszy sobie w ten sposób jego dziwne słowa,

przestałem o nich myśleć, ponieważ miałem na głowie inne, znacznie ważniejsze zmartwienia, a mianowicie, czy Yusuf jeszcze żyje, na czym polega jego tajny plan, którego szczegółów nie chciał mi zdradzić, czy udało mu się wcielić go w życie, i przede wszystkim czy droga, którą znalazłem, rzeczywiście prowadziła do Antiochii?

Odpowiedź na ostatnie z tych pytań otrzymałem szczęśliwie już następnego dnia.

Dojechałem właśnie do starego kamiennego mostu spinającego wysokie brzegi mojego potoku, który wrzynał się w owym miejscu głęboko w skały, kiedy, ku mojemu zdumieniu, zauważyłem na środku mostu samotnego jeźdźca na siwym koniu. W pierwszej chwili pomyślałem, że to jeden z *hachichiyyun*, jednak jego wzorzysty turban i jaskrawo żółty kaftan (zjadacze haszyszu lubowali się raczej w czerniach, brązach i szarościach), jak też jego gładko wygolona twarz, wzbudziły moje wątpliwości. Młody człowiek we wzorzystym turbanie przyglądał mi się bez cienia wrogości, ale kiedy wjechałem na most, natychmiast pochylił w moim kierunku trzymaną w ręku włócznię i ostentacyjnie wy dobył z pochwy szablę.

Po tym nieprzyjaznym geście zatrzymałem się ciekaw, co będzie dalej. Nieznajomy uśmiechnął się, schował szablę z powrotem do pochwy i wypowiedział kilka zdań, których nie zrozumiałem. Zachęcony jego uśmiechem postąpiłem dwa kroki do przodu, ale wtedy w jego ręku znowu rozbłysła szabla. Trzymał ją w pogotowiu, wygłaszając jednocześnie dłuższą mowę, chwilami – o ile mnie słuch nie mylił – nawet rymowaną, przy czym jedynym znajomym słowem, jakie zdołałem z niej wychwycić (a przynajmniej tak mi się zdawało), było słowo „jaśmin”, powtórzone chyba kilkanaście razy.

Rozejrzałem się dookoła, lecz jaśmin był ostatnią rzeczą, jakiej można się było spodziewać na tym spalonym słońcem pustkowiu. Wzruszyłem więc ramionami i używając jednego z niewielu znanych mi słów saraceńskich, powiedziałem:

– Jaśmin *la*. ¹¹¹ Antiochia.

Nie przypuszczałem nawet, jak bardzo go te słowa oburzą.

– Jaśmin *la?! Jaśmin la?! –* powtórzył z gniewem i uniósł groźnie szablę.

- *La* – powtórzyłem i przesylabizowałem mu, najwyraźniej jak umiałem – Antiochia.

- *La! Antiochia la! Jaśmin!* – zawołał takim tonem, jakbym go dźgnął do żywego, po czym ruszył z marsową miną w moim kierunku.

W tej sytuacji wołałem zawrócić konia i znów zjechać z mostu. Ciekawe, że wtedy on także osadził w miejscu swojego siwka i przez dłuższą chwilę obserwowaliśmy się podejrzliwie spode łbów w całkowitym milczeniu.

Ponieważ nie miałem żadnej broni i nie mogłem mu dać nauczki, na jaką zasługiwał, musiałem zmienić taktykę. Zsiadłem zatem z konia i wróciłem na most pieszo. Już z daleka pokazałem nieznajomemu, że nie jestem uzbrojony, a nawet uśmiechnąłem się do niego szeroko, po czym oświadczyłem spokojnie:

– An-tio-chia.

– Jaś-min!!! – ryknął tamten jak ranny łoś, następnie cisnął na ziemię włócznię i miecz, zeskoczył z konia... i rzucił się na mnie z gołymi pięściami!

I o to mi właśnie chodziło. Już po krótkiej wymianie ciosów zdzieliłem go pięścią między oczy z taką siłą, że padł na ziemię nieprzytomny.

– Antiochia – skwitowałem z tryumfem, choć zaraz zrobiło mi się go żal, bo skarciłem go trochę zbyt surowo. Ponieważ ciągle leżał bez czucia, przyniosłem z potoku trochę wody, którą skropiłem mu twarz i skronie. Po tym zabiegu uniósł się z trudem i wsparty na łokciu obrzucił mnie mętym spojrzeniem.

– Choć bardzo mi przykro – mruknąłem, podając mu resztę wody do picia – do wesela się zagoi, a na drugi raz będziesz szukał guza z lepszego niż jaśmin powodu.

Pił łapczywie, lecz kiedy usłyszał z moich ust wypowiedziane lekceważąco słowo „jaśmin”, boleśnie się skrzywił. Po chwili podniósł się i powłókł się po swojego konia i szablę. Broń rzucił mi pod nogi, a następnie wręczył mi cugle swojego wierzchowca.

– Widzę, że prawdziwy z siebie rycerz – doceniłem ten gest i natychmiast przypasałem sobie szablę do boku, bo była mi bardzo potrzebna.

Natomiast druga część zdobyczy wprawiła mnie w zakłopotanie, albowiem koń mojego przeciwnika, był wiekową chabetą o całkiem posiwiłym pysku, wystających żebrach, wyliniałej grzywie, łuszczących się kopytach, głęboko zapadniętym grzbiecie i sterczących w niebo spiczastych łopatkach, słowem, wysłużoną i zabiedzoną szkapą nadającą się co najwyżej do chodzenia w kieracie, ale całkowicie bezużyteczną na wojnie. Toteż zwróciłem mu ją bez wahania, wskazując palcem na niego samego:

– Koń, *la*. Ty, *naam*.¹¹²

Musiał zrozumieć mój gest, bo zmarkotniał jeszcze bardziej, jednak bez słowa skłonił głowę. Tymczasem ja podniosłem z ziemi jakiś patyk i wyrysowałem nim na piasku długą pionową kreskę, zaś na lewo od niej faliste linie mające oznaczać wodę (dla większej jasności umieściłem wśród nich wizerunek dorodnej ryby).

– Tu jest morze – wyjaśniłem. – Mo-rze. A tu ziemia. Zie-mia, rozumiesz? – i na wszelki wypadek dorysowałem jeszcze na lądzie rozłożystą palmę.

Rozumiał czy nie, w każdym razie przyglądał się mojemu dziełu z wielką uwagą. Zachęcony tym, zatoczyłem patykiem w powietrzu trzy albo cztery kółka

nad narysowanym przez siebie łądem, po czym wbiłem go na chybił trafił w piasek.

– Tu jest Jeruzalem, Je-ru-za-lem. Al-Kuds – poprawiłem się, przypomniawszy sobie, jak nazywał to miasto Yusuf.

– Al-Kuds – powtórzył mój jeńiec, kiwając ze zrozumieniem głową.

– Otóż to – ucieszyłem się, że poszło nam tak gładko. A potem przybrałem bardzo stroskaną minę i rozkładając bezradnie ręce, zapytałem – Jeśli tu jest Al-Kuds, to gdzież, u diabła, jest Antiochia?!

I dla lepszego wyeksponowania problemu, wskazałem patykiem kilka dowolnie wybranych miejsc wokół Jerozolimy, za każdym razem kręcąc przy tym z przesadą głową i wzruszając bezsilnie ramionami.

– Antiochia?! – powtórzył młody człowiek i niespodziewanie parsknął śmiechem.

– Co w tym śmiesznego? – zapytałem zdeprimowany, kiedy się wreszcie uspokoił.

– Antiochia, *la!* – odparł z niezmiernym zadowoleniem. – Antakya. An-tak-ya!

Po czym wziął ode mnie patyk i z wielką pewnością siebie wbił go w ziemię bardzo blisko morza, ale za to dość daleko od Jerozolimy.

– An-tak-ya! – powtórzył dobitnie, ująwszy się pod boki.

Przez chwilę przyglądałem się w milczeniu mojemu rysunkowi, a później pokazałem ręką most i drogę widoczną z jego drugiej strony.

– Antakya? – zapytałem z nadzieją.

Wtedy pokiwał głową, a ja odetchnąłem z ulgą. A zatem nie zgubiłem się, nie pomyliłem drogi, nie zawiodłem mojego przyjaciela i być może wciąż jeszcze nie było za późno, by go uratować! Z wielką radością poklepałem mojego jeńca po ramieniu i nie zważając na to, że nie mógł mnie zrozumieć, rzekłem do niego przyjaźnie:

– Uszy do góry! Nie będę cię długo trzymać w niewoli. Jeśli mi pomożesz uwolnić Yusufa, zwrócę ci nie tylko wolność, ale nawet szablę. Zdobędę sobie inną.

Mój gest i ton mojego głosu wyraźnie go odprężyły. Zaczął mi coś tłumaczyć, jakby chciał się usprawiedliwić ze swojej napaści, przerwałem mu jednak, bo chciałem się dowiedzieć czegoś ważniejszego.

– Antakya – rzekłem, po czym wskazując na mojego konia i naśladując cmokaniem tętent kopyt, pokazałem na słońce i uniosłem do góry jeden palec. Następnie przyłożyłem dłoń do twarzy i głośno zachrapałem. Potem, przetarłszy oczy, jakbym się właśnie obudził, znów wskazałem na konia i słońce, prostując tym razem dwa palce. Po kolejnym rzekomym przebudzeniu i ponownym

wskazaniu na mojego wierzchowca i słońce, pokazałem mu trzy palce. I wówczas pojął, o co mi chodzi.

Wyciągnął rękę w stronę mojego konia i zademonstrował dziesięć palców, zaś kiedy w chwilę później wskazał na swojego własnego, wybuchnął śmiechem i do owych dziesięciu dodał jeszcze pięć.

To, że jeśli chciałem zatrzymać przy sobie mojego jeńca wraz z jego nędzną chabetą, musiałem liczyć się aż z piętnastoma dniami jazdy do Antiochii, bardzo mnie zmartwiło, ponieważ oznaczało, że moja przewaga nad asasynami zacznie szybko topnieć. Wiedziałem jednak, że sam nie zdołam uwolnić Yusufa, toteż skinąłem głową i zabrałem się za oględziny mostu.

Niestety, choć było to niezłe miejsce na zasadzkę, stara bizantyjska konstrukcja okazała się bardzo solidna. Pozbywszy się szybko złudzeń, że moglibyśmy ją naruszyć przy pomocy szabli, włóczni oraz łuku i strzał, którymi mój jeńiec także dysponował, zarządziłem wsiadanego i ruszyliśmy niezwłocznie w drogę.

Jechaliśmy na południowy zachód tak szybko, jak była to w stanie wytrzymać szkapka mojego towarzysza. Choć byłem bardzo ciekaw, kim jest, co robił na moście, dlaczego tak uparcie szukał ze mną zwady i czemu dał się wziąć do niewoli z powodu pospolitego słowa „jaśmin”, wzajemna nieznajomość naszych języków stanowiła przeszkodę nie do pokonania i jedyną rzeczą, jakiej zdołałem się jeszcze od niego dowiedzieć, było to, że ma na imię Raduan, Raduan Ibn Obaida.

Utrzymywaliśmy niezłe tempo jazdy (o dziwo, chabeta Raduana radziła sobie lepiej, niż mogłem przypuszczać), a ja przez cały czas rozglądałem się za miejscem, gdzie można by zaskoczyć *hachichiyun*. Niekiedy zatrzymywałem konia i wtedy, ku zdumieniu Raduana, sprawdzałem szerokość mijanych wąwozów, wysokość i kąt nachylenia ich ścian, głębokość osadzenia w ziemi co cięższych kamieni, o ile takie spoczywały na jego koronie, a nawet twardość gruntu pod nogami, w którym – gdyby tylko było czym – można by było wykopać wilczy dół.

Choć żadne z oglądanych miejsc nie spodobało mi się do końca i podejmowaliśmy naszą wędrówkę dalej, moje poczynania budziły w Raduanie coraz większą nieufność. Jego podejrzliwość wzrosła wreszcie do tego stopnia, że na kolejnym postoju chwycił mnie za ramię i z wyraźnym wyrzutem w głosie zasypał mnie stekiem niezrozumiałych pytań. W odpowiedzi wyciągnąłem rękę w kierunku, z którego przyjechaliśmy i wyrzekłem tylko jedno słowo, przeciągając przy tym wymownie palcem po gardle:

– *Hachichiyun*.

Podziałało ono na mojego jeńca jak użądlenie osy.

- *Hachichiyun?! –* powtórzył z groźną miną, a potem, patrząc mi pytająco w oczy, zaczął prostować kolejne palce: jeden, dwa, trzy, cztery...

W odpowiedzi wzruszyłem ramionami i pokazałem mu raz pięć, a raz dziesięć palców.

Wtedy powtórzył zdecydowanie gest podrzynania gardła i wskoczył żwawo na siodło swojej chabety.

– Chwileczkę, stój! – zaprotestowałem i zatoczyłem ręką krąg, dając mu do zrozumienia, że chciałbym przyjrzeć się dokładniej miejscu, w którym się znajdowaliśmy, lecz on pokręcił przecząco głową i pokazał, żeby jechać naprzód.

Zrozumiałem, że musiał znać dobrze okolicę i chciał mi pokazać coś ciekawszego, więc i ja dosiadłem mojego wierzchowca.

Aż do południa następnego dnia nie zatrzymaliśmy się nigdzie, jeśli nie liczyć krótkiego nocnego wypoczynku. Tymczasem po okresie pewnego złagodnienia, teren przez który przejeżdżaliśmy, znowu stał się dzikszysy. Góry przybliżyły się do siebie, droga zwężyła się do rozmiarów zwykłej ścieżki, a my na przemian to pięliśmy się ostro pod górę, to zjeżdżaliśmy w dół na łeb, na szyję, aż się od tego robiło niedobrze. Od czasu do czasu zanurzaliśmy się także w długie i wąskie wąwozy, gdzie z powodu wysokich ścian było trochę cienia i panował przyjemny chłód.

W jednym z takich wąwozów Raduan zatrzymał swoją szkapę. Miejsce było rzeczywiście idealne. Wjeżdżało się do niego wąskim skalnym gardłem, powyżej którego, na koronie ściany z lewej strony, leżało kilkanaście głazów, nie na tyle wielkich, żeby wspólnym wysiłkiem nie dało się ich ruszyć z miejsca i zarazem wystarczająco dużych, by móc każdym z nich z osobna owo gardło zablokować. Za tym wąskim wejściem wąwóz rozszerzał się i ciągnął łagodnym łukiem aż do miejsca, gdzie jego strome ściany zbiegały się ponownie, tworząc kolejny przesmyk, przez który można było przejechać tylko pojedynczo. Nie było tam wprawdzie głazów, które można by strącić z góry, lecz zamknięcie owej szczeliny przy pomocy mniejszych kamieni, zaścielających grubą warstwą dno wąwozu, nie przedstawiało większych trudności. Od wjazdu aż do tego przesmyku ściany wąwozu były niemal pionowe, poza jednym miejscem z lewej strony, gdzie na skutek obsunięcia się skał utworzyło się łagodne rumowisko, pozwalające wspiąć się z łatwością na górę. Wystarczyło mieć na nie oko, aby nikt z ludzi uwięzionych w tej naturalnej pułapce nie miał najmniejszych szans na ucieczkę.

– Wspaniałe! – oceniłem to miejsce po dokładnej inspekcji i ucisnąłem dłoń mojego młodego towarzysza. Rozpromieniony Raduan przeciągnął jeszcze raz palcem po grdyce i zawołał z mściwą satysfakcją:

- *Hachichiyun –* uuuit!

Potem zjedliśmy coś naprędce i zabraliśmy się do pracy.

Zaczelśmy od głazów nad wejściem do wąwozu, bo to od nich zależał sukces całego przedsięwzięcia. Z bliska okazały się znacznie większe, niż to się wydawało z dołu, ale dwa lub trzy z nich, położone przy samym skraju urwiska, wyglądały naprawdę obiecująco. Aby mieć pewność, czy sprostają naszym oczekiwaniom, musieliśmy sprawdzić, jak głęboko tkwią w ziemi. Ich odkopywanie przy pomocy szabli i gołych rąk szło nam nader opornie, ponieważ grunt był pełen kamieni, więc dopiero po paru godzinach harówki mogliśmy poznać, jak się rzecz faktycznie przedstawiała. Do wykorzystania nadawał się tylko jeden z głazów, albowiem reszta siedziała zbyt głęboko w ziemi i okazała się dla nas za ciężka.

Wtedy skupiliśmy się na głębokim podkopaniu wybranego głazu od strony przeciwległej do wąwozu. Kiedy podkop stał się na tyle duży, że mogły się w nim zmieścić dwa grube pale, wybraliśmy się na poszukiwanie drzew obalonych przez wiatr albo burzę. Znalezienie takich, które przy odpowiedniej długości i grubości, zachowały dostateczną giętkość i nie zostały jeszcze zaatakowane przez próchnicę bądź robactwo, nie było wcale łatwe, ale w końcu dopięliśmy swego. Po obcięciu szablą zbędnych gałęzi, przywiązaliśmy do każdego z pni nasze konie i pocziwe zwierzęta przyciągnęły je bez trudu nad urwisko. Tam wsunęliśmy końce obu pali pod głaz i związaliśmy je razem naszymi pasami, po czym umieściliśmy pod tak skonstruowaną dźwignią duży kamień, mający stanowić dla niej punkt podparcia.

Pierwsza, ostrożna próba poruszenia głazu zakończyła się niepowodzeniem. Dźwignia wygięła się sprężyste, bez niebezpiecznego trzeszczenia, lecz kamień ani drgnął. Za drugim razem nacisnęliśmy ją bardziej zdecydowanie, niestety z podobnym skutkiem. Zabraliśmy się zatem za podkopywanie głazu z drugiej strony. Robiliśmy to tak długo, aż wreszcie, przy którejś kolejnej próbie, głaz nieco się uniósł i z lekka pochylił się w stronę wąwozu. Podkopaliśmy go jeszcze trochę, aby mógł sobie z nim poradzić tylko jeden z nas, po czym zabezpieczyliśmy go przed samoistnym upadkiem i ledwie żywi ze zmęczenia udaliśmy się na spoczynek.

Nazajutrz tuż po świcie wzięliśmy się za wznoszenie kamiennej zapory przed wąskim przesmykiem w połowie wąwozu. Była to robota żmudna i nudna, ale znacznie łatwiejsza od sporządzenia dźwigni, bo kamieni do zbudowania barakady było w bród na wyciągnięcie ręki. Do wieczora wyjście z wąwozu w kierunku południowym zostało zablokowane przez wysoką kamienną ławę, którą zwieńczyliśmy jeszcze ostrymi ułomkami skał, mającymi zniechęcić każdego jeźdźca do próby jej przeskoczenia. Nasza kamienna pułapka była gotowa.

Po kolacji bardzo z siebie zadowoleni wylegiwaliśmy się w naszym obozie nad wąwozem, kiedy niespodziewanie doleciał nas odległy a mimo to wyraźny stukot kopyt. Zerwałem się na równe nogi, nie wierząc własnym uszom. Jeszcze nie opracowaliśmy planu działania i nie podzieliliśmy się zadaniami, więc wszystko mogło wziąć w łeb, ale nie było już czasu na rozmowy! Porwałem czym prędzej szablę i włócznię, i popędziłem w stronę wejścia do wąwozu. Raduan ruszył za mną z łukiem i kołczanem pełnym strzał. Po drodze starałem się opanować chaos myśli. Mijał dopiero piąty dzień od mojego wyjazdu z zamku asasynów, a zatem Yusuf mógł być w drodze dopiero jedną dobę i, na zdrowy rozum, nie mógł pokonać aż takiej odległości! Chyba że z jego planów nic nie wyszło albo zaszło coś nieprzewidzianego. Tylko co?!

Minęliśmy pędem wejście do wąwozu i stojącą tam naszą dźwignię, i pognaliśmy dalej na pagórek, skąd roztaczał się rozległy widok w kierunku północy.

W naszą stronę zbliżało się czterech jeźdźców prowadzących ze sobą kilka objuczonych mułów. Na szczęście, wyglądali na zwykłych kupców, śpieszących się wyraźnie, by jeszcze przed zmierzchem przebyć najtrudniejszy odcinek drogi. Odetchnąłem z ogromną ulgą i choć nie stanowili dla nas większego zagrożenia, pobiegliśmy zaraz z Raduanem w pobliże naszej barykady, gdzie ukryliśmy się za skalnym załosem. Byłem zdecydowany ich zaatakować, gdyby tylko przyszło im do głowy rozbierać przeszkodę wzniesioną przez nas z takim trudem.

Tymczasem kupcy wjechali do wąwozu i poganiając jeszcze bardziej swoje zwierzęta (miejsce to nie cieszyło się widać dobrą sławą), dotarli wkrótce do naszej barykady, gdzie stanęli jak wryci. O ich zdumieniu i oburzeniu świadczyły najlepiej okrzyki i przekleństwa, którymi zaczął po chwili rozbrzmiewać cały wąwóz. Jeden z podróżnych wdrapał się nawet na szczyt naszej konstrukcji, by ją sobie lepiej obejrzeć i wzburzoną głosem relacjonował coś stamtąd pozostałym. Potem zszedł na dół i cała czwórka zaczęła się głośno naradzać. Trwało to jednak dość krótko, gdyż widocznie strach wziął w końcu górę i już po chwili cała czwórka wskoczyła na siodła, by popędzić z powrotem tam, skąd przyjechała.

Jeśli Raduan miał jeszcze jakieś wątpliwości co do moich zamiarów, to po tej przygodzie z kupcami z pewnością pozbył się ich do reszty. Ja także wyciągnąłem z niej odpowiednie wnioski. Jeszcze tej samej nocy „omówiłem” z nim dokładnie – aż mnie od tego rozboleły ręce! – plan naszej akcji. Ustaliliśmy, że ja będę przebywać stale na pagórku obserwacyjnym, natomiast Raduan w pobliżu dźwigni. O pojawieniu się asasynów miałem go powiadomić uniesieniem do góry ramienia i, ewentualnie, rzuceniem kamienia o skałę;

O tym, ilu ich jest, stosowną liczbą machnąć ręką, zaś o tym, że powinien natychmiast zablokować wjazd do wąwozu – podniesieniem i opuszczeniem obu rąk. Do mnie należało także rozprawienie się z *hachichiyyun*, którzy pozostaliby na zewnątrz wąwozu po jego zatarasowaniu, podczas gdy mój młody towarzysz miał pilnować rumowiska i wystrzelać z łuku tyłu zjadaczy haszyszu, ilu tylko zdoła trafić. Tych, którym udałoby się ukryć w jakichś zakamarkach wąwozu lub za zbudowaną przez nas barykadą, mieliśmy później odszukać z szablami w dłoniach.

Tego planu trzymaliśmy się odtąd z żelazną konsekwencją. Przez cały następny dzień wpatrywałem się w horyzont aż do bólu, lecz czułem się z tym znakomicie, całkiem jak na łowach w moich rodzinnych stronach, gdzie człowiek czasami czeka pół dnia w jednym miejscu, o głodzie, chłodzie i niewygodzie, nierzadko po pas w kopnym śniegu, ale nawet tego nie zauważa i bynajmniej się nie nudzi, ponieważ byle szelest czy trzask łamanej gałązki przyprawia go o żywsze bicie serca, a jego zmysły, napięte do ostatnich granic, chłoną wszystko o wiele pełniej i piękniej niż zwykle.

Jednak nasza zwierzyna nie zjawiała się, droga pozostawała martwa i pusta. Gdy to samo powtórzyło się następnego dnia, zaczął mnie ogarniać coraz większy niepokój. Znowu opadły mnie wątpliwości, czy nie pomylił się drogi, czy Raduan na pewno znał dobrze okolice, a nawet, czy nie wprowadził mnie celowo w błąd? Bo jaki właściwie mógł mieć interes w tym, żeby mi pomagać i nastawać na życie własnych rodaków i pobratymców w wierze? Co miał przeciwko asasynom? Kim wreszcie był on sam i dlaczego tak łatwo do mnie przystał? Dlaczego nie próbował ucieczki? I o co chodziło z tym jaśminem? Jednak moje podstawowe wątpliwości i najczarniejsze myśli dotyczyły Yusufa, zwłaszcza tego, czy jeszcze w ogóle żyje. I czy przypadkiem nie było tak – co z wygody wolałem od siebie odsuwać – że wymyślony przez niego plan ratunku sprowadzał się wyłącznie do tego, żeby ocalić moje własne życie? Że jego rzekomy wyjazd do Antiochii był od początku miłosierdnym kłamstwem, zakładającym z góry moją naiwność, albo co gorsza moją małoduszność, o ile nie nikczemność? Bo po co miałyby się tam wybierać w towarzystwie *hachichiyyun*

I dlaczego oni mieliby na to przystać?

Gryzłem się tymi pytaniami nieustannie i popadałem w coraz większe przygnębienie, kiedy trzeciego dnia tkwienia na posterunku, gdy straciłem już niemal wszelką nadzieję, zauważyłem w oddali mały obłoczek kurzu. Obłoczek ten szybko rósł i w parę chwil później nie miałem już wątpliwości, że wznieca go grupa jeźdźców. Wskoczyłem czym prędzej na siodło i kryjąc się za krzakami, podjechałem kawałek w ich stronę, by się im lepiej przyjrzeć. Było ich

dziewięciu: ośmiu asasynów oraz Yusuf, którego rozpoznałem bez trudu po jego krągłej sylwetce. Prowadzili pięć jucznych mułów.

– A więc żyje, niech go wszyscy diabli! – wykrzyknąłem tyleż wzruszony, co pełen podziwu i natychmiast wróciłem na pagórek obserwacyjny, aby przekazać Raduanowi umówione znaki.

Następnie ukryłem konia w zaroślach i położyłem się na ziemi, czekając aż *hachichiyyun* podjadą bliżej. Pewni swojego bezpieczeństwa, jechali rozciągniętą kolumną, Yusuf – wyglądający na szczęście całkiem dobrze – jako czwarty od końca.

Gdy znaleźli się wystarczająco blisko, by mógł mnie usłyszeć, zacząłem pohukiwać jak pójdzka. Już po pierwszym z tych odgłosów mój przyjaciel rozejrzał się dyskretnie dookoła. Po trzecim zatrzymał konia, udając, że ma jakiś kłopot z popręgiem. Jeden z jadących za nim asasynów minął go obojętnie i pojechał dalej, jednak dwóch pozostałych zatrzymało się czekając, aż usunie rzekomą usterkę. Kiedy zahukałem po raz piąty, Yusuf zsiadł z konia i zaczął majstrować przy rzemieniu przechodzącym pod końskim brzuchem. Wówczas jeden z pilnujących go *hachichiyyun* począł go ostro strofować, więc zahukałem po raz szósty. Yusuf uśmiechnął się i wdał się w jakieś zawile wyjaśnienia, ja zaś odczekałem, aż ostatni z pierwszej grupy asasynów wjedzie do wąwozu i zahukałem po raz siódmy. Potem zerwałem się na równe nogi, uniosłem obie ręce wysoko w górę i opuściłem je z rozmachem.

Byłem pewny, że jeden z dwóch towarzyszących Yusufowi asasynów mnie zauważył, ale nie miało to już większego znaczenia, ponieważ w tym samym momencie u wejścia do wąwozu rozległ się potężny huk spadającego głazu i niemal jednocześnie kwik koni i krzyki ludzi.

Pierwszy z pilnujących Yusufa *hachichiyyun* spał natychmiast wierzchowca i pogalopował w stronę wąwozu, natomiast drugi – ten, który mnie dostrzegł – wyszarpnął szablę i ruszył w moim kierunku.

Rzuciłem się z powrotem na ziemię i skulony za krzakiem pozwoliłem mu podjechać jak najbliżej. Dopiero kiedy znalazł się o kilka kroków ode mnie, podniosłem się gwałtownie i cisnąłem w niego z całej siły włócznią. Przebity na wylot przekoziółkował przez koński zad z rozrzuconymi szeroko rękami. Wtedy wskoczyłem na konia i pogałem na złamanie karku w dół zbocza.

Dalej wszystko potoczyło się błyskawicznie. Minąłem Yusufa i nie odpowiadając nawet na jego powitania i okrzyki radości, skierowałem się ku wejściu do wąwozu, skąd wracał już pędem drugi asasyn. Gdy znaleźliśmy się strzemię w strzemię, zaatakował mnie szablą, ale zrobiłem unik i przedłużając maksymalnie ruch ręki, sam ciąłem go na odlew w kark. Stwierdziwszy, że i ten nie żyje, zabrałem mu szablę i zawróciłem do Yusufa.

– Za mną! – zawołałem i popędziliśmy brzegiem wąwozu do Raduana, zajmującego pozycję nad rumowiskiem.

Przy mijaniu wejścia do wąwozu, zobaczyłem z góry, że głaz spuszczonej przez mojego pomocnika zablokował skutecznie wjazd do pułapki. Nieco dalej, za zakrętem, leżały trupy dwóch asasynów z pierzastymi strzałami w plecach.

Raduan, z łukiem na kolanach, siedział w kucki nad rumowiskiem i obserwował spokojnie dno wąwozu, gdzie widać było jedynie spłoszone konie. W połowie wysokości zbocza, rozciągnięte na kamieniach, spoczywały zwłoki dwóch kolejnych zjadaczy haszyszu.

– Zapytaj go – poprosiłem Yusufa, który na widok Raduana stanął jak wryty – co z pozostałymi?

– Leżą martwi obok barykady – odparł mój młody towarzysz, kiedy Yusuf przetłumaczył mu moje pytanie. – Zaprawdę, Allah jest wielki! A tobie jak poszło, panie?

– Znakomicie – zapewniłem go i uradowany wyciągnąłem do niego rękę. – Dziękuję ci z całego serca, przyjacielu. Jesteś wolny, oto twoja szabla. A teraz poznaj Yusufa, któremu uratowaliśmy życie.

Raduan skłonił przede mną głowę, a potem obaj Arabowie wymienili jakies uprzejmości i wdali się w ożywioną rozmowę, którą po chwili postanowiłem jednak przerwać.

– Przepraszam, jeszcze się nagadacie, zresztą ja też mam do was kilka pytań, ale teraz trzeba się zastanowić, co dalej, jeśli nie chcemy mieć na karku następnych zbójów?

– Masz rację, panie – przyznał Raduan i zwrócił się do Yusufa. – Kiedy mogą zacząć was szukać?

– Za jakieś trzy, cztery tygodnie – wyjaśnił mój były sługa.

– To świetnie – uśmiechnął się młody człowiek. – Mamy dość czasu, żeby nigdy nie znaleźli ani ciebie, ani swoich. Teraz najważniejsze to złapać konie tych, którzy zginęli przed wąwozem, żeby przypadkiem nie wróciły same do domu. No i zebrać wszystkie trupy. Ja mogę zająć się tym pierwszym, co ty na to, panie?

– Dobrze – kiwnąłem głową. – Jeśli nie zdołasz ich schwytać, po prostu je zabij. My tymczasem pobieramy trupy. Czy mamy je pogrzebać?

– Broń Boże! Muszą się rozplątać w powietrzu, aby inni *hachichiyyun* nigdy ich nie znaleźli. To miejsce jest zbyt dobre na zasadzkę, żeby go dokładnie nie sprawdzili. Dlatego musimy rozebrać barykadę i dźwignię oraz wywieźć stąd zwłoki. Pochowamy je na pustyni. Tam też rozpędzimy ich konie.

– A nie lepiej je gdzieś sprzedać? – nie za bardzo spodobał mi się ten ostatni pomysł.

– Nie, panie. Nie chciałbym mieć na sumieniu tych, którzy je kupią.

– W porządku, niech tak będzie – zgodziłem się po chwili namysłu. – A zatem, do roboty.

Ale zanim po jego odjeździe wzięliśmy się do pracy, najpierw padliśmy sobie z Yusufem w ramiona, jako że do tej pory nie było na to czasu.

– A więc, udało się! – rzekłem wzruszony. – Jak tego dokonałeś?

– Sposobem – uśmiechnął się tajemniczo. – A dokładniej dzięki dwóm ostatnim bryłkom złota, jakie podarował nam szambelan księcia Hadjiego. Kiedy w zamku *hachichiyun* zastanawialiśmy się, jak uratować naszą skórę, przyszedł mi do głowy pewien pomysł, w związku z czym, przy rozdzielaniu bagażu, przełożyłem je do moich juków.

– Przekupiłeś ich złotem? – zapytałem z niedowierzaniem.

– Niezupełnie. To nie są ludzie, których można przekupić, w każdym razie nie końskim łajnem. Liczyłem raczej na to, że nawet oni nie są do końca pozbawieni rozsądku.

– To znaczy? – zdziwiłem się.

– Czy pamiętasz, panie, że kiedy opuszczałeś twierdzę, zacząłem do nich przemawiać? Otóż, z jednej strony, kajałem się przed nimi z powodu mojej przyjaźni z niewiernym i błagałem ich o darowanie mi życia, z drugiej zaś, wychwalałem ich pod niebiosa za prowadzenie świętej wojny i zaoferowałem im swoją pomoc w tym zbożnym dziele.

– Zaoferowałeś im swoją pomoc w prowadzeniu świętej wojny?! – zdumiałem się jeszcze bardziej.

– Tak jest, panie. Powiedziałem im, że znam sekret produkcji złota i mogę im wyprodukować tyle tego kruszcu, ile tylko zechcą, dzięki czemu będą mogli zwerbować nowych wojowników i uzbroić ich po zęby, zbudować nowe zamki, zyskać kolejnych sojuszników i zjednać sobie życzliwość wielu władców, emirów i szejków, a także miejscowej ludności, co jak wiadomo, ma podstawowe znaczenie przy prowadzeniu każdej wojny.

– I uwierzyli ci?

– Jedni tak, inni nie. Ale ponieważ tych pierwszych było znacznie więcej, szejk *hachichiyun* kazał mi pokazać, co potrafię. Zażądałem przygotowania odpowiedniego paleniska i dużej stalowej patelni, jak też wręczyłem im długą listę najprzeróżniejszych składników – od pospolitych ziół po kości bardzo rzadkich zwierząt – zaznaczając, że najważniejsze z nich to brykiety węgla drzewnego i *al-iksir*, magiczny kamień, bez którego nie udaje się żadna transmutacja. Spodziewałem się, że zgromadzenie tych wszystkich ingrediencji zajmie im dużo czasu, ale tak bardzo się starali, że już czwartego dnia mieli wszystko oprócz *al-iksiru*!

Wtedy pocieszyłem ich, że w jukach zostało mi jeszcze trochę tego cudownego środka i kazałem je sobie przynieść. W czasie gdy rozpalali pod patelnią ogień, zamieniłem zwykłe brykiety węgla na złoto, do którego dorzuciłem wszystkie pozbierane przez nich zioła, kości, pióra i czort wie co jeszcze, a na koniec cały zapas rzekomego *al-iksiru*, który nie był niczym innym jak garścią piasku z zamkowego warzywnika. Dla większego efektu poprosiłem jednego ze zbójów, by mieszał to wszystko na patelni, zwracając przy tym uwagę na właściwe tempo i odpowiedni kierunek poruszania chochlą. Trzeba ci było widzieć, panie, ich miny, gdy na dnie patelni zaświeciło złoto! Z podziwu i radości o mało nie wyleźli ze skóry! I oczywiście zaraz zażądali, żebym go zrobił więcej. Odpowiedziałem, że bardzo chętnie, ale najpierw muszą mi zdobyć *al-iksir*, o który najłatwiej w pewnej jaskini pod Antiochią, naturalnie pod warunkiem, że będą go potrafili odróżnić od innych minerałów. Po krótkiej naradzie ich szejk zdecydował, że mam tam pojechać osobiście pod strażą ośmiu jego ludzi i przywieźć tyle *al-iksiru*, ile zdoła udźwignąć pięć juczych mułów.

– A niech cię diabli! – roześmiałem się. – I co było dalej?

– Dalej już nic specjalnego, oprócz niecierpliwego oczekiwania na pohukiwanie sowy, za które jestem ci bardzo wdzięczny – roześmiał się i on.

Uściskałem go serdecznie jeszcze raz, a wtedy zapytał mnie tonem, w którym wyczułem nutkę niepokoju:

– A kim jest nasz nowy przyjaciel?

– Nie mam pojęcia – odpowiedziałem zgodnie z prawdą. – Wziąłem go po prostu do niewoli. Ale może teraz, dzięki tobie, czegoś się wreszcie dowiem.

XVII

Zanim Raduan powrócił szczęśliwie z końmi obu zabitych przeze mnie asasynów, z pomocą Yusufa zebrałem wszystkie trupy i wydobyłem z ich ciała strzały, które należało oszczędzać, zdemontowałem i zwiozłem na dół dźwignię, zasypałem starannie ślady po podkopie pod głazem, a wreszcie wyłapałem wałęsające się w wąwozie konie i muły, które bądź spętałem, bądź poprzywiązywałem do większych kamieni. Potem, już we trójkę, rozebraliśmy barykadę, co poszło o wiele szybciej niż jej wznoszenie, i jeszcze przed wieczorem ruszyliśmy w dalszą drogę.

Jechaliśmy na południe całą noc i dopiero na pierwszym postoju o świcie, daleko na pustyni, pochowaliśmy ciała dwóch pierwszych asasynów i dźwignię. W ten sam sposób pozbyliśmy się w ciągu dnia zwłok pozostałych *hachichiyyun*, podobnie jak ich siodeł, broni i juków. Zatrzymaliśmy sobie jedynie prowiant, bukłaki, skórzane worki na wodę, namioty i pieniądze, a ja osobiście – sztylet i najlepszą szablę. Wieczorem, na wyjątkowym odludziu, gdzie z pewnością nie brakowało różnych dzikich bestii, rozpuściliśmy także ich konie i muły, zachowując sobie tylko po jednym wierzchowcu na zmianę, a później, by ostatecznie zmylić ewentualną pogoń, skierowaliśmy się ku wschodowi, to znaczy w kierunku przeciwnym do położenia Antiochii.

Dopiero wtedy, na pierwszym prawdziwym biwaku, dałem upust zżerającej mnie ciekawości i zapytałem Raduana, kim jest i dlaczego najpierw na mnie nastawał, żeby mi potem pomóc?

Kiedy Yusuf przetłumaczył mu moje słowa, nasz młody towarzysz uśmiechnął się, następnie skupił się, przyłożył prawą dłoń do serca i wpatrzony w rozgwieżdżone niebo, zaczął melodyjnie recytować:

Szlachetny przechodniu, zapłacz nad moim losem, Jeślim dziś w niewoli, zawdzięczam to zdradzie, Wszak w uczciwej walce, nieomylnym ciosem, Moja szabla trupem wszystkich wrogów kładzie. Proszę, mojej matce zawieź tę nowinę, Lecz nie mów jej, błagam, że mój kres już bliski! Niech się dalej ludzi, że pojme Jasmine I jej starość wnuczka osłodzi kołyski.

Przyznam, że po tych słowach osłupiałem. Nie dość, że jak okiem sięgnąć nie widać było żadnego przechodnia, szlachetnego czy też nie, to jeszcze zostałem okrutnie spotwarzony.

– Chwileczkę! – zawołałem z oburzeniem. – Co to ma znaczyć? O jakiej zdradzie mówisz? Przecież pokonałem cię w uczciwej walce, nie jesteś w żadnej niewoli i tym bardziej nikt nie nastaje na twoje życie! Chyba temu nie zaprzeczysz?

– Ani myślę, panie. Jest dokładnie tak, jak mówisz, choć to rzecz drugorzędna – odpowiedział na to z uśmiechem. – Chciałeś, żebym się przedstawił, więc się przedstawiłem. Jestem Beduinem i poetą, co zresztą na jedno wychodzi, i po prostu staram się udźwignąć ten podwójny zaszczyt.

Zbity z tropu spojrziałem na Yusufa, lecz ten pokiwał z aprobatą głową.

– Na to wygląda, panie. Literatura, a zwłaszcza poezja, ma swoje prawa i nie można do nich podchodzić zbyt skrupulatnie. Także mojego dziadka Yahyę Ibn Omara, który był podobno okropnym brzydalem, nikt nie traktował śmiertelnie poważnie, przynajmniej dopóki opiewał krągłe pośladki.

– Rozumiem – uspokoiły mnie te wyjaśnienia. – Mniejsza zatem o poezję i poetów, niech sobie lżą, ile wlezie, skoro wymagają tego prawidła ich sztuki, ale jakie ma znaczenie to, czy ktoś jest, czy też nie jest Beduinem?

Kiedy Yusuf przetłumaczył to pytanie Raduanowi, ten spojrział na mnie takim wzrokiem, jakby nie mieściła mu się w głowie podobna ignorancja, po czym rozłożył bezradnie ręce i nie wyrzekł ani słowa.

– Ma i to ogromne – wyręczył go mój były sługa. – Beduini to pierwородni synowie Arabii, sam kwiat, sól i opoka naszego narodu, jego najczystsze źródło i prawdziwy korzeń. Cechuje ich nadzwyczajne umiłowanie wolności, duma, rycerskość, odwaga, nieustępliwość w walce, żywa inteligencja, prostota obyczajów i szlachetność serca, połączone z poczuciem równości i braterstwa w stosunku do innych Beduinów, i nieskończonej wyższości wobec reszty świata.

Jeśli któryś z pobratymców Beduina popadnie w biedę, ten zarznie dla niego ostatnią owcę i odda mu własną koszulę; jeśli jeden Beduin poniesie uszczerbek na honorze, drugi natychmiast uznaje się za pokrzywdzonego i nie spocznie, póki nie nasyci swego serca krwawą zemstą; jeśli jednemu zbłąka się owca, poszukuje jej cała wioska; jeśli jeden się żeni, reszta tak się z tego cieszy, jakby miała co najmniej udział w nocy poślubnej. Przy tym wszystkim Beduini są bardzo gościnni i hojni, zgodnie z wyznawaną przez siebie zasadą, że ludziom szlachetnym trwonienie pieniędzy sprawia nie mniejszą przyjemność, niż ludziom miernym ich gromadzenie, a ich niechęć wobec wszelkiej władzy i każdego rządu nie ma sobie równych na całym świecie. Powiada się nawet, że nie uznają nad sobą innych panów oprócz Allaha i Jego Wysłannika, choć i to nie jest całkiem pewne, zważywszy jak lekceważąco potraktowali kiedyś ich szejkwie samego Mahometa, który próbował ich nawracać na prawdziwą wiarę, studząc Jego zapał wyniosłymi słowy: „Nie mamy ochoty z Tobą dyskutować. Jeśli naprawdę jesteś Tym, za kogo się podajesz, o czym mielibyśmy z Tobą rozmawiać? Jeśli zaś jesteś oszustem, nie zasługujesz na to, byśmy się mieli do Ciebie odzywać.”

Jest wreszcie prawdą, że niemal wszyscy Beduini są doskonałymi poetami, chociaż z drugiej strony nie da się ukryć, że od wieków opiewają w swoich wierszach jedno i to samo, czyli miłość, konie, wielbłądy, opustoszałe obozowiska, wino oraz wojnę.

– Zgadza się co do joty – potwierdził Raduan, wysłuchawszy tłumaczenia Yusufa. – I to nawet w przypadku mojej rodziny, prowadzącej już od trzech pokoleń osiadły tryb życia. Ja również, jak przystało na Beduina, od najmłodszych lat ćwiczyłem cnoty, którymi powinien się odznaczać prawdziwy rycerz: szlachetność, hojność, odwagę, siłę fizyczną, wytrzymałość, sztukę jeździecką, umiejętność strzelania z łuku i posługiwania się każdą inną bronią, a także miłosierdzie i wrażliwość na krzywdy wyrządzane przez ludzi niegodziwych biedakom, dziewczicom, wdowom i sierotom. Co do innych przymiotów wojownika, takich jak uroda, talent poetycki i kochliwość, to nie musiałem o nie szczególnie zabiegać, jako że z łaski Allaha cieszyłem się nimi od chwili narodzin. I tak, już w wieku dwunastu lat ułożyłem mój pierwszy wiersz miłosny – tu przyłożył ponownie prawą rękę do serca i zaczął deklamować:

*Wojaczka i rozkosz to dwie namiętności, Którym się oddaję i we dnie, i w nocy;
W boju nie mam równych, niestety w miłości Biorą mnie w niewolę byle piękne
oczy, Wszelka kształtna kibić i ramiona smukłe, Każde piersi bujne i rzewne
spojrzenie, Każde długie rzęsy i biodra wypukłe, A nawet uparte, wymowne
milczenie. Więc choćbym tryumfów odniósł w polu więcej, Pozostanę zawsze
zwycięzcą i jeńcem.*

Potem stworzyłem wiele podobnych wierszy, a kiedy skończyłem osiemnaście lat, zakochałem się naprawdę, i to bez pamięci – dokończył z dumą Raduan.

– Czyżby we wspomnianej Jasminie, którą jak się zdaje wziąłem omyłkowo za kwiat? – zapytałem z ciekawością.

– I owszem, lecz nie pomyliłeś się aż tak bardzo, panie. To rzeczywiście najpiękniejszy z kwiatów, jakie Allah umieścił na tym padole, choć na razie poznałem tylko jej prawą rękę.

– Przyznam, przyjacielu, że mnie zadziwiasz. Jak można się zakochać na podstawie tak drobnego szczegółu, skromnego fragmentu większej całości, niekoniecznie dorównującej mu pod względem urody?

– Od razu widać, że nie jesteś poetą – stwierdził z ledwie wyczuwalną drwiną.
– Mnie to w zupełności wystarczyło.

– Więc tym bardziej nam o tym opowiedz – poprosił Yusuf.

– Zwłaszcza, jeśli w ten okrężny sposób dojdiesz do odpowiedzi na pytania, jakie zadałem ci na początku – dodałem ze swej strony.

– Zapewniam cię, panie, że tak właśnie będzie – skłonił przede mną czoła. – Otóż kiedy miałem osiemnaście lat, bardzo lubiłem spędzać noce w towarzystwie przyjaciół w dzielnicy uciech mojego rodzinnego Damaszku, gdzie oprócz wielu otwartych do białego rana tawern nie brakowało również najbardziej zakazanych, a tym samym najbardziej pożądanym przez wszystkich rozrywek. Któregoś razu, gdy po udanej zabawie wracałem do domu i szedłem na skróty przez najbogatszą dzielnicę miasta, zza muru jednego z mijanych po drodze pałaców doszedł mnie cudowny głos młodej dziewczyny. Głos ten, aksamitny, a zarazem dźwięczny, krystalicznie czysty i bezbrzeżnie czuły, śpiewał stare, dobre kasydy, jakie dawni, najlepsi z poetów raczyli ułożyć na cześć miłości. Jakby mnie nagle poraził piorun, przystanąłem i drżąc ze wzruszenia wysłuchiwałem kilku z nich. A potem, zapragnąwszy poznać właścicielkę tak wspaniałego głosu, wdrapałem się na pobliskie drzewo, skąd mogłem rzucić okiem do wnętrza posesji.

Ukryty wśród gałęzi, zobaczyłem drzwi prowadzące z pałacu na ogromny taras, otwarte szeroko z powodu upału, ale oprócz rozwalonego na sofie tłuściocha w średnim wieku, który z pucharem wina w ręku słuchał tego samego co i ja śpiewu, nie dojrzałem nikogo więcej. I pewnie tak by już pozostało, gdyby ów grubas nie zawołał w pewnej chwili „Jasmino!” i nie wyciągnął przed siebie opróżnionego naczynia. Śpiew natychmiast ustał i zza kotary przesłaniającej wyjście na taras wysunęła się najpiękniejsza z rąk, jakie istnieją zarówno na tym, jak i na tamtym świecie, aby napełnić puchar złocistym winem.

Na Tego, do którego należy Wschód i Zachód, cóż to była za ręka! Cienka i gibka w przegubie niczym szyja antylopy, gładka i biała jak szczyty Taurusu, zakończona palcami wysmukłymi jak liście oliwki i ozdobiona dyskretnie henną jak futro lamparta! Wystarczyło mi spojrzeć na nią jeden jedyny raz, by zrozumieć, że Najwyższy, w swojej nieskończonej dobroci i bez jakiegokolwiek zasługi z mojej strony, otworzył przede mną na oścież bramy rajy i że moje serce, dopóki nie przestanie bić, nie będzie już nigdy należeć do kogoś innego!

Świadomość tego faktu tak bardzo mną wstrząsnęła, że przesiedziałem jeszcze na drzewie kilka godzin po tym, jak wspomniany pasibrzuch zamknął drzwi na taras, zaś po powrocie do domu, w jednym porywie natchnienia, napisałem ten oto wiersz:

Twój śpiew mnie poraził, cudowna istoto! Wstrząsnął moją duszą, zakołysał ciałem! Kocham cię, Jasmino, tak jak nigdy dotąd, Nikogo innego w życiu nie kochałem! Znam cię tylko z ręki, śpiewu i imienia, Więc jestem szalony, że aż tak cię kocham, Ale, na Allaha, nie chcę otrzeźwienia, Niech będę przeklęty, jeśli cię poniecham!

Następnego dnia poruszyłem niebo i ziemię, żeby dowiedzieć się, kim może być moja ukochana, lecz kiedy okazało się, że jest córką jednego

z najważniejszych dostojników na dworze naszego władcy, popadłem w najczarniejszą rozpacz i napisałem:

Nie ma ratunku! Chyba lepiej zginąć Na polu bitwy od nagłego ciosu, Niż całe życie tęsknić za Jasminą Bez krzty nadziei na odmianę losu!

Od tej pory nie jadłem, nie piłem i marniałem w oczach, czym w końcu przejął się mój dobry ojciec, który kazał mi sobie o wszystkim opowiedzieć. Kiedy to zrobiłem, bardzo się zmartwił i w tajemnicy przede mną wpadł na pewien pomysł, mogący jego zdaniem przynieść mi ulgę w tych ciężkich chwilach. Otóż kupił na targu piękną niewolnicę, nadał jej imię „Jasmina” i którejś nocy wprowadził ją po cichu do mojej sypialni. Moje zaskoczenie i radość nie miały granic, zwłaszcza gdy potraktowałem ją dokładnie tak, jak pragnąłem potraktować prawdziwą Jasminę...

– No wiesz, zdumiewasz mnie coraz bardziej! – zauważyłem z przyganą. – Jak można kochać się w jednej, a sypiać z drugą?

– A ja się dziwię tobie, panie – odpowiedział na to Raduan. – Bo czyż z tego, że nie możesz skosztować najlepszego wina – takiego, które można by uznać za matkę wszystkich win na świecie – wynika, że masz w ogóle nie gasić pragnienia? Czyż fakt, że pijesz gorsze, uwłacza w czymkolwiek temu najlepszemu? I czyż wreszcie sama świadomość, że to najlepsze wino po prostu istnieje, choćby akurat dla ciebie było niedostępne, nie osładza w jakiś sposób trunku, który przyszło ci spożywać, pozbawiając go w pewnej mierze kwaśności, osadu i mętnej zawiesiny?

– Nie wiem. Widzę jednak, że nader szybko znalazłeś sobie pociechę.

– I tu się mylisz, panie. Bo choć moja niewolnica bardzo się starała, to przecież jej ręka nie była tą ręką, na której zależało mi najbardziej, a jej śpiew, choć i ona miała niewątpliwy talent i bardzo przyjemny głos, nie był tym śpiewem, jaki ciągle rozbrzmiewał w moim sercu. Toteż wzywałem ją do siebie coraz rzadziej i rzadziej, aż wreszcie, za zgodą ojca, obdarowałem ją wolnością oraz pełną kieszą złota i odprawiłem ją z domu na zawsze. Wkrótce potem popadłem w jeszcze większą melancholię i szukając zapomnienia, pisałem już tylko takie wiersze, jak na przykład ten, który pozwolę sobie wyrecytować:

Niech moją mogiłę przykryją kamienie Lub zasypie piasek zrodzony z pustyni...

– Dobrze już, dobrze – przerwałem mu po dwóch wersach. – Co do mnie, to wciąż nie pojmuję, dlaczego nie poprosiłeś zwyczajnie o jej rękę, skoro już tak bardzo ci się ona spodobała?

– Niestety, to w ogóle nie wchodziło w rachubę. Wprawdzie mój ojciec Obaida, jak każdy Beduin, miał prawo uważać się za szlachcica, zaś hodowla wielbłądów, której się z pasją oddawał, zapewniała nam godziwe życie, to jednak

między moją rodziną a potężnym i bogatym rodem Jasminy rozciągała się nieprzebyta przepaść!

Istniał poza tym jeszcze jeden problem, znacznie poważniejszy. Otóż musicie wiedzieć, że mój dobry ojciec niemal pod każdym względem był człowiekiem nadzwyczaj umiarkowanym. Złośliwi twierdzili nawet, że aż za bardzo, albowiem nigdy ponoć nie widziano, żeby przedkładał lekturę Koranu nad śpiew i muzykę, post nad wystawne uczyty, a pobożne rozmowy nad rozkosze łowów. Niezależnie od tych pomówień, pozostaje faktem, że przez całe życie trzymał się z daleka od zwalczających się stronnictw, starał się żyć dobrze z każdym rządem bez względu na jego barwę i prawowitość, nigdy nikomu nie schlebiał, ani nikogo nie potępiał, zaś w sprawach religii postępował tak, jak przystało na Beduina, to znaczy wypełniał nakazane obowiązki bez jawnej niechęci, choć zarazem także bez rzucającej się w oczy nadgorliwości. Dobrym przykładem umiaru, jaki wykazywał w tych sprawach, może być sposób, w jaki zazwyczaj odprawiał pokutę. Otóż, kiedy tylko poczuł, że przygniata go brzemię grzechów, brał igłę pinii, kłuł się nią kilkakrotnie w palec, wołając przy tym za każdym razem: „Aj! Aj! Wspomnij Obaido na męki piekielne, i błagam cię, nie grzesz więcej!”, później zaś, z poczuciem ulgi, powracał czym prędzej do wcześniejszego trybu życia. Niestety, od zasady złotego środka, której generalnie hołdował, czynił jeden fatalny wyjątek, odnoszący się do picia wina.

– A ja myślałem, że wino jest wam zakazane? – zdziwiłem się po tych słowach.

– To prawda – potwierdził Raduan – choć po cichu wielu je popija, niekiedy nawet dość tęgo. Kłopot z moim ojcem nie polegał jednak na tym, że je popijał, ale na tym, że pił na umór, jak nie przymierzając Żyd albo chrześcijanin, i że czynił to jawnie, bez żenady, o każdej porze dnia i nocy. Nic zatem dziwnego, że miał zszarganą opinię, a wraz z nim także ja i cała reszta naszej rodziny.

– Bardzo ci współczuję, Raduanie Ibn Obaido – odezwał się Yusuf. – I nie dało się na to nic poradzić?

– A cóż można poradzić na pijaństwo? – odparł Raduan. – Wprost przeciwnie, z tygodnia na tydzień działało się coraz gorzej. W końcu doszło do tego, że kiedy wracał półprzytomny z miasta, moja matka nie wpuszczała go na noc do domu i musiał sypiać w stajni razem ze zwierzętami, co go zresztą, biedaka, zgubiło do reszty.

– Zgubiło go do reszty sypianie w stajni? – uniosłem brwi z niedowierzania.

– Tak jest, panie. Zgodnie z tym, co mi powiedział przed swoją śmiercią, którejś nocy, gdy pijany jak bela spał sobie na stryszku stajni, obudziły go nagle czyjeś głosy. Ponieważ nie należały one do nikogo z naszej rodziny, przestraszył się, że mogło chodzić o złodziei, toteż podczołgał się cichaczem do barierki

i ostrożnie spojrział w dół. W stajni nie było nikogo oprócz trzech naszych koni – karego ogiera rasy arabskiej, gniadej klaczy zakupionej niedawno na targu od chrześcijańskiego kupca oraz tego starego siwka, na którym podróżuję. Mój ojciec odetchnął z ulgą i już miał znowu zapaść w sen, kiedy na dole rozległo się głośne chrząknięcie. Wtedy znów wyjrzał zza deski i to, co ujrzał, o mało nie przyprawiło go o atak serca...

– A cóż takiego ujrzał? – zapytał Yusuf.

– To, że głosy, które wcześniej słyszał, należały do jego własnych koni! Najwyraźniej (w każdym razie tak to sobie tłumaczył, kiedy wytrzeźwiał) doszedł już w swoim pijaństwie do stanu takiego zbydlęcenia, że zaczął rozumieć mowę zwierząt.

– To rzeczywiście przykre – zauważyłem. – Zwłaszcza jeśli te konie nie miały nic ciekawego do powiedzenia.

– Było wprost przeciwnie, ich rozmowa była bardzo interesująca. Podobno jako pierwszy odezwał się siwek: „Powtarzam raz jeszcze – zagaił, odchrząknąwszy przedtem ponownie – że prawdziwą miarą każdej cywilizacji jest sposób, w jaki układają się w niej stosunki pomiędzy wszystkimi żywymi istotami. I dlatego żadna z nich nie prześcignie nigdy cywilizacji egipskiej, gdzie na przykład za zabicie ibisa groziła kara śmierci, a gdy w jakimś domu wyzionął ducha pies albo kot, wszyscy domownicy golili sobie na znak żałoby głowy, brwi i całe ciało, choć muszę z dumą powiedzieć, że także w mojej ojczyźnie – a raczej w moich dwóch ojczyznach, jako że za takie uważam zarówno Rzym, jak i Helladę – kwestia ta również nie wyglądała najgorzej”.

W tym miejscu Raduan przerwał swoją opowieść i pochyliwszy się w moją stronę, zapytał z błyskiem w oku:

– Czy zwróciłeś uwagę, panie, w jaki sposób określił bydlak swoje pochodzenie? Musiałby mieć dzisiaj tysiąc lat z okładem!

– To całkiem możliwe – odparłem. – Sam znałem pewnego Rzymianina w równie podeszłym wieku. Widać wszystko, co stamtąd pochodzi, jest wieczne. Czy siwek powiedział coś więcej?

– Dalej ciągnął w te słowa: „W moich stronach, od czasu, gdy koza Amalteja wykarmiła własnym mlekiem ojca bogów i ludzi (co powtórzyła później wilczyca kapitolńska z Remusem i Romulusem), losy bogów, ludzi i zwierząt splatały się ze sobą bardzo ściśle. Mieszkańcy Olimpu chętnie obcowali ze śmiertelnikami i śmiertelniczkami, zakochiwali się w nich, bywali o nich zazdrośni, płodzili z nimi dzieci – jak Jowisz z Alkmeną czy Wenus z Anchizesem – ucztowali z nimi, odwiedzali ich przy różnych okazjach, uczestniczyli w ich sprawach, kłócili się o nich między sobą, a nawet walczyli z nimi, już to jako ich wrogowie, już to jako ich towarzysze broni, jak działo się

to choćby pod Troją. Z kolei ludzie, na przykład Semele, stawali się bogami z woli innych bogów, a nawet – co zresztą na jedno wychodzi – z woli Senatu i Ludu Rzymskiego albo z łaski któregoś z cesarów, jak świadczy przypadek pięknego Antinousa, uświęconego i wydzwigniętego pośmiertnie na Olimp stosownym dekretem boskiego Hadriana”.

„Wolne żarty! – odezwała się gniada klacz zakupiona niedawno od chrześcijańskiego kupca. -Którykolwiek z prawdziwych świętych znaczy dużo więcej niż wszyscy wasi niezliczeni bogowie razem wzięci i wszystkie dekryty waszych boskich cesarzy”.

„Niezliczeni? I bardzo dobrze! – odciął się siwek. – Wiedz, że przewaga wielobóstwa nad monoteizmem nie sprowadza się do arytmetyki, lecz posiada także swój wymiar praktyczny. Bo w moich dwóch ojczyznach, jak w każdym cywilizowanym kraju, żaden z bogów nie skupiał w swoim ręku władzy prokuratora, adwokata, sędziego i kata. Kto się naraził Jowiszowi, ten mógł zawsze liczyć na wstawiennictwo Junony, Apolla czy Marsa, kto miał na pieńku z Junoną lub Apollinem, ten mógł szukać protekcji wśród całej plejady pozostałych bogów, zawsze skorych do zrobienia na złość innym nieśmiertelnym. Tak więc każdy spał spokojnie, patrzył śmiało w przyszłość i żył bez bojaźni i drżenia, pewny, że ktoś nad nim czuwa i w razie czego weźmie go w obronę.”

„Nie ma Boga prócz Allaha, ani żadnych świętych!”, oświadczył sucho kary arab, ulubiony wierzchowiec mojego ojca.

Tymczasem niezrażony tym bynajmniej siwek kontynuował:

„Wracając jednak do zwierząt, to zdarzało się, że nieśmiertelni doglądali nas osobiście, jak Apollo pasający bydło u Admeta, a niekiedy nawet zadawali sobie trud, by niektórych z nas spłodzić, jak Neptun, który uczynił ten zaszczyt sławnemu Pegazowi. I choć bez wątpienia kochali nas wszyscy, każdy z nich posiadał swoich faworytów, których otaczał szczególną troską: Jowisz – orły, Junona – pawie i kukułki, Bachus – koziołki, Apollo – łabędzie i kruki, Minerwa – sowy, Merkury – lwy, owce i odyńce, Mars – sępy, a słodka Wenus – zające, wróble i gołębie. O łaskawości, z jaką nas traktowali, świadczy najlepiej fakt, że nieraz przybierali też naszą formę.

Robili to najczęściej dla przyjemności, jak Jowisz, kiedy za podszeptem wążłącego członka Amora zszedł się z Ledą pod postacią łabędzia albo jak Neptun, który zamienił się kiedyś w jurnego ogiera, aby osiąść Cererę, którą wcześniej rozmyślnie przemienił w klacz. Nawiasem mówiąc, jeśli w potrzebie miłosnej Gromowładny zamieniał się w łabędzia dla Ledy, w orła dla Asterii, w byka dla Europy i w węża dla Prozerpiny, zaś Neptun, wcale w tych sprawach nie gorszy, w barana dla Teofany, w delfina dla Melanto, w ptaka dla Meduzy i w rumaka dla Ceres, to znaczy, że bogowie musieli uważać nasze kształty za

powabniejsze od swoich własnych. Zdarzało się także, że nieśmiertelni przybierali naszą postać ze strachu, jak choćby wówczas, gdy uciekając przed straszliwym gigantem Tyfonem, schronili się w Egipcie, gdzie Jowisz przyjął kształt byka, Apollo kruka, Diana kotki, Merkury ibisa, Mars ryby, Wulkan wołu, a Bachus kozła.

A że samym bogom olimpijskim podobne metamorfozy ani nie szkodziły, ani nie przynosiły ujmy, z tym mniejszymi oporami poddawali ich działaniu ludzi. Przeważnie zresztą za karę, o czym świadczą przykłady Likaona zakłętego przez Jowisza w wilka, złośliwych wieśniaków przemienionych przez Latonę w żaby, Arachne przekształconej przez Minerwę w pająka, czy też Akteona, który z woli Diany stał się jeleniem. Niekiedy powodem przemiany bywała także litość, jak w przypadku Filomeli i Prokne, znanych dzisiaj pod imionami słowika i jaskółki, albo Hippomenesa i Atalanty, którzy z łaski matki bogów wcielili się w lwy. Zaś ludzie, ze swej strony, nie tylko nami nie gardzili, ale idąc za przykładem bogów, czasem również wchodzili z nami w miłosne parantele, jak choćby Pazyfae, od której po kądzieli wywodził się cesarz Serwiusz Sulpicjusz Galba, zaś zrodzone z tych związków potomstwo napełniało uzasadnioną dumą oboje rodziców.

Jeśli chodzi o konie, to naszym najlepszym opiekunem był zawsze Neptun, noszący nawet przydomek „Koński”, któremu odpłacaliśmy za to serdeczną miłością i podkute spiżem, chyzolotne i wiejące złotymi grzywami ciągnęliśmy z zapalem jego rydwan. Inne z nas, których imiona – Pyrojs, Eons, Eton i Flegon – przekazała potomnym historia i poeci, toczyły po nieboskłonie złotą kwadrygę słońca, przy czym wszystkie te szlachetne rumaki karmiono tą samą ambrozją, co bogów. Także nasze pobratymstwo z ludźmi było bardzo ściśle. Pomijając jego najwspanialszy przykład, jakim są kosmaci centaurowie, należy w tym miejscu wspomnieć o koniach królewicza spartańskiego Nikomedesa oraz poety Oppianosa, które zdechły z żalu po śmierci swoich panów, jak również o sławnym Ksantosie, koniu Achillea, który za zezwoleniem Junony przemówił ludzkim głosem, aby ostrzec swego pana, że już wkrótce trafi on do królestwa stęchłego Plutona.

Toteż za naszą dzielność, wierność i mądrość obsypywano nas niekiedy zaszczytami, jak choćby sławnego Incinnatusa, który z łaski cesarza Gajusza dorobił się własnego pałacu i zyskał godność rzymskiego senatora, bądź, jak to się przydarzyło Lampsosowi i Faetonowi, rumakom dzielnego Patroklesa, obdarzano nas nawet nieśmiertelnością. Wiele z nas czczono i darzono kultem, wznoszono nam ołtarze i pomniki, miałyśmy nasze święte źródła, ryto nasze podobizny na frontonach świątyń, a w Tesalii i Tracji, których konie i konnice nie miały sobie równych, takie miasta jak Larissa czy Maroneia przez wieki biły monety z naszym wizerunkiem. Nasza zażyłość z ludźmi była tak wielka, że tak

jak niektóre z nas, wzorem Ksantosa, nauczyły się ludzkiej mowy, niejednen z ludzi, jak choćby wróżbita Melampus, któremu węże polizały kiedyś uszy, rozumiał doskonale nasz koński język.

A potem – siwek tupnął gniewnie kopytem, zwracając się najpierw do gniadej klaczy, a później w stronę karego ogiera – przyszlście wy i świat stracił całą swoją cudowność! Z wami góry, rzeki, gaje, źródła, a nawet pojedyncze drzewa, którymi zawsze opiekowali się ich bogowie, różne nimfy, driady i kozionogie satyry, stały się jedynie zwykłymi górami, rzekami, gajami, źródłami i drzewami. Bo dla was laur jest tylko laurem, a nie Dafne, Narcyz jedynie narcyzem, Echo wyłącznie echem, łabędź zaledwie łabędziem, a nie Cygnusem, synem Neptuna; mirt jest mirtem tylko, a nie Myrrą, córką Tejasa. Kiedy widzicie anemony, dostrzegacie w nich tylko kwiaty, nie Adonisa, kiedy wróble – wróble zaledwie, a nie rumaki boskiej Kyprydy; w winie, zamiast Bachusa, widzicie zwykły napój, w zbożu, w miejsce Ceres, pospolity pokarm!"

„Nieprawda! – zaprzeczyła gniada klacz, potrząsając gniewnie grzywą. – My w zbożu i winie widzimy znacznie więcej.”

„Zboże to tylko zboże, a wino jest zakazane”, wtrącił kary arab.

„Znam dobrze te opinie – parsknął siwek. – Lecz moim zdaniem dowodzą one jedynie tego, że w mniejszym lub większym stopniu jesteście po prostu ślepi i głusi. Nie dostrzegacie bowiem, że wszystko ma duszę – nie tylko ludzie i zwierzęta, ale także rośliny, a nawet morza, rzeki, góry, źródła i martwe na pozór kamienie, że cały świat jest jak amfora wypełniona duchem i jak zwój zapisany przez boską mądrość, który ludzie mogą studiować bez końca i z którego mogą się wiele nauczyć. Także od nas, zwierząt. Odzierając go ze świętości, odebraliście mu zarazem godność. I to się kiedyś zemści.”

„Nieprawda, nasz Bóg uświęcił świat znacznie bardziej, sam stając się częścią natury poprzez Wcielenie. A to, że poddał go człowiekowi wraz ze wszystkimi zwierzętami i roślinami, wcale nie oznacza, że jesteśmy pozbawione różnych przywilejów i że nie mamy udziału w świętości. W końcu nie tylko Ksantos przemawiał ludzkim głosem, ale także oślica Balaama”, stwierdziła klacz.

„I nie ona jedna – wtrącił czujnie kary ogier. – Podobny zaszczyt spotkał również wielbłąda, który ukląkł przed Wysłannikiem Boga Mahometem i ucałował Jego stopy, i przemówił doń, uznając w nim Proroka. Czyniły tak również gazy, wilki i jaszczurki, a nawet pewne upieczone już i dosmaczone przyprawami koźle, które pozdrowiło Go z głębi rozgrzanego pieca. Tak więc w tym punkcie nie masz racji stary, podobnie zresztą jak i w kwestii nauk, których rzekomo mogłybyśmy udzielać ludziom. Chyba, że masz na myśli wychowanie i życie w trzeźwości?”, dokończył zgryźliwie, wskazując łbem na stryżek, gdzie spoczywał mój ojciec.

„Nie tylko – odpowiedział siwek. – Mam na myśli wiele poważniejszych rzeczy. Na przykład męstwo i niezależność, których można nauczyć się od lwa. Pokorę i posłuszeństwo, na jakie wskazuje wielbłąd przyklękający potulnie na znak poganiacza. Wierność i uczciwość małżeńską, tak charakterystyczne dla synogarlicy, która trzyma się zawsze tego samego samca i nie pozwala żadnemu innemu zbliżyć się do siebie. Miłość rodzicielską zajęcia, który umieszcza swoje młode w różnych odległych od siebie miejscach, by choć niektóre z jego dzieci były bezpieczne w przypadku pojawienia się psa lub człowieka. Synowską miłość bociana, który ogrzewa własnym ciałem zniedołężniałych ze starości rodziców, co w mojej ojczyźnie stało się wzorem dla prawa zwanego *lex ciconaria*¹¹³, nakazującego dzieciom utrzymywać na starość ojca i matkę. Mądrość ibisa, który, gdy go rozboli brzuch, pędzi co rychlej nad morze, wciąga do gardła jak najwięcej wody, a potem wsadza sobie dziób do zadka i przepłukuje кишки ze wszystkich nieczystości, co podobno natchnęło Hipokratesa do wynalezienia lewatywy. Czujność i uczynność koguta, który swoim pianiem przywołuje słońce, przegania noc, budzi śpiących, pociesza strapionych, podnosi na duchu wędrowców i przynosi ulgę chorym. Przytomność umysłu, umiejętność podejmowania trafnej decyzji i niezłomność typowe dla bobra, który w śmiertelnym niebezpieczeństwie sam się kastruje i w ten zmyślny sposób wymyka się nieszczęściu, którego przyczyną są jądra – oraz wiele innych cnót i zalet, jakimi odznaczają się zwierzęta.”

„No ale z tym bobrem to chyba przesadziłeś?!”, zarzął z uciechy kary arab.

„Ani trochę. Jądra bobra, z natury bardzo gorące, są wielce poszukiwane dla sporządzania różnych medykamentów, toteż kiedy bóbr spostrzeże, że jest osaczony, natychmiast je sobie odgryza i rzuca prześladowcom, ratując w ten sposób życie. Odtąd, ilekroć go znowu ścigają, staje na tylnych łapach i pokazuje wszem i wobec, że nie ma już najcenniejszej części swojego ciała, dzięki czemu dożywa szczęśliwie sędziwego wieku. To jeszcze jedna lekcja, jakiej udziela nam natura, którą tak lekceważycie.”

„My nie lekceważymy natury – zachnęła się gniada klacz – ale dostrzegamy w niej dużo więcej, również w zwierzętach. I tak – żeby trzymać się tylko przykładów, które przytoczyłeś – my we lwie widzimy przede wszystkim Lwa z Pokolenia Judy, Tego, który pokonał Śmierć i Szatana, albowiem tak jak lew po trzech dniach budzi rykiem i tchnieniem do życia swoje potomstwo, które rodzi się ślepe i martwe, tak Chrystus po trzech dniach zmartwychwstał wywodząc z Otchłani dusze sprawiedliwych. Wielbłąd, który nigdy nie pokrywa swojej matki, nawet kiedy się go do tego zmusza, jest dla nas przede wszystkim symbolem wstrzemięźliwości, zaś to, że tak ulegle przyjmuje na siebie ogromne ładunki, przywodzi nam na myśl naszego Zbawiciela, który też bez sprzeciwu

przyjął na siebie ciężar cudzych grzechów. Cnotliwość synogarlicy przypomina nam głównie o Kościele, który po zaślubieniu Chrystusa trwa w niezachwianej miłości do Niego i nie uznaje już żadnego innego miłośnika. Z kolei zając uczy nas, by lękać się Boga i strzec się szatana polującego na nasze dusze. Bocian, który także nam każe pamiętać o czwartym przykazaniu: *Czczij ojca twego i matkę swoją*, swoim klekotem zachęca nas ponadto, abyśmy głośnym płaczem i zgrzytaniem zębów wyrażali żal z powodu popełnionych grzechów. I wreszcie kogut poucza nas o obowiązku ciągłej czujności, nałożonym na nas przez samego Jezusa Chrystusa: *Czuwajcie więc, bo nie wiecie, kiedy pan domu przyjdzie: z wieczora czy o północy, czy o pianiu kogutów, czy rankiem. By niespodzianie przyszedłszy, nie zastał was śpiących.*¹¹⁴ Kogut przypomina nam także o nowym życiu, jakie nastanie dla nas po nocy śmierci, to znaczy o wielkiej prawdzie Zmartwychwstania."

„Hi, hi, hi! – wyszczerzył zęby kary ogier. – A co z bobrem i ibisem? Dlaczego ich opuściłaś? Czyżby grzebanie w zadku i obcięte jądra nie chciały ci przejść przez gardło?”

„Jakoś się precisną, jeśli ci na nich tak zależy – odparła z godnością klacz. – Od ibisa, który, jak wiadomo, trzyma się zawsze w pobliżu wody, wypatrując martwych lub zdychających rybek, albo innego zgniłego plugastwa, jakie woda wyrzuca na brzeg, ale bardzo się boi w niej zanurzyć, ponieważ nie umie pływać, chrześcijanin może nauczyć się tego, że, odrodzony z wody i z Ducha Świętego, powinien wypuszczać się śmiało nawet na największe głębiny ducha w poszukiwaniu czystego pokarmu, o którym pisze Święty Paweł w Liście do Galatów: *Owoce zaś ducha jest: miłość, radość, pokój, cierpliwość, uprzejmość, dobroć, wierność, łagodność, opanowanie.*¹¹⁵ Zaś od bobra, oznaczającego męża bez skazy, który odrzuciwszy rzeczy ziemskie zażywa świętego spokoju, tego, że każdy kto pragnie postępować zgodnie z Bożymi przykazaniami i żyć w prawdzie i czystości, musi odciąć sobie jądra grzechu, czyli wszystkie swoje wady i przywary, wszystkie wszeteczne skłonności i wszystkie złe myśli, i jeszcze ciepłe rzucić je w twarz szatanowi, zgodnie z tym, co Święty Paweł pisze z kolei w Liście do Rzymian: *Oddajcie każdemu to, co mu się należy: komu podatek – podatek, komu cło – cło, komu uległość – uległość, komu cześć – cześć.*¹¹⁶ Albowiem prześladowający go diabeł, nie znajdując w nim niczego, co by należało do piekła, w końcu od niego odstąpi i pójdzie sobie gdzie indziej.

Tak więc – zwróciła się do siwka – w żadnym wypadku nie da się powiedzieć, że chrześcijanie negują bądź nie dostrzegają udziału, jaki w rzeczach świętych mamy my, zwierzęta. Choć oczywiście większość z nas nie dostąpiła w tej mierze takiego zaszczytu, jak nasi przodkowie towarzyszący Adamowi i Ewie, czy

żeglujący arką razem z Noem, a zwłaszcza bydłęta asystujące w stajence betlejemskiej przy narodzinach naszego Pana Jezusa Chrystusa. Osiołek, na którym Święta Rodzina uciekała do Egiptu, czy te spośród nas, które były z Jezusem na pustyni, kiedy Go kusił szatan."

„Czy chcesz przez to powiedzieć, że przynajmniej one trafiły do raju?”, zapytał z ciekawością siwek.

„Tego nie wiem – przyznała z wahaniem gniada klacz. – „Ale żywię taką nadzieję. Oczywiście, o ile ma rację Psalmista, kiedy powiada: *Twoja sprawiedliwość – jak najwyższe góry: Twoje wyroki – jak Wielka*

Otchłań: niesiesz, Panie, ocalenie ludziom i zwierzętom.”¹¹⁷

„Za to jest zupełnie pewne – wpadł jej w słowo kary ogier – że w raju jest mulica Daldad, na której jeździł Wysłannik Boga Mahomet, jak również Jego wielbłądzica i Jego ukochana kotka Muezzi, z którą nigdy się nie rozstawał. Możliwe, że jest tam także gołębica oraz pająk, które uratowały Mu życie, kiedy schronił się w pieczarze podczas ucieczki z Mekki do Medyny.”

„Muł, kot, wielbłądzica, gołębica i pająk, a na dodatek jakiś osioł! – wydał z pogardą chrapy stary siwek. -Też mi towarzystwo! A co z resztą? Co z nami, bracia?”

Na to pytanie nie doczekał się jednak odpowiedzi, ponieważ w tym właśnie momencie mój ojciec, który zasłuchawszy się w ich dysputę, wysunął się zbyt daleko poza krawędź stryszku, nagle stracił równowagę i zwałił się z łomotem wprost pod ich kopyta. Konie odskoczyły od niego jak oparzone i żaden z nich nie odezwał się więcej ani słowem.

– Rzeczywiście ciekawa rozmowa – cmoknął z uznaniem Yusuf. – A co z twoim ojcem? Chyba się nie zabił, skoro mógł ci ją jeszcze zrelacjonować?

– Nie, pijacy są jak koty, wychodzą z takich przygód bez szwanku. Nawet się nie zadrapał. Za to później całkiem oszalał. Najpierw nie pił przez tydzień, potem dla odmiany pił przez dwa na umór, a kiedy wytrzeźwiał, wezwał stajennego i kazał mu umieścić w stajni nowe kamienne żłoby i cały stóg świeżego siana. Sprawił też naszym koniom nowe rzędy i podwoił im dzienną rację obroku. To samo dotyczyło wielbłądów, które zabronił bijać, zakazując jednocześnie zbyt wczesnego odrywania ich młodych od matek. Wkrótce potem zrezygnował z polowań, potem z mięsnych dań, a wreszcie przygarnął z ulicy parszywego psa, którego wszyscy odpędzali od siebie kamieniami. Wykurował go za ciężkie pieniądze i odtąd nie rozstawał się z nim ani na moment.

I wszystko byłoby dobrze, gdyby te oraz inne szaleństwa rozgrywały się wyłącznie w ścisłym kręgu naszej rodziny, przyzwyczajonej od dawna do ojcowskich wybryków. Ale mój dobry ojciec nie chciał na tym poprzestać.

W jakieś dwa miesiące później, w świąteczny piątkowy dzień udał się do głównego meczetu miasta, wypiwszy przedtem dla kurażu cały dzban wina.

Już sam fakt, że w dniu, kiedy na modlitwę zbiera się największy tłum ludzi, usiłował wejść na dziedziniec świątyni nietrzeźwy, w dodatku w towarzystwie psa, rozwścieczył wielu wiernych.

Mój ojciec, wcale tym niezrażony, uwiązał psa na ulicy, a potem wszedł do meczetu i wdrapał się z trudem na mównicę. Tam łapiąc z wysiłkiem oddech i czerwony na twarzy jak polny mak, odezwał się w te słowa:

– Bracia, miałem sen!.. A właściwie to chyba nie sen... Chociaż, kto wie, może to był sen...

– Zanim wejdiesz na minbar, najpierw się zdecyduj, pijaku! Won! Won! Wynocha! – rozległo się ze wszystkich stron.

Ale mój ojciec, zamroczony winem, ciągnął dalej, aż doszedł w końcu do tego, że zaczął cytować dosłownie bajdurzenia naszych koni. A tego było już ludziom stanowczo za wiele. W kierunku minbaru posypały się ogryzki, orzechy, laski i kamienie, a nad ogólny rejwach wzbіл się czyjś złowieszczy i – jak się później okazało – proroczy głos:

– Daj Boże, abyśmy kiedyś dostali tego człowieka w nasze ręce! Nie będzie naszą winą, jeśli jego serce pozazdrości wówczas szczęścia jego nerkom i wątrobie!

A potem dziesiątki rąk ściągnęły mojego ojca z kazalnicy, zaczęto go okładać kułakami i kopniakami, po czym wywleczono go na dziedziniec i wyrzucono na ulicę, gdzie w kałuży krwi leżał już martwy jego wierny pies. Ojciec wrócił do domu bardzo przygnębiony, ale na szczęście nie przeżywał zbyt długo swego upokorzenia, ponieważ w trzy dni później znaleziono go w jednym z zaułków z nożem w sercu.

- *Hachichiyyun?* – zapytał ze współczuciem Yusuf.

– Z całą pewnością. Śmierć ojca wyrwała mnie z zakłętego kręgu czarnowidztwa i ogólnej niemocy. Nie żebym przestał kochać Jasminę – to nie było, nie jest i nigdy nie będzie możliwe – ale jeśli na tym świecie istnieje dla Beduina cokolwiek droższego i świętszego od miłości, to tym czymś jest krwawa zemsta, będąca poza tym jego pierwszym obowiązkiem.

Dlatego zaraz po pogrzebie ojca opuściłem dom i od ponad dwóch lat przemierzam miasta, góry i pustynie w poszukiwaniu asasynów. Zabiłem ich już wielu – szczególnie w Aleppo, gdzie jawnie współpracują z władcą tego miasta – i mam nadzieję zabić ich jeszcze więcej, a kiedy akurat nie mogę wytropić żadnego, układam wiersze na cześć mojej ukochanej i wyzywam na pojedynek każdego, kto nie chce przyznać, że Jasmina to najpiękniejsza, najlepsza, najmądrzejsza i najcnotliwsza kobieta, jaką Allah stworzył kiedykolwiek

z prochu ziemi i z grudki krwi zakrzepłej. Mam nadzieję, panie, że udzieliłem ci satysfakcjonującej odpowiedzi na pytania, jakie mi zadałeś na początku naszej rozmowy?

– Całkowicie, i rozumiem już teraz naszą obopólną pomyłkę. Chciałbym cię zapewnić, że w niczym nie miałem zamiaru uchybić twojej ukochanej, chociaż, prawdę rzekłszy, ciągle dziwię się pochopności, z jaką ryzykujesz życiem, wysławiając przymioty, których nigdy nie widziałeś.

Raduan uśmiechnął się i odparł:

– Zrozumiesz to, jak zostaniesz poetą. Bo na razie, wybac mi panie, nie grzeszysz chyba nadmiarem wyobraźni.

– Może tak, a może nie – uśmiechnąłem się i ja pod wpływem pewnej myśli, nie dającej mi od jakiegoś czasu spokoju. – Zaraz się o tym przekonamy. Czy możemy obejrzeć twojego konia?

Zdziwiony Raduan wykonał zapraszający gest ręką, więc podeszliśmy z Yusufem do jego siwka. Z bliska stary ogier wyglądał naprawdę kiepsko. Miał szedziwy pysk, żółte zęby, czoło porane bruzdami i zmarszczkami, wyblakłe i zmętniałe oczy, bezrzesę powieki, głęboko zapadnięty grzbiet, wyliniałą grzywę i rzadki ogon, zaś jego chude, artretyczne nogi kończyły się jakby za dużymi dla niego kopytami, pokrytymi gęstą siatką spękań i łuszczących się narośli. Jego skóra, mało elastyczna, a przy tym na niego zbyt obszerna, obfitowała w liczne blizny, zgrubienia i szramy, składające się na historię jego długiego żywota. Wodziłem po nich powoli dłonią, aż wreszcie natrafiłem na kościstym zadzie na coś, co mogło okazać się właśnie tym, czego w nagłym przeblysku mojej ubogiej wyobraźni postanowiłem poszukać.

Wyczuwszy pod palcami wysklepioną bliznę, której nazbyt regularny kształt nie wydawał mi się przypadkowy, wygładziłem pośpiesznie fałdy luźnej skóry i wtedy naszym oczom ukazał się dziwny znak, najwyraźniej wypalony na ciele siwka dawno temu rozżarzoną do czerwoności żelazem. Składały się nań litera „L”, kropka, liczba „XII” i tajemnicze słowo „Ful”.

– I co ty na to? – zapytałem podniecony Yūsufa.

– L.XII Ful, L.XII Ful? – powtórzył marszcząc brew. – Nic mi to nie mówi.

– Człowieku! – wykrzyknąłem – „L” to może być... Legion... Legion XII! A „Ful” to *Fulminata*! Legion XII *Fulmina ta*, rozumiesz?! Mamerkus mówił prawdę!

Yūsuf zastygł na chwilę jak sparaliżowany, a potem uśmiechnął się od ucha do ucha, wzniosł w podzięcie ręce do nieba i rzucił mi się na szyję z okrzykiem radości.

Raduan, nie rozumiejący ani słowa z naszej rozmowy toczonyj w *romance*, przyglądał się nam z rosnącym zdziwieniem, lecz jego beduińska duma

powstrzymywała go przed zadawaniem zbędnych pytań.

– Piękny koń! – stwierdziłem z entuzjazmem. – Czy możesz nam powiedzieć, skąd się u was wziął?

– Piękny to on nie jest – wzruszył ramionami nasz młody przyjaciel – ale dobry na pewno. To pamiątka rodzinna, miał go jeszcze mój dziadek.

– Przypuszczam zatem, że nie jest na sprzedaż?

– Nie – Raduan pokręcił zdecydowanie głową.

– To szkoda, bo chyba naprawdę ma tysiąc lat i bardzo by się nam przydał! – W tym miejscu, porozumiewszy się wzrokiem z Yusufem, streściłem naszemu nowemu przyjacielowi opowieść El Latino.

Raduan wysłuchał jej w skupieniu, prosząc od czasu do czasu o wyjaśnienie niezrozumiałych dla niego terminów i detali. Kiedy skończyłem, podszedł do swojego wierzchowca, obejrzał uważnie wypalony na jego zadzie znak i poklepał go z czułością po pysku.

– I co ty na to, przyjacielu? – zapytałem z nadzieją.

– Hm... Nie mogę wam go sprzedać ani podarować, zresztą i tak by wam uciekł przy pierwszej okazji, bo tak został ułożony. Więc jeśli chcecie szukać Źródła przy jego pomocy, musicie zabrać także i mnie. Jeśli ono w ogóle istnieje, siwek powinien je znaleźć.

– A czy wiesz, gdzie leży miasto Hims? – upewniłem się na wszelki wypadek.

– Owszem. Niedaleko Damaszku, stąd jakieś dziesięć dni jazdy na południe.

– No to jutro tam jedziemy, panowie! – aż podskoczyłem ze szczęścia.

XVIII

Z rana, przy zwijaniu obozu, upewniłem się jeszcze, czy Raduan nie słyszał przypadkiem o jakiejś drugiej armii chrześcijan, która miała jakoby wkroczyć na ziemię muzułmanów, ale kiedy okazało się, że nie słyszał nawet o pierwszej, pozbyłem się reszty rozterek i byłem gotów pędzić na pustynię jak na skrzydłach. Tymczasem, nieoczekiwanie, swoje wątpliwości wysunął Yusuf.

– Nawet przyjąwszy, że twój siwek to koń Mamerkusa, właściwie dlaczego miałby nas doprowadzić do Źródła? – zapytał młodego Beduina. – Jaki mógłby mieć w tym interes? Boję się, że jak mu coś strzeli do łba, to może nas ciągać po wertepach do końca świata.

– Interes to w życiu nie wszystko – odpowiedział Raduan głośno i wyraźnie, odwracając się przy tym w stronę swojego wierzchowca, który spętany podobnie jak pozostałe konie, szczypał nieopodal trawę. – Osobiście wolę liczyć na jego wdzięczność. W końcu, zawsze miał u nas nieźle. Więc jeśli rozumie naszą mowę równie dobrze, jak mój ojciec rozumiał końską, wystarczy mu wytłumaczyć, o co chodzi i nie powinien sprawić nam zawodu.

Zauważyłem, że po tych słowach siwek przestał się posilać i uniósł nieznacznie łeb. Tymczasem Yusuf nie dawał za wygraną:

– Niekoniecznie, młody człowieku. Na przykład mój towarzysz nie rozumie ani w żąb jasnej arabskiej mowy, choć ja znam jego język całkiem dobrze. Zaś co do wdzięczności, to nie spodziewam się znaleźć wśród bydła tego, co jest rzadkością u ludzi.

Siwek opuścił spokojnie głowę i zabrał się znowu za kępki trawy, natomiast Raduan uśmiechnął się półgębkiem i rzekł:

– Wziąłem i to pod uwagę. Jak będzie trzeba, zadbamy także o jego interes.

– W jaki sposób? – zapytał Yusuf, podczas gdy siwek znów znieruchomiał i zastrzygł nerwowo uszami.

Raduan pochylił się w naszą stronę i wyjaśnił szeptem:

– Kiedy dotrzemy pod Hims, możemy przestać go poić, a wtedy znajdzie migiem wszystkie źródła, jakie widział kiedykolwiek w życiu. Trafienie na właściwe to tylko kwestia czasu.

– Niezły pomysł – poparłem jego rozumowanie. – Interes to zawsze interes. Ruszajmy niezwłocznie w drogę, a potem z nim pogadacie i zobaczymy, co z tego wyniknie.

Tak też zrobiliśmy. Przez pierwsze dni posuwaliśmy się szybko naprzód bez żadnych przeszkód i przygód, omijając z daleka wszelkie ludzkie siedziby. Najpierw jechaliśmy niemal prosto na południe, później, gdy minęliśmy od

zachodu Aleppo, skręciliśmy bardziej ku wschodowi, tak żeby dotrzeć na pustynię od północy, na lewo od Hims. Jeśli nie liczyć dwóch handlowych karawan, od których odkupiliśmy trochę prowiantu na zapas, nie spotkaliśmy po drodze żywego ducha. Początkowo okolica była dość zielona i nie brakowało w niej wody, potem jednak zaczęła robić się coraz bardziej sucha i niegościnna, aż wreszcie, szóstego dnia podróży, dotarliśmy do terenów, gdzie znów przeważały kamienie, cierniste chaszczki i rzadkie, zrudziałe trawy.

Raduan oświadczył wówczas, że chyba nadeszła pora, by dalsze losy naszej wyprawy powierzyć siwkowi. Na najbliższym popasie obaj moi arabscy przyjaciele podeszli do starego ogiera i podczas gdy Raduan głąskał go po pysku i klepał po kościstym zadzie, Yusuf, żywo przy tym gestykułując, usiłował mu przypomnieć wydarzenia, w których rzekomo miał uczestniczyć tysiąc lat wcześniej. Na siwku nie robiło to jednak większego wrażenia. Tylko raz, kiedy Yusuf wymienił imię prefekta Kurcjusza Sewera, i drugi, gdy wspomniał nieboszczyka Mamerkusa, wydawało mi się, że przez zwiotczającą skórę zwierzęcia przebiegło lekkie drżenie. Całej reszty przemowy Yusufa siwek wysłuchał raczej obojętnie, oganiając się ogonem od much, a kto wie, może i od nas?

Niemniej, gdy ruszyliśmy dalej i Raduan wypuścił cugle z rąk, siwek począł jak po sznurku dokładnie na południowy-wschód! Od tej pory zdaliśmy się na jego instynkt i pamięć, czy też, jak kto woli, na jego łaskę i niełaskę. A że konie – niezależnie od ich wrodzonej skłonności do samochwalstwa – to nader chytne i niewdzięczne bydła, już wkrótce przyszło nam tego żałować. Z początku bowiem stary ogier zachowywał jeszcze pewne pozory i starał się sprawiać wrażenie, że działa w dobrej wierze. Puszczony przez Raduana luzem i mając do dyspozycji nieskończoną liczbą kierunków, które niespodziewanie stanęły przed nim otworem, ruszył dostojnie z kopyta na południowy-wschód i przez całutki dzień nie zboczył z kursu ani o włos. Wyglądało na to, że w jego wielkim łbie nie mieszczą się żadne wątpliwości i pomimo podeszłego wieku – inaczej niż ludzie – nie ma najmniejszych kłopotów z pamięcią. Toteż, uradowani, pozwalaliśmy mu pić do woli z trafiających się jeszcze tu i ówdzie strumyków i zachęcaliśmy go gorąco, tak w *romance*, jak i po arabsku, do dalszej wytrwałości. Naszej ufności nie mącił nawet fakt, że z powodu jego nieznośnego, wręcz geometrycznego upodobania do linii prostych, musieliśmy raz po raz przedzierać się przez gęste cierniste zarośla, wspinać się na wysokie pagóry, które z równym powodzeniem można było obejść, a niekiedy także przekraczać na złamanie karku głębokie rozpadliny, choć tylko nieco dalej dawało się je pokonać niemal bez wysiłku.

Lecz następnego dnia jego zamięłowanie do geometrii i nasza spolegliwość raptownie się skończyły. Stary ogier, bez żadnego widocznego powodu, skręcił raptownie na zachód, potem na północ, później, ku naszemu zdziwieniu, skierował się znowu na wschód, aż wreszcie, po krótkim wahaniu, poczłapał wolno na południe, żeby po paru godzinach mozolnej wędrówki trafić pod wieczór w to samo miejsce, z którego wyruszyliśmy o świcie! Nazajutrz, jakby go giez ukąsił, zmieniał marszrutę jeszcze bardziej kapryśnie i wkrótce nawet Raduan, który jako jedyny znał z grubsza tamte strony, nie był do końca pewny, gdzie się znajdujemy.

– Dość tego! – oświadczył nasz młody przyjaciel na zwołanej naprędce naradzie. – Jeśli nie chce współpracować z nami po dobroci, zrobi to pod przymusem.

Od tego momentu zaczęliśmy wydzielać siwkowi tylko tyle wody, aby myślał wyłącznie o tym, jakby ugasić pragnienie. Mimo to jeszcze próbował nas przechytrzyć, jeszcze zwłóczył i kluczył, i dopiero wtedy, kiedy rozeźlony Yusuf pogroził mu wymownie nożem i ostrzegł go po łacinie: *„Provehere, moeche impudens, provehere, si non vis abdomen tibi adimam!”*¹¹⁸, a może po prostu dopiero wtedy, kiedy wreszcie do niego dotarło, że we własnym, dobrze pojętym interesie powinien jak najszybciej znaleźć jakiś wodopój, przestał nas w końcu zwodzić i zrezygnowany skierował się z powrotem na południowy wschód.

Co ciekawe, tym razem nie szafował już siłami na próżno i nie upierał się bynajmniej przy skrótach, jeśli tylko wymagało to podjęcia dodatkowego wysiłku. Choć ostentacyjnie nigdzie się nie śpieszył, wybierał teraz drogę nader zmyślnie, prowadząc nas często korytami wyschłych strumieni, gdzie skały zapewniały odrobinę cienia i gdzie w zagłębieniach kamienistego gruntu można było znaleźć resztki wilgoci, a czasem nawet jakieś źródółko czy zapomnianą przez słońce kałużę. Wędrówka owymi *wadi*, jak je nazywał Raduan, miała także tę zaletę, że na ich brzegach rosło sporo roślin. Fakt, że na ogół mizernych – jakichś najeżonych kolcami chaszczy, jakichś żółtawych traw, jakichś płożących się kolczastych wici, jakichś niepozornych krzewinek o grubych, łuskowatych liściach, czy szaro-burych bylin nie różniących się niczym od podłoża tej samej barwy – ale dzięki nim nasze konie miały co jeść i parły rażno do przodu.

Jeśli chodzi o nas, to zaczynałem się powoli lękać, co będzie, kiedy skończy się nam prowiant zdobyty na asasynach i zakupiony od poganiaczy wielbłądów, bo okolica była niezamieszкана i niemal nigdzie nie widziało się zwierząt do upolowania. Kiedy podzieliłem się moimi obawami z Raduanem, ten tylko się zaśmiał i zapewnił mnie, że na tym pustkowiu wcale nie brakuje zwierzyny – antylop, jeleni, dzików, zajęcy i przepiórek – tyle że z powodu gorąca panującego tam przez większą część roku żeruje ona głównie nocą i trudno ją zauważyć.

Podobno nawet w *wadi*, którymi przejeżdżaliśmy, żyło sporo różnych stworzeń, zwłaszcza pajaków, jaszczurek, węży i skorpionów, choć dla niewprawnego oka były one niewidoczne nawet w biały dzień, jako że ich kształty i kolory upodabniały je zupełnie do otoczenia. Po zdarzających się od czasu do czasu gwałtownych burzach, w *wadi* pojawiały się nawet żaby, które, zagrzebane głęboko w piasku albo żwirze, i z pozoru wyschłe na wiór, czekały cierpliwie całe miesiące i lata na deszcz zwiastujący im dzień zmartwychwstania. Jakby na potwierdzenie jego słów następnego dnia straciliśmy jednego luzaka, który nieopatrznie nadepnął na żmiję wygrzewającą się na kamieniu. Od tego wypadku, kiedy stąpałem po ziemi, miałem się zawsze na baczności i wyęczałem wzrok, choć i tak nie byłem w stanie dostrzec niczego podejrzanego.

Natomiast Raduan bał się przede wszystkim wspomnianych nawałnic, które niezależnie od cudownej umiejętności wskrzeszania wyschłych żab stanowiły największe niebezpieczeństwo dla każdego, kto wędrował *wadi*. Spadające w ciągu bardzo krótkiego czasu ogromne masy wody wypełniały je bowiem błyskawicznie, a nie mając gdzie się rozlać ani w co wsiąknąć, rwały w dół ze straszliwą siłą, niszcząc bądź porywając ze sobą wszystko, co napotkały po drodze. Ofiarami pustynnych burz padali nierzadko zarówno pojedynczy jeźdźcy, jak i całe karawany, zmiotane w mgnieniu oka z powierzchni ziemi, dlatego też nasz młody przyjaciel obserwował regularnie niebo i zawsze wybierał na obóz miejsca położone jak najwyżej ponad dnem *wadi*.

Doceniałem jego przezorność, choć trudno mi było uwierzyć, żeby najgorszą rzeczą, jaka mogła nas spotkać na pustyni, było akurat utonięcie. Zwłaszcza, że w naszej przedłużającej się z winy siwka podróży z każdym dniem było coraz trudniej o wodę i w końcu musieliśmy ją sobie wydzielać. Na szczęście czternastego dnia marszu, po wjechaniu na niewielki płaskowyż, śmiertelnie spragniony siwek znalazł źródło tryskające wodą na tyle obficie, że mogliśmy napić się do syta, napoić konie i napełnić wszystkie nasze bukłaki oraz kilka skórzanych worków zdobytych na *hachichiyyun*. W czasie gdy nasze zwierzęta posilały się świeżą trawą i liśćmi krzaków, rosnących tam wielkimi kępami, wypchaliśmy pozostałe worki trawą i po dłuższym odpoczynku ruszyliśmy dalej.

Za kolejnym *wadi* teren zaczął piąć się pod górę i wraz z rosnącą liczbą skał, piargów i kamieni wyraźnie ubywało roślin, a w szaro-buro-rudym pejzażu pojawiało się coraz więcej piasku. Wkrótce było go już wszędzie tak dużo, że tu i ówdzie widać było niewielkie wydmy. Jak nam wyjaśnił Raduan, ich kształt – podłużny, poprzeczny, niekiedy przypominający morskie fale, innym znów razem układający się w gwiazdy bądź w rozkwitłe róże – zależał wyłącznie od siły i kierunku wiatru, który je usypał. Niestety ten sam wiatr, który tworzył podobne cuda, z łatwością je także niszczył, wciskając nam przy okazji tysiące ziarenek

piasku do ust, nosów i oczu. Za radą naszego przewodnika zasłoniliśmy sobie twarze turbanami, ale na niewiele to się zdało. Raduan śmiał się z nas i stawiał nam za przykład siwka, który – choć najstarszy i najbardziej spragniony z nas wszystkich – szedł dziarsko do przodu z nieosłoniętym łbem, jakby chciał za wszelką cenę dotrzeć wreszcie do celu.

Ale nawet Raduanowi zrzędała mina, kiedy wyjechaliśmy na bardziej otwartą przestrzeń i ujrzelśmy przed sobą prawdziwe morze skał, głazów, kamieni i piasku, ciągnące się aż po horyzont. Natychmiast odbyliśmy kolejną naradę i ustaliliśmy, że będziemy szukać Źródła tylko przez dwa dni, po czym – jeśli go nie znajdziemy – zawrócimy do miejsca ostatniego popasu, gdzie założymy stałą bazę dla prowadzenia dalszych, bardziej systematycznych poszukiwań.

I rzeczywiście, po dwóch dniach bezowocnego kręcenia się po pustyni wróciliśmy do źródła znalezionego niedawno przez siwka i rozłożyliśmy się przy nim obozem. Od tej pory wybieraliśmy się niemal codziennie na bliższe i dalsze wyprawy. To znaczy na ogół wybierałem się ja i Yusuf – każdy zresztą w inną stronę – bo Raduan, który zwykle nie marnował strzał, zajmował się głównie polowaniem, choć zdarzało się również, że to Yusuf zostawał w obozie, aby przyrządzić upolowaną przez niego zwierzynę, a młody Beduin zapuszczał się na siwku daleko w głąb pustyni. Nasze wyprawy, na które zabieraliśmy także luzaka z wodą, paszą i prowiantem, trwały przeważnie po kilka dni i odbywały się zawsze w obrębie konkretnych rewirów, jakie sobie wyznaczyliśmy, aby działać planowo i nie dublować niepotrzebnie cudzego wysiłku.

Trudne życie na skraju pustyni, najpierw w tym, potem w innym miejscu, trochę dalej na południe, gdzie znaleźliśmy nieco obfitsze źródło wody i więcej paszy dla koni, zbliżyło nas do siebie jeszcze bardziej, lecz było niezwykle monotonne.

Mijał dzień za dniem, tydzień za tygodniem i miesiąc za miesiącem, a ciągle jedynymi godnymi uwagi wydarzeniami, z jakimi mieliśmy do czynienia, była straszliwa burza – z tych właśnie, których tak bardzo obawiał się Raduan – kiedy to w potokach deszczu i huku błyskawic musieliśmy przenosić obóz na sąsiednie wzgórze, oraz zaginięcie Yusufa, który zabłądził na pustyni i którego szukaliśmy w trwodze przez cztery dni, dopóki sam nie wrócił szczęśliwie do obozu. Jednak w kwestii zasadniczej wciąż dreptaliśmy w miejscu, i to pomimo tego, że Raduanowi udało się dotrzeć na południe aż do wielkiego, opuszczonego miasta Tadmur, mnie zaś w kierunku wschodnim aż do twierdzy Qasr Al-Hayr, skąd zresztą szybko musiałem się wycofać, żeby mnie nie spostrzegli stacjonujący w niej tureccy żołnierze.

Przełom – przynajmniej dla mnie – nastąpił po prawie sześciu miesiącach poszukiwań, kiedy podczas samotnej wyprawy do podnóża gór Bishri znalazłem

za dużym głazem spoczywającego tam nieruchomo człowieka, przysypanego już częściowo piaskiem. Pomimo turbanu na głowie, ze swoją bladą cerą i jasnym zarostem nie wyglądał na Saracena. Obok niego leżała szabla i pusty bukłak, lecz nie miał przy sobie żadnej sakwy i nigdzie nie widać było jego konia. Z początku myślałem, że nie żyje, ale kiedy zbadłem jego puls, stwierdziłem, że jest tylko nieprzytomny. Natychmiast ogarnąłem jego twarz z piasku i zwilżyłem ją obficie wodą. Wtedy jęknął, a po paru chwilach otworzył z trudem oczy.

- *Shok-run* – podziękował mi chrapliwym szeptem i dodał coś jeszcze po arabsku, czego nie zrozumiałem, choć domyśliłem się, że prosi o picie.

Odwrociłem go zatem i usadziłem w cieniu, tak aby mógł się oprzeć plecami o kamień, po czym przytknąłem mu do ust mój bukłak. Poilem go dotąd, aż się wreszcie nasycił. Wtedy przyprowadziłem mojego konia, sięgnąłem do juków i ukroiłem dla niego kawałek mięsa antylopy upolowanej kilka dni wcześniej przez Raduana.

Nieznajomy rzucił się na nie tak, jakby nie jadł już od miesiąca. Kiedy zaspokoił głód i znów napił się wody, na wszelki wypadek zapytałem go w *romance*, jedynym obcym języku, jakim mogłem się posłużyć, kim jest?

Nieoczekiwanie na jego twarzy pojawił się najpierw wyraz ogromnego zdumienia, a potem coraz szerszy uśmiech.

– Jestem Frankiem – wymamrotał w tym samym języku. – I nazywam się Herluin. Dziękuję ci, panie, za uratowanie mi życia. Myślałem... – pokazał na mój turban i nie dokończył, jako że mówienie sprawiało mu ciągle dużą trudność.

– Nie – rozproszyłem jego obawy. – Jestem chrześcijaninem. Gdzie twój koń?

W odpowiedzi wzruszył jedynie ramionami.

– Posłuchaj – rzekłem. – Nie możesz tu zostać, bo zginiesz. Jeśli chcesz, zabiorę cię do mojego obozu, do przyjaciół. Możemy tam dotrzeć jutro koło południa. Co ty na to?

Z radością kiwnął trzykrotnie głową, zabrałem więc jego szablę i bukłak, po czym wsadziłem go na konia i usadowiwszy się dla bezpieczeństwa za nim, ruszyłem najkrótszą drogą do obozu. Byłem ogromnie ciekaw, skąd wziął się na pustyni i co mu się na niej przytrafiło, ale wiedziałem, że przede wszystkim musi dojść do siebie, dlatego aż do wieczora nie zadawałem mu żadnych pytań. Dopiero kiedy zatrzymaliśmy się na noc w osłoniętym skałami ustroniu i pokrzepiliśmy nasze siły skromną wieczerzą, widząc, że ma się już znacznie lepiej, pociągnąłem go wreszcie za język.

– A zatem, panie Herluin, przybyłeś tu aż z Francji? – zapytałem.

– Nie, spod Antiochii.

– Spod Antiochii? – zdziwiłem się. – A skąd się wzięłeś pod Antiochią?

– Jak to skąd? – tym razem zdziwił się on. – Z Francji. Należę do hufca hrabiego Hugona.

– Jakiego znów hrabiego Hugona? – zdumiałem się jeszcze bardziej.

Po tym pytaniu pan Herluin spojrział na mnie podejrzliwie.

– Chwileczkę – rzekł. – Myślałem, panie, że jesteś jednym z naszych. Jeśli nie, to skąd ty się tutaj wziąłeś?

– Ja? Spod Civetot. Służyłem pod Małym Piotrem, jeśli ci to coś mówi.

– Aaa... – pan Herluin wyraźnie się odprężył. – Oczywiście. Pewnie uciekłeś z tureckiej niewoli?

– Coś w tym rodzaju.

– I zapewne nawet nie wiesz, że pod Antiochią stoi nasza druga armia?

– Nasza druga armia?! – z wrażenia aż podskoczyłem. A więc szejk *hachichiyyun* mówił prawdę! – Kto nią dowodzi?

– Nikt, to znaczy w sensie duchowym legat papieski Adhemar de Monteil biskup Le Puy, a pod względem wojskowym grono dowódców, z których najważniejsi to mój pan, hrabia Hugon de Vermandois, brat króla Francji Filipa; Rajmund de Saint-Gilles hrabia Tuluzy, Gotfryd de Bouillon książę Dolnej Lotaryngii oraz jego bracia Eustachy i Baldwin, a także Stefan hrabia Blois, Robert książę Normandii, syn króla Anglii Wilhelma; jego kuzyn Robert hrabia Flandrii oraz Boemund hrabia Tarentu i jego siostrzeniec Tankred.

– Fiu, fiu, nieźle! – stwierdziłem z podziwem. – I jak rozumiem, oblegacie Antiochię?

– Już piąty miesiąc.

– Co w takim razie robisz tutaj? – zdziwiłem się raz jeszcze.

– Oblężenie idzie kiepsko, więc postanowiłem skorzystać z okazji i trochę się tu rozejrzeć.

– Sam? Tak daleko? Nie boisz się Saracenów?

– Nie, panie. Byłem u nich dziesięć lat w niewoli, w Sewilli, więc znam dobrze ich język, wiarę i zwyczaje.

– Znasz dobrze ich język, wiarę i zwyczaje? No, no... – popatrzyłem na niego z respektem. – A czego tu szukałeś, jeśli można wiedzieć?

Pan Herluin milczał przez chwilę, jakby się zastanawiał, czy i co powinien mi odpowiedzieć, po czym machnął ręką i rzekł:

– Ponieważ mnie uratowałeś i nie ma to już żadnego znaczenia, powiem ci prawdę. Szukałem tu pewnego źródła, które daje zdrowie i życie.

– Źródła?! – osłupiałem z wrażenia. – Skąd o nim wiesz?!

– Od pewnego Rzymianina, któremu trzynaście albo czternaście lat temu uratowałem życie pod Toledo. W każdym razie tak mi się zdawało.

– A czy nie miał on przypadkiem na imię... Mamerkus?! – zapytałem drżącym z emocji głosem.

– Skąd o tym wiesz, panie?! – oczy pana Herluina o mało nie wyskoczyły z orbit.

– Bo i ja mu uratowałem życie. Dwa lata temu pod Hueską. Zresztą, jeśli chcesz wiedzieć, to obaj uratowaliśmy mu je naprawdę, ponieważ już nie żyje. Pocisk z katapulty urwał mu głowę.

– Nie żyje?! – jęknął pan Herluin. – Przecież to niemożliwe!

– A jednak. Byłem na jego pogrzebie.

– Biedny Mamerkus! – wykrzyknął z żalem. – Kto by pomyślał! A jak tam z jego nawróceniem?

– Pewnie tak samo, jak pod Toledo – wzruszyłem ramionami. – Pozostał sobą do końca.

Pan Herluin pokiwał smętnie głową, po czym nieznacznie się uśmiechnął.

– Właściwie, to jesteśmy teraz jak bracia.

– Albo jak rywale – zauważyłem. – Wszystko zależy, jak nam pójdzie ze Źródłem.

– Ze Źródłem? Ze Źródłem nie pójdzie nam nijak, bo ono już nie istnieje – odpowiedział mi pan Herluin.

– Jak to nie istnieje?! Skąd wiesz?! – chwyciłem go za ramiona.

– Puść mnie! Wiem to i już. Od kogoś bardzo ważnego, kogo tu spotkałem.

– Od kogoś bardzo ważnego, kogo tu spotkałeś?! A kogo ważnego można tutaj spotkać?! Gadaj wszystko, co wiesz, niczego nie opuszczaj! – przykazałem mu rozdrażniony, wypuszczając go zarazem z rąk.

– Dobrze. Kręcę się tu już prawie miesiąc – zaczął masując sobie ramiona – ale choć widziałem trochę starych ruin, niczego istotnego nie znalazłem. Dopiero trzy dni temu, kiedy zmordowany upałem i przybity daremnością dotychczasowych wysiłków, zatrzymałem się przy jednej z nich i udałem się na stronę za potrzebą, wydarzyło się coś niezwykłego.

– Co takiego?

– Otóż, w ciszy tak wielkiej, że można było usłyszeć szum piasku osypującego się spod łapek biegnącej nieopodal jaszczurki, doszło do mych uszu ciche zawrozczenie. Było ono tak wyraźne, że natychmiast padłem na ziemię i przywarłem do niej całym ciałem. Głos dobiegał z za pobliskiej wydmy i choć nie rozumiałem ani słowa, miałem wrażenie, że słyhać w nim było żal i skargę, jakieś pytania i odpowiedzi, jakieś zaprzeczenia, coś na kształt próśb i błagań, jakieś przestrogi albo napomnienia, a wszystko to przerywane od czasu do czasu nieprzyjemnym chichotem. „Ki czort?!”, pomyślałem i podczołgałem się do

grzbietu wydmy, żeby zerknąć na jej drugą stronę. W ogólnej szarzyźnie nie dostrzegłem jednak niczego. I wówczas, całkiem blisko, rozległ się ten sam głos:

– Ej, ty tam na wydmi. Nie kryj się, tylko zejź tutaj. Z wodą.

Po tych słowach osłupiałem, bo najdziwniejsze było to, że zostały one wymówione w moim własnym języku! Dopiero po chwili dostrzegłem tego, kto je wypowiedział, gdyż niczym jakiś jaszczur prawie nie odróżniał się od swojego otoczenia.

Był to siedzący na ziemi bardzo stary człowiek, czy może tylko cień bardzo starego człowieka, wysoki, potwornie chudy i szary jak popiół. Szare było w nim wszystko: pergaminowa skóra opinająca prześwitujące przez nią szare kości, wąskie usta, jakby spękane od gorączki, głęboko zapadnięte oczy, haczykowaty nos, zepsute i nierówne zęby, a także na wpół zetlała tunika, obszarpana u dołu i rozdarta na obu kolanach, która, sądząc po paru pojedynczych nitkach, była niegdyś żółta. Obrazu jego ogólnej szarości dopełniały jeszcze krótko przystrzyżone szare włosy i mała szara bródka, upstrzone tu i ówdzie cynobrowymi plamkami odrostów.

– Znasz... moją mowę?! – wykrztusiłem.

– I twoją, i wiele innych. Jak się ma dużo wolnego czasu, można się sporo nauczyć. Co z tą wodą? – ponaglił mnie, uderzając o kolano kościstą dłonią, w której, jak dopiero wówczas zauważyłem, ścisnął podłużny mieszek ze zwierzęcego pęcherza.

Podąłem mu buklak, do którego przypiął się tak łapczywie, jakby chciał go w całości połknąć. Pił i pił, parując przy tym jak rozgrzana blacha polana wodą, podczas gdy ja przyglądałem się ze zgrozą, jak na jego tunice, w okolicach zapadłego brzucha, wykwita coraz większa plama wilgoci.

– Skąd znasz mój język? – zapytałem ze ściśniętym gardłem, kiedy wreszcie nasycił swoje pragnienie.

– Tam, gdzie zazwyczaj przebywam, słyszać go dość często.

– To znaczy gdzie?

Wtedy spojrział mi prosto w oczy i rzekł z dziwnym uśmiechem:

– W piekł e, *monsieur* Herluin.

„Pieprzeni rodacy!”, było pierwszą myślą, jaka przyszła mi do głowy, lecz natychmiast ustąpiła ona miejsca innej, o wiele ważniejszej.

– Skąd wiesz, jak się nazywam?! Kim jesteś?! – zapytałem.

– Hmm... – prychnął ze wzgardą – myślałem, że jesteś bystrzejszy, *monsieur* Herluin. Inni rozpoznawali mnie od razu.

Urażony uwagą o mojej bystrości, przyjrzałem mu się uważnie. A im dłużej mu się przyglądałem, tym bardziej nabierałem przekonania, że skądś go znam, że już go gdzieś widziałem – może w jakimś innym kraju, może w obozie

krzyżowców, może gdzieś przy ognisku, może na jakiejś uczcie, a może w którymś z kościołów – niestety, pomimo wysiłku, nie byłem w stanie sobie przypomnieć, gdzie.

– Nie wysilaj się, nigdy się nie widzieliśmy, aczkolwiek i bez tego mógłbyś się domyślić – szary strzęp człowieka przerwał szorstko moje rozważania. – To ja, jeden z Dwunastu.

– To... niemożliwe! – cofnąłem się przerażony, po czym zapytałem go niezbyt mądrze: – Co tutaj robisz?!

– Czyżbyś nigdy nie słyszał o duchach nieczystych błakających się w miejscach bezwodnych w poszukiwaniu ukojenia? – odpowiedział z jawną drwiną.

– Słyszałem, lecz nie sądziłem, że może się to odnosić... także do ciebie – wybąkałem.

– Bądź łaskaw zwracać się do mnie „Apostole” – poprosił uprzejmie, lecz zarazem takim tonem, że ciarki przeszły mi po grzbiecie. Trwało to jednak tylko chwilę, bo zaraz odzyskałem rezon. W końcu w moim życiu widziałem już tyle trupów, że jeden więcej nie mógł mnie szczególnie przerazić czy zbić z pantałyku.

– „Apostole”? Czy to konieczne? – skrzywiłem się z niesmakiem.

– Nawet niezbędne – uciął krótko. – Czy wiesz, jaki mamy dzisiaj dzień?

– Nie mam pojęcia.

– To marny z ciebie chrześcijanin, *monsieur* Herluin. Dziś jest Wielki Piątek, rocznica i pamiątka śmierci naszego Pana a mojego Mistrza – pouczył mnie tonem wyższości. – I już od wieków tacy jak ja korzystają między Wielkim Czwartkiem a Pięćdziesiątnicą z dorocznej dyspensy, by móc w jakim takim spokoju rozpamiętywać swoje winy i szukać ukojenia, którego i tak nie znajdują. Zawdzięczamy ten przywilej łzom i wstawiennictwu Maryi, Jego Najświętszej Matki, która dotąd upraszała Boga, aż w końcu wejrzał na Jej błagania i złagodził swoją surowość.

– Niech będzie chwała świętej Bożej Rodzicielce, i Ojcu, i Synowi – dziś ukrzyżowanemu – i Duchowi Świętemu, teraz i zawsze, i na wieki wieków! – stwierdziłem natychmiast, a potem dodałem nie bez złośliwości: – Zwłaszcza, że wcale nie musieli tego robić.

– Nie musieli?! Tak uważasz? – zacisnął swoje szpony na sakiewce z taką siłą, że aż mu coś w nich chrupnęło. – Jesteś skończonym durniem, *monsieur* Herluin. Nie tylko ty jeden oczywiście, nie tylko ty jeden, więc nie nadymaj się z urazy jak żaba. Pewnie, że Oni mogą wszystko i niczego nie muszą. Ale nawet Oni nie powinni lekceważyć cudzego bólu, żalu i pokuty, a przede wszystkim cudzych zasług.

– O czym ty mówisz? Jaki ból? Jaki żal? Jaka pokuta? A przede wszystkim, jakie zasługi?! – nie zdzierżyłem tej bezczelności.

– A tak, żebyś wiedział! Bo – wierz mi albo nie – ból i żalność zdjęły mnie już wtedy, kiedy zapytano Go, czy jest Synem Bożym, a On to potwierdził i ujrzałem, jak Go prowadzą od arcykapłana przed oblicze rzymskiego prefekta. Zrozumiałem bowiem, że to koniec, że już po Nim, i że to wszystko przeze mnie, bo uległem podszeptowi diabła. I właśnie dlatego, widząc, że naprawdę wypełniły się słowa Pisma: *Jeżeli to uznacie za słuszne, dajcie mi zapłatę, a jeżeli nie – zostawcie ją sobie! I odważyli mi trzydzieści srebrników*,¹¹⁹ wziąłem owe trzydzieści denarów, z których nie zdążyłem jeszcze wydać ani jednego, i pobiegłem czym prędzej do starszych i arcykapłanów, i zwróciłem im je wszystkie bez wyjątku, błagając ze łzami: „Weźcie je ode mnie, bom ciężko zgrzeszył, wydawszy krew niewinną!”. Ale oni odrzekli z pogardą: „A cóż nas to obchodzi? To twoja sprawa, nędzniku”, i nie chcieli ich przyjąć z powrotem! I pośród urągań tłumu, który lżył mnie jednym głosem: „Skończony łotrze, podły sukinsynu, sprzedałeś i zabiłeś swojego Mistrza! Zdradziłeś, łajdaku, pocałunkiem Tego, który obmył ci nogi i powierzył ci własny trzos! Przyznaj się, kanalio, pewnie kradłeś z niego po kryjomu i bałeś się, że to się w końcu wyda?!” – cisnąłem w nich tymi pieniędzmi i uciekłem z płaczem do domu.

– A nie kradłeś z niego? – zapytałem.

– A nie kradłeś z niego, Apostole? – zwrócił mi uwagę, oganiając się jednocześnie od muchy, która nie wiadomo skąd wzięła się na pustyni i krążyła natrętnie wokół jego głowy.

– A nie kradłeś z niego, Apostole? – poprawiłem się.

– Kradłem – przyznał hardo. – I co z tego? Gdyby do piekła trafiał każdy, kto choć raz w życiu coś ukradł, już dawno zabrakłoby w nim miejsca. A zresztą, Mistrz o tym wiedział, w końcu to On mnie wybrał, a nie ja Jego.

– W to nie wątpię. Mów dalej – poprosiłem.

– A-pos-to-le! – uzupełnił z naciskiem.

– Mów dalej, Apostole.

– Kiedy dotarłem do domu, byłem tak wzburzony, że na mój widok żona, która piekła właśnie koguta na kolację, skoczyła na równe nogi. „Kobieto, rzuć to wszystko – rozkazałem. – I znajdź mi lepiej sznur, bo chcę się powiesić”. „Co za bzdury wygadujesz, mój mężu?! – wystraszyła się. – Znowu się upiłeś?”. I rzekłem gniewnie: „Nie, kobieto, ale zdradziłem mojego Mistrza i wydałem go łotrom na śmierć. Ale On po trzech dniach zmartwychwstanie i zobaczysz, że wypełnią się słowa Pisma, a mnie przeklną na wieki!”.

Wtedy żona zaczęła mnie pocieszać: „Wypluń te słowa, mężu, i nawet nie wąż się tak myśleć! Bo tak jak ten pieczony kogut nie wyda już z siebie głosu, tak

i twój Jezus nigdy nie powstanie z martwych”. No i wówczas, ledwie to powiedziała, przekłute ptaszysko, na wpół już upieczone i z rozprutym brzuchem, zerwało się nagle z rozżarzonych węgli, zatrzepotało nagimi skrzydłami i przyskajac wokół rozgrzaną oliwą z czosnkiem, zapiało trzy razy z tak wielkim zapalem, że o mało mi serce nie pękło z rozpacz! Po tym nie zwlekałem już ani chwili, tylko wybiegłem czym prędzej na dwór i powiesiłem się na uschlým figowcu na sznurze od tego mieszka.

– To ciekawe, bo ja słyszałem, że za pieniądze, które zdobyłeś tak niegodziwie, zdążyłeś jeszcze kupić kawał ziemi i dopiero potem, spadłszy głową w dół, rozpekłeś się na dwoje i wypłynęły z ciebie wszystkie wnętrzności – wskazałem na jego zapadły brzuch, gdzie widać było mokrą plamę. – Ponoć wiedziała o tym cała Jerozolima i odtąd nazywano ten zagon Polem Krwi, czy jakoś podobnie.

– Po pierwsze, pękłem na pół, kiedy urwał się sznur, a po drugie, to podłe oszczerstwo – stwierdził zasłaniając łokciem plamę wilgoci na swoim brzuchu. – Nie pierwsze zresztą i nie ostatnie, jakie na mnie rzucono. Kupiłem ziemię? I co jeszcze? Może od razu Świątynię Salomona? I ciekawe za co? Za te zasrane trzydzieści srebrników, które przedtem rzuciłem pod nogi starszym i arcykapłanom, jak zaświadcza Pismo? A może za te nędzne miedziaki, jakie nam niekiedy dawano i które od czasu do czasu podkradałem? Jak jesteś taki mądry, to dam ci zaraz trzydzieści srebrników i jedź, kup za nie w Jerozolimie jakieś pole! Będzie dobrze, jeśli ci wystarczą na skromną mogiłę!

Po tych słowach wyjął z mieszka garść monet i cisnął mi je pod nogi. Na wszelki wypadek, nawet się po nie nie schyliłem.

– Więc ciągle je masz? – zdziwiłem się.

– Tak, mam je – odburknął i wybuchł ponownie: – Nie można się od nich uwolnić, tak samo jak od kłamców i oszczerców! Te bydlaki nie uszanują nawet śmierci, jaką człowiek sam sobie zadał.

– Daj spokój, Apostole – powiedziałem. – Pomówmy o czymś ciekawszym.

– Niby o czym?

– A choćby o piekle.

– No tak, w kółko to samo! – zamachał ze złością rękami. – Nic tylko piekło i piekło! A w rzeczywistości wszyscy je macie w dupie.

– Nie wszyscy, ja na przykład nie – zaprotestowałem.

– Za życia każdy tak mówi i niewiele z tego wynika. Ale niech ci będzie. Nieczęsto trafia mi się okazja, by porozmawiać z kimś żywym, a to znacznie ciekawsze niż rozmowy z umarłymi – opędził się znowu od upartej muchy.

– Dlaczego?

– Dlatego, *monsieur* Herluin, że umarli są śmiertelnie nudni. Śmier-tel-nie nudni! – powtórzył, po czym nieprzyjemnie zachichotał, jakby go naprawdę bawiła tandetność tego dowcipu. – Bo też ile czasu można słuchać tych samych lamentów i narzekań, tych samych zapewnień o niewinności bądź umniejszania własnych win, tych samych lepszych lub gorszych tłumaczeń, że chciało się dobrze, a wyszło jak zawsze; ile można słuchać tego oczerniania bez końca osób postronnych i przeważnie Bogu ducha winnych, albo tego ciągłego wskazywania na odziedziczone po przodkach złe skłonności, czy też na wyjątkowo niesprzyjające okoliczności? Ileż można ścierpieć tego wiecznego biadolenia i załamywania rąk nad samym sobą, lecz prawie nigdy nad tymi, których się skrzywdziło? Jak długo da się wytrzymać to nieustanne przywoływanie i rozpamiętywanie byłych cnót i zalet oraz wspomnianie dawnych dobrych uczynków, rzekomo niesprawiedliwie przekreślonych przez jakiś jeden, jedyny, nierozważny wprawdzie, lecz w sumie dość przypadkowy i nic nie znaczący zły postępek? Ileż razy można słuchać tych samych żalosnych błagań o jeszcze jedną szansę lub nadzwyczajną rewizję wyroku, a także czczych uwag na temat niekompetencji bądź stronniczości Sądu? Jakąż wreszcie trzeba wykazać się odpornością, aby wytrzymać wszystkie te wizyty różnych natrętów, przychodzących tłumnie przez całe wieki i nagabujących na wszelkie sposoby, aby świadczyć na ich korzyść na Sądzie Ostatecznym lub wstawić się za nimi, po znajomości, u Mistrza? Nie mają już, przechery, niczego w garści, ale jeszcze chcą ubić interes! Dlatego wolę po stokroć żywych, bo wy macie przynajmniej przyszłość.

– Powiedziałeś, że mój język słyhać w piekle dość często. Czyżby moi rodacy byli tam najliczniejsi? – zapytałem o to, co wciąż mnie niepokoiło.

– Nie. Najwięcej jest takich, którzy nie wierzyli, że ono w ogóle istnieje. I ci są najbardziej zdziwieni.

– Czym? Robakiem, co nigdy nie odpoczywa, ciemnością, ogniem nieugaszonym czy jeziorami płonącej siarki?

– Apostole! – huknął na mnie.

– Apostole – poprawiłem się posłusznie.

– Jak jesteś taki ciekawy, możesz to sprawdzić osobiście – zachichotał znowu.

– A ty? Sprawdziłeś to osobiście? – nie dawałem za wygraną.

– Ja to co innego – powrócił do swojego zwykłego tonu wyższości. – Nie jestem byle kim. Z mojego punktu widzenia, najgorszy w piekle, oprócz mroku, tłoku, smrodu i gorąca, oprócz złorzeczeń, przekleństw i bluźnierstw, jest brak widoku Mistrza, a także to wszystko o czym już powiedziałem: niewczesne żale, jałowe skargi, niekończące się wspominki, daremne obietnice poprawy,

wzajemne oskarżenia oraz straszliwa samotność i całkowita obojętność innych i na innych.

Uderzyło mnie to już od pierwszej chwili, kiedy zszedłem na dół po siedmiu stopniach – Kradzieży, Zazdrości, Zdrady, Obłudy, Rozpaczy, Nienawiści i Samobójstwa – i zostałem przydzielony do kwatery zdrajców. Kierujący nią Rzymianin przywitał mnie zdawkowo i nie zapytał nawet, za co tam trafiłem, ani nie zainteresował się w ogóle tym, co słyhać na Bożym świecie, zapewnił mnie natychmiast, że w przeciwieństwie do innych, którzy tam przebywali, nie jest żadnym zdrajcą, ponieważ jakiś Juliusz, którego zasztyletował, nie był wcale jego ojcem, w związku z czym nie obowiązywały go względem zamordowanego żadne przyrodzone i święte zasady synostwa. Przytłoczony własnym nieszczęściem, odpowiedziałem mu, że nic mnie to nie obchodzi i od tamtej pory nie zamieniliśmy ze sobą więcej ani słowa.

– Jak widzę, między piekłem a tym padołem nie ma w istocie większej różnicy, oczywiście jeśli nie liczyć ognia, który nigdy nie gaśnie i czerwia nienasyconego, a przede wszystkim braku nadziei – stwierdziłem z westchnieniem.

– A któż ci powiedział, że brak nam nadziei? – zdziwił się Judasz. – Wiem, że mówią o niej, iż jest matką głupich i że zawsze umiera ostatnia, co w połączeniu z miejscem, gdzie normalnie przebywam, powinno ją czynić absurdalną, ja jednak, tak samo jak wszyscy, wciąż mam nadzieję i nie sądzę, żeby była ona całkiem bezpodstawna.

– A to dlaczego? – zapytałem zaskoczony jego słowami.

– Dlatego, *monsieur* Herluin, że kiedy spędziłem w otchłani zaledwie kilka godzin, wydarzyło się coś absolutnie niezwykłego! Nagle doszło do nas, przebywających w ciemnościach i w cieniu śmierci, dalekie granie trąb i rogów, rosnące i potężniejące z każdą chwilą. Dźwięk ten, dochodzący gdzieś z góry, wywołał wielkie poruszenie wśród naszych strażników, którzy zrazu jęli spoglądać po sobie zdziwieni, później zaś, gdy muzyka stała się jeszcze głośniejsza, zaczęli się między sobą naradzać, a wreszcie przywoływać ze strachem swoich przełożonych, bądź porzuciwszy bez żenady swoje obowiązki, biec na wyścigi w stronę głównej bramy piekieł.

Większość z nas, mieszkańców Gehenny, pozbawiona w ten sposób nadzoru, natychmiast poszła w ich ślady. Inni, w przekonaniu, że oto wybiła godzina Sądu, woleli pozostać na miejscu i padłszy na kolana, uzalać się nad sobą i błagać Boga o zmiłowanie. Z każdą chwilą harmider robił się coraz większy, ponieważ lamenty i błagania mieszały się nie tylko z graniami trąb i rogów, ale także z okrzykami radości i chóralnymi pieśniami dziękczynienia dochodzącymi z kwater zwanych Łonem Abrahama, gdzie mieszkali nasi prarodzice Adam i Ewa, prorocy, patriarchowie, królowie i kapłani Starego Przymierza, i w ogóle

wszyscy święci i sprawiedliwi z poprzednich pokoleń, tak spośród Żydów, jak i spośród gojów, którzy w swoim czasie i na miarę swoich możliwości bali się i kochali Boga, troszczyli się o bliźnich i marzyli o tym, żeby zobaczyć Mesjasza, a którzy nie mogąc się dostać do raju przed Odkupieniem z powodu grzechu pierworodnego, traktowali każdy dzień spędzony w naszym towarzystwie niczym największe nieszczęście i najcięższą z obelg, jakie przyszło im kiedykolwiek znośić.

Kiedy porwany przez tłum potępieńców i zderzając się wielokrotnie z innymi, którzy biegali jak szaleni we wszystkich kierunkach, dotarłem wreszcie do wrót piekielnych, zgromadziły się tam już nieprzebrane rzesze zmarłych, a z najdalszych zakamarków otchłani wciąż przybywały tłumy nowych. Jedni wołali „Biada!”, inni „Hosanna!”, ci się śmiali, tamci płakali, jeszcze inni klęli bądź śpiewali hymny, ale choć była tam również Śmierć koścista i sam Książę Ciemności, a także jego najokrutniejsi pomocnicy – Lucyfer, Astarot, Agaliarept, Santanchia, Sargantanas, Nebiros, Pursan, Abigar, Marbas, Barbatos oraz Pruslas – nikt nawet nie próbował przywracać porządku.

Pomniejsi diabli, zajęci umacnianiem bramy, pospiesznie zakładali na niej dodatkowe sztaby i zasuwę, i właśnie przepasywali ją na ukos żelaznymi łańcuchami, kiedy trąby i rogi zniecka ucichły i z drugiej strony wrót rozległo się donośne wołanie: "Otwórzcie wrota, szatani, albowiem zawitał do was Król Chwały!". Jeden z wasali Władcy Otchłani wykrzyknął wówczas drżącym głosem: „Panie, zdaje się, że to sam Pan Bóg zstąpił do nas z potężnym tchnieniem, któremu nic się nie oprze!”. „Nie mówcie bzdur, tylko wzmocnijcie bramy i utwórzcie rygle! – odpowiedział na to Książę Ciemności. – I niech no któryś wyjrzy na zewnątrz i sprawdzi, co to za rwetes i kto się tu dobija?”.

I podczas gdy kilku czartów zaczęło obkładać bramę od wewnątrz wielkimi głazami, ten z nich, który wcześniej tak bardzo się przeląkł, odsunął spiżową tarczę przesłaniającą wziernik, wyjrzał ostrożnie na zewnątrz, a potem zawołał z przerażeniem: „Może to i nie sam Pan Bóg, ale co najmniej jakiś Jego prorok, bo towarzyszy mu legion aniołów!”. „Jaki znów prorok?! – zatrzęsł się z gniewu Władca Much. – Przecież chyba nie Henoch, pisarz sprawiedliwości, który zstąpi na ziemię dopiero za kilka tysięcy lat, ani nie Eliaszmściciel, który powróci tuż przed końcem świata, aby stoczyć walkę z Gogiem i Magogiem?! Całą resztę wieszczów trzymamy pod kluczem i jeszcze się nie zdarzyło, żeby któryś uciekł! Odsuń się, bęcwale, niechaj sam zobacze!”.

I włokąc za sobą swoje kręte cielsko, przypełznął do bramy i przystawił oko do wziernika. „Ach, to ten! – prychnął z pogardą. – Mędrek, co ganił uczonych w Piśmie i psuł interes kupcom w Świątyni; wichrzyciel, który sprzeciwiał mi się na każdym kroku i śmiał uzdrawiać jednym tylko słowem tych, których ja

uczyniłem ślepymi, kulawymi, garbatymi, trędotowymi i opętanymi; więcej, próbował wyrwać spod naszej władzy kilku takich, którzy po śmierci już zaczęli cuchnąć; podżegacz, który swoimi bajdami odsunął ode mnie wielu głodnych, ubogich, płaczących, łaknących sprawiedliwości, znieawidzonych i uciśnionych, na których zawsze mogłem liczyć! Ciekawe, po co tu zachodzi z tak wielką paradą?! Czego chce?! Czego tutaj szuka?! Czyżby zawiodło drewno, które przygotowałem, by Go ukrzyżować, ciernie, które zaplotłem, by Go koronować, zółć i ocet, które sporządziłem, żeby Go napoić, i włócznia, którą naostrzyłem, aby Mu przeszyć bok?!”

„Nie obawiaj się, panie. Jest martwy – rzekła na to Śmierć. – Przed chwilą skonał, jak każdy człowiek. Trzeba Mu tylko wyznaczyć kwaterę.”

„Otwierać! Otwierać!”, wołano tymczasem z drugiej strony bramy, po czym zaczęto w nią łomotać głowniami mieczy.

„No nie wiem, wolałbym chyba Go tutaj nie wpuszczać” – zasepił się Władca Much.

„Ależ, *sire!* – zachnęła się Śmierć. – Jeśli będzie trzeba, uśmiercę Go ponownie. Przecież wiesz, że to dla mnie drobiazg.”

Ledwie to powiedziała, kiedy rozległ się straszliwy huk i spizowe wrota piekieł, wyrwane z zawiasów i zamocowań, frunęły w górę niczym zeszcły liść, a następnie, zatrzymawszy się na moment w powietrzu, zwały się z łoskotem na ziemię, zgniatając przy okazji na miazgę kilku zagapionych czartów.

Przez wyrwę po spizowych wrotach trysnęło światło tak jasne, jakby nagle rozjarzyło się siedem słońc, oślepiając większość przywykłych już do ciemności mieszkańców podziemi, po czym znowu zagrały trąby i rogi. Jako pierwszy ukazał się w wyłomie Archanioł Michał z ognistym mieczem w dłoni, sięgającym swoim płomieniem bram Jerozolimy. Dwoma ruchami miecza rozgarnął na boki wielkie bloki skalne przytoczone w to miejsce przez sługi Księcia Ciemności i tak oczyścił drogę Temu, który szedł za nim.

Na twarzy Mistrza, rozjarzonej nieziemskim światłem, widniały jeszcze ślady bicia trzcina i koronowania cierniem, ale cała Jego postać, ubrana w nowe i czyste szaty, tchnęła majestatem i spokojem, jakiego nie widziałem u Niego od dawna. Na ten widok Śmierć zamarła w bezruchu jak sparalizowana, podzwaniając tylko ze strachu zębami, biesy cofnęły się w popłochu, zaś ich władca przypadł z drzeniem pyska do ziemi. Kilku z towarzyszących Mistrzowi aniołów – młodych, pięknych, roślących jak libańskie cedry i z trefionymi włosami do ramion – natychmiast przypadło do Bestii i związało grubymi łańcuchami nie tylko jej ręce i nogi, ale także jej błoniaste skrzydła, niczym kogutowi w przeddzień wielkiego postu, w dziesiąty dzień miesiąca *tiszri*. Tymczasem wielu innych z owych wytwornych młodzieńców zasłaniało sobie wymownie

oczy i nosy, dając nam do zrozumienia, jak bardzo cierpią z powodu miejsca, do którego przyszło im zstąpić.

Wtedy Mistrz skinął dłonią i Śmierć, jakby porwana niewstrzymanym wichrem, śmignęła w powietrzu, rąbnęła gołą czaszką w skałę i rozsypała się w grzechocie kości na ziemi. Następnie postąpił parę kroków i postawił swoją przebitą ćwiekiem stopę na tłustym i sztywnym karku Księcia Ciemności, wdeptując jego zębatą paszczę aż po uszy w kamień.

Na ten widok zaczęliśmy wszyscy wiwatować i bić brawo, a uciszyliśmy się dopiero wtedy, kiedy Mistrz uniósł prawą dłoń, z dobrze widoczną dziurą po gwoździu, uczynił nad nami znak krzyża i rzekł: „I gdzie jest, o Śmierci, twój oścień? Gdzie jest, o Piekło, twoje zwycięstwo?! Przyjdźcie do Mnie wszyscy, którzy nosicie Mój obraz i podobieństwo, wszyscy, którzyście pomarli pragnąc Mnie zobaczyć, bo oto przynoszę wam Dobrą Nowinę. Czas się wypełnił, bracia i siostry, jesteście odkupieni, gdyż tak jak wy zostaliście potępieni przez drzewo i Szatana, tak dzisiaj, również przez drzewo, został potępiony i Szatan, i Śmierć. Stawajcie do szeregu, bo jeszcze dzisiaj będziecie w niebie”.

Na co odpowiedzieli Mu jednym głosem prorocy i patriarchowie: „Bądź błogosławiony, Panie Wszechmogący, Ojciec wieczności, Ojciec miłosierdzia, który jesteś dla nas tak łaskaw, że jeszcze dzisiaj wprowadzisz nas do chwały raju, na jego żyzne pastwiska!”. A później zawołali z wielkiej radości: „Hosanna! Hosanna!” i podbiegli do Niego hurmem, a wraz z nimi całe mrowie królów, świętych i sprawiedliwych, wśród których dało się rozpoznać, po braku pępeków, Adama i Ewę, Mojżesza z kamiennymi tablicami, Abrahama z ostrym nożem i jego syna Izaaka, Izajasza z drewnianą piłą, Dawida z harfą, Salomona z planem Świątyni pod pachą, Jakuba z drabiną, splakanego jak bóbr i wciąż lamentującego Hioba, Judytę z mieczem i głową Holofernesa, Jana Chrzciciela z dzbanem wody z rzeki Jordan i wielu, wielu innych.

Widziałem także, jak do formującej się właśnie kolumny świętych i sprawiedliwych próbowały wcisnąć się ukradkiem jakieś sprytne dusze, ale czujni aniołowie wyłapywali je natychmiast i pędzili bezlitośnie w stronę potępionych. To samo działo się z umarłymi pragnącymi wykorzystać ogólny rozgardiasz i wymknąć się cichaczem na wolność przez rozbite wrota piekieł, jako że strzegący wyłomu Archanioł Michał nie przepuszczał nikomu i wywijając ognistym mieczem, zaganiał uciekinierów z powrotem do otchłani.

Jednak dusz imających się oszustwa wciąż przybywało i w końcu nie było innego wyjścia, jak pieczętować wszystkich świętych i sprawiedliwych specjalnym znakiem zbawienia, aby w rosnącym zamieszaniu nie dostał się do kolumny nikt nieuprawniony. Od tego momentu wszystko zaczęło iść dużo sprawniej, choć lamenty i zgrzytanie zębów jeszcze się wzmogły. Tu i ówdzie

widziało się mężów i żony rozdzielanych na siłę przez rosnących aniołów, cnotliwe narzeczone wyrywane z objęć ich grzesznych oblubieńców, bogobojne córki i synów odzegnujących się od swoich bezbożnych rodziców (a czasem na odwrót), oschłe bądź czułe pożegnania braci i siostr poróżnionych przez wiarę lub niewiarę, święte i sprawiedliwe kobiety usiłujące przemycić pod zetlą suknią czyjeś nie ochrzczone dziecko. Ale z drugiej strony widziało się także matki, ojców, mężów, żony, braci, siostry, synów i córki, którzy – choć już naznaczeni pieczęcią wybrania – nagle wybiegali z kolumny i zgodnie ze słowami Mistrza: *Kto kocha ojca lub matkę bardziej niż Mnie, nie jest*

*Mnie godzien, i kto kocha syna lub córkę bardziej niż Mnie, nie jest Mnie godzien*¹²⁰ – niespodziewanie rezygnowali z rozkoszy nieba, decydując się pozostać w piekle u boku swoich mniej szczęśliwych bliskich.

W całym tym zamęcie zebrałem się w końcu na odwagę i przedarłem się przez tłum potępieńców, dopchałem się jakoś do mojego Mistrza. „*Rabbi!* – rzekłem, pociągając Go za skraj Jego nowej szaty. – To ja, Judasz, Twój Apostoł. Wiem, że nie jestem świętym ani sprawiedliwym, tylko skończonym grzesznikiem i zdrajcą. Ale, choć szczerze żałuję tego, co zrobiłem, czyż to nie Ty sam kazałeś mi czynić, co miałem uczynić? I czyż nie do mnie także odnoszą się Twoje słowa: *Ojczy, przebacz im, bo nie wiedzą, co czynią?*”¹²¹ Któż jak nie Ty, Panie, powinien wiedzieć, że beze mnie nie dokonałoby się to, co się dokonało, i nie wypełniłyby się słowa Pisma, jak się wypełniły?! A skoro musiały się one wypełnić, czy to naprawdę ważne, kto Cię zdradził?! Nie zdradziłbym Cię ja, to zdradziłby Cię ktoś inny, chętnych nigdy nie brakuje”. „Możliwe, Judaszu – odpowiedział mi na to Mistrz z bolesnym wyrzutem. – Ale to ty mnie zdradziłeś, nie ktoś inny. I dlatego byłoby dla ciebie lepiej, gdybyś się nigdy nie narodził”.

A potem uścisnął moje ramię i odwrócił się w stronę rozwalonej bramy piekieł, skąd nadbiegał właśnie, kuśtykając i kolebiąc się na boki, jakiś świeżo zmarły nieboszczyk z połamanymi okrutnie goleniami, taszczący na swoich ramionach poprzeczną belkę od krzyża. „Z drogi, ludzie, z drogi! Czy jest tu Jezus z Nazaretu, Król Żydowski?!”, darł się wniebogłose, a potem dostrzegłszy mojego Mistrza i zbity z tropu obecnością tak gęstego tłumu, zawołał z nieco większą pokorą: „Panie, obiecałeś mi na krzyżu, że jeszcze dziś wieczorem będę z Tobą w raju! A tu patrz, Panie, co za burdel, gdzie mnie urzędasy skierowały!...”.

Mistrz uśmiechnął się tylko i przytulił prostaka do piersi, a następnie umieścił go osobiście pośród świętych i sprawiedliwych. Gdy kolumna była już gotowa do wymarszu, na jej czoło wyskoczył znieścacka król Dawid i pomimo swej nikłej postury zakrzyknął tak, że było go słychać w całym piekle: „Alleluja, ludzie, alleluja! Zaśpiewajcie Panu pieśń nową, albowiem wielkie cuda uczynił!

Zaśpiewajcie Mu przy wtórze cytry i przy dźwiękach harfy, przy trąbach i przy dźwięku rogu: radujcie się wobec Pana i naszego Króla!”. Następnie brzdąknął w struny swojej harfy, podał innym ton i melodię, którą podjęły natychmiast rogi i trąby, i cały orszak zaczął powoli opuszczać otchłań z pieśnią dziękczynną na ustach. My zaś, którzyśmy w niej zostawali, przyglądaliśmy się temu z rozdzierającym płaczem i głośnym zgrzytaniem zębów, ze żrącą zazdrością i skamieniałymi z rozpaczycy sercami! I to był ostatni raz, kiedy Go widziałem.

– Bardzo mi przykro, Apostole – stwierdziłem po wysłuchaniu jego opowieści – ale nadal nie rozumiem, na czym zasadzasz swoją nadzieję? W końcu, jak by nie było, jesteś zdrajcą, i to najgorszym, jakiego można sobie wyobrazić.

– Nieprawda! – oburzył się Judasz. – Znacznie gorsi przyszli i przyjdą jeszcze po mnie. Bo ja mimo wszystko pomagałem Bogu, a nie Diabłu, i nie zdradziłem Mistrza dla pieniędzy, które oddałem przecież co do grosza, ani nie po to, żeby nosić powłóczyste szaty, albo żeby być pozdrawianym na rynku czy zasiadać na pierwszych krzesłach w synagodze bądź na ucztach. Nie zdradziłem Go także dla miski soczewicy, za awans, karierę czy stanowisko, z pychy, ambicji czy z tchórzostwa, za mieszkanie, paszport, święty spokój czy za wygodne życie...

– Paszport? – uniosłem brwi ze zdziwienia. – A co to takiego?

– Nie wiem – wzruszył ramionami pan Herluin. – Tak powiedział.

– Dobrze, co mówił dalej?

– Dalej mówił tak: Jeśli Go zdradziłem, to wyłącznie dla Jego chwały tylko po to, żeby wypełniły się słowa Pisma oraz Jego własne przedwieczne plany. Po to, żeby uwolnił się z krzyża i ukazał się swoim prześladowcom w postaci Syna Bożego, żeby naród uznał w Nim Mesjasza i ogłosił Go w Jerozolimie królem, żeby zatryumfował nad swoimi oskarżycielami i ciemiężcami, aby położył kres ich władzy i nadużyciom, i po to, żeby przepędził Rzymian. No i oczywiście po to, żeby nas zbawił. Lecz, jak już powiedziałem, jeśli to wszystko miało się dokonać, ktoś musiał Go zdradzić i ktoś musiał Go skazać na śmierć. Nie zdradziłbym Go ja, to zdradziłby Go ktoś inny; nie skazałby Go Piłat, to skazałby Go inny sędzia. Chętnych nigdy nie brakuje. Chyba że – uśmiechnął się smętnie, ukazując swoje popsute zęby – nikt by Go nie zdradził i nikt by Go nie skazał. Tylko że wówczas lud by się od Niego odwrócił uznając, że nie jest Mesjaszem, na którego tak długo czekano. I nie pozostałoby Mu nic innego, jak wrócić do cieszności i umrzeć w zapomnieniu ze wstydu i zgryzoty. I nic już nie miałoby sensu, *monsieur* Herluin, zupełnie nic! Tak więc myślę, że moja nadzieja opiera się na zdrowym rozsądku.

– Jeśli ten „zdrowy rozsądek” pozwala ci zrównywać winę i zasługę, wierność ze zdradą, kata z ofiarą, prawdę z kłamstwem, i w ogóle zło z dobrem, możesz się srogo przeliczyć – zauważyłem surowo.

– Dlatego jeszcze bardziej polegam na Bożej mądrości i sprawiedliwości, a zwłaszcza na Bożym miłosierdziu – wyjaśnił w odpowiedzi. – Dziś nie powtórzyłbym już tego błędu, żeby choć przez chwilę w nie wątpić! Bo gdybym wówczas uwierzył, że Mistrz może mi jeszcze wybaczyć, i gdybym, zamiast się wieszać, żałował mojej zdrady równie gorzko jak Szymon Piotr, który zapał się Go aż trzy razy, pewnie byśmy się dzisiaj tutaj nie spotkali. Ufam jednak głęboko, że Boża mądrość, sprawiedliwość i miłosierdzie nie pozwolą, by piekło trwało wiecznie, bo w ostatecznym rachunku byłby to tryumf Szatana i Śmierci, raz już przecież pokonanych przez Mistrza na krzyżu. Wierzę także w to, że skoro nasz Pan umarł za wszystkich ludzi, a nie tylko za świętych i sprawiedliwych, Jego miłość do nas musi przewyższać wszystkie nasze grzechy, i dlatego nie może nikogo karać przez całą wieczność. No ale jeszcze zobaczymy, Sąd Ostateczny ciągle przed nami.

– Obyś miał na nim szczęście, Apostole – wyraziłem mu moje szczerze życzenie. – Choć nie jestem pewny, czy na nie zasługujesz, bo sprawiedliwa kara nie jest żadnym złem.

– Dobrze mu powiedziałaś, panie Herluin. Mam nadzieję, że zagadnąłeś go również o Źródło? – zapytałem z niepokojem uratowanego przeze mnie Franka.

– Oczywiście. Lecz on tylko westchnął i rzekł z zakłopotaniem: „Przykro mi, ale chyba trudzisz się na próżno, *monsieur* Herluin. Źródło tu istniało albo i nie, lecz dzisiaj go już raczej nie ma. Mówiłem ci, że jedną z najgorszych rzeczy w piekle jest straszliwy upał. Dlatego ilekroć wyjdę na powierzchnię, wypijam do ostatniej kropli każdy strumyk, każde źródło i każdą kałużę, na jakie zdołam się natknąć między Wielkim Czwartkiem a Pięćdziesiątnicą. Przez tysiąc lat większość z nich znikła w tych stronach bez śladu”.

„Ty łotrze! – zatrzęsłem się z oburzenia, jakby mnie dźgnął nożem. – Zniszczyłeś Źródło Życia, skończony bydlaku!”. „Zniszczyłem albo i nie – odpowiedział znacznie twardszym tonem. – Ale nawet jeśli je wypilem, musiało być niewiele warte, skoro mi w niczym nie pomogło.”. „Tobie to już w ogóle nic nie pomoże! – zawołałem. – Wracaj lepiej do piekła, gdzie twoje miejsce! Zaiste, byłoby lepiej, gdybyś się nigdy nie narodził!”. Ale to zirytowało z kolei Judasza. „Dam ci, dobrą radę, *monsieur* Herluin – wycedził zimno. -Nie mów bzdur i nie uganiaj się za nimi. Jeśli chcesz znaleźć prawdziwe Źródło, zwróć się do Tego, z którego śmierci wytrysnęło, a znajdziesz je na pewno”.

Po tych słowach wyrwałem mu z rąk mój bukłak, wykręciłem się na pięcie i ruszyłem czym prędzej przed siebie, byle dalej od tego wcielonego diabła. W dwa dni później uciekł mi koń, zostałem bez jedzenia i bez jednej kropli wody, i gdyby nie ty, panie, na pewno bym marnie zginął – zakończył swoją opowieść.

– A niech to jasny szlag! – jęknąłem chwytając się za głowę. – Jeśli to wszystko prawda, to... żegnaj, mój synu!

Pan Herluin obrócił na mnie oczy, zamrugał parę razy i zapytał zdziwiony:

– O jakim synu mówisz?

– Nieważne... I co? Będziesz dalej szukać Źródła?

– I tak, i nie. Bo kiedy ochłonałem z gniewu, doszedłem do wniosku, że Judasz miał rację. Źródło Mamerkusa nie jest takie ważne. Właściwie to w ogóle nie jest ważne. I dlatego postanowiłem wrócić pod Antiochię, żeby nawracać niewiernych.

– Nawracać niewiernych?! Chyba oszalałeś! – Po raz pierwszy pomyślałem, że panu Herluinowi może brakować piątej klepki.

– Oszalałem? A niby dlaczego? Czyż nasz Pan, po swoim zmartwychwstaniu, nie polecił wyraźnie: *Idźcie więc i nauczajcie wszystkie narody, udzielając im chrztu w imię Ojca, i Syna, i Ducha Świętego. Uczcie je zachowywać wszystko, co wam przykazałem?*¹²² Spędziłem dziesięć lat wśród Saracenów i wiem, że to ludzie rozumni. A ludzi rozumnych zawsze da się przekonać słowem i przykładem.

– Co do mnie, to nie przyjechałem tutaj, by kogokolwiek nawracać czy do czegoś przekonywać, tylko po to, żeby odzyskać Grób Chrystusa, i jeszcze dla własnego dobra. Ale powodzenia! – stwierdziłem z goryczą, wciąż nie pogodzony z tym, co usłyszałem od niego o Źródle. A potem dodałem cierpko z myślą o czekającym nas wkrótce spotkaniu z Yusufem i Raduanem: – Może już jutro będziesz miał okazję się sprawdzić.

*

Gdy następnego dnia dotarliśmy do obozu, przedstawiłem zdumionemu Yusufowi i Raduanowi pana Herluina, a kiedy powiedziałem im, w jakich okolicznościach go znalazłem, natychmiast nas napoili i nakarmili bez zadawania zbędnych pytań. Dopiero kiedy zaspokoiliśmy pierwszy głód, zwróciłem się do nich z ciężkim sercem:

– Przykro mi, przyjaciele, lecz wygląda na to, że Źródło już nie istnieje. Dalsze poszukiwania chyba nie mają sensu.

– Jak to?! – wykrzyknęli niemal jednym głosem.

– Pan Herluin lepiej wam to wyjaśni. W dodatku po arabsku, jako że spędziwszy dziesięć lat w niewoli w Sewilli, zna świetnie waszą mowę.

Oddałem głos frankijskiemu rycerzowi, który, w ich własnym języku i z dużą swadą, opowiedział im o swoim spotkaniu z Judaszem. Słuchali go z wielką uwagą, chociaż bardzo szybko na ich twarzach pojawił się wyraz niedowierzania. Kiedy pan Herluin wreszcie skończył, jako pierwszy odezwał się Raduan:

– Myślę, panie, że padłeś ofiarą jakiegoś złośliwego *ghula* lub bezczelnego *ifri ta*, z gatunku tych, które uwielbiają zwodzić na pustyni samotnych wędrowców. Gdyby to był naprawdę Judasz, to miałyby przekłute ręce i nogi, bo to właśnie jego, jak słyszałem, przybito do krzyża zamiast Jezusa.

– To źle słyszałeś – skwitował jego słowa pan Herluin.

– Tak czy inaczej – dorzucił Yusuf – dlaczego mielibyśmy wierzyć chrześcijańskiemu Apostołowi, na dodatek zdrajcy?

– A choćby dlatego, że zdrajca czy nie, nie przestał być Apostołem – odpowiedział frankijski rycerz. – I nie miał żadnego powodu, by kłamać.

Obaj moi arabscy przyjaciele wzruszyli jak na komendę ramionami.

– To wierzcie mu sami – oświadczył Raduan. – My nie musimy. Uważam, że trzeba nadal szukać Źródła.

– Ja również – poparł go Yusuf.

– No i masz – zwróciłem się do pana Herluina. – A ty ich chciałeś nawracać!

Ugryzłem się zaraz w język, ale było już za późno.

– Nawracać?! – zdumiał się Yusuf. – Niby kogo?

– Was – wyjaśniłem rozdrażniony. – Muzułmanów.

– No to niech spróbuje, chętnie posłuchamy – skrzywił się Raduan. – Ale ostrzegam, jeśli obrazi Tego, który jest Początkiem i Końcem wszechrzeczy, albo Jego Wysłannika, nie ręczę, że zdołają mnie powstrzymać święte prawa gościnności.

Pan Herluin ciężko westchnął, spuścił głowę i długo zbierał się w sobie, żeby w końcu się odezwać ważąc ostrożnie każde słowo:

– Nie mam zamiaru nikogo obrażać. Mieszkałem wśród wyznawców Allaha dziesięć lat i wiem, że jesteście ludźmi rozumnymi. Dlatego wciąż mnie dziwi, że nie potraficie dostrzec błędów i sprzeczności, w jakie obfituje wasza Święta Księga, o której powiadacie, że została wam zesłana prosto z nieba.

– Jakich znów błędów i sprzeczności?! – zdumiał się młody Beduin.

– Matematycznych, przyrodniczych, historycznych, logicznych. Różnych.

– A bardziej konkretnie?

– Zacznijmy od matematyki, jeśli nie macie nic przeciwko temu – zaproponował pan Herluin. – Jak zapewne pamiętacie, w surze „Wzniesione Krawędzie”...

– A co to jest sura? – przerwałem mu, kiedy Yusuf przetłumaczył mi jego słowa.

– Rozdział, część. Cały Koran składa się ze stu czternastu sur, dłuższych lub krótszych, i każda ma swój tytuł – wyjaśnił mi pan Herluin w *romance*, po czym kontynuował: – A więc w surze „Wzniesione Krawędzie” mówi się na przykład, że świat został stworzony w ciągu sześciu dni: *Zaprawdę, wasz Pan to Bóg, który*

stworzył niebiosa i ziemię w ciągu sześciu dni; następnie zasiadł na tronie¹²³ – wyrecytował. -Czyż nie tak?

– Owszem – potwierdził Raduan.

– To świetnie. Bo nieco dalej, w surze „Wyjaśnione” czytamy, jakby nigdy nic, że trwało to o dwa dni dłużej: *Czy nie wierzycie w Tego, który stworzył ziemię w ciągu dwóch dni, i wynajdujecie Jemu równych? To jest Pan światów! On umieścił na niej solidnie stojące, wznoszące się nad nią, i pobłogosławił ją. Porozdzielał na niej środki żywności w ciągu czterech dni, równo dla wszystkich proszących. Potem zwrócił się ku niebu – ono było wtedy dymem – i powiedział jemu i ziemi: przychodźcie dobrowolnie lub wbrew woli!" One odpowiedziały: „Przychodzimy posłuszne.” I On ustanowił siedem niebios, w dwa dni, i objawił każdemu niebu jego zasady.*¹²⁴ Dwa, cztery i dwa, to razem osiem, a osiem to nie sześć. Coś tu nie gra, przyjaciele – pan Herluin uśmiechnął się przepaszająco.

– To prawda – uśmiechnąłem się i ja. – Matematyka to matematyka. Przecież Najwyższy, który zna dokładną liczbę włosów na głowie każdego z nas, nie może kłamać ani mylić się w obliczeniach.

– Nie ma tu żadnego kłamstwa ani pomyłki, bo sprzeczność jest tylko pozorna – o dziwo, uśmiechnął się również Yusuf. – Po prostu czas, jaki zajęło Bogu stworzenie świata, został tu wyrażony na dwa różne sposoby, przy pomocy dni odmiennej długości. To, że Allah nie zawsze posługuje się w swoich dziełach dniami jednakowej miary, widać najlepiej w surach „Pielgrzymka” i „Stopnie”, gdzie w jednym miejscu czytamy, że *jeden dzień u twego Pana jest jak tysiąc lat według waszego liczenia*¹²⁵, a w drugim, że *Aniołowie i Duch wznoszą się ku Niemu w Dniu, którego wielkość – pięćdziesiąt tysięcy lat.*¹²⁶

– Być może, być może – przyznał pan Herluin. – Choć trudno to pojąć ludzkim rozumem. Przejdźmy zatem do rzeczy znacznie prostszej, a mianowicie do kwestii, z czego powstał człowiek? Wasza Święta Księga daje na to pytanie kilka odpowiedzi: a to że z niczego, a to że z suchej gliny czy z ukształtowanego mułu, a to że z grudki krwi zakrzepłej, a to że z kropli spermy, a to znowu, że z wody.¹²⁷ Jestem ciekaw, która z nich jest właściwa?

– No właśnie – poparłem go. – Natura to natura.

– Właściwe są wszystkie – mój były sługa uśmiechnął się jeszcze szerzej. – Wszystkie bowiem służą jedynie przedstawieniu wszechmocy Allaha, który – jeśli tylko zechce – może stworzyć coś z niczego, czyli, mówiąc inaczej, wszystkie wyrażają ideę, którą nieraz słyszałem w Kordobie z ust mojej słowiańskiej niewolnicy, że „Jak Pan Bóg dopuści, to i z kija wypuści”. I dlatego w żaden sposób nie są ze sobą sprzeczne.

– W porządku – zgodził się uprzejmie frankijski rycerz. – Mam jednak wrażenie, że Koran zawiera wiele innych twierdzeń, które pozostają ze sobą

w jawnej sprzeczności. Bo logika też ma swoje prawa. Weźmy dla przykładu Żydów i Faraona, króla egipskiego, o którym czytamy w surze „Podróż Nocna”: *Wtedy on chciał wypędzić ich z kraju, lecz My zatopiliśmy jego wraz z tymi, którzy byli z nim.* ¹²⁸ Wynika z tego jasno, że Faraon utonął. Jednak w surze „Jonasz”, czytamy dla odmiany o tym samym Faraonie, królu egipskim, że kiedy był bliski utonięcia w Morzu Czerwonym, Najwyższy zwrócił się do niego w następujący sposób: *Lecz dzisiaj ciebie uratujemy – twoje ciało, abyś był znakiem dla tych, którzy przyjdą po tobie.* ¹²⁹ Z czego wniosek, że Faraon jednak ocalał. Utopił się zatem czy nie? Bo nie można zarazem utonąć i nie utonąć. To samo można powiedzieć o kolejności stworzenia nieba i ziemi. Z sury „Wyrywający” dowiadujemy się na przykład, że Allah stworzył najpierw niebo, a potem ziemię: *Czy was trudniej było stworzyć, czy niebo, które On zbudował? Wzniósł On wysoko jego sklepienie i ukształtował je harmonijnie. On zaciemnił jego noc i On wyprowadził światłość poranną. Następnie rozpostarł ziemię.* ¹³⁰ Natomiast z sury „Krowa” dowiadujemy się, że było dokładnie na odwrót: *On jest Tym, który stworzył dla was wszystko to, co jest na ziemi. Następnie zwrócił się ku niebu i ukształtował je w siedem niebios.* ¹³¹ Więc, albo – albo, przyjaciele.

– Otóż to – powtórzyłem za nim z rosnącym podziwem. – Albo utonął, albo nie. Albo najpierw była ziemia, albo niebo. Są bowiem rzeczy, których nawet Ten, który posiada do nich klucze, nie jest w stanie zmienić, ponieważ nawet On nie potrafi sprawić, by dwa razy dwa nie było cztery, albo żeby suma dwóch linii równoległych była inna niż sto osiemdziesiąt stopni.

– Nie przesadzajmy. Koran został objawiony na siedem sposobów, co może tłumaczyć drobne nieścisłości – wzruszył ramionami Raduan.

– W sprawach rzeczywiście błahych, jak śmierć Faraona, króla egipskiego, czy kolejność stwarzania świata, takie wyjaśnienie jest oczywiście jak najbardziej do przyjęcia – zgodził się ponownie pan Herluin. -Ale nie w kwestiach zasadniczych, jak na przykład śmierć i zmartwychwstanie Jezusa czy prawidłowy stosunek do chrześcijan i Żydów, bo tu nie ma miejsca na żadne nieścisłości. Przynajmniej z naszego punktu widzenia.

Tymczasem o Mesjaszu powiada się w surze „Kobiety” - *...oni ani Go nie zabili, ani Go nie ukrzyżowali, tylko im się tak zdawało; i, zaprawdę, ci, którzy się różnią w tej sprawie, są z pewnością w zwątpieniu; oni nie mają o tym żadnej wiedzy, idą tylko za przypuszczeniem; oni Go nie zabili z pewnością. Przeciwnie! Wyniósł Go Bóg do Siebie!* ¹³² – w związku z czym wy, muzułmanie, nie wierzycie ani w Jego śmierć na krzyżu, ani w Jego zmartwychwstanie – chociaż w surze „Maria”, gdzie Jezusa nazywa się „słowem Prawdy”, On sam powiada o sobie: *I pokój nade mną w dniu, kiedy się urodziłem, w dniu, kiedy będę umierał, w dniu kiedy będę wskrzeszony do życia* ¹³³. I znów, trochę

konsekwencji, przyjaciele. Albo Jezus został wzięty żywcem do nieba, albo umarł i trzeba Go będzie wskrzeszać.

To samo, gdy chodzi o chrześcijan i Żydów. Bo naprawdę nie jest wszystko jedno, czy muzułmanie dają posłuch surze „Pająk”, która im zaleca: *I nie sprzecząjcie się z ludem Księgi inaczej, jak w sposób uprzejmy – z wyjątkiem tych spośród nich, którzy są niesprawiedliwi – i mówcie: „Uwierzyliśmy w to, co nam zostało zesłane, i w to, co wam zostało zesłane. Nasz Bóg i wasz Bóg jest jeden i my jesteśmy Mu całkowicie poddani”*¹³⁴, czy surze „Muhammad”, która radzi im: *Kiedy więc spotkacie tych, którzy nie wierzą, to uderzcie ich mieczem po szyi; a kiedy ich całkiem rozbijecie, to mocno zaciśnijcie na nich pęta*¹³⁵, lub surze „Łupy”, gdzie czytamy: *Bijcie ich więc po karkach! Bijcie ich po wszystkich palcach!*¹³⁶ i *Zwalczajcie ich, aż nie będzie już buntu i religia w całości będzie należeć do Boga.*¹³⁷ No bo uprzejma dysputa to jednak nie to samo, co bicie po karku czy podrznięcie gardła.

Niestety, tym spośród was, którzy nie wiedzą, na co się zdecydować, Koran nie ułatwia bynajmniej wyboru, skoro odnosząc się do pośmiertnych losów chrześcijan, raz, jak w surze „Krowa” obiecuje nam wieczną nagrodę: *Zaprawdę, ci, którzy uwierzyli, ci, którzy wyznają judaizm, chrześcijanie i sabejczycy, i ci, którzy wierzą w Boga i w Dzień Ostatni i którzy czynią dobro, wszyscy otrzymają nagrodę u swego Pana; i nie odczują żadnego lęku, i nie będą zasmuceni!*¹³⁸. Innym zaś razem, jak w surze „Stół Zastawiony”, straszy nas wieczną karą: *Nie uwierzyli ci, którzy powiedzieli: „Zaprawdę, Bóg – to Mesjasz, syn Marii!” A Mesjasz powiedział: „Synowie Izraela! Czcijcie Boga, mojego Pana i waszego Pana!” Oto, zaprawdę, kto daje Bogu współtowarzyszy, temu Bóg zabronił wejścia do Ogrodu! Jego miejscem schronienia będzie ogień.*¹³⁹

Znów: albo – albo, przyjaciele. Rzecz jest zbyt poważna, żeby każdy ją sobie interpretował, jak mu się żywnie podoba. Nawiasem mówiąc, to my, chrześcijanie wcale nie przydajemy Bogu jakichś współtowarzyszy, bo również my wierzymy w jednego i miłosiernego Boga, tyle że w trzech Osobach, przy czym z całą pewnością żadną z Nich nie jest Maria, Matka Jezusa, jak to ujmuje ta właśnie sura.¹⁴⁰ Skądinąd, Maria nie była także siostrą Mojżesza i Aarona, jak twierdzi wasza Święta Księga, bo owi czcigodni mężowie żyli dużo wcześniej.¹⁴¹ Historia to historia, panowie.

– Przykro mi, panie, lecz znów nie masz racji – zaoponował Raduan. – Dla nas Jezus jest wielkim i świętym prorokiem, posłańcem Boga jak sam Muhammad, ale tylko człowiekiem¹⁴². I jak każdy człowiek, umrze, kiedy wróci ponownie na ziemię, po czym zostanie wskrzeszony w Dniu Zmartwychwstania. Stąd w przytoczonych przez ciebie surach nie ma żadnej sprzeczności. Sprawa jest bardziej skomplikowana w przypadku Żydów i chrześcijan. Nie przeczę, że to, co

mówi o nich Święta Księga, może się wydawać niezbyt spójne. Może przyczyna leży w tym, że Koran został zesłany nie tylko na siedem sposobów, ale także w ciągu ponad dwudziestu lat. Zdarza się zatem, że sury późniejsze, objawione Prorokowi przeważnie w Medynie, zdają się przeczyć w szczegółach wcześniejszym, zesłanym Mu na ogół w Mekce. Jednak w powszechnej opinii uczonych ulemów, jeśli między jakimiś surami zachodzi rozbieżność, ważniejsze są te późniejsze, ponieważ biorą one poniekąd w nawias, uściślają, poprawiają, a zdaniem niektórych, nawet uchylają sury wcześniejsze.

– Jakże to? – zapytałem zdumiony. – Jak Bóg może poprawiać samego siebie? Nie jest przecież starą babą, żeby co chwila zmieniać zdanie! Dlaczego nie zesłał od razu najlepszej wersji, skoro jest wszechwiedzący i doskonały?

– Zapytaj o to uczonych ulemów – odpowiedział młody Beduin. – Niemniej Allah zastrzegł to sobie wyraźnie, mówiąc: *Kiedy znosimy jakiś znak albo skazujemy go na zapomnienie, przynosimy lepszy od niego lub jemu podobny*¹⁴³, jak też przewidział z góry podobne wątpliwości, skoro stwierdził: *A kiedy My zmieniamy jeden znak na inny – a Bóg wie najlepiej, co zsyła – to oni mówią: „Ty jesteś tylko oszustem!”*.¹⁴⁴

– To ciekawe – uśmiechnął się pan Herluin – bo w surze „Jonasz” czytamy na ten temat coś zgoła przeciwnego: *Nie ma zmiany w słowach Boga*,¹⁴⁵ podobnie jak w surze „Trzoda”: *Nikt nie jest w stanie zmienić Jego słów, On jest Słyszący, Wszechwiedzący!*¹⁴⁶

– No dobrze. Więc jak to wygląda w przypadku chrześcijan? – przypomniałem im o głównym wątku.

– Raczej kiepsko – rzekł Raduan. – I to im sura późniejsza, tym gorzej.

– No to pięknych rzeczy się od was dowiaduję, nie ma co! – zawołałem oburzony.

– Nie przejmuj się, panie – poradził mi spokojnie pan Herluin.

– Nie przejmuj się, panie – zawtórował mu Yusuf. – Niezależnie bowiem od opinii uczonych ulemów, wszystkie sury i wersety Świętej Księgi – wcześniejsze czy późniejsze, słabsze czy mocniejsze – są tak samo prawdziwe, zostało wszak powiedziane: *Objawienie Księgi pochodzi od Boga, Potężnego, Mądrego! Oto zesłaliśmy tobie Księgę z prawdą*¹⁴⁷, oraz: *Wierzę w to, co zesłał Bóg z Księgi*.¹⁴⁸ Tak więc prawdziwe i godne wiary są również te wersety, które powiadają na przykład: *O Jezusie! Oto Ja powołałam ciebie i wyniosę ku Sobie, oczyszczając cię od tych, którzy nie uwierzyli; i umieszczę tych, którzy poszli za tobą, ponad niewiernymi – aż do Dnia Zmartwychwstania. Następnie do Mnie powrócicie i wtedy rozstrzygnę między wami, w czym się różniliście*¹⁴⁹, czy: *Bóg jest naszym Panem i waszym Panem. Do nas należą nasze działania, do was należą wasze działania. Nie ma żadnego dowodu między nami a wami. Bóg zbierze nas razem*

*i do Niego zmierza wędrowanie.*¹⁵⁰ A zatem może po prostu będzie tak, że ludzi prawych, bez względu na to, jaką religię wyznają, spotka nagroda, a ludzi złych – kara? Chyba nie macie nic przeciwko temu?

– Nie – odpowiedział pan Herluin. – Ale mimo wszystko powiedz jasno, jak to jest z tym biciem i uderzaniem mieczem po szyi?

– Niestety, zdarza się jedno i drugie – potwierdził Yusuf z wyraźnym zakłopotaniem. – Ale durniów nigdzie nie brakuje. Na szczęście większość prawdziwie wierzących podchodzi do tej kwestii inaczej.

– Mniejsza z durniami, których rzeczywiście nigdzie nie brakuje, lecz nie są warci tego, by o nich dyskutować – wpadł mu w słowo pan Herluin. – Znacznie ważniejsze jest to, co powiedziałaś: że w Koranie wszystko jest prawdziwe. Bo właśnie to wpędza nas w największy kłopot. Z jednej bowiem strony Koran zapewnia wielokrotnie o prawdziwości Świętych Ksiąg Tory i Ewangelii, jakie były przed nim, jak choćby w surze „Rodzina Imrana”, gdzie Jezus mówi o sobie: *Ja przychodzę potwierdzić prawdziwość tego, co było przede mną w Torze i aby uczynić dla was dozwolonym część tego, co wam było zakazane. Przyszedłem do was ze znakiem pochodzącym od waszego Pana. Bójcie się Boga i słuchajcie mnie!*¹⁵¹ Podobnie w surze „Stół zastawiony” możemy przeczytać: *My posłaliśmy ich śladami Jezusa, syna Marii, potwierdzającego prawdziwość tego, co było przed Nim w Torze; i Jemu daliśmy Ewangelię, w której jest przewodnictwo i światło, będące potwierdzeniem tego, co było przed nią, i jako przewodnictwo i napomnienie dla ludzi bogobojnych*¹⁵². Allah zwraca się tam do Mahometa: *My tobie również zesłaliśmy Księgę z prawdą, potwierdzając prawdziwość Księgi, która była przed nią i chroniąc ją.*¹⁵³ Z drugiej jednak strony, wasza Święta Księga, wielokrotnie zaprzecza temu, co w Ewangelii jest najważniejsze, a mianowicie Wcieleniu, Ukrzyżowaniu i Zmartwychwstaniu Jezusa, bez czego Nowy Testament przestaje być Nowym Testamentem, a chrześcijaństwo chrześcijaństwem. Dla każdego, kto porówna Koran z Biblią, jest oczywiste, że – wbrew temu co twierdzi Koran – obie te księgi nie mogą być jednocześnie prawdziwe. I niestety, nie jest to dla Koranu korzystne.

– Dlaczego akurat dla Koranu, a nie dla Biblii?! – zachnął się Raduan.

– To proste – odparł pan Herluin. – Jeśli wszystko, co mówią o Jezusie Ewangelie jest prawdziwe, Koran, który temu zaprzecza, musi być fałszywy. A jeśli Biblia kłamie, to Koran również kłamie, ponieważ wielokrotnie poświadcza jej prawdziwość. Tak więc, niezależnie od tego, jaka jest Biblia, Koran musi być zawsze fałszywy. Logika to logika, panowie.

– No nie, nie wytrzymam! – zawołał na to młody Beduin, sięgając gwałtownie do szabli, ale na szczęście powstrzymał go Yusuf, który wbiwszy wzrok w tryumfującego pana Herluina, oświadczył zimno:

– Masz rację, panie, logika to logika. Dlatego dziwię się bardzo, że odrzucasz uparcie inną logiczną możliwość, a mianowicie tę, że obie te Święte Księgi są prawdziwe, jak głosi Koran.

– Przy takich różnicach?! W jaki sposób?! – prychnął frankijski rycerz.

– A w taki, że Koran wcale nie potwierdza prawdziwości tej Biblii, którą wy znacie – czyli zniekształconej, wypaczonej i sfalszowanej – tylko oryginalnej, tej, która została zesłana przez Allaha Ibrahimowi, Musie i Jezusowi.

– Zniekształconej, wypaczonej i sfalszowanej?! – osłupiał pan Herluin. – Kiedy i przez kogo? A przede wszystkim po co?

– Kiedy i przez kogo, nie wiem. Może już przez Apostołów, a może przez któregoś z pierwszych rzymskich kalifów. Po to, żeby zwieść ludzi co do boskości Jezusa i dzięki temu objąć nad nimi władzę, a może po to, żeby uprzedzić i zniechęcić chrześcijan do mającego dopiero nadejść Muhammada, Pieczęci wszystkich proroków, którego zapowiedział przecież sam Mesjasz, gdy zwracał się do Żydów: *O synowie Izraela! Jestem wysłany od Boga do was, aby potwierdzić prawdziwość tego, co przede mną było zesłane w Torze, i zwiastować Pośląca, który przyjdzie po mnie, a którego imię – Ahmad!* ¹⁵⁴

– Niestety, muszę cię rozczarować, przyjacielu – wycedził pan Herluin. – Chrystus nie zapowiadał nigdy żadnego Ahmada. Zapowiedział jedynie przyście Ducha Świętego, Parakleta: *Gdy jednak przyjdzie Pocieszyciel, którego Ja wam pošlę od Ojca, Duch Prawdy, który od Ojca pochodzi, On będzie świadczył o Mnie* ¹⁵⁵, a także pojawienie się fałszywych proroków: *Powstaną bowiem fałszywi mesjasze i fałszywi prorocy, i działać będą wielkie znaki i cuda, by w błąd wprowadzić, jeśli to możliwe, także wybranych.* ¹⁵⁶ Słów, które przytoczyłeś, nie ma w żadnej Ewangelii.

– Ale są w Koranie, w surze „Szereg” – oświadczył twardo Raduan. – I właśnie to jest najlepszym dowodem, że wasza Święta Księga została sfalszowana.

– No cóż – dodał znacznie łagodniej Yusuf.- Może to nie twoja wina, panie, że nie jesteś w stanie uwierzyć. W końcu, Allah sam powiedział: *Ci, którzy uznali za kłamstwo Nasze znaki, są głusi, niemi i pozostają w ciemnościach. Bóg sprowadza z drogi, kogo chce, i umieszcza na drodze prostej, kogo chce!* ¹⁵⁷

– *Bóg sprowadza z drogi, kogo chce, i umieszcza na drodze prostej, kogo chce?!* – zacisnął pięści pan Herluin. – To ja już wolę po stokroć trzymać się tego Boga, o którym czytamy w Ewangelii: *Tak bowiem Bóg umiłował świat, że Syna swego Jednorodzonego dał, aby każdy, kto w Niego wierzy nie zginął, aby miał życie wieczne. Albowiem Bóg nie posłał swego Syna na świat po to, aby świat potępił, ale po to, by świat został przez Niego zbawiony. Kto wierzy w Niego, nie podlega potępieniu; a kto nie wierzy, już został potępiony* ¹⁵⁸. Wolę też Jego Syna,

który powiedział o Sobie: *Ja jestem drogą i prawdą, i życiem. Nikt nie przychodzi do Ojca inaczej, jak tylko przeze Mnie.* ¹⁵⁹

Po tych słowach postanowiłem przerwać dalszą dyskusję:

– No dobrze, przyjaciele, pogadaliśmy sobie jak wierzący z prawdziwie wierzącymi, i już naprawdę wystarczy. Dalej możemy tylko wziąć się za łby, czego bardzo bym sobie nie życzył, bo i tak do niczego nie dojdziemy. Niech każdy zostanie przy swoim, wy przy Allahu i Jego Posłańcu, my przy Jezusie i Jego Ojcu. Bo tak jak wy jesteście niczym bez Allaha i Mahometa, tak my jesteśmy niczym bez Chrystusa. Niemniej, Yusufie, jeśli kiedyś zdarzy ci się jeszcze dyskutować z kimś o Biblii, proszę cię, nie powołuj się przy tym na matematykę, historię, przyrodę, geografiię i logikę. Będę ci za to bardzo wdzięczny. Wracając zaś do Źródła, jeśli chcecie go szukać dalej, to go szukajcie. My życzymy wam z całego serca powodzenia, ale dla pana Herluina i dla mnie to, co powiedział Judasz, jest rozstrzygające. Jak by nie było, to jeden z Dwunastu.

– Cóż więc zamierzacie zrobić? – zapytał naburmuszony Raduan.

– Jechać pod Antiochię – wyjaśniłem ze ściśniętym gardłem. – Okazuje się, że szefk *hachichiyyun* powiedział prawdę i stoi tam nasza druga armia.

Obaj moi arabscy przyjaciele aż podskoczyli z wrażenia.

– Jakże to?! – zawołał oburzony Yusuf. – I ty chcesz się do niej przyłączyć, żeby walczyć z takimi jak my?!

– Nie, Yusufie – odpowiedziałem schrypniętym z emocji głosem. – Nie mam już zamiaru ani ochoty z nikim walczyć, chyba że w uprawnionej obronie albo w uczciwym pojedynku. Ale sam dobrze wiesz, że do tej armii muszę się przyłączyć, bo chodzi o moją duszę.

XIX

Po tym, jak mi zostało przypomniane ustami Judasza, co jest w życiu naprawdę ważne, mój pobyt na pustyni szybko dobiegał końca. Ustaliwszy z frankijskim rycerzem, że wyjeżdżamy nazajutrz z rana, jeszcze tego samego dnia wieczorem podzieliłem się z Yusufem i Raduanem naszym skromnym dobytkiem i resztą pieniędzy zdobytych na *hachichiyyun*. W porównaniu z wartością szambelańskiego złota, przetopionego i straconego w zamku asasynów, nie było tego dużo, bo na każdego z nas wypadło zaledwie po trzy dinary i siedemdziesiąt dirhamów, ale mimo wszystko zawsze było to jakieś zabezpieczenie na przyszłość. Zwłaszcza że obaj moi arabscy przyjaciele dołożyli mi jeszcze po trzydzieści dirhamów za zrzeczenie się praw do zdobycznych luzaków, bez których byłoby im bardzo trudno dalej szukać Źródła.

W dniu odjazdu, po śniadaniu, przy którym wszyscy mieliśmy nietęgę miny, a najbardziej pan Herluin, traktowany przez obu Arabów jak powietrze, zwróciłem się do Yusufa z ciężkim sercem:

– Yusufie, wszystko na tym świecie ma swój koniec, także nasza wspólna wędrówka. Nadszedł dzień rozstania, więc chciałbym ci wyrazić moją wdzięczność za te dwa lata, które spędziliśmy razem, przemierzając wspólnie kawał świata i znosząc po bratersku dole i niedole. Nieraz wpadaliśmy w tarapaty i cierpieliśmy głód, trudziliśmy się ramię w ramię, żebraliśmy, znosiliśmy różne zniewagi, byliśmy więzieni i kilkakrotnie zaglądała nam w oczy śmierć, ale nigdy się na tobie nie zawiodłem. Nawet w najgorszych chwilach mogłem liczyć na twoją przyjaźń, wierność, lojalność i oddanie, tak samo jak na twoją wiedzę, mądrość i pomysłowość. Zawdzięczam ci bardzo wiele – w pierwszym rzędzie, życie, które mi uratowałeś – ale także to, że dzisiaj, kiedy się rozstajemy, jestem trochę innym człowiekiem niż wtedy, gdy się poznaliśmy. Odjeżdżam tam, gdzie wzywa mnie obowiązek i dane przeze mnie słowo, bądź jednak pewny, że nigdy nie uczynię niczego, co byłoby niegodne naszej przyjaźni i czego ty nie mógłbyś zaakceptować. Życzę ci, abyś odnalazł Źródło i spełnił swoje marzenia. Obyś po odwiedzeniu Mekki, Medyny i Jerozolimy powrócił szczęśliwie do Kordoby i ożenił się, tak jak tego chciałeś, choćby dwa albo i trzy razy, z kobietami o ustach słodszych niż syrop i ciałach podobnych do najgładszego jedwabiu. I obyś miał z nimi dużo dzieci, szczególnie synów, na podporę i pociechę spokojnej starości. Niech Allah ma cię w opiece i doprowadzi cię bezpiecznie do domu!

– Chcesz odwiedzić najpierw Mekkę i Medynę? – wtrącił kwaśno pan Herluin.
– Radziłbym ci zacząć od Jerozolimy.

Ale Yusuf puścił jego uwagę mimo uszu i rzekł:

– Wielkie dzięki, panie. W gruncie rzeczy mógłbym to samo powiedzieć o tobie, bo ja także zawdzięczam ci życie, nigdy się na tobie nie zawiodłem i spoglądam dzisiaj na wiele spraw inaczej niż kiedyś. Ale powiem tylko tyle, że miałem ogromne szczęście, iż los postawił na mojej drodze właśnie ciebie i że zachowam cię na zawsze w mojej pamięci. Oby Najwyższy znalazł jakiś sposób – bez powtórki z Civetot i bez zdobywania Jerozolimy – aby zdjąć ciężar na tobie *fatwę* i obdarzyć cię, nawet bez pomocy Źródła, upragnionym synem bądź całą ich gromadką.

– Jak Guasifa albo Tamarta, pana Trypolisu? – uśmiechnąłem się na wspomnienie jego niegdysiejszego wywodu o szczególnie płodnych ojcach.

– Właśnie. Zwłaszcza że w przeciwieństwie do potomstwa tamtych, twoi synowie wyrosliby z pewnością na porządnym ludzi. Uważaj na siebie i niech ci błogosławi Isa Ibn Maryam i Jego Matka, zawsze Dziewica!

Uścisnęliśmy się z całej siły, a potem zwróciłem się do Raduana:

– Dziękuję i tobie, przyjacielu. Bez twojej pomocy nie dałbym rady uwolnić Yusufa i być może nigdy nie dotarłbym na tę pustynię. Byłeś świetnym kompanem i towarzyszem broni. Życzę ci, żebyś znalazł Źródło razem z Yusufem, a potem pokonał wszystkie przeszkody i ożenił się wreszcie z twoją Jasmimą.

Raduan kiwnął z zadowoleniem głową.

– Dziękuję, panie. Wierz mi, że wyglądam tego niczym Idris raju, ale to nie takie proste. Tymczasem, jeśli pozwolisz, chciałbym wygłosić wiersz, jaki ułożyłem dzisiejszej nocy na twoją cześć.

– Będę zaszczycony.

Wtedy położył prawą dłoń na sercu i wyrecytował ze skupioną miną:

Utkwił w moim sercu ostry smutku kolec, Bo grzbiet już podnosi wielbłąd pożegnania; Nie ma nic trwałego na tym łez padole, Każdy dzień spotkania jest też dniem rozstania. Na szczęście jesteśmy w mocy przeznaczenia, Co jak ślepiec w gniewie wymachuje biczem: Może znów nas zetknie? Więc „Do zobaczenia” Zamiast „Żegnaj”, panie! – Bardzo na to liczę.

– Piękny wiersz – rzekłem wzruszony. – Obawiam się jednak, że to raczej „Żegnaj” niż „Do zobaczenia”. W każdym razie może to i lepiej, żebyśmy się już nigdy nie spotkali, niż gdybyśmy mieli spotkać się na polu bitwy. Niech i ciebie Bóg ma w opiece, Raduanie.

– *Inszallah!*¹⁶⁰ – wyraził takie samo życzenie i odwzajemnił serdecznie mój uścisk.

A potem, kiedy obaj Arabowie pożegnali się jeszcze, uprzejmie, choć bardzo zimno, z panem Herluinem, wsiedliśmy z frankijskim rycerzem na mojego konia

i opuściliśmy obóz. Siedząc z tyłu za panem Herluinem, wielokrotnie odwracałem głowę, aby popatrzeć jak Yusuf i Raduan machają mi rękoma na pożegnanie. Odpowiadałem im tym samym, dopóki nie przesłoniła ich ściana *wadi* i dopiero wtedy wytarłem dyskretnie oczy.

*

Choć mieliśmy do dyspozycji tylko jednego konia, co oznaczało, że od czasu do czasu któryś z nas musiał iść na piechotę, by dać mu odpocząć, dzięki nieobecności siwka posuwaliśmy się na północny zachód całkiem szybko i po czterech dniach podróży dotarliśmy w okolice, gdzie nie brakowało już wody ani świeżej trawy. Gorzej było z nami, bo zapas prowiantu zabrany z pustyni był bardzo niewielki, więc staraliśmy się zagłuszać narastające kruczenie w brzuchach dyskusjami na różne ciekawe tematy, jak choćby, czy Judasz zostanie na zawsze w piekle, czy muzułmanie wierzą w tego samego Boga, co my, i czy Źródło Mamerkusa w ogóle istniało?

Dziewiątego dnia wędrówki, przy podjeździe na rozległe wzgórze, kiedy pan Herluin rozwodził się właśnie nad obyczajami Saracenów, przerwałem mu gestem dłoni i wskazałem na stado sępów krążących nad szczytem naszego wzniesienia. A kiedy dotarliśmy na wierzchołek wzgórza, naszym oczom ukazał się straszny widok.

Pod ruchliwą masą rozczapierzonych skrzydeł, gołych szyj unurzanych w brunatnej posoce, zakrzywionych dziobów zapchanych zgniłym ściernem i ostrych jak noże szponów, spoczywało tam kilkanaście ludzkich zwłok, w większości objedzonych już do kości z wyjątkiem tego, co kryło się pod poczerniałymi od zaschłej krwi kolczugami i nagolennikami. Żaden z trupów nie miał głowy, te bowiem leżały trochę dalej, ułożone w nieforemny kopiec. Większość owych głów, a właściwie nagich czaszek, okalały resztki płowych czupryn albo strzępy jasnych bród, zaś z kręgów szyjnych jednej z nich zwisał na rzemyku niewielki krzyżyk z brązu.

Zdjęci zgrozą przeżegnaliśmy się jak na komendę, a potem odmówiliśmy wspólnie modlitwę za zmarłych i czym prędzej oddaliliśmy się z tego straszego miejsca, rozglądając się bacznie na boki. Przez cały następny dzień, podczas którego zachowywaliśmy wszelkie możliwe środki ostrożności, nie zdarzyło się jednak nic szczególnego i dopiero pod wieczór, gdy wyjechaliśmy z kamienistego wąwozu na trawiastą równinę, stanęliśmy obaj jak wryci.

W odległości zaledwie kilku rzutów włócznią od nas przemieszczał się wolno duży oddział jeźdźców i piechurów, gnający przed sobą stado kóz, wołów i owiec, zaś na większości żołnierskich tarcz, płaszczy i proporców widać było wyraźny znak krzyża! Zdjęty radością z powodu tego dawno nie widzianego przeze mnie widoku, zacząłem natychmiast skakać w miejscu, machać rękami

i krzyczeć do nich w *romance*, zapominając niestety o tym, że, tak samo jak pan Herluin, mam na sobie turban i turecki strój.

W chwilę później od głównej grupy żołnierzy oderwało się kilku jeźdźców i ruszyło w naszym kierunku z pochylonymi do ataku włóczniami. Jednocześnie zaczęto prażyć do nas z kusz i łuków. Błyskawicznie zawróciliśmy, by skryć się z powrotem w wąwozie, ale było już na to za późno. Zanim zdołaliśmy wpaść między skały, pan Herluin, jadący wierzchem, spadł z siodła trafiony strzałą w udo. Również ja rzuciłem się czym prędzej na ziemię dla własnego bezpieczeństwa.

Straciwszy nas z oczu, łucznicy i kusznicy przestali strzelać, za to konni byli coraz bliżej. Kiedy podjechali do nas na odległość rzutu włócznią, zatrzymali się jednak z obawy przed zasadzką.

– Nie róbcie nam krzywdy! – zawołałem do nich w *romance*. – Jesteśmy chrześcijanami, tak jak i wy.

I dla poparcia moich słów, zacząłem recytować na głos „Ojcze nasz”, lecz nie rozwiało to do końca ich wątpliwości.

– Jest was tylko dwóch? – zapytał jeden z nich.

– Tak.

– Kim jest twój towarzysz?

– To pan Herluin z hufca hrabiego Hugona. Trafiliście go, potrzebuje pomocy.

– Jeśli kłamiesz, zabijemy was obu! – ostrzegł mój rozmówca.

– Dobrze wiesz – odparłem z gniewem – że gdybym kłamał, to wy bylibyście już martwi.

Jeźdźcy poszeptali między sobą, a potem ten, który ze mną rozmawiał, odezwał się znowu:

– Dobrze. Wsadź go na konia i podejdź do nas piechotą.

– A czy mogę go najpierw opatrzeć, bo bardzo krwawi? I wziąć moją szablę? Nie mam innej broni.

– Zgoda. Tylko bez żadnych sztuczek.

Zdjąłem mój turban i przewiązałem nim udo pana Herluina powyżej krwawiącej rany, z której wystawał gruby bełt. Potem przełożyłem jęczącego Franka przez siodło, wziąłem szablę i prowadząc konia za uzdę, podszedłem wolno ku jeźdźcom. Ci odebrali mi broń i obmacawszy mnie pobieżnie w poszukiwaniu innego, ukrytego oręża, odprowadzili nas pod eskortą do głównego oddziału, przed oblicze swojego dowódcy. Był nim młody, rosły jak tur blondyn w ciężkim, stalowym półpancerzu, mówiący dziwną, bardzo śpiewną, lecz dającą się bez trudu zrozumieć odmianą *romance*. Z wysokości swojego bojowego konia zapytał mnie o ród i pochodzenie, a potem o to, co robię w kraju niewiernych w pogańskim stroju i turbanie, i z arabską szablą u boku?

Wyjaśniłem mu, że od czasu bitwy pod Civetot błąkam się po Azji z nadzieją, że w końcu uda mi się dotrzeć do Jerozolimy, lecz potężny blondyn odniósł się do moich słów z rezerwą:

– Byłeś pod Civetot? A ja słyszałem, że nikt z naszych nie przeżył.

– Niezupełnie, panie – zaprzeczyłem. – Przeżyli ci, których Turcy wzięli do niewoli oraz garść niedobitków, których nie zdołali wyłapać. Ciekawe, od kogo słyszałeś podobną bzdurę?

– Od Małego Piotra, który tam dowodził.

– Mały Piotr dowodził?! A to dobre! Przecież wyjechał do Konstantynopola, zanim w ogóle doszło do bitwy.

O dziwo, moje słowa wcale go nie zgorszyły, ani nie oburzyły. Przeciwnie, wyglądało na to, że sprawiły mu wręcz satysfakcję, ponieważ wymieniwszy ironiczne spojrzenia ze swoimi towarzyszami, nawet się uśmiechnął.

– To ciekawe. Zawsze uważałem, że ten śmierdziel to kawał tchórza i że pod Antiochią zdezerterował nie po raz pierwszy.

– Jedziecie spod Antiochii? – ucieszyłem się. – Czyżbyście ją zdobyli?

– Nie. Wracamy tam z prowiantem dla naszych oddziałów.

– Jakich oddziałów, jeśli wolno zapytać?

W odpowiedzi rosy blondyn uniósł głowę i rzekł z dumą:

– Jego Wysokości hrabiego Boemunda, pana Tarentu i Otranto. Jeśli chcesz, możesz się zabrać razem z nami.

– Wielkie dzięki, panie.

– A może byście tak najpierw pomyśleli o mnie? – jęknął pan Herluin, poblądły tymczasem jak kreda.

– Trzeba mu wyjąć strzałę, zanim się całkiem wykrwawi – poprosiłem mojego rozmówcę.

Płowowłosa olbrzym po raz pierwszy zainteresował się frankijskim rycerzem. Przez chwilę przyglądał się jego ranie, po czym cmoknął z podziwem:

– Piękny strzał! Gdybyście wy tak strzelali pod Civetot, na pewno nie dostalibyście w dupę.

Następnie zwrócił się do swoich ludzi:

– Pomóżcie mu. A temu zwróćcie szablę.

Kiedy przypasywałem moją szablę do boku, jeden z podwładnych rosłego Normana zdjął pana Herluina z konia, położył go na ziemi, uklęknął obok i zaczął obmacywać jego ranę. Przy każdym dotknięciu nieszczęsny rycerz wił się, miotał, wzdrygał i dygotał z bólu, jakby co najmniej przypalano go rozżarzoną żelazem.

– Znasz się na tym? – zapytałem na wszelki wypadek badającego go Normana.

– Nie wiem – mruknął samozwańczy Samarytanin. – Tak czy inaczej, nikt się tu na tym nie zna lepiej. Chyba, że ty, panie? Jeśli tak, to umyвам ręce.

– Ależ skąd, broń Boże!

– W takim razie – wycedził przez zęby, przyciskając jednocześnie kolanem udo pana Herluina do ziemi i ujmując w garść koniec bełta wystającego z rany – musimy sobie radzić tak, jak umiemy.

Po czym szarpnął z całej siły strzałą! W tym samym momencie rozległ się rozzwierający krzyk pana Herluina, który, na swoje szczęście, natychmiast zemdlał. Z rany buchnęła krew, lecz bełt tkwił po staremu tam, gdzie przedtem.

– Człowieku, co robisz?! Czy chcesz go zabić?! – zawołałem z oburzeniem.

– Zabić? A po co? – odpowiedział z kpiącym uśmiechem. – Jeśli go zaraz nie rozkroimy i tak nie dociągnie do rana. Tylko że ja bardzo nie lubię kroić ludzi żywcem. Za bardzo się wtedy kulą, wiercą, podskakują w najmniej odpowiednim momencie, gryzą, kopią, wierzgają, a nawet pierdzą mi prosto w nos. Wolę, jak są spokojni. Choć prawdę rzekłszy, nie lubię kroić nawet tych spokojnych. Więc może zrezygnujemy i damy mu umrzeć? Co ty na to, panie?

– Krój go – przerwałem te wywody.

– Jak sobie życzysz – wzruszył ramionami. – Na twoją odpowiedzialność.

Nie czekając na to, co powiem, wyjął sztylet, a zza pazuchy skórzany bukłak wypełniony, jak się okazało, winem. Upił z niego łyk i wyciągnął go w moją stronę.

– Nie, dziękuję – odmówiłem, choć z napięcia zaschło mi w gardle.

– To i lepiej – nie zmartwił się wcale moją odmową – wino jeszcze się przyda.

Potem polał nim klingę sztyletu i zakorkował starannie bukłak. Następnie poprosił czterech przyglądających się nam beczynnemu wojaków, żeby przytrzymali rannego za ręce i nogi, mnie zaś kazał unieruchomić jego głowę. Po zajęciu przez nas wyznaczonych miejsc, rozwarł panu Herluinowi usta i wsunął mu między zęby gruby patyk mający go zabezpieczać przed odgryzieniem sobie języka. A kiedy wydawało się, że wszystkie przygotowania do operacji zostały zakończone, niespodziewanie, jakby nagle sobie o czymś przypomniał, zwrócił się do mnie z uniesionym już i gotowym do cięcia sztyletem.

– Spod jakiego znaku jest twój kompan, panie?

– Nie mam pojęcia. A jakie to ma za znaczenie?

– Ma i to duże – sarknął na tę odpowiedź. – Każdy znak ma swoje mocne i słabe strony. I gdyby twój towarzysz był przypadkiem Strzelcem, za nic na świecie nie chciałbym mu kroić ud ani palców, tak samo jak żadnemu Rakowi nie gmerałbym nigdy w płucach czy w żołądku. To podstawy medycyny, nic na to nie poradzę. Ale skoro nie wiemy, spod jakiego jest znaku, ryzyko, że źle trafimy, wynosi tylko jak jeden do dwunastu. To jak? Ryzykujemy?

- Ryzykujemy – zgodziłem się z ciężkim sercem.
- W takim razie trzymajcie go mocno.

Po tym zawołaniu ścisnąłem głowę pana Herluina jak w imadle i zamknąłem oczy. Cała operacja trwała chyba krócej niż jedną „Zdrowaśkę”, lecz w trakcie jej wykonywania, ranny nagle się ocknął i musieliśmy się zdrowo natężyć, żeby się nam nie wyrwał. Toteż kiedy wreszcie rozległo się słowo „Już!”, otworzyłem oczy z prawdziwą ulgą. Pan Herluin, ze straszliwie rozharatany udem, leżał w kałuży krwi i cicho postękiwał, za to niezmiernie zadowolony z siebie medyk wymachiwał trzymanym w ręku bełtem.

– I jak? Wyliże się? – zapytałem z niepokojem.

– Zobaczymy. Póki co, przemyję mu ranę i założę opatrunek. Później, na biwaku, zrobię mu okład z warzonego krwawnika i kokoryczki.

Odłożył zakrwawioną strzałę, wylał na ranę resztę wina z bukłaka i obwiązał udo pana Herluina szarpami, których spory zapas nosił w podręcznej torbie. Skończywszy z opatrunkiem, wziął z powrotem strzałę, wytarł ją do sucha o trawę, po czym zaczął ją smarować jakąś maścią zaczerpniętą palcem z rogowego puzderka.

– Co robisz? – zdziwiłem się.

– Kontynuuję kurację – wyjaśnił. – Nie wystarczy zwalczanie skutków, trzeba jeszcze zająć się przyczyną. Dobrze, na razie wystarczy, znajdę was na biwaku.

Podziękowałem mu serdecznie, a potem z pomocą pozostałych Normanów umieściłem pana Herluina na koniu i podtrzymując go troskliwie, ruszyłem w drogę, tak jak inni.

Podczas jazdy frankijski rycerz wiercił się lub popadał w omdlenie, co było dla mnie prawdziwą udręką, albowiem przytomny czy nie, był tak bezwładny, że tylko z najwyższym trudem utrzymywałem go na końskim grzbiecie, gdzie kolebał się z boku na bok i napierał całym ciężarem ciała na moje zdrtwiałe ręce. Toteż od czasu do czasu traciłem w nich czucie i musiałem kierować wierzchowcem tylko przy pomocy kolan. Na szczęście już się zmierzchało i nie jechaliśmy zbyt długo, choć i tak, kiedy się zatrzymaliśmy, byłem ledwie żywy. Ściągnąłem pana Herluina na ziemię i padłem obok niego, nie mogąc dojść do siebie. Dopiero po dłuższej chwili zwlokłem się, żeby spętać konia i przygotować nocleg. Ponieważ pan Herluin, rozpalony gorączką, leżał nieprzytomny, zebrałem także naręcze suchych ostów i rozpałem niewielkie ognisko.

Pogryzałem właśnie suchary, odkupione od biwakujących nieopodal żołnierzy, kiedy zgodnie z zapowiedzią zjawił się normański medyk z jeszcze ciepłymi kataplazmami.

Znów przemył ranę pana Herluina winem, osuszył ją kawałkiem płótna, przyłożył do niej okład z ziół i owinął ją świeżymi szarpami. Po tych wszystkich

zabiegach, kiedy okazało się, że nigdzie mu się nie śpieszy, zaprosiłem go na kolację złożoną z sucharów, on zaś poczęstował mnie w rewanżu resztą swojego wina.

Choć nie było ono najwyższej jakości, po kilku miesiącach przymusowej abstynencji smakowało mi wprost nadzwyczajnie. Przy czwartej czy piątej kolejce Teodulf – bo tak miał na imię – wyraził swoje najgłębsze ubolewanie, że towarzysz tak dzielnego i pochodzącego z dalekich stron rycerza jak ja został postrzelony akurat przez Normanów, jako że jego rodacy to naród raczej spolegliwy, stroniący zazwyczaj od waśni i wojen, chyba że ktoś ich złośliwie sprowokuje lub zmuszą ich do walki istotne przyczyny. Wtedy bowiem chwytają z niechęcią za oręż i czynią z niego straszliwy użytek. A że władają bronią najlepiej na świecie, nikt nie jest w stanie stawić im czoła. Bo kiedy Norman strzela z łuku lub kuszy (przed czym normalnie się wzdraga), na ogół trafia prosto w serce, nawet jeśli jest ono tak małych rozmiarów, jak serce dwuletniego dziecka. Jeśli zaś musi cisnąć włócznią, z reguły przebija na wylot dwóch albo trzech przeciwników. Natomiast kiedy czuje się w obowiązku ciąć kogoś mieczem, to nie robi tego ot tak sobie, byle jak i na odczepnego, jak zwykli to czynić inni, tylko rąbie go jak się patrzy, rzetelnie i akuratnie, tak, że obie połówki rozplatanego człowieka padają na ziemię równocześnie (jedna w lewo, druga w prawo), pasują do siebie jak ulał, zaś linia cięcia jest idealnie gładka i równa. Wziąwszy to wszystko pod uwagę, pan Herluin i tak miał dużo szczęścia! – zapewnił mnie gorąco mój nowy przyjaciel.

– Niewątpliwie, niewątpliwie. A co powiesz o jego ranie? – zapytałem.

– Jeśli wytrzyma do Antiochii i nie wda się w nią żadne paskudztwo, wszystko będzie dobrze. A w Antiochii możemy go zawieźć do infirmerii prowadzonej przez zakonników, którzy znają się na ranach lepiej ode mnie. Niech go sobie obejrzą.

– Dobry pomysł, tak właśnie zrobimy – ucieszyłem się z tej sugestii.

W tym momencie pan Herluin przebudził się i poprosił słabym głosem o wodę. Kiedy go napoiliśmy, niemal natychmiast zapadł ponownie w sen, co wykorzystałem, żeby pociągnąć Teodulfa trochę bardziej za język:

– Powiedz mi, kim jest ten rycerz, z którym dzisiaj rozmawiałem?

– To pan Hermann z Agrygentu, jeden z wasali i chorążych hrabiego Boemunda, odpowiedzialny za furaz. Zawsze mu towarzyszę, kiedy jedzie po prowiant, bo tu zdobycie kawałka chleba bądź zdychającej kozy kosztuje nieraz wiele trupów i jeszcze więcej rannych.

– Coś o tym wiem – wtrąciłem i opowiedziałem mu o znalezionych przez nas zwłokach z obciętymi głowami.

– To nie byli nasi, bo u nas nikogo nie brakuje, ale tak właśnie sprawy stoją – skwitował smętnie moją relację. – Spod Antiochii można się ruszać tylko w większej gromadzie, mniejsze bowiem przepadają bez śladu. Choć czasami są atakowane także i te większe. Na przykład w ostatni dzień zeszłego roku armia Saracenów pod dowództwem emira Damaszku napadła na nas i na hufiec hrabiego Roberta z Flandrii, kiedy wybraliśmy się razem po furaz. Wprawdzie dzięki Boemundowi wygraliśmy tę bitwę, zabijając przy okazji tuzin tureckich satrapów, ale straciliśmy mnóstwo żołnierzy, wszystkie tabory i całą żywność zdobytą wcześniej z ogromnym trudem. Ostatnio Saraceni rozzuchwalili się jeszcze bardziej i atakują naszych tuż za granicą obozu. Robią to nawet obrońcy Antiochii, którzy wydostają się po kryjomu z miasta i czyhają na naszych w zasadzkach. Niedawno wycięli w ten sposób trzystu ludzi pana Ludwiga z Toul. A my musimy wyprawiać się po prowiant, za każdym razem coraz dalej i dalej, bo inaczej już dawno byśmy pomarli z głodu. Zresztą zginąć można także w obozie, bo od czasu do czasu zakłuwają tego czy owego nożem.

– *Hachichiyun?*

– Co powiedziałaś, panie? – zrobił wielkie oczy.

– Nic takiego. Że z tym może być problem.

– Problem to już jest. Teraz chyba rozumiesz, dlaczego zostaliście zaatakowani?

– Rozumiałem to od początku i nie żywię do nikogo urazy – rozwiąłem jego skrupuły. – Bardziej martwi mnie to, że macie aż takie kłopoty z aprowizacją.

– Po prawdzie, to nie może już chyba być gorzej. Ze zwierząt, które prowadzimy, za tydzień nie pozostanie ani kosteczka, zaś w promieniu wielu mil od Antiochii nie ma już nic oprócz myszy! Jak ktoś ma pękata kiesę, to może sobie kupić jedzenie od kupców syryjskich albo ormiańskich, często odwiedzających nasz obóz, a nawet od Genuńczyków, zawijających niekiedy do portu Świętego Szymona i przywożących ze sobą takie luksusy, jak suszona szynka, wędzone ryby, oliwa, wino czy flandryjskie sery, ale wszystko to kosztuje majątek i mało kogo na to stać. Biednym, czyli całej reszcie, zostają na co dzień żołędzie, suche osty, trawa, kora lub padlina. Choć zimą nie było nawet i tego, i ludzie musieli wygrzebywać nie strawiony obrok z końskiego gówna. I pomyśleć, że kiedy przybyliśmy pod Antiochię, wszystkiego było po dziurki w nosie! Jadło się tylko to, co najlepsze, same szynki i polędwice, baranie udźce i tłuste kapłony, a resztę rzucało po prostu psom niczym śmiecie!

– No ale ci w Antiochii muszą być chyba jeszcze głodniejsi? – zauważyłem.

– Ależ skąd! Mają wszystkiego w bród, ponieważ zdążyli zrobić zapasy. Opływają do tego stopnia w dostatki, że specjalnie, tylko po to, żeby nam dokuczyć, obrzucają nas czasem z murów nie do końca ogryzionymi kośćmi i na

wpół zgniłymi warzywami. A potem strzelają w plecy tym, którzy się o nie biją. Choć są i tacy – i to jest najśmieszniejsze – co wydostają się z oblężonego miasta jakimiś tajnymi przejściami czy podziemnymi korytarzami, żeby sprzedawać nam z dużym zyskiem nadwyżki prowiantu. Nam, którzy ich oblegamy! I czynią to nie tylko chrześcijanie, których mieszka w Antiochii całkiem sporo, ale także co sprytniejsi muzułmanie. Najwyraźniej muszą być bardzo pewni tego, że szybciej niż my zdobędziemy miasto, Turcy przyjdą im z pomocą.

– Ciekawe oblężenie, nie ma co – mruknąłem zaskoczony.

– No właśnie. Nawet próbowaliśmy się jakoś dogadać z tymi chrześcijanami, ale bez skutku. Rzecz w tym, że to przeważnie Ormianie i Syryjczycy, którzy wcale nie życzą sobie powrotu Bizantyjczyków, bo mają ich za odszczepieńców i boją się ich bardziej niż samych Turków. A nas jeszcze bardziej.

– Hm... A jak żeście w ogóle dotarli pod Antiochię?

– Tak samo, jak wy pod Civetot. Tylko że my działaliśmy z giową, nie na łapucapu. Najpierw długo gromadziliśmy ludzi, konie, broń, żywność i fundusze. Potem przepłynęliśmy najkrótszą drogą do Dyrrachium. Pod Konstantynopolem, gdzie musieliśmy jeszcze poczekać na Prowansalczyków, wynudziliśmy się setnie, bo ci przekłęci Grecy – jeden w drugiego sami zbrojeńcy i heretycy – za których niepotrzebnie nadstawiamy karku, wpuszczali do miasta tylko książąt i hrabiów. Ale nawet od nich żądali żon i dzieci jako zakładników, zanim pozwolili im zajrzeć za mury!

– Nas też nie wpuścili. Choć jednocześnie cesarz życzył sobie, żeby nasi dowódcy złożyli mu przysięgę wierności. Pewnie sądził, że coś przeciw niemu knujemy.

– Z nami było tak samo. A ponieważ niektórzy wodzowie nie chcieli jej składać, myśleliśmy, że zostaniemy tam do usranej śmierci. W końcu jednak wszyscy panowie – z wyjątkiem hrabiów Tankreda i Baldwina, którzy w ogóle nie stawili się przed cesarzem, tylko przemknęli przez miasto jak burza – złożyli wymagane ślubowanie, że zwrócą Aleksemu wszystkie jego dawne ziemie, twierdze i grody, jakie zdobędą na muzułmanach, i wreszcie mogliśmy wyruszyć do Azji.

– Którędy poszliście? – zaciekawilem się.

– Najpierw na Nikomedię, potem przez góry pod Nikeę, gdzie mieliśmy się spotkać z innymi hufcami. Po drodze widzieliśmy wasz obóz w Civetot, a w nim pełno nie pogrzebanych kości i czaszek. Podobnie wyglądała dolina rzeki Drakon. Zbieraliśmy te kości i czaszki przez kilka dni, żeby sprawić im chrześcijański pochówek i wznieśliśmy tam wiele poświęconych krzyży.

– Oby Bóg was za to nagroził! – podziękowałem mu wzruszony.

– Później poszliśmy dalej. Aż do Nikei nie brakowało nam paszy ni prowiantu, bo mieszka tam bardzo dużo chrześcijan. Nie spotkaliśmy też żadnych Turków. Dopiero pod Nikeą zrzedły nam miny. Nie masz, panie, pojęcia, co to za twierdza!

– Mam, bo też ją widziałem. Leży nad jakimś jeziorem, jeśli dobrze pamiętam.

– Dokładnie. I ma dwieście czterdzieści baszt. Kiedy ją ujrzelśmy, mało kto wierzył, że można ją zdobyć. A przecież trzeba było ją zdobyć, żeby jej garnizon nie szarpał nam tyłów. Nasi ludzie szturmowali ją raz po raz, lecz obrońcy zasypywali nas takim mnóstwem strzał, włóczni, kamieni i żelaznych belek, i lali na nas tak dużo wrzątku, płonącej oliwy i smoły, że tylko ponosiliśmy straty. Były one tym większe, że z powodu gęstego ostrzału rannych można było zbierać dopiero po zmierzchu. Sądziłem, że sytuacja się poprawi, kiedy towarzyszący nam Grecy ukończą budowę machin i taranów, i wydrążą tunele, którymi chcieli podkopać się pod baszty. Niestety, wszystko, co dzięki owym machinom i tunelom udało się zepsuć w ciągu dnia, Turcy naprawiali nocą, i znów wracaliśmy do punktu wyjścia, tyle że z kolejnym uszczerbkiem w ludziach! Najgorsze zaś było to, że dopóki Bizantyjczycy nie zamknęli oblężenia od strony jeziora przy pomocy specjalnie sprowadzonych w tym celu okrętów, niewierni wciąż uzupełniali zapasy i otrzymywali posiłki w ludziach.

Po paru tygodniach oblężenia, z odsieczą dla Nikei nadszedł sułtan Kildiz Arslan. Zaatakował nas z marszu dużymi siłami, chcąc przebić się do miasta, ale po całodziennym bitwie został pobity na głowę i musiał uciekać z resztką wojska, aż się za nim kurzyło! Wtedy, za radą hrabiego Rajmunda, obcięliśmy głowy wszystkim poległym Turkom i przerzuciliśmy je z pomocą katapult nad murami Nikei, żeby osłabić ducha obrońców przed planowanym szturmem generalnym. Toteż wyobraź sobie naszą wściekłość, kiedy w oznaczonym dniu o świcie zamiast szturm zobaczyliśmy na basztach Nikei greckie sztandary!

– A skąd się tam one wzięły? – zdziwiłem się.

– To proste. Kiedy my wykrwawialiśmy się w boju, cesarz dogadał się po kryjomu z Turkami, którzy oddali mu w nocy miasto i cały sułtański skarbiec. Jakby tego było jeszcze mało, Bizantyjczycy znów nie pozwolili nam wchodzić za mury inaczej niż małymi grupkami!

– I nikt przeciwko temu nie protestował?

– A kto miał protestować? Naszym dowódcom zamknięto usta wielkimi sumami pieniędzy, a z całą resztą nikt się nie liczył. Musieliśmy zacisnąć zęby i pomaszerować dalej.

– To rzeczywiście przykre – przyznałem. – Aczkolwiek, zgodnie ze złożoną w Konstantynopolu przysięgą, Nikea i tak należała się cesarzowi.

– Jego niedoczekanie! – pogroził pięścią normański medyk. – Jak Kuba Bogu, tak Bóg Kubie.

– Co było dalej?

– Niedaleko Doryleum stoczyliśmy jeszcze jedną bitwę z Kilidż Arslanem, który zaatakował nas na czele nowej armii. Zginęło wtedy mnóstwo chrześcijan i jeszcze więcej Turków, choć bili się oni tak roztropnie i z takim animuszem, że chyba naprawdę mają rację ci, którzy twierdzą, że ten naród mógłby się zaliczać do najznamienitszych w świecie, gdyby tylko zechciał się ochrzcić. A jednak, pomimo całej swej roztropności i animuszu, pomimo wielkiej dzielności i liczebnej przewagi, zostali przez nas rozgromieni i wdeptani w ziemię. Zdobyliśmy sułtański namiot i połowy skarbiec, tysiące koni, wołów, owiec, osłów i wielbłądów, tureckie tabory pełne wszelkiego dobra i co najważniejsze, mnóstwo prowiantu. Bez tych łupów na pewno byśmy nie przeszli przez czekające nas dalej góry i pustynie, ponieważ Kilidż Arslan, który jakimś cudem znów uszedł z pogromu, kazał natychmiast spalić na pniu całe zboże i usunąć z naszej drogi wszystkich mieszkających tam chrześcijan, żeby nam przypadkiem nie pomagali. Choć i tak zdobycznych zapasów nie wystarczyło na całą drogę i w parę tygodni później zaczął się głód i pragnienie.

Zbudowane jeszcze przez Greków studnie i cysterne były porozbijane, zasypane bądź zatrute, i żeby ludzie i zwierzęta marli jak muchy, wcale nie musieli nas atakować niewierni. Któregoś dnia zmarło z pragnienia ponad pięćset osób, a od straszliwego gorąca parę dziesiątków innych usmażyło się żywcem w swoich kolczugach. Wkrótce doszło do tego, że za bochenek chleba trzeba było płacić dwadzieścia albo i trzydzieści denarów. Z braku wierzchowców i bydła pociągowych, którym przecież najbardziej skąpiono wody, niejeden rycerz wędrował piechotą lub przesiadł się na wołu albo krowę, zaś do ciągnięcia wozów zaprzęgano kozy i owce, a nawet psy, o ile tylko trafił się jakiś roślejszy. Ta gehenna trwała aż do miasta Ikonium, które, choć opuszczone i ogołocone ze wszystkiego przez swoich mieszkańców, obfitowało przynajmniej w wodę. Kiedy tam dotarliśmy, ludzie i zwierzęta byli tak spragnieni, że pili bez umiaru i mnóstwo ich zmarło po prostu z przepicia. Dalej, aż do Heraklei, gdzie wygraliśmy następną bitwę, było trochę lepiej, głównie dzięki tamtejszym Ormianom, którzy wspierali nas, jak mogli, ale okropne męczarnie powtórzyły się znowu w ńście diabelskich górach na granicy Syrii.

– Znam je.

– No to sam wiesz, panie, co to znaczy przejść je w pełni lata z bronią i taborami! Zginęło tam więcej naszych ludzi i bydła, niż we wszystkich bitwach z Turkami razem wziętych. Niejeden z tych, którzy dotąd trzymali się dzielnie, dopiero tam upadł na duchu i nie mogąc znieść trudów przeprawy, sprzedawał za

dwa bądź trzy denary swój oręż i zbroję, a jeśli nie znajdował na nie kupca, ciskał je po prostu w przepaść, szczęśliwy, że chociaż w ten sposób może się ich pozbyć. Niejeden także chętnie by stamtąd zawrócił, gdyby tylko było dokąd i gdyby nie całkowita pewność, że prędzej czy później musi wpaść w ręce niewiernych.

– Ale w końcu jakoś je przeszliście.

– Tak, przeszliśmy je – potwierdził z dumą – i stanęliśmy pod murami Antiochii. Od tamtej pory zdobyliśmy wiele miast i zamków, a jeden z naszych wodzów, hrabia Baldwin z Boulogne, brat księcia Gotfryda, został nawet władcą Edessy. Tylko Antiochia ciągle się broni, ale to chyba najpotężniejsze miasto na świecie.

– Potężniejsze niż Nikea i Konstantynopol? – zapytałem z niedowierzaniem.

– Niż Nikea, na pewno. Póki co, nie ma jak jej zdobyć, choć daliśmy już radę dwóm armiom, które szły jej z odsieczą – jednej, wspomnianego Dukaka z Damaszku, i drugiej, emira Ridwana z Aleppo, którą pokonaliśmy w lutym koło Mostu Żelaznego. Więc jeśli Jerozolima jest – jak być powinna – potężniejsza od Antiochii, strach pomyśleć, co nas jeszcze czeka! Bo ogólnie nie jest dobrze, panie. Bitwy, głód, choroby, skrytobójstwa, nagłe wypadki i zasadzki urządzone przez załogę miasta, a nawet trzęsienie ziemi, jakie zdarzyło się pod koniec zeszłego roku, pozbawiły już życia mnóstwo ludzi.

W dodatku wciąż zdarzają się dezercje. W styczniu uciekł Tatikios, dowódca Greków towarzyszących nam od Konstantynopola, a razem z nim wszyscy Bizantyjczycy. Choć to akurat najmniejsza strata, bo wtrącał się do wszystkiego i w ogóle był z niego niewielki pożytek. Gorzej, że uciekają także nasi. I nie ma żadnego znaczenia, że niektórych z nich – w tym również tak znacznych, jak Mały Piotr czy Wilhelm Cieśla – udaje się czasem złapać i sprowadzić w hańbie z powrotem do obozu, bo następnej nocy, jakby nigdy nic, ktoś znowu pakuje manatki i daje po cichu drapak! Niektórzy mówią, że tylu ludzi nie mogło po prostu uciec i że z pewnością porwali ich Saraceni, ale ja myślę, że to wierutna bzdura. Bo jeśli kogoś naprawdę porwą Saraceni, to prędzej czy później odnajduje się przynajmniej jego głowa, ci zaś znikają bez śladu wraz z całym dobytkiem, jakby się nagle rozplynęli w powietrzu albo zapadli pod ziemię! Dlatego, panie, cieszę się, że się do nas przyłączasz. Przydadzą się każde ręce, każdy miecz – uścisnął na pożegnanie moje dłonie, po czym udał się na mocno chwiejnych nogach do siebie, żeby choć trochę odpocząć przed świtem.

Rano okazało się, że kuracja, jaką Teodulf zaaplikował panu Herluinowi z pewnością mu nie zaszkodziła, choć też nie do końca pomogła. Z głębokiej rany po normańskiej strzale, okolonej grubym wałem krwistoczerwonej opuchlizny, nadal sączyła się krew zmieszana z ropą. Ciałem frankijskiego

rycerza, trawionym gorączką, wstrząsały silne dreszcze, zaś on sam, podupadły na duchu i zubożniały na wszystko, nie chciał żadnego pokarmu oprócz kawałka suchara i wody, którą wypijał w ogromnych ilościach. W jednej z rzadkich chwil, kiedy był nieco przytomniejszy, zapytałem go, komu mam go przekazać po dotarciu do Antiochii, ale nawet to nie wywołało z jego strony żywszego oddźwięku.

– Dzięki za troskę, panie – odpowiedział markotnie. – Zawieź mnie po prostu do obozu hrabiego Hugona, a dalej dam już sobie jakoś radę.

Osobiście nie byłem tego taki pewien, ale że do Antiochii pozostawał jeszcze kawał drogi, postanowiłem zobaczyć, jak się rozwinie sytuacja. Tymczasem pan Herluin stał się jeszcze bardziej bezwładny i żeby utrzymać go bezpiecznie na końskim grzbiecie, musiałem przywiązać go do siebie pasem.

Kolejny dzień jazdy tylko pogorszył jego stan, co objawiało się niekończącym się pasmem jęków i postękiwań, jakie wydawał z siebie nawet wtedy, gdy zapadał w drzemkę. Na szczęście wieczorem, kiedy został za nami ciągnący się z lewej strony łańcuch górski i zatrzymaliśmy się wreszcie na nocleg, Teodulf powiedział mi, że powinniśmy dotrzeć do Antiochii następnego dnia.

I tak też się stało. Po całym dniu męczącej jazdy naszym oczom ukazały się najpierw wieże ufortyfikowanej cytadeli zbudowanej na wysokiej, urwistej skale, a nieco później mury leżącego u jej stóp ogromnego miasta, naszpikowane – jak mnie zapewnił Teodulf – aż czterystoma basztami. Gdy podjechaliśmy bliżej i Antiochia, o której słyszałem kiedyś, że to właśnie w niej uczniów i wyznawców

Chrystusa nazwano po raz pierwszy chrześcijanami, odsłoniła się przed nami w całej okazałości, otaczający mnie Normanowie wydali z siebie głośny okrzyk radości, choć moim zdaniem, biorąc pod uwagę, że rozciągające się przed nami mury miały dobre dwie mile obwodu i wznosiły się gdzieś na wysokość czterdziestu stóp, o wiele bardziej na miejscu byłby raczej zbiorowy jęk desperacji.

Równie imponująco wyglądał obóz krzyżowców rozłożony pod gigantycznymi fortyfikacjami miasta. Stłoczone ciasno namioty, szałas, pałatki, budy, szopy, stragany, fury i zagrody dla zwierząt otaczały je szerokim pasem od północy i południa, i ciągnęły się na zachodzie po obu brzegach Orontesu, co widać było jak na dłoni dzięki tysiącom ognisk rozpalonych już o tej porze, a nad tym wszystkim górowały sylwetki kilku niedokończonych machin oblężniczych, rysujące się wyraźnie na wieczornym niebie.

Kiedy zbliżyliśmy się do północnego skraju obozowiska, podjechałem do pana Hermanna z Agrygentu i podziękowałem mu za okazaną mi pomoc i opiekę nad

panem Herluinem. Normañski olbrzym przyjął moje słowa z zadowoleniem, po czym zaproponował:

– Jakbyś chciał się do nas przyłączyć, mogę ci to załatwić.

– Dziękuję, panie, za ten wielki zaszczyt – odpowiedziałem, a ponieważ nie miałem ochoty tłumaczyć mu, że nie lubię mieć nikogo nad sobą i wolę działać w pojedynkę, dodałem uprzejmie: – Wezmę to pod uwagę, ale na razie muszę się rozejrzeć w sytuacji.

– Jak sobie życzysz – wzruszył na to ramionami i pojechał dalej.

Po minięciu warownej wieży zwanej Malregard, wzniesionej – jak mi wyjaśnił Teodulf – przez krzyżowców dla obserwacji drogi prowadzącej do położonego kilka mil na północ Mostu Żelaznego na Orontesie, skąd nadejście odsieczy dla Antiochii wydawało się najbardziej prawdopodobne, nasza kolumna skręciła w prawo, do głównego obozu Normanów. Wtedy odłączyliśmy się od niej i pojechaliśmy z Teodulfem do lazaretu usytuowanego na tyłach obozu Prowansalczyków, co wymagało okrążenia miasta od północnego-zachodu i przejazdu przez obozowisko pielgrzymów z północnej Francji.

Lazaretem okazało się kilka nędznych bud, skleconych byle jak z surowych desek i nakrytych dachem z liści palmowych. Stały one wokół obszernego placu, gdzie pomimo późnej pory, roiło się od ludzi. Byli wśród nich ciężko ranni i obłożnie chorzy spoczywający jak popadło na workach wypełnionych trawą bądź wprost na ziemi, a także nieco zdrowsi kręcący się to tu, to tam, o kulach, z usztywnionymi rękoma lub z pozawijanymi w płótno głowami, jak również całkiem zdrowi, dogładający, karmiący czy tylko dotrzymujący towarzystwa tym pierwszym i drugim.

O tym, że wysiłki pracujących w tym miejscu medyków nie zawsze kończyły się sukcesem, świadczył wymownie las drewnianych krzyży porastający gęsto pagórek za infirmerią.

Zanim zdecydowałem się, do kogo się zwrócić, Teodulf chwycił za rękaw jakiegoś zakonnika, przechodzącego obok nas z koszem zakrwawionych kończyn, i zagadnął go o niejakiego brata Norberta. W odpowiedzi zagadnięty mnich wskazał nam jedną z bud, dokąd zaraz się udaliśmy.

Kiedy stanąłem w jej progu, smród nadpalonych, zaropiałych, gnijących, rozpadających się czy już obumarłych ciał, leżących wewnątrz pokotem na słomie, odebrał mi oddech i mowę. Tymczasem Teodulf zawołał głośno brata Norberta i po chwili podszedł do nas starszy zakonnik w powalonym krwią fartuchu, narzuconym na niewiele czystszy habit. Normañski medyk przywitał się z nim serdecznie i czym prędzej wyciągnął go na dwór. Jednak kiedy brat Norbert zobaczył pana Herluina w jego turbanie, gwałtownie się zaperzył:

– Co?! Odrywacie mnie od umierających dla jakiegoś Saracena?!

– To pan Herluin z hufca hrabiego Hugona – wyjaśnił mu Teodulf. – Trafiono go z kuszy i ma się coraz gorzej. Bylibyśmy wdzięczni, gdybyś rzucił na niego okiem. Ja zrobiłem, co mogłem.

– Dobrze, ale musicie trochę poczekać. Normalnie nie ma tutaj aż tylu rannych, ale dzisiaj niewierni wypróbowywali jakąś nową balistę, i sami widzicie, co się dzieje! – brat Norbert wskazał na zatłoczony dziedziniec i ruszył z powrotem do swojej budy.

Ponieważ zapadła już gęsta ciemność, zaproponowałem Teodulfowi, żeby pojechał do swojego obozu, lecz on uparł się, że zaczeka razem ze mną na opinię swojego kolegi po fachu, zwłaszcza że chciał nas potem zabrać na noc do siebie. Podziękowałem mu za ten gest i czekaliśmy dalej na powrót brata Norberta.

Tymczasem, choć majdan stopniowo pustoszał, zakonny medyk wciąż się nie pojawiał. W końcu, coraz bardziej zaniepokojony tym, że w nawale zajęć mógł o nas zapomnieć, postanowiłem zapytać o niego którąś z jego pomocnic, które zaczęły właśnie roznosić zupę i karmić nią ciężiej rannych i chorych. Podszedłem do pierwszej z brzegu, schylonej nad jakimś beznogim pielgrzymem, i zapytałem ją, czy brat Norbert jest jeszcze w lazarecie. A kiedy zagadnięta przeze mnie kobieta odwróciła się w moją stronę, poczułem nagle, jak moje serce gwałtownie przyspiesza i zalewa mnie fala gorąca...

To była Uta! Ta sama Uta, którą pożegnałem prawie dwa lata wcześniej pod Moguncją! Szczuplejsza, zmizerniała i jakby trochę poszarzała, ale przecież tak samo piękna jak wówczas, z tymi samymi ciemno rudymi włosami zaplecionymi w gruby warkocz, ukryty teraz niemal w całości pod chustką, i z tym samym błyskiem przekory w oczach! Jeszcze nie tak dawno byłem pewny, że już nigdy jej nie zobaczę, że tak jak tylu innych ludzi spotkanych podczas mej wędrówki, pozostanie dla mnie już tylko wspomnieniem, a oto stała przede mną na jawie, żywa, w całej swojej cielesności i urodzie, odnaleziona na końcu świata, równie jak ja zaskoczona – i chyba nie mniej uszczęśliwiona tym zrzędzeniem Opatrzności!

Przez chwilę przyglądała mi się z takim niedowierzaniem, jakby nagle ujrzała ducha, potem wypuściła z rąk miskę z zupą, jej oczy zwilgotniały i... rzuciła mi się ze szlochem na szyję.

– Panie, ty żyjesz?! – wykrztusiła w końcu, kiedy przycisnąłem ją mocno do serca. – A ja myślałam, że zginąłeś pod Civetot, jak inni!

– Żyję – potwierdziłem niezbyt mądrze, całując jej oczy. – Nie płacz, Uto.

– A twój służący?

– Też i ma się dobrze. Niedawno się z nim rozstałem. Odwiedzi Jerozolimę i inne miejsca, a potem wraca do siebie, do Kordoby.

– To dobrze. Co robisz tutaj? Czyżbyś był ranny?!

– Nie. Ranny jest mój towarzysz, pan Herluin, z którym dzisiaj przybyłem do Antiochii. I razem z moim drugim przyjacielem, Teodulfem – wskazałem na siedzącego nieopodal normańskiego medyka – czekamy na brata Norberta.

– Brat Norbert jest bardzo zajęty – wyjaśniła oswobadzając się z moich objęć.
– Ale spróbuję go tu zaraz sprowadzić.

I nie czekając na to, co powiem, ani na pytania, jakie chciałem jej zadać, pobiegła w stronę szpitalnych bud. Nie minęło wiele czasu i rzeczywiście wróciła stamtąd w towarzystwie starego zakonnika.

– Wybacz mi, panie – usprawiedliwił się brat Norbert. – Naprawdę mamy tu dzisiaj urwanie głowy.

– Wiem i tym bardziej jestem ci wdzięczny – uspokoilem go i podprowadziłem go do pana Herluina, żeby mógł od razu przystąpić do oględzin.

Badanie, połączone z delikatnym uciskaniem, a nawet obwąchiwaniem rany, nie trwało długo.

– Robiłeś mu jakieś okłady? – zapytał Teodulfa brat Norbert.

– Tak, z krwawnika i kokoryczki – odparł normański medyk.

– To dobrze. Zapach też nie jest najgorszy. Miejmy nadzieję, że ta opuchlizna i jej barwa to tylko skutek tarcia podczas jazdy wierzchem. Na wszelki wypadek spuściłbym mu jednak trochę krwi i przyłożył okład z werweny i cyprysu.

– Chcesz mu puścić krew? – zawahałem się. – Stracił jej już bardzo dużo i może dlatego jest taki słaby.

– Niewykluczone. Ale to nigdy nie zaszkodzi.

– A co będzie, jeśli jej nie spuścimy? – spróbowałem się jeszcze upewnić.

– Będzie, co Bóg da – stwierdził zakonnik.

– No to ją spuścimy – zdecydowałem z ciężkim sercem.

Wtedy brat Norbert poprosił Utę i Teodulfa, żeby przynieśli z budy stągiew przegotowanej wody, czyste szarpie, lnianą chustę, werwenę, sproszkowany cyprys, chleb zagnieciony z pajęczyną i łuczywo. Kiedy wrócili z tym wszystkim, wyjął z rękawa ostry nóż i przystąpił do dzieła. Podczas gdy Uta przyświecała mu łuczywem, a ja z Teodulfem przytrzymywaliśmy pana Herluina za ręce i nogi, jednym pociągnięciem noża rozciął fioletową opuchliznę, skąd natychmiast trysnęła struga krwi i ropy. Pozwolił jej cieknąć przez dłuższy czas, przemył ranę wodą, posypał ją mieszaniną werweny i sproszkowanego cyprysu, następnie zalepił ją kawałkiem chlebowego mięszu zagniecionego z pajęczyną i w końcu okręcił udo rannego lnianą chustą. Wszystko to zrobił tak szybko i sprawnie, że frankijski rycerz nawet się nie obudził.

– Za parę dni powinien poczuć się lepiej – oświadczył stary zakonnik, zbierając swoje rzeczy. – Gdyby jednak było inaczej, zawsze można powtórzyć

zabieg. Póki co, zmieniajcie mu często opatrunek. Macie tu trochę werweny i cyprysu. O chleb i pajęczynę postarajcie się sami.

Jego rzeczowość i spokój podniosły mnie bardzo na duchu. Podziękowałem mu raz jeszcze, obiecując, że z wdzięczności kupię dla lazaretu trochę żywności, lecz brat Norbert tylko machnął ręką i wrócił czym prędzej do swoich zajęć.

– I co teraz? – zapytała Uta, gdy zostaliśmy sami. – Macie gdzie mieszkać?

– Tak, na dzisiejszą noc Teodulf zaprosił nas do siebie. Jutro rozstawię własny namiot.

– A może przenocujecie u nas? Mamy dużo miejsca, zmieścimy się. W ogóle możecie zostać u nas, dopóki pan Herluin nie wyzdrowieje. Ja też umiem zmieniać opatrunki.

Jej słowa były rozsądne i bardzo kuszące, ale nie chciałem urazić Teodulfa. Na szczęście normański medyk był domyślny. Poklepał mnie po ramieniu i rzekł z uśmiechem:

– Może to i dobry pomysł, bo mój namiot jest raczej ciasny. Poza tym, widziałem, jak się ściskaliście, więc na pewno macie sobie dużo do powiedzenia. W razie czego, wiesz, gdzie mnie znaleźć. Wpadnij jutro lub pojutrze, to ci pokażę okolicę i napijemy się wina.

– Dziękuję. Jutro albo pojutrze na pewno cię odwiedzę – zapewniłem go, a potem położyliśmy wspólnymi siłami pana Herluina na końskim grzbiecie, Teodulf pożegnał się i odjechał, my zaś udaliśmy się do obozu Prowansalczyków, gdzie stał namiot Uty.

Po drodze, starając się, by zabrzmiało to jak najbardziej obojętnie, zapytałem ją, z kim mieszka.

– Tylko z Piotrem Bartłomiejem. Akurat wyjechał w interesach, ale powinien wrócić jeszcze dziś albo jutro. Na pewno bardzo się ucieszy, kiedy cię zobaczy.

Co do tego ostatniego miałem pewne wątpliwości, lecz wolałem ich nie ujawniać.

– A co z twoimi siostrami-nie-siostrami? Blanką, Mechtyldą i chyba Zuzanną, jeśli dobrze pamiętam?

– Pamiętasz dobrze. Nawet to, że to moje siostry-nie-siostry, bo właściwie siostry Piotra Bartłomieja, a dla mnie tylko kuzynki. Blanka wróciła do klasztoru, Zuzanna została w Prowansji, zaś biedna Mechtylda, która wyruszyła w drogę razem z nami, przepadła bez wieści w Sławonii.

– Mój Boże! – westchnąłem. – Jaka szkoda, że i ona nie wróciła do klasztoru!

– A dlaczego miałyby wracać do klasztoru? – zdziwiła się Uta.

– Jak to, dlaczego? Czyż twój brat, przepraszam, twój kuzyn, nie powiedział kiedyś, że wszystkie z niego uciekłyście?

– Powiedział, ale to nieprawda. Uciekła tylko Blanka, która tam w końcu wróciła. Oprócz niej, żadna z nas nigdy nie była zakonnica.

– Ale przecież nosiłyście habity – upierałem się, zbity nieco z tropu.

– Nie habity, tylko podobne do nich suknie. Piotr Bartłomiej kazał nam je włożyć, bo uważał, że tak będzie bezpieczniej.

– Pewnie miał rację, tylko dlaczego w takim razie twierdził, że uciekłyście z klasztoru? Od tego nie byłyście wcale bezpieczniejsze.

– Bo taki już jest – rozłożyła ręce. – Raz mówi tak, raz inaczej, a najczęściej to, co mu ślina na język przyniesie, zwłaszcza, kiedy się rozgniewa. Ale to dobry człowiek, zobaczysz.

Pamiętając, jak Piotr Bartłomiej chciał potraktować starego Żyda, wyłowionego przez nas z wody niedaleko Moguncji, zbyłem milczeniem także i te słowa. Na szczęście nie musiałem się już do nich w ogóle odnosić, gdyż właśnie zagłębiliśmy się w obóz Prowansalczyków i w chwilę później dotarliśmy do namiotu Uty.

Był on rzeczywiście obszerny, a nawet, ze swoimi ośmioma masztami, wręcz okazały w porównaniu z otaczającymi go mizernymi budami i szałasami. U wejścia do namiotu żarzyło się ognisko, przy którym grzał się mniej więcej dwunastoletni chłopak o niemiłosiernie umorusanej twarzy i jasnych, długich do ramion włosach. Na nasz widok zerwał się na równe nogi, obute w ciężkie i za duże dla niego buty, i podciągnawszy obszarpane portki, też dla niego zbyt obszerne, podszedł do nas, aby przyjrzeć się z bliska panu Herluinowi zwisającemu bezwładnie z końskiego grzbietu.

– Nieźle go załatwiłeś! – stwierdził z podziwem. – Ciekawe, ile weźmiesz za niego okupu?

– Okupu? – w pierwszej chwili nie zrozumiałem, o co mu chodzi. – Ani grosza, to mój przyjaciel.

– Saracen? Przyjaciel? – prychnął pogardliwie. – Ja bym na pewno wziął za niego okup. Albo załatwił go do końca – poklepał się wymownie po boku, gdzie, jak dopiero zauważyłem, dyndał długi sztylet w skórzanej pochwie.

– Załatwiłbyś go do końca?! – zdenerwowałem się. – Ty to najwyżej możesz się załatwić w gacie. Zmiataj stąd, pókim dobry.

– Uważaj, dziadku, żebyś się nie pomylił! – warknął w odpowiedzi, kładąc rękę na rękojeści sztyletu.

– Fulko, jeszcze słowo, a zobaczysz! – upomniała go Uta, pomagająca mi zdjąć z konia pana Herluina. – Nie życzę sobie, żebyś dokuczał moim gościom, zrozumiałeś?

Młody człowiek wzruszył ramionami i z obrażoną miną zasiadł z powrotem przy ognisku. Kiedy wnieśliśmy pana Herluina do namiotu i położyliśmy go na

pryczy, przeprosiłem Utę za moje słowa.

– Wybacz, nie wiedziałem, że to twój znajomy. Na miejscu jego rodziców spuszczałbym mu częściej lanie.

– Jego rodzice nie żyją, zmarli po drodze, jak setki innych. A on, choć włóczy się samopas, lubi do nas zaglądać. Czasami także pilnuje nam namiotu, inaczej wszystko by rozkradli.

– Rozumiem.

– Fulko, zjesz coś? – zawołała głośno, tak żeby ją było słychać na zewnątrz.

– Nie jestem głodny – odpowiedział dziecięcy głos z drugiej strony płótna.

– A co jadłeś?

Poły namiotu rozchyliły się i do środka wszedł Fulko z trzema pomarańczami.

– Tureckie jabłka. Mam nawet kilka dla ciebie – położył je na koślawym stoliku.

– Skąd je wzięłeś? – Uta zmarszczyła brwi.

W odpowiedzi zrobił nieokreślony ruch ręką.

– Fulko, tyle razy cię prosiłam... – pogroziła mu palcem.

– Aha, znowu się zaczyna – przerwał jej w pół zdania. – To ja już sobie pójdę.

Uta uścisnęła go i wsunęła mu za pazuchę kawałek chleba, po czym wzięła jakiś garnek i wyszła na dwór, żeby odgrzać jedzenie. Wtedy jej podopieczny podszedł do mnie i dźgnąwszy mnie palcem w brzuch, wycedził:

– Jeśli tkniesz ją choćby palcem, wsadzę ci nóż między zębra.

I zanim w ogóle zdołałem zareagować, wybiegł z namiotu i przepadł w ciemnościach. Jego bezczelność wzburzyła mnie tak bardzo, że musiałem się mocno hamować, by nie dać tego po sobie poznać, kiedy wróciła moja gospodyni.

Przy kolacji Uta opowiedziała mi, co działo się z nią od czasu naszego rozstania. Okazało się, że tuż za Moguncją, także Piotr Bartłomiej i jego siostry dowiedzieli się o losie, jaki spotkał na Węgrzech ludzi Gotschalka, więc przerażeni postanowili wrócić do domu. Blanka wstąpiła do klasztoru, o rękę Zuzanny poprosił bogaty sąsiad, zaś wkrótce potem w okolicy rozeszła się wiadomość, że pan Wilhelm z Sabray, właściciel pobliskiego zamku, wybiera się do Ziemi Świętej pod komendą swojego suzerena, Rajmunda de Saint-Gilles, hrabiego Tuluzy. Piotr Bartłomiej, któremu szybko obrzydło siedzenie w domu, doszedł do wniosku, że pod tak mozną protekcją zdoła odbyć bezpiecznie pokutę, za którą zdążył już pobrać – i co gorsza, także wydać – sporą zaliczkę. Sprzedał zatem, co mógł, zaprzął swoją dwukólkę i ruszył na miejsce zbiórki w towarzystwie Uty i Mechtyldy, wiedzionych tyleż pobożnością, co zwykłą ciekawością świata.

Z początku, jeśli nie liczyć przeprawy przez Alpy, wszystko szło znakomicie, ponieważ armia hrabiego Tuluzy i wlokące się za nią gromady wieśniaków przemierzały znane im i zasobne krainy – Prowansję, Piemont, Lombardię i Veneto – gdzie nie brakowało żywności, a ludzie odnosili się do nich przyjaźnie. Kłopoty zaczęły się po wkroczeniu do górzystej i jałowej Sławonii, przy czym gęste mgły i panujące tam zimą chłody, choć dawały się mocno we znaki ciepłolubnym Prowansalczykom, nie należały bynajmniej do największych.

Mieszkańcy tej krainy, dzicy i nieokrzesani, patrzyli na przybyszów wilkiem, chowali przed nimi wszelką żywność i nie chcieli im służyć za przewodników, a jeśli już któregoś udało się do tego zmusić, z reguły wodził taki całymi dniami armię po manowcach, po czym ulatniał się bez śladu przy pierwszej okazji.

Na domiar złego nocami atakowali pielgrzymów zbójcy. Wkrótce ci okrutnicy bez czci i wiary tak się rozzuchwalili, że przestali się ukrywać i postępując krok w krok za armią, w biały dzień wybijali oddziały poszukujące prowiantu, mordowali bez litości wszystkich maruderów, szarpali tylnie straże i rabowali upatrzone przez siebie wozy. Jedynym sposobem, by się od nich na chwilę uwolnić, były gwałtowne kontrataki zarządzane niekiedy przez hrabiego Tuluzy. Schwytanym zbójcom obcinano ręce i nogi, po czym wznoszono z ich ciał barykady w poprzek drogi, co powstrzymywało na jakiś czas innych, zmuszonych do opatrywania bądź grzebania własnych towarzyszy.

Prawdopodobnie ofiarą zbójców padła także nieszczęsna Mechtylda, pomagająca w owym czasie w polowym lazarecie. Któregoś wieczoru, gdy obozowisko spowiła tak gęsta mgła, że można ją było sobie owijać wokół palców, wyszła jak zwykle do swoich chorych, lecz nigdy do nich nie dotarła. Rankiem Uta i Piotr Bartłomiej podnieśli alarm, szukali jej wraz z tłumem ludzi w całym obozie i jego najbliższych okolicach, zaglądali do wszystkich namiotów i wozów, wołali ją głośno po imieniu i prosili innych, żeby robili to samo, a wreszcie ubłagali hrabiego Rajmunda, żeby wstrzymał wymarsz armii do południa, nic to jednak nie dało. Biedna Mechtylda znikła bez śladu i nikt jej więcej nie widział.

Ból wywołany tym wspomnieniem był tak wielki, że w tym miejscu swojej opowieści Uta rozplakała się gwałtownie. Objąłem ją ramieniem i przez dłuższą chwilę pocieszałem w milczeniu.

– A może, gdyby nie Mechtylda, nigdy byśmy się już nie spotkali? – stwierdziła nagle, kiedy się nieco uspokoiła. – To przez wzgląd na nią staram się pomagać w lazarecie, kiedy tylko mam trochę czasu.

Po chwili, już opanowana, wróciła do swojej relacji. Takich przypadków jak ten, który przytrafił się Mechtyldzie, było dużo więcej, co w połączeniu z głodem i innymi nieszczęściami sprawiło, że choć przemarsz przez Sławonię trwał tylko

czterdzieści dni, większość pielgrzymów uważała, że zaznała w tym czasie dużo większych cierpień niż Żydzi, błakający się pod wodzą Mojżesza na pustyni przez czterdzieści lat.

Jednak opuszczenie Sławonii nie oznaczało bynajmniej wkroczenia do Ziemi Obiecanej. Wprawdzie na terytorium Bizancjum cesarz przydzielił krzyżowcom zbrojną eskortę, lecz składała się ona głównie z najemnych barbarzyńców – Pieczyngów, Kumanów i Turków – traktujących zachodnich pielgrzymów wcale nie lepiej niż zbójcy. Między eskortą i pątnikami dochodziło często do kłótni i zbrojnych utarczek, które z dnia na dzień stawały się coraz bardziej zażarte, ponieważ także krzyżowcy, coraz bardziej wygłodniali i rozgoryczeni, zaczęli w końcu tracić cierpliwość i zdobywać żywność ogniem i mieczem. Któregoś razu Pieczyngowie zranili ciężko w głowę i obrabowali samego legata papieskiego Adhemara de Monteil biskupa Le Puy, kiedy indziej ośmielili się podnieść rękę na hrabiego Tuluzy, zaś w pobliżu miasta Rodosto, wspomagani przez tamtejszych Greków, wycięli w pień cały oddział armii krzyżowej, rabując jego broń i bagaże. Na szczęście po tym zdarzeniu sytuacja poprawiła się. Hrabia Rajmund, który pojechał przodem, złożył w Konstantynopolu wymaganą przysięgę lojalności i od tej pory Bizantyjczycy zaprzestali aktów wrogości, wzięli w karby swoich najemników i zaczęli regularnie dostarczać prowiant, natomiast dowódcy wyprawy, ze swej strony, zaprowadzili większą dyscyplinę we własnych hufcach.

Dalsza opowieść Uty, opisująca drogę z Konstantynopola do Antiochii, powtarzała w ogólnych zarysach to, o czym słyszałem już od Teodulfa. Po jej wysłuchaniu zrewanżowałem się Ucie opowieścią o moich przygodach (pomijając jedynie te, w które i tak by nie uwierzyła), a kiedy dobrnąłem do końca, na dworze właśnie dniało. Zmieniliśmy jeszcze opatrunek panu Herluinowi i daliśmy mu pić, po czym każde z nas zasnęło kamiennym snem w swoim kącie.

Kiedy się obudziłem, było już po południu. Leżący obok mnie frankijski rycerz spał równym, głębokim snem chorego, który wreszcie poczuł się trochę lepiej, Uta robiła na dworze jakąś przepierkę, a na mnie czekało gotowe śniadanie, którego smakowity zapach rozchodził się z kociołka grzejącego się w popiele u wejścia do namiotu. Spałaszowałem je z wielkim apetytem, następnie zaś, za pozwoleniem Uty, wybrałem się odwiedzić Teodulfa i kupić sobie na targu jakiś normalny przyodziewek, żeby ludzie przestali się za mną oglądać. Ponieważ chciałem także przyjrzeć się Antiochii, przed wyjazdem włożyłem na wszelki wypadek hełm i kolczugę, wiedząc z doświadczenia, jak niebezpieczna bywa w takich razach nadmierna ciekawość.

Do obozu Normanów trafiłem bez trudu. W porównaniu z obozowiskiem Prowansalczyków i mijaną po drodze kwaterą Lotaryńczyków, wyróżniał się on regularnym rozstawieniem namiotów o porządnie naciągniętych ścianach, solidnym okopaniem oraz, jak przystało na wojnie, zbrojnymi posterunkami strzegącymi bezpieczeństwa jego mieszkańców. Kiedy zapytałem jednego z wartowników o Teodulfa, zostałem skierowany od razu we właściwe miejsce.

Mój normański przyjaciel wrywał właśnie ząb jakiemuś spuchniętemu jak bania żołnierzowi. Poczekałem, aż skończy, zdałem mu relację ze stanu zdrowia pana Herluina, a kiedy okazało się, że Teodulf nie ma nic więcej do roboty, wybraliśmy się wspólnie na przejażdżkę.

W drodze na targ przez bardzo ożywiony o tej porze obóz o mało nie straciłem konia, kiedy gdzieś niedaleko rozległ się straszliwy ryk jakiejś bestii i mój wierzchowiec, stanąwszy ze strachu dęba, wysadził mnie nagle z siodła. Gdyby nie Teodulf, który natychmiast chwycił go za uzdę, pognałby zapewne na oślep przed siebie, tratując wszystko po drodze.

– Co to było? – zapytałem podnosząc się z ziemi.

– Lew. Pewien rycerz kupił go od Turków i trzyma go w namiocie. Mieliśmy szczęście, że nie natknęliśmy się na niego oko w oko, bo właściciel wyprowadza go czasem na spacer.

– Żeby go szlag trafił razem z jego lwem! – rzuciłem pod adresem nieznanego mi rycerza, masując sobie stłuczony łokieć i gramoląc się z powrotem na siodło.

Na szczęście lew więcej się nie odezwał i resztę drogi przebyliśmy spokojnie. Na targowisku rzucały się przede wszystkim w oczy niewiarygodnie wysokie ceny żywności – wystawionej zresztą w niewielkiej ilości – a także koni, najwyraźniej bardzo nielicznych w obozie po przemarszu przez Azję i stoczeniu kilku bitew. O ile to pierwsze mocno mnie zmartwiło, o tyle z tego drugiego byłem bardzo rad, ponieważ znaczyło to, że mój wierzchowiec – jedyne dobro, jakie jeszcze posiadałem – stanowił pod Antiochią pokaźny majątek. Przez chwilę żałowałem nawet, że tak beztróska pozbyliśmy się koni zabitych asasynów, ale uprzytomniwszy sobie, że i tak nie bylibyśmy w stanie wyżywić ich na pustyni, machnąłem na tę stratę ręką. Można zresztą powiedzieć, że co w teorii straciłem na koniach, to odzyskałem na przyodziewku, jako że był on na targu bajecznie tani. Może dlatego, jak kpił Teodulf, że jego kolejni właściciele od dawna nie żyli. Nie zrażony jego żartami kupiłem za grosze jakieś chrześcijańskie portki i koszulę oraz wór sucharów dla brata Norberta, po czym ruszyliśmy dalej, na objazd Antiochii.

Na wszelki wypadek trzymaliśmy się z dala od jej murów, poza zasięgiem strzał obrońców, którzy dzięki gęsto rozstawionym basztom mogli kontrolować wszystko, co działo się w bezpośredniej bliskości miasta. Najpierw

skierowaliśmy się wzdłuż północnych murów na wschód, za drogę prowadzącą z Bramy Świętego Pawła do Mostu Żelaznego. Gęste skupisko bud, namiotów i szałasów gwałtownie się tam rozrzedzało, w miarę jak fortyfikacje pięły się coraz ostrzej ku szczytowi góry Staurin. Na jej zboczu mury Antiochii skręcały na południe, schodząc na łeb, na szyję w dół, do wąskiego i urwistego wąwozu, którym płynął strumień o nazwie Onopnikles, zaopatrujący miasto w świeżą wodę i wypływający z niego po zachodniej stronie, niedaleko Bramy Psiej, by wpaść następnie do Orontesu. Za wąwozem Onopniklesu mury miejskie wspinały się z kolei na górę Silpion, dochodząc w najwyższym punkcie do górującej nad miastem cytadeli, po czym schodziły ponownie w dół, ku Bramie Świętego Jerzego, skąd zaczynała się droga prowadząca na południe.

Dla każdego, kto patrzył na północno-wschodni i wschodni odcinek obwarowań Antiochii, było całkowicie jasne, że tak ze względu na wyjątkowo trudne ukształtowanie terenu, jak i na strzegącą tych miejsc cytadelę, zdobycie miasta od tej strony było zupełnie niemożliwe, więc aż po Bramę Świętego Jerzego nie było tam żadnych chrześcijańskich posterunków. Ponieważ dalsza jazda na wschód lub na południe nie miała sensu, zawróciliśmy, a kiedy znaleźliśmy się ponownie pod bramą Świętego Pawła, zapytałem Teodulfa o dużą klatkę spuszczoną na łańcuchu z miejskich murów, zwisającą dobre piętnaście stóp nad ziemią. Dostrzegłem ją już wcześniej, ale wówczas nie zwróciła mojej uwagi, ponieważ wydawała mi się pusta, podczas gdy teraz dobiegały z jej wnętrza głośne jęki i lamenty.

– To biskup Antiochii Jan – zachmurzył się normański medyk. – Od początku oblężenia Turcy wywieszają go w ten sposób od czasu do czasu, by napędzić strachu mieszkającym w mieście chrześcijanom i okazać nam swoją pogardę. A kiedy nie wystawiają biskupa w klatce, to biją go na murach żelaznymi prętami, tak żeby wszyscy to widzieli i słyszeli.

– Łajdacy! – splunąłem z obrzydzeniem i ruszyłem obejrzeć pobliską wieżę Malregard obsadzoną przez ludzi hrabiego Boemunda. Potem pojechaliśmy dalej, by rzucić okiem na miasto od zachodu i południa, wstępując po drodze do lazaretu, gdzie zostawiliśmy zakupione przeze mnie suchary.

Zachodnie mury Antiochii, najwyższe i najpotężniejsze w całym obwodzie umocnień, wyrastały bezpośrednio z podmokłych łąk nad Orontesem, dochodząc w pewnym miejscu do samego brzegu rzeki, więc dla zachowania bezpiecznego dystansu od tureckich łuczników i kuszników przejechaliśmy na jej drugi brzeg po moście łyżwowym zbudowanym przez krzyżowców ze starych łodzi pokrytych deskami. Tam skręciliśmy w lewo i wkrótce znaleźliśmy się na przeciwko potężnego Mostu Ufortyfikowanego, prowadzącego do Bramy Mostowej i znajdującego się pod kontrolą Turków.

Jak mi powiedział Teodulf, obrońcy chętnie używali tej bramy do przeprowadzania nagłych wypadów z miasta i dlatego, po paru krwawych potyczkach w tym właśnie miejscu, krzyżowcy wzniesli na wprost Mostu Ufortyfikowanego swój własny kasztel obronny, zwany La Mahomerie od wykorzystanych przy budowie ruin starego, opuszczonego meczetu. Kasztel La Mahomerie, otoczony fosą i strzeżony przez prowansalską załogę, miał zabezpieczać obóz przed kolejnymi atakami wyprowadzanymi zza murów, a jednocześnie kontrolować zbiegające się obok mostu dwie drogi – z portu Świętego Szymona i z Aleksandretty – którymi wcześniej docierało do Antiochii zaopatrzenie i posiłki w ludziach.

Spod La Mahomerie pojechaliśmy z biegiem rzeki do ostatniego, położonego wyraźnie na uboczu obozu pielgrzymów, składającego się z wyjątkowo niechlujnych bud i szałasów, i zamieszkałego przez dziwnie wyglądających, dawno nie strzyżonych ani nie golonych obszarpańców i brudasów, którzy, uzbrojeni w pałki, łomy, siekiery i noże, przyglądali się nam z jawną niechęcią. Kiedy zaskoczony nieprzyjemnie tym widokiem zapytałem Teodulfa, co to za jedni, normański medyk odparł z bezbrzeżną pogardą:

– To zwykli zbóje, w dodatku niespełna rozumu. Prowadzą ze sobą świętą gęś, której oddają cześć, i plotą bez ustanku o jakimś Emichu, zwanym przez nich Cesarzem Dni Ostatnich, który ponoć nawrócił w Niemczech tysiące Żydów, za co poniósł w końcu męczeńską śmierć, ale ma ich zdaniem zmartwychwstać tuż przed zdobyciem Jerozolimy, żeby stoczyć zwycięską walkę z Antychrystem.

– Ludzie Emicha?! – wykrzyknąłem. – Znam ich! To skończone łotry! Najchętniej położyłbym ich wszystkich trupem!

– Nie radzę, panie. Choć to zbóje, i w ogóle ludzie bez praw i honoru, są bardzo bitni i odważni. Jeśli z nimi zadrzesz, rozniosą cię na strzępy. Lepiej omijaj ich z daleka, tak jak wszyscy.

Po tych słowach odciągnął mnie w stronę rzeki, przez którą przeprawiliśmy się brodem na drugi brzeg, by podjechać następnie do ostatniego ogniwa w łańcuchu umocnień mających zapewnić krzyżowcom kontrolę nad Antiochią. Był nim tak zwany kasztel Tankreda, wznoszony właśnie przez Normanów w pobliżu bramy Świętego Jerzego. Wśród budowniczych było kilku znajomych Teodulfa, odkupiliśmy więc od nich bukłak czerwonego wina i rozłożyliśmy się na koniec w cieniu drzewa na górze Silpion.

– No i jak ci się to wszystko podoba? – zapytał mój normański przyjaciel, kiedy ugasiliśmy pierwsze pragnienie.

– Nie za bardzo – przyznałem szczerze. – Tego miasta nie da się zdobyć, chyba że głodem lub podstępem. Jednak z tego, co mówiłeś, to również mało prawdopodobne.

– Dlaczego? – zaproponował Teodulf. – Każde zapasy kiedyś się skończą, a nasze kasztele służą głównie temu, żeby niewierni nie mogli ich uzupełniać.

– Tylko że wcześniej mogą tu przybyć Turcy.

– Dwa razy już próbowali i za każdym razem dostali łupnia.

– Zawsze mogą spróbować po raz trzeci, dużo większymi siłami.

Zastanowiwszy się przez chwilę nad tą ewentualnością, normański medyk na wszelki wypadek przeżegnał się i stwierdził niepewnie:

– Gdyby do tego doszło, należy ufać, że Ten, którego Grób przyszliśmy wyzwolić, nie opuści nas w potrzebie.

– I ja mam taką nadzieję – pocieszyłem go, a potem pogawędziliśmy sobie przy winie o tym i owym, aż niepostrzeżenie zrobiło się bardzo późno i trzeba było wracać do domu.

Gdy dotarłem do obozu Prowansalczyków, zapadła już ciemna noc. Przywiązywałem właśnie konia do pala przed namiotem Uty, kiedy nagle coś łupnęło mnie straszliwie w głowę i padłem jak długi na ziemię! Hałas, jakiego przy tym narobiłem, wywabił na zewnątrz okolicznych mieszkańców, wśród których znalazła się również Uta. Byłem tak zamroczony, że gdyby nie ich pomoc, chyba bym się nie podniósł.

– Co się stało?! – zawołała przerażona Uta, kiedy wreszcie stanąłem na chwiejnych nogach.

– Nie wiem – odpowiedziałem przecierając oczy zalane obficie krwią.

Ale ona nie miała już wątpliwości. Podniosła z ziemi mój pęknięty hełm, który prawdopodobnie ocalił mi życie i leżący obok niego kamień wielkości pięści dorosłego mężczyzny, po czym wykrzyknęła w ciemność wibrującym z gniewu głosem:

– Fulko! Jak jeszcze raz zrobisz coś podobnego, nie chcę cię więcej widzieć na oczy!

Następnie z pomocą innych pomogła mi wejść do namiotu, przemyła i opatrzyła moją ranę, i kazała mi przyłożyć do wyrosłego tymczasem wielkiego guza klingę szabli. A kiedy z tą szablą przy czole dochodziłem z wolna do siebie, poły namiotu rozchyliły się i do wnętrza wszedł... Piotr Bartłomiej!

Na mój widok zatrzymał się w pół kroku, przez chwilę przyglądał mi się z osłupieniem, aż wreszcie – dokładnie tak, jak to przewidziała Uta – rozpostarł szeroko ramiona i zawołał z wielką radością:

– Wszelki duch Pana Boga chwali! Czy to naprawdę ty, panie?! Witaj w kraju Bafometa!

XX

Radość Piotra Bartłomieja wyglądała na autentyczną. Nie tylko wyściskał mnie serdecznie, ale także – po zmuszeniu mnie do ponownego opowiedzenia moich przygód – zaproponował mi z miejsca, abym zatrzymał się u niego i Uty na dłużej, ponieważ był w obozie tylko przejazdem i wkrótce znowu wybierał się w świat. Oczywiście odmówiłem zaznaczając, że z przyjemnością rozbiję mój namiot gdzieś niedaleko, poprosiłem jednak, by, jeśli to możliwe, przechowali jeszcze przez parę dni pana Herluina, aż będzie go można odwiedzić do obozu hrabiego Hugona, albowiem sam nie byłem w stanie zapewnić mu równie wygodnych warunków ani tak dobrej opieki, jaką otoczyła go Uta. Zaoferowałem również piętnaście dirhamów na pokrycie związanych z tym kosztów. Oboje zgodzili się bez oporów, choć Uta odmówiła przyjęcia ode mnie jakichkolwiek pieniędzy. Z kłopotliwej sytuacji wybawił mnie Piotr Bartłomiej, który, mrużąc pod nosem jakieś niepochlebne uwagi na temat babskiego rozumu, wziął ode mnie oferowane monety i wrzucił je do swojej, dość pełnej, sakiewki.

– Przyjaźń przyjaźnią, a życie kosztuje – stwierdził rzeczowo, kiedy Uta, urażona jego słowami, zabrała się za przygotowanie kolacji. – Odkąd nasi zbudowali te przekłete wieże i kasztele, interesy idą coraz gorzej.

– Interesy? – zaciekawilem się. – Jakie?

– Apropozycja. Dawniej można było kupić wszystko w najbliższej okolicy, a nawet od Antiocheńczyków. Odsprzedanie tego w obozie nie przynosiło wprawdzie dużego zysku, może pięć albo siedem od sta, ale za to nie trzeba było daleko jeździć i ryzyko było niewielkie. Ale jak zwykle, komuś to przeszkadzało! Pobudowano wieże i kasztele, sprzedawców z Antiochii uznano za szpiegów bądź za dywersantów, zaczęto do nich strzelać i zabierać im towar, no i ceny od razu podskoczyły, a pielgrzymi zaczęli masowo głodować. Jeśli większość z nich, których nie stać na kupowanie u Ormian i Syryjczyków, jeszcze żyje, to wyłącznie dlatego, że poszczególnym dowódcom udaje się od czasu do czasu złupić jakąś dalszą okolicę, a ludzie tacy jak ja, nie bacząc na niebezpieczeństwa, sprowadzają tańszą żywność z Cypru lub z Edessy. Oto cała korzyść z tych wież i kaszteli! Nie masz panie czasem wrażenia, że ludzie w ogóle nie myślą? – zakończył z goryczą.

– Czy ja wiem? Może myślą bardziej o zwycięstwie, niż o interesach? – zauważyłem.

– O zwycięstwie? – zaperzył się. – Chciałbym je zobaczyć! Ale nawet jeśli to prawda, to kto się do niego bardziej przyczyni? Nasi wodzowie, którzy postanowili zamorzyć Antiochię głodem, choćby w tym celu musieli najpierw

zagłodzić własną armię, czy ci, którzy dla wykarmienia krzyżowców uszczuplali zapasy wroga i w dodatku jeszcze na tym zarabiali? No kto, pytam?

– Może faktycznie tacy jak ty, Piotrze Bartłomieju – wolałem nie ciągnąć tej dyskusji, zwłaszcza, że po raz kolejny zaproszono mnie na kolację, która sądząc po cenach na targu, nie mogła być tania. – Mam tylko nadzieję, że nawet teraz nie dokładasz do interesu.

– Na szczęście, nie – odparł z satysfakcją. – Jestem za biedny, by uprawiać miłosierdzie. Tym bardziej, że to już nie te zyski, co dawniej. Najwyżej dwa od sta, a i to nie zawsze, bo na Cyprze liczy się tylko hurt, więc muszę kupować za cudze pieniądze i towar nie należy do mnie. Za to ryzyko jest dużo większe. Tureckie i saraceńskie galery, piraci, burze i ogromne fale, różne morskie potwory – niektóre o, z takimi zębami! – no i zawsze można utonąć, a ja nie umiem pływać. Bo nie wiem, panie, czy wiesz, że Cypr to wyspa? – zapytał tonem bywalca.

– Tak mówią. I co robisz z towarem, gdy uda ci się szczęśliwie powrócić?

– Oddaję go w porcie temu, kto wyłożył pieniądze, pobieram mój żebraczy procent i czekam na następne zlecenie. I tak to się kręci, inaczej byśmy nie wyżyli, gdyż Pan Bóg nie raczył mnie stworzyć księciem ani hrabią (choć nie wiem, co Mu doprawdy przeszkadzało?), ani nie przywiozłem tutaj, jak inni, worów pieniędzy, dzięki którym mógłbym siedzieć sobie na zadku i opływać we wszelkie dostatki. Niestety, Pan Bóg nie zrobił mnie nawet rycerzem, jak nie przymierzając ciebie – za co jesteś Mu winien ogromną wdzięczność – bo wówczas też bym nie musiał tłuc się po morzach, tylko, w razie czego, mógłbym zarobić na życie mieczem.

– Mógłbyś zarobić na życie mieczem? – uśmiechnąłem się, bo jakoś nie mogłem go sobie wyobrazić w hełmie i kolczudze. – Ciekawe jak?

– A choćby biorąc udział w walkach harcowników. Jak ktoś jest w tym naprawdę dobry, to machnie sobie raz czy drugi żelazem i już ma pięknego konia albo cenną zbroję, a jeśli jeszcze umówi się przed walką na pieniądze, to może bez większej fatygi nieźle się obłowić. I to bez strachu przed utonięciem.

– O jakich walkach harcowników mówisz?

– Jak to o jakich? O zwyczajnych. O tych, co to je urządzają nad Orontesem. Jeden na jednego, dwóch na dwóch, trzech na trzech, pięciu na pięciu, dziesięciu na dziesięciu, konno albo pieszo, na śmierć i życie lub tylko do pierwszej krwi, wszystko zależy od umowy z Turkiem. Tak czy inaczej, zwycięzca nie narzeka. Podobnie, jak niektórzy z widzów, bo ludziska zakładają się między sobą, kto zwycięży, i niejeden od tego zostaje bogaczem. Ja też się zakładałem parę razy, ale nigdy nie wygrałem. Widać nie znam się na wojaczce lub po prostu nie mam szczęścia.

– I dowództwo na to pozwala? – zdziwiłem się.

– A dlaczego miałyby nie pozwalać? Nie tylko pozwala, ale wręcz zachęca. Tureckie zresztą też. W końcu, na prawdziwym froncie nic się nie dzieje, oblężenie zbrzydło już wszystkim i wygląda na to, że obie strony mają te same kłopoty, bo pewnie także wśród Turków duch bojowy upada, moralność się rozprzęga, dyscyplina słabnie, mnożą się burdy i dezercje i pojawia się skłonność do knozań, spisków oraz buntów. A tak, dzięki walkom rycerstwo nie gnuśnieje, oręż nie rdzewieje, a ludzie mają rozrywkę i nadzieję na godziwy zarobek. W dodatku obie strony traktują każde, choćby najskromniejsze zwycięstwo swoich harcówników jako zapowiedź ostatecznego tryumfu i widoczny znak od Boga, potwierdzający wyższość i prawdziwość ich własnej religii, co pozwala im skrzepić ducha i zewrzeć ciasniej rozchwiane szeregi. Zaś na mój skromny rozum, choć nie znam się na wojaczce, bez krzepkiego ducha i szeregów zwartych tak ciasno, że nie da się między nie wściubić nawet palca, nikt jeszcze nie wygrał żadnej wojny.

– Co do tego zgoda, Piotrze Bartłomieju. Widzę, że wbrew temu, co powiedziałeś, znasz się na wojaczce wcale nie gorzej niż sam Dawid albo Karol Wielki – skwitowałem z uznaniem jego słowa. Lecz moja pochwała wcale go nie ucieszyła.

– Bardzo możliwe – przyznał z zalem. – Ale to tylko potwierdza, że nie mam za grosz szczęścia. Wolałbym, panie, żeby było odwrotnie. A co z tobą? Czy przyłączyłeś się już do któregoś hufca? Może chciałbyś przystać do hrabiego Rajmunda? Znam paru ludzi w jego kwaterze, którym dostarczam różnych smakołyków i mógłbym ci to załatwić.

– Nie, Piotrze Bartłomieju, nie spieszo mi pod żadną komendę. Skoro odrzuciłem służbę u Normanów, nie widzę żadnego powodu, by służyć rozkazów Prowansalczyków.

– Jak uważasz, panie, ale pamiętaj, że zawsze możesz liczyć na moją protekcję.

– Jestem ci za nią niezmiernie wdzięczny – zapewniłem go solennie.

Jak miała się rzecz z jego szczęściem, tego nie wiem do dzisiaj, ale jego słowa o tym, że na prawdziwym froncie nic się nie dzieje, były szczerą prawdą. Przekonałem się o tym w ciągu następnych dni, kiedy po odwiezieniu pana Herluina do obozu hrabiego Hugona mogłem zapoznać się lepiej z nastrojami panującymi pod Antiochią.

Pierwszą rzeczą, jaką wtedy zrobiłem, było objechanie kwater wszystkich głównych wodzów, by przekazać im ostrzeżenie wystosowane przez szejka *hachichiyyun*. Niestety, wszędzie przyjęto mnie na bardzo niskim szczeblu, ponieważ nikt wyższy rangą nie miał ochoty ze mną rozmawiać, najwyraźniej

uznając, że to co mam do powiedzenia to nic nie znaczące bzdury, a wszyscy naczelnicy dowódcy są dostatecznie chronieni dniami i nocą.

Podobną niefrasobliwość, czy też może pewność siebie wyczuwało się również w obozie, gdzie – o ile tylko Turcy nie wypróbowywali akurat swoich katapult albo balist – żyło się wszystkim, oprócz wojny.

Ludzie zajmowali się swoimi codziennymi sprawami, zabiegali o pokarm i pieniądze, sprzedawali, kupowali, gotowali, prali, cerowali, zabijali czas grą w kości lub warcaby, chorowali, odwiedzali się nawzajem, urządzali uczyty i pijatyki, kochali się i nienawidzili, przyjaźnili się i kłócili, opowiadali o sobie nawzajem dowcipy i różne złośliwości – w czym celowali zwłaszcza Frankowie i Prowansalczyki, docinający sobie bezlitośnie na każdym kroku – słuchali mszy, chodzili na procesje i walki harcowników (gdzie też się raz wybrałem), wychowywali dzieci, wreszcie rodzili się i umierali, ale nikt nie przejmował się nadmiernie przeciwnikiem, który, ukryty za potężnymi murami, robił zapewne to samo, i nie ryzykował już więcej nocnych wycieczek, czy niespodziewanych wypadków, woląc spokojnie czekać na odsiecz, jaka prędzej czy później musiała nadejść.

Potężne maszyny oblężnicze, które tak podziwiałem pierwszego dnia, tkwiły bezczynnie w tym samym miejscu, ponieważ zostały podobno źle skonstruowane i przy próbie uruchomienia mogły się przewrócić; wielkie kopce kamiennych i żelaznych kul porastały trawą, i gdyby nie zdarzające się codziennie wypadki, spowodowane nieostrożnością, brawurą czy zwykłą głupotą, a polegające głównie na tym, że kogoś, kto się zagapił i podszedł za blisko murów, trafiono strzałą lub oblano wrzątkiem, można było w ogóle zapomnieć, że jesteśmy na wojnie. Ponieważ oprócz Normanów, opowiadających się za szturmem generalnym, reszta głównych wodzów wołała wziąć Antiochię głodem, jedyną akcją bojową, jaką podejmowano, była obserwacja miasta ze zbudowanych wież i kaszteli, połączona z blokadą wszystkich prowadzących do niego dróg i wąwozu Onopniklesu.

Jak zauważył Piotr Bartłomiej, ta dziwna wojna nie wpływała najlepiej na morale krzyżowców, co zmuszało z kolei dowództwo do podejmowania różnych działań dyscyplinujących. Włóczęgami się tu i tam, byłem mimowolnym świadkiem niektórych z nich.

Pewnego razu zatrzymałem się, by posłuchać jakiegoś kaznodziei, który zwracał się do pielgrzymów w imieniu legata papieskiego, Adhemara de Monteil biskupa Le Puy. Mąż ów grzmiał ze swadą przeciwko zamieszkującym obóz rozpustnikom, złodziejom, oszustom oraz kupcom posługującym się fałszywą miarą i wagą, jak również przeciwko pijakom, ładacznicom, kosterom i lichwiarzom, dowodząc, że to właśnie przez nich nie udało się dotąd zdobyć

Antiochii. Co więcej, perorował, może już nigdy nie uda się jej zdobyć, podobnie jak Jerozolimy, jeśli wszyscy ci bezwstydnicy natychmiast nie przestaną grzeszyć i poprzez przykładną pokutę nie uśmierzą Boskiego gniewu, który ściągnęli na całą wyprawę. To płomienne piętnowanie występku i rozdzierające wołanie o poprawę mogłoby być skuteczne – zwłaszcza że kaznodzieja wzmacniał je groźnymi minami i wymowną gestykulacją – gdyby zostało skierowane do serc nieco czystszych i mniej zatwardziałych. Tymczasem, choć biedny *frater* dwoił się i troił, przez cały czas jego przemowy z pobliskich namiotów dochodziły jakieś pijackie przyśpiewki, ohydne przekleństwa, gruby męski rechot i podejrzone kobiece chichoty, co nieuchronnie odbierało powagę najświętszym nawet słowom i niweczyło w zarodku wszelkie postanowienie poprawy.

Innym razem widziałem obławę na fałszywych księży (bo byli w obozie i tacy, którzy udzielali bluźnierczo sakramentów i zbierali pieniężne datki na sobie tylko wiadome cele) i na nierządnicę. Schwytych świętokradców solidnie wychłostano i oddano pod sąd legata, przy czym jednego z nich, ujętego, gdy akurat zabawiał się z kochanką, przepędzono z nią nago przez cały obóz, gdzie każdy mógł ich obrzucać do woli łajnem i kamieniami, póki od tych razów nie skonali. Oćwiczono także wszystkie ladacznice, chociaż niektóre z nich próbowały się opierać, protestując wniebogłose i przyzywając Boga na świadka, że nie są żadnymi kurwami, gdyż zostały przyłapane w objęciach swych ślubnych małżonków. Nikt im jednak nie dawał wiary i po surowej chłości wygnano je z obozu. Niestety, moralność i tym razem poniosła porażkę, ponieważ wypędzone z takim hukiem nierządnicę wróciły do obozu jeszcze tej samej nocy (dokąd zresztą miały się udać?) i jakby nigdy nic dalej uprawiały swój nieczny proceder, choć może z mniejszym niż dotychczas zdzierstwem i nie tak otwarcie.

W innych okolicznościach wszystko to skłaniałoby mnie pewnie do gorzkich refleksji, ale na szczęście nie miałem do nich głowy, ponieważ nieoczekiwanie spadły na mnie nowe obowiązki. Otóż w parę dni po tym, jak zainstalowałem się w pobliżu namiotu Piotra Bartłomieja i Uty, zostałem znowu zaproszony przez nich na kolację, w trakcie której Piotr Bartłomiej zwrócił się do mnie uroczyście:

– Jutro wyjeżdżam na Cypr i nie będzie mnie w Syrii przez dwa lub trzy tygodnie. Do tej pory, ilekroć gdzieś wyjeżdżałem – zawsze żeby nakarmić głodujących, nigdy dla przyjemności – serce krwawiło mi z rozpacz, że muszę tu zostawiać na pastwę losu, niczym kruche i słodkie jagnię wśród zgłodniałych wilków, młodą, niewinną i piękną niewiastę. Chyba rozumiesz, panie, co mam na myśli?

– Domyślałem się – potwierdziłem.

– To nie będę się dalej nad tym rozwodzić. Jak by nie było, jesteśmy na wojnie i różni się tu kręca. Dlatego chciałem cię prosić, żebyś podczas mojej nieobecności wziął to jagnię pod swoje skrzydła. Żeby nikt go nie porwał, ani nie rozszarpał jak biednej Mechtyldy. A gdyby, nie daj Boże, stało się coś złego, gdyby na przykład nadeszli Turcy lub doszło do jakiejś ruchawki, albo...gdybym przypadkiem sam nie wrócił, przenieś się, proszę, do naszego namiotu. Żeby Uta była bezpieczniejsza i czuła się raźniej; nieważne, co ludzie pomyślą. W końcu, z twojej strony nic jej nie grozi, wszak jesteś rycerzem. Czy możesz mi to przyrzec, panie?

– Oczywiście, Piotrze Bartłomieju. Jedź szczęśliwie i szybko wracaj. Możesz być pewny, że przy mnie włos jej z głowy nie spadnie.

– Dziękuję, panie. A ty – przykazał Ucie – masz go odtąd słuchać jak ojca.

I następnego dnia wyjechał wraz z grupą innych kupców do portu Świętego Szymona, gdzie czekał na nich genueński statek, ja zaś przejąłem pieczę nad jego kuzynką.

Na początek przestałem walać się po obozie i znacznie rzadziej widywałem się z Teodulfem i panem Herluinem. Na wszelki wypadek nosiłem też przy sobie szablę i powróciłem do ćwiczeń fizycznych, by odzyskać trochę dawnej sprawności i wigoru. Jeśli danego dnia Uta pomagała w lazarecie, odprowadzałem ją tam rano i odbierałem wieczorem. Towarzyszyłem jej także, kiedy szła na targ, lub miała ochotę przejść się nad rzeką. Dużo ze sobą rozmawialiśmy i prowadziliśmy wspólną kuchnię – do której dokładałem skrupulatnie moje ostatnie dirhamy – i wszystko to razem sprawiało, że z każdym dniem stawała mi się bliższa, zajmując coraz więcej miejsca w moim sercu.

Tymczasem w trzy tygodnie po wyjeździe Piotra Bartłomieja, w wąwozie Onopniklesu złapano tureckiego szpiega, próbującego przedostać się chyłkiem do Antiochii. Szpieg ten wyznał na torturach, że niejaki Kurbuga – groźny i bitny atabeg Mosulu – właśnie gromadzi potężne siły, żeby nas zaatakować. Podobno, oprócz własnych, licznych jak szarańcza wojowników, zamierzał poprowadzić przeciwko nam także oddziały władców Bagdadu, Persji i Babilonii, wspomagane dodatkowo przez wielką armię posiłkową, dowodzoną przez Dukaka, emira Damaszku. Wyznania schwytanego Turka brzmiały tak niewiarygodnie – dla nikogo bowiem nie było tajemnicą, jak bardzo muzułmańscy wielmoże nie cierpią się nawzajem i jak bardzo, na szczęście dla nas, nie lubią ze sobą współpracować – że obecni przy jego przesłuchaniu dowódcy krucjaty doszli do wniosku, że mają do czynienia z nieprzyjacielską dywersją, obliczoną na to, że się wystraszymy i odstępimy od oblężenia. Dlatego, żeby przechytryć wroga, postanowili kontynuować bez żadnej zmiany dotychczasową strategię.

Jednak nie wszyscy w obozie mieli tak żelazne nerwy, jak oni. Kiedy wieść o wyznaniach tureckiego szpiega rozeszła się w obozie, część pielgrzymów zaczęła domagać się niezwłocznego szturmu na Antiochię, podczas gdy inni chcieli ruszać natychmiast na Jerozolimę. Wzrosła też gwałtownie liczba dezercji, co było widać gołym okiem także w obozie Prowansalczyków, gdzie stłoczone dotąd ciasno szeregi bud i namiotów przerzedziły się znacznie w ciągu kilku nocy. Choć sytuacja została szybko opanowana – nie uzgodnione z wyższym dowództwem inicjatywy militarne spacyfikowano, a strumień zbiegów poważnie ograniczono dzięki rozstawieniu wokół obozu podwójnych straży – niepokoju zagnieżdżonego w ludzkich sercach nie dało się tak łatwo rozproszyć.

Również Ucie wszystko leciało z rąk, aczkolwiek twierdziła, że to nie z powodu Turków, tylko Piotra Bartłomieja, który wciąż nie wracał, choć minęły już prawie cztery tygodnie od jego wyjazdu.

– Nie martw się, wróci na pewno – pocieszałem ją, jak mogłem. – Mógł nie dostać się na statek albo morze jest tak wzburzone, że nie da się wypłynąć z portu, ale to się zdarza. Najwyżej trochę się spóźni. A co do Turków, to nie ma się czego bać. Po pierwsze, z tym całym Kurbugą to może faktycznie nieprawda, zwykły taktyczny wybieg albo tureckie przechwałki. Może ktoś taki w ogóle nie istnieje? Po drugie, nawet gdyby ów Kurbuga istniał, jest bardzo wątpliwe, by zdołał zgromadzić aż tyle wojska i żeby go wspierali inni emirowie. A po trzecie i najważniejsze, nawet gdyby Kurbuga istniał i udało mu się zebrać tak wielką armię, i choćby mu pomagali wszyscy emirowie świata, i tak zostanie pokonany, jeśli nas zaatakuje, podobnie jak inni, którzy próbowali tego przed nim.

– Otóż to, jak chce, niech tu przyjdzie, Kurbuga-Pierduga, a zetrzemy go na miazgę! – wtórował mi buńczucznie Fulko, który znów zaczął pojawiać się w namiocie Uty, i który, choć oficjalnie ze mną nie rozmawiał, w określony sposób często mi przytakiwał, zwłaszcza gdy rozmowa schodziła na kwestie militarne.

– Tak? To przypomnij sobie, co było pod Civetot! – nie dawała za wygraną Uta.

– Civetot to co innego. Tam nie mieliśmy prawdziwej armii ani dobrych dowódców. A zresztą, najlepszym dowodem na to, że nie taki diabeł straszny, jak go malują, jest to, że nadal żyję. Turcy to też tylko ludzie.

Wszystko to uspokajało Utę tylko połowicznie, zwłaszcza że już wkrótce znalazła sobie nowy powód do zmartwienia. Któregoś dnia zapytała mnie bowiem, czy słyszałem, jak w nocy ktoś kręcił się przy naszych namiotach.

– Nie, niczego nie słyszałem – odparłem zawstydzony, bo owej nocy spałem jak zabity. – Może ci się tylko zdawało?

– Nie, na pewno ktoś się kręcił. Długo nie mogłam zasnąć i musiało być już dobrze po północy, kiedy usłyszałam czyjeś szept i kroki. W pewnej chwili ktoś uniósł nawet boczną ścianę namiotu. Na szczęście coś ich spłoszyło.

– Hm... Myślę, że nie ma powodu do obaw, ale nie należy niczego lekceważyć. Jeśli chcesz, przeniosę się dziś na noc do ciebie i zobaczymy.

– Dziękuję. Tak będzie najlepiej.

Przenosząc się wieczorem do Uty, nie omieszkałam naostrzyć mojej arabskiej szabli i na wszelki wypadek włożyłem także kolczugę. Gdy Uta poszła spać za kotarę, przycupnąłem na pryczy Piotra Bartłomieja, starając się nie zasnąć. Mijała godzina za godziną, obóz stopniowo się uspokajał, aż w końcu zapadła głucha cisza. W tym samym czasie głowa opadała mi coraz niżej i niżej, a kiedy powieki skleiły mi się zupełnie, rozległ się głos Uty:

– Śpisz?

– Nie.

– Ja też nie. Słyszałeś coś?

– Nie.

Po tej odpowiedzi umilkła. Minęło sporo czasu i już byłem pewien, że wreszcie zasnęła, kiedy odezwała się ponownie:

– Nie śpisz?

– Nie. Śpij.

– Nie mogę. Mogę cię o coś zapytać?

– Możesz.

– Czy byłeś kiedyś zakochany?

– Dlaczego o to pytasz?

– Tak sobie. Nie mogę zasnąć. Jak chcesz, możesz nie odpowiadać.

– Dlaczego nie? Proszę bardzo. Byłem.

– W kim?

– A czy to ważne?

– Nie. A teraz?

– Co teraz?

– Czy teraz jesteś w kimś zakochany?

– Teraz to już jestem na to za stary – odpowiedziałem ostrożnie.

– Za stary? Nie żartuj. Słyszałam, że do miłości nadają się wszyscy mężczyźni powyżej czternastego roku życia, aczkolwiek prawdziwy kochanek powinien mieć co najmniej osiemnaście lat i nie więcej niż sześćdziesiąt. Podobno miłość możliwa jest także później, ale po sześćdziesiątce trudno już o szczere uczucia i o prawdziwą namiętność. Więc nie jest jeszcze z tobą tak źle.

– Może. A dla ciebie pewnie najważniejsze są właśnie uczucia i namiętność?

– Tak. Dla mnie najważniejsze są uczucia i namiętność. To słodkie cierpienie, ta bolesna radość, która bierze się z olśnienia i zachwyty drugą osobą, z urzeczenia jej pięknem i wdziękiem. Cierpienie i radość, które się w nas utrwalają i pogłębiają na skutek rozmyślań o ukochanej osobie, i sprawiają, że chcemy być z nią stale, a właściwie zawsze, że chcemy ją obejmować i całować, i blednąć, i drżeć na jej widok, i tulić się do niej bez przerwy. To jest dla mnie najważniejsze, choć oczywiście nie uchylam się także od wypełnienia innych obowiązków miłości.

– Ładnie to ujęłaś. Szkoda, że ja nie mogę już nikogo olśnić ani wprowadzić w drzenie. Chyba, że ze strachu.

– Nie mów tak, proszę. Miłość potrafi dostrzec piękno także w tych, w których bez niej widzielibyśmy tylko brzydotę i niezgrabność.

– W takim razie naprawdę musi być ślepa jak kret.

– Ależ skąd, jak miłość może być ślepa?! Czyż nie zakochujemy się najpierw oczami? Miłość widzi po prostu inaczej.

– No to cierpi na wadę wzroku, skoro nie odróżnia dobrze barw, kształtów i konturów.

– Przestań! Inaczej, to znaczy tak, jak widzą drapieżne ptaki, jak orły albo jak jastrzębie bujające w przestworzach, które dostrzegają dużo lepiej i patrzą dalej niż wszyscy, i potrafią zauważyć coś tam, gdzie inni nie widzą niczego.

– Życzę ci, Uto, z całego serca, aby spełniły się twoje marzenia i żebyś znalazła sobie dobrego męża – westchnąłem po tych słowach.

– A kto ci powiedział, że ja szukam męża?! – prychnęła w odpowiedzi i nie odezwała się już więcej do białego rana, kiedy to, po nieprzespanej nocy, powlokłem się do siebie, by choć trochę się zdrzemnąć.

Jej słowa nie dawały mi jednak spokoju przez cały dzień. Następnej nocy, którą również miałem spędzić na czuwaniu w jej namiocie, zapytałem ją przez kotarę, dlaczego, choć pragnie miłości, obrusza się na samą wzmiankę o małżeństwie?

– Właśnie dlatego – wyjaśniła. – Bo miłość jest jak płomień: albo strzela wysoko w górę, albo przygasa. W małżeństwie możliwe jest tylko to drugie i w końcu z miłości nie zostaje w nim nic, prócz popiołu.

– Przesadzasz – mruknąłem.

– Możliwe. Albo nie nadają się na żonę.

– Przesadzasz – powtórzyłem.

– Tak? A nadają się?

– Oczywiście.

– Mów za siebie, nie za innych. Na t w o ją żonę?

Tym prostym pytaniem nie tylko mnie oszołomiła, ale także zapędziła w kozi róg. Nie mogłem przecież, ani nie chciałem jej oszukiwać.

– Na moją niestety nie – odpowiedziałem ze ściśniętym gardłem.

– No i sam widzisz! – zawołała łamiącym się głosem. – Zapewne tylko na kochankę?

– Na kochankę też nie.

Po tych słowach wybuchła niepowstrzymanym płaczem.

– Nie płacz! – próbowałem ratować sytuację. – To wszystko przeze mnie. Ja...

– Nie pochlebiaj sobie! – przerwała mi z furją. – Też miałabym przez kogo płakać! Ja płaczę, płaczę... z powodu Piotra Bartłomieja... On już chyba nigdy nie wróci!...

– Wróci, wróci, zobaczysz.

– A idź do diabła! Nie potrzebuję takiego obrońcy!

– Ależ, Uto...

– Idź stąd! Już! – powtórzyła ostro. – Nie chcę cię więcej widzieć!

Cóż miałem zrobić? Zabrałem moją szablę i wyniosłem się natychmiast do siebie. Ale tej nocy nie dane mi było zasnąć. Ledwie ułożyłem się jako tako na posłaniu, kiedy poły mojego namiotu rozchyliły się gwałtownie i do środka wtargnęła Uta. Była jeszcze bardziej wściekła niż przedtem i już od wejścia zawołała tak głośno, że chyba musiała postawić na nogi pół obozu:

– Ty łajdaku! Więc nie jestem dla ciebie dość dobra, co?! Masz mnie za nic?! To wiedz, łotrze, że mój ojciec też był rycerzem i nie puszczę płazem takiej zniewagi! A może po prostu masz już żonę, albo nawet dwie, tylko boisz się do tego przyznać?!

Chwyliłem ją za ręce i potrząsnąłem nią, żeby ją uspokoić. Zrobiłem to na tyle mocno, że przez rozcięcie jej koszuli wyskoczyły na zewnątrz jej krągłe i jędrne piersi.

– Posłuchaj – rzekłem unieruchamiając ją na chwilę. – Ani przez moment nie chciałem cię obrazić. A żony nie mam i nie zamierzam mieć. Powiem więcej, żeby ci nie było przykro i skoro najwyraźniej chcesz to usłyszeć: chyba cię kocham. Tylko że to niczego nie zmienia. Problem w tym, że...

Urwałem w pół zdania, bo w tym samym momencie zdałem sobie sprawę z tego, że z moim ciałem dzieje się coś dziwnego i zaraz cudownego... Oto najdelikatniejsza jego część, ta, która jest ciałem o wiele bardziej niż cała jego reszta, ta, która doznała zaszczytnego uszczerbku w obronie relikwii Świętego Wiktoriana i o której mój przyjaciel Yusuf powiedział kiedyś, że jest niczym palma rzucająca królewski cień, ale nie dająca daktyli, nagle ożywiła się i jakby na potwierdzenie tego, że wszystko, co kiedyś umarło, powstanie znowu do

życia, zaczęła rwać się z całych sił do kobiety, trzymanej przeze mnie mocno w ramionach...

Reszta dokonała się szybko i niemal bezwiednie. Nie kończąc urwanej myśli, przyciągnąłem Utę do siebie, a potem, całując delikatnie jej piersi, zacząłem zsuwać z niej koszulę.

– No i? – szepnęła zdumiona. – Na czym polegał problem?

– Na tym, że... myślałem, że... że jestem dla ciebie za stary.

– Boże, jakiś ty głupi! – westchnęła z ulgą i przywarła do mnie całym ciałem.

Absolutnie nie zamierzam opisywać tego, co działo się dalej, powiem tylko, że wspomnienie tamtej nocy zachowam w sercu do końca życia. A kiedy opuszczała mnie nad ranem, zapytałem, czy nie zmieniła przypadkiem zdania na temat małżeństwa.

– Nie. To zbyt poważna sprawa, by mogła zależeć od jednej chwili zapomnienia.

– Możemy ją powtórzyć dzisiejszej nocy, to będą już dwie – zaproponowałem.

– Nie. Pamiętaj, że w każdej z takich chwil może wrócić Piotr Bartłomiej – pocałowała mnie na pożegnanie i wyszła.

Przez cały dzień delektowałem się moim niewiarygodnym szczęściem, dziękując za nie z całego serca Bogu. Jeśli cokolwiek je mąciło, to fakt, że nie mogłem się nim podzielić z Yusufem, który na pewno bardzo by się ucieszył, że życzenie, jakie wypowiedział pod moim adresem przy pożegnaniu, już się częściowo spełniło! Oto z powrotem byłem w pełni mężczyzną, jeden z celów mojej wyprawy na Wschód został osiągnięty – i to bez znalezienia Źródła – w dodatku miałem kobietę, którą kochałem i która odwzajemniała moje uczucia! A wszystko to stało się tak nagle i niespodziewanie, że byłem tym zupełnie odurzony i ze szczęścia czułem się tak, jakby mnie ktoś wsadził na sto koni.

Wieczorem przy kolacji doszliśmy z Utą do wniosku, że tajemnicze szepty i kroki musiały się jej jednak przyśnić, toteż tym razem postanowiłem dobrze się wyspać i poszedłem wcześniej do siebie, gdzie niemal natychmiast zasnąłem kamiennym snem.

Nie wiem, jak długo spałem, w każdym razie, kiedy znienacka obudził mnie dochodzący z zewnątrz hałas, miałem wrażenie, że zmrużyłem oczy zaledwie przed chwilą. Przytomniejąc z trudem, zacząłem powoli rozróżniać odgłosy czegoś na kształt brutalnej szamotaniny, okraszanej ciosami pięścią i kopniakami, a także czymś, co przywodziło na myśl tępe uderzenia kijem. Jednak do reszty ocucił mnie dopiero przeraźliwy i dziwnie znajomy krzyk ni to dziecka, ni to młodzieńca, i następujący po nim stek ohydnych niemieckich przekleństw. Zaraz potem rozległ się przeraźliwy krzyk Uty: *Lasst ihn los, Rauber! Hilfe!*¹⁶¹. Wtedy

zerwałem się jak oparzony, i tak jak stałem, prawie goły, wyskoczyłem na dwór, zapominając o szabli.

Stało tam już kilku zaspanych pielgrzymów, przyglądających się z przerażeniem zażartej bójce, jaka toczyła się przy namiocie Piotra Bartłomieja między dwoma brodatymi, długowłosymi mężczyznami w wystrzępionych tunikach i czterema równie obszarpanymi i wyposażonymi w sękate pałki młodziankami, wśród których był także Fulko. Piąty młody człowiek, a właściwie jeszcze dziecko, leżał nieruchomo na ziemi.

Jeden z brodaczy, wyglądających mi na ludzi Emicha, szarpał właśnie za włosy i okładał z całych sił kułakiem Fulka, opędzając się jednocześnie od innego młodzieńca i od Uty, która z jakimś trzewikiem w ręku usiłowała przyjść swojemu podopiecznemu z pomocą i wykrzykiwała przy tym raz po raz: *Lass ihn los! Lass ihn los! Lass ihn los!*¹⁶² Rzuciłem się bez namysłu w ich stronę i potężnym ciosem pięści zwałem kudłacza z nóg. Uwolniony z opresji Fulko, zalany krwią i na załamujących się nogach, został natychmiast odciągnięty na bok przez Utę. Wtedy zwróciłem się w stronę drugiego brodacza, ale tu nie miałem nic do roboty, bo trzech walczących z nim wyrostków dawało sobie świetnie radę, szachując go umiejętnie pałkami. Kiedy, rozwścieczony niczym ranny niedźwiedź, próbował atakować nożem jednego z nich, któryś z pozostałych natychmiast zdzielał go lagą przez żebra lub plecy. Gdy rzucał się na innego, to samo czynili od razu jego koledzy.

W tej sytuacji przyłożyłem jeszcze raz pięścią pierwszemu z napastników, który próbował podnieść się z ziemi, po czym podskoczyłem do Uty, ocierającej rękawem twarz Fulka.

– Nic ci nie jest? – ścisnąłem ją za ramię.

– Nie.

– Co tu się dzieje?!

– Próbowali wejść do naszego namiotu, ale przeszkodził im Fulko i jego przyjaciele. Pomóż im, błagam!

Ale moja pomoc była im coraz mniej potrzebna, bo z okolicznych bud i namiotów wypadali kolejni sąsiedzi, często z jakąś bronią w ręku. Dziwne było jedynie to, że walczący nadal obdartus wydawał się być z tego zadowolony.

– *Leute!* – zawołał wskazując na namiot Piotra Bartłomieja. - *In diesem Zelt wohnen Juden! Schaut mal, was sie da alles geklaut haben?! Man muss diesen Abschaum vernichten!*¹⁶³

– Łże! – krzyknęła w *romance* Uta. – Ludzie, bijcie złodziei, co chcą nas wszystkich okraść!

Pewnie nikt z Prowansalczyków nie rozumiał po niemiecku, za to jasne dla nich słowa Uty zrobiły odpowiednie wrażenie i kilku sąsiadów ruszyło z orężem

w garści w stronę osaczonego mężczyzny. Kiedy ten spostrzegł, na co się zanosi, pogroził im nożem i zaraz potem, wycharczawszy w kierunku Uty: *Wir kommen wieder!*¹⁶⁴ - rzucił się do ucieczki. To samo w chwilę później zrobił jego kamrat, który doszedł tymczasem do siebie. Ludzie rozstąpili się przed nimi ze strachem i obaj obwiesie przepadli w ciemnościach.

Nie można było pozwolić na to, by powrócili z większymi siłami, toteż czym prędzej wpadłem do namiotu, porwałem z niego szablę i wskoczywszy na konia, pogałem za nimi na oklep. Jeśli rzeczywiście należeli do bandy Emicha, musieli wracać do swojego obozowiska drogą prowadzącą wzdłuż Orontesu.

Dopałem ich niedaleko kasztelu La Mahomerie. Szli wolno, noga za nogą, bo jednak dostali solidne cięgi, głośno się przy tym sprzecząc i nie spodziewając się zupełnie, że ktoś może ich ścigać. Zanim zdążyli się zorientować, co się dzieje, natarłem na nich od tyłu i położyłem ich obu trupem. Było bardzo ciemno i właściwie mogłem mieć pewność, że nikt tego nie zauważył, ale na wszelki wypadek zaciągnąłem ich zwłoki w szuwały i wszedłszy po pas w wodę, puściłem je z nurtem Orontesu. Potem wymyłem starannie ręce i szablę, odczekałem trochę, żeby obeschnąć, i dopiero wtedy zawróciłem do obozu Prowansalczyków.

Kiedy tam dotarłem, większość sąsiadów już spała, natomiast Uta kończyła opatrywać tego spośród młodzieńców, który został powalony przez któregoś z ludzi Emicha na początku bójki i przeleżał resztę bijatyki bez czucia na ziemi. Mały miał rozciętą brew i ogniście czerwone ucho, ale i tak wyglądał dużo lepiej niż Fulko z jego porozbijanymi wargami, krwawiącym nosem i sino-fioletową twarzą, spuchniętą tak bardzo, że nie widać w niej było prawego oka.

– No i jak, panie? – zapytał jeden z młokosów. – Dorwałeś ich?

– Nie – skłamałem, by nie denerwować niepotrzebnie Uty. – Odpłynęli.

Uta odetchnęła z ulgą, ale mój rozmówca prychnął pogardliwie.

– Phi! Gdybym ja miał takiego konia jak ty, mnie by na pewno nie odpłynęli.

– I co z tego, że odpłynęli? – wzięła mnie w obronę Uta. – Skoro odpłynęli, to znaczy, że nie należeli do bandy Emicha, i to jest najważniejsze. Oby tylko nie wrócili!

– Myślę, że to mało prawdopodobne – uspokoiłem ją pod tym względem.

– Wróć czy nie, to się dopiero okaże – odezwał się Fulko, ocierając sobie krew z nosa. – Ale to na pewno byli ludzie Emicha. Znam ich dobrze i jeszcze mi za to zapłacą!

– Już im daliście za swoje, wystarczy. To prawdziwy cud, że znaleźliście się tutaj akurat wtedy, gdy chcieli okraść namiot Uty. Dziękuję wam, panowie – zacząłem kolejno ścisnąć im dłonie, lecz kiedy doszedłem do Fulka, ten odtrącił z gniewem moją rękę:

– Idź precz, kpie! To żaden cud, przyszedliśmy tu specjalnie, żeby pilnować namiotu, bo poprzedniej nocy stał kompletnie pusty. Pomyślałem sobie, że jak znów będziecie się zabawiać, ktoś go w końcu okradnie.

– Fulko! – jęknęła Uta, natomiast ja, nie mając ochoty kontynuować rozmowy z bezczelnym młokosem, stwierdziłem tylko: „W porządku. Jakby się coś działo, dajcie mi znać” i pożegnawszy się wyłącznie z Utą, wróciłem do siebie.

Rankiem, kiedy okazało się, że Uta, zmęczona nocnymi przejściami, nie wybiera się do lazaretu, postanowiłem odwiedzić Teodulfa, by omówić z nim pewną ważną sprawę, wiążącą się z katastrofalnym stanem moich finansów, który nie pozwalał mi już dłużej dokładać się do wspólnej kuchni. Aby wybrnąć z tej sytuacji, byłem gotów w ostateczności sprzedać mojego konia, zwłaszcza że od czasu rozejścia się pogłoski o Kurbudze wartość wierzchowców w obozie gwałtownie wzrosła, z drugiej jednak strony, konie mogły jeszcze okazać się bezcenne, więc wolałem najpierw sprawdzić, czy nie udałoby się wcielić w życie pewnego pomysłu, jaki chodził mi po głowie od dłuższego czasu.

– Bardzo potrzebuję pieniędzy – przyznałem się mojemu normańskiemu przyjacielowi bez zbędnych wstępów.

– Ba, a któż ich nie potrzebuje? – odparł filozoficznie Teodulf. – Ile?

– Trzysta bizantów.

– Trzysta bizantów?! – chwycił się za głowę. – Chyba żartujesz! Ja nie mam nawet trzydziestu. Mówiłem ci, przyjacielu, że medycyna nie przynosi dużych zysków. Obawiam się, że nie będę mógł ci pomóc.

– Ty nie, ale masz tu dużo przyjaciół, a ja nie znam prawie nikogo. Może mógłbyś je od kogoś pożyczyć?

– Pewnie mógłbym. Tyle, że nikt nie pożyczy mi ani grosza bez procentu. Dziesięć od sta przy krótkim terminie i dwadzieścia przy dłuższym, takim do dwóch miesięcy.

– Myślę, że mógłbym je oddać w ciągu dwóch tygodni.

– Czyli dziesięć od sta. Ale po co ci aż taka fortuna? – zdumiał się widząc moją determinację.

– Na zastaw, żeby móc wziąć udział w walkach harcowników.

– Co?! W takim razie nic z tego. Przykro mi – rozłożył ręce w geście przeprosin.

– Dlaczego?

– Dlaczego?! To chyba jasne. Ci, którzy biorą udział w tych walkach, są dobrzy, cholernie dobrzy, rozumiesz? Jeśli przegrasz, tobie będzie już wszystko jedno, ale mnie rozsiekają wierzyciele albo będę się musiał powiesić. Za duże ryzyko, przyjacielu, nic na to nie poradzę.

– Jeszcze nie jest ze mną tak źle – powtórzyłem słowa Uty. – A poza tym wcale nie chcę, żebyś ryzykował dla mnie za darmo. Jeśli wygram, dostaniesz dwadzieścia od sta nagrody.

Pokręcił przecząco głową.

– Naprawdę nie chcę cię urazić, ale powiedz, kiedy po raz ostatni widziałeś się w lustrze?

– Dość dawno temu – przyznałem.

– No to pora obejrzeć się znowu. Za duże ryzyko, powtarzam.

– Trzydzieści od sta.

Ale on dalej kręcił głową.

– Pięćdziesiąt – przedstawiłem mu moją ostateczną ofertę.

– No nie! – zaśmiał się. – Aż tak nisko cię nie cenię. Trudno, skoro nie można ci tego wybić z głowy, niech będzie czterdzieści. To w zupełności wystarczy. Najpóźniej pojutrze będziesz miał pieniądze.

– Dzięki, Teodulfie. Zwrócę ci je w ciągu dwóch tygodni z dodatkiem stu dwudziestu solidów prowizji dla ciebie i trzydziestu dla wierzycieli. Aha, i postaraj mi się jeszcze o dobry normański miecz.

– To akurat najmniejszy problem – przypieczętował naszą umowę przybiciem dłoni.

W dwa dni później przywiózł mi obiecane bizanty i normański miecz. Jednak zanim mi je wręczył, najpierw wygłosił kazanie:

– Tylko, błagam, nie bądź głupi i nie daj się zabić! Nie wyzywaj nikogo jako pierwszy i jeśli to będzie możliwe, znajdź sobie takiego rywala, który stoczył już jedną walkę. Radzę ci także, zamiast jednego drogiego przeciwnika, wybrać sobie dwóch albo trzech tańszych, najlepiej kaleki. To pewniejsza droga do celu, choć trochę dłuższa.

Rozbawił mnie swoimi radami, zwłaszcza tą ostatnią, ale miał sporo racji. W moim życiu widziałem wiele walk harcowników – i za górami, i pod Antiochią, i gdzie indziej – w paru sam brałem udział i wiedziałem dobrze, że wyzywanie w ciemno nieznanymi przeciwnikami bywa bardzo ryzykowne. Zdarzało się bowiem, że rzuconą niefrasobliwie rękawicę podejmował ktoś znacznie lepszy od nieroztropnego śmiałka i wtedy jedynym wyjściem jakie mu pozostawało, o ile nie chciał marnie zginąć, było wycofanie się w hańbie z pojedynku. Dużo lepszą taktyką było przyglądanie się potencjalnym rywalom, rozpoznawanie ich mocnych i słabych stron, i podejmowanie tylko takiej walki, którą przynajmniej w teorii dawało się wygrać. Teodulf wykazał się także znajomością rzeczy, kiedy zalecał mi walkę z kimś, kto miał już za sobą jeden pojedynek, ponieważ pozwalało to wykorzystać zmęczenie, nieuwagę bądź

nadmierną pewnością siebie przeciwnika, rozochoczonego niedawnym zwycięstwem.

Normański medyk mylił się jednak, uważając, że przy wyborze oponenta należało kierować się stawką rozgrywki. Ludzie walczyli najczęściej za takie pieniądze, jakie sami mogli wyłożyć i dlatego wybierając taniego przeciwnika, równie dobrze można było trafić na autentycznego słabeusza, jak i na prawdziwego mistrza, któremu akurat zabrakło gotówki. Z drugiej strony, nie brakowało także bogatych półgłówków, często złotodziobów, którym rodowa pycha nie pozwalała stawać w szranki z nikim, kto nie zapłaciłby za ten przywilej góry złota, choć ci padali szybko ofiarą starych wyjadaczy, tylko czyhających na podobne okazje. Biorąc to wszystko pod uwagę, wolałem walczyć od razu o dużą stawkę, ale nie przyznałem się do tego Teodulfowi, bo mógł się jeszcze wystraszyć i zażądać ode mnie zwrotu pożyczki.

Przez parę następnych dni czuwałem po nocach (ludzie Emicha już się nie pojawili), potem spałem do południa, zaś pod wieczór wkładałem kolczugę, brałem miecz i szablę, i udawałem się za obóz, żeby trochę poćwiczyć. Wreszcie, gdy poczułem, że nabrałem już odpowiedniej formy, w tajemnicy przed Utą wybrałem się z Teodulfem na nadrzeczne błonia, gdzie co środę odbywały się walki harcowników, gotów postawić wszystko na jedną kartę.

W czasie harców obie strony przestrzegały ścisłego rozejmu. Z murów nie strzelano do znajdujących się w zasięgu strzału chrześcijan, ci zaś nie czynili żadnej krzywdy muzułmanom, którzy wychodzili wtedy swobodnie z miasta, by przyjrzeć się walkom z bliska. Jednak z uwagi na szczupłość terenu, ograniczonego z jednej strony murami, a z drugiej Orontesem, większość Turków i Saracenów oglądała harce z wysokości fortyfikacji, podobnie jak większości chrześcijan musiał wystarczyć widok zza rzeki. I muzułmanie, i chrześcijanie, zagrzewali swoich harcowników ze wszystkich sił, krzycząc, klaszcząc, gwizdząc, wiwatując, bijąc w bębny, waląc mieczami i szablami w tarcze, dmąc w rogi i rozmaite piszczałki, wymachując włóczniami, chorągwiami i chusteczkami, przede wszystkim jednak lżąc i przeklinając największe świętości przeciwnika.

Wrzawa wzmagała się zwłaszcza na początku i na końcu każdej walki. Na początku, kiedy któryś z rycerzy jednej bądź drugiej strony wyzywał na pojedynek jakiegoś śmiałka z wrogiego obozu i określał warunki spotkania, co było zaraz ogłaszane przez heroldów po grecku, turecku, arabsku, w *romance* i po łacinie, a rzucona w ten sposób rękawica została przez kogoś podjęta. Na końcu natomiast, kiedy zwycięzca odbierał nagrodę, a ciało jego martwego rywala znoszono z placu boju.

Ponieważ przyszliśmy dość wcześnie, zajęliśmy dobre miejsca na lewym brzegu Orontesu, w części błoni przeznaczonej dla chrześcijan, po czym, kiedy cała okolica i mury Antiochii zapełniły się szczelnie widzami i turniej się wreszcie rozpoczął, obserwowaliśmy z uwagą kolejne walki. Przed każdą z nich obaj przeciwnicy podchodzili do ławy arbitrów, gdzie zasiadało dwóch chrześcijan i dwóch muzułmanów, przekazywali im swoje pieniądze, które kolegiально przeliczano, a potem sędziowie poddawali oględzinom broń, jaką zamierzali walczyć. Jeśli wszystko było w porządku, rozpoczynały się harce, niemal bez wyjątku na śmierć i życie.

Ku ogólnemu zadowoleniu, raz wygrywali chrześcijanie, raz muzułmanie, podczas gdy ja wciąż wypatrywałem odpowiedniego przeciwnika. Wreszcie, po sześciu pojedynkach, trafił się młody Saracen, który pokonawszy w pięknym stylu jakiegoś Lotaryńczyka, oznajmił, że chciałby walczyć dalej na śmierć i życie, za trzysta bizantów. Młody Arab, szybki, silny i zwinny, bił się bez tarczy wspianą damasceńską szablą, o wiele lepszą od tej, jaką zdobyłem na asasynach.

O szablach takich jak jego, które poznałem jeszcze w Hiszpanii, gdzie niemal identyczne wyrabiano w mieście Toledo, krążyło wiele legend. Opowiadano na przykład, że ich wąska klinga, zrobiona ze specjalnej stali, w której, pomimo jej idealnej gładkości, można było dostrzec rozmaite wzory – fale, róże, gwiazdy, żyłkowania marmuru, motyle skrzydła, ślady mrówczych nówek – była tak ostra, że potrafiła przeciąć w powietrzu jedwabną nić; tak giętka, że można się nią było okręcić w pasie, i tak krzepka, że przebijała bez trudu najgrubszą kolczugę. Szable te wykuwano ponoć z grudek żelaza, które, wymieszane pół na pół z ziarnem, zadawano najpierw kurczakom, a kiedy te je zwróciły, wykuwano je i schładzano przebijając na wylot tęgiego niewolnika, aby przejąć całą jego siłę, po czym trzymano je przez trzy dni i trzy noce w moczu rudego młodzieńca lub kozła żywionego wyłącznie paprocią, by nadać im iście gadziej zwinności i kąśliwości. Szable te, choć lekkie i wytworne, w sprawnych rękach były po prostu zabójcze.

Ponieważ nikt z chrześcijan nie podjął wyzwania młodego Saracena, szepnąłem do Teodulfa: „Biorę go”, i nie zważając na jego protesty, ruszyłem z pieniędzmi i normańskim mieczem w stronę sędziowskiej ławy. Zdecydowałem się na miecz, bo chociaż sztywniejszy i cięższy od szabli, był od niej nieco dłuższy, co pomagało utrzymać przeciwnika na stosowny dystans.

Chrześcijanie przyjęli moje zgłoszenie słabymi oklaskami, natomiast zgromadzeni na murach Antiochii Saraceni – głośnymi śmiechami i gwizdami. Sędziowie sprawdzili i przeliczyli moje pieniądze, po czym, upewniwszy się, że oprócz miecza nie posiadam żadnej innej broni, dopuścili mnie do walki.

Wymieniliśmy z moim przeciwnikiem zwyczajowe ukłony i przystąpiliśmy do pojedynku. Młody Saracen natarł na mnie z furią i zasypał mnie gradem silnych ciosów mierzonych precyzyjnie w tułów, szyję, głowę i ramiona. Był tak żwawy i zwinny, że chwilami miałem wrażenie, że walczę z kilkoma ludźmi naraz, atakującymi mnie jednocześnie z wielu stron. Mogłem się tylko bronić i pilnować, by nie popełnić jakiegoś grubszego błędu. Czas płynął, a ja nie podejmowałem żadnego ataku, nie wykazywałem żadnej inicjatywy, zaś mój przeciwnik, choć dwoił się i troił, oplatając mnie gęsto błyskami swojej wspaniałej szabli, nie potrafił zrobić mi większej krzywdy niż ogar jeżowi. Wkrótce do gwizdzących muzulmanów dołączyli również chrześcijanie, ale nie zamierzałem się tym w ogóle przejmować. Wiedziałem, że mój adwersarz, choć dużo ode mnie młodszy, silniejszy i zręczniejszy, musi się w końcu zmęczyć. I rzeczywiście, upłynęło jeszcze trochę czasu i jego uderzenia stały się nieco słabsze i rzadsze.

Wówczas zacząłem mu się ostrożnie odgryzać. Najpierw pojedynczymi ciosami, potem podwójnymi, wreszcie krótkimi seriami po trzy albo cztery. Nie wkładałem w nie większej siły, więc odparowywał je z łatwością, lecz nie miał już tak wyraźnej przewagi, jak przedtem. W miarę jak mój przeciwnik słabł, przejmowałem z wolna inicjatywę, mnożyłem liczbę pchnięć i uderzeń – wciąż wyglądających raczej niegroźnie – starając się zadawać je coraz wyżej i wyżej, tak aby zmusić go do machinalnego podnoszenia gardy. Zastaniał się tak, jak chciałem, i o to mi właśnie chodziło. Bo kiedy po kolejnym ciosie, zadanym przeze mnie od góry, zastawił się szablą dokładnie na wysokości swojego czoła, przypuściłem miazdzący atak, wkładając weń wszystkie siły i na ile to było możliwe, skupiając w prawej ręce cały ciężar mojego ciała. Mój pożyczony normański miecz spadł na jego szablę jak grom z jasnego nieba, złamał ją z trzaskiem na pół, następnie rozciął misiurkę i z głośnym chrupnięciem zagłębił się po brzeszczot w jego czaszce. Zanim fala krwi zalała mu gasnące na zawsze oczy, miałem wrażenie, że przez moment dostrzegłem w nich wyraz wielkiego zdumienia.

Pośród ogłuszającego tumultu, jaki podniósł się na murach i nad rzeką, podszedłem do sędziów i odebrałem mój zastaw oraz trzysta bizantów nagrody. Kiedy wróciłem do Teodulfa, ludzie ściskali mi dłonie, brali mnie w ramiona, klepali po plecach, zaś mój normański przyjaciel wprost szalał z radości.

– Wygraliśmy! Wygraliśmy! – darł się na całe gardło. – Śmierć niewiernym! – a potem rzucił mi się na szyję i zawołał: - Chodźmy zaraz to uczcić! Chodźmy! Ja stawiam!

– Chwileczkę, najpierw muszę odpocząć – przysiadłem na trawie, bo z wysiłku dygotały mi ręce i nogi.

Kiedy dochodziłem z wolna do siebie, na błoniach toczyły się kolejne pojedynki. W pierwszym jakiś Norman, którego Teodulf zagrzewał głośno do boju, pokonał po długiej i żmudnej walce małego Turka; w drugiej potężny jak wieża Murzyn, walczący pieszo, szerokim bułatem i także bez tarczy, rozprawił się błyskawicznie z tęgim Bawarczykiem. Czarnoskóry wojownik, podniecony tym nadspodziewanie łatwym zwycięstwem, ogłosił zaraz, że czeka na następnego śmiałka gotowego zmierzyć się z nim o stawkę trzystu bizantów, ale nikt z chrześcijan nie kwapił się do podjęcia jego wyzwania.

– A co byś powiedział – zapytałem mojego normańskiego współnika – gdybyśmy tak wzięli do kompletu jeszcze tego czarnego? Wyłóż sto pięćdziesiąt solidów, to dostaniesz ode mnie trzydzieści prowizji. Dwadzieścia od sta.

– Oszalałeś?! – wystraszył się. – Przecież dopiero co skończyłeś walkę!

– On także.

– Tak, ale spójrz tylko na jego kark i ramiona. To urodzony morderca!

– Zobaczymy. No więc jak? Robisz interes czy nie?

Przez chwilę po twarzy Teodulfa można było poznać, że rozgrywa się w nim okrutna wewnętrzna walka, straszliwsza chyba od wszystkich, jakie stoczono do tej pory na błoniach. W końcu mój normański przyjaciel kiwnął głową i jęknął żałośnie:

– Trudno! Najwyżej, co łatwo przyszło, łatwo pójdzie. Tylko nie cackaj się z nim za długo, bo cię zamęczy!

Nie czekając, aż się rozmyśli, wziąłem sakiewkę i miecz, i zgłosiłem się ponownie do walki. Tym razem mojemu wyjściu towarzyszyła prawdziwa owacja chrześcijan.

Teodulf miał rację, że mój drugi pojedynek musiał być jak najkrótszy, jeśli nie chciałem ulec sile i młodości nowego przeciwnika. Dlatego od samego początku starałem się narzucić inicjatywę. Zaatakowałem mojego Murzyna gwałtownie, żeby już po kilku uderzeniach, sparowanych przez niego z dziecinną łatwością, przejść do serii ciosów podporządkowanych ściśle geometrii, która – zdaniem Mamerkusa – reagującego prawidłowo przeciwnika prowadziła przeważnie na skróty do śmierci.

Rozpocząłem od cięcia znad prawego ramienia, mierzonego w jego głowę, potem zaatakowałem jego korpus, przesuwając kolejne ciosy po skosie w dół, w stronę jego prawego boku, co zmusiło mojego przeciwnika do skrócenia linii obrony i doprowadziło w pewnym momencie do zwania naszego oręża. Kiedy mój miecz i jego bułat szczyły się, zacząłem dociskać jego broń ku ziemi, pomagając sobie w nadgarstku drugą ręką. Cała siła, z jaką się przed tym bronił, zadziałała przeciwko niemu, kiedy nagle przestałem napierać i wyprowadziłem szerokie cięcie po skosie w górę. Dzięki impetowi, który nadaliśmy mu wspólni

e, mój miecz śmignął jak wystrzelony z katapulty, trafił go ostrzem w szyję i w mgnieniu oka obciął mu głowę, która potoczyła się koziołkując po trawie.

Była to najkrótsza walka wieczoru. Nad Orontesem rozpętało się istne pandemonium braw, gwizdów, okrzyków radości, jęków i przekleństw. Zupełnie na to nie zważając poszedłem po kolejne trzysta bizantów nagrody, a potem długo odbierałem gratulacje. Wśród tych, którzy mi je składali, znalazł się także pan Hermann z Agrygentu, oglądający harce w towarzystwie kilku swoich podwładnych.

– Bravo! – poklepał mnie z uciechą po plecach. – Pięknie ich ukatrupiłeś, zwłaszcza tego drugiego. Nie ma to jak dobry normański miecz! Może jednak się do nas przyłączysz?

– Dziękuję, ale, póki co, daję sobie radę – podziękowałem mu raz jeszcze za jego propozycję.

– Głupiś – uśmiechnął się szeroko i odjechał z całą świtą.

Zaraz potem wybraliśmy się z Teodulfem uczcić moje podwójne zwycięstwo. Wtedy oddałem mu normański miecz i pożyczone od niego pieniądze, jak też wypłaciłem mu trzydzieści solidów procentu dla wierzycieli oraz jego własną prowizję wynoszącą równo sto pięćdziesiąt bizantów. Był tym absolutnie oszołomiony. Raz po raz przyciskał pieniądze do serca i nie przestawał kręcić z niedowierzaniem głową.

– To niesamowite! Pierwszy raz w życiu jestem bogaty!... I żeby było śmieszniej, zarobiłem więcej na śmierci dwóch ludzi niż na wyleczeniu setek innych przez całe życie. Gdybyś był znowu w biedzie, możesz zawsze na mnie liczyć! – zapewniał mnie przy każdym toaście.

Świętowaliśmy hucznie do późnego wieczoru. A kiedy wracałem do domu z moimi czterystoma dwudziestoma złotymi bizantami za pasem, przez całą drogę zaczepiali mnie zupełnie obcy ludzie, którzy gratulowali mi sukcesu, bili brawo, dopytywali się, skąd jestem, ściskali moją prawicę, oferowali mi kubek wina, zapraszali mnie do swojego ogniska na spożywaną właśnie kolację, bądź też najzwyczajniej w świecie chcieli tylko zamienić ze mną parę słów. Ponieważ nie wszystkim zdołałem odmówić, kiedy dotarłem pod namiot Uty, było już całkiem ciemno.

Zdziwiło mnie więc bardzo, że przed jej namiotem czekał Fulko w towarzystwie czwórki tych samych młodzieniaszków, których miałem sposobność poznać przy okazji awantury z ludźmi Emicha. Jeszcze dziwniejsze było to, że cała smarkata piątka, wyglądająca jakby odświętnie, a może po prostu mniej niechlujnie niż zwykle, jak na komendę skłoniła przede mną głowy.

– Co jest? – zapytałem zsiadając z konia.

– Panie – odezwał się niepewnie Fulko. – Byliśmy dziś na błoniach i widzieliśmy twoje walki. Chcieliśmy ci pogratulować podwójnego zwycięstwa.

– To miło z waszej strony. Dziękuję.

– Chcieliśmy także... To znaczy ja chciałem... – młody człowiek poprawił się, szturchnięty w bok przez jednego z towarzyszy – przeprosić cię za tego kpa... i w ogóle.

– W porządku. Już się nie gniewam.

– Dzięki, ale to nie wszystko – przestąpił z nogi na nogę. – Bo chciałem cię jeszcze poprosić, żebyś mi użyczył twojego imienia.

– Mojego imienia? A po co? – zdumiałem się.

– Na walki harcowników. Wiesz, jak się nazywają moi przyjaciele?

Pokręciłem przecząco głową, ponieważ nigdy nie raczył mi ich przedstawić.

– Rajmund de Saint-Gilles hrabia Tuluzy, Gotfryd de Bouillon księżę Dolnej Lotaryngii, Robert hrabia Flandrii, a ten mały – wskazał na najmłodszego, który większość bójk z ludźmi Emicha przeleżał jak martwy na ziemi – to Baldwin z Boulogne hrabia Edessy, młodszy brat księcia Gotfryda. Więc ja też chciałbym się jakoś nazywać.

– Rozumiem – uśmiechnąłem się pod wąsem. – Tylko czemu nie przybierzesz sobie imienia kogoś znaczniejszego? Hrabia Boemund albo Tankred pasowaliby jak ulał do tak świetnego towarzystwa.

– Dlatego, że w obozie jest już chyba z piętnastu Boemundów i co najmniej siedmiu Tankredów. No to jak, panie? Zgadzasz się? – zapytał z nadzieją, po czym, szturchnięty ponownie w bok przez hrabiego Tuluzy, wymamrotał przełykając ślinę:- Byłby to... dla mnie... wielki... zaszczyt.

– Dla mnie też. Ale powiedz mi najpierw, jak wyglądają te wasze walki? – zapytałem, jako że dotąd nie widziałem ani jednej. – Walczycie na ostre czy na tępe?

– Na tępe, do pierwszej kropli krwi – wyjaśnił mały Baldwin z Boulogne hrabia Edessy.

– I przeważnie tylko o honor – dorzucił jego starszy brat, Gotfryd de Bouillon księżę Dolnej Lotaryngii.

– Gdzie?

– Niedaleko Bramy Świętego Pawła, w co drugi poniedziałek. Może przyjdiesz za dwanaście dni, żeby nas zobaczyć? – poprosił Rajmund de Saint-Gilles hrabia Tuluzy.

– Czemu nie? Z przyjemnością.

– To jak będzie z tym imieniem? – przypomniał o sobie Fulko.

– Zgadzam się. Zgadzam się tym chętniej, że dla mnie to zaszczyt podwójny. Po pierwsze, użyczę imienia komuś, kto według mnie zapowiada się na tęgiego

rycerza, a po drugie, od dzisiaj moje imię będzie wymawiane jednym tchem obok imion największych wodzów na świecie.

– Otóż to! – podsumował uszczęśliwiony Robert hrabia Flandrii, zaś Fulko, wykrzyknawszy „Hurra!”, potrząsnął z całych sił swoją dłonią i dodał szeptem: „Uważaj na Utę. Jest wściekła”. Również pozostali chłopcy uścisnęli moją prawicę, po czym cała piątka wycofała się w bojowym szyku, żeby już po paru krokach puścić się szaleńczym biegiem w stronę rzeki, nad którą mieszkało wielu takich samych jak oni, chodzących samopas, żyjących nie wiadomo z czego i nie uznających niczyjej władzy wyrostków.

Dobry humor, w jaki wprawiły mnie wydarzenia tego dnia i rozmowa z piątką czupurnych młodzików, rozwiązała jednak Uta.

– Dlaczego to zrobiłeś?! – napadła na mnie, gdy tylko wszedłem do namiotu.

– Bo potrzebowałem pieniędzy.

– Mogłeś je pożyczyć ode mnie! Piotr Bartłomiej zostawił mi trochę gotówki.

– To by niczego nie rozwiązało. A poza tym, ja też lubię niezależność.

– Ale mogłeś zginąć!

– W moim rzemiośle to rzecz normalna. Jednak ciągle żyję i co ważniejsze, mam za co żyć dalej. Uspokój się. Przecież Piotr Bartłomiej, którego pieniądze chciałeś mi pożyczyć, też ryzykuje życiem, żeby je zdobyć, choć z nikim nie walczy.

Kiedy zabrakło jej argumentów, zaczęła mnie grzmocić pięściami.

– Na drugi raz, chociaż się ze mną pożegnaj! Zrozumiałeś?!

– Dopóki nie będziemy głodni, nie będzie żadnego drugiego razu. Ale masz rację. Przepraszam cię – chwyciłem ją za nadgarstki i przyciągnąłem do siebie.

Mimo to, przebaczenia nie uzyskałem tak łatwo. Upłynęło jeszcze dużo czasu i dużo łez, jak też trzeba było jeszcze wielu słów i wielu pocałunków, abyśmy – już w moim namiocie i dopiero nad ranem – nareszcie się ze sobą pogodzili.

A że szczęśliwe wydarzenia, podobnie jak i nieszczęścia, lubią chodzić parami, tego samego dnia wieczorem wrócił Piotr Bartłomiej.

Był okropnie zmęczony i wymizerowany, twierdził też – choć tego akurat nie zauważyłem – że przybyło mu siwych włosów, niemniej dziękował gorąco Bogu za to, że w ogóle żyje i że Pan doprowadził go szczęśliwie z powrotem do domu. Jak się bowiem okazało, jego wyprawa na Cypr o mało nie skończyła się tragicznie z powodu burzy, jaka zaskoczyła statek w drodze powrotnej do Syrii, uszkadzając ster i rwąc żagle na strzępy. Na szczęście załodze udało się doprowadzić okręt z powrotem na wyspę, gdzie naprawiono z grubsza co większe szkody, tyle że podczas przeciągającego się remontu uległa zepsuciu część zakupionej żywności. Oficjalnie Piotr Bartłomiej twierdził, że *per saldo* nie poniósł żadnej straty, jednak rzeczywistość musiała być inna. Świadczyła o tym

nie tylko mieszanina podziwu i zazdrości, z jaką potraktował mój sukces, odniesiony – czego nie omieszkał podkreślić z nutką goryczy – bez ryzykownego wychylania nosa poza obóz, jak też znakomitą inwestycję Teodulfa („Zachowałeś się, panie, jak głupiec. U mnie dostałbyś kredyt na dziesięć od sta!”), ale przede wszystkim to, że w tajemnicy przed Utą poprosił mnie zaraz o pożyczkę w wysokości dwustu solidów na „uregulowanie nie cierpiących zwłoki zobowiązań”.

Tak czy owak, najważniejsze było to, że wrócił zdrowy i cały. Cieszyliśmy się z tego ogromnie, a nasz dobry nastrój jeszcze się pogłębił, kiedy w parę dni później rozeszła się wiadomość, że już niebawem przybędzie do obozu poselstwo Egipcjan, pragnących zaoferować nam swoją przyjaźń i sojusz przeciw Turkom.

Że nie była to zwykła plotka ani czcza fantazja, z jakimi mieliśmy nieraz do czynienia, tylko rzecz jak najbardziej wiarygodna, zaczerpnięta z listu niejakiego Al-Mustalego, małoletniego kalifa Egiptu, potwierdzili wkrótce specjaliści heroldowie, którzy z rozkazu najwyższego dowództwa zwołali mieszkańców wszystkich bud i namiotów i nakazali im jak najsurowiej godne przyjęcie egipskich dyplomatów.

Kto żywy, miał się umyć, ostrzyć i ogolić, wszyscy musieli się uczesać, kto mógł sobie na to pozwolić, miał się przebrać w nowe szaty, a kto był na to za biedny – wyprać i wyłatać stare. Wszelka broń i pancerze miały lśnić i błyszczeć, ściany i linki namiotów należało porządnie naciągnąć, wszystkie konie mieliśmy wyczesać zgrzebłem, natomiast psy, których muzułmanie z jakichś powodów szczególnie nie lubili, trzeba było wziąć na łańcuch i trzymać z daleka od trasy przejazdu. Obecność na ceremonii powitania nie była obowiązkowa, ale jeśli ktoś się na nią wybierał, musiał pamiętać, że nie wolno mu było wznosić pod adresem niewiernych żadnych wrogich okrzyków, tak samo zresztą, jak okazywać im zbyt sympatii. Z przyczyn zasadniczych, z powitania posłów wykluczono wszystkich starców, żebraków, chorych, rannych i kaleki, którzy pod karą chłosty mieli się wynieść z obozu na czas pobytu dostojnych gości. O pewną wstrzeźliwość w tym względzie poproszono także osoby duchowne, gdyż ich zbyt liczna reprezentacja podczas aktu powitania mogła niepotrzebnie urazić egipskich dyplomatów i wpłynąć niekorzystnie na wynik rokowań.

Wodzowie krucjaty prosili także, by w trakcie wizyty fatymidzkich posłów okazywać powszechnie dobry humor, obnosić wszem i wobec pogodne oblicze, zwracać się do siebie uprzejmie i życzliwie, pomagać sobie nawzajem, no i rzecz jasna nie wszczynać żadnych burd oraz unikać jak ognia pijaństwa i rozpusty. Jednocześnie zalecali nam czynić wszystko to, co mogło ukazać bisurmanom w pełnej krasie tężyznę naszych ciał i ducha. Do szczególnie pożądanых w tym okresie zajęć i rozrywek zaliczono przede wszystkim ćwiczenia wojskowe,

musztrę, turnieje piesze i konne, wyścigi, gonitwy do pierścienia, walkę na pięści, zapasy, rzucanie toporem, zawody strzeleckie, pokazy fechtunku, wszelkie gry zręcznościowe, a nawet ucztę pod gołym niebem oraz skoczne tańce i wesołe śpiewy. Słowem, chodziło o to, by egipscy dyplomaci odnieśli jak najlepsze wrażenie, lecz nie doszli przypadkiem do wniosku, że są nam w ogóle do czegoś potrzebni.

Ludzie, jak to ludzie, przyjęli te instrukcje różnie. Niektórzy byli zdania, że niezależnie od trudnego położenia, w jakim się znajdowaliśmy, nie powinniśmy wchodzić w żadne układy z niewiernymi i proponowali pogonić Egipcjanom kota, jak tylko się zjawią. Inni, choć dopuszczali możliwość aliansu z Saracenami, nie uważali bynajmniej, by wizyta egipskich posłów była warta obciążenia choćby jednego paznokcia. Trafiali się również i tacy, których, niezależnie od tej kwestii, nie zapędziłby do kąpieli nawet Syn Człowieczy, gdyby zechciał powrócić w chwale na ziemię.

Jednak większość pielgrzymów zastosowała się karnie do wydanych poleceń. Rzeki Orontes i Onopnikles zapełniły się takimi tłumami, że na niektórych odcinkach wystąpiły z brzegów, niczym Jordan za życia Świętego Jana Chrzciciela. Wszyscy dokoła prali, cerowali, łatali swoje budy, naciągali linki namiotów, czyścili broń i polerowali zbroje. Wszędzie iskano się, strzyżono i golono na potęgę. Wyczesano wszystkie konie, wyłapano i uwiązano wszystkie wałęsające się w obozie psy, a wreszcie odstawiano pod strażą za Orontes wszystkich starców, żebraków, chorych, rannych i kalekich. Tu i ówdzie ćwiczono musztrę, fechtunek albo rzut toporem, gdzie indziej można było podziwiać skoczne tańce i wesołe śpiewy. Niektórzy przewyższyli nawet z nawiązką oczekiwania dowództwa, jak na przykład pewien rycerz ze Śląska, chadzający zawsze z ogromnym mieczem zawieszonym u szyi, który, wytrzasnąwszy nie wiadomo skąd najprawdziwszy pług, zaprzągnął do niego parę wołów i zorał wielką połąć kamienistego ugoru pod górą Silpion, dając w ten sposób do zrozumienia całemu światu, a już zwłaszcza mieszkańcom Antiochii, Kurbudze oraz wszystkim dyplomatom, jakich Egipt mógłby do nas przysłać, że postawił na tej ziemi swoją stopę, i jako dobry Ślązak nigdy się nie cofnie.

Chcąc nie chcąc, ja również sprawiłem sobie nowe ubranie i poprosiłem Utę, żeby mnie ostrzygła. Były to moje pierwsze porządne postrzyżyny od niepamiętnych czasów, toteż trwały bardzo długo, zwłaszcza że Uta bardzo się starała, abym wyglądał po nich „jak człowiek”. Kiedy dobrnęliśmy wreszcie do końca, roześmiała się z zadowoleniem:

– Teraz widzę, że słusznie się w tobie zakochałam. Moje serce zawsze było tego pewne, ale wzrok miał dużo wątpliwości.

Korzystając z chwilowej nieobecności Piotra Bartłomieja, który nie wiedział, co nas łączyło (choć może zaczynał się domyślać), pocałowałem ją z wdzięcznością i zapewniłem, że jeśli chodzi o mnie, moje serce i oczy były zawsze zgodne.

W takich chwilach jak ta czułem się szczęśliwy i gdybym tylko mógł, przedłużałbym ją w nieskończoność, żeby zapomnieć o Antiochii, Egipcjanach i Kurbugu, o którym znowu zrobiło się głośno, i w ogóle o świętej wojnie, lecz niestety nie pozwalała na to rzeczywistość, gdzie właśnie Antiochia, Egipcjanie, Kurbuga i święta wojna liczyli się najbardziej.

Tuż po moich postrzyżynach przypomniał mi o tym pan Herluin, który zaszedł do mnie z bukłakiem wina i wielkim jak bochen chleba owczym serem, żeby pogratulować mi zwycięstw na błoniach. Był już zdrow jak ryba, niemniej sprawiał wrażenie, jakby go coś gryzło od środka.

– Co ci jest? – zapytałem, kiedy rozsiedliśmy się wygodnie przed moim namiotem. – Wyglądasz, jakbyś się napił octu.

– Nie sądzisz, że to się źle skończy? – zapytał w odpowiedzi. – Albo my wyrzniemy mieszkańców Antiochii, albo oni wyrzną nas przy pomocy tego jakiegoś Kurbugi, co się tu ponoć wybiera.

– Szybciej to drugie – stwierdziłem z pełnymi ustami, bo ser był naprawdę święty. – Antiochia jest nie do zdobycia.

– Więc trzeba by coś zrobić, jakoś z tego wybrnąć – oświadczył z determinacją.

– Zapewne – zgodziłem się z jego punktem widzenia. – Tylko co i jak? Masz jakiś pomysł? Bo ja nie.

– A ja owszem – rzekł. – Uważam, że zamiast przelewać bez sensu krew i wypruwać flaki z Antiocheńczyków czy bić się z Kurbugą, powinniśmy spróbować nawrócić ich wszystkich na chrześcijaństwo. Oczywiście, tylko słowem i przykładem, co rozumnym ludziom na ogół wystarcza. Znam dobrze arabski, więc mógłbym się tego podjąć. Co o tym sądzisz, przyjacielu?

– Co o tym sądzę? Zastanawiam się, *monsieur* Herluin, czyś się na pewno wyleczył do końca? Już raz próbowałeś nawracać muzułmanów i nic z tego nie wyszło. Z nawracania Antiocheńczyków i Kurbugi wyjdzie jeszcze mniej, bo oni, w przeciwieństwie do Yusufa i Raduana, rozerwą cię na strzępy, zanim dokończysz pierwsze zdanie. Jeśli o to ci chodzi, proszę bardzo, rób, jak uważasz, ale pamiętaj, że samobójstwo jest zakazane.

– To co mamy robić?! – wybuchnął. – Czekać, aż przyjdzie Kurbuga?!

– Nie wiem. Gdyby to zależało ode mnie, machnąłbym ręką na Antiochię i ruszał natychmiast na Jerozolimę, ale rozumiem też obawy dowództwa, że w takim przypadku załoga Antiochii próbowałaby pewnie wbić nam nóż w plecy.

Co do Kurbugi, to przyjdzie albo nie przyjdzie, i zwycięży albo nie. Jak dotąd, to wy byliście górą, czyż nie tak? Ale wracać do Europy bez dojścia do Jerozolimy też bym nie chciał, mam swoje powody. Jednak na to wszystko nie mam żadnego wpływu, tak samo jak i ty, *mon – sieur* Herluin. Są tu książęta, hrabiowie, baronowie, biskupi, a pod drugiej stronie sułtan, emirowie, wezyrowie, i jakby tego wszystkiego było jeszcze mało, jakiś Al-Mustali, kalif Egiptu. I to głównie od nich, mających na swoje rozkazy setki tysięcy ludzi, zależy, co się tu dzieje i co tu się jeszcze stanie. Twój czy mój głos liczy się tu niestety tak samo, jak pisk myszy podczas burzy. Więc skoro realny wpływ mamy tylko na siebie, to też przede wszystkim za siebie jesteśmy odpowiedzialni. W każdym razie, ja w innych kwestiach zdaję się na Opatrzność i tobie radzę uczynić to samo.

Widząc, że moje słowa bardzo go przygnębiły i zamilkł na dobre, uściśnąłem mu prawicę i zaproponowałem, żeby wybrał się wraz ze mną pod Bramę Świętego Pawła, gdzie, jak w każdy co drugi poniedziałek, miały się odbyć walki młodych harcówników, które zamierzałem obejrzeć, zgodnie z obietnicą daną Fulkowi i jego przyjaciołom.

Kiedy tam dotarliśmy, harce, którym przyglądało się sporo widzów, już się rozpoczęły. Choć walczone drewnianymi mieczami owiniętymi na czubku grubą wełną, i tylko do pierwszej krwi, a za zwycięstwo nie przyznawano żadnych nagród, zarówno młodzi chrześcijanie, jak i muzułmanie, bili się niezwykle żąrcie, popisując się przed publicznością swoją odwagą i umiejętnościami, które w niejednym z nich kazały upatrywać przyszłego mistrza miecza lub szabli. Niekiedy harcównicy walczyli do upadłego, bez względu na rozciętą brew czy wargę, i sędziowie musieli się sporo natrudzić, żeby ich w końcu rozdzielić. Po przegranym pojedynku niektórzy płakali, inni z kolei rwali się do nowej walki, co bardzo podobało się widzom, nagradzającym taką postawę gromkimi brawami.

Jeśli chodzi o przyjaciół Fulka, to wszyscy spisali się nadzwyczajnie i wygrali swoje pojedynki. Pecha miał tylko sam Fulko, walczący jako ostatni. Porwawszy się ambitnie na dużo roślejszego od siebie Turka imieniem Kurbuga (jak zauważyłem, wśród muzułmańskiej smarkaterii imię to było równie popularne, jak Boemund czy Tankred wśród chrześcijańskiej), od razu na początku walki oberwał drewnianym mieczem prosto w nos, uszkodzony nie tak dawno przez ludzi Emicha, i natychmiastowy krwotok przesądził o reszcie. Nie pomogło miotanie się i pogróżki. Zgodnie z regulaminem, sędziowie ogłosili jego porażkę i wyprowadzili go siłą ze szranków. Na pocieszenie złożyłem mu z panem Herluinem takie same gratulacje jak innym i wypłaciłem także jemu dwa solidy nagrody, jaką obdarzyłem już wcześniej każdego z jego przyjaciół. Widząc, że poprawiło mu to nieco humor, pożegnałem się z całą piątką i odprowadziłem pana Herluina do jego obozu.

Zaś następnego dnia zjechali do nas tak długo wyczekiwani Egipcjanie. Na wieść o tym, że się zbliżają, ludzie rzucili się hurmem na wytyczoną od dawna trasę przejazdu. Wybrałem się tam i ja, razem z Utą i

Piotrem Bartłomiejem, i tylko dzięki temu, że rozpychaliśmy się mocno łokciami, udało się nam znaleźć miejsce, z którego było cokolwiek widać.

Właściwą delegację poprzedzało kilkunastu muzyków na bogato przystrojonych wielbłądach, którzy zaraz po minięciu obozowych straży zadęli co sił w płucach w różne trąby i piszczałki, i uderzyli gromko w bębny i czynele. Za nimi, pod rozwiniętymi zielonymi chorągwiami, jechało, w szeregach po pięciu, stu świetnie uzbrojonych i równego wzrostu żołnierzy, zmyślnie dobranych także pod względem kolorystycznym, jako że co drugą piątkę sformowano z czarnych jak smoła Murzynów. Stu takich samych wojowników – pięćdziesięciu białych i pięćdziesięciu czarnych – tworzyło tylną straż pochodu, chroniącą tabor i służbę.

Każdy z żołnierzy dosiadał konia wartego prawdziwy majątek, a muślinowe zawoje na ich głowach, srebrne guzy u ich jedwabnych kaftanów, lśniące tym samym cennym metalem kulbaki, kłamy pasów, pochwy szabel, strzemiona i ostrogi, jak też pozłacane groty ich lanc i lamparcie skóry zarzucone zawadiacko na ramiona oficerów, wywierały na widzach piorunujące wrażenie, i jeśli krzyżowcy zachowywali jeszcze jakie takie milczenie, to wyłącznie z szacunku dla surowych instrukcji swojego dowództwa.

Nie znaczy to bynajmniej, że przejazd orszaku odbywał się w ciszy, ponieważ przez cały czas z murów Antiochii, gdzie zgromadziły się wielkie tłumy muzułmanów, którzy jakimś sposobem także dowiedzieli się o przyjeździe Egipcjan, dochodziły ogłuszające gwizdy i ryk tysięcy gardeł okazujących posłom swoją wściekłość, nienawiść, wrogość i pogardę.

Lecz Egipcjanie nic sobie z tego nie robili. Zwłaszcza że podziw wzbudzany wśród chrześcijan przez żołnierzy kalifa okazał się niczym wobec poruszenia, jakie wywołali jego dyplomaci. Było ich tylko trzech, ale na swoich mlecznobiałych rumakach, najpiękniejszych ze wszystkich, jakie w życiu widziałem, w swoich turbanach ozdobionych brylantami i różowymi strusimi piórami, w swoich kwiecistych szatach z jedwabiu przetykanych srebrną i złotą nicią, obwieszeni od stóp do głów złotem i perłami, z bezcennymi złotymi szablami w równie bezcennych złotych pochwach, wysadzanych gęsto drogimi kamieniami, dawali się jedynie porównać z owymi Trzema Królami, którzy tysiąc lat wcześniej złożyli hołd Dzieciątku, przywożąc Mu z daleka mirrę, kadzidło i złoto.

Ich pojawienie się przełamało dotychczasową powściągliwość widzów. Najpierw rozległy się pojedyncze oklaski i okrzyki aprobaty, lecz już w chwilę

później nad obozem przetoczyła się prawdziwa burza braw, zachwyków i spazmów. Jednak najgłośniejszy wybuch entuzjazmu nastąpił wtedy, kiedy mlecznobiałe rumaki, których dosiadali, ni stąd, ni zowąd zgubiły jednocześnie wszystkie podkowy. Ci z widzów, którzy stali najbliżej drogi, spostrzegli wówczas ku swojemu osłupieniu, że były one wykonane ze szczerego złota, toteż nie zważając już na żadne nakazy czy zakazy zwierzchności, rzucili się między końskie kopyta, by walczyć o to złoto na śmierć i życie! W ich ślady poszli zaraz inni, co spowodowało takie zamieszanie, że tylnie szeregi orszaku posłów musiały się zatrzymać, choć sami dyplomaci pojechali dalej, nie racząc się nawet odwrócić.

Po krótkim oficjalnym powitaniu z udziałem wszystkich ważniejszych przywódców wyprawy i nader skromną reprezentacją duchowieństwa, a przed pierwszą, zamkniętą dla publiczności audiencją, jaka miała się odbyć w kwaterze Rajmunda hrabiego Tuluzy, egipscy dyplomaci zostali odprowadzeni z wszelkimi honorami do specjalnego namiotu, gdzie mogli się przebrać i odświeżyć po trudach dalekiej podróży.

I to właśnie tam doszło do niewiarygodnego i wielce zawstydzającego wydarzenia, które położyło się cieniem na reputacji nas wszystkich. Otóż, kiedy posłowie zażywali z lubością kąpieli w wodzie różanej, z owego namiotu, strzeżonego pilnie zarówno przez naszych, jak i przez egipskich żołnierzy, ktoś ukradł jednemu z dyplomatów jego bezcenną złotą szablę w równie bezcennej złotej pochwie, nabijanej gęsto drogimi kamieniami!

Na nic zdały się rozpaczliwe apele legata papieskiego do chrześcijańskiego sumienia winowajcy, jak też groźna zapowiedź naszych wodzów, że jeśli złodziej nie odda natychmiast łupu, to po nieuchronnym schwytaniu zostanie publicznie połamany kołem. Nie pomogło także zrewidowanie wielu stojących najbliżej pielgrzymów i przeszukanie ogromnej liczby pobliskich namiotów. Bezcenna złota szabla przepadła razem z jej równie bezcenną pochwą i naszym dowódcem nie pozostało nic innego, jak rozpocząć spotkanie z fatymidzkimi posłami od upokarzających przeprosin i złożenia im wyrazów swego najgłębszego ubolewania (wielu krzyżowców stwierdziło od razu, że sprytnym Egipcjanom właśnie o to chodziło i że to oni sami bezczelnie ukryli gdzieś szablę, aby doprowadzić do takiej, uwłaczającej nam sytuacji).

Potwierdzały to poniekąd słowa pana Herluina, służącego podczas audiencji za tłumacza, który powiedział mi później, że poza początkowym, wyrażanym bardzo głośno oburzeniem, najmniej zaistniałą sytuacją przejęli się właśnie egipscy dyplomaci, albowiem na rozmowy z naszymi wodzami przynieśli nie tylko dary, jakie przesyłał im Al-Mustali, małoletni kalif Egiptu, oraz prześwietny Al-Afdal, jego wierny wezyr, ale także obie złote szable, jakie im

jeszcze pozostały. Wręczyli je naszym dowódcom z aroganckimi minami, prosząc zarazem uprzejmie, by ci kazali je pociąć na drobne kawałki i wyjąć z nich szlachetne kamienie, a potem rozdać to wszystko ubogim chrześcijanom, skoro – jak można się było naocznie przekonać – wyznawców Chrystusa pociągają aż tak bardzo mizerne błyskotki, na które w ich ojczystym Egipcie nikt nie zwraca najmniejszej uwagi.

Zamknawszy w ten sposób tę wstydlivą kwestię, posłowie przeszli następnie do meritum i powołując się na opinię swojego pana Al-Mustalego, małoletniego kalifa Egiptu, oraz prześwietnego Al-Afdala, jego wiernego wezyra, wygłosili długą i zjadliwą mowę przeciwko Turkom, których powszechnie znana pycha, bezbożność, zaborczość i barbarzyństwo, będące od lat solą w oku prawdziwych muzułmanów, zostały wreszcie, z łaski i woli Allaha, przykładnie ukarane rękami niewiernych.

Następnie posłowie oświadczyli, że w pobożnym pragnieniu wypełnienia woli Najwyższego, ich pan Al-Mustali, małoletni kalif Egiptu, oraz prześwietny Al-Afdal, jego wierny wezyr, pozostając pod wielkim wrażeniem niedawnych zwycięstw krzyżowców nad Seldżukami, żywią w swoich walecznych sercach – i niniejszym przekazują za pośrednictwem swych niegodnych wysłanników – nieodparte i szczere pragnienie zawarcia z nami układu o przyjaźni i wzajemnej pomocy.

Pakt tego rodzaju, zawsze wysoko ceniony przez wszystkich ludzi dobrej woli i wszystkie kraje miłujące pokój, mógł się bowiem okazać korzystny dla obu Stron, zwłaszcza w przypadku spodziewanego i wielce pożądanego przekształcenia terytorialno-politycznego ziem należących dotychczas do państwa tureckiego. W związku z powyższym, Al-Mustali, małoletni kalif Egiptu, oraz prześwietny Al-Afdal, jego wierny wezyr, proponowali krzyżowcom – w tym miejscu posłowie przeszli do konkretów – żeby obie Strony Umówiły się, zobowiązując się do powstrzymania się od wszelkiej przemocy, od wszelkich aktów agresji i od wszelkich napaści we wzajemnych stosunkach, zarówno oddzielnie, jak i łącznie z innymi państwami. Gdyby jedna z Umawiających się Stron stała się obiektem działań wojennych ze strony kogoś trzeciego, druga Umawiająca się Strona powinna przyjść jej natychmiast z pomocą, a przynajmniej nie okazywać agresorowi żadnego poparcia ani nie podejmować bezpośrednio lub pośrednio działań skierowanych przeciwko drugiej Umawiającej się Stronie.

W sprawie najważniejszej, to znaczy spodziewanego i wielce pożądanego przekształcenia terytorialno-politycznego ziem należących dotychczas do państwa tureckiego, Al-Mustali, małoletni kalif Egiptu, oraz prześwietny Al-Afdal, jego wierny wezyr, mieli zaszczyt zasugerować podjęcie wspólnych

i ściśle skoordynowanych działań, mających na celu należyte zabezpieczenie żywotnych interesów obu Umawiających się Stron, w głębokim przeświadczeniu, że odmienność religii wyznawanych przez obie Umawiające się Strony nie powinna stanowić w owym zbożnym dziele istotnej przeszkody.

Dla skuteczniejszego przeprowadzenia wspomnianych działań, z chwilą podpisania traktatu, Al-Mustali, małoletni kalif Egiptu, oraz prześwietny Al-Afdal, jego wierny wezyr, gotowi byli wesprzeć krzyżowców pięćdziesięcioma tysiącami zaprawionych w boju egipskich wojowników. Zaś w przypadku szczęśliwego dokonania się z łaski i woli Allaha spodziewanych i wielce pożądanых przekształceń terytorialno-politycznych ziem należących dotychczas do państwa tureckiego, sfery interesów obu Umawiających się Stron powinny zostać rozgraniczone przez linię oddzielającą Syrię od Palestyny, przy czym Syria powinna przypaść w udziale chrześcijanom, natomiast Palestyna wraz z Jerozolimą – Królestwu Fatymidów.

„A nie można by się Umówić inaczej? Dla nas Jerozolima z Palestyną, a dla was reszta Hiszpanii, włącznie z Syrią?” – miał się wówczas odezwać zaniepokojony Rajmund de Saint-Gilles hrabia Tuluzy, najlepiej spośród całego dowództwa znający muzułmanów, ponieważ, tak samo jak ja, wojował kiedyś za górami, gdzie stracił nawet jedno oko, lecz niezbyt biegły w geografii i z przyzwyczajenia nazywający Hiszpanią wszystkie ziemie zamieszkałe przez Arabów. „Niestety, nie mamy pełnomocnictw, by o tym dyskutować” – odpowiedzieli na to egipcjacy posłowie i powrócili do przerwanej wątku, aby wyjaśnić, że kwestia, czy i czy w interesie obu Umawiających się Stron uznane będzie za pożądane utrzymanie niepodległego państwa tureckiego, powinna zostać definitywnie rozstrzygnięta dopiero w ciągu dalszego rozwoju wypadków. W każdym razie – wyrazili najgłębsze przekonanie swoich panów – obie Umawiające się Strony z pewnością będą w stanie rozwiązać tę kwestię na drodze przyjacielskiego porozumienia, podobnie jak wszelkie inne ewentualne spory lub konflikty w sprawach tego lub innego autoramentu.

Choć była to zwykła, zaciemniająca wszystko mowa dyplomatów, nawet najprostszy z pielgrzymów, którzy nie potrafili zrozumieć, co miałyby oznaczać tylekroć przywoływane „spodziewane i wielce pożądane przekształcenie terytorialno-polityczne ziem należących dotychczas do państwa tureckiego”, gdy dowiedzieli się o tych propozycjach, jedną rzecz zrozumieli na pewno: Egipcjanie chcieli Jerozolimy wyłącznie dla siebie! A kiedy to do nich dotarło, zapalali wielkim gniewem i świętym oburzeniem.

Rzecz jasna, to, co pojęli nawet najprostszy z krzyżowców, było tym bardziej zrozumiałe dla naszych naczelnych wodzów, ci jednak musieli przestrzegać zasad dyplomacji i nie mogli okazywać swego gniewu ani świętego oburzenia.

Zwłaszcza, że zdawali sobie doskonale sprawę z naszego położenia, pogarszającego się z dnia na dzień z powodu spodziewanej, choć wcale przez nas nie pożądanej, odsieczy Kurbugi dla Antiochii.

Dlatego powstrzymali się od wszelkich komentarzy i podziękowali w wylewny sposób Al-Mustalemu, małoletniemu kalifowi Egiptu, oraz prześwietnemu Al-Afdalowi, jego wiernemu wezyrowi, za tak zaszczytne i wspaniałomyślne propozycje, obiecując zarazem solennie, że zostaną one przestudiowane z najwyższą uwagą. Na koniec poprosili posłów, by raczyli pozostać w naszym obozie do czasu przygotowania odpowiedzi, którą będą mogli zawieźć do Kairu. Przydzielili im także honorową eskortę dwustu Normanów, sugerując jednocześnie, by wojsko egipskie rozbiło swoje namioty na zewnątrz obozu.

W oczekiwaniu na przygotowywaną odpowiedź egipscy dyplomaci albo uctowali, albo przyglądali się turniejom, gonitwom do pierścienia, zawodom strzeleckim lub pokazom fechtunku, a nawet zaoranemu polu kamieni pod górą Silpion, gdzie uparty Ślżak urządził specjalnie dla nich pokaz siewu rzepy, wszędzie jednak spotykali się z tak wielką niechęcią, że musieli odczuć nie lada ulgę, kiedy wreszcie list był gotowy i zaproszono ich na audiencję pożegnalną.

Jak mi powiedział pan Herluin, pośród wielu miłych słów, jakie na niej padły, Egipcjanie usłyszeli również, że propozycja zawarcia układu z ich krajem jest niezmiernie interesująca, lecz wymaga dalszych konsultacji, zwłaszcza w kwestii zwierzchnictwa nad Jerozolimą i rozgraniczenia sfer interesów obu Umawiających się Stron po spodziewanych i wielce pożądanych przekształceniach terytorialno-politycznych ziem należących dotychczas do państwa tureckiego. Szczegółowe sugestie naszego dowództwa w obu tych sprawach zostały zawarte w liście, który im uroczyście wręczono wraz z zapewnieniami o szczerej przyjaźni oraz z bogatymi darami dla Al-Mustalego, małoletniego kalifa Egiptu, i prześwietnego Al-Afdala, jego wiernego wezyra.

Uroczysty wyjazd egipskiej delegacji zgromadził więcej widzów na murach Antiochii niż na trasie przejazdu w chrześcijańskim obozie, choć jedni i drudzy zachowywali się niezbyt dyplomatycznie, lżąc i poniżając posłów na różne sposoby. Szczególnie groźby i obelgi Antiocheńczyków, klnących fatymidzkich posłów w żywy kamień w ich własnym języku i wypuszczających w ich stronę chmary strzał, musiały zrobić na Egipcjanach bardzo niemiłe wrażenie, gdyż zapominając o całym swoim dostojeniu i kuląc głowy w ramiona, poganiali żwawo swoje wspaniałe wierzchowce, by jak najszybciej oddalić się z miejsca, gdzie zostali tak grubiańsko przyjęci.

Nie minęło wiele czasu od odprawy posłów egipskich, gdy w wąwozie Onopniklesu złapano kolejnego tureckiego szpiega, którego, tak samo jak poprzedniego, wzięto na spytki w obecności naczelnego dowództwa. Choć

przesłuchanie było ściśle tajne, już następnego dnia komentowano je szeroko w całym obozie, podając sobie z ust do ust wciąż nowe i coraz ciekawsze szczegóły.

Podobno Turek mówił dużo i chętnie. Przede wszystkim wyznał na mękach, że armia Kurbugi dotarła właśnie pod Edesę i zaczęła oblegać broniącego się jak dotąd dzielnie hrabiego Baldwina z Boulogne. Wojsko atabega Mosulu liczyło ponoć osiemdziesiąt tysięcy ludzi, wśród których byli nie tylko Turcy i Saraceni, ale także Persowie, Chorezmijczycy, Kurdowie, Murzyni i Hindusi, a nawet poddani króla Babilonu i jacyś *Publicani* ora z *Angulani*, niezwykle jakoby krwiożerczy i znani głównie z tego, że oprócz tej niepokojącej cechy, nie dało się o nich powiedzieć nic konkretnego. Aby przedłużyć sobie życie, schwytany szpieg miał również wyjawić, w jaki sposób udało się Kurbudze ściągnąć pod swoje sztandary tak wiele różnych ludów. Podobno sprytny atabeg kazał swoim posłom objechać wszystkie zaprzyjaźnione dwory i pokazywać na nich zardzewiały miecz i stępioną włócznię, które odebrano wcześniej jakimś chrześcijańskim pielgrzymom. Jego wysłannicy przekonywali swoich rozmówców, że tak właśnie wygląda typowy oręż krzyżowców, którzy są poza tym skończonymi tchórzami, toteż bez większego trudu namówili ich do udziału we wspólnej wyprawie.

Komentując ten wybieg Kurbugi, nasi ludzie, oburzeni jego niegodziwością, pocieszali się jednak słowami matki atabega, jakie turecki wywiadowca zdołał jeszcze przytoczyć przed śmiercią: „Najdroższy synu! Zaklinam cię na Allaha, nie walcz z tymi ludźmi!”, miała powiedzieć synowi owa zacna staruszka. „Może nie mają oni najlepszej broni i z pewnością nie dorównują ci pod względem waleczności, lecz broń i odwaga to jeszcze nie wszystko. Pamiętaj, kochany synu, że to umiłowane dzieci Chrystusa, i że ich Bóg, w Trójcy jedyny, a także Jego Matka, zawsze Dziewica, czuwają nad nimi w dzień i w nocy. Zostaw ich zatem w spokoju, jeśli nie chcesz marnie zginąć, bo i tak nie jesteś w stanie przeszkodzić temu, by wypełniły się słowa Najwyższego skierowane do owego ludu przez usta Psalmisty: *Dam Ci narody w dziedzictwo i w posiadanie Twoje krańce ziemi. Żelazną różgą będziesz nimi rządzić i jak naczynie garncarza ich pokruszys z* ¹⁶⁵, a także: *Nieprzyjaciele będą mu się kłaniać, a jego przeciwnicy pył będą lizali.* ¹⁶⁶”

Ile było w tym prawdy, nie wiadomo. Tylko jedno nie ulegało żadnej wątpliwości, zwłaszcza że potwierdził to wkrótce nowy turecki szpieg, a zaraz po nim chrześcijański emisariusz, który przedarł się przez linie wroga z oblężonej Edessy: Kurbuga znajdował się zaledwie o kilka dni jazdy od Antiochii!

XXI

Bliskość Kurbugi wywołała powszechną panikę. Wielu pielgrzymów, nie dbając już o żadne pozory, opuszczało w popłochu obóz i starało się za wszelką cenę dostać na któryś z kupieckich statków odpływających z portu Świętego Szymona pod pełnymi żaglami. Ci, którzy tak jak my zostawali pod Antiochią, gromadzili się tłumnie wokół namiotu legata, gdzie nasi wodzowie odbywali codziennie długie narady. Choć były one jak zwykle tajne, również jak zwykle znaleźliśmy dokładnie ich przebieg dzięki zaprzyjaźnionym wartownikom oraz biegającej tam i z powrotem służbie.

Pierwsza kwestia, nad którą debatowano u biskupa Le Puy, dotyczyła zwrócenia się z prośbą o pomoc do cesarza Aleksego, albowiem zdaniem wielu baronów, tylko Bizantyjczycy mogli nas jeszcze uratować. Wystosowaniu takiej prośby sprzeciwiał się jednak hrabia Boemund, który argumentował, że interwencja imperatora doprowadzi nie tylko do przejęcia przez niego naczelnego dowództwa wyprawy, ale także do tego, że trzeba mu będzie oddać wszystkie zdobyte do tej pory ziemie i miasta, w tym również samą Antiochię, o ile, rzecz jasna, i ją uda się jeszcze zdobyć. Kiedy Adhemar de Monteil i Rajmund de Saint-Gilles przypomnieli hrabiemu Tarentu, że zgodnie z przysięgą złożoną także przez niego w Konstantynopolu, i tak musimy zwrócić Aleksemu wszystkie zdobycze należące kiedyś do Bizancjum, hrabia Boemund odpowiedział, że przysięga przysięgą, ale ani on osobiście, ani jego ludzie, nie czują się nią związani, ponieważ nie przybyli na Wschód, żeby walczyć za cesarza, a już tym bardziej nie po to, by rozszerzać jego włości. I odmówił stanowczo podpisania listu, który reszta wodzów wysłała do Konstantynopola jednym z ostatnich statków opuszczających port Świętego Szymona.

Drugim problemem, o którym dyskutowano zażarcie, był wybór najlepszego sposobu obrony przed Kurbugą. Jedni proponowali stoczyć walną bitwę koło Mostu Żelaznego, inni obwarować obóz i trwać w nim do czasu nadejścia bizantyjskiej odsieczy, jeszcze inni – przede wszystkim hrabia Rajmund, hrabia Boemund i jego siostrzeniec Tankred – przypuścić szturm generalny na Antiochię, zdobyć miasto, a potem schronić się za jego murami. To ostatnie rozwiązanie zyskało poparcie większości, chociaż niektórzy z wielkich panów obawiali się, że ewentualne niepowodzenie szturmów – więcej niż prawdopodobne – tylko pogorszy nasze położenie.

Pomysł szturmów upadł, kiedy zaczęto roztrząsać, kto miałby nim dowodzić i w konsekwencji, objąć rządy w zdobytym przez nas mieście. Hrabia de Saint-Gilles uważał, że tak z racji wieku, bogactwa i świetności rodu, jak i z powodu

liczebności dowodzonej przez niego armii, oba te zaszczyty należą się wyłącznie jemu, przynajmniej do czasu przybycia cesarza. Hrabia Boemund, mający na swoje rozkazy prawie tak samo liczne i bitne wojsko, pragnął ich jednak dla siebie, więc oznajmił wszem i wobec, że nigdy nie pójdzie pod obcą komendę, zwłaszcza gdyby miała to być komenda hrabiego Tuluzy. Pomimo mediacji pozostałych panów, stanowiska obu hrabiów pozostały nieugięte, co uniemożliwiło podjęcie jakichkolwiek działań.

Brak zdecydowania, spory i rywalizacja między naszymi dowódcami, powtarzające się dezercje i bliskość Kurbugi podkopywały morale żołnierzy i osłabiały jeszcze bardziej dyscyplinę w naszym obozie, z czego zdawano sobie świetnie sprawę w Antiochii. Aby nas jeszcze mocniej pogięć, Yaghi Sijan, turecki gubernator miasta, zarządził w owym czasie krwawe widowisko. Zwróciwszy naszą uwagę głośnym waleniem w bębny, kazał przyprowadzić na mury chrześcijańskiego rycerza, pana Rainalda Porcheta, wziętego do niewoli w jednej z niedawnych potyczek przy Moście Ufortyfikowanym. Następnie polecił mu zwrócić się do zgromadzonych pod murami pielgrzymów z prośbą o natychmiastowe zapłacenie za niego ogromnego okupu, ponieważ w przeciwnym razie zostanie skazany na śmierć. Tymczasem dzielny pan Rainald poprosił krzyżowców o coś zupełnie innego: żeby zamiast płacić za niego okup, nie ustawiali w wysiłkach mających na celu zdobycie Antiochii i Jerozolimy.

Yaghi Sijan, choć zawrzał gniewem, postanowił dać panu Rainaldowi jeszcze jedną szansę. Ogłosił przez heroldów, tak żeby wszyscy to słyszeli, że daruje mu życie, a nawet obsypie go złotem i wszelkimi innymi dobrami tego świata, jeśli natychmiast przejdzie na islam. Niezłomny pan Rainald jednak odmówił i został niezwłocznie ścięty. Wówczas Yaghi Sijan, rozjuszony tym, że nie udało mu się doprowadzić pana Rainalda do apostazji, kazał sprowadzić na mury wszystkich pojmanych krzyżowców, jacy jęczeli jeszcze w lochach Antiochii. Przywleczono ich z rękoma skrepowanymi z tyłu, obdarto z wszelkiego odzienia, potem związano linami w ciasny krąg i obłożono chrustem, drewnem oraz sianem, które następnie podpalono. Krzyki, jęki i wołania palonych żywcem nieszczęśników wzbijały się pod niebiosa, gdzie mieszały się z krzykami, jękami i wołaniami przerażonych i zranionych do żywego widzów, zapowiadających niemal jednym głosem straszną zemstę niewiernym i usiłujących osiągnąć strzałami oprawców bądź skrócić męki ich ofiar, niestety bez skutku.

Nazajutrz po tej ohydnej zbrodni Piotr Bartłomiej został zaatakowany nożem przez zaczajonego w pobliżu jego namiotu i nie wyróżniającego się niczym szczególnym osobnika, który rzucił się na niego z okrzykiem „*Allah akbar!*”. Na szczęście, mój przyjaciel został jedynie draśnięty w ramię, ponieważ podczas ataku napastnik potknął się o linkę namiotu – dobrze naciągniętą od czasu wizyty

egipskich dyplomatów – i stracił równowagę. Kiedy podnosił się z ziemi, by zaatakować ponownie, Piotr Bartłomiej – krzycząc na całe gardło: „Morderca! Morderca!” – kopnął go z całej siły w żebra, co dało mnie oraz dwóm Prowansalczykom z sąsiedztwa akurat tyle czasu, ile było trzeba, żeby wyskoczyć na zewnątrz. Natychmiast przyszpiliłem agresora szablą do ziemi, zaś Prowansalczyki, niewiele myśląc, zatłukli go pałkami jak żmiję. Zaraz po tym zdarzeniu przenieśliśmy nasze namioty w inne miejsce i postanowiliśmy mieć się bardziej na baczności, niemniej przerażony Piotr Bartłomiej, choć zaoferowałem mu własną kolczugę, nie mógł się uspokoić jeszcze przez parę dni.

Napięcie panujące w obozie podniosło się jeszcze bardziej po przybyciu dwóch dezertersów z armii Kurbugi, z pochodzenia Greków, którzy, jako chrześcijanie, postanowili nas ostrzec, że atabeg Mosulu właśnie odstąpił od oblężenia Edessy i ruszył już z całym wojskiem prosto na Antiochię, gdzie powinien się zjawić lada dzień.

Adhemar de Monteil, legat papieski, zarządził niezwłocznie kolejną naradę, na której – tym razem już bez żadnej dyskusji i ku wielkiej satysfakcji hrabiego Boemunda – uchwalono, że jeśli cesarz Aleksy nie stawi się w obozie w ciągu dwudziestu czterech godzin, Antiochia dostanie się *lege artis*¹⁶⁷ temu spośród dowódców wyprawy, który ją pierwszy zdobędzie. To Salomonowe rozstrzygnięcie nie powstrzymało jednak ogólnej paniki, ponieważ było oczywiste, że cesarz nie przybędzie w wyznaczonym terminie (nawet list z prośbą o pomoc nie mógł jeszcze do niego dotrzeć), zaś kwestia, kto będzie rządzić w Antiochii nie miała większego znaczenia, dopóki nikt nie miał pojęcia, jak to miasto zdobyć. Dlatego nie byliśmy nawet specjalnie zdziwieni, gdy nazajutrz po wspomnianej naradzie uciekł z obozu jeden z głównych przywódców wyprawy, pan Stefan hrabia Blois, zięć króla Anglii Wilhelma, zabierając przy okazji ze sobą duży hufiec frankijskich żołnierzy, co osłabiło nas jeszcze bardziej w obliczu nadciągającego wroga.

Wystarczyło spojrzeć na przybite, zaszpecone bądź jakby nieobecne twarze naszych sąsiadów, by przekonać się, jak bardzo byli przerażeni. Nastrój ciężkiego przygnębienia udzielił się także Ucie i Piotrowi Bartłomiejowi, a nawet Fulkowi i większości jego przyjaciół, z którymi w dniu ucieczki hrabiego Stefana jadłem mizerny obiad złożony z kilku żytnich podpłomyków i paru jajek na twardo (prawdziwy chleb kosztował już bowiem pięć denarów za bochenek, tak samo jak pół kopy jajek).

– Ależ z nas durnie! Trzeba było uciekać póki czas, choćby z hrabią Stefanem, zamiast czekać tutaj aż nas wszystkich wyrzną, a Uta skończy w haremie! – lamentował Piotr Bartłomiej.

– Szybciej sama się zabiję – stwierdziła na to Uta z taką determinacją, że aż ciarki przeszły mi po grzbiecie, ale nawet nie próbowałem tych słów komentować, podobnie jak przygaszony tego dnia Fulko, i tylko mały Baldwin z Boulogne, z pewnością zbyt jeszcze młody i niedoświadczony, by zdawać sobie sprawę z grozy naszego położenia, zaprotestował energicznie:

– Nie opowiadajcie takich rzeczy! Po co zaraz uciekać albo się zabijać? Jak Turcy tu przyjdą i tak dostaną wpierdol!

– Pewnie od ciebie? – sarknął Piotr Bartłomiej. – Na pewno już robią ze strachu w gacie!

Dalszą dyskusję przerwał dźwięk trąbki oznajmiający przybycie herolda, więc wyszliśmy wszyscy przed namiot, żeby zobaczyć, co się tam dzieje. Herold w barwach hrabiego Boemunda odczekał chwilę, aż zbierze się więcej ludzi, a potem, w imieniu swojego pana oraz legata papieskiego Adhemara de Monteil, a także Rajmunda de Saint-Gilles hrabiego Tuluzy, Roberta hrabiego Flandrii i Gotfryda de Bouillon księcia Dolnej Lotaryngii, którzy obradowali wraz z innymi przywódcami wyprawy w kwaterze hrabiego Tarentu, ogłosił rozkaz naczelnego dowództwa wzywający wszystkich wojowników pozostających pod komendą owych pięciu panów do niezwłocznego stawienia się z bronią w rękę pod swoje sztandary. Jak się okazało, jeszcze tego samego wieczoru mieli oni wyruszyć na rekonesans w stronę Mostu Żelaznego, aby oczyścić nasze zaplecze z ewentualnych szpiegów i podjazdów wroga, jak też zademonstrować naszą potęgę miejscowej ludności. Reszta pielgrzymów miała pozostać na miejscu, aby w razie czego, pod wodzą hrabiego Hugona de Vermandois i Roberta księcia Normandii, stawić czoła załodze Antiochii, gdyby przyszło jej do głowy skorzystać z naszego osłabienia i zaatakować obóz pod osłoną nocy.

Przyznam, że ten rozkaz mocno mnie zadziwił, ponieważ oczyszczenie zaplecza ze szpiegów i nieprzyjacielskich podjazdów, nie mówiąc już o demonstracji siły wobec miejscowej ludności, nie wymagały wcale огоłocenia obozu z naszych najlepszych oddziałów, bo to rzeczywiście mogło zachęcić obrońców Antiochii do przeprowadzenia nocnego wypadu. Jednak moje zdanie w tej kwestii nie miało żadnego znaczenia, tym bardziej, że większości zebranych ten pomysł wyraźnie się spodobał i tu i ówdzie rozległy się nawet oklaski. Być może zresztą oklaskiwano nie tyle sam pomysł, co budzącą pewną nadzieję jednomyślność naszych wodzów, którzy po raz pierwszy od dawna odłożyli na bok swoje spory i postanowili wreszcie zrobić coś wspólnie. Doceniwszy ten fakt, sam w końcu zacząłem bić brawo, zwłaszcza kiedy przyszło mi na myśl, iż oficjalnie deklarowany cel wyprawy może być tylko wybiegiem na użytek tureckich szpiegów, działających już być może w naszym obozie, podczas gdy naprawdę chodziło o powstrzymanie Kurbugi przy Moście Żelaznym.

– Mam nadzieję, że się tam nie wybierasz? – zapytał mnie z niepokojem Piotr Bartłomiej.

– Nie. Nie służę pod żadnym z owych pięciu panów, a poza tym i tutaj może być całkiem gorąco – uspokoiłem go, przynajmniej częściowo.

– To dobrze. Z tobą zawsze będzie różniej.

Wieczorem, podobnie jak wszyscy pątnicy pozostający w obozie oraz Turcy i Saraceni na murach Antiochii, podziwialiśmy wymarsz pięciu hufców, które z rozwiniętymi chorągwiami pięły się mozolnie w górę doliny w tumanach kurzu i rozbłyskach zachodzącego słońca. Kiedy ostatni piechurzy znikli za wzgórzem, hrabia Hugon de Vermandois, sprawujący teraz w obozie najwyższą komendę, rozkazał na wszelki wypadek wzmocnić strażę, choć nie rozproszyło to bynajmniej obaw wielu krzyżowców, zdecydowanych czuwać tej nocy przy ogniskach, z bronią na podorędziu.

Ja jednak poszedłem spać, lecz jak się okazało, nie była to noc do spania. Tuż przed świtem zerwała mnie na nogi straszliwa bitewna wrzawa, rozdzierające krzyki mordowanych ludzi i kręcąca w nosie woń spalenizny. Przekonany, że ziściły się moje najgorsze obawy i Turcy, wykorzystując nasze osłabienie, dokonali wypadu z miasta, wyskoczyłem z namiotu, po czym... oniemiałem z wrażenia, podobnie jak wielu innych pielgrzymów.

Było dokładnie na odwrót – krzyki i odgłosy walki dochodziły z wnętrza Antiochii! Część miasta płonęła i w łunie pożarów widać było wyraźnie sylwetki żołnierzy walczących na murach. Zgiełk wzrastał z każdą chwilą, a kiedy zrobiło się trochę jaśniej, na górze Silpion, w połowie drogi między miastem a cytadelą, dał się zauważyć purpurowy sztandar hrabiego Boemunda. Wkrótce potem na jednej z baszt w pobliżu Mostu Ufortyfikowanego pojawiła się chorągiew hrabiego Tuluzy, a tuż po niej, nad Bramą Świętego Jerzego, sztandar księcia Gotfryda.

Nikt z nas nie rozumiał, jak to się stało, że nasi żołnierze, którzy parę godzin wcześniej wyruszyli na północ, by znieść podjazdy wroga czy też zatrzymać Kurbugę przy Moście Żelaznym, walczyli teraz w środku Antiochii, obleganej bez skutku od siedmiu miesięcy, ale na widok chrześcijańskich sztandarów powiewających na jej basztach i murach z piersi otaczających mnie ludzi wyrwał się okrzyk „Hura!” i tysiące kolan ugięły się jak na komendę, aby podziękować za ten cud Panu Bogu.

I wtedy tym, którzy uklękli, ziemia zadrżała pod kolanami. To hrabia Hugon de Vermandois i Robert książę Normandii, dowodzący uzbrojonymi po zęby oddziałami, których do tej pory nie zauważyłem, ponieważ kryły się w głębokim cieniu zalegającym jeszcze nad Orontesem, ruszyli z miejsca swoją jazdą i poprowadzili ją, najpierw stępą, potem kłusem, w stronę bram Mostowej

i Świętego Jerzego, gdzie tłoczyło się już mnóstwo frankijskich i normańskich piechurów. Kiedy konnica hrabiego Hugona i księcia Roberta pokonała połowę drogi, obie bramy otworzyły się nagle od środka i wylał się przez nie tłum Turków i Saracenów – żołnierzy i cywilów, mężczyzn, kobiet i dzieci – próbujących panicznej ucieczki z miasta.

Zgromadzeni pod bramami Frankowie i Normanowie natychmiast wysiekli ich mieczami, a rozpędzeni jeźdźcy dokonali reszty, rozjeżdżając końmi tych nieszczęśników, którym jakimś cudem udało się odbiec dalej od murów. Zaraz potem konni i piechurzy runęli przez otwarte bramy do środka miasta, zaś wielu z otaczających mnie pielgrzymów, otrząsnąwszy się z pierwszego osłupienia, poczęło chwytać, co kto miał pod ręką – miecze, sierpy, piki, noże, widły, cepy, pałki bądź kosy – i pognało w ślady Franków i Normanów.

W chwilę później usłyszałem za sobą cichy płacz i głośne sapanie. Obejrzałem się i zobaczyłem bladą jak ściana Utę i wystraszonego Piotra Bartłomieja.

– Co się dzieje?! – zapytał drżącym głosem Piotr Bartłomiej.

– Antiochia została zdobyta. Nie wiem jak, ale została zdobyta. I dzieją się tam straszne rzeczy! Zabierz Utę z powrotem do namiotu, proszę.

Ale Uta, chłonąca rozszerzonymi z przerażenia oczami grozę tego, co rozgrywało się przed nami w zdobytym mieście, dała się odprowadzić do namiotu dopiero wtedy, gdy objąwszy ją ramieniem, zaciągnąłem ją tam niemal siłą. Posiedziałem z nimi, dopóki oboje się nie uspokoili, a potem znów wyszedłem na zewnątrz.

Rzeź w Antiochii trwała w najlepsze. Natomiast w obozie coraz więcej ludzi biegało to tu, to tam, od jednej bramy do drugiej, próbując bezskutecznie dostać się do miasta, ponieważ, odkąd szala zwycięstwa przechyliła się definitywnie na stronę chrześcijan, frankijscy, prowansalscy i normańscy żołnierze obstawili wszystkie wejścia i w trosce o łupy nie wpuszczali już do środka nikogo, kto sam nie był Frankiem, Normanem lub Prowansalczykiem, albo ich osobistym znajomym.

Po dwóch albo trzech godzinach przeraźliwe krzyki zaczęły stopniowo cichnąć, a niektóre pożary przygasać. Do obozu coraz liczniej wracali krzyżowcy, jedni cali i zdrowi, inni pokiereszowani, ale wszyscy tak samo zbryzgani krwią i zmęczeni, w równym stopniu pijani zwycięstwem i jednakowo objuczeni zdobyczą, którą tylko z trudem potrafili unieść.

Antiochia znów była chrześcijańska.

*

Dopiero od sąsiadów, którzy brali udział w zdobywaniu miasta, dowiedzieliśmy się, co się naprawdę wydarzyło. Antiochia padła dzięki zdradzie jednego z muzułmańskich dowódców, niejakiego Firuza. Ow Firuz,

z pochodzenia Ormianin, mający na pieńku z Yaghi Sijanem – z powodu sprzeniewierzenia jakichś pieniędzy, albo kary, jaką poniósł za ukrywanie zapasów zboża, czy też może dlatego, jak twierdzili inni, że gubernator uwiódł jego żonę – już jakiś czas temu wszedł w konszachty z hrabią Boemundem i zgodził się sprzedać mu miasto.

Boemund powiadomił innych wodzów o swoim układzie z Firuzem dopiero w dniu ataku, kiedy wszystko było już gotowe i związane na ostatni guzik. Podobno powiedział im, że albo pomogą mu zdobyć Antiochię i uznają go za jej jedyne władcę, albo – jeśli wolą zmarnować tak świetną okazję – zabierze swoich Normanów i wróci natychmiast do domu, życząc im na odchodnym powodzenia w walce z Kurbugą. Pomimo oburzenia z powodu takiego stawiania sprawy, reszta baronów, nie mając innego wyjścia, zdecydowała się z nim współdziałać, choć hrabia Rajmund odgrażał się głośno, że tak czy inaczej nie uzna Boemunda za pana Antiochii, dopóki nie wypowie się w tej sprawie cesarz Bizancjum. Hrabia Boemund, mający zbyt mało ludzi by myśleć o zdobyciu miasta bez Prowansalczyków, jakoś przełknął tę zniewagę i dalej wszystko potoczyło się gładko.

Tak jak przypuszczałem, wyprawa w stronę Mostu Żelaznego służyła jedynie zmyleniu przeciwnika. Po zniknięciu z pola widzenia Turków armia chrześcijańska zatoczyła wielki łuk, żeby tuż przed świtem stanąć z powrotem pod murami miasta. W jednej z wież położonej niedaleko Bramy Świętego Jerzego, zwanej Basztą Dwóch Sióstr, czekał już Firuz. W pierwszym rzucie wspięło się po drabinie tylko sześćdziesięciu Normanów. Z pomocą Firuza, znającego wszystkie hasła i odzewy, wykłuli oni muzułmańską załogę w dwóch sąsiednich wieżach, co pozwoliło wejść na mury większej liczbie chrześcijan. Wtedy krzyżowcy zaatakowali kolejne posterunki i otworzyli od wewnątrz miejskie bramy.

Do rzezi Turków i Arabów przyłączyli się ochoczo mieszkający w Antiochii Grecy, Ormianie i Syryjczycy, choć ponieśli przy tym ciężkie straty, jako że w bitewnym zamieszaniu i po ciemku nie sposób było odróżnić kto wróg, kto przyjaciel. Przez pomyłkę zabito nawet brata Firuza, o co ten miał później pretensje do hrabiego Boemunda. Po paru godzinach masakry nie pozostał w Antiochii przy życiu ani jeden wyznawca Allaha. Mimo to sukces krzyżowców nie był całkowity. Gubernator miasta Yaghi Sijan zdołał bowiem uciec z resztką swojej gwardii przybocznej (choć jeszcze tego samego dnia okoliczni wieśniacy przynieśli Boemundowi na sprzedaż jego odciętą głowę oraz pas i pochwę od bułata), a co gorsza, jego syn, niejaki

Szams al-Daula, przebił się z doborowym oddziałem Turków do górującej nad miastem cytadeli, gdzie natychmiast się zabarykadował i odpierał

z powodzeniem kolejne ataki Normanów.

Kiedy podczas jednego z tych ataków raniono hrabiego Boemunda, krzyżowcy dali za wygraną, stawiając na to, że głód okaże się skuteczniejszy od oręża i prędzej czy później zdobędą również cytadelę. Jednak cytadela była z pewnością dobrze zaopatrzona, zaś z wysokości jej murów widać było jak na dłoni wszystko, co działo się w mieście i można je było skutecznie ostrzeliwać, toteż pozostawienie jej w rękach Szams al-Dauli oznaczało, że z chwilą nadejścia Kurbugi, chrześcijanie mogą zostać wzięci w kleszcze i będą musieli walczyć na dwa fronty.

Uta, Piotr Bartłomiej i ja należeliśmy do tych nielicznych pielgrzymów, którzy po zdobyciu miasta nie przenieśli się od razu za jego mury. Było tam nadal strasznie. Żołnierze oczyszczali je pospiesznie z trupów, które wywożono furami bądź zrzucano z murów wprost do Orontesu. Kiedy spęczniałe i splątane zwłoki mieszkańców Antiochii utworzyły na rzece wielki zator, nie dający się rozproszyć za pomocą drągów i bosaków, zaczęto je także grzebać w miejskiej fosie i w specjalnie wykopanych w tym celu zbiorowych mogiłach. Choć żołnierze i pomagający im pielgrzymi uwijali się jak w ukropie, czerwcowy upał robił swoje i już następnego dnia po zdobyciu Antiochii nad okolicą unosił się straszliwy trupi fetor, zatykający od razu dech w piersi, kiedy wiatr choć na chwilę ustał.

Do miasta nie przeniósł się także pan Herluin, który zaszedł do nas na chwilę w dzień po jego zdobyciu. Podobnie jak Uta, był zupełnie załamany tym, co widział po drodze i miał do siebie ogromny żal, że nie spróbował jakoś zapobiec masakrze.

– Trzeba było tam pójść i rozmawiać, to może nie byłoby tu dzisiaj aż tyle trupów! – twierdził roztrzęsiony.

– Daj spokój. Byłby po prostu jeden trup więcej. Dlaczego Antiocheńczycy mieliby z nami rozmawiać, skoro za chwilę zjawi się tu Kurbuga? I o czym? O przejściu na chrześcijaństwo? Nie żartuj, przyjacielu!

– A jednak należało spróbować – upierał się przy swoim.

– To przypomnij sobie pana Rainalda i jego towarzyszy – poradziłem.

– Gdyby Apostołowie myśleli tak samo jak ty, do dziś nie nawróciliby na chrześcijaństwo ani Greków, ani Rzymian, a tym bardziej naszych barbarzyńskich przodków – zauważył twardo.

– Być może, ale nawet im poszłoby tu chyba gorzej, niż z Żydami. Człowieku, ja też jestem wstrząśnięty tym, co się stało, ale to jest wojna, nic na to nie poradzę. Gdyby Frankowie, Normanowie i Prowansalczyki nie zdobyli Antiochii przed przybyciem Kurbugi, za parę dni byłoby tu jeszcze więcej trupów, tyle że naszych.

Po tych słowach pan Herluin zerwał się na równe nogi jak oparzony i machnąwszy ręką na znak sprzeciwu, opuścił nas bez pożegnania.

Jednak pod wpływem wypadków, które toczyły się w szalonym tempie, wszystkie te bolesne sprawy musiały wnet ustąpić miejsca bardziej palącym troskom, bowiem następnego dnia, kiedy jeszcze trwało usuwanie i grzebanie zwłok, nasi zwiadowcy przywieźli wiadomość, że armia Kurbugi minęła już Most Żelazny i w ciągu kilku zaledwie godzin może stanąć pod Antiochią! Wszyscy, którzy nie schronili się jeszcze za murami, zaczęli się na gwałt pakować i przenosić w pośpiechu do miasta. Również my, zostawiając na łasce losu prycze i wiele innego dobra, poupychaliśmy najcenniejsze i najpotrzebniejsze rzeczy do sakw, zwinęliśmy czym prędzej namioty i jako jedni z ostatnich przekroczyliśmy Bramę Mostową.

Choć Antiochia była ogromnym miastem, znalezienie w niej wolnej kwatery okazało się niezwykle trudne i zajęło nam parę godzin. W końcu zatrzymaliśmy się w na pół wypalonym i częściowo zrujnowanym domu niedaleko katedry Świętego Piotra. Nasza nowa siedziba wyglądała tak samo jak całe miasto – była wielka (w sieni mogłem swobodnie umieścić konia) i miała własne, zawałone częściowo gruzem podwórko, lecz była ogołociona ze wszystkiego, co przedstawiało sobą jakąś wartość, zasłana po kolana szczątkami połamanych sprzętów, strzępami tkanin i skorupami naczyń, a w dodatku gęsto upstrzona odchodami ludzi, którzy od czasu zdobycia miasta używali jej jako wychodka.

Podczas gdy my doprowadzaliśmy gorączkowo nasz nowy dom do jakiego takiego ładu, z blanków zrzucano ostatnie trupy, przydzielano poszczególnym hufcom odcinki murów do obrony, porządkowano i poświęcano na nowo kościoły, zamienione przez Turków w stajnie i magazyny, spalono pozostawione na zewnątrz miasta, źle skonstruowane wieże oblężnicze i wznoszono naprędce dodatkowy mur obronny, mający odgrodzić nas od cytadeli, gdzie schronił się Szams al-Daula z ponad tysiącem tureckich żołnierzy. Naturalnie przywrócono także na stolec biskupi greckiego biskupa Jana, uwolnionego wreszcie z klatki.

Rankiem drugiego dnia naszego pobytu w Antiochii, pod jej murami zjawili się pierwsi żołnierze Kurbugi. Było ich tylko dwudziestu, w ewidentnej misji szpiegowskiej, gdyż objechali dokoła miasto, przyglądając się uważnie jego murom, bramom i kasztelom. Dosiadali wspaniałych arabskich koni, które skusiły na tyle znanego z męstwa normańskiego rycerza, pana Rogera de Barneville, że na czele piętnastu ludzi wypadł pospiesznie za bramę, by stoczyć z Turkami walkę. Na jego widok zwiadowcy podali tyły, pan Roger zaczął ich ścigać, a kiedy pogonił ich za najbliższe wzgórze, zobaczył ku swojemu przerażeniu, że jest tam jeszcze trzystu muzułmanów. Wtedy pan Roger i jego podwładni rzucili się do ucieczki, lecz niemal wszyscy zginęli od

nieprzyjacielskich strzał. Na naszych oczach Turcy odrąbali poległym głowy, zatknęli je na piki i odjechali tryumfalnie na północ.

Niektórzy z pielgrzymów obserwujących tę scenę z murów uznali śmierć pana Rogera i jego towarzyszy za złą wróżbę, ukazującą dobitnie, co stanie się także z nami, kiedy pod Antiochią zjawi się Kurbuga z całą swoją potęgą. Jednak dla większości znacznie groźniejszym przeciwnikiem od Kurbugi i całej jego potęgi był najzwyczajniejszy pod słońcem głód.

W trakcie walk i grabieży Antiochii zniszczono lub puszczono z dymem większość składów i magazynów, dlatego w zdobytym mieście znaleziono znacznie mniej prowiantu, niż się spodziewano. Już w dniu śmierci pana Rogera de Barneville panowała w nim taka drożyzna, że za mały bochenek chleba żądano jednego złotego solida, za jajko dwa, za niewielki w sumie język wielbłąda cztery, za kurę piętnaście, za chude koźlą sześćdziesiąt, zaś orzechy i fasolę sprzedawano wyłącznie po jednym denarze za sztukę! Tak więc, choć wielu pielgrzymów zdobyło w Antiochii sporo srebra i złota, przy podobnych cenach były one niewiele warte. Ci, którzy nie mieli worów pieniędzy, ratowali się, jak mogli. Jedli liście, korę, pokrzywy, osty i suchą trawę, gotowali własne buty i skórzane pasy, wyłapywali bezpańskie psy i koty, zastawiali pułapki na myszy i szczury, a wreszcie, co zawsze przychodzi najtrudniej, zarzynali kolejno własne wierzchowce, dzieląc się ich mięsem z sąsiadami, żeby się nie zepsuło od upału. Zdarzało się także, że po prostu kradli żywność innym. I tak, nazajutrz po śmierci pana Rogera gruchnęła wieść, że skradziono nawet świętą gęś ludzi Emicha!

– Nie chciałbym być w skórze tego, kto to zrobił! – skomentował to niesłychane zuchwalstwo Piotr Bartłomiej, kiedy sąsiedzi ostrzegli nas, że w poszukiwaniu swojej największej świętości rozwścieczeni członkowie tej wisielczej bandy przetrząsają dom po domu w naszej dzielnicy, maltretując bez litości stawiających opór mieszkańców i przy okazji sami kradnąc na potęgę.

– Ani ja – zgodziłem się z tą opinią i na wszelki wypadek włożyłem kolczugę oraz przypasałem do boku szablę.

Tylko Fulko, przemieszkujący u nas kątem od czasu zdobycia miasta, zdawał się tym wcale nie przejmować.

– Ktoś się nie bał i zjebał – stwierdził lekceważąco.

– Fulko! – jęknęła Uta, ale nie było czasu na kazania czy naukę dobrych manier. Chwyciwszy broń, pobiegłem czym prędzej zaryglować bramę i czuwać przy niej na dalszy rozwój wypadków.

Na szczęście, oczekiwałem Emichowych opryszków na próżno. Jak się w końcu dowiedziałem od sąsiadów, nie dotarli oni do naszego zaułka, ponieważ po drodze mieli pecha wtargnąć do domu zajętego przez kilkunastu żołnierzy

hrabiego Tankreda. Doszło tam do gwałtownej potyczki, do której przyłączały się kolejne grupy hultajstwa, jak też, z drugiej strony, kwaterujący w pobliżu wojacy Boemunda. W końcu Normanowie wzięli górę i zabili wszystkich napastników, po czym rozgrzani zwycięstwem i żądni zemsty z powodu własnych strat, urządzili polowanie na ludzi Emicha w całej Antiochii. Kiedy jeszcze wsparli ich w tym dziele Frankowie i Flandryjczycy, zgotowano zbójom prawdziwą rzeź. Do południa nie pozostał przy życiu ani jeden członek bandy. Oczywiście nikt ich nie żałował i wszyscy porządni ludzie odetchnęli z ulgą.

Ja również odczuwałem z tego powodu satysfakcję, jednak ta szybko zmieniła się we wściekłość, kiedy udawszy się za potrzebą na nasze podwórko, zauważyłem, że w pewnym miejscu, spod stosu osmalonego gruzu, wystaje wachlarz białych piór. Gdy rozgarnąłem kamienie, moim oczom ukazało się najpierw rozpostarte skrzydło, a potem cała tłusta gęś z kawałkiem sznurka na szyi, którym ją zapewne uduszono.

– Uto! Piotrze Bartłomeju! Fulko! – wrzasnąłem na całe gardło. – Chodźcie tu szybko!

– Co to jest?! – wycedziłem, kiedy się wreszcie pojawili.

Tymczasem Uta i Piotr Bartłomiej wyglądali na jeszcze bardziej zdumionych ode mnie, tylko Fulko odparł spokojnie:

– To jest gęś ludzi Emicha.

– Wiem, ale skąd się tu wzięła?!

Fulko wzruszył ramionami.

– Powiedziałem, że się na nich zemszczę i zemściłem się.

– Ty główniarzu! – wybuchnąłem łapiąc go za ramię. – A czy pomyślałeś choć przez chwilę, że mogą nas za to zabić?! Dużo brakowało?!

– Nie pomyślałem, przepraszam – spuścił ze wstydem głowę, lecz zaraz uniósł ją z powrotem i rzucił hardo: – Ale nikt mnie nie będzie bezkarnie znieważać ani podnosić na mnie ręki!

– Dajcie spokój – wtrącił Piotr Bartłomiej, któremu widok gęsi przywrócił uśmiech od ucha do ucha. – Zabito głównie ludzi Emicha, którym się to od dawna należało. A gęś jak marzenie, palce lizać! Zuch chłopak!

I nie czekając na to co mogę jeszcze powiedzieć, rzucił się na martwego ptaka i zaczął go z zapalem odzierać z pierza, w czym pomogli mu zaraz Uta i Fulko.

Cóż miałem zrobić? Pozłościłem się jeszcze trochę ze względów formalnych, po czym wzięłem się za rozpalanie ogniska, żeby jakoś przyrządzić tę bandycką świętość.

Trzeba przyznać, że święta gęś, tuczona przez swoich czcicieli najlepszymi kąskami, smakowała naprawdę wybornie! Mogliśmy jedynie żałować, że była tylko jedna i że nie mieliśmy do niej ani kropli wina, osiągającego w Antiochii

zawrotne ceny. Zjedliśmy nawet jej skórzaste łapy i wyssaliśmy wszystkie kosteczki, niestety przyjemne uczucie nasycenia, jakie odczuwaliśmy po tej uczcie, szybko minęło i już wkrótce głód zaczął nam skręcać kiszkę od nowa. W dwa dni później, z rozpaczą w sercu, zaprowadziłem do rzeźnika mojego konia, jednak i to bolesne poświęcenie rozwiązało problem jedynie na krótko. Było jasne, że znaleźliśmy się w pułapce, z której mógł nas uratować tylko cud. Oczywiście pod warunkiem, że go dożyjemy, co już samo w sobie graniczyło z cudem, odkąd pod miasto dotarła wreszcie cała armia Kurbugi.

Aby ją obejrzeć, wylegli na mury chyba wszyscy krzyżowcy. Czy liczyła ona osiemdziesiąt tysięcy, czy więcej wojowników, i czy byli wśród nich także Persowie, Chorezmijczycy, Kurdowie, Hindusi, poddani króla Babilonu, a nawet jacyś *Publicani* ora z *Angulani*, znani głównie ze swojej krwiożerczości, sam Pan Bóg raczył wiedzieć. Ale dość było spojrzeć na to mrowie nieprzyjaciół, by niejednemu struchlało serce. Żołnierze Kurbugi imponowali nie tylko swoją liczbą, przewyższającą kilkakrotnie naszą, lecz także sprawnością z jaką otoczyli miasto, rozbili namioty, wytyczyli między nimi szlaki komunikacyjne, okopali się, rozstawili strażę i zajęli najważniejsze punkty obserwacyjne, w tym również zbudowane, a teraz opuszczone przez chrześcijan kasztele, za wyjątkiem La Mahomerie, gdzie ze względu na strategiczne znaczenie tego punktu i łączność z portem Świętego Szymona, pozostało pięciuset Flandryjczyków pod wodzą hrabiego Roberta. „Do diabła!” – zakląłem w duchu, patrząc z góry na wojsko Kurbugi. – „Jeśli są równie dobrzy w boju, jak w obozie, rozniosą nas na strzępy i zjedzą żywcem bez soli!”.

Tymczasem Kurbuga zaczął oblężenie w sposób dyplomatyczny, przysyłając do nas posłów, którzy zażądali wyniośle, żebyśmy natychmiast poddali miasto i zdali się na łaskę lub niełaskę ich bitnego pana. Oczywiście tureckich posłów odprawiono z kwitkiem, zaś kiedy opuszczali Antiochię, na mury obronne wyległy ponownie setki pielgrzymów, którzy urządzili sobie zawody w oddawaniu moczu w stronę niewiernych. Kilku żartownisiów przypłaciło ten wybryk życiem, gdy rozwścieczeni muzułmanie zaczęli prażyć do nich z łuków, niemniej atabeg Mosulu mógł się dobitnie przekonać, co zamknięci w Antiochii chrześcijanie myślą o nim samym i o jego pokojowych propozycjach.

Nic zatem dziwnego, że wkrótce potem nas zaatakował. Najpierw kasztel La Mahomerie, broniony dzielnie przez hrabiego Roberta i jego Flandryjczyków, którzy jednak, po trzech dniach zaciętych walk z czterokrotnie liczniejszym przeciwnikiem, musieli w końcu podpalić tę placówkę i przebić się mieczami do Antiochii. Potem miasto, od strony bram Mostowej i Świętego Pawła oraz z cytadeli, gdzie zdążył już wymienić Szams al-Daulę na jednego ze swoich ulubionych dowódców, Ahmada Ibn Marwana. Bramy Mostowej bronili

z powodzeniem Prowansalczyki hrabiego Rajmunda, zaś Bramy Świętego Pawła Lotaryńczycy księcia Gotfryda, jednak najcięższe walki toczyły się nieopodal nowego muru wzniesionego przez hrabiego Tarentu, odgradzającego miasto od cytadeli, w pobliżu którego hrabia Boemund założył też swoją polową kwaterę. W najbardziej krytycznych dniach, dziesiątego i jedenastego czerwca, obok żołnierzy hrabiego Boemunda oraz dwóch Robertów – hrabiego Flandrii i księcia Normandii – bijących się jak ranne lwy, bez picia, jedzenia i spania, na tym odcinku walczył kto żyw spośród pielgrzymów, nierzadko po raz pierwszy i ostatni w życiu. By pomieszać szyki Kurbudze, hrabia Tankred dokonał również wypadu na obóz turecki położony pod górą Silpion, ale ten śmiały kontratak przyniósł nam więcej strat w ludziach niż spodziewanych korzyści taktycznych.

W tych bojach, toczących się z większą lub mniejszą zaciekłością jeszcze przez trzy dni, aż w końcu Kurbuga zrezygnował z działań zaczepnych i postanowił, tak samo jak wcześniej chrześcijanie, zamorzyć Antiochię głodem, uczestniczyłem także ja, a dziesiątego czerwca nawet Piotr Bartłomiej ze znalezionym wśród rupieci łukiem. Niewiele zresztą brakowało, by przypłacił swój chrzest bojowy śmiercią, kiedy dostał się przypadkiem między dwa spłoszone konie, które go o mało nie zgmiotły.

Kiedy wróciliśmy po bitwie do pustego domu – w te ciężkie dni Uta pomagała bowiem od świtu do nocy w lazarecie – obolały Piotr Bartłomiej nie mógł sobie znaleźć miejsca i chodził z kąta w kąt, masując nieustannie poturbowane żebra. W pewnej chwili chwycił mnie nagle za rękę i zwrócił się do mnie z błyskiem w oku, jakiego nie widziałem u niego od czasu znalezienia świętej gęsi.

– Chciałbym się ciebie poradzić w pewnej ważnej sprawie – wyznał niespodziewanie.

– W jakiej? – zapytałem.

– Wyobraź sobie, że od pół roku nie daje mi spokoju Święty Andrzej Apostoł. Dzisiejszej nocy śnił mi się ponownie i znów mówił to samo. Tak mnie molestuje, że już nie wiem, co robić!

– Święty Andrzej Apostoł?! Jeden z Dwunastu?! – przyznam, że zdębiałem. – Dlaczego akurat on?

– Mnie o to pytasz? Zapytaj jego, skąd ja mam to wiedzieć? – odparł.

– Dobrze. I czego chce?

– Zawsze tego samego. Żebym poszedł do hrabiego Rajmunda i do biskupa Adhemara, i powiedział im, że za głównym ołtarzem tutejszej katedry Świętego Piotra leży w ziemi jedna z najcudowniejszych i obdarzonych największą mocą relikwii: Święta Włócznia, którą Longinus przebił bok naszego Pana, kiedy ten wisiał na krzyżu. Mamy ją odkopać, oddać hrabiemu Rajmundowi i możemy

spokojnie czekać na Bizantyjczyków, bo kto ją posiada, jest niezwyciężony – wyjaśnił jednym tchem.

– Chwileczkę, zaraz. Jeśli Święty Andrzej nachodzi cię już pół roku, dlaczego nie powiedziałeś o tym wcześniej?

– Dlatego, że ja również miałem wątpliwości, wahałem się, a poza tym mówiłem sobie „Któż mi uwierzy?”. Któż uwierzy mnie, Piotrowi Bartłomiejowi, biednemu i nieznanemu pielgrzymowi? Ale dzisiaj w nocy Święty Andrzej napędził mi takiego strachu, że postanowiłem wreszcie coś z tym zrobić.

– Napędził ci strachu?

– Tak. Ostrzegł mnie, że jeśli natychmiast nie powiem o Świętej Włóczni hrabiemu Rajmundowi i biskupowi Le Puy, spotka mnie jakieś nieszczęście. Bo Święta Włócznia jest nam dziś potrzebna bardziej niż kiedykolwiek. No i niewiele brakowało, żeby mnie dzisiaj zmiażdżyły konie! To było z pewnością tylko ostrzeżenie, następnym razem może być dużo gorzej. I co ty na to?

– Hm... To, że Święta Włócznia jest nam dziś potrzebna bardziej niż kiedykolwiek, nie ulega kwestii. Co do reszty, nie śmiem wyrokować. W tych sprawach trzeba być bardzo ostrożnym. Bo czyż sam Pan Bóg nie przestrzegał wielokrotnie przed fałszywymi objawieniami i prorokami, którzy przepowiadają złudy własnego serca i wołają w Jego imieniu: *Miałem sen, miałem sen?*¹⁶⁸ Skąd wiesz, że to właśnie On zesłał ci to widzenie, a nie Szatan czy inne zwodnicze demony? Albo że nie wzięło się ono z głodu, upału bądź fatygi?

– Już ci mówiłem, że też miałem wątpliwości. Ale z drugiej strony, czyż Pan Bóg nie powiedział kiedyś do Mojżesza, Aarona i Miriam: *Jeśli jest u was prorok, objawię mu się przez widzenia, w snach będę mówił do niego?*¹⁶⁹ I bądź tu mądry, człowieku! – użalił się nad swoim losem.

– Ale dlaczego Pan Bóg miałby wybrać sobie na proroka akurat ciebie? – nie dawałem za wygraną. -Mało to ludzi w obozie?

– A dlaczego by nie? – w głosie Piotra Bartłomieja zabrzmiała uraza. – Hiob też nie był nikim ważnym.

– Możliwe, lecz był przynajmniej świętym. A ty?

– Świętym to może być każdy, a nawet powinien. Zresztą, Duch wieje, kędy chce, mógł sobie wybrać kogoś innego, mógł wybrać i mnie. O co ci chodzi?

– O nic. Tylko pewne rzeczy bardzo mnie dziwią. Choćby to, że Święty Andrzej kazał ci oddać Włócznię hrabiemu Rajmundowi, a nie, dajmy na to, księciu Gotfrydowi czy hrabiemu Boemundowi. W czymże to hrabia Rajmund jest lepszy od innych?

– A ja nie widzę w tym nic dziwnego. Jako hrabia Tuluzy i markiz Prowansji, hrabia Rajmund jest moim panem i suzerenem. Naprawdę dziwne, a nawet

niegrzeczne, byłoby dopiero to, gdyby Święty Andrzej kazał mi oddać Włócznie komuś innemu.

– Dobrze, ale dlaczego każe nam czekać na Bizantyjczyków? Przecież zanim oni tu przyjdą z odsieczą – o ile w ogóle przyjdą! – zdążymy pięć razy umrzeć z głodu. Nie, przyjacielu, jedno z dwojga, albo ty miałeś fałszywe widzenie, albo Święty Andrzej nie zna się na wojaczce. Moim zdaniem, trzeba zaryzykować walną bitwę, póki jeszcze jesteśmy w stanie utrzymać w ręku broń. Wóz albo przewóz, każde inne rozwiązanie to zwykła głupota – oznajmiłem mu bez ogródek.

– Hmm... – Piotr Bartłomiej lekko się zawahał. – Możliwe, że Święty Andrzej nie zna się na wojaczce, wszak był tylko rybakiem, nie żołnierzem. A może się przesłyszałem, bo mówił dość niewyraźnie i... trochę seplenił. Tak czy owak, powiedz mi, proszę, czy powinienem pójść z tym do dowództwa? – zapytał takim tonem, jakby od mojej odpowiedzi zależało jego życie.

– Czy powinieneś pójść z tym do dowództwa? Pewnie, że tak. W końcu wystarczy trochę pokopać i prawda wyjdzie na jaw. Bo Włócznia jest, albo jej nie ma. Chyba że ty sam ją zakopałeś? – zapytałem groźnie na wszelki wypadek.

– No wiesz?! – tym razem oburzył się do żywego. – To ja się ciebie radzę jak przyjaciel przyjaciele, a ty mnie podejrzewasz, że chcę nadużyć twego zaufania? Jak możesz w ogóle coś takiego przypuszczać? To zupełnie tak, jakbym ja podejrzewał ciebie, że nadużyłeś mojego zaufania, kiedy powierzyłem ci opiekę nad Utą!

– Nie ma się co obrażać, chciałem się tylko upewnić – zawstydziłem się od razu do szpiku kości, ale mimo to, postanowiłem wyjaśnić rzecz do końca. – Sprawa jest poważna. Dlatego przysięgnij na twoje zbawienie, że powiedziałeś prawdę.

– Przysięgam – potwierdził uroczyście swoje wcześniejsze słowa.

– W porządku.

– Jak tak, to może pójdziesz do nich ze mną? Zawsze będzie raźniej – poprosił.

– Dobrze – zgodziłem się bez wahania. – Chodźmy tam od razu.

Ogarnęliśmy się z grubsza i poszliśmy do dawnego pałacu Yaghi Sijana, zajętego podczas walk o miasto przez hrabiego Rajmunda, który sprzątnął go dosłownie sprzed nosa hrabiemu Boemundowi i gdzie, jak nam powiedziano, zgromadziło się tego dnia całe naczelne dowództwo.

W pałacu właśnie spożywano wieczerzę i choć Piotr Bartłomiej tłumaczył strażnikom, że przyszliśmy w sprawie najwyższej wagi, osobisty kapelan i sekretarz hrabiego Tuluzy, pan Rajmund d'Aguilers, który w końcu do nas wyszedł, nie wzruszył się tym ani trochę, każąc nam zaczekać, aż nasi wodzowie, utrudzeni całodzienną walką, zaspokoją swój pierwszy głód i nieco odsapną.

Kiedy po jakichś dwóch godzinach wpuszczono nas wreszcie do środka, służba wynosiła właśnie srebrną zastawę z resztkami niedojedzonych potraw, zaś sam prześwietny gospodarz oraz jego nie mniej znakomici goście – panowie Adhemar de Monteil biskup Le Puy i legat papieski, hrabia Hugon de Vermandois, syn i brat królów Francji; Robert książę Normandii, syn i brat królów Anglii; Gotfryd de Bouillon książę Dolnej Lotaryngii oraz jego starszy brat Eustachy, Robert hrabia Flandrii, hrabia Boemund z Tarentu i jego siostrzeniec Tankred, a także inni pomniejsi baronowie, których nie potrafiłem rozpoznać, byli już przy deserze.

Po tym jak kapelan i sekretarz hrabiego Tuluzy przedstawił nas temu dostojnemu gronu, hrabia Rajmund zwrócił się do mnie z zaciekawieniem:

– Ejże, czy to nie ty pokonałeś niedawno na błoniach aż dwóch harcowników?

– Owszem, ja, do usług – skłoniłem przed nim giowę.

– Miałem przyjemność widzieć to na własne oko – w tym miejscu zaśmiał się gromko, nie wiadomo, z własnego dowcipu, czy też, przewrotnie, z własnego kalectwa. – Gratuluję. Pięknie ich uśmierciłeś, zwłaszcza tego pierwszego.

Po jego słowach wszyscy panowie nagrodzili mnie oklaskami. Podziękowałem im za ten dowód uznania, a potem usunąłem się skromnie na bok, wszak przyszedłem tam głównie dla towarzystwa. I wtedy zabrał głos Piotr Bartłomiej.

– Ekscelencjo! Wielmożni i przesławni panowie! – ukłonił się najpierw legatowi oraz hrabiemu Tuluzy, a później, kolejno, pozostałym baronom. – Jestem ubogim i nic nie znaczącym pielgrzymem, i nigdy bym się nie ośmielił zabierać wam cennego czasu, gdybym nie miał do zakomunikowania rzeczy naprawdę ważnych. Otóż, trzeba wam wiedzieć, wasze dostojności, że od sześciu miesięcy nawiedza mnie we śnie i na jawie Święty Andrzej Apostoł, przekazując mi za każdym razem to samo przesłanie...

– Masz ci los! – westchnął głośno Adhemar de Monteil, legat papieski. – Jeszcze jednemu zebrało się na wieszczenie! A wiesz chociaż proroku, co sam Pan Bóg przekazał nam już w tej kwestii przez us ta

Zachariasza? *Wróżbici widzą tylko kłamstwa i złudne są sny, które wyjaśniają.*¹⁷⁰ A przez Jeremiasza dodał jeszcze: *Nie słuchajcie proroków, którzy wam przepowiadają: wprowadzają was w błąd; zwiastują wam urojenia swego serca, nie zaś to, co pochodzi z ust Pańskich.*¹⁷¹ 1 co ty na to, mój synu?

– Ja? Nic – Piotr Bartłomiej bynajmniej się nie stropił. – Bo przez tego samego Jeremiasza Pan Bóg powiedział także: *Prorok, który miał sen, niech opowiada swój sen! Kto miał moje słowo, niech wiernie opowiada moje słowo!*¹⁷² Chyba niczego nie przekreśliłem, Ekscelencjo?

– Dajmy spokój teologii – odezwał się z ustami pełnymi leguminy Gotfryd de Bouillon książę Dolnej Lotaryngii. – Mów, człowieku, byle krótko, w czym

rzecz.

– Dziękuję, panie. Powiem wszystko najkrócej, jak umiem. Otóż Święty Andrzej Apostoł kazał mi przekazać, że tutaj, w Antiochii, za głównym ołtarzem katedry Świętego Piotra, jest zakopana włócznia żołnierza Longinusa, ta sama, którą przebito bok naszego Pana, kiedy umierał za nas na krzyżu. I nawet dał mi ją potrzymać.

Po tych słowach w sali zapadła cisza, którą przerwał dopiero Robert księżę Normandii, krztusząc się przy tym winem:

– Jak to, dał ci ją potrzymać?!

– Zwyczajnie. Było to w dniu trzęsienia ziemi, pod koniec zeszłego roku, kiedy nawiedził mnie po raz pierwszy. Wszystko dokoła waliło się w gruzy i przesunęło się w tę i w tę, a ja modliłem się gorąco o ocalenie jak wszyscy. I wtedy zjawili się przede mną dwóch mężczyzn promieniejących dziwną poświatą. Noc była wyjątkowo ciemna i można ją było dostrzec wyraźnie. Jeden był starcem, średniego wzrostu, o miłej twarzy z czarnymi oczami, z gęstą, siwą brodą i lekko rudawymi włosami. Drugi, znacznie młodszy i wyższy, był piękniejszy od wszystkich ludzi, jakich kiedykolwiek widziałem. „Kim jesteście, panowie?!”, zapytałem ze strachem. „Powstań z klęczek i nie lękaj się”, odpowiedział mi ten starszy. „Jestem Święty Andrzej Apostoł, jeden z Dwunastu. Chciałbym ci pokazać Włócznię, która wydobyla krew i wodę z boku naszego Pana Jezusa Chrystusa, kiedy cały świat został przez Niego zbawiony. Pamiętaj, że masz ją oddać wielmożnemu panu Rajmundowi de Saint-Gilles, hrabiemu Tuluzy i markizowi Prowansji, bo została mu przeznaczona jeszcze przed jego narodzeniem...”

– To jakaś kompletna bzdura! – syknął Boemund hrabia Tarentu, ale zagłuszył go Rajmund de Saint-Gilles hrabia Tuluzy, który odsunął z hałasem swój zydł od stołu, zerwał się na równe nogi i wzniosłszy do nieba swe jedyne oko, zawołał ze złożonymi jak do modlitwy rękami:

– Bogu niech będą dzięki!

Część baronów zaczęła bić brawo, część sięgnęła z zakłopotaniem po wino lub zaczęła przyglądać się z uwagą własnym paznokciom.

– A kim był ten młodszy, piękniejszy od wszystkich ludzi, jakich kiedykolwiek widziałeś? – zapytał kpiącym tonem legat papieski.

– Nie mam pojęcia – odparł Piotr Bartłomiej. – Wydawał mi się dziwnie znajomy, ale nie śmiałem go o to zapytać.

Biskup Adhemar de Monteil rozłożył bezradnie ręce i potoczył wzrokiem po obecnych.

– Oszust nawet nie raczył się dobrze przygotować! – prychnął Boemund hrabia Tarentu, na co niektórzy spośród zebranych zareagowali śmiechem.

– Ależ panowie, trochę powagi – napomniął ich Rajmund hrabia Tuluzy. – Przecież to naprawdę ciekawe. W każdym razie ja chętnie wysłucham, co ten człowiek ma do powiedzenia. Mów dalej – polecił Piotrowi Bartłomiejowi.

– Po tych słowach powstałem z klęczek, jak kazał mi Święty Andrzej, i tak jak stałem, w samej koszuli, udałem się z nimi do Antiochii.

– Ciekawe, jak? – zapytał Robert księżę Normandii. – Przecież Antiochia była jeszcze w rękach pogan.

– To prawda, lecz dla nas nie był to żaden kłopot. W mgnieniu oka przelecieliśmy nad jej murami i znaleźliśmy się przy północnym wejściu do katedry, w pobliżu którego Saraceni zbudowali swój meczet. Kiedy weszliśmy do środka, dwie małe lampki, które się tam ledwie ćmiły, nagle buchnęły takim płomieniem, że od razu zrobiło się jasno jak w dzień. Święty Andrzej kazał mi stanąć przy kolumnie, sam zaś zniknął pod ziemią obok głównego ołtarza. Jego towarzysz pograżył się tymczasem w modlitwie. Po paru chwilach Apostoł wrócił ze Świętą Włócznią, którą zaraz mi wręczył. „Panie!”, zawołałem wówczas, niemal łkając z radości. „Jeśli chcesz, wezmę ją i oddam natychmiast hrabiemu Rajmundowi”. „Jeszcze nie teraz”, odpowiedział na to. „Dopiero, jak zdobędziecie miasto. Sprowadzisz tu wtedy dwunastu wybranych mężów – najwielmożniejszych z wielmożnych i najczcigodniejszych z czcigodnych, jacy między wami są – i niech jej szukają tam, gdzie ją zakopię”. Po czym odebrał mi Świętą Włócznię i znów zapadł się pod ziemię, skąd wrócił już z pustymi rękoma. Następnie przenieśli mnie z powrotem do mojego namiotu i znikli.

– A dlaczego nie powiadomiłeś nas o tym od razu, tylko czekałeś z tym aż do dzisiaj? – zapytał z powątpiewaniem hrabia Hugon de Vermandois, brat i syn królów Francji.

– Bo sam miałem wątpliwości, a poza tym onieśmiał mnie wasz majestat i moje ubóstwo. Jednak Święty Andrzej wciąż mnie nagabywał i kiedy mi w końcu zagroził, że jeśli będę dalej zwlekać z tą sprawą, spotka mnie za karę jakieś nieszczęście, powiedziałem sobie „Raz kozie śmierć!” – i jak widzicie, przyszedłem. Zwłaszcza, że podczas dzisiejszej bitwy o mało nie zgniotły mnie konie, co dowodzi wyraźnie, że Apostoł nie rzuca słów na wiatr.

– Dobrze, ale czy powiedział coś więcej o Włóczni? – niecierpliwił się hrabia Tuluzy.

– Owszem. Powiedział, że ten, kto ją posiadzie, będzie niezwyciężony, a święci i anieli Pańscy będą walczyć u jego boku. I że kiedy ją wykopiemy, możemy śmiało uderzyć na Turków.

– Uderzyć na Turków?! Chyba się przesłyszałeś! – skrzywił się hrabia Rajmund.

– Hm... To możliwe, bo mówił dość niewyraźnie i trochę seplenił – Piotr Bartłomiej nie wykluczył i tej ewentualności.

– Mamy za mało ludzi, żeby atakować – wyjaśnił mu hrabia Tuluzy. – Dlatego lepiej poczekać, aż nas uwolnią Bizantyjczycy, a potem, zgodnie z umową, oddać im Antiochię. No, ale Święty Andrzej nie musi się znać na wojaczce, w końcu był tylko rybakiem, a nie rycerzem.

– Ten człowiek na pewno się nie przesłyszał – wtrącił opryskliwie hrabia Boemund. – Widać, że Święty Andrzej, choć tylko rybak i Apostoł, zna się na wojaczce dużo lepiej niż niejeden z tu obecnych. Ja też uważam, że trzeba atakować. Czekanie na Bizantyjczyków nie ma najmniejszego sensu. Zuch Apostołe!

– Brawo, Święty Andrzej! – poparł go natychmiast jego siostrzeniec Tankred. – Atakować, atakować, póki jeszcze mamy kim! To jedyne rozsądne wyjście.

– Wielmożni panowie, błagam, nie zaczynajcie od nowa – poprosił Adhemar de Monteil, legat papieski. – Szkoda waszych cennych nerwów. Czy naprawdę nie widzicie, że ten człowiek łże jak pies? Jakże Święty Andrzej mógłby mu powierzyć tak wielkie tajemnice? Dlaczego miałyby wybrać właśnie jego? Czy naprawdę nie ma już w obozie nikogo godniejszego?

– Święte słowa, Ekscelencjo – nieoczekiwanie przytaknął mu Piotr Bartłomiej. – Ja myślałem dokładnie tak samo. Przez pół roku nie mieściło mi się w głowie, jak Święty Andrzej może mi powierzać tak wielkie tajemnice? Dlaczego wybrał akurat mnie? Czy to nie ma już w obozie nikogo godniejszego? I modliłem się gorąco o to, żeby odsunięto ode mnie ten kielich goryczy!

Codziennie błagałem Boga, żeby jakoś wpłynął na swojego Apostoła, aby ten raczył powierzyć to zadanie komuś mądrzejszemu, cnotliwszemu, lepiej urodzonemu i bardziej szlachetnemu, a przede wszystkim komuś znacznie bogatszemu ode mnie.

Bo któż dzisiaj, szlachetni panowie, uwierzy człowiekowi ubogiemu? Kto go uzna i uszanuje? I nawet powiedziałem o tym Świętemu Andrzejowi, kiedy ten po raz kolejny wyrzucał mi, że ciągle nie wspominałem nikomu o Włóczni. Ale Apostoł zaśmiał mi się prosto w twarz i rzekł: „Jakże to, Piotrze Bartłomieju? Ciągle dziwisz się, że Pan Bóg wybrał właśnie ciebie? Wciąż nie możesz pojąć, jak bardzo cię kocha? A może po prostu krygujesz się z fałszywej skromności, może szukasz jakiejś wymówki, żeby dalej się lenić i nie wypełnić tego, co ci przykazano? Dobrze ci radzę, idź i czyn, co ci polecono, i zakarbuj sobie raz na zawsze, że nasz Pan Jezus Chrystus umiłował cię tak bardzo, że zazdrości ci tego w niebie niejeden z aniołów. Wiedz, że upodobał sobie w tobie i wybrał cię sobie, jak się wybiera zboże spomiędzy kąkolu, i oddzielił cię od innych, jak się oddziela ziarno od jałowych plew, bo najwidoczniej przewyższasz innych

zasługą, tak jak złoto przewyższa srebro, i stosowna do twojej zasługi będzie też twoja nagroda”.

– A kimże niby są te plewy i kąkole?! Zważ, do kogo mówisz, chłystku, żebym cię nie kazał wybatożyć! – zatrząsł się z oburzenia legat papieski.

– Ależ wielmożni i przesławni panowie! – po raz pierwszy ja ośmieliłem się wtrącić do rozmowy. – Duch wieje, kędy chce i Hiob też nie był nikim ważnym. Sprawa jest bardzo prosta: Święta Włócznia jest, albo jej nie ma. Dlaczego tego nie sprawdzić?

– Właśnie – podchwycił z aprobatą Rajmund hrabia Tuluzy.

– Bo szkoda na to czasu i fatygi – oświadczył dobitnie biskup Le Puy i dla większego efektu walnął pięścią w stół. – Prawdziwą Włócznię Świętego Longinusa przechowują w cesarskim skarbcu w Konstantynopolu. Byłem tam i widziałem ją na własne oczy. Cudów nie ma, panowie!

– Ja też ją widziałem, Ekscelencjo, ale to jeszcze nie znaczy, że możemy lekceważyć słowa jednego z Dwunastu – zaproponował hrabia Rajmund. – Uważam, że trzeba to sprawdzić.

– Jak chcecie, to sobie sprawdzajcie. Ja nie będę robić z siebie pośmiewiska – ofuknął go legat papieski.

– No nie! – po raz pierwszy zdenerwował się także Piotr Bartłomiej. – Obawiam się, że przy takim podejściu Waszej Ekscelencji, Pan Bóg nie będzie miał innego wyjścia, jak w końcu spustoszyć to pastwisko. Tyle że nawałnica Pańska spadnie przede wszystkim na głowy pasterzy, zgodnie ze słowami: *Podnieście lament, pasterze, i krzyczcie! Tarzajcie się w prochu, przewodnicy trzody! Nadeszły bowiem dni waszej rzezi i padniecie jak wybrane owce!*¹⁷³ – zakończył wielkim głosem, potrząsając uniesioną nad głową prawicą.

Ale jego słowa nie zrobiły na legacie najmniejszego wrażenia. Biskup Adhemar de Monteil zaśmiał się tylko i rzekł:

– Jeremiasz, rozdział dwudziesty piąty. – A potem zwrócił się do hrabiego Tuluzy: – Jeśli coś będzie nie tak, wlepcie mu ode mnie pięćdziesiąt batów.

– Ma się rozumieć, Ekscelencjo – zapewnił go hrabia Rajmund. – Bądź spokojny, jeśli cokolwiek będzie nie tak, dołożę mu jeszcze pięćdziesiąt od siebie. Tymczasem jednak przejdźmy do kwestii praktycznych. Sugeruję opieczetować natychmiast katedrę i rozstawić wokół niej strażę tak, żeby nawet mysz się nie mogła prześliznąć do środka. Potem zarządzić trzy dni postu, modłów i pokuty, a następnie zakasać rękawy i wziąć się do kopania.

– A po co post? – zauważył przytomnie Piotr Bartłomiej. – Ludzie i tak nie mają co jeść.

– Słusznie, wystarczą modły i pokuta. Co zaś się tyczy dwunastu wybranych mężów, najwielmożniejszych z wielmożnych i najczcigodniejszych

z czcigodnych, jacy między nami są, to jako gospodarz, a przede wszystkim jako ten, któremu Święta Włócznia została przeznaczona jeszcze przed jego narodzeniem, zgłaszam się jako pierwszy, proponując zarazem z mojego hufca panów Wilhelma hrabiego Montpellier, Gastona wicehrabiego Bearn, Pontiusa wicehrabiego Balazun oraz Piotra Rajmunda barona d'Hautpoul. Wezmę także ze sobą pana Rajmunda d'Aguilers, mojego osobistego kapelana i sekretarza, który, jak wam zapewne wiadomo, zapisuje dla potomności wszystko, co się nam przydarza podczas tej wyprawy, ale on, jako osoba duchowna, nie będzie kopać, toteż nie liczy się w rejestr. Jak widać, zostało nam jeszcze siedem miejsc. Więc jeśli macie ochotę szukać Świętej Włóczni, szlachetni panowie, uprzejmie proszę, zgłaszajcie się do pana d'Aguilers, który sporządzi zaraz stosowną listę. Wreszcie, jeśli chodzi o tego zacnego człowieka – wskazał palcem na Piotra Bartłomieja – to za waszym przyzwoleniem, do czasu podjęcia poszukiwań, potrzymam go u siebie w areszcie, by mieć na niego oko i żeby nam przypadkiem nie zmajstrował jakiejś niespodzianki.

– Zgoda! Niech tak będzie! – przyjęła propozycje hrabiego Tuluzy większość zgromadzonych, po czym niektórzy z nich, w tym Robert książę Normandii, Gotfryd de Bouillon książę Dolnej Lotaryngii oraz jego brat Eustachy, Robert hrabia Flandrii i hrabia Hugon de Vermandois, zwrócili się do pana Rajmunda d'Aguilers, by umieścić ich nazwiska na zaszczytnej liście. Jak zauważyłem, spośród wielkich panów obecnych na sali – bez wątpienia najwielmożniejszych z wielmożnych i najczcigodniejszych z czcigodnych, jacy byli między nami – nie zrobili tego jedynie biskup Adhemar de Monteil oraz Boemund hrabia Tarentu i jego siostrzeniec Tankred.

Emocje związane z zapisami udzieliły się również mnie, więc zebrawszy się na odwagę, ośmieliłem się odezwać po raz drugi.

– Wielmożni i przesławni panowie! – rzekłem. – Powiedzcie, proszę, czy także ja, jako towarzysz Piotra Bartłomieja, mógłbym być obecny przy tak wielkim wydarzeniu?

– Nie wydaje mi się, przyjacielu – odpowiedział uprzejmie hrabia Rajmund. – Cenimy twoją odwagę, ale ludzi do kopania mamy już dosyć, i to, przyznasz chyba, znacznie godniejszych od ciebie. Chyba żeby stanął gdzieś w kącie? – łypnął swoim jedynym okiem w stronę Piotra Bartłomieja, który po krótkim namyśle wzruszył ramionami.

– W kącie czy za kolumną, byle nie przy głównym ołtarzu. To mój przyjaciel, nie powinien w niczym zaszkodzić.

– A zatem zgoda – hrabia Tuluzy skinął mi głową na pożegnanie. – Bądź tu za trzy dni o świcie.

Kiedy się rozstawaliśmy, Piotr Bartłomiej, mający spędzić trzy dni w areszcie, prezentował raczej nietęgą minę. Poklepałem go zatem po plecach i stwierdziłem na pocieszenie:

– Nie martw się. Trzy dni szybko miną i prawda wyjdzie na jaw. A na drugi raz, jak będziesz rozmawiał z jakimś sepleniącym Apostołem albo świętym, nadstawiaj lepiej ucha, żeby nie wprowadzać zbędnego zamętu. Czekanie na Bizantyjczyków nie ma żadnego sensu.

Potem wróciłem do domu i powiedziałem o wszystkim Ucie, która z miejsca wpadła w popłoch.

– O Boże! W co on się znów wpakował?! Jaki Święty Andrzej?! Jaka Święta Włócznia?! A co będzie, jeśli powiedział nieprawdę?!

– Nic, najwyżej wlepią mu setkę batów. Od setki jeszcze nikt nie umarł, a niejednemu wrócił rozum. Mnie bardziej interesuje, co będzie, jeśli powiedział prawdę?

Lecz Uta nawet nie brała tego pod uwagę, wołąc z góry rozpaczać nad niedolą swojego kuzyna. Na wyjaśnienie tego, jak było faktycznie, musieliśmy jednak jeszcze trochę poczekać.

A nie było to czekanie łatwe, bo kiedy opieczętowano katedrę i rozstawiono wokół niej strażę, kiedy zarządzono modły i pokutę, zaś obóz obiegała lotem błyskawicy wieść o widzeniach Piotra Bartłomieja – w które, jak to zwykle bywa, jedni uwierzyli, a inni nie – do naszych dowódców, spożywających właśnie obiad w kwaterze polowej hrabiego Boemunda, zgłosił się nowy prorok.

Nazywał się Stefan Walenty, był księdzem i pochodził z Valence. Według tego, co usłyszeliśmy od hrabiowskiej służby, oświadczył naszym wodzom, że miał widzenie Jezusa Chrystusa, Najświętszej Marii Panny i Świętego Piotra, którzy przekazali mu wspólnie bardzo ważne posłanie.

Stefan Walenty rozmawiał głównie z Chrystusem. Nasz Pan zapytał go na wstępie, kim są krzyżowcy zamknięci w Antiochii. „Chrześcijanami”, odpowiedział na to Stefan Walenty. „Jakimi chrześcijanami?”, indagował dalej nasz Zbawiciel. „Dobrymi, to znaczy takimi, którzy wierzą, że urodziłeś się, Panie, z Dziewicy, że cierpiełeś i umarłeś za nas na krzyżu, że zostałeś pogrzebion i trzeciego dnia powstałeś w chwale z martwych”. „A kto tam wami dowodzi?”, zapytał wówczas Syn Człowieczy, wyraźnie zadowolony z tego, co dotąd usłyszał. „Niestety, Panie, nie mamy jednego wodza – zmartwił Go Stefan Walenty. -Niemniej największym respektem cieszy się u nas pan Adhemar de Monteil, czcigodny biskup Le Puy i legat papieski”. „To świetnie! – rozchmurzył się ponownie Jezus. – Zaprawdę, zaprawdę, powiadam wam, nie ma między wami nikogo godniejszego. Idź zatem i powiedz panu Adhemarowi, że chociaż wasi ludzie oddalili się ode Mnie z powodu zła, które nieustannie czynią, może

być jednak pewny, że powrócę do nich, jeśli tylko oni powrócą do Mnie. Tymczasem niech się modlą, czynią pokutę, śpiewają codziennie *Congregati sunt*¹⁷⁴ i słuchają we wszystkim swojego legata, a zwłaszcza, niech się niczego nie obawiają. Jeśli są naprawdę dobrymi chrześcijanami, cóż może im zrobić choćby milion pogan? A zanim wydadcie niewiernym walną bitwę... "

– Jaką znów walną bitwę?! – przerwał mu Rajmund hrabia Tuluzy.

– Nie wiem. Powtarzam tylko słowa Chrystusa – odrzekł skromnie Stefan Walenty i niezrażony powtórzył raz jeszcze: – „A zanim wydadcie niewiernym walną bitwę, zadbajcie o to, żeby dowodził wami najdzielniejszy z waszych dowódców...”

– Ciekawe kto? – zapytał z przekąsem Gotfryd de Bouillon księżę Dolnej Lotaryngii.

– Dla każdego, kto sam jest dzielny, to chyba jasne – wyjaśnił mu lekceważąco Boemund hrabia Tarentu.

– „...bo tak jak ciało nie może posiadać dwóch głów, tak samo armia nie może mieć więcej niż jednego wodza” – dokończył myśl Chrystusa Stefan Walenty, kiedy dopuszczono go znowu do głosu. Po czym kontynuował: „A tak w ogóle, to strzeżcie waszej jedności jak źrenicy oka, bo póki będziecie się trzymać razem, nikt was nie pokona. Unikajcie sporów, podziałów i kłótni, i przede wszystkim nie dajcie się zwieść fałszywym znakom ani rzekomym cudom, którymi Szatan może was mamicić w ciągu najbliższych dni”.

– Dlaczego akurat w ciągu najbliższych dni?! – warknął hrabia de Saint-Gilles.

– I o jakie znaki chodzi?! Chyba nie masz na myśli mojej Świętej Włóczni?!

– Osobiście nie mam na myśli niczego i nawet nie mam zamiaru mieć – zastrzegł się Stefan Walenty. -Przytaczam jedynie słowa Chrystusa.

– Oto słowo Pańskie! – odezwał się ni w pięć, ni w dziewięć, Robert księżę Normandii, wyrwany nagle z poobiedniej drzemki.

– Bogu niech będą dzięki! – dopowiedzieli jednym głosem hrabia Boemund i jego siostrzeniec Tankred.

Wtedy podniósł się hrabia Rajmund i zarzucił Stefanowi Walentemu bezczelne kłamstwo. Ten jednak nie dał się zbić z tropu. „Dobrze wiem, jak trudno dać wiarę człękowi ubogiemu! – powiedział z przyganą.

– Azaliż nie zostało bowiem powiedziane: *Gdy bogaty przemówi, wszyscy zamilkną i mowę jego wynosić będą pod obłoki. Gdy biedny przemówi, spytają: Któż to taki?, a jeśliby się potknął, całkiem go obalą?*¹⁷⁵ I dlatego, skoro zarzucono mi publicznie kłamstwo, chętnie poddam się wyrokowi Sądu Bożego. Jeśli mi nie wierzycie, wielmożni i szlachetni panowie, dla dowiedzenia prawdziwości moich słów mogę zaraz skoczyć z najwyższej wieży, jaka jest w Antiochii. I jeśli kłamię, niech Bóg mnie skarże śmiercią przy upadku. Co

więcej, jeśli ów skok przeżyję, lecz odniosę jakikolwiek uszczerbek na zdrowiu, sami możecie ukarać mnie za kłamstwo, ścinając mi głowę, paląc mnie na stosie bądź uśmiercając mnie w każdy inny sposób, jaki wam najbardziej przypada do gustu. Lecz jeśli wyjdę z tej próby bez szwanku, co będzie niezbitym dowodem mej prawdomówności, niechaj sroga kara Boska spadnie na was, przesławni panowie, jako że nie na próżno zostało powiedziane: Błogosławieni, którzy nie widzieli, a uwierzyli.¹⁷⁶

– Dobra, skacz! – zgodził się natychmiast hrabia Rajmund, jednak pozostali wielcy panowie woleli nie obciążać swoich sumień tak ciężką próbą. „Niech skacze albo nie zawraca dupy!”, pieklił się tymczasem hrabia Tuluzy, ale nie udało mu się nikogo przekonać.

– Załatwmy to inaczej – zaproponował pojednawczo Adhemar de Monteil, legat papieski – Dajcie tu krzyż i Biblię, i niechaj ten człowiek przysięgnie na Mękę Pańską, że powiedział prawdę.

Przyniesiono zatem krzyż i Biblię i kiedy Stefan Walenty złożył stosowną przysięgę, biskup Le Puy zwrócił się w te słowa do wszystkich zebranych: „Szlachetni i wielmożni panowie! Skoro ów zacny człowiek potwierdził uroczystą przysięgą swoją prawdomówność, myślę, że byłoby nie od rzeczy, gdybyśmy także my złożyli przysięgę na ten oto krzyż i na tę oto Biblię, że dochowamy wierności Chrystusowi i sobie nawzajem, postępując zgodnie ze słowami naszego Pana i Zbawiciela: *To jest moje przykazanie, abyście się wzajemnie miłowali, tak jak Ja was umiłowalem*¹⁷⁷, jak również, że żaden z nas nie ucieknie z obozu ani z pola bitwy, i nie opuści w potrzebie innych, dopóki sam Pan Bóg nie zwolni go z tej przysięgi przez powołanie go z tego świata do siebie na wieczność”.

Nikt nie śmiał się sprzeciwić tak pięknej przysiędze, zwłaszcza kiedy jako pierwszy złożył ją legat papieski, toteż w jego ślady poszli niezwłocznie Boemund hrabia Tarentu, Robert książę Normandii, hrabia Hugon de Vermandois, Gotfryd de Bouillon książę Dolnej Lotaryngii oraz jego brat Eustachy, Robert hrabia Flandrii, a wreszcie, choć z ociąganiem, hrabia Tuluzy Rajmund i różni pomniejsi panowie. Jednak największy podziw wzbudził młody hrabia Tankred, który nie tylko poprzysiągł wszystko, o co prosił legat, ale z własnej i nieprzymuszonej woli ślubował jeszcze, że nie odstąpi od zamiaru zdobycia Jerozolimy, dopóki zachowa przy sobie co najmniej czterdziestu rycerzy.

Po większych i mniejszych wielmożach to same uroczyste ślubowanie złożyli także dowódcy poszczególnych oddziałów, rycerstwo, zwykli żołnierze, duchowni, a w końcu wszyscy bez wyjątku pielgrzymi. Ta krzepiąca serca przysięga poprawiła od razu nastroje w obozie, przywracając oblężonym

poczucie jedności, braterstwa, solidarności i zgody. Niestety, nie na długo, ponieważ już najbliższej nocy zostało ono nadwątlone przez dwa pozałowania godne wypadki.

Pierwszym z nich była dezercja kilku możnych panów – w tym hrabiego Wilhelma de Grandmesnil, szwagra samego hrabiego Boemunda – którzy to panowie, pomimo złożenia tak pięknej przysięgi, spuścili się ukradkiem po sznurze z murów, przeszli jakimś cudem przez linie tureckie i znikli bez śladu w ciemnościach. Drugim, ciężkie pobicie Stefana Walentego przez nieznaną sprawców, które odebrało mu zdolność wieszczenia na długie miesiące.

Rankiem część baronów oskarżyła hrabiego Boemunda o zdradę i tchórzostwo, choć to przecież nie on uciekł, tylko jego szwagier. W odpowiedzi rozwścieczony hrabia Boemund, wspólnie z Adhemarem de Monteil, biskupem Le Puy, wydali zarządzenie zakazujące pod groźbą najsurowszych kar opuszczania Antiochii bez ich osobistego zezwolenia (co złośliwi, których nigdy nie brakuje, skomentowali natychmiast, że odtąd będzie wolno uciekać tylko za zgodą zwierzchności) i dla praktycznego wdrożenia tego zakazu w życie wzmocnili strażę na murach i przy wszystkich bramach miasta. Jeśli chodzi o Stefana Walentego, to pomimo śledztwa zarządzanego natychmiast przez hrabiego Boemunda i legata papieskiego, nieznaną sprawcy jego pobicia pozostali nieznanymi.

Tymczasem około południa przebywający w areszcie Piotr Bartłomiej ogłosił swoje nowe widzenie. Jak się okazało, tej samej nocy, kiedy uciekł pan Wilhelm de Grandmesnil i pobito Stefana Walentego, znowu nawiedził go Święty Andrzej w towarzystwie owego młodego człowieka, przewyższającego urodą wszystkich ludzi, jakich mój przyjaciel kiedykolwiek widział.

Tym razem Apostoł był w dobrym humorze. Pochwalił Piotra Bartłomieja za powiadomienie baronów o Świętej Włóczni i wyraził swoją radość, że już wkrótce przejdzie ona w najgodniejsze ręce w obozie, należące do hrabiego Tuluzy, co powinno uczynić pana Rajmunda Pierwszym Chorążym krucjaty, zapewniając zarazem wyprawie końcowy tryumf. Święty Andrzej był również zadowolony ze stanu przygotowań do odkopania relikwii, chociaż zasugerował, aby w okresie poprzedzającym bezpośrednio poszukiwania wszyscy duchowni w mieście śpiewali jak najczęściej *Magnificat*, a w szczególności *Lustra sex qui jam peracta tempus implens corporis*.¹⁷⁸

Jak zwykle, w beczce miodu nie zabrakło także łyżki dziegciu. Święty Andrzej, w nader ostrych słowach, zganił bowiem legata papieskiego, biskupa Adhemara de Monteil, za zaniedbywanie obowiązków religijnych i niepotrzebne wściubianie nosa w sprawy, na których się zupełnie nie zna, to znaczy w kwestie polityczne i ściśle wojskowe. Przypomniał mu zatem surowo, że jako duchowy przywódca wyprawy, powinien spędzać więcej czasu na modlitwie – przede

wszystkim w intencji rychłego przybycia Bizantyjczyków lub zwycięstwa w walnej bitwie, gdyby do niej doszło – jak też błogosławić codziennie swoją trzódkę krzyżem otrzymanym wraz z mitrą biskupią w dniu konsekracji.

Korzystając z pośrednictwa Piotra Bartłomieja, Święty Andrzej Apostoł przestrzegł zarazem pielgrzymów przed fałszywymi prorokami, mogącymi pojawiać się w obozie w ten trudny czas próby i siać w ludzkich sercach zamęt, bo choć, koniec końców, nie minie ich kara, to do czasu gdy to nastąpi, mogą zwieść bardzo wielu naiwnych poczciwców.

Wreszcie, Piotrowi Bartłomiejowi udało się także wyjaśnić tajemnicę owego młodego towarzysza Świętego Andrzeja, przewyższającego swoją urodą wszystkich ludzi, jakich kiedykolwiek widział. Zawstydzony tym, że nie potrafił podać legatowi jego tożsamości, tym razem o nią po prostu zapytał. W odpowiedzi Święty Andrzej uśmiechnął się szeroko i rzekł: „No to podejdź do Niego, Piotrze Bartłomieju, a potem uklęknij i ucałuj Jego nogi”. A kiedy Piotr Bartłomiej ukląkł, żeby to zrobić, ku swojemu przerażeniu i zachwytowi zarazem, ujrzał na stopach pięknego młodzieńca dwie krwawe rany po gwoździach. I wtedy runął przed Nim na twarz i zawołał wielkim głosem: „*Christe, eleison!*”. Wówczas nasz Pan Jezus Chrystus pobłogosławił go dłonią, z której jeszcze kapłała krew, i powiedział: „Teraz wiesz już, kim jestem. Idź więc i powtórz swoim towarzyszom broni słowa Mojego ucznia, aby je dokładnie wypełnili. Niech będą Mi wierni i niech się radują, bo dzień zwycięstwa jest już bliski”.

Po tych słowach nasz Pan i Święty Andrzej znikli, zaś Piotr Bartłomiej się obudził.

Kiedy o tym widzeniu Piotra Bartłomieja doniesiono naszym wodzom, podejmowanym tym razem obiadem przez księcia Gotfryda de Bouillon, hrabia Boemund i jego siostrzeniec Tankred nie skomentowali go ani słowem i wkrótce potem opuścili ucztę, wymawiając się niedyspozycją żołądkową. Natomiast Adhemar de Monteil, biskup Le Puy, zrobił się czerwony jak burak i zerwawszy się z ławy, wykrzyknął w stronę hrabiego Rajmunda:

– Jestem pokornym sługą Bożym, otwartym na wszelką krytykę, ale nigdy nie uwierzę, żeby jakiś Apostoł śmiał się o mnie wyrażać w tak bezczelny sposób! Dlatego protestuję przeciwko jego słowom i nie przyjmuję ich do wiadomości, jak również oświadczam uroczyście, że jeśli wasz prorok okaże się oszustem, podwyższę mu liczbę batów o całą setkę! Mam nadzieję, że w takim przypadku także ty, drogi hrabio, dasz mu niezapomniany dowód twej sławnej hojności.

– Ależ oczywiście, Ekscelencjo – uśmiechnął się hrabia de Saint-Gilles. – Jeśli tylko coś będzie nie tak, dołożę mu jeszcze sto batów od siebie. Co się zaś tyczy

protestu Waszej Ekszelencji, to jako prosty *miles Christianus*¹⁷⁹, wolę się w tej kwestii nie wypowiadać.

Na szczęście, w mieście panowała większa jednomyślność. Choć ludzie pasjonujący się pojedynkiem dwóch proroków szczerze współczuli Stefanowi Walentemu, w zdecydowanej większości – niezależnie od tego, skąd pochodzili i pod czyją służyli komendą – trzymali stronę Piotra Bartłomieja i jego Świętej Włóczni, mającej zapewnić nam niezwyciężoność i obronić nas przed Kurbugą. Dlatego także jego najnowsze widzenie przyjęli z żarliwą wiarą, nadzieją i miłością, a na murach, placach i ulicach Antiochii, przed pałacem hrabiego Tuluzy, we wszystkich kościołach – z wyjątkiem opieczętowanej z rozkazu dowództwa i strzeżonej przez uzbrojonych żołnierzy katedry Świętego Piotra – widziało się nieprzebrane tłumy pielgrzymów, rozmodlonych, śpiewających hymny, spowiadających się, odpowiadających pokutę, przyjmujących komunie i radujących się na tysiąc sposobów z zapowiedzianego przez Chrystusa, bliskiego już dnia zwycięstwa.

Chyba tylko mną i Utą targały mieszane uczucia. Z jednej strony, byliśmy bardzo dumni z Piotra Bartłomieja i cieszyliśmy się z jego objawień tak samo jak inni (choć mnie osobiście nie wszystko w nich odpowiadało), z drugiej jednak, napawały nas one niemałym lękiem, ponieważ w odróżnieniu od innych, gryźliśmy się myślą, że trzysta batów może okazać się dawką śmiertelną.

W pewnym momencie, pod wpływem nagłego przypływu strachu i zwątpienia, Uta próbowała mnie nawet namówić, abym udał się natychmiast do Piotra Bartłomieja i używając całego mojego autorytetu, zmusił go do odwołania wszystkich jego wizji.

– Nic z tego, Uto – rozwiąłem jej nadzieje, choć w dużej mierze podzielałem jej obawy. – Po pierwsze, nie dopuszczą mnie do niego, bo właśnie po to odcięli go od świata, żeby nikt do niego nie przychodził i nie próbował na niego wpływać. A po drugie, gdyby Piotr Bartłomiej odwołał teraz swoje objawienia, wszyscy ci, którzy mu zaufali, rozszarpaliby go na sztuki przy pierwszej okazji. Wierz mi, że z dwojga złego lepsze już trzysta batów.

Pozostawało więc jedynie czekać. Tymczasem Piotr Bartłomiej, o którego tak się martwiliśmy, miał się chyba nie najgorzej. Zapewnił nas o tym w przeddzień poszukiwań Włóczni poprzez służącego hrabiego Rajmunda, który zjawił się u nas po jego koszulę – tę samą, w jakiej w towarzystwie Chrystusa i Świętego Andrzeja odbył swoją cudowną podróż do zajmowanej jeszcze przez Turków Antiochii – który to służący, ku naszej wielkiej radości, przekazał nam także ogromny kosz żywności z hrabiowskiej spiżarni.

Była w nim suszona szynka z kością, cztery pieczone kapłony, sześć pęt kiełbasy, trzy gomółki sera, kilkanaście wędzonych ryb, sześć wielkich bochnów

chleba, a ponadto bryła suszonych fig i pękaty bukłak wybornego wina. Było tego wszystkiego tak dużo, że znaczną część prowiantu oddaliśmy głodującym sąsiadom, zapraszając jednocześnie na ucztę Fulka i jego przyjaciół. Młodzi ludzie rzucili się na jedzenie jak zgłodniałe wilki, pochłaniając je na wyścigi i wznosząc raz po raz zdrowie fundatora, zaś pod koniec długiej biesiady mały hrabia Baldwin, który nie mógł się już prawie ruszać z przejedzenia, oświadczył rozmarzony, że kiedy dorośnie, również zostanie prorokiem. Byłby to wspaniały i radosny wieczór, gdyby nie natrętna myśl, nie dająca spokoju ani mnie, ani Ucie, że z każdą chwilą zbliża się nieubłagane dzień, kiedy wybije godzina prawdy.

Odrobina otuchy wstąpiła w nasze serca dopiero nocą, kiedy na rozgwieżdżonym niebie nad Antiochią ukazała się kometa. Razem z tłumem pielgrzymów, którzy natychmiast wylegli na place i ulice, podziwialiśmy, jak rozpada się ona na kilkadziesiąt rozżarzonych do białości kul, żeby zaraz potem, ciągnąc za sobą świetliste warkocze płomieni, spaść ognistym deszczem na obóz Kurbugi. Na ten widok ludzie zaczęli skakać z radości i rzucać się sobie nawzajem w ramiona, ponieważ niemal wszyscy – wbrew złowieszczemu krakaniu Stefana Walentego o fałszywych znakach i rzekomych cudach – dostrzegli w tym zjawisku jasne potwierdzenie słów naszego Pana, że dzień zwycięstwa jest już bliski.

XXII

W dniu, kiedy wybiła godzina prawdy, wstałem na długo przed świtem i ogarnawszy się z grubsza, udałem się prosto do pałacu hrabiego Rajmunda, gdzie w towarzystwie Piotra Bartłomieja, dwunastu wybranych mężów – najwielmożniejszych z wielmożnych i najczcigodniejszych z czcigodnych, jacy byli między nami – jak również szlachetnej małżonki hrabiego Tuluzy, donii Elwiry, córki króla Kastylji Alfonsa, oraz osobistego hrabiowskiego kapelana i sekretarza, pana Rajmunda d'Aguilers, mającego za zadanie opisać dla potomności wszystko, co mogło się zdarzyć tego pamiętnego dnia, wysłuchałem mszy świętej w intencji odnalezienia Włóczni. W zastępstwie nieobecnego legata celebrował ją Wilhelm biskup Orange, który poświęcił także taczki, oskardy, rydle i łopaty, jakich miano używać w trakcie poszukiwań.

Piotr Bartłomiej, wyglądający tak, jakby przez całą noc nie zmrużył oka, i który przez trzy dni aresztu wyraźnie przytył, był boso i miał na sobie tę samą długą koszulę, w jakiej Chrystus i Święty Andrzej przenieśli go cudem do zajmowanej jeszcze przez Turków Antiochii. Dwunastu wybranym mężom przewodził, rzecz jasna, hrabia Tuluzy Rajmund de Saint-Gilles – najstarszy, najpotężniejszy i najbogatszy ze wszystkich przywódców krucjaty – zaś pozostałą jedenastkę tworzyli: hrabia Hugon de Vermandois, syn i brat królów Francji; Robert książę Normandii, syn i brat królów Anglii (jedyne z Normanów, który się w ogóle zgłosił); Gotfryd de Bouillon książę Dolnej Lotaryngii i jego brat Eustachy hrabia Boulogne, Robert hrabia Flandrii, Wilhelm hrabia Montpellier, Gaston wicehrabia Bearn, Renald hrabia Toul z hufca księcia Gotfryda, Herald wicehrabia Thouars z armii hrabiego Hugona oraz dwaj inni Prowansalczycy – panowie Pontius wicehrabia Balazun i Piotr Rajmund baron d'Hautpoul.

Na pierwszy rzut oka, cała dostojna dwunastka, ubrana nadzwyczaj skromnie, z głowami posypanymi popiołem i dzierżąca w rękach górnicze narzędzia, przypominała grupę zwykłych gwarków modlących się o szczęśliwy powrót przed zejściem do sztolni, gdzie ryje się w ziemi dla zdobycia soli, srebra, miedzi czy ołowiu. O tym, że nie byli to jednak zwykli gwarkowie, świadczył złoty krucyfiks na szyi hrabiego Rajmunda, gęsto wysadzany drogimi kamieniami, jak również pierścienie na palcach niektórych panów, a zwłaszcza to, że kiedy sformowaliśmy kolumnę wedle precedencji uwzględnionej na liście (ja oczywiście szedłem ostatni) i opuściliśmy gęsiego kaplicę, wszystkie taczki, oskardy, rydle i łopaty zostały natychmiast przekazane służbie.

Po uroczystym przemarszu przez zatłoczone miasto, gdzie raz po raz wiwatowano na naszą cześć, dotarliśmy do katedry Świętego Piotra, otoczonej ogromnym tłumem krzyżowców, wśród których musiała być także Uta.

Im bliżej katedry, tym bledszy i bardziej zdenerwowany stawał się Piotr Bartłomiej. Przy zdejmowaniu pieczęci z wrót świątyni przestępował z nogi na nogę i rozglądał się z lękiem na wszystkie strony, a kiedy wchodziliśmy do jej wnętrza, potknął się na schodach i o mało nie rozbił sobie głowy. Gdy znaleźliśmy się w środku, trzymając za niego kciuki, ulokowałem się za jedną z oddalonych od chóru kolumn, skąd miałem dobry widok na ołtarz główny. Tymczasem Wilhelm biskup Orange pokropił ołtarz i jego okolice wodą święconą, po czym, ująwszy pod rękę donię Elwirę, opuścił katedrę wraz z całą służbą.

Piotr Bartłomiej, dwunastu wybranych mężów, pan Rajmund d'Aguilers i ja zostaliśmy sami.

– No to gdzie zaczynamy? – zapytał rzeczowo hrabia Rajmund de Saint-Gilles, rozglądając się dokoła swym jedynym okiem.

– Nie wiem. Gdzieś tutaj – odparł niepewnie Piotr Bartłomiej i zatoczył ręką spory krąg wokół ołtarza.

– A niech cię! Nie mogłeś się lepiej przyjrzeć, jak była okazja? – zauważył cierpko hrabia Tuluzy, a potem splunął w obie ręce, ujął ciężki oskard i uderzył nim z werwą w wybrany na chybił trafił fliz posadzki. Wszyscy od razu odsunęli się na boki, gdyż spod oskarda poleciały ostre jak groty okruchy kamienia. Na szczęście, po rozbiciu pięciu kolejnych płyt hrabia Rajmund wyprostował się, otarł pot z czoła i oddał bez słowa narzędzie panu Wilhelmowi hrabiemu Montpellier. Hrabia Wilhelm, znacznie młodszy i silniejszy od swego seniora, rozbił migiem jeszcze trzy płyty, zaś z następnymi poradził sobie dużo sprytniej, podważając je oskardem i wyjmując w całości z posadzki. Jednak, kiedy w ferworze pracy ciskał je następnie za ołtarz, także one rozlatywały się z hukiem na drobne kawałki.

Pracując jak w transie, hrabia Wilhelm odsłonił szeroki pas podmurówki, którą – kiedy się wreszcie utrudził i postanowił odpocząć – zaczęli z kolei rozbijać panowie Renald hrabia Toul i Herald wicehrabia Thouars. Obaj hrabiowie walili oskardami przez dobrą godzinę, najpierw na wyścigi, całkiem jakby młócili zboże, później zaś coraz wolniej i wolniej, aż w końcu dostali na rękach bąbli i musieli ustąpić miejsca panom Pontiusowi wicehrabiemu Balazun i Piotrowi Rajmundowi baronowi d'Hautpoul. Ci też z początku grzmocili oskardami jak szaleni, jednak szybko opadli z sił i wówczas zajęli się ładowaniem gruzu na taczki. Ta praca szła im tak wybornie, że już wkrótce znikli obaj w obłoku kurzu i gdyby nie dolatujące z jego wnętrza zgrzytanie łopat i rozzierający kaszel

któregoś z nich, można by było pomyśleć, że zostali porwani do nieba niczym prorok Eliasz. Chmura kurzu gęstniała i rozprzestrzeniała się na wszystkie strony, aż wreszcie ogarnęła całą świątynię, zaś wydobywający się z niej kaszel przybrał postać rżenia.

„Dosyć tego! Przestańcie, do cholery! Czy chcecie nas wszystkich wydusić?!”, przebił się przez kurtynę pyłu gniewny głos hrabiego Rajmunda i ustało przynajmniej zgrzytanie łopat. Kiedy kurz z wolna opadł, okazało się, że wszyscy jesteśmy szarzy jak polne myszy, choć i tak było nam jeszcze daleko do wicehrabiego Balazun i barona d'Hautpoul, którzy wyglądali zupełnie jak Judasz spotkany przez pana Herluina na pustyni. Obaj także, tak samo jak Judasz, nie chcieli już nic oprócz wody, po którą hrabia Tuluzy kazał natychmiast posłać.

Kiedy pan Rajmund d'Aguilers przyniósł wodę i wszyscy przeplukaliśmy sobie gardła, kopanie zaczęło się od nowa. Tym razem jako pierwszy kopał pan Gaston wicehrabia Bearn, a po nim Robert hrabia Flandrii. Hrabia Robert, nie wyglądający bynajmniej na atletę, machał dzielnie łopata przez ponad godzinę, lecz w końcu coś mu strzyknęło w krzyżu i musiał zrezygnować. Po wyjściu z wykopu, chwiał się na nogach jak pijany i nie mógł się w ogóle wyprostować.

– Ależ ją, skubany, zakopał! – wystękał zziębnięty, łapiąc z trudem powietrze, kiedy przekazywał narzędzie hrabiemu Hugonowi de Vermandois, następnemu w kolejce.

Hrabia Hugon, syn i brat królów Francji, jako jedyny przyniósł ze sobą rękawiczki, dzięki czemu robota paliła mu się w rękach, ale ci, którym popuchły już dłonie, patrzyli na niego z rosnącą niechęcią.

– Jakże to, mości hrabio? – nie wytrzymał w końcu hrabia de Saint-Gilles, który znalazł sobie schronienie w pobliskich stallach. – To my dajemy z siebie wszystko, żeby znaleźć Świętą Włócznię, którą przebito bok naszego Zbawiciela, a ty nie chcesz sobie pokalać rączek albo boisz się, żeby cię przypadkiem nie ukłuła drzazga? A może myślisz, że Pan Jezus też wisiał na krzyżu w rękawiczkach?

Zawstydzony hrabia Hugon ściągnął natychmiast rękawice i już po kwadransie dostał takich samych bąbli jak inni. Wtedy, mrużąc coś pod nosem, oddał łopatę Gotfrydowi de Bouillon księciu Dolnej Lotaryngii, który przystąpił do pracy razem ze swoim bratem Eustachym hrabią Boulogne. Obaj dostojni bracia wzięli się do dzieła z wielkim animuszem, zmieniając się często przy taczkach i łopacie, toteż wkrótce pogłębili dziurę tak bardzo, że wystawały im z niej tylko głowy. Kiedy jednak po przerwie na napicie się wody hrabia Eustachy wskoczył z powrotem do wykopu, skreślił sobie przy tym nieszczęśliwie nogę, która bolała go tak bardzo, że raz czy drugi szpetnie zaklął.

– Ejże, miarkuj się, mości hrabio! – ofuknął go znad wykopu hrabia Tuluzy. – Zważ na świętość miejsca, w którym się znajdujesz.

Hrabia Boulogne przygryzł wargi, ale kiedy wydobyto go na powierzchnię i wynoszono z katedry, wyrznął z taką złością trzymanym w rękę szpadlem w najbliższą kolumnę, że złamał jego trzonek w kilku miejscach.

– Wybaczcie mu łaskawie, mości panowie – przerwał kłopotliwą ciszę, jaka po tym zapadła, jego brat książę Gotfryd. – Zawsze był nerwowy. Ale mimo to zrobił, co do niego należało. Jak chcecie, mogę teraz popracować trochę za dwóch.

Ponieważ nikt się temu nie sprzeciwił, zrobił, jak powiedział, pracując za dwóch jeszcze pół godziny. Za to później, kiedy z trudem wyszedł z wykopu, musiał się położyć na chłodnej posadzce, gdzie leżał nieruchomo, trzymając się za serce.

– Kto następny? – zapytał przygnębiony hrabia Rajmund.

– A może byśmy tak najpierw coś zjedli? – zaproponował książę Normandii Robert, wpatrzony z niepokojem w nie dającego znaku życia Gotfryda de Bouillon. – Pora obiadu już dawno minęła.

– Dobrze, niech będzie – zgodził się bez entuzjazmu hrabia Tuluzy. – Wszystkim nam się przyda chwila odpoczynku. Rajmundzie – zwrócił się do swojego osobistego kapelana i sekretarza. – Niech nam przyniosą coś do jedzenia.

Po postnym posiłku bez wina, który zjedzono bez pośpiechu, ustalając w jego trakcie, że należy jeszcze bardziej poszerzyć wykop, a gdyby to nic nie dało, skrócić z kopaniem bardziej w lewo albo bardziej w prawo, hrabia de Saint-Gilles zapytał ponownie, kto jeszcze nie pracował.

– Ja – zgłosił się natychmiast pan Rajmund d'Aguilers, jego osobisty kapelan i sekretarz.

– Ty nie jesteś od kopania, a poza tym nie masz żadnego tytułu. Może ty, mości książę? – zaatakował wprost siedzącego w kącie księcia Normandii. – Jakoś sobie nie przypominam, żebym cię dzisiaj widział przy pracy.

– I masz jak zwykle rację, hrabio, bo jeszcze nie pracowałem – wyjaśnił książę Robert. – Chciałem to zrobić na końcu, gdyż źle się dzisiaj czuję.

Ten i ów uśmiechnął się półgębkiem, ponieważ książę Robert uchodził w obozie za wielkiego lenia i wzięto jego słowa za zwykłe wykręty.

– Rozumiem, mości książę. Pewnie, tak samo jak ja, liczyłeś na to, że komuś uda się wreszcie wykopać Świętą Włócznie i twoja pomoc okaże się zbędna? Niestety, nikt jeszcze nie dokonał tego cudu. Może ty będziesz miał więcej szczęścia – stwierdził z przekąsem hrabia Rajmund i wetknął mu w ręce łopatę.

Książę Robert wziął ją bez słowa i zniknął w wykopie. Zniknął w sensie dosłownym, jakby wpadł do studni, ponieważ był tak niskiego wzrostu, że nadano mu z tego powodu przydomek „Krótkoudy” (choć słyszałem również, że jego rodzony ojciec oraz brat, obaj królowie Anglii, z którymi się serdecznie nienawidził i nieustannie wojował, zwali go także „Karłem”, „Gnomem”, „Niziołkiem”, a nawet „Kurduplem”). Sądząc z ilości ziemi wyrzucanej na powierzchnię, pracował niezbyt ochoczo, co wcale nie przeszkodziło, że już po pół godzinie wygramolił się z powrotem na górę, powalany ziemią od stóp do głów.

– Mam to w dupie! – oświadczył ze złością. – To nie dla mnie robota. Niech kopie następny.

– Następny jeszcze zdąży – wycedził zimno hrabia Tuluzy.

– To niech mnie ktoś zastąpi. Zapłacę. Może ty, Piotrze Bartłomieju?

– Czy naprawdę chcesz wszystko zepsuć, książę? – zaprotestował Piotr Bartłomiej. – Święty Andrzej powiedział wyraźnie: „Sprowadź tu dwunastu wybranych mężów – najwielmożniejszych z wielmożnych i najczcigodniejszych z czcigodnych, jacy między wami są – i niech jej szukają tam, gdzie ją zakopię”. „Niech jej szukają” – podkreślił – a nie „Szukajcie”. O mnie nie było mowy.

– To może ten pod kolumną? – książę Normandii wskazał łopata na mnie.

– Niestety, ja też nie mogę, mości książę – rozłożyłem ręce. – Nie zaliczam się do najwielmożniejszych z wielmożnych i najczcigodniejszych z czcigodnych i również nie mam żadnego tytułu. A poza tym, na pewno nie szukałbym Włóczni naszego Zbawiciela za pieniądze.

Książę Robert bardzo się zachmurzył i przycupnął na stopniu ołtarza, pocierając spocone czoło. Przez chwilę zastanawiał się nad czymś głęboko, po czym zwrócił się do mnie ponownie:

– Ale jesteś chyba szlachcicem?

– Z dziada pradziada – potwierdziłem.

– To dobrze – uśmiechnął się złośliwie. – W takim razie nic nie stoi na przeszkodzie, żebym cię zrobił hrabią. Powiedzmy... hrabią Alderney. Co ty na to?

– Alderney? – aż mnie zatkało. – A co to takiego?

– Wyspa. Gdzieś między Anglią i Normandią. Mała, ale ponoć ładna – wyjaśnił lekceważącym tonem.

– A... czy jest zamieszкана? – nie wiem, po co zadałem to pytanie, lecz nie przyszło mi do głowy nic mądrzejszego.

– Owszem. Głównie przez ptaki, króliki i białe jeże, choć również przez paru rybaków. Przywożą mi stamtąd przepyszne muszle Świętego Jakuba – tym razem

przez jego twarz przemknął wyraz błogości, jaką napełniło go samo wspomnienie podobnych przysmaków.

– Nigdy nie widziałem białych jeży – oświadczyłem, także nie wiadomo po co.
– Za to muszę Świętego Jakuba uwielbiam. Jadłem je, kiedy walczyłem za górami. Tam zwą je *vieiras*.

- *Vieiras* czy nie *vieiras*, ale co ty na to? – przypomniał mi o swojej ofercie.

– Chwileczkę, mości książę – odezwał się spod ołtarza Piotr Bartłomiej. – A co z dochodami? Jakże ta wyspa przynosi dochody?

– Prawie żadnych, jak cała Normandia. Żeby tu przyjechać, musiałem się zastawić, a zastawiłem właśnie Normandię, za marne sto tysięcy grzywien srebra – skrzywił się książę Robert. – Więc chyba nie sądzisz, że za drobną przysługę zrobię go zaraz hrabią Evreux czy wicehrabią Rouen?

– Nie dyskutuj, tylko bierz, co ci daje, zanim się rozmyśli – poradził mi po cichu hrabia Tuluzy. – To dobra propozycja. W życiu liczą się nie tylko dochody, ale przede wszystkim, kim się jest.

– A zatem, zgoda, mości książę! I dziękuję za ten wielki zaszczyt – powiedziałem czym prędzej. – Tylko nie zapomnij, proszę, dopełnić formalności.

– Nie bój się, niczego nie zapomnę – książę Normandii odetchnął z ulgą. – Panowie, w obliczu Boga Wszechmogącego i przed tym świętym ołtarzem, biorę was wszystkich na świadków, że będąc w pełni władz umysłowych, jak też działając z własnej i nieprzymuszonej woli, czynię tego oto człowieka panem należącej do mnie wyspy Alderney i nadaję mu, a także wszystkim jego prawnym potomkom i spadkobiercom, dziedziczny tytuł hrabiego. Jutro otrzyma stosowny patent na piśmie.

Po tych słowach Piotr Bartłomiej podskoczył do mnie i zaczął mnie ścisnąć, zaś wszyscy baronowie złożyli mi kolejno gratulacje. Kiedy skończyli, książę Robert przekazał mi łopatę i rzekł:

– A teraz, drogi hrabio Alderney, weź się do roboty. Co do mnie, to nie kiwnę już więcej palcem.

Uradowany z mojej nowej godności wskoczyłem do dołu i pracowałem w nim bez wytchnienia tak długo, aż zdarłem sobie skórę z obu rąk. Dopiero wtedy oddałem łopatę hrabiemu Rajmundowi, który, choć mijała godzina za godziną i tłum na zewnątrz katedry, nie ustający ani na chwilę w śpiewaniu hymnów i odmawianiu litanii, raczej gęstniał niż się rozrzedzał, nie zamierzał się bynajmniej poddawać.

– Zaczniemy nową kolejkę – zadysponował. – Jeśli chodzi o mnie, to zastąpi mnie pan Wilhelm hrabia Montpellier.

No to zaczęliśmy. Po hrabim Wilhelmie, który napracował się uczciwie i za siebie, i za swojego seniora, kopali kolejno panowie Renald hrabia Toul i Herald

wicehrabia Thouars, potem pan Pontius wicehrabia Balazun i pan Piotr Rajmund baron d'Hautpoul, następnie panowie Gaston wicehrabia Bearn, hrabia Hugon de Vermandois i Robert hrabia Flandrii, później księżę Gotfryd de Bouillon, który kopał zarówno za siebie, jak i za swojego brata Eustachego, a wreszcie ja – za księcia Roberta. W tym czasie nasz wykop znacznie się poszerzył i pogłębił, jak też skręcił najpierw w lewo, a później w prawo, ale niczego nie znaleźliśmy.

Kiedy nasze wysiłki znów okazały się daremne, Piotr Bartłomiej, dotąd dość spokojny, zaczął obgryzać nerwowo paznokcie i snuć się po katedrze w tę i z powrotem, zaś hrabia Rajmund, coraz bardziej rozdrażniony, zarządził trzecią i ostatnią kolejkę.

– Ale już beze mnie – dodał z gniewem. – Mam ważniejsze sprawy na głowie niż grzebanie się w ziemi jak kura. Kiedy znajdziecie Świętą Włócznię, dajcie mi znać. A jak nie – obrócił się w stronę Piotra Bartłomieja – to dołożę ci jeszcze sto batów. I jeśli legat papieski uczyni to samo, przez rok nie zerwiesz strupów z zadka!

Po tych słowach wyszedł. A kiedy tylko zamknęły się za nim drzwi katedry, Gotfryd de Bouillon księżę Dolnej Lotaryngii, który wspierał się akurat na trzonku łopaty, prasał nią o ziemię i rzekł:

– Jak bez niego, to i beze mnie. Nie ma głupich.

– I beze mnie – oświadczył hrabia Hugon de Vermandois, syn i brat królów Francji.

– I beze mnie – poparł ich Robert hrabia Flandrii.

– I bez nas – stwierdzili zgodnie panowie Renald hrabia Toul i Herald wicehrabia Thouars, którzy także nie byli wasalami hrabiego Rajmunda.

– Ależ, wielmożni panowie, błagam was, kopcie dalej! Na litość Boską, jeszcze troszeczkę! – Piotr Bartłomiej upadł przed nimi na kolana z rękami złożonymi jak do modlitwy, ale oni nie przejęli się tym wcale, tylko rozłożyli się wygodnie na stopniach ołtarza.

Na szczęście byli jeszcze panowie Wilhelm hrabia Montpellier, Gaston wicehrabia Bearn, Pontius wicehrabia Balazun i Piotr Rajmund baron d'Hautpoul, którzy nie mogli tak łatwo zlekceważyć woli swojego seniora. No i był jeszcze księżę Robert, który – choć całkowicie niezależny od hrabiego Tuluzy – wydał pogardliwie wargi i rzekł ku mojemu zaskoczeniu:

– Wstyd, mości panowie! Mieliśmy znaleźć Świętą Włócznię, a wy wycofujecie się w pół drogi! Na szczęście my w Normandii dotrzymujemy słowa i nie poddajemy się nigdy. Hrabio Alderney – zwrócił się do mnie – bądź łaskaw dać dobry przykład i pokazać wszystkim, co znaczy honor.

I po tych słowach wręczył mi łopatę.

Cóż miałem zrobić? Zacząłem trzecią i ostatnią kolejkę, i kopałem tak długo, aż z obu dłoni pociekła mi krew. Wtedy przekazałem narzędzie pierwszemu z brzegu Prowansalczykowi, panu Pontiusowi wicehrabiemu Balazun, który również dał z siebie wszystko, po czym oddał łopatę panu Piotrowi Rajmundowi baronowi d'Hautpoul. Po baronie d'Hautpoul kopał jeszcze, i to podwójnie – bo za hrabiego Tuluzy i za siebie – pan Wilhelm hrabia Montpellier, lecz kiedy chciał przekazać łopatę panu Gastonowi wicehrabiemu Bearn, ten stanowczo odmówił jej przyjęcia.

– Widzicie?! – wyciągnął przed siebie ręce przypominające surowy siekany kotlet. – Nie mam zamiaru zostać kaleką! Kończmy już z tą bzdurą i chodźmy do domu.

– Co?! – jęknął zdyszany hrabia Montpellier. – To po kiego diabła ja się tyle nakopałem?!

– Twoja strata, hrabio – skwitował pan Gaston wicehrabia Bearn, co reszta wielkich panów rozłożonych na stopniach ołtarza przyjęła dyskretnym chichotem.

Tymczasem nieszczęsny Piotr Bartłomiej, odchodzący z rozpaczy od zmysłów, wskoczył do wykopu i krążył po nim jak dziki zwierz w klatce, ocierając rękawem łzy i mruczając coś pod nosem. Jednak w pewnej chwili ucichł zupełnie, żeby zaraz potem krzyknąć wniebogłosy:

– Panowie!!! Chodźcie tutaj!!! Chodźcie tu prędko!!!

Rzuciliśmy się hurmem do dziury, żeby zobaczyć, po co nas wzywał. I zobaczyliśmy, choć dopiero wtedy, gdy pan Rajmund d'Aguilers przyświecił nam pochodnią, bo z powodu zapadającego na dworze zmierzchu, w katedrze było już prawie ciemno.

Z południowej ściany wykopu, jakiś łokieć nad jego dnem, wystawał na długość palca, niezauważony dotąd przez nikogo, zardzewiały kawałek żelaza przypominający szpic grota włóczni, ale jakby dłuższy, węższy i bardziej płaski od tych, których używaliśmy sami. Piotr Bartłomiej odkopał go jeszcze trochę rękoma, a potem padł na kolana i w absolutnej ciszy, jaka nagle zapadła, wyszeptał drżącymi wargami:

– Jest!!! Tu ją zakopał!!!

Chcieliśmy natychmiast wydobyć żelazo z ziemi, ale Piotr Bartłomiej zastawił je własnym ciałem, krzycząc na całe gardło:

– Nie dotykajcie jej waszymi grzesznymi rękami! Lepiej się módlcie! I nie róbcie niczego bez hrabiego Rajmunda!

Miał oczywiście rację, toteż pan Rajmund d'Aguilers pobiegł co sił w nogach po hrabiego de Saint-Gilles, my zaś padliśmy na kolana i zaczęliśmy się wspólnie modlić.

Hrabia Tuluzy przybył dość szybko w towarzystwie kilku rycerzy, biskupa Orange Wilhelma i donii Elwiry, która nie mogła oprzeć się pokusie, by ujrzeć na własne oczy, jak wyjmujemy z ziemi Świętą Włócznię przeznaczoną przez Boga jej małżonkowi, zanim się jeszcze narodził. Samego aktu wydobywania dokonali wspólnie hrabia Rajmund de Saint-Gilles i Piotr Bartłomiej, wybierając delikatnie ziemię wokół żelaznego grota i wyciągając go powolutku, z najwyższą ostrożnością, na zewnątrz. Wtedy okazało się, że poza samym ostrzem, bardzo długim i przechodzącym u dołu w przezartą rdzą tuleję z widocznymi jeszcze dziurami po nitach, w ziemi nie było nic więcej.

– No dobrze, a gdzie drzewce? – zapytał Gotfryd de Bouillon księżę Dolnej Lotaryngii.

– Jakie znów drzewce?! – zgromił go hrabia Tuluzy. – Naszego Pana ukrzyżowano tysiąc lat temu, a ten pyta o drzewce! Ciekawe, mości księżę, jak ty będziesz wyglądać, jak sobie poleżysz tysiąc lat w ziemi?!

– I to ma być Święta Włócznia?! – także Robert hrabia Flandrii nie ukrywał swojego rozczarowania.

– To j e s t Święta Włócznia! – odpowiedział mu hrabia Rajmund i z największą pieczołowitością zawiązał narzędzie Męki Pańskiej w koronkową mantylkę, przyniesioną specjalnie w tym celu przez donię Elwirę.

Kiedy wyszliśmy z katedry i hrabia Tuluzy uniósł tryumfalnie Świętą Włócznię nad głowę, tłum zgromadzony przed świątynią, który przez cały dzień modlił się żarliwie o znalezienie tej relikwii, nieomal oszalał. Z tysięcy gardeł wydarły się okrzyki „*Hosanna!*” i „*Kyrie Eleison!*”, ludzie klękali, padali twarzą w proch, płakali i ściskali się nawzajem, wspinali się jeden drugiemu na ramiona, bili brawo, wiwatowali, a w pewnej chwili spora część z nich ruszyła ławą do przodu, żeby dotknąć lub tylko przyjrzeć się z bliska narzędziu Męki Pańskiej i gdyby nie pilnujący katedry żołnierze, którzy osłonili nas od razu tarczami, zostalibyśmy z pewnością stratowani.

To samo powtarzało się na całej trasie naszego tryumfalnego przemarszu z katedry do pałacu hrabiego Rajmunda. Idąc w gronie tych, którzy przyczynili się najbardziej do odnalezienia cudownej relikwii i będąc nieopisanie dumnym i szczęśliwym świadkiem tego, co widziałem po drodze, czyli nieprawdopodobnego wybuchu wiary, nadziei i miłości, a także jedności, braterstwa, solidarności, odwagi i entuzjazmu, jaki ogarnął całą Antiochię, nie miałem już żadnych wątpliwości, że Święty Andrzej się nie mylił: ze Świętą Włócznią byliśmy niepokonani!

Do późnej nocy we wszystkich kościołach Antiochii trwały nabożeństwa dziękczynne za odnalezienie Świętej Włóczni, podobnie jak w pałacu hrabiego Tuluzy, gdzie uroczystą mszę dla wielkiego tłumu dostojnych gości, wśród

których brakowało tylko legata papieskiego oraz hrabiego Boemunda i jego siostrzeńca Tankreda, odprawił Wilhelm biskup Orange. Po mszy cudowną relikwię umieszczono w skarbcu, nam zaś opatrzone udrećzone dłonie, po czym odbyła się przygotowana naprędce uczta, na którą również zostałem zaproszony.

Jej głównymi bohaterami byli oczywiście sam hrabia de Saint-Gilles, występujący teraz jako Chorąży i Protektor Świętej Włóczni, jedenastu pozostałych wybranych mężów – najwielmożniejszych z wielmożnych i najczcigodniejszych z czcigodnych, jacy byli między nami – jak również Piotr Bartłomiej, zasiadający po prawicy hrabiego Rajmunda, a kiedy wstaliśmy od stołu, żeby przejść do ogrodu, gdzie było dużo chłodniej, otoczony bez przerwy gęstym wianuszkiem cisnących się do niego możnych panów, pięknych dam, rycerzy i osób duchownych.

Piotr Bartłomiej pęczniał z dumy i przechodził samego siebie. Opowiadał po raz setny i tysięczny o Chrystusie i Świętym Andrzeju, a przy okazji także o sobie, wyjaśniał najdrobniejsze szczegóły swoich objawień, opisywał dokładnie, jak znaleźliśmy Świętą Włócznię i niezachwianie zapewniał wszystkich, że dzień zwycięstwa jest już bliski. Co ciekawe, nie uchylał się także od odpowiedzi, kiedy zasięgano jego opinii bądź zwracano się do niego o radę w kwestiach nie związanych bezpośrednio z jego prorocत्वami. A proszono go, między innymi, o ocenę wartości bojowej armii Kurbugi, zarys spodziewanego przebiegu kampanii militarnej, ogólną charakterystykę dalszego rozwoju wypadków, objaśnienie polityki wschodniej cesarza Aleksego, odmalowanie małżeńskich i pozamałżeńskich zwyczajów Turków, a nawet o w miarę przystępną wykładnię prorocत्व Sybilli, sposób na tasiemca czy zwięzły rozbiór sekretnych przymiotów liczby siedem.

Widząc, że mój przyjaciel bez przerwy coś ocenia, zarysowuje, charakteryzuje, objaśnia, odmalowuje, wyklada i rozbiera, i przez cały wieczór nie można się do niego docisnąć, wypilem trochę wina i odczekawszy, aż uczta nabierze jeszcze większego rozmachu, wymknąłem się po cichu do Uty.

Uszczęśliwiona i podekscytowana ostatnimi wypadkami, jeszcze nie spała. Kiedy stanąłem w progu, rzuciła mi się na szyję.

– Co ci się stało w ręce?! – zapytała na widok moich owiniętych szarpkami dłoni.

– Nic takiego, do wesela się zagoi. Najważniejsze, że zwyciężyliśmy!

– Zwyciężyliśmy? – upewniła się, jakby ciągle nie mogła w to uwierzyć.

– Tak, Uto, zwyciężyliśmy.

– I jesteśmy bezpieczni?

– Jak najbardziej – potwierdziłem, a potem pocałowałem ją i przenieśliśmy delikatnie na moje posłanie.

– I niepokonani? – indagowała dalej, kiedy zsuwałem z jej ramion koszulę.

– Na to wygląda – odpowiedziałem przyciskając ją do serca.

– I pomyśleć, że to wszystko dzięki Piotrowi Bartłomiejowi! Kto by się tego spodziewał?! – westchnęła z mieszaniną dumy, podziwu i niedowierzania, podczas gdy ja podciągałem powoli do góry jej koszulę, odsłaniając stopniowo jej nogi.

– Duch wieje, kędy chce – stwierdziłem całując jej lewe kolano.

– To prawda. Ale gdzie jest Piotr Bartłomiej?

– Na uczcie u hrabiego Rajmunda i pewnie jeszcze długo nie wróci. Więc mamy trochę czasu dla siebie i możemy to wszystko uczcić – pocałowałem jej prawe kolano.

– Uczcić? – spojrzała na mnie zdziwiona, jakbym ją nagle wyrwał z głębokiego snu. – Jak?

– A tak – stwierdziłem próbując rozsunąć jej uda.

Ale złote runo, którego szukałem, tylko mignęło mi przed oczami i znikło. Uta zacisnęła kolana i obciągnęła koszulę po same kostki.

– O nie! – rzekła stanowczo. – Od dzisiaj koniec z grzechem. Co by na to powiedział Święty Andrzej, który może patrzy teraz na nas z góry?!

– Święty Andrzej? Naprawdę myślisz, że nie ma nic lepszego do roboty? – zaprotestowałem przeciwko takiemu stawianiu sprawy.

– Nie wiem – odparła zasłaniając także piersi. – Ale lepiej uważać. Licho nie śpi.

– O Boże! – jęknąłem, ale nie zrobiło to na niej żadnego wrażenia. – To powiedz przynajmniej, czy chciałabyś zostać hrabiną? Na wyspie pełnej białych jeży i muszel Świętego Jakuba?

– Hrabiną? Pewnie, że tak – uśmiechnęła się na samą myśl. – Która kobieta by nie chciała? Ale nic z tego, nie łudź się, mój drogi. Powiedziałam, że nie, to nie. A co do białych jeży, to mój świętej pamięci ojciec, jak wracał do domu w podobnym stanie, widywał na biało nie tylko jeże. Idź spać, to ci dobrze zrobi.

– W takim razie, dobranoc – obróciłem się zrezygnowany do ściany.

– Dobranoc – pocałowała mnie w policzek. – I niech ci czasem nie przyjdzie do głowy, żeby się do mnie zakradać.

– Nie obawiaj się – przyrzekłem. – Nie, to nie.

Po ciężkiej pracy i wielkich emocjach tego dnia zasnąłem od razu i spałem jak zabity do białego rana, kiedy obudziło mnie gwałtowne szarpanie za ramię. Otworzyłem oczy i ujrzałem nad sobą Utę, wyglądającą tak, jakby właśnie zobaczyła ducha.

– Co się stało? – zapytałem przestraszony. – Czyżby Kurbuga znów zaatakował?

– Nie – odparła z tą samą dziwną miną. – Ale jest tu posłaniec od księcia Normandii z jakimś pergaminem dla... hrabiego Alderney... Mówi, że to ty i nie chce odejść!

– No to w czym problem? Powiedz mu, że jestem nie ubrany i odbierz, proszę, co przyniósł.

Kiedy wróciła z pergaminem w ręku, odczytałem na głos jego treść. Wysłuchiła jej w stanie najwyższego zdumienia, a kiedy skończyłem, jeszcze długo przypominała słup soli. W końcu jednak wybuchła:

– Ty, ty...! A więc z tą hrabiną... to prawda?!

– Oczywiście. Czy ja cię kiedyś okłamałem?

Wówczas jednym ruchem zdarła z siebie koszulę i stanąwszy przede mną w pełnej krasie swojej urody, oświadczyła z determinacją:

– W takim razie, miejmy nadzieję, że Święty Andrzej ma rzeczywiście ważniejsze sprawy na głowie.

A potem cieszyliśmy się sobą, dopóki u furty nie rozległy się niepewne kroki Piotra Bartłomieja. Wtedy wyskoczyła z mojego posłania jak oparzona i pobiegła w te pędy do siebie.

– Jak się masz, proroku? – powitałem wesoło jej kuzyna, a mojego przyjaciela.

– A ty, hrabio Alderney? – odpowiedział pytaniem na pytanie, po czym przeżycia poprzedniego dnia, nieprzespana noc i ogromna ilość wypitego wina wzięły nad nim górę, gdyż nagle zachwiał się, zakręcił wokół własnej osi i tak jak stał, zwałił się w ubraniu na swój barłóg.

Zasnął od razu tak mocno, że Uta, prosząc jeszcze raz Świętego Andrzeja o wybaczenie, wkrótce do mnie wróciła. Ale tylko na chwilę, bo niemal w tym samym momencie na ulicy przed naszym domem czyjś tubalny bas zaintonował znienacka: *Lustra sex qui jam peracta...*, po czym dołączył do niego cały chór męskich i żeńskich głosów, zawodzących nie do końca składnie: *...tempus inplens corporis!* Okręciłem się natychmiast derką i wyjrzałem przez okno. Cały zaułek, jak okiem sięgnąć, wypełniony był klęczącymi pielgrzymami, którzy, jak się od razu domyśliłem, postanowili uczcić swoim śpiewem Piotra Bartłomieja.

– Ciszej tam! – huknąłem na nich z góry. – Prorok śpi. A poza tym, to akurat mieli śpiewać duchowni.

Pomogło jedynie na krótko, bo już po chwili darli się od nowa, ile sił w płucach. Po *Lustra sex qui jam peracta...* przyszła kolej na *Magnificat* i *Salve, Regina*, więc zamknęliśmy okiennice i ubraliśmy się czym prędzej w obawie, że Piotr Bartłomiej może się w końcu obudzić.

Lecz Piotr Bartłomiej spał jak kamień do wieczora. Kiedy wreszcie wstał, trzymając się z obolałą miną za głowę, byłem pewien, że ucieknie gdzie pieprz

rośnie od dochodzących z ulicy hałasów, tymczasem on, przeciwnie, otworzył okiennice na oścież i przez dłuższą chwilę wsłuchiwał się z lubością w zawodzenie pielgrzymów. Potem pozdrowił ich ręką i zamknął okno.

– No i jak wam się podoba? – zapytał z satysfakcją.

– Mnie ogromnie – odparła dziwnie onieśmielona Uta. – Choć ciągle nie mogę się przyzwyczaić.

– Jeszcze się przyzwyczaisz. A tobie, hrabio?

– Mnie również. Wszystko oprócz jednego.

– Tak? A czego? – zmarszczył brwi.

– Tego, że Święty Andrzej Apostoł wciąż nie wypowiedział się jasno, co właściwie powinniśmy zrobić. Zaatakować Kurbugę czy czekać na Bizantyjczyków?

– A cóż to za różnica? – Piotr Bartłomiej skrzywił się z niechęcią. – I tak jesteśmy niepokonani.

– Różnica jest, i to duża. Co z tego, że nikt nas nie pokona, skoro wcześniej umrzemy z głodu?

– Nie wiedziałem, że głodujecie – zauważył z wyrzutem.

– My nie, ale inni owszem. Wystarczy przejść się po mieście, żeby się o tym przekonać. I właśnie dlatego musimy zaatakować. Bo to nie sztuka być niepokonanym i przegrać. Sztuka być niepokonanym i wygrać.

Moje słowa, zwłaszcza te ostatnie, dały mu chyba do myślenia, ponieważ w końcu zadeklarował bez szczególnego zapędu:

– Dobrze, poruszę ten temat, kiedy się znów pojawi.

Szczęśliwie, Święty Andrzej pojawił się znowu po tygodniu. Prawdę rzekłszy, był już ku temu najwyższy czas, jako że przez cały tydzień od znalezienia Świętej Włóczni nasi wodzowie nie podjęli żadnej decyzji odnośnie przyszłości, co w połączeniu z coraz większym głodem panującym w mieście spowodowało, że spora część wiary, nadziei i miłości, a także jedności, braterstwa, solidarności, odwagi i entuzjazmu, jakie ogarnęły Antiochię po odkopaniu cudownej relikwii, ulotniła się w tym czasie bez śladu.

Tym razem Święty Andrzej przekazał nam za pośrednictwem Piotra Bartłomieja trzy ważne wiadomości. Pierwszą było to, że po znalezieniu Świętej Włóczni i wręczeniu jej hrabiemu Rajmundowi w niebie zapanowała wielka radość, i że na pamiątkę tego wspaniałego wydarzenia powinniśmy obchodzić co roku jego rocznicę, odprawiając specjalną wotywę i śpiewając na kolanach *Agnus in cruce levatus immolandus stipite*¹⁸⁰. Drugą, wybiegającą osobliwie w przyszłość i przeznaczoną wyłącznie dla hrabiego Tuluzy, było skierowane do niego ostrzeżenie, aby po zdobyciu Jerozolimy nie nurzał się przypadkiem w rzece Jordan, kiedy do niej dotrzemy, tylko przeprowił się łodzią na jej drugi

brzeg i dopiero tam spryskał się z lekka wodą ubrany w same gacie i lniane giezło, przy czym, po wyschnięciu, obie te części hrabiowskiej garderoby miały być odtąd przechowywane razem ze Świętą Włócznią. Trzecią i najważniejszą z wiadomości, bo dotyczącą spraw wojskowych, było to, że po surowym poście, dokładnie w wigilię święta Apostolskiego brata, Świętego Piotra Apostoła, patronującego katedrze, w której znaleźliśmy Świętą Włócznię, powinniśmy uderzyć na Turków wszystkimi naszymi siłami. Dalsze odwlekanie bitwy groziło nam bowiem śmiercią głodową, zaś ściśle wypełnienie otrzymanych z nieba instrukcji zapewniało nam niechybne zwycięstwo, pod tym wszakże warunkiem, że po przełamaniu szeregów wroga zdołamy powstrzymać się od grabieży nieprzyjacielskich namiotów i taborów.

Ta nowa, śmiała wizja Piotra Bartłomieja sprawiła mi wielką radość, natomiast reakcje naszych wodzów były różne. Kiedy rozeszła się wiadomość, że Święty Andrzej polecił nam zaatakować Turków, hrabia Rajmund nabrał wody w usta (złośliwi, których nigdy nie brakuje, twierdzili nawet, że dostał apopleksji), zaś hrabia Boemund ogłosił wszem i wobec, że chętnie stanie na czele takiego ataku. Hrabia Tarentu okazał się zarazem na tyle miły, że wkrótce potem przysłał Piotrowi Bartłomiejowi ogromny kosz przysmaków, na dzień którego znaleźliśmy również pękata sakiewkę, a ponadto, mając na względzie nieszczęście, jakie spotkało niedawno Stefana Walentego, przydzielił mu także dla ochrony sześciu potężnych jak dęby Normanów. Nawet legat papieski Adhemar de Monteil powstrzymał się tym razem od wszelkiej krytyki, być może dlatego, że najnowsze przesłanie Świętego Andrzeja było całkowicie zbieżne z jego własnym zdaniem.

Z jednej strony, wspomniane dowody uznania sprawiły Piotrowi Bartłomiejowi dużą satysfakcję, zwłaszcza że mógł mi wreszcie oddać dwieście pożyczonych niegdyś bizantów, z drugiej jednak strony, wpędziły go w spore rozdrażnienie, przejawiające się między innymi w ten sposób, że krążył z kąta w kąt, nie mogąc sobie nigdzie znaleźć miejsca.

– Co ci jest? – zapytałem, kiedy ni z tego ni z owego zrugął w ostrych słowach, za zakłócanie spokoju, pielgrzymów śpiewających pod naszym oknem hymny ku jego własnej czci.

– Nic. Wątpię tylko, żeby hrabia Rajmund puścił tak łatwo płazem zniewagę, jaką śmiał mu wyrzucić Święty Andrzej – wyjaśnił opryskliwie.

I nie pomylił się. Jeszcze tego samego dnia wieczorem hrabia Tuluzy zaprosił nas obu do siebie. Dlaczego także mnie, nie miałem pojęcia, lecz przypisywałem ten honor naszej owocnej współpracy przy znalezieniu Świętej Włóczni oraz mojej świeżo zdobytej godności. Poszliśmy więc, a wraz z nami sześciu potężnych jak dęby Normanów i cały tłum rozśpiewanych zwolenników Piotra

Bartłomieja, którzy nie zostali jednak wpuszczeni do dawnego pałacu Yaghi-Sijana.

Hrabia Rajmund czekał na nas już przy schodach, co było z jego strony dowodem niezwyklej kurtuazji.

– Wielebny Piotrze Bartłomieju! Wielmożny hrabio Alderney! – wykrzyknął z afektacją na nasz widok. -Jakże się cieszę, że raczyliście przyjąć moje zaproszenie. To dla mnie ogromny zaszczyt!

A potem, ująwszy nas obu pod łokcie, poprowadził nas osobiście do prywatnej części swojej rezydencji. W przeciwieństwie do znanej mi już wielkiej jadalni, gdzie odbywały się narady wojenne oraz do kaplicy, w której słuchałem mszy świętych wraz z gronem dwunastu wybranych mężów, panowały w niej wykwint i wygoda. Minęliśmy kilka sal, gdzie w pełnych harmonii zestawieniach delikatnych mebli, dywanów i orientalnych draperii czuło się kobiecą rękę i książęcy smak donii Elwiry; przeszliśmy także przez parę komnat czekających dopiero na umeblowanie, gdzie, trochę bez ładu i składu, piętrzyły się stosy mebli i całe góry zrolowanych kobierców, aż wreszcie znaleźliśmy się w niewielkim, przytulnym gabinecie, obwieszonym kwiecistymi tkaninami, w którym na wykładanym masą perłową stoliku czekały już na nas smaczne przekąski i szlachetne z wyglądu wina.

Hrabia de Saint-Gilles napełnił własnoręcznie nasze puchary i kiedy wypiliśmy za jego zdrowie, zagaił uprzejmie, choć z wyraźną troską w głosie:

– Wielebny Piotrze Bartłomieju, dziękuję ci raz jeszcze za przybycie, bo świetnie zdaję sobie sprawę z tego, jak bardzo musisz być teraz zajęty. Wierz mi, drogi przyjacielu, że nigdy bym się nie ośmielił zabierać ci cennego czasu, gdybym, jako Chorąży i Protektor Świętej Włóczni, nie czuł się poważnie zaniepokojony twoim ostatnim widzeniem. Wiem oczywiście, że ty tylko przekazujesz słowa Świętego Andrzeja, chciałem się jednak upewnić, czy rzeczywiście Apostoł kazał nam uderzyć na Turków?

– Tak właśnie było, mości hrabio – potwierdził Piotr Bartłomiej.

Przez twarz hrabiego Rajmunda przemknął ledwie zauważalny cień.

– Na pewno? Nie przesłyszałeś się? Tym razem nie seplenił?

– Słyszałem go równie dobrze, jak teraz słyszę ciebie, panie.

– To bardzo niedobrze – hrabia Tuluzy zachmurzył się. – Bo moim zdaniem, nie powinniśmy atakować. Mamy za mało ludzi.

– Ale mamy Świętą Włócznię – zauważył skromnie Piotr Bartłomiej.

– I jesteśmy niepokonani – dodałem z dumą.

Hrabia Rajmund rzucił mi niechętnie spojrzenie.

– Hrabio Alderney, to, że jesteśmy niepokonani, nie oznacza jeszcze, że musimy zwyciężyć. Jako wojskowy, powinienesz wiedzieć, że istnieją także bitwy

nierozstrzygnięte. Jeśli zaatakujemy, stracimy wielu ludzi. Co prawda Turcy też stracą wielu ludzi, ale koniec końców, odeprą nasz atak i wszystko zostanie po staremu, czyli będzie remis. Tyle że remis pod Antiochią zmniejszy nasze szanse na zwycięstwo pod Jerozolimą, zaś remis pod Jerozolimą to nic innego jak klęska całej wyprawy. To chyba oczywiste. I dlatego musimy koniecznie zdobyć przewagę nad niewiernymi, żeby nie było remisu ani tu, ani tam. Bo to nie sztuka być niepokonanym i zremisować. Sztuka być niepokonanym i wygrać.

– Co do tego, że bitwa z Kurbugą może zmniejszy nasze szanse na zwycięstwo pod Jerozolimą, masz oczywiście rację, panie – przyznałem. – Ale nie mamy innego wyjścia, musimy zaryzykować. Siedząc za murami, nigdy nie zdobędziemy przewagi.

Hrabia de Saint-Gilles prychnął pogardliwie.

– Widzę, że musisz się jeszcze wiele nauczyć, hrabio Alderney. Niewykluczone, że jeszcze dzisiaj udzielę ci pierwszej lekcji, ale to, ewentualnie, później. Tymczasem byłbym ci bardzo wdzięczny, gdybyś raczył się powstrzymać od wszelkich komentarzy i dał mi porozmawiać w spokoju z moim przyjacielem, wielobnym Piotrem Bartłojem.

– Najmocniej przepraszam, hrabio – poczułem się dotknięty. – Sądziłem, że skoro mnie zaprosiłeś, udzieliłeś mi także prawa głosu. Jeśli jest jednak inaczej, chętnie wrócę do domu i nie będę wam dłużej przeszkadzać.

– Ależ skąd, mości hrabio, zostań, bardzo proszę. Zwłaszcza że po rozmowie z Piotrem Bartłojem może będę miał również jakieś pytanie do ciebie – próbował mnie udobruchać hrabia Rajmund.

W tej sytuacji zostałem, choć od tej pory wyłącznie jako słuchacz.

Tymczasem Piotr Bartłoj, także niemile zaskoczony odebraniem mi prawa głosu, nawiązał do wcześniejszej wypowiedzi hrabiego Tuluzy:

– Co do mnie, mości hrabio, to nie sądzę, żeby Święty Andrzej kazał nam uderzyć na Turków tylko po to, żeby nas wykrwawić i przyczynić się w ten sposób do naszej klęski pod Jerozolimą. Jeśli każe nam zaatakować Kurbugę, to z pewnością ma na uwadze zwycięstwo, nie remis.

Hrabia de Saint-Gilles westchnął i wznosił swoje jedyne oko ku niebu.

– Wybacz, drogi przyjacielu, ale czy nie przeceniasz przypadkiem talentów naszego Apostoła? Ustaliliśmy już przecież, że Święty Andrzej nie musi znać się na wojaczce, w końcu był tylko rybakiem. Ale założmy dla dobra sprawy, że zaatakujemy Kurbugę i zwyciężymy. Co wtedy nastąpi, jak myślisz?

– A co ma nastąpić? – zdumiał się Piotr Bartłoj. – Uwolnimy się z pułapki i droga do Jerozolimy stanie przed nami otworem.

– To także, to także, a jakże! – hrabia Tuluzy pokiwał z politowaniem głową. – Przede wszystkim jednak okaże się, że potrzebujemy Bizantyjczyków jeszcze

bardziej niż kiedykolwiek. Tylko, że wtedy będziemy wołać o nich na próżno.

– Dlaczego?

– Dlatego, Piotrze Bartłomieju, że do ostatecznego zwycięstwa, oprócz talentów dowódczych, którymi, jak widać, dziś szczyli się każdy, potrzeba jeszcze szczypty polityki – wyjaśnił nasz gospodarz, wymawiając słowo „polityka” z nabożnym namaszczeniem.

A potem, ku naszemu osłupieniu, zerwał się nagle z miejsca i podszedłszy na palcach do jednych z dwójga drzwi wychodzących z naszego przytulnego gabinetu na korytarz, wstrzymał oddech i zamarł na chwilę w bezruchu. Następnie szarpnął gwałtownie za klamkę i otworzył je na oścież, lecz za drzwiami nie było nikogo.

– Przepraszam – usprawiedliwił się widząc nasze zdumione miny. – Lepiej mieć się na baczności nawet we własnym domu. A zatem, jak już powiedziałem, do ostatecznego zwycięstwa potrzebna jest jeszcze szczypta polityki.

– Jakiej znów polityki?! – oczy Piotra Bartłomieja rozszerzyły się jeszcze bardziej.

– Właściwej i odpowiedzialnej, to znaczy takiej, która służy, a nie szkodzi ostatecznemu zwycięstwu. Właściwej i odpowiedzialnej, to znaczy takiej, która nas przybliży, a nie oddala od wytyczonego celu. Właściwej i odpowiedzialnej, czyli mówiąc krótko takiej, o jakiej Normanowie nie mają żadnego pojęcia, a już zwłaszcza hrabia Boemund. Bo pierwszą rzeczą jaką zrobią Normanowie, a zwłaszcza hrabia Boemund, jeśli uda się nam pokonać Kurbugę, będzie przypisanie tego zwycięstwa wyłącznie sobie – chyba zauważyliście, że zawsze tak robią? – a potem zagarnięcie całej Antiochii tylko dla siebie. I nikt im w tym nie przeszkodzi, nie łudźcie się, bo nikt przecież nie będzie pragnął rozlewu chrześcijańskiej krwi!

A zatem zagarną Antiochię i wyrzucą wszystkich, was również, moi panowie, z waszych domów i pałaców – w tym miejscu hrabia Rajmund rozejrzał się z takim żalem po przytulnym i obwieszonym kwiecistymi draperiami pomieszczeniu, w którym przebywaliśmy, jakby Normanowie, a zwłaszcza hrabia Boemund, właśnie go z niego wyrzucali siłą, po czym machnąwszy niedbale ręką, jakby nie przywiązywał większej wagi do tej nieuniknionej skądinąd straty, ciągnął z oburzeniem dalej: – I na tym skończy się udział Normanów w tej wyprawie, a zwłaszcza hrabiego Boemunda! Tylko że zajmując Antiochię dla siebie, Normanowie poróżnią nas wszystkich z cesarzem, któremu przysięgaliśmy, że oddamy mu wszystkie zdobycze należące wcześniej do Bizancjum. Jednocześnie, pozostając w Antiochii – bo na pewno już się stąd nie ruszą! – osłabią nas o wiele bardziej, niż najkrwawszy nawet remis, do którego może nas jeszcze doprowadzić Święty Andrzej. Szkopuł w tym, że bez tych

przeklętych Normanów i bez Bizantyjczyków, którzy się na nas śmiertelnie obrażą, nigdy nie zdobędziemy Jerozolimy. Nigdy, wielbny Piotrze Bartłomieju! I dlatego jedyna właściwa i odpowiedzialna polityka polega dziś na tym, żeby zachować za wszelką cenę przyjaźń cesarza Aleksego.

– Ale skąd jesteś pewny, panie, że hrabia Boemund tak właśnie postąpi? – zapytał Piotr Bartłomiej, wyraźnie zdeprimowany nakreślonym przed chwilą rozwojem wypadków.

– Sam się przekonasz. Znam go jak zły szeląg! – wyznał z goryczą hrabia Rajmund, ucinając zarazem machnięciem ręki dalszą dyskusję na ten bolesny temat.

– Cóż zatem powinniśmy zrobić? – spieszył się jeszcze bardziej Piotr Bartłomiej.

– To, o co zawsze proszę: zaniechać ataku i czekać spokojnie na Bizantyjczyków! – oświadczył dobitnie hrabia Tuluzy, po czym znów zerwał się z zydlą i otworzył znieacka drugie drzwi wychodzące z naszego gabinetu. Ponieważ i za nimi nie znalazł nikogo, uspokojony powrócił na swoje miejsce i dodał niemal szeptem:

– I dlatego, drogi przyjacielu, proszę cię gorąco, abyś jak najszybciej porozmawiał o tym ze Świętym Andrzejem. Mam nadzieję, że Apostoł jeszcze przemyśli sprawę i zmieni zdanie, póki nie jest za późno. Będę ci za to bardzo wdzięczny. Tak bardzo, jak tylko ja potrafię.

Piotr Bartłomiej, całkiem już skołowany, ukrył twarz w dłoniach i popadł w głęboką zadumę, toteż, na wszelki wypadek, kopnąłem go pod stołem w kostkę, aż się skrzywił. Wyrwany tak bezceremonialnie ze swoich rozmyślań, spojrzał na mnie ze złością, ale zachował się tak, jak powinien.

– Problem w tym – oświadczył ze zboląłą miną – że zanim tu dotrą Bizantyjczycy, pięć razy umrzemy z głodu.

– Nie wiedziałem, że głodujecie – zauważył z wyrzutem hrabia Rajmund, wskazując na stojące przed nami tace pełne przeróżnych smakołyków.

– My nie – wyjaśnił ponuro Piotr Bartłomiej – ale inni owszem. Wystarczy przejść się po mieście, żeby się o tym przekonać. Wybacz, mości hrabio, ale trudno, żebym ja, prosty i pokorny sługa Boży, tłumaczył Świętemu Andrzejowi, że się myli i nie ma pojęcia, co wygaduje. Bo kimże ja jestem, żeby pouczać Apostoła, co i jak powinien myśleć? Może faktycznie, jako rybak, zna się tak samo na polityce, jak i na wojaczce, ale skoro powiedział, że mamy atakować, to atakujmy i nie traćmy czasu na szukanie dziury w całym. W końcu to nie byle chłystek, tylko jeden z Dwunastu.

– Czy to twoje ostatnie słowo? – zapytał oschle hrabia de Saint-Gilles, a powieka nad jego jedynym okiem zaczęła nerwowo drgać.

– Obawiam się, że tak, mości hrabio.

– No cóż, zawiodłem się na tobie, Piotrze Bartłomieju, bardzo się na tobie zawiodłem! – skrzywił się hrabia Rajmund. – Tylko że ja, w przeciwieństwie do ciebie, nie powiedziałem jeszcze ostatniego słowa. Zresztą, kto wie, może ty też nie? Zobaczmy. Otóż, moim zdaniem, Święty Andrzej wcale nie musi się znać na wojaczce ani na polityce, ale jako Apostoł i jeden z Dwunastu, powinien znać się przynajmniej na ludziach. Co o tym sądzisz, Piotrze Bartłomieju?

– Na ludziach, bez wątpienia – zgodził się Piotr Bartłomiej.

– A ty, hrabio Alderney? – hrabia Tuluzy po raz pierwszy od dawna zwrócił się do mnie.

– Tak by chyba wypadalo – przyznałem i ja, wzruszając ramionami.

– To miło, że choć raz jesteśmy ze sobą zgodni – uśmiechnął się hrabia Rajmund, po czym zadał mi kolejne pytanie. – Czy pamiętasz, hrabio, ojca Agneau?

– Pierwszy raz słyszę to nazwisko – oświadczyłem.

– To dziwne, bo on pamięta ciebie doskonale. Poznał cię od razu, kiedy pokonałeś na błoniach aż dwóch harcowników. Pewnie i ty go rozpoznasz, jak go zobaczysz.

Po tych słowach klasnął trzykrotnie w dłonie i do naszego pokoju wszedł natychmiast jakiś siwowłosy i zasuszony zakonnik. Jego twarz rzeczywiście wydawała mi się znajoma, ale zupełnie nie mogłem sobie przypomnieć, gdzie i kiedy mogłem ją widzieć.

– No i jak? – zapytał hrabia de Saint-Gilles.

– Przykro mi, ale nie mogę go sobie przypomnieć.

– A ty, ojcie Agneau?

– To on, nie ma cienia wątpiwości! – stwierdził nowoprzybyły z jakąś złowrogą satysfakcją.

– No proszę, co za cudowne spotkanie! – roześmiał się hrabia Rajmund i zwrócił się ponownie do Piotra Bartłomeja: – Jak sądzisz, przyjacielu, co powiedzą ludzie o twoich objawieniach, a także o samym Świętym Andrzeju i jego Apostolskiej znajomości ludzi oraz umiejętności dobierania sobie wieszczów i proroków, kiedy dowiedzą się jutro, że jego wybraniec, wyniesiony ponad wszystkich innych śmiertelników, wielbny Piotr Bartłomiej, nowy Hiob i pokorny sługa Boży, przed którego domem dniem i nocą korzą się, modlą i śpiewają tłumy wielbicieli, przyjaźni się i mieszka pod jednym dachem z kimś ekskomunikowanym, ze zwykłym, parszywym heretykiem i zaprzysięgłym nieprzyjacielem Boga, który na dodatek, pod tym samym dachem, chociaż za plecami świątobliwego męża, chędoży równo jego kuzynkę?

– Co?! Co?! Co?! – Piotr Bartłomiej podskoczył, jakby go piorun strzelił. Wpił się rękoma w moje ramię i szarpiąc mną w tę i we w tę, zaczął krzyczeć mi wprost do ucha: – Powiedz, czy to prawda?! Chędożysz ją?! Chędożysz?!!

To był cios w samo serce i byłem zupełnie zdruzgotany! Już wiedziałem, kim jest ojciec Agneau i w jednej chwili przypomniałem sobie, jak to uwolniłem kiedyś z jego rąk nagiego heretyka. Niestety, hrabia Tuluzy powiedział prawdę także i w tej drugiej sprawie, i nie mogłem już dłużej oszukiwać mojego przyjaciele.

– Tak, Piotrze Bartłomieju, zdarzyło się. Dwa albo trzy razy – przyznałem skręcając się ze wstydu, że muszę to czynić w podobnych okolicznościach. – Ale kochamy się i jeśli pozwolisz, uczynię ją hrabiną Alderneyjeszcze dzisiaj.

– Ciekawe, jak? – zachichotał hrabia Tuluzy. – O ile mi wiadomo, ekskomunikowani nie mają prawa do żadnych sakramentów. Mam rację, ojciec Agneau?

– Jak zawsze, mości hrabio – potwierdził skwapliwie zakonnik. – Powiem więcej. Jako ekskomunikowany, ten człowiek nie powinien w ogóle uczestniczyć w krucjacie, bo choćby nawet zrobił coś dobrego czy wykazał się szczególnym bohaterstwem, to i tak nie ma to żadnego znaczenia. Pójdzie, łajdak, do piekła, gdzie jego miejsce, albowiem odpusty ogłoszone przez Jego Świątobliwość nie dotyczą heretyków ani wyklętych.

– Jakże to?! – zawołałem w rozpaczy i w tym samym momencie głos mi się załamał, więc dokończyłem niemal bezgłośnie, w dodatku jękając się: – Mnie mówiono coś innego!

– Ten, kto ci to powiedział, też musiał być niezłym heretykiem! – zaśmiał się ojciec Agneau, do którego dołączył natychmiast, z głośnym rechotem, hrabia de Saint-Gilles. – Najlepszym dowodem na to, że mówię prawdę, jest to, że właśnie z powodu ciężającej na nim ekskomuniki nie dopuszczono do udziału w krucjacie samego króla Francji Filipa, który nie miał w końcu innego wyjścia, jak wysłać na nią w zastępstwie swojego brata, hrabiego Hugona.

Po tych słowach pociemniało mi w oczach! Tymczasem Piotr Bartłomiej odepchnął mnie z furją i zawołał wściekle:

– A niech cię wszyscy diabli, pieprzony sukinsynu! – po czym opadł bezsilnie na zydeł, jakby i jego pchnięto sztyletem w serce.

– Nie ma co się tak denerwować, Piotrze Bartłomieju – hrabia Rajmund klepnął się z uciechy po udach. – Nikt nie jest prorokiem we własnym domu. Ale to jeszcze nie koniec świata. W końcu, Pan Bóg stworzył kobiety po to, żeby je chędożyć, a ekskomunikę zawsze można zdjąć. Wszystko zależy od tego, czy masz zwyczaj odpłacać przyjaźnią za przyjaźń i czy raczysz spełnić moją niewielką prośbę. Gdyby to mnie objawił się Święty Andrzej, nie musiałbym cię

o nic prosić, ale już wiemy, że Apostoł nie zna się także na ludziach, więc niestety muszę być nieco natrętny. Słucham, przyjacielu.

Lecz słuchać nie było czego, ponieważ Piotr Bartłomiej nie odezwał się ani słowem, tylko sączył swoje wino i wpatrywał się z zaciętą miną w kwiecisty kobierzec na ścianie.

– Piotrze Bartłomieju! – jeszcze raz przerwałem jego zadumę.- Myśl sobie o mnie, co chcesz, ale trzymaj się tego, co ci powiedział Święty Andrzej. Nie bierz na swoje sumienie tysiący ludzi, którzy przez ciebie mogą umrzeć z głodu!

– Zamknij się, Judaszu! – warknął w odpowiedzi, nie zaszczyciwszy mnie nawet spojrzeniem.

– Słyszałeś, hrabio Alderney? Masz się zamknąć – powtórzył z uśmiechem hrabia Rajmund. – Jeśli tego nie zrobisz, każę cię zrzucić ze schodów.

A potem zwrócił się znowu do Piotra Bartłomieja:

– Więc jak?

– Dobrze, mości hrabio – westchnął w końcu Piotr Bartłomiej. – Chyba mnie przekonałeś. Porozmawiam ze Świętym Andrzejem, kiedy się znów pojawi i przekażę mu twoje uwagi, bo w przeciwieństwie do niektórych tu obecnych, też zwykłem odplacać przyjaźnią za przyjaźń.

– No i sam widzisz! – rozpromienił się hrabia Tuluzy. – A nie można tak było od razu?

Piotr Bartłomiej wzruszył na to ramionami.

– Do pewnych decyzji należy dojrzeć. Tak czy inaczej, załatwione. Tylko żebyś później nie żałował, hrabio.

– Żebyś później nie żałował? – zdziwił się hrabia de Saint-Gilles. – Czego?

– Swojej prośby. Bo tak jak ty, panie, znasz na wylot hrabiego Boemunda, tak ja znam na wylot Świętego Andrzeja i wiem doskonale, co robi, kiedy mu powiem, że masz go za skończonego durnia nie tylko w kwestiach wojskowych i politycznych, ale nawet w kadrowych. Zaręczam ci, panie, że najpierw dostanie białej gorączki, a potem każe ci odebrać Świętą Włóczęgę i przekazać ją, razem z tytułem jej Chorążego i Protektora, w ręce kogoś godniejszego. Na przykład hrabiego Boemunda. Czy o to ci chodzi, mości hrabio? Słucham.

– Co?! Co?! Co?! – hrabia Rajmund podskoczył, jakby go nagle ukąsiła żmija. – Zapłacisz mi za to! Zniszczę cię, skurwysynu! – rozdarł się na całe gardło.

Również ja, już niemal zmartwiały z desperacji, podskoczyłem, jakby mnie nagle ukąsiła żmija, albo raczej jakbym, niespodziewanie i wbrew wszelkiej nadziei, stanął w przedsiódkach Niebieskiej Jerozolimy, i zacząłem drzeć się jeszcze głośniej: „Brawo, Piotrze Bartłomieju! Brawo!”. Ale Piotr Bartłomiej nie przejmował się ani mną, ani hrabią Tuluzy. Pozwolił się nam obu wykrzyknąć,

a potem, kiedy hrabia Rajmund opadł na swój zydel jak przekłuty pęcherz, oświadczył spokojnie:

– Hrabio de Saint-Gilles, jeśli chodzi o mnie, to jestem gotów zapomnieć o twoich pogroźkach i dobrze ci radzę zrobić to samo. Pamiętaj, że za mną stoi nie tylko Święty Andrzej i sam Jezus Chrystus, ale także mnóstwo ludzi – w tym większość twoich własnych żołnierzy – którzy z przyjemnością obrócą ten pałac w kupę gruzu, jeśli mnie albo komuś z moich bliskich spadnie choćby jeden włos z głowy.

Hrabia Rajmund zapadł się w sobie i milczał jak zakłęty, za to nieoczekiwanie odezwał się ojciec Agneau:

– A może by tak, mości hrabio, rzucić ekskomunikę także na tego drugiego? W końcu, kto się przyjaźni z heretykiem, sam jest heretykiem.

Ale wybrał się ze swoją propozycją bardzo nie w porę. Hrabia Tuluzy spurpurowiał i znalazłszy wreszcie ujście dla duszącego go gniewu, wycharczał wskazując palcem najbliższe drzwi:

– Spieprzaj, dziadu! Mam dość twoich pomysłów!

Wystraszony ojciec Agneau zawinął się błyskawicznie i już zniknął w drzwiach, kiedy osadził go w miejscu Piotr Bartłomiej:

– Stój! Dokąd ci tak spieszo?! Nie zapominaj, że jesteś coś winien mojej kuzynce.

– Ja?! Twojej kuzynce?! – strach ojca Agneau zmienił się w przerażenie.

– Owszem. Zdejmij natychmiast ekskomunikę z hrabiego Alderney.

– Co?! To niemożliwe...

– Ja ci zaraz pokażę, że coś jest niemożliwe! – wybuchł hrabia Rajmund. – Słyszałeś, co ci kazano?! Zdejmuj ją i spierdalaj!

Ojciec Agneau wymamrotał coś szybko po łacinie zbielełymi ze strachu wargami, a następnie przeżegnał mnie raz, dwa, znakiem krzyża.

– Skończyłeś? – upewnił się hrabia Rajmund, a kiedy tamten potwierdził podwójnym skinieniem głowy, rozkazał: – To już cię nie ma! I żebym cię więcej nie widział na oczy!

Kiedy ojciec Agneau zamknął za sobą drzwi, Piotr Bartłomiej, z każdą chwilą coraz bardziej odprężony i opanowany, dolał nam wszystkim wina i powrócił uprzejmym tonem do głównego wątku rozmowy:

– A zatem, hrabio de Saint-Gilles, czy upierasz się nadal, żeby przekazać twoje uwagi Świętemu Andrzejowi? Bo ja podtrzymuję, że to kiepski pomysł.

– Nie, wielebny Piotrze Bartłomieju, nie upieram się. Chyba mnie przekonałeś – odrzekł hrabia Tuluzy, łyknąwszy najpierw, na uspokojenie, trochę wina. – Jeśli w ogóle podjąłem ten temat, to wyłącznie *pro publico bono*¹⁸¹, z poczucia obowiązku, ponieważ na wojnie i na polityce nie tylko zjadłem zęby, ale jak

widać, straciłem też jedno oko. Nie wiedziałem, że Święty Andrzej jest aż tak drażliwy. Ale skoro taki jest, trzeba to uszanować. W końcu, to jeden z Dwunastu. Zwłaszcza, że po historii z tym durniem Agneau, za którą bardzo was, panowie, przepraszam – tym szczerzej, że sam byłem kiedyś ekskomunikowany i dobrze wiem, jakie to nieprzyjemne! – nie powinienem chyba zarzucać nikomu, że nie zna się na ludziach. Jak to się mówi, nie wytykaj drugiemu źdźbła w oku, póki z twojego własnego wystaje belka. Czyńmy więc, przyjaciele, co nam polecił Apostoł, a jeśli coś pójdzie nie tak, moje sumienie pozostanie czyste.

Po tych słowach pożegnaliśmy się zimno, przy czym hrabia Rajmund nie odprowadził nas tym razem nawet do drzwi gabinetu.

Kiedy znaleźliśmy się na dziedzińcu pałacu i zanim jeszcze dołączyła do nas eskorta Normanów oraz tłum wielbicieli Piotra Bartłomieja, wyjaśniłem krótko kuzynowi Uty, jak zostałem heretykiem i podziękowałem mu z całego serca za to, że doprowadził do zdjęcia ze mnie ekskomuniki. W odpowiedzi tylko machnął ręką i zapytał:

– To kiedy ślub?

– Choćby dzisiaj – powtórzyłem moją wcześniejszą deklarację. – O ile Uta się zgodzi.

– A co ona ma do gadania? – obruszył się. – Mnie też nie pytała o zgodę, jak miała ochotę grzeszyć!

– A ja bym ją jednak zapytał – podtrzymałem moje stanowisko. – Tylko może po bitwie, bo na wojnie różnie bywa. Choć razem jesteśmy niezwyknięci, to każdy z nas z osobna jest przecież śmiertelny. Nie chciałbym, żeby z panny młodej stała się od razu wdową.

– Dobrze, niech będzie po bitwie – zgodził się z tym punktem widzenia i wybacząc mi moje przewiny, uścisnął mnie serdecznie, po czym ostrzegł: – Ale do ślubu trzymaj się od niej z daleka. Żadnego chędożenia!

Ledwie wróciliśmy do domu, kiedy rozległo się głośnie łomotanie do bramy od ulicy. Wyjrzelśmy przez okno i zobaczyliśmy, że dobija się do nas sześciu nieznanymi normańskich żołnierzy. Zeszliśmy więc obaj na dół, żeby się dowiedzieć, co ich do nas sprowadza.

– Hrabia Alderney? – zapytał jeden z nich, wyglądający na dowódcę.

– Owszem. O co chodzi? – uniosłem ze zdziwienia brwi.

– Willibald z Messyny, do usług – skłonił się przede mną. – Mój pan, jaśnie wielmożny hrabia Boemund, przydzielił mnie oraz moich ludzi do twojej ochrony i dyspozycji. Na wszelki wypadek. Czekamy na rozkazy, mości hrabio.

Spojrzelśmy z Piotrem Bartłomiejem po sobie, a potem, jak na komendę, parsknęliśmy śmiechem.

– Czyżby coś było nie tak? – stropił się pan Willibald z Messyny.

– Ależ skąd, przyjacielu! – wyciągnąłem do niego prawicę. – Serdecznie witam i bardzo się cieszę. Rozgośćcie się, panowie, na dole, gdzie spotkacie waszych towarzyszy, chroniących już Piotra Bartłomieja. Też na wszelki wypadek. A co do rozkazów, dziś nie mam żadnych.

Kiedy pan Willibald zasalutował i zaprowadził swoich żołnierzy do sieni, Piotr Bartłomiej zagwizdał z podziwu:

– Fiu, fiu! W ciągu paru dni zostałeś hrabią, przestałeś być heretykiem, zyskałeś narzeczoną i na dodatek objąłeś dowództwo nad własną armią! To nie może się dobrze skończyć, przyjacielu.

*

Do wigilii dnia Świętego Piotra pozostał niecały tydzień. Większość pielgrzymów, cierpiących coraz okrutniej z głodu, podzielała zdanie Świętego Andrzeja, że bitwa z Kurbugą jest naszą jedyną szansą. A ponieważ Święta Włócznia zapewniała nam zwycięstwo, tym bardziej nikt nie chciał zginąć i jak Antiochia długa i szeroka przygotowywano się do boju niezwykle starannie. Wszędzie naprawiano i ostrzono broń, wykuwano miecze i groty, strugano strzały, łatano kolczugi, polerowano zbroje, klepano pogięte tarcze i sporządzano nowe z czego się tylko dało. Tu i ówdzie, pod okiem doświadczonych wiarusów, ćwiczono różne manewry, przerabiano na żołnierzy nie obeznanych dotąd z orężem cywilów, a nawet uczono walczyć pieszko, w zwartym i zdyscyplinowanym szyku, tych spośród rycerzy, którzy zdążyli już zjeść swoje konie.

Ja też ćwiczyłem codziennie z moimi Normanami, jak również z Fulkiem i jego przyjaciółmi, którzy uparli się, by wziąć udział w rozstrzygającej bitwie. Ponieważ nie mogłem im tego zabronić ani w żaden sposób wyperswadować, chciałem im przynajmniej pokazać, co powinni robić, żeby nie dać się łatwo zabić, i żeby z ich poświęcenia był jeszcze jakiś ogólny pożytek.

Pośród tych wszystkich przygotowań, toczonych z wielką determinacją i z niezłomną wiarą w zwycięstwo, w dniu Świętego Jana rozeszła się w mieście wiadomość, że nazajutrz nasi wodzowie wyślą do Kurbugi misję dyplomatyczną. Ludzie przyjęli ją z satysfakcją, dopatrując się w tym posunięciu sprytnej strategii dowództwa, ponieważ pod przykrywką poselstwa można się było zorientować w sile i rozmieszczeniu nieprzyjacielskich wojsk, w stanie ich uzbrojenia, jak też w nastrojach panujących w obozie wroga. W powszechnym odczuciu, zwiadowczy charakter misji potwierdzał także fakt, że powierzono ją Małemu Piotrowi, jako że ewentualne odkrycie przez Turków jej prawdziwego celu i w konsekwencji, naruszenie przez nich świętej zasady nietykalności posłów, nie mogło pozbawić wyprawy żadnego z jej głównych dowódców, dając

zarazem Piotrowi Pustelnikowi chwalebna szansę zmycia z siebie męczeńską krwią wielkiej hańby, jaką okrył się dwukrotnie, dezerterując w obliczu wroga.

Sam też tak uważałem, dopóki jeszcze tego samego dnia nie odwiedził mnie pan Herluin, mający być tłumaczem Małego Piotra podczas rozmów z Kurbugą.

Podobnie jak poprzednim razem kiedy go widziałem, pan Herluin wyglądał na rozdrażnionego, ale złożyłem to na karb obaw związanych z czekającą go trudną misją i nawet powiedziałem mu, żeby się nie martwił, bo jeśli zachowają z Małym Piotrem należytą ostrożność, na pewno wykonają swoje zadanie i powrócą do Antiochii zdrowi i cali.

– Nie w tym rzecz – pokręcił przecząco głową. – Muzułmanie to ludzie rozsądni i szanują posłów tak samo jak my.

– Więc o co chodzi? – zapytałem.

Wtedy rozejrzał się ostrożnie na boki i rzekł:

– Właśnie o tym chciałem z tobą porozmawiać. Ale nie tutaj, bo ściany mogą mieć uszy. Chodźmy lepiej się przejść.

Zaintrygowany wybrałem się z nim na spacer, oczywiście w towarzystwie moich Normanów, trzymających się jednak dyskretnie kilka kroków za nami.

– No więc? – powtórzyłem moje pytanie, kiedy doszliśmy do katedry Świętego Piotra.

– Wiesz, po co jadę jutro z Małym Piotrem do Kurbugi? – zapytał z bolesnym grymasem.

– Domyślam się, że na przespiegi. Jeśli nie, to nie mam pojęcia.

– Na przespiegi? – roześmiał się gorzko. – I owszem. Ale przede wszystkim po to, żeby mu przekazać, że chcemy się poddać.

– Co?! – na chwilę oniemiałem. – Poddać się?!

– Dokładnie. A jeszcze dokładniej, żeby zapytać Kurbugę, czy zgodzi się nas wypuścić z całym dobytkiem do Europy, jeśli złożymy część broni i oddamy mu Antiochię bez walki.

– Toż to jawna zdrada! – zatrząsnęłam się z oburzenia. – Skąd o tym wiesz?!

– Sami mi to powiedzieli, żebym sobie dobrze przygotował tłumaczenie.

– A to skurwysyny! – wykrzyknąłem tak głośno, że aż obejrzało się za nami kilku przechodniów. – A Święta Włócznia?! Czyżby w nią nie wierzyli?!

Pan Herluin wzruszył ramionami.

– Jedni wierzą, drudzy nie. Ale nawet u tych, którzy w nią wierzą, nie jest to wiara przenosząca góry.

– Co za cymbał to wymyślił?! – ciskałem się dalej.

– Hrabia Rajmund, lecz mniej lub bardziej popierają go wszyscy oprócz Normanów. Ci, jak zawsze, wolą się bić, tylko że sami niewiele mogą. I dlatego zgodzili się na tę misję, licząc pewnie w duchu na to, że Kurbuga odmówi.

– I tu się mylą, przyjacielu! Dlaczego miałyby odmówić?! Kurbuga na pewno się zgodzi. Zgodzi się, a potem wyrznie nas wszystkich jak owce, albo weźmie do niewoli!

– Dlaczego?

– Dlatego, że ma nas w garści; dlatego, że posiada dwa albo trzy razy więcej wojska od nas; dlatego, że to my umieramy z głodu, a nie on; po to, żeby pomścić tych, których tu zabito, i wreszcie po to, abyśmy tu więcej nie wrócili! A przede wszystkim dlatego, że my na jego miejscu zrobilibyśmy dokładnie to samo. Co za banda łachudrów!

– A może wcale nie? Może nasi wodzowie wreszcie starają się myśleć rozsądnie i chcą nas wszystkich uratować? – wysunął swoje wątpliwości.

– Jak tak, to zwracam im honor, w takim przypadku nie są skurwysynami, tylko bandą skończonych durniów! Pamiętaj, przyjacielu, że *kto chce zachować życie, straci je!*¹⁸² Zwłaszcza tu i teraz! Bo tu i teraz przeżyje tylko ten – i to nie każdy – kto się nie podda. Niech ci durnie robią sobie, co chcą. Ja się na pewno nie poddam i mam nadzieję, że Normanowie też!

– Dobrze, ale co ja mam zrobić? – zapytał coraz bardziej przybity.

– Nie wiem. Rób, co ci każe sumienie, tak jest zawsze najlepiej. I niech nas Pan Bóg ma w swojej opiece!

– Dobrze, jeszcze to sobie przemyślę. Tylko proszę cię, nie mów o tym nikomu. Nie chcę, żeby do nich doszło, że się wygadałem. Może się jeszcze opamiętają? W każdym razie, ja już do niewoli nie pójdę.

– Ani ja, *monsieur* Herluin! Uważaj na siebie u Kurbugi.

Rozstałem się z nim wzburzony i to wzburzenie nie opuściło mnie aż do południa następnego dnia, kiedy, podobnie jak tysiące innych pielgrzymów, nie wiedzących jednak tego wszystkiego co ja, wybrałem się na mury, żeby obejrzeć wyjazd naszej delegacji do atabega Mosulu.

Ledwie Mały Piotr i pan Herluin, poprzedzani przez dmącego w trąbkę herolda, wyjechali za Bramę Świętego Pawła, stało się jasne, że zwiadowcza część misji skończyła się kompletnym fiaskiem, zanim się w ogóle zaczęła, ponieważ Turcy nałożyli im zaraz opaski na oczy i dopiero kiedy byli pewni, że nasi emisariusze są ślepi jak krety, odprowadzili ich pod strażą do kwatery Kurbugi, położonej dobrą milę na północ od Antiochii.

Mimo to czekaliśmy na ich powrót w napięciu, i to znacznie krócej, niż można się było spodziewać. Mniej więcej po godzinie Mały Piotr, pan Herluin oraz herold, wszyscy cali i zdrowi, choć z zawiązanymi na nowo oczami, zostali odstawieni przez turecką eskortę z powrotem do miasta. Kiedy zamknięto za nimi bramę, nasi posłowie nie chcieli odpowiadać na żadne pytania, jakimi ich od razu

zasypano, tylko z ponurymi minami udali się prosto do pałacu hrabiego Rajmunda, gdzie zebrało się całe naczelne dowództwo.

Przenieśliśmy się zatem pod pałac, w którym, o dziwo, zdawanie raportu z misji i dyskusja, jaka musiała się potem wywiązać, trwały nieporównanie dłużej niż samo posłowanie. W końcu, po trzech godzinach wyczekiwania w ścisku i niemiłosiernym skwarze, gdy ogarniały nas już najczarniejsze myśli, w oknie pałacu pojawił się pan Rajmund d'Aguilers, osobisty kapelan i sekretarz hrabiego Tuluzy, z kawałkiem pergaminu w garści.

– Bracia i siostry! – zwrócił się do nas, po czym odczekał chwilę, aż na placu zapadnie cisza i kontynuował zerkając od czasu do czasu na trzymany w rękę pergamin: – Jak wiecie, nasi dowódcy, mężowie najwielmożniejsi z wielmożnych i najczcigodniejsi z czcigodnych, jacy między nami są, wysłali dziś do Kurbugi, atabega Mosulu, poselstwo w osobie wielebnego brata Piotra zwanego Pustelnikiem, który wypełnił swoją misję sumiennie i zgodnie z otrzymanymi instrukcjami. Niestety, choć była to z naszej strony misja dobrej woli, nieprzyjaciel, zapiękły wróg imienia naszego Pana Jezusa Chrystusa oraz wszystkich tych, którzy mają zaszczyt mienić się Jego uczniami, trzymający nas w srogim oblężeniu już od trzech tygodni i zdecydowany zamorzyć nas głodem, tak abyśmy nigdy nie dotarli do Jerozolimy, odtrącił ze wzgardą rękę, którą do niego wyciągnęliśmy!

Wiedzeni bowiem chrześcijańskim wstrętem do rozlewu krwi i świadomi słuszności naszego odwiecznego prawa do tej ziemi, którą jako pierwszą nawrócił przed wiekami na prawdziwą wiarę sam Święty Piotr Apostoł, opoka Kościoła Chrystusowego, zaproponowaliśmy atabegowi Kurbudze, że jeśli w ciągu jednej doby odstąpi od oblężenia Antiochii, darujemy łaskawie życie nie tylko jemu samemu, ale także wszystkim jego ludziom, pozwalając im odejść z całym dobytkiem, dokąd tylko zechcą, bez żadnych przeszkód czy wstrętów z naszej strony, i nagradzając po królewsku tych wszystkich, którzy wyrzekną się błędów swojej doktryny i zdecydują się przyjąć chrzest święty.

Ku naszemu wielkiemu żalowi, dowódca niewiernych odrzucił jednak tę ofertę i ze swojej strony zażądał od nas złożenia całej broni i poddania miasta w ciągu pięciu dni, jak również przejścia nas wszystkich na islam! Zapowiedział także, że wszyscy chrześcijanie, którzy tego nie uczynią, zostaną zabici lub wzięci do niewoli.

W tej sytuacji, wobec jawnej złej woli i zatwardziałości nieprzyjaciela, nasi duchowi i wojskowi przywódcy postanowili nie podejmować z nim więcej żadnych rozmów i rozstrzygnąć wszystko krwawym bojem, w wigilię dnia Świętego Piotra, zgodnie z objawieniem, jakie zostało zesłane naszemu bratu Piotrowi Bartłomiejowi. Gotujcie się zatem do bitwy na śmierć i życie, ale

z ufnością i wiarą w zwycięstwo. Pamiętajcie, że Bóg jest po naszej stronie, czego najlepszą rękojmią jest Święta Włócznia, przekazana nam niedawno przez naszego Pana Jezusa Chrystusa i Jego wiernego ucznia, Świętego Andrzeja Apostoła. Zwycięzimy, bracia i siostry! Bóg tak chce!

Po tych słowach z gardeł tysięcy ludzi zebranych na placu wydarły się okrzyki „Zwycięzimy! Zwycięzimy!”, „Bóg tak chce!”, „Śmierć niewiernym!”, „Niech żyje Chrystus Król!”, „Na Kurbugę!” i rozszalała się prawdziwa burza braw, ja zaś poczułem, jak moje napięte nerwy doznają stopniowo ukojenia i powoli ustępuje także bolesny ucisk wokół mego serca, doskwierający mi bez przerwy od czasu rozmowy z panem Herluinem. W końcu, szczęśliwy, że nasi wodzowie, czy może tylko niektórzy z nich, poszli wreszcie po rozum do głowy i zamiast wyprowadzać nas z miasta bez broni na pewną rzeź, postanowili jednak stanąć do walki, również zacząłem klaskać i wiwatować jak inni.

Zaś wieczorem wybrałem się do pana Herluina, żeby dowiedzieć się czegoś więcej o jego wizycie w kwaterze Kurbugi.

Zastałem go przy naprawie starej kolczugi, gdyż spełniając swój rycerski obowiązek, także on zamierzał wziąć udział w rozstrzygającej bitwie.

– No i co, *monsieur* Herluin? – przywitałem go serdecznie. – Chyba niepotrzebnie wieszaliśmy aż tak bardzo psy na naszych naczelnym wodzach. Nawet nie wiesz, jak się bałem, że nas zdradzą!

– I niewiele brakowało – odpowiedział cierpko. – Bo jeśli myślisz, hrabio Alderney, że się opamiętali, to jesteś w błędzie. Mały Piotr naprawdę zaproponował Kurbudze, że się poddamy, o ile Turcy pozwolą nam odejść z całym dobytkiem do domów.

– A to gnoje! – poczułem znowu bolesne ukłucie w sercu. – I co na to atabeg Mosulu? Nie zgodził się?

– Nie, bo mu tej oferty nie przetłumaczyłem. Zamiast tego, dla wybadania jego intencji, zaproponowałem mu w imieniu naszego dowództwa, aby kwestia, do kogo powinna należeć Antiochia, została rozstrzygnięta przy pomocy turnieju, z udziałem dziesięciu lub dwudziestu rycerzy z każdej strony. Zwycięzcy wzięliby Antiochię, a przegrani odeszliby stąd w spokoju, bez ogólnej jatki.

– Niezły pomysł. I co na to Kurbuga?

– Roześmiał mi się w twarz i rzekł: „Na Tego, który daje zwycięstwo i chwałę! A dlaczegóż miałbym się na to zgodzić, niewierne psy?! Mam was w garści i posiadam trzy razy więcej wojska od was. To wy umieracie z głodu, nie ja. A poza tym, muszę pomścić tych, których tu wymordowaliście i nie dopuścić do tego, abyście tu kiedykolwiek wrócili! Przede wszystkim jednak, nie mogę pozwolić na to, żeby uważano mnie za głupszego od was. Nic z tego, podstępne żmije! Macie pięć dni na złożenie całej broni i poddanie miasta. Kto tego nie

zrobi i nie przejdzie na islam, zostanie zabity bądź pójdzie do niewoli”. To akurat przetłumaczyłem Małemu Piotrowi bardzo dokładnie, no i na tym skończyła się nasza misja. Resztę sam widziałeś. Chociaż nie, bo kiedy wracaliśmy do miasta, jeden z eskortujących nas Saracenów, chyba z armii emira Damaszku, zapytał mnie jeszcze po cichu, ile bylibyśmy skłonni zapłacić za głowę Kurbugi?

– Naprawdę?! I zameldowałeś o tym dowództwu?

– Owszem. Ale teraz tego żałuję, bo hrabia Boemund z miejsca mnie obraził.

– Jak to?

– A tak. Bo zapytał mnie od razu: „A ile sobie zażyczył?”. A kiedy odparłem, że nie wiem, ponieważ odpowiedziałem tamtemu Saracenowi, że my, chrześcijanie, nie imamy się takich sposobów i pokonamy ich w uczciwej walce, jęknął i zawołał przy wszystkich: „O Boże! I jak tu z durniami wygrać wojnę?!”. Tak śmiał o mnie powiedzieć, normański prostak!

– Nie przejmuj się, hrabia Tarentu już taki jest, nic na to nie poradzisz. Tak czy inaczej, spisałeś się świetnie, absolutnie świetnie! *Chapeaubas, monsieur Herluin!* ¹⁸³

– Nie wiem. Mimo wszystko gryzie mnie sumienie, że przyczyniłem się w ten sposób do rozlewu krwi.

– Niepotrzebnie. Rozlewu krwi i tak nie unikniemy, natomiast za to, że udaremniłeś zdradę i nie dopuściłeś do rzezi bezbronych, należą ci się dzięki i chwała! – uściskałem go z całych sił, a potem, obiecawszy mu, że także tę rozmowę zachowam w najgłębszej tajemnicy, wróciłem do siebie.

Nazajutrz, na dwa dni przed objawionym terminem bitwy, legat papieski obszedł całe miasto na czele uroczystej procesji, a we wszystkich kościołach Antiochii odprawiono msze święte w intencji tryumfu Krzyża. Ludzie pościli, rozdawali jałmużnę, dokonywali duchowego oczyszczenia, wyznawali grzechy i otrzymywali rozgrzeszenie, przyjmowali z wiarą Ciało i Krew Chrystusa – co, skoro zdjęto ze mnie ekskomunikę, po raz pierwszy od dawna zrobiłem także ja – zaś wieczorem Piotr Bartłomiej ogłosił swoje kolejne widzenie.

Tym razem, w związku ze zbliżającą się walną bitwą, mającą zadecydować o naszym życiu lub śmierci, Święty Andrzej Apostoł pokrzepił nas, mówiąc, że oto wzywaliśmy Pana i zostaliśmy wysłuchani. Radził nam wypędzić za bramy wszystkich wątpiących w zwycięstwo, tak aby poszli sobie bez przeszkód do Turków i przekonali się na własnej skórze, jak zostaną zbawieni przez Allaha; tych zaś, którzy odmówiliby udziału w walce, potraktować jak Judasza i wykluczyć raz na zawsze z wyprawy. Podczas bitwy mieliśmy pamiętać nie tylko o Bogu, ale także o Świętym Piotrze, który jako pierwszy nawracał w tej ziemi pogan, oraz używać zawołania „Boże, dopomóż!”, zaś naszym jedynym zadaniem było pokonanie zaledwie jednej dziesiątej sił wroga, jako że z całą

resztą mieli sobie poradzić – z woli i pod wodzą samego Boga – wszyscy nasi bracia zmarli i zabici od początku wyprawy, którzy podobno aż rwali się w niebie, by w tej godzinie najcięższej próby stanąć u naszego boku i wraz z aniołami i świętymi Pańskimi pomagać nam po śmierci tak samo, jak nam pomagali za życia.

Najnowsze prorocstwo Piotra Bartłomieja natchnęło tak wielką wiarą i odwagą nawet tych pielgrzymów, którzy do tej pory trzęśli się ze strachu przed Turkami, że wokół kwater głównych wodzów zebrały się szybko tłumy, domagające się natychmiastowego uderzenia na Kurbugę. Nasi dowódcy pozostali jednak nieugięci. Zgodnie z objawieniem Piotra Bartłomieja i planem hrabiego Boemunda – któremu, przy jednym tylko głosie sprzeciwu hrabiego Tuluzy, reszta wielkich panów powierzyła tymczasowo naczelne dowództwo w polu – walna bitwa miała się rozegrać dopiero nazajutrz.

Poprzedzającej ją nocy prawie nie spałem. O brzasku pożegnałem się z bladą, lecz nadzwyczaj spokojną Utą, która zapewniła mnie raz jeszcze, że jeśli zostaniemy pokonani, nie da się wziąć żywcem, a także z Piotrem Bartłomiejem, który, jak wielu innych Prowansalczyków, został w mieście, aby pod wodzą hrabiego Rajmunda bronić Antiochii przed ewentualnym atakiem Ibn Marwana od strony cytadeli.

Już na miejscu zbiórki pożegnałem się również z przyjaciółmi Fulka, z których każdy, jak mu nakazywał honor, zamierzał walczyć pod sztandarem tego z wielkich panów, którego imię sobie przybrał. Sam Fulko i sześciu moich Normanów przyłączyli się wraz ze mną do piechoty Roberta księcia Normandii, gdzie aż roіło się od rycerzy, którzy zjedli bądź stracili swoje konie. „Trzymaj się jak najbliżej mnie – poinstruowałem Fulka, kiedy zajęliśmy miejsce w szeregu. – W razie czego, będziemy cię osłaniać”. „Tak jest”, zgodził się z dziwną u niego potulnością i od tej pory nie odstępował mnie ani na krok, podobnie zresztą, jak moi Normanowie.

Następnie wysłuchaliśmy mszy świętej, po czym hrabia Boemund sformował sześć linii bojowych. Pierwszą z nich tworzyli ludzie hrabiego Hugona de Vermandois i Roberta hrabiego Flandrii, z bardzo silnym oddziałem łuczników. Tuż za Frankami i Flandryjczykami usytuowali się Lotaryńczycy i Niemcy księcia Gotfryda de Bouillon. Trzecią linię stanowiliśmy my, piechota i jazda księcia Normandii, złożone głównie z północnych Normanów i Anglików. W czwartej, dowodzonej przez biskupa Adhemara de Monteil i pana Gastona wicehrabiego Bearn, stanęła reszta Prowansalczyków hrabiego Tuluzy i towarzyszący im niewielki oddział Aragończyków. Znajdował się tam również pan Rajmund d'Aguilers ze Świętą Włócznią, mającą zapewnić nam zwycięstwo. Piąta linia składała się z południowych Normanów hrabiego Tankreda, zaś szóstą

i ostatnią tworzyli zaprawieni w boju wojacy hrabiego Tarentu, wspomagani przez specjalnie wydzielony korpus normańskich, lotaryńskich i frankijskich weteranów pod wodzą pana Renalda hrabiego Toul. We wszystkich liniach nie brakowało także duchownych, pragnących nam towarzyszyć również na polu bitwy, podczas gdy wielu innych, stojących na murach, zęgało nas znakiem krzyża i błogosławiło śpiewając przy tym hymny i litanie, jak też zanosilo błagania do Boga, żeby zachował nas przy życiu i dał nam zwycięstwo.

Kiedy otworzono Bramę Mostową, najpierw wysunął się przez nią hufiec hrabiego Hugona. Muzułmanie stacjonujący w zajęтым przez siebie kasztelu La Mahomerie i pilnujący Mostu Ufortyfikowanego, nie spodziewali się zupełnie, że możemy wyjść za mury i zaryzykować bitwę w otwartym polu, więc wzięli to zrazu za próbę kolejnej ucieczki. Kiedy zorientowali się, że „uciekających” jest zbyt wielu i są za dobrze uzbrojeni, wszczęli alarm, a ich najbliższe stojące oddziały rzuciły się hurmem, by zablokować wyjście z mostu. Lecz wtedy wkroczyli do akcji łucznicy hrabiego Hugona, którzy wybili do nogi wszystkich atakujących, po czym, choć sami znaleźli się rychło pod ostrzałem, zaczęli schodzić na prawy brzeg Orontesu, ostrzeliwując w dalszym ciągu wszystkich próbujących się zbliżyć nieprzyjaciół.

Wtedy miasto zaczęły opuszczać następne grupy chrześcijan, zajmując miejsce na lewej flance poprzednich, po czym tworzyły kolejne szeregi, zwrócone frontem ku północy, skąd można się było spodziewać natarcia głównych sił przeciwnika z samym Kurbugą na czele. Kiedy przyszła nasza kolej, przeżegnałem się, a potem, gdy przechodziliśmy przez most, przemknęło mi jeszcze przez głowę, że za nic na świecie nie chciałbym się teraz spotkać z Raduanem, później jednak nie dało się już myśleć o niczym, bo o nasze tarcze, hełmy i pancerze zaczęły bębnić tak gęsto strzały, że musiałem skupić się wyłącznie na tym, jak się przed nimi zasłonić przy pomocy ciężkiej normańskiej tarczy, którą kupiłem na tę okazję razem z mieczem (moją, znacznie lżejszą, szablę pożyczyłem Fulkowi). Kiedy znaleźliśmy się na drugiej stronie rzeki, nad kasztel La Mahomerie i nad cytadelą pojawiły się równocześnie czarne flagi, co musiało być umówionym sygnałem Turków, że przerwaliśmy oblężenie i prawdopodobnie wskazywało nawet, gdzie do tego doszło.

Przejsie przez Bramę Mostową było bardzo niebezpieczne, gdyż na wąskim moście trudno było zachować szyk bojowy, toteż gdyby załoga La Mahomerie zdecydowała się na początku bitwy uderzyć na chrześcijan wszystkimi siłami, prawdopodobnie zdołałaby wyciąć większość z tych, którzy wyszli za mury jako pierwsi i zmusić resztę do wycofania się do miasta. Jednak muzulmanie nie zrobili tego, może z powodu zaskoczenia, a może dlatego, że chcieli nam zadać jak największe straty i woleli, żeby wyszło nas z miasta trochę więcej. W każdym

razie, przegapiwszy moment, w którym uzyskaliśmy liczebną przewagę, mogli już tylko bezsilnie czekać na posiłki.

Te zaś nadciągnęły niemal dokładnie wtedy, kiedy hrabiemu Boemundowi udało się wyprowadzić za mury wszystkie nasze siły i ustawić je w zaplanowanym przez siebie szyku bojowym w kształcie litery „C”. Jako pierwsza zjawiła się turecka jazda, pilnująca dotychczas północnych i zachodnich bram Antiochii. Część Turków przeprawiła się przez Orontes po moście łyżwowym, część przez płyciznę, po czym wszyscy, skręciwszy w lewo, zaczęli rozpędzać swoje konie, by uderzyć na nas od czoła. Kiedy nieprzyjaciel znalazł się w zasięgu strzału, nasi łucznicy i kusznicy wypuścili w jego kierunku trzy chmury strzał, od których na chwilę pociemniało w oczach, a potem wycofali się biegiem za flandryjskich i frankijskich piechurów czekających na nieprzyjacielską jazdę z pikami wbitymi ukośnie w ziemię i ściskanymi oburącz ze wszystkich sił.

W chwilę później zbita masa jeźdźców i koni, często już z pustymi siodłami, uderzyła w naszą piechotę z takim impetem, z jakim sztormowa, spiętrzona fala bije niekiedy w nadmorskie skały. Rozległ się huk pękających drzewców, przeraźliwy krzyk ludzi miażdżonych przez rozpędzone konie, kwik i rżenie przeszywanych na wylot wierzchowców, łoskot zderzających się ze sobą tarcz, pawęży i pancerzy, ogłuszający klekot tysięcy mieczy i szabel, które pofrunęły sobie na spotkanie, a potem zapanował straszliwy chaos i zaczęła się bezwzględna rzeź.

Niektórzy z tureckich jeźdźców wdarli się głęboko w nasze szeregi, ale tak jak morska fala zalawszy część lądu, szybko znika wsiąkając w piasek, tak i oni znikali zaraz, razem ze swoimi końmi, pod spadającymi zewsząd ciosami mieczów i włóczni, a później pod nogami Franków i Flandryjczyków. A kiedy z przodu bito się zażarcie, od tyłu, krzycząc wniebogłosy, „*Allah akbar!*”, zaatakowały nas muzułmańskie oddziały stacjonujące dotąd pod Bramą Świętego Jerzego, wspomagane dodatkowo przez załogę La Mahomerie. Jednak hrabia Boemund przewidział w swoich planach także i ten manewr. Z dowodzonej przez niego tylniej straży wyodrębniła się natychmiast siódma, zapasowa linia, złożona z normańskich, lotaryńskich i frankijskich weteranów pod komendą pana Renalda hrabiego Toul, i dokonawszy gwałtownego zwrotu, przyjęła na siebie cały ciężar tego uderzenia.

Tymczasem nasze przednie szeregi, choć rozchwiane i zdziesiątkowane po szarży tureckiej konnicy, dostały rozkaz parcia naprzód. Ruszyliśmy zatem z okrzykiem „Boże, dopomóż!”, zwartą i chrzęszczącą ławą, dźgając Turków resztkami pik i tnąc ich zapamiętałe mieczami. A ponieważ przeciwnik ani myślał ustępować i nie pozostawał nam dłużny, na całej linii frontu rozpętało się

istne piekło. Wszędzie rżnięto się i siekano mieczami i szablami, rąbano się i ćwiartowano toporami, przebijano się nawzajem włóczniami, gruchotano sobie wzajemnie kości, łupano i druzgotano czaszki, wypruwano z siebie wnętrzności, wybijano zęby, wykłuwano oczy, przetrącano karki i ścinano głowy. Wszędzie szlachtowano się, siekano, krojono, rżnięto, łupano, chlastano na odlew, miażdżono, ryto sobie w trzewiach, przepoławiano się, zwalano z nóg, deptano i rwano się na strzepy – tak samo zaciekle, nieustępliwie i bez litości.

Oblepieni od stóp do głów lepłą mazią z krwi, kurzu, potu, końskiej piany, moczu, ludzkich i zwierzęcych flaków, treści żołądka, ekskrementów i płatów mózgow, zgniatani przez napierających zewsząd ludzi i oszalałe ze strachu zwierzęta, rozpychając się rozpaczliwie łokciami i tarczami, byle tylko złapać haust powietrza, byle tylko utrzymać się na powierzchni wzburzonego morza głów i ramion, i nie dać się ściągnąć w dół, pod końskie kopyta i podkute buty, w oślizgłą masę, która drgała pod naszymi stopami i od czasu do czasu chwyciła nas rozpaczliwie za ręce lub nogi, by nas porwać i pochłonąć w siebie na zawsze, posuwaliśmy się krok za krokiem naprzód i powoli spychaliśmy przeciwnika w stronę Orontesu. Ramiona omdlewały nam od ciągłych pchnięć i razów, lecz kiedy tylko na moment robiło się nieco luźniej, znów nabieraliśmy powietrza, braliśmy zamach i waliliśmy bronią na oślep.

Tnąc, dźgając, prując i płatając ludzkie i końskie ciała, zerkałem od czasu do czasu na Fulka, który, choć zalany krwią i bardzo przerażony, radził sobie całkiem nieźle; raz czy drugi osłoniłem go moją tarczą, lecz tak samo jak wszyscy dokoła, nie miałem pojęcia, co dzieje się na naszych tyłach, gdzie walczyli ludzie hrabiego Renalda i hrabiego Boemunda. Że szło im nie najgorzej, upewniłem się dopiero wtedy, gdy doszedł nas stamtąd potężny okrzyk tryumfu, po którym część naszych bezpośrednich przeciwników, zwłaszcza jeźdźców, ogarniających wzrokiem z wysokości siodeł znacznie większy obszar pola walki, rzuciła się do ucieczki.

Na ten widok zaczęliśmy krzyczeć „Hura!” i znów „Boże, dopomóż!”, i natarliśmy na wroga jeszcze mocniej, wskutek czego coraz więcej nieprzyjaciół zaczynało wpadać w panikę i podawać tyły, uciekając w górę Orontesu. W parę chwil później dezercja przybrała masowy charakter, zaś nasi uciekający na łeb, na szyję przeciwnicy zderzyli się nagle – ku naszej wielkiej radości – ze śpieszącymi dopiero na pole bitwy głównymi siłami muzułmańskimi pod wodzą samego Kurbugi.

Przerażeni uciekinierzy złamali i pomieszali szyki nadciągających Turków i Arabów, z których część, sądząc widocznie, że bitwa jest już przegrana, zawróciła konie i również zaczęła uciekać.

Wówczas, dla zwiększenia zamętu, jaki zapanował niespodziewanie w nieprzyjacielskich szeregach, nasza nieliczna i trzymana dotąd w odwodzie konnica uderzyła na trzon sił Kurbugi, co spowodowało, że chaos w nieprzyjacielskich szeregach sięgnął zenitu. Część muzułmańskich jeźdźców skakała w fale Orontesu, część gnała na złamanie karku na północ, jeszcze inni, jakby zupełnie stracili orientację w terenie oraz wszelką chęć do życia, zawrócili raz jeszcze i ruszyli odważnie prosto na nas, obalając i miażdżąc kopytami wierzchowców wszystko, co napotkali na swojej drodze.

I właśnie wtedy, gdy wspiąwszy się na palce, wziąłem szeroki zamach, by ciąć w plecy jednego z rozjeżdżających nas na miazgę desperatów, poczułem w ręku przeszywający ból, a potem dziwną lekkość. A kiedy odwróciłem głowę, żeby sprawdzić, co się stało z moim mieczem, prosto w twarz chlusnęła mi struga krwi!

Zdążyłem jeszcze zauważyć, że nie mam już nie tylko miecza, ale także prawej dłoni, obciętej równo powyżej nadgarstka, po czym niezmiernie zdumiony, że mój koniec może wyglądać aż tak głupio, osunąłem się bez czucia w krwawe grzęzawisko.

XXIII

Kurbuga poniósł sromotną klęskę, Piotr Bartłomiej tryumfował, droga do Jerozolimy stała otworem, a ja nie miałem ręki – o tym wszystkim dowiedziałem się, kiedy po raz drugi odzyskałem przytomność. Bo po raz pierwszy odzyskałem ją tylko na krótko, pod wpływem strasznego bólu, jaki sprawił mi rozgrzany do czerwoności kauter, którym przyżegano mój kikut, żeby zatamować krwotok i zasklepić ranę poprzez jej zwęglenie. Wtedy ten sam ból, który przywrócił mi świadomość, odebrał mi ją natychmiast, kiedy w powietrzu rozszedł się swąd palonego ciała. Za drugim razem było już inaczej. Najpierw dostrzegłem dawno nie oglądanego Teodulfa i podsypiającego na ławie Fulka, potem, w uchylonych drzwiach do sieni mignęła mi Uta, wreszcie, czując bolesne pulsowanie w prawej ręce, zauważyłem jej dziwną krótkość i nieforemność, więc uniosłem ją nieco do góry, żeby przyjrzeć się lepiej czarnemu od zaskorupiałej krwi gałganowi.

Na ten widok Teodulf ożywił się i wbrew swojej stężalej minie, spróbował zażartować:

– Zastanawiasz się, gdzie się podziała reszta? Została na polu chwały. Nosił wilk razy kilka, ponieśli i wilka. Jak to na wojnie.

Jego słowa obudziły Fulka, który uśmiechnął się szeroko, widząc, że jestem przytomny, po czym w milczeniu uściśnął moje ramię. Przywołały także Utę, która wpadła zaraz do pokoju, pocałowała mnie w czoło i przysiadła u mego wezgłowia.

– Kto mnie uratował? – zapytałem szeptem, z trudem wymawiając poszczególne słowa.

– On – normański medyk wskazał na Fulka.

– Bez przesady – młody człowiek pokraśniał z dumy. – Ja tylko zauważyłem, jak cię ranili i powiedziałem o tym panu Willibaldowi. To jego ludzie wynieśli cię z pola bitwy, zatamowali krew i zanieśli biegiem do polowego lazaretu.

– Dzięki. Jak im się to udało?

– Udało się, bo Turcy już uciekali. Kiedy zdradził ich Dukak z Damaszku i inni Saraceni, nie mieli innego wyjścia.

– A więc wygraliśmy? – upewniłem się na wszelki wypadek.

– Czy wygraliśmy?! – Fulko podskoczył na ławie. – Spuściliśmy im taki wpier... to znaczy takie lanie – poprawił się zgromiony wzrokiem przez Utę – jakiego chyba jeszcze nie dostali od początku świata! Nasi gonili ich aż do Mostu Żelaznego i przez całą drogę kładli ich trupem. Dzięki Świętej Włóczni i Boemundowi zdobyliśmy wory srebra, złota i klejnotów, całe stada wołów,

koni, mułów, owiec i wielbłądów, wozy pełne zboża, oliwy i masła, i całe mnóstwo innych rzeczy.

– Ty też? – spróbowałem się uśmiechnąć.

– Ja nie, bo byłem przy tobie, panie. Za to jeszcze wczoraj złapaliśmy z Gotfrydem i małym Baldwinem kilka bezpańskich koni, tyle się ich tu ciągle kręci. Jeden jest dla ciebie.

– Dziękuję. A co z Kurbugą?

– Uciekł. Ale to bez znaczenia, droga do Jerozolimy stoi otworem.

– A cytadela?

– Wzięta – włączył się do rozmowy Teodulf. – Kiedy Turcy zobaczyli, że Kurbuga przegrał bitwę, poddali ją sami. Ale nie hrabiemu Rajmundowi, który próbował im wcisnąć swój sztandar, tylko nam, Normanom. Ahmad Ibn Marwan zażądał proporca Boemunda, po czym zawarł z hrabią Tarentu układ, że wszyscy niewierni będą mogli odejść spokojnie do domu. I tak też się stało, choć wielu z nich, w tym sam Ibn Marwan, przyjęło zaraz chrześcijaństwo i zaciągnęło się na służbę u hrabiego Boemunda.

– Bogu niech będą dzięki, że wszystko poszło tak dobrze!

– Nie wszystko – westchnęła Uta i spuściła głowę. Także Fulko, tak dotąd pełen werwy, nagle spochmurniał.

– A co się stało?

– Zginęło dwóch moich przyjaciół: Rajmund de Saint-Gilles i Robert z Flandrii.

– Trzy dni temu pochowaliśmy ich pod górą Silpion – dodała Uta drżącym głosem.

– O Boże! – jęknąłem. – Biedne dzieciaki!

– Zginęli jak rycerze – zauważył twardo Fulko.

– Masz rację – poprawiłem się. – Jak rycerze, i to najdzielniejsi z dzielnych. Dlatego tym bardziej nad nimi boleję!

Wszyscy spuściliśmy nosy na kwintę i na dłuższą chwilę zapanowało milczenie.

– A co z Piotrem Bartłomiejem? – zapytałem w końcu, żeby je przerwać.

– Ho, ho! – zawołał Teodulf. – Piotr Bartłomiej tryumfuje. I słusznie, bo jego prorocтва sprawdziły się co do joty! Kazał nam szukać Świętej Włóczni – i znaleźliśmy ją. Powiedział, żeby zaatakować Kurbugę – i miał rację. Powiedział, że zwyciężymy – i zwyciężyliśmy. Powiedział, że aniołowie i święci Pańscy będą walczyć u naszego boku – i walczyli bijąc się jak lwy.

– Jak to walczyli?! Ja tam żadnego nie widziałem. A ty, Fulko?

– Ja też nie, ale w tym ścisku trudno było dojrzeć nawet własną nogę.

– Bo walczyli tam, gdzie hrabia Boemund – wyjaśnił z dumą Teodulf i zaczął wyliczać na palcach: -Archanioł Michał, Archanioł Gabriel, Święty Jerzy, Święty Demetriusz i Święty Merkury, patroni rycerstwa, jak również Święty Waningus, Święty Laud, Święty Markuf – ten od leczenia królewskich skrofułów – Święty Wandryl, Święty Helier i Święty Wilhelm „Długi Miecz”, czcigodni patroni Normandii. Wszyscy w złotych zbrojach, na białych koniach i z proporcami białymi jak śnieg. Nie dziwota, że ludzie noszą Piotra Bartłomieja na rękach! W szczególności Normanowie i sam hrabia Boemund, który obsypuje go przeróżnymi łaskami i nie puszcza od siebie ani na krok. W cytadeli, którą hrabia Boemund zajął teraz dla siebie, urządzono mu nawet piękny apartament, i w ogóle brakuje mu już tylko ptasiego mleka.

– To prawda – potwierdziła Uta. – Piotr Bartłomiej jest teraz bardzo zajęty, więc rzadko tu zagląda. Ale to dzięki niemu masz tak świetną opiekę – podziękowała wzrokiem Teodulfowi.

– No niezupełnie – zaproponował mój normański przyjaciel. – Hrabiego Alderney leczyłbym także bez rozkazu hrabiego Boemunda, i to za darmo. Choć z pewnością nie mógłbym tu spędzać tyle czasu, co teraz.

– Jestem ci za to bardzo wdzięczny, tak samo jak Piotrowi Bartłomiejowi i hrabiemu Tarentu. A co powiesz o mojej ręce?

– Grunt, że nie wdała się gangrena. Teraz to już mało prawdopodobne. Cóż mogę rzec więcej? Chyba tylko to, że ci nie odrośnie.

– Na to nie liczę – westchnąłem, a potem poprosiłem, żeby przywołano także moich Normanów, trzymających straż przed domem.

Przyszło ich tylko dwóch pod wodzą pana Willibalda z Messyny, reszta bowiem pozostała karnie na posterunku. Wyglądali na spiętych, ale kiedy ujrzeli, że jestem przytomny i w nie najgorszej formie, wyraz niepewności na ich twarzach zaczął ustępować miejsca oznakom radości.

– Witaj, panie! – pozdrowił mnie w imieniu swoich ludzi pan Willibald. – Bogu niech będą dzięki, że masz się już lepiej. Proszę cię najpokorniej o wybaczenie, że wbrew otrzymanym rozkazom nie potrafiliśmy cię upilnować.

– Nie mam wam czego wybaczać, to nie wasza wina. Nosił wilk razy kilka, ponieśli i wilka. Jak to na wojnie – odparłem. – To nie wy powinniście mnie przeproszać, ale ja powinienem dziękować wam. Czynię zatem, co do mnie należy i dziękuję wam z całego serca za wyniesienie mnie z pola bitwy i uratowanie mi życia.

Twarze starego wojaka i jego podkomendnych wygładziły się do końca.

– Przynajmniej pod tym względem spełniliśmy nasz obowiązek – stwierdził dowódca mojej prywatnej „armii”, kiwnąwszy w podzięce głową. – Ale uratował cię przede wszystkim ten młodzieniec – pokazał na Fulka.

– Wiem. I bardzo się cieszę, że wy, którzy to potwierdzacie, będziecie świadkami tego, co teraz powiem. Otóż, przyjaciele, oświadczam wobec Boga Wszechmogącego, że będąc w pełni władz umysłowych oraz działając z własnej i nieprzymuszonej woli, chciałbym usynowić tego oto młodzieńca, który uratował mi życie, i uczynić go prawnym spadkobiercą wszystkich należących do mnie dóbr ruchomych i nieruchomości, jak też przysługującego mi tytułu hrabiego Alderney. Oznajmiam również, że nie posiadam innych dziedziców, a gdyby Pan Bóg w swej nieskończonej dobroci raczył mnie jeszcze nimi obdarzyć, nie uszczupli to w żadnej mierze praw nabytych przez Fulka wskutek adopcji. Oczywiście, pod warunkiem, że wyrazi na nią zgodę i że nie ma ku niej żadnych przeszkód prawnych.

Po tych słowach Teodulf i pan Willibald zaczęli bić brawo, zaś uszczęśliwiona Uta wykrzyknęła:

– Przeszkód prawnych nie ma na pewno, bo jest sierotą. Co do reszty, niech sam się wypowie!

Spojrzenia wszystkich skierowały się w stronę Fulka, który zerwał się z ławy i mocno zmieszany nie mógł wydusić z siebie ani słowa.

– No dalej, Fulko – zachęciła go Uta.

Młody człowiek przemógł się wreszcie i oblawszy się rumieńcem, rzekł:

– Hrabio Alderney, jest to najszlachetniejsza propozycja, jaką otrzymałem w życiu, ale nie mogę jej przyjąć. Nie uczyniłem wszak niczego, co wykraczałoby poza zwykłe obowiązki towarzysza broni. Postąpiłbym dokładnie tak samo, gdyby chodziło o życie pana Willibalda z Messyny, pana Teodulfa czy kogokolwiek innego. Poza tym, mam nadzieję, że się ożenisz – tu spojrzał wymownie na Utę – i z Bożym błogosławieństwem doczekasz się własnych dzieci. Nie widzę żadnego powodu, żeby pozbawiać je czegokolwiek, zwłaszcza że już od dawna potrafię zadbać o siebie sam. Tak czy inaczej, jestem ci bardzo wdzięczny.

Kiedy skończył, Teodulf i pan Willibald z Messyny zaczęli ponownie klaskać, ale ponieważ nikt inny nie poszedł w ich ślady, szybko opuścili ręce i zapadła krępująca cisza, co zmieszało Fulka jeszcze bardziej. Nie wiedząc, co ze sobą począć, spuścił głowę, a potem podszedł do mnie, pocałował mnie w zdrową rękę i... wyszedł! Zanim nas opuścił, zdążyłem tylko szepnąć: „Wielka szkoda!”.

Pojawił się dopiero nazajutrz razem z koniem, którego dla mnie schwytał. Czarny jak smoła trzylatek był rzeczywiście piękny, jak większość tych, na których jeździli Saraceni, więc bardzo się z niego ucieszyłem, ale rozmowa z Fulkiem się nie kleiła.

– No i jak? Nie zmieniłeś przypadkiem zdania? – zapytałem w końcu.

– Nie. I jestem pewny, że mam rację. A tak w ogóle, gdybym był trochę starszy, to bym ci Utę po prostu odbił – dodał buńczucznie, zerkając na mnie spode łba.

Podobała mi się jego zadziorność, więc tylko się uśmiechnąłem.

– Właśnie dlatego wolę mieć w tobie syna niż rywala. Zobaczymy, może się jeszcze namyślisz. A co do konia, to musisz go dla mnie trochę przechować. Nieprędko wdrapię się na siodło.

– Nie ma problemu. Potrzymam go, aż wyzdrowiejesz.

Potem, choć w sprawie adopcji nie zmienił zdania, zaglądał do mnie dość regularnie, podobnie jak Teodulf i pan Herluin, który wyszedł z bitwy bez szwanku, przeciwnie za to niż Piotr Bartłomiej, który odwiedził mnie tylko raz, gdyż nadal był bardzo zajęty. Bardzo zajęta była również Uta, opiekująca się nie tylko mną, lecz także rannymi w lazarecie, skąd wracała dopiero późnym wieczorem, choć nawet wtedy nie zawsze zostawała w domu. Rzecz w tym, że od czasu do czasu Piotr Bartłomiej przysyłał po nią kogoś, kto zabierał ją do cytadeli na ucztę, turniej albo tańce, które hrabia Boemund oferował niemal codziennie swoim gościom i popiecznikom. W takich razach Uta narzekała wprawdzie, że jej kuzyn nie ma dla niej litości i nie zdaje sobie sprawy z tego, jak bardzo jest zmęczona, ale na ogół spełniała jego prośbę, być może dlatego, że wieczór spędzony w miłym towarzystwie pozwalał jej odetchnąć od wszystkich okropieństw, z jakimi miała do czynienia przez cały dzień.

Kiedy wybierała się do cytadeli, zmieniała się nie do poznania, szła tam bowiem w którejś z nowych sukien i złotej biżuterii, które po zwycięstwie nad Kurbugą podarował jej hrabia Tarentu. Wyglądała w nich tak pięknie, że czasami – tylko po to, żeby ją w nich zobaczyć – sam namawiałem ją gorąco, by poszła się nieco rozerwać, aczkolwiek kiedy po raz czwarty z rzędu przyszedł po nią pan Hermann z Agrygentu, przestałem się w tej kwestii wypowiadać.

Tymczasem moja ręka goiła się dobrze i kiedy Teodulf powiedział mi, że niebezpieczeństwo gangreny definitywnie minęło, poczułem się jak nowonarodzony. Wkrótce też zacząłem wychodzić na coraz dłuższe przechadzki, zawsze pod czujnym okiem mojej normańskiej eskorty. Najpierw udałem się do katedry Świętego Piotra, by podziękować Bogu za ocalenie życia, potem wybrałem się na pole bitwy, skąd uprzątnięto już wszelkie ślady walki, wreszcie, w towarzystwie Fulka, Gotfryda de Bouillon i małego hrabiego Baldwina, odwiedziłem grób ich przyjaciół, Rajmunda de Saint-Gilles i Roberta hrabiego Flandrii, aby pomodlić się za ich młode dusze.

Miałem teraz dużo wolnego czasu, toteż podczas tych spacerów chętnie wdawałem się w pogawędki z moimi Normanami i z napotkanymi przypadkowo znajomymi. Zarówno z tych rozmów, jak i z różnych uwag rzucanych przez

Teodulfa oraz z napomknien Uty, obracającej się teraz w najwyższych sferach, wyłaniał się niezbyt radosny obraz tego, co działo się w Antiochii po zwycięstwie nad Kurbugą.

Odkąd Turcy przestali nam zagrażać, stare i nowe waśnie rozgorzały ze zdwojoną siłą. Kiedy hrabia Boemund zagarnął cytadelę, hrabia Rajmund uznał to za akt wrogości i kazał obwarować zajmowany przez siebie pałac Yaghi Sijana. Obu rezydencji pilnowali dniem i nocą uzbrojeni po zęby żołnierze, zaś sami hrabiowie komunikowali się ze sobą wyłącznie przez posłańców. Jednocześnie hrabia Tuluzy znów zaczął głosić, że Antiochię trzeba zwrócić cesarzowi, na co hrabia Tarentu replikował, że miasto należy do niego, ponieważ je zdobył i obronił przed Kurbugą bez pomocy Bizantyjczyków. Nie mogąc przeciwstawić się woli legata i większości panów, którzy postanowili wysłać do Konstantynopola hrabiego Hugona de Vermandois z oficjalną wieścią o pokonaniu Turków, hrabia Boemund umacniał swoją władzę w mieście, wydawał rozmaite zarządzenia i przyznawał za pieniądze przywileje handlowe cudzoziemskim kupcom. Złośliwi, których nigdy nie brakuje, twierdzili nawet, że zamierza bić własną monetę i pobierać myto, i że już niedługo obłoży wszystkich pielgrzymów specjalnym podatkiem.

Wobec coraz większej wrogości obu hrabiów, wyprawę na Miasto Święte, położone zaledwie o kilka tygodni marszu od Antiochii, odłożono aż do listopada, uzasadniając tę decyzję panującymi upałami i koniecznością odzyskania sił po trudach ostatnich miesięcy. W tej sytuacji ci, którym doskwierała przedłużająca się beczynność, zabrali się ponownie za grabienie coraz dalszych wiosek bądź szukali okazji do zdobycia własnego lenna. Największy sukces na tym polu odniósł pan Rajmund Pilet – właściciel lwa, który kiedyś spłoszył mojego konia – zajmując na czele garstki rycerzy miasteczko Tall Mannas, skąd po przegranej Kurbugi uciekła w popłochu cała ludność.

Zupełnie niespodziewanym skutkiem naszego zwycięstwa i całkowitego braku zagrożenia ze strony Turków były także kłopoty, w jakie popadł wkrótce tryumfujący Piotr Bartłomiej. Otóż w dwa tygodnie po klęsce Kurbugi, podczas mszy odprawianej w katedrze Świętego Piotra, biskup Adhemar de Monteil, ni stąd, ni zowąd, zakwestionował publicznie – w obecności tysięcy wiernych – autentyczność Świętej Włóczni, dzięki której pokonaliśmy atabega Mosulu i trzykrotnie silniejszych od nas nieprzyjaciół! Legat papieski stwierdził, że prawdziwa Włócznia Longinusa, którą miał zaszczyt oglądać na własne oczy, jest przechowywana w Konstantynopolu razem z innymi cudownymi relikwiami, takimi jak długi na dwa łokcie fragment Prawdziwego Krzyża, strzęp tuniki, którą miał na sobie nasz Pan Jezus Chrystus, kiedy Go prowadzono na Golgotę;

odbite na chuście Jego Święte Oblicze, nie ręką ludzką malowane (o którym opowiadał mi Symeon); Korona Cierniowa o kolcach ostrych jak sztylety; dwa gwoździe, którymi przebito Jego przenajświętsze dłonie; gąbka nasączona octem, jaki podano Mu do picia; kilka kropel Jego zbawczej krwi; kamień z Jego Świętego Grobu, a także głowa Świętego Jana Chrzciciela, doczesne szczątki trzech Ewangelistów – Marka, Łukasza i Jana – oraz fragmenty kości Jakuba, Andrzeja i Tymoteusza, Jego świętych Apostołów i uczniów.

Wprawdzie już następnego dnia słowom legata papieskiego zaprzeczył sam Święty Andrzej, który stanowczo potępił złośliwych niedowiarków, bez względu na ich stanowiska, rangi i tytuły, jak też zaprotestowali przeciwko nim, nadspodziewanie zgodnie, obaj główni wodzowie wyprawy – hrabia Rajmund, jako Chorąży i Protektor Świętej Włóczni, oraz hrabia Boemund, jako główny autor zwycięstwa w niedawnej batalii – jednak ziarno wątpliwości zostało posiane i reputacja mojego przyjaciela doznała znacznego uszczerbku.

Być może właśnie to sprawiło, że niedługo potem Piotr Bartłomiej odwiedził mnie po raz drugi od czasu bitwy z Kurbugą, przynosząc mi w darze dzban wina od hrabiego Tarentu.

Wyglądał jak księżyc w pełni, nosił się wytwornie, a na jego prawej ręce pysznił się gruby pierścień z wielkim ametystem. Uściskał mnie, wypytał troskliwie o moje zdrowie, obejrzał moją ranę, wyraził przekonanie, że pięknie się goi i że już niebawem będę z pewnością zdrów jak ryba, po czym zaczął dywagować na temat sytuacji w obozie, skarżąc się przede wszystkim na złośliwości i niecne potwarze, jakich ostatnio padł ofiarą. Wszystko to było bardzo interesujące, ale kiedy zobaczyłem, że uzalili się nad sobą, zbiera się już do wyjścia, poprosiłem, żeby jeszcze został i zadałem mu pytanie, które od dawna cisnęło mi się na usta:

– A co z moim ślubem, przyjacielu?

– Ze ślubem? – powtórzył zmieszany i usiadł z powrotem na zydlu. – Więc wciąż chcesz się żenić?

– Jak to, czy wciąż chcę się żenić?! – zdziwiło mnie takie stawianie sprawy. – To chyba oczywiste. Dałem ci słowo, a poza tym ja i Uta kochamy się. Nic się w tym względzie nie zmieniło.

– W tym może nie, ale w innych, owszem – wskazał na mój kikut.

– W moim fachu to rzecz normalna i powód do chwały. Na szczęście w małżeństwie ręka nie jest bezwzględnie konieczna – spróbowałem obrócić jego wątpliwości w żart.

– Nie byłbym tego taki pewien – mruknął z niewzruszoną miną. – Jeśli naprawdę kochasz Utę, to powinieneś o nią zadbać, a jak o nią zadbasz bez ręki? Z czego będziecie żyli? Może się nad tym nie zastanawiasz, bo akurat nie

chodzimy głodni, nie zapominaj jednak, że zawdzięczamy to łasce hrabiego Boemunda. Tyle, że łaska pańska na pstrym koniu jeździ. Co będzie, jeśli jej zabraknie? Nie liczysz już chyba na łupy, czy walki harcowników?

– Nie. W moim kraju mam trochę ziemi, którą oddałem w zastaw klasztorowi – odparłem boleśnie dotknięty logiką jego wyводу.

– A skąd weźmiesz pieniądze na jej wykup? Z oszczędności czy może z posagu?

– Nie potrzebuję żadnego posagu! – oburzyłem się. – Pamiętaj, że mam jeszcze wyspę.

– Wiem. A na niej kupę białych jeży. Będziesz je jadł, czy sprzedawał? – zapytał zgryźliwie, a potem poklepał mnie po ramieniu. – Nie, przyjacielu. Bardzo mi przykro, że miałeś pecha, ale małżeństwo to rzecz poważna, tak samo jak wojna.

– A to, że się kochamy, nic nie znaczy? – nie dawałem za wygraną.

– Niewiele – pokręcił głową. – Z tego, że się kochacie dzisiaj, nie wynika jeszcze, że się będziecie kochać jutro. Nie sądziłem, że jesteś tak próżny, przydałoby ci się więcej pokory. Naprawdę sądzisz, że jesteś aż tak piękny, tak mądry i wspaniały, że kiedy będziesz miał pięćdziesiąt lat, a Uta prawie o połowę mniej, to ona wciąż będzie cię kochać tą samą wielką i pierwszą miłością? Bo niestety jesteś jej pierwszym.

– Dlaczego niestety? – zjeżyłem się.

– A dlatego, że choć każda pierwsza miłość twierdzi zazwyczaj inaczej, rzadko która chce być ostatnią. I nie ma na to rady, przyjacielu, chyba że się ją w porę zamknie na klucz. Albo na wyspie. Ale na to jest już za późno. Odkąd Uta przestała chodzić w łachmanach i zaczęła bywać w dobrym towarzystwie, miała aż nadto okazji, by się przekonać, jak wielu młodych, przystojnych i bogatych kawalerów wodzi za nią oczami i szepce jej do ucha miłe słówka. I nie da się już uniknąć przykrych porównań, hrabio Alderney.

– Jakich znów młodych, przystojnych i bogatych kawalerów?! – syknąłem, jakby mi znowu pokazano kauter.

– Różnych. Choćby takich jak rycerz Ralf z Volpiano czy Roger z Taorminy, a nawet sam pan Hermann z Agrygentu. Też hrabia, w dodatku pan całą gębą – wyjaśnił.

– Pan całą gębą?! Co ty kombinujesz?! – nie wytrzymałem.

– Ja nic nie kombinuję. Próbuję ci tylko przemówić do rozsądku i ostrzec cię przed miłosnym zawodem. No i przed rogami.

– Nie wiedziałem, że jesteś takim znawcą miłości i rogów! – zauważyłem z przekąsem.

– Znaczący czy nie, ale nie zawsze miałem do czynienia z samymi świętymi i Apostołami, i z pewnością wiem o tych sprawach więcej od ciebie – uśmiechnął się, jakbym mu powiedział jakiś wielki komplement.

– Ale przecież ją chędożyłem! – użyłem ostatecznego argumentu. – Sam mówiłeś, że...

– Pst! – położył palec na ustach. – Chędożyłeś ją, no i dobrze. Tyle twojego, coś sobie pochędożył. Ale teraz o tym sza! Najważniejsze, że nic z tego nie wynika.

– Jak to nie wynika?! – poczułem się, jakby mnie przeszył mieczem.

– Nie wynika i już – wzruszył ramionami. – Pomyśl tylko. Gdyby każdy żenił się ze wszystkimi, które w życiu chędożył, świat byłby pełen bigamistów, a ty pewnie byłbyś jednym z nich. Na szczęście nie jesteśmy Turkami.

– To nie tak. Małżeństwo obiecałem tylko Ucie – stwierdziłem twardo.

– Nie szkodzi. Zakochani obiecują różne rzeczy, zwłaszcza jak chcą sobie pochędożyć. Było, minęło, ale jeśli naprawdę ją kochasz i życzysz jej dobrze, nie bądź taki samolubny. Pozwól jej być szczęśliwą także za pięć albo za dziesięć lat.

– Wolałbym o to zapytać ją samą.

– A po co? – zrobił wielkie oczy. – Przecież z góry wiadomo, co powie i zrobi. Otóż powie, że cię kocha i chce zostać twoją żoną. A potem poświęci się. One wszystkie tak robią, jak się zakochają i prześpią z mężczyzną pierwszy raz. Naprawdę chcesz to wykorzystać?

Tym pytaniem dobił mnie do reszty.

– Precz z moich oczu! – wycedziłem po chwili namysłu. – I żebym cię więcej nie widział, Judaszu!

Po tej rozmowie przez kilka dni nie mogłem dojść do siebie, ale im dłużej się nad nią zastanawiałem, tym jaśniej widziałem, że niezależnie od przekleństw, jakie mógłbym na niego miotać, Piotr Bartłomiej miał rację. Przekonałem się o tym ostatecznie, kiedy w trakcie jednego z moich spacerów po mieście pożyczyłem od jakiegoś handlarza zdobyczne lustro i chyba po raz pierwszy od czasu wyjazdu spod Hueski przejrzałem się w nim uważnie.

Świadomość klęski, jakiej nabrałem po tych oględzinach, sprawiała mi większy ból niż obcięta ręka i choć bardzo się starałem, nie potrafiłem tego ukryć. Co gorsza, nie umiałem także wyznać prawdy, kiedy Uta, zafrasowana moim stanem, pytała mnie kilkakrotnie, co się ze mną dzieje. Zbywałem ją byle czym, jakimiś półsłówkami i burknięciami, zwalając całą winę na moją ranę, w nadziei, że uda się nam jakoś uniknąć rozmowy o sednie sprawy.

Nie doceniłem jednak przenikliwości jej kobiecego serca. Któregoś razu, gdy wróciła nocą z cytadeli i pożegnała się z odprowadzającym ją panem Hermannem z Agrygentu, ośmielona być może przez wypite wino, a może po prostu

zniecierpliwiona moim zachowaniem, ni stąd, ni zowąd zadała mi właśnie to pytanie, którego obawiałem się najbardziej:

– A co z naszym ślubem, hrabio Alderney?

– Dlaczego o to pytasz? – serce zabiło mi mocniej, choć zaraz potem poczułem w nim bolesny ukłucie. -Czyżbyś chciała wyjść za mąż?

– Tak. Chyba nic się nie zmieniło? – zapytała z uśmiechem.

– A to? – uniosłem mój kikut.

– Z tego możesz być tylko dumny. Na szczęście ręka nie jest w małżeństwie bezwzględnie potrzebna – zażartowała oblewając się przy tym rumieńcem.

– Nie byłbym tego taki pewien – mruknąłem ponuro. – Jako mąż powinienem o ciebie zadbać, a jak mogę to zrobić bez ręki? Z czego będziemy żyli? Może teraz o tym nie myślisz, ponieważ nie chodzimy głodni, ale jeśli tak się dzieje, zawdzięczamy to wyłącznie Piotrowi Bartłomiejowi i łasce hrabiego Boemunda. Co będzie, jeśli jej zabraknie? Nie mogę już przecież liczyć na łupy i walki harcowników.

– Ale masz jeszcze wyspę – zauważyła rozsądnie.

– Tak, a na niej mnóstwo białych jeży! – roześmiałem się gorzko. – Będziemy je jeść czy sprzedawać? Niestety, małżeństwo to rzecz poważna – stwierdziłem ze smutkiem.

– A czy nie wystarczy, że się kochamy? – zdumiała się niepomiernie.

– Nie, Uto, nie wystarczy. To, że się kochamy dzisiaj, nie oznacza jeszcze, że się będziemy kochać jutro. Nie jestem aż tak prózny, żeby sądzić, że będziesz mnie kochać tak samo jak dzisiaj, kiedy ja będę miał pięćdziesiąt lat, a ty prawie o połowę mniej.

– O mnie możesz być spokojny, to raczej ciebie, jak widać, nie można być pewnym – zauważyła z wyrzutem.

– A kochałaś już kogoś przedtem?

– Tak, w każdym razie tak mi się zdawało. Ale to nieważne. To ty jesteś moją pierwszą prawdziwą miłością – zapewniła mnie ze szczerym oddaniem.

– Tego właśnie się obawiałem! Sęk w tym, że choć pierwsza miłość twierdzi zazwyczaj inaczej, rzadko kiedy chce być ostatnią. Prędzej czy później pokochasz kogoś innego i nie ma na to rady – rozłożyłem ręce. -Odkąd zaczęłaś bywać w cytadeli, zauważyłaś pewnie, jak wielu młodych, pięknych i bogatych kawalerów wodzi za tobą oczami, szuka twojego towarzystwa i prawi ci różne komplementy?

– Nie wiem, o kim mówisz – w jej głosie po raz pierwszy zabrzmiał gniew.

– Nie wiesz? A choćby o rycerzu Ralfie z Volpiano czy Rogerze z Taorminy, a nawet o samym Hermannie z Agrygentu. W końcu to pan całą gębą! – zaśmiałem się szyderczo.

– To prawda – jej oczy zaiskrzyły. – Ale to nie jego kocham, tylko ciebie. O co ci chodzi?!

– O nic. Po prostu dobrze ci życzę i chcę, żebyś była szczęśliwa także za pięć albo za dziesięć lat.

– Dobrze mi życzysz i chcesz, żebym była szczęśliwa także za pięć albo za dziesięć lat? Szkoda, że nie miałeś takich skrupułów, zanim mnie uwiodłeś! – wybuchła.

– Masz rację, przepraszam. Na szczęście nic z tego nie wynika.

– Jak to nie wynika? Kocham cię i chcę być twoją żoną. Zwłaszcza teraz.

– Co znaczy „zwłaszcza teraz”?! Nie chcę, żebyś się poświęcała! – zawrzałem z kolei ja.

– Ja się nie poświęcam! Ty też nie musisz, jeśli mnie nie kochasz! Nie kręć, tylko powiedz wprost: kochasz mnie czy nie?! – przytknęła mi palec do piersi, świdrując mnie na wylot oczami.

I wówczas poczułem, że oboje zabrnęliśmy za daleko, w jakiś ślepy zaułek, z którego będzie nam bardzo trudno się wydostać, toteż postanowiłem uciąć sprawę radykalnie.

– Nie, nie kocham cię – odpowiedziałem, bardzo przy tym uważając, żeby przypadkiem nie zadrżał mi głos.

– Co?! – wykrzyknęła. – O Boże, jaka ja byłam głupia, jaka ja byłam naiwna! Powiedz, ile kobiet wykorzystałeś w ten sam sposób przede mną?! Czy im także obiecywałeś małżeństwo?!

– Nie, Uto, tylko tobie.

Po tych słowach wybuchła niepowstrzymanym płaczem.

– A zatem oszukałeś tylko mnie! Dlaczego?! Dlaczego akurat mnie potraktowałeś najgorzej?!

Czułem się niewypowiedzianie podle i gdybym tylko mógł, zapadłbym się najchętniej pod ziemię, a jednocześnie powstrzymywałem się ze wszystkich sił, żeby nie porwać jej w ramiona, nie zacząć jej całować i przepraszać, żeby nie rzucić się do jej stóp i nie wykrzyknąć na cały głos prawdziwego powodu mojego okrucieństwa – „Właśnie dlatego, że cię kocham!” – ale wiedziałem, że nie miałyby to najmniejszego sensu, nie rozwiązałyby absolutnie niczego i zapędziłyby nas z powrotem w tę samą matnię, z której właśnie zdołałem nas wyzwolić, dlatego przełamałem się raz jeszcze i ograniczyłem się jedynie do prośby:

– Wybacz mi, jeśli potrafisz, Uto.

Ale jej zawiedziona miłość i zraniona duma w ogóle nie dopuszczały takiej możliwości.

– Precz z moich oczu! – zawołała. – I żebyś się tu więcej nie pokazywał!

Od tej chwili wszystko potoczyło się błyskawicznie. Zebrałem swoje manatki i w towarzystwie moich Normanów udałem się do Teodulfa, bardzo zdumionego moją nocną wizytą. Bez wdawania się w zbędne szczegóły wyjaśniłem mu, że właśnie zerwałem z Utą i Piotrem Bartłomiejem, i poprosiłem go o nocleg. Zgodził się na to bez dalszych pytań, a że od czasu zdobycia Antiochii zajmował duży dom, zaproponował mi od razu, abym zatrzymał się u niego na dłużej. Przyjąłem tę propozycję z wdzięcznością i zobowiązaawszy go jeszcze, aby broń Boże nie mówił nikomu, że u niego mieszkam, wprowadziłem się natychmiast na puste poddasze.

Rankiem wezwałem do siebie moich Normanów i podziękowałem im serdecznie za dotychczasową opiekę. Poprosiłem ich także o przekazanie wyrazów mojej najgłębszej wdzięczności i szacunku hrabiemu Tarentu, po czym zwolniłem ich wszystkich ze służby.

Cała szóstka, niepewna co powinna w tej sytuacji zrobić, ociągała się, jak mogła z odejściem, aż wreszcie opuściła mnie z wielką niechęcią, zaznaczając na odchodnym ustami pana Willibalda, że tak czy inaczej najważniejsze w tej kwestii będzie zdanie hrabiego Boemunda, lecz zgodnie z moimi przewidywaniami, więcej się już nie pokazała.

Po załatwieniu tej sprawy, zaszyłem się na dobre w domu, skąd wychodziłem jedynie na krótkie spacerunki po sąsiednich uliczkach lub po zakupy na pobliski targ, unikając jak ognia zapuszczania się do śródmieścia Antiochii, a zwłaszcza pod cytadelę i w okolice katedry, gdzie mógłbym niechcący spotkać Utę albo Piotra Bartłomieja. Takie postępowanie zapewniało mi względny spokój i samotność, czyli dwie rzeczy, których potrzebowałem najbardziej.

Tymczasem, pod czujną opieką Teodulfa, moja ręka wygoiła się niemal całkowicie i coraz częściej przyłapywałem się na tym, że zabieram się za robienie tego czy owego nieistniejącą dłonią. W takich razach przypominałem sobie o kwestii, co do której Piotr Bartłomiej także miał rację. A mianowicie, że czas łupów i walk harcówników już się dla mnie skończył i że powinienem jak najszybciej znaleźć sobie jakieś źródło utrzymania, ponieważ pieniądze, które oddawałem Teodulfowi do wspólnej kasy, szybko się rozchodziły i w mojej sakiewce zaczynało już prześwitywać dno. Niestety, nie miałem żadnego pomysłu, jak mógłbym zarobić na życie z moim kalectwem, więc nie pozostawało mi nic innego, jak zaciskać jeszcze bardziej pasa.

O tym, co dzieje się w obozie i w ogóle w szerokim świecie, dowiadywałem się głównie od Teodulfa. Wieczorem, kiedy wracał po pracy do domu, jedliśmy przygotowaną przeze mnie kolację i zazwyczaj gawędziliśmy o różnych sprawach. To właśnie od niego usłyszałem, że dokładnie wtedy, kiedy my zmagaliśmy się z Kurbugą, a potem zbijaliśmy baki w Antiochii, nasi niedoszli

sprzymierzeńcy – Al-Mustali, nieletni kalif Egiptu, oraz prześwietny Al-Afdal, jego wierny wezyr – zaatakowali zdradziecko Palestynę i wykorzystując nasze kłótnie i brak zdecydowania, sami zdobyli Jerozolimę, z której wyparli Turków. Tę sensacyjną skądinąd wiadomość skwitowałem jedynie wzruszeniem ramion, gdyż w gruncie rzeczy nie miało większego znaczenia, z kim jeszcze przyjdzie nam walczyć o Grób Chrystusa. O wiele bardziej poruszyła mnie plotka, że pan Hermann z Agrygentu oświadczył się Ucie, lecz kiedy Teodulf zapytał, co o tym myślę, nie dałem po sobie niczego poznać.

– No i dobrze – odpowiedziałem. – Życzę jej jak najlepiej.

– I nie zamierzasz nic zrobić? – był szczerze zdumiony.

– A co miałbym zrobić? To już nie moja sprawa – uciąłem dalszą dyskusję na ten temat.

Jednak tym, co powinno było mnie przejąć najbardziej, a co z początku zbagatelizowałem tak samo jak wszyscy, była tajemnicza śmierć dwóch normańskich żołnierzy, których martwe ciała, pokryte dziwną wysypką, znaleziono któregoś ranka na posterunkach, gdzie kilka godzin wcześniej zaciągnęli wartę.

– Dwa trupy to jeszcze nie plaga egipska – stwierdziłem lekceważąco, kiedy usłyszałem o tym zdarzeniu od przygnębionego Teodulfa.

– Plaga?! Jasne, że nie! – oburzył się, jakbym powiedział coś bardzo niestosownego. – To z pewnością jakaś pospolita choroba, może dubeltowa albo potrójna gorączka, może koklusz lub zakaźna czkawka, a w najgorszym razie zwykły dyfteryt. Takie rzeczy pojawiają się nie wiadomo skąd i znikają bez śladu nie wiadomo gdzie, zanim uda się postawić właściwą diagnozę. W każdym razie są uleczalne i na pewno nie chodzi w tym przypadku o zarazę w ścisłym tego słowa znaczeniu.

Ale następnego dnia na tę samą przypadłość zmarło trzech innych żołnierzy i pięcioro niemieckich pielgrzymów, przybyłych niedawno drogą morską z dużą gromadą Teutonów. A kiedy kolejny dzień przyniósł nowe ofiary i do medyków zaczęły się zgłaszać prawdziwe tłumy chorych, dla wszystkich stało się oczywiste, że po wielu miesiącach wojny, śmierci i głodu, zawitał do nas czwarty i ostatni jeździec Apokalipsy.

W ciągu bardzo krótkiego czasu pierwotna iskra moru buchnęła wysokim płomieniem i przemieniwszy się w gwałtowny pożar, ogarnęła miasto niczym suchy las, atakując bez różnicy mężczyzn i kobiety, dzieci i starców, biednych i bogatych, mocnych i słabych, którzy jednakowo zapadali na zdrowiu i marli dziesiątkami każdego dnia, pomimo wielkich wysiłków naszych lekarzy.

Według Teodulfa, który także dwoił się i troił, a niekiedy w ogóle nie wracał na noc do domu, przebieg choroby niemal zawsze wyglądał tak samo. Jej

pierwszymi objawami były szalony ból głowy i wysoka gorączka, połączone z gwałtownymi dreszczami i uczuciem dojmującego zimna. Chory czuł się coraz gorzej, bolało go całe ciało, dręczyło go palące i nie dające się niczym ugasić pragnienie, wstrząsał nim kaszel, katar oraz czkawka, a na jego skórze pojawiały się krosty, ciemne plamy i swędzące wypryski. Najpierw na torsie, na plecach i pod pachami, potem na brzuchu, w pachwinach i na ramionach, później na rękach i nogach, aż wreszcie pokrywały go całego z wyjątkiem twarzy, dłoni i spodu stóp. Zarażony odczuwał nudności i bóle brzucha, czasami dostawał biegunki, często wymiotował – z reguły żółcią albo krwią – piekły go także oczy i raziło światło, niekiedy również niedosłyszał, w końcu zaczynał mieć coraz większe trudności z oddychaniem i oddawaniem moczu, po czym nagle obojętniał na wszystko bądź popadał w bezdenną rozpacz, bredził i majaczył, żeby niedługo potem umrzeć albo – co zdarzało się znacznie rzadziej – zacząć powoli wracać do zdrowia.

Z chwilą, kiedy stało się jasne, że mamy do czynienia z morem, nasze dowództwo zarządziło palenie ognisk na wszystkich placach i rogach ulic, co w połączeniu z żarem nieustannie lejącym się z nieba miało jakoby odstraszyć zarazę. W te same ogniska wrzucano także ubrania i dobytek zmarłych, na wszelki wypadek poświęcono również całą Antiochię i wody Orontesu, ale wszystkie te działania okazały się tak samo nieskuteczne, jak środki lecznicze stosowane przez medyków, tudzież przez samych chorych. Tajemniczej choroby nie zwalczała ani zimna, ani gorąca woda, i nie pomagały na nią żadne okłady. Chorzy na próżno polewali się octem i wodą różaną, daremnie puszczały sobie krew, robili lewatywy i kąpali się w urynie, bezskutecznie okadzali się wonnościami, płonąca smoła lub siarka, niepotrzebnie nacierali sobie skronie oliwą z ziołami i korzeniami, perfumowali swoje szaty i zakładali maski na twarze. Połykanie mirry i szafranu nie przynosiło nic oprócz rozczarowania, a picie z winem sproszkowanego rogu jelenia, tartych krowich racic, a nawet opiłków złota i mielonych pereł, często tylko przyśpieszało śmierć. Tyleż samo dawało przykładanie sobie do krost lodu, co smażenie się w żarze ogniska czy przesiadywanie godzinami w straszliwym smrodzie latryn bądź rozkładających się już ciał zmarłych, przetrzymywanych w tym celu jak najdłużej w domach. Na nic zdawało się także noszenie talizmanów, biczowanie się do krwi i przykładanie sobie do świerzbiących miejsc wyschłych na słońcu szczurów i jaszczurek, w nadziei, że wyssą one i wchłoną całą zjadliwość choroby. Mór znosił te wszystkie zabiegi z wyniosłą pogardą, żeby na końcu zatryumfować i zwiększyć swój stan posiadania o nowe ofiary.

Zazwyczaj od zarażenia do śmierci mijały najwyżej dwa tygodnie, choć starcy, kobiety i dzieci, których umierało najwięcej, zwykle oddawali ducha znacznie

prędeej. Zdarzało się także, że ten i ów zasypiał wieczorem zdrów jak ryba, a już rano meldował się zdumiony u Świętego Piotra, jak również, że ci, których uważano za całkiem ozdrowiałych, ni stąd, ni zowąd padali martwi, gdy byli już niemal pewni swojego ocalenia. Jak zauważył Teodulf, ciekawe było również to, że niemal zawsze umierali ci, co nie mogąc wytrzymać okropnego świądu, rozdrapywali swoje krusty; natomiast chorzy, którzy podchodzili do nich z większą cierpliwością, niejednokrotnie przeżywali, być może w nagrodę za pokorę, z jaką znosili ową plagę i dopust Boży.

Jeszcze dziwniejsze było to, że śmierć kosiła również zwierzęta – konie, woły, owce i kozy – które zdychały codziennie całymi stadami. Zważywszy, że od chorych sztuk mogły się zarazić nie tylko kolejne bydłeta, ale także ludzie, z rozkazu władz zaczęto wybijać wszystkie osobniki zdradzające choćby najmniejsze objawy choroby i zakopywać ich ścierwa głęboko w ziemi. W ten sposób w krótkim czasie straciliśmy niemal cały żywy inwentarz zdobyty na Kurbudze. Ponieważ nie uspokoiło to wcale nastrojów, w następnej kolejności przystąpiono do uśmiercania wszystkich psów, kotów i gołębi, odziedziczonych w większości po dawnych mieszkańcach Antiochii. Kiedy i te wybito do nogi, próbowano zabrać się jeszcze za myszy i szczury, od których w mieście aż się roiło, ale po kilku obławach zrezygnowano z tego przedsięwzięcia, ponieważ zwinne gryzonie, czy to sprytniejsze z natury, czy też po prostu mniej ufne od psów i kotów, znikają błyskawicznie, jakby się zapadły pod ziemię, już na sam widok uzbrojonych ludzi i nawet z łuku niełatwo je było upolować.

Przyczyny moru tłumaczono rozmaicie. Najuczeńsi obwiniali wyjątkowo złą koniunkcję Jowisza, Saturna i Marsa; mniej światli gnilne wyziewy ziemi, gmin zaś cuchnące wapory dolatujące znad rzeki, gdzie po zdobyciu Antiochii i po bitwie z Kurbugą wrzucono tysiące zwłok nieprzyjaciół, z których wiele wciąż rozkładało się w trzcinach i na płycznach. Nie brakowało również i takich, którzy wskazywali bardziej konkretnych sprawców, a mianowicie Żydów i wyznawców Allaha, oskarżając ich o zatrucie studzien i smarowanie po nocach drzwi i murów domów jakąś zabójczą substancją w celu wygubienia chrześcijan i zapanowania nad światem. Wielu pielgrzymów przyjmowało to wyjaśnienie za dobrą monetę, dopóki w wyniku usilnych poszukiwań nie przekonało się, że w mieście nie ma ani jednego Żyda, jak też – uwzględnwszy fakt, że dawni żołnierze Ibn Marwana, służący teraz wiernie hrabiemu Boemundowi, przeszli co do jednego na chrześcijaństwo – żadnych muzułmanów. Wprawdzie przy okazji wspomnianych poszukiwań złapano i zabito na miejscu jednego „mazacza”, ale jak się później okazało, nawet on nie był obrzezany i bielił ściany wapnem wyłącznie ze strachu przed zarazą.

W tej sytuacji oskarżono o szerzenie moru fałszywych chrześcijan. Najpierw byłych żołnierzy Ibn Marwana, ale tym nie można było nic zrobić, gdyż znajdowali się pod opieką hrabiego Tarentu, który zapowiedział wszem i wobec, że rozprawi się z każdym, kto by im wyrządził choćby najmniejszą krzywdę. Wtedy obiektem oskarżeń stali się trędowaci, którzy przyszli z krucjatą aż z Europy. Uznawszy, że zawiązali oni spisek mający na celu zatrącenie zdrowszych i lepszych od siebie, wyprowadzono ich za mury Antiochii i zanim ktokolwiek zdążył zaprotestować, zarąbano ich wszystkich mieczami. Kiedy mimo to mór nie ustępował, gniew biedaków zwrócił się przeciw występny bogaczom, natomiast bogaczy przeciw biednym, nie mniej brudnym, śmierdzącym i złośliwym niż wybici niedawno trędowaci. Biednych było oczywiście więcej, ale to bogaci dysponowali pieniędzmi i siłą, toteż wkrótce z ich poduszczenia żołnierze z różnych hufców wygnali za miejskie bramy wszystkich żebraków i innych nędzarzy, co miało uspokoić nastroje w mieście i stanowić ostrzeżenie dla wszystkich potencjalnych wichrzycieli. A że wypędzeni nie chcieli nigdzie odejść ze strachu przed Saracenami i rozłożyli się obozem na brzegu Orontesu, dniem i nocą słyhać było ich żałosne skargi i skamlenia, przeplatane najcięższymi groźbami i przekleństwami pod adresem możliwych tego świata, którzy specjalnie wymyślili i sprowadzili do Antiochii tę zarazę, by wygubić wszystkich słabszych i biedniejszych od siebie.

Jednak większość tych, którzy dociekali natury moru, nie miała wątpliwości, że był on skutkiem Bożego gniewu i słuszną karą za nasze grzechy. Dlatego powszechnie oddawano się pokucie, organizowano procesje, wyznawano grzechy i przyzywano nieustannie Boskie miłosierdzie. Dniem i nocą modlono się także do Świętego Sebastiana, a zwłaszcza do Świętego Adelarda – najwłaściwszego, zdaniem legata, dla tego rodzaju moru – a jednak do końca lipca zmarło tylu pątników, że zastanawiano się nawet, nie bez przesady, czy od strzał zarazy nie padło już więcej krzyżowców niż we wszystkich bitwach z Turkami razem wziętych.

Coraz częściej umierano przy tym nie tylko od moru, ale także z braku jakiegokolwiek opieki ze strony zdrowych. Ludzie bali się siebie nawzajem i unikali się, jak mogli, ponieważ wszystkim się zdawało, że zaraza atakuje nie tylko przez dotyk i zjadliwy oddech, ale niczym bazyliżek zabija również spojrzeniem. Co gorsza, wielu nieszczęśników marło też bez spowiedzi, bo księża ginęli tak samo jak inni, albo, tak samo jak inni, bali się nawiedzać chorych i konających. Lecz choć unikano się wzajemnie, choć zamykano się na cztery spusty i nie wychodzono z domów, choć nie odwiedzano się nawzajem i nie przyjmowano u siebie nikogo, choć zdarzało się, że ze straszliwej trwogi brat opuszczał brata, mąż żonę, żona męża, dzieci rodziców, rodzice dzieci,

a przyjaciel przyjaciela, śmierć kpiła sobie z tego wszystkiego i w najlepsze dalej machała kosą. I jakby jej było mało setek ofiar spośród gminu i rycerstwa, pierwszym wielkim panem, jakiego zniecka zabrała, był nie kto inny tylko sam legat papieski, biskup Adhemar de Monteil, który rażony nagłą niemocą, wyzionął ducha na początku sierpnia.

Dopiero po śmierci legata, cieszącego się wśród pielgrzymów powszechną estymą, dało się dostrzec w całej rozciągłości, jak wielkiego spustoszenia w naszym obozie dokonał mór, który miesiąc wcześniej zakradł się do nas podstępnie jak mściwy asasyn. Jego codzienny terror okazał się znacznie gorszy od wojny, do której byliśmy przyzwyczajeni, ponieważ mając do czynienia z takim przeciwnikiem, nie można było zdać się na własną odwagę, zasłonić się tarczą czy pancerzem, ukryć się za plecami dzielniejszych, zadekować gdzieś na tyłach, ani tym bardziej prosić o litość czy choćby tylko o czasowy rozejm. Dziesiątkująca nas bezkarnie zaraza nie tylko obnażyła i wystawiła na pośmiewisko niebywałą kruchość naszej egzystencji i żalosną płonność naszych planów, ale odsłoniła także glinę, z jakiej byliśmy ulepieni.

Wielu z tych, którzy pozostali przy życiu, widząc, że tak samo giną najgorsi, jak i najlepsi, popadło bowiem w szaleństwo albo w niewiarę, niektórzy zaczęli głosić koniec świata, kilku targnęło się na własne życie. Byli również i tacy, co zapragnęli skosztować przed śmiercią wszelkiego użycia. Ci przestali zamykać się w domach i unikać innych, zaczęli natomiast wydawać wspaniałe uczyty, objadać się do nieprzytomności, pić na umór w wesołym towarzystwie, oddawać się różnym uciechom, grać w kości, tańczyć, śpiewać i słuchać muzyki, przede wszystkim jednak nurzać się w najwymyślniejszej rozpuście, nic sobie nie robiąc z praw Boskich i ludzkich, choćby nawet po sąsiedzku ktoś właśnie umierał. Na szczęście, obok tych, którzy bali się własnego cienia bądź też dogadzali sobie na wszelkie sposoby, istnieli również tacy jak brat Norbert, Teodulf i inni medycy, jak niektórzy duchowni i siostry miłosierdzia, jak woźnice przewożący zwłoki czy pracujący od świtu do zmierzchu grabarze, którzy ryzykowali codziennie własnym życiem, by leczyć ciała i dusze ofiar moru, a kiedy już wszystko zawiodło, by oddać im po prostu ostatnią przysługę.

Pośród powszechnej żałoby po zmarłym legacie, wrażenie nie lepsze od wybryków rozpustników zrobiło niestety także nowe widzenie Piotra Bartłomieja, ogłoszone przez niego tuż po śmierci biskupa Le Puy.

Tym razem mój były przyjaciel podał do publicznej wiadomości, że Święty Andrzej odwiedził go w towarzystwie zmarłego legata, który przyznał się z wielkim płaczem, że za swoje niedowiarstwo i zniewagi wyrządzone za życia Świętej Włóchni trafił po zgonie prosto do piekła, gdzie go okrutnie biczowano i opiekano mu głowę. Uwolniły go stamtąd dopiero modlitwy duchownych

i najlepszych chrześcijan – w tym zwłaszcza hrabiego Boemunda – jak też skromna jałmużna, jaką był kiedyś przeznaczył na utrzymanie tej świętej relikwii. Adhemar de Monteil prosił wszystkich pielgrzymów o wybaczenie i błagał ich na kolanach, by pochowali jego ciało w katedrze Świętego Piotra, a dokładniej w tym samym miejscu, gdzie Piotr Bartłomiej znalazł Świętą Włócznię. Z kolei Święty Andrzej napomniiał hrabiego Rajmunda, żeby nie dążył za wszelką cenę do władzy nad Antiochią, lecz pozostawił miasto w rękach jego zdobywcy, o ile ten będzie nadal człowiekiem cnotliwym. Poza tym należało wybrać jak najszybciej nowego łacińskiego patriarchę Antiochii, zaś zwykli pielgrzymi, po oczyszczeniu z grzechów, mieli wyruszyć czym prędzej do Jerozolimy, odległej zaledwie o dziesięć dni marszu. Święty Andrzej Apostoł ostrzegł jednak krzyżowców, że jeśli nie powrócą zaraz na ścieżkę cnoty i nie porzucą natychmiast swoich sporów, droga do Miasta Świętego może im zabrać nawet dziesięć lat.

Prawdę rzekłszy, oprócz niesmaku z powodu legata, nowe objawienie Piotra Bartłomieja nie wzbudziło we mnie żadnych innych emocji. To, kto będzie rządził Antiochią, a nawet kiedy wyruszymy do Jerozolimy, było mi całkiem obojętne, ponieważ im dłużej srożyła się zaraza, tym bardziej bałem się o Ute, która na pewno nie zrezygnowała z pracy w lazarecie. Bałem się o nią i kłamałem sam siebie, ponieważ rządy moru, jak każda tyrania, uwidocznily i niezwykle podniosły wartość prawdy. Jaką bowiem wagę wobec czyhającej na nas na każdym kroku śmierci mogły mieć jeszcze pocziwe kłamstwa, misterne taktyki, powszednie wybory mniejszego zła i nadające się jedynie do brukowania piekła intencje, bez których w normalnych czasach nie sposób przeżyć ani jednego dnia? Cóż mogły jeszcze znaczyć próżne ambicje, nadęte miny, gesty na pokaz, podszyta samolubstwem troska o innych czy nieszczerze ofiary z samego siebie? W obliczu zarazy – i na tym polegała jej wielka lekcja – liczyła się tylko i wyłącznie prawda.

Dlatego nie mogłem sobie wybaczyć, że odepchnąłem i podeptałem miłość Uty, bo „tak będzie lepiej”; że martwiłem się o to, z czego będziemy żyli, choć było całkiem prawdopodobne, że nie zdążę wydać nawet tych paru ostatnich solidów, jakie mi jeszcze zostały; że zastanawiałem się nad tym, czy będzie mnie kochać, gdy skończę pięćdziesiąt lat, choć każde z nas mogło nie dożyć jutra; że troskałem się o to, czy będzie szczęśliwa w przyszłości, unieszczęśliwiając ją zarazem tu i teraz; że wmawiałem jej zaloty rzekomych rywali, rozmaitych Ralfów, Rogerów i innych dupków, choć sama mówiła, że kocha tylko mnie. Ale najbardziej byłem wściekły na samego siebie za to, że ją okłamałem i okrutnie zraniłem, twierdząc, że jej nie kocham, kiedy prawda była zupełnie inna, bo kochałem ją coraz bardziej.

I wyciągając wnioski z wielkiej lekcji moru, postanowiłem jej o tym wszystkim bezzwłocznie powiedzieć. „Niech żyje prawda!”, „Niech żyje prawda!” – powtarzałem sobie co jakiś czas, kiedy z nagim mieczem w dłoni przemierzałem miasto w drodze do lazaretu. Broń, gotowa w każdej chwili do użycia, miała odstraszać ewentualnych niegodziwców, którzy – jak mi opowiadał Teodulf – nie mogąc znieść myśli, że są zarażeni, podczas gdy inni wciąż cieszą się dobrym zdrowiem, potrafili rzucać się na przypadkowych przechodniów, by ich pocałować albo opluć, byle tylko nie schodzić do grobu samotnie. Sądząc po tym, z jakim pośpiechem wszyscy idący z przeciwka kryli się po bramach lub uciekali na drugą stronę ulicy, moja taktyka okazała się bardzo skuteczna. Nagi miecz przydał mi się także w lazarecie, zawałonym po brzegi chorymi i umierającymi, ponieważ, kiedy ku mojej rozpacz, nie mogłem nigdzie odnaleźć Uty, utorował mi szybko drogę do samego brata Norberta.

– Gdzie jest Uta?! – wykrzyknąłem odsuwając go ostrzem miecza od jakiegoś upstrzonego krostami mizeraka.

Stary zakonnik spojrzał na moją broń i zapytał z przestachem:

– Kim jesteś?! Czego od niej chcesz?!

Zrozumiałem, że w tym przypadku miecz wcale nie pomaga i schowałem go czym prędzej do pochwy. Na twarzy brata Norberta pojawił się wyraz ulgi.

– Jestem jej narzeczonym. Muszę się z nią natychmiast zobaczyć – wyjaśniłem.

Brat Norbert pokręcił głową.

– Tu jej już nie ma. Trzy dni temu Piotr Bartłomiej zabrał ją do cytadeli. Krzyczała, płakała, ale nic nie pomogło. Szkoda, choć tam jest z pewnością bezpieczniejsza. Zarazy wolą biednych – pokazał ręką dookoła.

Po tych słowach kamień spadł mi z serca.

– Dziękuję i niech Bóg da wam wszystkim zdrowie!

Po wyjściu z lazaretu skierowałem się prosto do cytadeli, lecz w połowie drogi zaczęły mnie nachodzić wątpliwości. Skoro Uta była teraz bezpieczniejsza i śmierć już nie zaglądała jej codziennie w oczy, właściwie dlaczego miałem się śpieszyć? W tym, co powiedział Piotr Bartłomiej, było przecież dużo prawdy. Bez ręki nie mogłem zapewnić jej przyszłości, byłem od niej prawie dwa razy starszy, a na dodatek pierwsza miłość z reguły nie chce być ostatnią. Poza tym, gdyby jej na mnie naprawdę zależało, ona również mogła wykonać jakiś gest. Jakikolwiek. Dlaczego miałem go wykonywać ja? W końcu, nie wiedziałem nawet, czy nie była już zaręczona? A może była już żoną pana Hermanna, i to żoną szczęśliwą? Rozmyślając o tym wszystkim coraz intensywniej, wspiałem się jeszcze kawałek pod górę, lecz zaraz potem przystanąłem, pomedytowałem

chwilę w miejscu i zdecydowawszy w końcu zostawić sprawy ich własnemu biegowi, zawróciłem niespiesznie do domu.

Kilka dni później niespodziewanie odwiedził mnie Fulko. Bardzo mnie to ucieszyło, zwłaszcza że był zdrowy jak ryba, choć miał mi do zakomunikowania smutną nowinę, że koń, którego dla mnie schwytał, padł od zarazy jak wiele innych.

– Trudno – rzekłem ściskając go serdecznie. – Wola Boska. Jak mnie tu znalazłeś?

– A co to za problem znaleźć kogoś, jeśli się tylko chce? – odparł z wyraźną przyganą w głosie.

– Masz rację. A zatem, co z Utą? – odpląciłem szczerością za szczerość. – Czy jest zdrowa? Bo w lazarecie jej nie ma.

– Skąd wiesz?

– Bo jej tam szukałem.

– Rozumiem – rozpromienił się. – Tak, dzięki Bogu, jest zdrowa. Piotr Bartłomiej zabrał ją do cytadeli, żeby była bezpieczniejsza. Tam znajdziesz ją bez trudu.

– A co z panem Hermannem z Agrygentu?

Młody człowiek prychnął pogardliwie.

– Robi, biedaczek, co może, ale jak dotąd, niewiele wskórał. To dałoby się odkręcić, jeszcze nie jest za późno.

– Czy to ona cię tutaj przysłała? – zapytałem z nadzieją.

– Nie.

– To nie będziemy niczego odkręcać. Najważniejsze, że jest zdrowa.

Posmutniały nagle Fulko pokiwał głową, potem porozmawialiśmy jeszcze o szalejącej w mieście zarazie, zaś na odchodnym zapytał:

– Czy mam jej coś powtórzyć?

– A czy ona wie, że tu jesteś?

– Nie.

– To niech tak zostanie. Nic jej nie powtarzaj. Uważaj na siebie i wpadaj do mnie, kiedy zechcesz.

Byłem oczywiście ciekaw, czy w ogóle jeszcze do mnie zajrzy, ale nie dane mi było długo nad tym rozmyślać, ponieważ jeszcze tego samego dnia spadło na mnie prawdziwe nieszczęście.

Oto Teodulf, który jak zwykle wrócił do domu bardzo późno, przemknął chyłkiem obok kuchni, gdzie odgrzewałem dla niego jedzenie, i pobiegłszy czym prędzej na górę, zamknął się w swoim pokoju na cztery spusty.

– Teodulf, kolacja! – zawołałem, ale nie raczył mi nawet odpowiedzieć.

Zaniepokojony ruszyłem za nim po schodach, a kiedy doszedłem do jego sypialni, zza zamkniętych drzwi dobiegły mnie odgłosy gwałtownych wymiotów.

– Teodulf, co ci jest? Otwórz! – zacząłem się do niego dobijać.

– Odejdź! Jestem chory – wycharczał w odpowiedzi. – Trzymaj się ode mnie z daleka.

Zmartwiałem. A więc zdarzyło się to, czego się po cichu bardzo obawiałem!

– Powiedz, jak ci pomóc?! Co mogę dla ciebie zrobić?! – pytałem go przerażony.

– Nic. Albo wyleczę się sam, albo... – nie dokończył, ponieważ znowu chwyciły go torsje i gwałtowny kaszel.

– Zraz przyniosę ci jedzenie i wodę. To cię wzmocni – zaproponowałem, kiedy się nieco uspokoił.

– Dobrze, przede wszystkim wodę – odparł krztusząc się. – Zostaw wszystko na progu i odejdź. A jak będziesz zabierał naczynia, weź je przez jakąś szmatę, a potem porządnie wygotuj. I módl się za mnie, przyjacielu.

O to akurat nie musiał mnie prosić. Modliłem się za niego bardzo żarliwie i robiłem to stale przez kolejne dni, kiedy starałem się go doglądać, na ile było to możliwe przez zamknięte drzwi.

Z początku wydawało się, że nie jest z nim najgorzej. Dużo pił, zjadał wszystko, co mu stawiałem na progu i chwilami bywał nawet rozmowny, ale począwszy od piątego dnia choroby nie brał już do ust niczego oprócz wody, zaś szóstego poprosił o księdza. Długo szukałem na mieście jakiegoś duchownego, który zgodziłby się go wyspowiadać. W końcu znalazłem normańskiego mnicha, uodpornionego już na zarazę, z której wyszedł obronną ręką, i ten mi nie odmówił.

Po spowiedzi Teodulf poprosił mnie o rozmowę.

– Niedługo umrę – powiedział przez zamknięte drzwi ledwie słyszalnym, choć bardzo spokojnym głosem – i chcę się z tobą pożegnać, zanim zacznę wygadywać bzdury.

– Chyba już teraz mówisz od rzeczy! – zaprotestowałem. – Widziałeś tego mnicha? Też był chory, a dzisiaj jest zdrowszy od nas obu.

– Wiem, co mówię – nie dał się przekonać. – Znam się na tym lepiej od ciebie. Posłuchaj. W kuchni, w starym mózdzierzu, znajdziesz trochę pieniędzy. Po mojej śmierci oddaj połowę z nich bratu Norbertowi, na lazaret, drugą zachowaj dla siebie. I nie zapomnij spalić moich rzeczy. Dziękuję ci za wszystko i mam nadzieję, że się nieprędko spotkamy. A teraz przynieś mi jeszcze wody, bo strasznie chce mi się pić.

Pobiegłem zaraz do studni, żeby napełnić dzban, lecz kiedy z nim wróciłem, Teodulf nie wykazywał już chęci do rozmowy. Próbowiałem do niego zagadywać,

stukalem i walilem w drzwi, ale on milczal jak zaklęty, wiec w koncu postawilem dzban na progu i zrozpaczony zszedlem na dol.

W nocy zaczal krzyczec i mowic glosno sam do siebie, ale nie odpowiadala na moje pytania. Uspokoil sie dopiero nad ranem i wtedy nieco przysnal. Kiedy sie zbudzilem i zobaczylem, ze nie wypil ani kropli z dzbana, ktory mu zostawilem na noc, okrecilem glowe i reke kawalkami koszuli i wylamalem drzwi do jego pokoju.

Normanski medyk byl juz zimny. Zawinalem jego wymizerowane ciało, pokryte od stop do glow krostami i ciemnymi plamami, w znalezione na strychu czyste prześcieradlo, za całą brudną pościel i wszystkie jego rzeczy znajdujące się w pokoju spalilem na podwórku. Następnie wyszedlem poszukać ktoregos z tych wozow, jakie z rozkazu hrabiego Boemunda krązily po Antiochii dniem i nocą, i zbieraly z domow i ulic ciała ofiar zarazy.

Kiedy w koncu udalo mi sie sprowadzić jeden z nich i zwloki mojego przyjaciela spoczely na stosie innych, towarzysylem mu w ostatniej drodze do podnóża gory Silpion, gdzie zatykajac nos przed powalajacym fetorem, przygladalem sie dlugo, jak zakutani w brudne szmaty grabarze zsuwaja trupy zelaznymi hakami do wspolnej, otwartej od wielu dni mogily, a potem przysypuja je cienka warstwa wapna, ziemi i kamieni.

Po smierci Teodulfa zostalem zupełnie sam w wielkim zdobycznym domu i w pustoszonym przez zaraze mieście. Przez dwa dni tłumilem rozpacz pijaństwem, w koncu jednak zebralem sie w garść, zeby wypełnić ostatnia wole mojego normanskiego przyjaciela.

W mozdzierzu znalazlem czterdzieści sześć bizantow, zalosnie malo, jak na zyciowy dorobek tak swietnego medyka. Wzialem do siebie dwadzieścia trzy solidy, a z reszta powloklem sie do brata Norberta, ktory przyjal ten datek ze łzami. Przy okazji dowiedzialem sie od niego o waznym fakcie, o ktorym, zajety Teodulfem, nie mialem dotad pojecia. Otóz z miasta uciekal, kto mogl, bo byl to najlepszy sposob ocalenia zycia. Ksiazę Gotfryd de Bouillon udal sie do Turbessel, miasta podarowanego mu przez jego brata Baldwina, hrabia Rajmund przeniosl sie na wieś koło Antiochii, natomiast hrabia Boemund i jego dwór wyjechali aż do Cylicji, wskutek czego Uta byla nie tylko bezpieczniejsza, ale takze bardzo daleko. Ponoć pakowal sie rowniez ksiazę Normandii z zamiarem wyjazdu do Laodycei, gdzie od pewnego czasu przebywal juz jego kuzyn, Robert hrabia Flandrii.

Oznaczało to, ze musze natychmiast dzialac. Z moimi własnymi dziesięcioma bizantami i dwudziestoma trzema odziedziczonymi po Teodulfie moglem przeżyć najwyzej trzy tygodnie (oczywiście, za zgodą moru), wiec byl to ostatni moment, zeby znaleźć jakas prace.

Dlatego wybrałem się zaraz do księcia Roberta, by przedstawić mu pewien pomysł, z którego wprowadzie – przez wzgląd na Yusufa – nie byłem do końca zadowolony, ale żaden lepszy nie przyszedł mi do głowy.

W pałacu księcia Normandii rzeczywiście się pakowano, mimo to nie musiałem czekać zbyt długo. Książę Robert przyjął mnie w swojej kancelarii, gdzie właśnie rolowano dywany i upychano w skrzynie różne sprzęty. Na mój widok porzucił służących, którym akurat objaśniał, co należy zabrać, a co zostawić, i ruszył ku mnie z wyciągniętą na powitanie prawicą.

– Hrabia Alderney?! Jakże się cieszę! Myślałem, że już nie żyjesz. Jak tam twoja ręka? – dopytywał się z daleka.

W odpowiedzi wyciągnąłem do niego mój kikut, co spowodowało, że na dwa kroki przede mną zatrzymał się gwałtownie i cofnął dyskretnie dłoń, po czym stwierdził z ledwie skrywaną odrazą:

– No tak, chwalebna, bohaterska rana. Ale taki to już jest nasz rycerski los! Miło, że do mnie wpadłeś, hrabio. Czym mogę ci służyć?

– Panie – odparłem wskazując kikutem na otaczającą nas krzątanicę – widzę, że jesteś bardzo zajęty, więc jeśli pozwolisz, przejdę od razu do rzeczy.

– Bardzo słusznie, hrabio Alderney. Mów – zgodził się bez dalszych ceregieli.

– Jak widzisz, książę, nie mogę już liczyć na łupy ani na walki harcowników. Za trzy tygodnie nie będę miał z czego żyć, a powinienem jeszcze wrócić za coś do domu. Toteż pomyślałem sobie, że może ty, panie, jako mój zwierzchnik i senior, znalazłbyś dla mnie jakieś zajęcie? Na przykład przy szkoleniu żołnierzy. Nawet bez jednej ręki mogę ich jeszcze sporo nauczyć i ćwiczyć z nimi do upadłego. Co ty na to, mości książę? Co do mnie, to nie mam wielkich wymagań. Wystarczyłby mi wikt i powiedzmy... dziesięć bizantów miesięcznie – wymieniłem tę sumę półgłosem, ze wstydu przed samym sobą z powodu jej mizerii.

Ale książę Normandii był odmiennego zdania. Westchnął, pokręcił głową, a później, ująwszy mnie pod ramię, rzekł:

– Dziesięć bizantów?! Widzę, hrabio, że z tobą trzeba być boleśnie szczerym. Umiesz, a raczej umiałeś, to samo co wszyscy, czyli robić mieczem. Może nawet robiłeś nim trochę lepiej od innych, ale to już przeszłość. Było, minęło. Dziś jesteś kaleką, a wciąż chciałbyś żyć z miecza? W porządku, żyj sobie, ale na własny koszt. Bo ja nie mam pieniędzy, żeby je wyrzucać w błoto. Zbyt dobrze wiem, co znaczy prawdziwa bieda. Czy wiesz, że zanim tu przyjechałem, nieraz nie wychodziłem z łóżka przez parę tygodni tylko dlatego, że nie miałem się w co ubrać? Ja, książę, pan z panów i z dziada pradziada, syn i brat królów Anglii! Odżyłem dopiero wtedy, gdy zastawiłem Normandię, a i to na krótko, bo duża część tego, co za nią dostałem, poszła na dno razem ze statkiem, który nam

zatonął w czasie przeprawy z Włoch do Grecji. Gdybyś umiał, hrabio, cokolwiek innego oprócz machania mieczem, może mógłbym ci jakoś pomóc. Ale tak, mogę cię jedynie prosić, żebyś od czasu do czasu zaszedł do mnie na obiad po moim powrocie z Laodycei. Przy moim stole będziesz zawsze miłym gościem. Oczywiście pod warunkiem, że obaj przeżyjemy – zachichotał nieprzyjemnie, wskazując na miasto za oknem.

Zawstydzony jego słowami skłoniłem się i już miałem odejść, kiedy nagle doznałem prawdziwego olśnienia.

– Ależ, mości książę, ja potrafię coś innego oprócz machania mieczem! – wypaliłem prosto z mostu.

– To znaczy? – zapytał książę Robert.

– Czytać.

– Czytać?! Trzeba tak było mówić od razu – książę Normandii wydawał się kompletnie zaskoczony. Przez chwilę nad czymś się zastanawiał, a potem spytał podchwytliwie: – A pisać?

– I czytać, i pisać – potwierdziłem z dumą.

Wtedy wziął ze stołu pierwszy z brzegu pergamin, odwrócił go na drugą stronę, podsunął mi gęsie pióro i pękaty kałamarz inkaustu, i zaordynował:

– To napisz mi, proszę... „Książę Robert”.

– „Książę Robert”? Już się robi.

I starając się gorączkowo przypomnieć sobie, jak wyglądają poszczególne litery, składające się na te dwa słowa, zaatakowałem pergamin z takim impetem, że już przy pierwszym pociągnięciu pióra zrobiłem plamę wielkości bizanta. Nie przejmując się tym zupełnie, przerobiłem kleks na literę „R”, przypominającą, jak pamiętałem, spasionego żołdaka z wystawioną do przodu nogą jak na komendę „Spocznij”. Jajowate „o” było fraszką, ale przy kolejnej literze ogarnęły mnie wątpliwości, w którą stronę powinna się wypinać i czy chodziło o jej brzuszek, czy raczej o zadek? Mając do wyboru końskie kopyto i mizdrzącą się ladacznicę, bezwiednie wybrałem tę drugą, a dalej poszło już gładko. Moje litery były krzywe, różniły się między sobą wielkością, nie zachowywały równego dystansu, niekiedy wyskakiwały ponad inne bądź, przeciwnie, jakby trafiły z nienacka na ukrytą dziurę, zapadały się poniżej przeciętnego poziomu reszty, ale kiedy dotarłem wreszcie do przypominającego dwa skrzyżowane miecze „x”, byłem z siebie bardzo zadowolony i błogosławiłem w duchu mojego Yusufa.

– Skończyłeś? – zapytał książę Robert, kiedy odłożyłem pióro.

– Tak jest, mości książę.

Wówczas książę Normandii wezwał do siebie jakiegoś niepozornego, łysego jak kolano, choć jeszcze dość młodego zakonnika i przedstawivszy go jako brata Fryderyka, swojego nadwornego kronikarza, kazał mu przeczytać, co napisałem.

- *Ro... Roder... Rodertus Dux* – przesyłabizował wolno brat Fryderyk.
- Chyba *Robertus*? – książę Robert zmarszczył brwi.
- Oczywiście *e*, *Robertus*. *Robertus Dux* – poprawił się łysy zakonnik, pochyliwszy się jeszcze bardziej nad pergaminem.

- Brawo, hrabio Alderney! – książę Normandii rozpromienił się. – Nie spodziewałem się tego po tobie! To zmienia postać rzeczy. Jeśli naprawdę chcesz u mnie pracować, możesz zostać pomocnikiem brata Fryderyka. Przy kronice, którą układamy, ciągle trzeba coś poprawiać i przepisywać, i on sam nie daje już sobie z tym rady.

- Układacie kronikę?! – osłupiałem. – Czego? I po co?

- Kronikę krucjaty – wyjaśnił książę Robert. – I nie jesteśmy w tym odosobnieni. U hrabiego Tuluzy robi to pan Rajmund d'Aguilers, na dworze hrabiego Baldwina pan Foulcher z Chartres. Inni pewnie też coś piszą, choć się tym nie chwala. A po co? Po to, żeby naszych czynów nie pokrył kurz niepamięci ani rdza przeinaczeń, i żeby powiadomić o nich papieża oraz inne dwory. I dlatego musimy się śpieszyć. Bo kto pierwszy, ten lepszy, tego będzie na wierzchu. Więc jeśli się zgadzasz, hrabio, dam ci to, o co prosiłeś. Wikt i dziesięć solidów miesięcznie. Co ty na to?

Byłem tak oszołomiony tą propozycją, że nie odpowiedziałem. Ale książę Normandii znów zrozumiał to inaczej, bo dodał zniecierpliwiony:

- Niech będzie piętnaście, to moje ostatnie słowo.

- Zgadzam się – wykrztusiłem czym prędzej.

- W takim razie bądź tu jutro z rzeczami o świcie. Jeśli nie masz konia, pojedziesz wozem razem z bratem Fryderykiem. Od niego dowiesz się reszty. A teraz muszę cię pożegnać, gdyż czeka mnie jeszcze sporo pracy.

Nazajutrz, ze wszystkimi moimi rzeczami zebranymi do jednego niewielkiego worka, stawilem się w pałacu księcia Roberta na długo przed świtem. A kiedy siedząc obok zaspanego brata Fryderyka, wyjeżdżałem z Antiochii w długiej kolumnie wozów, konnych i piechurów, byłem niemalże szczęśliwy, że wreszcie opuszczam to nieszczęsne miasto, gdzie uśmierciłem moją miłość i gdzie straciłem tylu dobrych przyjaciół.

*

Laodycea była położonym najdalej na południe miastem znajdującym się znowu w rękach chrześcijan. Zdobyta parę miesięcy wcześniej przez piratów z Boulogne uznających zwierzchność hrabiego Baldwina, przeszła następnie w ręce Greków i Anglików dowodzonych przez księcia Edgara Athelinga, potomka dawnych, pokonanych pod Hastings władców Anglii, który służył teraz cesarzowi Bizancjum. Książę Edgar nienawidził Wilhelma Zdobywcy i właśnie dlatego był serdecznym druhem jego zbuntowanego syna Roberta, któremu,

przed przyjazdem na Wschód, pomagał walczyć z ojcem, a potem z jego młodszym bratem Wilhelmem Rufusem, następnym królem Anglii. Przyjaźni obu książąt, scementowanej w wielu bitwach, nie szkodził nawet fakt, że obaj marzyli o tym samym tronie, toteż kiedy Edgar przepędził z Laodycei piratów hrabiego Baldwina, natychmiast zaprosił do niej Roberta, aby ten pomógł mu utrzymać zdobycz. Ponieważ zaproszenie to zbiegło się w czasie z zarazą w Antiochii, książę Robert, a przy okazji także jego kuzyn, hrabia Flandrii, chętnie z niego skorzystali – dzięki czemu również ja znalazłem się w mieście, o którym tyle słyszałem od Mamerkusa.

Laodycea, rozłożona na łagodnych, zielonych wzgórzach i przegładająca się w wodach przepięknej zatoki, przypadła mi od razu do gustu. Było w niej cicho i spokojnie, nie brakowało jedzenia, znacznie tańszego niż w Antiochii – zwłaszcza ryb, drobiu, jajek i owoców, które bardzo lubiłem – i co najważniejsze, nikt w niej nie słyszał o zarazie.

Wkrótce po naszym przyjeździe, książę Edgar odpłynął na Cypr, przekazując władzę w mieście księciu Robertowi, zaś brat Fryderyk i ja, urządziwszy się jako tako w na pół zrujnowanym greckim klasztorze, gdzie nas zakwaterowano, zabraliśmy się ostro do pracy.

Moje zajęcia, polegające na przepisywaniu na czysto zaakceptowanych już przez księcia fragmentów kroniki, było stosunkowo proste, ponieważ musiałem jedynie uważać, żeby się nie pomylić albo nie zrobić kleksa. Zadanie brata Fryderyka było znacznie trudniejsze, ponieważ to on tworzył tekst, nie ograniczając się przy tym bynajmniej do przeszłych wydarzeń, lecz zgodnie z zasadą wyznawaną przez księcia Normandii, że kto pierwszy, ten lepszy, bo tego będzie na wierzchu, próbował także opisywać wypadki, które miały dopiero zaistnieć. Po przybyciu do Laodycei szczególnie dużo uwagi poświęcał na przykład oblężeniu i zdobyciu Jerozolimy, jak też wszelkim konsekwencjom tego świetnego zwycięstwa, które mieliśmy dopiero odnieść. Byłem bardzo ciekaw jego przewidywań i obrazu sytuacji, jaki się z nich wyłaniał, niestety, kiedy pisał, nie wolno go było o nic pytać, a już tym bardziej zaglądać mu przez ramię, natomiast kiedy kończył, nabierał wody w usta i nie chciał zdradzać żadnych szczegółów swej pracy.

Moja ciekawość w tym względzie została zaspokojona dopiero wtedy, gdy po tygodniu naszego pobytu w Laodycei książę Robert wezwał nas obu do siebie, żeby zapoznać się z najnowszymi partiami dzieła. Drugim dostojnym słuchaczem kroniki okazał się osobisty kapelan i doradca księcia Normandii, ojciec Arnulf Malecorne de Choques, znakomity kaznodzieja, który po śmierci biskupa Adhemara de Monteil stał się jednym z najbardziej wpływowych duchownych

w obozie obok Wilhelma biskupa Orange i Piotra z Narbony, protegowanych hrabiego Tuluzy.

Kiedy zasiedliśmy wygodnie przy stole, brat Fryderyk rozłożył przed sobą pergamin, przepłukał usta wodą i zaczął czytać podniosłym głosem:

I wtedy zaczęliśmy oblegać Miasto Święte ze wszystkich stron: księżę Gotfryd od zachodu, hrabia Rajmund od północy, hrabia Flandrii od wschodu, a najmiłościwszy księżę Normandii Robert od południa...

– Chybaś już zdurniał do reszty! – przerwał mu niezadowolony księżę Robert.

– Sam sobie oblegaj Jerozolimę od południa, jeśli masz ochotę. Zobaczymy, jak długo wytrzymasz na słońcu. Ja będę ją oblegać od północy, zrozumiano?

– Zrozumiano – zgodził się potulnie brat Fryderyk.

– To popraw to natychmiast – syknął ojciec Arnulf.

– Co idzie dalej? – zapytał księżę Normandii.

– Dalej idzie opis walk, ale nie jest jeszcze gotowy – odparł brat Fryderyk czerwony jak burak. – Ze względu na trudne aspekty militarne.

– O aspekty militarne pytaj hrabiego Alderney – rozkazał księżę Robert. – Przynajmniej nie będziesz pisał głupot. Co tam jeszcze masz?

– Deskrypcję samego zdobycia. Czy mam ją przeczytać?

– A jak myślisz, po co tu jesteśmy? – zapytał cierpko ojciec Arnulf.

- Po wielu dniach ciężkich i krwawych walk opór obrońców został złamany. Jako pierwszy, dając przykład innym rycerzom Chrystusowym, wdarł się do Miasta Świętego waleczny Robert księżę Normandii na czele swoich bitnych i wiernych oddziałów, a w ślad za nim runęły na wroga hufce pozostałych wodzów. Zazarty bój rozgorzał w całej Jerozolimie. Walczono o każdy dom i każdą ulicę, ale pomimo straceńczej obrony niewiernych, nasi ludzie posuwali się ciągle naprzód. Ścinali wrogom głowy, przeszywali ich strzałami, strącali z wież i dachów, tratowali końmi i spychali w ogień szalejących wszędzie pożarów. Wąskie uliczki Jerozolimy zasłane były tysiącami trupów ludzi i zwierząt, zaś pielgrzymi zbliżający się coraz bardziej do Świątyni Salomona, gdzie szukało ratunku najwięcej nieprzyjaciół Krzyża, ślizgali się co krok w kałużach krwi...

– Napisz, że krew sięgała im do kolan, a nawet do strzemion – poradził księżę Robert.

– Ale dlaczego miałyby być aż tak krwawo? – pozwoliłem sobie zaprotestować. – Może się poddadzą i pozwolimy im odejść cało.

– Nieważne, jak będzie, hrabio Alderney – odparł księżę Normandii. – Ważne, żeby to przeczytali w Anglii.

Tymczasem brat Fryderyk kontynuował:

– Kiedy wreszcie padła Świątynia Salomona i całe miasto zostało zdobyte, widok rozmodlonych pielgrzymów cisnących się do Grobu Pańskiego wart był wszystkich cierpień, wyrzeczeń i znojów, jakie przyszło nam przeżyć podczas tej wyprawy. Ów dzień, w którym zaśpiewaliśmy Panu Pieśń Nową; dzień, kiedy wywyższone zostało Chrześcijaństwo, a pokonane i upokorzone Pogaństwo; dzień, w którym wszystkie nasze cierpienia i smutki przemieniły się w nieskończone szczęście i niewysłowioną radość; dzień, kiedy Pan objawił się swojemu ludowi i obdarzył go błogosławieństwem – ten dzień będzie otoczony chwałą przez wieki wieków, zaś wszyscy ci, którzy owego dnia, wypuściwszy ze strudzonej ręki wyszczerbiony oręż, mogli z dumą powiedzieć o sobie: „Przeszliśmy przez ogień i wodę, ale Ty nam zesłałeś wytchnienie”, pozostaną w naszej pamięci po sam koniec świata.

– No, to ci wyszło – stwierdził z satysfakcją książę Robert. – Zwłaszcza ten kawałek o ogniu i wodzie. Czy to już wszystko?

– Nie – brat Fryderyk, zadowolony z pochwały, wyprostował się i wodząc palcem po pergaminie, ciągnął dalej: - W kilka dni po zwycięstwie najważniejsi dowódcy i najdzielniejsi rycerze Chrystusowi zebrali się na naradzie i w uznaniu najwyższych zasług dla oswobodzenia Grobu naszego Pana z rąk niewiernych, a także po to, by ktoś strzegł bezpieczeństwa i sprawował rządy w odzyskanym tak bohatersko Mieście Świętym, ofiarowali godność oraz koronę króla Jerozolimy Jego Wysokości Robertowi księciu Normandii...

- Który jej jednak nie przyjął – dopowiedział z dumą książę Robert. - Nie przyjął. Tak napiszcie.

– Jak to nie przyjął?! – zapalał na to świętym oburzeniem ojciec Arnulf, zaś brat Fryderyk chwycił się za głowę. – Dlaczego?! Przecież poza tobą nikt nie jest jej godzien, panie!

– Bo wolę być królem Anglii, to chyba jasne. Ale tego akurat nie piszcie.

Brat Fryderyk i ojciec Arnulf wzruszyli jak na komendę ramionami i spojrzeli po sobie wzrokiem wyrażającym bezbrzeżny smutek, dotkliwy żal, najgłębsze rozczarowanie, a nawet utrzymywany z trudem na wodzy, heroiczny sprzeciw wobec tej zupełnie niezrozumiałej decyzji swojego pana, jednak, jako dobrzy i wierni słudzy, podporządkowali się bez szemrania jego woli, pozwalając sobie jedynie na głośnie westchnienia.

– To co mam w końcu napisać? – zapytał ponuro brat Fryderyk i na znak symbolicznego, aczkolwiek pełnego szacunku protestu, odłożył trzymane w ręku pióro. – Bo ludzie się z tym nie pogodzą, panie. Nie pogodzą się i już! Trzeba im to jakoś wytłumaczyć.

– Pisz, co chcesz, byle z sensem – ofuknął go książę Normandii, a potem widząc jego kwaśną minę, zwrócił się do mnie: – Może ty coś wymyślisz, hrabio

Alderney? Ciekaw jestem, co ty byś powiedział, gdyby zaoferowano ci królestwo Jerozolimy, a ty byś nie miał ochoty go przyjąć?

– Powiedziałbym, zgodnie z prawdą, że w mieście, gdzie Chrystus nosił koronę z cierni, nie godzi się wkładać na głowę złotej – odparłem bez wahania.

– Ha! I widzicie! Wystarczy tylko trochę pomyśleć! – książę Normandii klasnął z uznaniem w dłonie. -Dziękuję, hrabio, i podwyższam ci pensję o pięć bizantów. Tak właśnie trzeba to ująć: *W mieście, gdzie Chrystus nosił koronę z cierni, nie godzi się wkładać na głowę złotej!* Przednie, naprawdę przednie, choć oczywiście i tak ktoś ją włoży.

– Kto?! Chyba nie hrabia Boemund, na Boga?! – oburzył się ojciec Arnulf.

– Nie – prychnął książę Robert. – Mogę się założyć, że hrabia Boemund nawet nie ruszy dupy z Antiochii. Na moje oko, albo hrabia Rajmund, albo książę Gotfryd. Zresztą, każdy z nich zgodzi się na to w podskokach. Bez złudzeń, panowie.

– Dobrze, a więc który? – brat Fryderyk chwycił ponownie za pióro, gotów zanotować natychmiast nazwisko owego pozbawionego skrupułów bezwstydnika.

– Nie wiem. Na razie zostaw puste miejsce.

– A co z patriarchatem Jerozolimy? – zapytał z troską w głosie ojciec Arnulf.

– Spokojnie, nie wszystko na raz, mój drogi Arnulfie – książę Normandii rozłożył ręce. – Ja zawsze dotrzymuję słowa, ale pamiętaj, że jest jeszcze biskup Orange, jest Piotr z Narbony i paru innych. Zobaczmy, co się da zrobić.

Ojciec Arnulf przygryzł wargę i zrezygnowany polecił bratu Fryderykowi:

– Tu też puste miejsce.

W ten sposób omawialiśmy naszą pracę co jakiś czas. Szybko zauważyłem, że działania wojenne, jakie podejmowaliśmy z bratem Fryderykiem na pergaminie, odznaczały się o wiele większym rozmachem niż ich realne pierwowzory. Były też od nich znacznie krwawsze i bardziej brawurowe. Jeśli w prawdziwej bitwie zginęło pięćset osób, u nas liczba ofiar wzrastała do pięciu tysięcy, przy czym każdy z zabitych odnosił najpierw co najmniej dziesięć śmiertelnych ran. Jeśli w rzeczywistości jakieś miasteczko zostało zajęte bez walki, my zmagaliśmy się o nie przynajmniej przez tydzień, podczas którego przechodziło ono z rąk do rąk, dopóki nie obróciło się ostatecznie w kupę dymiącego gruzu. Oczywiście, w każdej sytuacji sławiliśmy chrześcijan – zwłaszcza księcia Roberta i jego Normanów – jednak, aby podkreślić jeszcze bardziej ich przewagi, wynosiliśmy też pod niebiosa naszych przeciwników. Brat Fryderyk kładł wprawdzie tysiące z nich pokotem, ale zawsze po długiej i wyczerpującej walce i z pełnym respektem dla ich odwagi i rycerskości. Dlatego w naszej kronice nie było żadnej wzmianki o zdradzie Firuza, ucieczce Kurbugi czy propozycjach Al-Mustalego,

nioletniego kalifa Egiptu oraz Al-Afdala, jego wiernego wezyra. Za to na nie będących naszymi wrogami Bizantyjczykach, których książę Robert serdecznie nie znosił, mogliśmy sobie używać, ile wlezie, ponieważ o ich perfidii, tchórzostwie i zniewieściałości nasz chlebobawca mógł słuchać z lubością bez końca.

Tak samo jak Bizantyjczyków, książę Robert nie cierpiał również wszelkich abstrakcji. Chociaż rozumiał, że w każdej porządnej kronice powinny się znaleźć wzniosłe inwokacje i różnego rodzaju moralne rozważania, nudziły go one śmiertelnie, ponieważ nade wszystko cenił sobie konkret i soczysty szczegół. Brat Fryderyk starał się go zadowolić i stąd nasza kronika pełna była strumieni krwi, obciętych głów i kończyn, wyłupionych oczu, skręconych karków, wyprutych jelit i zgruchotanych czaszek. Prawdę rzekłszy, nie mogłem się nadziwić, skąd w kimś tak wątlwym i niepozornym jak mój zakonny pryncypał, kimś tak na co dzień uprzejmym i delikatnym, kimś wreszcie, kto nigdy nie trzymał w ręku broni, brała się tak wielka krwiożerczość, kiedy tylko ujmował pióro i puszczał wodze fantazji przy opisie jakiegoś szturm lub bitwy. Tak jednak było, zaś efekty jego pisania, w trakcie którego wznosił bojowe okrzyki i wymachiwał piórem jak mieczem, chlapiąc dokoła inkaustem, robiły niekiedy potężne wrażenie nawet na mnie, choć znałem te rzeczy od podszewki i w wielu z opisywanych wydarzeń uczestniczyłem osobiście.

Mimo to, z początku starałem się walczyć z jaskrawą przesadą i korygować rozmaite błędy, zwłaszcza dotyczące spraw wojskowych, o których brat Fryderyk nie miał większego pojęcia. Kiedy jednak przekonałem się, że mój bezpośredni przełożony traktuje wszelkie uwagi odnoszące się do jego twórczości jak impertynencję, a nawet jak złośliwą obstrukcję, zrezygnowałem z ich wygłaszania i powiedziałem sobie w duchu: „Trudno! Masz tylko jedną rękę, a musisz z czegoś żyć”, i powtórzyłem smętnie za Eklezjastą: *Pisaniu wielu ksiąg nie ma końca, ale ty Boga się bój i przykazań Jego przestrzegaj, bo cały w tym człowiek!*¹⁸⁴ Od tamtej pory kopiowałem bez szemrania, cokolwiek spłodził, mając przy tym cichą nadzieję, że skoro oprócz naszej kroniki pisano jeszcze kilka innych, zaś w relacjonowanych przez nie wypadkach brało udział wiele tysięcy ludzi, prawda nie mogła doznać zbyt wielkiego gwałtu i prędzej czy później musiała wypłynąć na wierzch.

Na szczęście i ku mojej satysfakcji brat Fryderyk przesadzał niekiedy tak bardzo, że nawet książę Robert czuł się w obowiązku ściągać go z obłoków na ziemię. I tak, kiedy mój przełożony określił liczebność armii Kurbugi na pół miliona, książę zmniejszył ją o połowę. Innym razem, kiedy brat Fryderyk opisał w barwny sposób (historia ta stała się sławna i słyszałem ją później w różnych wersjach), jak pewien normański rycerz imieniem Longinus, pełniący nocną straż

na murach Antiochii, ściął za jednym zamachem głowy pięciu Turkom próbującym zakraść się cichaczem do miasta, ksiązę Normandii kazał mu natychmiast wskrzesić dwóch z nich, zauważając rozsądnie, że nie ma na świecie takiego miecza, który poradziłby sobie z pięcioma głowami na raz. Kiedy wreszcie, w relacji o bitwie z Kurbugą, mój pryncypał, porwany natchnieniem, zamieścił opis szarżujących słoni (*zastrzygłszy wielkimi jak żagle uszami i zadawszy groźnie w swe spiżowe trąby, wyszczerzyły ostre kły i popędziły na nas galopem, aż ziemia zadrżała...*), ksiązę Robert dostał białej gorączki i podarł mu na strzępy całą kartę, wrzeszcząc przy tym wniebogłosy, że w Anglii i Normandii szybciej uwierzą w latające smoki, niż w istnienie równie niedorzecznych bestii.

Przy tym wszystkim praca nad kroniką wywierała na mnie błogosławiony wpływ. Już po paru tygodniach ślęczenia nad pergaminami zacząłem odczuwać wewnętrzne wyciszenie, cieszyć się chwilą bieżącą i czerpać satysfakcję z niezmiennej rutyny dnia. Mojego cierpkiego szczęścia dopełniały jeszcze strzępiaste palmy za oknem naszego *scriptorium*, mirty i róże na jego wewnętrznym dziedzińcu, codzienne spacerowanie po tych samych sennych uliczkach, jakimi tysiąc lat wcześniej chadzał zapewne Mamerkus, wieczorna bryza od morza, rozgwieżdżone niebo i głośnie granie cykad, a także, czemu nie, regularna pensja, którą mogłem odkładać niemal w całości, co pozwalało mi cierpliwie czekać na chwilę, kiedy dopełniwszy w końcu moich ślubów, wsiądę na jakiś statek i odpłynę za morze, widoczne jak na dłoni z naszego tarasu.

W październiku ksiązę Normandii wyjechał do Antiochii, gdzie nareszcie wygasła zaraza. Jego wyjazd łączono powszechnie ze skargami na jego zdzierstwo, jakie zamieszkali w Laodycei Grecy ślali potajemnie do cesarskiego namiestnika na Cyprze i związanym z tym przejściem miasta przez Bizantyjczyków, choć oficjalnie powodem powrotu do Antiochii był zaplanowany na listopad marsz na Jerozolimę. Ksiązę Robert przekazał Laodyceę przybyłym z Cypru oddziałom cesarskim bez żadnych oporów, być może dlatego, że zamierzał wkrótce powrócić razem z całą armią i odzyskać bez trudu to, co utracił. Zapewne w tym właśnie celu, pod pretekstem zapewnienia ochrony pozostawionemu w mieście dobytкови, którego nie opłacało mu się wozić z powrotem na północ, zostawił w mieście niewielką załogę, a wraz z nią trochę służby, brata Fryderyka i mnie.

Bizantyjczycy nie interesowali się zupełnie tym, co robimy, więc pracowaliśmy spokojnie dalej, wysyłając księciu Robertowi gotowe fragmenty kroniki przez specjalnych posłańców.

Dzięki nim wiedzieliśmy też z grubsza, co słyhać w Antiochii. I tak okazało się, że z powodu sporów między naszymi wodzami, szukającymi teraz poparcia a to u cesarza, a to u papieża, zapowiadana na listopad wyprawa na Jerozolimę

znów została odłożona. Tymczasem w Antiochii ponownie srożył się głód, ponieważ skończył się już prowiant zdobyty na Kurbudze, zaś okolice miasta były od dawna ogołocone z wszelkiej żywności.

Głodujący pielgrzymi i żołnierze – w tym także należący do oddziałów Rajmunda i Boemunda – złorzeczyli solidarnie swoim dowódcom i domagali się natychmiastowego wymarszu na Miasto Święte. „Niech siedzą w Antiochii ci, którym chodzi tylko o dochody z tego grodu!”, głosili otwarcie na placach i ulicach. „Niech czekają na Bizantyjczyków ci, którzy liczą na łaski i złoto cesarza, a na papieża ci, którzy wierzą w cuda! My chodźmy na Jerozolimę, a na odchodnym zburzmy i spalmy to przekłete miasto!”.

Co ciekawe, żądania buntowników poparł Święty Andrzej, co kosztowało Piotra Bartłomieja natychmiastową utratę łaski hrabiego Tarentu. Hrabia Boemund posunął się w swojej złości tak daleko, że także on zakwestionował publicznie prawdomówność kuzyna Uty, a tym samym prawdziwość Świętej Włóczni, po czym odebrał mu normańską eskortę. Utraciwszy z dnia na dzień fawory hrabiego Boemunda,

Piotr Bartłomiej nie zrehabilitował się bynajmniej w oczach hrabiego Rajmunda i niedługo potem, tak samo jak ongiś Stefan Walenty, został ciężko pobity przez nieznaną sprawców.

Tymczasem, żeby zająć czymś buntujące się wojsko, hrabia Rajmund i hrabia Flandrii postanowili zaatakować miasto Ma'rrat an-Numan, które zdobyto w połowie grudnia, zabijając większość jego mieszkańców. Pomimo tego zwycięstwa, w zdobytym mieście szybko zapanował taki głód, że zrozpaczeni krzyżowcy musieli odżywiać się martwymi ciałami nieprzyjaciół. Ofiarą głodu i wycieńczenia padł tam także Wilhelm biskup Orange, zaś wkrótce po jego śmierci zdesperowani żołnierze z różnych hufców zaoferowali naczelnemu dowództwu hrabiemu Rajmundowi, pod tym wszakże warunkiem, że bez dalszej zwłoki poprowadzi ich na Jerozolimę. Po pertraktacjach z innymi przywódcami hrabia Tuluzy zgodził się i tuż po Nowym Roku ruszył na południe bosą i w worze pokutnym, błogosławiony na drogę przez swojego faworyta Piotra z Narbony, którego uczynił niedawno biskupem Albary, innego saraceńskiego miasta zdobytego wcześniej po krwawym szturmie.

Na odchodnym hrabia de Saint-Gilles puścił z dymem Ma'rrat an-Numan na znak, że dla maszerujących na Miasto Święte nie ma już odwrotu. W pochodzie na południe towarzyszyły mu armie Roberta księcia Normandii i hrabiego Tankreda, którzy za uznanie zwierzchnictwa hrabiego Rajmunda kazali sobie ponoć sownie zapłacić. Książę Gotfryd i hrabia Flandrii, którzy również zgodzili się służyć rozkazom hrabiego Tuluzy, nadal marudzili pod Antiochią, zaś hrabia

Boemund, szczęśliwy, że w końcu pozbył się rywala, zaraz po odmarszu hrabiego Rajmunda ogłosił się publicznie księciem tego miasta.

Wojsko krzyżowe pod wodzą hrabiego Tuluzy minęło Laodyceę (wyobrażałem sobie rozczarowanie księcia Roberta!) i zajęło bez walki miasta Rafaniję oraz Tortosę, jak też twierdzę Hisn al-Akrad, opuszczoną zawczasu przez obrońców. Zajęcie portowej Tortosy zapewniło hrabiemu de Saint-Gilles łączność z Cyprzem, skąd zaczęły wreszcie napływać regularne dostawy żywności, a także z Antiochią, gdzie wciąż przebywała większość pielgrzymów. Niektórzy arabscy emirowie – w tym władcy Hamy, Himsu i Szajzaru – niechętni zarówno Turkom, jak i Egipcjanom okupującym od niedawna Palestynę, wręcz zabiegali o względy krzyżowców, dostarczając im prowiantu, pieniędzy i przewodników, a nawet uznając się chętnie za wasali poszczególnych przywódców krucjaty. Uległość czy tylko neutralność innych wymuszano siłą.

Temu właśnie celowi służyło oblężenie Arki, miasta należącego do emira Trypolisu, podjęte na rozkaz hrabiego Rajmunda wbrew zastrzeżeniom innych wodzów, że wstrzyma to niepotrzebnie marsz na Jerozolimę. W lutym, gdy oddziały hrabiego Tuluzy wciąż tkwiły pod Arką, w kwaterze głównej hrabiego de Saint-Gilles zjawili się posłowie Al-Mustalego, nieletniego kalifa Egiptu oraz prześwietnego Al-Afdala, jego wiernego wezyra. W imieniu swoich panów, zaniepokojonych postępem krucjaty, zaoferowali oni krzyżowcom swobodny dostęp do miejsc świętych w Jerozolimie, pod tym wszakże warunkiem, że chrześcijanie będą tam przybywać tylko w małych grupach i bez broni, jak też odstąpią od zamiaru zdobycia Palestyny.

Hrabia Rajmund odesłał ich z kwitkiem, mówiąc im bez ogródek, że nie po to jego ludzie przebyli pół świata z zamiarem wyzwolenia Grobu Chrystusa, żeby zrezygnować z tego celu wtedy, gdy mieli go już w zasięgu ręki.

Mniej więcej w tym samym czasie do Laodycei zawitały armie księcia Gotfryda de Bouillon, Roberta hrabiego Flandrii i księcia Boemunda. Wkrótce potem Frankowie i Flandryjczycy pomaszerowali pod Arkę, by wesprzeć hrabiego Tuluzy (chodziły bowiem słuchy, że z odsieczą dla oblężonego miasta wybiera się sam kalif Bagdadu), natomiast książę Boemund nagle się rozmyślił i niespodziewanie zawrócił do Antiochii, wołąc raczej pilnować swoich nowych włości, niż nadstawiać karku w walkach o Arkę czy Jerozolimę.

Co do mnie, to cieszyłem się, że wyprawa, po tylu miesiącach zmarnowanych pod Antiochią, ruszyła wreszcie na Miasto Święte, współczułem także Piotrowi Bartłomiejowi, a jeszcze bardziej Ucie, którzy musieli przeżywać teraz ciężkie chwile, lecz przede wszystkim byłem zadowolony z tego, że wszystkie te wydarzenia nie dotyczyły mnie już bezpośrednio i mogłem tkwić sobie spokojnie na uboczu, w mojej zacisznej i nieogarniętej wichrami wojny Laodycei.

Jednak mój dobrostan – bo przecież nie szczęście – skończył się tuż przed Wielkanocą.

Któregoś ranka, kiedy pochylony nad pulpitem przepisywałem świeżo skomponowany przez brata Fryderyka fragment kroniki, tłumaczący w niezwykle zawiły sposób, jak doszło do zastawienia przez księcia Roberta księstwa Normandii (ciekawe, że im bardziej nasze wojska zbliżały się do Jerozolimy, tym bardziej mój pryncypał i ja oddalaliśmy się od niej na pergaminie), usłyszałem za sobą skrzypnięcie drzwi i poczułem na grzbiecie ciepły podmuch wiosennego wiatru. Przekonany, że to tylko brat Fryderyk, który nieco wcześniej wyszedł na dwór za potrzebą, nie zwróciłem uwagi, że sprężystym krokiem, jakie rozległy się za moimi plecami, towarzyszyło charakterystyczne podzwanianie ostróg. Dopiero kiedy poczułem na ramieniu czyjąś dłoń i odwróciłem głowę – zobaczyłem Fulka!

Przez pół roku od naszego ostatniego spotkania wystrzelił w górę, zmężniał i rozrósł się w barach, a pod nosem sypnął mu się pierwszy młodzieńczy puch. Choć pokryty od stóp do głów podróżnym kurzem, wyglądał znakomicie – przystojny, zdrowy i tak krzepki, że za dwa albo trzy lata mógłby śmiało stawić czoła całemu światu. Rzuciliśmy się sobie w ramiona, potem zaś przywitałem się z jego stojącymi w progu towarzyszami, w których nie bez trudu, bo także bardzo wydorosleli, rozpoznałem dwójkę jego najbliższych przyjaciół, księcia Gotfryda de Bouillon i jego brata Baldwina hrabiego Boulogne.

– To ci niespodzianka! – zawołałem uszczęśliwiony. – Nawet nie wiecie, panowie, jaką mi sprawiliście radość! Zaraz pomyślę o śniadaniu, a potem zorganizuję wam jakiś nocleg. Tymczasem rozgośćcie się, proszę.

Ale Fulko przytrzymał mnie za rękę.

– Śniadanie zjemy bardzo chętnie, bo jesteśmy strasznie głodni konie trochę odpoczną, chcemy wracać pod Arkę. I to z tobą, panie

– Ze mną?! – myślałem, że się przesłyszałem.

– Tak. Uta błaga, żebyś tam przyjechał.

, lecz nie będziemy tu nocować. Jak tylko. Mamy czwartego konia.

XXIV

Przy posiłku chłopcy zaspokoiли moją ciekawość. Jak mi powiedzieli, oblężenie Arki ciągnęło się bez końca. Krzyżowcy mieli za mało sił, żeby ją zdobyć szturmem, mimo to hrabia Rajmund nie chciał zostawić miasta w spokoju, z obawy, że okoliczni emirowie wezmą to za oznakę słabości i natychmiast go zaatakują. Żał mu było również ogromnych danin w złocie, srebrze i naturze, jakie mu potulnie płacili. Może po cichu liczył także na jakąś pomoc od cesarza Aleksego, co ugruntowałoby jego przewagę nad innymi przywódcami krucjaty. Jednak większość zwykłych pielgrzymów, którzy nie widzieli sensu w dalszym ślęczeniu pod Arką, domagała się jak najszybszego wymarszu na Jerozolimę. Wybrana przez nich delegacja napomniała nawet hrabiego Tuluzy, że jeśli nie chce podjąć na nowo wyprawy, powinien oddać Świętą Włócznię ludowi, który da sobie radę bez niego i pójdzie do Jerozolimy pod wodzą samego Pana.

Po stronie ludu, podobnie jak wcześniej w Antiochii, stanął Piotr Bartłomiej, któremu ukazali się jednocześnie nasz Pan Jezus Chrystus, Święty Piotr i Święty Andrzej, domagający się jednym głosem natychmiastowego zdobycia Arki albo zwinienia oblężenia.

Nie uradowało to żadnego z przywódców wyprawy, którzy też mieli swój udział w saraceńskich daninach, i wkrótce potem pan Arnulf Malecorne de Choques, kapelan księcia Normandii, zarzucił Piotrowi Bartłomiejowi szalbierstwo i przypomniał publicznie, że zmarły legat nigdy nie wierzył w prawdziwość jego objawień ani Świętej Włóczni. Wówczas, dość nieoczekiwanie, w obronie Piotra Bartłomeja stanęli inni wieszczowie. Stefan Walenty powtórzył swoje widzenie z Antiochii, zaś niejaki Piotr Dezydery ogłosił wszem i wobec, że on także widział na własne oczy straszliwe męki, jakich biskup Adhemar de Monteil doświadczał w piekle. Jeszcze inny świeżo upieczony prorok imieniem Ewerard rozповідаł na prawo i lewo, jak to podczas oblężenia Antiochii poznał pewnego Syryjczyka, którego nawiedził Święty Marek, ręczący słowem i honorem Ewangelisty za autentyczność Świętej Włóczni. Nawet niejaki Bertrand z Le Puy, jakby nie było ziomek i były sługa zmarłego legata, kłął się na głowy własnych dzieci, że we śnie przyszedł do niego jego dawny pan w towarzystwie swego, również nie żyjącego już chorążego, i że obaj nieboszczycy potwierdzili zgodnie pod przysięgą świętość rzeczonyj relikwii. A jednak, pomimo tych wszystkich zapewnień i świadectw, złośliwcy i niedowiarkowie, których nigdy nie brakuje, dalej głosili swoje, zaś w parę dni później Piotr Bartłomiej znów został pobity przez nieznanych sprawców.

– A to dranie! – ręka ze strawą zastygła mi w powietrzu. – Czy mocno go stłukli?

– Nie. Wybili mu tylko cztery zęby i nadwerężyli nogę – wyjaśnił Fulko.

– Ale już kuśtyka – uzupełnił jego przyjaciel Gotfryd. – Jednak najgorsze jest to, że dostał białej gorączki i postanowił udowodnić swoją uczciwość na Sądzie Bożym.

– Na Sądzie Bożym?! – zmartwiałem. – Kiedy i jak?!

– Pojutrze. Ma przebiec, ze Świętą Włócznią w rękę, sto kroków między płonącymi bierwionami. I właśnie dlatego Uta błaga, żebyś przyjechał. Może ty zdołasz go jeszcze przekonać, żeby się wycofał. W końcu, byliście kiedyś przyjaciółmi.

– A co z panem Hermannem z Agrygentu? – zapytałem na wszelki wypadek, choć nie miało to ścisłego związku ze sprawą.

– A co miałyby być? – mruknął mały hrabia Baldwin. – Odkąd Piotr Bartłomiej znalazł się w niełasce, przepadł jak kamień w wodę.

– No to jedziemy – oświadczyłem zdecydowanie.

Zaraz potem oznajmiłem zdumionemu bratu Fryderykowi, że muszę pilnie pojechać pod Arkę, zabrałem gotowe fragmenty kroniki, żeby oddać je przy okazji księciu Robertowi, spakowałem moje manatki – i pojechaliśmy. Śpieszyliśmy się bardzo, ponieważ do celu był kawałek drogi, a poruszanie się w tamtych stronach po zapadnięciu zmroku nie należało do przyjemności.

Pod Arkę dotarliśmy już po zmierzchu i od razu skierowaliśmy się do namiotu Piotra Bartłomieja, rozstawionego jak dawniej w obozie Prowansalczyków. Wokół namiotu czuwała kilkunastoosobowa straż złożona z gminu uzbrojonego w noże, pałki, siekiery i kije, ale na widok chłopców rozstąpiła się bez słowa i wpuściła nas do środka.

Pierwszą osobą, którą ujrzałem, była Uta. Wychudła, blada, zgaszona, z oczami podkrążonymi z niewyspania albo od płaczu, wyglądała dużo gorzej niż przed paroma miesiącami, kiedy widziałem ją po raz ostatni, a mimo to poczułem miękkość w nogach i serce zabiło mi żywiej.

– Witaj – rzekłem. – Miło cię znowu zobaczyć. Gdzie jest Piotr Bartłomiej?

– Witaj – odparła zmieszana i zrobiła dwa kroki w moją stronę, jakby chciała rzucić mi się na szyję, jednak w porę się powstrzymała. – Dziękuję, że przyjechałeś. Może ty coś wskórasz, bo my już naprawdę nie wiemy, co robić! Jest tam – wskazała część namiotu oddzieloną od reszty wełnianą kotarą.

Zdjąłem więc opończę, odłożyłem sakwę z fragmentami kroniki i zniknąłem za zasłoną.

Piotr Bartłomiej, ubrany w tę samą tunikę, którą, jak twierdził, miał na sobie, kiedy nasz Pan Jezus Chrystus i Święty Andrzej przenieśli go cudem nad murami

Antiochii, leżał nieruchomo na pryczy. Jeśli nie liczyć pokrytej strupami lewej strony twarzy oraz żółto-fioletowej opuchlizny przesłaniającej mu niemal całkowicie lewe oko, właściwie się nie zmienił, choć był znacznie chudszy niż dawniej. Na mój widok uniósł się na łokciu i wtedy zauważyłem, że nie nosi już pierścienia z wielkim ametystem.

– A, to ty... – powitał mnie z niechęcią, mocno sepleniąc z powodu wybitych zębów. – Kto cię tu przysłał? Uta?

– Owszem.

– Po co?

– Po to, żeby ci przemówić do rozumu – stwierdziłem bez ogródek. – A ja się tego podjąłem bardziej ze względu na nią, niż na ciebie. Bo widzę, że bardzo cię kocha, choć na to zupełnie nie zasługujesz.

– Naprawdę? Dokładnie to samo można powiedzieć o tobie.

– Uważaj, dupku, żeby ci nie podbił drugiego oka! – zawrzałem na te słowa, ale szybko się opanowałem. – Dobrze, nie przyjechałem tutaj, żeby dyskutować o mnie, tylko o tobie. Nie wiem, jak było naprawdę ze Świętą Włócznią, ale niezależnie od tego, nie jesteś chyba na tyle głupi, żeby wierzyć, że zdołasz przebiec sto kroków wśród płonących bierwion? W dodatku z chorą nogą?

– W co ja wierzę, nie ma żadnego znaczenia. Ważne, w co wierzą inni – pokazał na płócienną ścianę namiotu, za którą czuwało zbrojne pospólstwo. – Ci, którzy przybyli tutaj nie po to, żeby walczyć i umierać za hrabiego Rajmunda czy Boemunda, ani nie po to, żeby ich wzbogacać, tylko po to, żeby wyzwolić Grób Chrystusa. I ja ich nie zawiodę. Tak samo, jak nie zawiodę naszego Pana ani Świętego Andrzeja. A moja noga ma się całkiem dobrze.

– Człowieku! – wycedziłem. – To pewna śmierć. Wycofaj się, póki czas.

– Nigdy! – oświadczył twardo. – Wiesz, co rozповіда o mnie hrabia Rajmund?! „Dobrze mu tak, oszustowi bez czci i honoru! Wreszcie się doigrał!”. A hrabia Boemund: „Niech się upiecze, parszywy niewdzięcznik!”. No to jeszcze zobaczą, kto tu jest oszustem i kto tu ma honor! Już ja im wszystkim pokażę!

– Pokażesz im? Co? Jak się umiera w męczarniach?

– Wszystko w ręku Boga. Pan jest moim pasterzem i bez Jego woli włos mi z głowy nie spadnie. A jeśli mój Pasterz postanowi inaczej, to i tak wolę zginąć niż stracić honor. Chyba, że uważasz, że honor mają tylko książęta i hrabiowie, tacy jak Boemund, Rajmund, czy choćby ty, hrabio Alderney? Ciekawe, czy na moim miejscu ty byś się wycofał?

– Nie, nie wycofałbym się – odpowiedziałem bez namysłu. – Ale najpierw bym nie kłamał.

– I kto to mówi?! – zauważył złośliwie. – A na jakiej podstawie twierdzisz, że ja kłamię?

Tym pytaniem pozbawił mnie wszelkich argumentów, toteż jedynie pokiwałem głową i stwierdziłem bezradnie:

– Chyba niepotrzebnie tu przyjeżdżałem. Tylko co będzie z Uta, jeśli zginiesz?

Piotr Bartłomiej po raz pierwszy uśmiechnął się, odsłaniając dziurę po wybitych zębach.

– Po pierwsze, nie zginę, bo Włócznia jest prawdziwa. A po drugie, gdybym jednak zginął, znajdziecie jakieś rozwiązanie. W końcu, jesteście dorośli. I macie moje błogosławieństwo.

– Dziękuję. W takim razie nie zapomnij przed biegiem oblać się wodą – poradziłem mu na odchodnym, po czym wyciągnąłem do niego dłoń i dodałem jeszcze, nieomal serdecznie: – Seplenisz teraz jak sam Święty Andrzej.

– Nawet bardziej – odparł z dumą, chwytając moją rękę. – Ale on miał wszystkie zęby, jak to pan z panów i jeden z Dwunastu.

W odpowiedzi ścisnąłem mocno jego dłoń i wyszedłem.

– I jak? – zapytali chórem Uta, Fulko, Gotfryd i mały hrabia Baldwin, kiedy znalazłem się po drugiej stronie kotary.

– Nic z tego. Twierdzi, że ma rację i nie wycofa się.

– O Boże! – jęknęła Uta, łapiąc się za głowę. – Przecież zginie jak amen w pacierzu!

– A dlaczego miałyby zginąć? – spróbowałem ją pocieszyć, choć nie wypadło to zbyt przekonująco. – Wszystko w ręku Boga, zobaczymy.

Potem pożegnałem się i w towarzystwie Fulka udałem się do obozu księcia Normandii, by przekazać mu przywiezione fragmenty kroniki i poprosić go o jakąś kwaterę. Mimo późnej pory książę Robert przyjął mnie osobiście, najwyraźniej wystraszony moim nagłym przybyciem pod Arkę. Uspokoił się dopiero wtedy, kiedy wyjaśniłem mu, że mój przyjazd ma charakter prywatny i wiąże się wyłącznie z Sądem Bożym, jakiemu ma się poddać Piotr Bartłomiej. A ponieważ książę, jak mi powiedział, sam wiele sobie obiecywał po tym widowisku, przydzielił mi jeden z namiotów dla gości i pozwolił mi zostać w obozie tak długo, jak zechcę, gdyż i tak nosił się już z zamiarem ściągnięcia pod Arkę brata Fryderyka. Do czasu jego przybycia miałem sporządzać notatki z wszystkich ważniejszych wydarzeń i kontynuować w ten sposób moją pracę.

Z samego rana wybrałem się na łąkę, gdzie miał się odbyć Sąd Boży. Układano tam już w dwóch rzędach, długich na sto kroków i sięgających mi aż po szyję, grube polana suchego drewna oliwnego. Obie ściany bierwion były oddalone od siebie zaledwie o dwa kroki i nie ulegało wątpliwości, że po podpaleniu utworzą śmiertelną pułapkę, wypełnioną piekielnym żarem, ogniem i dymem. Z wodą czy bez, Piotr Bartłomiej nie miał żadnych szans, więc postanowiłem go jeszcze raz ostrzec.

Niestety, kiedy zaszedłem do jego namiotu, roztrzęsiona Uta powiedziała mi, że jej kuzyn właśnie się spowiada i nie chce już nikogo widzieć. W tej sytuacjiostałem z nią chwilę w milczeniu, aby choć w ten sposób wyrazić jej moje współczucie, po czym, zrezygnowany, powlokłem się do siebie.

W dniu Sądu Bożego, przypadającym w Wielki Piątek, ludzie zaczęli gromadzić się na łące jeszcze przed świtem, by zająć jak najlepsze miejsca. Po postnym śniadaniu przybyło tam także wyższe duchowieństwo i najważniejsi dowódcy wyprawy: hrabia Rajmund ze Świętą Włócznią, książę Gotfryd, książę Robert, hrabia Flandrii, a także większość panów, którzy uczestniczyli w odnalezieniu narzędzia Męki Pańskiej – Eustachy hrabia Boulogne, Wilhelm hrabia Montpellier, Gaston wicehrabia Bearn, Renald hrabia Toul, Herald wicehrabia Thouars, Piotr Rajmund baron d'Hautpoul (jego nieodłączny druh, pan Pontius wicehrabia Balazun zginął niedawno pod Arką) oraz pan Rajmund d'Aguilers, osobisty kapelan i sekretarz hrabiego Tuluzy, mający za zadanie – tak samo, jak ja – opisać dla potomności wszystko, co mogło się wydarzyć tego pamiętnego dnia. Wszyscy oni zasiedli na specjalnym podwyższeniu z desek, podczas gdy większość widzów musiała wspinać się na palce i mocno wyciągać szyje, by dojrzeć cokolwiek ponad głowami innych.

Kiedy pojawił się Piotr Bartłomiej, boso i w swojej sławnej tunice, powitała go burza braw i bardzo nieliczne gwizdy. Otaczała go ta sama obszarpana świta, która strzegła dniem i nocą jego namiotu, zaś parę kroków za nią wlekli się jak na ścięcie Uta i jej podopieczni. Spostrzegwszy, gdzie się zatrzymali, chciałem się do nich precyzyjnie, ale nie dałem już rady tego zrobić – tłum był zbyt gęsty, a Sąd Boży właśnie się zaczynał.

Najpierw zagrały trąbki, potem pan Arnulf Malecorne de Choques odprawił krótką mszę polową i złożono wymagane prawem przysięgi, następnie biskupi pobłogosławili i pokropili wodą święconą obie przyzmy suchych szczap oliwnych, które podpalono zaraz w wielu miejscach, a wreszcie, kiedy ogień dobrze rozgorzał i płomienie buchnęły wysoko w niebo, hrabia Rajmund przekazał Piotrowi Bartłomiejowi Świętą Włócznię.

Kuzyn Uty, na którego chluśnięto jeszcze trzy cebrzyki wody, uniósł Włócznię do góry, przeżegnał się uroczyście, po czym cofnął się kuśtykając kilka kroków dla nabrania rozpędu. Wtedy rozległ się znowu dźwięk trąbek i Piotr Bartłomiej wystrzelił do przodu jak z procy, znikając od razu w tunelu ognia.

Wszyscy ucichli i wstrzymali oddech, ja zaś przeżegnałem się i zacisnąłem mocno pięść. Nie widzieliśmy nic oprócz morza płomieni, z którego wnętrza wydobył się nagle nieludzki krzyk. Byłem pewny, że to już koniec, jednak w chwilę później wydarzył się cud – na końcu ognistego korytarza pojawił się Piotr Bartłomiej!

Jego włosy i tunika płonęły, on sam chwiał się i zataczał jak pijany, ale był żywy! Tumult, jaki się na ten widok podniósł, przekraczał wszelkie wyobrażenie. Ludzie krzyczeli, gwizdali, klaskali, śmiali się i płakali, walili mieczami w tarcze, podskakiwali w miejscu, rzucali się sobie w ramiona, padali na kolana, a niektórzy wygrażali pięściami i czynili wulgarne gesty w stronę siedzących na podwyższeniu świeckich i duchownych przywódców krucjaty.

Tymczasem mój przyjaciel zatoczył się ponownie i z pewnością byłby upadł między rozżarzone do czerwoności żagwie, gdyby w porę nie podtrzymali go stojący najbliżej pielgrzymi. Ci sami ludzie obalili go także czym prędzej na ziemię i nie zważając na to, że wył z bólu jak zarzynane zwierzę, zaczęli go turlać po piasku, by ugasić palącą się na nim tunikę, podczas gdy inni polewali go wodą z cebrzyków.

Co było dalej, tego nie dostrzegłem, jako że w tym samym momencie otaczający mnie tłum, jakby pod wpływem jakiejś nieprzepartej siły, zakołysał się i runął do przodu, gnając na wyścigi do swojego bohaterskiego i cudownie ocalonego proroka, który natychmiast zniknął mi z oczu przykryty kłębiącą się ludzką masą. Jedyne, co widziałem jak na dłoni, to drewniane podwyższenie, opuszczane w pośpiechu przez świeckich i duchownych dostojników.

Piotra Bartłomieja ujrzałem dopiero wieczorem. Zajmowali się nim dwaj medycy przysłani przez hrabiego Tuluzy, którzy chłodzili go wodą i przykładali mu do ciała mokre prześcieradła. Tyle, że niewiele mogli mu już pomóc. Kuzyn Uty miał zwęglone do kości obie stopy i lewą rękę, jego prawe oko wyszło zupełnie z orbit i przypominało gotowane na twardo jajko, zaś na jego głowie, zamiast włosów lub przynajmniej skóry, widać było tylko osmaloną na czarno czaszkę. Skóra zeszła mu także z dużej części ciała, a odsłonięte w ten sposób mięśnie były tu i ówdzie tak bardzo spalone, że wyglądały jak pieczone mięso. Reszta jego cielesnej powłoki przybrała barwę popiołu lub pokryła się wielkimi pęcherzami wypełnionymi przezroczystą cieczą. Na szczęście Piotr Bartłomiej nie zdawał sobie z tego wszystkiego sprawy, ponieważ był nieprzytomny, choć i tak musiał okropnie cierpieć, gdyż nawet na chwilę nie przestawał jęczeć. Z pewnością nie docierało do niego także ani słowo z pieśni pochwalnych i hymnów dziękczynnych śpiewanych przez jego zwolenników, którzy zebrali się tłumnie wokół namiotu.

Wstrząśnięty tym, co zobaczyłem, pomodliłem się za jego duszę, potem zaś długo pocieszałem Utę i dotrzymujących jej towarzystwa chłopców. Cała czwórka była zupełnie zdruzgotana.

– I jeszcze mają czelność twierdzić, że przegrał Sąd Boży i poniósł karę za swoje kłamstwa! – rozpaczła Uta. – A przecież wyszedł z próby bez szwanku! Dopiero potem wepchnęli go w ogień!

– Dokładnie! Ja też to widziałem – powtarzał raz po raz mały hrabia Baldwin.
– Każdy chciał go dotknąć albo urwać mu chociaż strzęp tuniki. Tak się cisnęli, że w końcu wepchnęli go w ogień i gdyby nie pan Rajmund Pilet, którzy go stamtąd wyciągnął, usmażyłby się na miejscu! Ale wygrał, wygrał na pewno!

Również mnie oburzało, że nie dogasł jeszcze do końca żar płonących bierwion i Piotr Bartłomiej wciąż walczył o życie, a w obozie już pełno było takich, co rozgłaszali, że okazał się zwykłym oszustem i wreszcie dostał za swoje. I nie miało żadnego znaczenia, że dla większości Prowansalczyków był świętym i bohaterem, ani że hrabia Rajmund, który po zwycięskiej próbie otoczył go znowu opieką, obwieścił raz jeszcze *e, urbi et orbi*, prawdziwość Świętej Włóczni. Tak jednak było i nie dało się na to nic poradzić.

Kontrowersje i wątpliwości pogłębiły się jeszcze po jego śmierci, która nastąpiła po dwunastu dniach straszliwych męczarni, zwielokrotnionych dodatkowo przez rozwijającą się gangrenę. W uroczystej mszy żałobnej, odprawionej przez pana Rajmunda d'Aguilers, jak również w pogrzebie, który odbył się na tej samej łące, gdzie dokonał się Sąd Boży, wzięli udział niemal wszyscy Prowansalczycy – w tym także hrabia de Saint-Gilles ze Świętą Włócznią w ręku – oraz mnóstwo ludzi z innych hufców, ale nawet oni szybko tracili wiarę i już po paru dniach niejednen z uczestników pogrzebu nie wahał się lżyć i oczerniać tego, którego jeszcze nie tak dawno wielbił i wynosił pod niebiosy.

Po śmierci Piotra Bartłomieja zachodziłem do Uty niemal codziennie. Nawet nie po to, żeby ją pocieszać, bo dzięki Fulkowi i jego przyjaciółom trzymała się całkiem nieźle, ile po to, by jej pomóc w sprawach praktycznych. W ciągu kilku dni sprzedałem na targu całą odzież i buty po Piotrze Bartłomieju, następnie jego konia i pryczę, którą ktoś kupił na opał, a wreszcie wytworne suknie i biżuterię od hrabiego Boemunda, które Uta wołała zamienić na gotówkę.

Rzecz w tym, że jak się później dowiedziałem, Piotr Bartłomiej zostawił po sobie spore długi. Tak w każdym razie twierdzili ludzie, którzy zaraz po jego zgonie zaczęli nachodzić Utę i żądać od niej zwrotu udzielonych mu ponoć pożyczek. Niektórzy przyprowadzali ze sobą świadków, inni awanturowali się grożąc, że oddadzą sprawę pod sąd biskupi, zaś najbardziej agresywni zapowiadali krwawą zemstę, o ile ich roszczenia nie zostaną natychmiast zaspokojone. Z początku Uta płaciła każdemu tyle, ile się domagał, uważając, że w podobnej sytuacji lepiej dać się oszukać niż skrzywdzić autentycznego wierzyciela. Kiedy jednak roztrwoniła w ten sposób ponad sześćdziesiąt bizantów, czyli jedną czwartą tego, co odziedziczyła po Piotrze Bartłomieju, zdesperowani chłopcy powiedzieli mi o wszystkim i postanowiłem interweniować.

– Uto, wiem, że to nie moja sprawa – napomniałem ją – ale jeśli chcesz przeżyć i mieć za co wrócić do domu, nie możesz nabijać kabzy wszystkim wydrwigroszom, jacy się do ciebie zgłoszą. Jeśli pozwolisz, długi Piotra Bartłomieja wezmę na siebie.

Zgodziła się na to bardzo chętnie, więc zabrałem się do rzeczy po swojemu. Wszystkich wierzycieli podzieliłem na trzy kategorie. Tych, których uznałem za zwykłych oszustów, odsyłałem wraz z ich pretensjami do sądu biskupiego, zapowiadając im jednocześnie, że my zażądamy przed tym samym trybunałem, aby udowodnili swoją prawdomówność na Sądzie Bożym. Ci bez wyjątku zrezygnowali ze swoich roszczeń. Do drugiej kategorii zaliczyłem takich, którzy wzbudzali większe zaufanie. Tym również groziłem Sądem Bożym, dając im jednak szansę skorzystania z polubownego rozwiązania w postaci natychmiastowej wypłaty w brzęczącej monecie od jednej dziesiątej do jednej piątej rzekomego długu. Z tych wszyscy wybrali gotówkę, co kosztowało Utę dodatkowe trzydzieści pięć solidów. Do trzeciej grupy należeli pieniacze, którzy moim zdaniem mogli być niebezpieczni, i z tymi poradziłem sobie radykalnie, przenosząc po prostu oba namioty – Piotra Bartłomieja oraz Fulka, Gotfryda i Baldwina – do dobrze strzeżonego obozu księcia Normandii, gdzie Ucie i chłopcom nie mógł spaść nawet włos z głowy.

W obozie księcia Roberta widywaliśmy się jeszcze częściej, zaś zwyczajność, a nawet trywialność spraw, z którymi mieliśmy na ogół do czynienia, bardzo nas do siebie zbliżyła. Naturalnie wiedziałem dobrze, że jeśli w ogóle potrafimy ze sobą rozmawiać, jak też roztrząsać i rozwiązywać codzienne problemy, jeśli możemy jadać wspólnie posiłki, chodzić na spacerów czy nawet siedzieć po prostu przy sobie i milczeć, to dzieje się tak wyłącznie dlatego, że w naszych rozmowach nigdy, ale to nigdy, nie wracaliśmy do tego, co nas kiedyś łączyło. Dlatego tym bardziej unikałem jak ognia wszelkich wzmianek o przeszłości.

Jednak Uta znów mnie zaskoczyła, bo któregoś razu, kiedy byliśmy sami, zapytała mnie wprost:

– Słyszałam od Fulka, że podczas zarazy szukałeś mnie w lazarecie. Dlaczego?

– Dlatego... – odpowiedziałem ostrożnie – że obawiałem się, że któreś z nas może umrzeć... i nigdy nie poznasz prawdy.

– Prawdy? Jakiej prawdy? – indagowała dalej.

Odetchnąłem głęboko i przypomniawszy sobie moje postanowienie z tamtego okresu, wypaliłem prosto z mostu, bez oglądania się na konsekwencje:

– Takiej, że cię kocham i że kochałem cię także wtedy, kiedy powiedziałem ci, że jest inaczej. Że cię po prostu okłamałem. Chcesz wiedzieć, dlaczego to zrobiłem?

– Tego akurat się domyślam. Lepiej powiedz, dlaczego miałabym ci wierzyć teraz, skoro już raz mnie okłamałeś?

– Masz rację, nie ma podstaw, żeby mi wierzyć. Ale posłuchaj własnego serca, ono nie kłamie.

Wtedy podeszła do mnie i objęła mnie z całych sił. A wieczorem, kiedy w długiej rozmowie wyjaśniliśmy sobie wszystko do końca, oznajmiliśmy Fulkowi, Gotfrydowi i małemu hrabiemu Baldwinowi, że za pół roku, gdy skończy się żałoba po Piotrze Bartłomieju, mamy zamiar się pobrać.

– Hura! Wiedziałem, że tak będzie! – Fulko skakał do góry jak dziecko. – Nareszcie!

– Wszystkiego najlepszego! – wtórowali mu książę Gotfryd i jego brat Baldwin.

– Mam nadzieję, że zostaniecie naszymi świadkami? – poprosiłem w imieniu nas obojga.

– Jasne. Czemu nie? Niech was Bóg błogosławi! – zgodziła się bez wahania cała trójka. Uzgodniliśmy także, że czwartym świadkiem mógłby być pan Herluin.

Po tych ustaleniach wprowadziłem się do Uty na dobre. Zaś wkrótce potem przybył do obozu brat Fryderyk i znów zacząłem pracować intensywnie przy kronice, co pozwalało żywić nadzieję, że prowadząc wspólne gospodarstwo, zdołamy jakoś dotrzeć do końca wyprawy.

Tymczasem oblężenie Arki toczyło się coraz bardziej niemrawo. Jedynym znaczącym wydarzeniem, jakie odnotowaliśmy w naszej kronice, był przyjazd wysłanników cesarza Aleksego z oficjalnym protestem przeciwko zagarnięciu Antiochii przez hrabiego Boemunda oraz obietnicą sporych sum w srebrze i złocie dla naszych wodzów, o ile ci poczekają z wyprawą na Jerozolimę do czasu przybycia cesarza Bizancjum, gotowego im pomóc i objąć łaskawie naczelne dowództwo. Chociaż niewielu pielgrzymów wierzyło w słowa i obietnice Bizantyjczyków, perspektywa ewentualnego przejścia pod komendę basileusa okazała się nie do przyjęcia nawet dla samego hrabiego Tuluzy, toteż zaraz po wyjeździe cesarskich urzędników, zbytych gładkimi dyplomatycznymi ogólnikami, hrabia Rajmund wydał wreszcie długo oczekiwany rozkaz wymarszu na Miasto Święte, o który tak bardzo zabiegał przed śmiercią Piotr Bartłomiej.

Od tamtej pory wypadki uległy znacznemu przyśpieszeniu.

Po zwinięciu oblężenia Arki poszliśmy wzdłuż wybrzeża i nie niepokojeni przez nikogo dotarliśmy do Trypolis. Tamtejszy emir nie miał ochoty walczyć, więc w zamian za święty spokój, uwolnił trzystu więzionych przez siebie chrześcijan i zapłacił dowództwu krucjaty piętnaście tysięcy solidów okupu. Obiecał także, że przejdzie na chrześcijaństwo, jeśli uda się nam pokonać

Egipcjan i dostarczył nam przewodników, którzy poprowadzili nas bezpiecznie do granicy państwa Fatymidów.

Przekroczyliśmy tę granicę bez żadnych przeszkód i pomaszerowaliśmy na Bejrut. Tam historia się powtórzyła. Miejscowe władze zaoferowały nam prowiant i wysoki okup, więc ruszyliśmy dalej, do Sydonu, gdzie stoczyliśmy zwycięską potyczkę z egipskim garnizonem. Nie próbowaliśmy jednak zdobywać miasta, tylko kontynuowaliśmy pochód przez Tyr, Akkę, Hajfę, Cezareę i Arsuf aż do Ar-Ramli, którą zajęliśmy bez walki, ponieważ uciekła z niej cała miejscowa ludność. Po ustanowieniu w Ar-Ramli biskupstwa i osadzeniu w tamtejszej twierdzy załogi chrześcijańskiej, poszliśmy z kolei do Emmaus, gdzie jak się okazało czekali już na nas wysłannicy z Betlejem. W imieniu mieszkańców swojego miasta, samych bez wyjątku chrześcijan, błagali nas na kolanach, żeby ich wyzwolić spod jarzma Saracenów. Podjął się tego hrabia Tankred, który na czele stu rycerzy pocwałował zaraz do miejsca narodzin naszego Pana, podczas gdy reszta pielgrzymów parła dalej w kierunku Jerozolimy.

Wreszcie siódmego czerwca, niemal po dwóch miesiącach marszu spod Arki, ujrzelśmy cel naszej wędrówki.

Na widok Miasta Świętego, pępka świata położonego w samym centrum ziemi, skąd uniwersum rozprzestrzenia się na wszystkie strony, miejsca, gdzie został stworzony i pogrzebany nasz praojciec Adam, gdzie dokonało się Zbawienie i gdzie odbędzie się Sąd Ostateczny, punktu docelowego naszego pielgrzymowania, do którego dotarliśmy po latach tułaczki znaczonej śmiercią i ranami tysięcy pątników, kto żyw klękał bądź padał na ziemię i dziękował Bogu, wznosząc okrzyki radości, płacząc ze wzruszenia i powtarzając wraz z innymi słowa Psalmu:

Uradowałem się, gdy mi powiedziano: „Pójdziemy do domu Pańskiego!” Już stoją nasze nogi w twoich bramach, o Jeruzalem! ¹⁸⁵

A potem ci, którzy już byli w Mieście Świętym, pokazywali i objaśniali innym szczegóły rozciągającej się przed nami panoramy: Górę Oliwną i Górę Syjon, potężną Wieżę Czworokątną, Wieżę Dawida, gdzie Piłat sądził naszego Pana, a teraz mieściła się cytadela, kopułę meczetu Na Skale wzniesionego w obrębie Świątyni Salomona, czyli tam, gdzie Abraham ofiarował Bogu swego syna Izaaka, gdzie Jakubowi objawiła się drabina i skąd także, jak twierdził mój Yusuf, Mahomet wspiął się do nieba; bazylikę Grobu Świętego, meczet Al-Aksa oraz inne świątynie, bramy, baszty i budowle.

Kiedy w końcu, przez nikogo nie powstrzymywani, dotarliśmy pod samo miasto, wojska księcia Normandii i hrabiego Flandrii stanęły obozem naprzeciw jego północnych murów, gdzie teren był najbardziej płaski, a przez to

najodpowiedniejszy do prowadzenia oblężenia. Armia księcia Gotfryda rozłożyła się wokół północno-zachodnich fortyfikacji. Wkrótce potem dołączył do niej hrabia Tankred ze swoimi Normanami, przybywszy ze zdobytego przez siebie Betlejem ze stadem zagarniętych po drodze owiec. Hrabia Rajmund ulokował się na południowym-zachodzie, na Górze Syjon, zaś od wschodu i południa, gdzie strome stoki i głębokie rozpadliny uniemożliwiały prowadzenie jakichkolwiek działań wojennych, nie rozstawiono w ogóle straży. Zresztą, nawet gdyby było inaczej, i tak nie mieliśmy wystarczającej liczby ludzi, żeby otoczyć całe miasto.

Zaraz po rozbiciu namiotów wybrałem się w towarzystwie Uty i chłopców na obchód murów miejskich, równie potężnych jak antiocheńskie. Podczas tego obchodu zatrzymywałem się co kilkadziesiąt kroków i darłem się na całe gardło: „Yusuf! Yusuf! Yusuf!”. Ludzie na murach coś mi odpowiadali, coś do mnie krzyczeli, przedrzeźniali mnie, niekiedy ze mnie szydzili bądź śmiali się ze mnie do rozpuku, czasem mi złorzeczyli lub wygrażali pięściami, ale nigdzie nie było widać mojego arabskiego przyjaciela. Wreszcie, kiedy w pobliżu Wieży Dawida zaczęto do nas strzelać i o mało nie trafiono Uty, musieliśmy zrezygnować. Pozostawało tylko mieć nadzieję, że o tej porze Yusuf był już w Mekce lub zmierzał przez Afrykę prosto do Kordoby.

W tym samym czasie nasi wodzowie spotkali na Górze Oliwnej jakiegoś pustelnika, który powiedział im, że jeśli nazajutrz zaatakują miasto, Pan Bóg im pobłogosławi i odda Jerozolimę w ich ręce. Odpowiedzieli mu, że nie mają żadnych machin oblężniczych ani nawet odpowiedniej liczby drabin niezbędnych do szturm. „Pan Bóg jest wszechmocny – rzekł na to pustelnik. – Jeśli zechce, sam zdobędzie mury bez jednej drabiny. I zawsze pomaga tym, którzy trują się dla Prawdy”.

Ponieważ nie dało się temu zaprzeczyć, następnego dnia zaatakowano Jerozolimę wszystkimi siłami przy użyciu tylu drabin, ile przywieziono spod Arki i ile zdołano sporządzić w ciągu jednej nocy. Zażarty bój trwał do południa. W pewnej chwili obrońcy musieli się nawet wycofać za drugą linię murów, ponieważ zewnętrzne fortyfikacje zostały zdobyte przez chrześcijan w kilku miejscach. Lecz kiedy nasi ludzie zaczęli wspinać się na mur wewnętrzny, ponieśli tak ciężkie straty, że szturm trzeba było natychmiast przerwać.

Po tej porażce nasi dowódcy zaniechali wszelkich działań zaczepnych i postanowili zająć się budową machin oblężniczych. Nie było to wcale proste, ponieważ góry otaczające Miasto Święte były równie łyse jak brat Fryderyk. Jeszcze trudniejszym do rozwiązania okazał się problem zaopatrzenia w wodę, jako że tuż przed naszym przybyciem Egipcjanie zniszczyli wszystkie cysterny, zasypali wszystkie studnie i zatruli bądź zaczopowali większość pobliskich

źródeł. Dokuczające nam pragnienie zwiększał jeszcze koszmary upału, wszechobecny kurz i parzące jak płomienie podmuchy wiatru.

Jedynym w okolicy źródłem czystej wody, jakiego muzułmanie nie zdążyli zniszczyć, była głęboka studnia zwana sadzawką Siloe, położona u stóp Góry Syjon, przy południowych murach miasta, ta sama ponoć, którą nasz Pan nazwał źródłem „wody żywej” i przy której uzdrowił kiedyś niewidomego od urodzenia. Osobliwym zrzędzeniem Boskim, źródło to napełniało się obficie tylko raz na trzy dni, po czym znów się kurczyło z powodu upału, lecz kiedy poziom wody w nim się podnosił, na jego brzegach kłębiło się mrowie pielgrzymów i zwierząt, stanowiąc łatwy cel dla egipskich kuszników. Nic dziwnego, że w krótkim czasie na dnie sadzawki spoczęły trupy kilku ludzi i paru bydła, których nie dało się stamtąd wydobyć, a ich szybko rozkładające się ciała uczyniły wodę niezdatną do picia.

Niektórzy pielgrzymi zaczęli wówczas gasić pragnienie w jakichś błotnistych kałużach rojących się od pijawek, które połykane niechcący powodowały długą i bolesną śmierć. Inni, odważniejsi, wspinali się po skałach do źródła zasilającego sadzawkę Siloe, nie zważając na to, że wielu śmiałków przed nimi skręciło już podczas takiej wspinaczki kark bądź zginęło od strzał nieprzyjaciół. Zaś najodważniejsi zaczęli wyprawiać się po wodę do górskich źródeł, położonych daleko od miasta, do których gnano także zwierzęta mające jeszcze dość siły, by pokonać tak trudną i niebezpieczną drogę.

Jak dotrzeć do owych źródeł, pokazali nam miejscowi chrześcijanie, do niedawna mieszkańcy Jerozolimy, wypędzeni z niej przez fatymidzkiego namiestnika Iftichara ad-Daulę zaraz po zajęciu miasta przez Egipcjan. Miejscowi wyznawcy Chrystusa traktowali nas jak swoich wybawców i mścicieli doznanych przez siebie krzywd, więc chętnie informowali nas o ruchach i zwyczajach przeciwnika, dzielili się z nami żywnością i służyli nam za tłumaczy i przewodników. Nie zmieniało to w niczym faktu, że mniejsze i gorzej uzbrojone grupki krzyżowców wyprawiających się po wodę w góry często padały ofiarą zaczajonych na przełęczach i przy samych źródłach Turków i Saracenów, którzy mordowali naszych bez litości, uprowadzając przy okazji ich zwierzęta. Dlatego szybko się nauczono, że w góry można się wybierać tylko dużą gromadą. Za to ten, kto zdołał przywieźć z takiej wyprawy trochę wody na sprzedaż, w mgnieniu oka stawał się bogaczem, ponieważ za dzban górskiej wody płacono w obozie od dwóch do trzech denarów. Po dwóch tygodniach naszego pobytu pod Jerozolimą wodę z sadzawki Siloe pili już tylko najsłabsi i najbiedniejsi z pielgrzymów, nie mający dość siły bądź pieniędzy, by gasić pragnienie czymś lepszym, jak również ci, którzy wbrew wszystkiemu nadal wierzyli w jej

cudowną moc. Jedni i drudzy marli po niej zresztą tak samo, cierpiąc przy tym o wiele bardziej, niż gdyby im przyszło umierać z pragnienia.

Dzięki miejscowym chrześcijanom ruszyła także z miejsca budowa machin oblężniczych. To oni poradzili naszym wodzom, by wyprawiać się po drewno aż do lasów Samarii, skąd wkrótce zaczęto zwozić ścięte drzewa pod eskortą żołnierzy hrabiego Tankreda i hrabiego Flandrii. Z uwagi na trudne górskie warunki zdarzało się przy tym, że nawet ogromne pnie cedrów przeznaczone na dźwigary – tak ciężkie, że nie potrafiły ich ruszyć z miejsca cztery pary wołów – musiało przenosić na ramionach od pięćdziesięciu do sześćdziesięciu mężczyzn. Nikt się jednak nie skarżył, nikt się nie buntował, ludzie sami zgłaszali się do pracy i trudzili się od rana do wieczora, przy czym oprócz kilkunastu cieśli zatrudnionych przy czynnościach wymagających fachowych umiejętności, wszyscy robili to całkiem za darmo. Również za darmo, choć nie dobrowolnie, pracowały setki muzułmanów, spędzonych przez hrabiego Rajmunda z okolicznych wiosek do wyrębu lasu i obróbki drewnianych bali.

Do skonstruowania machin niezbędne było jednak nie tylko drewno, ale także gwoździe, liny, śruby, młotki, obcęgi, sztaby żelaza, wiertła, drut i sworznie, których w obozie po prostu brakowało. I znów wydarzyło się coś, co wielu uznało za cud.

W drugiej połowie czerwca doszły nas słuchy, że nadmorskie miasto Jaffa, opuszczone ze strachu przez Saracenów, zostało zajęte przez angielskie i genueńskie statki, które przywiozły wiele towaru na sprzedaż. Nasi dowódcy wysłali tam zaraz oddział żołnierzy w celu dokonania niezbędnych zakupów. Oddział ten wpadł w muzułmańską zasadzkę i został zdziesiątkowany, mimo to dotarł jednak do Jaffy. A kiedy już się tam znalazł, port zablokowała nagle egipska flota. Jeden z angielskich statków zdołał się wymknąć i odpłynął do Laodycei, reszta była skazana na klęskę. W tej sytuacji rozładowano pośpiesznie towar i zabrano z pokładów wszystko, co mogło się przydać przy budowie machin, po czym podpalono okręty, zaś ich załogi udały się pieszo pod Jerozolimę. I tak, niespodziewanie, zyskaliśmy nie tylko dużo prowiantu – w tym wiele beczek wina, którego niektórzy byli bardziej spragnieni od źródlanej wody – ale także mnóstwo lin i wszelkiego rodzaju żelastwa potrzebnego do budowy machin oblężniczych, nie mówiąc już o ludziach zaprawionych w wojennym rzemiośle i często znających się jeszcze na ciesiołce albo na kowalstwie.

Z pomocą angielskich i genueńskich marynarzy praca przy ruchomych beluardach, taranach i katapultach nabrała od razu żywszego tempa. Przy okazji, z odpadów drewna robiono beczki, co pozwoliło złagodzić problem braku wody, którą przywożono teraz w sporych ilościach z nieodległej rzeki Jordan.

Tymczasem obserwujący nas bacznie Saraceni także nie próżnowali i widząc powstawanie naszych machin, podwyższali czym prędzej mury obronne i obkładali je dodatkowo workami z piaskiem i słomą dla zabezpieczenia przed przyszłym ostrzałem. Poza tym czuli się chyba dość pewnie, bo tuż przed naszym przybyciem zdążyli jeszcze wzmocnić fortyfikacje i zgromadzić duże zapasy prowiantu i wody. I choć również oni nie mieli wystarczającej liczby ludzi do obsadzenia całej długości murów, dopóki ich fortyfikacje były wyższe od naszych beluard, mogli spokojnie czekać na odsiecz, strzelając do nas od czasu do czasu i robiąc nocne wycieczki, podczas których, we współpracy z operującymi w okolicy oddziałami muzułmańskimi, wycinali niekiedy do nogi chrześcijan transportujących pod Jerozolimę drewno, żywność czy wodę.

W sumie, nic nie wskazywało na zwycięstwo chrześcijan zapowiedziane przez Piotra Bartłomieja. Stąd większość pielgrzymów była tym bardziej zgorzonna faktem, że nawet bezpośrednia bliskość miejsc, gdzie nasz Pan cierpiał i umarł za nas na krzyżu, nie powściągała bynajmniej rywalizacji i wzajemnej wrogości między naszymi przywódcami. Szczególną niechęć budził hrabia Tankred, który po zajęciu Betlejem, traktował je jak swoje prywatne lenno i posunął się nawet do tego, że wywiesił własny proporzec na kościele Bożego Narodzenia. Klótniom, obelgom i urazom wywołanym tym świętokradztwem nie byłoby pewnie końca (zwłaszcza, że młody hrabia nic sobie z nich nie robił), gdyby nie niepokojąca plotka, jaka obiegła obóz pod sam koniec czerwca, że Al-Mustali, nieletni kalif Egiptu, oraz prześwietny Al-Afdal, jego wierny wezyr, opuścili Kair i ciągną już na nas z ogromnym wojskiem. Dopiero kiedy w serca wstąpiła trwoga, jedność i zgoda wróciły natychmiast.

Zaraz po rozejściu się tej pogłoski, do pana Wilhelma Hugona de Monteil, rodzzonego brata biskupa Adhemara, oraz do pana Ysoarda hrabiego Die, swojego pana, zgłosił się Piotr Dezydery (ten sam, który wcześniej widział legata w piekle) i oznajmił im, że znów mu się objawił zmarły biskup. Tym razem nieboszczyk Adhemar polecił mu: „Idź i przemów do książąt i ludu, do wszystkich którzy przybyli tutaj z dalekich stron, aby uczyć Boga i Pana Zastępów. Niech oczyszczą się zaraz z wszelkiej nieprawości i zejną czym prędzej z drogi występku. A potem niech obejdą Jerozolimę boso i z imieniem Boskim na ustach. Jeśli to uczynią, zdobędą Miasto Święte w ciągu dziewięciu dni. Jeśli nie, Pan Bóg pomnoży jeszcze nieszczęścia, jakie na nich spadły do tej pory”. I choć wcześniejsze wizje Piotra Dezyderego wielu uważało za wierutne kłamstwa, tym razem panowie Wilhelm Hugo de Monteil i Ysoard hrabia Die dali mu wiarę. Dlatego zwołali zaraz wielkie zgromadzenie, na którym brat zmarłego legata przemówił w te słowa:

– Bracia i siostry! Dobrze wiecie, dlaczego podjęliśmy tę wyprawę i ile dotąd wycierpieliśmy. Macie także świadomość, jak kiepsko i niedbale sobie poczynamy, pomimo tego, że wróg jest tak blisko. Wciąż nie ukończyliśmy budowy machin niezbędnych do zdobycia Jerozolimy, nie pojednaliśmy się także z Bogiem, którego obraziliśmy na tysiąc sposobów, ani nie pogodziliśmy się z naszymi braćmi i siostrami, którym wyrządziliśmy wiele złego. Dlatego, jeśli uznacie to za stosowne, wypełnijcie proszę wolę biskupa Adhemara, mojego świętej pamięci brata, który z miłości do nas objawił się dzisiaj w nocy Piotrowi Dezyderemu i zaklinał nas na wszystkie świętości, abyśmy się wreszcie pogodzili, wybaczyli sobie nawzajem nasze winy i ukorzyli się przed Panem Bogiem. Zgodnie z życzeniem zmarłego legata, wzywam was zatem bracia i siostry, obejdźmy razem, w procesji i boso, mury Jerozolimy, błagając przy tym Wszchemogącego, aby pomógł nam zdobyć to Święte Miasto, do którego Jego Syn a nasz Pan, Jezus Chrystus, wjechał przed wiekami na nędznym osiołku, gdzie cierpiał za nasze grzechy i gdzie umarł na krzyżu dla naszego zbawienia. Jeśli to zrobimy, zobaczycie, że nie minie dziewięć dni, a Bóg odda to miasto w nasze ręce i pozwoli nam odprawić sąd nad nieprzyjaciółmi Chrystusa, którzy weszli kiedyś gwałtem w jego posiadanie i do dziś bezczeszczą to miejsce swoją obecnością.

Słowa te wzbudziły powszechny aplauz, toteż zarządzono od razu trzy dni postu, po których miała się odbyć uroczysta procesja.

Jakby na potwierdzenie wieści o zbliżającej się armii Egipcjan, w trakcie owego postu złapano dwóch fatymidzkich szpiegów. Jeden próbował przekraść się do Jerozolimy, natomiast drugi był posłańcem Iftichara ad-Dauli do Al-Afdala, wiernego wezyra kalifa Egiptu. Obu wzięto na tortury, a potem dano im szansę przejścia na chrześcijaństwo. Ponieważ obaj odmówili, pierwszy został ścięty pod murami miasta na oczach jego mieszkańców, natomiast drugiego postanowiono odesłać tam, skąd przyszedł, wypróbowując przy okazji świeżo skonstruowaną katapultę. Umieszczono go w niej w charakterze żywego pocisku i wystrzelono, aby sprawdzić, czy uda mu się przelecieć nad murem. Czy to jednak był za ciężki, czy też katapulta miała jakieś ukryte wady, dość, że nie poszybował zbyt daleko i zakończył swój lot na skałach przed murami, gdzie roztrzaskał się na krwawą miazgę.

Zaraz po tym gorszącym wydarzeniu, które oburzyło nie tylko mnie, ale również bardzo wielu innych pielgrzymów, odwiedził nas pan Herluin. Był w radosnym, a nawet podniosłym nastroju, w jakim nie widziałem go od dawna, toteż zdziwiło nas bardzo, kiedy oświadczył, że przyszedł się z nami pożegnać.

– Pożegnać? – myślałem, że się przesłyszałem. – Czyżbyś wracał do Francji?

– Wprost przeciwnie – uśmiechnął się. – Mam dość tego, co się tu dzieje i nie chcę oglądać kolejnej jatki. Wybieram się do Iftichara, namówić go, żeby się poddał.

– A dlaczego miałyby się poddać, skoro Al-Afdal jest już w drodze? – przeraził mnie swoim pomysłem.

– Al-Afdal może nie zdążyć, a jeśli zdąży, jatki będą jeszcze większe.

– Wątpię, żeby Iftichar się tym przejmował, podobnie zresztą jak nasi dowódcy. Rozmawiałeś z nimi?

– Owszem. Nie mają nic przeciwko mojej misji, chociaż nie wierzą w jej powodzenie. Książę Gotfryd powiedział mi nawet, żebym tam na miejscu nie strzepił za bardzo języka, tylko rozejrzał się lepiej uważnie, ile mają katapult i gdzie są rozstawione – wyjaśnił z przekąsem.

– Książę Gotfryd ma jak zwykle rację – odezwał się książę Gotfryd, brat małego hrabiego Baldwina. -Obawiam się, panie, że cię tam rozsiekają.

– I ja tak sądzę, *monsieur* Herluin – dodałem przygnębiony. – Błagam cię, zrezygnuj z tej misji, jeśli ci życie miłe.

Ale pan Herluin potrząsnął przecząco głową.

– Nie, przyjacielu, nie zrezygnuję z niej. Myślę, że trzeba ją podjąć dla uniknięcia dalszego rozlewu krwi. A co do miłego życia, pamiętasz, jak w Antiochii, kiedy nasi wodzowie chcieli się poddać, powiedziałaś mi, że *kto chce zachować swoje życie, straci je?* I wtedy miałeś rację, hrabio Alderney. Tylko, że te słowa naszego Pana mają swój dalszy ciąg: *a kto straci swe życie z mego powodu, ten je zachowa*¹⁸⁶ – i dlatego jestem całkowicie pewny, że tym razem to ja mam rację.

– Jesteś kompletnie szalony – stwierdziłem zrezygnowany. – A my z Utą chcieliśmy cię prosić, żebyś był świadkiem na naszym ślubie!

– Szalony? – uśmiechnął się ponownie. – Możliwe, ale czyż nie do takich właśnie należy Królestwo Niebieskie? A co do świadkowania, zgadzam się bardzo chętnie, to dla mnie prawdziwy zaszczyt. Uszy do góry, jeszcze się napijemy i zatańczymy na waszym weselu. Tymczasem gratuluję wam obojgu.

Widać było, że podjął niezłomną decyzję i odwodzenie go od niej nie miało sensu. Toteż ze smutkiem w sercach uściskaliśmy go po kolei, życząc mu powodzenia i szczęśliwego powrotu do obozu. Uta nawet go wycalowała i zapowiedziała, że będzie się za niego modlić, zaś Fulko, równie zmartwiony jak cała reszta, zapytał go na koniec bez ogródek: „Panie, czy w razie czego mamy cię pomścić?”. Na co pan Herluin odparł pogodnie:

– Nie. W razie czego już jestem pomszczony, i to z nawiązką. W dodatku niepotrzebnie, bo Bóg jest miłością. Pamiętajcie o tym, przyjaciele.

I to były ostatnie słowa, jakie od niego usłyszeliśmy, gdyż mniej więcej w godzinę po tym, jak zamknęły się za nim bramy Jerozolimy, ujrzeliśmy go na miejskich murach przybitego do krzyża.

Był prawie nagi i nawet z dużej odległości widać było wyraźnie ciemne pręgi na jego ciele, jak też czerwone od krwi ręce i nogi. Krew ściekała mu także spod cierniowej korony, którą wciśnięto mu na głowę aż po uszy. Z początku wyglądał na przytomnego i nawet poruszał wargami, jakby coś mówił czy może tylko chciał coś powiedzieć, lecz wkrótce wyprężył się dwukrotnie, po czym zwisał bezwładnie na gwoździach z głową przekrzywioną na bok. Choć już nieprzytomny, żył jednak jeszcze trochę, bo od czasu do czasu trzepotał się na krzyżu jak ryba na haczyku.

Tłumy chrześcijan oglądających z dołu jego męczarnie dygotały z bólu, gniewu i oburzenia, modlono się za niego na głos i powszechnie przysięgano Saracenom krwawą zemstę. Co litościwsi próbowali także skrócić mu cierpienia, strzelając do niego z kusz i łuków, ale nikomu nie udało się go trafić. Ludziom za bardzo drżały ręce i strzały mijały go z daleka, więc kiedy wreszcie skonał – o czym świadczyło, że jego klatka piersiowa przestała się unosić i całkiem znieruchomiał – odczułem ogromną ulgę, choć jednocześnie rozplakałem się jak dziecko. Tego wieczoru płakało zresztą pół obozu, mężczyźni pospołu z kobietami i dziećmi, prywatnie i publicznie, w tym także w trakcie kilku mszy żałobnych, jakie odprawiono zaraz w jego intencji.

Zaś następnego dnia, ósmego lipca, udałem się wraz z Utą i chłopcami – wszyscy z zapuchniętymi jeszcze od płaczu oczami – na procesję wokół murów Jerozolimy, do której wezwał nas nieboszczyk biskup Adhemar. Chyba jako jedyny stawilem się na miejsce zbiórki bez żadnej broni. Reszta pielgrzymów zgromadzonych pod bramą Świętego Szczepana, tą samą, przez którą, jak słyszałem, wyprowadzono przed wiekami naszego Pana na Golgotę, była bowiem nie tylko na czczo i boso, ale także w pełnym rynsztunku bojowym, jakby zamierzała wziąć udział nie w procesji, lecz w szturmie generalnym na miasto.

Najpierw pomodliliśmy się i wyznaliśmy nasze grzechy, a następnie, w ślad za duchowieństwem niosącym krzyże i relikwie, zaczęliśmy okrążyć Jerozolimę przy dźwiękach trąbek i rogów. Z początku skierowaliśmy się na zachód, później na południe, wzdłuż murów zachodnich i wieży Dawida ku górze Syjon, po czym wkroczyliśmy w posępną dolinę Gehenny i poszliśmy dalej na wschód, mijając Bramę Gnojną i cuchnącą padliną sadzawkę Siloe. Na koniec, złani potem i na drżących z wysiłku nogach, zaczęliśmy piąć się z powrotem na północ stromą i jałową doliną Cedronu, zwaną także Doliną Jozafata, gdzie w przyszłości, w dniu Sądu Ostatecznego, Pan Bóg zgromadzi wszystkie narody.

Przez cały czas z wież i murów miasta przypatrywały się nam tłumy mieszkańców Jerozolimy, którzy starali się zakłócić krzykiem i gwizdami nasze hymny i modlitwy, którzy lżyli nas i przedrzeźniali, rzucali w nas kamieniami i strzelali do nas z łuków – zwłaszcza w pobliżu góry Syjon, gdzie zranili wiele osób – a nawet, żeby nas jeszcze bardziej upokorzyć, pluli, sikali i smarowali odchodami krzyże, jakie specjalnie sporządzili sobie na tę okazję.

Liczni pielgrzymi, dotknięci tym do żywego, próbowali odpłacać muzułmanom pięknym za nadobne, klnąc ich najszeptniejszymi wyrazami i również szyjąc do nich z łuków, zwłaszcza w pobliżu miejsca, gdzie wisiał na krzyżu trup pana Herluina, jednak ze względu na powagę procesji, nasi wodzowie szybko tego zabronili, toteż jedynym ujściem dla gniewu krzyżowców stał się coraz potężniejszy śpiew, od którego trzęsły się mury Jerozolimy. W rzadkich momentach względnego spokoju zawołałem parę razy: „Yusuf! Yusuf! Yusuf!”, ale i mnie prędko uciszono z pomocą kuksańców.

Na Górze Oliwnej, dokładnie w tym samym miejscu, skąd Chrystus wstąpił do nieba, wysłuchaliśmy pana Wilhelma Hugona de Monteil, Piotra Pustelnika, pana Rajmunda d'Aguilers i kapelana mojego seniora, pana Arnulfa Malecorne de Choques, którzy raz jeszcze wezwali nas do zgody i braterskiej miłości. Po ich przemówieniach ludzie ściskali się i całowali wzajemnie, i nawet hrabiowie Rajmund i Tankred, znani powszechnie z zapiekłej wrogości, podali sobie trzykrotnie dłonie, ślubując uroczyście na oczach tłumów, że będą odtąd walczyć o Grób Chrystusa ramię przy ramieniu.

Po procesji pracowano nad machinami jeszcze gorliwiej, zakrywając je przed wzrokiem Saracenów wysoką osłoną z gałęzi. Pozwoliło to podwyższyć w sekrecie wszystkie ruchome wieże, które na koniec pokryto jeszcze sprężystą plecionką z gałęzi i obito bydlęcymi skórami, aby w ten sposób uodpornić je na uderzenia kamieni i zabezpieczyć przed greckim ogniem. Po dwóch dniach wyteżonej pracy dwie wielkie wieże należące do hrabiego Rajmunda i księcia Gotfryda, jak również trzecia, nieco mniejsza, którą powierzono księciu Robertowi, zostały ukończone. Zaraz potem odbyła się narada naszych dowódców, którzy – czy to dlatego, że pozostało już niewiele czasu do końca terminu, jaki wyznaczył im zmarły biskup Adhemar de Monteil, czy też dlatego, że pogłoski o zbliżaniu się Egipcjan powtarzały się coraz uporczywiej – postanowili zaatakować Jerozolimę w nocy z trzynastego na czternasty lipca.

Szturm rozpoczął się na przeraźliwy sygnał trąbek i rogów od ostrzału z katapult. Na Miasto Święte spadły tysiące nagromadzonych wcześniej kamieni i mnóstwo pocisków zapalających – płonących wiązek chrustu bądź spiętych żelazną kłamrą polan, które zanurzano przed podpaleniem w smole lub oliwie. Wywołane przez nie pożary, obok strat i zniszczeń zadawanych obrońcom przez

ciężkie głazy, miały spowodować zamieszanie w ich szeregach i odciągnąć ich uwagę od atakujących, którzy starali się tymczasem wypełnić kamieniami fosę i głębokie rozpadliny u podstaw fortyfikacji, by wyrównać w ten sposób teren, bez czego beluardy nie mogły podejść do murów.

Dodatkową konfuzję na Egipcjan, gaszących pożary i zbierających się naprędce, by odeprzeć pierwsze natarcie, sprowadził fortel wojenny księcia Gotfryda de Bouillon, który kazał w nocy rozebrać swoją wieżę oblężniczą na części, przenieść ją pół mili na wschód od Bramy Świętego Szczepana i dopiero tam złożyć ją na nowo, w miejscu dającym lepszy dostęp do murów, słabo na tym odcinku umocnionych i znacznie gorzej strzeżonych.

Czas, jakiego potrzebowali Saraceni na przegrupowanie sił i przeniesienie swoich własnych katapult w zagrożony rejon, został wykorzystany przez chrześcijan na wprowadzenie do akcji wielkiego tarana na kołowej platformie, który, dotoczony z trudem przez wielką rzeszę ludzi do zewnętrznych murów, zaczął je kruszyć potężnymi uderzeniami. Na żołnierzy pchających i obsługujących taran spadała z góry lawina strzał i kamieni, lecz choć wielu z nich zginęło, wkrótce w murze zewnętrznym miasta wybito olbrzymią dziurę. Jednak nieco później taran zakleszczył się w zrobionym przez siebie otworze i nie sposób go było stamtąd wydobyć. Ponieważ zatarasował w ten sposób dostęp do murów wewnętrznych, manipulujący nim żołnierze postanowili go spalić, czemu – z tego samego powodu – próbowali przeciwstawić się muzułmanie, polewając go z góry wodą.

Strzały, kamienie i płonące żagwie leciały także na głowy pielgrzymów zasypujących miejskie fosy. Niektórzy ginęli już przy pierwszej misji, inni za którymś z kolei nawrotem, lecz chętnych do wykonania tego zadania nie brakowało i żywi wciąż zastępowali martwych, których ciała, nie uprzątnięte przez nikogo, wypełniały stopniowo fosy i pospołu z kamieniami mościły drogę machinom wojennym.

Gdy z wież oblężniczych zdjęto osłony z gałęzi, obrońcy ujrzeli ku swemu przerażeniu, że beluardy chrześcijan są znacznie wyższe, niż się spodziewali, toteż zaczęli je natychmiast bombardować z katapult i miotać w ich stronę naczynia z greckim ogniem oraz płonące pochodnie nabijane gęsto gwoździemi, wczepiającymi się w podłoże, na które spadały. Ruchome wieże były jeszcze zbyt oddalone od murów, by mogło im to poważniej zaszkodzić, niemniej wskutek tej kanonady zostało zmiażdżonych bądź spłonęło żywcem wielu krzyżowców. Inni zdołali jednak dotrzeć do podnóża niektórych baszt beczki ze smołą, które następnie podpalamo, gdyż nasi dowódcy liczyli na to, że płomień i żar płonącej smoły nadwątlą mury i któraś z wież w końcu runie, tworząc wyłom umożliwiający wdarcie się do miasta.

Wieczorem czternastego lipca fosy zostały na tyle zapełnione, że można było ruszyć z miejsca beluardy. Jako pierwsza wkroczyła do akcji wieża hrabiego Tuluzy, atakując miasto od strony góry Syjon. Pomimo ciężkiego ostrzału, obsługującym ją Prowansalczykom udało się przerzucić pomost na mur obronny i wdrzeć się na jego blanki. Po raz pierwszy doszło tam do walki wręcz z broniącymi tego odcinka murów czarnoskórymi gwardzistami Iftichara ad-Dauli. Po godzinie morderczych zmagani Murzyni odparli atak i podpalili prowansalską beluardę, którą trzeba było natychmiast wycofać. Jej gaszenie i naprawa zajęły całą noc.

Piętnastego lipca o świcie wznowiono natarcie na północnym odcinku fortyfikacji. Pod gęstym ostrzałem z katapult i innych machin miotających, jak również z kuszy, proc i łuków, zaczęto podtaczać ku murom wysoką wieżę oblężniczą księcia Dolnej Lotaryngii, połyskującą z daleka wielkim złotym krzyżem umieszczonym na jej na szczycie. Przytwierdzone do wieży osłony z plecionki i bydłęcych skór odbijały większość pocisków i nie zajmowały się ogniem od miotanych przez obrońców w glinianych garncach rozżarzonych węgla, które ześlizgiwały się po osłonie beluardy na ziemię, gdzie szybko gasły, ale wielu z jadących na beluardzie wojowników zginęło od strzał i kamieni.

Niewiele brakowało, by zginął także sam Gotfryd de Bouillon, bo kamienny pocisk minął go zaledwie o włos i roztrzaskał czaszkę stojącego tuż przy nim żołnierza. Uniknąwszy cudem nagłej śmierci, rozwścieczony książę poszedł w ślady swoich wojowników i sam zaczął prażyć z kuszy do obrońców obsługujących maszyny miotające. Im bliżej murów, tym było to łatwiejsze dzięki znacznej wysokości beluardy, pozwalającej ostrzeliwać Saracenów z góry. Wkrótce szeregi muzułmanów broniących tego odcinka znacznie się przerzedziły, a kiedy jeszcze od pocisków zapalających miotanych z kolei przez chrześcijan stanęła w ogniu pobliska baszta, co wywołało dodatkowe zamieszanie i panikę wśród przeciwników, chrześcijanom udało się przetoczyć wieżę pod same mury i książę Gotfryd wydał rozkaz spuszczenia pomostu z desek.

Kto pierwszy wdarł się do miasta, nie wiadomo. Brat Fryderyk napisał, że książę Robert; inni, że książę Gotfryd albo hrabia Tankred; jeszcze inni, że rycerz lotaryński imieniem Lethold czy może Gilbert; niektórzy twierdzili nawet, że sam legat papieski Adhemar de Monteil, biskup Le Puy, który nie opuścił nas w tak ważnej chwili i przybył z zaświatów w samą porę, by wziąć udział w decydującym starciu, choć mnie zapewniali naoczni świadkowie, że dokonał tego jakiś zwykły Norman, którego nazwiska i tak nie poznamy, ponieważ w chwilę później Saraceni roznieśli go na szablach. Jakkolwiek było, Normanowie i Lotaryńczycy zdołali utrzymać przyczółek i związali bojem nadbiegających ze wszystkich stron muzułmanów. Dało to akurat tyle czasu

innym atakującym, ile potrzebowali, żeby przystawić swoje drabiny i wspiąć się tłumnie na górę.

Znalazszy się w Jerozolimie, większość krzyżowców rzuciła się natychmiast w wir walki, z wyjątkiem doborowego oddziału Lotaryńczyków, który na rozkaz księcia Gotfryda zaczął przebijać się mozolnie ku bramie Świętego Szczepana, aby otworzyć ją od środka, a także hrabiego Tankreda i jego Normanów, którzy wyrąbывali sobie mieczami drogę w głąb miasta.

Kiedy otworzono bramę Świętego Szczepana, do Jerozolimy wdarły się kolejne hufce normańskie i lotaryńskie. Walczono zaciekle o każdy dom i każdą ulicę, bito się na podwórkach, tarasach, dachach i barykadach i pomimo straceńczej obrony muzułmanów, Normanowie i Lotaryńczycy posuwali się ciągle naprzód. Wrogom ścinano głowy, przeszywano ich strzałami, strącano z wież i dachów, tratowano końmi i spychano w ogień szalejących pożarów. Wąskie uliczki Miasta Świętego zasłane były trupami ludzi i zwierząt, a krzyżowcy zbliżający się coraz bardziej do Świątyni Salomona, gdzie szukało ratunku najwięcej nieprzyjaciół, ślizgali się co krok w kałużach krwi. Idący na czele hufiec hrabiego Tankreda wpadł do Świątyni Salomona, zanim uciekający przed nim Saraceni zdążyli zabarykadować się w tamtejszych meczetach. Żołnierze hrabiego Tankreda wykłuli wszystkich, jacy schronili się w meczecie Kopuła Na Skale, a po jego splądrowaniu, wtargnęli do meczetu Al-Aksa. Kryjący się w nim muzułmanie, w większości kobiety i dzieci, poddali się natychmiast, oferując hrabiemu wielki okup w zamian za swoje życie. Hrabia Tankred zgodził się i na znak, że wszystko co się tam znajduje, jest jego zdobyczą, zatknął na meczecie swój proporzec, po czym popędził dalej.

Tymczasem w południowej części miasta Iftichar ad-Daula wciąż odpierał ataki hrabiego Tuluzy. Choć ludziom hrabiego Rajmunda nie udało się opanować muru, koło południa, kiedy większość Jerozolimy była już w rękach chrześcijan, egipski namiestnik zrozumiał, że bitwa została przegrana i wycofał się pośpiesznie do Wieży Dawida. Po zabarykadowaniu się w tej fortecy, zaproponował hrabiemu Tuluzy, że przekaże ją w jego ręce wraz z całym przechowywanym w niej miejskim skarbem, o ile hrabia zagwarantuje jemu oraz jego przybocznej gwardii wolność i pełne bezpieczeństwo. Los ludności miasta nie był przedmiotem rokowań.

Hrabia de Saint-Gilles nie wahał się ani chwili. Zgodził się, po czym przejąwszy skarb i Wieżę Dawida, którą natychmiast obsadził własną załogą, wyprowadził egipskiego namiestnika i jego gwardzistów z Jerozolimy. Kiedy Iftichar i jego ludzie oddalali się bezpiecznie w stronę Egiptu, ci z żołnierzy hrabiego Rajmunda, którzy nie byli zajęci pilnowaniem cytadeli, przyłączyli się do rzezi, szalejącej już w całym Mieście Świętym.

Po zdławieniu ostatnich punktów oporu, upojeni zwycięstwem krzyżowcy biegali po placach i ulicach, wdzierali się do domów i pałaców, rozbijali drzwi meczetów i synagog i zabijali każdego, kto wpadł im w ręce. W strasznym odwecie za lata poniewierki, za doznane rany i cierpienia, za towarzyszący im nieustannie głód i strach, za tysiące zmarłych, poległych, okaleczonych i wziętych do niewoli towarzyszy, nie oszczędzali absolutnie nikogo. Tego dnia w Jerozolimie nie ratował przed śmiercią ani wiek, ani płeć, ani wiara (większość Żydów, którzy ponoć pomagali muzułmanom, spalono żywcem w synagogach), ani błagania o litość, ani oferta okupu, ani nawet najgłośniejsz deklarowana chęć przejścia na chrześcijaństwo. Jak słyszałem później od Gotfryda i innych naocznych świadków, dla oszczędzenia strzał często zabijano ludzi po prostu kamieniami, jak też przebijano na wylot kobiety i dzieci wyciągane za włosy z piwnic, strychów i innych zakamarków, a nawet wyrywano niemowlęta z objęć matek lub kołysek i ciskano nimi o ściany, rozbijając im główki i przetrącając karki.

Ta masakra i towarzysząca jej grabież, nad którymi nikt już nie panował, ciągnęły się przez całe popołudnie i całą następną noc. O świcie piętnastego lipca jedynymi żywymi wyznawcami Allaha w Mieście Świętym byli tylko ci, którzy schronili się w meczecie Al-Aksa i poddali się hrabiemu Tankredowi. Ale i oni nie uniknęli śmierci. Kiedy nieco się rozwidniło, do meczetu wpadła gromada krzyżowców i nie zważając na porządek hrabiego Tankreda ani na słaby skądinąd opór jego żołnierzy, dokończyła dzieła zniszczenia. Kogo nie zarznięto w meczecie, ten zginął na dziedzińcu świątyni Salomona, gdzie, jak to przewidział książę Robert, krew sięgnęła wkrótce zwycięzcom do kolan.

I tak, dokładnie dziewięć dni po tym, jak zmarły biskup Le Puy objawił się Piotrowi Dezyderemu, Jerozolima została zdobyta. A kiedy w mieście zabrakło już nieprzyjaciół, przywódcy krucjaty, żołnierze i tłumy pielgrzymów poczęli gromadzić się w dawnej dzielnicy chrześcijańskiej, zionącej pustką od czasu wypędzenia jej mieszkańców przez Iftichara ad-Daulę, po czym ruszyli w procesji dziękczynnej do Grobu Pańskiego.

I nawet do Góry Oliwnej, skąd wraz z Utą, Fulkiem i małym hrabią Baldwinem obserwowaliśmy z daleka bitwę – bo tylko Gotfryd nie posłuchał mojej prośby, by przez wzgląd na pana Herluina, moich arabskich przyjaciół i najzwyczajszą w świecie ludzkość, nie brać w niej udziału – dochodziły wyraźnie słowa Psalmu, śpiewanego mocnymi głosami:

Chwalę Cię, Panie, całym sercem, opowiadam wszystkie cudowne Twe dzieła. Cieszyć się będę i radować Tobą, psalm będę śpiewać na cześć Twego imienia, o Najwyższy. Bo wrogowie moi się cofają, padają, giną sprzed Twego oblicza. Boś Ty przeprowadził mój sąd i wyrok, zasiadając na tronie – Sędzio

*sprawiedliwy. Zgromiłeś pogan, zgubiłeś występnych, imię ich na wieczne czasy
wymazałeś.* ¹⁸⁷

XXV

Nazajutrz po zdobyciu Jerozolimy byłem w tym mieście dwukrotnie. Najpierw z Utą, Fulkiem i Baldwinem (Gotfryd, który na szczęście wrócił z bitwy bez szwanku, ledwie trzymał się na nogach i natychmiast zasnął), aby oddać ostatnią posługę panu Herluinowi, wciąż wiszącemu na krzyżu, ponieważ w powszechnej gorączce, jaka ogarnęła krzyżowców po zwycięstwie, nikt nie pamiętał o tym, by go z niego zdjąć. Natomiast za drugim razem poszliśmy tam wszyscy, żeby pomodlić się u Grobu Pańskiego, dopełnić w ten sposób naszych ślubów i uzyskać odpuszczenie naszych przeszłych i teraźniejszych grzechów.

Przed wizytą w Mieście Świętym wyszorowaliśmy się, jak kto mógł i założyliśmy nasz najlepszy przyodziewek, a ja dodatkowo dałem się ostrzyć i ogolić. Kiedy w tłumie innych pielgrzymów przekraczaliśmy po raz pierwszy bramę Świętego Szczepana, czułem ciarki na grzbiecie i serce waliło mi z wrażenia jak kowalski młot.

Ziemię Jeruzalem, do którego dążyliśmy przez trzy lata, pełne było śladów walki, grabieży i rzezi. W wielu miejscach – na bruku, na ścianach domów, przy barykadach, na podwórkach i w rynsztokach – czerniły się kałuże zakrzepłej krwi. Wszędzie piętrzyły się zwały trupów, często potwornie okaleczonych i zupełnie nagich, bo czyjeś ręce zdążyły już je obdrzeć ze wszystkiego, co przedstawiało jakąś wartość. Oprócz much i szcurów, nikt się nimi jeszcze nie interesował. Ulice były zasłane, a gdzieś niedługo wręcz zavalone mnóstwem najprzeróżniejszych przedmiotów, powywlekanych w pośpiechu z domów i porzuconych gdzie popadło, gdy udało się znaleźć coś cenniejszego. Gdzieś niedługo brodziliśmy w nich po kolana i musieliśmy nieustannie zerkać pod nogi, żeby się o coś nie potknąć albo nie skaleczyć.

Wszędzie widzieliśmy też ludzi uginających się pod wypchanymi workami, ciągnących wyładowane po brzegi wózki bądź pchających ciężkie od łupów taczki, podczas gdy inni biegali jeszcze jak szaleni z jednej strony ulicy na drugą, ze świątyni do świątyni, z domu do domu i z podwórka na podwórko w poszukiwaniu swojej części zdobyczy. Większość drzwi i bram stała otwarta na oścież, inne dopiero rozbijano siekierami lub wyważano przy pomocy łomów, amatorzy cudzego dobytku myszkowali nawet w ruinach i zgliszczach. Tu i ówdzie wciąż tliły się pożary, których nikt nie próbował gasić, bo i tak ciągle wybuchały nowe. To akurat miało swoją dobrą stronę, o czym przekonaliśmy się w jakimś zaułku, gdzie nie wyczuwało się ani śladu dymu, ponieważ trupi fetor, jaki wydobywał się już z tysięcy zwłok, rozkładających się szybko w lipcowym upale, był tam o wiele trudniejszy do zniesienia.

Niestety pan Herluin, wiszący na krzyżu od prawie dziesięciu dni, cuchnął o wiele bardziej niż spoczywające wokół ofiary niedawnej masakry. Prawdę rzekłszy, cuchnął tak okropnie, że Uta, zbliżywszy się do niego na kilkanaście kroków, dostała gwałtownych torsji i po chwili zaczęła wymiotować. Być może jej nagłą słabość wywołało także to, że nasz przyjaciel i niedoszły świadek na naszym ślubie nie miał już oczu, nosa, warg ani uszu, wyjedzonych do szczytu przez ptactwo. W tej sytuacji posadziliśmy ją na jakimś schodku i oparliśmy plecami o ścianę, żeby doszła do siebie, i dalej próbowaliśmy radzić sobie tylko we trójkę, prawie bez oddychania.

Ponieważ krzyż nie był wkopany w ziemię, tylko wpuszczony w dość płytki otwór wykuty w murze, sądziliśmy, że po wyjęciu drewnianych klinów mocujących go u podstawy, da się go łatwo wyciągnąć. Niestety, wraz z wiszącymi na nim zwłokami był tak ciężki, że zanim go trochę unieśliśmy, biły już na nas siódme poty. I wtedy stała się rzecz najgorsza – krzyż wyjęty częściowo z otworu, przechylił się i pomimo naszych wysiłków, żeby go podtrzymać, przewrócił się z hukiem na ziemię, zaś od wstrząsu spowodowanego jego upadkiem panu Herluinowi pękł prawy bok, skąd wyciekła natychmiast struga żółto-brunatnej zgnilizny. Tego było z kolei za wiele dla małego hrabiego Baldwina, który zaraz też dostał torsji i dołączył z płaczem do Uty.

Zdani od tej pory tylko na siebie, zabraliśmy się z Fulkiem za podważanie i wyciąganie przy pomocy miecza wielkich gwoździ, którymi przybito ręce i nogi pana Herluina. Kiedy się to nam wreszcie udało, wziąłem jeden z nich na pamiątkę, po czym zawinęliśmy ciało frankijskiego rycerza w moją opończę, zostawiając mu jednak na głowie cierniową koronę.

Aby wynieść go z miasta, wyłamaliśmy drzwi w sąsiednim domu i ułożyliśmy go na ich deskach. Współ z Fulkiem jakoś je podnieśliśmy, ale przedzieranie się z nimi przez wąskie uliczki zawałone trupami i stertami wszelkiego rodzaju rupieci, okazało się prawdziwą udręką. Już po kwadransie marszu nabrzmiały mi wszystkie żyły i nie czułem w ogóle mojej jedynej ręki. Także Fulko, choć pewnie już ode mnie silniejszy, ciężko dyszał i był cały czerwony z wysiłku. Zaczęliśmy więc co jakiś czas przystawać, ale po każdym postoju szło się nam jeszcze gorzej. W pewnym momencie, przy przekraczaniu prowizorycznej barykady, przekrzywiliśmy niechcący drzwi i pan Herluin spadł nam na ziemię. Umieściliśmy go na nich z powrotem, lecz nieco dalej historia się powtórzyła, gdy potknąłem się o jakieś żelastwo i upadłem na bruk, raniąc się przy tym boleśnie w czoło.

Uta, która skulona i drżąca wlokła się do tej pory za nami, otarła mi twarz swoją chustą, a potem, jakby ten wypadek dodał jej nagle siły, wyprostowała się i chwyciła z determinacją za drzwi z mojej strony. Za jej przykładem przemógł

się także mały hrabia Baldwin, który dołączył z tyłu do Fulka. We czwórkę było nam dużo lżej, choć i tak, zanim wyszliśmy z miasta, każdemu z nas przytrafił się jeszcze co najmniej jeden upadek.

Choć po drodze spotkaliśmy mnóstwo naszych ludzi, wszyscy byli tak zaaferowani bieganiem to tu, to tam, że tylko nieliczni zainteresowali się tym, co niesiemy, i tylko jeden, jakiś Lombardczyk, z własnej i nieprzymuszonej woli, zastąpił przy dźwiganiu Utę. Ale i on, nawoływany głośno przez swoich kompanów, przeszedł z nami tylko niewielki kawałek, po czym, sumitując się, że bardzo się śpieszy, pognął do nich ze swoim, jeszcze pustym workiem.

Kiedy dotarliśmy pod Górę Oliwną, byliśmy u kresu sił. Na szczęście, znalazło się tam kilku pielgrzymów skłonnych nam pomóc, jak też jakiś frankijski ksiądz gotów odprawić egzekwie. Po skromnym nabożeństwie, na które ściągaliśmy także Gotfryda, pochowaliśmy pana Herluina w Dolinie Jozafata, tak aby w dniu zmartwychwstania nie musiał się daleko fatygować i mógł stawić się na miejscu jako jeden z pierwszych. To było wszystko, co mogliśmy dla niego zrobić.

Wieczorem poszliśmy całą piątką do Grobu naszego Pana, starając się przy tym nie patrzeć na boki. Utę musiałem nawet prowadzić pod ramię, bo szła przed siebie z zamkniętymi oczami, pomimo tego, że co krok potykała się o połamane meble, rozbite skorupy naczyń i inne walające się wszędzie śmiecie. W końcu dobrnęliśmy do jakiegoś targowiska, gdzie smród był znacznie mniejszy i po raz pierwszy dało się odetchnąć pełną piersią, jako że w powietrzu unosił się silny zapach przypraw i korzeni, zaścielających grubą warstwą ziemię po rozbiciu i splądrowaniu okolicznych kramów. W miejscu tym zbiegały się drogi pielgrzymów nadciągających z różnych stron miasta, toteż dalej posuwaliśmy się jeszcze wolniej i w coraz większym tłoku, aż wreszcie ujrzelśmy cel naszej wędrówki – bazylikę Grobu Świętego – i padliśmy na kolana tak jak wszyscy.

Wśród cichych i głośnych śpiewów, gwałtownych spazmów i szlochów, nagłych omdleń i uniesień, indywidualnych i zbiorowych modlitw odmawianych w różnych językach (w chwili najgłębszego wzruszenia wielu pielgrzymów, podobnie jak ja, powracało bowiem do tego, jaki wyssali z mlekiem matki), minęliśmy najpierw resztki kolumn, zwalonych przez trzęsienia ziemi, kolejne pożary i furie Saracenów, po czym przeszliśmy na klęczkach do kaplic Podniesienia Krzyża i Ukrzyżowania, gdzie zdołaliśmy odmówić tylko króciutką modlitwę, zanim zostaliśmy z nich wypchnięci przez następnych w kolejce. To samo powtórzyło się przy kamieniu, na którym nasz Pan Jezus Chrystus został namaszczonej po śmierci, ale już nie w dużej rotundzie wzniesionej w samym centrum świata, dokładnie tam, gdzie Syn Boży umarł za nas na krzyżu i gdzie znajdował się grób Józefa z Arymatei, w którym Go pochowano i skąd po trzech dniach wyszedł, pokonawszy siły Szatana i Śmierci.

Ku mojemu zdziwieniu, wewnątrz owej rotundy, mającej chyba ze sto pięćdziesiąt stóp średnicy, było bardzo jasno, gdyż wieńcząca ją kopuła otwierała się u góry na niebo. Widok dwunastu wysokich kolumn, wykonanych z pojedynczych bloków kamienia i symbolizujących bez wątpienia Dwunastu Apostołów, jak też sześciu potężnych filarów, marmurowych płyt posadzki ułożonych w kształcie słońca z rozchodzącymi się na wszystkie strony promieniami, a także różnobarwnych mozaik na ścianach, przedstawiających Proroków i Apostołów, sceny Zwiastowania i Wyniesienia naszego praojca Adama oraz samego Jezusa Chrystusa wstępującego w chwale do nieba, oszołomił nas swoim pięknem i bogactwem.

Ale i tak najcudowniejsze było to, co znajdowało się pośrodku rotundy, wewnątrz bogato zdobionej kaplicy, do której wchodziło się niskim wejściem po schodkach wyślizganych przez pokolenia pątników. Oto za kaplicą Anioła, który obwieścił trzem Mariom radosną nowinę: *Nie ma Go tu, bo zmartwychwstał*¹⁸⁸, znajdował się wykuty w skale Grób z prostym, kamiennym sarkofagiem, gdzie złożono po śmierci ciało naszego Pana.

Kiedy, popychany z tyłu i z boków, docisnąłem się wreszcie do kamiennej skrzyni, chwyciłem się jej z całej siły i nie pozwoliłem się już od niej oderwać. Łzy ciekły mi ciurkiem po twarzy i drżałem na całym ciele, ale podobnie jak reszta obecnych w kaplicy, nie zamierzałem ukrywać swojego wzruszenia.

Z głową wspartą o chłodny kamień zacząłem modlić się żarliwie do Tego, który swoją obecnością uświęcił go na zawsze. Dziękowałem Mu gorąco za to, że pozwolił mi dożyć tej cudownej chwili, wybawiając mnie po drodze z tyłu niebezpieczeństw i ratując parokrotnie od niechybnej śmierci. Dziękowałem Mu także za to, że uleczył mnie z cielesnej niemocy, która stała się pierwszą przyczyną mojej wędrówki na Wschód, i zdjął ze mnie brzemię ekskomuniki. Dziękowałem Mu wreszcie za to, że obdarzył mnie miłością Uty i pozwolił mi poznać tylu wspaniałych ludzi, dzięki którym miałem okazję – z pewnością nie wykorzystaną przeze mnie należycie – stać się może trochę lepszym i nieco mądrzejszym.

A potem pomodliłem się kolejno za nich wszystkich. Za Mamerkusa, dumnego Rzymianina, który natchnął mnie myślą o szukaniu Źródła. Za nawróconego zbója Jasia Monstrancję, którego prawość i hojność mogłyby być wzorem dla innych. Za przeora klasztoru, gdzie ujrzałem Sąd Ostateczny i gdzie po raz pierwszy wiano w moje serce odrobinę otuchy. Za starego Żyda znalezionego na płyciźnie pod Moguncją i za węgierskiego komendanta, który wspaniałomyślnie uwolnił nas z celi i wyposażył szczerze na drogę. Za ojca Symeona, pisarza ikon, tak bardzo chcącego zostać rycerzem, że gotów był porzucić klasztor, gdzie sławił Pana swoją sztuką. Za mojego zacnego kompana, nieszczęsnego pana

Guya de Merle, który dał bohatersko gardła pod Civetot. Za mojego dobroczyńcę Teodulfa, pokonanego w Antiochii przez zarazę. Za pana Herluina, który okazał się najwierniejszym uczniem Chrystusa w całym naszym obozie, a także za księcia Normandii Roberta, mojego seniora, który uczynił mnie hrabią, panem wyspy Alderney i pomocnikiem swego nadwornego kronikarza.

Szczególnie żarliwie poleciłem Bogu Utę, prosząc Go o to, abyśmy jak najdłużej byli ze sobą razem; jej siostrę Mechtyldę, zaginioną bez śladu we mgle, a także Fulka i jego przyjaciół, zarówno żywych, jak i martwych, oraz Piotra Bartłomieja, który na koniec pokazał wszystkim, co znaczy prawdziwe męstwo i honor. Nie zapomniałem również o Subh, która dała mi kiedyś chwile szczęścia, a zwłaszcza o Yusufie, moim najlepszym przyjaciólu, któremu zawdzięczałem przecież najwięcej. Prosiłem gorąco Boga, aby zachował go przy życiu, pozwolił mu bezpiecznie dotrzeć do Kordoby i miał go zawsze w swojej opiece, nie zważając na jego błędy i skłonność do mędrkowania, lecz wyłącznie na jego dobroć, prawość i szlachetność, których w czasie naszej wędrówki doświadczyłem wielokrotnie. Tego samego życzyłem też Raduanowi, rycerzowi i poecie, który pomógł mi pokonać asasynów, a teraz być może nadal szukał samotnie Źródła.

Pomodliwszy się za moich chrześcijańskich i muzułmańskich przyjaciół, nie mogłem także pominąć tych, których nawet nie miałem okazji poznać, ponieważ zginęli, najczęściej niewinnie, podczas tej wyprawy – pod Civetot, Doryleum, Nikeą, Arką, w Kserigordonie, Antiochii, Albarze, Ma'rrat an-Numan i w Jerozolimie, oraz w wielu innych, mniej znanych miejscach. Było mi ich głęboko żal i szczerze ubolewałem, że do śmierci niektórych z nich sam przyłożyłem rękę. Prosiłem więc Boga, by mi to wybaczył i przyjął ich wszystkich na swoje łono, nie patrząc na ich wiarę, lecz wyłącznie na ich winy i zasługi. Na koniec, wsparty o Jego Święty Grób, ślubowałem także – jak to już kiedyś obiecałem Yusufowi – że nigdy więcej nie użyję siły w innym celu niż w obronie Jego samego, tych, których kocham oraz mojej własnej.

Pokrzepiony modlitwą i tym ślubowaniem, dałem się wreszcie oderwać od sarkofagu i opuściłem kaplicę z poczuciem głębokiego, wewnętrznego oczyszczenia. A później, w towarzystwie Uty, Fulka, Gotfryda i Baldwina, czekających już na mnie na zewnątrz, odwiedziłem jeszcze miejsce, gdzie przed wiekami znaleziono szczątki Prawdziwego Krzyża, po czym zawróciliśmy do obozu w podniosłych nastrojach, pozdrawiając serdecznie, tak samo jak inni, wszystkich pielgrzymów idących z przeciwka: „Radujcie się! *Nie ma Go tu, bo zmartwychwstał!*” ¹⁸⁹

Niestety, z głowami zajętymi czymś innym, szybko zabłądziliśmy w labiryncie uliczek i w pewnym momencie znaleźliśmy się na jakimś odludnym placu,

gdzie naszym oczom ukazał się ohydny widok: stos nagich trupów, którym dwaj żołnierze, umazani od stóp do głów brudną posoką, rozcinali właśnie mieczami brzuchy.

– Co robicie?! – krzyknęła Uta i zbladła tak, jakby za chwilę znów miała wymiotować.

– Przeszukujemy ich – odburknął jeden z nich, zanurzając po łokieć rękę w sinych trzewiach jakiegoś martwego brodacza. – Podobno wielu połknęło przed śmiercią złoto.

I wtedy, jakby mnie piorun strzelił, skoczyłem do niego i zapominając o złożonym przed chwilą ślubowaniu, kopnąłem go z całych sił w podbródek. Mój kopniak był tak mocny, że odrzucił go do tyłu, po czym ukarany przeze mnie żołdak zwałił się na czyjeś zwłoki jak worek mąki.

Niestety w tej samej chwili drugi z żołnierzy grzmotnął mnie ręką i mieczem w głowę, tuż obok prawego oka. Po tym ciosie opadłem na kolana i natychmiast przestałem widzieć, gdyż krew zalała mi oczy. Nie wiem, co by się dalej ze mną stało, gdyby nie Fulko, Gotfryd i mały hrabia Baldwin. Poprzez szum, jaki rozpętał się w mojej głowie, słyszałem krzyk Uty i odgłosy wielu ciosów, aż wreszcie ujęto mnie pod pachy, odciągnięto kawałek na bok i posadzono pod jakimś murkiem. Dopiero tam wytarłem rękawem twarz i odzyskałem wzrok, choć tylko w jednym oku. Uta i chłopcy byli cali, za to żołnierz, który mnie uderzył, leżał bezwładnie na ziemi.

– O Boże! – jęknęła Uta, ujmując w dłonie moją głowę. – Chyba ci go nie wybił?!

Ja też miałem taką nadzieję, choć nie byłem tego wcale pewny, bo w miejscu prawego oka zdążyła mi już wyrosnąć wielka opuchlizna, która zakryła je całkowicie.

Przez całą drogę do obozu Fulko i Gotfryd prowadzili mnie pod pachy jak pijaka, ponieważ kręciło mi się w głowie i nie potrafiłem utrzymać równowagi. Z tego samego powodu musiałem spędzić w pozycji leżącej kilkanaście następných dni, podczas których moja opuchlizna stopniowo się zmniejszała i zmieniała barwę z krwistoczerwonej na fioletową, a z fioletowej na czarno-żółtą, aż wreszcie okazało się, że moje oko nie jest uszkodzone i mogę znów zacząć chodzić bez zawrotów głowy.

Tymczasem, gdy ja dochodziłem powoli do siebie, w Jerozolimie działy się ważne sprawy.

Z miasta usuwano jeszcze saraceńskie trupy, które układano następnie w wielkie stosy i palono, kiedy najważniejsi dowódcy krucjaty, najwyżsi rangą duchowni i najznacniejsi rycerze ze wszystkich hufców zebrali się na specjalnym wiecu, aby w uznaniu największych zasług dla oswobodzenia Grobu

Pańskiego, jak też w celu zapewnienia bezpieczeństwa i dobrych rządów w Mieście Świętym, wybrać spośród siebie kogoś, komu można by powierzyć godność i koronę króla Jerozolimy.

Jak niosła wieść, to oficjalne zgromadzenie zostało poprzedzone przez liczne i sekretne negocjacje pomiędzy jego uczestnikami. Może właśnie dlatego (a wbrew temu, co zapisaliśmy z bratem Fryderykiem w naszej kronice), na oficjalnym wiecu nikt nawet nie wspomniał o księciu Normandii. Za to już na początku zebrania część jego uczestników zaczęła głośno skandować: „Hrabia Rajmund! Hrabia Rajmund! Hrabia Rajmund!”. Najpotężniejszy i najbogatszy z wszystkich wielkich panów uczestniczących w krucjacie, przysłuchiwał się temu z wyraźnym zadowoleniem, zaś kiedy w chwilę później jego ulubieniec, wielebny Piotr z Narbony biskup Albary, zapytał go uroczyście, czy zechciałby przyjąć królewską koronę, hrabia de Saint-Gilles przybrał strokaną minę i rzekł:

– Szlachetni panowie, drodzy towarzysze broni! Dziękuję wam z całego serca za ten wielki zaszczyt i dowód uznania, ale to nie królewska korona, tylko wasza miłość i zaufanie są dla mnie najcenniejszą nagrodą za wszystkie trudy, cierpienia i wyrzeczenia, jakich przyszło nam wspólnie doświadczyć. Nie lubię fałszywej skromności, toteż nie będę obłudnie dowodzić, że z racji mojego rodu, majątku, wieku i doświadczenia, jak też z tytułu sprawowanej przez mnie opieki nad Świętą Włócznią, nie nadaję się na monarchę i nie jestem godzien zasiąść na królewskim tronie. Sami wiecie, że jest dokładnie na odwrót. Mimo to odczuwam pewien opór przed przyjęciem tak hojnego daru. Jako dobry i wierny chrześcijanin, mam bowiem wątpliwości, czy w mieście, gdzie Chrystus nosił koronę z cierni, ktokolwiek z Jego wyznawców powinien zakładać na głowę złotą? Może byłoby lepiej powierzyć to Święte Miasto papieżowi lub oddać je naszemu przyjacielowi, cesarzowi Bizancjum?

Wśród zebranych rozległy się zarówno gromkie brawa, jak i przeciągłe gwizdy. I wtedy, nieoczekiwanie, odezwał się hrabia Eustachy, brat księcia Gotfryda de Bouillon.

– Mości hrabio, papież jest zbyt daleko, żeby skutecznie tu rządzić, zaś o cesarzu Bizancjum nie chcemy nawet słyszeć, bo nikt z nas nie przybył tutaj po to, żeby rozszerzać jego włości. Jeśli chodzi o resztę, to twoje słowa przynoszą ci wielki zaszczyt i trudno się z nimi nie zgodzić. To prawda, że w miejscu, gdzie Chrystus nosił koronę z cierni, nikt nie powinien zakładać złotej. Jednak rozumiejąc i doceniając chwalebne motywy twojej rezygnacji...

– Tego nie powiedziałem – zaprotestował hrabia Rajmund, ale hrabia Eustachy ciągnął dalej, jakby nigdy nic:

– ... musimy znaleźć jakieś rozwiązanie. Moim zdaniem, zamiast tytułu króla, nasz przyszły władca mógłby przybrać jakieś inne, dużo skromniejsze miano. Na

przykład Obrońcy Grobu Świętego. Co wy na to, szlachetni panowie?

Hrabia Tuluzy zaczął coś mówić, lecz jego słowa utonęły w powszechnym aplauzie. Wtedy hrabia Eustachy poprosił ręką o ciszę i zwrócił się do swojego brata Gotfryda:

– Mój bracie i panie, książę Gotfrydzie! Najdzielniejszy i najpobożniejszy ze wszystkich rycerzy! Wzywam cię w imię Trójcy Przenajświętszej, powiedz, czy zgadzasz się przyjąć tytuł i godność Obrońcy Grobu Świętego, jak również związaną z nimi i nie ustępującą w niczym królewskiej władzę nad nami wszystkimi oraz nad tymi świętymi miejscami, które odzyskaliśmy dla Pana naszego Jezusa Chrystusa, nie szczędząc wysiłków ani własnej krwi?

– Zgadzam się – odparł krótko książę Dolnej Lotaryngii.

Po tej deklaracji Lotaryńczycy, Flandryjczycy, Normanowie, Niemcy i Anglicy zaczęli szaleńczo wiwatować, podczas gdy większość Prowansalczyków opuściła bezradnie ręce i przez chwilę trwała w niemym osłupieniu. W końcu zareagowali i oni, tupaniem, gwizdami i okrzykami „Zdrada! Zdrada! Zdrada!”, ale nie miało to już większego znaczenia. Protestował także sam hrabia Rajmund, lecz i nim nikt się nie przejmował. Toteż po paru nieudanych próbach zabrania głosu, roztrzęsiony i czerwony ze złości, opuścił zgromadzenie wsparty na ramieniu swojego ulubieńca, Piotra z Narbony biskupa Albary.

Jak się wkrótce okazało, choć wybór władcy został dokonany, hrabia Tuluzy nie zamierzał ustępować. Zabarykadował się czym prędzej w Wieży Dawida, skąd – mając do dyspozycji sprawne egipskie katapulty, którymi w razie potrzeby mógł ostrzeliwać całe Miasto Święte – domagał się powtórzenia elekcji króla przy okazji mających się wkrótce odbyć wyborów łacińskiego patriarchy Jerozolimy. W odpowiedzi książę Gotfryd otoczył Wieżę swoim wojskiem i zażądał od hrabiego Rajmunda, by mu ją natychmiast oddał wraz z całym przechowywanym w niej orężem i skarbcem Iftichara ad-Dauli.

Próba sił i nerwów trwała kilka dni. Hrabia de Saint-Gilles dysponował wprawdzie dużym zapasem wody i sucharów, lecz nie miał świeżego prowiantu, owoców i wina. Toteż kiedy zbrzydła mu do szczytu więzienna dieta, postanowił przystąpić do rokowań. W ich wyniku, za namową księcia Normandii i hrabiego Flandrii, zgodził się opuścić Wieżę i do czasu rozpatrzenia jego protestu przez radę rozjemczą złożoną z głównych przywódców krucjaty, powierzyć ją, wraz z całą jej zawartością, swojemu zausznikowi, Piotrowi z Narbony biskupowi Albary.

Po zawarciu tego kompromisu hrabia Tuluzy zasiadł w swoim obozie do uczyty, żeby odbić sobie z nawiązką dni wyrzeczeń i poniewierki, jakie przyszło mu spędzić w cytadeli. I właśnie w trakcie owej biesiady, kiedy zabierał się z lubością do trzeciego już pieczonego jarzątka, jak grom z jasnego nieba spadła

na niego wiadomość o haniebnej zdradzie jego ulubionego powiernika i prałata, wielbego Piotra z Narbony biskupa Albary, który przekazał Wieżę Dawida księciu Gotfrydowi bez żadnych warunków wstępnych i bez oglądania się na dalsze losy hrabiowskich protestów.

Na wieść o tym wiarołomstwie, hrabia Rajmund o mało nie udławił się kością. Potem zaczął szpetnie lżyć wszystkich przywódców krucjaty i żądać wielkim głosem głowy zdrajcy. Następnie wydał rozkaz wsiadania na koń i natychmiastowego ataku na obóz księcia Gotfryda. Później odwołał ów rozkaz i popadł w ciężką melancholię. Wreszcie zapowiedział pod przysięgą, że z samego rana wraca z całym wojskiem do Prowansji, lecz i to wkrótce odwołał, bo nagle przypomniał sobie, że przed powrotem do Europy powinien jeszcze spełnić wolę Świętego Andrzeja i udać się nad rzekę Jordan, aby odnowić sakrament chrztu. I na tym w końcu stanęło, albowiem od tego momentu przestał się odzywać, topiąc swoją żalność w czerwonym winie.

Następnego dnia hrabia de Saint-Gilles i większość jego ludzi – każdy z gałęzią palmową w garści – ruszyli nad Jordan. Kiedy dotarli na miejsce, wszyscy żołnierze, odmawiając modlitwy i śpiewając psalmy, wykapali się karnie w rzece i włożyli na siebie czysty przyodziewek. Nie uczynił tego tylko hrabia Rajmund, ponieważ Święty Andrzej przestrzegł go wyraźnie przed nurzaniem się w Jordanie, dopóki nie przeprowi się na jego drugi brzeg.

Przeplłynął zatem rzekę na tratwie, ubrany w same gacie i świeżą koszulę, usadowiony na wysokim podwyższeniu i osłonięty ze wszystkich stron palmowymi liśćmi, mającymi zabezpieczać go przed przypadkowym ochlapaniem przez żołnierzy robiących za flisaków. Na drugim brzegu Jordanu spryskał się paroma kroplami wody, po czym wskoczył z powrotem na tratwę i wrócił pospiesznie do swojego wojska, jako że lewy brzeg rzeki należał do muzułmanów i nie należało niepotrzebnie ryzykować. Po zakończeniu ceremonii hrabiowskie gacie i koszulę wysuszono z honorami na słońcu, a potem złożono je uroczyście do kufra razem ze Świętą Włócznią, której od tej pory nikt więcej nie widział na oczy.

Wtedy hrabia Tuluzy jeszcze raz zmienił zdanie i postanowił odroczyć na jakiś czas swój powrót do Europy, choć z powodu śmiertelnej obrazy, jakiej doznał w Mieście Świętym, nie chciał też wracać do Jerozolimy. W końcu, po kilku dniach bezczynności nad Jordanem, wydał rozkaz wymarszu do Jerycha, opuszczonego przez Saracenów, gdzie umęczeni żołnierze mogli nareszcie rozbić obóz w oczekiwaniu na dalsze dyspozycje.

W tym samym czasie w Mieście Świętym odbyły się zapowiedziane wybory łacińskiego patriarchy Jerozolimy. Wzięli w nich udział wszyscy duchowni uczestniczący w krucjacie, jak również, w charakterze obserwatorów, wszyscy

najważniejsi dowódcy z wyjątkiem przebywającego w Jerychu hrabiego de Saint-Gilles, reprezentowanego jednak *in absentia*¹⁹⁰ przez pana Rajmunda d'Aguilers, jego osobistego kapelana i sekretarza.

Po wspólnej modlitwie w intencji dokonania najlepszego wyboru, głos zabrał któryś z duchownych prowansalskich, rekomendując na stolec patriarszy osobę jego ekscelencji Piotra z Narbony biskupa Albary. Ku niepomiernemu zdziwieniu samego rekomendowanego, sprawiającego ponoć wrażenie, jakby był całkowicie pewny swojego zwycięstwa, kandydatura ta została oprotestowana, wygwizdana i wytupana przez przedstawicieli kleru lotaryńskiego, flandryjskiego, normńskiego i niemieckiego, a także znaczną część duchownych prowansalskich, w tym chyba najgłośniej przez pana Rajmunda d'Aguilers, krzyczącego wniebogłosy: „Judasz! Judasz! Judasz!”.

W tej sytuacji zabrał głos protegowany hrabiego Tankreda, pan Arnulf biskup Martirano, który zaproponował, by tytułem patriarchy Jerozolimy obdarzyć wielbego pana Arnulfa Malecorne de Choques, kapelana i najbliższego współpracownika księcia Normandii, a to ze względu na jego mądrość, uczoność, pobożność i mnóstwo innych chrześcijańskich cnót.

Tym razem gwizdała i tupała większość Prowansalczyków oraz Anglicy, a najgłośniej ze wszystkich znowu pan Rajmund d'Aguilers. On też, w słowach dyszących świętym oburzeniem, wytknął kapelanowi księcia Roberta nadmierną światowość, nieposkromioną chciwość i złe obyczaje, o których od dawna śpiewano w obozie wulgarne kuplety, po czym zwrócił uwagę wszystkich obecnych na niekanoniczność jego patriarszych aspiracji, ponieważ pan Arnulf Malecorne de Choques nie miał nawet godności subdiakona.

Mimo to głosowanie odbyło się i kapelan księcia Roberta przeszedł większością głosów. Wtedy, poprzez zgiełk, w którym wzajemne groźby, wyzwiska i oskarżenia mieszały się z oklaskami, gwizdami i wiwatami, przebił się donośny głos hrabiego Tankreda, który pogratulował panu Arnulfowi jego nowej wysokiej godności i poprosił go o bezzwłoczne ustanowienie i obsadzenie stosowną osobą arcybiskupstwa w zdobytym przez siebie Betlejem. Hrabia Tankred nie omieszkał przy tym dodać, że idealnym kandydatem na to stanowisko byłby jego zdaniem pan Arnulf biskup Martirano, sprawujący duchową opiekę nad jego własnym hufcem.

Ponieważ także pan Arnulf biskup Martirano nie cieszył się w obozie najlepszą sławą, propozycji tej przyklasnęli jedynie Normanowie. Nie miało to jednak żadnego znaczenia, bo do głosowania i tak nie doszło. Pan Arnulf został arcybiskupem Betlejem na mocy pierwszej, jednoosobowej decyzji nowo obranego patriarchy Jerozolimy i elektorom nie pozostało nic innego, jak rozejść się w złości do domów. Najwięksi przeciwnicy owej nominacji mieli tylko tę

satysfakcję, że w parę dni później świeżo upieczony arcybiskup, któremu bardzo zależało na tym, by jak najszybciej objąć we władanie swoją archidiecezję, udał się do Betlejem drogą na skróty i prawdopodobnie wpadł w ręce muzułmanów, bo od tej pory wszelki słuch o nim zaginął i nikt go więcej nie widział, ani w Betlejem, ani nigdzie indziej.

Jedną z pierwszych decyzji nowego łacińskiego patriarchy Jerozolimy było usunięcie z bazyliki Grobu Świętego wszystkich duchownych obrządków wschodnich, które miały tam dotąd swoje ołtarze, co wywołało wielkie oburzenie Greków i Syryjczyków, powracających coraz liczniej do miasta. Jeszcze większy gniew wzbudziły w nich zarządzone przez pana Arnulfa poszukiwania kawałka Prawdziwego Krzyża, ukrytego przez greckich chrześcijan przed Egipcjanami. Ponieważ Grecy nie chcieli go oddać po dobroci, nowy łaciński patriarcha Jerozolimy kazał ich torturować tak długo, aż w końcu przyznali się, gdzie go schowali. Zdobywszy w ten sposób tę świętą relikwię, pan Arnulf nosił ją stale przy sobie, lecz między łacinnikami i miejscowymi chrześcijanami, którzy tak wiele nam pomogli, zapanowała odtąd nieskrywana wrogość.

Coraz gorsze stosunki panowały także między samymi łacinnikami, gdyż wkrótce po wyjeździe hrabiego Tuluzy książę Gotfryd pokłócił się również z księciem Normandii i z hrabią Flandrii. W tej sytuacji, kiedy wydobrałem do końca, doszliśmy z Utą do wniosku, że czas już najwyższy wracać do domu, zwłaszcza że o Al-Afdalu jakoś ostatnio przycichło. Przedtem jednak chcieliśmy udać się nad rzekę Jordan, aby wzorem innych pielgrzymów, odnowić sakrament chrztu. Fulko i jego przyjaciele postanowili wybrać się tam razem z nami.

Pożyczyłem od księcia Roberta dwa konie (chłopcy mieli własne) i dotarliśmy nad Jordan bez żadnych przeszkód, po czym rozbiliśmy namioty w pięknym i odludnym miejscu, niedaleko łagodnego zakola rzeki porośniętego gęsto drzewami i sitowiem. Kto wie, mówiliśmy sobie, może było to nawet to samo miejsce, w którym przed wiekami Święty Jan Chrzciel nawracał i polewał wodą wszystkich pragnących się ochrzcić? Za jego przykładem, zaczerpnęliśmy dłońmi wodę z rzeki, zmoczyliśmy nią twarze i pobłogosławiliśmy się nawzajem, a potem oddaliśmy się bez reszty słodkiemu próżnowaniu, rozkoszując się chłodem i spokojem, jakie panowały w tym cichym ustroniu. Nie wiem, ile razy zanurzaliśmy się w cudownie orzeźwiająjącym nurcie, żeby później wylegiwać się w cieniu aż do wyschnięcia i wracać z powrotem do wody. Fulko, Gotfryd i mały Baldwin byli w siódmym niebie. Skakali do rzeki na głowę, pływali na wyścigi z prądem i pod prąd, nurkowali, sprawdzali, który z nich wytrzyma dłużej pod wodą, ochlapywali się z dzikim wrzaskiem jak małe dzieci i wychodzili na ląd tylko po to, żeby coś przekąsić. Było nam tak dobrze, że postanowiliśmy zostać nad Jordanem jeden dzień dłużej i spędzić go równie beztrosko.

Ale w stanie błogości i rozleniwienia, jaki nas ogarnął, zapomnieliśmy, że Jordan to rzeka graniczna i powinniśmy zachować więcej ostrożności. Dlatego przestraszyliśmy się z Utą nie na żarty, kiedy następnego dnia, gdy staliśmy po pas w wodzie obok rozbrykanych chłopców, zobaczyliśmy przy naszych namiotach dwóch długowłosych i bardzo przystojnych młodzieńców. Nie nosili wprawdzie turbanów, ale sądząc po ich luźnych strojach, nie byli to także nasi. Na szczęście nie mieli broni i – jak się zaraz okazało – nie żywili wobec nas nieprzyjaznych zamiarów. Zeszli spokojnie na sam brzeg, pomachali nam rękami, potem zaś obaj położyli wymownie palce na ustach, jakby chcieli nas prosić o zachowanie ciszy.

Widząc nasze zdumione miny, jeden z nich wskazał swoją wypielegnowaną dłonią na pobliskie zakole rzeki, gdzie, jak dopiero wtedy zauważyliśmy, ktoś łowił ryby. Przez gęste zarośla widać było tylko kawałek jego pleców w lśniącej, złocistej szacie, dziób łodzi, czubek wędki i kołyszący się na wodzie spławik. Po tym wyjaśnieniu odetchnąłem z ulgą, a ponieważ sam lubię łowić ryby i dobrze wiem, jak irytujący potrafią być ci, co je w tym czasie płoszą, poprosiłem Fulka, Gotfryda i Baldwina, żeby przestali hałasować. Potem skierowałem się do brzegu, aby przywitać się z nieznanymi i przeprosić ich za nasze zachowanie, ale oni wracali już w stronę zakola rzeki. Wiedziony ciekawością i chęcią poznania ich pana, ruszyłem za nimi, lecz wtedy odwrócili się jak na komendę i jeden z nich pogroził mi nawet palcem na znak, żebym porzucił ten zamiar. Zrezygnowałem zatem i wkrótce, uświadomiwszy sobie, że miejsce naszego biwaku wcale nie było tak ustronne ani tak bezpieczne, jak się nam wydawało, zarządziłem powrót do Jerozolimy.

Kiedy chłopcy zwijali namioty, a Uta upychała w sakwach nasze rzeczy, wszedłem jeszcze parę razy do rzeki, żeby zobaczyć, czy to, że się uspokoił, pomogło w czymkolwiek nieznanemu rybakowi. Z początku wyglądało na to, że nie za bardzo, jednak tuż przed naszym wyjazdem, udało mu się wyciągnąć z wody kilka niewielkich rybek.

W Mieście Świętym zastaliśmy wielkie poruszenie. Jak się okazało, w czasie naszego pobytu nad Jordanem do miasta przybyli posłowie Al-Afdala, którzy zażądali natychmiastowego wycofania się krzyżowców z Jerozolimy i całej Palestyny, grożąc przy tym, że w przeciwnym razie armia egipska, znajdująca się już niedaleko, nie pozostawi nikogo z nas przy życiu.

Książę Gotfryd, jako Obrońca Grobu Świętego, odrzucił to ultimatum, po czym postawił na nogi całe wojsko w mieście oraz wysłał gońców z prośbą o pomoc do Jerycha i do Nablusu, gdzie akurat udały się hufce hrabiego Tankreda i hrabiego Eustachego. Z uwagi na szczupłość zapasów, nie zamierzał

także czekać na Egipcjan za murami, tylko zdecydował się postawić wszystko na jedną kartę i zmierzyć się z nimi w otwartym polu.

Kiedy o tym usłyszałem, zapowiedziałem Ucie przy wieczerzy, że chyba będę musiał zgłosić się pod sztandar księcia Normandii.

– Co takiego?! – wybuchła. – Mało ci?! Chcesz stracić drugą rękę?! Nie martw się, z Al-Afdalem dadzą sobie radę młodszy i silniejszy od ciebie. A jeśli nie, to i ty im w niczym nie pomożesz. Mieliśmy wracać do domu i pobrać się. Jeśli znów pójdziesz walczyć, to z nami koniec, rozumiesz?! Koniec!

W tym miejscu zacisnęła pięści i umilkła, jakby nagle przypomniała sobie, że kilku z owych młodszych i silniejszych ode mnie je z nami kolację. Lecz było już za późno.

– To prawda – uśmiechnął się półgębkiem Gotfryd. – Nigdzie się nie zgłaszaj, panie. Zwłaszcza, że jeśli w polu coś pójdzie nie tak, ktoś będzie musiał bronić miasta. Poza tym, ty już się w życiu nawojowałeś, teraz czas na młodszych i silniejszych.

– Czas na młodszych i silniejszych?! To znaczy na kogo?! – Uta skoczyła do niego, jakby chciała mu wydrapać oczy.

– A choćby na nas – wyjaśnił spokojnie mały hrabia Baldwin, sięgając po kolejną pajdę chleba.

– Przecież nas atakują – dodał Fulko.

– Ani mi się waźcie! – krzyknęła Uta.

Ale jej protesty nie zdały się na nic. Cała trójka pozostała nieugięta. Co do mnie, to nawet nie próbowałem ich odwozić, w końcu, na ich miejscu, zrobiłbym to samo. Poprosiłem tylko, żeby na siebie uważali, nie pchali się na pierwszą linię, pilnowali pleców, osłaniali się nawzajem i przede wszystkim słuchali rozkazów swoich dowódców. Choć potakiwali mi we wszystkim, reszta kolacji, ze względu na ich decyzję, upłynęła nam raczej w ponurych nastrojach.

Dwa dni później do Obrońcy Grobu Świętego przybyli kurierzy od hrabiów Tankreda i Eustachego. Obaj wielcy panowie, którzy przemieścili tymczasem swoje wojska bardziej na południe, z Nablusu do Ar-Ramli, powiadamiali księcia Gotfryda o schwytaniu kilku egipskich zwiadowców, którzy wyznali na mękach, że armia Al-Afdala znajduje się pod Askalonem oraz opisali szczegółowo jej skład i liczebność.

W związku z powyższym hrabiowie Tankred i Eustachy mocno nalegali, by wojska krzyżowe spotkały się jak najszybciej w Ar-Ramli, skąd mogłyby uderzyć na Egipcjan. Książę Gotfryd de Bouillon zgodził się i przyrzekł, że zarówno on, jak i Robert hrabia Flandrii, stawią się w Ar-Ramli dziewiątego sierpnia. Zaraz potem pchnął kolejnego posłańca do hrabiego Tuluzy, zaklinając go na wszystkie

świętości, by zapomniał o dawnych urazach i przybył raz jeszcze na ratunek Krzyża.

W przeddzień wymarszu wojsk lotaryńsko-flandryjskich do Ar-Ramli spotkaliśmy się z Fulkiem i jego przyjaciółmi na pożegnalnej kolacji. Ku naszemu zdumieniu, Fulko przyniósł na nią jakiś podłużny, zawinięty w grube płótno i przewiązany rzemykiem pakunek, który wręczył przy powitaniu Ucie.

– Co to jest? – zapytała równie zaskoczona jak ja i aż się ugięła pod jego ciężarem.

– Zajrzyj do środka, to zobaczysz – odparł obojętnie Fulko i rozsiadł się wygodnie na zdobycznej skórzanej poduszce.

Kiedy Uta rozwiązała rzemyk i odwinęła płótno, we wnętrzu namiotu aż pojaśniało od blasku złota i klejnotów, jaki bił z precudnej roboty szabli w takiej samej, szczerozłotej pochwie, nabijanej dziesiątkami bezcennych kamieni!

– Co... to... jest?! – powtórzyła Uta z drzeniem głosu.

Tym razem młody człowiek uśmiechnął się od ucha do ucha.

– To? Łup wojenny. Pamiętacie egipskich dyplomatów? Chcielibyśmy przechować go u was do naszego powrotu.

– A niech cię!... – zawołałem, a potem roześmiałem się na całe gardło.

– Ależ... to... jest... warte... majątek!... – wykrztusiła Uta, wciąż nie mogąc ochłonąć z wrażenia.

– Majątek albo i dwa – skwitował z dumą Fulko. – I dwie piąte tego majątku należą do was, to prezent ślubny od naszej trójki. A gdybyśmy, nie daj Boże, zginęli wszyscy, także cała jego reszta. Nam już nie będzie potrzebny, a wam może się przydać. Tak ustaliliśmy.

– Chłopcy! – rzekłem schrypniętym ze wzruszenia głosem. – Jesteśmy wam bardzo wdzięczni i chętnie przechowamy tę szablę do waszego powrotu. Ale dopóki choć jeden z was pozostanie żywy, nie przyjmujemy od was żadnego złota ani klejnotu. Nie ma mowy.

– A to dlaczego? – zdziwił się Fulko.

– Po pierwsze dlatego, że ich nie potrzebujemy, mamy wyspę. A po drugie dlatego, że podobne skarby daje się i przyjmuje tylko w najbliższej rodzinie lub na zasadzie wzajemności. A ponieważ my nie możemy wam ofiarować niczego równie cennego, moglibyśmy przyjąć wasz prezent tylko wtedy, gdybyśmy byli rodziną. Propozycja, jaką ci kiedyś złożyłem, pozostaje aktualna i dotyczy was wszystkich. Co trzech synów, to nie jeden, zawsze o tym marzyłem.

– Ja również – wsparła mnie Uta, przytulając się do mojego ramienia. – I szkoda, że nie może już być was pięciu.

– No więc jak, panowie? – zapytałem z nadzieją.

Ale oni, choć wyraźnie zadowoleni, popatrywali na siebie nawzajem i nie mogli się zdecydować.

– A co my będziemy robić na tej wyspie? Polować na białe jeże? – skrzywił się hrabia Baldwin. – Tam musi być strasznie nudno.

– Co do mnie, to chętnie się wreszcie ponudzę. Ale jeśli wam będzie tam niedobrze, zawsze możemy się wybrać w moje ojczyste strony. Na wilki i niedźwiedzie.

– To już trochę lepiej – uśmiechnął się najmłodszy z przyjaciół Fulka. – Jak tak, to ja się zgadzam.

– A są tam jakieś wojny? – zapytał jego starszy brat, Gotfryd de Bouillon.

– Niestety, tych nigdzie nie brakuje.

– To i ja się zgadzam – oświadczył bez entuzjazmu.

– A ty, Fulko? – zwróciłem się do ulubieńca Uty, który zamiast odpowiedzi kiwnął trzykrotnie głową.

– W takim razie, pójdźcie w moje ramiona, synkowie! – zawołałem i rzuciłem się, aby ich uściskać, ale tym razem Uta była ode mnie szybsza.

*

Nazajutrz, gdy stojąc na murach Jerozolimy, w tłumie starców, kobiet i dzieci oraz takich samych weteranów jak ja – zbyt chorych lub kalekich, by wziąć udział w walnej rozprawie z Al-Afdalem – odprowadzałem wzrokiem wojska księcia Gotfryda i Roberta hrabiego Flandrii, po raz pierwszy w życiu poczułem się stary. Po raz pierwszy w życiu nie zastanawiałem się także nad wynikiem bitwy, od której zależał przecież nasz los, ale nad tym, czy przeżyją ją nasi synowie, wytęsknieni, wymarzeni, dopiero co zyskani, a być może straceni już na zawsze. Byłem pewny, że stojąca obok mnie Uta myśli dokładnie o tym samym, jednak żadne z nas nie chciało poruszać tej kwestii na głos.

Po wymarszu Flandryjczyków i Lotaryńczyków, którym towarzyszył patriarcha Jerozolimy Arnulf ze zdobytą przez siebie relikwią Prawdziwego Krzyża, w mieście pozostali tylko Normanowie księcia Roberta, który – wciąż obrażony na księcia Gotfryda – postanowił zaczekać na armię hrabiego Rajmunda. Na szczęście hrabia Tuluzy i jego ludzie zjawili się w Mieście Świętym jeszcze tego samego dnia i po krótkim odpoczynku ruszyli do Ar-Ramli razem z Normanami.

Kiedy odeszli i oni, zostaliśmy w Jerozolimie zupełnie sami – śmiertelnie przerażeni cywile i garstka mniej lub bardziej niedołączonych weteranów, mających w razie najgorszego stawić czoła całej potędze Al-Afdala. Ale, prawdę rzekłszy, nie potrzebowaliśmy już do tego, jak zresztą do niczego, ani naszych wodzów, ani naszych hierarchów. Jeszcze mniej był nam potrzebny Piotr Pustelnik, którego zostawiono w Jerozolimie, by nami dowodził. Znając go aż nazbyt

dobrze, pozwoliliśmy mu odprawiać msze i prowadzić procesje wotywno, lecz obroną zajęliśmy się sami. Wybraliśmy z własnego grona najbardziej doświadczonych żołnierzy i powierzyliśmy ich pieczy poszczególne odcinki umocnień, zorganizowaliśmy całodobowe warty, napełniliśmy wodą cysterny, zamknęliśmy na głucho wszystkie bramy, a wreszcie wspólnym wysiłkiem zatoczyliśmy na mury wszystkie sprawne katapulty i zgromadziliśmy przy nich wszystkie kamienne i żelazne kule, jakie udało się nam znaleźć w całym mieście.

Potem zaczęło się czekanie i wypatrywanie na horyzoncie jakichkolwiek oznak ruchu. Jedliśmy i spaliśmy na swoich stanowiskach, tam też myśleliśmy się i załatwialiśmy nasze potrzeby naturalne, jednak przez trzy dni i trzy noce na widnokreśgu nie działo się nic.

Dopiero w sobotę, trzynastego sierpnia, horyzont nagle się ożywił. Najpierw pojawiły się na nim maleńkie, ciemne punkciki. Zrazu niewiele większe od mrówek, rosły powoli w oczach, żeby po jakimś czasie przekształcić się w małe węże, kojarzące się w niepokojący sposób z kolumnami wojska. Wtedy zerwaliśmy się wszyscy na równe nogi, po czym na dźwięk trąbek dołączył do nas ktoś żywy w mieście, gdyż ludzie woleli raczej zginąć w walce niż dać się zarżnąć jak owce czy pójść do egipskiej niewoli.

Wypatrywaliśmy w napięciu oczy, żeby się przekonać, czy nad zbliżającym się ku nam wojskiem nie polatują czasem sępy, kruki i wrony, towarzyszące od zarania świata pobitym armiom. Jednak złowieszczego ptactwa nie było nigdzie widać, za to coraz wyraźniej dawały się dostrzec tabory, których nasze hufce nie posiadały.

Ze łzami w oczach już zaczęliśmy odmawiać modlitwę za zmarłych i szykować się do ostatniego w życiu boju, kiedy nagle ktoś obdarzony bystrzejszym wzrokiem od innych zaczął drzeć się jak opętany: „To nasi!!! Nasi!!! Nasi!!!”. I rzeczywiście, nie minęło wiele czasu i już niemal każdy mógł rozpoznać bez trudu sztandary książąt Gotfryda i Roberta oraz hrabiów Tuluzy i Flandrii, jak też dostrzec krzyże na tarczach i żołnierskich opończach. A kiedy jeszcze jadący na przedzie trębacze zadęli w trąbki i rogi na znak zwycięstwa, czemu za naszymi plecami odpowiedziało natychmiast głośne bicie dzwonów, w które patriarcha Arnulf zdążył już wyposażyć kościół Grobu Świętego, wszyscy stojący na murach padliśmy na kolana i zaczęliśmy dziękować Bogu za ocalenie.

Gdy powracające wojsko zbliżyło się jeszcze bardziej, Uta i ja zaczęliśmy przebiegać oczami twarze i sylwetki poszczególnych wojowników, próbując gorączkowo znaleźć tych, na których zależało nam najbardziej. W tak wielkiej masie ludzi i zwierząt wzbudzających gęste tumany kurzu, i na dodatek patrząc pod słońce, nie było to jednak możliwe.

Dopiero kiedy tryumfująca armia, z pieśnią dziękczynną na ustach, wkroczyła w mury Jerozolimy, ku naszemu ogromnemu szczęściu okazało się, że Fulko, Gotfryd i Baldwin, nie tylko żyją i nie są nawet draśnięci, ale jeszcze prowadzą ze sobą kilka zdobycznych koni. Rzuciliśmy się do nich z otwartymi ramionami, a naszym powitaniem i czułym uściskom długo nie było końca.

A kiedy nieco ochłonęliśmy, nasi trzej synowie, promieniejący młodzieńczą werwą i dumni z siebie jak królewskie pawie, zaczęli opowiadać.

I tak dowiedzieliśmy się, że wojska księcia Normandii i hrabiego Tuluzy spotkały się z pozostałymi siłami krucjaty w miejscowości Ibelin, kilka mil od Askalonu. Stamtąd cała armia pomaszerowała w stronę Asdudu, gdzie o zachodzie słońca udało się jej zagarnąć wielkie stado zwierząt pędzonych przez Egipcjan dla wyżywienia własnych żołnierzy. W nocy chrześcijanie przesunęli się jeszcze bardziej na południe, żeby tuż przed świtem znaleźć się naprzeciwko obozu uspionego i nie podejrzewającego niczego przeciwnika.

Z pierwszymi promieniami słońca ruszyli do ataku. Zaskoczenie było tak wielkie, że zaspani Egipcjanie prawie nie stawiali oporu. Większość z nich rzuciła się do panicznej ucieczki, inni ginęli spychani orężem do morza, niektórych spalono żywcem, kiedy postanowili ukryć się w pobliskim gaju figowym. Sam wezyr Al-Afdal z garstką przybocznych gwardzistów zdołał się wymknąć i odpłynął z Askalonu do Egiptu. Zdobyto jednak jego chorągiew, a także ogromne łupy, w tym wiele sztab srebra i złota, mnóstwo pieniędzy i drogich kamieni, powłóczyste szaty i inne zbytkowne stroje, cudownej roboty szable i miecze, zdobione złotem hełmy, wspaniałe pierścienie i bransolety, jak również mnóstwo koni i wielbłądów oraz wielkie ilości prowiantu. Zwycięstwo było miażdżące i całkowite.

Słuchaliśmy tego wszystkiego z zapartym tchem, dziękując ponownie Bogu za to, że raczył wysłuchać naszych próśb i zachował w tej potrzebie przy życiu wszystkich naszych synów, a po trzech dniach odpoczynku, które im się uczciwie należały, połączonych z hucznym świętowaniem i pakowaniem naszego dobytku, wybrałem się z pożegnalną wizytą do księcia Roberta.

Podziękowałem mu serdecznie za wszystkie doznane od niego dobrodziejstwa i zapewniłem go solennie o mojej dozgonnej wdzięczności i lojalności, na co książę, niezmiernie rad z tego, co ode mnie usłyszał, życzył mi wiele szczęścia i podarował mi na drogę dwadzieścia pięć bizantów, i drugie tyle w prezencie ślubnym, po czym poprosił mnie, abym go koniecznie odwiedził w Normandii. Obiecał mi także jeden egzemplarz kroniki i dał mi na koniec dobrą radę, żebym trzymał żelazną ręką moich nowych poddanych, mieszkańców wyspy Alderney.

Zaś następnego dnia o świcie, pomodliwszy się raz jeszcze u Grobu Pańskiego, ruszyliśmy z wielką ulgą i nadzieją w drogę powrotną na Zachód.

- ¹ Por.: Ps 66,12.
- ² Wergiliusz, *Eneida*, ks. VIII, w. 479-480, Warszawa 1978, tłum. Ignacy Wieniewski. Wszystkie cytaty z *Eneidy* w tym tłumaczeniu.
- ³ *Eneida*, ks. IV, w. 173.
- ⁴ Horacy, *Fragment 1* (Lundersted), w: Seneka, *Listy moralne do Lucyliusza*, Warszawa 1961, s. 536, tłum. Wiktor Kornatowski.
- ⁵ *Eneida*, ks. VI, w. 376.
- ⁶ *gladiatorzy „południowi”* (łac.).
- ⁷ *polowanie lub walka z dzikimi zwierzętami* (łac.).
- ⁸ *Eneida*, ks. VI, w. 262.
- ⁹ *pomieszczenie dla dzikich zwierząt* (łac.).
- ¹⁰ *Eneida*, ks. III, w. 624-625.
- ¹¹ *Eneida*, ks. V, w. 477.
- ¹² *Eneida*, ks. V, w. 444-445.
- ¹³ *dzikim zwierzętom* (łac.)
- ¹⁴ *Eneida*, ks. V, w. 418-419.
- ¹⁵ *Eneida*, ks. I, w. 450-451.
- ¹⁶ *u drzwi, u bram* (łac.)
- ¹⁷ Anonimowy epigramat grecki, w: *Antologia Palatyńska*, Warszawa 1978, s. 17, tłum. Zygmunt Kubiak.
- ¹⁸ Wergiliusz, *IV ekloga*, w: *Sielanka rzymska*, Warszawa 1985, s. 32, tłum. Jan Sękowski.
- ¹⁹ *to, co prawdziwe, jest proste* (łac.)
- ²⁰ *rzekłem* (łac.)
- ²¹ *Pijmy!* (łac.)
- ²² *gotów na wszystko* (łac.)
- ²³ *Eneida*, ks. IX, w. 221-222
- ²⁴ *Eneida*, ks. II, w. 707-708.
- ²⁵ *umów należy dotrzymywać* (łac.)
- ²⁶ *do przodków* (łac.)
- ²⁷ *Eneida*, ks. XII, w. 175-177.
- ²⁸ Mt 7, 7 oraz Łk 11, 9. Wszystkie dokładne cytaty z *Pisma Świętego według Biblii Tysiąclecia*, wyd. IV HTML, Poznań 1998.
- ²⁹ *ibidem*.
- ³⁰ *pielgrzymką do Jerozolimy* (łac.)
- ³¹ *małż św. Jakuba, przegrzebek* (hiszp.)
- ³² *Dziękuję* (arab.)
- ³³ *sekretarz, skryba* (arab.)
- ³⁴ *Ziemia wojny* (arab.), czyli tereny nie należące do muzułmanów.

- ³⁵ Miasto Pokoju (*Medinat as-Salam*), dawna nazwa Bagdadu.
- ³⁶ Zły duch, demon (arab.), uważany za niebezpiecznego.
- ³⁷ *Koran*, 58: 7, Warszawa 1986, tłum. Józef Bielawski. Wszystkie dokładne cytaty z *Koranu* w tym tłumaczeniu.
- ³⁸ *Koran*, 2: 7.
- ³⁹ Łk 14, 25-33.
- ⁴⁰ *do spraw wyższych* (łac.)
- ⁴¹ 1 Kor 7, 9.
- ⁴² Por.:Ps 37,25.
- ⁴³ Rdz 1, 28.
- ⁴⁴ Rdz 1,31.
- ⁴⁵ Iz 45, 7.
- ⁴⁶ J 15, 6.
- ⁴⁷ Ps 72,1.
- ⁴⁸ Ps 72, 11.
- ⁴⁹ Ps 72, 9.
- ⁵⁰ Mt 16, 24.
- ⁵¹ Mt 10, 22.
- ⁵² Ps 137, 5-6.
- ⁵³ Mt 27, 25.
- ⁵⁴ Ps 72, 17.
- ⁵⁵ Jr 16,13.
- ⁵⁶ Lm 1,16.
- ⁵⁷ Am 9, 11.
- ⁵⁸ Za 12,10.
- ⁵⁹ Jr 30, 9.
- ⁶⁰ Ps 18, 51
- ⁶¹ Am 4, 7.
- ⁶² Iz 33, 15.
- ⁶³ Mi 6, 8.
- ⁶⁴ Iz 56, 1.
- ⁶⁵ Ha 2, 4.
- ⁶⁶ Rdz 6, 3.
- ⁶⁷ Rdz 7, 11.
- ⁶⁸ Rdz 15, 13-14
- ⁶⁹ Wj 1, 7-10.
- ⁷⁰ Rdz 2, 10-14.
- ⁷¹ Rdz 15, 18.
- ⁷² Lb 32, 1.

- 73 Rdz 38, 6-9.
- 74 Wj 7,11.
- 75 Wj 7,19.
- 76 Wj 7, 21.
- 77 Wj 7, 22.
- 78 Wj 8,1-2.
- 79 Wj 11, 2-3.
- 80 Wj 12, 35-36.
- 81 Wj 22, 17.
- 82 Por. Ps 31, 6; Łk, 23, 46.
- 83 *Gdzie jesteś, dziwko?! Gdzie jesteś?! Oddajcie, łotry, co moje! (węg.)*
- 84 *O Jezu! Tonę, tonę! (węg.)*
- 85 Łk 10, 41-42.
- 86 J 14, 9.
- 87 J 14,11.
- 88 J 12, 45.
- 89 Mt 13, 16-17.
- 90 Por. Ps 103,12.
- 91 Mk 10, 47.
- 92 Mt 10, 34.
- 93 Ga 5, 15.
- 94 Por. 1 Kor 13, 5-13.
- 95 Rz 8, 31.
- 96 *Koran, 35: 45.*
- 97 rytualna ablucja obowiązująca muzułmanów.
- 98 pokłony wykonywane przez muzułmanów podczas modlitwy.
- 99 *Nie ma Boga prócz Allaha, a Mahomet jest Jego Prorokiem (arab.)*
- 100 Mt 5, 10.
- 101 *niewierny (arab.)*
- 102 Mt 5, 44.
- 103 Łk 6, 37.
- 104 *Koran, 47: 4.*
- 105 *Koran, 2: 62.*
- 106 *Koran, 5: 33-34.*
- 107 *Koran, 3: 55.*
- 108 *Koran, 29: 21.*
- 109 *Koran, 2: 191.*
- 110 *Koran, 5: 51.*
- 111 *Nie (arab.)*

- 112 *Tak* (arab.)
- 113 *prawo bocianie* (łac.)
- 114 Mk 13, 35-36.
- 115 Ga 5, 22-23.
- 116 Rz 13, 7.
- 117 Ps 36, 7.
- 118 *Naprzód, bezwstydnym hultaju, naprzód, jeśli nie chcesz, żebym cię wypatroszył!* (łac.)
- 119 Za 11,12.
- 120 Mt 10, 37.
- 121 Łk 23, 34.
- 122 Mt 28,19-20.
- 123 *Koran*, 7: 54.
- 124 *Koran*, 41: 9 – 12.
- 125 *Koran*, 22: 47.
- 126 *Koran*, 70: 4.
- 127 *Koran*, 19: 67; 15: 26; 96: 2; 80:19; 21: 30.
- 128 *Koran*, 17: 103.
- 129 *Koran*, 10: 92.
- 130 *Koran*, 79: 27-30.
- 131 *Koran*, 2: 29.
- 132 *Koran*, 4: 157-158.
- 133 *Koran*, 19:33.
- 134 *Koran*, 29: 46.
- 135 *Koran*, 47: 4.
- 136 *Koran*, 8: 12.
- 137 *Koran*, 8:39.
- 138 *Koran*, 2: 62.
- 139 *Koran*, 5: 72.
- 140 *Koran*, 5: 116.
- 141 *Koran*, 19: 28.
- 142 *Mesjasz, syn Marii, jest tylko posłańcem, takjak już przed nim byli posłańcy;*
Koran, 5: 75.
- 143 *Koran*, 2:106.
- 144 *Koran*, 16: 101.
- 145 *Koran*, 10: 64.
- 146 *Koran*, 6: 115.
- 147 *Koran*, 39:1-2.
- 148 *Koran*, 42: 15.

- 149 Koran, 3: 55.
150 Koran, 42: 15.
151 Koran, 3: 50.
152 Koran, 5: 46.
153 Koran, 5: 48.
154 Koran, 61: 6.
155 J 15, 26.
156 Mt 24, 24.
157 Koran, 6: 39.
158 J 3, 16 – 18.
159 J 14, 6.
160 *Oby, jeśli Bóg pozwoli (arab.).*
161 *Puśćcie go, zbóje! Pomocy! (niem.)*
162 *Puść go! Puść go! Puść go! (niem.)*
163 *Ludzie! W tym namiocie mieszkają Żydzi! Widzicie, ile się nakradli?! Trzeba zabić te ścierwa! (niem.)*
164 *Jeszcze tu wrócimy! (niem.)*
165 Ps 2, 8-9.
166 Ps 72, 9.
167 *prawowicie (łac.)*
168 Jr 23, 25.
169 Lb 12, 6.
170 Za 10, 2.
171 Jr 23, 16.
172 Jr 23, 28.
173 Jr 25,34.
174 *Zebrali się (łac.)*
175 Syr 13, 23.
176 J 20, 29.
177 J 15, 12.
178 *[Chrystus]przeżywszy lat trzydzieści, wypełniając czas swego życia... (łac.).*
179 *rycerz chrześcijański (łac.)*
180 *Baranek na krzyż wyniesiony, dobity włócznią (łac.).*
181 *dla dobra publicznego (łac.)*
182 Łk 9, 24.
183 *Chylę czoła, panie Herluin! (franc.)*
184 Koh 12,12 -13.
185 Ps 122,1-2.
186 Łk 9, 24.

187 Ps 9, 2-6.

188 Mt 28, 6.

189 *ibidem.*

190 *pod nieobecność* (łac.)

© Copyright by Leszek Biały, 2009

© Copyright by Nowy Świat, 2009

Redakcja: Maciej Cisło

Projekt okładki: Agnieszka Herman

ISBN 978-83-7386-360-0

Wydanie I Warszawa 2009

Wydawnictwo Nowy Świat ul. Kopernika 30, 00-336 Warszawa tel. (22) 826
25 43, faks (22) 826 25 47

INTERNET: www.nowy-swiat.pl

BLOG: blog.nowy-swiat.pl

E-MAIL: wydawnictwo@nowy-swiat.pl